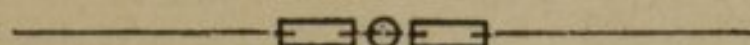
ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

1898.

TOM I.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM LXXXIX.



WARSZAWA.
DRUK JANA COTTY,
ulica Kapucyńska № 7.

1898.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 13 Марта 1898 г.



SPIS RZECZY.

Str.

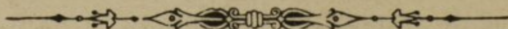
1. Rzeczy społeczne i spółczesne.

2. Literatura.

3. Beletrystyka.

4. Historya.

5. Biografia



POCZĄTEK I ROZWÓJ

WYŻSZYCH SZKÓŁ TECHNICZNYCH.

Politechnika w Warszawie.

Sprawa politechniki w Warszawie, poruszona w pismach, podjęta w porę przez sekcyę techniczną warszawskiego oddziału Towarzystwa popierania przemysłu i handlu i powierzona komisyi, popierającéj ją z godną uznania energią, zainteresowała ogół, wywołując częste wzmianki w prasie i ożywione rozprawy w kołach prywatnych. Społeczeństwo pojęło i odczuło potrzebę zakładu, w którym mogłyby czerpać naukę liczne zastępy młodzieży naszéj, zmuszonéj dotąd szukać z wielkim trudem wykształcenia specyalnego w Cesarstwie i zagranicą. Zakład taki, na którego pilną potrzebę u nas zgodzili się wszyscy, nazywano rozmaicie w mowie i piśmie: politechnika, instytut politechniczny, szkoła politechniczna, wyższa szkoła techniczna, — pod temi nazwami mając zawsze na myśli wyższy zakład naukowy, o pewnéj liczbie wydziałów, odpowiadających najważniejszym gałęziom przemysłu krajowego. Sama jednak rozmaitość używanych nazw wykazywała, jak mało rozpowszechnione są wiadomości, dotyczące początku i rozwoju podobnych zakładów, oraz stanowiska, jakie zajęły te zakłady, w szeregu innych wyższych zakładów naukowych w ostatnich czasach.

Śladów nauczania technicznego nie spotykamy w starożytności, pomimo wielkich robót irygacyjnych w dolinie Nilu, budowy piramid, rozwoju budownictwa w Grecyi, budowy dróg, mostów i wodociągów przez Rzymian. Ówczesna wiedza techniczna, z wyjątkiem nielicznych szczegółów, pozostałych w dziełach uczonych, wytworzyła się i przechowała pod postacią sekretnych przepisów rzemieślniczych. W wiekach średnich zamknęły ją w sobie klasztory, lub otoczyły tajemnicą korporacye rzemieślnicze. Ślady jéj pozostawiły po sobie bractwa mostowe w swych budowlach, inne odnajdujemy w dziele Teofila mnicha, rękopismach Leonarda Vinci i t. p.

Dopiéro na podstawie odkryć Galileusza i Newtona powstać mogły nauki techniczne i kolébką ich była Francya. Naukowemu traktowaniu budownictwa wodnego i budowy dróg i mostów dali początek w XVIII-ém stuleciu: Dela Hire, Gautier, Perronet i Belidor. W Niemczech podwaliny nauki górnictwa położył Calvör, w Anglii nowe działy techniki wytworzyli: Arkwright, Watt i Stephenson. Jednocześnie też z gromadzeniem materyału naukowego pojawiają się pierwsze skromne zawiązki szkół technicznych.

Z początku były to szkoły specyalne, poświęcone tym gałęziom techniki, które większym cieszyły się rozwojem. A więc najprzód powstały szkoły artyleryi i inżynieryi wojskowéj. Sam wyraz inżynier oznaczał dawniéj wyłącznie inżyniera wojskowego. W języku polskim użyty był w tém znaczeniu w r. 1643 w przekładzie „Archelii" Diega Uffana, gdzie tłómacz pisał: *ingenier*. Solski w r. 1690 rozumiał już pod tą nazwą takich, „którzy najmniejsze wynalazki dowcipu ludzkiego drukują" i pisał *indzienier*.

Specyalne szkoły wojskowe istniały we Francyi jeszcze w końcu XVII-go wieku, jak szkoła artyleryi w La Fère. Równocześnie pojawili się we Francyi inżynierowie dróg i mostów. Pierwszym takim inżynierem mianowany został Romain, członek ostatniego z bractw mostowych. Francuski wszakże korpus inżynierów dróg i mostów utworzony został dopiéro w r. 1716. Z początku inżynierowie ci kształcili się, praktykując przy starszych, ale wkrótce uznano potrzebę szkoły i w r. 1747 założył Perronet szkołę dróg i mostów.

Tak do téj szkoły, jak i do szkół wojskowych, przyjmowano nader ograniczoną liczbę kandydatów, ściśle potrzebną dla służby rządowéj. Szkoły miały wykład nauk teoretycznych dość ograniczony. O szkołach, dla techników wogóle, nie myślano jeszcze we Francyi. Pod tym względem pierwszeństwo należy się Niemcom.

Jak wiedza techniczna w pierwszych swych początkach związana była ściśle z biegłością rzemieślniczą, tak też i pierwsze szkoły techni-

czne nosiły więcéj charakter szkół rzemieślniczych. Cały obszar techniki, nieugruntowany naukowo, nie był jeszcze rozczłonkowany na pojedyńcze działy i pierwsze szkoły starały się równocześnie przygotowywać pracowników podrzędnych i głównych. Nauczanie polegało na pokazywaniu robót i przyswajaniu przepisów praktycznych więcéj, niż na wykładzie zasad. Uczniowie wchodzili do tych szkół z wykształceniem elementarném, a nauczyciele nie wszyscy posiadali wykształcenie wyższe.

Taką niższą szkołę techniczną założył w Niemczech w r. 1705 proboszcz Semler w Halli. Nazwano ją późniéj „Matematyczno-mechaniczną ekonomiczną szkołą realną". Podobna szkoła powstała w Berlinie w r. 1747-ym. Przez pewien czas szkoły te dążyły istotnie do kształcenia techników, późniéj wzięło w nich górę wykształcenie ogólne i w końcu zamieniły się na zwykłe szkoły realne. Dzięki upartemu klasycyzmowi gimnazyów, szkoły realne nie przestały się daléj rozwijać, wytwarzając niepożądane, dla techników zwłaszcza, rozdwojenie wykształcenia średniego, o czém jeszcze przyjdzie nam wspomniéć.

W r. 1745 powstało w Brunświku *Collegium Carolinum*. Założycielem był opat Jerusalem, który, jak na owe czasy, dziwnie trzeźwo zapatrywał się na wykształcenie młodzieży i potrzeby społeczeństwa, zamieszczając w programie szkolnym te pamiętne słowa: „My uczeni od dawnych czasów wyobrażamy sobie, że stanowimy jedyną podporę społeczeństwa, że po za naszemi czterema fakultetami nie ma już zbawienia ani rozumu. Wszakże, zostanie się nam jeszcze dość sławy, jeżeli jéj część, choćby nawet połowę, zostawimy ludziom innych stanów. Ci, którzy oddają usługi społeczeństwu, urządzając zakłady publicznego dobra, zajmując się handlem, podnoszeniem rzemiosł, gospodarstwem, — którzy pracują nad sztukami mechanicznemi na wodzie i na lądzie, na ziemi i pod ziemią, szukając ogólnego pożytku, stanowią równie ważny element społeczeństwa, jak i uczeni. A jednak dla tych wszystkich przy urządzaniu szkół tak mało dotąd zrobiono." Słowa te były jakby programem przyszłego rozwoju szkół technicznych w Niemczech.

Oddział techniczny *Collegium Carolinum* obejmował, oprócz innych przedmiotów, wykłady leśnictwa, górnictwa i hutnictwa, a także naukę skarbowości i policyi. Mechanice zapewnił opat Jerusalem w swéj szkole należne stanowisko. *Collegium* dzieliło się z początku na dwa wydziały: techniczny i humanistyczny, — ten ostatni przygotowywał do studyów uniwersyteckich. Z rozwojem gimnazyów oddział humanistyczny zwinięto, a szkoła pozostała czysto techniczną, służąc

jako wzór innym późniejszym zakładom i w końcu przemieniając się w dzisiejszą wyższą szkołę techniczną w Brunświku.

W chronologicznym porządku, po Brunświku następują zawiązki wyższych szkół technicznych w Paryżu, Berlinie, Wiedniu i Karlsruhe. Wyjątkowe znaczenie w dziejach wykształcenia technicznego przedstawia otwarta w Paryżu w r. 1794, z decyzyi Konwencyi narodowéj, szkoła centralna robót publicznych, przemianowana w roku następnym na szkołę politechniczną. Organizacyę tego zakładu powierzono Monge'owi, wraz z Lagrange'm, Legendre'm, Laplace'm i innymi najznakomitszymi uczonymi. Czynny udział umysłów, stanowiących epokę w nauce, staranny dobór uczniów na zasadzie bardzo ścisłego egzaminu konkursowego, do którego na początkowo 100, a następnie 200 miejsc corocznie wakujących, stawały tysiące kandydatów ze wszystkich stron Francyi, wreszcie gorliwa opieka rządu, — wszystko to wytworzyło z francuskiéj szkoły politechnicznéj świetne ognisko naukowe, promieniujące na całą Europę. Kurs nauk, dwuletni, obejmował, jak i dziś, matematykę i nauki przyrodnicze, w zakresie wystarczającym dla inżynierów; mimo jednak nazwiska i celów szkoły, nauki te były czysto teoretyczne. Dopiéro po ukończeniu szkoły politechnicznéj uczniowie wstępowali do szkół specyalnych. Szkoły te zreformowano odpowiednio do gruntownego przygotowania uczniów i wokoło świetnego ogniska teoryi w szkole politechnicznéj, powstały słynne także ogniska nauk stosowanych, jak szkoła dróg i mostów, szkoła górnicza, szkoła wojskowa artyleryi i inżynieryi, wszystkie przygotowujące ograniczoną liczbę inżynierów dla służby rządowéj. Wzajemny stosunek tych szkół i dalszy ich rozwój, określił następującemi słowy p. Wł. Folkierski w swym odczycie wstępnym do wykładów mechaniki i teoryi machin w uniwersytecie limańskim (drukowanym po polsku w „Czasopismie Techniczném lwowskiém" z r. 1893):

„Nauka praktyczna w tych szkołach aplikacyjnych nie nadaje już kończącym je prerogatyw, przywiązanych do szkoły teoretycznéj; ci, co wstępują do nich wskutek egzaminu, nie przeszedłszy przez szkołę politechniczną, nie mają praw służby rządowéj, ani nie są odznaczani jak pierwsi, jakikolwiek byłby rezultat ich fachowéj nauki. To podporządkowanie praktyki pod teoryę, które było powodem wielu zarzutów, jest jednakże jedną z przyczyn wyjątkowego znaczenia, jakie zyskali sobie w technice inżynierowie francuscy. Te wyjątkowe warunki, w jakich została utworzoną i w jakich się rozwijała szkoła politechniczna paryska, dobór profesorów, selekcya uczniów i zastosowana do tego organizacya, wyrobiły w nauce metodę, którą nazwać można klasyczną. Metoda ta oddała i oddaje jeszcze wielkie usługi nau-

ce; ale w końcu stało się z nią to samo, co z klasycyzmem na polu literatury. Nie stało klasyków, choć byli jeszcze ludzie wybitnego talentu; powiew czasu, postęp nauki, uczynił zbyt ciasnemi wszelkie karby nawet mistrzowską skréślone ręką, w jakie chciano zamknąć badania naukowe. Organizacya szkoły politechnicznéj doznała też w drugiéj połowie bieżącego stulecia zmian, wypadających niekoniecznie na jéj korzyść naukową; ognisko nauki postępowéj przeniosło się do innych instytucyi, obszerniejszego, swobodniejszego, mniéj programami skrępowanego zakresu. Metoda również uległa koniecznym zmianom, zbliżając się więcéj do metody naturalnéj w badaniu zjawisk przyrody. „

Gdy wobec rozwoju nauk technicznych zaczęto odczuwać w innych krajach, już w pierwszéj połowie bieżącego stulecia potrzebę zjednoczenia w jednym wyższym zakładzie naukowym różnych wykładów specyalnych, — we Francyi szkoły specyalne nie przestawały kwitnąć, służąc nawet za wzór podobnym zakładom w innych krajach, jak np. w Petersburgu. Jednocześnie wszakże dał się czuć we Francyi brak zakładu, w którym mogliby się kształcić inżynierowie dla przemysłu i w r. 1829 powstała w Paryżu szkoła centralna sztuk i rzemiosł, z początku prywatna, a w r. 1857 przejęta przez rząd. Połączono w niéj naukowość szkoły politechnicznéj z praktycznym wykładem zastosowań, a w miejsce wojskowego pensyonatu urządzano eksternat ze ścisłym programem robót wewnątrz szkoły i nieustanną kontrolą nad uczniami. Kurs jest trzyletni, a egzamin wstępny przekracza zakres matematyki gimnazyalnéj, obejmuje bowiem geometryę analityczną i wykreślną, oraz część algebry wyższéj. Szkoła kształci inżynierów cywilnych, mechaników, chemików i metalurgów.

W Niemczech, w samym początku bieżącego stulecia powstawały także zakłady specyalne, jak akademie górnicze w Klaustalu i Freibergu, akademia budowlana w Kassel. Założona w Berlinie w r. 1799 akademia budowlana, objęła nietylko architekturę i budownictwo cywilne, ale również nauki inżynierskie, a nawet w ograniczonym zakresie budowę maszyn. Miała ona na celu dostarczać geometrów, inżynierów cywilnych, a także i majstrów budowlanych. Z początku przyjmowano młodzież od lat 15, od któréj wymagana była znajomość łaciny, francuskiego i arytmetyki; ale już w r. 1801 wprowadzono obostrzenia przy wstępie i żądano świadectw z ukończenia trzeciéj lub drugiéj klasy gimnazyalnéj, t. j. naszéj szóstéj lub siódméj. Szkołę tę wprowadzili na tory ściśle naukowe tacy uczeni, jak Eitelwein i Gilly. Od roku 1809 do 1824 akademia budowlana była połączona z akademią sztuk pięknych. Dla względów finansowych rząd pruski pozostawił

zbyt długo nie rozdzielone wydziały inżynieryi cywilnéj i budownictwa, co po r. 1852 hamować zaczęło dalszy rozwój akademii. Prywatne kształcenie się inżynierów rozpowszechniło się wtedy w Berlinie. Studenci akademii tworzyli kółka, zajmujące się przygotowywaniem kandydatów do egzaminów rządowych.

Akademia Przemysłowa w Berlinie (*Gewerbe Akademie)* powstała z niższéj szkoły technicznéj, założonéj przez Piotra Beutha w r. 1821. Dla nauki rzemiosł Beuth założył także szkoły więcéj elementarne, które jednak, podobnie jak dawniejsze w Halli i Berlinie, powoli przemieniły się w szkoły realne i przygotowywały młodzież do akademii. Wstęp do szkoły technicznéj Beutha był łatwy: od kandydatów, liczących 12 do 16 lat wieku, żądano tylko początkowych wiadomości. Program szkoły obejmował w klasie niższéj: matematykę elementarną, chemię, fizykę i rysunek, — a w klasie wyższéj: matematykę i mechanikę, budowę maszyn, chemię czystą i stosowaną. Przy zakładaniu szkoła liczyła 4 nauczycieli i 13 uczniów. W miarę wszakże jak akademia budowlana, nie stosując się do bieżących potrzeb społeczeństwa, zwalniała swój rozwój, to szkoła założona przez Beutha wciąż rosła, w r. 1826 miała już trzecią klasę, a w następnym przemianowaną została na instytut przemysłowy. Wobec budowy dróg żelaznych i wprowadzenia tego działu techniki, wymagającego rozleglejszego przygotowania, do programu instytutu, wypadało ustanowić nowe warunki wstępne. Granicę wieku kandydatów podniesiono i przyjmować zaczęto młodych ludzi, liczących od 17 do 27 lat, żądając od nich patentu gimnazyum, szkoły realnéj lub jednéj z prowincyonalnych szkół przemysłowych. W r. 1860 nastąpiła nowa reorganizacya instytutu. Znikł jego charakter szkoły średniéj, wprowadzono ścisły podział na wydziały: ogólny, mechaniczny, chemiczny, fabryczny i budowy okrętów. W r. 1867 znów wróciła dawna nazwa akademii przemysłowéj, a w roku 1870 nadane były zakładowi nowe przywileje.

Jak widzimy, dopókąd technika sama znajdowała się w kolébce, powstawać mogły i powstawały szkoły niższe. Następnie przy większym rozwoju poszczególnych gałęzi techniki, powstawały szkoły specyalne, tym gałęziom poświęcone. Dopiéro gdy uznano potrzebę zjednoczenia różnych gałęzi techniki, w zupełności zależnych jedna od drugiéj, w zakładach wspólnych, powstać mogły wyższe szkoły techniczne, mające na celu, równie jak uniwersytety, udzielanie w najszerszym zakresie wykształcenia fachowego i prace, nad rozwojem odnośnych gałęzi wiedzy.

Szkoły te powstały w Niemczech prawie wszystkie ze szkół niższych, założonych w końcu ubiegłego lub początku bieżącego stulecia.

Większa ich część wiodła z początku egzystencyę nader skromną. Wykłady odbywały się jakby w szkołach dla rzemieślników; komunikowano uczniom wyciągi z dzieł bez naukowego uzasadnienia. Przy niektórych szkołach urządzone były warsztaty, w których uczniowie obowiązani byli pracować, ale i tu nauka rzemiosł nie była prowadzona systematycznie. Jako zabytek tego sposobu kształcenia przyszłych inżynierów, wzmiankować można istniejące po dziś dzień warsztaty w instytutach technologicznych w Rosyi. W niektórych szkołach braki wykładowe dochodziły do tego stopnia, że uczniowie musieli uczęszczać na wykłady ogólno-naukowe w innych zakładach. W Darmsztadzie chodzili do szkoły realnéj, a w Brunświku do humanistycznego oddziału *Collegium*.

W historycznym rozwoju uniwersytetów służyły jako wzór Paryż i Bolonia, — w takimże rozwoju wyższych szkół technicznych: Paryż, Wiedeń, a późniéj Karlsruhe. Kiedy w Paryżu oparto cały system szkół specyalnych na gruntownem przygotowaniu teoretycznem, jakie dawała szkoła politechniczna, — w Wiedniu podał Prechtl plan zakładu, jednoczącego w sobie wszystkie gałęzie techniki. W r. 1815 rozpoczęły się wykłady, ale dopiéro w r. 1817 zatwierdzony został w całości instytut politechniczny wiedeński, obejmujący oprócz wyższéj szkoły technicznéj, konserwatoryum sztuk i rzemiosł i towarzystwo popierania przemysłu krajowego. Jako szkoła wyższa, z uniwersytecką swobodą kształcenia, dzielił się instytut początkowo na dwa wydziały, przygotowujące: mechaników, inżynierów przemysłowych, rolników, leśników, geometrów, budowniczych i inżynierów cywilnych. Późniéj, odpowiednio do tych specyalności rosła liczba wydziałów. Organizacya obmyślana przez Prechtla wydawać zaczęła świetne owoce i jak paryska szkoła politechniczna wywarła wpływ na inne szkoły techniczne ścisłością wykładów matematyki i nauk przyrodzonych, tak samo instytut politechniczny w Wiedniu posłużył za wzór systematycznéj organizacyi wykładów nauk technicznych.

Z postępem czasu rozszerzał się i pogłębiał zakres tych nauk i znikał powoli rzemieślniczy charakter szkół technicznych, które stawały się coraz więcéj naukowemi. Zwiększała się powoli różnica między szkołami niższemi a średniemi: pierwsze wzięły się do kształcenia majstrów i wogóle techników niższych, gdy średnie instytuty techniczne wydawać zaczęły wyłącznie techników, przygotowanych do zajmowania wyższych stanowisk. Program ich się rozszerzył, klasy lub szkoły przygotowawcze przy tych instytutach, powoli znikały i wszędzie przyjęto za warunek wstępu do instytutu ukończenie średniego zakładu naukowego. Jednocześnie wzrosła liczba tych średnich zakładów

przez otwarcie znacznéj liczby nowych szkół realnych i profesyonalnych.

Z rozpoczęciem budowy dróg żelaznych w połowie bieżącego stulecia i wywołanym przez to rozwojem budowy maszyn, mostów i t. p. przy robotach tak poważnych powstała potrzeba techników odpowiednio wykształconych. Instytuty techniczne, jak je nazwano wtedy: politechniki, usiłowały odpowiadać wymaganiom, rozszerzając wykłady budowy maszyn i mostów. Nie można było tego wykonać z pożytkiem bez oparcia ich na jedynéj trwałéj podstawie, mianowicie na ścisłych wykładach mechaniki. O tym zwrocie w wykształceniu techniczném w Niemczech, pozwolimy sobie przytoczyć słów parę ze wspomnianéj już prelekcyi p. Władysława Folkierskiego:

„Pomyślny zwrot na drodze ulepszenia metody wykładowéj w Niemczech, nastąpił przez szkołę politechniczną w Karlsruhe, gdy ta powołała w r. 1841 na swego kierownika Redtenbachera (z Wiednia). Rozumiał on całą doniosłość nauki mechaniki, jako podstawowéj wszystkich nauk technicznych i starał się o postawienie tego wykładu na stopie doskonałości, na którą pozwalały ówczesne środki. Obok mechaniki technicznéj (obejmującéj niezbędne zasady i szczegółowe ich rozwinięcie w praktycznym kierunku), utworzono w następnym roku wykład mechaniki analitycznéj (rozumowéj, racyonalnéj we Francyi); sądzono, że w ten sposób wszelkie trudności będą załatwione. Lecz pokazało się, że po dwóch latach mozolnéj nauki owych dwóch mechanik, między któremi nie umiano zaprowadzić koniecznéj łączności, uczniowie przechodzący w roku następnym na kurs teoryi machin, wykładany przez Redtenbachera, która to teorya została przez niego w mistrzowski sposób wydoskonaloną, nie umieli a właściwie nie rozumieli ani jednéj, ani drugiéj. Wskutek czego Redtenbacher zmuszony był chwycić się radykalnego środka: czwartą część swych wykładów, jedno półrocze z czterech, poświęcił na ponowny wykład mechaniki ogólnéj, sprowadzając go do najważniejszych zasad. Wykład ten, ogłoszony w niewielkim tomie p. t. „*Principien der Mechanik*”, zdawałby się przeznaczonym dla początkujących, a był nim właściwie dla tych, co odbyli już dwuletni kurs téj nauki; jest on mistrzowskim wzorem metody, według któréj pierwsze zasady mechaniki powinny być wykładane dla jasnego ich pojęcia i dziś jeszcze może być czytanym z korzyścią przez tych nawet, którzy sądzą, że je dokładnie zrozumieli.”

Dodać wypada, że Redtenbacher starał się także o ogólne wykształcenie techników, zachęcając gorąco swych uczniów do uczęszczania na wykłady przedmiotów humanistycznych, literatury, historyi, eko-

nomii politycznéj i t. p. Urządzona przez uczniów Redtenbachera w r. 1854 szkoła politechniczna w Zurichu, w kierunku przez mistrza wskazanym, stanęła niebawem na pierwszém miejscu między szkołami technicznemi z językiem wykładowym niemieckim. Metoda wykładu mechaniki, w zastosowaniu do techniki, zyskała ważny nabytek, wprowadzeniem statyki graficznéj, przez ucznia Redtenbachera prof. Cullmana w Zurichu.

Jak rozwój budowy dróg żelaznych, a przytém budowy maszyn i mostów, tak samo i rozwój technologii chemicznéj, a zwłaszcza hutnictwa, oddały przemysłowi znakomite usługi. Wodociągi, gaz, oświetlenie elektryczne, wszystkie te nowości zmuszały techników do ciągłéj pracy i wywoływały potrzebę wprowadzania nowych wykładów do szkół technicznych, albo tworzenia oddzielnych wydziałów. Wzrastające zapotrzebowanie na techników wyżéj wykształconych naukowo i szybki rozwój nauk technicznych, wszystko to podnosiło poziom szkół technicznych, napierając do coraz ściślejszéj naukowo organizacyi. Gdy już wszystkie gałęzie techniki zdobyły sobie rzeczywiste podstawy naukowe, tracić zaczęły znaczenie szkoły specyalne, wywołane nierównomiernym rozwojem pojedyńczych gałęzi.

Zaznaczyć wypada, że sam zawód techniczny, t. j. technicy praktykujący, przyczynili się żądaniami swemi do wytworzenia wyższych szkół technicznych. W r. 1824 powstało w Berlinie stowarzyszenie architektów, do którego wkrótce przyłączyli się przedstawiciele innych gałęzi techniki, wytwarzając stowarzyszenie architektów i inżynierów. Stowarzyszenie to występować zaczęło energicznie z żądaniem założenia wyższéj szkoły technicznéj, wszechnicy odpowiadającéj znaczeniem uniwersytetom, kształcącéj fachowców, a równocześnie posuwającéj naprzód wiedzę techniczną. Agitacya rozszerzyła się i na Austryę. Technicy i szkoły istniejące wszyscy przyjęli udział w tym ruchu. W niektórych szkołach, jak w berlińskim instytucie przemysłowym, uczniowie domagali się demonstracyjnie zmiany organizacyi gimnazyalnéj na uniwersytecką. Demonstracye te wywołały w r. 1860 zamknięcie dwóch wyższych kursów instytutu, a następnie zamknięcie niższego kursu, ale w końcu instytut zdobył sobie swobodę akademicką. Toż samo powtórzyło się w Karlsruhe.

Przekształcenia szkół technicznych średnich na wyższe szkoły techniczne w Niemczech południowych i środkowych dokonano bez trudu i tylko dwie akademie berlińskie pozostawały w niezależności jedna od drugiéj, obie dość silne, by bronić samodzielnego swego stanowiska. Ale idea postępu przemogła i w r. 1879 wytworzono z nich berlińską wyższą szkołę w Charlottenburgu. Doszły przez to Niemcy do posia-

dania dziewięciu wyższych szkół technicznych, mianowicie: w Akwizgranie (najnowsza, otwarta w 1870 r.), Berlinie, Brunświku, Darmsztadzie (od 1836 r. wyższa szkoła przemysłowa), Dreznie (od 1828 szkoła techniczna), Hannowerze (od 1831 wyższa szkoła przemysłowa), Karlsruhe, Monachium (od 1827 szkoła politechniczna centralna), Stutgarcie (od 1829 wirtemberska państwowa szkoła przemysłowa).

W Niemczech istnieje obecnie mnóstwo niższych i średnich szkół technicznych, dających odpowiednie wykształcenie specyalne i szkoły wyższe mogą zajmować się wyłącznie, z jednéj strony dalszym rozwojem nauk technicznych a z drugiéj dostarczaniem wysoko wykształconych techników. Programy są tak rozległe, że na przedmioty ogólnie kształcące braknie czasu, dlatego też od kandydatów wymagane jest uprzednie ukończenie gimnazyum. W wyższych szkołach technicznych w Niemczech praktykowana jest uniwersytecka swoboda kształcenia się, sprzyjająca rozwojowi umysłu, życia naukowego i wzajemnego oddziaływania na siebie studentów. Dziekan wydziału zwykle tylko doradza na jakie wykłady student winien się zapisać, stosownie do celu, do jakiego dąży. Studenci mogą przechodzić z jednéj wyższéj szkoły technicznéj do drugiéj, tak samo jak w uniwersytetach i z każdéj szkoły przyjmowani są do egzaminów państwowych.

Wyższe szkoły techniczne niemieckie jednakowo podzielone są na wydziały i każda ma wydział architektury, inżynieryi cywilnéj, mechaniczny, chemiczny i wreszcie ogólny, obejmujący matematykę, nauki przyrodzone i wykłady dodatkowe przedmiotów ogólnie kształcących. Niektóre mają jeszcze inne wydziały oprócz wymienionych, jak Karlsruhe wydział leśny, Monachium—wydział rolniczy, Zurich—rolniczo-leśny. Górnictwo wykładane jest w Akwizgranie, budowa okrętów stanowi w Berlinie sekcyę wydziału mechanicznego. Oddzielny wydział elektrotechniczny ma szkoła Darmstadzka, w innych elektrotechnika stanowi sekcyę wydziału mechanicznego.

Ustrój wewnętrzny wyższych szkół technicznych w Niemczech jest uniwersytecki, z rektorem wybieralnym, który łącznie z senatem zarządza zakładem. Senat wybierany jest przez wydziały, które mają swoich dziekanów. Wydziały wydają dyplomy. Wybór profesorów i docentów odbywa się jak w uniwersytetach.

Równie jak urządzeniem wewnętrznem tak i kierunkiem naukowym podążają wyższe szkoły techniczne w Niemczech do zrównania się z uniwersytetami. Kierunek ten oddał przemysłowi niemieckiemu olbrzymie usługi, jak to odnośnie do przemysłu chemicznego wykazał profesor uniwersytetu lipskiego Ostwald, na zjeździe elektrotechnicznym w roku zeszłym w Monachium („Wszechświat," Nr. 43). Nie

chodzi tu o forsowne wtłoczenie w głowę ucznia z góry określonego a dostatecznie obszernego zapasu wiadomości, który zwłaszcza w szkołach francuskich odznacza się doskonałą systematycznością i odpowiednim wyborem. „Rezultaty dające się osiągnąć przy tego rodzaju wykształceniu, mówi prof. O. nie odpowiadają wymaganiom dzisiejszego przemysłu: potrzeby przemysłu idą dziś daléj, wymagania jego są większe.“ Zwróciwszy uwagę na organizacyę działalności wynalazczéj w fabrykach chemicznych w celach handlowych, mówi daléj: „do pracy podobnéj nie zdatny jest ten, kto się nauczył tylko stosować rzeczy znane. Tu bowiem wymaga się, aby pracownik umiał sobie dać radę w dziedzinach nowych; nie nadaje się do tego wyegzaminowany kandydat, lecz chemik przyzwyczajony do badań samodzielnych. Do téj to potrzeby przemysłu zastosował się jak najlepiéj plan studyów chemików niemieckich, lub raczéj obie te rzeczy rozwijały się ręka w rękę, jedna przed drugą. Bezpośrednie zadanie uniwersytetu polega na przyuczeniu słuchacza przez zapoznanie go z rzeczami znanemi do zdobywania rzeczy nieznanych; niech to tylko należycie będzie wykonane, a siły w taki sposób przygotowane w zupełności odpowiadać będą wymaganiom przemysłu."

Od niedawna istnieją wyższe szkoły techniczne a już położyły ważne zasługi, znaczną liczbą poważnych badań, szybkim i szerokim rozwojem odnośnéj literatury. Rzucając okiem wstecz i porównywując uniwersytety tegoczesne ze średniowiecznemi, widzimy różnicę mniejszą aniżeli między obecnemi wyższemi szkołami technicznemi a tém czém były kilkadziesiąt lat temu. Do czego doszły uniwersytety w przeciągu wieków, to osiągnęły wyższe szkoły techniczne po kilkudziesięciu latach. Akademia przemysłowa w Berlinie miała w roku 1821—4 profesorów i 13 uczniów a w 1874 berlińska wyższa szkoła techniczna przy setce profesorów liczyła 1,180 studentów; óbecnie ma więcéj jak 200 wykładających i przeszło 2,000 słuchaczy. Braknie jeszcze wyższym szkołom technicznym praw niektórych, wirylnego głosu rektorów w parlamentach i t. p. ale i te różnice znikną w przyszłości. Dyplomy wyższych szkół technicznych nie przedstawiają również mniejszego znaczenia od uniwersyteckich, a jednak wielu techników niemieckich domaga się jeszcze zrównania ich i co do tytułu, żądając doktoratu technicznego.

Tak w uniwersytetach, jak i w wyższych szkołach technicznych, nauczanie związane jest organicznie z badaniem. Wykładający w jednych i drugich zarówno pracują nad rozwojem wiedzy. Jedne i drugie zakłady wdrażają słuchaczy do pracy samodzielnéj, budzą zamiłowanie do nauki i przygotowują do istotnie cywilizacyjnéj działalności.

Te dwie grupy wszechnic obejmują cały zakres wiedzy ludzkiéj. Wprawdzie po za uniwersytetami i wyższemi szkołami technicznemi istnieją jeszcze w Niemczech akademie specyalne, dla górnictwa, rolnictwa, leśnictwa i weterynaryi, — ale zakładów tych jest już niewiele a wykładane w nich przedmioty wchodzą także w zakres wielu uniwersytetów i wyższych szkół technicznych. To téż Egon Zöller w swéj książce p. t. *Die Universitäten und technischen Hochschulen* (Berlin 1891), zestawiwszy rozwój dziejowy, znaczenie obecne i programy uniwersytetów i wyższych szkół technicznych, taki stawia plan ogólny obu wszechnic. Uniwersytet ma miéć cztery fakultety: 1) teologiczny, 2) prawny, 3) lekarski, 4) filozoficzny to jest matematyczno-fizyczny i filologiczno-historyczny,— a wyższa szkoła techniczna osiem wydziałów: 1) architektury, 2) inżynieryi cywilnéj, 3) mechaniczny z sekcyami budowy okrętów i elektrotechniczną, 4) chemiczny, 5) górniczy i hutniczy, 6) rolniczo-leśny, 7) weterynaryjny, 8) ogólny, obejmujący matematykę, nauki przyrodzone i przedmioty ogólnie kształcące.

Na niemiecką modłę ukształtowało się wyższe wykształcenie techniczne w Austryi i Szwajcaryi. Mówiliśmy już o wyższych szkołach technicznych w Zurichu i Wiedniu. Inne powstały z równie skromnych początków: w Pradze ze szkoły inżynierskiéj założonéj w r. 1806, w Graz z „Johanneum“ założonego w 1811, w Brünn ze szkoły technicznéj otwartéj w 1850, we Lwowie z akademii politechnicznéj, która znów powstała w 1844 z dawnéj akademii handlowéj.

Anglia, w któréj dawniéj najwięcéj było rozpowszechnione prywatne przygotowywanie się kandydatów na techników wyższych, przez uczęszczanie na wykłady uniwersyteckie i praktykę przy znakomitszych inżynierach, w ostatnich paru dziesiątkach lat coraz więcéj zwraca uwagi na szkoły niemieckie, usiłując naśladować je przy nowych zakładach lub reformie dawniéj istniejących. Wykazał to Ayrton w swéj mowie przy objęciu prezesowstwa stowarzyszenia elektrotechników w Londynie w r. 1892, podanéj w przekładzie francuskim w czasopiśmie *La Lumière Électrique* (N. 6 i 7 z r. 1892). We Włoszech wyższe zakłady techniczne, z wyjątkiem Medyolańskiego, nie ukształtowały się jeszcze na wzór szkół niemieckich.

W Belgii wyższe szkoły techniczne powstały i istnieją przy uniwersytetach, w Liège, Gandawie, Louvain i Bruxelli. Dwie pierwsze założone były w r. 1836, dwie ostatnie są nowsze. Szkoły w Liège i Gandawie miały na celu pierwotnie kształcenie inżynierów górniczych i dróg i mostów dla służby państwowéj; późniéj wydawać zaczęły inżynierów przemysłowych, mechaników, elektrotechników i budowniczych, w czém przyszły im z pomocą szkoły w Louvain i Bruxelli.

Kurs nauk w tych szkołach trwa od lat czterech do pięciu, stosownie do wydziału. Na podobieństwo szkół belgijskich urządzoną została wyższa szkoła techniczna w Szwajcaryi francuskiéj, przy uniwersytecie w Lausannie, z kursem czteroletnim. W ostatnich czasach inżynierowie belgijscy zajmować się zaczęli żywo sprawą reformy wyższego wykształcenia technicznego, zwracając uwagę na szkoły niemieckie a przytém na kierunek praktyczny nauczania mechaniki. Wyrazem tego zajęcia była ankieta w sprawie laboratoryów mechanicznych i wyższego wykształcenia technicznego, przeprowadzona przez profesora szkoły w Liège, p. Dwelshauvers-Dery i inżyniera Juliana Weilera (*Enquète sur l'enseignement de la méchanique*. Liège 1893. *Laboratoryum mechaniczne*, Przegląd Techniczny 1894). Ankieta wyjaśniła wiele kwestyi spornych i rezultaty jéj tworzą ciekawy zbiór poglądów na sprawę kształcenia inżynierów i reformy odnośnych zakładów.

Co do liczby wyższych szkół technicznych, Ameryka prześcignęła już dawno Europę. W ostatnich latach liczono tam 52 zakładów technicznych wyższych, o jednym, dwóch, trzech lub czterech wydziałach. Najwięcéj rozpowszechniony jest wydział budowlany, potém mechaniczny, górniczy i elektrotechniczny. Siedem szkół ma wszystkie te cztery wydziały i ustrojem zbliżają się do szkół niemieckich. Zasłynęły zwłaszcza: instytut Rensselaera w Troy, instytut techniczny w Bostonie, oraz uniwersytet Cornell'a w Itace z dwoma wydziałami: mechanicznym i inżynierów cywilnych. Kurs zwykle bywa czteroletni. Wykłady mało gdzie dochodzą do poziomu szkół niemieckich, za to urządzenia szkolne, laboratorya mechaniczne i t. p. w niektórych zakładach stanęły znacznie wyżéj.

W Rosyi wyższe wykształcenie techniczne ukształtowało się pierwotnie na podobieństwo Francyi. Instytuty: komunikacyi i górniczy odpowiadają szkołom francuskim dróg i mostów i górniczéj, z dołączeniem do każdéj z nich teoretycznego programu szkoły politechnicznéj; mają téż kurs pięcioletni. Dla kształcenia techników powiatowych i gubernialnych przybył późniéj, również jako oddzielny zakład, instytut inżynierów cywilnych, — wreszcie w ostatnich czasach wywołany potrzebą odpowiednich specyalistów dla służby państwowéj, instytut elektrotechniczny. Z drugiéj znów strony moskiewska szkoła techniczna i instytut technologiczny w Petersburgu, powstały i rozwijały się na podobieństwo akademii przemysłowéj berlińskiéj. Moskiewską szkołę techniczną założono w r. 1832 jako szkołę majstrów rzemieślniczych przy domu podrzutków. Zreformowana w r. 1844 wydawać już zaczęła techników, czyli tak zwanych uczonych majstrów. W r. 1868,

za dyrektorstwa Della Vosse'a, głośnego działacza na polu wykształcenia technicznego, szkoła zamienioną została na wyższy zakład techniczny, dla inżynierów-mechaników i technologów - chemików, ale z kursem niezmiernie długim, bo sześcioletnim, który dopiéro nową ustawą 1894 r. zredukowany został do lat pięciu. W podobny sposób, postępując od szkoły niższéj do średniéj i od średniéj do wyższéj, rozwijał się instytut technologiczny w Petersburgu, założony w r. 1831, z inicyatywy ministra finansów Kankrina. Z początku była to szkoła rzemieślnicza, do któréj przyjmowano chłopców umiejących czytać i pisać. W r. 1849 instytut, podniesiony już do poziomu szkoły średniéj, wydawać zaczął inżynierów - technologów i technologów-praktyków (stopień niższy),—wreszcie w r. 1861 zamieniony został na obecny wyższy zakład techniczny. Kurs jest pięcioletni.

Szkoła rygska, założona na wzór dawniejszych szkół politechnicznych niemieckich, jako szkoła niemiecka dorównywała wyższym zakładom w Niemczech. Dziś, zamieniona na szkołę ruską, zachowała wydziały: budowlany, inżynierski, mechaniczny, chemiczny i rolniczy, ale tylko ostatni z kursem czteroletnim; do innych wprowadzono kurs pięcioletni. Instytut technologiczny w Charkowie zorganizowany został na wzór petersburskiego. Wreszcie najmłodsza ze szkół specyalnych ruskich, moskiewska szkoła inżynierów, istniejąca dopiéro drugi rok, stanowi ciekawe doświadczenie możności zredukowania kursu inżynierskiego do lat trzech. Dyplom wszakże inżyniera komunikacyi wydawany będzie w Moskwie nie przy ukończeniu szkoły, ale po dwuletniéj praktyce i złożeniu nowego egzaminu, co stanowi poważne utrudnienie i w rezultacie przedłuża naukę do lat pięciu. W każdym razie doświadczenie będzie interesujące i jeżeliby szkoła wydawać z czasem mogła corocznie tylu inżynierów co i instytut petersburski, okazałaby się wtedy finansowo korzystniejszą, bo roczny jéj etat jest prawie o połowę mniejszy od etatu instytutu. Porównana jednak ze szkołą rygską, moskiewska szkoła inżynierów jest droższą, gdyż etat czterech wydziałów szkoły rygskiéj wynosi 200,000 rs., gdy etat jednowydziałowéj szkoły w Moskwie—80,000 rs. Pytanie przytém poważne, czy pięcioletni program instytutu komunikacyi, da się bez szkody uczniów wtłoczyć w ciasne ramy trzyletniego kursu.

Wogóle, wyższe zakłady techniczne rosyjskie, ukształtowane według przeżytych już wzorów, domagają się zupełnéj reorganizacyi. Potrzebę takowéj uwidocznia coraz jaskrawiéj rozwój przemysłu w państwie. O poglądach wyrażonych w kwestyi wyboru najodpowiedniejszego typu wyższych szkół technicznych w Rosyi, przyjdzie nam jeszcze wspomniéć.

Rozwój szkół technicznych w innych krajach, od początku bieżącego stulecia nie był nam obcym i w miarę środków zdawna już starano się w Królestwie o kształcenie potrzebnych przemysłowi kierowników. Rozpatrywano szkoły zagraniczne a ślad tego został w książeczce p. t. „Paryż uważany co do nauk“ wydanéj w Wilnie w r. 1811. Autor, późniejszy profesor fizyki w uniwersytecie jagielońskim, Roman Markiewicz studyował urządzenia szkolne w Wiedniu i Paryżn. Pierwszą szkołą specyalną, jaka powstała w kraju, nie mówiąc o wojskowych, była szkoła górnicza w Kielcach, jednym z profesorów któréj był znany geolog Bogumił Pusch. Szkoła ta, otwarta przy dyrekcyi głównéj górnictwa, ustanowionéj w Kielcach w r. 1816, przeniesioną została w r. 1827 do Warszawy. Przy wydziale dóbr i lasów istniała także przed r. 1830 w Warszawie przez lat kilka szkoła leśna. Budowniczych i inżynierów sposobić miał oddział budownictwa Królewsko-Warszawskiego Uniwersytetu, dwoma kursami architektury cywilnéj i geometryi praktycznéj, — ale oczywiście wychodzić zeń mogli tylko budowniczowie i geometrzy. Pojmowano jednak w kraju potrzebę szkoły dla inżynierów cywilnych i mechaników. Nasze dawne czasopismo techniczne „Izys Polska" drukowało w r. 1820 mowę Prechtla, dyrektora instytutu politechnicznego w Wiedniu, mianą przy otwarciu tego zakładu, a w roku następnym podało: „Bliższą wiadomość o politechnicznym wiedeńskim instytucie.“ Krzątać się też zaczęto około uczynienia zadość potrzebie i w r. 1825 powstała, pod przewodnictwem Staszica, Rada Szkoły Politechnicznéj, mająca na celu założenie i prowadzenie w kraju wyższéj szkoły technicznéj. Ale brakło i środków materyalnych i profesorów. Radzono sobie jak było można. Najpilniéj potrzebnych inżynierów komunikacyi przygotowywać zaczęła w r. 1827 szkoła inżynieryi cywilnéj, któréj z początku dyrektorem i jedynym profesorem był inspektor robót wodnych Teodor Urbański. Jednocześnie Rada szkoły politechnicznéj postanowiła uczynić pierwsze kroki i otwarła szkołę przygotowawczą do instytutu politechnicznego, oraz wysłała kilkunastu wychowańców uniwersytetu za granicę, aby się sposobili na profesorów przedmiotów technicznych. Krótkie dzieje szkoły przygotowawczéj, która w trzecim i czwartym roku swego istnienia zaczynała się już przemieniać na właściwą szkołę politechniczną, skréślił śp. Maryan Baraniecki w „Ateneum" z r. 1880. W trzecim roku połączono z nią szkołę inżynieryi cywilnéj, z jéj trzema już wtedy profesorami: Urbańskim, Smolikowskim i Gołońskim. W r. 1831, jak mówi Baraniecki, „wszystko to burza zmiotła, łamiąc latorośl krzepką przy samym korzeniu."

Szkoła przygotowawcza do instytutu politechnicznego była wyrazem pierwszego poważnego usiłowania utworzenia w Królestwie wyższéj szkoły technicznéj. Istniała tylko cztery lata, ale w ciągu tego krótkiego czasu zdołała przysposobić pewną liczbę inżynierów i technologów, przez długi czas późniéj przodujących u nas w swoim zawodzie. Próżnię, jaka się wytworzyła po zwinięciu téj szkoły, z czasem zaczęły choć częściowo wypełniać wyższe klasy gimnazyum realnego. Ustawa o wychowaniu publicznéem w Królestwie Polskiém z d. 20 maja 1862 r., w miejsce tego gimnazyum i instytutu gospodarstwa i leśnictwa w Marymoncie, ustanowiła instytut politechniczny i rolniczo-leśny w Puławach. Zakład ten trwał tylko parę miesięcy, a ustrojem swym zbliżać się miał do współczesnych politechnik niemieckich.

Około r. 1880 poruszono znów myśl założenia wyższéj szkoły technicznéj w Warszawie. Zygmunt Michałowski pisał w „Przeglądzie Technicznym" o potrzebie takiéj szkoły, zalecając jako wzór szkołę centralną paryską a Maryan Baraniecki w „Ateneum" szkicował projekt, postawiony niedawno przez p. Anopowa w Petersburgu, otwarcia szkoły podobnéj ustrojem do politechnicznéj w Paryżu, dwuletniéj, którą kończący mogliby wstępować na III kurs instytutów specyalnych w Cesarstwie. Redakcya „Przeglądu Technicznego," trzeźwo rozważając środki, zaznaczała pilniejszą potrzebę szkoły technicznéj średniéj, stawiając motyw, iż „brak drugorzędnych sił technicznych najwięcéj daje nam się we znaki i najtrudniéj w tym kierunku walczyć nam przychodzi z żywiołem cudzoziemskim."

Około urzeczywistnienia téj myśli zakrzątneli się przed paroma laty ludzie dobréj woli, światłego umysłu i wielkiéj ofiarności i dzięki im posiadamy już szkołę techniczną średnią, dotąd z jednym wydziałem, mechanicznym, ale mogącą się rozwijać i miéć ich w niedalekiéj przyszłości dwa a i trzy może. Ustawa normalna średnich szkół technicznych w państwie przewiduje trzy wydziały: mechaniczny, chemiczny i budowlany. Szkoła ma przyjmować kandydatów, którzy ukończyli pięć klas realnych i dawać im w ciągu lat czterech wykształcenie wystarczające dla techników średnich. Obecnie napływ kandydatów jest tak wielki, że szkoła przyjmuje takich, którzy ukończyli sześć klas realnych. Tacy kandydaci, gdyby otwartą była w Warszawie wyższa szkoła techniczna, zwróciliby się do niéj a szkoła średnia mogłaby wyłącznie zaspakajać potrzeby tych, którzy pragną istotnie poprzestawać na wykształceniu średniém.

W roku zeszłym, w ciągu rozpraw nad wyborem najpilniéj potrzebnych w kraju zakładów użyteczności publicznéj, wyłoniła się znów myśl założenia wyższéj szkoły technicznéj w Warszawie. Potrzeba ta-

kiego zakładu istniała zdawna, bo już od długiego szeregu lat liczne zastępy naszéj młodzieży zmuszone były szukać wykształcenia specyalnego, już to w Cesarstwie, już téż zagranicą, — a kto nie miał na to środków, wybierał z musu inną karyerę. W ostatnich latach trudności zwiększyły się jeszcze. W Cesarstwie rosła wciąż liczba kandydatów do instytutów specyalnych i szanse egzaminu wstępnego zmniejszały się z każdym rokiem. W roku bieżącym z 4810 kandydatów do wszystkich zakładów, przyjęto 1355. Nadto w niektórych zakładach liczba studentów Polaków jest z góry ograniczoną, tak że prawdopodobieństwo wejścia dla naszéj młodzieży sprowadza się do drobnego ułamku. W Niemczech znów, w uniwersytetach i wyższych szkołach technicznych, zaczęto w ostatnich latach na cudzoziemców spoglądać mniéj chętnie, a na Polaków w niektórych miejscach nawet nieprzyjaźnie. A tymczasem rozwój przemysłu krajowego domaga się coraz większéj liczby odpowiednio przygotowanych pracowników, w coraz to liczniejszych gałęziach techniki.

Brak wyższéj szkoły technicznéj w Królestwie uwydatnia się tém silniéj, gdy spojrzymy na inne prowincye, mniéj zaludnione i mniéj przemysłowe a jednak posiadające podobne zakłady, jak Kurlandya w Rydze, Finlandya w Helsingforsie, Galicya we Lwowie. Obecnie nawet jest mowa o wyższéj szkole technicznéj dla Prus w Gdańsku. W Niemczech na 50 milionów ludności jest 9 wyższych szkół technicznych, t. j. jedna szkoła na 5,5 miliona; w Austryi (bez Węgier) na 24 miliony 5 szkół, t. j. jedna na 4,8 milionów. Ośmiomilionowa ludność Królestwa, wobec rozwoju przemysłu w kraju, domaga się więc słusznie wyższéj szkoły technicznéj. Gdzie zaś odpowiedniejsze dla niéj miejsce, w Warszawie czy Łodzi, to już wykazały rozprawy w pismach, dowodzące większéj w Warszawie różnorodności przemysłu, większych ułatwień naukowych, taniości utrzymania i zdrowotności.

Potrzebujemy więc wyższéj szkoły technicznéj w Warszawie, wszechnicy, uwzględniającéj w poszczególnych swych wydziałach różnorodne potrzeby naszego przemysłu. Dałyby się one zamknąć w pięciu wydziałach: 1) architektonicznym, 2) inżynieryi cywilnéj, 3) mechanicznym z sekcyą elektrotechniczną, 4) chemicznym, 5) górniczo-hutniczym. Warunkiem niezbędnym byłoby uwzględnienie szczegółowych potrzeb krajowego przemysłu przy wykładach i pracach wewnątrz szkoły, co wymaga z jednéj strony udziału przedstawicieli przemysłu w radzie szkolnéj a z drugiéj udziału sił technicznych miejscowych w nauczaniu. Ważném byłoby także ułatwienie młodzieży dostępu do szkoły i pobytu w niéj a więc przyjmowanie bez egzaminu kandydatów posiadających patenta gimnazyalne lub ze szkół realnych, kurs nauk nie

dłuższy jak cztery lata, opłata szkolna umiarkowana, pomoc zarządu szkoły w znajdowaniu praktyki wakacyjnéj, ulgi w służbie wojskowéj, wreszcie prawo prowadzenia robót dla kończących szkołę. W tych warunkach szkoła przynosiłaby mogła istotny pożytek krajowi, o ile inne szczegóły organizacyi wewnętrznéj byłyby postępowe, profesorowie ludzie nauki, obeznani z praktyką, pomoce naukowe w rozległym zakresie, laboratorya mechaniczne, elektrotechniczne, hutnicze i t. p.

Do posiadania takich zakładów dochodziły inne kraje powolnie, stopniowém udoskonalaniem dawnych, — i my téż nie możemy marzyć o całkowitém urzeczywistnieniu odrazu naszych pragnień. Możemy się spodziéwać co najwyżéj szkoły, zorganizowanéj na podobieństwo obecnéj rygskiéj, ale tylko o dwóch lub trzech wydziałach. Epoka zakładania instytutów specyalnych zdaje się minęła i w Cesarstwie. Wprawdzie powstała jeszcze w ostatnich latach szkoła inżynieryi w Moskwie, tę wszakże uważać wypada jako próbę tymczasowego powiększenia, a przyszłego przekształcenia instytutu komunikacyi w Petersburgu. Obecnie, władze zawiadujące wykształceniem techniczném w państwie, dążą, jak się zdaje, do wytwarzania nowych zakładów, według typów wydoskonalonych na podstawie historycznego rozwoju podobnych zakładów zagranicą. Niemiecka wyższa szkoła techniczna, stanowiąca wzór naśladowany teraz przez inne kraje, w sferach kompetentnych w Petersburgu zyskała także zasłużone uznanie. Uwydatniło się to przy niedawném przekształceniu szkoły rygskiéj, gdzie, pomimo przystosowania pięcioletniego kursu instytutów petersburskich, zachowano jednak wiele szczegółów dawnéj organizacyi, a zwłaszcza cztery główne wydziały, jak w wyższych szkołach technicznych Niemiec. I obecnie projektowane szkoły w Kijowie i Warszawie urządzane być mają w ten sposób, podobno nawet z kursem czteroletnim zamiast pięcioletniego. W Warszawie projektowano zrazu dwa wydziały: mechaniczny i chemiczny. Może jeszcze zdołamy otrzymać trzeci—architektoniczny. Czy od chemicznego i architektonicznego nie byłby pilniejszym dla kraju wydział inżynieryi cywilnéj, — jest to także kwestya do rozpatrzenia.

Uznanie, jakie znalazły wyższe szkoły techniczne niemieckie, datuje nie od dziś w kołach decydujących Petersburga. Sprawami wykształcenia technicznego w Rosyi zajmuje się najwięcéj Cesarskie Towarzystwo Techniczne. Przy Towarzystwie funkcyonuje od ćwierć wieku przeszło komisya stała do tych spraw, zajmująca się czynnie szkołami dla robotników, mająca swój budżet i wydająca czasopismo p. t. „Wykształcenie techniczne". Ta to komisya stała urządziła w roku 1882 specyalne narady, w sprawie reformy wyższych szkół techni-

cznych, które wyjaśniły wiele kwestyi, choć nie doprowadziły dotąd do zmian radykalnych. Większość członków uznała, że młodzieniec, kończąc 20 lat, powinien jednocześnie kończyć naukę szkolną i brać się do zajęć praktycznych. Na naukę w szkole technicznéj przeznaczono trzy lata i zgodzono się na to, że wykształcenie średnie powinno być ukończone, gdy kandydat ma lat 17. W skutku tego przystąpiono do rozpatrzenia programów szkół średnich. Uznano, że uczeń, mając lat 10, może rozpoczynać kurs gimnazyalny i ukończyć takowy, gdy ma lat 17. Obecnie kurs gimnazyalny trwa ośm lat, a na wykłady matematyki przeznaczone jest przeciętnie 3 $^1/_2$ godzin tygodniowo w każdym roku, a ogółem ściśle 29 godzin tygodniowych w ciągu lat ośmiu. Przekonano się, że rozkładając tę samą liczbę lekcyi na lat siedm, możnaby jeszcze powiększyć udzielany zasób wiadomości w zakresie matematyki, a mianowicie wprowadzić do programu gimnazyalnego geometryę analityczną lub wykreślną. Co do szkoły technicznéj, komisya uznała, że kurs jéj obowiązkowy nie powinien trwać dłużéj, jak trzy lata, a ponieważ szkoła nie może dawać przygotowania praktycznego i dla nabycia takowego uczeń przynajmniéj przez rok pracować musi w przemyśle, jako praktykant, zanim będzie można mu powierzyć pewne odpowiedzialne zajęcie, więc w rzeczywistości na naukę liczyć trzeba lat cztery, tak samo jak i na uniwersytecie. Komisya uznała, że taka szkoła techniczna, z trzyletnim kursem, powinna miéć kierunek praktyczny, oparty na gruntownem przygotowaniu naukowém i dawać wychodzącemu z niéj uczniowi zapas wiadomości dostateczny do tego, aby już sam mógł się daléj kształcić i postępować naprzód w obranéj karyerze. Szkoła taka nie wyłącza bynajmniéj istniejących akademii i instytutów specyalnych, które, odpowiednio przekształcone, mogłyby byłym uczniom szkoły, którzy już odbyli praktykę, dawać możność specyalnéj pracy nad obranemi przedmiotami, jak to czynią np. wychodzący z uniwersytetów kandydaci, pracujący nad specyalnemi przedmiotami dla otrzymania stopnia magistra. Ale komisya stanowczo odrzuciła myśl, aby proponowana przez nią szkoła techniczna służyć mogła jako przygotowawcza do specyalnych akademii i instytutów. Myśl ta, podjęta ostatnio przez p. Anopowa w projekcie otwiérania szkół politechnicznych, podobnych zakresem do paryskiéj, po miastach mających uniwersytety, jak się zdaje, nie ma szans urzeczywistnienia.

Powyższe wnioski komisyi z r. 1882, zestawione ze sposobem przekształcenia niemieckiéj politechniki w Rydze, wykazują ustalający się pogląd, że nowe wyższe zakłady techniczne wzorować się winny raczéj na szkołach niemieckich, aniżeli na istniejących w Rosyi instytu-

tach specyalnych. Kurs trzyletni, proponowany przez komisyę i zastosowany do szkoły inżynierskiéj w Moskwie, wydaje się stanowczo za krótkim. Proponowany jeden rok praktyki, zamieniony na dwa w ustawie téj szkoły, jest naśladownictwem Niemiec, gdzie kończący wyższą szkołę techniczną winien po złożeniu pierwszego egzaminu państwowego, odbyć trzyletnią praktykę, zanim dopuszczony zostanie do egzaminu na baumajstra.

Komisya obradująca obecnie w Petersburgu, w sprawie wyższego wykształcenia technicznego, pod przewodnictwem towarzysza ministra komunikacyi p. Pietrowa, doszła także do wniosku, że typem najwięcéj godnym naśladowania, przy zakładaniu nowych szkół w państwie, są wyższe szkoły techniczne niemieckie. P. Anopow, jakkolwiek równocześnie bronił pierwotnego swego projektu urządzania szkół politechnicznych przygotowawczych przy uniwersytetach, oświadczył się jednak za wyższą szkołą techniczną, nazywając ją „politechniką". Wyraz ten używany jest często w tém znaczeniu w mowie potocznéj, właściwie jednak „politechnika", niemieckie „*Polytechnicum*", jest skróceniem nazwy „szkoła politechniczna", ta zaś ma znaczenie podwójne, oznaczając raz szkołę przygotowawczą do technicznéj, jak paryska, a drugi raz istotną szkołę techniczną wielowydziałową, jak niemiecka, przed nadaniem jéj organizacyi i nazwy wyższéj szkoły technicznéj, to jest w tym peryodzie jéj rozwoju, gdy ze średniéj technicznéj przemieniała się dopiéro na wyższą. Obecne zaś wszechnice techniczne niemieckie mają ustaloną nazwę „wyższych szkół technicznych" (*Technische Hochschulen*).

P. Anopow, rozumiejąc jak się zdaje pod wyrazem „politechnika" wyższą szkołę techniczną, tak się wyraził („Kraj", nr. 44): „W Kijowie otwiéra się teraz politechnika, w Warszawie również, tymczasowo z trzema oddziałami: mechanicznym, chemicznym i budowlanym. Politechniczny charakter szkół wzbudza więcéj zaufania, ze względu na przykład Niemiec i na taniość. Połączenie rozmaitych specyalności wpływa pomyślnie na rozwój ogólno-technicznego wykształcenia, rozszerzając jego horyzont. Pod względem ekonomicznym politechniki są znacznie tańsze." Na téjże naradzie p. Kowalewski zaznaczył, że „w Kijowie politechnika z czterema oddziałami będzie kosztowała 300,000 rs. rocznie, czyli każdy wydział po 75,000 rs., a tymczasem etat oddzielnéj szkoły specyalnéj wynosi 120 do 150 tysięcy." Równocześnie inna komisya w Petersburgu, pod przewodnictwem p. ministra oświaty obraduje nad rozszerzeniem instytutów technologicznych w Petersburgu i Charkowie i szkoły technicznéj w Moskwie. Sprawa jest w pełnym biegu i należy się spodziéwać rozwoju wyższego wykształce-

nia technicznego w państwie, a u nas otwarcia choćby zawiązku tak upragnionéj wyższéj szkoły technicznéj.

Wracając jeszcze do poglądów komisyi z r. 1882 na programy gimnazyalne, wspomnimy, że technicy niemieccy i austryaccy już od szeregu lat domagają się reorganizacyi gimnazyów i szkół realnych w tym kierunku: aby wspólna szkoła średnia, taka mniéj więcéj, jaka istniała u nas po r. 1862, przygotowywała zarówno do uniwersytetów, jak i do wyższych szkół technicznych, aby kończący taką szkołę miał swobodę wyboru dalszych studyów i aby kandydaci na techników wyższych byli zupełnie jednakowo kształceni z kandydatami na lekarzy, prawników i t. d. Pogląd ten wyraził równocześnie pierwszy zjazd techników polskich, odbyty w Krakowie w r. 1882, uznając „konieczną potrzebę reformy szkół średnich w tym kierunku, aby zamiast obecnie istniejących szkół gimnazyalnych i realnych, wspólna szkoła średnia jako przygotowawcza do studyów uniwersyteckich i technicznych zaprowadzoną została.” Że, oprócz téj, nasze szkoły średnie potrzebują wielu innych reform, nie podlega wątpliwości; roztrząsanie jednak téj kwestyi zaprowadziłoby nas za daleko...

Feliks Kucharzewski.



Z BRZEGÓW.

Jałowcu ciemny krzak z urwiska się pochyla,
Gałęzie smętne swe nad modre zgina fale,
Nad lazurowe mgły, wznoszące się nad morze,
Co w niezmierzoną dal otwiera się wspaniale!

Ku Tobie moja myśl i sucha i cierniowa,
Tęskni i ciągnie się, Wieczności lazurowa!
Do Was, Niebieskie Mgły, sycone słońca złotem,
Lecą pragnienia me, krogulców czarnych lotem!

Wśród turkusowych wód, jak wielki cień motyla,
W dali skrzydlata łódź nad falą się pochyla.
Z wierzchów słonecznych wzgórz świetlane i majowe
Zbiegają gaje w dół, na brzegów piaski płowe.

Czyliż tam z serca wód, z téj turkusowéj toni,
Zaklęty jaki kraj wśród mgieł się nie wyłoni?
Cudowny, boski świat, gdzie przez świetlane szlaki
Podążą duchy tak, jak śnieżno-białe ptaki!

Huragan poszedł w dal, a z głębi ciemnéj wody,
Jak świetny jaki bóg wychodzi księżyc młody;
Dzikim geniuszom burz ofiara wyrzucona,
Tysiące srebrnych ryb na mokrym piasku kona.

A tam ulata wgłąb' skraj poszarpanéj chmury,
A w niéj liliowy grom rozjaśnia strop ponury,
I śpieszy daléj w świat niszcząca i straszliwa,
Wezbranych Pani mórz,—Śmierć wiecznie łupów chciwa!

Ciche błękity fal z miesiąca złotą drogą
Wabią mą duszę w dal, wywabić jéj nie mogą!
Cyprysów czarnych rząd i gwiazdy ponad niemi
Tak wielką, smutną pieśń drzemiącéj nucą ziemi!

Och, czemuż Istność ma, jak wątła koncha lśniąca
Wśród tajemniczych fal Wieczności się roztrąca!
Czemu, choć patrzę dziś w miesiąca złotą drogę,
Po szczeblach złotych dróg w krąg światła wejść nie mogę!

Pod kępą białych brzóz nad brzegiem leżę morza
I szlę mój wzrok daleko — ach, daleko!
Za szafirową toń, za mgły liliowe w dali,
I ciche zwolna łzy po licu mojém cieką.

Och, bo przeminie czas i z ziemskiéj méj istoty
Zostanie prochu garść o Przeszłem już nie śniąca.
— I dłużéj nieco żyć jest dano białym brzozom,
I dłużéj nieco chwiać się będzie woda lśniąca!

St. Louis, w Stan. Zjedn.

J. K.



JAN KOCHANOWSKI

w świetle ostatnich wyników krytyki historycznéj,

„Jan Kochanowski, jego ród, żywot i dzieła." Przez Romana Plenkiewicza. Warszawa, 1897 roku. — Jana Kochanowskiego „Dzieła wszystkie". Wydanie pomnikowe. Tom czwarty.

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

W Sycynie (1530 — 1544).

Wieś Sycyna. — Urodziny poety. — I. Piotr i Anna z Białaczowskich Kochanowscy. — II. Rodzina poety. — Żyłka literacka „jakoby dziedziczna" wśród Kochanowskich. — Kraj lat dziecinnych. — Pierwsze wrażenia. — Wpływ rodziny. — Atmosfera domowa. — Kierunek wychowania. — Uczucia katolickie matki.—Echa reformy.—Pierwsze nauki.—Pierwszy nauczyciel.—Wyjazd do Krakowa.

Na lewém wybrzeżu Wisły, niedaleko od owego zagłębienia, jakie dolina jéj tworzy pomiędzy Kazimierzem a Gołębiem, wśród malowniczych wzgórz, które, poczynając od Puławskiéj Góry, podnoszą się coraz wyżéj, aż w końcu przeobrażają się w faliste płaskowzgórze, w ostępie leśnym, ciągnącym się wzdłuż rzeki Sycynki, nad olbrzymim stawem, zasilanym wodami tej rzeczki, a zwanym Przerwiny, rozłożyła się wieś Sycyna, składająca się — już w XVI wieku — z dwu-

dziestu kilku „dymów” włościańskich, rozrzuconych po obu brzegach strumienia, wieś, w której po prawéj stronie stawu, „poza cegielnią”, stał „stary” dwór szlachecki, z ogrodem i lamusem, a podobnie, jak soplicowski dwór w *Panu Tadeuszu*, „z drzewa, lecz podmurowany”.

We dworze tym, obszernym, jak przystało na dom zamożnego ziemianina, w roku 1530-ym, z ojca Piotra Kochanowskiego, sędziego ziemi sandomierskiéj, i matki Anny z Białaczowskich herbu Odrowąż, urodziło się dziecię, któremu na chrzcie św. dano imię Jan, a z którego przyjściem na świat „nad dziedziczną Sycyną wschodzilo słońce narodowéj poezyi, by po wszystkie wieki najdalszym pokoleniom przyświecać.”

I.

Gdy się chce mówić o Piotrze Kochanowskim, jako ojcu przyszłego twórcy *Odprawy posłów greckich*, mimowoli przypomina się wiersz tego ostatniego, wypowiadający tę wielką prawdę życiową, że „wszystko się dziwnie plecie na tym tu biednym świecie”. Bo czyż nie dziwnym przypadkiem jest fakt, że właśnie ten Piotr Kochanowski, któremu było sądzone zostać ojcem pierwszego wielkiego poety polskiego, był niesłychanie prozaicznym, jako człowiek?... Bardzo praktyczny i pozytywny z natury, nietylko pracował na roli (przyczém bliskość Kazimierza, głównego portu na Wiśle, ogromnie mu ułatwiała zbyt wszelkich produktów), ale nadto, zachęcony posiadaniem rozległych lasów dębowych sycyńskich i czarnoleskich, dających nieprzebraną moc żołędzi, uprawiał na wielką skalę... hodowlę nierogacizny. Trudno o prozaiczniejsze źródło dochodów! Wprawdzie i on mógł powiedzieć, jak Cervantes w *Don Kiszocie*, że nie jego wina, iż świnie nazywają się tak brzydko, ale zaprzeczyć się nie da, że wolałoby się, ażeby w Sycynie, w pobliżu kolébki autora *Sobótki*, rozlegały się bardziéj poetyczne dźwięki, aniżeli kwiczenie prosiąt i różowych warchlaków, pomieszane z basowém mruczeniem tucznych macior i wieprzów. Jakoż niełatwo pogodzić się z myślą, iż w Sycynie, gdzie Janowi Kochanowskiemu upłynęło jego „dzieciństwo sielskie, anielskie”, chléwy odgrywały tak ważną rolę; lecz niepodobna przeczyć historyi. Cóż robić, kiedy fakt pozostanie faktem, że Piotr Kochanowski, obok gospodarstwa, uprawiał jeszcze i handel nierogacizną. Nie uważał nawet, żeby mu to uwłaczało w jego godności szlacheckiéj. Na hodowlę tę, którą uznawał za równie dobrą, jak hodowlę innych zwierząt domowych, zapatrywał się wyłącznie z punktu widzenia dochodów, jakie przyno-

siła, a dochody przynosiła mu bardzo znaczne. Mimo to nie zadawalniał się niemi. Żądny ciągłego pomnażania zysków—która to namiętność rosła w nim z biegiem lat — nie cofał się i przed niewdzięczną rolą usłużnego sąsiada, który innym chętnie udzielał mniejszych lub większych pożyczek, a który, co gorsza, niezawsze w takich razach, gdy chodziło o odbiór pożyczonéj sumy, powodował się względami delikatności. Pod tym wżględem często nie miewał żadnych skrupułów, tak dalece, że „jako zastawnik budził w dłużnikach poważne obawy". Gdy chodzi o przykłady, stwierdzające powyższe zdanie, stoi się wobec prawdziwego *embaras de richesse*. I tak np. St. Siedlecki, nie mogąc się uiścić w oznaczonym terminie, musiał w końcu, chcąc nie chcąc, oddać mu „na wieczne czasy" wszystkie dobra we wsi Chechły, od Stan. Cierskiego nabyte. Inny dłużnik jego—a jest ich bardzo wielu—Floryan Krajowski, nie mogąc zebrać na termin wymaganéj sumy, „wolał w niéj oddać Krajów zastawem biskupowi chełmskiemu, niż jako zastawnika wpuszczać Piotra do niego." Jako wierzyciel bowiem, a zwłaszcza jako zastawnik (t. j. jako pożyczający na zastawę) był p. Piotr równie skrupulatny, jak niemiłosierny. Wielu przekonało się o tém niejednokrotnie, a między innemi i Anna z Sienna, wdowa po Stan. Kazanowskim, która, przyciśniona potrzebą, zaciągnęła podwójny dług u swego sąsiada z Sycyny, o tém zaś, jaki był przebieg téj sprawy, tak pisze uczony biograf poety, prof. Plenkiewicz: „Kochanowski i tym razem pożycza, ale już pod zakładem, żądając sto za sto w razie uchybienia na termin. Jak zaś go pilnował, widzimy z protestu, wniesionego przezeń w sam dzień ś. Szczepana, a zatém w drugie święto Bożego Narodzenia! Rozumie się, że Anna nie przybyła z pieniędzmi i dług jéj urósł w dwójnasób. Słowem, zakład była to lichwa, w formę prawną ujęta." Wogóle, jeżeli chodzi o Piotra Kochanowskiego, to nie można powiedzieć o nim, żeby był czułym w stosunku do swoich dłużników; przeciwnie, odznaczał się pewną zaciekłością nawet, gdy chodziło o ściągnięcie swéj należytości. Takie postępowanie, oczywiście, wywołało nieuniknioną reakcyę ze strony przeciwnéj, a że p. Piotr niezawsze na téj reakcyi wychodził korzystnie, za tém przemawia jego spór z właścicielką Woli Sycyńskiéj, Katarzyną Nieczujską, która, pozwana przezeń, nietylko nie stawiła się w sądzie, ale gdy Kochanowski zyskał wyrok zaoczny, skazujący ją na zapłacenie jeszcze 1,004 grzywien, ona zacięła się także, a zacięła się tém słuszniéj, że suma powyższa, wymagana przez powoda, „na posiadaczkę cząstkowéj własności była tak wielka, że przewyższała jéj wartość." „Ale Kochanowski, powiada prof. Plenkiewicz, chciał Nieczujską puścić z torbami i, mając wyrok w kieszeni, sądził, że na swojém

postawi. Tymczasem bez względu na obecność woźnego i dwóch ze szlachty, towarzyszących wykonaniu wyroku, Nieczujska stawiła opór, a co gorsza, syn jéj, Feliks, napadł na dwór Kochanowskiego i zadał ranę jednemu z jego służebnych...“ Kto tak postępował ze swymi sąsiady, ten nie mógł się cieszyć ich szczególną sympatyą, bo nietylko, że nie wzbudza sympatyi człowiek, który, jak on, „gromadził tylko pieniądze w celu nowego nabytku“, lecz, jako zastawnik, „wyciągał strunę do niemożliwych granic“, stawiając tak uciążliwe warunki swym dłużnikom, że ich nieraz swemi z a k ł a d a m i doprowadzał do majątkowéj ruiny. To też „gdyby dziś na takiém, jak Piotr, stanowisku brał kto odsetki równe udzielanym pożyczkom, domagał się, nie straciwszy sam złamanego szeląga, tak wysokich, jak od Nieczujskiéj, nawiązek, udzielał wreszcie pożyczek n a z a s t a w, z powziętym z góry zamiarem wyzucia z majątku po kilku naraz dziedziców, można być pewnym, że przeciw sobie powszechneby oburzenie wywołał.“ Na szczęście dla ojca poety, nadmienić i podkréślić należy, że takich, jak on, był legion, że prawie wszyscy postępowali tak samo, gdyż „prawo, w zasadzie uznając z a k ł a d y i z a s t a w y, jako rękojmię przyjętych zobowiązań, tém samém lichwę osłaniało swą powagą.“ To jedna okoliczność łagodząca. Drugą, którą Piotr Kochanowski mógł przytoczyć na swoje usprawiedliwienie, była ojcowska myśl o żonie i dzieciach: w razie, gdyby go dręczyły jakie skrupuły, mógł siebie tłómaczyć tém, że jako głowa licznéj rodziny winien pamiętać o jéj przyszłości, jak przystało na kochającego ojca. Że zaś był kochającym ojcem, tego dał liczne dowody... Co pewna, to, że był bardzo ambitny, że jeśli dbał o powiększenie majątku, to zwykłym groszorobem nie był. „Prócz naturalnego zresztą przywiązania do rodziny, drugim dziedzicznym rysem jego charakteru jest żądza wyniesienia swego rodu nad zwykły poziom szlachecki. Obok niéj występuje próżność, znajdująca zadowolenie w kolejném używaniu tytułów własności nabytych przez się majątków...“ Już to wogóle o tytuły dbał bardzo, a choć mu taki tytuł np., jak *Peter Cochanowski in Conary haeres*, widocznie schlebiał, to jednak zależało mu i na innych, mianowicie honorowych. Dlatego nie cofał się przed służbą publiczną, a że należał do najmajętniejszych w okolicy, więc zarówno w grodzie, jak w ziemstwie, piastował różne urzędy, które mu oprócz dochodów jeszcze dawały pozycyę społeczną. Zacząwszy od tego, że został komornikiem granicznym, po niejakim czasie awansował na sędziego grodzkiego radomskiego, aż skończył na zaszczytnym tytule sędziego generalnego ziemi sandomierskiéj.

Z nierównie szlachetniejszéj gliny była ulepiona jego druga

żona [1]), Anna, w któréj żyłach płynęła rycerska krew Odrowążów. Nie była to kobiéta pospolita; a 40-letni Piotr Kochanowski, żeniąc się z nią w r. 1525, w którym sobie liczyła lat 18 dopiéro, nietylko wchodził w zaszczytne koligacye ze znakomitszemi domami w Polsce, ale brał istotę, która się miała stać dobrym geniuszem jego domu. Ci, którym była znana osobiście, nazywali ją *spectatae pudicitiae priscique moris*, co się pozwala domyślać, że musiała być dobrą, łagodną, pobożną i surowych obyczajów, taką jednėm słowėm, jaką powinna być białogłowa z rodu Odrowążów. Z tego bowiem, że jako Białaczowska, pochodziła z rodu Odrowążów, była i mogła być dumną. Zawsze pamiętała o tém, że Odrowążanką była św. Bronisława zwierzyniecka, która, jako Norbertranka w klasztorze pod Krakowem, na wieczne czasy zapisała się w pamięci okolicznego ludu, a jeżeli sąsiednia góra, porastająca krzewami róż, zowie się górą Św. Bronisławy, to dlatego, że owe róże, jak głosi miejscowe podanie, wyrosły z jéj różańcowych paciorków rozsutych podczas modlitwy. Nie zapomniała téż, iż Iwo Odrowąż był kanclerzem Leszka Białego, a jako biskup krakowski, którym został po śmierci Wincentego Kadłubka, fundował liczne klasztory i kościoły, w téj liczbie i krakowski kościół P. Maryi. Pierwsi Dominikanie polscy, św. Jacek i św. Czesław, tak slynni z cudów, które czynili pomiędzy ludem, także byli z rodu Odrowążów. A ów błogosławiony Prandota z Białaczowa, biskup krakowski, co to wyjednawszy kanonizacyę św. Stanisława, ciało jego, w srebrnéj trumnie złożone, na Wawel ściągnął, wszak i on był Białaczowskim, a więc Odrowążem! A nietylko błogosławionych i świętych wydał ten znakomity ród. Gdy chodziło o powołanie się na swych przodków, mogła pani sędzina, niedługo szukając w pamięci, wymienić cały poczet kasztelanów i marszałków nadwornych, oraz takich, co piastowali pierwsze godności

[1]) Pierwszą żoną Piotra była szlachetna Zofia, córka Jana Zasady, a wdowa po Mikołaju Kroguleckim. Ona to wniosła Piotrowi część Sycyny, należącą do pierwszego jéj męża. Ożenił się z nią w r. 1522 i miał córkę Druzyannę, którą w r. 1537 wydał za Walentego z Tynicy. Zofia umarła po niespełna trzechletniém pożyciu z Piotrem, który wkrótce po jéj śmierci, bo już w r. 1525 ożenił się powtórnie. Oto, co o tém jego pierwszém małżeństwie pisze prof. Plenkiewicz: „Nawzajem Piotr Kochanowski, aktem w tymże terminie spisanym, zabezpieczył jéj na Czarnolesiu 100 grzywien posagu i tyleż przywianku, z zastrzeżeniem, które pod pewnym względem jego charakter maluje. Gdy bowiem Zofia przypadłe na nią części w Sycynie oddaje mu w bezwarunkowe posiadanie, on tymczasem, przyznając jéj dożywotnią używalność z Czarnolasu, stawia warunek, że w razie jéj śmierci majątek przez nią wniesiony przejdzie na niego i na jego potomstwo.“

w kraju: Mikołaj, kasztelan sandomierski, był podskarbim koronnym, Krzysztof zaś, najprzód wojewoda, następnie „Pan Krakowski" od roku 1515, dzierżył pieczęć większą, przyczém ogromny wpływ wywierał na Zygmunta Starego. Nie brakło téż i Odrowążów arcybiskupów... Cóż dziwnego więc, że Anna Białaczowska, pochodząc z tak świetnego rodu, odziedziczyła niepospolite przymioty umysłu i serca, że wysoko wybiegała nad poziom zwykłéj ówczesnéj szlachcianki. Jakoż tak było istotnie, a nie ulega wątpliwości, iż w jéj usposobieniu było wiele poetycznego, że i Kochanowski, jak Słowacki, mógł powiedzieć do swojéj matki: „Jeżeli miałem jaką poezyę w duszy, to ją od ciebie wziąłem..." Ten pierwiastek uczuciowy, który tak silnie zaprawia poezyę i charakter Jana z Czarnolasu, najprawdopodobniéj miał swoje źródło w duszy sędziny. Co pewna, to, że po za głęboką pobożnością, która ją cechowała przez całe życie, i po za tém, coby w niéj Goethe nazwał *eine schöne Seele*, inteligencya i dowcip także należały do jéj cech charakterystycznych. Obdarzona umysłem żywym i bystrym, a bardzo wrażliwa z natury, była znana ze swego wrodzonego dowcipu. Dość powiedzieć, że Łukasz Górnicki, pisząc swojego *Dworzanina polskiego*, gdy mu przyszło podać kilka przykładów dowcipu, przytacza jedno z trefnych słówek sędziny. Wogóle „pani Kochanowska" słynęła z tego, że nietylko była „stateczna pani", ale i „bardzo trefna". Dowcip, który tryska z *Fraszek* Kochanowskiego, był spuścizną, odziedziczoną po matce.

II.

Na nagrobku, który Jan Kochanowski położył swoim rodzicom, Piotr i Anna Kochanowscy są nazwani „najczulszymi rodzicami". Dowodzi to, że musieli być szczęśliwi w pożyciu z sobą, że Bóg błogosławił temu związkowi. Że błogosławił, tego między innemi dowodził także fakt, że pan sędzia sandomierski był „najczulszym" ojcem aż jedenaściorga dzieci, siedmiu synów: Kacpra, Jana, Piotra, Mikołaja, Andrzeja, Jakóba i Stanisława, oraz czterech córek: Katarzyny, Elżbiety, Anny i Jadwigi. Trudno o wymowniejszy dowód błogosławieństwa boskiego!

Co ciekawsze, to, że w téj licznéj rodzinie, nieśmiertelnéj przez to, że do niéj należał tłómacz Psalmów Dawida, nietylko on jeden zaciągnął się w szeregi sług Apollina i Muz. Należy podkréślić ten fakt, bo jeśli chodzi o wykrycie źródła talentu autora *Trenów*, to okazuje się, że z tego źródła czerpali także i dwaj bracia poety, Miko-

łaj i Andrzéj. Że tém źródłem była ich matka, to prawie nie ulega zaprzeczeniu. Jakkolwiekbądź, Mikołaj Kochanowski, który za młodu kształcił się na uniwersytecie lipskim, także bawił się piórem, poezye zaś, które zostawił po sobie, wydane przez jego żonę p. t. *Rotuły*, są nader cenną pamiątką po nim, bo malują człowieka o sercu czystém i prawém, rozmiłowanego w starożytnych pisarzach, z których przetłómaczył całego Plutarcha. Nadto, zostawił po sobie *Napisy pod obrazy konterfektu żywota ludzkiego*, tudzież „ksiąg pełną komorę“, co tém wymowniéj świadczy o jego żyłce literackiéj... Literatem także, i to wcale nie poślednim, był młodszy brat Mikołaja, Andrzéj Kochanowski. I on poszedł w ślady swych starszych braci. Ożeniony z Zofią Sobieską, choć miał niemało zajęcia, gospodarując w Baryczy, jednak wszystkie wolne chwile, ukradzione pracy około roli, poświęcał, poezyi. W r. 1590 wyszedł jego całkowity przekład *Eneidy*, z listu zaś, pisanego w r. 1593 do Zamoyskiego, okazuje się, że zamierzał tłómaczyć i Liviusza. Ale nie koniec na tém. Usposobienie literackie, wyssane z mlékiem matki, nie wygaśnie jeszcze i w trzeciém pokoleniu. Wszak Urszulka Kochanowska, gdyby nie była umarła, stałaby się, zdaniem ojca, „Safoną słowiańską“, bo skoro, dzieckiem będąc mówiła wierszami, to z pewnością, dorósłszy i dojrzawszy umysłowo, pisywałaby poezye. Ale cokolwiekby się stało, pewném jest, że syn Mikołaja Kochanowskiego, autora *Rotuł*, Piotr Kochanowski, zasłynął jako genialny tłómacz *Jerozolimy wyzwolonéj* Tassa, a syn Kacpra Kochanowskiego, najstarszego z braci Jana, wydając *Proporzec* swego stryja, poprzedził go wierszowaną przedmową, któréj sam był autorem. Podobnież i o synu Andrzeja Kochanowskiego, tłómaczu *Eneidy*, powiadano, że był „uchowany w Helikonie z Muzami“. Jako taki, odznaczył się w bohaterskiéj bitwie pod Chocimem, a Samuel Twardowski, opiewając jego męstwo, tak pisze o nim:

...Dotąd się Phebową
Bawił lutnią, Korwinom zacnym swym nie nową
Y j a k o b y d z i e d z i c z n ą. Teraz na pogany
Do ostrego pałasza kształtnie przypasany,
Od katedry do bębnów, o d p i ó r a do piki,
Między stawa drugimi obok wojowniki...

Tyle poetyckich usposobień i talentów w jednéj rodzinie, to nie prosty chyba przypadek, powiada światły biograf autora *Sobótki*. „Wprawdzie nikt z Odrowążów nie zespolił swego imienia z literaturą ojczystą, ale za to w samych jego dziejach znajdujemy wiele poetycznego żywiołu. A jeżeli już historya niejedną postać, należącą do tego rodu, przyodziała w szatę poezyi, to o ileż poetyczniéj przedstawiały

się one w wyobraźni idących z niego niewiast, podtrzymujących życie w przekazanych im tradycyach, których wątek bezwątpienia o wiele był bogatszy, niż go piśmienne zachowały pomniki. Przy ograniczonych wiadomościach, jakie niewiastom ówczesne wychowanie dawało, podania owe rodzinne wraz z prawdami wiary, stanowiły niemal całą treść duchowego ich życia. Taki zaś podkład psychiczny musiał odpowiednio oddziaływać na kierunek uczuć i myśli, które utrwalając się i potęgując przez całe szeregi pokoleń, wytworzyły w końcu jakby duchową dziedziczność, która przez Annę przeniesiona na szczep Kochanowskich, wydała tyle poetyckich uzdolnień. Im wrażliwsze, podniośléjsze były umysły, tém silniéj oddziaływały na nie poetyczne tradycye. Że do takich należała sędzina, to własny jéj syn złożył o tém w *Trenach* świadectwo."

Tymczasem płynęły lata, a poeta — podobnie jak Mickiewicz w Zaosiu — pierwsze wrażenia swoje, które tak wielki wpływ wywierają na usposobienie człowieka, czerpał z natury wiejskiéj, sielskiéj. Tym „krajem lat dziecinnych", który tak rzewnie przez całe życie wspominał inny poeta, była dla niego Sycyna, jedna z tych polskich „wsi spokojnych, wsi wesołych", których urok późniéj z takiém umiłowaniem opisywał w *Sobótce*:

Dzień tu: ale iasne zorze
Zapadłyby znowu w morze,
Niżli mój głos wyrzekł wszytki
Wieśne wczasy y pożytki.

Ażeby powziąć wyobrażenie o tém, w jakiém Tainowskiém *milieu* wzrastał przyszły autor *Sobótki*, wystarcza przeczytać jéj pieśń ostatnią, w któréj poeta opisuje błogości życia na wsi:

Oracz pługiem zarznie w ziemię:
Ztąd y siebie, y swe plemię,
Ztąd roczną czeladź, y wszytek
Opatruje swóy dobytek.
Iemu sady obradzają,
Iemu pszczoły miód dawają;
Nań przychodzi z owiec wełna
Y zagroda jagniąt pełna.
On łąki, on pola kosi,
A do gumna wszytko nosi:
Skoro téż siew odprawiemy,
Komin wkoło obsiędziemy,
Tam już pieśni rozmaite,
Tam będą gadki pokryte,
Tam trefne pląsy z ukłony,
Tam cenar, tam y goniony.

A gospodarz wziąwszy siadkę,
Idzie mrokiem na usadkę:
Albo sidła stawia w lesie,
Jednak zawżdy co przyniesie.
W rzece ma gęste więcierze,
Czasem wędą ryby bierze:
A rozliczni ptacy w koło
Ozywają sye wesoło.
Stada igrają przy wodzie,
A sam pasterz, siedząc w chłodzie.
Gra w piszczałkę proste pieśni,
A Faunowie skaczą leśni.
Za tym sprzętna gospodyni
O wieczerzy pilność czyni...
Ona sama bydło liczy,
Kiedy z pola idąc ryczy,
Ona y spuszczać pomoże,
Męża wzmaga iako może.
A niedorośli wnukowie,
Chyląc sye ku starszey głowie
Wykną przestawać na małe,
Wstyd y cnotę chować w cale.

Tą samą poezyą sielskości, którą tchnie ten wierszyk, oddychał i Kochanowski, kiedy podrastał w Sycynie, a jest wielkie prawdopodobieństwo, że niejedno wrażenie, wyniesione z téj wsi rodzinnéj, odbiło się w tym epilogu *Sobótki*. Bo kiedy się czyta o tych gęstych więcierzach w rzece, to mimowoli staje na myśli Sycynka, przepływająca nieopodal dworu sędziego, tak samo, jak czytając o owych stadach igrających przy wodzie, mimowoli widzi się wielki staw, w którego lśniącéj tafli przeglądało się całe gospodarstwo rodziców poety. Podobnież można być pewnym, iż takich pieśni rozmaitych i gadek, śpiewanych i opowiadanych przy kominie, przy którym i tańczono nieraz, poeta niemało nasłuchał się w dzieciństwie, w Sycynie, gdzie również widywał matkę swoją, jak na podobieństwo owéj „sprzętnéj gospodyni“ liczyła bydło powracające z pola, a potém „pilność czyniła“ około wieczerzy. Na wszystko to Kochanowski patrzał oczyma dziecka i pacholęcia; wszystko to, począwszy od owych „obradzających“ sadów i pasiek „miód dających“, a skończywszy na owych „prostych pieśniach“, które przy wtórze „rozlicznych ptaków“ pastuszkowie grali na fujarkach, sączyło w duszę przyszłego autora *Sobótki* tę poezyę pól i lasów, która choćby dlatego tylko jest poezyą prawdziwą, rzetelną, że jest poezyą natury. Lasy, otaczające Sycynę, „tworzyły nader zacieśniony widnokrąg, w którym myśl, nie znajdując szerszych przestworów, równie jak oko, nie mogła się rozstrzelać: skupiona,

nawykała raczéj do refleksyi, niż bezcelowego bujania. Wrażenia téż jakich tu w dzieciństwie przyszły poeta doznawał, nastrajały jego duszę do odczuwania całéj błogości sielskiego życia, płynącego spokojnym nurtem wśród rodzeństwa i dostatków ojcowskich, i utrzymują, w harmonii rozwijające się władze jego umysłu, wytwarzały w nim ów nastrój psychiczny, który w późniejszém życiu pozwalał mu zakłócające wewnętrzną harmonię namiętności do równowagi sprowadzać.“

Niemniejszy wpływ, aniżeli wieś i natura, wywierało nań najbliższe otoczenie, w którém się chował od dziecka, tudzież atmosfera domowa, którą oddychał do 14 roku życia. Przedewszystkiém ulegał wpływowi obojga rodziców, których, że kochał, tego dał dowód, nazywając ich „najczulszymi rodzicami“. Na zapytanie, czyjemu wpływowi ulegał bardziéj, matki czy ojca, zdaje się, że jest tylko jedna odpowiedź, mianowicie, że głównie urabiał się pod psychicznym wpływem matki. Ojciec, zajęty sprawami urzędu, oddany interesom i gospodarstwu, rozrzuconemu w różnych miejscowościach (bo oprócz Sycyny, był właścicielem Czarnolasu, Woli Sycyńskiéj, Konar i Baryczy, na któréj „ryb nie zliczy“), mało mógł się zajmować dziećmi, a tém samém i nie oddziaływał na nich. Co najwyżéj mógł w nie przelać dziedzicznie część swojéj energii życiowéj, która u niego skierowana do czysto materyalnych zabiegów, u Jana stanie się podnietą do zdobycia rozległéj wiedzy, a następnie przekazać im swoje usposobienie, będące kontrastem rycerskiego ducha i fantazyi. „Jest on w całém znaczeniu ziemianinem, który od czasu do czasu odrywa się od zajęć rolniczych i za stołem sędziowskim zasiada, ale który przedewszystkiém miłuje pokój, wygody, jak je pojmowano ówcześnie, i bynajmniéj nie pragnie własnéj krwi, ani cudzéj, przelewu. To usposobienie odziedziczają po nim synowie, a przedewszystkiém poeta.“ Ale jeżeli wpływ ojca da się ograniczyć do tak ciasnego zakresu, to wpływ matki, wychowującéj swe dzieci *in severissima disciplina*, był prawie niepodzielny, wyłączny, a znaczny. Ona uczyła je prawd wiary, ona wpajała w nie zasady cnoty, ona wreszcie, zasilając ich dusze skarbami własnego ducha, karmiła je tradycyami własnego rodu, czém najwięcéj może—zdaniem uczonego biografa poety — wpływała na rozbudzenie poetyckich uzdolnień Jana. Ona téż, wpływając na rozwój jego uczuć i wyobraźni, ukrzepiała w nim tego ducha katolickiego, który cechował cały ród Odrowążów, a który i pod dachem dworu sycyńskiego gorzał bardzo silnym płomieniem [1]).

[1]) Bo oboje państwo Kochanowscy odznaczają się pobożnością w duchu katolickim. Nawet sędzia! Gdy Andrzéj Białaczowski, brat sędziny, pragnie stawić

Nie znaczy to, ażeby pod dach tego katolickiego domu nie przedostawały się echa reformy, którą w tym czasie wrzało tyle umysłów w Polsce. Jak tyle innych dworów, podobnie i dwór w Sycynie, zwłaszcza przy liczniejszym zjeździe sąsiadów, niejednokrotnie rozbrzmiewał religijnemi sporami, czyli, że i przyszły autor fraszki *Do Ojca Świętego* niejednokrotnie przysłuchiwał się tym rozmowom. Że to nań nie pozostało bez wpływu, za tém przemawia jego dalsze życie...

Tymczasem rozpoczął pierwsze nauki, człowiekiem zaś, który, choć sam nie posiadał uniwersyteckiego wykształcenia, największą wagę przywiązywał do edukacyi synów, szczególniéj Jana, przeznaczonego do stanu duchownego, był sędzia. Ostatecznie nie było tajném dla niego, że tylko człowiek „uczony" może się wybić na znaczniejsze stanowisko: wiedział, że zarówno dwór, jak i kancelarya królewska, roiły się od humanistów, którzy stąd posuwając się na wyższe godności i urzędy, w końcu niejednokrotnie zasiadali biskupie stolice. A co im ułatwiało robienie tak świetnéj karyery? Przedewszystkiém to, że byli „ludźmi nauk włoskich". Przeświadczony o tém, nie żałował sędzia, gdy chodziło o wykształcenie synów. Jakoż wszyscy otrzymali wychowanie, jak na swój czas, bardzo staranne. Szczególniéj Jan. Kto mu udzielał pierwszych początków czytania i pisania? Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że tym pierwszym nauczycielem — zawsze najlepszym — była jego matka. Wprawdzie było zwyczajem w owym czasie, że mężowie i ojcowie przestrzegali zasady, „aby białe głowy pisma syę nie uczyły y xiąg żadnych co się tyczy biegłości a wyćwiczenia ro-

---

kościół w Policznie, Piotr zaznacza swą obecność przy akcie erekcyjnym, co wprawdzie przemawiało na korzyść jego uczuć katolickich, ale nie bardzo świadczyło o jego szczodrobliwości: bo mogąc do téj budowy dołożyć się jaką ofiarą ze swéj strony, nie uczynił tego: „To już nie tkwi w jego naturze". Ale na katolickie i religijne wychowanie, gdy chodziło o dzieci, zwłaszcza o Jana, kładł nacisk niemały, i pod tym względem bynajmniéj nie hamował swéj żony. „Wszakże i bez tego katolickie przekonania obojga występują w sposób niedwuznaczny w przeznaczeniu naszego Jana do duchownego zawodu. Oboje zapewne pragnęli widzieć go na najpierwszych godnościach kościelnych, choćby na stanowisku biskupa krakowskiego, i w tym celu niezawodnie do wyższych sposobili go nauk; tylko każde z nich prawdopodobnie innemi kierowało się pobudkami. Dla ojca przyszły ten zawód był środkiem do wyniesienia rodu; dla matki — urzeczywistnieniem gorących pragnień, by w synu dała krajowi drugiego Jana Prandotę; bo że ta postać błogosławionego biskupa wciąż się Białaczowskim marzy, to widzimy nietylko z nadania jego imienia poecie, ale i w téj, napozór drobnéj okoliczności, że Andrzéj, budując kościół w Policznie, poświęca go czci św. Stanisława, którego kanonizacya nastąpiła głównie za staraniem Prandoty."

zumu nie czytały", ale pani sędzina, jako Odrowążówna, z pewnością należała do „pań littery znających", a jako słynąca ze swego „ostrego dowcipu", pewno, jako panna, była—za przykładem innych Odrowążówien — na wychowaniu w którymkolwiek z klasztorów. W każdym razie, jeżeli tą, która nauczyła czytać i pisać przyszłego tłómacza Psalmów Dawidowych, była matka poety, to książką, na któréj go czytać uczyła, mógł być tylko — obok *Żywota Pana Jezu Krista* Baltazara Opecia — którykolwiek z *Psalterzów*, bądź Wietora, bądź Walentego Wróbla, których wydanie przypada właśnie na lata pacholęce Kochanowskiego. „Jeżeli zaś już teraz do duszy jego przemawiały te obrazy wielkości, potęgi i dobroci Boga, skréślone natchnionêm piórem króla proroka, to jakże to rozjaśniałoby nam genezę jego działalności, jako tłómacza *Psałterza*!"

Ale nauki początkowe, których mu mogła udzielać sędzina, były tylko wstępem do dalszéj edukacyi chłopca, a jeśli go nie chciano posyłać do któréjkolwiek ze szkółek okolicznych, do Sieciechowskiéj naprzykład, to należało powierzyć go p r e c e p t o r o w i domowemu, którym zwykle bywał bakałarz nauk wyzwolonych uniwersytetu Jagiellońskiego, jeden z tych, co, nie mogąc na dalszéj nauce pozostawać w Krakowie i dobijać się stopni magistrów, „szli na guwernerkę do szlachty biedniejszéj, albo obejmowali posady kierowników szkółek katedralnych, parafialnych i innych pomniejszych." Zapas wiedzy, którą posiadał taki bakałarz, nie był imponujący, choć wystarczał w zupełności, ażeby chłopcu dać średnie wykształcenie. „Pisał dwie głowie po łacinie, a dwie po polsku: *sanctus* święty, *maledictus* przeklęty..." Następnie zadawał dzieciom wierszyki, które na język ojczysty tłómaczył: *Ama Deum super omnia, Homo sine litteris speculum impolitum...* Późniéj, w miarę zdobywania coraz większéj słów obfitości, zadawano takich wierszy od 12—20, a naukę ich ułatwiały *Distichia moralia* Katona, świéżo w r. 1535 w Krakowie u Wietora wydane i zaopatrzone polskim i niemieckim przekładem; słowem, przechodzono, jak mówi Gliczner w swéj *Książce o wychowaniu dzieci*, „do zupełnie dobréj łaciny, t. j. do tłómaczeń łatwiejszych rzymskich pisarzów, dopóki nie przyszedł czas na celniejszych prozaików i poetów". W podobny sposób kształciła się większość synów szlacheckich. Jeżeli trafném jest przypuszczenie prof. Plenkiewicza, że takim *preceptorem*, pod którego kierunkiem kształcił się — wraz ze starszym swym bratem Kacprem — Jan Kochanowski, był Jan Czarnolas, z łacińska zwany *Silvius*, który w r. 1539 ukończywszy w Krakowie wydział *artium*, nietylko stopień bakałarza ale i magistra otrzymał, to o lepszego nauczy-

ciela było trudno. Silvius bowiem, z Czarnolasu Kochanowskich, ze stanu kmiecego pochodzący, a przez Macieja z Ryczywołu, opata klasztoru benedyktynów w Sieciechowie, kosztem zgromadzenia na nauki do Krakowa wysłany, posiadał wszelkie dane, ażeby być doskonałym kierownikiem takiego, jak przyszły autor *Trenów*, ucznia. Jakoż wszystko przemawia za têm, że on, nie kto inny, przyjąwszy obowiązki pedagoga w Sycynie, przygotował młodego Jana Kochanowskiego do słuchania nauk akademickich, czyli że przeszedł z nim, pomiędzy rokiem 1539 a 1544, t. z. *trivium*, t. j. kurs, obejmujący gramatykę, dyalektykę i retorykę [1]).

Cokolwiekbądź, jedno jest pewném: że z nadejściem r. 1544-go czternastoletni Jan Kochanowski był przygotowany o tyle, że mógł pojechać do Krakowa na uniwersytet. Jest wielkie prawdopodobieństwo, że tam pojechał razem ze swym mentorem, Sylviusem, który mu ułatwi pierwsze kroki w stolicy...

ROZDZIAŁ DRUGI.

Lata nauki i wędrówki (1544 — 1557).

Kraków i uniwersytet Jagielloński w XVI-ym wieku. — I. Kochanowski na wydziale *artium*.—Życie żaków krakowskich. —Wykłady w półroczu letniém 1544 r.—Wojciech Nowopolski. — Szymon Marycki. — Atmosfera reformy i... gamratek. — Zofia.—Pierwsze próby poetyckie.—Przyjaciele.—Piotr Royzyusz. — Jakób Górski. —Stanisław Grzepski. — II. Śmierć ojca. — Stosunek z hetmanem Tarnowskim. — Wyjazd do Tarnowa.—Na dworze kasztelana.—Jan Krzysztof Tarnowski.—Wpływ atmosfery dworskiéj.—Rok 1549-ty.—Wyjazd do Włoch. — III. W Wiedniu. We-

---

[1]) Dotychczasowi pisarze o życiu Kochanowskiego, począwszy od Hoffmanowéj, a skończywszy na Przyborowskim i ks. Gackim, starali się dowiéść, że początkowe nauki Kochanowski pobiérał w szkole, nie w domu. Hoffmanowa mniema, że poeta zrazu kształcił się z braćmi, w Policznie, w szkółce tamtejszéj, założonéj przez Białaczowskiego. Prof. Przyborowski wysyła Kochanowskiego po pierwszą naukę do kolonii akademickiéj w Krasnymstawie. Ks. Gacki mniema, że początkowe nauki przechodził poeta z braćmi w sąsiednim Sieciechowie, w tamtejszéj szkole, utrzymywanéj przez opatów benedyktyńskich. To samo przypuszcza Małecki. Ale prof. Plenkiewicz odrzuca te wszystkie hypotezy, wykazując ich niesłuszność. Zdaniem prof. Plenkiewicza: „kwestyę szkoły początkowéj stanowczo raz na zawsze usunąć z życiorysu jego (Kochanowskiego) należy.“

necya. — Wiersz *Na dziewczęta weneckie.* — Paweł Manucyusz i jego akademia. — Jędrzéj Dudycz.—Jędrzéj Barzy. — Franciszek Robortello i szkoła rządowa wenecka.—Wezwanie do powrotu do kraju.—Lato r. 1551 w Sycynie. — W Krakowie. — Przez Wiedeń do Wenecyi. — Dwa półrocza studyów pod Robortellem. — Wyjazd do Padwy.—IV. Padwa i jéj uniwersytet. — Życie studentów padewskich.—Profesorowie. — Akademie studenckie. — Andrzéj Patrycy Nidecki. — Kochanowskiego twórczość łacińska. — Wpływ Petarki.—Wiersze polskie.—Zebrania koleżeńskie.— „Przyjaciółki".—Lydia.—Początek romansu.—Harmonie i dysonanse tego stosunku. —Przywiązanie Kochanowskiego.—Andrzéj Dudycz w Padwie. — Obawy Nideckiego.—Przerwa w romansie.—Maj roku 1555-go.—Zaraza.—Wyjazd Lydyi.—Kochanowskiego podróż do Rzymu i Neapolu.—Powrót do Padwy.—Jesień roku 1555. — Zmiana w Lydyi.—Zerwanie. — Królowa Bona w Padwie. — Nawrócenie Lydyi. — Rozczarowanie i smutek. — Wyjazd do kraju. — Lato na wsi. — Wesołe chwile z przyjaciółmi.—Narady familijne.—Powrót do Padwy. — Znowu Lydya. — Koniec stosunku. — Wyjazd do Paryża.—V. Paryż.—Życie paryskie. — Uniwersytet czyli Sorbona.—*Collèges des trois langues.*—„Ich tam Sorbony."—Poezya francuska.—Piotr Ronsard. — *Ronsardum vidi.* — Ronsarda wpływ na Kochanowskiego. — Twórczość Kochanowskiego. — „Czego chcesz od nas Panie..." — *Venusta Galla.* — Początek romansu. — „Niepozbędna miłość." — Ossoliński i elegia do niego. — Śmierć matki poety. — Powrót do kraju.

Okolony podwójnym pierścieniem wysokich murów, nastroszonych 46 basztami o dachach w formie stożków, a umocnionych wałem ziemnym i fosą, którą zalewała woda Rudawy; wystrzelający w niebo mnóstwem wież kościelnych, nad któremi królowały ratuszowa i Maryacka, zdobna wiankiem drobnych wieżyczek, a co godzina rozbrzmiewająca swemi smętnemi hejnałami; rozłożony u stóp Wawelu, którego wzgórze, dźwigając olbrzymie budowle królewskiego zamku i gotyckiéj katedry, panowało nad masą dachów i kominów miejskich; opłukiwany modremi nurtami Wisły, nad któréj krętą wstęgą szarzały pobliskie Krzemionki z zielonym kopcem Krakusa; a wreszcie rzucony na tło krajobrazu, który ze swemi szmaragdowemi błoniami i wzgórkami na pierwszym planie, a rozłożystą Babią Górą i śnieżnemi Tatrami w głębi widnokręgu, należy do najbardziéj malowniczych widoków w całéj Polsce: Kraków, w chwili, gdy doń przyjeżdżał 14-letni Jan Kochanowski, był jeszcze miastem średniowieczném z wyglądu, w stylu Norymbergi i innych miast niemieckich.

Począwszy od bramy Tworzyjańskiéj, do któréj wchodziło się po moście zwodzonym, a skończywszy na Wielkim Rynku, w którym się koncentrowało ruchliwe życie stolicy, wszystko tu nosiło niezatarte piętno ubiegłego stulecia, wszystko przypominało świetne czasy kwitnącego mieszczaństwa, którym się już miało pod koniec... Patrząc na gotyckie mury kościoła Panny Maryi, Sukiennic i ratusza, otoczone imponującym

czworobokiem szarych kamienic zamożnych mieszczan krakowskich, a zwłaszcza przechadzając się ciasnemi, niewszędzie brukowanemi ulicami miasta, pośród wąskich, 2-u lub 3-piętrowych domów, charakterystycznych swemi wystającemi facyatami i rynnami o smoczych paszczach, swemi kamiennemi godłami, wyobrażającemi różne przedmioty lub świętych i zwierzęta, i wreszcie swemi okratowanemi oknami, o drobnych, krągłych, jak gomółki, w ołów oprawnych szybkach, przypatrując się tym średniowiecznym budowlom, a mając zwróconą uwagę i na zewnętrzną stronę życia, pulsującego na Rynku, na ulicach, w kościołach, w gospodach i sklepach, obserwując bogatych mieszczan, w aksamitnych, futrem podbitych opończach, wielkich panów, jeżdżących karocami, a przybranych w karmazynowe delie i szuby, szlachtę w barwnych żupanach lub kaftanach z bufiastemi rękawami, kobiéty w złotogłowach i strojach krzyczącego koloru, chłopów w jaskrawych sukmanach, wieśniaczki w kraciastych chustkach, żydów w czarnych chałatach i sobolowych czapkach, widząc to wszystko, a nie znając miejscowych stosunków, trudno było, sądząc z pozorów, domyśléć się i przeczuć, że nad tém pstrém mrowiem ludzkiém, zamieszkującém takie miasto, już się unosi powiew włoskiego renesansu...

Była to epoka bujności i pełni życia. W powietrzu, przesyconém miazmatami zażartych sporów religijnych, sporów o Kościół, o celibat i małżeństwo księży, o kalwinizm, luteranizm i aryanizm, unosiła się jakaś horyacyuszowska woń rozkoszy i podnieconych zmysłów, zdrowych nerwów, silnych mięśni i rozkiełznanych namiętności, a wszystko to, zaprawne lubieżną żądzą użycia, rozpościerało swe nieograniczone panowanie, jeżeli nie nad całém miastem, to przynajmniéj nad znaczną większością jego cywilizowanych mieszkańców. Wszystkie kulturalne umysły ulegały temu prądowi renesansu w życiu i w sztuce, a ulegały choćby dlatego tylko, że ten prąd szedł z góry, że jego głównym rozsadnikiem, nadającym mu impuls i piętno mody, była królowa Włoszka, małżonka zniedołężniałego Zygmunta Starego, kobiéta wytwornego smaku i poczucia artystycznego, mądra i wykształcona, która z chwilą swego przyjazdu do Polski, „pod niebem północném stworzyła dla siebie atmosferę południowego artyzmu, i jakby w cieplarni, wyhodowała przepyszne kwiaty sztuki, których najświetniejszym okazem była kaplica Zygmuntowska, zbudowana w r. 1520 przez mistrza Bartolda Berecci, a przystrojona w owe przecudne sztukaterye przez Jana Cini'ego z Syjeny, który tu rokiem Berecci'ego wyprzedził. Za nimi podążają do Krakowa inni włoscy artyści..., którzy, jako sztukatorowie, medalierzy, rzeźbiarze kamei, budowniczowie i malarze, zdobią dwór

Zygmunta i Bony, oraz dwory panów, nietyle może rozmiłowanych w artyzmie, ile w okazałości i przepychu." Ci włoscy przybysze sprawili, że mnóstwo gmachów gotyckich — który to styl dotąd przeważał nad Wisłą — poczęło się stroić w renesansowe okna weneckie (nie zawsze licujące z dawniejszemi ostrołukami), i że kiedy przyszło do odbudowania spalonego zamku na Wawelu, Zygmunt powierzył roboty te Franciszkowi della Lore, który, wznosząc owe pyszne dwupiętrowe krużganki, strojne w krągłe renesansowe arkady, nadał całemu zamkowi, nietylko z zewnątrz, ale i wewnątrz, zupełnie włoski charakter.

Podobnéj metamorfozie uległ i gmach uniwersytetu, którego gotyckie mury, począwszy od r. 1520, jęły się przyozdabiać w prostokątne okna weneckie. „I tu renesans, niby przylotna jaskółka, zdołał ulepić sobie gniazdo pod średniowieczném sklepieniem audytoryów." Niestety, duch, jaki w owym czasie panował pod sklepieniami téj Jagiellońskiéj wszechnicy, bardzo wiele pozostawiał do życzenia. Ostatecznie była to siedziba scholastyki, która tu czuła się jeszcze wszechwładną panią domu, tak, iż zachodnio-europejski humanizm, lubo reprezentowany przez kilku dzielnych profesorów, robił wrażenie nieśmiałego małżonka, zahukanego przez swą magnifikę. Mimo to, przewaga moralna, jeżeli chodziło o wpływ na „żaków", t. j. na młodzież uniwersytecką, była po stronie młodych profesorów-humanistów. „Dość było przy wykładach mówić o téj słonecznéj Italii, co się kąpała w blaskach poezyi starożytnego świata; ukazywać na mistrzów, przodujących rozwojowi wiedzy klasycznéj na uniwersytetach Padwy i Bononii, wreszcie na takich mężów, jak Piotr Tomicki, Jędrzéj Krzycki, Klemens Janicki, co choć już zeszli ze świata, aż nadto jednak wymownym byli przykładem, czém są wrodzone dary krasomówstwa lub poezyi, gdy je rozwinie nauka, z tych ożywczych źródeł czerpana. A cóż mówić o żyjących wychowańcach tych uniwersytetów, jak Samuel Maciejowski, jak Marcin Kromer, Stanisław Hozyusz, Stanisław Górski, i nad wszystkimi górujący zdolnościami Stanisław Orzechowski, który od lat trzech wróciwszy z Rzymu, głośny był już w całéj Polsce nietylko z zatargów o beneficya z biskupem przemyskim Tarłą, ale i przez świéżo na sejm krakowski w r. 1543 wydane pismo *De ordinanda republica* i pierwszą w tymże roku ogłoszoną drukiem *Turcykę*... Ludzie ci byli najwymowniejszą ilustracyą ujemnych stron akademii krakowskiéj i przykładem swym oddziaływali zarówno na zdolniejszych magistrów, którzy często bez pozwolenia nawet władzy uniwersyteckiéj wyruszali za Alpy, jak i na młodzież akademicką, która nie mogąc jeszcze, lub nie mając o czém na dalsze studya za gra-

nicę wyruszyć, przynajmniéj myślą odrywała się od zmudnych zaciekań scholastycznych i wybiegała nią ku owéj zaczarowanéj krainie, gdzie naówczas kwitnęły nauki i gdzie, jak mówiono, rozum się rodził."

I.

Taką była atmosfera Krakowa i uniwersytetu Jagiellońskiego, gdy na początku letniego półrocza r. 1544, w albumie akademickim, Michał z Główna, ówczesny dziekan wydziału *artium*, zapisał—pomiędzy 162 nowowstępującymi scholarami — nazwisko poety: „*Joannes Kochanowski, Petri de Syczynow, dioc. Cracov. 3* (*scil. grossos*) *solvit.*"

Odtąd zaczyna się jego życie studenckie, życie „żaka" krakowskiego, które miało swoje uroki, jak każde czasy szkolne, ale i swoje strony nieprzyjemne. Przedewszystkiém odrębność, w jakiéj trzymano żaków, bakałarzów i licencyatów, była mocno krępująca dla każdego z nich. „Wszyscy, z rzadkiemi wyjątkami, obowiązani byli mieszkać w bursach, pod nadzorem magistrów, i podlegać prawom, przepisanym osobnemi statuty. Tu wiedli oni życie wspólne na podobieństwo kleryków. Bo téż istotnie uniwersytet uważano nietylko za ognisko oświaty, ale i za rozsadnik duchowieństwa. Teolog, prawnik, nawet bakałarz wydziału *artistarum*, mógł przyjmować święcenia. Należało więc wcześniéj usposabiać młodzież do tego stanu i ducha w niéj odrębności zaszczepiać. Nie wolno téż było scholarom używać sukni świeckich, trzewików z długiemi szpicami, broni, czapek lub kapeluszy, słowem, wszystkiego, coby ich zewnętrznie do ludzi innych stanów zbliżało! Natomiast nosili spodnie obcisłe, na nogach półbuciki zamszowe, daléj *żupicę* czyli odzienie do pasa bez rękawów, kabat z sukna lub aksamitu, a na to wszystko nakładali *vestem clericalem*, czyli długą tunikę czarną, przepasaną pasem, wreszcie *czamlotową*, sukienną lub kitajkową czapeczkę na głowę." W takim stroju ukazywali się na mieście, w takim stroju chodzili na wykłady. Te zaczynały się bardzo rano, bo już o 5, 6-éj i 7-éj, aż do południa. Tym sposobem, w zimie, pierwsze wykłady odbywały się przy świecy, co pociągało za sobą nie zawsze przyjemną konieczność zrywania się do dnia. Témbardziéj, że znowu nie było tak dalece do czego się zrywać! Lektorya, w których słuchano lekcyi, były bardzo pierwotne. Słuchacze, siedząc w drewnianych ławkach bez pulpitów, wszystkie notatki byli zmuszeni robić na kolanie, a pióro maczali w kałamarzu przytwierdzonym do pasa. Wykłady zaś? Te były rozmaite.

W półroczu, na które się zapisał Kochanowski, magister Jakób Wyrzykowski objaśniał *Veterem artem*, czyli pierwszą część logiki, obejmującą sylogizmy i wnioski, co także wykładał Marcin *Cracovita*, najstarszy z kolegiatów na wydziale *artium*, a podobno „bardzo tępa głowa" scholastyczna w każdym calu. Jan Dobrosielski, sandomierzanin, wykładał w lektorium Ptolemeusza *Questiones posteriorum*, które były przygotowaniem do dysput, oczywiście w duchu scholastyki. *Priora* t. j. drugą część logiki, obejmującą rozbiór wszystkich składników pojęcia, jego określenie i podział, wykładał Feliks Bendorski, jednocześnie słuchacz wydziału teologicznego. Jan ze Trzciany, Arundinensis, uważany za człowieka wyższych zdolności, wykładał w lektorium Galena *Librum de anima* podług Arystotelesa, a jednocześnie w lektorium Marona, prowadził *Questiones parvorum naturalium*, będące roztrząsaniami przedmiotów, objętych w krótkich traktatach z fizyki Arystotelesa. Nakoniec Tomasz z Krakowa wykładał filozofię Alberta W., jako wstęp do fizyki Arystotelesa. To były wykłady scholastyczne, a 14-letni Jan musiał ich słuchać obowiązkowo. Czy go zajmowały? Czy był dość rozwinięty umysłowo, ażeby ich słuchać z korzyścią dla swego rozwoju intelektualnego? Prawdopodobnie trzymał o nich to samo, co Rey z Nagłowic, który zauważył, że „gramatyka z logiką mogą się i staremu uprzykrzyć..." Na szczęście nie brakło i innych wykładów, owianych ożywczém tchnieniem wiedzy humanistycznéj, do których młodzieniec, jak Kochanowski, bardziéj mógł się zapalić. Do takich należały przedewszystkiém wykłady Wojciecha Nowopolskiego, po łacinie zwanego Novocampianus; był to wybitny humanista, jedyny przytém, który na uniwersytecie krakowskim — w téj chwili — uchodził za niepośledniego znawcę języka i literatury greckiéj. Szkoda tylko, że w półroczu letniém 1544 r. wykładał gramatykę grecką. Ale i to mogło być z pożytkiem dla przyszłego tłomacza *Monomachii Parysowéj*... Inni profesorowie o humanistycznym pokroju, jak Adam z Chęcin, objaśniający w tém półroczu *De officiis* Cycerona, wyłącznie zajmowali się literaturą rzymską: kilku, jak Zygmunt Obrębski, lub Jan Więckowski, komentowali pisma Cycerona, reszta zaś, jak Michał de Wojnicz lub Hieronim z Łowicza, czytali Wergiliusza: pierwszy *Eneidę*, drugi *Georgiki*. Nadto Marcin z Brzezin objaśniał *Epistolas* Horacego, a substytut, dr. Bartłomiéj Sabinka, zapoznawał z Terencyuszem.

Ale to letnie półrocze [1]), do którego i następne zimowe było po-

---

[1]) Po tém letniém półroczu wraca Kochanowski na wakacye do Sycyny, gdzie—jak przypuszcza prof. Plenkiewicz—zostaje przedstawiony hetmanowi Ja-

dobne pod względem nieświetnego programu wykładanych przedmiotów, nie mogło iść w porównanie z letnim semestrem r. 1545, w którym humanizm, wogóle dość po macoszemu traktowany w jagielońskiéj *Alma mater*, wystąpił wyjątkowo świetnie: dość powiedziéć, że na 40 magistrów, wykładających na wydziale *artium*, aż 15-tu zapowiedziało wykłady o różnych pisarzach greckich i rzymskich. Novocampianus, obok wykładu gramatyki Linacriusa, objaśniał *Iliadę* i Hezyoda „in graeco"; Maciéj z Łomży czytał *Bukoliki* Wergiliusza, którego *Eneidę* i *Georgiki* objaśniało nadto dwóch innych profesorów; Michał z Wojnicza analizował *Satyry* Persiusza; Michał Kotarski komentował *De bello Jugurthino* Sallustiusza; a różne mowy i traktaty Cycerona, który zawsze był pupilem humanistów, zajmowały aż pięciu magistrów.

Ale wszystko to było niczém wobec faktu, że w tém półroczu znowu —po paroletniéj przerwie — rozpoczął swoje wykłady Szymon Marycki, Maricius, najświetniejsza gwiazda na humanistycznym firmamencie uniwersytetu. Wykształcony w literaturze klasycznéj, którą studyował w Padwie, Bononii i Rzymie, pod takimi mistrzami, jak Łukasz Bonamico i Jędrzéj Alcyates, nie miał sobie równego w Krakowie, gdy chodziło o znajomość Cycerona lub Demostenesa. Sam Novocampianus blakł przy nim, jak księżyc przy słońcu. To też wiadomość, że Marycki, świéżo przybyły z Włoch, gdzie w dalszym ciągu poświęcał się studyom humanistycznym, rozpoczyna swoje wykłady, musiała zelektryzować żaków z wydziału *artium*, a w téj liczbie i Kochanowskiego. Niestety, nie wszyscy cieszyli się tym powrotem Maryckiego, tymi zaś, którym jego przyjazd najmniéj był na rękę, byli profesorowie-scholastycy. A że stanowili większość nauczycielskiego grona, że stali u steru zarządu, więc sprawili, że znakomity humanista musiał, wstępując na katedrę, humanizm zawiesić na kołku, i zamiast mówić o Cyceronie, którego mowę *pro Publio Quintio* zaraz po swym przyjeździe z Włoch wydał z komentarzami, wykładać przez całe letnie półrocze *Copiam verborum* Erazma z Rotterdamu i... Metafizykę, czyli, że był zmuszony przeżuwać scholastyczne wióry, które doskonale mógł przeżuwać kto inny. Ale starszyźnie uniwersyteckiéj chodziło o to właśnie, ażeby o ile możności zmarnować humanistyczną wiedzę Maryckiego, a zarazem do *minimum* ograniczyć jego wpływ na młodzież,

---

nowi Tarnowskiemu (którego nazwisko figuruje na akcie rozgraniczenia Sycyny w lecie r. 1544 od dóbr królewskich Zwolenia). Po tych wakacyach Kochanowski wraca do Krakowa, lecz nie na długo, gdyż z powodu wybuchłéj zarazy, wraca znowu, za poradą Silviusza, do Sycyny. Do Krakowa wraca dopiéro w drugiéj połowie zimowego półrocza... Są to wszystko przypuszczenia, na których poparcie pozytywnych dowodów prof. Plenkiewicz nie przytacza, bo ich niema poprostu.

więc nań wywarto taką presyę, że pod jéj parciem jeszcze i przez całe zimowe połrocze z roku 1545 — 1546 wykładał *Nową logikę* i *Posteriora*, a w ciągu dwóch lat następnych, 1547 i 1548, miał wykłady z dziedziny astronomii! Swoją drogą nie dał za wygranę, i nie mogąc działać z katedry, działał słowem drukowaném. W tym celu wydał w r. 1546, w tekście i przekładzie łacińskim, mowę Demostenesa *de Pace*, nie tając w przedmowie do tego wydania, że „jak dlatego zaraz po powrocie z Włoch wydał z komentarzami mowę Cycerona *pro Publio Quintio*, by z jednéj strony wypłacić się za pomoc daną mu przez Kmitę, a z drugiéj uczynić zadość *cupidae juventutis expectationi*, tak obecnie, ogłaszając po niéj mowę Demostenesa, nie inną kieruje się pobudką, tylko, by młodzież polska, niepoślednie wykazująca zdolności, gdy się jéj umysł starannéj podda uprawie, z takiego zestawienia języków greckiego i łacińskiego kształcąc się pod jego przewodnictwem, do obu literatur zamiłowania nabyła.” W tymże roku jednak, w półroczu letniém, oprócz scholastycznych *Posteriorów*, które wykładał gwoli dogodzenia staremu Cedroviusowi i jego stronnictwu, zaczął objaśniać także mowę Cycerona *pro Quintio*, a w półroczu zimowém zdecydował się na rozbiór jego dyalogu *de Oratore*. Tym sposobem korzyść, którą Kochanowski mógł odniéść z wykładów Maryckiego, naprawdę redukuje się do dwóch semestrów tylko. Ale i to coś znaczyło, tego bowiem, co z zakresu humanistyki usłyszał od Maryckiego, nie usłyszał by od żadnego z cyceronianów krakowskich. „Czas przecież jednoroczny tych wykładów zaledwie starczył, by do tak gruntownych studyów rozłakomić żądnego nauki młodzieńca, nie dając mu w dalszym ciągu możności zaspokojenia rozbudzonych pragnień przez mistrza, który marniał, w obcą sobie sferę zepchnięty. Bezwątpienia, wydając w r. 1547 mowę Demostenesa *pro libertate Rhodiorum*..., chciał on podtrzymać zapał w młodzieży do studyów klasycznych i bądź co bądź, poszanowanie dla nich na uniwersytecie wywalczyć. Sam druk przecież nie mógł żywego jego słowa zastąpić, ani usuwanemu od katedr humanistycznych, na ogół młodzieży skutecznego wpływu zapewnić. Wpływ ten był jednak na poetę niezaprzeczony. Jak bowiem z jednéj strony Marycki dał mu pierwszy prawdziwéj umiejętności pojęcie: tak z drugiéj, własnym przykładem jeszcze go więcéj w tém przekonaniu utwierdził, iż tylko Włochy mogą dać mu wiedzę prawdziwą.”

Tymczasem bawił w Krakowie, a ulegając wpływom otoczenia, nasiąkał nietylko wiedzą humanistyczną, ale i modnemi doktrynami reformy, wyznawanemi nawet przez takich ludzi, których by o to najmniéj podejrzewać należało. A jednak było tak w istocie! Przykła-

dem Lismanin Włoch, który, choć był nadwornym kaznodzieją i spowiednikiem królowéj Bony, nietylko sprzyjał kalwinizmowi, ale, wraz z Trzecieskim, należał do jéj najgorliwszych apostołów. A wszystko to działo się pod okiem prymasa-arcybiskupa Gamrata, który, jako tępiciel protestantyzmu, siał postrach między zwolennikami Kalwina i Lutra. Wszak pamiętano śmierć Wajglowéj, mieszczki krakowskiéj, która, że się sprzeniewierzyła wierze katolickiéj, spłonęła na stosie, a spłonęła z rozkazu Gamrata. Na szczęście, biskup ten, choć prześladował heretyków, nie przez wszystkich był traktowany na seryo. Wiedziano o jego obżarstwie i opilstwie, a że i jego amory, nietylko z Dorotą Dzierzgowską, wojewodziną mazowiecką, z którą stosunki sama Bona mu ułatwiała, ale i z całym szeregiem nierządnic, w których nie przebierał, nie były tajemnicą, tego dowodziła choćby nazwa *gamratki*, którą w tym czasie zaczęto nadawać wszystkim kobietom złego prowadzenia...

Taką „gamratką" była także i owa Zofia, którą Kochanowski unieśmiertelnił w jednéj ze swoich *Fraszek*, a z którą znajomość niewątpliwie przypada na te lata studyów poety w Krakowie. Była to istotka ładna, dowcipna i miła, choć kto wié, czy w tym razie Kochanowski nie był trochę podobnym do Mickiewiczowskiego Tadeusza, któremu tak się spodobała Telimena, że, uniesiony młodzieńczym temperamentem, nie dostrzegł bielidła i drobnych zmarszczek na twarzy.

Bo młodzieńcowi młodą jest każda kobieta:
Chłopcowi każda piękność zda się rówiennicą,
A niewinnemu każda kochanka dziewicą.

Zdaje się, że i Kochanowski nie był wolny od złudzeń co do młodości Zofii, która, jeżeli nie była jego pierwszą miłością, to w każdym razie odegrała niemałą rolę „w sercu" poety. Inaczéj nie pisał by o niéj:

Ona była nadobna, ona wdzięczna była,
A wszystko jéj przystało, cokolwiek czyniła.
Jéj żart każdy był trefny, a gdy co kazała,
Zawżdy wielką powolność po każdym poznała.

Jeżeli „po każdym", to i po nim także, a jeśli mu się wydawała tak nadobną i wdzięczną, to z pewnością niejeden wierszyk napisał pod jéj wpływem. Bo że już w uniwersytecie będąc, pisywał wiersze, przeważnie łacińskie, to się rozumié samo przez się: raz, że „każdy chłopiec w tych latach składa wierszyki", cóż dopiéro chłopiec z tak poetycką duszą, jak Kochanowski, a powtóre, że jest kilka utworów poe-

ty, jak pieśń VIII jego *Fragmentów*, jak ustęp o „Mnichu” w *Carmen macaronicum* lub epigramat 33, poświęcony Royzyuszowi, które nie dadzą się odnieść do innéj epoki w życiu przyszłego autora *Trenów*, jak do tych jego studyów krakowskich.

A jeśli pisywał wiersze, to się z niemi nie krył przed przyjaciołmi, których zdania mógł być ciekawy. Témbardziéj, iż grono jego przyjaciół krakowskich, choć nieliczne, składało się z samych ludzi wyborowych, wykształconych humanistycznie, z którymi rozmowy w godzinach wolnych od pracy, bądź w mieszkaniu którego z nich, bądź za stołem któréjkolwiek z gospód na Rynku, mogły być nietylko źródłem umysłowéj przyjemności, ale i z korzyścią.

Do takich przyjaciół poety, oprócz Sylviusza, należał przedewszystkiém Piotr Ruyz, Aragończyk, z przydomkiem de Moros, Hiszpan, zwykle nazywany Royzyuszem. Prawnik z wykształcenia, uczeń trzech akademii, dwóch włoskich i jednéj hiszpańskiéj, protegowany Gamrata, był profesorem prawa rzymskiego, a jako taki, odznaczał się nietylko głęboką nauką, ale i porywającą wymową, co sprawiło, że na swe wykłady ściągał tłumy słuchaczów. Była to postać nadzwyczaj oryginalna, a wysoko ceniona przez młodzież, która w Royzyuszu widziała uosobienie europejskiéj nauki. Nadto dał się poznać także, jako poeta: jego wiersz łaciński, napisany z powodu zaślubin Zygmunta Augusta z Elżbietą Rakuszanką, zwrócił nań uwagę dworu i wszystkich wykształconych umysłów. Serdeczny w obejściu, dowcipny, a często i złośliwy, lubił otaczać się młodzieżą akademicką, na którą, jako humanista, wywierał olbrzymi wpływ... Kochanowski, wnosząc z jego epigramatu, w którym Royzyusza nazywa „obywatelem świata”, zdaje się, także należał do tego grona, które się skupiło koło osoby ekscentrycznego Hiszpana, za czém poszło oczywiście, że pod wieloma względami przejął się jego sposobem myślenia. Tak np. Royzyuszowi zawdzięczał swe sympatye dla domu habsburskiego, którego uczony Aragończyk był zagorzałym stronnikiem w polityce.

Drugim przyjacielem Kochanowskiego, z którym go teraz mógł łączyć o wiele poufalszy stosunek, niż ze sławnym cudzoziemcem, był Jakób Górski, humanista, o pięć lat starszy od poety, bo już w r. 1542 zapisany na wydział *artium*, a człowiek niepospolity pod każdym względem. Można być pewnym téż, że taki przyjaciel bardziéj odpowiadał Kochanowskiemu, niż wielu innych, jak Andrzéj Krajowski lub Grzegorz Podlodowski, choć temu ostatniemu było sądzone zostać szwagrem poety... Za to Stanisław Grzepski, o którego niezwykłéj biegłości w językach łacińskim i greckim świadczy *Epitaphium* Kochanowskiego, był jakby stworzonym na towarzysza dla poety. Był to

umysł wszechstronny, równie zapalony humanista, jak... matematyk. Że z nim Kochanowski bardzo sympatyzował, tego dał niejednokrotne dowody. Książka, którą mu z czasem ofiaruje na pamiątkę, a którą będą tragedye Seneki, jeszcze dziś znajduje się w bibliotece Jagiellońskiéj. Zdaniem Kochanowskiego, Grzepski, któremu poświęcił parę wierszy łacińskich i polskich, był uosobieniem „nauki, cnoty, rozumu i postępków świętych."

II.

W pierwszéj połowie r. 1547 umarł Piotr Kochanowski. Poeta zjechał do Sycyny. Tutaj, po pogrzebie sędziego, zaczęły się długie debaty w sprawach majątkowych i podziałowych, a jednocześnie i narady familijne, pomiędzy sędziną i jéj opiekunami, co robić z Janem? Czy ma jeszcze wracać na uniwersytet krakowski, na którym już spędził blisko sześć semestrów, czy też ma przedsiębrać co innego? On w każdym razie, gdy chodziło o jego zdanie, do Krakowa powracać nie miał ochoty, bo 1) co mógł skorzystać z wykładów tamtejszych, to już miał za sobą, 2) w Krakowie panowała zaraza, i 3) gdyby to od niego zależało, najchętniéj pojechałby do Włoch. Niestety, o ile to było możebne za życia ojca, o tyle teraz po jego śmierci, wobec rozprzężenia w gospodarstwie, do czego nadto przybywała konieczność uregulowania interesów spadkowych, nie pozostawało nic innego, tylko sobie Włochy wybić z głowy. Chwilowo przynajmniéj. Więc co robić ?

Według hypotezy prof. Plenkiewicza, w chwili właśnie, gdy poeta, w rozmowach z matką i starszym bratem Kacprem, zastanawiał się nad tém pytaniem, mającem rozstrzygnąć o jego przyszłości, nadszedł list od hetmana Jana Tarnowskiego, list kondolencyjny, który, o ile był zaszczytnym dla sędziny, o tyle upoważniał do powzięcia decyzyi, ażeby Jan na czas jakiś udał się na dwór hetmana, w roli dworzanina. Wszystko przemawiało za tém, że hetman nie sprzeciwi się temu. W roku 1544, kiedy bawił w Sycynie [1]), jako członek komisyi w sprawie

---

[1]) Jest to hypoteza oczywiście, którą prof. Plenkiewicz opiéra na akcie rozgraniczenia Sycyny od dóbr królewskich Zwolenia. Nastąpiło to w r. 1544, latem, a pomiędzy członkami komisyi, która zjechała dla dopełnienia tego aktu, figuruje i hetman wielki koronny, Jan Tarnowski, jak o tém świadczy jego własnoręczny podpis na rzeczonym dokumencie. Prof. Plenkiewicz, opierając się na tym podpisie, idzie tak daleko (czy nie za daleko?), że przypuszcza, iż hetman wraz z liczną asystą, zaproszony przez właściciela Sycyny, tamże zetknął się z 14-letnim Janem Kochanowskim, którego mu nie omieszkano zaprezentować. Niemniéj

rozgraniczenia Sycyny od dóbr królewskich Zwolenia, okazał się bardzo życzliwym dla sędziego, a jako ożeniony z Zofią Szydłowiecką, która, podobnie jak i sędzina, była Odrowążówną, a więc współherbowną z matką poety, mógł się poczuwać do powinowactwa z nią... Jakoż zdaje się, że tak było, skoro w liście kondolencyjnym do wdowy, zapewniał ją łaskawie, że zawsze może liczyć na jego życzliwość, gdyby się znalazła w jakiéj potrzebie. W takich warunkach prosić hetmana, ażeby zechciał przyjąć młodego Jana, jako dworzanina, na swój dwór w Tarnowie, nie przedstawiało najmniejszego ryzyka.

Zatém poszło, jak przypuszcza prof. Plenkiewicz, że następne dwa lata, aż do roku 1549, spędził poeta, jako dworzanin hetmański, w Tarnowie, na zamku kasztelana krakowskiego [1]). „Patrz na Tarnów, mówi Orzechowski w żywocie hetmana, jakie bogactwo u mieszczan, jako

---

śmiałą hypotezą, mojém zdaniem, jest ów list kondolencyjny hetmana, wystosowany do sędziny po śmierci jéj męża. Trudno jednak: gdzie niema pozytywnych danych, tam z konieczności trzeba się uciekać do hypotez.

[1]) I na to niema żadnego dowodu, prócz faktu, że w jednym z rękopisów, przechowanych w bibl. ord. Zamoyskich, zatytułowanym „Dwór sławnéj pamięci nieboszczyka Jana hrabie z Tarnowa, kasztelana krakowskiego“ i t. d., a obejmującym cały składający go personel, figurują na końcu, w spisie kilkudziesięciu dworzan, i Kochanowscy także, lubo nie wymienieni imiennie. „Jeżeli jednak było ich kilku, to nikt, tylko Jan mógł im tu drogę torować. Tym jedynie sposobem można sobie wytłomaczyć ów ton poufalny, w jakim on późniéj do hetmana w Elegii V ks. I przemawia; nieco mentorski, gdy w Elegii I tejże księgi zachęca młodego Jana Krzysztofa, by wstępował w ślady rodzica, lub gdy po jego zgonie koi boleść jego synowską. Jakby zresztą poeta doszedł do tak zażyłego z Mikołajem Mieleckim lub Radziwiłłem Czarnym stosunku, gdyby w tym właśnie czasie (1547—1549) nie bawił na dworze hetmana i gdyby go tam nie uważano za współherbownika, którego powinowactwo było zapewne w stopniu bardzo dalekim, ale którego, bądź co bądź, Odrowążanka rodziła.“

W świéżo ogłoszonéj, pięknéj pracy Bronisława Chlebowskiego, który niezaprzeczenie należy do najgłębszych znawców życia i dzieł Jana Kochanowskiego, znajduje się ustęp, który tu warto przytoczyć, jako potwierdzający hypotezę prof. Plenkiewicza. „W wierszu na zgon Jana Tarnowskiego († 1561) po raz pierwszy występuje poeta w poważnéj roli głosiciela cnót i zasług wielkiego męża. Dla utworu swego wybrał formę „pocieszenia“ (*consolatio*), pozwalającą mu przybrać względem młodego Tarnowskiego (któremu niedawno poświęcił Szachy) poufnomentorskie stanowisko, świadczące zresztą, że Kochanowskiego z domem Tarnowskich musiał łączyć bliski stosunek, (żona Mikołaja Radziwiłła, z domu Szydłowiecka, któréj dedykowana jest Zuzanna, była rodzoną siostrą matki Krzysztofa Tarnowskiego). Jak w dedykacyi Szachów, tak i w tym utworze poeta przemawia do Krzysztofa Tarnowskiego, jakby do równego sobie kolegi („Mój hrabia“, „Jeśli cię dobrze znam“). Zob. „Ateneum“ za październik 1897 r. Artyzm Kochanowskiego.

oprawne jest miasto wałmi, mury i strzelbą ku obronie." W obrębie tych murów obronnych i wałów, miała teraz 17-letniemu Kochanowskiemu, w atmosferze rezydencyi wielkopańskiéj, upływać jego *vita nuova*. Czy mu było dobrze z tą rolą młodego dworzanina? Zdaje się, że odrazu miał możność korzystania z różnych przywilejów, których nie mieli inni dworzanie, i że od pierwszéj chwili, gdy wstąpił na dwór hetmański, nietyle pełnił funkcye zwykłego dworzanina, ile został przeznaczony na towarzysza dla 10-letniego kasztelanica, Jana Krzysztofa, który wraz ze Stanisławem Latalskim h. Prawdzic, wojewodzicem poznańskim, i Mikołajem Mieleckim h. Gryf, synem wojewody podolskiego, pod ochmistrzowstwem księdza Jakóba Niemieckowskiego, kształcił się w naukach. „Otóż dla tego grona młody, świéżo wyszły z akademii młodzieniec mógł być pożądanym nabytkiem. Kto wié nawet, czy ten wzgląd nie zaważył w postanowieniu Tarnowskiego co do przyjęcia na swój dwór 17-letniego Jana?..." Kochanowski bowiem, „jako starszy młodych paniąt towarzysz, mógł z jednéj strony łagodzić surowość tego stosunku, w jakim do nich ze stanowiska ochmistrza i kapłana ks. Niemieckowski zostawał, a pomimo to, podzielając z nimi zabawy, zachować tyle powagi, by nie dopuścić swawoli. Że towarzystwo to było dla niego za młode, że wobec niego musiał się wbrew swemu usposobieniu i nawyknieniom do tonu pedagoga dostrajać, to więcéj niż pewna; ale chyba rozumiał, że wszystko to było koniecznem następstwem stanowiska, jakie w domu wielkiego pana zajmował, i że, jeżeli stracił dawną swobodę (któréj zresztą, i jako żak krakowski, skazany na zakonne życie w bursie, zbytnio używać nie mógł), to z drugiéj strony zawiązywał z tymi 10 i 12-letniemi paniętami na dalsze życie stosunek" [1]). Ale jakiekolwiek posługi spełniał na dworze hetmańskim, zawsze miał dość czasu, ażeby w dalszym ciągu ćwiczyć się w naukach, a choć w rozerwaném życiu dworskiém nie mogło być mowy o systematycznéj pracy literackiéj, to jednak miał możność korzystania z przebogatéj biblioteki hetmana, zasobnéj w najrzadsze rękopisy i dzieła. Dodać należy, że były to przeważnie dzieła humanistyczne, rękopiśmienne kopie i *editiones principes* autorów greckich i rzymskich, hetman bowiem, sam będąc mężem „uczonym", wykształconym w prawie, a w wolnych chwilach piszącym dzieje narodu, otrzymał wykształcenie humanistyczne, w duchu rzymskim. Kochanowskiemu mogło to wyjść tylko na dobre! Powtóre mógł korzystać ze światłych wskazówek ks. Niemieckowskiego, który był tak niezwykłéj miary człowiekiem, iż Ferdynand, król rzymski, wyraził się o nim, że swoim synom pragnąłby dać

[1]) Patrz wyżéj, przypisek z cytatą z pracy Br. Chlebowskiego, potwierdzającą to przypuszczenie prof. Plenkiewicza.

takiego mistrza. Następnie, to przebywanie na dworze takiego potentata, jak hetman, pozostającego w ciągłych stosunkach nietylko z najpierwszymi dostojnikami korony, nietylko z Zygmuntem Starym i Zygmuntem Augustem, ale i z wielu obcymi monarchami, mogło być dla młodzieńca, jak Kochanowski, nader pożądaną szkołą życia. Ostatecznie obracał się między ludźmi wysokiéj nauki, surowéj staro-rzymskiéj cnoty i biegłości w sprawach rycerskich, do których przedewszystkiém należał sam hetman, a stojąc przy boku tak wysokiego dygnitarza, mógł się wyrobić wszechstronnie, bo użyty do posług kancelaryjnych, mógł nabyć wprawy pisarskiéj, przywyknąć do form dyplomatycznych, do liczenia się z użyciem każdego wyrazu. Pozatém nawykał do łask, do rozumnego szafarstwa i karności, téj ostatniéj bowiem, któréj wzorem była karność wojskowa rzymska i spartańska, podlegał zarówno cały dwór hetmana, jak i jego syn własny: syn może więcéj nawet, niż podwładni. Podobna atmosfera nie mogła pozostawać bez wpływu na dojrzewający charakter poety, tak samo, jak nie mogła nie wpływać na jego katolicyzm, w którym go ukrzepiała. Pod tym względem największy wpływ wywierał na niego, jak i na całe otoczenie, sam hetman, który nietylko — jak o nim powiada Orzechowski — „naśmiewał się z tych nowowierników, którzy opak pismo wywracając, piątą ewangelię wymyślili ku wiecznemu potępieniu swemu", ale „zakonności starodawnéj chrześciańskiéj tak pilnie strzegł, że najmniejszéj odmiany ani na dworze swym, ani na dzierżawach swych, około wiary nie cierpiał." Nie cierpiał również, ażeby w jego obecności źle mówiono o dynastyi habsburskiéj, któréj był szczerze oddany. I pod tym względem, gdy chodzi o przekonania polityczne, miał mu Kochanowski niemało do zawdzięczenia. „Wszystko to témbardziéj oddziaływało na jego umysł, że wszedł w ten okres rozwoju, gdy siły ducha, naraz rozbudzone przyjaznemi warunkami, zaczynają działać w kierunku, wyrokującym o przyszłém powołaniu człowieka. Po czasach łamania się z trudnościami języka i wersyfikacyi łacińskiéj, nastąpił w rozwoju jego okres nowy: ubogi jeszcze co do myśli, uczuć i obrazów, ale nie pozwalający już wątpić o uzdolnieniu do poezyi. Próby jego muzy zwróciły może ks. Niemieckowskiego uwagę i, przez niego doszedłszy do wiadomości hetmana, wywołały postanowienie, które go miało na bity gościniec, wiodący do przyszłéj sławy poetyckiéj, wprowadzić."

Było to w r. 1549. Syn hetmana, Jan Krzysztof, miał lat dwanaście. Hetman postanowił wysłać go z ks. Niemieckowskim i dwoma dotychczasowymi towarzyszami, za granicę, do Wiednia, na dwór Ferdynanda, a przy téj okazyi—jak przypuszcza biograf poety — umyślił

wyprawić i młodego Kochanowskiego, tylko nie do Wiednia, ale do Włoch, o których utalentowany młodzieniec marzył od tak dawna.

Oczywiście, że i sędzina, dowiedziawszy się o szlachetnym zamiarze hetmana, nie miała nic przeciwko temu wyjazdowi. Wszak wyjazd ten wprowadzał go na drogę, która go dowieść mogła do tych wysokich godności, jakie niegdyś Iwo i Jan Prandota z Białaczowa zajmowali w kościele! Dlatego, nie chcąc, ażeby jéj syn podróżował wyłącznie na koszt swego znakomitego protektora, zaopatrzyła go na drogę w 48 dukatów *in auro veri et justi ponderis*, które *notabene* pod dość ciężkiemi warunkami pożyczyła od Jana Zaborowskiego.

Z funduszem tym, który jak na owe czasy był wcale znaczny, puścił się Kochanowski, w grudniu r. 1549, z taborem i towarzyszami Jana Krzysztofa Tarnowskiego, do Wiednia.

III.

W Wiedniu, gdzie podziwiał „szeroki Dunaj,” zabawił niedługo. Wprawdzie mógł, korzystając z tego pobytu w naddunajskiéj stolicy, zapisać się na uniwersytet miejscowy, o wiele wyżéj stojący od krakowskiego, ale mu było pilno do Włoch. Tam, przeczuwał, znajdzie to, czego mu nie mógł dać Kraków, tymczasem Wiedeń, który, otoczony wałem, fosami i murem, najeżonym basztami, posiadał tylko jedną nadzwyczajność, mianowicie cudowny kościół św. Szczepana, także był miastem północném...

A tymczasem jemu dusza rwała się na południe, w krainę słońca i starożytności. Nie zwłócząc więc, ni zważając na ostrą porę zimową, niesprzyjającą przeprawie przez „Alpy krzywe”, pożegnał swych towarzyszów, którzy właśnie szykowali się do uroczystego przedstawienia się cesarzowi, i powędrował za góry, do „sławnego miasta”, Wenecyi.

Wenecyą, „w pośrzód morza” leżącą, jéj mozajkami i marmurami, jéj czarem i oryginalnością, jéj Wielkim Kanałem i Placem św. Marka, był zachwycony. Zwłaszcza entuzyazmował się dla jéj czarujących kobiét, którym z pewnością przyglądał się *con amore*, skoro na samym wstępie zaraz napisał zmysłowy epigram *In puellas Venetas*, a wkrótce po tém, niezawodnie pod wpływem jednéj z tych czarnobrewnych „Nereid, które Neptun, wyludniwszy Adryatyk i Ocean, sprowadził do uroczego miasta Wenetów”, dowodził w łacińskiéj elegii, że „jeszcze taka mądrość nie postała w jego sercu, ażeby kochanie uważał za wielkie przestępstwo.”

Myliłby się jednak, ktoby przypuszczał, że młody autor téj elegii, wydostawszy się na wolność, o którą tak było trudno w Tarnowie,

tylko się uganiał za pięknemi Wenecyankami, któremi roiły się słoneczna Piazetta i plac św. Marka, a w których on dopatrywał się samych Cyrcei i Syren, dowodząc, że choćbyś, jak Ulisses, „uszy woskiem zalepił, a nawet ogłuchł, jeśliś tylko wzroku nie pozbawiony, zginąłeś.” Ostatecznie, choć na nim „dziewczęta weneckie” robiły bardzo silne wrażenie [1]), doskonale sobie zdawał sprawę z celu swojéj podróży za granicę: przedewszystkiém wiedział, że nie po to przyjechał tutaj, ażeby tylko, „jako jeden z kochających, szedł za sztandarem Kupida,” a powtóre był spragniony wiedzy, któréj w Wenecyi, w akademii słynnego humanisty Manucyusza, biło tak życiodajne źródło. Jeśli mu chodziło o należyte wniknięcie w ducha dzieł Cycerona, to lubieżna stolica Dożów, była jedyném miastem na świecie, któremu, jak się wyraził Franciszek Filelfus, nietylko nie zbywa na uczonych do kształcenia młodzieży, ale które ich umié nagradzać odpowiednio. Do takich uczonych należał przedewszystkiém Paweł Manucyusz, przełożony słynnéj akademii humanistycznéj, będącéj jego własnością. Był to rodzaj pensyonatu, w którym młodzież szlachetnych rodów, przeważnie z obcych krain przybyła, pobierała wykształcenie humanistyczne. Kochanowski zapisał się do téj akademii, a choć z zapałem wziął się do studyowania Cycerona i elegików rzymskich, to jednak zauważył niebawem, że, jak i na słońcu są plamy, tak i Manucyusz, lubo nieporównany jako znawca literatury starożytnéj, ma swoje wady, jako pedagog: mianowicie, zbyt gorliwie opiekuje się swymi uczniami, zbyt ojcowską pieczą stara się otaczać każdego z nich, w czém dochodził tak daleko nawet, że im radził unikać pokus Amora, a zalecał miłość platoniczną. Podobne morały nie mogły się podobać poecie, któremu się tak podobały „dziewczęta weneckie”, więc poruszony temi strofowaniami swego mistrza, napisał elegię, w któréj „prosił grzecznie męża surowych zasad, by przecież soku kwitnącéj nie pozbawiał wiosny, by pozwolił młodocianym roślinom na zielonéj niwie delikatnemi listki ku słońcu wybujać.” Ale nie poprzestając na tém, poszedł daléj, i w tejże elegii wystąpił z twierdzeniem, że „nawet i ci, co się mistrzami cnoty mianują i cnotę samą słowem i czynem wynoszą, i ci pragną, by ich darzono nazwą kochanków, tak, że nie jest wstydem kochać za

---

[1]) Nawet zakosztował ich interesowności, sądząc z Elegii XIV ks. I, a zawanturowawszy się z jedną, niebawem przekonał się, co to jest zdrada niewieścia. „Bezwątpienia (powiada prof. Plenkiewicz) Włoszka wabiła go do siebie, dopóki mniemała, że ma do czynienia z bogatym forestierem; gdy spostrzegła pomyłkę, poszukała sobie innego, który mógł jéj pieszczoty opłacać.“ Z tych czasów pochodzi także epigramat *de spectaculis D. Marci* (o widowiskach św. Marka).

ich przykładem." Była to wcale niedwuznaczna aluzya do Manucyusza, który, choć nie młody, w r. 1546 poślubił młodą Małgorzatę Odoni, a ta go już w następnym roku obdarzyła potomkiem... Widoczna więc, że z rozkoszą przyjmował pieszczoty młodéj żony. Ciekawa rzecz, co powiedział Manucyusz, gdy przeczytał tę elegię Kochanowskiego?

Co pewna, to, że młodzi ziomkowie poety, z którymi kolegował a następnie zaprzyjaźnił się w akademii Manucyusza, niezawodnie podzielali zdanie swego towarzysza, a jeśli pod tym względem nie można ręczyć za Jędrzeja Barzego, to można ręczyć za Jędrzeja Dudycza, który, choć sobie dopiéro liczył rok 16-ty, i choć jako protegowany swego wuja, arcybiskupa Granu, sposobił się do stanu duchownego, jednak w rzeczach miłości, do któréj pociąg wyssał z mlékiem matki swéj, Wenecyanki z wielkiego rodu Sbarbellatich, był o wiele doświadczeńszy, aniżeli 19-letni poeta. Tego doświadczenia, popartego rozległemi stosunkami wśród patrycyuszowskich rodzin weneckich, Kochanowski trochę zazdrościł Dudyczowi, z czém się nie taił nawet: najlepszy dowód, że pisząc elegią do przyjaciela—a przez tego przyjaciela należy rozumiéć Dudycza—chwalił go, „iż się nikomu ze swéj miłości nie zwierza, gdy on tymczasem, nie umiejąc jéj ukryć, wszystkich oczy zwraca na siebie." W każdym razie namiętny temperament płochego Dudycza, bardzo przemawiał za nim, zwłaszcza, że pozatém był to wielce sympatyczny młodzieniec, nietylko oddany rozrywkom i zabawom, w których awanturnicze miłostki grały główną rolę, ale i poważnéj nauce, do ktoréj czuł niewymowny zapał. Zwłaszcza Cycerona uwielbiał. W zupełnie innym rodzaju był Andrzéj Barzy, kontrast Dudycza. Skromny, nieśmiały, hołdował cnocie, na któréj zasadzał prawdziwą wartość człowieka. Widocznie był zwolennikiem filozofii Seneki i Stoików. Kochanowski był innego zdania, i dlatego, w elegii do Barzesa, przekonywa go, że „niezawsze należy być cnotliwym," tam bowiem, gdzie idzie o dogodzenie żądzy, najlepiéj nie miéć żadnych skrupułów; żeby cnotliwy Hipolit, który się tak spodobał Fedrze, nie był tak cnotliwy, z pewnością wyszedłby na tém lepiéj, niż na swéj cnocie. „A lubo ty, Barzesie, nie masz macochy, to przecie nie sądź, bym słowa te na wiatr powiedział."

Tymczasem płynęły miesiące, skończyło się letnie półrocze roku 1550, a z jego upływem miało się zakończyć także istnienie akademii Manucyusza, który postanowił zwinąć swój zakład. Czemu? Przedewszystkiém położenie finansowe akademii, pomimo sławy, jaką się cieszyła, wiele pozostawiało do życzenia, a to samo dało się powiedziéć i o zdrowiu jéj przełożonego, który trapiony różnemi *frequenti malatti* oraz uporczywą chorobą oczu, musiał się zacząć oszczędzać,

jeśli chciał, żeby jego młoda żona wkrótce nie została wdową... Wobec tego, uczniowie akademii, a w ich liczbie i Kochanowski, musieli myśléć o przeniesieniu się do jakiego innego zakładu naukowego. Skończyło się na tém, że Dudycz pojechał do pobliskiéj Padwy, Kochanowski zaś, któremu widocznie nie chciało się rozstawać z poetyczną Wenecyą, zapisał się—razem z Barzym — do weneckiéj szkoły państwowéj, *Scuola dello Stato Veneto*. Tutaj miał możność studyowania pod przewodem Franciszka Robortella, świéżo powołanego przez szkarłatny senat Dożów. Był to humanista niemniejszéj sławy niż Manucyusz, a rozgłos, jaki potrafił wzbudzić koło swego imienia, zawdzięczał nietylko swym wykładom, jakie miewał po różnych miastach włoskich, lecz i wybitnym pismom swoim, będącym rozprawami o rozmaitych przedmiotach z zakresu świata i literatury starożytnéj. Kochanowski, zapisując się na jego wykłady, mógł być najlepszéj myśli o swém wykształceniu humanistycznèm, od takiego mistrza bowiem, jak autor *Paraphrasis artis poeticae Horatii* oraz traktatów *de Epigrammate, de Elegia* i t. d. mógł skorzystać niezmiernie wiele [1]).

Niestety, ledwo się zabrał do studyów pod Robortellem, gdy nagle, najniespodziewaniéj w świecie, na samym początku r. 1551, otrzymał list z domu, od rodziny, wzywający go, ażeby natychmiast wracał do kraju, do Sycyny, albowiem obecność jego, z powodu różnych spraw majątkowych, jest nieodzownie potrzebna. Nie pozostawało nic innego, tylko stawić się na wezwanie. Pojechał więc.

Przybywszy do rodzinnéj Sycyny, dowiedział się, co było powodem, że go musiano oderwać od studyów. Sprawa była bardzo prozaiczna i nieprzyjemna, źródłem zaś, z którego wzięła początek, były jeszcze zawikłane interesy ś. p. Piotra Kochanowskiego, które żonie

---

1) Całe to opowiadanie o pobycie i studyach Kochanowskiego w Wenecyi, o ile jest streszczeniem ostatecznych konkluzyi prof. Plenkiewicza, o tyle jest podobne do mozajki, zmudnie złożonéj z samych hypotez. Wszystko, o czém jest mowa w téj części opowiadania, jest piramidą z kart, która może runąć za lada podmuchem krytycznym. Niestety, jedynym materyałem, jakim rozporządzamy, chcąc odtworzyć ten okres wenecki w życiu Kochanowskiego, są jego elegie i epigramaty łacińskie, o których krytyka wyraziła zdanie, że mogły być napisane w Wenecyi, na co jednak niema dowodów niezbitych. To samo da się powiedziéć o studyach Kochanowskiego. Czy rzeczywiście był w akademii Manucyusza? Czy istotnie, po jéj zwinięciu, zapisał się do szkoły państwowéj weneckiéj? Wszystko to są hypotezy, bardzo prawdopodobne, ale niestety, nie poparte dokumentami. Nawet i to nie jest pewne, czy Kochanowski istotnie przez r. 1550 bawił w Wenecyi. I pod tym względem dzielą się zdania krytyków. Swoją drogą hypotezy, które stawia prof. Plenkiewicz, wydają mi się najtrafniejszemi ze wszystkich dotychczasowych.

i synom pozostawił w spuściźnie. Chodziło o jego spór z Erazmem Zielińskim z Zielanki, spór o granicę między Baryczą a Zielanką, który Zielińscy postanowili rozstrzygnąć w ten sposób, że jeden z nich, Feliks, nadciągnął z ludźmi konno i zbrojno (*superequitando alias* nayechawszy, mówi pozew sędziów) i rozpędziwszy pracujących przy grobli kmieci baryckich, podobno naruszył kopce graniczne. Stąd sprawa, proces, Kochanowscy pozwali Zielińskich, a że spór był tego rodzaju, że nieobecność pełnoletniego Jana dawała Zielińskim możność przeciągnięcia procesu, więc Kochanowscy, żeby zapobiédz temu, sprowadzili Jana. Przyjechał, ale niebawem zaczynał mieć dosyć téj pieniackiéj atmosfery domowéj, tych ciągłych rozmów o procesach, zakładach i manifestach, pozwach i protestach, zwłaszcza, gdy po dniu 16 czerwca 1551 r., w którym to dniu i jemu przyszło osobiście stawać w sądzie, sprawa obróciła się na niekorzyść Kochanowskich... Dla młodego humanisty i poety, przywykłego do spokojnych studyów nad Cyceronem i poetami, przerywanych miłostkami i wesołemi sympozionami w gronie kolegów, to ciągłe procesowanie się z sąsiadami, tak absorbujące umysły jego rodziny, nie mogło być pożądaném i przyjemném, jako atmosfera. Przywykł do innéj. Jego wytworna natura czuła się nieswoją w tém otoczeniu, wśród tak niskiego poziomu spraw i zabiegów. Wiele rzeczy musiało go razić, tak, że nawet pobyt na wsi, któréj poezyę i sielskość zawsze odczuwał tak żywo, nie zachęcał go do dłuższego pozostania w kraju, wśród swoich. Jakoż zaczął tęsknić do téj „Auzońskiéj krainy", którą niedawno porzucił. Patrząc na żółte łany zbóż, obramowane ciemną linią lasów, wzdychał za błękitami Adryatyku, a rozmawiając z matką i braćmi, których wyłącznie absorbowały sprawy majątkowe, czuł niesmak i tęsknotę za zajęciami podnioślejszéj natury. „Zdarzały się wprawdzie chwile, w których rodzina zapominała o swych kłopotach i w towarzystwie dochowujących dawnéj przyjaźni bliższych lub dalszych sąsiadów, oddychała swobodniéj. A wtedy to Jan rozpowiadał o swym w ziemi włoskiéj pobycie, prawił o uroczéj lagun i Adryatyku królowéj, o jéj wspaniałych gmachach, placach, kanałach, cudnych niewiastach, kosztownych szatach, nagromadzonych z całego świata bogactwach, dziwnych zwyczajach, uroczystościach [1]), gondolach i różnych własnych przygodach; przecież chwile podobne trafiały się rzadko i nieraz może przerywało je urzędowe kołatanie laską we drzwi, przybyłego z nowym

[1]) „Św. Marek miał urządzić widowisko i już orszak uroczysty postępować począł, gdy nagle deszcz lunął i ciemna wszczęła się nawałnica, która baldachiny i obrazy świętych zmoczyła." Epigram O widowiskach św. Marka.

pozwem woźnego.” Jednocześnie prowadzono rozmowy, dotyczące przyszłości poety, którą miała być karyera duchowna, karyera dostojnika kościelnego. Takie było życzenie matki, która mu narzucała stan duchowny, nie przeczuwając zgoła, że Jan coraz mniéj do niego powołania uczuwał, że mu się wcale nie uśmiechało „chwytać beneficya, ubiegać się o katedralne godności, tyć na duchownym chlebie i nigdy nie zaznać godziwych życia słodyczy.” Wszystko to, a zwłaszcza celibat, przejmowało go wstrętem na samą myśl, i dlatego zaczął sprzyjać reformie, która mu mogła zgodniejszą z jego usposobieniem przyszłość ukazywać. Ostatecznie katolicyzm zdawał się bankrutować, tymczasem nowe doktryny przybierały coraz dotykalniejsze kształty. Zdawało się nie ulegać wątpliwości, że stary porządek ustępował miejsca nowemu „i w duszy poety zabrzmiało *Pereat!* streszczające w sobie najgorętsze jego pragnienia.” Ale się do tego nie przyznawał, bo tylko utrzymując rodzinę swą w tém przekonaniu, że się nie rozstaje z myślą o przywdzianiu sutanny, mógł liczyć na poparcie z jej strony, gdy powie, że pragnie wracać do Włoch. Jakoż nie zawiódł się pod tym względem: gdy stanęła kwestya jego dalszego kształcenia (bo chcąc robić karyerę duchowną, trzeba było być „człowiekiem nauk włoskich”), powrót do Włoch, w celu dalszych studyów, zarówno matka, jak i stryjowie, za konieczne uznali. Skończyło się na tém, że poeta, udzieliwszy swemu starszemu bratu, Kasprowi, plenipotencyi do prowadzenia w jego imieniu wszystkich spraw majątkowych, z nadejściem jesieni, uprzedzając zimę, wyruszył z powrotem do Włoch, do Wenecyi.

Jechał na Kraków, gdzie zabawił czas jakiś, oczekując na jakąkolwiek okazyę do Wiednia. W Krakowie miał wielu znajomych i kolegów, więc nie potrzebował uskarżać się na osamotnienie. Mimo to, mimo możności widywania się i gawędzenia z takimi ludźmi, jak Jan Silviusz, Jan Leopolita, Wojciech Nowopolski, Stanisław Grzepski i kilku innych, z którymi go łączyły serdeczniejsze stosunki, był nastrojony smutnie, a ze smutkiem tym zdradził się na wyjezdném, w dedykacyi Senekowych tragedyi, których tom, „mając odjeżdżać w kraj tak wielce daleki”, ofiarował Grzepskiemu „w zakład wiecznéj miłości.”

W Wiedniu odwiedził syna hetmańskiego, przed którym może wytłomaczył się, dlaczego bawiąc w kraju, nie odwiedził jego wielkiego ojca a swego dobrodzieja: ale pomimo najszczerszych chęci z jego strony było to niemożebne, z powodu, że hetman właśnie „w skok na granicę ruszył” przeciwko wojewodzie wołoskiemu, który, podmówiwszy Tatarów, wpadł na Podole...

Stanąwszy w Wenecyi, zapisał się na wykłady Robortella, pod którego kierunkiem też, oddany studyom klasycznym, przez całe zimowe półrocze 1551, oraz letnie 1552, z zapałem, a niezawodnie i z korzyścią wielką, pracował.

W tém rozeszła się wieść, że stary Łazarz Bonamicus, chwała uniwersytetu w Padwie, przeniósł się do wieczności, i że senat powołał na opróżnioną katedrę Robortella. Upodobawszy sobie w wykładach mistrza, Kochanowski zdecydował się podążyć za nim. Tym sposobem, na następne półrocze zimowe przeniósł się do Padwy, zapisując się na wydział artystów.

IV.

„Czyż poeta nie doznawał żywszego bicia serca, na myśl, że znajdzie się w murach jednego z najsłynniejszych, najstarożytniejszych po Salernie i Bononii uniwersytetu; że w tém ognisku i on zaczerpnie nowego światła, którego promienie, poczynając od XIII stulecia, rozjaśniały mrok i jego własnéj ojczyzny?" Trudno w tym względzie odpowiedziéć coś stanowczego, bo choć świéża tradycya Klemensa Janickiego, który, jako żak padewski, był ulubieńcem Bonamika, mogła pobudzać wyobraźnię 22-letniego Kochanowskiego, to jednak, wjeżdżając w mury Padwy, którą prawdopodobnie znał przedtém, nie mógł być ślepym na to, że pod względem okazałości gmachów, przepychu życia, zaludnienia i bogactw, Padwa nie mogła się mierzyć z czarującą królową Adryatyku. Wenecya kipiała życiem stołeczném i handlowém, Padwa zaś, niezależnie od tego, że jéj uniwersytet zaćmiewał szkołę państwową wenecką, była prowincyą. „Położona na równinie, otoczonéj od południa malowniczemi Euganejskiemi wzgórzami, które od niepamiętnych czasów okrywały bujne winnice; objęta nieforemnie łamiącym się murem, umocnionym szeregiem baszt w blanki zębionych; przerznięta wreszcie rzeką Bacchiglione, która swemi ramiony w środku miasta tworzyła obszerną wyspę: ówczesna Padwa z krętemi i źle brukowanemi ulicami, nosiła czysto średniowieczny charakter, któremu panujący tu w kościołach gotyk jeszcze więcéj wyrazistości dodawał." Ale niepoczesna w porównaniu z marmurową stolicą Dożów, Padwa miała także niejedno, z czego mogła być dumną, a jeśli mogła się chlubić pięknemi freskami Mantagna i Tycyana, zdobiącemi mury jéj kościołów, lub sarkofagiem Liviusza, odkrytym w r. 1547, to przedewszystkiém szczyciła się podaniem miejscowém, według którego Padwę, dawne Patavium, założył po zburzeniu Troi Antenor... Że poda-

nie to nie przeszło bez wrażenia na Kochanowskim, tego dowodzi chociażby jego Odprawa posłów, gdzie Antenorowi wyznaczył tak dużą i sympatyczną rolę [1]). Ale nie brakło i innych względów, dla których mógl niebawem zasmakować w życiu padewskiém, bo jeśli chodziło np. o życie studenckie, bo tutaj „żacy" grali taką rolę, o jakiéj nie mogli nawet marzyć w Wenecyi. Tam ginęli w masie ludności, a tu, zwłaszcza artyści t. j. zapisani na wydział *artium*, rej wodzili w całém mieście. „Wiadomo np., iż wiele ulic padewskich mają z arkadami podsienia, któremi w czasie upałów lub deszczu wygodnie można krążyć po mieście. Otóż podsienia te bywały zwykle placem burd i figlów studenckich. Z nadejściem bowiem mroku, młodzież akademicka zbierała się tu gromadnie i zbitą masą całą ich szerokość zająwszy, szorowała pod ich sklepieniami, wołając: *Qui va là*? *Qui va li*? i, albo roztrącała przechodniów, albo w razie doznanego oporu torowała sobie drogę kijem lub sztyletem. Niekiedy znowu wynikały krwawe bójki pomiędzy studentami z powodu przyjaciółek, któremi się Padwa roiła..." Tak bywało przez cały okrągły rok, a że nawet statut uniwersytecki nie sprzeciwiał się zabawom studentów, powołując się na staro-rzymską maksymę, „aby po pilnéj nauce następowała zabawa i rozweselenie, a to w tym celu, by umysły odświeżone stawały się chętniejszemi do przyjmowania nauk", więc bawiono się całą duszą. Zwłaszcza bawiono się raz do roku, w epoce turniejów, tańców i widowisk teatralnych, urządzanych przez młodzież akademicką, pod patronatem rektora i konsyliarzów. Był to karnawał padewski, okres awantur, pijatyk i szczególnego kultu dla złotowłoséj Wenus! „Pojedyncze jednak nacye nie poprzestawały na téj wspólnéj zabawie, ale urządzały widowiska na własną rękę. Tak nacya niemiecka w dzień św. Jana dawała każdorocznie przy ulicy ś. Katarzyny widowiska teatralne, na których ku uciesze zebranego ludu wystawiano tragedye i komedye."

Ale zabawa zabawą, a nauka nauką. Bawiono się w wolnych chwilach, pozatém uczono się, uczęszczano na wykłady; takich bowiem, dla których sama nauka była jedną z największych przyjemności życia, nie brakło między żakami padewskimi. Powtóre sam uniwersytet stał bardzo wysoko. Oprócz przedmiotów scholastycznych, do których należały filozofia moralna, logika, sofistyka, astronomia, etc. etc., przedmioty humanistyczne, choć ilościowo przedstawiające się mniéj

---

[1]) Nadto elegia XVII ks. III zaczyna się od słów: „Pomnę, co pewien mistrz brodaty (Robortollo) zwykł był mawiać do mnie tam, gdzie Antenor leży po zgonie."

świetnie, jakościowo nie pozostawiały nic do życzenia. Wykłady takiego Robortella, który w r. 1553 wykładał retorykę łacińską, były rozkoszą intelektualną dla jego licznych słuchaczów. Znakomite również, lubo mniéj rozgłośne, były prelekcye Jana Faseoli'ego, Paduańczyka, który w r. 1553 wykładał literaturę grecką, niezależnie od tego, że w téj dziedzinie właśnie, zwłaszcza gdy chodziło o Eschylosa, Robortello położył znamienite zasługi. Niemniéj wybitne były wykłady z dziedziny scholastyki, bo trzeba nadmienić, że uniwersytet padewski, choć takim był rozsadnikiem humanizmu, jednocześnie cieszył się sławą ostatniéj twierdzy Arystotelizmu. Tylko, że tu Arystotelesa wykładano w greckim oryginale. Najświetniejszą gwiazdą tego wydziału był Antoni Pessera, powstający przeciwko Platonowi, w czém mu wtórowali nawet i młodzi humaniści, gdy chodziło o kobiéty i miłość...

Poza uniwersytetem istniały t. z. akademie studenckie, czyli korporacye, zawiązywane przez młodzież różnych narodowości. Polacy, za czasów studyów Kochanowskiego, jeszcze się nie byli zorganizowali w oddzielną akademię, stanowili tylko część nacyi ultramontańskiéj. Że Kochanowski bywał na zgromadzeniach tych akademii, na których toczyły się—przy winie — rozprawy o filozofii, o Platonie i Cyceronie, o epikureizmie i stoicyzmie, o Marku Aureliuszu i Senece, tego pozwalają się domyślać jego padewskie elegie, w których nie uznaje ani epikureizmu, ani stoicyzmu; choć ku stoikom pociągają go ich zasady etyczne, na idei obowiązku oparte, ku epikurejczykom zaś — ich horacyuszowskie *Carpe diem.*

Podobnie, jak wątpić nie można, że brał udział w tych ożywionych dysputach akademickich, tak nie ulega wątpliwości, że na nich nie bywał sam, jeno w towarzystwie swych kolegów-ziomków, pomiędzy którymi prym trzymał Andrzéj Patrycy Nidecki, wymarzony towarzysz dla niego, choć wiekiem starszy, bo już liczący sobie 32 lata. Umysł humanistyczny *par excellence*, fanatycznie rozmiłowany w Cyceronie, zaprzyjaźniony z Lismaninem, pod którego wpływem, jako młody kleryk, pozostawał w Krakowie, protegowany Jędrzeja Zebrzydowskiego, biskupa krakowskiego, u którego był w wyjątkowych łaskach, (choć przedtém, już po otrzymaniu czterech mniejszych święceń, nagle wystąpił z zakonu Franciszkanów), zażyły przyjaciel Piotra Myszkowskiego i Łukasza Górnickiego, w r. 1549 poseł do Siedmiogrodu, do królowéj Izabelli, aż wreszcie podkopany na zdrowiu, kosztem Zebrzydowskiego wysłany do Włoch, aby mógł uczynić zadość gorącéj chęci zdobycia wyższéj nauki, był to już człowiek wyrobiony, dojrzały, dworski, obyty z ludźmi, a że, jako uczeń Maryckiego i Nowopolskie-

go, posiadał wiele punktów stycznych z Kochanowskim, więc wystarczało, ażeby się te „dwa *lumina* zacne korony polskiéj” zbliżyły do siebie, ażeby się po niedługim czasie związały najściślejszym węzłem przyjaźni i „mało nie jako brat z bratem doma żyjąc, wszystkie secreta ingenii z sobą communicowali i jeden nad drugiego nie mieli ani mieć chcieli rzeczy swych cenzora wiernieyszego y przednieyszego.” Zdaje się nawet, że w końcu zamieszkali razem. Bądź co bądź, polubili się nadzwyczajnie, raz dlatego, że jak powiada wspólny kolega obu, Jędrzéj Januszowski, syn drukarza krakowskiego, „pospolicie równy równego szuka,” powtóre, że, choć nierówni wiekiem, bardzo do siebie przystali usposobieniami i zamiłowaniami humanistycznemi. Jeśli się różnili, to chyba pod jednym względem tylko: Nidecki, wytrwale oddany pracy, a przytém zmuszony zważać na swe słabe zdrowie, już był obojętny na młodzieńcze rozrywki i wybryki, kiedy Kochanowski szumiał jeszcze.

Mimo to, zachęcony przykładem Nideckiego, nie zaniedbywał się w studyach, gorliwie rozczytując się w poetach rzymskich, którymi, pisząc swoje łacińskie elegie i epigramata, przejmował się z całym pietyzmem i rozmysłem. O tém, iż we Włoszech już się miało pod koniec poezyi łacińskiéj, która po takim zastępie sław, jak kardynał Bembo, Buonacorsi, Boiardo i wielu innych, coraz bardziéj traciła prawa do bytu, nie pamiętał, a przynajmniéj zapominał bardzo często. Co prawda, to go parły w tym kierunku nietylko dzieła mistrzów poezyi rzymskiéj, ale i bliskość miejsc unieśmiertelnionych w jéj arcydziełach. „Sąsiednia Mantua była kolebką Wergiliusza; niemniéj bliska Werona—Waleryusza Katulla; wybrzeże zaś południowe jeziora Garda, zwanego za czasów Rzymian *Benacus*, ulubioném miejscem pobytu tego poety. Tu na przylądku Sirmio, wciskającym się w wód błękity, wznosiła się jego willa, po któréj jeszcze do dziś dnia ślady murów pozostały... Wergiliusz, z powodu panujących na niém burz, które wysoko jego fale podnoszą, przyrównywał je do morza... Katullus zaś przylądek Sirmio nazywa wysp i półwyspów ozdobą. Nic téż dziwnego, że powróciwszy z Bitynii, na jego widok z pełnéj piersi wykrzyknął: *Salve, o venusta Sirmio!* To samo powitanie zapewne się i z piersi Kochanowskiego wydarło, gdy do téj miejscowości z Nideckim lub innymi towarzyszami zawitał” [1]).

Ale wczytując się w poetów rzymskich, nie zaniedbywał i włoskich, których utwory, pisane w narodowym i żywym języku, rugowa-

---

1) Że tu był, okazuje się z Elegii IV ks. III, w któréj opisując Włochy wspomina to jezioro.

ły poezye łacińskie. To téż, począwszy od Dantego, a skończywszy na Petrarce, w którym sobie upodobał szczególniéj, karmił się poezyą włoską, zwłaszcza studyując jéj dział erotyczny, dział sonetów, nad którym panowała wszechwładnie *donna gentile*, Beatrice i Laura. Oczywiście, że lektura ta, w miarę, jak mu coraz bardziéj zaczęła trafiać do przekonania, coraz wyraźniéj jęła się odbijać na jego twórczości: nietylko, że zachwycony Petrarką, napisał dwa łacińskie epigramaty na jego cześć, jeden na jego grób, a drugi na pisma tegoż, ale pisząc, zaczął się zapożyczać u niego, żywcem biorąc jego wyrażenia, zwroty, pomysły. Odtąd „panna najpiękniejsza" zaczyna figurować i w jego utworach, a co ważniejsza, że, choć nie przestaje pisać po łacinie, to jednak, idąc w ślady Petrarki i całéj plejady współczesnych poetów włoskich, piszących w swoim języku, coraz więcéj zaczyna pisać po polsku. Cały szereg Fraszek i drobnych wierszy, jak niektóre Anakreontyki, a przedewszystkiém Monomachia Parysowa, dadzą się odnieść do téj epoki twórczości poety.

Czy wiersze te czytywał swoim ziomkom, Nideckiemu, Barzemu, Januszowskiemu i innym? Z pewnością tak było, skoro swoich łacińskich poezyi nie chował pod korcem. Wszystko upoważnia do wniosku, że swoje elegie i epigramaty łacińskie, szczególniéj te, które były na temat miłości, czytywał na akademiach studenckich, gdzie go nie tylko znano i lubiano, ale i zaszczytnie wyróżniano z pośród siebie: gdyby było przeciwnie, z pewnością by go „nacye cyzalpińskie" nie wybrały na zastępcę konsyliarza, tak, jak to miało miejsce przy końcu roku akademickiego 1553. A gdzieżby go mieli sposobność poznać lepiéj i z lepszéj strony, jak nie na tych różnojęzycznych a wesołych i gwarnych zebraniach koleżeńskich, na których, obok polskiéj, włoskiéj, niemieckiéj i francuskiéj mowy, panowała uniwersalna łacina, a których uczestnicy, noszący—zwyczajem humanistycznym — greckie lub rzymskie przezwiska Ligurinów, Nicephontow, Diodorusów, Torquatów etc. etc. byli równie skorzy do słuchania miłosnych poezyi łacińskich, jak do swobodnych rozmów o miejskich i uniwersyteckich plotkach, o wypadkach politycznych, lub kwestyach naukowych. „Istotnie należąca do nich różnych narodowości młodzież niewiele się zapewne troszczyła o nowe w literaturze włoskiéj dążności i w erotycznych poezyach Kochanowskiego znajdując własnych uczuć odbicie, widziała w nim prawdziwie natchnionego śpiewaka. A jeśli w elegiach wyższego zadowolenia szukała, to epigramata, zostające nieraz w ścisłym związku z wypadkami i osobistościami dobrze jéj znanemi, mogła uważać słusznie za najcenniejszą zebrań koleżeńskich przyprawę." Zebrania te, które najłatwiéj wyobrazić sobie na tle miejscowych wi-

niarni, odbywały się przy winie i dziewczynie, co im nadawało specyalnie renesansowy charakter, a *Wein-Weib und Gesang* święciły tu największe tryumfy: przy brzęku kielichów i roztruchanów, przy gwarze rozmów sodalisów, sypały się grube żarty i koncepty w stylu Fraszek i niektórych epigramatów łacińskich Kochanowskiego, a wybuchom śmiechu, od którego się trzęsły wszystkie stoły, wtórowały piskliwe śmiechy „przyjaciółek", różnych Krokalid, Filid, Neer, Korynn i Cypassyd [1]).

I Kochanowski, jak tylu innych jego kolegów, nie stronił od takich „przyjaciółek", których pieszczoty niekiedy opłacał aż opiewaniem ich. Do takich należała „słodka", „uporna" i „roskoszna dziewczyna", Neera, któréj oczy „z gwiazdami walczyły o lepszą", a któréj toczone ramiona Kochanowski wspominał z podobném rozmarzeniem, z jakiém Rafael wspominał *candidi braci* Fornariny; do takich należały Krokalida i Filis, którym epigramat poety *Ad Sodales* zapewnił nieśmiertelność; do takich należała „śniada" Cypassyda, co zaproszona przez poetę na wieczerzę, „przyszła z dwoma kozłami"; do takich należała rozpustna Korynna, którą „za dwa grosze" można było mieć „bez żadnych zabiegów."

Wszystko to były miłostki przelotne, będące uciechą dla zmysłów, a godne dowcipnych i nieprzyzwoitych epigramatów; z miłością jednak, absorbującą duszę, a godną namiętnéj elegii, nie miały nic wspólnego. Ale przyszła koléj i na taką miłość.

Było to w połowie roku 1554. Poeta poznał się z Lydią. Była to dziewczyna zepsuta, choć mniéj zepsuta od innych. W każdym razie była ładniejsza! Jako taka, była na ustach wszystkich, zwłaszcza na ustach kolegów Kochanowskiego, między którymi słynęła ze swéj

---

1) Najwymowniejszą ilustracyą tych biesad koleżeńskich są niektóre epigramaty łacińskie Kochanowskiego, niewątpliwie powstałe w tych czasach. Do takich należy *Votum*, w którém poeta pragnie, by mu się puhary pieniły słodkiém winem, a dzban dostarczał niewyczerpanego nektaru; „a gdy piję (powiada), niech przy mnie siedzi wesoły towarzysz, niegardzący Bachusem, a czeladź niech ma pieczę o winnicy." To samo da się powiedziéć o epigramacie *Ad Sodales* (Do towarzyszów), w którym poeta ich zachęca, ażeby „pili póki los pozwala." „Wszak w podziemnym orku winnica nie rośnie, a beczki nie pienią się winem, lecz smętne rzeki siarką tam płyną i cis blady brzegi osłania. Tu, przyjaciele, trzeba kochać; bo skoro sroga Kloto nić przetnie, i ciebie Krokalido, i ciebie, Filido, opuścim, i przez Styks na ponuréj łodzi popłyniem..." Do téjże kategoryi należy zaliczyć i epigram *In Bacchum*: „Pijmy wino wesoło i opiewajmy Bachusa, ojca pląsów i przyjaciela pieśni... Gdy służba podaje nam dobrze doprawione puchary, wnet ucieka smutek... Więc winem się krzepmy i o troski nie dbajmy... Gdy sobie podchmielę, pragnę przewodzić w tanach, pragnę obficie skropiony wonnościami z wesołemi dziewami pląsać."

niepospolitéj urody i wdzięku. Wystarczy powiedziéć, że była blondynką, co we Włoszech, téj ojczyźnie śniadych brunetek, należy do nadzwyczajnych rzadkości. Już to samo, że była jasnowłosa, czyniło ją podobną do łabędzioszyjéj Afrodyty. Nadto odznaczała się cudnemi kształtami Fryny. „Co do urody, powiada o niéj Kochanowski w jednéj z elegii, Lydyja wytrzyma porównanie ze wszystkiemi i raczéj je przewyższy, niż pokonana ustąpi. Lice jéj jak śnieg, włos jak złoto, oczy jak gwiazdy, a wspaniałą postawą podobna do bogiń starożytnych. Czy chodzi, czy się śmieje, czy mówi, sądzisz, że przepasana opaską Wenery. Robót kobiecych, zdaje się, Pallada ją nauczyła; wszystko lekką igiełką wyszyć potrafi... Gdy dźwięcznym głosem z lirą Orfeusza słodkie łączy słowa, sądziłbyś, że Syrena śpiewa." Tak pisał poeta, oczarowany pięknością „złotéj Lydii", która swe jasne włosy „trefiła żelazkiem," a która, usidliwszy go, takie żary zdołała rozniecić w jego młodzieńczém sercu, słowem, tak go potrafiła opętać, że z swawolnego birbanta zmienił się w zakochanego Romea. Coprawda, to nie była to zwykła hetera, jak owe Neery i Korynny z *Epigramatów*; zdaje się nawet, że mieszkała przy rodzicach, że chcąc się widywać z poetą, musiała walczyć z pewnemi trudnościami, wynikającemi z jéj położenia, co ją niezmiernie podnosiło w oczach kochanka. Powtóre nie była wcale łatwa do zdobycia, bo moralnie wyższa od innych „przyjaciółek" młodzieży akademickiéj, przepadającéj za nią, oddawała się tylko wybranym z pomiędzy wielu, przebierając w nich, jak w ulęgałkach. To jéj cenienie się sprawiało, że gdy wyróżniła kogo, to go zaraz przykuwała do siebie, a przykuwała tém silniéj, że działając na zmysły, jednocześnie budziła i czystsze uczucia. Tak było i z Kochanowskim. Na swoje szczęście, poeta miał wiele danych po temu, ażeby i taką Lydię zainteresować swoją osobą. Musiała słyszéć o nim, jako poecie, a że odznaczała się „umysłem wykształconym", więc mógł jéj imponować nawet... Dość, że zaprzyjaźniła się z nim, że zaczęła lgnąć do niego, że się zgodziła na jedną i drugą samotną przechadzkę nad brzegami Meduaku, że w końcu, zmuszona kryć się ze swoją zakazaną miłością, na romansowe schadzki z poetą, które z nim miewała wieczorami, musiała przychodzić potajemnie, przebrana po męzku. Wszystko to rozniecało coraz gorętszy płomień miłości w młodym poecie, a rozniecało témbardziéj, że Lydia, choć się stawiała na umówione schadzki, była oporną, pozwalała na wiele, ale nie na wszystko. Poeta napróżno pukał do jéj drzwi: nie otwierały się. Cierpiał więc, odchodził z niczém, zapewniając samego siebie, że taka nieufność ze strony ukochanéj, „śmierci się równa," ale gotów był „znieść wszystko, byle tylko nie odjęto mi wszelkiéj nadziei prze-

błagania ciebie, o Lydio!" Przebłagał ją w końcu: oddała mu się. Zaczęły się dni szczęścia, a choć nie łudził się co do cnoty swéj złotowłoséj pieszczotki, to jednak uważał ją za cnotliwą, że oddawała się jemu jednemu tylko... Jedném słowem, rozkochany w ślicznéj dziewczynie, zapominał o jéj płochości, a miłość swą, pod któréj wpływem pisał coraz piękniejsze elegie, traktował na seryo. O niéj śpiewała jego łacińska i „młoda słowiańska Muza", co znaczy, że go pobudzała i do pisania polskich wierszy, a sławiąc ją, jako swą „pannę najpiękniejszą", przekonany był, że jeśli pieśni jego „mają jaki powab", to zawdzięczał to Lydii. Tymczasem i ona zdążyła się zakochać w poecie, tak dalece nawet, że stała się chorobliwie zazdrosną o niego, że go chciała mieć dla siebie wyłącznie... Ta zazdrość z jéj strony, która tak mogła schlebiać Janowi, stała się przyczyną pierwszego dysonansu w ich stosunku. Oto zdarzył się niegodziwiec, który, chcąc poecie odbić kochankę, zaczął jéj w wątpliwość podawać jego uczucia. Na samą myśl o tém, że się Kochanowski sprzeniewierza jéj, że ją zdradza z inną, Lydia wpadła w rozpacz, czém wzruszony poeta, chcąc ją przekonać o swéj wierności, napisał elegię, jedną z najczulszych, jakiemi go natchnęła miłość ku Lydii. „Dopókiż moje życie, gorzkie łzy wznawiać, dopókiż białe lica łzami skrapiać będziesz? To nie łzy twoje, lecz krew moja własna, co z twych oczu płynie, co zrasza twe szkarłatne jagody!"

W takim nastroju zastał poetę Andrzéj Dudycz. Przyjeżdżał z Paryża, gdzie studyował pod francuskimi mistrzami, a jeśli przyjechał do Padwy, to w tym celu jedynie, ażeby tu pod słynnym Gidonem Poncirollą rozpocząć studya prawne. Poza temi studyami jednak, któremi, płochy z natury, nie obciążał się zbytnio, prowadził życie wesołe, rozpustne, które sobie osładzał miłością „czarującéj Menofili", ale miłości téj, pomimo namiętnego przywiązania ze strony kochanki, nie traktował poważnie. Bawił się, ale serce miał wolne, widząc zaś, że Kochanowski naprawdę zakochał się w swojéj Lydii, że się przywiązał do niéj, jak się do tego rodzaju „przyjaciółki" przywiązywać nie należy, starał mu się amory te wybić z głowy. Ale przekonał się niebawem, że Kochanowski zabrnął głębiéj, niż on przypuszczał pierwotnie. Dlatego, kiedy mu w drugiéj połowie r. 1554 wypadło jechać do Anglii, postanowił nakłonić poetę, ażeby jechał z nim razem. Poprostu chciał go oderwać od Lydii, a nie przewidywał zupełnie, że trafi na zacięty opór z jego strony. Widząc, że go Anglia nie nęci, doradzał mu Paryż, z którego sam miał najrozkoszniejsze wspomnienia, a którego zakładom naukowym zwłaszcza nieporównanemu *Collège des trois langues*, przyznawał pierwszeństwo nad Padwą. Ale daremnie perswadował

poecie, że sama zmiana mistrzów, a więc poznanie odmiennych metod wykładów i badań, może być tylko z największą korzyścią dla niego, że Padwa, jako miasto, nie może iść w porównanie z świetną stolicą Francyi: Kochanowski, choć mu się wyjazd taki uśmiechał pod wieloma względami, wobec łez i narzekań Lydii, oświadczył stanowczo, że zostanie, a odjeżdżającemu Dudyczowi, który z lekkiém sercem porzucał rozkochaną w nim Menofilę, napisał elegię na pożegnanie, elegię, w której wyrzuca przyjacielowi, że wyjeżdża mimo zaklęć nieszczęsnéj kochanki, a porzuca ją nie dla innéj, lecz dla karyery. „Ach kamieniem jest, kto dla zysku miłość porzucił; we mnie nie znajdzie on naśladowcy. Czyż bowiem mógłbym patrzéć na płaczącą kochankę, lub powstrzymywać łzy na suchych policzkach, gdyby szalona poczęła uszy trapić skargami i gniewną ręką twarz sobie do krwi ranić? Niechaj pozostanę biednym, bylebym z tobą był, moja Lydio! Gdy ciebie posiadam, wszystkie mi królestwa za nic!..” Skończyło się na tém, że Dudycz pojechał sam, a poeta został w Padwie, przy boku złotowłoséj Lydii.

Widząc to, Nidecki, przed którym poeta nie robił tajemnicy z tego, że tylko dla Lydii został we Włoszech, zaczął się niepokoić o niego. Wprawdzie o małżeństwie nie było mowy, skoro sama Lydia zapewniała swego kochanka, że choć zazdrosna o niego, „nie pragnie go od ziemi ojczystéj odciągać lub poślubiona łoże jego dzielić” (na to nie był dość bogaty dla niéj!), ale nie ulegało wątpliwości, że go ten romans z piękną zalotnicą pozbawiał spokoju i zdrowia, że go kosztował mnóstwo czasu, odjętego poważnym studyom (nie mówiąc już o wydatkach). Więc zaczął tłomaczyć poecie, że stosunku z Lydią nie powinien uważać za inny, tylko za przemijającą miłostkę, i dlatego źle zrobił, jego zdaniem, że nie pojechał z Dudyczem do Francyi, coraz bardziéj słynącéj ze swoich sztuk i nauk. Lecz te morały Nideckiego, choć podyktowane przez prawdziwą przyjaźń i życzliwość, nie znalazły oddźwięku w psychice zakochanego poety: tyle tylko, że na nie odpowiedział żartobliwym epigramatem łacińskim *Do Andrzeja Patrycego*, epigramatem, w którym zapewnia swego przyjaciela, że na Amora niema sposobu. „Sam nie wiem, co począć z tym niegodziwcem: chociaż bowiem chciałbym względem niego być okrutnym i choć na to zupełnie zasługuje, nie mogę... Nie brak mu skarg, żeby mię zmiękczyć, nie brak próśb, któremi mnie nietylko przejednać, lecz nawet zniewolić umié. Czy to pieszczotliwemi rączkami szyję obejmie, czy krasnemi ustami pocałuje, ten jego uścisk i srogą burzę morską zdołałby uśmierzyć, a ten gorący pocałunek nawet zagniewanemu Jowiszowi piorun wytrąciłby z ręki.”

Więc trwał w tym „okrutnym żarze, co przedtém z daleka go parzył”, ale tymczasem coś się zaczęło psuć w jego stosunku do Lydii. Zauważył, że była jakby obojętniejszą, że jéj jakby coraz mniéj zależało na widywaniu się z nim, aż w końcu raz i drugi, kiedy on stawił się na umówioną schadzkę, ona nie przyszła, pozwoliła mu czekać napróżno. Co gorsza, to, że go taki zawód spotkał kilka razy z rzędu; tak, iż upłynął czas jakiś, a on nie mógł się zobaczyć z ukochaną. Co to jest? myślał sobie, i zaraz opadły go furye podejrzeń. A nuż go Lydia zdradza... W tém uczuciu, szarpany wściekłą zazdrością, napisał namiętną elegię, pełną wyrzutów i złorzeczeń pod adresem Lydyi. „Niecna! dla ciebie całą noc czuwam i ptak już pełném gardłem dzień zapowiada; tymczasem ty, z włosami strojnemi w kwiaty, siedzisz pomiędzy pełnemi puharami, albo przy dźwięku lutni przewodniczysz tańcom, a zamiast mnie, towarzyszy ci kto inny... Ach, niewierny rodzie! Tylko zdradzać umiecie i z biednych mężczyzn się naigrawać. Nieszczęsny, kto łatwe daje wam ucho, albo mniema, że słowa u was jakąś wagę mają. Ten może wierzyć, że deszcz suchy, a ogień mokry, kto wierzy, że wy bez zdrady mówicie.”

Ale mężczyzna, gdy kocha, jest łatwowierny, a kobiety, gdy chodzi o wytłomaczenie, o wybicie czegoś z głowy mężczyźnie, bywają wielce pomysłowe w takich razach. Była téż nią i Lydia, która, jeżeli nawet chwilowo zdradzała poetę, to jednak zdecydowawszy się nie zrywać z nim ostatecznie, tak mu potrafiła usprawiedliwić swoją nieobecność na kilku schadzkach, tak go potrafiła przekonać, że ją podejrzewał niesłusznie, ba, że ją krzywdził swemi podejrzeniami, bo ona jego tylko jednego kocha, że uspokojony poeta, nietylko uwierzył jéj zapewnieniom, ale téj swojéj wierze w niezachwianą miłość Lydii dał wyraz w osobnéj elegii, w któréj woła z zachwytem: „O, trzykroć, czterykroć, bez liku szczęśliwi ci, w których sercu wzajemna gore miłość!“

Taki stan rzeczy trwał aż do maja 1555 roku. Swoją drogą, choć pewny wierności i miłości kochanki, nie mógł się chwilami opędzić refleksyi (zwłaszcza, gdy obliczał, ile złota kosztowała go ta „złota” *gentil donna*), czy gdyby był mniéj hojny, mniéj skory do wydawania pieniędzy, gdy chodziło o zaspokojenie różnych zachcianek Lydii, czy i wtenczas byłby kochany równie namiętnie: jedném słowem, czy go Lydia nie wyzyskiwała przypadkiem, zarówno jego zaufania, jak trzosa. „Teraz bowiem (czytamy w jednéj elegii, w téj saméj, gdzie jest mowa o wzajemnéj miłości Lydii) złoto jest w cenie: złoto, wierzaj mi, trzeba przynieść z sobą, kto chce miłością się parać... Tu nic nie znaczy szlachectwo, ani rodziców starożytna chwała, tu ani cnota, ani

dowcip popłaca. Kto dał, zrównał się czynami z wielkim Achillesem; kto dał, zwycięży twe wiersze, Homerze! Ale ubogiego wyśmieją i o próg wilgotny często szlachetnego boku nadetrze, wytrzymując mróz silny i deszcze nocne, gdy inny na łonie pani spoczywać będzie...”

Na szczęście dla poety, podobne refleksye rzadko wytrącały go z równowagi: był zakochany, a więc łatwowierny i ślepy na różne ujemne strony swéj lubéj. Ostatecznie posiadał ją, a tego pożądał przedewszystkiém.

Nagle wypadło mu rozstać się z nią, i to na nieokreślony przeciąg czasu. W mieście wybuchła zaraza. Znaczna część mieszkańców, uciekając przed koszącą śmiercią, chroniła się w górzyste okolice, a zdaje się, że w téj liczbie byli i rodzice Lydii: przynajmniéj ona „uszła w szerokie pola, wartkiém uniesiona kołem”. Poeta pozostał sam, a w jakiém usposobieniu był po rozstaniu się z kochanką, jak na wszystko patrzył przez pryzmat tęsknoty za nią, o tém świadczy początek Elegii XIII éj, napisanéj po wyjeździe Lydii, a w któréj Padwa jest nazwana „niewdzięczném miastem”.

Tymczasem zaraza wzmagała się z dniem każdym, tak, iż w uniwersytecie musiano przerwać wykłady. Studenci poczęli się rozpraszać, a senat wenecki zaczął się zastanawiać nad przeniesieniem uniwersytetu. W takich warunkach i Kochanowski nie miał co robić w Padwie. Co począć więc? Dokąd jechać? Najchętniéj pojechałby tam, gdzie przebywała Lydia, ale to było niemożebne. Bądź co bądź należało myśléć o znalezieniu jakiego bezpiecznego schronienia przed pomorem... Wszystkie te wątpliwości rozstrzygnął Nidecki, któremu właśnie wypadła w interesach kościoła, z polecenia Zebrzydowskiego, podróż do Rzymu. Namówił więc Kochanowskiego, żeby jechał z nim razem. Poeta zgodził się, ile że nic nie wiązało go z Padwą, skoro ją opuściła Lydia, i pojechali [1]).

---

[1]) Nie jest to wcale pewnêm, motywy jednak, które prof. Pienkiewicz przytacza na poparcie téj hypotezy, są bardzo przekonywające. „Dowiadujemy się z życiorysu Andrzeja Nideckiego, iż ten za pierwszą swą bytnością w Padwie (1554—1556) „dotarł do bram wiecznego miasta i tu wszedł w stosunki z kardynałami Moronim i Puteonem, generalnym inkwizytorem kościoła i wielkim przyjacielem Polaków.“ Do przedsięwzięcia zaś téj podróży skłaniały Nideckiego nietylko naukowe pobudki, ale i poruczone mu przez biskupa krakowskiego sprawy kościoła, które on miał Puteonowi przedłożyć. Bez rozminięcia się przeto z prawdą, jesteśmy w prawie przypuścić, że poeta w jego towarzystwie zwiedził *Romam aeternam*. Jeżeli bowiem kiedy do tego stosowna nadarzała się pora, to bezwątpienia w czasie, gdy panująca zaraza w Padwie zmuszała szukać bezpieczniejszego schronienia.“

Na pytanie, jakie wrażenie zrobiła na Kochanowskim *Roma aeterna?* odpowiada jedna z jego elegii łacińskich, w któréj tak pisze o wieczném mieście: „Czegoż czas niszczący w ciągu długich lat nie pokona, czegoż — choćby było najszczytniejszém — dnie żarłoczne nie pochłoną? Owo siedlisko bogów, stolica świata, złoty Rzym, na pół zapadły, ledwo imię swoje zachowuje; zaprawdę, takie już twarde prawo rzeczom ludzkim przeznaczone, że co najwyżéj się wzniesie, najniżéj upadnie. Taki los i Rzym spotkał...” Widoczna, że wrażenie, jakie na poecie zrobił Rzym, było smutne, przygnębiające! Dziwna rzecz! Bo przecież ten Rzym, po którym teraz błądził Kochanowski, roił się jeszcze tłumem artystów ze starym Michałem Aniołem na czele, artystów, „którzy w pełni twórczości wznosili na poddziw światu tchnące wspaniałością świątynie, wille i pańskie pałace, zdobili pędzlem ich facyaty i wnętrza, lub w przysionkach, dziedzińcach i na placach publicznych stawiali posągi, walczące o pierwszeństwo z grecką skulpturą!” Wszak była to epoka najświetniejsza dla chrześciańskiego Rzymu, epoka najwyższego rozkwitu renesansu w sztuce, mogąca się pochlubić takimi papieżami-mecenasami, jak Juliusz II i Leon X; takimi artystami, jak niedawno zmarły Rafael, i takiemi arcydziełami malarstwa i architektury, jak *Loggie* Rafaela, jak kościół Św. Piotra, jak sklepienie kaplicy Sykstyńskiéj. A ogrody watykańskie, a tyle arcydzieł rzeźby starożytnéj, zdobiących rezydencyę papieży, a *Laokoon*, a Apollo Belwederski, a *Mojżesz* Michała Anioła? Czyż Kochanowski nie widział tych cudów? Owszem, widział, bo inaczéj nie pisałby był w téjże elegii: „Mam-że jeszcze wspominać grody, silnym obwiedzione murem, i tylu sławnych mistrzów? mam-że wspominać obrazy i posągi, świątynie bogów, od złota błyszczące, tylu dzieł pomniki i ogromy, groźne jak piramidy?” Nie ulega wątpliwości, że to wszystko Kochanowski oglądał za swego pobytu w Rzymie, tak samo, jak nieraz patrzył zamyślony na „bystry Tyber”, bieżący „pod dawny mur”, ale również nie ulega wątpliwości i to, że go zarówno te świątynie „od złota błyszczące”, przez które należy rozumiéć kościół Św. Piotra, jak i te „obrazy i posągi”, pozostawiły zimnym. Czemu? Bo nie miał zmysłu do odczuwania piękna w sztukach plastycznych, z czego sobie nawet sam doskonale zdawał sprawę, jak tego dowodzi jeden z *Fragmentów*:

Ja na farbach malarskich nic się nie rozumiem,
Także wiele z marmurem postępować umiem.

Jedném słowem, nie znał się na malarstwie, ani na rzeźbie. Powtóre, wybierając się do Rzymu, jechał nie po to, ażeby tu podziwiać arcy-

dzieła dłuta i pędzla mistrzów odrodzenia włoskiego: czego innego szukał, czego innego był ciekawy. A tego nie znalazł, to zaś, co znalazł, rozczarowało go. Bo nie o Rzym współczesny mu chodziło, ani o stolicę katolicyzmu (w któréj był raczéj skłonny dopatrywać się—jak protestanci — apokaliptycznego Babilonu, aniżeli zachwycać się pompą obrzędów religijnych, lub przepychem dworu papieskiego), ale o Rzym starożytny, Rzym z czasów Cycerona i Wergiliusza. Niestety, o ile przyjechał spragniony oglądania i podziwiania resztek starożytnéj Romy, o tyle zawód, jaki go spotkał pod tym względem, równał się pierwotnemu zapałowi na myśl, że zobaczy to wszystko. Tymczasem to, co zostało po dawnéj stolicy imperyum, równało się stosom rozwalisk i gruzów. Na *Forum Romanum*, gdzie rozlegał się głos Cycerona, z pośród grubéj, wiekami nagromadzonéj warstwy nasypisk, stérczały głowice kolumn, lub szczyty łuków tryumfalnych, ukryte wśród drzew i krzewów, porastających wśród rozwalin. Na rozłożystym Palatynie, wznosiły się olbrzymie mury i arkady pałacu Cezarów, porosłe krzewami i chwastem, a na sklepieniach, pokrywających niższe piętra budowy, wznoszono wille, zakładano ogrody, siano zboże. Podobny widok przedstawiały Termy Karakalli, forum Trajana... Coż dziwnego więc, że poeta-cyceryonianin, patrząc na te kupy gruzów, odwracał od nich oczy, jak od upiora minionéj wielkości i chwały, i że nie mogąc w nich odnaléść ducha dawnych Kwirytów, zwrócił się wyłącznie ku literaturze rzymskiéj, w któréj był tak biegły, a w któréj ów duch starożytnéj Romy, zaklęty w śpiżowe słowa wielkich mówców, historyków i poetów, przetrwał wszystkie kataklizmy stuleci. Poetyczném odbiciem tego wrażenia, jakie na nim uczynił „nawpół zagrzebany" Rzym starożytny, jest fraszka *O Rzymie*:

Jako wszytki narody Rzymowi służyły,
Póki mu dostawało y szczęścia. y siły:
Także téż, skoro mu się powinęła noga,
Ze wszystkiego nań świata uderzyła trwoga.
F o r t u n n i e y s z y b y ł j ę z y k: bo ten y dziś miły:
Tak zawżdy trwalszy owoc dowcipu, niż siły.

Czytając tę *Fraszkę*, mimowoli myśli się o *Irydyonie* Krasińskiego, a wyobrażając sobie Kochanowskiego, przypatrującego się — z Nideckim pospołu — tym „nawpół zagrzebanym" ruinom dawnych pałaców i świątyń rzymskich, myśli się o wstępie do *Irydyona*... „Gdzie postacie, które tak dumnie i wzniośle kroczyły dawniéj po twoich siedmiu wzgórzach, o Rzymie? Gdzie patrycyusze twoi, z nożem ofiarnym i włócznią w ręku, z sercem pełném tajemnic, z chmurą zgrozy na czole, ojcowie rodzin, ciemięzcy plebejanów, ukróciciele Włoch i Kar-

tagi? Gdzie Westalka wstępująca w milczeniu z ogniem świętym na schody Kapitolu? Gdzie mówce twoi, panowie dusz tysiąców, stojący ponad falami ludu, gwarem poszeptów obwiani i burzą poklasków? Gdzie żołnierze legionów, bezsenni, ogromni, z twarzą spiekłą od słońca, ochładzaną znojem, rozjaśnianą połyskami mieczów?... Wszyscy zniknęli jedni po drugich: przeszłość ich zagarnęła i, jak matka, tuli do łona. Nikt ich nie wydrze przeszłości... Miasto nich podnoszą się nieznane dotąd kształty, ni piękne, jak półbogi, ni silne, jak olbrzymy tytańskich czasów, ale dziwaczne, migające złotem... Kędy miasto wieczne panowało, dziś grób szeroki, rozwarty, napełniony kośćmi i gruzem, opleciony pełzającym bluszczem..." Można być pewnym, że w takim samym nastroju, jak ten, który tak po mistrzowsku oddają te poetyczne słowa *Irydyona*, i Kochanowski błądził nad brzegami Tybru, „smętnie t e r a z toczącego swe wody".

Dlatego z przyjemnością uciekał do pobliskiego Tiburu, nad „miłe brzegi Anijenu" [1]), dokąd go, oprócz górskiego orzeźwiającego powietrza, nęciły wspomnienia Horacego. Zrobił także wycieczkę do Neapolu, wrażenie zaś, jakiego doznał, zwiedzając ten starożytny gród Parthenope, odbiło się w jednéj z *Fraszek* poety:

Dojedź y Parthenopy, a uirzysz te lasy,
Gdzie złotey rózgi szukał Eneasz przed czasy;
Tamże y piekło będzie y ogromna skała,
Z którey wieszcza Sybilla odpowiedź dawała.

Neapol, do którego, zdaje się, pojechał sam (Nidecki bowiem, zajęty sprawami kościoła krakowskiego, nie mógł się ruszać z Rzymu), bardziéj mu się podobał, niż wieczne miasto; tutaj bowiem, wśród lazurów i opalowych blasków zatoki Baja, znalazł mniéj ruin, a więcéj wspomnień o poetach, o Cyceronie. Tutaj słynny mówca rzymski posiadał dwie wille, a w jednéj z nich, zwanéj akademią, a położonéj nad morzem, wykończył większą część swoich pism filozoficznych. Tutaj znajdowały się swe dawne Baje, o których mówi Horacy, „że ich żadne na świecie ustronie nie przewyższa powabem." Tutaj, na tych rozkosznych wybrzeżach, uwieńczonych dymiącym Wezuwiuszem, rozgrywały się najnamiętniejsze sceny romansu Propercyusza i Cyntyi. Tutaj znajdowała się willa Cezara, ulubiona rezydencya Oktawii, siostry Augusta, któréj Wergiliusz — w téj willi właśnie — czytywał wyjątki z *Eneidy*. I tutaj wreszcie, w północnéj stronie Neapolu, u samego wstępu do groty Pauzylipu, już opisanéj przez Senekę, znajduje się

---

[1]) Zob. Elegia XIII, ks. III.

grobowiec Wergiliusza, „na którym, za czasów Kochanowskiego, w całéj świéżości zielenił się laur, zasadzony ręką poświęconą Petrarki.“ Wszystko to musiało głęboko wzruszać poetę.

Tymczasem minęło lato, zbliżał się początek roku akademickiego, a z Padwy dochodziły pomyślne wieści o wygasającéj zarazie. Jednocześnie i Nidecki zdążył uporać się ze sprawami biskupstwa krakowskiego, w których pertraktował z kardynałem Puteonem. Spełniwszy swój obowiązek, mógł wracać do Padwy. Wrócił tedy, a Kochanowski pojechał z nim razem. Było to na jesieni r. 1555.

Wracając do grodu Antenora, Kochanowski nietyle myślał o Robortellu i jego wykładach, na które miał uczęszczać w dalszym ciągu, ile o Lydii, co do któréj najwięcéj interesował się pytaniem: wróciła już, czy nie jeszcze? Okazało się, że nie wróciła. Stąd smutek poety. Elegia IX, księgi I, opiewająca żale nieszczęśliwego Likota, pasterza, za Filidą, jest wyrazem téj tęsknoty za Lydią: Likotas—to Kochanowski, Filida—to Lydia. „Filido, bez ciebie nie ma żadnéj pociechy dla biédnego Likota: po rozłączeniu z tobą utracił on wszystkie radości. Bez ciebie, czy to dzień, czy noc wilgotna panuje na niebie, ni nocą, ni we dnie płakać on nie przestaje; strudzone oczy nie kleją mu się do snu słodkiego; ni pióro, ni muza, nie sprawiają mu już przyjemności. Ciebie jednéj szuka on ustawicznie w strapionéem sercu, o ciebie pytają wszystkie pagórki i gaje... Opłakują go i sosny szyszkorodne, i wawrzyny zielone, i strome skały na wierzchołkach gór. Ty jedna twardszą jesteś od skały i dębu; ty jedna nie użalisz się nad ludzkiém nieszczęściem; ty pozwalasz, by Likotas od frasunku okrutnego zmarniał; tyś obojętną na to, czy żyje on, czy ginie. Jeżeli go stracisz, któż ci wtedy pieśni nucić, kto pod wysokie niebiosa sławić cię będzie?” A nie wiedział poeta, że kiedy pisał o téj obojętności kochanki, twardszéj od skały, miał jakby wieszcze przeczucie tego, co go miało spotkać niebawem. Bo któż mógł przewidziéć, że Lydia, wróciwszy do Padwy, wróci na to tylko, ażeby nie chciéć odnowić dawnego stosunku z młodym *forestierem.* A jednak cios taki miał spotkać poetę. Lydia wróciła, ale wróciła zajęta kim innym. Poeta spostrzegł to odrazu, a kiedy płocha dziewczyna dała mu wyraźnie do zrozumienia, że wszystko już skończone pomiędzy nimi, porzucony kochanek wpadł w rozpacz Nieszczęście chciało, że nawet poskarżyć się nie miał przed kim, Nidecki bowiem, który był jego powiernikiem w takich razach, właśnie bawił w Wenecyi, u Manucyusza. W tém uczuciu napisał epigram *Ad Andream Patricium*, w którym zapewnia przyjaciela, że nikogo tak widziéć nie pragnie, „jak ciebie, mój Patrycy, w tym moim smutku. Jeżeli przeto życie me jest ci drogie, nie zwódź-że mnie wciąż, błagam

cię, nadzieją swego powrotu; gdyż albo ty, albo nikt nie potrafi uleczyć méj boleści..." A kiedy Nidecki powrócił w końcu, poeta, na powitanie jego, napisał taką smutną fraszkę *Do Jędrzeja*:

Który mój nieprzyjaciel, y człowiek tak srogi,
Trzymał cię po te czasy, Jędrzeju mój drogi,
Kiedym cię ja najbardziéj smutny potrzebował,
Abyś mię był w mym ciężkim frasunku ratował?
Serce mi bowiem żarły troski nieuśpione,
Jakie nieleda komu mogą być zwierzone.
By mi cię wżdy nakoniec odesłał był cało,
Nie takby mię nieszczęście moje frasowało.

A po téj fraszce nastąpiła inna, w któréj strapiony poeta prosił Andrzeja, ażeby mu radził, co ma czynić w tém dopuszczeniu, ażeby go ratował, starał się wyrwać z niedoli:

...Jakiem ja dary dawał? jakiem rymy składał?
A dziś mię wstyd: bom więcéj, niż było, przykładał.
Równałem często jéj płeć ku rumianéj zarzy,
A ona kramną barwę nosiła na twarzy.
Chwaliłem jéj niegodne chwały obyczaje,
Więc mi téż mą nieprawdę fałszem dziś oddaje.
Przeto póki gniew świeży w mym sercu panuje,
Póki człowiek swą krzywdę i wzgardzenie czuje,
Ratuj mię, jako możesz, a wyrwi z niedoli:
Nie wiesz, jako niewdzięczna miłość sercu boli.

Tymczasem Lydia uciekała mu z oczu, unikała okazyi do spotkania się z nim, i pozwalając mu „ginąć stroskanemu", upoważniała do przypuszczeń, że kto inny zażywa jéj słodkich pieszczot. Zrozpaczony poeta zaczął — w elegiach — myśléć o samobójstwie, a zanim się zdecydował targnąć na własne życie, pocieszał się trunkiem. Zaczął pić na umor, chcąc w winie zatopić swe „troski nieuśpione". Doszło do tego, że koledzy jego, widząc, w jaki sposób szukał pociechy, aż go musieli powstrzymywać od nadmiernych libacyi na cześć Bachusa... Jednocześnie, uniesiony ambicyą, postanowił nie wysługiwać się przewrotnéj dziewce, tudzież zaprzestać wszelkich starań o odzyskanie jéj utraconych względów. Porzuciła go, trudno: trzeba się pogodzić z tą myślą! Ot, lepiéj uczyni, gdy sobie poszuka innéj, która go oceni tak, jak na to zasługiwał... I kto wié, czy nie zaczął rozglądać się za inną, o czém dowiedziawszy się Lydia, urażona w swéj miłości własnéj, poczęła czynić jakby pewne kroki ku zgodzie, a gdy poeta nie pozostał obojętny na te zwodnicze nadzieje, któremi go dawna kochanka zdawała się pociągać ku sobie, gdy dostrzegła tylko, że gotów wrócić do niéj, w téj chwili odzyskiwała swą mrożącą obojętność dla niego,

którą go drażniła jeszcze bardziéj. Wyczerpany tém wszystkiém, Kochanowski zwątpił ostatecznie, ażeby Lydia kiedykolwiek wróciła do niego, i przekonany o jéj zmienności, cały żal, jakim mu wezbrało zranione serce, wylał w namiętnéj elegii: „Nieszczęsny to był dzień, gdy ciebie, Lydio, ujrzały moje oczy! Biada mi, żem równocześnie nie poznał się na twoich obyczajach, nie ocenił twego umysłu! Czemuż nie jesteś tak stałą, jak celujesz urodą? Serce twe, niestety, nie odpowiada piękności. Ale i sławę z niéj, niegodziwa, zawdzięczasz mnie jedynie! Lecz przyjdzie czas, gdy sobie moją wierność przypomnisz. Ale ja ucieknę wtedy, wiarołomna, od ciebie."

Tymczasem zaszedł fakt, który jego uwagę zwrócił w innym kierunku. W marcu 1556 r. rozeszła się wieść, że królowa Bona, jadąca z Polski, będzie przejeżdżała przez Padwę. Jakoż niebawem zaczęto czynić przygotowania na jéj przyjęcie, wznoszono bramy tryumfalne, etc., a wkrótce Padwa zaroiła się mnóstwem przyjezdnych z Wenecyi i Neapolu, przybyłych na powitanie Bony. Zjechało się dużo arystokracyi, aż w końcu, d. 27 marca przybyła królowa, witana przez wysłańców senatu, którzy ją zapraszali do Wenecyi, oraz przez miejscowego podestę, a przedewszystkiém przez gremium profesorów uniwersytetu, „którego rektorzy przedstawili jéj Polaków na naukach bawiących". Tym sposobem chyba i Kochanowski został zaprezentowany królowéj. Następnie, po świetnéj uroczystości przyjęcia, Bona, wraz z całym orszakiem dworzan i fraucymeru, zatrzymała się w Padwie, a z nadejściem wielkiego tygodnia, dla odbycia rekolekcyi i spowiedzi, zamknęła się w miejscowym klasztorze św. Stefana. Dopiéro d. 27-go kwietnia, a więc po całomiesięcznym pobycie w grodzie Antenora, udała się do Wenecyi... W ciągu tego miesiąca, Kochanowski, któremu hołdy składane Bonie, jako królowéj polskiéj, musiały mile głaskać jego uczucie narodowéj dumy, zbliżył się do dworu, w którym było wielu Polaków, a bardzo być może, iż starał się także o zawarcie bliższych znajomości z pannami z fraucymeru królowéj... Nie uszło to baczności Lydii, która, może powodowana odrobiną zazdrości, a niewątpliwie wyrachowaniem, że jednak ten młody poeta nie musi być byle kim, skoro ma przystęp i do królewskiego dworu, znowu się zbliżyła do Kochanowskiego, zaczęła nań zastawiać sidła, a poeta, w którego sercu jeszcze nie była wygasła namiętność dla pięknéj zalotnicy, nietylko w te sidła dał się złapać odrazu, ale uwierzył w niewinność Lydii: przebiegła Włoszka zdołała wmówić w niego, iż mu ciągle była wierna, że jeśli ją posądzał o niewierność w czasie, gdy się odeń trzymała zdaleka, to ją krzywdził takiemi podejrzeniami: ona bowiem, rozkochana w nim tylko, przez cały czas była mu wierną duszą i ciałem.

Jedném słowem, nie ona zawiniła, lecz on, nie ona powinna go przepraszać, ale przeciwnie, bo wszystkiemu, co zaszło, wszystkim nieporozumieniom i dysonansom, on był winien, gdyż ona kochała go zawsze a nawet więcéj, niż na to zasługiwał. Skończyło się na tém, że poeta dał się przekonać wykrętnéj kochance, że całą winę wziął na siebie, no, i co za tém idzie, przeprosił Lydię.. Tym sposobem pogodzili się znowu.

Po chwilowém złudzeniu jednak, jakiemu uległ poeta, niebawem przyszło ponowne rozczarowanie. Lydia bowiem, o ile okazała się skorą do odnowienia stosunku z porzuconym kochankiem, o tyle przekonawszy się, że jéj wielbiciel, pomimo swych stosunków z dworem królowéj polskiéj, wcale bogatszym nie jest po jéj wyjeździe, niż przedtém, zaczęła bardzo szybko ostygać w swéj miłości dla niego, a kiedy sobie upatrzyła bardziéj intratną zdobycz, porzuciła go. Kochanowski wpadł w rozpacz, a że był recydywistą na punkcie swéj miłości ku Lydii, więc od tego nowego miłosnego zastrzału cierpiał tém silniéj. Widząc to Nidecki postanowił raz nareszcie koniec położyć téj namiętności swego przyjaciela. W jaki sposób? Uważał, że Kochanowski bądź co bądź powinien wyjechać z Padwy. Ale dokąd? Do Paryża. Cóż, kiedy Paryż nie uśmiechał się poecie: miał jakąś nieumotywowaną odrazę do niego. Nagle zaszła okoliczność, która Nideckiemu ułatwiła zadanie nakłonienia Kochanowskiego, ażeby porzucił mury Padwy: był to list od Zebrzydowskiego, naglący Nideckiego do powrotu, albowiem obecność jego w kraju, jako biegłego w redagowaniu urzędowych aktów łacińskich, była niezbędną. Nidecki nie wahał się ani chwili, lecz postanowił jechać zaraz; że jednak było to pod sam koniec roku akademickiego 1555 — 1556, więc decydując się na natychmiastowy wyjazd, postanowił wyjechać nie sam, lecz z Kochanowskim, dla którego dalsze pozostawanie w Padwie, w bliskości Lydii, uważał za zgubne. W tym celu, niezrażony tém, że go nie zdołał namówić na wyjazd do Paryża, zaczął namawiać go, ażeby z nim na czas wakacyi pojechał do kraju, do Sycyny: tam (myślał sobie) wpływ matki, braci i sióstr, poparty wpływem atmosfery rodzinnéj, patryarchalnéj, będzie najzbawienniejszém lekarstwem na jego „troski nieuśpione". Kochanowski dał się nakłonić, i w czerwcu już, razem z przyjacielem opuścił gród Antenora, tracąc z oczu „nienawistne mu euganejskie wzgórza". Wyjechał prawie chyłkiem, nie pożegnawszy się z nikim; Nidecki bowiem, z obawy, aby zręczna Lydia w ostatniéj chwili nie zniweczyła jego zachodów, tak wszystko urządził, iż nikt nie wiedział, że i Kochanowski jedzie z nim razem. Stąd po wyjeździe ich rozniosła się pogłoska po Padwie, że Jan gdzieś prze-

padł bez wieści. On tymczasem, na wyjezdném, na myśl, że uwalnia się z pod syreniego czaru Lydii, napisał taką fraszkę *Do Jana*, przez którego rozumiał siebie samego.

Radzę, Janie, day pokój przedsięwzięciu swemu:
Bo bądź krótko, bądź długo, przecie przydzie k'temu,
Że się człowiek obaczy: a co mu dziś miło,
To mu będzie za czasem wstyd w oczu mnożiło.
Tę rozkosz, którą teraz tak drogo szacujesz,
Puścisz taniey po chwili, gdy prawdę poczujesz.
A tak co ma czas przynieść, uprzedź go ty raczey,
Odmień swóy bieg, a żagle nakręć wczas inaczey.
Świadomeś słów łaskawych, y piękney postawy,
Zdradę widzisz: znayże więc, co przyjaciel prawy.
A ty, o morska Wenus, chluśni zraz tey paniey,
A pomści się wzdychania, y moich złes, na niey.

Na początku lipca już był Kochanowski w Sycynie [1]). Wprawdzie, zjeżdżając w tym czasie, zrobił ogromną niespodziankę swym najbliższym, których witał po czteroletniéj rozłące, ale témbardziéj ucieszono się z jego przyjazdu, iż właśnie dwie siostry jego, Katarzyna i Elżbieta, wychodziły za mąż: pierwsza za Pawła Komorowskiego, druga za Mikołaja Kozła. Témci lepiéj, że przyjechał, bo będzie na dwóch weselach!... Szkoda tylko, że przyjechał jakiś „smutny”, mizerny, bladolicy, z jakąś gorączką w podsiniałych oczach... Ale choć była to bladość, o któréj Heine powiedziałby, że pochodziła *vom vielen Studieren*, to jednak była nadzieja, że parę miesięcy, spędzonych na wsi, wrócą młodemu humaniście dawną czerstwość i rumianość lica. I on był tego zdania, byle mu zbyt nie suszono głowy szczegółowemi opowiadaniami o nigdy nie kończących się procesach z sąsiadami, o wynikających stąd kosztach i stratach; bo 1) były to sprawy, które go mniéj interesowały, jako zbyt poziome, a 2) przyprawiały go o niemiłe wyrzuty sumienia, że „kiedy jego ukochanym tak gorzko i kłopotliwie życie płynęło, on tymczasem oddawał się płochym miłostkom, i dla istoty, jego uczuć niegodnéj, marnował zdrowie, pieniądze i czas naukom kradziony.” Swoją drogą nie mógł zapomniéć o Lydii: ale już zaszła w nim zmiana pod tym względem: był smutny, ale nie dlatego, że się rozłączył z Lydią, że jéj nie widział, że go od niéj dzieliły setki mil, ale że, choć pragnął, nie mógł się wyleczyć z téj „zastarzałéj miłości”. A pragnął szczerze wyleczyć się z niéj ostatecznie. W tém

---

[1]) Już w połowie lipca, w dniu św. Małgorzaty 1556 r. stawał Kochanowski osobiście w grodzie radomskim.

uczuciu napisał nową fraszkę *Do Jana*, fraszkę dziwną jednak, bo zakończoną pobożném błaganiem, ażeby się raz uwolnił od tego wrzodu.

...Wieleś ty, Janie, sobie pozyskał radości
Na czas potomny z téj to nieszczęsnéj miłości.
Bo co jeno kto komu abo mówić dobrze,
Abo y czynić może, obojeś to szczodrze
Wypełnił, czego serce niewdzięczne przechować
Nie mogło: a tak przecz się daléj masz frasować?
Owszem umysł swóy utwierdź, odeym sie swey woli,
A szczęściu na złość nie bądź dłużey w tey niewoli.
Trudno nagle porzucić miłość zastarzałą,
Trudno, lecz się już na to uday myślą całą.
To samo zdrowie twoje, na tym wszytko tobie,
Możno, albo nie możno, przełóm to na sobie.

Panie, jeśli należy tobie się zmiłować,
A możesz y w ostatniém zginieniu ratować,
Weyźrzy na mię smutnego: a jeśli cnotliwy
Żywot mój, oddal ten wrzód odemnie szkodliwy,
Który wkradszy się, jako gnusność, w skryte kości,
Wygnał mi wszytki prawie z serca me radości
Już nie o to ja stoję, by mie miłowała,
Abo, co niepodobno, cnotliwą być chciała,
Sam zdrów być pragnę, a ten ciężki wrzód położyć:
Panie, za mą pobożność chciey mi to odłożyć.

Jakoż powoli zaczął przychodzić do siebie: szarpnięty organizm, pod wpływem świéżego powietrza, zaczął się odradzać szybko, a w uzdrowioném ciele wyzdrowiała niebawem i dusza. Otoczony kochającą rodziną, zarówno jéj, jak i swym przyszłym szwagrom, odznaczającym się wyśmienitym humorem, miał do zawdzięczenia, iż odgryzał się nadzwyczaj szybko. Wesołe gawędy z nimi i ich przyjaciółmi, jowialny humor szlachty, która przy stole, a zwłaszcza przy winie lub miodzie, nie znosiła zadumy na twarzy uczestników biesiady, najwięcéj przyczyniły się do rozpędzenia jego chmur padewskich, a że je rozpędziła niebawem, o tém świadczą liczne *Fraszki* poety, niewątpliwie powstałe w tych czasach, a tak wesołe i dowcipne, że aż nieprzyzwoite niekiedy, jak ta np. w któréj jest mowa o szwagrze poety, Koźle i... piskorzu.

Tymczasem upłynęło lato, zbliżał się termin wyjazdu poety. Jak zwykle w takich chwilach, poprzedzających rozstanie na czas dłuższy, rozmowy, które Kochanowski prowadził z matką i braćmi, zaczęły przybierać poważniejszy nastrój, aż w końcu zeszły na narady, dotyczące jego dalszego pokierowania—kwestya, która pani sędzinie leżała

bardzo na sercu. „Nie było jéj zamiarem tamować mu drogi do dalszego za granicą kształcenia się, skoro go ku temu wiodła ochota, ale jako matka przezorna chciała te jego studya skierować na drogę bardziéj praktyczną. Wszak w naukach greckich i rzymskich był już mistrzem skończonym; czas więc było poświęcić się teraz naukom, które w przyszłości mogły go wynieść na najpierwsze w kraju stanowiska. Za takie zaś uważała teologię i prawo. Jak jedna bowiem, tak drugie, czy w kościele, czy na dworze królewskim, zapewniały mu przed innymi pierwszeństwo." Poeta nakłonił się do życzeń matki, ale zataił przed nią, iż pod względem przekonań religijnych rozchodził się z nią całkowicie: o sutannie przestał myśléć prawie zupełnie, choćby dlatego tylko, że „kapłanowi żenić się nie ma być wolno". Temu był absolutnie przeciwny.

Nakoniec pożegnał się ze swoimi i, zaopatrzywszy się w piéniądze na drogę, które w sumie 70 florenów wypożyczył od stryja swego, Mikołaja Kochanowskiego, podstarościego radomskiego, ruszył do Krakowa, gdzie mu powierzono 16-letniego Piotra Kłoczowskiego, ażeby go zabrał do Włoch. Kochanowski podjął się téj odpowiedzialnéj opieki, a wyjechawszy razem z swym młodym Telemakiem, już na początku semestru zimowego, a więc pod jesień r. 1556, był z powrotem w Padwie.

Kto wié, czy pomimo wszystkiego, co pisał o chęci wyleczenia się ze swéj „zastarzałéj miłości" ku Lydii, nie ona była powodem, że znowu zdecydował się na Padwę. Co pewna, to, że przyjechawszy tutaj, kiedy się dowiedział od kolegów, że Lydia na wieść o jego tajemniczém zniknięciu płakała rzewnemi łzami, był niemniéj wzruszony tą niespodziewaną nowiną, jak się mógł śmiać z niesłychanego źdźiwienia tych swoich przyjaciół, którzy, nie wiedząc nic o jego wyjeździe do kraju, odrazu pogodzili się z myślą, że go na jakiéjś wycieczce podmiejskiéj musieli zamordować bandyci. W tém przedświadczeniu powiedzieli także i Lydii, że zbójcy zabili jéj kochanka, co — wbrew ich przewidywaniu — tak rzewne łzy wycisnęło z pięknych oczu dziewczyny. A więc płakała, kiedy jéj powiedzieli, że on nie żyje? Płakała, oddawała się rozpaczy, czyli że go kochała, że jéj był drogi, że mylił się, gdy ją posądzał o obojętność i wiarołomstwo, czyli że ona była niewinna, a tym, który ją krzywdził samém posądzeniem o płochość i zmienność, był on. To go rozbroiło tak dalece, że gotów był wrócić do Lydii. Ta ostatnia źdźiwiła się zapewne, gdy poetę, rzekomo zabitego przez bandytów, nagle spotkała znowu, żywego i zdrowego, a co najważniejsza, skłonnego do pojednania z nią, do nawiązania przerwanego stosunku. Nie miała nic przeciwko temu.. I znowu

nastała zgoda, zaczęły się miodowe chwile gruchań i pieszczot, a poeta był bardziéj zakochany, niż kiedykolwiek. Dziękował przypadkowi, który zrządził, że Lydia chwilowo opłakiwała jego zgon, bo mu to pozwoliło przekonać się o jéj „miłości i poczciwości”, a biorąc asumpt z tego pomyślnego epilogu téj rzekoméj śmierci, napisał nową elegię do Lydii, w któréj tak mówi między innemi: „Więc, gdyby się tak było spodobało Parkom i losowi, chętniebym żywot złożył, a łzy, jakiebyś, moje życie, wylewała, byłyby dość wspaniałym obchodem mego pogrzebu.” Tymczasem, ponieważ był zdrów i cały i „czuł się bezpieczny na każdém miejscu”, był spragniony pocałunków i pieszczot swéj ukochanéj. „Teraz należy się bawić, teraz, moja Lydio, kochać, teraz pełną dłonią chwytać radości, teraz są stosowne lutnie i pieśni, teraz wolno się błąkać po mieście, tak, że ledwie późną nocą powrócisz do domu...”

Ale niedługo trwało to uniesienie. Bo chociaż Lydia płakała na wieść o zgonie poety, co rzeczywiście dowodziło, że go kochała, ale i to nie ulega wątpliwości, że go nie kochała bezinteresownie: za miłość swoją, a raczéj za tę komedyę miłości, którą, mniéj lub więcéj przejmując się swoją rolą, grała przed nim, wymagała zapłaty, nie pocałunkami i poezyami, ale gotówką. To sprawiło, że zaślepiony poeta przejrzał w końcu, że ostatecznie poznał się na przebiegach pięknéj hetery, i zrazu, płacąc za każde dłuższe sam na sam, bawił się tą komedyą udawanéj miłości, aż wreszcie sprzykrzyło mu się i to: zaczynał mieć dosyć Lydii. Już w nim zaczynała budzić niesmak.

Ażeby się raz na zawsze odczepić od niéj, postanowił wyjechać z Padwy, w któréj murach, zwłaszcza w braku towarzystwa Nideckiego, coraz bardziéj zaczynało mu być obco i nieswojo. Lecz dokąd jechać? Rozmyślając nad tém pytaniem, przypomniał sobie, jak go w swoim czasie Dudycz namawiał na wyjazd do Paryża, do *Collège des trois langues*, jak mu to samo niedawno doradzał Nidecki. Jakoż zdecydowawszy się na Paryż, zaczął się zbiérać do podróży, a w trakcie tych przygotowań, święcąc wyzwolenie swego ducha z pęt „zastarzałéj miłości”, napisał jedną ze swych najpoetyczniejszych elegii. Na jaki temat? Na temat miłości, któréj boginię błagał, ażeby „pomna na łzy przezeń wylane, chciała z jego serca wyprowadzić załogę i gdzieindziéj zatknęła swoje sztandary”, i na temat Lydii, którą żegnał tą elegią, a żegnał równie czule, jak sarkastycznie. „I ty, Lydio, zasypiaj w spokojnych marzeniach; nie wzniecaj w sobie więcéj ani nadziei, ani bojaźni. Nie będziesz płakała, o światło moje, nad wyłamanemi przezemnie drzwiami, ani doznasz gróźb zmieszanych z prośbami. Nie zazielenią się w twych progach zawieszone wieńce, ani flet ochrypły za-

jęczy u podwojów... Dosyć-em już przeniósł zdrad, dostatecczniem poznał waszą niegodziwość. Czas mi pamiętać o zaszczytnym znaku wysłużonego żołnierza." W takim nastroju gotował się do drogi, a kiedy wreszcie przyszła chwila wyjazdu z Padwy, zdaje się, że wyjechał bez pożegnania z Lydią.

Było to w końcu października 1556 roku, zanim jeszcze zdążyły się rozpocząć wykłady w uniwersytecie. Zamiast jechać lądem, przez „Alpy krzywe", poeta obrał sobie drogę na Marsylię. W tym celu, w Livorno lub w Genui, wsiadł na okręt, i mając przy sobie, obok innych książek, także i poemat Vidy *Scacchia ludus*, ażeby się nie nudzić zbytnio, gdy okręt będzie płynął z rozpiętemi żaglami, puścił się na pełne morze, wstępując w nowy—ostatni tym razem — okres swych humanistycznych lat nauki i wędrówki. Jechał nie sam, lecz w towarzystwie jednego ze swych kolegów padewskich, niejakiego Karola, dobrze znającego Francyę i Paryż, i z nim, wylądowawszy w Marsylii, przebył wzdłuż całą Francyę, aż do stolicy. Jadąc doliną Rodanu, prawdopodobnie zatrzymał się w Avignonie, uświęconym wspomnieniami Petrarki, poczém doliną Loary, gościńcem na Roanne, Nevers i Fontainebleau, podążył „tam, gdzie błękitna Sekwana bystremi nurty wielki gród przerzyna" [1]).

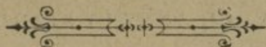
Ferdynand Hoesick.



---

[1]) W elegii VIII, ks. III, pisze Kochanowski, zwracając się do owego towarzysza podróży, Karola: „Lecz, gdybym nawet za ryfejskie oddalił się góry, sercem zawsze z tobą będę, Karolu! bo twe wielkie przywiązanie i twą przychylność dobrze poznałem wówczas, gdy jako podróżnik w obcych błąkałem się krajach. Pod twoim kierunkiem zwiedziłem Akwitany i belgijskie niwy, i Marsylię nad samym brzegiem morza leżącą, i domy Celtów..."

O samorządzie ziemskim.



§ I.

Narodziny instytucyi ziemskich w Rosyi należą do epoki wielkich przeobrażeń, które nastąpiły po wojnie krymskiéj z lat 1853—1855.

Skutki jéj były dotkliwe pod względem materyalnym, doniosłe pod względem moralnym. Umysły zostały poruszone głęboko, serca prawdziwych patryotów rosyjskich zakrwawione.

Okazało się, że machina biurokratyczna, trzymająca w karbach ludność, ze wszelkiemi jéj różnoplemiennemi i różnowierczemi elementami, nie stanowi jeszcze o potędze państwa. Olbrzymie państwo, oparte na liczbie ludności i terytoryach tak znacznych, jak żadne inne, nie posiadało należytéj siły odpornéj. Pomimo wielkich zasobów materyalnych, pomimo niezmierzonych bogactw naturalnych, czegoś brakowało, na czémś zbywało. Po Europie rozniosła się legenda o kolosie na glinianych nogach.

Trzeba było wyjść z trudnego położenia i podźwignąć się z klęski co prędzéj. I powstało gorące pragnienie poprawy stosunków, powołania ukrytych sił do życia, wydobycia ich na jaw i pozyskania nowych pierwiastków czynu i działania. Pod wpływem téj potrzeby, z natchnienia nowego monarchy cesarza Aleksandra II i przy żywym udziale szerokich kół samego społeczeństwa, w krótkim stosunkowo czasie przyszły reformy, witane z zapałem przez wszystko to, co było żywszego i lepszego w społeczeństwie rosyjskiém, pomimo niedowie-

rzania i niechęci ze strony ludzi przejętych starą rutyną, których przecież nigdy zabraknąć nie może.

Do owéj chwili odnoszą się trzy wielkie reformy: reforma włościańska z r. 1861, która nadała prawa ludzkie milionom chłopów, reforma sądowa z r. 1866, która oddzieliła stanowczo władzę sądową od władzy wykonawczéj, zapewniając społeczeństwu sąd niezawisły i prawidłowy, wreszcie wcześniejsza cokolwiek od niéj reforma ziemska z r. 1864 wraz z jéj uzupełnieniem, a mianowicie samorządem miast z r. 1870, mocą których sprawy miejscowe złożone zostały w ręce samego społeczeństwa.

Przy wiekopomném znaczeniu wyzwolenia włościan z pęt ciężkiego poddaństwa, przy wielkim wpływie, jaki nowe sądy w Rosyi pozyskały, pod względem bezpośredniego wprowadzenia elementów społecznych do działania na polu akcyi równoległéj do akcyi władz państwowych, organizacya samorządu ziemskiego i miejskiego zajęła może wybitniejsze od tamtych dwóch reform stanowisko.

W takiéj chwili poczęta i w życie wprowadzona reforma ziemska nosić musiała i w istocie nosiła cechę istotnéj reformy, istotnéj zmiany, wprowadzając społeczeństwo na drogę pracy, dotąd mu prawie nieznanéj i obcéj. Zwolniono społeczeństwo od powijaków nieograniczonéj i rzekomo wszechstronnéj opieki i pozwolono stąpać samodzielnie w sferze interesów lokalnych, zachowując tylko, jak to z natury rzeczy wynika, kontrolę i dozór ze strony władz państwowych nad działalnością powołanych do życia instytucyi.

Pierwsze kroki tego nowego w organizmie państwowym dziecięcia nie były wolne od trudności, a co zatém idzie od pomyłek. Ludzie, niewzwyczajeni do samodzielnego działania, błądzili i potrzeba było niemałego czasu dla ustalenia drogi, po któréj wóz pracy toczyć należało, dla powszechnego zrozumienia sposobów i środków spełniania zadań, które organom samorządu w udziale przypadły.

Nie obeszło się też bez zarzutów i sarkań przeciwko saméj rzeczy i jéj pożyteczności. Braki ustawy, od których żadne dzieło ludzkie zwłaszcza w początku nie bywa wolne, przyczyniały się jeszcze do zaostrzenia krytyki. I po kilkunastu latach, gdy przyszły jeszcze niepokoje wewnętrzne, powodujące zamącenie w pojęciach i stosunkach, zjawiła się reakcya przeciwko wprowadzonym z takim zapałem reformom, a między innemi przeciwko reformie ziemskiéj, reakcya, która dążyła, jeżeli nie do zniweczenia, to przynajmniéj do znacznego zmoderowania tego, co było już zrobione.

Instytucyom ziemskim groziło poważne niebezpieczeństwo. Na szczęście, po bliższém zbadaniu sprawy, gdy pomimo pewnych niedo-

statków i braków lepiéj jeszcze sprawdzoną i ujawnioną została ze wszech miar cenna działalność tych instytucyi, przebyły one pomyślnie tę próbę ognia i wyszły z niéj prawie bez szwanku. Wprawdzie nowa redakcya ustawy ziemskiéj z r. 1890, jak również współrzędna z nią nowa redakcya ustawy miejskiéj z r. 1892, wzmocniły bardzo, jak to zobaczymy poniżéj, kontrolę państwową, przyniosła pewne szczegóły, o których konieczném potrzebie wątpić należy, to przecież zadanie instytucyi nie zostało ścieśnione, pozyskało raczéj lepsze i szersze określenie, przy jednoczesném nawet rozszerzeniu środków do prawidłowego spełnienia zadania. To téż w chwili obecnéj, po takiéj próbie i przy wydobytych na jaw pożytkach, posiadamy możność lepszego zoryentowania się w przedmiocie, aniżeli dawniéj.

Reakcya także osłabła, niebezpieczeństwa znikły, a przynajmniéj znacznie się zmniejszyły, epigonowie reakcyi tu i owdzie jeszcze się odzywają, ale głos ich nie sięga już tak daleko; zdaje się, że zbliżyła się chwila, w któréj można traktować sprawę z zupełnym spokojem i obiektywnością.

Chcąc zrozumieć należycie, czém są instytucye ziemskie, trzeba wyjaśnić sobie rolę, jaka w układzie państwowym wyznaczoną im została.

Biorąc przykład z urządzeń, jakie gdzieindziéj istniały, prawodawca rosyjski wydzielił ze sfery spraw, dotąd przez państwo piastowanych i lepiéj lub gorzéj przez nie załatwianych, dziedzinę interesów miejscowych i tę dziedzinę w ręce instytucyi ziemskich złożyć postanowił.

W istocie, obok spraw natury ściśle państwowéj, związanych bezpośrednio z interesem państwa, jak np. dotyczących utrzymania siły zbrojnéj, finansów państwa, utrzymania bezpieczeństwa publicznego, religii etc., które pozostają w ręku władz państwowych, — istnieją liczne inne sprawy z charakterem lokalnym, jak np. zabezpieczenie zdrowia publicznego w danych miejscowościach, drogi i komunikacye lokalne stanowiące rozszerzenie dróg i komunikacyi głównych publicznych, opieka nad ubogimi etc., które przez samo społeczeństwo załatwiane być mogą i powinny.

Otóż tę sferę interesów od władz państwowych odjęto i oddano instytucyom ziemskim i miejskim, ochrzciwszy je nazwą społecznych (*obszczestwiennych*), w odróżnieniu od instytucyi ściśle państwowych (*gosudarstwiennych*).

§ 2.

Dwa pierwsze artykuły ustawy określają zadanie instytucyi ziemskich.

Wedle art. 1-go instytucye ziemskie „zajmować się mają sprawami, dotyczącemi miejscowych potrzeb i pożytków".

Z definicyi téj wynika, że wszelkiego rodzaju potrzeby i pożytki, byle natury miejscowéj, wchodzić mogą do kompetencyi ziemstwa [1]. Artykuł 2-gi uzupełnia definicyę, wyliczając w sposób kazuistyczny, ale dosyć wyczerpujący, przedmioty zajęcia tych instytucyi. W myśl tego przepisu do nich należy: zabezpieczenie zdrowia i zapewnienie ludności pomocy lekarskiéj, zabezpieczenie od pożarów i ubezpieczenia wzajemne, drogi ziemskie, ich rozszerzenie i ulepszenia, urządzenie przystani na wodach, urządzenie i utrzymywanie poczty ziemskiéj, zaopatrywanie ludności w razach potrzeby w środki pożywienia, opieka nad ubogimi i zakłady dobroczynne, popieranie oświaty elementarnéj i udział w zarządzie szkół kosztem ziemstwa utrzymywanych, wreszcie współdziałanie w kierunku rozwoju miejscowego rolnictwa, przemysłu i handlu.

Pomijając czynności z zakresu działania poruczonego w kierunku ściągania niektórych państwowych podatków i powinności oraz czynności z ustaw szczególnych, o jakich art. 2 także wspomina, już z powyżéj wyliczonych przedmiotów widzimy jasno, na czém polega zadanie instytucyi. Działając na gruncie ściśle miejscowym w sferze potrzeb lokalnych, ogarniają one różne strony życia ekonomicznego, zachaczając jednocześnie o potrzeby fizyczne i moralne ludności.

Do wykonania tego zadania prawodawca rosyjski, obok władz państwowych, w guberniach i powiatach funkcyonujących, ustanowił w każdéj gubernii i w każdym powiecie rady (*sobranja*) i zarządy (*uprawy*) ziemskie wraz z podległemi im organami niższemi.

Układ instytucyi ziemskich opiéra się na zasadzie podziału władzy na prawodawczą i wykonawczą. Zgodnie z tą zasadą tak zwane rady (*sobranja*), czy to gubernialne, czy powiatowe, a zwłaszcza pierwsze z nich wyobrażają rodzaj władzy prawodawczéj, stanowiącéj ogólne normy działania i wydającéj stosowne w téj mierze przepisy. Zarządy zaś i podległe im niższe organa wykonywają dane im instrukcye, wpro-

---

[1]) Prawo z r. 1890 lepiéj określa zadanie instytucyi ziemskich, aniżeli prawo z r. 1864, które w art. 1 podawało definicyę niezgodną z następnym art. 2, ograniczoną do potrzeb i pożytków jedynie gospodarczych.

wadzając w życie zadania na instytucyach ziemskich ciążące. Ciężar właściwéj pracy, że tak powiem, merytorycznéj spada na zarządy ziemskie i dalsze organy wykonawcze, przy radach zaś pozostaje ogólny kierunek a zarazem dozór i kontrola nad wykonaniem, a tém samém nad wszelkiemi organami wykonawczemi (art. 61). Odpowiednio do takiego układu, rady zbiérają się peryodycznie raz do roku, sesya rad powiatowych ma miejsce w październiku i trwa dni dziesięć, gubernialnych w grudniu przez dni dwadzieścia, z możnością przedłużenia czasu trwania obrad za pozwoleniem gubernatora i z prawem do urządzania sesyi nadzwyczajnych w wypadkach zachodzącéj potrzeby z decyzyi ministra, organy zaś wykonawcze, a przedewszystkiém zarządy, stanowią władze stałe, funkcyonujące ciągle i bez przerwy, zgodnie z potrzebami życia wymagającego nieustannéj pieczy i troski.

Rady, jako miarodajne w interesach ziemskich instytucye, składają się z powoływanych drogą wyborów przez samo społeczeństwo na lat trzy członków, pełniących swój urząd honorowo, bez żadnego wynagrodzenia, urzędy zaś w zarządach ziemskich i podległych im instytucyach pozostają w ręku mianowanych przez władze ziemskie, ale płatnych urzędników. Tylko prezesowie i dodani im do współdziałania członkowie zarządów ziemskich wybierani są przez rady z warunkiem przecież potwierdzenia wyboru przez władzę wyższą, przyczém z chwilą wyboru otrzymują oni charakter urzędników i charakteru tego przez cały czas wykonywania swoich urzędów ani na chwilę nie utracają. Pod względem zakresu działania rad, tak gubernialne jak i powiatowe zajmują się oznaczeniem i rozkładem poborów ziemskich, ustanawianiem kapitałów na cele dobroczynne, na drogi, na środki pożywienia i na inne potrzeby, ustanawianiem poborów za przeprawy po wodach i przejazdy po mostach, a zarazem wydawaniem instrukcyi dla organów wykonawczych, rewizyą ich czynności, zatwierdzaniem budżetów etc., rozumié się, w granicach odnośnych powiatów i gubernii, dla których istnieją artykuły (art. 62).

Jednakże pomimo téj wspólności zadania, zachodzą dość poważne różnice w kompetencyi rad gubernialnych i powiatowych.

Do rad gubernialnych wyłącznie należy podział dróg, zakładów dobroczynnych i różnych urządzeń na gubernialne i powiatowe, rozkład na powiaty poborów od świadectw i patentów handlowych na rzecz ziemstw pobieranych, rozkład na powiaty poborów i powinności, które na rzecz państwa instytucye ziemskie ściągają, rozkład na powiaty sum na potrzeby więzień przeznaczonych, daléj urządzenie nowych przystani na rzekach spławnych i jeziorach, ustanowienie nowych jarmarków i rynków, ustanowienie taks do wynagrodzenia za

szkody zrządzone w lasach, polach i t. p. W związku z tém rady gubernialne wydają w powyżéj wskazanych przedmiotach instrukcye dla rad powiatowych, celem prawidłowego wykonania czynności na miejscu. Wreszcie radom gubernialnym wyłącznie powierzono ubezpieczenia wzajemne, zaciąganie pożyczek na potrzeby ziemstw i wnioski do rządu w przedmiocie pożytków i potrzeb miejscowych (art. 63).

Nowe prawo z r. 1890, a raczéj nowa redakcya ustawy ziemskiéj, przyznała radom gubernialnym dosyć ważne prawo wydawania postanowień obowiązujących miejscową ludność w różnych dotyczących ogółu sprawach, jak np. w kwestyi dróg, przewozów, czystości i porządku w miejscach publicznych etc. (art. 108). Postanowienia te przecież wychodzą od rady gubernialnéj, chociażby dotyczyły nie całéj gubernii, lecz tylko pojedyńczych powiatów lub szczegółowych miejscowości.

Tym sposobem rady gubernialne w sferze wyliczonych spraw, ze względu na zachodzącą potrzebę jednostajnego na całą gubernię normowania stosunków, posiadają do pewnego stopnia charakter zwierzchniczy względem rad powiatowych, co nie narusza zresztą w niczém samodzielności tych ostatnich w innych przedmiotach w obrębie swego powiatu.

Tak naprzykład, gdy rada gubernialna dokona rozkładu wzmiankowanych poborów na powiaty, rozkład dalszy w samym powiecie stanowi już wyłączną atrybucyę rady powiatowéj (art. 64), nie ulegającą kontroli rady gubernialnéj. W wypadkach jednak potrzeby wydania rozporządzeń, mających obowiązywać ludność, lub zwrócenia się do rządu z żądaniami w różnych kwestyach, rady powiatowe zniewolone są czynić przedstawienia w téj mierze do rad gubernialnych, od których jedynie, jak to już powyżéj wzmiankowałem, podobne postanowienia i wnioski wychodzić mogą.

Co do zarządów ziemskich, działalność ich rozwija się równolegle do działalności rad. Zarządy gubernialne wykonywają i wprowadzają w życie instrukcye i rozporządzenia rad gubernialnych, zawiadują drogami, zakładami i wszelkiemi urządzeniami, uznanemi za gubernialne, jak również majątkiem i kapitałami, pozostającemi w rozporządzeniu rad gubernialnych, gdy znowu do zarządów powiatowych należy wykonanie uchwał i instrukcyi rad powiatowych, zarządzanie wszelkiemi zakładami, kapitałami i urządzeniami w powiecie, oraz ściąganie poborów i pokrywanie wydatków w granicach ziemstwa powiatowego (art. 97). Stosunek zarządów powiatowych do gubernialnych polega na pewnéj podległości względem tych ostatnich. Zależność ta ujawnia się w przepisach silniéj, aniżeli to ma miejsce w sto-

sunku rad powiatowych do gubernialnych, co się tłómaczy naturą organów stale funkcyonujących i pozostających w częstszéj styczności i łączności. Jakoż zarządy powiatowe obowiązane są wykonywać wszelkie rozporządzenia zarządów gubernialnych co do urządzenia dróg, co do wzajemnego ubezpieczenia, co do załatwienia potrzeb władzy cywilnéj lub wojskowéj państwowéj, do liczby powinności gubernialnych zaliczonych. Obok tego, zarządy powiatowe obowiązane są na żądanie zarządów gubernialnych dostarczać im sprawozdania, jak również opinie i materyały do budżetu powinności ziemskich (art. 97).

Przy zarządach, tak gubernialnych, jak i powiatowych, istnieją jeszcze dodatkowe organy wykonawcze, jak naprzykład służba lekarska ziemska, dozorcy i kuratorowie różnych zakładów i urządzeń ziemskich etc., które to organy pozostają w bezpośredniéj zawisłości od zarządów ziemskich, czy to gubernialnych, czy powiatowych, ulegają ich kontroli, od nich otrzymują i instrukcye i rozporządzenia, do których stosować się muszą, podobnie jak od nich otrzymują nominacye i wynagrodzenia.

Niezależnie od tego, prawo z r. 1890 w art. 113 dozwoliło radom ziemskim ustanawiać tak zwanych oddziałowych kuratorów (*uczastkowych popieczytielej*). Przepis ten zasługuje na uwagę. Chodziło o to, że ziemstwa powiatowe ze względu na obszerność powiatów, a bardzo często ze względu na naturę spraw ziemskich, dla należytego wykonania swego zadania znajdują się często w potrzebie posiadania reprezentantów, przebywających stale w różnych miejscowościach powiatu i dozorujących, albo téż wykonywujących na miejscu zlecenia zarządu ziemskiego; otóż powołany przepis daje prawo każdéj radzie ziemskiéj podziału powiatu na części i wytworzenia tam dodatkowych organów wykonawczych, zwanych kuratorami, a tém samém wydłużenia ręki ziemstwa, aż do samego miejsca wykonania.

Prof. Swiesznikow upatruje w tym przepisie istotny postęp i krok naprzód w rozwoju działalności ziemstw, i zdaje się, że ma zupełną słuszność [1]).

A teraz, jaki jest skład organów ziemskich i w jaki sposób oraz z jakich elementów one się tworzą?

Liczba członków, składających rady gubernialne i powiatowe, bywa rozmaita, stosownie do rozkładu ułożonego przez ministra spraw wewnętrznych. Rady gubernialne składają się z 30-tu, dochodząc niekiedy do 60 członków, w miarę obszerności gubernii i ich zaludnienia. Jednakże rada gubernialna wysuniętéj na północ gubernii Ołoneckiéj

---

1) „Russkoje gosudarstwiennoje prawo.“ Cz. 2, str. 159.

posiada tylko 15 członków, bo taką liczbę regulamin ministeryalny dla niéj przeznaczył.

Rady powiatowe liczą członków *minimum* 15, a *maximum* 40, również stosownie do okoliczności i warunków miejsca. Przewodnictwo pozostaje przy marszałkach szlachty. W radach gubernialnych prezyduje marszałek gubernialny, o ile Cesarz sam ze swego ramienia prezesa nie zamianuje, w powiatowych marszałek powiatowy, przyczém ten ostatni może być niekiedy zastępowany przez prezesa zjazdu powiatowego. W razie zastosowania organizacyi ziemskiéj do miejscowości, w których nie ma ani marszałków, ani prezesów zjazdów powiatowych, sprawa przewodnictwa wymaga odmiennego załatwienia, drogą wyborów lub w inny sposób.

Obok członków z wyboru, posiadają prawo do udziału w posiedzeniach rady gubernialnéj wszyscy powiatowi marszałkowie szlachty, zarządzający zarządem dóbr państwa i apanażami oraz delegat od duchowieństwa, o ile zwierzchność dyecezyalna go wyznaczy, zaś w posiedzeniach rad powiatowych delegaci ze strony ministeryum dóbr państwa i ministeryum dworu, jeżeli w powiecie znajdują się dobra skarbowe lub należące do apanażów, deputat duchowny w miarę uznania władzy duchownéj i głowa miasta, w którém się rada odbywa.

Co do zarządów ziemskich, to, nie mówiąc o urzędnikach w odpowiednim do potrzeb zastępie, na czele takowych stoją wybrani przez rady ziemskie prezes i członkowie.

Każda rada gubernialna wybiéra z pomiędzy osób, chociażby nie należących do grona rady, byle posiadających prawo głosu na zebraniach wyborczych do rad, prezesa i 2 do 4-ch członków, wedle uznania rady, z możnością podniesienia téj cyfry do sześciu, o ile minister na to pozwoli. Podobnież każda rada powiatowa wybiéra prezesa i 2 do 4 członków, bez możności jednak dalszego podniesienia cyfry (art. 96). Osoby wybrane na prezesów zarządów, obok cenzusu wyborczego, winny posiadać prawo do służby państwowéj, t. j. szlachectwo lub odpowiednie dyplomy naukowe. Wybór prezesa rady gubernialnéj wymaga potwierdzenia ze strony ministra, zaś prezesa rady powiatowéj i członków rad wogóle zatwierdzenia przez gubernatora (art. 118). W razie, gdyby władza uznała za niemożliwe zatwierdzić przedstawionych kandydatów, następują ponowne wybory i przedstawienia, a na wypadek powtórnéj odmowy minister sam mianuje na urzędy, które wskutek tego po raz trzeci zawakowały (art. 119).

Za jądro, z którego się wysnuwa cała organizacya instytucyi ziemskich, służą rady powiatowe ziemskie. Formowanie i kompletowanie tych rad następuje, jak to już powyżéj mówiłem, w drodze wyborów.

Wedle art. 16 i 17 ustawy, prawo do udziału w wyborach przysługuje poddanym rosyjskim w wieku lat 25, o ile przynajmniéj od roku władają w obrębie powiatu własnością ziemską przestrzeni przynajmniéj 150 dziesięcin [1]), lub téż innym majątkiem nieruchomym, chociażby położonym w samém mieście, wartości nie mniéj jak rs. 15,000. Rozkład do ustawy załączony określa przestrzeń ziemi, jaką dla pozyskania prawa wyborczego posiadać należy. Istniejące w powiecie instytucye i towarzystwa naukowe jak również towarzystwa i spółki przemysłowe i handlowe, jeżeli władają podobną własnością ziemską lub podobnym majątkiem nieruchomym, przyjmują również udział w wyborach przez swego reprezentanta.

Od uczestnictwa w wyborach, chociażby posiadali powyższy cenzus, są wyłączeni: 1) członkowie od korony tak zwanego Urzędu gubernialnego do spraw ziemskich i miejskich, jako to gubernator i naczelnicy władz gubernialnych, 2) duchowni, 3) prokuratorowie i wogóle urzędnicy dozoru prokuratorskiego, 4) osoby zajmujące urzędy policyjne, 5) włościanie należący do gromad wiejskich (*sielskich obszczestw*), 6) wreszcie żydzi, do czasu przejrzenia przepisów o żydach (art. 26 i 16). Nadto, nie mogą być dopuszczeni do wyborów ludzie karani za przestępstwa, złożeni z urzędu w ciągu lat trzech od chwili złożenia, osoby pozostające pod śledztwem, kupcy będący pod upadłością, uznani za bankrutów, duchowni pozbawieni kapłaństwa, osoby wykluczone z towarzystw i klubów szlacheckich, wreszcie ci, którzy są oddani pod jawny dozór policyjny (art. 27). Kobiéty wogóle, mężczyźni zaś do lat 25 wykonywać mogą przysługujące im na zasadzie cenzusu prawo wyborcze jedynie przez odpowiednio wylegitymowanych zastępców (art. 17 i 18).

Obok tego ustawa przyznaje pewne, chociaż ograniczone, prawo wyborcze (art. 24) osobom, które władają przynajmniéj $^1/_{10}$ częścią przestrzeni, jaka dla posiadania głosu jest zastrzeżoną, lub innym majątkiem nieruchomym wartości co najmniéj rs. 1,500. Osoby te bezpośrednio w zgromadzeniach wyborczych udziału brać nie mogą, zapewniono im przecież prawo wybrania z pomiędzy siebie pełnomocników, czyli prawyborców w ilości, odpowiedniéj do posiadanéj przez nich ziemi lub innych majątków nieruchomych, licząc po jednym prawyborcy na całkowity cenzus wyborczy. Rozumié się samo przez się, że z posiada-

---

[1]) W guberniach mniéj zaludnionych to *minimum* bywa wyższe i dochodzi aż do 400 dziesięcin, a nawet i wyżéj dla niektórych powiatów gubernii ołoneckiéj i wołogodzkiéj. *Maximum* w dwóch powiatach téj ostatniéj wynosi 700 i 800 dziesięcin.

nych przez nich ziem, lub majątków nieruchomych robi się w drodze dodawania obrachunek, celem ustalenia ilości mających się wybrać prawyborców.

Zaproszenie i wyszukanie tych pełnomocników dokonywa się na przedwstępnych przed wyborami do rady zjazdach, odbywanych ze szlachtą pod przewodnictwem powiatowego marszałka, z innemi osobami pod przewodnictwem głowy miasta, w którém rada powiatowa ziemska ma być zawiązana.

I dopiéro tak wybrani pełnomocnicy uczestniczą i mają głos na zebraniu wyborczém do rady powiatowéj (art. 24 i 31).

Tym sposobem do liczby wyborców należą: 1) osoby władające ziemią w oznaczonéj przez ministeryum ilości, która minimalnie wynosi 150 dziesięcin, 2) osoby władające innym majątkiem nieruchomym wartości przynajmniéj rs. 15,000, 3) delegowani od instytucyi naukowych i dobroczynnych, oraz towarzystw i spółek handlowych i przemysłowych, posiadających takąż ilość ziemi lub tego rodzaju majątek, 4) prawni zastępcy kobiét wogóle i mężczyzn do lat 25 z takimże cenzusem, 5) wreszcie prawyborcy czyli pełnomocnicy od osób nie posiadających całkowitego cenzusu, ale władających co najmniéj $^1/_{10}$ takowego.

Układanie list wyborczych należy do zarządu powiatowego ziemskiego, który komunikuje sporządzone listy gubernatorowi na cztery miesiące przed wyborami, dla należytego i wczesnego opublikowania (art. 34). Wszelkie skargi i reklamacye w kwestyi list wnoszą się na na ręce gubernatora i ulegają rozpoznaniu w urzędzie gubernialnym do spraw ziemskich i miejskich (art. 36). Przy początkowém formowaniu list podczas wprowadzenia ziemstw w życie, listy wyborcze pierwotne były układane pod kontrolą zwierzchnią gubernatora przez władze państwowe, jak to z natury rzeczy wynika. Z liczby osób posiadających prawo do udziału w wyborach do rad powiatowych tworzą się dwie kurye wyborcze (art. 28). Do jednéj wchodzi szlachta, to jest wyborcy pochodzenia szlacheckiego, jak również prawni zastępcy kobiét i mężczyzn do lat 25 ze szlachty pochodzących, oraz prawyborcy również od szlachty, która nie posiadała całkowitego cenzusu wyborczego. Ta kurya funkcyonuje pod przewodnictwem marszałka szlachty i wybiéra członków wyłącznie ze szlachty.

Do drugiéj kuryi wchodzą wszyscy inni, a więc wyborcy nieszlacheckiego pochodzenia, również zastępcy prawni kobiét i mężczyzn do lat 25 z nieszlachty, wreszcie delegowani od instytucyi naukowych i dobroczynnych, oraz towarzystw i spółek handlowych i przemysłowych, chociażby sami do stanu szlacheckiego należeli (art. 28).

Kurya ta odbywa wybory pod przewodnictwem głowy miasta, wysadzając na członków do rady również ludzi ze swego grona, gdyż wedle ogólnéj zasady wybranemi mogą być tylko osoby, które posiadają prawo głosu na danych zebraniach wyborczych i figurują na listach wyborczych odnośnéj kuryi (art. 38).

Każda kurya wybiéra taką ilość członków do rady powiatowéj ziemskiéj, jaką załączony do ustawy rozkład oznacza.

Istnieje jeszcze trzecia kurya, a mianowicie kurya włościańska, którą wyobrażają gromady wiejskie. Wybór członków z téj kuryi dokonywa się w sposób zgoła odmienny. Jak wiadomo, w Cesarstwie włościanie rzadko kiedy posiadają ziemię własną, przyznane im na skutek wyzwolenia z poddaństwa ziemie należą do gromad wiejskich, nie zaś do pojedyńczych osób, w skład gromady wchodzących. Ci włościanie, dla braku indywidualnéj własności ziemskiéj, właściwie żadnego prawa wyborczego nie posiadają, natomiast ustawa upoważnia gromady wiejskie, aby na zebraniu gminy *(wołostnyj schod)* wybiérały ze swego łona kandydatów na członków do rady powiatowéj, licząc po jednym kandydacie od każdéj gminy. Z tak wybranych kandydatów gubernator zatwierdza taką ilość, jaka z rozkładu wypada (art. 51). Oczywiście, że ta ilość jest nieporównanie mniejsza od ilości gmin wiejskich w powiecie. Co do liczebnego stosunku osób z każdéj kuryi do rady powiatowéj ziemskiéj wchodzących, dwie niższe kurye nieszlachecka i gromady wiejskie wprowadzają obie razem co najwyżéj tylu lub nawet mniéj członków, aniżeli kurya szlachecka sama. Tak naprzykład w powiecie moskiewskim komplet rady ziemskiéj powiatowéj wynosi 35 osób, z których 18 pochodzi od kuryi szlacheckiéj, 8 od nieszlacheckiéj, zaś 9 od gromad wiejskich; w powiecie bogorodzkim komplet liczy 16 osób, z których 8 od szlachty, a po czterech od dwóch innych kuryi; w powiecie smoleńskim na 32 osoby przypada 18 od szlachty, 5 od nieszlachty i 9 od włościan. Jak widzimy, przewaga dla żywiołu szlacheckiego wynika z samego prawa.

W razie sporu co do ważności wyborów, wszelkie reklamacye i skargi rozstrzyga urząd gubernialny do spraw ziemskich i miejskich. Skargi wnoszą się na ręce gubernatora.

W wypadku uznania, że nieprawidłowość miała miejsce, urząd unieważnia wybory i nakazuje albo całkiem nowe wybory, albo wybory uzupełniające, o ileby unieważnienie co do niektórych tylko osób było wyrzeczone. Jeżeli przy ponownych wyborach okażą się znowu nieważności tak, że liczba ważnie dokonanych wyborów nie dochodzi do $^2/_3$ zastrzeżonego przez prawo kompletu, w takim razie minister ma pra-

wo przedłużyć na trzy lata mandat dawniejszéj rady, lub też sam mianuje prezesa i członków rady (art. 53).

Gdy rady powiatowe zostały już złożone, przystępują one bez zwłoki do skompletowania rad gubernialnych. Każda rada powiatowa ze swojego własnego składu wybiéra do rady gubernialnéj w oznaczonéj przez prawo ilości od dwóch do siedmiu, w miarę okoliczności, delegatów, którzy, nie przestając należéć do rady powiatowéj, stają się jednocześnie członkami rady gubernialnéj. Do tak wysadzonych z rad powiatowych kompletów w trzech guberniach, a mianowicie: Petersburskiéj, Moskiewskiéj i Chersońskiéj, dołączają się jeszcze delegaci od rad miejskich, z Petersburga w liczbie 18, z Moskwy w liczbie 14 i z Odesy w liczbie 8, którzy uzupełniają skład rady gubernialnéj w rzeczonych guberniach. Prezesów rady (gubernialne i powiatowe) nie wybiérają, bo, jak o tém była powyżéj mowa, przewodniczą w nich marszałkowie szlachty z urzędu. Z chwilą zamknięcia wyborów, rady mogą bez przeszkody rozpoczynać swoje czynności. Kadencya ich trwa przez trzy lata. Posiedzenia rad gubernialnych otwiéra i zamyka gubernator, gdy przeciwnie w powiatowych należy to do przewodniczącego rady. Dla ważności uchwał prawo wymaga przybycia połowy członków, a w żadnym razie nie mniéj jak 10.

Z kolei następuje formowanie zarządów ziemskich, gubernialnych i powiatowych. Należy ono do samych rad w tém znaczeniu, że każda rada tworzy dla siebie swój zarząd. Dokonywa się to w ten sposób, że rady wybiérają z pomiędzy siebie, lub z osób posiadających cenzus wyborczy, kandydatów na prezesa i członków zarządu, którzy, jak to nam już wiadomo, muszą być przez rząd potwierdzeni; daléj również z pomiędzy siebie lub z liczby osób, mających prawo głosu na zebraniach wyborczych, wybiérają na ważniejsze w zarządzie urzędy, związane z zawiadywaniem oddzielnemi gałęziami administracyi ziemskiéj, wreszcie mianują na dalsze urzędy i wyszukują potrzebnych specyalistów, jak naprzykład lekarzy, nauczycieli etc. Ta trzecia, zresztą najliczniejsza, kategorya rekrutuje się zazwyczaj z osób obcych, nie posiadających praw wyborczych.

Prawo żadnych zastrzeżeń pod tym względem co do nich nie stawia, chodzi bowiem o to, aby ziemstwa posiadały użytecznych pracowników, należycie uzdolnionych i przygotowanych, czego sam cenzus wyborczy może jeszcze nie zapewniać (art. 105).

Na urzędy kancelaryjne werbuje i nominuje prezes zarządu (art. 105). Jeżeli zachodzi potrzeba rozdzielenia powiatu i ustanowienia wspominanych już powyżéj kuratorów oddziałowych, decyzya w téj mierze należy również do rady, która zarazem daje nominacye na te

urzędy (art. 113). Tego rodzaju kuratorowie, jako zarządzający oddzielną częścią gospodarstwa ziemskiego, o ile się zdaje, winni być wybierani z grona osób posiadających prawo wyborcze, chociaż wyraźnego w téj mierze przepisu nie ma.

W ten sposób uformowane władze ziemskie, zachowując w zasadzie samodzielność działania, jak wszędzie tak i w Rosyi, pozostają pod kontrolą władz rządowych. Kontrola ta pod niektóremi względami jest bardzo ścisła.

Ogólny nadzór za prawidłowém i zgodném z prawem działaniem instytucyi ziemskich, w myśl art. 5 ustawy, leży w ręku gubernatora, przy którym istnieje do kolegialnego rozpatrywania kwestyi tak zwany urząd gubernialny do spraw ziemskich i miejskich. Urząd ten pozostaje pod przewodnictwem gubernatora i składa się, oprócz gubernatora, z vice-gubernatora, marszałka szlachty gubernialnego, zarządzającego izbą skarbową, prokuratora sądu okręgowego, oraz prezesa zarządu gubernialnego ziemskiego, głowy miasta gubernialnego i delegowanego członka od rady gubernialnéj ziemskiéj, lub gdy idzie o sprawy miejskie z delegowanego członka od dumy miasta gubernialnego. Tych ostatnich delegatów potwierdza minister. W razie, gdy sprawa dotyka interesu organu państwowego, nie reprezentowanego stale w tym urzędzie, np. zarządu dóbr państwa, wzywa się tę władzę o przysłanie swego delegata dla wzięcia udziału w rozpoznaniu sprawy.

Sekretarza urzędu i jego pomocnika dla prowadzenia czynności kancelaryjnych mianuje gubernator (art. 8).

Jak widać z powyższego, właściwy skład tego urzędu obejmuje 8 osób, z których pięć od korony, trzy od ziemstw i rady miejskiéj, czyli tak zwanéj *dumy*.

Do urzędu tego należy rozpoznawanie wszelkich spraw, dotyczących samorządu tak ziemskiego, jak i miejskiego.

I tak: kwestye dotyczące list wyborczych i sposobu ich ułożenia, kwestye wyborów i ich ważności lub nieważności, rozpoznanie postanowień rad ziemskich nie potwierdzonych przez gubernatora, a z przepisu prawa wymagających takiego zatwierdzenia (art. 84), opinie co do postanowień przesyłanych niekiedy do zatwierdzenia ministra (art. 85), rozpoznawanie zakwestyonowanych przez gubernatora decyzyi zarządów ziemskich (art. 103), wymierzanie kar dyscyplinarnych na urzędników niższych we wszelkich zarządach ziemskich i na członków zarządów ziemskich powiatowych, jak również pociąganie jednych i drugich w razie wykrytych nadużyć do odpowiedzialności sądowéj etc. [1]).

---

[1]) Co do prezesów zarządów ziemskich tak gubernialnych, jak powiatowych, oraz członków zarządów gubernialnych, urząd ten czyni jedynie przedsta-

W następstwie tego poważniejsze sprawy ziemskie, jak przez alembik, przesuwać się muszą przez rzeczony urząd.

Urząd ten, jako ciało kolegialne, wydaje decyzye większością głosów, przyczém w razie równości zdań głos przewodniczącego przeważa. W wypadku, gdy większość oświadczy się przeciwko zdaniu gubernatora, temu ostatniemu służy prawo wstrzymania wykonania decyzyi, pod warunkiem jednak natychmiastowego przedstawienia kwestyi pod rozpoznanie senatu przez pośrednictwo ministra, który albo przesyła akta do senatu, albo téż, o ileby uważał zdanie gubernatora za niesłuszne, zwraca je gubernatorowi z poleceniem wykonania decyzyi przez większość uchwalonéj.

Na decyzye urzędu, o którym mowa, ziemstwom czyli raczéj radom ziemskim, tak gubernialnym jak i powiatowym, przysługuje prawo skargi do senatu (art. 89). Podobneż prawo przysługuje także osobom, towarzystwom i instytucyom prywatnym, gdy decyzye urzędu dotykają ich interesów. Pierwszy departament senatu, w charakterze najwyższego trybunału administracyjnego, rozstrzyga zachodzące kwestye w ostatniéj instancyi.

Celem należytego wykonania dozoru i kontroli nad działalnością instytucyi ziemskich, gubernatorowi wolno dokonywać rewizyę czynności zarządów ziemskich i wogóle organów wykonawczych ziemskich oraz ich zakładów. W razie wykrycia nieporządków gubernator poleca zarządowi ziemskiemu usunięcie takowych, gdyby zaś zarząd ziemski uczynienia zadość żądaniu gubernatora odmówił, kwestya przechodzi pod rozpoznanie urzędu gubernialnego do spraw ziemskich i miejskich (art. 103).

Wszelkie postanowienia rad ziemskich, tak gubernialnych jak i powiatowych, muszą być komunikowane gubernatorowi i nie ulegają wykonaniu przed upływem dwóch tygodni od dnia téj komunikacyi (art. 80 i 86). Jeżeli gubernator dostrzeże, że postanowienie rady albo jest wprost niezgodne z prawem, albo téż sprzeciwia się ogólnym potrzebom państwowym, lub wreszcie narusza interesy miejscowéj ludności, w takim razie ma on prawo w ciągu rzeczonych dwóch tygodni wstrzymać postanowienie rady w wykonaniu (art. 87).

W pierwszym wypadku, gdy chodzi o obrazę prawa, kwestya idzie pod ocenienie urzędu gubernialnego, a następnie senatu, o ile rada decyzyę urzędu daléj zaskarży, w drugim wypadku, gdy wstrzymanie nastąpiło z powodu niezgodności z ogólnemi potrzebami pań-

---

wienia do ministeryum, gdyż władza dyscyplinarna i oddanie pod sąd tych wyższych funkcyonaryuszów należy do rady ministra i samego ministra.

stwa, lub z powodu naruszenia interesów miejscowéj ludności, sprawa na zasadzie art. 90—94 ustawy z r. 1890 przebiega całkiem odmienną drogę. Jeżeli do kwestyi dało powód postanowienie rady powiatowéj, gubernator obowiązany jest przedewszystkiém wnieść sprawę na sesyę rady gubernialnéj; dopiéro gdy ta odmówi uchylenia, i wogóle gdy zawieszeniu uległo postanowienie rady gubernialnéj, sprawa wraz z opinią urzędu gubernialnego przechodzi pod rozpatrzenie ministra. Minister władny jest własną władzą ją przeciąć i polecić zaniechanie dalszych kroków i wykonanie wstrzymanego postanowienia, albo gdyby tego nie uczynił, przekazuje sprawę komitetowi ministrów, a w niektórych razach radzie państwa. Decyzya tych organów jest ostateczna.

Tym sposobem z mocy prawa z r. 1890 obok senatu w rozpoznaniu trudniejszych kwestyi dotyczących organizacyi ziemskiéj biorą udział także czysto administracyjne organy państwowe. Rozdział taki utrudnia jednolitą i stałą jurisprudencyę. Zresztą senat cieszy się tak wielką w państwie powagą, że z niewątpliwym pożytkiem dla rzeczy wszystkie kwestye tego rodzaju mogłyby być tam zogniskowane.

Kontrola władzy państwowéj nad organami ziemskiemi istnieje jeszcze pod innym względem. Ustawa zastrzega, że uchwały rad ziemskich, tak gubernialnych jak i powiatowych, w niektórych wypadkach wymagają potwierdzenia ze strony gubernatora albo ministra i nie mogą być wprowadzone w życie, dopóki zatwierdzenie nie nastąpi. Gubernator zatwierdza uchwały, dotyczące podziału dróg na gubernialne i powiatowe, zmiany kierunku dróg ziemskich, urządzenia wystaw miejscowych, terminów i miejsc jarmarków, targów i rynków, taks do wynagrodzenia za szkody i za postój na wewnętrznych wodach; — minister zaś zatwierdza, gdy chodzi o zmianę dróg ziemskich na wiejskie, o ustanowienie opłat rogatkowych na drogach, o podział zakładów dobroczynnych na gubernialne i powiatowe, o zamianę powinności naturalnych na pieniężne, o ciężary i opłaty na koszta wytępienia szkodliwych zwierząt i owadów, o nowe przystanie na wodach wewnętrznych, o nowe jarmarki i o pożyczki na potrzeby ziemstw.

Tak się przedstawia w krótkich, choć może nie dość ścisłych rysach organizacya instytucyi ziemskich w Rosyi. Być może, nie wolna jest ona od pewnych usterek, posiada przecież wybitne strony dodatnie. Dominująca ponad wszystkiém zasada kompletowania rad ziemskich na podstawie cenzusu majątkowego może budzić pewne wątpliwości. Za punkt wyjścia prawo przyjęło posiadanie ziemi, lub nieru-

chomości. Ludzie, nie posiadający ani ziemi, ani nieruchomości, nie mogą wejść ani do rad ziemskich, ani na ważniejsze urzędy w zarządach ziemskich, dla zajęcia których potrzeba posiadać cenzus przez prawo wskazany. W następstwie tego inteligencya złożona z ludzi fachów wolnych, jak lekarzy, nauczycieli, adwokatów, artystów etc., po większéj części odsuniętą została od ziemstw i zaledwie w wyjątkowych wypadkach w charakterze przedstawicieli naukowych i dobroczynnych instytucyi może przyjąć w nich udział. Podobne utrudnienie niejednokrotnie może wyrządzać istotną szkodę dla rzeczy.

Sprawa ta zasługuje jeszcze na uwagę z innéj strony. W związku z tak ustanowionym cenzusem stoi opodatkowanie ziemskie. Dochody ziemstw opiérają się głównie na poborach z ziemi i z nieruchomości. Sama ziemia przynosić musi ziemstwom corocznie więcéj jak połowę, a łącznie z innemi nieruchomościami dostarcza blisko ⅔ wszystkich dochodów. Tak naprzykład w r. 1883 na ogólną sumę dochodów ziemskich, która wynosiła 29,365,396 rubli, z opodatkowania ziemi wpłynęło 15,766,682 rs., z opodatkowania nieruchomości 1,855,665 rs., co czyniło razem 17,622,347 rubli [1]). Inne dochody składają się z poborów od zakładów przemysłowych i handlowych, z kar i poborów sądowych, oraz z dochodów od majątków. W ten sposób ciężar utrzymania machiny ziemskiéj spada głównie na ziemię i nieruchomości, gdy jednocześnie liczne warstwy ludności nie posiadającéj ziemi lub nieruchomości, albo zakładu przemysłowo-handlowego do potrzeb materyalnych ziemstw zgoła się nie przyczyniają, chociaż z działalności ziemstw pośrednio, a często nawet i bezpośrednio korzystają.

Podnosiły się już nieraz głosy o potrzebie opodatkowania na rzecz ziemstw i innych warstw ludności, zwłaszcza mieszkańców miast, za pomocą podatku mieszkaniowego, ale następstwem tego musiałoby być dopuszczenie do ziemstw elementów nie posiadających ziemi lub nieruchomości, jako opodatkowanych.

Uderza też w ziemstwach przewaga stanowcza żywiołu szlacheckiego. Wynika ona wprost z organizacyi wyborczéj i ustanowionego przez prawo rozkładu reprezentantów. Na ogólną liczbę 10,244 członków rad ziemskich w tych 34 guberniach, w których one funkcyonują, przypada na szlachtę 5,633 osoby, gdy kurya nieszlachecka dostarcza tylko 1,428, włościańska 3,175, obie zaś razem 4,603 osoby [2]).

---

[1]) „Statisticzeskij wremiennik Rossijskoj imperii.“ „Dochody i rozchody ziemstw za 1893 rok“, str. 10 i 11.

[2]) Swiesznikow, *loco citato*, str. 184.

W konsekwencyi w zarządach ziemskich widzimy toż samo. Wedle statystyki zebranéj za lata 1883 do 1886, szlachta zajmowała w zarządach powiatowych 69.5%, zaś w gubernialnych 73.7% ogólnéj ilości urzędów [1]).

Pomimo te i inne usterki, instytucye ziemskie w ogólnym bilansie stanowią gruntownie pomyślaną organizacyę, która przy jakiém takiém prowadzeniu przyczyniać się musi do moralnego i cywilizacyjnego podniesienia ludności. Zapewne pod względem samodzielności, nie mogą się one równać z organizacyą angielską, która wyobraża typ najszerszego możliwego samorządu, ale za to stoją wyżéj od organizacyi francuskiéj, w któréj tylko rada departamentowa (*Conseil general*) posiada swoją komisyę wykonawczą i to dopiéro od roku 1871-go, rady zaś okręgowe zgoła nie mają przy sobie żadnych organów wykonawczych.

W ogólnéj budowie rosyjskie instytucye ziemskie najbardziéj zbliżają się do odnośnych urządzeń pruskich; rady odpowiadają pruskim *Provinzial-Landtag*'om i *Kreistag*'om, zaś zarządy *Provinzial-Ausschuss*'om i *Kreisausschuss*'om. Wysoka wartość instytucyi ziemskich w kierunku załatwiania spraw miejscowych tłómaczy się ich naturą i założeniem. Ta znajomość miejscowych potrzeb i to pragnienie ładu dla swojego zakątka, z jakiemi ludzie miejscowi do pracy w ziemstwie przychodzą, stanowią nieoceniony czynnik skutecznego i wytrwałego działania. Z uczucia tego w życiu czasami się naśmiewamy, przezywamy go zaściankowością, a przecież ono podnosi pracę i zwiększa jéj skutki ku ogólnemu pożytkowi.

Przytém ludzie wdrażają się do roboty około swego zakątka, do myślenia o jego potrzebach i interesach, uczą się i rozwijają, co posiada niemałe dla dobrobytu i moralności ogólnéj znaczenie.

Wielki postęp, jaki wnętrze Rosyi w ciągu ostatniego 30-lecia zrobiło, w pewnéj i może nie najmniejszéj mierze przypisać należy reformie ziemskiéj i miejskiéj.

Wystarczy przytoczyć na poparcie tego parę cyfr statystycznych. Wedle obliczeń za rok 1887-my, rozchody ziemstw wynosiły 44,449,999 rubli. Z tego wydano w tymże roku na ochronę zdrowia publicznego 9,523,339 rs., na naukę przeważnie elementarną 6,956,925 rs. i na cele dobroczynności publicznéj 2,377,406 rs., co czyni razem na tego rodzaju potrzeby około 19 milionów rubli [2]). Jeżeli dodamy, że miasta w tymże roku przy ogólnych rozchodach wyobrażających

---

[1]) Swiesznikow, tamże, str. 161.

[2]) „Sbornik swiedienij po Rossii", 1890, str. 240—241.

46,116,645 rubli [1]) za pośrednictwem rad miejskich mogły zwydatkować na powyżéj wyszczególnione rubryki sumę podobną, co ziemstwa, lub niewiele od niéj mniejszą, to zrozumiemy, jak doniosłe są skutki istnienia podobnych organizacyi. Gdyby nie było ziemstw i samorządu miejskiego, w kierunku pracy społecznéj, o jakim mowa, wydanoby bardzo mało; praca tego rodzaju nie bardzo nadaje się dla organów państwowych, a i środków materyalnych na nią by nie było.

Jak wysoko cenią Rosyanie instytucye ziemskie, miałem tego niedawno wymowny dowód. Byłem w Petersburgu na posiedzeniu towarzystwa przemysłu i handlu, które odbywało się pod przewodnictwem prof. Isajewa. Znalazł się jakiś referent, który krytykował ziemstwa i postawił wniosek o odjęcie im pewnéj kategoryi spraw i oddanie organom państwowym. W toku dyskusyi wstał prof. Kryłow i przemówił w te krótkie słowa: „Ziemstwa — to nasze najmłodsze dziecią̨tko w szeregu urządzeń w państwie istniejących. Jeżeli go zechcemy zestawiać z posiadającemi wiekowe tradycye organami państwowemi, nie wytrzyma ono porównania ani co do siły, ani co do sprawności, a przecież to dziecią̨tko jest nam najdroższe, widzimy w niém źródło wielkich pożytków i zamiast ścieśniać, wszelkiemi siłami rozwijać go musimy.” Nastąpiły frenetyczne oklaski, wniosek upadł i uchwalono rezolucyę wręcz odwrotnéj treści.

§ 3.

Tylko wnętrze Rosyi europejskiéj posiada samorząd ziemski. Dziewięć gubernii zachodnich, gubernie Królestwa Polskiego, kraj Nadbaltycki, gubernia archangielska nad morzem Białém, gubernie astrachańska i orenburska od wschodu, wreszcie Ziemia dońskich kozaków nie otrzymały dotąd rzeczonych instytucyi. Nadmienić muszę, że w Ziemi dońskich kozaków zamierzono je wprowadzić, ale kozacy, korzystając oddawna z szerokiego samorządu gminnego, oparli się temu; daléj nadmienić jeszcze muszę, że w guberniach zachodnich oraz w guberniach nadbaltyckich samorząd miejski funkcyonuje, przyczém w tych ostatnich istnieją innego rodzaju dla spraw miejscowych urządzenia stanowe, które poniekąd zastępują instytucye ziemskie. Co do nas, kraj nasz nie posiada ani samorządu miejskiego, ani samorządu ziemskiego. Stoimy pod tym względem na jednéj linii z dalekiemi guberniami wschodniemi i obszarami azyatyckiemi.

---

[1]) Tamże, str. 242.

I mimo woli rodzi się pytanie: czyby dla kraju naszego podobne instytucye zgoła nie były potrzebne?

Historycznie biorąc rzeczy, kraj nasz wcześniéj od którejkolwiek z prowincyi, wchodzących w skład państwa rosyjskiego, posiadał instytucye, które z natury swojéj za samorząd lub jego rodzaj uważane być mogą. Nie zamierzam sięgać do organizacyi zeszłych wieków, do jéj dobrych i ujemnych stron, chcę mówić o rzeczach nowoczesnych z bieżącego stulecia. Otóż ustawa zasadnicza Księstwa Warszawskiego z roku 1807-go wprowadziła do kraju po miastach tak zwane rady municypalne, po za miastami zaś rady departamentowe, po jednéj w każdym departamencie i rady powiatowe, po jednéj w każdym powiecie [1]).

Rada powiatowa składała się z 9 do 12-tu, rada zaś departamentowa z 16-tu do 24-ch członków mianowanych przez panującego, ale z podwójnéj listy kandydatów, ułożonéj przez sejmiki powiatowe. Do zadań tych rad należały: 1) rozkłady ciężarów publicznych na departamenty, a następnie na powiaty, 2) narady nad potrzebami i dobrem departamentów i powiatów, 3) wreszcie, zażalenia na postępowanie władz administracyjnych i opinie co do ulepszeń pożądanych w administracyi krajowéj. Organów wykonawczych rady nie posiadały, bo zresztą stanowiły tylko ciała z charakterem doradczym i kontrolującym. Rady departamentowe odbywały posiedzenia zwyczajne raz, powiatowe zaś dwa razy do roku, z możnością odbywania sesyi nadzwyczajnych, zwoływanych przez ministra spraw wewnętrznych lub prefekta. Konstytucya z r. 1815 ustanowiła w Królestwie Polskiém rady wojewódzkie, pomijając urządzenie rad w powiatach [2]). Rady te składały się z członków wybranych przez samo społeczeństwo; każdy powiat dostarczał do rady dwóch radców, każda zaś gmina po jednym. Do atrybucyi rad należały: 1) wybory sędziów do pierwszych dwóch instancyi, 2) formowanie i oczyszczanie listy kandydatów na urzędy administracyjne i sądowe, 3) prowadzenie ksiąg szlacheckich i gminnych co do osób mających prawo udziału na sejmikach i zgromadzeniach gminnych, 4) opinie i uwagi dotyczące dobra województw i ich mieszkańców tak co do rozwoju rolnictwa, przemysłu i handlu, jak co do oświaty ludowéj, opieki nad biednymi etc. Rady te nie wyszły ze sfery instytucyi doradczych, posiadały przecież poważny wpływ

---

1) „Dziennik praw Księstwa Warszawskiego“, t. I, str. XXXIV, oraz str. 175 i 184.

2) „Dziennik praw Królestwa Polskiego“, t. I, str. 82; t. IV, str. 17.

na wybór sędziów i urzędników administracyi. Zbiérały się one obowiązkowo dwa razy do roku. Rady te istniały do roku 1831-go. Po wypadkach r. 1831 przestały istniéć i przez całe lat 30 społeczeństwo nie posiadało żadnego organu do zajmowania się sprawami własnemi miejscowemi. Wprawdzie statut organiczny z r. 1832 w art. 51 zapowiedział utworzenie napowrót podobnych rad, przecież przepis ten pozostał martwą literą i rady zaprowadzone nie były.

Dopiéro w r. 1861 na mocy trzech oddzielnych Ukazów powołano do życia nowe organy samorządu, a mianowicie rady miejskie dla miast, oraz rady gubernialne i powiatowe dla całego kraju [1]). Instytucye te opiérały się na wyborach i stanowiły reprezentacyę z łona społeczeństwa, prezesów tylko mianował namiestnik z liczby wybranych do rad członków. Atrybucye w porównaniu z radami z epoki przed r. 1831 były znacznie rozszerzone. Oddano radom różne interesy miejscowe przez dopuszczenie ich do udziału w zarządach administracyi przy decydowaniu różnych przedmiotów, jak w kwestyi dróg, w kwestyi zakładów użyteczności ogólnéj, robót publicznych, w kwestyach dotyczących zdrowia publicznego etc. Powierzono im także czuwanie nad dobrem szkół elementarnych, opiekę nad ubogimi, polecono wybiérać delegatów do różnych komisyi i urzędów, wreszcie oddano kontrolę nad funduszami powiatowemi i zapewniono udział w naradach co do ich dyspozycyi. Radom gubernialnym dodano nadto utrzymywanie ksiąg szlacheckich i genealogicznych. Organów wykonawczych instytucye te nie posiadały i decyzye swe komunikowały władzom administracyjnym do wykonania.

Pomimo pewnych braków, stanowiły one już wyraźny typ organów samorządnych. Niestety! istniały zaledwie przez rok jeden. Z chwilą wypadków 1863 r., członkowie rad po większéj części poskładali swe mandaty, rady funkcyonować przestały i społeczeństwo, z wyjątkiem urządzenia gminnego, nie korzysta aż dotąd z żadnego udziału w sprawach miejscowych, będąc pozbawione należnego w tym kierunku działania.

Wracając do pytania, czy instytucye tego rodzaju są potrzebne dla kraju, nie trudno znaléść dowody dla twierdzącéj odpowiedzi.

Działalność władz państwowych może skutecznie załatwić interesy ogólne, dotyczące interesu państwa wogóle i regulujące stosunek obywateli do państwa, ale z postępem czasu i rozwoju nawet przy największym wysiłku i energii nie zdoła ona należycie objąć i dokładnie załatwić spraw natury społecznéj, które życie rodzi i wytwarza.

---

[1]) „Dziennik praw", t. 57, str. 337—341; t. 58, str. 277 i 295.

Zapewne o wiele prostsze i mniéj skomplikowane było życie, gdy na przestrzeni naszego kraju żyło 3 czy 4 miliony ludności, o ileż jednak inaczéj przedstawia się ono dzisiaj, gdy ludność krajowa dosięgła 9 milionów. Powikłania są coraz częstsze, zadań i potrzeb coraz więcéj, te zadania i potrzeby rozszerzają się szybko, gwałtownie, w stosunku o wiele przewyższającym sam przyrost ludności.

Jakoż widzimy całe szeregi kwestyi wymagających załatwienia, a przecież nie załatwionych, całe szeregi spraw, do których nie wiadomo nawet, kto ma prawo się zabrać i kto powinien je załatwić. Weźmy np. sprawę zdrowia publicznego. Przy nadmiarze sił lekarskich, jakie kraj posiada, ludność wiejska a nawet do pewnego stopnia i miejska pozostaje bez należytéj pomocy lekarskiéj, dla braku należytego zorganizowania takowéj. Szpitali, a zwłaszcza drobnych po wsiach i miasteczkach, brak zupełny; ustanowiono podatek szpitalny, lecz biédni nawet z Warszawy i jéj okolic częstokroć nie znajdują w szpitalach pomieszczenia dla braku miejsca. W wypadkach wybuchłéj epidemii rozwija się rzekomo szeroka działalność ze strony urzędów lekarskich, szkoda tylko, że, jak to było przy ostatniéj cholerze, kończy się to dymisyą przedstawicieli służby zdrowia i procesem karnym w rodzaju procesu opoczyńskiego.

Weźmy inny przykład, dajmy na to sprawę dróg i komunikacyi. Cóż to za morze nieprzebrane żalów i słusznych pretensyi? Władze państwowe tą sprawą się zajmują i widzimy skutek, gdy idzie o wielkie trakty i komunikacye związane z ogólnemi potrzebami państwa, ale gdy chodzi o drogi miejscowe, o poczty i telegrafy dla miejscowości świéżo powstających i rozwijających się, napróżno się kołacze, napróżno nawołuje [1]).

Weźmy jeszcze inny przykład. Lud nasz nietylko wiejski, ale do pewnego stopnia i miejski, nie znając najprostszych zasad hygieny, nie używa kąpieli, których w kraju zgoła po wsiach nie ma. Jest to wielka sprawa społeczna, lud karleje, częściéj choruje, wcześniéj umiéra. Kto ma zająć się tą sprawą? Kto ma wprowadzić ją w życie? Gdzie są organy powołane do załatwienia podobnéj kwestyi?

---

[1]) Mamy ładny z europejska urządzony zakład leczniczy Nałęczów, położony o 5 wiorst od stacyi kolejowéj tegoż nazwiska. Te pięć wiorst po gliniastym gruncie z chwilą deszczu pokrywają się grzęzkiém błotem, a przy pogodzie panuje na nich niegodziwy pył. Dla wygody ludności i przyjeżdżających chorych szosa jest konieczną. Dobija się o nią biédny zakład, molestuje, fatalna droga zniechęca ludzi — nic to nie pomaga. Nie wiadomo dlaczego, nieszczęsnych pięciu wiorst otrzymać niepodobna.

Weźmy jeszcze inny przykład, weźmy przemysł domowy czyli ludowy. Potrzeba rozwinięcia tego rodzaju pracy została wszędzie i powszechnie uznaną. Celem poprawy bytu biédnych klas zachodzi istotna potrzeba szerokiego działania w tym kierunku, tymczasem na téj drodze nic się u nas nie robi, a przynajmniéj robi się tak mało, że prawie tyle co nic. I znowu zapytajmy: kto ma zająć się tą sprawą? Jakie istnieją do tego środki i organy?

W obecnym stanie rzeczy, nawet odpowiedzi na te zapytania udzielić nie można.

Toż samo powiedziéć trzeba o wielu innych rzeczach, jak np. o ubezpieczeniach rolnych, o ochronach dla opuszczonych dzieci, o przytułkach dla nieszczęśliwych kalék i starców etc. Wszędzie i zawsze toż samo, nie ma organów do działania, nie ma podstaw prawnych do systematycznego i koniecznego przeprowadzenia czynności. Stoi to wszystko na wichrze, tu i owdzie instytucye prywatne lub ludzie dobréj woli cośkolwiek w tych rzeczach robią, łatają, jak to mówią, dziury, ale o prawidłowém i normalném załatwieniu nie ma wcale mowy.

Od władz państwowych niepodobna tego żądać, bo to na prawdę przekracza właściwe ich zadanie. Urzędnicy, którzyby chcieli podniéść sprawę kąpieli ludowych, albo szpitali miejskich, lub stacyi hygienicznych, wyglądaliby na donkiszotów, szukających jakichś zasług społecznych, zamiast lepszego wykonywania swoich bezpośrednich obowiązków względem państwa. Do tego potrzeba specyalnych organów społecznych, które ze społeczeństwa wychodzą i do pracy specyalnie w téj dziedzinie są powołane [1]).

Oczywiście, nie wszyscy zechcą zrozumiéć tę potrzebę. Znajdą się tacy, co powiedzą, obchodziliśmy się dotąd, możemy się obchodzić bez tych rzeczy i daléj.

Zbyteczna byłaby na ten temat dyskusya. Zapewne, przed czterema wiekami ludzie chodzili bez koszul i obchodzili się bez tego do-

---

[1]) Że tak jest, przytoczę przykład. Rada Administracyjna Królestwa Polskiego decyzyą z d. 9/21 maja 1858 r. nakazała wstawiać corocznie do budżetu krajowego rs. 5,000 na zakładanie ochron dla dzieci ubogich rodziców w miastach i po wsiach ludnych. (Zbiór post. adm. Wydział spraw wewn. Cz. III, t. IV, str. 325). Za tę sumę, na owe czasy dość znaczną, można było sprawę podniéść i ochrony rozwijać. I cóż się stało? Oto nic nie zrobiono. Dlaczego? Dlatego, że podobna sprawa nie daje się załatwić pomyślnie przez władze państwowe, gdyż należało ją złożyć w ręce samego społeczeństwa, a znalazłaby się wtedy odpowiednia praca, energia i poświęcenie, bez których podobnych rzeczy z dobrym skutkiem dokonać nie można.

skonale, a przecież dzisiaj bez koszuli społeczeństwo już obejść się by nie mogło.

Nie sięgając nawet tak daleko, dziadowie nasi obywali się bez kolei i jeździli końmi, obywali się bez telegrafów, poprzestając na poczcie przyśpieszonéj, a jednak trudno w dzisiejszych warunkach zaprzeczyć pożyteczności tych wynalazków.

Potrzeba instytucyi samorządu z każdym rokiem staje się coraz bardziéj naglącą.

Udowodniwszy konieczność instytucyi przy obecnym stanie życia społecznego, zapytajmy z kolei, czy do należytego wprowadzenia téj organizacyi posiadamy stosowne przygotowanie?

Zgóry odpowiedziéć muszę, że nie obeszłoby się zwłaszcza na początku bez poważnych trudności.

Każdą nową rzecz łatwiéj jest zadekretować, aniżeli w życie wprowadzić i zapewnić dobre funkcyonowanie.

Wyszliśmy, że tak powiem, z wprawy i doświadczenia, tradycyi po instytucyach z przed r. 1831 w świadomości ogółu nic prawie nie pozostało, efemeryczne istnienie rad z r. 1862 nie wiele znaczy, musielibyśmy się zaprządz do nowego dla nas trudu i mozołu, musielibyśmy się uczyć, wzwyczajać i wyrabiać, a co za tém idzie, musielibyśmy nieraz z początku mylić się i błądzić. Jednakże wnętrze Rosyi, które w r. 1864 mniéj było od nas przygotowane, wdrożyło się w tę pracę i nie ma żadnego powodu wątpić, abyśmy także ze swojéj strony nie zdołali podołać zadaniu.

W tém właśnie nowém zadaniu, w tych nowych torach pracy, które instytucye ziemskie ze sobą przynoszą, tkwi wielki ich pożytek. Mają one kształcące dla społeczeństwa znaczenie, stwarzają nowy zakres czynności dla ludzi dobréj woli, a pośrednio odrywają od małostek i niedorzeczności życiowych.

Pustka życia, jaka nieraz w naszém społeczeństwie się spostrzega, znalazłaby do pewnego stopnia zapełnienie. Ludzie, zwłaszcza z dostatecznemi środkami materyalnemi, pozyskaliby pożyteczny grunt do działania. Społeczeństwo przyzwyczajałoby się do myślenia więcéj o swoich lokalnych potrzebach i uczyłoby się samo je zaspakajać, nie oglądając się na pomoc niczyją i nie roszcząc żadnych do nikogo pretensyi.

A teraz, czy i jakie posiadamy szanse pozyskania tyle razy omawianych instytucyi?

Nie tajne jest nikomu, że przeciwko wprowadzeniu do nas tych instytucyi odzywały się różne głosy. Opozycya idzie z dwóch różnych stron, ze strony teoryi i ze strony politykujących praktyków.

Na polu teoryi, wystarczy mi przytoczyć znanego profesora Gradowskiego. W pracach swoich Gradowski stale wygłaszał zasadę, że organy samorządu nie mogą być wprowadzane w prowincyach kresowych państwa. Zapatrywanie to jednak wynikało nie tyle z niechęci do nas, ile raczéj z poglądów Gradowskiego na istotę samorządu. Gradowski w organach samorządu widział przedewszystkiém instytucyę państwową, wykonywającą cząstkę atrybucyi państwa i nie umiał dostrzedz w nich strony społecznéj. Gradowski nie godził się na podział władz na państwowe i społeczne, upatrując w tém szkodliwy dualizm. W konsekwencyi takiego błędnego poglądu była otwarta niechęć do zaprowadzenia instytucyi rzekomo politycznéj natury na kresach państwa, a tém samém i u nas. Znacznie przecież już inaczéj patrzą na istotę i znaczenie samorządu późniejsi pisarze, jak prof. Swiesznikow lub prof. Iwanowski, nie mówiąc o dawniejszym autorze ks. Wasilczykowie.

Nie wspominałbym o téj teoretycznéj opozycyi, gdyby nie ta okoliczność, że Gradowski posiadał powagę w swojém społeczeństwie i że teorya jego jeszcze dzisiaj błąka się po umysłach, które umieją nadać jéj zresztą inną etykietę, podkładając pod nią całkiem odmienne motywy.

Groźniejszą jednak niezawodnie jest opozycya praktyków, szerzących przy każdéj sposobności trwogę i wywołujących widmo zaburzeń tam nawet, gdzie nie ma do tego najmniejszego powodu.

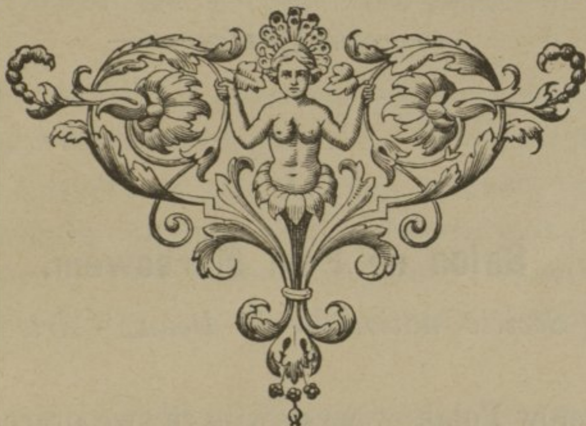
W poglądach tego rodzaju pesymistów nawet szosy bite lub szpitaliki i apteki ludowe albo gospody w miejsce karczem z wódką to już zarzewie niepokoju, to już powód do obaw i niedowierzania. A cóż dopiéro towarzystwa wstrzemięźliwości dla ludu? To już formalna rewolucya! A przecież w rzeczywistości, możność spokojnéj wewnętrznéj pracy przynosi odwrotny skutek, bo daje zajęcie dla umysłów i zaspokojenie.

Życie ze wszystkiemi swemi objawami i zjawiskami wykazuje dowodnie, że istnieje sfera interesów czysto gospodarczych, społecznych, które dla braku odpowiedniéj organizacyi albo wcale nie znajdują zaspokojenia, albo rozwiązywane bywają źle, nie umiejętnie i niedokładnie, budząc gorycz i niezadowolenie. Na tę stronę kwestyi trzeba nam jak najwięcéj zwracać uwagę. Nie składając do załatwienia w ręce społeczeństwa spraw czysto społecznych, państwo z konieczności musi je przyjąć na siebie i obciąża się nadmiernym ciężarem zadań i pracy, któremu późniéj podołać nie jest w stanie. Cierpi na tém ta grupa interesów pozostających bez zaspokojenia, cierpi społeczeństwo, traci państwo, którego organy ulegają krytyce ogólnéj. I inaczéj być nie mo-

że, przy zachowaniu wszystkiego w ręku państwa rodzą się większe do niego pretensye, rosną względem niego żądania i wymagania, a gdy następnie nie ma (i nie może być) należytego zaspokojenia, szerzy się niechęć i rozczarowanie. Przychodzi chwila, w której zrzucenie z siebie zadań lokalnych i gospodarczych staje się dla państwa koniecznością i dobrą polityką.

Posiadanie instytucyi ziemskich wraz z ich uzupełnieniem, to jest samorządem miejskim, stanowi nieodzowny warunek pracy kulturalnéj.

Adolf Suligowski.



SALONY PARYSKIE.

I.

Salon na Polu Marsowém.

(Société nationale de Beaux - Arts).

Niewielu artystów Polaków wystawiło tu swe prace.

Panna Olga Boznańska przysłała „Dwóch chłopców" siedzących na stole. Szczególniéj dalszy bardzo dobrze i swobodnie posadzony. Jest to wogóle skromne studyum, raczéj nawet szkic, z którego nie znając innych prac, nie możnaby było o talencie autorki wyrobić sobie pojęcia. Niestety, artystka w tym roku mimowolnie występuje jako Niemka, za miejsce bowiem urodzenia wskazane jest Monachium, gdy roku zeszłego był Kraków. Winę niedokładności téj zapewne złożyć trzeba na kogoś, co z Monachium obraz artystki wysyłał i na własną rękę deklaracyę pisał. Niemniéj jednak nie zmniejsza to szkody usunięcia jednostki i z tak już maleńkiego kółka artystów, reprezentujących naszą sztukę.

Malczewski Jacek dał „Idyllę". Podwórze nasze dworskie z klombami krzewów bezlistnych. Chmurno, zimno i mokro. Stada indyków pilnuje mała pastuszka w kuséj sukienczynie barchanowéj, z bosemi nożynami. Jest to dziecko wiejskie bez idealizowania, takie,

jakie najczęściéj bywa: chude i brudne. Przed nią stoi młody faunek, tak jednak pojęty, że jego mitologiczność zupełnie nie dziwi śród tego realistycznego otoczenia. Koźlęce nogi świécą nagiemi, różowemi kolanami, jeszcze nieporośniętemi sierścią. Faunek wygrywa na piszczałkach, tak jakby to robił zwykły chłopak wiejski. To też pastuszka stanęła przed nim w gapkowatém zadziwieniu, dziwią się też niezmiernie i indyki, wyciągając szyje. Nie dziwią się jednak faunowi, ale dźwiękom muzyki. Jedném słowém, jest to bardzo zręczne połączenie mitologicznéj fantazyi z dzisiejszą prozą życia. Wykonanie bardzo poprawne. Pejzaż o dużéj perspektywie, indyki doskonale obserwowane, a dziewczynka i faun dobrze obmyśleni. Obraz ten posiada dużo prawdy.

Loevy Edward wystawił „Mężczyznę w koziém futrze". Jest to prawdopodobnie portret naturalnéj wielkości w całéj figurze, w palonych butach, na tle lasu bezlistnego. Duża bardzo plastyka i energiczna postawa wyróżnia ten portret. Tło pejzażowe dobrze zaobserwowane.

Myrton-Michalski dał też poprawny portret w całéj figurze młodéj damy. Jest to znana śpiewaczka panna H., dzisiejsza pani O.

Pilichowski Leopold nadesłał „Przed wystawą sklepową". Widz, znajdując się wewnątrz cukierni, widzi za szybą przechodniów i postaci, przystające przed rozłożonemi łakociami. Oświetlenie sztuczne, wieczorne, bardzo dobrze jest zaobserwowane i utrzymane w całym obrazie.

Wreszcie Jasiński Feliks (naturalizowany Francuz) dał miedzioryt podług Burne-Jones'a „Tualeta Wenus". Wykonanie niezmiernie subtelne i delikatne.

Przejdźmy teraz do prac cudzoziemców.

Zacznijmy od wielkich płócien.

Stary Puvis de Chavannes, dźwignąwszy się po influenzy, przysłał dopiéro na kilkanaście dni przed zamknięciem Salonu ogromny karton, przeznaczony do dekoracyi ścian Panteonu. Przedstawia on św. Genowefę, przywożącą Sekwaną żywność dla oblężonego i ogłodzonego Paryża. Jest to jeden wielki obraz, ale przecięty na trzy części z powodu dwóch pilastrów. Kompozycya wybornie pomyślana, jasno się tłómaczy i z przyjemnością spotyka się tu brak tych usterek, jakie tak często u Puvis'a rażą. Obecnie jest to dopiéro płótno, na którém wszystkie postaci są tylko wyrysowane i podcieniowane jednym kolorem. Na rysunku tym artysta dopiéro ma namalować obraz ostatecz-

ny wszystkiemi barwami. Czy praca obecna na tém straci, tego nie wiem, przypuszczam jednak, że nic nie zyska [1]).

Trzeba tu jeszcze nadmienić o kilku naśladowcach Puvis de Chavannes'a, jak Cornillac i Auburtin. Cóż może być okropniejszego od naśladownictwa, a tém bardziéj naśladownictwa Puvis de Chavannes'a?

Furnié Albert dał wielki tryptyk „Poematy pól" (Uciechy, Prace, Smutki). Wykonanie zamaszyste, tony jasne, silne, ale nie przechodzi zwykłéj miary dobrego obrazu.

Montenard namalował wielki pejzaż dekoracyjny „Zatoka marsylska". Założenie bardzo proste, ale wydobyta niezmierna siła słońca południowego zwraca uwagę każdego. Werenda prowansalskiego domu rozmiarów naturalnych, z któréj widz ma przed sobą wspaniałą perspektywę morza szafirowego i dalszych wybrzeży. Siła słońca na murach domu jest w wielkiém natężeniu.

Pierwszeństwo jednak śród tegorocznych „kolosów" Salonu trzeba oddać „Rozdawaniu nagród w pałacu Przemysłu (wystawa Powszechna z r. 1889)" przez Henryka Gervex, oraz Wiktora Prouvé „Życiu", przeznaczonemu do ozdobienia schodów honorowych w merostwie d'Issy les-Moulineaux. Obraz ten daje nam próbkę, jak stoi wysoko poczucie sztuki we Francyi, jeśli merostwo drobnego przedmieścia paryskiego, liczącego 13,000 mieszkańców, takiemi dziełami się ozdabia. Są to na rozległém tle pejzażowém wybornie przedstawione grupy, wyobrażające młodzież słuchającą nauk starca, rodzinę kochającą się, różne epoki życia ludzkiego, miłość macierzyńską, wesołość zabawy i t. p. Nie są to sztywne postaci symboliczne, mające za pomocą różnych umówionych znaków i szczegółów silić się na reprezentowanie jakiegoś momentu w życiu ludzkiém, nie ma tu pracy pod postacią klasycznéj niewiasty z młotem, nie wiadomo po co wsadzonym jéj do ręki. Tu kilku robotników stawia dom i tworzy schronienie dla rodziny, a każdy czuje, że jest to nie budowanie domku dla Pawła lub Gawła, ale usymbolizowanie pracy. Tak samo doświadczenie i wiedza, jakie starsze pokolenia przekazują nowym, obeszły się bez muz, bez tabliczek szyfrowych, cyrkli i zwojów papyrusu. Wystarczyło artyście starca w płaszczu z peleryną, jakiegoś może nauczyciela szkolnego botaniki, otoczyć grupą młodzieży i umieścić ich śród pejzażu, śród natury, która zawsze będzie pierwszą i najlepszą naszą nauczycielką,

[1]) Mimo poważnéj roli, jaką odgrywa w Salonie dzisiejszym wzmiankowany karton, nie będę się nad nim zatrzymywał, gdyż posiada on wszelkie cechy dawniejszych prac i kierunku mistrza, o czém bardzo obszernie pisałem w dawniejszém sprawozdaniu (Dodatek do „Przegl. Tyg.", tom IV, 1896, str. 218 i dalsze).

źródłem wiedzy i doświadczenia. Miłość i troskliwość macierzyńska wyrażona jest niezmiernie prosto. Kobiéta karmi dziecko, a starsza dziewczynka (doskonale zaobserwowana) napiéra się jabłka i chwyta matkę za fałdy sukni. Matka sięga ręką, żeby zerwać z drzewa pożądany owoc.

W ten sposób pojęte jest wszystko. A figury te, rysowane bardzo wdzięcznie i poprawnie, z ogromném życiem i malowane bardzo szeroko, jak na dekoracyjne malowidło przystało, są z wielką maestryą rozmieszczone na tle letniego pejzażu przed samym zachodem. Wszystko tu jest swobodne i prawdziwe. Żadnéj klasycznéj alegoryi sztywnéj i urzędowéj. Można zupełnie uwierzyć, że się taką scenę symboliczną w życiu widziało. W barwach również niezmierna panuje harmonia.

Wzmiankowany poprzednio obraz Gervex'a przenosi nas z alegoryi do rzeczywistości. Olbrzymia przestrzeń wewnątrz Pałacu Przemysłu, używana na oddział rzeźby Salonu na Polach Elizejskich, a kiedyindziéj na konkursy hipiczne i t. p., zamieniona jest tu w ogromną halę, gdzie śród wielkiego natłoczenia prezydent Carnot odbiéra hołd od deputacyi różnych narodów i rozdaje nagrody. Właśnie przyszła koléj na narody wschodnie. Na pierwszym planie ze sztandarami grupa ludzi w barwnych strojach, turbanach, fezach, tylko co przeszła przed estradą prezydyalną. Następna delegacya właśnie pochyla swój sztandar, a za nią płyną inne. Przedstawienie publiczności doskonałe. Mimo konieczności portretowania mnóstwa osób (obraz obstalowany przez rząd), nie czuje się tu pojedyńczych portretów, ale tłumy coraz to oddalające się i zacierające w przestrzeni, w któréj unosi się pył takiém natłoczeniem poruszony, a zdradza jego obecność kilka promieni słońca, jakie przez zasłony płócienne dachu szklanego się przedarły. Pierwsze plany nadnaturalnéj wielkości. Na najbliższym z nich rzucone na krzesło palto i cylinder. Ten ostatni jest rozmiarów wielkiego kubła. Mimo to, patrząc z należytéj odległości, rozmiary te są wyborne i widz się ani domyśla, że patrzy na takich olbrzymów. Plastyka, perspektywa i siła wszędzie znakomite. Z drugiego końca długiéj sali obraz robi zupełne złudzenie natury.

Przejdźmy teraz do obrazów najbardziéj rzucających się w oczy, najbardziéj przyciągających tłumy nietylko dobrém wykonaniem, ale przedewszystkiém oryginalnością kompozycyi.

Pierwszeństwo chyba trzeba tu oddać flamandowi Leempoels'owi. Przy niezmiernèm, prawie miniaturowém wykończeniu swych obrazów, umié on uniknąć wszystkich szkodliwych następstw takiego traktowania. Owszem, obrazy jego zdaleka nic nie tracą ani na plastyce, ani na sile i prawdzie, tylko odbiéra się wrażenie nie saméj natury, ale na-

tury widzianéj przez szkła dawnych mistrzów — natury przyżółkłéj, o ciepłym, złotym kolorycie.

Obraz p. t. „Przyjaźń” przedstawia dwóch mężczyzn naturalnéj wielkości do kolan. Są to typy niemłodych, uczciwych, pracowitych Flamandów, trzymających się za ręce i na znak przysięgi na przyjaźń jeden przykłada dwa palce do dłoni drugiego. Jest to dzieło przedewszystkiém interesujące stroną techniczną wykonania, wybornym rysunkiem, plastyką i niezmierném skończeniem. Lecz tłumy gromadzi inny jego obraz: „Przeznaczenie i ludzkość”. Na dziwaczném tle rozbiegających się naprzemian złotych i prawie czarnych promieni, umieszczona jest pośrodku w przestrzeni głowa o czarnéj brodzie, o wyrazie twarzy nieokréślonym, a mimo to żywo zostającym w pamięci widza— to „Przeznaczenie”. U samego dołu obrazu niezliczone mnóstwo rąk, samych rąk. Ani jednéj tu głowy nie widać. Wszystkie te ręce wyciągnięte są ku górze, wszystkie jakby wzywały, czy błagały o coś owo „Przeznaczenie”. Charakterystyka tych rąk niezmiernie skończonych jest ogromna. W środku ręce w białych, szytych złotem rękawiczkach wznoszą berło królewskie, obok inne w purpurowych – krzyż i pastorał biskupi, są tu ręce mężczyzn, kobiét i dzieci, ręce delikatne i zgrubiałe od pracy, ręce białe i murzyńskie, ręce uzbrojone w nóż, topór i rewolwer, ręce obciążone pierścieniami i bransoletami, ręce młode i stáre, zdrowe i pokryte ranami, wolne i okute w kajdany.

Wszystko to tłoczy się, nie zostawiając jednego cala wolnego, jakby pole gęsto zasiane strzelającemi w górę łodygami, a za tym lasem rąk dalej widać jakieś ofiary głów na dzidach, obok wieńców i gierland mnóstwo natłoczonych posążków bóstw najrozmaitszych, wyobrażających wierzenia ludzkości, wreszcie daleko — niezliczone armie maszerujące z sztandarami wszelkiéj narodowości. Kompozycya ta bardzo mistyczna nie jest właściwie obrazem, ale dziełem filozofa. Jednak artysta-malarz stronę techniczną utrzymał téż na wielkiéj wysokości. Przed obrazem tym tłumy się gromadzą i dziwią. Robi on wrażenie i pobudza do myślenia. Że tego rodzaju prace nie są istotnym ideałem i celem sztuki—to pewne i stałyby się okropnemi, gdybyśmy je zaczęli liczyć na tuziny i gdyby tylko mniéj znakomicie były opracowane technicznie; ponieważ jednak jest to nie naśladownictwo, ale praca bardzo oryginalna, więc trzeba ją uznać za objaw pierwszorzędnéj wartości artystycznéj. Radość jednak nasza nie długo będzie pewnie trwała. W roku przyszłym możemy się spodziéwać zjawienia się szeregu podobnych obrazów, stworzonych przez zawsze głodnych cudzych pomysłów. Będziemy więc pewnie oglądali tysiące skupionych stóp, albo kolan w banalny sposób się powtarzających i bez

żadnéj racyi zgromadzonych. Obraz Leempoels'a ratuje wysoka doskonałość techniczna. U naśladowców naturalnie śladu jéj nie znajdziemy. Leempoels maluje z przekonaniem, naśladowcy będą malowali z małpowaniem.

Nieszczęście dla Deschamps'a chciało, że zawieszono jego banalności tuż obok Leempoels'a. Jakaż nędza moralna i techniczna bije od tych prac wielkiego „*sociétaire*'a“! Ale o tych panach—późniéj.

La Tuche dał duży obraz dekoracyjny, posiadający pewne zalety, ale pomijam go, aby pomówić o jego „Połowie" i „Powrocie do portu". Żaden chyba z artystów nie rozporządza takiém szaloném bogactwem barw. Złotym, soczystym swym kolorytem pokrewny jest on cokolwiek z Makartem. „Połów" przedstawia jakiś zakątek śród skał, w którym pluszcze szmaragdowa fala morska. Niskie wejście do téj kryjówki od morza płonie całe od złotego światła słońca, jakie musi być na zewnątrz, nimfy wodne skaczą radośnie w falach, a kilku nagich rybaków uczepionych do skały wyciąga pełne ryb sieci. „Powrót do portu" przedstawia również rozkołysane morze szmaragdowe, po którém mknie wiele łodzi rybackich z rozpiętemi żaglami, a obok w wodzie eskortują je gromady nimf nagich. Świetność barw szmaragdowych, złotych, purpurowych jest nieporównana i zupełnie widz nie spostrzega lekkich usterek w rysunku ciał, które przestają być ciałami ludzkiemi, a są jedynie wspaniałemi plamami barwnemi.

Bouvet Henryk dał nam również chwilę prawdziwéj rozkoszy obrazem „Wieczór". Treść bardzo prosta: kąpiel trzech kobiét wieczorem w rzece. Jedna stoi naga na brzegu i czesze długie włosy, druga przysiadła na trawie, a trzecia się kąpie, wywołując naokoło kręgi na poruszonéj wodzie. Cała wartość obrazu leży w niezmiernie prawdziwie podpatrzonym tonie. Jest to chwila letniego wieczoru, kiedy słońce dawno już zaszło za wzgórza. Niebo, które się długo po zachodzie czerwieniło, przybrało już teraz kolor niebiesko-seledynowy lub zielonkawo-żółtawy. Jest to ostatnia chwila zorzy przed zapadnięciem zupełnéj nocy. Powietrze niezmiernie o téj porze jest spokojne i przejrzyste. Wszystko nabiéra dziwnéj plastyczności mistycznéj. Drugi brzeg rzeki stanowi ciemną sylwetę. Pierwszoplanowa trawa téż już straciła sobie właściwą barwę. Trochę jaśniejsze ciała kobiét są jednak już tylko sylwetkami. Ale rozkołysana przez kąpiącą się woda odbija bogactwo całe nieba seledynowego i w drżącym rysunku powtarza srebrny, wąski sierp księżyca, który się musi gdzieś wysoko na sklepieniu niebios znajdować. Chwilę tę, nadzwyczaj nieuchwytną dla obserwacyi, artysta oddał bez zarzutu, wprost znakomicie. Nie widzia-

łem nigdy tego momentu wierniéj oddanego, bez przesady, bez atramentowych czarności, ani bez sztucznych bladości.

Tegoż artysty pierwsza spieniona fala morska, z padającém na nią i na dalsze plany morza światłem odbijającego się słońca, jest również wyborna, jako otrzymanie wielkiego natężenia blasku.

Skoro mowa o morzu, to wspomnę zarazem „Morze" i „Ognie słoneczne" Amerykanina Harrisona. Jest to artysta utalentowany i cieszący się uznaniem. Teraz czy wystąpił słabiéj, czy też wybrał tylko trudniejsze do zrozumienia, bo bardziéj wyjątkowe efekty. „Morze" przedstawia się z brzegu. Pierwsza falka i dalsze pienią się. Woda trawiasto-zielona, a piana nie biała, lecz żółta, jakby z szarego mydła. Jest to jakieś wyjątkowe oświetlenie ukośnych promieni słońca przy burzliwych chmurach, ale efekt ten tak jest rzadki, że trudno go nawet artystom odczuć, a cóż dopiéro publiczności, która też pęka ze śmiechu. „Ognie słoneczne" równéj doznają krytyki. Jak pierwszy obraz był *ultra*-zielony, tak ten jest *ultra*-wiśniowy. Woda tu spokojna, widziana w obramowaniu ciemnych drzew. Wszystko kąpie się w malinowém świetle wieczoru letniego. Jest to chwila gaśnięcia zórz po zachodzie, ale moment podobny niezmiernie rzadko może się zdarzać, więc również słabo do widzów przemawia, mimo całéj umiejętności wykonania. Żywy to dowód, że nawet arcydzieło nie jest w stanie przemówić, jeśli ma przed sobą widza lub czytelnika zupełnie nieprzygotowanego do odebrania tego rodzaju wrażeń.

Dinet dał bardzo zwracające uwagę płótna: „Kurtyzana" arabska, obwieszona ozdobami, umalowana brutalnie z pofarbowanemi rękami, siedzi na dywanie, paląc papiérosa i przyciskając do boku rozwalonego murzyna, któremu te względy wykrzywiają gębę w małpiéj błogości. Kilku Arabów i murzynów, leżąc, otaczają kurtyzanę. Oświetlenie od dołu pada od lampy, stojącéj widać na ziemi. Typy znakomite i przeprowadzenie oświetlenia wyborne. Też same zalety posiada jego drugi obraz „Boleść", przedstawiający szereg kobiét arabskich, prawdopodobnie płaczek ryczących, rozpaczających i drapiących sobie do krwi twarze i szyje paznokciami. Łzy i krew broczą po twarzach i rękach. Wielu widzów nie może patrzéć na ten obraz, takie on robi wrażenie przez swój realizm.

Duńczyk Schönheyder-Möller dał trzy obrazy, przedstawiające jedno i to samo: słońce zachodzące, widziane poprzez liście i gałęzie grupy drzew. Obrazy te różnią się tylko tonem, jakim zachód jednego dnia różni się od dnia następnego. Grupy drzew i gałęzi w takich chwilach rysują się sylwetowo na jaskrawém niebie z niezmierną ostrością i czystością detali i konturu. Artysta, mimo że słońce zachodzi

po za drzewami, namalował je przed drzewami, przez co wiernie oddał złudzenie, jakie się odbiéra w naturze. Przytém słońce to rozprasza złotawe promienie. Na jednym obrazie układają się one naokoło kuli słonecznéj w formie pajęczyny, na innym tryskają jakby strumyki wody z sitka polewaczki ogrodowéj. Znużywszy wzrok patrzeniem na słońce, potém widzi się przed oczyma różnokolorowe kule jakby krążące w powietrzu. Na jednym z obrazów kule te są wyrażone. Złudzenie słońca wydobyte tu niezmiernie, niebywale silne. Szczególniéj nie patrząc wprost na ten obraz, ale na inny jaki wiszący obok, odbiéra się wrażenie, że stoi się gdzieś przy oknie, przez które świeci na nas prawdziwe słońce. Wszystko to jest zapewne sztuczką, ale niezmiernie umiejętnie obmyśloną, zbadaną i wykonaną. Artysta wywiera na widzu złudzenie bardzo silne i jakie mało kto potrafił wywołać. Jako eksperyment malarski jest to niezmiernie ciekawe.

Nie mogę téż pominąć paryżanina Maurycego Boutet de Monvel, któremu poświęcono oddzielną salę na mnóstwo akwarel i rysunków. Głównie są to rysunki oryginalne do ilustracyi, a oprócz tego bardzo pracowicie, starannie i umiejętnie skończone akwarele, przedstawiające sceny rodzajowe lub pojedyńczych ludzi. Wykończenie miniaturowe, ale ogólny efekt przepada. Trzeba podziwiać subtelność rysunku i modelacyi, całość jednak robi wrażenie starannie wycieniowanéj litografii, gdzie cała modelacya zrobiona jest czarno, a kolory ekonomicznie kilkoma tonami zabarwiają czarny rysunek. Cały szereg rysunków, przedstawiający historyę Joanny d'Arc, wręcz odmiennie jest traktowany. Tłumne sceny obrysowane są piórkowym konturem, ani śladu cieniowania, a za to konturem oznaczona każda fałda ubrania, każdy deseń na wzorzystych szatach rycerstwa. Rysunek taki zakolorowany jest jasnemi barwami również bez cieniowania. Ubranie żółte jest wszędzie żółtém i nie ma strony światła i cienia, fioletowe jest wszędzie jednakowo fioletowém. We wszystkich tych pracach trzeba najbardziéj podziwiać wybornego rysownika.

Wręcz odmiennie pojmuje zadanie ilustratora Emanuel Orazi, rzymianin, który dał 35 ilustracyi kolorowanych do utworów Edgara Poë. Bogactwo wyobraźni, oryginalność pojęcia, wielki smak w doborze barw: wszystko tworzy z każdego rysunku wspaniałą kartę, zdobiącą książkę. Przeszłego roku w swém sprawozdaniu z „Salonów" wspominałem o cyklu rysunków do komedyi Szekspira przez amerykanina Edwina A. Abbey. Francuz, Włoch i Amerykanin—jak każdy jest wybornym, a jak mimo to odmiennym!

Pisząc o wystawach zagranicznych, których nasza publiczność nie ma sposobności widzieć, zadanie krytyka nie leży we wskazywaniu

jéj prac lepszych, godnych uważniejszego oglądania, jak to ma miejsce przy krytykowaniu wystaw miejscowych. Główném zadaniem jest tu skréślenie jak najlepszéj charakterystyki wystawy, a na nią nie składają się rzeczy najpoprawniejsze, ale najoryginalniejsze. Wyliczywszy już z nich najciekawsze, wypada mi również w imię charakterystyki pomówić o innych, również nadających ton wystawie: o lichych pracach wielkich firm uznanych. Pominę takiego Deschamps i jemu podobnych, o których przeszłego roku pisałem. Tacy ludzie na jotę nie zmieniają się i co się raz o nich napisało, to z zamkniętemi oczyma można przedrukowywać przez dziesięć lat z rzędu. Nie idąc do Salonu, można z góry wiedziéć, że Deschamps wystawi starca z siwą brodą. Nic to nie znaczy, że ten starzec przeszłego roku pisał, a tego roku w téj saméj pozie gra na wiolonczeli, z któréj mu, nie wiadomo jakim cudem, wyrasta śpiewaczka (tego przynajmniéj w zeszłym roku nie było). Możemy téż z góry spodziéwać się, oprócz głowy starca, głowy dziewczyny z czerwoną chustką, równie jak co do Heunera, można być przekonanym, że wystawi jakąś rudą głowę kobiéty. Takich „mistrzów" uznanych posiada Paryż tuzinami. Nie o nich więc mi chodzi, ale są i tacy, co, będąc uznani za wielkich i mając rzeczywisty talent, wpadają w jakąś przesadę, dziwactwo i t. p. Takim jest Eugeniusz Carrière, który widzi naturę zawsze w jednakiéj szaro-oliwkowéj barwie. Zaprzeszłego roku wystawił „Teatr popularny", gdzie w oświetleniu rozlicznych świateł widzi się tłum ludzi, patrzących z galeryi gdzieś na scenę; dziś zaś wystawia „Chrystusa na krzyżu" z figurą rozpaczającéj Matki Boskiéj. Trudnoby uwierzyć, a jednak barwa tych obu obrazów jest ta sama. Gdybyż to miały być kartony, ale to są obrazy z całą pretensyą do zupełnéj prawdy tak rysunkowéj, jak barwnéj malowane. Choć wielu zachwyca się dzisiejszym „Chrystusem", ja przyłączę się do również licznych krytyków, którzy go do bardzo przeciętnych robót zaliczają.

Kto z paryżan nie zna małych portrecików Weerts'a?

Jak ogrodnik sałatę z całego ogrodu przywozi na targ, tak Weerts wystawia całoroczną swą produkcyę pod postacią tylu portrecików, ile miesięcy w roku. Czasem jeden, dwa mu nie dopiszą. Portreciki te są bliźniaczo do siebie podobne w opracowaniu. Małe główki nie różnią się więcéj jedna od drugiéj, jak o centymetr. Wziąwszy oddzielnie taki portrecik, można się delektować doskonałą techniką, lecz zobaczywszy wszystkie razem dwanaście, doznaje się wrażenia szeregu doskonale kolorowanych fotografii. Weerts jest to wyborny malarz-wykonawca, ale nie malarz-twórca. Monotonność portrecików Weerts przerywa czasem jakim małym obrazkiem. Tego roku dał „Noc z 9

na 10-ty Thermidora". Są tu nagromadzone małe figurki bohatérów pierwszéj rewolucyi. Robespierre waha się podpisać wezwanie do rewolucyi. Rozgorączkowanie panuje śród zgromadzonych. Scena rozgrywa się w obszernym pokoju w nocy. Na środku stół otoczony siedzącemi i stojącemi postaciami. Na pierwszym planie stojąca sylwetka jednego z bohatérów zasłania sobą światło, oświecające całą scenę. Pomijając powtarzający się śród zgromadzenia ten sam typ, o wysaczonych oczach i rozpłaszczonym nosie, który skopiowany tyle razy staje się nieprzyjemnym, trzeba zapytać czém artysta oświetlił całą scenę? Pierwszoplanowa figura zasłania źródło światła. Wiemy, że ono jest na stole. Sądząc po rezultatach, trzeba przypuścić oświetlenie pochodzące ze źródła silnego i pojedyńczego, np. z ogniska na kominku. Logika każe przypuszczać, że na stole mogą tylko stać świéce, bo lampy dzisiejsze nie były jeszcze znane. Żadna świéca nie byłaby w stanie w dziesiątéj części tak oświetlić dużéj sali i tylu ludzi. Świéc kilka być nie może, gdyż cienie od ludzi padające na ściany są pojedyńcze. Gdyby było wiele świéc, byłoby tyle konturów cienia, ile źródeł światła. Oto jest doskonała próbka w poglądowéj lekcyi o impresyonizmie. Impresyonista wyobrażając sobie taką scenę, brałby pod uwagę wszystkie ówczesne warunki i takby ją namalował, żeby widz odebrał wrażenie takie samo, lub jaknajpodobniejsze do tego, jakie odbiérali naoczni świadkowie owego zebrania. Weerts ani się zakłopotał o to. Jemu potrzeba było namalować wszystkim oczy, nosy o ile możności wyraźnie, tak żeby widz po kolei obejrzéć mógł wyraz każdéj fizyognomii (co prawda, bardzo powtarzający się). O postawieniu kandelabrów z wieloma świécami widocznie nawet nie pomyślał. Możeby mu to kłopot robiło w wykreśleniu rzucanych cieniów. Więc najspokojniéj postawił na stole bardzo silną lampę naftową, która oświetliła nieźle cały pokój i podług niéj wszystko malował. Umyślnie nie trzymał się natury i danych warunków, bo mu to było wygodniéj. Są to drobne kwestye, zasługujące jednak na wskazanie, tém więcéj, że sama publiczność nie jest w stanie ich dostrzedz.

Nic to jest jednak w porównaniu z tegoroczném wystąpieniem rzeźbiarza Augusta Rodin. Jest to jeden z potentatów sztuki współczesnéj francuskiéj, przez wielu okrzyknięty za jedynego rzeźbiarza francuskiego. Katalog przy jego nazwisku opiewa: „*Victor Hugo* (*groupe plâtre*) (*Bras de femme incomplet*)".

Większość krytyków trąbi cuda o tém, a usposobiona już w tym duchu pewna część publiczności uważa za swój święty obowiązek zachwycać się, lecz większość staje przed rzeźbą i w osłupieniu ją ogląda. Czytała tylko co o niéj superlatywy, więc nie wié, czy to sen, czy

też zupełnie się na pięknie nie zna. Oto, jak ta rzeźba wygląda, a upewniam, że opisuję ją w możliwie najobiektywniejszy sposób. Wiktor Hugo siedzi nagi na skale, naga muza klęcząc wyżéj na skale nachyla się ku niemu. Druga stojąca znajduje się za nim. O kompozycyi saméj nie można nawet mówić, bo jéj jeszcze nie ma. Z wyjątkiem saméj głowy Wiktora Hugo o tyle skończonéj, że mającéj już formy właściwe, nic ale to literalnie nic w téj olbrzymiéj bryle gipsu nie jest nietylko skończone, ale nawet tak zaczęte, żeby módz sobie wyobrazić, jak po skończeniu będzie wyglądało. Wobec tego uwaga w katalogu, że „*bras de femme incomplet*" jest nieporównana.

Są artyści, którzy znakomicie szkicują, a przy kończeniu zatracają dobre strony dzieła. Rodin wręcz przeciwnie: przy kończeniu umié wydobyć bardzo dużo miękkości ciała w marmurze, ma często oryginalne pomysły, ale do szkicowania nie ma daru. Wszystko to niezdarne, bez proporcyi, wprost dziecinne. Tego rodzaju człowiek ma odwagę, że już nie powiem czelność, wystawiać rzecz, która jest prostą kupą gipsu. Jeśli prawdziwy artysta pokazuje z niechęcią już zupełnie skończone dzieło, bo, mimo oklasków widzów, widzi wiele w niém braków i czuje, że nie wyraził przez nie tego, co pragnął, to jak nazwać Rodin'a, który pewny siebie daje na podziw tłumu odlew roboty, która jest dopiéro w stadyum narzucania gliny na rusztowanie żelazne! Mniejsza o to, że jedna muza wcale jeszcze rąk nie ma, ale co znaczy ręka drugiéj, wyginająca się w najdziwaczniejsze skręty, drwiące sobie z anatomii, co znaczą te stopy z wodną puchliną, dwa razy grubsze niż potrzeba, co znaczy wreszcie głowa maleńka, a raczéj kula niekształtna, bez włosów, czaszki, nosa, głowa muzy wiernie przypominająca swą okropnością zwęglone szczątki ofiar ze spalonego „Bazaru dobroczynnego"? skóra ochłapami wisi na niéj. A w słowach moich cienia nie ma przesady. Wszystko tam potworne, niezrozumiałe. To też w pismach nie brukowych, ale specyalnych artystycznych, to jest w takich, gdzie o sztuce piszą artyści, nie zaś reporterzy „do wszystkiego", spotykam się z przypuszczeniami, że na przyszły rok Rodin wprost przyśle do Salonu parę worków gipsu z kartką, objaśniającą publiczność, co z tego gipsu zamierza zrobić.

I widząc ten episierski pośpiech i czelność w wystawianu rzeczy, które są w stadyum notatki i za kilka lat zaledwie może przybiorą ostateczną formę, przychodzi na myśl pytanie, co sztukę interesuje, w którym roku Michał Anioł lub inny mistrz ukazali swą pracę? Nikt nie pyta, jak długo artysta pracował i w którym roku skończył, ale czy zrobił dzieło piękne. Żebyż to Rodin pochwalił się przed kimś z przyjaciół, zwiedzającym jego pracownię i zdjął na chwilę mokre

płótna okrywające zaczętą w glinie pracę, tobym powiedział, że zbyt jest skwapliwy z pokazywaniem tego, co dopiéro w głowie jego siedzi. Ale tu z potwornéj jeszcze kupy gliny zrobiono specyalnie gipsowy odlew, żeby z wielkim tryumfem zawieść i postawić na honorowém miejscu w Salonie. To jest już wprost skandal i drwiny nietylko z publiczności, ale przedewszystkiém z siebie samego. W przeszłoroczném sprawozdaniu zarzucałem Falguière'owi, znakomitemu rzeźbiarzowi, że zbyt się pośpieszył z wystawieniem na Polach Elizejskich „Tancerki", gdzie stopy zostały tylko ogólnikowo zaznaczone. Ale tam cała postać była skończona i tylko ten jeden szczegół, zresztą nie szkodzący całości jeszcze został nieopracowany. Nie przypuszczałem nawet wtedy, że za rok będę mógł zobaczyć w Salonie coś podobnego, jak potworne figury Rodin'a. I otóż na Falguière'a patrzę nierównie pobłażliwiéj. Jeśli za rok Rodin posłucha rad krytyków i przyśle wprost worki z gipsem, może wówczas i dzisiejsza jego praca wyda mi się przez porównanie dziełem sztuki. Wszak nie ma absolutów i wszystko jest względne.

Ale wróćmy jeszcze do obrazów. Z żalem muszę się ograniczyć tylko do kilku słów wielkiego uznania dla takiego mistrza pejzażu, jak Norwegczyk Fritz Thaulow, najchętniéj lubiącego malować znakomicie wodę rzeczną lub płynącą kanałami blisko jakiéjś szluży. Tego roku dał przeważnie efekty oświetlenia księżycowego i wogóle nocnego. Technika bardzo prosta, skromna i w podziw wprawia, że takie nią rezultaty otrzymuje. Wszystkie jego płótna są prawie całe zaledwie przecierane farbą. Na nocném niebie obłoki bielsze otrzymuje wprost przez starcie farby i silniejsze przeglądanie płótna. Zaledwie w kilku miejscach, jak np. światełko żółte w oknie, biała piana na spadającéj z upustu wodzie, są zaznaczone względnie grubiéj.

Szwedzi Gustaw Albert, John Kindbord i kilku innych znakomite dali pejzaże ze śniegiem. Wyborny pejzaż nad rzeką z efektem ciepłego wieczoru letniego i z dwoma robotnikami, idącymi szukać pracy, „*Les Chemineaux*" dał Julian Muenier. Nie mogę też śród tych potentatów pędzla nie umieścić nazwiska Belga, Emanuela Viérin. Pewnie mało kto spojrzał na niewielki jego obrazek, w kącie umieszczony. Treść bardzo prosta. Pierwsze dni słoneczne, wiosenne. Trochę trawy, rząd wierzb jeszcze bez liści i mało malowniczy, świéżo wymurowany domek rybaka bretońskiego, o białych ścianach, krzycząco zielonych okiennicach i jaskrawéj, nowéj dachówce. Niech mi jednak kto wskaże śród tych kilku tysięcy dzieł sztuki choć jedno, któreby przewyższało lub dorównało mu w wydobyciu niezmiernie silnego wrażenia słońca? Jeden tylko wspominany już Montenard może stanąć do kon-

kurencyi, ale dla otrzymania efektu słońca zużył dziesiątki metrów kwadratowych płótna, malując ścianę białą domu i kolumny naturalnéj wielkości, tymczasem Viérin wywołuje to samo wrażenie, bodaj nawet silniejsze, malując zupełnie mały obrazek wielkości złożonéj gazety. Jako drugiego można jeszcze wskazać Maurycego Eliot, silącego się na szalone słońce, ale tu widać ten wysiłek i raz jest uwieńczony skutkiem, a w innym szczególe zupełnie chybiony. W każdym razie pejzaże Eliot'a są bardzo ciekawe.

Pominąwszy wiele godnych zaznaczenia obrazów, przejdę wprost do działu sztuki stosowanéj. Nigdzie ten dział nie przedstawia się tak dobrze, jak na Champ de Mars. Co prawda, w tym to Salonie dział ten najpierw wprowadzono.

Pomijając mnóstwo parawanów, drobnych odlewów bronzowych, wyrobów ze szkła, z kamienia, drzewa i t. p., następnie bardzo upowszechniających się rzeźb stosowanych w cynie, muszę jedynie zwrócić uwagę na niektóre poważniejsze wysiłki, w celu znalezienia czegoś nowego i wyszukania nowego, oryginalnego stylu. Tak przywykliśmy przeżuwać style minionych wieków, że nawet wielu dziwném i dziwaczném się może wydać, że ktoś szuka n o w y c h stylów. Na tém polu zasnęliśmy po chińsku i nie wydawał nam się żaden postęp możliwym, a tymczasem wszystko zdawałoby się nas pchać ku temu. Wszak z szaloną szybkością postępujące udoskonalenia techniczne w produkcyi dały nam w ręce taki materyał o jakim się nie śniło artystom dawnych wieków, tworzącym style ówczesne. Przemysł żelazny, terrakoty, szklarstwo zwykłe i ozdobne i t. p. — wszystko to albo nie istniało, albo nie mogło być dostatecznie rozpowszechnione z powodu trudności produkcyi i braku wiedzy, mimo że p o j e d y ń c z e wyroby dawniejsze mogły stać bardzo wysoko. Gdyby dziś Salomon miał budować swą świątynię, to nie cedrowe, ale stalowe lub aluminiowe zastosowałby do niéj belkowanie. Tak jak materyał sam, tak i wymagania i potrzeby społeczne zmieniły się zupełnie, jakżeż więc można chcieć, żeby dzisiejsze pokolenie siliła się jedynie na p r z y s t o s o w a n i e (najczęściéj skoślawienie) dawnych stylów do dzisiejszych warunków? Wyrazem tych nowych dążeń stylowych jest wieża Eifla, wielkie dworce kolejowe z żelaza i ze szkła stawiane, mosty żelazne i tym podobne wytwory dzisiejszych potrzeb. Ale oprócz nowości i odrębności, należy się wszędzie doszukiwać piękna. Nie wszystkie te usiłowania choćby z punktu technicznego znakomite, są jednocześnie piękne, ale to dopiéro pierwsze kroki, szukanie po omacku w nowych warunkach i ocknięcie się ze snu długiego. Zresztą rzecz użyteczna przedewszystkiém powinna odpowiadać celowi, a nadanie jéj formy pięknéj nigdy

nie powinno wpłynąć na obniżenie ani na jotę téj użyteczności. W przeciwnym razie, nie będzie to upiększenie, ale zeszpecenie, nie stwarzanie pięknych dzieł, ale małych potworków nieużytecznych. Upiększenie powinno zawsze podnieść wartość przedmiotu, który był przedtém tylko użytecznym, a po ozdobieniu stał się nadto miłym dla oka w użyciu. Kto nie ma wrodzonego smaku i gustu, ten ozdabiając przedmioty szpeci je w rzeczywistości. Takiéj ozdobnéj tandety mamy mnóstwo naokoło siebie. Psuje ona do reszty gust publiczności, zamiast go rozwijać.

Przeciwko temu obniżeniu smaku wystąpił cały zastęp talentów pierwszorzędnych i zaczął tworzyć rzeczy nowe. I dawno już prysło dziwne pojęcie, że prawdziwy artysta tylko sztuką czystą może się zajmować. Właśnie tylko ten, który jest prawdziwym artystą, jest w stanie wysnuć z siebie jakiś nowy motyw, jakiś oryginalny pomysł. Dopiéro z takich rąk wychodzące dzieło może miéć prawdziwą wartość i być wzorem dla drugorzędnych zdolności. które pracą sumienną mogą dany motyw urozmaicić, rozwinąć i wzbogacić, a choćby tylko umiejętnie skopiować. Wszystkie gałęzi sztuki mają tu pole przed sobą do popisu. Malarze więc wyszukują motywów ornamentów w naturze. Kamil Lefèvre dał bardzo ciekawe studya nad różnemi kwiatami i roślinami. Między innemi badał np. środkowe liście główki sałaty rzymskiéj i z plątaniny téj wyprowadził stopniowo bardzo ładny ornament. Trudno mi tu wszystko opisywać.

Rzeźbiarze mają ogromne pole, modelując ornamenty, lepiąc garnki, dzbany i stwarzając najrozmaitsze sprzęty z metalów, szkła, terrakoty, kryształu, drogich kamieni. Wielkie pole daje szczególniéj cyna i wyroby gliniane z polewą.

Lecz najwięcéj pola do popisu i wysiłków mają architekci. W naszych stosunkach budowniczy prędzéj jest zaliczany do téj saméj grupy, co inżynierowie, mechanicy, niż do grupy artystów. Wynika to z potrzeby codziennéj budowania domów, obliczonych na spekulacyę. Budowane więc zwykle gmachy są w takim stosunku do sztuki, jak jakieś tanie album bazarowe z wytłaczanego papiéru, imitującego skórę, jest w stosunku do szeregu albumów i opraw książkowych, wystawionych ze wszystkiemi honorami w obu Salonach paryskich. Nie wina to naturalnie budowniczych, ale warunków, w jakich żyjemy. Każdy kapitalista chce, żeby mu wystawiono dom przynoszący jak największy dochód. Bogaci, budujący dla siebie pałacyki, wymagają ró wnież taniości zamaskowanéj oklepanym szykiem, a najczęściéj kontentują się przeflancowaniem na nasz grunt szablonowych pałacyków

zagranicznych, które sobie wybrali z litografowanych wydawnictw niemieckich.

Aby wynaléść coś oryginalnego, na to potrzeba wiele czasu, nie licząc niezbędnego już talentu i wykształcenia. I zagranicą ogół bogatych nie jest bynajmniéj jednocześnie ogółem miłośników i znawców piękna. Rosną więc jak grzyby po deszczu banalne pałacyki, kosztowne i niezdarne, a w najlepszym razie kopiowane lepiéj lub gorzéj podług dawnych wzorów. Dlatego téż ze szczególném odznaczeniem trzeba wyliczać samodzielne poszukiwania, a cóż dopiéro takie, które zupełne uwieńczyło powodzenie.

Architekci najgruntowniéj śród rodziny artystów wykształceni na stylach, mający najwięcéj doświadczenia w przeprowadzeniu konstrukcyjnéj harmonii, słusznie, że wzięli pod uwagę wewnętrzne umeblowanie tych domów, które sami wystawili. Wiek nasz jest takim stekiem naleciałości ze wszystkich epok i krańców świata, że najzupełniéj nie razi nas zupełny brak związku między wnętrzem a powierzchownością naszego mieszkania, tymczasem są to rzeczy, które winny tworzyć jedną całość.

Tak rozumiał, jak zresztą i wielu innych, budowniczy Hektor Guimard. Wystawił on całe wnętrze pokoju do pracy. Trzeba oddać sprawiedliwość, że Salon na Polu Marsowém bardzo dużo daje baczenia, aby wszystkie usiłowania w jaknajlepszych warunkach przedstawiły się publiczności. Za to Salon na Polach Elizejskich prawie żadnéj na to nie zwraca uwagi i kieruje się starym od lat wielu szablonem, nie zawsze mając na swe usprawiedliwienie brak miejsca. Tam trochę mebli wystawionych robi wrażenie zapchanego składu tapicerskiego.

Przyjrzyjmy się za to wystawie Guimard'a. Dano mu w sali kąt z oknem. Blisko rogu kominek majolikowy. Obok już pod ścianą frontową długa szafa biblioteczna. Rozmiarami przypomina ona raczéj szafę sklepową z najrozmaitszemi drzwiami, niż zwykły typ szafy naszéj. Trzeba pamiętać, że sztuka nie potrzebuje się koniecznie liczyć z przeprowadzkami co kwartał. Są ludzie posiadający swoje własne pałacyki, które na długie lata urządzają, nie tak jak większość mieszkańców Warszawy, żyjąca pod ciągłą groźbą wilgoci i podwyższenia komornego. Jedném zakończeniem szafy jest występ z półkami, drugiém (przy oknie) jest rodzaj biurka, a raczéj pulpitu do pisania, z bardzo urozmaiconemi półkami w formie etażerki. Obok okno, dające bardzo dużo światła. W kawałku trzeciéj ściany, postawionéj w formie przepierzenia, są drzwi do połowy oszklone. Szyby, tak jak w oknie, ze szkła lanego, pół przezroczystego, w kilku barwach bardzo jasnych, z lekkiemi ozdobami w ołów oprawnemi. Wreszcie czwartéj ściany

pokoju istnieje tylko kawałek, pozwalając widzom wchodzić z sali do tego zakątka i doznawać zupełnego wrażenia, że się znajdują w pokoju do pracy. Nic tu nie jest pominięte. Sufit jest z płytek terrakotowych, ujętych w zamaskowane cienkie ramy żelazne, podtrzymywane grubemi dekoracyjnemi belkami, wygiętemi z terrakoty.

Opis suchy nie może wywołać właściwego wrażenia, więc wszedłem w szczegóły tylko, aby dać pojęcie, jak się takie rzeczy wystawia i jak autor każdy szczegół umiał utrzymać w stylu. Zacząwszy od deseni na ścianach, od okuć miedzianych we drzwiach, oknie, bibliotece, ozdób na szybach, wszystko do najdrobniejszéj bagatelki jest utrzymane harmonijnie i tak w motywach, jak i barwach, stanowi prawdziwie nierozłączną całość. Motyw ornamentacyjny rzeźbionego sufitu powtarza się w klamkach i nawet w gruszce od dzwonka elektrycznego, zwieszającéj się na taśmie przy biurku. Biblioteka jest z rzędem drzwi oszklonych. Ma ona typ zwykłych bufetów z pokojów jadalnych. Dolna część głębsza z półkami również jest oszklona. Nad nią blat, nad którym wznosi się górna część też z półkami oszklonemi. Motywy szyb okiennych powtarzają się tak we drzwiach wchodowych, jak i drzwiczkach biblioteki. Drzewa użyto tu wszędzie lipowego (zapewne jest to tylko kopia, zrobiona umyślnie na wystawę), zabarwionego na niebiesko, prawdopodobnie wodnym roztworem błękitu pruskiego i zostawionego tak bez pokostowania i politury. Gdyby nawet miały te sprzęty w takim stanie pozostać, byłyby bardzo ciekawemi i miłemi w użyciu. Aby robić lepsze złudzenie, w bibliotece pełno książek, a na półkach różne artystyczne bagatelki bardzo wdzięcznie dobrane.

Podaję tu Guimarda, jako typ architekta-artysty. Buduje on w ten sposób pałacyki bogatym ludziom i całe je odpowiednio według swych pomysłów mebluje. Dodać muszę, że wszystkie użyte motywy są zupełnie oryginalne i w niczém żadnego ze znanych i ostemplowanych stylów nie przypominają. Przez to tak miłe i interesujące robią wrażenie, wrażenie wysoce artystycznéj niespodzianki.

Bardzo są ciekawe prace i kilku innych budowniczych, jak Leona Benouville kominek kamienny z półkami ponad nim drewnianemi i takimże parapetem z obu stron. W każdém przęśle parapetu znajduje się kwadrat, który za pociągnięciem gałki otwiéra się i stanowi półkę. Taki szereg półek może służyć w jadalnym pokoju do stawiania w czasie obiadu talerzy, półmisków zapasowych i t. p. Następnie po zamknięciu półki te znikają i nie zabiérają miejsca.

Tony Selmersheim, budowniczy, dał kilka stołów z rozmaitém przeznaczeniem i kilka szaf. Z nich jedna, przeznaczona na książki, bardzo jest dowcipna. Dzieli się na dolną część głębszą i górną płytszą.

Boki górnéj stanowią otwarte półki, a środek jest zamykany. W grubości drzwi urządzone są też półki tak, że roztwarte powiększają liczbę rzędów na książki. Środkowa szuflada dolnéj części biblioteki posiada wewnątrz ruchomy blat obciągnięty suknem, a przeznaczony jako biurko do pisania.

Jeszcze inne meble znajdują się tu bardzo ładne, jak stołeczek dziecinny przez J. Dampt'a, stala do przedpokoju Lamberta i t. p. Szalony kontrast z temi ciekawemi i artystycznemi pracami stanowi jak tylko być może najbanalniejszy ogromny ołtarz rzeźbiony, złocony, lakierowany, jakich nie setki ale tysiące spotyka się po najrozmaitszych kościołach prowincyonalnych. Żadnego pomysłu oryginalnego lecz wprost skopiowana ornamentacya z pierwszego lepszego podręcznika stolarskiego jak najoklepańsza. Robota to nie artysty ale zwyczajnego rzemieślnika, którą by tylko można oceniać z punktu dobroci wykończenia, suchości drzewa, dobrego wyheblowania i złożenia pojedyńczych części. Z jakiéj racyi można było wystawić w przybytku sztuki taką tuzinkową robotę, a toć i para dobrze uszytych kamaszy miałaby równe prawo być tu wystawioną; odpowiédź jednak jest prosta. Autor budowniczy Gout ma stopień „*societaire*" w Salonie, a zatém każdą przysłaną przez niego rzecz t r z e b a przyjąć. O ile ta zasada absolutnéj wolności ma dobre strony gdy jednakowo do wszystkich wystawców jest stosowana, jak w Salonie „Artystów Niezależnych", o tyle jest szkodliwa, jeśli upoważnia tylko wybranych do nadsyłania tandety. Publiczność przychodzi tu przekonana, że jéj pokażą starannie wysegregowany wybór dobrych rzeczy, więc doznaje niespodzianki, która nawet bardzo fałszywie wpływa na wyrobienie poczucia piękna w masach, gdy jéj pokazują jako prace wybranych i uświęconych mistrzów takie dzieła, jak ołtarz Gout'a, pomnik Wiktora Hugo Rodin'a i cały jeszcze szereg innych, których ilość ratuje mnie od wyliczania z nazwiska.

W rzeźbie zwraca uwagę niezmiernie piękny i prosty w wykonaniu pomnik przeznaczony na grób Dumasa syna, wykonany z białego marmuru przez Saint-Marceaux, również „*societaire*'a", jak pan Gout i inni. Dumas w testamencie nadmienił: „po śmierci mają mnie ubrać w jeden ze zwykłych kostiumów, jakich używałem przy pracy, zostawiając nogi bose." Tak go też przedstawił artysta: na płycie białego marmuru leży Dumas w szacie przypominającéj tę, w jakiéj odtwarzają zwykle Chrystusa, z dłońmi splecionemi ze sobą i z nogami bosemi. Przy głowie opartéj na lekkiém wzniesieniu płyty położony jest duży wieniec też z białego marmuru, unoszący się jedną częścią ponad głową w charakterze jakby kręgu świetlanego ponad głową świętych.

Czuć w tém wszystkiém jednocześnie człowieka nieżyjącego, a jednak tak pięknego w swéj prostocie pozy i całéj kompozycyi, iż tylko artystyczne i podniosłe wrażenie się odbiera bez żadnego cienia jakiegoś naturalizmu odstraszającego. Wykonanie znakomite.

Anglik Wade dał mały bronzowy portrecik Paderewskiego. Praca bardzo dobra.

„Narcyz", chłopiec nagi, leżący na brzuchu na odłamie skały i przeglądający się w wodzie—jest rzeźbą Charpentier'a wykonaną w majolice w wielkości naturalnéj. Umieszczono ją pośrodku basenu z prawdziwą wodą z liliami kwitnącemi i otoczoną krzewami zielonemi. Wystawiając w warunkach tak zgadzających się z przeznaczeniem dzieła, może ona robić właściwe wrażenie na publiczności.

Lambeaux, Belgijczyk, dał dwóch ludzi walczących. Jest to bronz. Jeden siłacz uniósł drugiego w powietrze i wywinąwszy nim młynka, tak że nogi znalazły się w powietrzu, ściska go wpół ciała. Ogromna siła walki, wyborne ruchy i szerokie traktowanie.

Bartholomé wystawił kuty w kamieniu fragment do pomnika umarłych na cmentarzu Père-Lachaise. Dwoje nagich umarłych leży obok siebie i mimo sztywności ciał pośmiertnéj splecione ręce i przysunięte głowy wskazują, że ich miłość za życia łączyła. Ciało małego dziecka leży na poprzek w połowie ich ciał. Symbol spokojny i łagodny snu wiecznego rozpościera ręce nad nimi i patrzy ku nim przyjaźnie. Wszystko to wykute we wgłębieniu, jakby w niszy kamiennéj. Wielki nastrój spokoju i poezyi bije z tego dzieła.

Wyliczone tu nazwiska należą wszystkie do „*societaire*'ów." Najlepszy to więc dowód, że są między nimi najrozmaitszéj wartości artyści, a jednak tytuł *societaire*'a nakleja na nich w oczach publiczności ogólną etykietę, a stąd jednakową wiarę w ich talent.

Zwykłym tylko wystawcą jest Masseau, który wystawił kilka wybornych biustów. Szczególniéj „Colette" w białym marmurze, głowa kobiety z ramionami jest tak wspaniale wykonana, tak pod względem linii jak i nieporównanego wydobycia miękkości ciała, że trudno coś lepszego jako wykonanie sobie wyobrazić. Artysta nawet nie uciekł się do modnego dziś, lekkiego zabarwiania, a mimo surowéj białości marmuru widz odbiera wrażenie ciała prawdziwego.

Również zwykły wystawca, Marceli Jacques dał dziesięć rzeźb, śród których zwraca uwagę dobrym pojęciem i wyzyskaniem barw nagrobek matki artysty. W stojącéj bryle czarnego marmuru niegładzonego wykute w jednéj ścianie wgłębienie, w którém w wypukłorzeźbie przedstawione jest więcéj niż pół figury naturalnéj wielkości poważnéj matrony w welonie na głowie i z krzyżykiem w ręku. Postać ta robi

wrażenie osoby, która idzie ku prawéj stronie. Wszystko to jest w tym samym czarnym marmurze wykute tylko maska twarzy *à trois quarts* wykonana jest z marmuru białego. Z pod czarnego welonu wychyla się biały brzeg karbowany czepeczka i pukle siwych włosów. Twarz o bardzo sympatycznym wyrazie ma oczy zamknięte i jest niezmiernie lekko zabarwiona. Zabarwienie jednak to jest tak słabe, że trzeba robić kilkakrotne porównania, żeby się o niém upewnić. Wystarcza to jednak, żeby białość włosów i czepeczka się wzmocniła, na czém bardzo zyskuje. Oprócz wykonania bez zarzutu zasługuje na uznanie trafność skomponowania i pojęcia rzeźby, tak dobrze przystosowana do przeznaczenia.

Pomijając całe szeregi biustów bardzo dobrych oraz kompozycyi większych wykonanych bez zarzutu, ale też i bez tego czegoś, coby je pośród innych wyróżniało, kończę sprawozdanie uwagą, że jak zawsze w salonie na Polu Marsowém, rzeźba jest stosunkowo bardzo nieliczną, a mimo to nie wolną od dość słabych rzeczy.

II.

Salon na Polach Elizejskich.

(*Société des Artistes Français*).

Mimo że jeszcze kilka lat nas dzieli od wystawy powszechnéj, jednak piętno jéj już się wyraźnie odciska w Paryżu na każdym ważniejszym wypadku. Odbiło się ono i na tegorocznych wystawach sztuki. Ściany pałacu Przemysłu, w którym od 30 lat urządzano doroczny Salon, skazane zostały na zagładę. W miejscu tém zwiedzający przyszłą wystawę ujrzą dwa nowe wspaniałe gmachy na pomieszczenie sztuki przeznaczone, stary więc pałac Przemysłu musiał być rozebranym. Termin ostateczny rozbiórki wahał się długo i zdawało się, że nie sposób jest zostawić go nietkniętym aż do zwykłego terminu zamknięcia Salonu. Ostatecznie choć jedna połowa gmachu była rozebrana zupełnie, lub świeciła oknami bez szyb i dachu, w drugiéj urządzono doroczny Salon, przyśpieszając dzień otwarcia i zamknięcia. Długa niepewność, czy tego roku będzie Salon czy nie, obawa posłania swéj pracy do burzonego, pełnego kurzu gmachu [1]), wreszcie skierowanie myśli ku bliskiéj wystawie powszechnéj, na którą każdy pragnąłby zarezerwować najlepszą swą pracę, wszystko to razem uczyniło, że tego-

---

[1]) W ostatnich dopiéro chwilach zdecydowano przerwać roboty przez czas trwania wystawy

roczny Salon miał niewiele dzieł prawdziwie ciekawych i pierwszorzędnéj wartości. Ogół krytyki i publiczności zgadzał się na jedno, że Salon tegoroczny nie dorównał swym poprzednikom, a nawet spotykało się zdania, rzecz prosta krańcowe, że *jury* jakby umyślnie postarało się odrzucić wszystko, co odznaczało się talentem, a przyjąć same banalności. Aby sprawdzić słuszność takiego zarzutu trzebaby było widzieć tak przyjęte jak i odrzucone obrazy, jeśli jednak przyjmowanie w ten sam sposób było prowadzone, co rozdawanie medalów, to trudno się dziwić, że Salon tegoroczny był gorszy. Obok siebie wisiały obrazy, z których jedne bardzo dobre ale cudzoziemców, a drugie przeciętne ale Francuzów i to należących do téj kliki, która Salonem rządzi. Komisya nagradzająca mijała pierwsze obrazy, a na drugich rozwieszała złocone napisy o przyznanym medalu. Tak ominięcia te jak i odznaczenia były niejednokrotnie skandaliczne. Rzecz prosta, że niepodobna było wszystkich medalów rozdać pomiędzy uczniów i protegowanych komisyi, a więc i zasłużeni znaleźli się w szeregu nagrodzonych, ale w ogromnéj większości są, między nimi Francuzi, mimo że wystawy paryskie zalane są przez cudzoziemców i to nie najgorszych.

Artystów polskich spotykamy, jak zwykle, nie wielu.

Chełmiński Jan dał „W przeddzień Austerlitz", obraz, jakich nam już wiele ten artysta pokazywał. Treści tego rodzaju obrazu batalistycznego, który tytułem zasłania się jako pretekstem do przedstawienia koni, mundurów i jak w tym wypadku—wcale dobrego śniegu, nie będę opisywał, bo nie o treść tu artyście chodziło, ale o pretekst.

Gersona Wojciecha „Dryady uwieńczone" przedewszystkiém są obrazem dowodzącym wielkiéj techniki w traktowaniu ciał nagich. Tors Dryady na pierwszym planie siedzącéj i właściwie cały obraz stanowiącéj jest wyborny o ciele jędrnie malowaném. Tło pejzażowe i figury dalsze mają zdaje się na celu jedynie uwydatnienie pierwszoplanowéj postaci i najzupełniéj dobrze to zadanie spełniają.

Panna Łempicka Leokadya nie ograniczyła się, jak zwykle, na przysłaniu portretu. Jeden obraz przedstawia „Małą rekonwalescentkę", dziewczynkę w całéj figurze naturalnéj wielkości pół leżącą na poduszkach i kanapce zasłanéj futrem. Oprócz doskonale wyrażonéj bezsilności w układzie całéj postaci i sympatycznéj główki małéj pacyentki, przedewszystkiém należy zwrócić uwagę na bardzo artystyczne utrzymanie w tonie całego obrazu. Światło jakie pada na całą scenę pochodzi z dość pewnie odległego okna, przysłoniętego jeszcze białemi firankami. Co do tego szczegółu trudno się mylić wobec wiernie przeprowadzonego oświetlenia na obrazie, gdzie artystka nie pozwoliła sobie ani na jedno dotknięcie pędzla brutalniejsze lub jaskraw-

sze. Wszystko otacza szarawa nikła atmosfera naszych mieszkań. Drugą pracą panny Ł. jest pastelowy portret męski. O ile poprzedni obraz był utrzymany w nikłéj atmosferze pokojowéj, tak dobrze pasującéj z nikłą słabą dzieciną, tak ten portret, jędrnie i energicznie traktowany, jest pełen życia, kontrastów kolorystycznych i trzeba go również do najlepszych prac artystki zaliczyć.

Waldemar Nałęcz wystąpił z pejzażem Karpackim. Tafla stawu odbija w sobie zręby skalne z przeciwległéj strony. Mgła zasnuła dalsze plany. We wszystkiém przebija surowość i dzikość gór naszych. Obraz cały bez zarzutu.

Panna Pająkówna Aniela dała portret starszéj damy. Technika szeroka, może nawet trochę zbyt mało w niéj znać szukania, ale poprawna. Obraz plastycznie i ciepło malowany.

Piątkowski wystawił portret p. Matuszewskiego i duży obraz „*Le drame de l'adultère*". Obadwa te dzieła warszawiacy dobrze znają. Drugie zdaje się nosiło tytuł „Dramat w hotelu." Technika w portrecie bardzo ciekawa. Zabarwienie jego zielonkawe nie jest może wyłącznym rezultatem zapadającego zmroku i musiały na nie jeszcze wpłynąć albo całkiem miejscowe warunki, albo artysta umyślnie pragnął w tym tonie cały portret utrzymać. Zbyteczném jest jednak wnikanie w przyczyny skoro rezultaty są jaknajlepsze, to jest, że Piątkowski potrafił swą pracę utrzymać w téj gamie barw, jaką obrazowi nadać pragnął i że te barwy tworzą ze sobą wyborną harmonię, a postać jest pełna wyrazu i głęboko w pamięci widza pozostaje. Obraz „*Le drame de l'adultère*" przedewszystkiém się zaleca dobrém pojęciem głównych figur i jasnością kompozycyi Zaskoczony z nienacka młodzieniec ani tchórzy, ani się rzuca na napadającego, ale wyraża to położenie bez wyjścia, wobec którego ma się ręce związane i w pierwszéj chwili niepodobna nawet zebrać myśli. Osłupienie, oto stan, w jaki musiał popaść rozmarzony przed chwilą młodzieniec. Grupa rzucającego się w najwyższéj pasyi i pozbawionego niemal świadomości mężczyzny z rewolwerem, z którym walczy całą siłą powstrzymujący go przyjaciel, jest téż bardzo prawdziwa. Reszta figur dość biernie się zachowuje, jak zwykle ludzie, których to bezpośrednio nie dotyczy.

Jan Rosen pewnie za późno nadesłał swój obraz „Poranek przed Waterloo", gdyż go w katalogu znaléść nie mogłem. Jest to nieduży obrazek starannie na modłę monachijsko-batalistyczną stworzony. Na pierwszym planie kilka koni przypominających może trochę w rysunku konie Verneta, a daléj na pagórku sylwetka Napoleona lornetującego i kilku ze świty stojących w pewném oddaleniu. Jest to najlepsza część obrazu.

W dziale rysunkowym i pastelowym spotykamy z Polaków niemal wyłącznie kobiéty. Oprócz portretu pastelowego panny Łempickiéj, o którym wzmiankowałem powyżéj, znajdujemy tu pannę Emilię Dybowską z dwiema akwarelowemi pracami. Jedna przedstawia kosz z fiołkami i różami, druga bardzo soczysto i silnie malowane laki i bratki. W dziale sztuki stosowanéj znajdujemy téjże artystki dwa parawany, w których oprawione są akwarelą malowane słoneczniki i malwy. P. Dybowska posiada bardzo dużo zręczności i lekkości w szerokiém traktowaniu kwiatów akwarelą. Są one zawsze świéże, plastyczne i pełne wdzięku.

Panna Kazimiera Dziekońska dała pastelową głowę kobiecą. Jest to skromne studyum, ale bardzo poprawnie wykonane.

Panna Marya Podlewska wystawiła pastelowy portret damy.

Wreszcie Stanisław Rejchan nadesłał studyum pastelowe głowy młodéj kobiety. Bardzo dobry rysunek i umiejętne skończenie. Drugą pracę tego artysty tworzą dwie akwarelki przedstawiające dwie młode damy w kostiumach zimowych. I tu bardzo poprawny i wdzięczny rysunek i zręczna technika akwarelowa zalecają te prace.

W dziale rzeźby znajdujemy tylko trzech artystów naszych, a wszyscy wystąpili z biustami w gipsie.

Panna Marya Gerson bardzo dużo wyrazu nadała swéj głowie kobiécéj p. t. „Sen." Wdzięk w całéj głowie, linie dobrze wyszukane, traktowanie głowy i zręcznie rzuconych na poduszkę włosów bardzo dobre, zrobiłbym tylko drobny zarzut, że poduszka jest tu jakby przystawiona do głowy, która w niéj nie tonie i nie zagłębia się miękko, coby sen jeszcze lepiéj wyraziło. Artystka poduszkę traktowała tu raczéj jako tło dla swéj głowy, niż jako nierozdzielną z nią całość. Całość jest bardzo wdzięczna i duży postęp w rozwoju talentu artystki wskazuje.

Bez wszelkich zastrzeżeń mogę powinszować Kossowskiemu Henrykowi biustu prawdopodobnie przedstawiającego samego artystę. Jest to głowa pełna życia, natury i odznaczająca się wielką subtelnością w obserwacyi linii. Dotychczas nie miałem sposobności spotkać się z pracami tego artysty, skorowidz jednak mi wskazuje, że już w r. 1883 otrzymał „wzmiankę zaszczytną" w Salonie, a zatém jest to artysta, który już dawno wyszedł z ery debiutów.

Woydyga Jan nadesłał „Kozaka ukraińskiego z XVII w.", zamaszystą głowę wąsacza w czapce futrzanéj i z lufą wychylającą się z za ramienia. Drugim biustem tegoż artysty jest Dante, poważna głowa o wyrazistych rysach w kostiumie epoki. Trudno mi było odnaléść tę rzeźbę, gdyż omyłka katalogu zmieniła Dantego na „Taniec" (Dante-*Danse*). Szukałem więc długo tego „Tańca", nie mało się dziwiąc,

że Woydyga go za pomocą biustu wyraził, gdy zwykle w takich scenach nogi główną grają rolę.

Sprawozdanie o rodakach zakończę, przeszedłszy do działu medalierskiego, gdzie Wincenty Trojanowski wystawił 12 medalionów w bronzie srebrzonym lub w srebrze. Wszystkie odznaczają się poprawnym rysunkiem, wielką miękkością i dużą siłą wyrazu. Między innemi, spotykamy tu Matejkę z napisem na około „Malarz Historyi Polskiéj", daléj są Chopin, Liszt, Wagner, Paul Verlaine, a wreszcie członkowie rodziny artysty.

Przejdźmy teraz do ogólnego przeglądu Salonu. Joannę d'Arc zauważyłem w tym roku tylko w trzech egzemplarzach, o ile wielkich rozmiarami, o tyle lichych wykonaniem. Zmniejszenie produkcyi w tym kierunku trzeba przypisać otworzeniu się nowéj kopalni tematów dla téj falangi artystów, którzy nauczywszy się malować, nie wiedzą potém na jakim temacie „wywrzéć" swą umiejętność. Ci rzemieślnicy pędzla, mając pierś bardzo poprawnie opiętą w tużurek, ale za to nie rozsadzaną żadnemi ideami, czekają tylko na temat. Temat podrzucony— a wnet stado tych panów rzuca się na niego i porywa po cząsteczce. W ten sposób powstają wielkie ilustracye z bieżącéj chwili, kolorowane olejno i podawane publiczności jako dzieła sztuki, z którą nic nie mają wspólnego, gdyż autorom ich nic a nic o sztukę nie chodziło. Łapali oni ten temat nie dla tego, że posiadał warunki artystycznego piękna, że nęcił niemi artystę i—sam się prosił pod pędzel, ale po prostu, że był to temat na czasie, że był on tematem wielu rozmów i artykułów w prasie, a zatém był łatwiejszy do sprzedania. Malując takie wielkie ilustracye kolorowane, jest nadzieja sprzedaży oficyalnéj.

Tym tematem, który dostarczył sporo obrazów ostatniemu Salonowi była wizyta Cesarska we Francyi. Wielkie urzędowe przyjęcia, choć wspaniałe dla widza, który śledzi cały ich przebieg, są jednak bardzo niewdzięcznym tematem dla artysty, skazanego na unieruchomienie wszystkiego przez przedstawienie tylko jednego momentu, a więc tylko szeregu uniformów włożonych na sztywne i dzięki etykiecie pozbawione ożywienia figury. Większym jeszcze szkopułem przy malowaniu takiego obrazu jest to, że niepodobna marzyć o tém, żeby główni bohatérowie mogli pozować artyście. Nic więc dziwnego, że tego rodzaju obraz najczęściéj nie jest żadném dziełem sztuki, ale zbiorem manekinów pracownianych ubranych w kostiumy dygnitarzy. Kostiumy te artysta maluje podług natury, więc nic dziwnego, że buty, ordery, mundury, pałasze, są daleko lepiéj namalowane od samych głów, które są robione z pamięci przy pomocy tylko fotografii i naturalnie robią wrażenie wyciętych z tekturki. W takim wielkim

obrazie, przedstawiającym jaką ceremonię dnia wczorajszego, główny cel obrazu, to jest same postaci są zwykle najgorsze i zabite przez akcesorya, jak szczegóły architektoniczne, mundury i t. p. rzeczy podrzędne. Czy prawdziwy artysta weźmie się do tego rodzaju obrazu, którego temat nie ma warunków malarskich i który w dodatku trzeba będzie „fabrykować", posługując się sztuczkami i środkami nic ze sztuką nie mającemi wspólnego? Rzucają się więc najczęściéj do takich tematów rzemieślnicy pędzla, widzący w tém tylko dobry zarobek. Nie trzeba tu bowiem mieszać z niemi obrazów historycznych, w tych przecież artyści przedstawiając przeszłość nie są skrępowani dokładnością fotograficzną i mają swobodę stwarzać swych bohatérów jako typy, tak jak ich sami pojęli, a dokumenty są tylko pomocą w tym razie.

Siedm ogromnych obrazów naliczyłem poświęconych tematowi wizyty Cesarskiéj, a żaden nie jest dziełem sztuki. Gdyby chociaż był dziełem dobrze wywiązującego się z obstalunku rzemieślnika! Niestety, wszędzie zamiast osób żyjących spotyka się uniformy o głowach wyciętych z tektury.

Z pomiędzy nich trzy obrazy wzięły za temat przejazd Cesarski morzem z Anglii do Francyi, przedstawiają więc sylwety statków wojennych na rozkołysaném morzu, a o znajdowaniu się na nich danych osób publiczność może tylko wiedziéć z drukowanych tytułów, a biegle jsi w kwestyach morskich z odpowiednio umieszczonych flag na masztach. Obrazy te jako obrazy morskie nic interesującego nie mają, jako zaś ilustracye pewnego momentu historycznego nie przedstawiają właściwie nic, oprócz podobizn statków i tylko tytuł może poinformować widza.

Vautier'owi tematu dostarczyło „Poświęcenie mostu Aleksandra III na Sekwanie", gdzie wcale nawet nie widać głównych osób. Tłum bezimienny, a na pierwszym planie krzywo narysowany policyant paryski: oto pretekst do zapełnienia wielu metrów płótna. „Rewia w Chalons" Scott'a jest poprawną kolorowaną fotografią trybun i zapełniających je widzów. W każdym razie jest to najszczęśliwiéj obmyślony obraz. Przyjęcie Cesarza i Cesarzowéj w akademii francuskiéj Brouillet'a jest przynajmniéj zbiorem poprawnych, a czasem nawet dobrych pojedyńczych portretów, nagromadzonych bez malarskiéj całości na jedném płótnie. „Odwiedziny grobu Napoleona I w kościele Inwalidów" Beroud'a jest pracą bardzo słabą, gdzie oprócz kolosalnych kolumnad przeciętnie zrobionych, reszta jest całkiem nieudolna.

Bądźmy przygotowani, że nadchodzący Salon będzie miał sporo

obrazów na temat wizyty Faure'a w Petersburgu [1]). Wszak ci panowie nie są artystami ale reporterami malarskimi. Przy téj sposobności przypominam sobie wypadeczek, jaki się jednemu z tych panów wydarzył kilka lat temu. Po śmierci Carnot'a wybrano na prezydenta Casimir Périer'a. Jeden z poławiaczy tematów „korzystnych" namalował zaraz obrazek batalistyczny przedstawiający któregoś z rodziny Casimir-Périer'ów. Obrazek ten, jak wszystkie tego rodzaju dzieła, wymagał kilkunastowierszowego objaśnienia, aby był zrozumianym. Fatum jednak chciało, że Casimir-Périer bardzo krótko był prezydentem i otwarcie Salonu zastało już u władzy Faure'a, a co zatém idzie, obrazek był zupełnie zaniedbany i ani go żadne muzeum, lub rząd nie kupił, ani żadnego medalu mu nie przyznano, któżby z komisyi nagradzającéj, lub delegatów ministeryum sztuk pięknych, wyznaczonych do nabywania dzieł dla muzeów narodowych, odważył się wyróżnić téj treści dzieło, skoro panowała głęboka niechęć między nowym a starym kursem? I uczyniono słusznie, bo obraz niczém nie zasługiwał na wyróżnienie jako dzieło sztuki; lecz jakżeżby odmiennie patrzyli na niego eksperci od sztuki, gdyby Casimir-Périer nie pośpieszył się tak ze swą dymisyą!

Jak poprzednia grupa malarzy poluje wciąż na nowe tematy nieartystyczne, ale na czasie, tak istnieje cała falanga takich, którzy wyrobiwszy sobie firmę w pewnéj specyalności, nigdy ani na jotę po za granice jéj nie wychodzą, lub pewni swéj wielkości występują z pracami słabemi, licząc że podpis ma zastąpić samo dzieło.

Weźmy takiego Bouguereau, którego co prawda usprawiedliwia wiek podeszły. „Rana miłosna" jest jak zwykle u Bouguereau pretekstem do namalowania porcelanowéj nagości. Na tle konwencyonalnéj zieleni naga kobieta wyciąga sobie z pod piersi strzałę, którą wypuścił fruwający w powietrzu amor. Co za banalność sklepowa bije z tego! Ranna ustawiwszy się w najestetyczniejszéj, na jaką się umiała zdobyć, pozie, wyciąga ową strzałę nie patrząc się nawet w tym kierunku i z taką obojętnością na twarzy, na jaką tylko główki kobiece z bonbonierek zdobyć się mogą. Amor wierzga wysoko w powietrzu, podparłszy się jedną ręką pod bok! Może czytelnicy powiecie, że jaki temat, takie jego pojęcie? A więc weźmy drugie dzieło Bougnereau p. t. „Litości!" (*compasion!*). Przedstawia ono ukrzyżowanego Chrystusa, do którego podchodzi człowiek dźwigający krzyż. Artysta zaopatrzył swą pracę cytatą: „pójdźcie do mnie wszyscy, którzy upadacie

[1]) Charakterystyczném jest, że tego rodzaju obrazy są specyalnością Salonu na Polach Elizejskich, a na Polu Marsowém nigdy się nie zjawiają. To samo rzec można o posągach i obrazach Joanny d'Arc i t. p.

pod ciężkiém brzemieniem, a ja was orzeźwię." Jakież to potężne dzieło na ten temat stworzyć by można! Ale Bouguereau wymalował tylko zwyczajnych modeli świéżo wykąpanych, z tylko co wyparzonemi w gorącéj wodzie czerwonemi nogami. Jeden stoi na podstawce przybitéj u dołu krzyża i ręce trzyma podniesione w górę niby przybite do ramion krzyża. Drugi model podchodzi do niego dźwigając bez żadnego wysiłku krzyż na ramieniu. Jeden z krzyżów jest politurowany a drugi malowany olejno. U wierzchołka krzyża przybity szyld w trzech językach na biało lakierowanéj blasze tak białéj, że dobrze naśladuje arkusz brystolu. Że obie figury są najfałszywiéj pojęte, a raczéj wcale nie pojęte, tego nawet dodawać nie potrzebuję. Są to dwaj modele postawieni obok siebie, nie zaś dwie istoty, z których jedna jest Bogiem, potęgą odkupującą cały świat przez swą ofiarę, a druga najnędzniejszym z nędznych śmiertelników, który z nieograniczoną wiarą korzy się przed stwórcą swym i zbawicielem.

Beniamin - Constant, kompozytor o niebo przewyższający poprzedniego artystę, przeszłoroczny laureat medalu honorowego za wyborny portret swego syna, w tym roku do reszty poczuł się wielkim po owym medalu i naturalnie wystawił drewniany portret księcia d'Aumale, który pisma humorystyczne powtórzyły przerabiając krzywiznę w czaszce na potworny guz, a nogi zamieniając drewnianemi kulami. Własna uczennica tegoż artysty, panna Morisot wystąpiła z lepszym o wiele portretem.

Heuner dał dwie kobiece głowy o rysunku potwornym, to téż krytyka (z wyjątkiem płatnéj) nielitościwie się z nim obeszła, ale chyba nierównie gorzéj potraktowała ona Bonnat'a za „Orła chwytającego zająca." Dwa wypchane okazy na pamięciowém tle pejzażu. Wszystko suche i brzydkie i gdyby było wyhaftowane na atłasie, lub wypalane na drzewie, to kto wié, możeby dało się to wepchnąć na jaką prowincyonalną wystawę sztuki stosowanéj.

Jakżeż inaczéj pojmuje malowanie zwierząt Edward Mansion, skromny Mansion, który dotychczas nawet *mention honorable* nie dostał. Jego „Koniec rozbójnika" przedstawia uaturalnéj wielkości lamparta, który przeliczył się ze swemi siłami i przeskakując palisadę bambusową, nadział się na zaostrzone w szpic pale. Wściekły, bezsilny, broczący krwią w konwulsyjnych skrętach, chce się napróżno wydobyć z rozpaczliwego położenia. Przypuszczam, że trudniéj było obserwować żywego lamparta i to w takiéj pozic niż orła i zająca, mimo to obraz Mansion'a niczém nie przypomina gabinetu zoologicznego z wypchanemi skórami na postumencikach. Jest to dramat podzwrot-

nikowy tak żywo i plastycznie oddany, że widz obojętnie przejść koło niego nie może.

Legendy bretońskie są niewyczerpaném źródłem dla artystów, spotykamy też ich sporo, a niektóre bardzo dobrze oddane.

Corocznie w końcu zimy od brzegów bretońskich odbija wiele statków rybackich, które się udają na połów dorszów aż na morze Islandzkie. Wiele statków wypływa, ale nie wszystkie w jesieni do domu powracają. I stąd na murach cmentarzy nadmorskich lub kapliczek bretońskich spotyka się często podróżny z nazwiskami ofiar morza. Islandya—to źródło zarobku i środek utrzymania dla pozostawionéj w domu rodziny, Islandya — to widmo co chwila grożącéj śmierci. Ci Bretoni, co płyną na połów dorszy, zwani są popularnie islandczykami, a statki ich islandzkiemi.

Takiego islandczyka dał nam Bourgain w „Legendzie bretońskiéj." W izbie rybackiéj stół pod oknem i dwie ławy, a na stole jedzenie, chléb i butelka jabłeczniku stoją pomiędzy dwiema zapalonemi świecami w dzień Zaduszny. 2-go listopada zastawia się takie nakrycie dlatego, co zmarł w ciągu roku. Na obrazie Bourgain'a widzimy cień marynarza siedzący sztywno przed zastawionéem jedzeniem. Z ubrania widać, że zszedł z tego świata w chwili pracy i walki z rozszalałém morzem, gdzieś na dalekiéj północy śród mgieł i gór lodowych. Pozostała rodzina, tuląc się do siebie, patrzy z przestrachem i przejęciem na to milczące widmo.

Bulfield (Anglik) dał zaczerpnięty również z legend bretońskich „*L'intersigne du berceau.*" Tu cień marynarza zjawia się nieoczekiwany. Noc, matka śpi, mając obok kołyskę. W tém budzi się i widzi izbę pełną jakiegoś światła i mężczyznę łagodnie kołyszącego dziecię. Widmo głowę podnosi a przerażona kobiéta poznaje męża... Pierwszy rybak powracający z Islandyi przyniósł wiadomość, że statek na którym był jéj mąż, zginął wraz ładunkiem i załogą. Artysta przedstawił chwilę, kiedy kobiéta poznaje ducha swego męża.

Jobert już z rzeczywistego życia rybaków na mieliznach Newfoundland'u zaczerpnął tematu do obrazu „We mgle". Na łodzi należącéj do rybackiego statku dwóch marynarzy spostrzega z przerażeniem wychylający się z opony mgły przód wielkiego okrętu, który za chwilę zatopi drobną łódkę a nikt na pokładzie nawet nie zauważy tego. Dramatyczność chwili, groza przebijającéj się przez mgły potężnéj sylwety statku wybornie oddane.

Duvala Jana „Wizya ostatniéj godziny" przedstawia poetę siedzącego za stołem w swéj pracowni, a z wielkiego cyferblatu zegara go-

dziny przybierają formę żywych postaci, które krąg zataczają. Poetę mija „ostatnia godzina" i wyciąga mu pióro z ręki.

La dernière ôtera de ta main téméraire
La plume où pend encore ta suprême pensée,
Car nul ne doit finis la tâche commencée
Et toute oeuvre de l'homme est faite de poussière.

Zatrzymawszy się przed pejzażami algierskiemi Rigolot'a, które w znakomity sposób oddają spieczoną skalistą drogę, ziejącą blaskiem afrykańskiego słońca, przyjrzyjmy się na zakończenie kilku największym płótnom w Salonie.

Młody malarz Lavalley wystawił wielkie płótno dekoracyjne p. t. „Zaślubiny Flory", co mu dało sposobność, do umieszczenia licznéj grupy nagich kobiét śród słonecznego pejzażu. Wszystko utrzymane w gamie jasnéj, wesołéj, tchnącéj wiosną, życiem i młodością.

Uznany już oddawna za mistrza, impresyonista Henryk Martin, wystąpił z ogromnym obrazem „Ku otchłani" (*Vers l'abîme*). Na pierwszy rzut oka obraz nie zupełnie zadawalnia w porównaniu z jego innemi pracami i dopiéro dłuższe studyowanie coraz więcéj pięknych szczegółów odsłania. Niemniéj praca takiego artysty, jak Martin, nie może być bez wartości. Obraz przedstawia pustynię bez śladu roślinności, oświetloną zachodzącém słońcem od lewéj strony obrazu. W tym kierunku grunt się pochyla, zapowiadając blizkość przepaści. W tym też kierunku posuwa się tłum niezliczony, oświetlony wybornie z ukosa słońcem.

Postać alegoryczna naga, okręcona przezroczystą czarną gazą w złotym pasie z wielkiemi czerwonemi makami, z wieńcem na głowie i ze skrzydłami nietoperza kusi i wabi ten tłum za sobą w stronę przepaści, mamiąc go pawiemi piórkami i gałązką szaleju. Wszyscy do niéj ręce wyciągają i biegną na oślep. Pierwsze rzędy błagają na kolanach lub padają pod naciskiem następnych, dalsze przez głowy innych pragną choć zobaczyć z daleka to nęcące ich widmo. Jedni proszą, drudzy ogarnięci zwątpieniem rozpaczają. Z tłumu tego można wyróżnić wiele wspaniale pojętych grup i pojedyńczych postaci. Każda z nich wybornie wyraża jakiś stan ducha. Jest tam też para kochanków. On błaga, ona przytulona zamknęła oczy, zrezygnowana na wszystko, byle razem z n i m. Starcy z wieńcami na głowach, staruszki, młodzież, wszystko to pała nadzieją zdobycia tych wabiących pawich piórek, lecz mara wciąż się odsuwa ze złośliwym uśmiechem na ustach i pociąga ku przepaści. A nad tłumem ludzkim stado czarne kruków już ciągnie z oddali. Technika Martina zasadza się na kładzeniu

obok siebie barw czystych w krótkich pociągnięciach pędzla. Przy tak wielkich rozmiarach płótna widz stając z daleka nie dostrzega téj mozajki, lecz doznaje wrażenia wielkiego natężenia światła i drgań jego w atmosferze.

Na przeciwległéj ścianie zawieszono podobnych rozmiarów obraz Pawła Gervais [1]) p. t. „*La folie de Titania.*" Temat zaczerpnięty z Szekspira „Snu nocy letniéj." Gdy Martin miał myśl filozoficzną i chciał ją wyrazić po malarsku, to Gervais poszukał tylko dobrego tematu i pretekstu do namalowania pięknego pejzażu i pięknych nagich kobiét. Przez to, gdy u pierwszego każda postać żyje, wyraża coś, odsłania swego ducha, tu — wdzięczne pozy, słodkie uśmiechy stanowią wszystko. W cyprysowym gaju nad brzegiem jeziora, przy ostatnich promieniach gasnącego dnia letniego, naga prześliczna i rozmarzona Tytania pieści i tuli postać ludzką o ośléj głowie. Tu i owdzie ugrupowane śród zieleni nagie kobiety z uśmiéchem pobłażliwym przyglądają się téj scenie. Krajobraz wyborny, ciała malowane bardzo wdzięcznie, tylko może w całym obrazie zbytnia panuje słodycz kompozycyi i barw, którą zresztą po części usprawiedliwia tak temat obrany, jak i chwila gasnącego dnia, gdzie słodkie różowo-szare barwy zalewają atmosferę.

Wspomnę tu jeszcze o wybornie skomponowanym, pełnym ruchu i prawdy obrazie „La Coda" przez Delahaye'a, gdzie w czasie wojennym dwóch ułanów pruskich zasiadło przy dobrze zastawionym stole, a trzeci dla rozweselenia się większego siadł do pianina. Wtém przez drzwi otwarte do ogrodu wpada kartacz i wszystko w najokropniejszy sposób kaleczy, tłucze i pustoszy. Artysta uniknął tu oklepanych banalnych ruchów. Widać tu całą straszną prawdę i trzeba wierzyć, że tak właśnie było.

Józef Bail jak zawsze znakomity, ale téż jak zawsze zadął w tę samą dudkę. Z murillowską techniką namalował kuchcików grających w karty i gosposię przyprawiającą na zimę korniszony. Naczynia kuchenne, szklane słoje, które są ulubionym tematem Bail'a, są nieporównane.

Lecz trzeba się ograniczyć na tém, pomijając wiele nazwisk i wiele interesujących obrazów, aby przejść na chwilę do działu architektury. Posiada on półtorasta numerów w katalogu, lecz najczęściéj jeden numer obejmuje wiele tablic. I tak Emanuel Pontrémoli wystawił „Odrestaurowanie Pergamu" pod jednym numerem, a przyjrzyjmy się,

---

[1]) Nie trzeba go mieszać z Henrykiem Gervex, wystawiającym na Polu Marsowem.

jakie to ogromne jest dzieło. Składa się ono z kilkunastu olbrzymich tablic, przedstawiających zdjęcia terenu i ruin obecnych jak również odtwarzających stan dawny. Są to zarówno plany topograficzne, widoki z lotu ptaka, zdjęcia z oznaczeniem wysokości poziomów, przekroje jak również i rysunki czysto architektoniczne i ręczne akwarele, służące do objaśnienia poszukiwań. Żeby dać wyobrażenie o rozmiarach rysunków, nadmienię, że ogół robiony jest w skali 0.005; olbrzymia fasada odrestaurowanéj świątyni w 0.01; wielki ołtarz Zeusa Sotera w 0.05; a fragmenty tego ołtarza w $^1/_4$ naturalnéj wielkości! Nie zastanawiając się nad doniosłością téj pracy, co należy do architektów i archeologów, sam ogrom wyłożonych trudów i taka dokładność i drobiazgowość badań, poniesionych dla nauki, muszą budzić podziw nawet w każdym przeciętnym widzu. My przyzwyczajeni w codzienném życiu widziéć powołanie budowniczego w tworzeniu trzypiętrowych kamienic z trzema oficynami, musimy z podziwem oglądać te lata całe pracy spędzone jedynie w celu pokazania, jak wyglądały kiedyś gruzy dziś niekształtne i jakie płaskorzeźby zdobiły świątynie już nieistniejące. Sąd nagrodził tę pracę medalem klasy I-éj.

Przechodząc przez dział grawerstwa i litografii, można podziwiać komisyę rozwieszającą, która małe miedzioryty pomieściła aż w piątym rzędzie. Prace, które znawcy oglądają przez szkło powiększające, umieszczać o kilka metrów ponad głową, to nawet brakiem miejsca usprawiedliwić niedodobna.

Zejdźmy teraz z sal malarstwa do działu rzeźby na parterze. Jak co roku, olbrzymi środek pałacu Przemysłu przemieniono na wielki ogród z trawnikami i klombami zieleni, śród któréj pomieszczono blisko tysiąc marmurów, bronzów i gipsów. Pod szklanéem sklepieniem przelatuje mnóstwo wróbli, siadając na rzeźbach i świergocąc śród klombów. Wróble to paryskie i nie przestraszają ich tysiące publiczności, snującéj się po wysypanych zwirem ścieżkach, po gorącu sal malarstwa odpoczywającéj tu na ogrodowych ławkach, lub przepędzającéj godzinkę na pogawędce i paleniu cygara.

Od czegóż mam zacząć ten przegląd rzeźby? Czy od zaznaczenia, że są tylko trzy gipsowe Joanny d'Arc? Może poszukać jakiéjś rzeźby nadzwyczajnéj *à la* zeszłoroczna „Tancerka", *vulgo* Cléo de Mérode, znana piękność przedstawiona bez żadnych muślinów? Niestety tego roku nie ma żadnego takiego rodzaju pieprzyka dla szerszéj i „inteligentniejszéj" publiczności. Ta publiczność ani zauważy nawet skandalicznéj rzeźby, a właściwiéj mówiąc skandalicznego tekstu pod rzeźbą, jaki jeden z artystów umieścił. Rzeźba sama jest, jak wiele innych, umiejętnie i poprawnie wykonana i niebym jéj nie miał

do zarzucenia, gdyby nie objaśnienie, jakie autor czuł się w obowiązku i w katalogu wydrukować i na wielkiéj karcie pod rzeźbą umieścić.

Autorem jest Villanis, a tytuł dzieła — „*L'adultère*". Naga kobiéta, naturalnéj wielkości, umieszczona jest na fragmencie schodów z poręczą. Widocznie otrzymała strzał, bo chwytając się za piersi, traci równowagę i czepia się drugą ręką balustrady. A tekst objaśnienia brzmi jak następuje: „*surprise dans le désordre de la faute par le mari justicier, elle s'enfuit épouvantée et blessée, sans avoir le temps de revêtir sa nudité coupable.*" Pomijam, że tego wszystkiego bez opisu nie można się z saméj rzeźby domyślić. Lecz tego męża, zwyczajnego zbrodniarza, najwyżéj mogącego korzystać z okoliczności łagodzących wobec sądu, to brutalne zwierzę strzelające do bezbronnéj, słabéj fizycznie istoty, nazywa autor „mężem wymierzającym sprawiedliwość", nie żałując jednocześnie epitetu „występnéj" dla nagości żony. Jakoś daleko już jesteśmy od téj Francyi, gdzie kwitła rycerskość, obrona uciśnionego i wspaniałomyślność dla słabego! I ten napis nie jest bynajmniéj rzeczą wypadkową; jest to wyrzeźbienie tych codziennych wypadeczków dnia paryskiego, gdzie mężowie wyrzucają żony przez okno z piątego piętra, gdzie kochankowie masakrują obcasem twarze swym lubym, gdzie ojcowie torturują swe dzieci, gdzie kwas siarczany, nóż i rewolwer są na porządku dziennym. Wszystko to są przejawy tego uznania jedynie dla przewagi fizycznéj, a zanik lepszych instynktów. Być może, że Villanis niechcący tak tekst zredagował, niestety i widzów on nie zastanawiał i raczéj aprobatę, a najwyżéj obojętność z ich twarzy mogłem czytać.

Captier Franciszek wybornie pojął „Fatalność". Naga, ślepa kobiéta, o surowych, zimnych rysach siedzi sztywno obojętna i głucha na wszystko, co ją otacza: „*cruelle envers les uns, indifferente envers les autres*". Bez cienia okrucieństwa lub pastwienia się, lecz z obojętnością jeszcze straszniejszą od tych instynktów, rozgniata swą potężną stopą wijącego się z bólu chłopca, u nóg jéj leżącego, a miecz, na którym się wsparła, wbija się w bok jego. A wbija go nawet nie wiedząc o tém co czyni, ot tak jak ktoś kto nie wié, że przydeptuje suknię sąsiadki. Drugie dziecko nie zaznało jeszcze co to fatalność. Siedzi na jéj kolanach i śmieje się do jéj martwéj twarzy. Zdaje się, że tylko jednego ruchu potrzeba, żeby straciło równowagę i spadło, jak tamto, pod stopy Fatalności. Lecz ręka jéj wisi bezczynnie i nie otacza troskliwie dzieciny, aby ją od upadku uchronić.

Dwie rzeźby Feliksa Soulés są obie równie piękne, choć całkiem odmienne. Marmurowa „Bachantka z kozą" przedstawia dziewczynę o rozkosznych, dyszących młodością kształtach. Rozbawiona zapra-

gnęła przejechać się na kozie, lecz ta ją powaliła na ziemię. Jest to królestwo życia, ciała i młodości. Druga rzeźba, zatytułowana skromnie „Nagrobkiem" wyobraża maleństwo leżące śród bogatych poduszek i makat, a nad niém nachyla się czule anioł-stróż, mając z drugiéj strony klęczącego w zbroi i z mieczem skrzydlatego rycerza. Nagrobek to może ostatniéj latorośli jakiego starego rodu, w pierwszych chwilach życia zabranéj z tego świata. Wielka poezya i uroczystość bije z téj kompozycyi. O ile to piękniejsze od „zdobnych" w różne gzemsy kamieni nagrobkowych naszych cmentarzów, lub bud zwanych pompatycznie grobami familijnemi!

Mijając setki rzeźb, często bardzo dobrze technicznie wykonanych, ale tak mało interesujących, tak płytkich i banalnych, że nawet śladu wspomnienia się po nich nie zachowuje, przyjemnie zatrzymać się przed grupą, gdzie artysta umiał pobudzić widza do myślenia i do badania tych zakutych w marmur rysów. Chwalić lub przyganiać szczegółom z punktu techniki byłoby na tém miejscu bezcelowém, skoro ogół czytelników nigdy tych prac oglądać nie będzie. Chyba wskazanie jakiéjś osobliwości, lub oryginalnego pojęcia, zręczności i dowcipu w wyzyskaniu samego materyału, może miéć jakąś racyę. Więc pragnę tylko to wybrać z prac artystów, co i na odległość zainteresuje i może być za pomocą słów oddane. Jest niém owa myśl, jaka pchnęła artystę do wykonania dzieła. Taką myśl posiadają rzeźby Loysela. „*L'écueil et la vague*" przedstawia skałę i symbolizującego ją mężczyznę [1]), a z fal morskich ją otaczających wychyla się postać kobiéca i kusi do pocałunku. On się waha, czuje swą zgubę, a jednak widać, że ulegnie pokusie. Tak fala wiecznie całująca morskie skały, choć oporne i obojętne na tę pieszczotę, jednak stopniowo wygładza je, kruszy i zmywa.

Ogromny ruch kompozycyi posiada „Uragan i liść" Forestier'a. Silny „uragan" pędzi dmąc w róg myśliwski i przeskakuje przez obumierającą kobiétę, która głową na dół spada. Jest to liść zerwany przez wichurę.

Prąd ożywiania martwego materyału rzeźbiarskiego przez zabarwianie jest dziś bardzo silny. Jedni kontentują się zaledwie dostrzegalném zaznaczeniem, inni silniejsze barwy kładą na marmur, są i tacy, lecz tych jest niewielu, co wprost nadają rzeźbie barwy przedmiotu w naturze. W mniejszych pracach spotyka się to nie rzadko. Wyborny był np. Murzyn (pół naturalnéj wielkości), który jako tragarz karawany niósł swój pakunek, gdy w tém lampart skacze z palmy

---

[1]) *L'écueil* = skała w morzu, jest we franc. rodzaju męskiego.

i chwyta go za gardło, będąc jeszcze w locie z łapami tylnemi w powietrzu, a przerażony Murzyn traci równowagę, rozrzucając swój pakunek. Bardzo wielki ruch i życie wyróżniają tę pracę, szczególniéj jednak zwraca uwagę zupełne zastosowanie wszystkich barw w natężeniu prawdziwém. Tak silnie w nas wpajano pojęcie bezbarwności w rzeźbie, że mimowoli dzieło to chce się do rzędu wyrobów sklepowych zaliczyć, mimo że jest rzeczą wysoce artystyczną. Lecz inne próby tego rodzaju są już gorsze. Są téż artyści, którzy nie zabarwiają swego marmuru lub gipsu na dany kolor, ale wprost zastępują ten gips przez materyał, jaki ma być wyrażony. Tak np. Loiseau-Rousseau w swéj „Karze śmierci na krzyżu" przedstawił naturalnéj wielkości nagiego człowieka z gipsu, konającego w cierpieniach męki, a po za tém wszystko jest z materyałów prawdziwych—i tak krzyż jest z dwóch potężnych belek dębowych, figura przywiązana do krzyża prawdziwemi sznurami i przybita wielkiemi prawdziwemi gwoździmi. Do osadzenia krzyża w kręgu gipsowym imitującym ziemię użyto kołów z prawdziwego drzewa. Artysta tylko z wielkiém co prawda złudzeniem za pomocą robienia plam tłustych, podmalowywania uczynił ze zdrowego bala krzyż robiący wrażenie zmurszałego i namiękniętego od deszczów. Wszystko to bardzo dobry sprawia efekt, tylko że widz zapytuje, czemu na prawdziwym krzyżu, prawdziwemi gwoździmi i sznurami przymocowali gipsowego człowieka?

Z oryginalną rzeźbą, ale w innym rodzaju wystąpił Thèodore-Rivière. Na wielkim kręgu gipsu, stanowiącym postument, kilkadziesiąt konnych postaci Hunnów wrzeszczących wymachuje dzidami. Figurki są rozmiarów małych lalek dziecinnych i wykonane w gipsie. Jest to moment, gdy jakiś pasterz odnalazł w ziemi schowany miecz Marsa, którego posiadacz miał podbić świat cały i oddaje go Attyli. Obok jeźdźców na wozie, ciągnionym przez woły, siedzą branki lub żony wojowników. Ogólny rzut oka daje wrażenie wielkiego ruchu i prawdy, poszczególne zaś figurki są zupełnie w stadyum szkicu zostawione.

Rozgłośna powieść „Aphrodite" Piotra Louys dała temat do kilku rzeźb, nie robią one jednak należytego wrażenia, tak samo jak i banalne ilustracye zdobiące ową książkę. Jest tam przedstawiona tak odmienna od naszéj obyczajowość starożytnéj Alexandryi, że tylko magistralnie spokojna forma opisu ratuje sytuacyę. Chcąc to ilustrować, nie bawiąc się w ckliwe, banalne nagości, ale w tym duchu, jakiego epoka przedstawiona wymaga, to jest z całą bezwzględnością tekstu, naraziłby się artysta na zaliczenie dzieła swego do rzędu pornograficznych według dzisiejszych poglądów. Chcąc uniknąć tego, artyści skazali się mimowoli na kompozycye banalne.

Bloch wyrzeźbił w drzewie nadnaturalnéj wielkości „Drwala”, rozrębującego siekierą również drewnianą gruby kloc drzewa. Trzeba oddać sprawiedliwość umiejętnemu wykonaniu i zwalczeniu trudności technicznych, ale po za tém trudno się zgodzić, żeby materyał był dobrze wybrany i podnosił zalety pracy.

Verlet'a pomnik dla Guy de Maupassant'a, przeznaczony do parku Monceau, jest wdzięcznie i na współczesny sposób obmyślony. U stóp słupa pomnikowego kamienna ławka, na któréj siadła młoda kobiéta w stroju współczesnym z książką w ręku, a myślą buja gdzieś daleko.

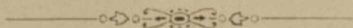
Nieduży marmur Bastet'a z pewnością stanie się popularnym i w reprodukcyach sklepowych zjawi się w prywatnych mieszkaniach miłośników... plastyki. Pod pretekstem „Pieprzyku” (*Grains de beauté*) figurka kobiéca o rozkosznych, pulchnych kształtach stara się tak obrócić, żeby jak najlepiéj zobaczyć pieprzyk, który ma na plecach.

Z pomiędzy rzeźb, przedstawiających sceny dziecinne, bardzo miłym jest pomysł do fontanny Amerykanina Mac-Monniès, bardzo cenionego artysty. Chłopak porwał kaczkę i niesie wyrywającego się rozpaczliwie ptaka, a wkoło podstawy, jakby z wody, wspina się wianuszek maleńkich kacząt, żałośnie dopominających się o uwięzioną matkę.

Tematy zwierzęce doskonale oddali Bureau w grupie lwa i lwicy; Gardet w „Lwie” i Navellier w słoniu walczącym z krokodylem. Młode niedźwiadki bijące się Richet'a są wyborne; również „Wysiłek” Debrie, przedstawiający pół naturalnéj wielkości czwórkę perszeronów, dobywających całéj energii muskułów, żeby ruszyć z miejsca. Jest to wypukłorzeźba i pierwsza para prawie że jest w zupełności wyrzeźbiona wypukło, gdy druga dyszlowa przechodzi jako płaskorzeźba w ścianę, która dziełu za tło służy. Psy, koty, lisy, kury dość licznie są też reprezentowane i podpatrzone w swych najbardziéj charakterystycznych momentach.

Na zakończenie dodam całkiem już reporterską wiadomość, że i Sarah Bernhardt wystąpiła z rzeźbą, dając dość twardy i dość suchy biust Sardou, swego nadwornego dostawcy dramatów. Ile w tém jest pracy saméj Sary, a ile usłużnych przyjaciół—trudno wiedziéć, w każdym razie, czy tak, czy owak, rezultaty otrzymane są b a r d z o przeciętne i nowych laurów do karyery dramatycznéj nie dorzucą.

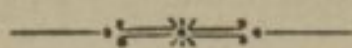
Antoni Austen.



W RAJU.

Z ŻYCIA POLAKÓW W AMERYCE.

Szkic do powieści.



— A któż tam tak dzwoni?

— To ja. Czy to u pani ten pokój z meblami do wynajęcia?

— Tak, proszę pana.

Pytający, człowiek już siwizną przypruszony, wszedł na górę i grzecznie uchylając kapelusza, pyta:

— Czy mogę zobaczyć?

Dwudziestodwuletnia szatynka, zmierzywszy go najpierw swém dużém, niebieskiém okiem, niedbale odpowiada:

— Nie wiem. Zapytam siostry.

I cofając się wgłąb pokoju, woła:

— Annie! [1]).

Niebawem ukazuje się miss Annie, podobna lecz nieco starsza, ale za to piękniejsza od tamtéj.

Miss Annie ledwo spojrzéć raczyła, zaraz odpowiada z grymasem:

— Już wynajęty.

— Więc czemuż panie karty nie zdejmą?

[1]) *Annie*, wymawiaj Eny.

- To nasz *business*—odpowiada kategorycznie.

— Chyba i mój także, skoro mnie to bez potrzeby naraża na stratę czasu i chodzenie po schodach — mruczy amator meblowanego pokoju, odchodząc.

Tymczasem ktoś drugi, znalazłszy drzwi otwarte, już bez dzwonienia wszedł na górę; ale słysząc rozmowę z tamtym, cofa się także.

— A do kogo to interes?—zatrzymuje go miss Annie, wychylając się przez poręcz schodów.—Czy pan razem?

— O nie, pani, — odpowiada nr. 2, — wcale nie. Ja dla siebie samego tylko szukam pokoju z meblami, ale słyszę, że już wynajęty.

— Proszę pana, proszę na górę — odzywa się miss. — Nie wiem na pewno; zapytam mamy.

Nr. 2 wraca.

Miss Annie jakoś innym tonem teraz przemawia. Widocznie większe u niéj przywileje mają przystojni 30-letni i do tego starannie ubrani bruneci.

— A więc pan tylko dla siebie potrzebujesz mieszkania?—powtarza pytanie, chcąc widać zyskać na czasie i dobrze zbadać, czy się opłaci mamę fatygować.

— Tak, pani, dla siebie samego — odpowiada brunet z uśmiechem, jakby zrozumiał o co rzecz chodzi, i dodaje znacząco:—Nie wątpię, że byłbym bardzo z mieszkania zadowolony.

Miss Annie uśmiecha się także.

— *Ma!* [1])—woła—tu jeden pan chce raj zobaczyć.

— Jakto, pani? a więc ja do raju trafiłem?

— Tak, panie. Rajem nazwałyśmy pokój, o który pan pytasz.

— To bardzo właściwe dla mnie mieszkanie. Noszę przecież imię Adama.

— Czy tak? Istotnie szczególny traf.

— A czy to raj chrześciański czy też mahometański?

— A panbyś wolał?...

— Nie wiem. Oba mają pewien urok. Czasem mnie tak nęcą huryski, że bierze chętka przejść na wyznanie Mahometa, ale nuż prorok obietnicy nie dotrzyma, albo ma zły gust.

— A pan bardzo wybredny?

— Bardzo. Najlepszy dowód, żem jeszcze dotychczas nie wybrał. Ale nie tracę nadziei, bo jako Adam, sam w raju być nie mogę. Może się więc znajdzie nareszcie jakaś Ewa, a raczéj jedna z jéj prawnuczek, bo nie mam wielkiéj ochoty brać wdowy po Adamie nr. 1.

---

1) *Ma* — skrócone z mama.

— A nie przeraża pana operacya z żebrem?

— Prawda, zapomniałem. Ale może to nie będzie zbyt bolesne. Chirurgia przecie od owego czasu wielkie zrobiła postępy... Jeżeli więc bez tego żadnéj Ewy miéć nie można...

I byliby może we dwoje obmyślili jakiś sposób stworzenia Ewy bez operacyi, ale dalszą rozprawę nad tym tak ważnym dla nich przedmiotem przerwało pojawienie się *Ma*.

Adam już widocznie w pierwszéj instancyi wygrał sprawę; nie wiadomo jeszcze, jaki wyrok zapadnie w apelacyi u *Ma*; ale może i ona będzie również łaskawym sędzią.

— Dzień dobry panu—odzywa się zaraz wcale do huryski niepodobna *Ma*, badawczym wzrokiem obrzucając przybysza.

— Dzień dobry — odpowiada Adam. — Życzyłbym sobie zobaczyć ów pokój.

— Pan zdaje się cudzoziemiec—mówi jakoś kwaśno *Ma*, wcale się nie śpiesząc z wpuszczeniem do raju.

— Tak jest, pani, Europejczyk. Każdy to łatwo poznać może. Jeszcze bardzo źle mówię po angielsku.

— Szkoda wielka — odzywa się *Ma* takim tonem, jakby to miało znaczyć „nic z tego mój panie."—Ten pokój już zamówiony.

— Ja sądzę — wtrąca miss, znaczące rzucając spojrzenie na matkę, — że tamten pan już się chyba nie zgłosi.

— A jakiéj pan narodowości?—pyta znów *Ma*.

— To jest, właściwie, jestem Niemiec—odpowiada Adam z pewném wahaniem i zakłopotaniem, a nawet rumieniąc się trochę.

— A, Niemiec — bezmyślnie powtarza *Ma*.—I dawnoś pan przyjechał?

— Jestem tu dopiéro od 3 miesięcy.

— Dopiéro?—dziwi się miss Annie.—A już wcale nie źle mówisz pan po angielsku.

— Trochę się już w kraju uczyłem.

— A jakże się panu nasza piękna Ameryka podoba?

— Jeszcze dotychczas nigdzie po za New-York nie wyjeżdżałem, okolicy więc wcale nie znam; ale jeśli wszędzie tyle ładnych kobiét, ile ich tu spotykam, to wszędzie prawdziwy raj...

Miss Annie uśmiécha się zadowolona.

— Może pan do *parloru* pozwoli? - mówi.—Mamo, dlaczegóż tak we drzwiach stoimy? Proszę pana daléj.

— A czém się pan trudni?—pyta *Ma*, siadając na kolébaczu.

— Jestem artystą.

— W tym kraju to nie szczególny *business*.

— A, to niezawsze, *Ma.*

— A ten co tu mieszkał? Przecież to także jakiś malarz, czy coś. Prawda, że przystojny, ale cóż z tego, kiedy nie mógł znaléść zajęcia.

— I za ten grzéch został wypędzony z raju — mruknął z uśmiéchem złośliwym Adam.

— Co, panie?

Pan Adam ugryzł się w język, a korzystając z tego, że nie dosłyszano, poprawia się:

— Mówię, że jestem muzykiem.

— A widzi mama; to co innego.

— I to nie bardzo popłatne. Znam pewną wdowę, któréj mąż grywał na balach, a dziś ona w biédzie.

— Ale ten pan zapewnie koncerty daje, a to lepszy *business.* Przecież mama czytała, że Padereuski (Paderewski) w 3 miesiącach zarobił 100,000. Czy pan także gra na fortepianie?

— Tak, pani. Daję lekcye.

— Lekcye?... E, widzisz... Tamten pan, co chce pokój wynająć, to agent, robi lepszy *business* na patentowanych medycynach. Ja sądzę, Annie, że on się jeszcze zgłosi.

— A ja nie sądzę — przerywa już nieco zniecierpliwiona córunia. — Zresztą, kto pierwszy, ten lepszy. Niechże mama pokaże pokój...

Ale pomimo protekcyi miss, mama widocznie jeszcze nie ma ochoty wrót raju otwiérać.

— Panu się pewno nie śpieszy—mówi.—A może nam pan co raczy zagrać?

— Ależ mamo, przecież ten pan daje lekcye, pewno mu pilno... Chyba że...

— Dopiéro za godzinę mam termin — przerywa Adam, powstając.—Jeżeli więc panie raczą posłuchać...

— A i owszem, prosimy, jeśli wolno — rzekła miss Annie i zaraz fortepian otwiéra.

Adam kilka uderzył akordów, próbując instrumentu, po czém z pod długich jego palcy popłynęła rzewna melodya Chopinowskiego mazurka.

Amerykanin nigdy nic w oczy nie zgani, wszystko dla niego zawsze piękne. Również więc i miss Annie bardzo się mazurek podobał, ale w tych jéj zdawkowych pochwałach nie czuć szczerego zachwytu.

— Zdaje mi się,—mówi—że i ja też coś podobnego gram. Czy to mazurek „Czopina"?

— Tak, pani—odpowiada Adam z uśmiechem, a widząc jakich ma przed sobą znawców, zagrał jeszcze galopkę.

Teraz dopiéro miss Annie zachwycona, woła nawet miss Katie [1]) z drugiego pokoju i obie nie mogą się dość napatrzyć i odchwalić, że tak ręka artysty szybko po klawiszach biega.

— Ach pięknie! ach cudowne!—powtarza miss Annie. — Pan koniecznie powinieneś wystąpić z koncertem, zrobisz niezawodnie dobry *business*. Ja sama nawet postaram się dużo biletów między memi koleżankami sprzedać. Jestem pewna, że panu lekcyi nie zabraknie.

Widocznie sztuka zwyciężyła handel; artysta wziął górę nad agentem patentowanych medycyn, bo mama zaraz proponuje obejrzenie raju.

Raj, naturalnie, bardzo się podobał, zwłaszcza, że uprzejma teraz gospodyni pozwalała nawet używać fortepianu. W dodatku, artysta zawarł jeszcze umowę z miss Annie, że w zamian za lekcye muzyki ona mu będzie udzielać nauki języka.

. . . .

W parę godzin późniéj już na drzwiach raju bieliła się karta: *Prof. A. Mate, music teacher.*

Skoro się tylko pan profesor trochę rozgościł w swym raju, natychmiast zasiadł do pisania listów. Między innemi pisał też i do matki:

„Tęskno mi tu samemu — narzeka w dalszym ciągu. — Wśród całkiem obcego mi otoczenia, czuję się jak na pustyni. Gdzie spojrzę, obce twarze, obojętne, zimne spojrzenia. Nieraz waryacya do głowy przychodzi.

„Dziś właśnie zmieniłem mieszkanie. Nowa moja siedziba nazywa się rajem; ale nie wiem jeszcze, czy to tylko igraszka losu, czy też naprawdę będzie mi tu lepiéj. Lecz wątpię, aby tak prędko poprawa nastąpiła; bo przecież i tamtemu Adamowi nie było nawet w raju dobrze, dopóki był sam. Zdaje się jednak, że tu będzie wygodniéj. Żal mi tylko starych moich przyjaciół, towarzyszy niedoli na tamtéj kwaterze. (Niechże się tylko mama ze mnie nie śmieje). Była to figlarna myszka i legion karaluchów. Nieraz wyciągnięty na sofce, godzinami leżałem tak bez ruchu, bojąc się szelestem spłoszyć tych gości. Obecność ich była mi pociechą. Widząc koło siebie choć takie żyjące

---

[1]) *Katie* — wymawiaj Kety.

istoty, samotność mniéj dokuczała; było mi nieco raźniéj w ich towarzystwie. Wkrótce też — szczególniéj z myszką — wszedłem w bliższe stosunki, a w końcu się nawet coś w rodzaju przyjaźni między nami wywiązało. Jestem przekonany, że teraz biédna, opuszczona, opłakuje mnie. Być żałowanym, jest to także w swoim rodzaju pociecha. Ludzie się niesłusznie do tego gryzonia uprzedzili. Jest to bowiem nader miłe i rozkoszne stworzonko. Trochę lękliwe, co prawda, jak każda słaba istota, ale to właśnie wdzięku dodaje.

„Już się tak moja myszka obłaskawiła, że śmiało wychodząc na środek, bez obawy skubała przygotowaną dla niéj bułkę. Ale serdeczny ten stosunek zmąciło trochę podejrzenie, iż ona to, psotnica, zgryzła mi kawał Wagnera, którego ja sam ugryść nie mogłem. Opanowała mnie więcéj zazdrość niż gniéw. Byłem w obawie, że się otruje nieboraczka, ale jakoś szczęśliwie strawiła wszystkie krzyżyki i bemole, a teraz mi swym piskiem lepsze daje pojęcie o muzyce przyszłości. Bardzo mi dziś w moim raju brakuje téj amatorki muzyki. Mam wprawdzie i tu przez ścianę dwie inne myszki, ale daleko dotkliwiéj, niż tamta Wagnerowska, dają mi się we znaki, wciąż gryząc fortepian. A i z drugiéj strony mieszka tu jakiś znów Mr. J. W. Book. Obawiam się, czy i ten sąsiad nie cierpi także jakiéj choroby muzycznéj, bo już przez uchylone drzwi, z wielkiém mojém przerażeniem, spostrzegłem u niego przypadkiem *banjo* na ścianie. Dotychczas jednak przekonałem się dopiéro, że gwiżdże jak prawdziwy słowik, choć teraz nie maj. Wyobrażam sobie, z jaką rozkoszą będę musiał słuchać jego koncertu na *banjo*. Dostałem się we dwa ognie. Jeżeli tak daléj pójdzie, będę chyba zmuszony emigrować z mego raju, nie czekając nawet aż mnie kto z niego za jaki grzéch wypędzi. Z jedną myszką łatwiéj się było porozumiéć, ale całe stado, to trochę za wiele. Mógłbym w końcu doznać losu biédnego Popiela. Szczególniéj też jedna strasznie mi dokucza. Załachocze mnie na śmierć swoim „Czopinem", przekonana zapewne, że mi tém wielką przyjemność sprawia. Z tém większym zapałem wezmę się do lekcyi, a może mi się uda i biédnego „Czopina" i siebie samego od tortur ocalić. Spróbuję.

„Ale żart na stronę. Widzisz stąd, kochana moja Mateczko, jak mi tu brak kogoś, z kim mógłbym dolę swą podzielić. A jednak, pomimo to, proszę się wszelkiemi sposobami starać powstrzymać wyjazd Zosi. Dziś mi jeszcze niepodobna myśléć o tym związku, bo dlaczegóżby tęsknić we dwoje. A obawiam się nie bez powodu, że pómimo całego z jéj strony przywiązania, o jakiém jestem przekonany, gotowaby się tu zatęsknić na śmierć, nawet obok mnie. Po bliższém więc zastanowieniu, przyszedłem do przekonania, że lepiéj zaczekać, aż przy-

najmniéj ja się tu trochę przyzwyczaję. Zresztą muszę wyznać otwarcie, że ścisły zrobiwszy rachunek sumienia i serca, nie mam dziś odwagi do tego kroku, bo wątpię, czy nawzajem wystarczylibyśmy sobie do szczęścia. Wiem, że dobra z niéj kobiéta, ale czyż mi domowa szlafmyca da wszystko, czego pragnę? Waham się. Przeraża mnie myśl, że musiałbym się wtedy z obowiązku do jarzma zaprządz, a wtedy — bywajcie zdrowe moje najpiękniejsze marzenia, żegnaj sztuko. Ja teraz pragnę na szerszy świat wypłynąć, lepiéj się wśród Amerykanów rozejrzéć, a po tém... nie wiem co będzie po tém. Nie taję, iż nudno mi dziś samemu i radbym miéć obok siebie jakiegoś przyjaciela, bo czuję, że więdnę w samotności, i żal mi Zosi, może nawet źle czynię, wstrzymując jéj przyjazd, a czuję, iż to jakaś nieunikniona konieczność nakazuje mi tak postąpić. Muszę usłuchać tego głosu serca, bo trudno samego siebie okłamywać. Być może, iż z czasem do innego przyjdę przekonania, ale teraz inaczéj powiedziéć nie mogę. Może nawet kiedyś, złamany zawodami, będę wyrzucał sobie, iż podeptałem swe szczęście, ale dziś jeszcze nie byłoby ono dla mnie szczęściem. W téj chwili z prawdziwą przyjemnością przyjąłbym wiadomość, że znalazł się inny, godniejszy odemnie, z którym Zosia mogłaby być naprawdę szczęśliwą. Sprawiłoby mi to nawet pewną ulgę, bo nie taję, iż dręczą mnie wyrzuty, że zamąciłem jéj spokój, a może nawet i całą zburzyłem przyszłość.

„Nadzwyczaj tu trudno wejść w ściślejsze stosunki z Amerykanami; mam jednak nadzieję, że uzbroiwszy się w cierpliwość, z czasem po nitce dojdę kłębka i utoruję sobie do nich drogę. Bardzo teraz żałuję, żem się nie postarał o listy polecające.

„Chociaż nie mam garbatego nosa, wielu jednak posłyszawszy me nazwisko, pyta: czym żyd? Z tego powodu, kiedy oni dopiéro tu polonizują swe nazwiska, ja widziałem się zmuszonym odrzucić „*rski*", nie chcąc dźwigać ich grzechów, któremi obciążają nasze *conto*. Odtąd więc proszę adresować tylko: *Prof. A. Mate, 1000 W. 35 st.*

„Podobno jest tu także sporo i niefarbowanych Polaków, ale jeszcze żadnego nie zdarzyło mi się spotkać, o co się zresztą wcale nie staram, bo mi Józef w Paryżu radził trzymać się od nich zdala, na uboczu. Nie wiem jednak, czy długo zdołam się do téj jego rady stosować, bo mi tu strasznie tęskno wśród obcych żywiołów. Być może, iż gdy wejdę w koła amerykańskie, nie będę tak bardzo odczuwał braku towarzystwa swoich, ale dziś dusza rwie się do nich. Gdyby mi się teraz choć jaki nasz Maciek, albo Bartek, nawinął, czuję, żebym go ze łzami, jak brata uściskał. Postanowiłem jednak nakazać sercu mil-

czenie w nadziei, że się odtęsknię; ale to, bądź co bądź, gwałt naturze zadany.

„Wyobrażam sobie, jak strasznėm musi być tu położenie młodzieży, przyjeżdżającėj bez znajomości ludzi i stosunków, bez zasobów często, a prawie zawsze z kagańcem na ustach i od razu zmuszonėj w nieznanym świecie rozpoczynać walkę o byt..." i t. d.

. . . .

Pan profesor list ten kilkakrotnie odczytywał, pieczętował i znów otwiėrał dla zrobienia poprawek lub dopisków i jeszcze wahając się, czy posłać, kilka dni go w kieszeni nosił, zanim się nareszcie zdecydował do skrzynki wrzucić; a wrzuciwszy, znów żałował, że to uczynił. Czuł widać, że, idąc za popędem chwilowym, popełnia krok lekkomyślny, dopuszcza się wprost zbrodni, gardząc przywiązaniem poczciwėj Zosi — zbrodni względem niėj i samego siebie. Wkrótce jednak oswoił się z tą myślą, przyjmując już za fakt spełniony, na którego usprawiedliwienie znalazł argumenty. Prawda, że dał jėj słowo, ale czyż wolno mu cudze szczęście narażać dlatego tylko, aby słowo dotrzymać? Czyż godzi się wyrywać ją z łona rodziny, wyciągać gdzieś za morza, rzucać w świat obcy, jeśli nie czuje dziś siły, że może zastąpić jėj to, co ona straci.

I tak uciszywszy wyrzuty, uspokoiwszy sumienie, profesor odetchnął swobodniėj, mając już ręce rozwiązane. Czasem mu jeszcze wprawdzie staje przed oczami obraz Zosi, ale łatwo nieproszonego już gościa odpędza wspomnieniem o pięknych Amerykankach.

Pan profesor widocznie bardzo w nich zagustował, choć je zna dopiéro z ulicy. I tak olśniony mnóstwem tych pięknych twarzyczek, zapomniał o tėj, która dla niego przecie gotowa porzucić wszystko, nawet rodzinę i kraj, słowem to, co posiada najdroższego. Zosia wydaje mu się teraz czémś zwyczajnėm, pospolitėm, wprost nudnėm, kiedy tu pociąga go wszystko zupełną nowością. Po Zosię zresztą dość mu tylko rękę wyciągnąć, słowo napisać, już będzie ją miał; a co z taką łatwością przychodzi, wiele traci uroku. Mniėj się ceni szczęście, gdy ono samo w rękę wpada; a często nawet całkiem się je odpycha, wcale za szczęście nie uważając.

Nadto pan profesor także już zarażony tą nieszczęsną chorobą naszą, tą zgubną utratą wiary w siły i gwiazdę swego społeczeństwa. Jak dla wielu więc innych nic, co swojskie, nie ma dla niego powabu i choćby najlepsze, często uważa za złe; a przeciwnie, wszystko obce wydaje mu się najlepszém, chyba dlatego tylko, że obce.

O ile wstrętną jest zarozumiałość niemiecka, o tyle znów smutny i o wiele szkodliwszy taki brak zaufania w samych sobie, bo jak paraliż obezwładnia zupełnie. Człowiek przecie ani palcem kiwnąć nie zdolny, jeśli mniema, że nie może. Tém mniéj, któż po zrębie wejdzie na wysoką wieżę? A jednak to możliwe; boć wiemy, że nieraz tak wchodzi lunatyk, chociaż nie posiada lepszych środków ku temu, bo mu przecież żadne kocie pazury na ten czas nie wyrastają. Skądże więc ta różnica zdolności? Różnicy w zdolnościach fizycznych nie ma żadnéj, tylko że lunatyk traci poczucie niemożliwości i niebezpieczeństwa, a stąd dokonywa tego, na co by się nigdy ze świadomością nie odważył w przekonaniu, że nie może.

Tak to człowiek nieraz bywa słabym dlatego tylko, iż stracił wiarę w swe siły.

Stąd też, jak zarozumiałość i owa do bezczelności posunięta pewność siebie u Niemców wynika z ich politycznego powodzenia, a więc i zaufania w swe siły, tak u nas znów przeciwnie, los mniéj łaskawy słabsze dusze łamie zwątpieniem, które się objawia nietylko w życiu całego społeczeństwa, ale także w prywatném życiu jednostek.

Stąd to na obczyźnie często spotkać można ludzi, którzy tylko w granicach własnéj rodziny, albo w gronie swoich, są tém, czém są, ale wobec obcych nie śmią się nawet przyznać do swéj narodowości, gdyż ta, niepoparta siłą bagnetów, nie zawsze budzi należny jéj szacunek w czasach, kiedy przedewszystkiém tylko siła ludziom imponuje.

Niejeden też, jak nasz Adam, zmienia swe nazwisko, lekceważy swojskie wyroby przemysłu lub sztuki, a często nawet opinie takie dotykają stosunków rodzinnych i towarzyskich. Może więc w części tu leży przyczyna, że panu profesorowi zaczyna chodzić po głowie związek z Amerykanką. Myśl ta nęci go bardzo.

Śmieszném się to może wyda, niemniéj jednak jest prawdą, że taki związek łechce trochę jego próżność swą oryginalnością wobec rodziny i znajomych w kraju. „Patrzcie — będą mówić—Adaś złapał sobie jakąś Amerykankę."

Jest to, naturalnie, poprostu dzieciństwo; ale czyż to jedno dzieciństwo wylęga się nawet w poważniejszych głowach. Adaś zresztą wcale do powagi nie ma pretensyi. Owszem, jest on nawet dość płytki, powierzchowny, a lada błyskotka, byle nowa, zajmuje go. Nic zatém dziwnego, że on i taki wzgląd bierze w rachunek, chociaż to idzie o szczęście całego życia.

Ale przyznać trzeba, że obok tak błahych przyczyn ma on też i poważniejsze racye. Jest on przedewszystkiém zwolennikiem krzy-

żowania ras, zapominając o wynikającym stąd zamęcie pojęć i uczuć, często całkiem sprzecznych nie tylko w sprawach osobistych, ale i rasowych, których z uwagi tracić nie wolno.

Lecz pan Adam wcale nie ma ochoty być tylko zwykłym śmiertelnikiem; woli być kosmopolitą, bo to ładniéj brzmi. Jak wielu jemu podobnych, tak też i on przechodzi chorobę „zdawania się”, a czasem gotów sam w swój kosmopolityzm uwierzyć, chociaż serce mówi co innego.

W każdym razie jest to kosmopolityzm gorszego gatunku, bo nie zasadza się na obejmującéj ludzkość całą miłości Chrystusowéj, ale tylko na zniesieniu różnic narodowych, jako niedorzecznych zastarzałych przesądów. Tego rodzaju sztucznie wyrozumowany kosmopolityzm jest niekiedy bardzo wygodny, bo, stosownie do okoliczności, pozwala dowolnie przyłączać się do tego narodu, który najkorzystniejsze da widoki osobiste. Taki kosmopolita, jak wygryzie trawkę na jednéj łączce, przenosi się na drugą.

W praktycznéem zastosowaniu tak się przedstawia idea, która, między innymi, także i naszego profesora obałamuciła; ale i on z czasem wyzdrowieje i będzie znów: *all right.*

Wspomniéć musimy, iż teorye te przyplątały się do niego i umysł zamąciły pewno trochę wskutek pojęć, jakich nabrał o sztuce. Dla niego nie ma muzyki narodowéj — sztuka to własność powszechna. Przy tém, choć nie należy już wprost do szeregów żadnego socyalizmu, jednak ociérał się o nie kiedyś, więc i stąd także coś do niego przylgnęło.

Ale *summa summarum* są to tylko piękne słówka. Mówi, że każdy człowiek w jego oczach równy, a przecież gotów całować Maćka lub Bartka dlatego tylko, że swój. Jest więc w niezgodzie sam z sobą, i to często nawet. Ale bądź co bądź, tego kosmopolityzmu różnego pochodzenia uzbiérało się w nim tyle, że mu wystarcza do pokrywania lada zachcianki, pozorami szumnych zasad.

A projekt ożenienia się z Amerykanką jest właśnie niczém innéni, tylko jedną z takich zachcianek; i to tém lekkomyślniejszą, że, jak wiemy, wcale jeszcze Amerykanek nie zna, a z góry już projekta układa.

Ale — człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi. — Zobaczymy, gdzie zaniesie kule pana Adama.

. . . .

Nazajutrz tedy rozpoczęły się owe umówione lekcye języka i muzyki.

Pan Adam zastał tam już właściciela groźnego *banjo*. Miss Annie nie omieszkała zapoznać obu sąsiadów, przy czém Mr. J. W. Book bąknął coś, że bardzo rad ze spotkania, ale chyba nie tak znów bardzo, bo się zaraz oboje z miss Katie do przyległego pokoju usunęli, szukając tam zapewne lepszego rezonansu. Może zresztą nie chcieli w nauce przeszkadzać, a może też, chcąc sami przeszkody uniknąć, woleli się wynieść do nieba.

Miss Annie z całym zapałem rwie się do nauki. Ale na nieszczęście, okazało się, że zaledwie jednym palcem potrafi brzdąkać kilka popularnych śpiewek. Wspominając zatém o mazurku „Czopina", widocznie pochwaliła się tylko; grywa go bowiem siostra i przyjaciółka, która ją często odwiédza.

Pod koniec lekcyi zjawia się także i *Ma*; ale znudziły ją prędko wcale nieciekawe wstępne ćwiczenia.

— E, lepiéj—mówi—ucz pan czegoś ładniejszego.

— To są ćwiczenia tylko—objaśnia profesor.

— Dobre może dla dzieci. Ucz pan tego, coś wczoraj grał sam. Córka moja artystką być nie chce.

— Niepodobieństwo odrazu.

— A kiedyż?

— O, miss Annie bardzo utalentowana... Może więc za 2, może za 3 lata...

— Co? za 3 lata? Czy pan żartuje? To już lepiéj za 30, gdy będzie siwą... O, jeżeli pan tak prędko uczysz, to tu niewiele się znajdzie uczennic. Córka mojéj przyjaciółki uczyła się tylko 2 miesiące, a już pięknie gra walca i polkę.

— Dobrze, pani — mówi profesor z uśmiechem — spróbuję, a zapewne i miss Annie także po 2 miesiącach walca zagra. Od jutra inną zaczniemy naukę.

— No, 2 miesiące, a choćby wreszcie 3, to jeszcze nie mówię — odzywa się udobruchana już *Ma*.—Tu panie, ludzie nie mogą tyle czasu tracić...

— Masz pani słuszność. W krótkiéj méj praktyce już nie po raz pierwszy słyszę podobne żądanie, a stąd zaczynam przypuszczać, że jest ono ogólne. Widzę, że na téj półkuli ludzie pojętniejsi, bo tu nawet doktorem można być we dwa lata, kiedy u nas aż pięciu potrzeba, żeby zwyczajnym dopiéro lekarzem zostać.

Przekonawszy się, że szkoda czasu, w ten sposób zakończył dyskusyę z wielkiém zadowoleniem mamy. Profesor jednak zdaje się trochę podrażniony.

Lekcya angielszczyzny, ograniczona do rozmowy tylko, także niezupełnie gładko poszła. Miss Annie, silnie przekonana, że Stany Zjednoczone to kraj najbardziéj cywilizowany, jednocześnie ostro krytykuje Europę, o któréj zresztą mało wié.

Pan Adam, jeżeli kiedy do Europy wróci, z pewnością będzie podobnie utrzymywał, aby sobie nadać znaczenie; ale dziś wobec Amerykanek, pomimo że niemi zachwycony, staje silnie w obronie pokrzywdzonéj a nieobecnéj Europy. Uczuł się bowiem trochę dotkniętym jéj krytyką. Zresztą pan Adam jest nieco przekorą i zawsze lubi w opozycyi stawać. Nie oszczędzał więc nawet i Amerykanek, chcąc bronić kobiéty europejskiéj.

Na szczęście, miss Annie spostrzegłszy, że go to już na prawdę drażnić zaczyna, zmieniła przedmiot rozmowy.

— Bardzobym rada—rzecze—poznać kiedy Europę.

— Wtedy, ręczę, innego byś pani nabrała o niéj pojęcia.

— O niechże się panu nie zdaje, że jestem nieprzyjaciółką Europejczyków. Z pewnością i tam są także mężczyźni grzeczni dla kobiét.

Tu miss Annie bardzo łaskawém obdarzyła gościa spojrzeniem.

— Mogę panią zapewnić, że w moim kraju kobiéta od wieków jest królową domu.

Pan Adam tak się rozgadał o tém królowaniu kobiéty w jego kraju, iż się omal w wielkim zapale nie zdradził, że nie jest Niemcem.

Jeszcze nieraz wynikały takie sprzeczki, bo często nie zgadzali się w zapatrywaniach. Ale mimo tych różnic zdania, lekcye, zdaje się, dla obu stron były dość przyjemne. Pan Adam z ochotą odwiedza swą uczennicę, może z potrzeby jakiegokolwiek towarzystwa, a może téż z inną myślą. Już nawet czasem zapytuje sam siebie: czém dla niego miss Annie? czy czuje dla niéj więcéj niż zwykłą tylko sympatyę? czy gotów by się z nią żenić? — ale nie ma jeszcze na te zapytania stanowczéj odpowiedzi. Podoba mu się wprawdzie, bo twarzyczka bezwątpienia ładna, ale czuje, że między nimi stoi coś, co ich rozdziela, może jednak z czasem to coś zniknie i zbliżą się. Tak często z sobą obcując, może przyzwyczają się, a siła tego przyzwyczajenia zastąpi naturalne uczucie. Gdyby się miss Annie więcéj zgadzała, a mniéj narzucała sama, możeby on wtedy prędzéj wpadł w sidła; ale i tym razem zbyt łatwe zwycięstwo traci w jego oczach wiele uroku.

. . . .

Pan Adam radby rozszerzyć swe stosunki, ale nie tak to łatwo obcemu. Jedna mu pozostaje droga: ogłoszenie. Ogłosił przeto,

że młody artysta, wzamian za naukę języka, pragnie udzielać lekcyi muzyki.

Z wielu amatorek, które odpowiedzi nadesłały, wybrał tylko jedną. Była to miss Maud C. Booth.

Już go samo nazwisko typowe zaintrygowało, a osóbka uczennicy do reszty zachwyciła.

Miss Maud, osoba młoda i piękna, a przytém wykształcona i utalentowana, o ile z pozorów wnosić można, zdaje się także do zamożnéj należy rodziny; a gra chyba nie gorzéj od nauczyciela. Więcéj jéj zapewne o rozrywkę i nauczyciela chodzi, niż o naukę.

W takich warunkach łatwo nastąpiło porozumienie, i umowa w kilku słowach zawartą została z obustronném zadowoleniem.

Nie ma co w bawełnę obwijać, bo cóż to dziwnego, oboje przecie młodzi, więc jakoś od razu do siebie przylgnęli, a w kwadrans byli już z sobą jakby starzy znajomi — jak w raju.

Prawda, że pan Adam wybrał ją sobie z kilkudziesięciu kandydatek, ale też bodaj że ma teraz taką, jakiéj pragnął; a jeżeli tylko przy bliższém poznaniu nie osłabi się to korzystne pierwsze wrażenie, to kto wié, co z tego wyniknie.

. . . .

Wstępna lekcya poszła zupełnie gładko. Rozmawiając lub grając, ani spostrzegli kiedy im czas upłynął. A zarówno w ich muzyce, jak i gawędce, zupełna między nimi panuje harmonia. Miss Maud, delikatniejsza czy téż mniéj szczera od tamtéj, nigdy nie zaprzecza, nigdy nie oponuje, lecz przeciwnie, na wszystko się zgadza, wszystko chwali i podziwia, wszystkiego z wielkiém zajęciem słucha, cokolwiek uczeń o Europie opowiada.

Pan Adam, teraz zachwycony, nie widzi już powodu, dlaczego miałby chwalić i to, co mu się samemu złém w starym świecie być wydaje. Miss Maud nawzajem, wywdzięczając się widać za bezstronne informacye, również nie oszczędza Ameryki, a nawet otwarcie przyznaje, że i ją samą rażą niektóre tutejsze obyczaje. Przedewszystkiém nie znosi tych, co tabakę żują, i taki czuje do nich wstręt, iż za nic w świecie nigdyby swéj ręki nie oddała mężczyźnie z podobnym nałogiem.

A wspominając o tém, tak jakoś łaskawie spogląda na ucznia, że nawet i głazby uczuł dreszczyk pod działaniem takiego spojrzenia. Pan Adam więc został po prostu oczarowany. Ale i tu jeszcze niepokoi go jakaś wątpliwość. Wracając, myśli sobie: „Albo jest aniołem, albo dyplomatką”.

Widocznie jeszcze się nie zakochał po uszy, skoro rozumuje, bo prawdziwa miłość rozumować nie potrafi.

. . . .

Przeglądając raz gazetę, pan Adam znalazł w niéj dział ogłoszeń, które go swą oryginalnością mocno zajęły. Między innemi, szczególniéj jedno go silniéj zaintrygowało. Oto jakaś młoda, piękna i utajentowana właścicielka 100 tysięcy gotówką pragnęłaby w celu małżeństwa zabrać znajomość z równie młodym, przystojnym i wykształconym, bodajby ubogim mężczyzną, byleby jeździł na bicyklu.

Pan Adam posiada wprawdzie wszystkie żądane warunki, — a nawet więcéj, bo niezupełnie przecież ubogi, — mimo to jednak słabą ma nadzieję powodzenia, przewidując zbyt silną konkurencyę. Ale żeby sobie nie miéć nic do wyrzucenia, postanawia i on szczęścia swego spróbować. A nuż się uda...

Sposób ten tak mu się podobał, iż umyślił nawet także i swoje własne ogłoszenie umieścić, mniéj więcéj do innych podobne, téj treści: „Europejczyk, lat 30, brunet, szczupły, 5 stóp 5 cali wysoki, wagi 148 funtów, żadnych nieużywający trunków, ani *chew tobacco*, niegrywający w karty, ani téż żadne inne gry, przystojny, wykształcony, materyalnie niezależny, życzyłby sobie zabrać znajomość z osobą młodszą od siebie, a równie wykształconą i zamożną — a to w celu małżeństwa. Adres: *Amor—World.*"

Wahał się trochę, co prawda: czy ogłosić czy dać pokój, ale w końcu przyszedł do przekonania, że nic przecież nie ryzykuje, bo jako obcy, skompromitować się nie może, cóż zatém szkodzi pobawić się trochę w małżeństwo. W zysku zaś będzie miał, co najmniéj, sposobność mówienia i pisania po angielsku, a co ważniejsza, że pozna, bądź co bądź, ciekawy objaw stosunków amerykańskiego społeczeństwa. A zresztą — kto to wié — ręczyć trudno... Może się przypadkiem zdarzyć coś odpowiedniego... W każdym razie, chociaż słabą ma wiarę, aby taką drogą można naprawdę żonę znaléźć — jednak nie wadzi próbować.

Czekając tedy na rezultat listu i ogłoszenia, tymczasem zawzięcie się uczy z miss Annie i miss Maud.

Miss Annie, jakby przeczuwała rywalkę, coraz nań łaskawsza, uż mu nawet ustępuje i nie upiéra się tak bardzo przy swém zdaniu. Ale mimo to pan Adam, chociaż zawsze bardzo uprzejmy, jednak trzyma się wobec niéj trochę sztywno. Takie zachowanie się ucznia widocznie już zaczyna ją nieco drażnić, działając podniecająco. Z każdym więc dniem silniejsze przypuszcza do niego szturmy nietylko słów-

kami i wzrokiem, ale nawet i ruchami, często ponętne przybiérając pozy.

Wprawdzie nieco swobodniejsza poza panny na kolébaczu lub kanapce nie jest nadzwyczajném i rzadkiém zjawiskiem w kraju wolności i demokracyi; ale nieoswojony z tém jeszcze pan Adam sądzi, że są to na niego zarzucane wędki. Témbardziéj więc ma się na baczności i panuje nad sobą, wiedząc już, że wszelkie zaciągnięte zobowiązania łatwo mogą być wyegzekwowane, a on wcale nie ma ochoty być do małżeństwa zmuszonym. Kto wié jednak, czy zdoła szturmy odeprzéć i twierdzę utrzymać. Nie tacy przecie, jak on, bohatérowie często kapitulują pod strzałami psotnika Amora. A pan Adam także nie należy do zbyt nabożnych, wątpić więc można czy w miłém sam-na-sam z piękną osóbką szepce pacierze, aby pokusę odpędzić; zwłaszcza, że i towarzyszka także nie klęczy, ale zgrabne nóżki swobodnie wyciąga i rączki na głowie krzyżując, w tył pochylona, lekko się na kolébaczu kolébie, a przytém ogniste, wyzywające rzuca spojrzenia. Europejczyk widocznie zaczyna mięknąć wobec tylu amerykańskich wdzięków.

Dopóki sam-na-sam obok pięknéj miss Annie siedzi, gotówby przysiądz, że nie ma nad nią piękniejszéj; skoro się jednak zacznie lekcya z miss Maud, tak samo znów nie tylko o tamtéj, lecz o całym świecie zapomina; wtedy to miss Maud jest dla niego najpiękniejszą. Kiedy jednak sam tylko z własnemi myślami zostanie, wtedy raz jedna to znów druga bierze nad współzawodniczką górę, chociaż zdaje się miss Maud nieco większe ma szanse, ale naprawdę w żadnéj się jeszcze nie zakochał, żadna nie daje mu zupełnego zadowolenia, a niby obie się podobają. I jedna i druga oślepia go swym widokiem, ale skoro mu zejdzie z oczu, płomień zaraz gaśnie i nawet wspomnienia znikają pod natłokiem nowych wrażeń.

. . . .

Wbrew opinii, jaką się powszechnie cieszą artyści, nasz pan muzyk wyjątkowo należy do ludzi niezmiernie lubiących porządek. Najmniejszy nieład, najmniejsza plamka lub ślad kurzu wprost denerwuje go. Wpoiła weń tę cnotę matka, aż do przesady systematyczna i porządna tak dalece, że to już nieomal stawało się w niéj wadą, męczącą jéj otoczenie. Pod tym względem syn nie odrodził się od matki.

Głównie téż kwestya porządku wpłynęła na zmianę lokalu. Teraz jednak, przynajmniéj z téj strony, pan Adam nie może się skarżyć. Owszem, bardzo jest zadowolony ze swéj nowéj siedziby. Wprawdzie ten jego na różowo pomalowany raj to mały tylko, ale za to nader

schludny choć skromnie umeblowany pokoik. Niewiele tam miejsca; ale trudno marzyć, abyśmy nawet w raju znaleźli wszystkie warunki szczęścia. Pomimo więc, że co chwila to o stół zawadzi, to krzesło potrąci, gdy zamyślony swoim zwyczajem w wędrówkę się puszcza, jednak, ze względu na porządek, zaczyna coraz bardziéj w owym raju smakować. I nic dziwnego, gdyż jakaś troskliwa niewidzialna Ewa bardzo się jego szczęściem zajmuje. Nie brak tam nawet i nadprogramowych bukiecików. Prawie co dzień pan Adam znajduje na stoliczku świeże kwiaty, za które, naturalnie, obowiązanym się czuje swéj opiekunce, nie przypuszczając bynajmniéj, aby to *Ma* tak dalece o nim pamiętała.

Oprócz bukiecików znajdował téż i mnóstwo... szpilek. Z początku bezmyślnie podnosił je z „karpetu" i za lustrem wpinał; w końcu jednak, gdy co dzień nowe spostrzegał, zwróciło to jego uwagę. Gdyby to była jedna lub dwie, ale to jakby kto z rogu obfitości sypał, zawsze, wróciwszy z miasta, po kilka do bogatego już zbioru dołączał. Już go to nawet zaczynało trochę gniéwać, bo i to zawsze pewnego rodzaju nieład; ale w końcu tak się do tych gości przyzwyczaił, że newet czuł, jakby jakiś brak, gdy czasem mniéj ich znalazł. Niekiedy też myślał, co z tym nabytkiem zrobić, ale wreszcie i o to przestał się troszczyć. Zostawi je na gruncie, jako spuściznę dla swego następcy.

W *Thanks giving day* miss Annie zaprosiła go na obiad. Miss bardzo gościnna, szczególniéj dla swego ucznia. Tak o nim przy stole pamięta, tak mu wciąż dokłada, częstuje, różne potrawy podsuwa, jakby go chciała na cały tydzień napaść.

Pan Adam z indykiem jeszcze jako tako daje sobie radę, ale cóż on biedak pocznie z różnorodnemi przystawkami. Ile razy spojrzy na surowe pomidory, truchleje ze strachu; a sam zapach selerów dusi go jak astma. Ale dla przyjemności miss Annie trzeba się będzie zdobyć na odwagę, bo gdyby zresztą wzgardził temi przysmakami, znów by go może za dzikiego Europejczyka poczytano. Dla ocalenia więc opinii Europy, przymknąwszy oczy, zaczyna jaknajspieszniéj pochłaniać wszystko, już mniejsza o to, co, byle prędzéj. Tak samo wypada również postąpić z herbatką mléczkiem zaprawioną; ale skosztowawszy tego nektaru, widzi, że to jeszcze gorsza będzie przeprawa, niż z selerami lub kukurydzą. Zdobywa się jednak na odwagę i duszkiem całą filiżankę wychyła, jak lekarstwo. Ten czyn heroiczny przypomniał mu dziecinne lata. Ale wtedy za wypicie szklanki gorzkich ziółek mamusia zwykle 5 groszy mu płaciła,—była to już stała taksa—a kto mu teraz i czém za wypicie téj herbatki zapłaci? E, wiedziałby on

jaką sobie taksę wyznaczyć i do kogo się po wypłatę zwrócić, ale... jest ale; musi więc poprzestać na słodkich tylko spojrzeniach miss Annie, która mu ich zresztą nigdy nie szczędzi.

Pamięta jednak, że w końcu tak się do mamusinych ziółek przyzwyczaił, iż gotów był je później i bez pięciu groszy spijać. Pamięta również, że i cygaro z początku przykrość mu sprawiło, nawet podwójną, bo w dodatku i klapsy od mamusi dostał — a jednak dziś pali z przyjemnością. Może więc taka sama historya będzie z selerami i pomidorami. Obawia się tylko, że co innego dziecko, a co innego mężczyzna w jego wieku; wątpi więc, czy kiedykolwiek zdoła się pogodzić z selerami; a na myśl, że żona go będzie takiémi przysmaczkami pasła, bardzo jakoś posmutniał.

Oprócz tego, jest jeszcze jedna złego humoru przyczyna. Słyszał bowiem przez ścianę jeszcze przed obiadem jakieś podniesione głosy, a po tém trzaśnięcie drzwiami i męzkie kroki na schodach. Ztąd zrodziło się w nim niemiłe podejrzenie, iż zapewne owo całe nieporozumienie familijne stało się powodem nieobecności pana domu przy stole, co w dniu tak uroczystym, tém większego nabiéra znaczenia; zwłaszcza, że miss Annie obiecała mu przecie ojca dziś przedstawić — a tu ojca nie ma. Miss Annie z tego zapewne powodu jakoś bardzo zakłopotana, półgębkiem tylko nadmieniła, że ojciec bardzo zajęty, nie ma czasu... Wprawdzie gościnna, uśmiéchów i czułych oczek nie szczędzi, ale czuć w tém przymus.

Wszyscy jakoś nie w humorze, a szczególniéj miss Katie bardzo małomówna. Jeżeli czasem odezwie się do Mr. J. W. Book, to także jakby za pańszczyznę. Gdy więc nareszcie powstano od stołu, każdy odetchnął swobodniéj. Zaraz też na żądanie pan Adam z ochotą zasiadł do fortepianu, kontent, że się uwolni od obowiązku rozmowy. Kiedy nareszcie i mr. J. W. Book także po swoje *banjo* poszedł, wtedy przerażony tą groźbą uczeń, pod pozorem pilnego interesu, pożegnał gościnne damy.

Gdyby nie wspomnienie selerów, które mu wciąż jeszcze drażni nos i podniebienie, gdyby wreszcie nie echo łoskotu zagadkowego trzaśnięcia drzwiami, które mu jeszcze brzmi w uszach, — byłby zupełnie na świeżém powietrzu szczęśliwy. Nigdy jeszcze nie żegnał miss Annie z taką przyjemnością jak dziś. Może, dla tego tylko jéj towarzystwo nie było mu tak miłe jak zwykle, że... nie sam-na-sam.

. . . .

Pan Adam z niezmiernem zadowoleniem odkrył jeszcze jeden talent w miss Maud. Pokazała mu bowiem kajecik pełen wycinków

z gazet. Są to własne jéj wierszyki, zdradzające nawet pewne zdolności pisarskie.

Pan Adam wprawdzie nie poznał jeszcze tak dokładnie języka, aby już mógł piękności formy odczuwać — zaledwie w stanie treść zrozumiéć — mimo to jest zachwycony poetyckiemi utworami miss Maud, co bardzo ujęło i zobowiązało autorkę. Drobne to napozór odkrycie, okazuje się bardzo doniosłem w swych skutkach.

Z jednéj strony miss Maud bardzo się cieszy, że znalazła nareszcie prawdziwego znawcę; a z drugiéj téż i uczeń niemniéj rad ze spotkania tak wszechstronnie utalentowanéj duszy. A takie zadowolenie obojga nie moglo pozostać bez wpływu na dalszy wzajemny ich stosunek; ale bardziéj zacieśniając węzły przyjaźni, zarazem poplątało je także.

Wiadomo przecie, że nawet największy gaduła może się wyczerpać, a czasem nawet i zakochanym brakuje do rozmowy wątku. Aby się przeto z téj strony zabezpieczyć, pan Adam umyślił wyzyskać świéżo odkryty talent nauczycielki. Proponuje tedy pisanie nowelki wspólnemi siłami. Nauczycielka projekt przyjmuje z zapałem i zarazby nawet rada zabrać się do dzieła. Ale o czém pisać?

— O temat nie ma kłopotu — rzecze pan Adam. — Mamy go tuż pod ręką. A czyż to nasze lekcye mało nam mogą dostarczyć wątku?

— Brawo! Wyśmienita myśl! — woła miss Maud, zapalając się coraz bardziéj.—To nawet może być rzecz nader efektowna, a pomysł zupełnie świéży. Ale jakże będzie z prawem własności?—zapytuje przezorna córa wuja Sama i cioci Kolumbii. — Chyba na wspólne imię *copyright* wyjmiemy?

— O to mniejsza.

— Przepraszam, *business is business.*

— Pogodzimy się. Zgoda, wreszcie niech będzie na wspólne imię. A więc daléj do pracy. Sądzę, iż przedewszystkiém należy zrobić podział na rozdziały. I tak: w pierwszym...

— Ale, przepraszam... Dla większéj swobody działania wnoszę, iż lepiéj niech bohaterami naszéj nowelki będą jacyś inni ludzie, nie zaś my sami. Prawda?

— I tak być może. To nam przecie wcale nie będzie przeszkadzać z własnych dziejów czerpać treść do rozwinięcia akcyi.

— Obawiam się tylko, czy nasze własne dzieje nie będą zbyt w treść ubogie.

— Kto wié. A zresztą to w części tylko od nas samych będzie należéć.

— A jakież imiona damy naszym bohatérom? Może Ewa i Adam, co? Czy lubisz pan te imiona?

— Przyznam się, że nie bardzo, chociaż jedno z nich sam noszę.

— Ach, prawda; więc nie wypada... Przecież bohatérami mają być zgoła inni ludzie. Czy tak?

— I tak i nie. Ale to w żadnym razie nie przeszkadza, zawsze wolno im używać tych samych imion. Więc zgoda: Adam i Ewa.

— A czy pan już pomyślałeś o tém, jak rzecz zakończyć: czy łzami, czy radością? Czy mamy ich także wypędzić z raju, czy téż?...

— A broń Boże. Niech pozostaną, i to nawet bez żadnych warunków lub ograniczeń i zastrzeżeń. Ale nie uprzedzajmy jeszcze wypadków. Mamy przecie treść czerpać z rzeczywistego życia, z naszych własnych dziejów.

— Témbardziéj wolałabym koniec wesoły.

— I ja także. Ale czyż zawsze można uniknąć łez?

— Nie, stanowczo nie chcę łez. Albož mało jeszcze na świecie nieszczęśliwych; nie chcę ich liczby powiększać, nawet na papiérze. W najgorszym razie lepiéj się uciec do fantazyi.

— Musimy się liczyć z rzeczywistością, jeżeli to mają być nasze kopie. Lepiéj się zatém postarać, aby oryginały...

— Zatém mówisz pan, że w pierwszym rozdziale?...

— Zacznijmy od ogłoszenia. Może to pani zaraz zanotuje? Miss Ewa, zaintrygowana ogłoszeniem, podaje się także na kandydatkę.

— Już mam.

— Następuje spotkanie. Mr. Adam z gazetą w ręku zgłasza się do raju...

— Cóż znowu? Albož tu raj?

— Sądziłbym...

— Ależ panie, nie mów tak głośno... Właściciel domu gotówby nam zaraz komorne podwyższyć, zamiast obniżyć. Patrz pan, jak tu zacieka, o... Może się nawet z tego powodu przyjdzie nam wyprowadzić, a nie chciałabym, żeby ktoś inny mieszkał w naszym raju utraconym, który sami stworzymy.

— Ależ tu przecie nie o panią, lecz tylko o miss Ewę chodzi.

— Prawda, zawsze zapominam, plącze mi się... Ale wreszcie nikomu bym nie życzyła raju z dziurawym dachem. Lecz mniejsza o to. Przypuśćmy tedy, iż z gazetą w ręku zgłasza się do raju. Niechże to będzie raj. Już mam. Cóż tedy daléj?

— O, to już łatwo można się domyślić. Adam przecie na widok Ewy nie mógł pozostać obojętnym. Od razu więc oczarowany jéj urokiem, bez wahania wybiéra ją z pośród całéj setki innych kandydatek — ją jedną tylko.

— Jesteś pan tego pewny? A może jednocześnie i u innych się uczy? Czyżto można ręczyć. Czasem nawet za siebie samego ręczyć trudno.

Pan Adam, nie mając czystego sumienia, nie może wytrzymać badawczego wzroku jasnowidzącéj miss Maud; wymijającą więc daje odpowiédź i wraca do przedmiotu.

— Zapewne się to w dalszym ciągu okaże—mówi zmieszany trochę, spoglądając na zégarek — a tymczasem możemy przypuścić, że grał tylko jedną partyę, z jedną królową...

— A na cóż przypuszczać tylko? Czy nie lepiéj miéć pewność? A czy i on także na zégarek patrzał wobec swéj królowéj?

— Miałem na myśli jedynie królowę w szachach. Pani, jak widzę, nie zna téj gry?

— A przed inną królową nie chciałby czoła uchylić?

— Nawet by nie mógł, jako republikanin.

— Ależ ja mówię o królowéj serca.

— Jakaż to królowa z jednym tylko poddanym?

— Czemuż tylko z jednym?

— Bo, bo... Ależ pani, trudna dziś na to odpowiedź...

— A kiedyż będzie łatwiejszą?

— Wolę odpowiedziéć zaraz, że w krainie serca najprawdziwsza republika. Tam tylko równość.

— Więc dobrze, zgadzam się... Zatém i król zdejmuje koronę i odpędziwszy liczne poddanki, poprzestaje na jednéj, równéj sobie, bo sądzę, że i równych więcéj miéć nie wolno... A pan, jak widzę, jeszcze nie pewny, czy tylko jedna...

— Ależ najzupełniéj — zapewnia pan Adam przyparty do muru, trochę się rumieniąc.

— Jeżeli tak, to zgoda. Cofam swoje żądanie równego przywileju dla królowéj. I tu i tu jeden — tak najlepiéj. Więc tedy wracamy do rzeczy. Zatém Adam zostaje Ewą zachwycony? Czy tak?

— Tak pani. Ale co zrobimy z Ewą? Sądzę, że i ona się także zakochać powinna?

— O, to może trochę zawcześnie.

— Wszak równość we wszystkiém.

— Prawda. Więc pozwalam na przypuszczenie, że się nim bardzo zajęła.

— Dla czegóż przypuszczać tylko? Czy nie lepiéj miéć pewność?

— Dobrze. Niech zresztą ma pewność. Ale przepraszam. Czy go zrobimy blondynem czy brunetem? To także bardzo ważne. Lepiéj może blondynem? A pan jak sądzisz?

Mówiąc to miss Maud badawczo spojrzała na wspólnika, chcąc się zapewne przekonać, jakie to na nim zrobiło wrażenie. Niewiele się jednak dowiedziała; myśli jego przeniknąć trudno. Uśmiéchnął się wprawdzie, ale ten uśmiéch rozmaicie możnaby sobie tłómaczyć.

— Zgadzam się — mówi pan Adam, udając obojętnego; odgadł bowiem, o co jéj chodzi. — Jeśli pani wolisz, niech będzie i blondyn. Ale w takim razie i bohatérkę także musimy zrobić blondynką, albo przynajmniéj upudrować.

— Dla czego? Czy pan nie lubisz kontrastów? Ja przeciwnie, bo właśnie różne charaktery lepiéj się nawzajem dopełniają, tworząc zupełniejszą całość. Czego jednéj stronie brak, to druga do współki wnosi.

— Lecz przy podziale zamało na dwoje. Często zbyt silne światło i cienie rażą a z pokrewnych tylko części można harmonijną złożyć całość. Woda ogień gasi.

— O, to nie chcę stwarzać pary niezgodnéj. Wolę ustąpić, ale pod warunkiem, że oboje będą bruneci.

— Przecież pani brunetów nie lubisz. Pocóż robić sobie przykrość.

— Przekonałeś mnie pan. Zaczynam już lubić.

Tu miss Maud znaczące rzuciła na wspólnika spojrzenie.

— W imieniu wszystkich brunetów powinienem się cieszyć z nawrócenia pani; sobie tu jednak nie przypisuję zasługi, bo walczyłem tylko za równość, a nie szło mi bynajmniéj o korzyści brunetów wyłącznie.

— Mimo to już szczerze się nawróciłam. Nie wszyscy jednak bruneci mogą miéć ztąd powód do radości. Przecie protestujesz pan przeciw większéj liczbie poddanych.

— Ale za to jakże szczęśliwy będzie ten jeden, którego pani wybierzesz.

— Teraz znów pan się zapominasz. Wszak tu nie o mnie, lecz tylko o naszą bohatérkę chodzi. Powiédz pan zatém: którego ona wybierze. Mojém zdaniem, powinnaby swego ucznia wybrać. Czy i pan tegobyś pragnął?

— Chyba nikt więcéj nademnie; ale pod warunkiem, że stworzymy z niéj taką postać niewiasty, któraby go zdolna była uszczęśliwić, zdolna mu stworzyć raj na ziemi, w kółku rodzinném...

— A więc do roboty, spróbujmy, może nam się uda ta sztuka. Następuje tedy rozdział drugi. Czy tak?

— Tak, pani, drugi, w którym uczeń wielkie robi postępy w odmienianiu słowa, „kochać”. Od trybu bezokolicznego przechodzi już do oznajmującego „kocham” i rozkazującego „kochaj”.

— A tryb łączący? Czy pominięty?

— O, bynajmniéj. Tryb łączący uważa widać za najważniejszy i pewno dla tego właśnie zostawia na ostatek. A pani może radzisz wcześniéj?

— Wcale nie. Owszem, uważam, że zanadto się zajęli nauką oznajmującego, a całkiem oboje zapominają o warunkowym. Może im przypomniéć nie wadzi?

— Nie ma potrzeby; Ewa Amerykanka z pewnością o tém nie zapomni.

— A czyż jéj pan to za złe bierzesz? Alboż nie lepiéj, że chodzi po ziemi? Czy można ją za to potępić, jeśli go ucząc trybu warunkowego, powie mu: kochałabym, gdybyś... gdybyś miał utrzymanie dla żony.

— Przepraszam, przecież to on się uczy, on więc powinien powiedziéć: „kochałbym, gdybyś choć mały miała posag”. A jak pani sądzi? Czy zrobić ją posażną, czy też zupełnie biédną?

— A czemuż zupełnie biédną? Możemy się okazać trochę hojniejszymi i wspaniałomyślnie wyposażyć, dając jéj chociaż z 5 tysięcy gotówką, a resztę po śmierci rodziców. Czy sądzisz pan, że Adam byłby zadowolony z tego?

— Zdaje mi się, że zupełnie.

— Ale od tego nie ustępuję, że i ona ma prawo stawiać warunki, bo i on koniecznie powinien miéć sam przez się dostateczny dochód.

— To rzecz naturalna. Ale tymczasem, zdaje mi się — dodał pan Adam, patrząc na zégarek — na dziś będzie chyba dosyć. Już późno. Obmyślmy sobie dobrze, jakie naszym bohatérom dalsze losy przeznaczyć; a na następnéj lekcyi pani podasz swój, ja również swój plan podam i wspólnie się potém ułoży, co lepsze. Sądziłbym tylko, że tak samo i oni powinni pisać nowelkę, bo to nam da pole do rozwinięcia więcéj komplikacyi. Ale najważniejsze rozwiązanie. Nad tém trzeba się dobrze zastanowić. Co do mnie, wolałbym, żeby całkiem pominęli naukę trybu warunkowego. Obawiam się, aby to nie nastręczyło jakich trudności w rozwiązaniu.

— A cóż im tryb warunkowy może do szczęścia przeszkadzać, jeżeliśmy jéj dali posag, a jemu odpowiednie dochody.

— Zresztą—o tém potém.

. . . .

Pan Adam czując się znużonym tą słowną szermierką, w czasie któréj dobrze się musiał pilnować, żeby go przeciwniczka nie wysadziła z siodła, usiadł w parku na ławeczce i duma, szukając treści charakteru téj kobiéty, lecz jeszcze wątku pochwycić nie może. Jest to dla niego ciekawa zagadka. Co ona czuje, co naprawdę myśli — trudno dociec. Zdaje mu się, że mimo jéj niezaprzeczonych talentów i piękności coś i między nimi także tkwi, coś, które utrudnia wzajemne porozumienie i każe wątpić czy mogliby stworzyć harmonijną całość, pomimo, że... oboje bruneci.

Próbuje w końcu przez porównanie obu kandydatek dociec zagadki, ale i tą drogą niepodobna dojść do jasnego pojęcia o każdéj z osobna. Miss Annie zdaje mu się szczerszą, ale za to nie tak dobrze wychowaną; tamta zaś nadto zręczna, aby można prawdę z głębi jéj serca dobyć. Ale bądź co bądź, obie czarujące.

Wracając, zabrał po drodze z *office*'u *World*'a odpowiedzi, jakie tam na skutek jego ogłoszenia nadeszły. Jest ich z górą 20, a między témi szczególniéj jedna zwraca uwagę. Podpis wprawdzie mu nieznany „Miss Edna O. St. Simon”, adres niewiadomy „General Delivery”, ale charakter pisma wydaje się nie obcym. Pan Adam głowę sobie łamie, chcąc koniecznie dociec i przypomnieć sobie: gdzie on to pismo już widział?

Z treści tego listu widać, że owa tajemnicza miss Edna, to jakaś 19-letnia brunetka, szczupła, wagi 115 funtów, 4 stopy 5 cali wysoka; posiada duże niebieskie oczy, zęby białe, włosy obfite i długie oraz kilka tysięcy w banku; przytém gra, śpiéwa, maluje i wysoko ukształcona. Ludzie mówią, że piękna, ale ona sama nic o tém sądzić nie może. Ponieważ dopiéro od roku z rodzicami do New Yorku przybyła, przeto dla braku odpowiednich znajomości widzi się zniewoloną po raz pierwszy odpowiedziéć na ogłoszenie, które ją zaintrygowało, bo zdaje się odpowiadać jéj wymaganiom. W końcu prosi o przesłanie bardziéj szczegółowego opisu, a wtedy, jeśli uzna za stosowne, poda i swój adres.

Z innych odpowiedzi zaledwie parę zasługiwało na uwagę, ale i te, po bliższém sprawdzeniu, odrzucił.

. . . .

W domu zastał już także list z poczty. Jest to odpowiedź owéj właścicielki 100 tysięcy. Tymrazem jeszcze bardziéj zaciekawiony, pospiesznie rozrywa kopertę, w któréj, zamiast spodziewanego zaproszenia na schadzkę, znajduje kilka drukowanych cyrkularzy firmy Ch. G. Bigman Bros. Ma to być wielkie przedsiębiorstwo stręczenia mał-

żeństw. Firma ta zapewnia, że już z górą 5,000 zawdzięcza jéj swe szczęście, a żadne do rozwodu nie poszło. Firma więc, mając za sobą tak rozległą praktykę i długoletnie w tym *business'ie* doświadczenie, może śmiało gwarantować każdemu swemu „kostumerowi" zupełne szczęście w pożyciu małżeńskiém. Firma bowiem z niezrównaną wprawą potrafi dobiérać odpowiednie charaktery, a przytém szczęśliwą ma rękę. Nadto, zawsze posiadając w zapasie różnego gatunku towar, może tém samém wszelkie zadowolnić wymagania zarówno tych, którzy szukają posagu, jakotéż i tych, którzy gotowi poprzestać na wdziękach tylko lub cnocie. Zawsze na składzie znaleźć można najbogatsze, najpiękniejsze i najcnotliwsze różnego wieku. W końcu firma prosi o osobiste porozumienie się, w którymkolwiek bądź dniu, dodając, że we wtorki i soboty mają miejsce generalne mityngi.

Pan Adam rozczarowany i zły, mszcząc się za doznany zawód, z gniewem rzucił w piec owe cyrkularze, ale mu się znów żal zrobiło, więc je czémprędzéj ratuje z płomieni, które chciwie już zaczęły pożérać może całego życia jego szczęście. Ale nie ma powodu do rozpaczy, bo zdołał jeszcze w niedopałkach odszukać rzecz najgłówniejszą t. j. adres 4444 — 15 *ave.*—szczęście więc ocalone! Istotnie dziwny to traf. Wszystko stało się pastwą płomieni, jeden tylko maleńki kawałek jeszcze się w popiół nie zamienił, a ten właśnie zawiera to, co potrzeba. Dobry to znak. Widocznie jego szczęście ogniotrwałe.

Drobne to na pozór zdarzenie, jednak nie pozostało ono bez wpływu na umysł pana Adama. Czuje on, że to dzieciństwo, a nie zdolny się oprzéć chętce zwiedzenia owéj cudownéj fabryki szczęścia. A może téż to jakaś tajemnicza wskazówka opiekuńczego geniusza? Czemużby nie spróbować. Wreszcie nie zawadzi przecie i z téj strony poznać życie amerykańskie.

I tak go ten cudotwórca zaintrygował, iż ciekawością zdjęty postanawia zaraz nazajutrz złożyć mu wizytę.

Staje wreszcie u wrót tego raju z kabalistycznym numerem 4444.

Dzwoni. Otwiera mu jakaś młoda panienka i tajemniczo go do maleńkiego pokoiku wprowadziwszy, zostawia samego. Kandydat tymczasem, skracając sobie chwile samotnego wyczekiwania, odczytuje na ścianie wywieszone przepisy, jak się w tym przybytku winna dziatwa hymenu zachować. Między innemi dowiedział się także, iż meeting nie może trwać dłużéj nad godzinę; oraz, że pod żadnym pozorem nie wolno drzwi samowolnie otwierać ani na korytarz wyglądać lub wychodzić; a kto chce pokój opuścić, obowiązany zadzwonić i czekać, aż się ktoś zjawi i wyprowadzi i t. p.

Pan Adam spodziewał się zastać rzęsiście oświetlone, pełne strojnych piękności salony, a tu tymczasem znajduje małe tylko celki jak w klasztorze, gdzie nawet i regulaminu klasztornego ściśle przestrzegają. Widać zawsze tylko po cierniach i głogach droga prowadzi do nieba.

Komuż to nie pilno do szczęścia! Trochę się więc i nasz więzień stanu (ale małżeńskiego jedynie) zaczyna już nudzić i niecierpliwić. Czyliż go dla tego tylko tak długo w samotności trzymają, aby lepiéj wystudyował regulamin na ścianie? Ależ on się przecie już na pamięć tych przykazań wyuczył, a jeszcze się nikt nie zjawia. Widocznie zapotrzebowanie szczęścia małżeńskiego tak wielkie, iż fabrykanci nie są w stanie wszystkim w porę zadosyć uczynić. Trudno więc, trzeba zaczekać; na każdego przyjdzie kolej; a tymczasem nie wadzi, że za przykładem niektórych innych sławnych ludzi do spełnienia tak wielkiego czynu przygotuje się umartwieniem, postem i rozmyślaniem w samotności.

Nareszcie zjawia się w całym swym majestacie pełnomocnik Kupida. Ale majestat to bardzo skromny, bo ten skrzydlaty psotnik lubi zawsze niespodzianki robić. Nikt by przecie téj małéj, suchéj i przedwcześnie pomarszczonéj figurki przybyłego nie posądził, że piastuje tego rodzaju posadę i tyle posiada zaufania u bożka miłości. Zapewne mianowany został za długoletnią służbę i szczególne zasługi, jako weteran, na model dla innych konkurentów. Istotnie pan pełnomocnik może być wzorem grzeczności i uprzejmości. A że jest jeszcze kawalerem, to nic nie znaczy, owszem, dodaje mu wdzięku. Zresztą czyż to jeden szewc bez butów chodzi.

Pan pełnomocnik tedy, powitawszy gościa jakby już starego znajomego, zapewnia uroczyście, iż żadna nie zajdzie trudność w wynalezieniu odpowiedniéj mu towarzyszki życia.

— Bądź pan spokojny — rzecze—dyskrecya zupełna; prawdziwe nazwisko tylko nam będzie wiadome, dla innych zostanie tajemnicą. Wynagrodzenie zaś nader umiarkowane. Tylko 5 dolarów wpisowego — to wszystko — a potém 50 centów za każdy meeting. W razie zaś przyjścia do skutku małżeństwa, dopłata wynosi jedynie 15 dolarów, a 25 jeżeli z dwumiesięczną gwarancyą naszą. To się każdemu zostawia do woli. Czy możesz się pan powołać na referencye dwóch obywateli?

Panu Adamowi warunki zdają się dość przystępne, boć i za zwyczajną lekcyę języka też trzeba tyle płacić; lecz skąd weźmie referencyi? Wszak obcy, nikogo nie zna. Ale być od wrót raju sromotnie odpędzonym, dla braku tylko głupich referencyi, wcale nie ma ochoty.

Dyktuje więc dwa pierwsze lepsze nazwiska, jakie mu na myśl przyszły, płaci wpisowe i wypełnia podany mu blankiet, obejmujący różne szczegóły, osoby konkurenta dotyczące, jak wiek jego, wzrost, wagę i t. d.

Po załatwieniu tych przedwstępnych formalności, pan pełnomocnik rozkłada przed nowym członkiem téj bezwątpienia najpożyteczniejszéj instytucyi olbrzymie album, zawierające mnóstwo różnych piękności, z których niejedna dźwiga dopiéro 6 lub 7 krzyżyków.

Ale pan Adam widocznie bardzo wybredny. Z pośród bowiem takiego legionu aniołów, zaledwie kilka tylko wybrać zdołał, i to jeszcze napróżno, gdyż są to kandydatki z prowincyi; miejscowe zaś, mogąc się stawić na każde zawołanie, rzadko dają swe fotografie. Pełnomocnik radzi więc na jego doświadczeniu polegać, zaręczając, że on mu najodpowiedniejszych kilka wedle własnego uznania wybierze i meetingi zaraz pojutrze urządzi.

Na tém stanęło.

Pan Adam niecierpliwie i z pewnym niepokojem wygląda owego pojutrza w obawie, czy przypadkiem nie przyjdzie szanownemu majsterkowi ochota sprawdzenia podanych przez niego referencyi. Jeżeli się bowiem fałsz przed czasem wyda, to w takim razie nic z meetingu.

. . . .

Pan Adam, myśląc o swoich referencyach i meetingu, bardzo jakoś roztargniony podczas lekcyi z miss Annie. Chociaż więc nauczycielka dość wyraźnie daje mu do zrozumienia, że czas by już nareszcie przystąpić do wzajemnego egzaminu z nauki i stosunek ich wyjaśnić — on się jednak nie może, czy też nie chce domyślić, o co jéj chodzi.

Stąd to zapewne ta bezskuteczność jéj zapędów i usiłowań jest powodem dzisiejszego rozdrażnienia miss Annie, która także, zwłaszcza pod koniec, zaczyna być trochę roztargnioną i coraz się częściéj na zégar ogląda, jakby coprędzéj lekcyę pragnęła zakończyć, a nawet już i na ból głowy się skarży.

Czy się nakoniec uczeń domyślił o co idzie, czy także i jemu dziś pilno — dość, że wcześniéj, niż zwykle, zabiéra się do odejścia. Tym razem miss Annie, wbrew swemu zwyczajowi, wcale się go nie stara zatrzymywać, ani też nie przedłuża rozmowy przy drzwiach, chociaż zwykle w takiém *post scriptum* oboje zawsze mieli najwięcéj do powiedzenia sobie, a dziś przeciwnie, oboje wyraźnie unikają gawędki.

Co do pana Adama, to nic dziwnego, że się tak śpieszy, bo mu trzecie pilno na oznaczony przez majstra meeting.

Znów tedy pędzi pod ów kabalistyczny numer 4444 i drżącą ręką chwyta za dzwonek i znów tak samo tajemniczo najpierw do jednéj, potém do drugiéj celi wprowadzony, zastaje tam już jakąś damę. Przewodniczka, przedstawiwszy go jako mr. John, a damę jako miss Julia, zostawia ich w miłém sam na sam.

Nowi znajomi stanęli w osłupieniu.

Była to bowiem miss Annie.

Pierwszy wreszcie przemówił pan Adam.

— Dziwne, doprawdy dziwne spotkanie — rzekł pomieszany jeszcze.

— Wcale niespodziewane—dodaje miss.

— A czy bardzo przykre?

— O bynajmniéj. Owszem, poczytuję to sobie za dobrą wróżbę. Widocznie jesteśmy dla siebie przeznaczeni.

— Pani, jak widzę, trochę zabobonna.

— Bo istotnie, przyznać pan musisz, że to szczególne. Jestem tu przecie dopiéro po raz pierwszy i właśnie trzeba zdarzenia...

— A i ja także po raz pierwszy...

— Więc podwójnie dziwny zbieg okoliczności. Zaczynam już naprawdę wierzyć, że nie unikniemy wspólnego losu. Powiem nawet więcéj: że nie zdołamy go uniknąć.

— Czy to trochę nie za stanowcze przypuszczenie.

— To wcale nie przypuszczenie, ale pewność. Takie jest teraz moje przekonanie.

Pan Adam zamyślił się.

— Tylko się proszę ze mnie nie śmiać—mówi daléj miss—bo ręczę, że i pan już tak samo będziesz musiał uwierzyć. Bo wyobraź sobie, śni mi się... Ale co pan sądzisz o teozofii? Zresztą, mniejsza o to... Jedna z moich przyjaciółek bardzo się tą nauką zajmuje. Otóż za jéj protekcyą byłam na jednym seansie spirytystycznym. A powiadam panu, to cuda... Jakże tu nie wierzyć w duchy... Ja wierzę... pan się uśmiechasz... a ja wierzę, wierzę w tę jakąś siłę nadprzyrodzoną, która nami rządzi. Więc wyobraź pan sobie, zaraz potém w nocy i mnie się ukazuje duch mojéj jakiéjś prababki i zapewnia, że... że tak być musi—dokończyła miss z naciskiem, wyrażającym silne przekonanie.—Ale to jeszcze nie dosyć—ciągnie daléj.—Wyobraź pan sobie, śni mi się jeszcze jakiś dziwny numer 4444, a rano wpada mi w rękę ogłoszenie téj oto firmy. Czy to nie dziwne?

— W istocie, dziwne—przywtórzył Adam zamyślony.

— Ale na tém nie koniec—prawi miss, zapalając się. — Zaciekawiona, czémprędzéj szukam w gazecie adresu jakiéj wróżki — i oto

znów znajduję numer 44. Biegnę do niéj natychmiast i nic o tém nie mówiąc, pytam o swą przyszłość. A wróżka zaraz mi prawi, że niedługo wyjdę za bruneta, który o mnie myśli, ale mi jakieś dwie inne jeszcze stoją na przeszkodzie.

Pan Adam trochę pokraśniał.

— Lecz mimo to—ciągnie miss — ja w końcu zwyciężę i będę szczęśliwą, tylko żebym zawsze uważała na czwórkę, bo to moja cyfra. Przyznaj pan, że szczególne. Jakże tu nie wierzyć w nasze przeznaczenie.

— Może się ta wróżba do innego, a nie do mnie odnosi—nieśmiało wtrąca Adam.

— Jakto do innego? — przerywa mu miss pośpiesznie, jak gdyby już samém przypuszczeniem zgorszona.—A do kogóżby? To nie może być. Przecież tak mi dokładnie opisała, iż zgoła niepodobna wątpić, że to pan, a nie żaden inny. Zresztą ja...

Miss tak się zapędziła, iż gdyby się w porę jeszcze nie spostrzegła i w język nie ugryzła, byłaby bodaj wyznała, że to ona, idąc za radą przyjaciółki, codziennie upuszcza w raju owe szpilki, aby sobie wzajemność zapewnić. A przecież ludzie doświadczeni mówią, że to niezawodny środek, dlaczegóżby nie wierzyć. Ale wierząc, nie potrzeba się jeszcze do podstępu przyznawać. Nie dokończywszy więc zaczętego zdania, zwróciła rozmowę na inny tor.

— Doprawdy—mówi z wylaniem—bardzo się cieszę z tego spotkania, bo się nareszcie wyjaśni nasz stosunek, który, wyznam szczerze, już mnie zaczynał trochę męczyć. Nie mogąc się doczekać oświadczyn,—pomimo, iż dość wyraźnie dawałam poznać me uczucia i ośmielałam do wyznania nawzajem—nie wiedziałam, co mam sądzić. Teraz przynajmniéj możemy już mówić otwarcie. Ale nie bierz mi pan tego za złe, że i ja tu jestem. Dziwne jakieś przeczucie mnie tu wiodło — nie mogłam się oprzéć. Lecz ja powinnam się dziwić, że pana tu spotykam. Wy mężczyźni możecie na innéj drodze szukać szczęścia, dla was wszędzie drzwi otwarte.

— Nie dla mnie. Jestem przecie obcy.

— Prawda. Zresztą, widocznie i pana tu przeznaczenie sprowadziło. Wielu mężczyzn nie ma czasu, ani sposobności robienia stosunków; uważam więc, że to instytucya bardzo pożyteczna. Szczególniéj biédniejsze panny, nie mogąc żyć w świecie, nie mają innéj drogi. Co do mnie, wcale nie żałuję, że się na ten krok odważyłam, bo to wypadkowe spotkanie zbliży nas nareszcie. Wszak odtąd będziemy dla siebie więcéj niż zwykłymi tylko przyjaciołmi—prawda? Daj mi pan rękę—dodała, wyciągając przyjaźnie do niego swą dłoń.

— Nie taję,—rzekł w niemałym kłopocie pan Adam— że od pierwszego zaraz spotkania wywarłaś pani głębokie na mnie wrażenie; ale otwarcie muszę wyznać, iż mi się niepodobna tak prędko zdecydować. Jest to przecie krok zbyt ważny...

— Alboż to prędko? Wszak znamy się już dłużéj niż miesiąc.

— A prawie się nie znamy. Jeżeliśmy istotnie dla siebie przeznaczeni, to nas prędzéj czy późniéj nie minie. Zaczekajmy więc. Może się tymczasem wyrównają pewne niezgodności: może ja się zżyję z tutejszemi obyczajami i pogodzę z opiniami, a może téż i pani trochę się do moich zapatrywań i przyzwyczajeń nagniesz.

— Możemy czekać jako narzeczeni. Prawda? — dodała filuternie.

— Pani tak jesteś czarująca, iż radbym cię jednéj chwili nazwać moją, ale...

— Jeżeli tak, to dlaczegóż gwałt sobie zadawać?

— Już powiedziałem: rozsądek tak nakazuje. Zaczekajmy. Z dniem nowego roku zacznie się czwórka, w którą pani tak wierzysz. Niechże więc ten dzień los nasz rozstrzygnie. Wtedy powiem: albo — albo...

— Ach jakże tu duszno... Przejdźmy się do parku... Tak piękny wieczór...

I nie czekając na odpowiedź, zadzwoniła.

Teraz miss Annie tak piękna jak nigdy, tak piękna, że nawet i on już także zaczyna uczuwać jakąś duszność, a wkoło siebie widzi tylko mnóstwo czwórek, które go tak silnie ku niéj ciągną, iż oprzéć się im trudno...

Wszak życie tak krótkie, każda chwila tak droga, czemuż więc opóźniać szczęście?... To znaczy okradać samego siebie...

I drżąc, z zapałem porywa jéj rękę...

W téjże chwili raptem czwórki zmieniają się w kukurydzę i pomidory, zalatuje go zapach selerów, na języku uczuwa gorycz niby gotowanéj herbatki z mlékiem, a w uszach huczy mu złowrogi łoskot trzaśnięcia drzwiami.!.

I oto w stanowczéj chwili brak mu odwagi, gorące słowa wyznania miłości dozgonnéj więzną mu w gardle, a natomiast znów powtórzył zagadkowo: W nowy rok.

. . . .

Jeżeli żadnych nie ma względem miss Annie zamiarów, to postępowanie jego co najmniéj nieszlachetne. Czemuż łudzić? czemuż

nie powiedziéć otwarcie: „Nie chcę ciebie, nie trać czasu, szukaj sobie innego.”

Ale co prawda, on sam jeszcze dobrze nie wié, jakie ma zamiary. Przyparty do muru, gotów był raczéj powiedziéć: nie; ale mu teraz trochę znów owo przeznaczenie szyki poplątało, a przytém żal mu jéj. Bo jakżeż tak wprost odepchnąć kobiétę, która się sama w ramiona rzuca. Zresztą, nie można powiedziéć, żeby mu zupełnie była obojętną, zwłaszcza teraz.

Ale czy ona szczerze, z dobrą wiarą mówi o przeznaczeniu, czy téż chce tylko w niego wlać to przekonanie i tym sposobem wywierając nacisk, skłonić do oświadczyn? Tak pyta sam siebie, ale żadnéj nie może na to znaléść odpowiedzi.

Lecz bądź co bądź, pomimo nawet téj wątpliwości, historya o czwórkach silne zrobiła na nim wrażenie zwłaszcza, gdy sobie inne dziwne okoliczności przypomniał, szczególniéj cudowne owych czwórek uratowanie z płomieni, a w końcu niespodziewane spotkanie.

Wszystko to wydają mu się rzeczy tak niézwykłe, iż gotów wreszcie uwierzyć w przeznaczenie. Choć niby uśmiecha się lekceważąco z zabobonu, a jednak nie może się pozbyć téj myśli i coraz się bardziéj z nią oswaja, ale zarazem i przeciw niéj buntuje. Gniéwa go bowiem już samo przypuszczenie, iżby człowiek miał być istotą tak słabą, jak niewolnik, jak ślepe narzędzie zależną od widzimisię jakiéjś tajemniczéj siły. Wielka więc bierze go chętka wypłatać figla i właśnié zrobić na przekór duchowi owéj jakiéjś tam cioteczněj prababci i téj despotycznéj czwórce, któréj się zachciewa rządzić losem ludzkim. Tu mu jednakże zaraz stają na myśli liczne przykłady z historyi, że mimo usiłowań stawiania przeszkód, wróżby się jednak musiały spełnić.

Tak np. powiedziano jako pewien rycerz zabije 100 nieprzyjaciół, ale zabił tylko 99 i zginął sam. Już dużo upłynęło czasu od śmierci, kiedy zwycięski wódz, naśmiewając się z przechwałek przeciwnika, z pogardą kopnął walającą się na piasku czaszkę zabitego, przyczém jednak tak się w nogę skaleczył, iż z téj rany umarł, dopełniając przepowiedzianéj liczby 100.

Tak samo, kiedy księciu ruskiemu Olegowi przepowiedziano, że wierzchowiec, na którym zwykł jeździć, stanie się przyczyną jego śmierci, książę śmiał się z téj wróżby, a jednak, chociaż już nigdy tego konia nie dosiadł, z jego przecież umarł przyczyny.

I wiele jeszcze innych tym podobnych przykładów stawało mu w pamięci. Ale uparty pan Adam, pomimo takich dowodów, że nikt się nie zdoła swemu przeznaczeniu oprzéć, bądź co bądź postanowił

zrobić i babce i czwórce na przekór i właśnie nie protegowanéj przez nią miss Annie, ale przeciwnie, miss Maud decyduje się oświadczyć.

Być może, iż ta chęć przekory przyśpieszyła ową decyzyę, ale główna jéj przyczyna, zdaje się, leży gdzieindziéj, mianowicie w tém, że tamta bardziéj jakoś pociąga. O ile miss Annie sama się rzucając w objęcia, studzi w nim zapał, o tyle znów miss Maud, powstrzymując go w zapędach, silniéj drażni—i właśnie to umiejętne powstrzymywanie dało jéj przewagę nad rywalką. Zresztą jest ona zręczniejsza, może nawet piękniejsza, a zapewne i bogatsza, bo wspomniała coś przecie o 5,000 posagu. Miało się to wprawdzie odnosić tylko do bohatérki noweli, ale czyż ta nie jest kopią oryginału? Jakżeż to rozumiéć?

Tak więc następna lekcya ma losy rozstrzygnąć. Wtedy okaże się, kto silniejszy: czy babka i czwórki razem ze szpilkami, czy téż chęć przekory Adama.

. . . .

Miss Maud jakoś tym razem wydaje się nieco poważniejszą. Jest wprawdzie dość dla ucznia łaskawa; nie tyle jednak, ile uczeń dla niéj.

— A więc następuje ciąg dalszy — mówi pan Adam. — Jakiż tedy pani plan osnułaś? Jakie losy przeznaczasz naszym bohatérom?

— Panu zostawiam pierwszeństwo. Proszę zaczynać. Więc tedy?...

— Skoro pani pozwalasz, niech i tak będzie. Otóż, jak to już powiedziałem, koniecznie ich wypada uszczęśliwić.

— Czy to pańskie było zdanie? Mniejsza o to, podzielam je.

— Bardzo się cieszę, témbardziéj, iż leży to przecie w naszym własnym interesie, skoro mamy treść osnuć na... własnych dziejach.

Miss Maud nic nie odpowiedziała. Na chwilę zapanowało milczenie. Miss bawi się, zwijając w palcach róg serwety, a wspólnik odchrząkuje i palące rzucając spojrzenie, przysuwa się bliżéj.

— A więc cóż, podług pana, potrzeba im do szczęścia? — pyta nareszcie miss, odsuwając się z krzesłem.

— Zapewne i podług pani... połączenia... To przecież główny warunek szczęścia...

— A więc następuje rozdział trzeci — mówi nauczycielka, bardziéj się odsuwając. — Dyktuj pan.

Pan Adam zamyślił się.

— Adama niepokoi to bardzo, — mówi po chwili milczenia — iż Ewa nie dała mu jeszcze sposobności poznać swéj rodziny.

— To rzecz obojętna. Ona tu przecie główną gra rolę; jak ona powié, tak będzie. Tego nikt nie odmieni.

Wspólnik spojrzał trochę ździwiony.

— Nie chodzi tu o odmianę, ale sądziłbym, że i rodzina także coś znaczy. Zresztą, mniéjsza o to. Tymczasem możemy pominąć ten szczegół. Idźmy daléj. Otóż tedy Adam, niepewny jeszcze Ewy, a bardziéj dla zabawki, odważył się ogłosić, że... że poszukuje żony...

Miss Maud, przestawszy zwijać róg serwety, przelotne rzuciła na ucznia spojrzenie.

— Między wielu innemi — mówi uczeń daléj i dobitnie, z naciskiem każdy wymawiając wyraz, nie spuszcza oka z nauczycielki — szczególniéj jedna oferta uwagę jego zwróciła. Podpis mu wprawdzie nieznany, jakaś miss Edna O. St. Simon....

Miss Maud, nie odrywając już oczu od swéj bezmyślnéj pracy, uśmiechnęła się, ale jednocześnie i rumieniec lekki wystąpił na czoło.

— Charakter jednak tego pisma — ciągnie pan Adam — chociaż widocznie zmieniony, wydaje mu się jednak nie obcym. Jako téż w końcu przez porównanie doszedł, że to istotnie ręka Ewy... Bardzo go to odkrycie dotknęło. Sądził bowiem, że już posiada jéj serce, a ona tymczasem innych jeszcze szuka znajomości...

— A nie jestżeż panią swéj woli? — pyta miss Maud, zapalając się trochę. — Czy mu już dała słowo? Czy już narzeczoną? O ile mi się zdaje, to nawet jeszcze nic o swych zamiarach nie wspomniał, więc skądże ma prawo krępować jéj swobodę? A przytém, jeśli to zbrodnia, to przecież i on taką samą popełnił. Mówisz pan, że tylko dla zabawki ogłosił. Przypuśćmy, że i ona podobny cel miała. Zresztą, czyż mogła się na nim ubezpieczać? Przecież to chyba wystarczyć jéj nie mogło, że dla żartu uczyła go słowa „kochać". Skądże więc on do tego przychodzi? Jesteś pan niesprawiedliwy.

— Przyznaję, ale z tém jednak zastrzeżeniem, że nie ja, lecz Adam popełnił tu niesprawiedliwość. Widocznie podrażniony, nie zastanowił się, że i on sam tu równie winny, utracił prawo do zarzutów.

— Prawa tego nigdy nie miał — poprawia miss — ani też nie znajduję winy po żadnéj stronie. Oboje niezależni, mogli więc robić, co im się podobało.

— Ewa dobrego znalazła w pani adwokata. Dowodzisz pani bardzo logicznie, ale...

— Jakież ale?

— Kwestya już zdaje się wyczerpana. W każdym razie możemy ten epizod użyć w nowelce. Głosuję nawet za ukaraniem Adama, bo tym razem nie Ewa dała przyczynę do złego. Dajmy na to, że oka-

zuje skruchę z obietnicą więcéj niegrzeszenia. To zapewne złagodzi pokutę i nie spowoduje wypędzenia z raju. Stąd nawet powinno wreszcie nastąpić wzajemne między nimi porozumienie, a może już wtedy oboje lepszych nabędą praw do siebie. Cóż pani na to?—dodał, z zapałem chwytając rękę nauczycielki.

— Ja sądzę—rzekła miss Maud, wcale jakoś ręki nie cofając—że co do mnie...

Wtém rozległ się w sieni ostry głos dzwonka.

— Ach, przepraszam—dodała, powstając—mamy nie ma, muszę zobaczyć... I wyszła pośpiesznie.

Pan Adam tymczasem, zostawszy sam, rozgorączkowany, rozmarzony, wstał i przechadza się z ręką u czoła. Przystanął wreszcie, głowę na szybie opiéra, jakby dla ochłody, a po chwili znów się puszcza w dalszą podróż naokoło pokoju. Zatrzymuje się przy trochę uchylonych drzwiach sąsiedniéj sypialni i zagląda tam przez szparkę. Jest to bezwątpienia wielka niedyskrecya z jego strony, to prawda; ale on teraz tak wzburzony, iż nie wié chyba sam, co czyni. Zresztą nawet i w każdym innym razie pokusa by to była zbyt silna.

Gdyby każdy narzeczony mógł tak niespodziewanie zajrzyć do sypialni swéj bohdanki, byłoby niezawodnie mniéj na świecie nieszczęśliwych małżeństw i rozwodów.

Ale pan Adam, wcale nie rozumując w téj chwili, bezmyślnie drzwi bardziéj uchyliwszy, zajrzał do głębi panieńskiego *sanctuarium*. Musiał tam jednak coś bardzo niemiłego spostrzedz, bo jeszcze prędzéj głowę cofa i drzwi śpiesznie przymyka, a taką ma w téj chwili minę, jakby z zimnéj a niespodziewanéj kąpieli wyskoczył. Niezmiernie kwaśny, znów rozpoczyna spacer po pokoju, a tymczasem zjawia się téż i miss Maud.

— Jeszcze raz pana przepraszam—mówi, siadając — zatrzymały mnie tam drobne sprawy domowe. Więc tedy na czém stanęło? Aha, dobrze. Adam oświadcza się Ewie...

— Zdaje mi się, iż niedokładnie pani myśl moją pojęłaś -- przerywa wspólnik, usiłując pokryć zły humór. — Wszak to dopiéro bohatér nowelki taki zamiar powziął.

Miss Maud spojrzała jakby zawiedziona i ździwiona nietyle słowami, ile ich tonem. Dostrzega jakąś zmianę, ale przyczyny jéj odgadnąć nie może. Bardzo ją to obeszło i podrażniło trochę.

— Tém lepiéj — mówi złośliwie — że mu pan więcéj zostawiasz czasu na naukę trybu warunkowego.

— Jak to pani rozumié?—pyta sucho.

— Że ona go wręcz powinna uprzedzić: kochałabym, gdybyś... gdybyś mnie np. zapewnił, że się zawsze ładnie będę mogła ubrać...

— Cóż daléj?—znów pyta uczeń z uśmiechem ironicznym.

— Że nie będziesz wymagał—kończy miss – abym sama gotowała, szyła...

— A to piękna mi żona — przerywa uczeń dość szorstko, nie mogąc już utaić rozgoryczenia. — Zdaje mi się, że tylko służąca warunki stawia, gdy się do służby godzi, ale nigdy żona, która ma dzielić los, przyjmując to co będzie.

— Czy nasi bohatérowie mają być Europejczykami? – wtrąca pośpiesznie miss Maud, także już rozdrażniona.

— W żadnym razie nie z gminu. Sądzę przecie, że i na téj półkuli w lepszych zasadach wychowana kobiéta nie sadza męża do kozy za to, że jéj nie może dawać na utrzymanie tyle, ile by chciała.

Miss Maud przycięła wargi.

— Ale pozostaje jéj jeszcze rozwód—mówi z naciskiem.

— Kobiéta, która, oddając swą rękę, z góry już o rozwodzie myśli, ani sama nie może być szczęśliwą, ani też niezdolna uszczęśliwić nikogo. Szczere i czyste uczucie nie rachuje.

— A podług mnie, większém jest uczucie rachujące, bo trwalsze. Los nas ludźmi stworzył i na ziemi żyć kazał.

— Można żyć na ziemi, a jednak nie karmić się wyłącznie beefsteak'iem. Są przecież i lepsze rzeczy.

— Ale beefsteak bodaj że najpożywniejszy.

Miss Maud coraz bardziéj traci dotychczasową równowagę i mimowoli uchyla brzeg maski.

— Zdaje mi się — przerywa już zniecierpliwiony wspólnik — iż stanęliśmy na przeciwnych biegunach. Pusta słowna szermierka do żadnego nas chyba nie doprowadzi porozumienia.

— I ja tak sądzę.

— Tém lepiéj. Wróćmy więc do przedmiotu. Racz pani notować. Zaproponuję już zakończenie naszéj nowelki.

— Już? Ciekawam.

— Więc tedy Adam w zapale już... już się ma oświadczyć, już z uniesieniem pochwycił rękę Ewy, a wtém, na szczęście, dał się słyszéć dzwonek w sieni...

— Nie, nie pojmuję. A jakiż to może miéć związek z rozwiązaniem intrygi?—pyta naprawdę ździwiona i zaciekawiona miss Maud.

— O ma, nawet wielki związek.

— I to na szczęście do tego? Zaciekawiasz mnie pan témbardziéj.

— Zaraz się to wyjaśni.

— Słucham.

— Otóż Adam pozostawszy sam, przechadzając się, mimowoli, bezmyślnie rzucił okiem do przyległego pokoju.

Miss Maud niespokojnie spojrzała na drzwi.

— Ale niezupełnie jego to wina — mówi daléj uczeń z pewnego rodzaju zadowoleniem — bo czemuż Ewa tak jest roztargniona i drzwi zostawia uchylone. Taki raj powinna przecie choć na trzy klucze zamykać, aby się tam żadne ludzkie oko nie wdarło. Skoro zaś była tyle nieostrożną, niechże się teraz rumieni, że zbyt może ciekawy Adam dojrzał tam...

Miss Maud szkarłatem oblana, w papiér wzrok nieruchomo utkwiła, a piórem ust drżących dotyka, jakby się nad odpowiedzią zastanawiała.

Tymczasem nielitościwy wspólnik pastwi się daléj nad swą ofiarą.

— Ale rzućmy lepiéj zasłonę — mówi — na ten piękny realistyczny obrazek, gdzie do zupełnego nieładu brakowało już tylko rozrzuconych resztek pożywnego beefsteaku. Adam doznał takiego uczucia, jakby zgryzł cukierek pełen goryczy. Zapał, który go jeszcze przed chwilą byłby na kolana rzucił, teraz znikł zupełnie, pozostawiając tylko niesmak zawodu. Chociaż było to może okrutném z jego strony, nie mogąc się jednak oprzéć pokusie, podyktował to Ewie, jako zakończenie nowelki. Zawstydzonéj, rumieńcem oblanéj, łzy w oczach stanęły, a on jednak odszedł, aby już nigdy nie wrócić. Tém lepiéj, bo prędzéj czy późniéj byłby z takiego raju uciekł niezawodnie...

— Dosyć, dosyć, panie — odzywa się nareszcie miss Maud, powstając.

— Mówimy tylko o bohatérach nowelki, nie o sobie.

— I ta maska chroni pana. Ale porzućmy komedyę, bo jéj pan nadużywasz. Pod maską jesteś pan zbyt śmiały i otwarty, zbyt złośliwy...

— I bez serca — dorzuca wspólnik, biorąc za kapelusz.

— Tego może nie powiem, ale nadto mściwy. Bądź co bądź, pod adresem Ewy dostałam dobrą nauczkę. Teraz, zapomnijmy już o niemiłém zajściu, zapomnijmy czém jeszcze przed chwilą byliśmy dla siebie, a czém możebyśmy byli, gdyby... gdyby dzwonek w porę nie przeszkodził... Ale nie przeszkodzi nam przecie zostać dobrymi przyjaciołmi, bo do tego chyba mniéj jest konieczným... porządek. Nieprawdaż? A zanim się zdołam z wad moich poprawić—dodała, odbiérając mu kapelusz—tymczasem zostań pan chwilę jeszcze... Zagramy na

pożegnanie naszych marzeń i złudzeń... naszych nadziei... może marsza Chopina?... bo mi jakoś smutno... smutno żegnać. .

Pan Adam, zaskoczony tak nieoczekiwaném zakończeniem téj sceny, spostrzegł nareszcie, że zadaleko gniéw go uniósł; że znalazł się poprostu jak człowiek bez wychowania, gorzéj, bo wprost jak nikczemny. Zresztą on znał dotychczas miss Maud jako kobiétę piękną tylko, czarującą, utalentowaną, a teraz dopiéro widzi przed sobą po raz pierwszy kobiétę z sercem... Z tamtą mógł walczyć, a przed tą się korzy i rumieni. Teraz on z kolei stoi zawstydzony, zakłopotany, nie wiedząc, co z sobą począć, jak winę swą naprawić.

— Przebacz mi pani—odzywa się wreszcie z pokorą zwyciężonego buntownika — przebacz chwilę zapomnienia w uniesieniu. Był to z méj strony szalony wybryk, za który mnie pani słusznie ukarałaś swojém tak pełném godności i taktu zachowaniem się. Doprawdy, wolałbym policzek.

— To już minęło.

— O nie, pani. Mógłbym cię może zapomniéć taką, jaką byłaś dotychczas, ale nie taką, jaką mi się teraz przedstawiasz. Nigdy nie przestanę robić sobie wyrzutów, żem mógł być tak śmiały...

— Panowie Europejczycy to wielcy entuzyaści. Łatwo wpadacie z ostateczności w ostateczność. Przed chwilą byłeś pan...

— Tak, masz pani słuszność, byłem okrutny i niesprawiedliwy...

— Przecież odkrycie pańskie było rzeczywistością.

— Prawda; ale byłbym je może pominął, gdyby nie kilka zdań pani, z których wywnioskowałem, iż mój przyjaciel miał słuszność, zapewniając mnie, że w Ameryce kwiaty nie pachną, ptaki nie śpiewają, a kobiéty nie kochają. Sądziłem więc, że i pani nie masz... serca.

— I to pana zrobiło tak okrutnym?—rzekła wesoło miss.

— Tak pani, to; bo czując się zawiedzionym, zapragnąłem zemsty... A teraz widzę, że to tylko ja nie miałem... oczu.

— A jednak dostrzegłeś pan... nieporządek.

— Wolałbym go wcale nie widziéć.

— W takim razie może nie miałbyś też i sposobności zobaczenia... serca. Ale dajmy już temu pokój. Powiedziałeś pan tylko prawdę, może trochę przykrą, ale zawsze prawdę. Zresztą, nie ma czego żałować, bo oprócz zasłużonéj nauczki, został nam stąd w zysku wyborny temat do nowelki, którą na tém tle spróbuję napisać. Spodziéwam się, że nam przyniesie sławę i dolary, bo *copyright* na wspólne imię, nieprawdaż? Oboje zrobimy *business*. A tymczasem, proszę,

zagraj pan jeszcze coś swego ukochanego Chopina... Ja go tak lubię... gdy pan grasz.

Posłuszny uczeń grał dziś wybornie, z takiém przejęciem, jak nigdy. Całą swą duszę wylewał w tonach. Miss Maud z równém przejęciem słuchała. Chopin dziś bardziéj, niż kiedykolwiek, do niéj przemawia.

— Dziękuję panu—mówi, podając rękę na pożegnanie. — Nie pamiętam, czy mi kiedy muzyka tyle sprawiła rozkoszy i... może ulgi. Chopin zawsze piękny dla ucha, ale dopiéro dziś przemówił do duszy, może dlatego, że pan grałeś. Dziwni wy ludzie. Czy mogę miéć nadzieję, że jeszcze kiedyś znów posłyszę? Przyrzekasz mi pan?

— Raczéj czy pani pozwolisz...

— O, przychodź pan zawsze, kiedy będzie... smutno i zagraj wtedy Chopina.

— A nigdy nie wolno mi przyjść wesołym? nigdy z nadzieją?

— O i owszem. Przychodź pan, kiedy zechcesz. Obecność pańska wkrótce będzie nawet konieczną. Musimy przecie odczytać wspólną naszą pracę. Ale czy mogę pana prosić o zwrot listu? — dodała z uśmiechem. — Sama go wręczę miss St. Simon. Jest to moja dobra przyjaciółka. Proszę, przynieś go pan.

. . . .

Pan Adam teraz gotów się naprawdę rozkochać w miss Maud. Widać, że owo coś, które mu dotychczas przeszkadzało, był to tylko brak rzeczy najpotrzebniejszéj do miłości prawdziwéj — brak serca. Teraz, kiedy posłyszał jedno tylko cieplejsze słówko, pod działaniem tego ciepła miękki już jak wosk, zaczyna marzyć o nieobecnéj. Już nawet aż dwie lekcye opuścił u sąsiadki, która z tego powodu gorzkie robiła mu wyrzuty, gdy ją raz na schodach spotkał. Wydała mu się jednak raczéj obrażoną i zagniéwaną, niż stęsknioną i zmartwioną jego niedbalstwem; ale musiał jéj przyrzec poprawę.

Naturalnie, wypada pójść, lecz go ta wizyta dziś wcale nie nęci. Jakaż to rażąca różnica. Miss Annie teraz pod żadnym względem nie wytrzymuje porównania z rywalką.

Tymczasem śni mu się, że jakaś olbrzymia czwórka woła go, by szedł za nią. On nie chce; opiéra się, ale czwórka jednym ruchem powala buntownika, piersi gniecie, za gardło dusi, a potém nałożywszy mu pęta na ręce i nogi, daje sygnał. Zlatuje się całe stado czwórek Posłuszne skinieniu olbrzyma, porywają więźnia jak proch marny i niosą go gdzieś w pustynię. Nareszcie są u celu. Na wyniosłym tronie

z czwórek zbudowanym siedzi miss Annie. U jéj stóp ofiarę składają i, założywszy obrożę na szyję, do tronu przykuwają.

Rano przebudził się zmęczony, z wielkim bólem głowy, i przeklinając senne mary, na złość czwórkom, poszedł wprost do miss Maud z mocném postanowieniem naprawienia złego. W drodze jednak, kiedy go świéże owiało powietrze, znów mu różne myśli przychodzą do głowy i skoro sobie lepiéj postępek swój rozważy, nie ma odwagi tam pójść. Prawda, że mu w pierwszéj chwili przebaczyła, ale jak go teraz przyjmie? O, lepiéj list przez pocztę odesłać i zapomniéć. I długo się wahał, w końcu jednak postanawia—co będzie to będzie — wręczyć go osobiście.

Miss Maud przyjęła go wprawdzie uprzejmie, nawet dość serdecznie, a jednak—wydaje mu się inną, niż dawniéj.

— A, dobrze, że się pan nareszcie zjawiasz, — wita go zadowolona—bo już skończyłam. Będziemy teraz czytać nasze arcydzieło.

— To szkoda. Ja właśnie przynoszę nowy projekt rozwiązania.

— Czy tak? O, to jeszcze nic straconego. Jeżeli efektowniejszy, możemy przecie zmienić. Ja wiernie spisałam tylko prawdę; jedynie właśnie przy końcu odstąpiłam od niéj, poświęcając dla efektu. Ale ciekawam, jaki znów pański projekt?

— Przedewszystkiém trzymać się ściśle pierwotnego założenia, uczynić bohatérów szczęśliwymi. A sposób tak prosty: Adam, odkrywszy w niéj nareszcie nieprzebrane skarby serca, poznaje swój błąd i prosi o rękę.

— Aby potém uciec z takiego raju — dodała miss Maud z uśmiechem.

— Nigdy!

— A przecież lubi porządek.

— Ale Ewa nauczy się téj cnoty.

— Kto wié. Nie tak to łatwo przyzwyczajenia swe zmienić. Ale przyznam się panu, że i ja także w podobny sposób zakończyłam.

— Czy być może?—odzywa się pan Adam uradowany. — A więc jedna teraz myśl kieruje nami! Zatém jest nadzieja? Czy można jeszcze złe naprawić? —dodał, zbliżając się ku miss Maud.

— Mówmy otwarcie — mówi miss, powstrzymując go wejrzeniem. — Wybrałam takie zakończenie, ponieważ wydaje mi się efektowniejszém, zresztą czytelnik lubi koniec wesoły. Ale co innego nowela, a życie rzeczywiste. Przyznam się panu, że i o tém już myślałam, czy nie dałoby się teraz oryginałów zastosować do kopii; lecz po głębszém zastanowieniu przychodzę do wniosku, że nie moglibyśmy pójść z sobą w parze, pomimo całéj sympatyi z méj strony. Takie jest

moje szczere dziś przekonanie. Może się mylę, ale musimy przecie słuchać tego głosu. Jakże podawać komuś rękę bez wiary w szczęście z nim. Pan sam powiedziałeś przecie, że żadna ze stron nie może być wtedy szczęśliwą.

— I skądże ta niewiara?—pyta pan Adam wzruszony.

— Poprostu stąd, że pan z innego, ja z innego świata. Możemy się zrozumiéć przy fortepianie, ale zawsze wsłuchiwać się w Chopina niepodobna. W życiu mogłaby się zepsuć harmonia. A zresztą, przyznać się panu muszę, że już dziś zapóźno o tém mówić. Oto jest mój przyszły mąż—dodała, wskazując na fotografię.

— Czemuż mi pani o tém wspominasz? — rzekł z wyrzutem pan Adam.

— Abyśmy się nie łudzili. Najzdrowiéj żyć rzeczywistością. Bezwątpienia, to człowiek pod każdym względem od pana niższy, zwyczajny tylko *businessman*...

— Czy także *chew tobacco* używa? — wtrącił złośliwie pokonany rywal, znów tracąc równowagę, trawiony zazdrością.

Miss Maud uśmiechnęła się.

— Tak, panie, — mówi — nawet i od tak brzydkiego nałogu nie wolny. Jest przytém niepospolitym bokserem i zwolennikiem wszelkiego sportu, ale za to gotów zasnąć podczas najpiękniejszéj symfonii. Mimo to, mam nadzieję łatwiéj się z nim porozumiéć.. bo Amerykanin.

. . . .

Rzecz dziwna, pan Adam wcale jakoś nie rozpacza. Gdyby miss Maud wzgardziła nim wprost i tém podrażniła jego miłość własną, byłby się może czuł bardzo nieszczęśliwym. Ale ona przyznała mu przecie wyższość, nawet przyznała poniekąd, że go lubi, więc miłość własna nie została wcale draśniętą, a tém samém nie ma z téj strony żadnéj zgoła podniety do ubiegania się o postawienie koniecznie „na swojém".

Zresztą miss Maud na chwilę go wprawdzie porwała, ale zahipnotyzowany już się przebudził. Cieplejsze słówko w ustach téj pięknéj kobiéty rozgrzało go; byłby się jak wosk rozpłynął; ale znów strumień zimnych jéj argumentów zgasił te płomienie w zarodku. Miss Maud znów ukazuje się w dawnéj swéj szacie: znów ta sama piękna tylko i utalentowana, ale już nie porywa; nęci oko, podnieca może i czaruje swą urodą, zajmuje dowcipem, zadziwia talentami, ale już do duszy nie przykuwa; już znów chłodem wieje.

Pan Adam, ostudzony zupełnie, odszedł bez zazdrości nawet, bez żalu.

Jakżeż ona teraz w jego oczach traci, nawet w porównaniu z miss Annie. Ta przynajmniéj nie rozumuje, nie filozofuje, nie przewiduje, a choć może nie szaleje z miłości, ale za to mówi wprost: bierz mnie, bośmy dla siebie przeznaczeni, bo wróżka tak powiedziała, bo... bo ja chcę wyjść za mąż... bo cię kocham...

I zdaje mu się teraz, że w téj otwartości więcéj może tkwi treści, niż w rozumie tamtéj. Zaczyna już nawet w przeznaczenie wierzyć. Znów mu na myśli staje ów książę Oleg i ten rycerz, co nawet po śmierci dopiéro setnego nieprzyjaciela zabił, aby dopełnić przeznaczenia... Śmieje się z tego, a jednak myśl o przeznaczeniu wciąż upornie wraca i pokoju mu nie daje, czyniąc wyrzuty, że samochcąc szczęście odpycha.

Zaczyna wreszcie coraz się bardziéj oswajać z zamiarem poślubienia miss Annie. W końcu nawet przychodzi do przekonania, że z nią byłby szczęśliwym. Jeden go już tylko wzgląd powstrzymuje od zrobienia stanowczego kroku, mianowicie obawa, czy i ona przypadkiem nie jest wrogiem porządku. Raz sparzony, lęka się działać na oślep; ale jakże to zbadać? Traf tylko mógłby mu znów dać na to odpowiedź, ale czyż można czekać na to. Czasem téż przypomina mu się owo trzaśnięcie drzwiami, ale może to niesłuszne podejrzenie tylko... Bądź co bądź, postanawia w dzień nowego roku dać jéj najpożądańsze pewno „*Happy new year*".

. . . .

Nieraz się nasz kosmopolita szeroko w domu rozwodził, że byłoby może najlepiéj znieść wszystkie narodowe zwyczaje, bo te znamiona odrębności gmatwają stosunki, opóźniają postęp bardziéj niż różnice językowe, przeszkadzając do zlania się ludów w jedną wspólną rodzinę. Dziś jednak im bliżéj wigilii, tém jakoś smutniéj i ciężéj mu na duszy, tém dotkliwiéj uczuwa on teraz brak drogich mu osób, a myśl rwie się w strony ojczyste...

I coraz częściéj w głęboką wpada zadumę, a łza mu się do oka ciśnie na wspomnienie, że i oni tam dziś bez niego do stołu zasiądą... że jedno miejsce próżném pozostanie... a on tu również bez nich, sam jeden wśród obcych, sam tylko jak kołek, po raz pierwszy w życiu nie będzie się miał z kim opłatkiem rozłamać, ani nawet i opłatka nie ma.

Ha, co innego, widać, teorya, a co innego znów życie.

Nadszedł wreszcie dzień wigilii...

Rano, jak zwykle, pan profesor podążył na lekcyę; ale nie mogąc sobie miejsca znaléść i w domu usiedziéć, wyszedł nieco wcześniéj. Chodząc po ulicach bez celu, przysiadł wreszcie na ławeczce w parku. Nogę na nogę zarzucił, brodę na ręku oparł i tak smutny duma, bezmyślnie patrząc na tłum uwijających się ludzi.

Raptem zdało mu się, że wyraźnie słyszy kolendę:

„W żłobie leży, któż pobieży
Kolendować małemu...“

Drgnął; machinalnie oczy zwraca w stronę skąd melodya doleciała jego uszu... Może to przywidzenie tylko... Ale nie. Widzi, wolnym krokiem sunie jakiś starzec i, nie spuszczając zeń oka, gwiżdże sobie ową kolendę. Spotkały się ich spojrzenia. Starzec uśmiécha się i także na ławce obok siada, a wciąż na sąsiada patrząc, znów zaczyna półgłosem nucić:

„Gdyby orłem być,
Lot sokoli miéć,
Lotem orlim lub sokolim...“

Pan Adam nerwowo się poruszył; spojrzał na śpiéwaka i oczy znów w ziemię spuszcza, jakby zawstydzony. Starzec tymczasem zażywszy tabaki, podsuwając rożek sąsiadowi, zagaduje po polsku: „Piękny dzionek, ciepło jak w lecie”.

Pan Adam odpowiada po angielsku:

— *I don't understand what you say...*

Ale pokraśniał i chcąc ukryć wzruszenie, odszedł śpiesznie, zostawiając ździwionego zawodem starca. Zaledwie się jednak kilkanaście kroków oddalił, staje jakby się wahał, a wreszcie wraca i siadając na dawném miejscu, zmieszany trochę, przemawia już po polsku:

— Przebacz pan. Przestrzeżono mnie, iż lepiéj unikać rodaków, a przynajmniéj być ostrożnym w ich wyborze. Dlatego to chciałem się oddalić, ale brakło siły... Po raz pierwszy tu słyszę dźwięk ojczystéj mowy... i to dziś... dziś... A, żebyś pan wiedział, co się w téj chwili ze mną dzieje... a co się działo, kiedym posłyszał pańską kolendę... Myślałem, że to przywidzenie tylko... O, masz pan racyę, gdyby teraz orłem być... i do nich, do swoich choć na godzinę...

Starzec wyciągnął do niego rękę.

— Smutno, smutno — rzekł — ale może i tu się znajdą swoi .. a jakoś lżéj wtedy będzie. Prawda, niestety, nie wadzi być ostrożnym . . .

— Nie wiem dlaczego, ale pan budzisz we mnie jakieś zaufanie.

— A jakże nazwisko? Ja bo Zieliński, warszawiak, zwyczajny szewczyna...

— Ja także z Warszawy.

Tu zawahał się trochę, a wreszcie dodaje: Materski.

— Materski... Materski... A czy nie z Leszna?... Otóż masz!...— wtrącił z uśmiechem—człowiekowi się wciąż zdaje, że dopiéro wczoraj kochaną Warszawkę opuścił, a to latka lecą... lecą... Już się przecie niedługo trzydziesty roczek skończy, jak jéj nie widziałem... Tak, panie, trzydziesty, to palcem nie przekiwać... 10 lat we Francyi, a już tu, w tym raju blisko 20... a ja dziś pytam o Materskiego z Leszna, kiedy się tam pewno już do tego czasu może z dziesiąty właściciel zmienił.

— O nie, panie, dopiéro niedawno kamienica sprzedana.

— A więc pan z tych samych?

— To był mój dziad.

— Dziad, dziad! No, proszę! A toć ja mu zawsze buty szyłem. Nikt mu tak nie dogodził, jak Zielińsio. I synowie też u mnie brali. Jeden bodaj, że profesorem był...

— Właśnie mój ojciec.

— Ojciec? O, mój Boże! A toć on w moich lakierkach szedł do ołtarza. Panie, jakby dziś pamiętam dobrze, całą noc musiałem szyć... Jeszcze mi lampka trzasła. Zaraz powiedziałem, że w tych butach znajdzie szczęście, bo to dobry znak, jak się szkło tłucze. I prawda; bo czyż to nie szczęście dochować się takich synów... No, no, patrz pan, jak to góra z górą się nie zejdzie, a człowiek, nawet za morzami, swoich zawsze i wszędzie może spotkać. Jak będziesz pan pisał, proszę, pokłoń się też i odemnie. Ale pewno już nie żyją, co?

— Ojciec żyje. Będzie mu to z pewnością przyjemne. A może też kiedyś zobaczycie się jeszcze. Przecież pan chyba myślisz wracać?...

— Ja? wracać?...

Stary smutno pokiwał głową; łza mu się w oku zakręciła.

— A po co tam teraz? Pewno, że myślę, bo któż nie żyje nadzieją, ale człowiek przecie już nad grobem, bliżéj niż daléj, a Bóg to raczy wiedziéć, gdzie stare kości złożyć przyjdzie. Żeby choć raz jeszcze przed śmiercią tam być, a potém umrzéć. Ale jak sobie przypomnę, że już sześć krzyżyków na karku, to i zwątpienie ogarnia, czy jeszcze kiedy w życiu ujrzę tę naszą ziemię świętą, i ciężko na sercu, bo dusza zawsze na wylocie... zawsze rwie się tam... To też czasem znów mi się zdaje, że to nastąpić musi i nie za miesiąc, to za rok, za dwa znów wrócę... I tak się czeka i czeka z dnia na dzień, z miesiąca na

miesiąc, a tu rok za rokiem płynie... O, nie wiész ty jeszcze mój panie Materski, co to 30 lat przeżyć wśród obcych... Człowiek więdnie, usycha powoli... A pan jak tu już dawno?... Pewno jeszcze ani roku niéma, co?

— Dopiéro kilka miesięcy. Ale po czém pan zgaduje? Jak pan przeczułeś, żem rodak i wprost zagadałeś po polsku?

— Hm, że zagadałem po polsku — odparł Zieliński z uśmiéchem — to dla tego tylko, że inaczéj nie potrafię.

— Czy podobna?

— Widać, że podobna, skoro tak jest. Cóż chcesz, człowiek już za stary na naukę a przytém wciąż między swymi. Ale niejednego już się nowicyusza widziało, to zaraz poznać. Niby tak samo ma nos i oczy, a jednak jakoś inny człowiek... Zresztą, poznać pana po cholewach...

— Ja przecie cholew nie mam.

— Ale buty masz. A szewc zawsze najpierw na buty patrzy. Tylko spojrzałem, zaraz myślę sobie: Oho, to znów jakiś nowy Europejczyk być musi... Założyłbym się, bo tu przecież nikt takich spiczastych nosów nie nosi... A może nawet rodak... Toć zaraz się można o tém przekonać... I zagwizdałem kelendę... Widzę, spojrzał... Ale może się jeszcze mylę... Siadam więc i nucę, a patrzę... Drgnął. Aha, to już ani chybi, swój... I od razu do niego, a ten mi zmyka. No, poszedł to poszedł, pal go kaci... Omyliłem się... Aż tu wraca...

— A, panie, wprost nogi iść nie chciały, tak mnie coś ciągnęło... Pan mi do duszy zagadałeś tą kolendą... Właśnie w owéj chwili myślałem o swoich i ciężko było na sercu, bo po raz pierwszy w życiu nie będę się z nimi łamał... Dziś chciałbym miéć skrzydła orle... Przynajmniéj rodaka spotykam... trochę lżéj...

— A no, to bądźże pan łaskaw dziś do mnie, a może jeszcze lżéj będzie. Szewiec tylko, i obcy, ale téż swój, téż sierota... U niego téż znajdziesz polskie serce i opłatek.

— Przyjmuję, panie Zieliński, — rzekł, ściskając rękę starca wzruszony — przyjmuję, jak od starego przyjaciela méj rodziny... Będzie mi się zdawać, żem wśród niéj... Jakaś opatrzność widać sprowadziła mnie na tę ławeczkę... A już myślałem, że będę sam, bo nikogo z rodaków nie znam jeszcze...

— A choćbyś i znał... Jest ich tu nie mało, ale rzadko który wigilię obchodzi. Po polsku, co prawda, mówią — bo wielu inaczéj nie potrafi; — lecz ojczyste zwyczaje w zapomnienie poszły, amerykańskich zaś się nie nauczono. Niejeden, jakby w dzień zwyczajny, z pewnością mięso dziś będzie zajadał. My starzy już się chyba do śmierci

nie oduczymy tego, co za młodu w domu do serca przylgło. Będą więc nawet i kluski z makiem, bo i o tém moja stara pamiętała. O, ucieszy się babina, jak jéj powiem, kto będzie... Ona taka rada, kiedy kogo ze swoich stron spotka i nagadać się może... Więc przychodź pan — dodał, wręczając mu kartę. — Nie znajdziesz pan nikogo, tylko dwoje starych dziadygów. A, prawda, pewno i w tym roku zjawi się téż król. My go tak wszyscy nazywamy, bo ma przysłowie: „Mój królu"... Dobre człeczysko a też sierota, choć niby niebrak mu dachu... Znamy się jeszcze z Francyi... A więc pamiętaj pan... czekamy, zanim gwiazdeczka na niebo wzejdzie...

. . . .

— Pan Adam, błogosławiąc długie nosy swych butów, z lżejszém sercem do domu powrócił, baa, już i pogwizduje sobie albo nuci.

Ledwo się rozebrał, słyszy na dole przeraźliwą świstawkę listonosza, który nawet — zdaje się — jego nazwisko wywołał. Z bijącém sercem zrywa się coprędzéj i pędzi po schodach...

Istotnie, jest list z Warszawy. Z jakąż akuratnością poczciwe serce matczyne umiało czas wyrachować! Nadszedł w samą porę.

Kosmopolita, z niepokojem i pewną obawą, drżącą ręką kopertę zerwał i wolno wracając na górę, po drodze list rozwija, a znalazłszy w nim dwa kawałki opłatka, rozrzewniony, ze czcią, jak drogie sercu relikwie, do ust je przyciska. I przyspieszył kroku, aby się coprędzéj z miss Annie rozłamać i swą radością podzielić. Przy drzwiach jednakże zastanawia się, że ona pewno nie zrozumié, a może nawet to, co dla niego świętością, jéj wyda się wprost śmiesznémi... Machnął więc ręką i, uśmiechnąwszy się gorzko, wszedł do swego pokoju. W téj chwili jednakże zastukano do drzwi.

— *Come in!* — zawołał — *Come in* — powtórzył.

Nikt nie wchodzi. Otwiera więc.

— Ach, to pani — odzywa się trochę zmieszany, widząc przed sobą miss Annie.

— Może przeszkodzę... Ale sądziłam, żeś pan chory, bo już dawno godzina lekcyi minęła. Czy wolno?

— Proszę, bardzo proszę,—odpowiada pan Adam, z pośpiechem nakładając surdut.

Miss Annie wchodzi i z tajemniczym uśmiéchem wręcza mu eleganckie pudełeczko.

— Co to pani? —pyta zdziwiony.

— A, zobacz pan sam — odpowiada, siadając. — To tylko mały *Christmas present* (Gwiazdka).

Pan Adam zakłopotany, nie wié co począć.

— Ależ doprawdy — mówi — to może zbyteczne... Niepotrzebny wydatek...

— Domyślałam się, że jeszcze pan nie znasz naszego zwyczaju. Ale proszę, zatrzymaj tę bagatelę na pamiątkę od przyjaciółki...

— Serdecznie dziękuję... Pozwól pani, że ją téż nawzajem zapoznam z naszym znów zwyczajem.

Tu idąc ku niéj z opłatkiem, teraz dopiéro spostrzega — czego do téj pory nie zauważył — maleńką na nim karteczkę z napisem: „Od Zosi, z życzeniem szczęścia".

Drgnął; ręka mu opadła i stoi zarumieniony, zmieszany, jakby go kto na gorącym uczynku świętokradztwa złapał.

— Jakiż to zwyczaj? — pyta miss Annie, kołysząc się.

Pan Adam opamiętał się i drugi opłatek podając, wyjaśnia o co chodzi.

— A to dziwne — rzekła z uśmiéchem, rozłamując się z panem Adamem. — I na jakąż to pamiątkę?

— Tego ja sam nie umiem pani wytłómaczyć — odpowiada trochę dotknięty jéj śmiechem. Tyle wiem tylko, że piękny ten zwyczaj w każdéj rodzinie od wieków u nas święcie przestrzegany. W każdym choćby najuboższym domu, zastawiają w tym dniu sutą postną wieczerzę, a gdy pierwsza na niebie ukaże się gwiazdka, zanim do stołu zasiądą, łamią się wszyscy opłatkiem, życząc sobie wzajemnie, aby w szczęściu i zdrowiu doczekać następnego roku. Synowie, bracia, krewni, słowem, kto może, o setki mil spieszy, aby tylko w tym dniu uroczystym zasiąść w gronie swoich najdroższych i rozłamać się z nimi. Jest to chwila tak wzniosła, tak rzewna, iż nieraz we wzajemnych uściskach stare urazy idą w zapomnienie, a wróg przebacza wrogowi i dłoń mu zgody podaje. Jest to polska komunia powszechnéj harmonii, do któréj przystępuje każdy, bo nawet pan łamie się ze sługą, najbogatszy z najuboższym... A, nie uwierzy pani, jak mi przykro, że dziś po raz pierwszy w mém życiu nie mogę być wśród swoich. Matka mi wprawdzie przysłała w liście...

Nie mógł dokończyć. Odwrócił się do okna, aby ukryć wzruszenie.

Miss Annie nie śmieje się wprawdzie, ale milczy, nie pojmując zapewne, jak można do takiéj drobnostki tak wielką przywiązywać wagę. Indyk amerykański wydaje się o wiele praktyczniejszym.

— Daruje mi pani — odzywa się nakoniec pan Adam — chyba damy dziś pokój lekcyi. Nie jestem jakoś usposobiony. A zresztą

muszę wyjść jeszcze na miasto. Innego dnia powetujemy sobie tę stratę.

— A więc dobrze — odpowiada miss Annie — ale tylko na dziś pana zwalniam pod warunkiem, że stawisz się pan jutro do nas na indyka. Czy możemy liczyć? A przy téj sposobności poznasz pan nareszcie i mego ojca. Jakoś wypada.

. . . .

Pan Adam, nie chcąc pozostać dłużnym ani chwili, zaraz po odejściu miss Annie, pobiegł, aby téż i dla niéj coś na prezent kupić, bo zapewne i ona się spodziéwa, a może nawet z umysłu ofiarowała tak wcześnie, aby jeszcze i obdarowanemu zostawić czas do wywzajemnienia się. Zanim jednak odpowiedni przedmiot zdołał wyszukać, zanim do domu wrócił i wręczył — co także chwilę czasu zabrało,—trzeba już spieszyć do Zielińskich, aby jeszcze za dnia łatwiéj było numer domu wyszukać.

I tak mu zeszło, że w drodze dopiéro, jadąc, mógł się zabrać do odczytania listu. Naturalnie, gdyby się koniecznie uparł, byłby zapewne i na to znalazł sobie wcześniéj chwilę czasu; ale jakoś nie spieszył się, jakby już z góry przeczuwając, co tam znajdzie. Łatwo się tego mógł domyśléć, znalazłszy opłatek Zosi. Z niepokojem więc, a nawet pewną bojaźnią rozpoczynał czytanie. I w saméj rzeczy, matka nie szczędziła mu uwag, a nawet były tam i gorzkie wyrzuty.

„Serce me odgaduje — pisała w dalszym ciągu — co się tam w twéj rozmarzonéj głowie teraz roi. Jedna myszka zjadła ci Wagnera, a druga psotnica zakradła się aż pod twoją własną czaszkę. Boleję nad tém niewymownie. Żal mi ciebie, ale żal mi przedewszystkiem poczciwéj Zosi, któréj przywiązanie wysoko cenię, a pragnęłabym, abyś i ty nauczył się je cenić, nie depcąc szczęścia swego tak lekkomyślnie. Nie mam odwagi listu jéj twego pokazać, bo by go chyba życiem przypłaciła. Nie obwijaj w bawełnę, serca matki nie omylisz: Wiem ja, co ci zaświtało i truchleję z obawy o twą przyszłość. Nie łudź się, mój kochany szaleńcze, abyś mógł znaleźć szczęście w związku z cudzoziemką. Może wśród arystokracyi, gdzie różnice narodowe bardziéj zatarte, łatwiéj przypuszczę, iż się czasem zdarzy wypadek, że się dobiorą, ale wśród ludzi naszego stanu nader on chyba rzadki. Pomyśl, jak trudno dobrać zgodną parę nawet z równych wiekiem i stanowiskiem, a cóż dopiéro złączyć dwoje ludzi z dwóch całkiem różnych światów, pod inném słońcem wyrosłych, innemi ideałami wykarmionych. Pamiętaj, że nawet dęby i sosny nasze różne są od dębów i sosen zamorskich. Tak samo i charaktery ludz-

kie zależne od klimatu, a w dodatku od pojęć, obyczajów, nawyknień, religii a nawet języka. Jak wiész przecie, nie należę do bigotek, nie waham się jednak powiedzieć, że i tożsamość wyznania także niemałéj wagi, jest nawet jednym z warunków, jeżeli nie wprost szczęścia, to często przynajmniéj spokoju domowego. A wierz mi, synu, żaden majątek ani piękność, a nawet powiedziałabym, żadne cnoty, nie mogą usunąć tych różnic"...

Pan Adam nie mógł dokończyć. Rękę z listem na kolana opuściwszy, tak się głęboko zadumał, że ani spotrzegł, iż kawał zadaleko przejechał. Przyszło mu tedy wracać, więc kiedy się u Zielińskich zjawił, już tam wszyscy tylko na niego czekali.

— No przecie! — woła gospodarz do wchodzącego. — A już myłałem, że całkiem wystrychnie nas na dudków. Możesz dawać, Zuziu, już jest! — dodał, wychylając głowę do przyległéj izby, a potém wita gościa.

Nastąpiły wyjaśnienia i przeprosiny a wreszcie zapoznanie z gospodynią i obecnym już aptekarzem „królem", któremu warszawiak od razu jakoś do serca przypadł.

— Mój królu — mówi — nacieszyć się nie mogę, gdy świéżo przybyłego z kraju zobaczę. Zdaje mi się, że przywiózł z sobą trochę ojczystego powietrza, trochę słońca z nad Wisły. A żal mi serdecznie téj młodzieży, co tu przyjeżdża na poniewierkę i zmarnowanie. Chłopu nie biéda, bo jak znajdzie kawał mięsa to i szczęśliwy, a znaléźć go może kto ma silne ramiona; ale ta biédna inteligencya, co ona tu bez języka takiemi rękoma zrobi... O, patrz, jak u panienki... A masz już, królu, jakie zajęcie? Pewno jeszcze nie?

— Daję lekcye muzyki.

— Jakto? bez języka?

— Mogę się rozmówić. Zresztą znam niemiecki.

— E, nie biéda mu — wtrąca Zieliński. — Miał ciepłego dziadusia.

— Co to znaczy, mój królu, tu i milioner pracuje. Ruble prędko wyfruną, jak się z założonemi rękoma siedzi. Ale, skoro już zarabia, to dobrze.

— Trzeba panu wiedzieć — odzywa się gospodarz — że „król" to prawdziwy król naszéj młodzieży. Lata, stara się za każdym. Gdzie może, to do pracy wkręci...

— Co ja mogę, mój królu...

— Ba, żeby tylko tak robili ci co mogą, byłoby inaczéj. Ale też co prawda, nie jeden się zawiódł i zraził, a na tém inni cierpią. Najczęściéj jednak obojętność, nic więcéj.

Pojawienie się na stole wazki z barszczem przerwało dalsze utyskiwania na obecne stosunki. Wstał gospodarz, a za nim inni. Nastąpiło łamanie i wzajemna wymiana życzeń dosiego roku, szczęścia, pomyślności, ażebyśmy w zdrowiu i t. d.

— A czegóż tobie życzyć, mój panie Materski? — pyta gospodarz.

— Żeby nam, jak Paderewski, tyle sławy przyniósł — wtrąca „król".

— I żony, żony — dorzuca pani Zuzia.

— Oj, to to — potwierdza Zieliński — młodym najbardziéj żona w głowie.

— A z dolarami.

— Z rublami chyba, z rublami, królu — poprawia aptekarz. Niechże cię Bóg broni brać nawet choćby i z dolarami.

— To prawda — dodaje gospodyni. — Zarazby schudł nieboraczek, jakby go zaczęła paść selerami, kukurydzą, surowymi pomidora mi, i t. d...

— O to już mniejsza — przerywa Zieliński.

— E, tak bajesz, boś nie próbował. A niechnobym mu dawała te przysmaki, to by się jeszcze gotów do rozwodu podać. A może nie? co, stary? Nie słuchaj go pan, bierz Polkę, kochającą, porządną, dobrą gosposię, a prędzéj ze swoją do końca trafisz, będziesz jak w raju. My tu przecie znamy takich, co wzięli obcą i całe życie płaczą.

— Nie wytykając palcem — wtrącił aptekarz. — Możesz istotnie, królu, ze mnie brać przestrogę. Dziś mnie tu widzisz, jakbym sierotą był, a przecie mam niby rodzinę, mam niby własny dach, królu, mam i chleba kawałek, a jednak śmiało o sobie mogę powiedziéć, że chłodno i głodno i do domu daleko... bo nie tu mój dom, a chcąc duszę posilić i ogrzać, trzeba się z nią tulić do serca przyjaciół, niby obcych, a przecie bardziéj swoich, niż swoi. A kiedy ci czasem podadzą łyżkę barszczu albo flaków czy zrazów z kaszą — to wielkie święto, człowiek dopiéro wtedy naprawdę czuje, że żyje, bo wśród swoich, bo ma to, z czém wyrósł, a czego mu w domu brak. I nieraz jak żebrak na koniec miasta pędzę dla tych przysmaków... O tak, mój królu, obca, choćby najlepsza, zawsze tylko obca, zawsze ona czuje i myśli inaczéj niż my, zawsze jesteś cudzy, choć na własnych śmieciach. Chyba, że ktoś dzieckiem albo młodzieńcem tu przyjedzie, a, taki może się zżyć z innym światem i dobrze mu nawet; ale kto w starszym już wieku, jak my, ten zawsze wzdychać będzie do tego czém za młodu jak skorupa nasiąknął. Chyba, że... Ale co tam mówić — dodał, machnąwszy ręką — Człowiek to tak, jak stara suknia: żebyś nie wiem jak prasował,

nigdy już fałdów rozprasować nie zdołasz, zawsze je choć trochę znać będzie.

— Jak to łatwo palnąć głupstwo —wtrąciła gospodyni.

— Ba, moja królowo, żebym to miał wówczas ten co dziś rozum... Chociaż trudno ręczyć, kto wie, możebym się tak samo ożenił... Są pociągi silniejsze nad rozum, moja królowo. Ja wtedy byłem właśnie w wieku, kiedy to człowiek jak perliczka gotów wciąż wołać: kochać, ko-chać, ko-chać... A do tego tęskno było samemu w pośród obcych, bez przyjaciół, bez własnego gniazda... O, z pewnością, gdyby mi się Polka nawinęła, brałbym choć garbatą, ale wtedy jeszcze i takiéj nie było tu ani na lekarstwo.

Pan Adam dość już struty listem, znów musi słuchać kazania. Gdyby nie był przekonany, że nikt jego zamiarów nie zna, mógłby przypuszczać, że się dziś wszyscy na niego zmówili, aby tylko dręczyć. Już i tak nauki matczyne humor mu popsuły, a teraz jeszcze znów słuchać tego musi. Do reszty więc posmutniał i siedząc jak na szpilkach, nie odzywa się. Że mu to jednak niemiłe, więc, aby rozmowę na inny tor wprowadzić, dobywa swego opłatka i mówi:

— Choć już po zupie, jeszcze się raz podzielmy. Życzę sobie i wam wszystkim, abyśmy się za rok łamali już tam, skąd ten opłatek pochodzi.

Zerwano się z miejsc.

— Z Warszawy!—wołają chórem, jakby się zmówili.

— Tak jest, z domu. Matka mi przysłała. Właśnie dziś odebrałem.

W milczeniu łamali, ściskając się wzajemnie. A w każdém oku łza zabłysła. Nikt ani słowa nie wyrzekł, a jednak rozumieją się, czują, bo choć to język bez słów tylko, a przecie tak wymowny, tak prosto do serca mówiący...

— A toś nam ucztę zgotował, mój królu — rzecze aptekarz po chwili. — Prawdziwa niespodzianka.

— I o mnie kiedyś siostra pamiętała — rzecze gospodyni — ale może już w grobie, bo ani słychać o niéj.

— Pewno z 15 lat będzie, jak nie mieliśmy listu — dorzucił Zieliński.

— Moi téż pewno powymierali — mówi aptekarz — albo zapomnieli... bo co z oczu, to z myśli. Ale zobacz-no dobrze, mój królu, może tam jeszcze znajdziesz w owym liście choć buteleczkę żytniówki i choć małą faseczkę bigosu. Już o zrazy z kaszą mniejsza, bo nam to czasem królowa taki bal robi, ale hultaja już 30 lat ani powąchałem,

a jeszcze mnie zapach zalatuje... E, naprawdę coś czuć... Pewno go tam królowa w szafie trzyma na jutro...

— Chybiłeś, królu, ale niewiele — odpowiada pani Zielińska. — Omal że nie odgadł.

— Już wiem! wiem! Pewno flaki garnuszkowe, co?

— Jakby wiedział.

— Zapraszam się. O, zapraszam na jutro. Ale, żeby to nam kiedy królowa bigosiku zrobiła... Chciałbym jeszcze choć raz przed śmiercią pokosztować... Zrób królowo...

— Ta, ta ta! — mówi królowa — pewno żebyście po moim bigosie paluszki oblizywali, ale to nie na naszą kieszeń takie przysmaczki. Naucz król swoją żonę, córki...

Aptekarz ręką machnął.

— Potrułyby się. To nie polskie podniebienia, moja królowo, nie, nie.

— Czekaj, czekaj, królu — pociesza gospodarz — jeszcze sobie kiedyś w kraju użyjemy.

Król ręką machnął.

— Dla mnie już tam droga na zawsze zamknięta—mówi. — Oj pewno, mój królu, że gdybym był sam...

— Tobyś jeszcze prędzéj królu z niego uciekał — kończy pani Zuzia.

— Dlaczego?—przerywa zgorszony Zieliński.

— Hm, dlaczego, dlaczego?—powtarza połowica. — A dlaczego kochankowie czasem przez 30 lat do siebie wzdychają, dopóki się nie widzą, a gdy się zobaczą, to jedno od drugiego ucieka.

— To prawda — potwierdza król — kumoszka bodaj ma racyę. Tuśmy się jeszcze nie przyzwyczaili, a tam już odzwyczaili. Zresztą człowiek wyjeżdżał wtedy, kiedy to jeszcze wszystko w oczach młodzieniaszka wydaje się różowém, a gdyby teraz innem okiem spojrzał, może niejednoby mu się nie podobało i zawiedziony, kto wié, czyby nie uciekł. Ale co tam — dodał — daj-no tu jeszcze czém zakropić tego szczupaka, bo czuję, że mu tam jakoś trochę zasucho.

Król nietylko szczupaka, ale każdą potrawę często zakrapia, a stąd się robi coraz rozmowniejszym, bardziéj wylanym, a przedewszystkiém rad utyskiwać na swą dolę i żali się i rozpowiada o stosunkach rodzinnych, bo mu widać najbardziéj na sercu leży.

— A, wyobraźcie sobie, — mówi — jakie to na starość wesołe moje życie. Pracuj jak wół, byleś na utrzymanie domu dał, ale w tym domu nie masz głosu żadnego; za nic cię nie mają, robią same

co chcą. Ot, teraz np. przybłąkał się jakiś laufer i koniecznie się żenić z młodszą.

— A to niech ją sobie zabiéra—odzywa się pani Zielińska.—Będzie mniéj kłopotu na głowie.

— A, moja królowo, przecie to zawsze moje dziecko, jakże nie ma serce boléć. Toć to urwis, gracz, pijak, oszust, już kilka razy w więzieniu siedział. Prawda, że się to niby nawrócił, a nawet i książkę o szulerkach i różnych łotrach napisał, chcąc innych téż nawrócić — bo i kazania w tym celu po ulicach wygłasza; — ale niechże mu za to przestaną płacić, to znów gotów sam się nawrócić na złe, do dawnego rzemiosła. Nie można ręczyć. A przytém metodysta.

— Jabym tam nie wzbraniała — znów swoje mówi królowa. — A gdzież się poznali?

— Bo ja tam wiem, moja królowo. Wynajął pokój. A druga téż już sobie podobno jakiegoś fircyka złapała.

— Niech idą, niech idą — wtrąca swoje Zieliński, popiérając w tém zdanie żony. — Będzie na sercu lżéj, choć i w kieszeni téż się trochę lżéj zrobi, ale mniejsza o to, byle życie na starość było spokojniejsze.

— A, nie mogę, nie mogę, sumienie mi nie pozwala...

I tak na miłéj gawędce, jeszcze po wieczerzy dość upłynęło czasu, zanim wreszcie król, nieźle zakropiony, ruszył ku domowi, razem z panem Adamem, którego jeszcze po drodze na poprawiny do „salonu" zaciągnął. Ale król ma głowę mocną, więc chociaż jeszcze parę kieliszków dolał, nie bardzo na nim znać, trzyma się prosto, tylko mu się serce coraz bardziéj dla warszawiaka otwiéra i troski swe przed nim wypowiada.

Pan Adam salonów nie lubi; duszno mu tam jakoś, bo nigdy w życiu w szynku nie był. Już się więc trochę zaczyna niecierpliwić i co chwila przypomina, że czas do domu, ale króla wyciągnąć trudno. Nakoniec wyszli.

— A gdzie mieszkasz, królu.

— W górze miasta.

— To dobrze, pojedziemy w jedną stronę.

Przy 35-éj król się żegna, ale i pan Adam wysiada także. Jeszcze idą razem. Król się wreszcie zatrzymuje i znów żegna, ale pan Adam zadziwiony mówi:

— Jakto? A więc pan tu? I ja tu mieszkam.

— Niepodobna? To znaczy, u mnie... A cóż to za dziwny traf. A na miłość boską, nic królu nie wspominaj o naszéj rozmowie, bo-

bym dopiéro miał piekło w domu... Najlepiéj jakbyśmy się nie znali jeszcze. A więc to ty może dajesz lekcye Annie.

— Tak, panie, ja—odparł zmieszany pan Adam.

— Jakiż traf dziwny, dziwny, doprawdy... Ha, stało się, postąp sobie teraz, mój królu, jak uważasz... Ja... ojciec... Dobranoc...

. . . .

W kilka dni późniéj pan Adam spotyka się z Zielińskim na ulicy.

— A ja właśnie do pana—rzecze—z wielką prośbą.

— Cóż takiego? Mów, jeśli będę w stanie... Byle nie zaraz, bo w téj chwili pilno mi. Wyobraź sobie, dostałem list od króla — z kozy.

— A to co się stało? Nic o tém nie wiem.

— A, uparty, sprzeciwiał się małżeństwu córki, żona więc z namowy przyszłego zięciaszka kazała go aresztować, a tymczasem pewno ożenią się. Żeby tylko potém córunia nie wywdzięczyła się tém samém takiemu mężulkowi. Ale śpieszę. Do widzenia. Muszę za króla dać „*bel*” (poręczenie). Oj, nie żeń się z obcą, pamiętaj.

— Ja też ani myślę. Niech każdy bierze swoją. Mam i ja narzeczoną w kraju; i właśnie chciałbym prosić o łaskę, abyście państwo do czasu ślubu zastąpili jéj rodziców, gdy przyjedzie.

— Zgoda, zgoda, całém sercem, mój drogi. A to mądrze! Niech każdy szuka swego.



ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

J. Kirszrot-Prawnicki. „O oszczędności, kasach i stowarzyszeniach oszczędnościowych i pożyczkowo-oszczędnościowych“ (Wydanie z zapomogi Kasy pomocy, dla osób pracujących na polu naukowém imienia d-ra Józefa Mianowskiego, 1898 r. str. II, 307, cena rs. 1).

W ubogiéj naszéj literaturze ekonomicznéj dzieła popularne są rzadkością, opracowanie ich jest zawsze zasługą, a w obecnym wypadku zasługa autora jest tém większa, że temat przez niego obrany „oszczędność“ chyba nigdy za często naszemu społeczeństwu nie może być zalecany. W pierwszéj części książki autor, wyłożywszy czém jest oszczędność i kapitał, marnotrawstwo, skąpstwo i zbytek i poświęciwszy parę rozdziałów budżetowi domowemu, długom i wpływowi kobiét na finanse rodzinne, rozbiéra najprzód najzwyklejszy i najnieracyonalniejszy sposób spożytkowania oszczędności, jakim jest loterya i gra na giełdzie, a następnie stara się wskazać, jakie są racyonalne sposoby korzystnego pomieszczenia drobnych oszczędności. Zdaniem autora, są to: ubezpieczenia życiowe, papiéry państwowe, listy zastawne i t. p., głównie zaś kasy oszczędności i stowarzyszenia kredytu ludowego. Część II-ga poświęcona jest kasom oszczędności, ich historyi, organizacyi w kraju i zagranicą. Na uwagę zasługuje rozdział o kasach oszczędności szkolnych. W części III-éj autor zaznajamia czytelnika ze stowarzyszeniami kredytu ludowego, kasami pożyczkowo-oszczędnościowemi — według obu najbardziéj rozpowszechnionych zagranicą dwóch typów Schultze'go z Delitsch (miejskie) i Raiffejsen'a

wiejskie), przyczém ani na chwilę nie spuszcza z uwagi obowiązującego u nas prawodawstwa. W obu częściach podał autor wiele najnowszych cyfr statystycznych, starannie ugrupowanych. W końcu podana jest ustawa normalna towarzystw pożyczkowo oszczędnościowych, zatwierdzona w roku 1896-ym. Największą wadą książki jest jéj cena zupełnie dla książki popularnéj nieodpowiednia, za co jednak nie tyle autora, co wydawcę winić-by należało. Sądziłbym, że mniéj kosztowny, a znacznie tańszy sposób wydania (druk i papiér) byłby o wiele odpowiedniejszy. Co do treści, brak nam w téj książce stwierdzenia, że kapitał tylko drogą oszczędności powstaje — stwierdzenie takie uważamy za bardzo potrzebne wobec coraz częściéj zdarzającego się przeciwnego twierdzenia, które już dziś może się przedostawać do sfer, dla których dziełko jest przeznaczone. W każdym razie, książka p. Kirszrota-Prawnickiego jest cennym nabytkiem dla naszéj literatury tém więcéj, że poprzednie w tymże duchu dziełko autora, napisane w r. 1870, już wyczerpaném zostało. *Pst.*

Władysław St. Reymont. „Fermenty“ (powieść w dwóch tomach, str. 345, 329. Warszawa, 1897. Nakładem Gebethnera i Wolffa).

Nazwisko młodego autora znane szerszemu gronu czytelników, którzy z zainteresowaniem śledzą jego talent i — postępy. W ostatnim utworze p. t. „Fermenty” spotykamy się z zaletami pióra p. Reymonta, któremi są plastyczne kréślenie figur i krajobrazu. W wyż wzmiankowanéj powieści na pierwszéj zaraz stronie — dzień jesienny, w którym dészcz „jakby związywał niebo i ziemię miliardami szarych, skośnych włókien...” Z tła tego wyłania się grupa ludzi, o których możnaby powiedzieć, że umyślnie przez autora zostali zgromadzeni na małéj przestrzeni Bukowca... Widzieliśmy niejednokrotnie w powieściach i nowelach takie stacyjki, jak Bukowiec, z czystym ogródkiem, pnącém się winem na ścianach domku, z „wygnańcem”-zawiadowcą, lecz szczęśliwym w cichém życiu wiejskiém.

W Bukowcu inaczéj. Ciszy i spokoju tu wiele, ale mieszkańcy albo chorzy, albo wyrodniali. Orłowski straszny z początkami obłędu, jego córka, Janka, — cień i stargane nerwy pomimo lat wiośnianych, Świerkowski—oszust i wstrętny przez swą chciwość, Staś Babiński — komiczny mężczyzna-dziecko. A wszyscy zatruwający sobie wzajem tęskne dni życia, jak gdyby dla nich ani jeden promień słońca nigdy nie padł, czynią wrażenie przygnębiające. Fabuła biédna, akcya mało ożywiona. Bo i treść utworu niewielka.

Janina, jedyna córka zawiadowcy, po przebyciu ciężkich i upokarzających dni nędzy i moralnéj i materyalnéj, jako aktorka trupy nieświetnéj, po nieudaném samobójstwie przywieziona przez ojca do domu, rozpoczyna życie czcze, bez planu, bez rozrywek, bez uroku, słowem — wegetuje, gnębiona czarnemi wspomnieniami przeszłości, a patrząca smutnie na tę szarzyznę dni mijających. Przy boku ojca, okazującego początki choroby umysłowéj, kochającego ją, a nienawidzącego zarazem za jéj czyny, ma Janka w sąsiedztwie Andrzeja Grzesikiewicza, syna zbogaconego karczmarza. Andrzéj pokochał ją, oświadczył się, lecz go nie przyjęła... Potém poszła w świat... Z jéj powrotem Grzesikiewicz ponawia wyznanie, tym razem pomyślnie. Zdaje się — nic już nie może przeszkodzić ich małżeństwu. Los chce inaczéj: zła siostra Andrzeja przysyła bratu anonimy, opisujące życie Janki w czasie pobytu jéj w teatrze, życie, co zostawiło plamę na pięknéem czole aktorki. Orłowski, który tak pragnął tego związku, w ataku szału miota przekleństwami na córkę... Janka wyjeżdża ponownie, lecz tym razem nie na scenę. Ojciec jéj wkrótce umiéra. Narzeczony po raz trzeci powraca i śluby łączą tych dwoje nieszczęśliwych na zawsze.

Pominąłem tutaj epizody i figury uboczne.

Jeżeli jest zaletą talentu odtwarzanie postaci o umysłach normalnych, ludzi w szczęściu i niedoli, ich dramaty i uciechy życia, — za większą może zasługę poczytać należy wierne opisy chorych, zwyrodniałych, szaleńców. Tylko że dla czytelnika różnica atmosfery ma doniosłe znaczenie. I niejeden odłożyłby „Fermenty" przed okropnemi scenami szaleństwa Orłowskiego, wyczerpującemi i równie strasznemi rozmyślaniami Janki. Tak na str. 156 tomu pierwszego, na 5, 7, 104, 111 tomu drugiego może „spazm trwogi wprowadzić pierwiastek chaosu i w myśli" czytającego.

I uczyniłbym zarzut, że tam, gdzie należałoby subtelną przeprowadzić analizę psychologiczną, zastępuje ją autor przez opisy denerwujące, pozbawione cieniowania.

I jeszcze raz podnosząc talent pisarski p. Reymonta, powtarzam, że postaci „Fermentów" zdają się być umyślnie zgromadzone przez autora, ażeby mu dać możność popisu w odtwarzaniu grozy, upadku i nędzy moralnéj. Może taki utwór być strawą przystępną dla „wybranych", ale masom potrzeba jaknajwięcéj światła i hartownéj siły ducha.

L. Rutkowski.

NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

= **„Obraz literatury polskiéj w streszczeniach i celniejszych wyjątkach"**. Ułożył *Piotr Chmielowski*. Zeszyt I. Warszawa i Kraków, 1898. — Wyczerpanie „Złotéj przędzy poetów i prozaików polskich" najlepiéj dowiodło potrzeby wydawnictwa, któreby w sumiennném opracowaniu, mając na względzie potrzeby ogółu interesującego się ojczystém piśmiennictwem, mogło mu dać o ile możności jaknajdokładniejsze o jego całokształcie pojęcie. Poznawanie literatury zasadza się u nas zwykle na utwierdzaniu w pamięci dat, nazwisk i tytułów, przyczém nie zwraca się prawie uwagi na samą twórczość autorów, co jest wprost niezbędne do nabrania dokładnego pojęcia o jéj wartości i charakterze. Wszakże dla szczegółowego zapoznania się z dziełami zasługujących na to autorów, mogłoby życie całe nie wystarczyć — należy więc pracę tę uprzystępnić i ułatwić. Zadanie to bierze na siebie „Obraz literatury polskiéj", mający ująć całokształt naszego piśmiennictwa w streszczenia i wyjątki, przedstawiając czytelnikom w chronologicznym szeregu poetów, belletrystów, dramaturgów, historyków, krytyków i t. d. — rozwój i stan twórczości pisarzy polskich, od zamierzchłych czasów przeszłości do dni naszych. Opracowania tego „Obrazu" podjął się najwybitniejszy badacz naszego piśmiennictwa, w którego osobie głębokie znawstwo łączy się z wieloletniém doświadczeniem pedagogiczném. Utwory większe będą podane w wyjątkach i streszczeniach, mniejsze zaś w całości; przytém w odpowiednich przypiskach załączona będzie krótka charakterystyka i niezbędne bibliograficzne wskazówki, ułatwiające czytelnikowi bliższe zapoznanie się z literaturą przedmiotu. Objaśnienia językowe i rzeczowe uprzystępnią ogółowi zrozumienie przestarzałych wyrazów i zwrotów. W zeszycie pierwszym znajdujemy opracowany w podobny sposób okres pierwszy, zawierający literaturę średniowieczną i część drugiego, który obejmuje świt humanizmu. Rozpoczynają więc „Obraz" w przekładzie wyjątki z dzieł łacińskich: kronika Gallusa, kronika Kadłubka, żywot św. Stanisława, kronika Wielkopolska, optyka Witeliona, pieśń o Albercie i kronika Janka z Czarnkowa; z polskich zaś: Bogarodzica, kazania Świętokrzyskie i Gnieźnieńskie, wreście Psałterz Floryański. W drugim okresie znajdujemy przekłady z dzieł łacińskich: Stanisława ze Skarbimierza, Pawła Włodkowica, Długosza, Jana z Głogowy, Adama

Świnki, Grzegorza z Sanoka, Mikołaja Lasockiego, Jana Ostroroga, dyalog o Zbigniewie Oleśnickim, list królowéj Elżbiety o wychowaniu, z rzeczy zaś napisanych po polsku: Biblia królowéj Zofii, Psałterz Puławski, książeczka Nawojki, żywot św. Błażeja i ojca Amandusa, pieśń o Wiklefie, kancyonał Jana Przeworszczyka, pieśni łysogórskie, rozmaite pieśni i hymny nabożne do Najświętszéj Maryi Panny i świętych, pieśń o Męce Pańskiéj, Rozmowa śmierci z Magistrem, Skarga umierającego, Legenda o św. Alexym. Umiejętne dobranie i zestawienie wyjątków sprawia, że składają się one na zaokrągloną całość i doskonale charakteryzują zabytki, z których są wyjęte; wyjątki dzieł łacińskich podane są w tłómaczeniach M. Gliszczyńskiego, Z. Komarnickiego, A. Tyszyńskiego, L. Kondratowicza, Świeżawskiego, M. Wiszniewskiego, K. Mecherzyńskiego, ks. Ludwika Piotrowicza, J. W. Bandtkiego, A. Pawińskiego, wreszcie samego redaktora wydawnictwa, prof. P. Chmielowskiego. „Obraz literatury polskiéj", stanowiący niezbędne dopełnienie wykładów historyi naszego piśmiennictwa, ma objąć trzy duże tomy (około 100 arkuszy druku), z których pierwszy zawrze okresy do początku wieku bieżącego, dwa zaś następne literaturę wieku XIX. Z pierwszego już zeszytu widzimy, że dzieło to niewątpliwie odpowié zakréślonemu celowi.

= **Dzieła Aleksandra hr. Fredry.** Wydał dr. *Henryk Biegeleisen.* Z portretem i podobizną pisma poety. Tomy IV, V, VI. Warszawa. G. Centnerszwer. Księgarnia polska we Lwowie, 1897. In 8-o, str. 211, 343 i 243. — Są to ostatnie tomy najnowszego wydania dzieł ojca komedyi polskiéj, zawierające następujące jego utwory: „Przyjaciele", „Gwałtu co się dzieje", „Nikt mnie nie zna", „Śluby panieńskie", „Pan Jowialski", „Nocleg w Apeninach", „Ciotunia", „Zemsta" i „Dożywocie." Dr. Henryk Biegeleisen, znany już w piśmiennictwie naszém z sumiennego opracowania dzieł Mickiewicza i Słowackiego, dodał scenaryusz i pierwszą redakcyę „Ślubów panieńskich" oraz dwie redakcye „Pana Jowialskiego", dołączył przytém na końcu każdego tomu uwagi, wyjaśniające proces twórczości poetyckiéj Fredry i zawierające mnóstwo waryantów, nadzwyczaj skrzętnie i starannie zebranych. Praca dr. Biegeleisena, niewątpliwie pożyteczna i na uznanie zasługująca, zawiera wszakże, zwłaszcza pomiędzy waryantami, mnóstwo drobiazgowych szczegółów, któreby można było opuścić bez żadnéj szkody dla całości dzieła. Opiérając iście mrówczy trud swój na autografach, wydawca pragnął podzielić się z czytelnikiem wszystkiemi odmiankami, jakie tam znalazł, przypuszczał bowiem zapewne, że będą go one w równym stopniu interesować, — tymczasem jest to tylko

ciekawy materyał do studyów dla specyalisty, nie wiele obchodzący przeciętnego czytelnika. Nie mniéj jednak, szczerze wdzięczni p. Biegeleisenowi powinni być wszyscy ci, których po za fabułą sztuki jeszcze coś więcéj interesuje. Zewnętrzna strona wydawnictwa przedstawia się pod każdym względem zadawalniająco; niska zaś cena książki powinna przyczynić się do rozpowszechnienia dzieł polskiego Moliera, który śmiało stanąć może obok koryfeuszów naszego piśmiennictwa.

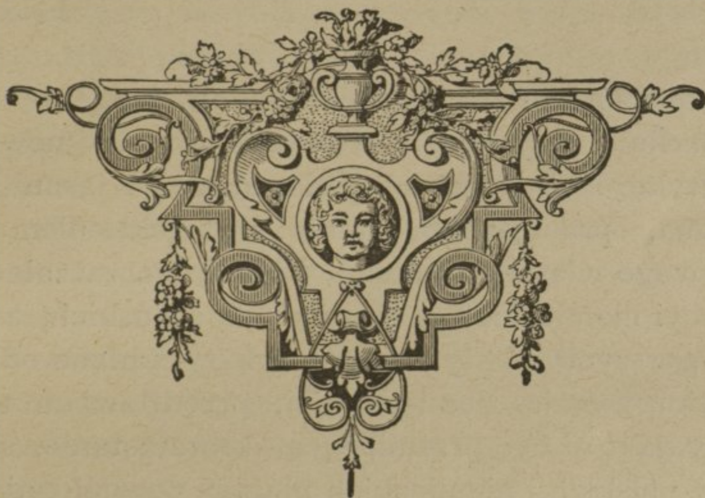
= **Biblioteka dzieł wyborowych.** Warszawa. Druk S. Sikorskiego, in 8-vo, 1897. — N. 1. Powieści poetyckie Juliusza Słowackiego z przedmową P. Chmielowskiego, str. 167. NN. 2, 3, 4. „Tułacze" B. Bolesławity, z przedmową Adama Pługa, str. 152, 158, 184. N. 5. Gustaw Le Bon, „Psychologia narodów", przekład i przedmowa J. Ochorowicza, str. XV i 168. N. 6. Trzy nowele Elizy Orzeszkowéj (1. „A — B — C", 2. „W zimowy wieczór", 3. „Dobra pani"), z przedmową T. Jeske-Choińskiego, str. 160. N. 7. S. Turgeniewa, „Z zapisek myśliwego" (nowele), w przekładzie i z przedmową Klemensa Junoszy, str. VIII, 144 NN. 8, 9, 10. „Dzieje Księstwa Warszawskiego" Fryderyka hr. Skarbka, z przedmową P. Chmielowskiego, str. 158 i II, 173 i II, 148 i II. N. 11. Wiktora Gomulickiego „Cudna mieszczka" (Obrazek warszawski), z przedmową T. Jeske-Choińskiego, str. 152. N. 12. Jana Kochanowskiego „Psałterz Dawidowy", z przedmową Br. Chlebowskiego, str. 160. N. 13. Jana Zacharyasiewicza „Zakopane skarby", z przedmową T. Jeske-Choińskiego, str. 152. — „Biblioteka dzieł wyborowych" liczy podobno, po kwartale zaledwie istnienia, 30,000 prenumeratorów, jest więc najlepszym dowodem, że książka, odznaczająca się przystępną dla ogółu treścią i ceną, zawsze na zbyt liczyć może. W „Bibliotece dzieł wyborowych", jeżeli co dotychczas razi, to tylko nadmierne jéj reklamowanie (patrz prospekt na 1898 rok), mniéj właściwe dla wydawnictw tego rodzaju, których jedyną reklamą powinien być wykaz dotychczas wydanych i zapowiedzianych na przyszłość tomów — tymczasem w prospekcie na rok 1898, nadzwyczaj szumnym i barwnym, znajdujemy wszystko oprócz tego. Z tego, co dotychczas wyszło w „Bibliotece", można już wnosić, w jakim kierunku nadal będzie prowadzona, — widzimy więc, że najobficiéj reprezentowana jest beletrystyka (7 tomów), daléj idzie historya (3 tomy), wreszcie poezya (2 tomy) i socyologia (1 tom). Wobec nawału prac przygotowawczych, trudno może było wytknąć sobie na początku drogę i iść nią w jednym kierunku, zresztą akceptujemy najzupełniéj dotychczasowy wybór dzieł, z tém tylko zatrzeżeniem, że beletrystyka zbyt może obficie ze

szkodą innych działów jest w „Bibliotece" reprezentowana. Prospekt zapowiada, że wydawnictwo pomieści z czasem wszystkie arcydzieła literatury, dużo jednak chyba wody upłynie zanim to nastąpi, jeżeli powieść tak nadal faworyzowana będzie. Powiedzą nam może, że wydawnictwo opiéra się na masach, najbardziéj żądnych łatwéj lektury, lecz ten argument nie bardzo przekonywa, właśnie bowiem dlatego należy odpowiednim dzieł doborem kształcić ich smak, a nie zniżać się do ich gustu. *Ar. Les.*

= *Stanisław Bełza.* **W stolicy padyszacha** (Wrażenia z podróży do Konstantynopola). Warszawa, Gebethner i Wolff, 1898, str. 328. — Dar spostrzegawczy porównywania i wydawania sądu o rzeczach i ludziach i umiejętne władanie piórem — to główne warunki opisów podróży. P. Stanisław Bełza przy wymienionych zaletach ma i tę jeszcze, że trafnie wybiéra strony dla swych wycieczek. Korsyka, Finlandya, Szkocya z ich ciekawemi obrazami, teraz—Wschód. Konstantynopol i jego pamiątki, wspomnienia chwil świetności i upadku, ten „zmurszały, ale stojący mocno przy swéj wierze i pogardzający śmiercią świat" — tematy niepowszednie. Ostatni wyzyskał podróżnik dobrze, a wrażenia swe skréślił z talentem. Zebrał i liczne ryciny zdobiące książkę, wydaną starannie. Rysunek okładki jest jaskrawy.

= **Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych** w Królestwie Polskiém ogłasza dla pp. artystów malarzy i rzeźbiarzy polskich **konkurs** imienia Józefa **Kuryerowa**, niegdyś obywatela miasta Warszawy, z nagrodą piénieżną w kwocie rs. 360. Nagroda powyższa, stosownie do woli zapisodawcy, przyznana będzie przez Komitet Towarzystwa autorowi obrazu olejnego lub rzeźby, oryginalnych, osnutych głównie na temacie polskim i wybitnie odznaczających się pod względem artystycznym. W braku takiego dzieła, Komitetowi przysługuje prawo rozdzielenia powyższéj kwoty na dwie nagrody, I-szą i II-gą dla najlepszych z dzieł przedstawionych oryginalnych i tematu polskiego. Dzieło nagrodzone pozostaje własnością autora. Pragnący ubiegać się o nagrodę imienia Józefa Kuryerowa, winni nadesłać po jednym obrazie olejnym w ramach lub po jednéj rzeźbie, które nie były umieszczone na wystawie Towarzystwa lub innéj w Warszawie, do lokalu Towarzystwa, w czasie pomiędzy 1-ym a najdaléj 15-ym marca 1898 roku, przy załączeniu własnoręcznie napisanéj i podpisanéj deklaracyi, w formie zwyczajnego podania na imię Komitetu Towarzystwa, w któréj mają być wymienione: tytuł dzieła, data i miejsce urodzenia autora, miejsce obecnego jego pobytu i krótka wiadomość, gdzie i w jakiéj

szkole kształcił się na artystę. Rozstrzygnięcie konkursu przez Komitet, zgodnie z wolą zapisodawcy, nastąpi w dniu 19 marca 1898 r. Dzieło przyjęte do konkursu przez Komitet i Cenzurę rządową i umieszczone na wystawie Towarzystwa, nie może być z téjże wycofane przez właściciela przed upływem miesiąca po wystawieniu. Koszt transportu, *par petite vitesse* i cła od obrazów z zagranicy nadesłanych i na konkurs przyjętych, ponosi Towarzystwo. Co do rzeźb, Towarzystwo ponosi koszt transportu, *par petite vitesse*, tylko do wysokości 10 pudów wagi przesyłki *brutto*, oraz cła, za wyłączeniem cła od rzeźb w bronzie.



KRONIKA MIESIĘCZNA.

Wśród ponurych wieści ze stron dalekich zaczął się rok nowy. W Berlinie wzywają prawodawców, by nowym aktem uświęcili politykę, któréj cel określiła niegdyś jasno i wyraźnie wola olbrzyma, pracującego usilnie nad budzeniem nienawiści ludzkiéj do swego własnego dzieła. Niebawem zacznie się dalszy ciąg kolonizacyi niemieckiéj na ziemiach słowiańskich, a zacznie się wśród oznak gorszych. Gdy po raz pierwszy żądano od sejmu pieniędzy na wykupywanie ziemi polskiéj, przedstawiano to jako środek chwilowy, jako akcyę przemijającą, która ustanie, skoro stosunek obszarów polskich i niemieckich ulegnie pewnéj zmianie. Brutalność zamierzonego kroku osłaniano rąbkiem sofizmatu; wysilano się na pogodzenie tego, co było pogwałceniem praw, z teoryą równouprawnienia. Demoralizujący wpływ kilkunastoletniéj praktyki nie pozostał bez skutku. To, czego wczoraj nie chciano wypowiedziéć głośno, nie razi już dziś i nie wywołuje rumieńca. Kto tylko chce, może dziś usłyszéć w Berlinie, że nie idzie tu o stworzenie jakichś placówek niemczyzny, mających w razie niebezpieczeństwa czuwać nad całością kresów. Cel właściwy uwydatnia się teraz o wiele plastyczniéj. To już nie troska o zabezpieczenie państwu jakiegoś urojonego przedmurza, to niepohamowana chęć wyparcia i zgniecenia kilku milionów ludności, to utopia germanizacyi nieubłaganéj i nieprzerwanéj. Pozory równego prawa dla wszystkich

odrzucono, jako niepotrzebną zawadę. Minister pruski oznajmia izbie z zimną krwią, iż nawet nowy kodeks cesarstwa niemieckiego, usuwający na całéj powierzchni Niemiec wszelkie ograniczenia praw cywilnych, nie stworzy w Poznańskiém naturalnego stanu rzeczy i nie przywróci włościanom polskim prawa nabywania ziemi, która się raz już dostała w szpony komisyi kolonizacyjnéj. Jest to proste i szczere.

Łatwiéj plan polityczny nakréślić, niż śmiałe marzenia zamienić w czyn. Komisya kolonizacyjna, która sprowadzenie każdéj jednostki z głębi Niemiec opłaciła wydatkiem 60 tysięcy marek, musiałaby pracować wieki, zanimby zdołała zmienić na prawdę mapę etnograficzną prowincyi pogranicznych. Przyrodzone, od woli ludzkiéj niezależne trudności, z jakiemi walczyć musi, rzucają się w oczy jeszcze wyraźniéj, jeżeli zważymy, że jéj działalność jest albo zupełnie niemożebna, lub téż przynajmniéj rozmija się znacznie z właściwym celem w prowincyach, w których większa własność oddawna jest już niemiecka. Niejedna rodzina chłopska, która powinnaby osiedlić się na rozparcelowanéj ziemi dworskiéj, pójdzie wskutek nieludzkiéj polityki rządu na wędrówkę w strony dalekie, niejedna kropla goryczy wsiąknie w duszę ciemiężonéj ludności, ale cudów, upragnionych przez twórcę kolonizacyi, nie dokażą nawet setki milionów, wyrzucane ze skarbca pruskiego na pogranicze wschodnie. Wszechpotężne złoto nie łamie zapór, które w ciągu stuleci wyrastały dzięki stałemu rozwojowi; machina rządowa zdziałać może wiele, ale nie wszystko.

Naród niemiecki patrzy z podziwem i lękiem na olbrzymi rozrost téj machiny. Cieszy go dokładność i szybkość, z jaką koła jéj miażdżą opornych, dumę jego łechce nadzieja przyszłych jéj prac na świéżych obszarach, ale zarazem trwoga przejmuje go na myśl, że wszelkie względy, wszystkie uczucia i interesa jednostek i grup pomniejszych nie mają racyi bytu wobec niezwalczonéj fatalności, która wszystko zamienia na paliwo, mające podsycać motor owéj machiny. Fanatyzm narodowy sprawił, że pochód jéj ku wschodowi przyśpiesza jeszcze bicie serc niemieckich, atoli już i dziś w chwilach takich, jak obecna, w przeddzień wyborów do parlamentu, budzi się na krótko opamiętanie, a naród zapytuje w duchu, czy nie pora pomyśléć o własném bezpieczeństwie, czy nie pora osłonić puklerzem prawa jednostek, krajów i szczepów.

Nim to nastąpi, tłum nie przestanie korzyć się przed ołtarzem nienawiści plemiennéj. W Niemczech zdołało ją państwo wprządz w swój rydwan tryumfalny; w Austryi przygłusza ona inne popędy,

wyzwala się z pęt, któremi ją państwo chciało poskromić i zagraża jego istnieniu.

Patrząc na to, co się dzieje w Czechach, a nie oceniając wypadków wyłącznie ze stanowiska polityki bieżącéj, ze smutkiem widzimy, że dwa narody zamieszkujące ten kraj od wieków, splecione ze sobą tak, iż nic ich rozłączyć nie zdoła, stojące na bardzo wysokim szczeblu cywilizacyi, przejęte są nienawiścią piekielną, która je trapi nieustannie i każe im żyć w wiekuistéj wojnie domowéj. Nie podzielamy zdania tych, których ta walka bawi i którzy w burdach i rozruchach praskich widzą pożądany objaw partyzantki przeciw Niemcom. Żadna nieprzewidziana zmiana nie uwolni Czechów i Niemców od konieczności orania tego samego łanu. W zgodzie, czy niezgodzie, muszą przez setki lat sąsiadować ze sobą, tak jak już od wielu wieków sąsiadują. Stosunek ten, niezależny od dobréj woli stron, nie da się rozerwać. Mają one tylko dwie drogi do wyboru: albo porozumiéć się za pomocą wzajemnych ustępstw, albo wyczerpywać siły w wiekuistém szamotaniu, zamiast użyć ich do zaspokojenia tylu potrzeb, które dziś głośniéj, niż dawniéj, kołacą do drzwi sali sejmowéj i do skarbca publicznego.

Obudzeniu się ducha narodowego zawdzięcza kraina czeska niebywały rozwój oświaty, moralne podźwignięcie się mas, bezprzykładną ofiarność na cele publiczne. Ta siła może się jednak stać groźną i niebezpieczną, jeżeli zdrowy rozsądek społeczeństwa nie będzie jéj sternikiem. Spory wewnętrzne nie wzmacniają państwa austryackiego. Jakże czarna otworzyłaby się przed narodem czeskim przyszłość, gdyby budowa, popękana i chwiejąca się, miała się pochylić ku upadkowi. Kraj wsunięty klinem między Szląsk pruski, Saksonię, Bawaryę, byłby wówczas zbyt ponętnym łupem dla zjednoczonych Niemiec. Gdyby nawet cała ziemia czeska nie stała się pastwą żarłocznego potwora, to jednak niezawodnie utoną w jego paszczy pograniczne powiaty niemieckie. Całe to pasmo ziemi, otaczające półkolem siedliska plemienia czeskiego, a będące właściwym przedmiotem zatargów, przepadłoby w razie takiéj katastrofy na wieki. Oto jedno z możebnych następstw téj fermentacyi, która z siłą żywiołową rozsadza ściany wielkiego zbiornika.

Smutne te myśli ustępują miejsca smutniejszym, gdy przeniesiemy wzrok na Francyę. Obraz, który nas tam uderza, robi wrażenie przykrzejsze, a jest dla nas mniéj zrozumiały. Pobudki, które prą Niemców ku wschodowi, są niewątpliwie dla nas nienawistne i wstrętne, ale oswojeni z niemi od wieków, zdajemy sobie

z nich wybornie sprawę. Jakże jednak pojąć ten obłęd podejrzliwości, ten szał wzajemnych oskarżeń, ten zupełny brak wiary w wszelką uczciwość, które przeniknęły do dna duszę społeczeństwa francuskiego. Gdzież w dziejach narodów szukać przykładu podobnéj choroby, rozwiniętéj do tego stopnia? Wszystkie grzechy rządu, wszystkie omyłki izby maleją wobec takich objawów. Straszną wyda się nam niewątpliwie wina sądu wojennego, jeżeli przypuścimy, że oficer, posądzony o zdradę kraju, skazany został niewinnie. Do smutnych refleksyi doprowadzi nas fakt, że władze wojskowe, broniące tak żarliwie niepokalanego honoru armii, zdecydowały się ostatecznie na wykreślente majora Esterhazy'ego z listy oficerów i na osadzenie pułkownika Picquart'a w twierdzy. Ale wszystko to maleje, gdy uprzytomnimy sobie moralny stan narodu, który uwierzył, że wszyscy obywatele, stojący na stanowiskach wybitnych, wszyscy, na których ciąży odpowiedzialność za losy narodu, kłamią, sprzedają swe przekonania i z cynicznym uśmiechem patrzą na klęski ojczyzny. Osiwiali oficerowie, ludzie, którzy patrzyli Austryakom w oczy pod Magentą, a Prusakom pod Sedanem, zapewniają współobywateli pod słowem honoru, że dowody zbrodni Dreyfusa były niezbite i oto powstaje grupa ludzi, zasłużonych w nauce, literaturze, prawodawstwie, a Zola w imieniu téj grupy powiada: „Wasze zapewnienie, to kłamstwo! Sami nie wierzycie własnemu słowu. Wiécie, że sąd wojenny dopuścił się zbrodni i bronicie sędziów ze złą wiarą." Czyż społeczeństwo uwierzyło przynajmniéj w szczerość tego oburzenia, w bezinteresowność tego bezprzykładnego protestu? Nie! Młodzież, a za nią lud paryski, odpowiedziały na oskarżenie oskarżeniem. Zola przekupiony przez Rotszyldów, obrońcy Dreyfusa w służbie mamony, przewrotność pod płaszczem współczucia — oto pewniki, kierujące dziś opinią publiczną w Paryżu. Wprawdzie pocieszają się wszyscy nadzieją, że proces, wytoczony Zoli, odsłoni prawdę nagą i uspokoi nareszcie umysły. Któż jednak naprawi złe, jakie narodowi wyrządza trucizna, wstrzykiwana mu codzień bez przerwy?

Miéwała Francya w przeszłości swéj chwile smutne i straszne, nie traciła jednak wiary w swe siły zbiorowe, bo wierzyła jeżeli nie w cnotę, to przynajmniéj w szczery, niekłamany zapał jednostek. Przyjaciele ufali sobie, a nieprzyjaciele nienawidzili się, ale nie wątpili, że działają z przekonania, pod wpływem fanatyzmu lub niepohamowanego szału. Gdy Paryż płonął pod okiem Prusaków, gdy mordowano się na barykadach, gdy jeńcom nie dawano pardonu,

a zemstę wywierano na murach i pomnikach sławy, patryotom francuskim krwawiło się serce, złorzeczono szaleńcom, ale szaleństw ich nie brano za komedyę, odgrywaną za pruskie piéniądze. Dziś wszystko, co stanowiło jeszcze jakiś punkt oparcia wśród chaosu, wiruje w szalonym pędzie dokoła oszołomionego widza. Piéniądz, obejmując rząd nad społeczeństwem, pokruszył niewzruszone podstawy. Nauczono się to, co nieruchome było wieków, zamieniać na kapitał ruchomy. Spieniężano wszystko. To, czego złoto nie obaliło, obala dziś obawa przekupstwa. Powtarza się zjawisko, znane w czasach zarazy. Obawa choroby jest najdzielniejszym choroby sprzymierzeńcem.

Jakże obok tych złowrogich znamion chwili wyglądamy my sami? Rok, który dobiegł do kresu, nie był rokiem zwyczajnym, wyróżniającym się przez to jedynie, iż go w kalendarzu odmienna oznacza liczba. W pamięci naszéj pozostanie on na długo. Myśl zbiorowa społeczeństwa naszego pracowała w ciągu tych dwunastu miesięcy z natężeniem niezwykłém, a praca taka nigdy nie przemija bez śladów. Zmian tych nie dostrzega się z dnia na dzień. Są one drobne, niepozorne, zaledwie widoczne, dopiéro gdy cały okres przeminie, widzimy, żeśmy już nie ci sami.

Czy zmiana w nas zaszła na korzyść? Na pytanie to nie wahamy się odpowiedzieć twierdząco. Myśleliśmy przez ten czas o potrzebach naszego społeczeństwa i kraju nie częściéj niż dawniéj, ale myśleliśmy inaczéj, z większą rozwagą. Nie krążyliśmy dokoła przedmiotu trosk i nadziei naszych kręgiem fantastycznym, nie pieściliśmy się wątpliwemi hypotezami, lecz przekonani, że tylko znajomość możebnych warunków rozwoju chroni narody od samobójczych błędów, wnikaliśmy coraz głębiéj w labirynt krzyżujących się przyczyn i skutków, by szukać ścieżki, prowadzącéj na światło dzienne. Praca to mozolna, a dla umysłów niewprawnych denerwująca i powolnego wymagająca przygotowania. Zwolna wciągnęliśmy się do niéj wszyscy. Były między nami różnice zasadnicze, wielkie, rażące — były różnice tak co do ostatecznych wniosków, jak i co do metody rozumowania. Nie było różnic ani pod względem gorącej chęci przyniesienia pożytku krajowi, ani pod względem przekonania, że spokojném, krytyczném okiem zbadać należy siły i zasoby społeczeństwa, oraz drogi, otwiérające się przed niém. Ogół, nie zdając sobie jasno sprawy, przebiegł w krótkim czasie ewolucyę ogromną. Coraz rzadziéj spotykamy się z hasłami, gardzącemi zimnym, praktycznym rozumem politycznym, a dające-

mi pierwszeństwo uczuciom i natchnieniu. Zdaje się, że epoka, w któréj słyszéć je można było co dzień, oddalona już od nas dziesiątkami lat: w rzeczywistości skończyła się ona wczoraj. Nie należy się dziwić, iż rachunek polityczny nie daje każdemu rachmistrzowi jednakowych wyników. Jest to rzecz naturalna i inaczéj być nie może. Na razie zadowolić się musimy tém, iż potrzebę logicznego wyprowadzania wniosków w sprawach politycznych uznajemy wszyscy, że godzimy się na konieczność dawania rozumowi pierwszeństwa, i że polemika najgorętsza nawet toczy się dziś za pomocą argumentów, budowanych według praw logiki, nie zaś za pomocą zwrotów, czerpanych w dziełach poetów.

Wymiana myśli, niezmiernie w ciągu ostatniego roku ożywiona, dała nam przedewstkiém dwie cenne korzyści. Poznaliśmy dokładniéj potrzeby kraju, a powtóre poznaliśmy się lepiéj między sobą. Ogólny obraz tego, czego nam niedostaje, ogólny obraz biéd i braków wypełnił się i zaokrąglił. Jesteśmy dziś lepiéj przygotowani do pracy dla dobra powszechnego; na niejedno, czegośmy się domyślali, patrzymy już dziś, jako na rzecz znaną. Równocześnie zaś policzyliśmy się i ocenili potrosze. Ludzie, którzy dawniéj spotykając się przez lat kilkanaście, wiedzieli tylko o swoich przymiotach towarzyskich, odsłonili teraz przed sobą swe przekonania i dowiedzieli się, czy mogą się wzajemnie wspierać. Indywidualizmy zaznaczyły się silniéj. Obok różnicy w poglądach uwydatniły się także różnice w rodzaju uzdolnienia, w temperamentach i skłonnościach. Między czynnikami społecznemi miejsce naczelne, mimo kilkakrotnéj degradacyi, zajmuje zawsze człowiek. Gdy wiemy, jakich kraj ma obywateli, poznaliśmy najważniejszą z jego sił społecznych.

Czy to ocknięcie się myśli politycznéj nie ma i stron ujemnych?

Widzimy przedewszystkiém jedną. Społeczeństwo, nieoswojone z polemiką w sprawach politycznych, nieprzyzwyczajone do parlamentarnego zbijania przeciwników, musiało przejść przez fazę gorączkowego wstrząśnięnia. Dopiéro dłuższe doświadczenie wyrabia zimną krew i uczy słuchać spokojnie, zdań przeciwnych, a tolerować upór tych, których przekonać nie możemy. Ci, którym wypada stawiać pierwsze kroki, nie mogą odrazu zdobyć się na tyle cnót. Nietolerancya, plotkarstwo polityczne, zaciekłość w osądzaniu przeciwnika: wszystkie wady będace gdzieindziéj udziałem tłumu, bywają w społeczeństwach, niedostatecznie ostrzelanych z wrażeniami politycznemi, właściwością nawet nieposlednich umysłów. Całych lat

trzeba, ażeby ogół inteligentny zrozumiał, że ani obelżywe przezwiska, ani hałaśliwe gniewy, ani ubliżające a niesprawdzone podejrzenia nie zabijają nigdy idei, ani nie nawrócą nikogo. Drogą tą dochodzi się do chwilowych, pozornych tryumfów, ale nie do ostatecznego zwycięstwa. Rozumiemy to wybornie, gdy idzie o ludzi odciętych od nas miedzą. Przez lat trzydzieści dziwiło się Królestwo Galicyi, że traci tyle czasu, psuje sobie tyle krwi i ekspensuje tyle atramentu po to tylko, by wmawiać w siebie i drugich, że posiada między swymi mieszkańcami tylu okropnych zbrodniarzy, tylu ludzi frymarczących dobrem publiczném, tylu szaleńców, gotowych zagrzebać się każdéj chwili pod gruzami wspólnéj budowy. Warszawianin, rozejrzawszy się po Krakowie, pojmował odrazu, że ani Stańczycy ustawiczném łajaniem nie zabijają postępu, ani postępowcy oskarżeniami swemi nie pognębią Stańczyków, a powróciwszy do Warszawy, zaśmiéwał się do rozpuku, gdy mu wypadło opowiadać, że w tamtym barbarzyńskim kraju ludzie odmiennych przekonań nie widują się, nie gadają do siebie, nie bywają w tych samych domach, że stowarzyszenia, resursy, nawet sale gimnastyczne i towarzystwa kredytowe, miewają tam barwę stronniczą, że każda gospodyni domu siedzi, jak na szpilkach, gdy przypadkiem w jéj salonie demokrata zejdzie się z konserwatystą. Niedawne to jeszcze czasy, a jednak ileż się zmieniło. Powiadają, że w Krakowie i we Lwowie jest dziś pod tym względem lepiéj. Bądź co bądź, Warszawa przestała się bawić temi śmiesznościami Galicyan. Łatwiéj krytykować innych, niż samemu ustrzedz się błędu.

W życiu towarzyskiém byliśmy zawsze skłonni do wydawania z lekkiém sercem stanowczych sądów o ludziach. Ulegaliśmy dziwnéj próżności chwalenia się, iż żadna plotka, obiegająca Warszawę, nie jest nam obcą. Dziś jeszcze co krok spotykamy ludzi, którzy uważaliby sobie za ujmę przyznać się, że nie znają konceptu, powtarzanego przez całe miasto. Cóż dopiéro, jeżeli się nadarza sposobność popisania się dowcipem, choćby dowcip ten miał być pospolitym paszkwilem. Już Montesqieu powiedział: *Quand on court après l'esprit, on attrape la sottise.* Wielka ta prawda mało jest u nas znana.

Wszystkie te niedobre nawyczki wnosimy żywcem do rozpraw politycznych. Wyobrażamy sobie, że to, co nigdzie nie wydawało owoców dobrych, może na naszéj niwie dać plon pożyteczny i posilny. Złośliwy wymysł jest dla nas bawidełkiem, z któróm igramy lekkomyślnie, jak dziecko z pudełkiem zapałek. Nie posiadamy się z uciechy, gdy nam kto przyniesie z miasta świéżą anegdotkę, choć

wiemy, że nie ma w niéj ani źdźbła prawdy, choć czujemy, że zawiéra w sobie piekielną krzywdę dla człowieka, zasługującego na szacunek; — powtarzamy ją bez wyrzutu sumienia, a nazajutrz oburzamy się i miotamy gromy na Warszawę, gdy spostrzeżemy, że znaleźli się ludzie, którzy naiwnéj bajce wierzą. Lepiéj pono nie powtarzać niemądrych konceptów, niż miéć poniewczasie pretensye do tych, którzy je biorą na seryo.

Lekkomyślność opinii publicznéj była właśnie ostatniemi czasy przedmiotem zasłużonéj chłosty z powodu kilku tragicznych wypadków. Pojedynki, zdarzające się w naszym kraju od czasu do czasu, stały się od kilku miesięcy tak częste, iż każdy, kto zwykł badać przyczyny zjawisk społecznych, musiał mimowoli zadać sobie pytanie, czy w danych wzrunkach nie możnaby zmniejszyć ich liczby, czy ten haracz krwi młodéj, przelewanéj dla zadosyćuczynienia prawom honoru, musi być tak obfity, i czy przynajmniéj nie można zapobiedz rozpowszechnianiu się tych zapasów, okrywających żałobą rodzinę, a wyrywających społeczeństwu siły młode, mogące służyć krajowi w przyszłości. Rozprawa o stanowczém wykorzenieniu pojedynków nie miała by dziś jeszcze praktycznego celu. Daleki jeszcze jest dzień, w którym społeczeństwo nasze, podobnie jak już dzisiaj angielskie, będzie słuchało o nich, jako o rzeczy, znanéj tylko z opowiadania. Pojęć, wpojonych przez długą tradycyę, nie wykorzenia się odrazu. Natomiast można i trzeba starać się o to, ażeby zniknęły raz na zawsze z powierzchni ziemi te wszystkie pojedynki, które według dzisiejszych pojęć o honorze nie są nieuniknione. Przed kilku laty ukazał się w „Kraju“ artykuł p. Stanisława Wydżgi, który mówiąc o środkach zapobiegawczych, dowodzi, iż jednym z najskuteczniejszych, byłoby przyjęcie istniejącego już w niektórych armiach zwyczaju, według którego przed każdym pojedynkiem zbiera się sąd honorowy, by orzec, czy należy dopuścić do rozprawy z bronią w ręku. Od owego czasu zwyczaj ten rozpowszechnił się zagranicą jeszcze bardziéj. W Niemczech każdy już prawie pojedynek poprzedzany bywa takiém orzeczeniem sądu. O ile zasada ta zastosowana będzie w całéj rozciągłości, społeczeństwo pozyska rękojmię, że młodzież nie naraża życia w wypadkach, w których przyczyną pojedynku jest tylko porywczość chwilowa lub przesadna drażliwość.

Te właśnie pojedynki, wywołane przez krewkość młodzieńczą, miéwa często na sumieniu opinia publiczna. Z niepojętą lekkomyślnością mówi się u nas o każdym pojedynku, niezakończonym śmiercią lub kalectwem, a mówi się o nim słowami żartobliwéj

satyry, niekiedy lekceważenia. Pojedynek o łagodnych warunkach, to dziecińctwo, farsa, przedewszystkiém dla tych, co sami nigdy nie stali na placu. Ale niech taki pojedynek zamieni się nagle w rozprawę śmiertelną, niech lekka na pozór rana stanie się przyczyną śmierci, ta sama lekkomyślność sądu zwraca się nagle z furyą w kierunku przeciwnym, Ci, co lękając się rózeg opinii, żądali warunków ostrych, stają teraz przed trybunałem téj wielkiéj winowajczyni, a tu nie ma dla nich ani wyrozumiałości, ani współczucia. Umié ona być surową i prawić morały tym, których sama pchała do czynu.

Na te chorobliwe zboczenia opinii publicznéj dobrém bywa lekarstwem praca zbiorowa na wspólnym łanie. Przykuwa ona myśl do rzeczy ważnych, uczy skromności, a wkładając na jednostki odpowiedzialność za cząstkę całéj roboty, zmusza je do poważniejszego zapatrywania na cele życia społecznego. Niepodobna bez prawdziwego zainteresowania przebiegać okiem sprawozdań z takich prac w tych prowincyach i krajach, gdzie prawodawca stworzył arenę dla działalności zbiorowéj, nadając jéj odpowiednią organizacyę.

Oto mamy przed sobą urzędowy zbiór wszystkich budżetów ziemskich w Rosyi za r. 1895. Ciekawa to i pouczająca książka. W trzydziestu czterech guberniach, obdarzonych samorządem, wydatki ziemstw gubernialnych i powiatowych wyniosły razem 66 milionów rubli. Wymowniejsze od téj cyfry ogólnéj są jéj części składowe. Mówią nam one przedewszystkiém o zapatrywaniach społeczeństwa na ważność pojedynczych działów budżetu, mówią nam o skali, którą ono mierzy swe potrzeby, zarazem atoli przekonywają nas, że wszelki rozwój musi być zawsze stopniowy i powolny, że poczucié tych potrzeb nie ogarnia równomiernie całego narodu, rozsianego na olbrzymiéj przestrzeni, i krzewi się pomału. Obok obszarów, na których samorząd ziemski rozrasta się bujnie, mamy inne, na których wegetuje słabiéj. Wczytawszy się w te kolumny liczb, widzimy, jak wiele potrzeba czasu, by wszyscy mieszkańcy tak rozległych ziem przejęli się równą chęcią łożenia ofiar, które nie mogą od pierwszéj zaraz chwili dawać widomych rezultatatów.

Ogólną cechą budżetów ziemskich jest zdumiewająco wysoki procent wydatków na utrzymanie zdrowia ludności i niesienie pomocy chorym. W roku, o którym mowa, wszystkie ziemstwa wydały na ten cel 18 milionów rs. czyli przeszło 27% budżetu. Zjawisko to widzimy na całym obszarze, równie w guberniach, mających sute budżety, jak i w tych, które szczuplejszemi rozporządzają su-

mami. Troska o zdrowotność wystąpiła na plan pierwszy i opanowała wszystkie ziemstwa.

Obok tych pokaźnych wydatków skromnie przedstawia się suma 9 milionów, przeznaczona na oświatę. W tym też właśnie dziale uderzają nas ogromne różnice między poszczególnemi częściami państwa. W gub. wiackiéj pochłania oświata 22% wydatków, a w bessarabskiéj tylko 7%.

Jak z jednéj strony dbałość o opiekę nad chorymi, tak z drugiéj pewna obojętność względem polepszenia środków komunikacyi przebija w budżetach ziemskich. W roku 1895 wydano na drogi na całéj powierzchni ziem, cieszących się samorządem, niespełna 4 miliony rs. Suma ta tonie w tych bezgranicznych płaszczyznach. I w tym dziale przeciwieństwa są ogromne. W guberni połtawskiéj wyniósł ten wydatek 441,000 rs., w bessarabskiéj tylko 9,000 rs.! W téj ostatniéj spotykamy dwa ziemstwa powiatowe, które żadnych na ten cel nie uchwaliły funduszów.

Czas płynie szybko, a na dokonanie dzieł wielkich potrzeba go tak wiele. Myśląc o tych liczbach, odczuwamy, jak droga jest każda chwila, jak opłakane w skutkach każde opóźnienie robót, jak ważny każdy krok naprzód i jak nierozsądne lekceważenie najdrobniejszego nawet postępu.

Do porównań nadają się bardziéj liczby, wyjęte z budżetów miejskich. Petersburg według budżetu na rok 1894 wydał w tym roku na szkoły początkowe i rzemieślnicze 693,000 rs., na średnie i wyższe 58,000. Rzuciwszy okiem w stronę inną, widzimy, że we Lwowie wydatki miejskiego funduszu szkolnego w budżecie na rok 1896 wynosiły 469,751 zlr. Jakże wygląda dział oświaty w budżecie gminnym miasta Warszawy? W roku ubiegłym stanowią one sumę 158,000 rs., w roku bieżącym 202,000 rs. Daleką jeszcze w porównaniu z innemi miastami mamy przed sobą drogę do przebycia. Znaczne czekają nas ofiary, jeżeli dorównać im mamy.

A życie wielkiego miasta płynie tymczasem to szerszém to węższém korytem, niosąc mieszkańcom wrażenia smutne i wesołe, dając im strawę wszelaką.

Kronika artystyczna Warszawy zanotowała w tym właśnie czasie kilka wypadków ważnych. W teatrze Wielkim mieliśmy pierwsze przedstawienie nowéj opery polskiéj, opery oczekiwanéj od tak dawna, witanéj goręcéj, niż którakolwiek ze sztuk, grywanych ostatniemi laty, słuchanéj, studyowanéj, rozbieranéj przez znawców i miłośników z zapałem, z roskoszą, z wytrwałością. Nie czujemy się powołani do wydawania sądu o samém dziele. Dla

nas ma znaczenie fakt, że siła twórcza, torująca sobie w naszym świecie umysłowym drogę w tylu innych kierunkach, zagarnia i tę dziedzinę, na którój przed laty stawiała niespożyte pomniki. Pole opery polskiéj nie będzie leżało odłogiem.

W dramacie i komedyi odbyła się zmiana naczelnéj władzy Nie wiele znajdzie się w Warszawie instytucyi, posiadających tyle prawdziwéj życzliwości społeczeństwa, co teatr Rozmaitości. Był czas, kiedy mówiono i pisano o nim nieustannie, chwalono się nim przed obcymi, podnoszono znaczenie jego do wyżyn, na których inne narody nie umieszczają swych teatrów. Dziś mniéj o nim mówimy. Czyż ma to znaczyć, że mniéj o niego dbamy? Wniosek byłby powierzchowny i błędny. O tém, co sercu drogie, chętnie się mówi wówczas, gdy z czystém sumieniem można same głosić pochwały.

Teatr Rozmaitości nie jest tém, czém był. A jednak jest on jeszcze dzisiaj, jak dawniéj, magnesem dla każdego aktora polskiego i każdéj aktorki polskiéj, ma on tę samą, co dawniéj, publiczność, wierną mu, wdzięczną za każdy błysk talentu, za każdą nowość w repertuarze, ma wreszcie przez całą jesień i zimę tak cenny dla teatrów przywiléj, chroniący go od współzawodnictwa. Na miasto, liczące sześćkroć stotysięcy mieszkańców, miasto ściągające z dalekich stron publiczność, żądną przedstawień teatralnych, mamy od września do maja jedną tylko scenę, otwartą dla dramatów i poważnéj komedyi. Scena taka może być bardzo dobra; wymagać tego mamy prawo. Mamy prawo żądać, ażeby żaden talent nie kołatał napróżno do jéj bram, ażeby przeszkodą do występowania na niéj nie była ani młodość aktorki, ani wziętość aktora; mamy prawo żądać, ażebyśmy nie potrzebowali czekać na przyjazd trupy łódzkiéj lub poznańskiéj, jeżeli chcemy wiedziéć, jakie są nowości dramatyczne w literaturze zagranicznéj. Dzienniki powtórzyły mowę nowego prezesa, który położył w niéj nacisk na to, że protekcyą kierować się nie będzie. Oby znaczenie tego wyrazu stało się odtąd nieznane w murach teatru. Obyśmy nigdy nie domyślali się jéj wpływu, ani w dobiéraniu sztuk, ani w obsadzie ról, ani w angażowaniu sił nowych.

Sale resursy obywatelskiéj, które od roku z biegiem niepomyślnych okoliczności dostępują zaszczytu ugaszczania wystawy sztuk pięknych, ożywiły się nagle w ciągu téj zimy. Po wystawie Kamieńskiego, bardzo zajmującéj, bardzo odbijającéj od tego, co się u nas widuje, a bardzo wiele jeszcze obiecującéj, przyszła koléj na Józefa Brandta, a równocześnie na wystawę zbiorową, któréj głos ogółu nadał już miano krakowskiéj. Co do nas mieliśmy szczęście.

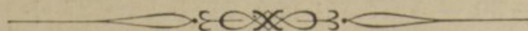
Odwiédzaliśmy ją parę razy i zawsze było pełno. Dało nam to miłe złudzenio, iż publiczność warszawska wié, co jéj przysłano, iż odczuła, że takich rzeczy nie ogląda codzień. Takich Aksentowiczów, Fałatów, Chełmońskich nie mamy na zawołanie. Rzadziéj jeszcze miéwamy tak, jak na téj wystawie, możność wejrzenia w głąb kuźni artystycznéj, oglądania prób, które nam pokazują, jak się myśl artystyczna rodzi, jak zniewala rękę, jak technika szuka środków, by myśli módz wiernie służyć. Czy z tego, że wystawę odwiedzano, mamy prawo wnosić, że sztukę zaczynamy dziś na prawdę rozumiéć? Pytania, które się nam o uszy obiły, mogłyby budzić niejaką wątpliwość. „Dlaczego oni malują portrety?" „Dlaczego mówi się o wystawie obrazów, kiedy tam wystawiono i szkice?" „Dlaczego to nazywają wystawę krakowską, kiedy Chełmoński w Krakowie nie mieszka?" Są to pytania bardzo logiczne, bardzo uzasadnione, mają tylko tę wadę, iż budzą w nas ździwienie, że po zwiédzeniu takiéj wystawy mogą wogóle komuś przyjść do głowy. Pokazuje się, że w poglądach na sztukę tradycya ma także wpływ ogromny. Kiedy lat temu trzydzieści Matejko olśnił świat „Rejtanem", ludzie bardzo rozumni i pragnący gorąco rozwoju sztuki, uważali za rzecz stosowną męczyć siebie i drugich pytaniem: „Dlaczego on wybrał taką właśnie scenę?" Każdy ma prawo się pytać, bywają atoli pytania, rzucające od razu całe smugi światła na otoczenie, w którém pytający wyrósł, rozwijał swoje pojęcia i znajdował dla siebie wzory.

Tadeusz Smarzewski.



Wydawca: *W. Spasowicz.*
Za Redakt.: *W. Spasowicz* i *Stanisław Wydżga.*

Дозволено Цензурою. Варшава, 15 Января 1898 г. — Druk Jana Cotty.

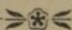


NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „ATENEUM”.

1. *Józef Kotarbiński.* **Niezdrowa miłość.** Szkice obyczajowo-psychologiczne. Warsz., nakł. Gebethnera i Wolffa, 1898, 8-vo, str. 360.
2. *Ignacy Matuszewski.* **Swoi i obcy.** Zarysy literacko-estetyczne. Warsz., nakł. Gebethnera i Wolffa, 1898, 8-vo, str. 512.
3. *S. Orgelbranda* **Encyklopedya powszechna** z ilustracyami i mapami. Zeszyt IV—XII (cena zesz. kop. 20, z przesyłką kop. 24).
4. **Dla sierot.** Książka zbiorowa, wydana staraniem Lubelskiego Towarzystwa dobroczynności. Warsz., 1897, 8-vo, str. 165.
5. *Plato v. Reussnera.* **Samouczek** polsko-ruski, zesz. XI—XIII (cena zesz. k. 10).
6. Obecne stanowisko **nauki o nerwicach** płciowych u mężczyzn. Napisał dr. *M. Misiewicz.* Warsz., 1897, 8-vo, str. 50.
7. **Gramatica di Nuove-Roman**, lingua universal inventad e construit par prof. *J. Puchner.* Linz (1897), 8-vo, str. 78.
8. **Encyklopedya rolnicza**, wydawana staraniem Muzeum przemysłu i rolnictwa. Zesz. 71 (Nawozy). Warsz., 1897 (str. 593—672).
9. **Wrażenia z pielgrzymki** do Ziemi świętéj przez ks. *Karola Niedziałkowskiego.* Petersb., nakł. księg. Grendyszyńskiego, 1898, folio, str. 513.
10. **Księgi humoru polskiego** zebrał i objaśnił *Kazim. Bartoszewicz.* Petersb., nakł. Grendyszyńskiego, 1897, 8-vo, t. I, str. 339; t. II, str. 336; t. III, str. 332; t. IV, str. 335, z portretami i autografami.
11. **Zygmunt Kaczkowski**, jego życie i działalność literacka. Przez *Piotra Chmielowskiego.* Petersb., nakł. Grendyszyńskiego, 1898, 8-vo, str. 140, z portretem (cena 30 kop.).
12. *Kazimierz Pułaski.* **Szkice** i poszukiwania historyczne. Serya druga. Petersb., nakł. Grendyszyńskiego, 1898, 8-vo, str. 350.
13. *Józef Jankowski.* **Rytmy i rymy.** Warsz., nakł. księg. Paprockiego i S-ki, 1898, 8-vo, str. 352.
14. **Petöfi Aleksander**, król poetów węgierskich. Przez *Plato v. Reussnera.* Warsz., nakł. autora, 1898, 8-vo, str. 100 (cena kop. 70).
15. **Obraz literatury polskiéj** w streszczeniach i celniejszych wyjątkach ułożył *P. Chmielowski.* Warsz., nakł. Gebethnera i Wolffa, 1898, 8-vo, zeszytów 6 (str. 480).
16. *Antoni Mazanowski.* **Przegląd** najnowszych badań z historyi literatury polskiéj (1893—1896). Kraków, nakł. Anczyca i Sp., 1897, 8-vo, str. 82.
17. **Dokładny słownik** języka polskiego i niemieckiego. Słownik polsko-niemiecki opracowali *Franciszek Konarski* i *Adolf Inlender*, z współudziałem d-ra *Alberta Zippera.* Warsz., Centnerszwer, 1898, 8-vo, zesz. 1, str. 32 (cena zeszytu kop. 30).
18. **Wojna polsko-ruska 1831 r.** Opracował *A. K. Puzyrewski*, gen. lejt. szt. gł. Warsz., nakł. M. Orgelbranda, 1897, 4-to. Zesz. I—III.
19. *Władysław Kruk.* **Dzienniczek Brońci.** Powiastka dla dzieci z ilustracyami. Warsz., nakł. księg. Paprockiego i S-ki, 1897, 8-vo, str. 137.
20. *Karol Hoffman.* **Nic nie ginie** (Dokończenie „Skazańca“). Obrazek. Warsz., w księg. Paprockiego i S-ki, 1898, 8-vo, str. 35.
21. *Józefa Ungra* **Kalendarz ilustrowany** na rok 1898; 4-to, kart nlb. 23 + str. XXVI + 72 + 30 + kart 5 + str. 24 + kart 27 + str. 9 i ogłoszenia.
22. Prvi usporedivači **sanskrita** sa slovenskim jezicima. Napisao dr. *M. Murko.* Zagrzeb, 1897, 8-vo, str. 13.

AKCYE PRZEMYSŁOWE I GIEŁDA.



Rozwój przemysłu i jego centralizacya zwiększają corocznie ilość przemysłowych towarzystw akcyjnych w kraju, a jeśli przewidywana w niedalekiéj przyszłości reforma ustawodawstwa akcyjnego zniesie istniejący obecnie system koncesyjny, i dozwoli na zakładanie tych towarzystw na podstawie zwykłych umów notaryalnych — pod pewnemi warunkami co do formy saméj umowy — to niewątpliwie ilość towarzystw akcyjnych przemysłowych w kraju wzrastać będzie nie codzień, lecz co godzina, a jednocześnie zapewne gra temi akcyami na giełdzie jeszcze mocniéj się u nas rozwinie.

Pesymiści ekonomiczni z historyą w ręku dowodzą, że od czasów Law'a ogół niczego się nie nauczył; że żadne nauki, ostrzeżenia i argumenty, mające za sobą pewność matematycznych dowodzeń, nie są w stanie powstrzymać ludzi od gry, w któréj tylko przegrać mogą. Dowodem totalizator, dowodem miliony zysków z domu gry w Monte Carlo. Chęć zysków bez pracy, wiara we własne szczęście, albo w rozum i umiejętność, mające szanse wygranéj poprawić, jedném słowem — optymizm, w pewnéj dozie każdemu człowiekowi wrodzony, oto, co pędzi ludzi do rulety, totalizatora i na giełdę.

Mimo smutnych doświadczeń, jakie społeczeństwa europejskie zebrały w sferze giełdy i towarzystw akcyjnych, zamknięcie pierwszych i zniesienie drugich jest w dzisiejszych warunkach ekonomicznych i finansowych poprostu — niemożliwe. Usługi, jakie one oddają rządom i społeczeństwom, są zbyt wielkie, aby się bez nich obyć było mo-

żna — i ogół często nawet nie zdaje sobie sprawy, jak mocne korzenie obie te instytucye zapuściły w organizacyę życia ekonomicznego całego ucywilizowanego świata. Najczęściéj, mówiąc o giełdzie i akcyach, ma się na myśli grę akcyami na giełdzie; — i zapomina się, że gra ta stanowi małą cząstkę funkcyi giełdy i że nie wszystkie téż akcye przemysłowe są przedmiotem gry giełdowéj. Usługi, jakie oddaje giełda w sferze operacyi kredytu państwowego, prowincyonalnego i gminnego,—kredytu długoterminowego hypotecznego i wekslowego osobistego, w sferze handlu wierzytelnościami w walutach obcych i towarami, są wielekroć większe niż szkody, jakie przynosi przez grę giełdową; — tamte są stałe, codzienne, dotyczą całego społeczeństwa; te mają charakter epidemiczny, chwilowy i odnoszą się do garstki chciwych, a nieostrożnych; — o tamtych nie wspomina się i mało się je rozumié, te od czasu do czasu wywolują w społeczeństwie wrzawę, hałas, okrzyki zgrozy i oburzenia, wśród których głos rozsądku ginie i dla ogółu, znającego giełdę tylko z opowieści, wydaje się ona instytucyą ustanowioną w celu ułatwienia zręcznym — złupienia niemądrych.

W gruncie rzeczy, ani ci niemądrzy są tak niemądrzy, jak się wydaje, ani ci zręczni tak zręcznymi, jak o nich sądzą. Gra na giełdzie ma zwykle charakter epidemii, rozwija się z pewną elementarną koniecznością i kończy epoką pesymizmu, w któréj wali się cały gmach, budowany z kart; rujnują się efemeryczne egzystencye, znikają bogactwa—papiérowe. Straty na giełdzie poniesione po tak zwanych „krachach" obliczano na miliardy florenów czy marek; — na istotny zapas dóbr w kraju, na to bogactwo społeczne, które się mierzy ilością produktów i środków produkcyi pozostały one bez wpływu. Pękły tylko bańki mydlane—*bubbles* —jak je przed 150 laty ochrzcili Anglicy.

Jeśli giełda nie po to istnieje, aby w niéj grano akcyami przemysłowemi,—to i akcye przemysłowe nie po to istnieją, aby niemi grano na giełdzie. Istnieje téż w każdym kraju szereg poważnych przedsiębiorstw przemysłowych, o których na giełdzie się nie mówi, dlatego że akcye ich nie są odpowiednim do gry materyałem. Im bardziéj są zmienne zyski przedsiębiorstwa, im bardziéj sama gałąź produkcyi jest w kraju nieznana, im więcéj charakteru aleatoryjnego ma przedsiębiorstwo, tém bardziéj akcye jego są do gry giełdowéj odpowiednim materyałem i tém łatwiéj przestają być tém, czém być powinny: dowodem udziału w przedsiębiorstwie i prawa pobiérania pewnéj części czystego dochodu, a stają się czémś w rodzaju biletu na loteryę, dowodem mającym przynieść właścicielowi nie dochód od kapitału, ale wygraną w grze na giełdzie. Wygrana ta obliczona w stosunku do czasu, w którym gra trwała, przenosi znacznie wszelkie możliwe dochody od kapi-

tałów, z przedsiębiorstw przemysłowych płynące. Zwyżka na kursie 5% w ciągu tygodnia, reprezentuje 260% rocznie, a ma tę główną wadę, że nie może się co tydzień stale powtarzać.

W każdéj nowéj gałęzi przemysłu, gdzie oczekiwane zyski są z trudnością obliczalne, a także w kraju, w którym zyski przemysłowe są wogóle wysokie (czy to dzięki cłom protekcyjnym, czy téż dzięki małemu rozwojowi przemysłu i słabéj konkurencyi kapitałów) szanse podniesienia się kursu akcyi zaraz po ich wypuszczeniu na rynek, t. j. wprowadzeniu na giełdę, są wielkie. Nie ulega téż wątpliwości, że w téj epoce, w epoce, w któréj akcye są zwykle w rękach założycieli, akcye nowo-założonego przedsiębiorstwa idą stale w górę i idą w górę z pewną słuszną zasadą do punktu, w którym ich cena giełdowa odpowiada prawdopodobnemu ich rocznemu oprocentowaniu, z uwzględnieniem części zysków, odłożonych na amortyzacyę i pokrycie ryzyka właściwego téj gałęzi, t. j. rezerwę. Na nieszczęście jednak punkt ten jest niewiadomą X, nawet dla tych, którzy znają przedsiębiorstwo w najdrobniejszych szczegółach, którzy zdają sobie sprawę z ogólnych konjunktur przemysłu i są w stanie przewidzieć możliwy przebieg rentowności przedsiębiorstwa w przyszłości. Dla ogółu jednak, nabywającego akcye dla gry, motywem pobudzającym do kupienia najczęściéj nie jest obliczenie wartości kapitalnéj akcyi na podstawie prawdopodobnego od niéj dochodu (brak im do tego wszelkiéj umiejętności i wszelkich danych), ale, motywem tym jest to tylko, że akcya idzie w górę, że ma tendencyę do zwyżki, że na niéj zarobić można. W ten sposób sama tendencya do zwyżki robi zwyżkę — a motywem podnoszenia się kursu jest to, że się podnosi. Nowonabywca jest najmocniéj przekonany, że i on zarobić musi, bo inni już zarobili.

Ta bezrozumna i pozbawiona realnych podstaw zwyżka musi się jednak raz skończyć, rozczarowanie musi nastąpić najpóźniéj przy pierwszym podziale rocznym zysków przedsiębiorstwa; przyczém staje się widoczném, że przedsiębiorstwo nie jest w stanie oprocentować odpowiednio kapitału włożonego w akcye po nadmiernym kursie. A wtedy rozpoczyna się odwrót—zniżka; przyczém bardzo łatwo tendencya pesymistyczna opanowywa ludzi z taką samą siłą, z jaką przedtém ulegali przekonaniom optymistycznym; obawa dalszego spadku każe sprzedawać akcye poniżéj wartości realnéj, tak że czasem obawa spadku sama spadek wywołuje i to aż do punktu, w którym znów ci, którzy liczyć umieją, na interesach się znają i ani optymizmowi, ani pesymizmowi porwać się nie dają, znajdują łatwy i pewny zarobek, kupując akcye po stosunkowo za niskiéj cenie.

Okolicznością wpływającą silnie na obniżenie kursów akcyi na

giełdzie w chwilach giełdowego pesymizmu jest to, że ten nieświadomy rzeczy ogół, gotów zarabiać tam, gdzie inni już zarobili, i niezdający sobie sprawy, że tam, gdzie inni już zarobili, tam dla spóźnionych mało jest szansy zarobku, — ten ogół najchciwszy, a najmniéj kompetentny, grający na giełdzie rolę owiec Panurga, — ma zwykle mniéj gotówki niż zapału do gry, i jeśli z początku jeszcze trafił na epokę zwyżkową i zarobił coś na giełdzie, gotów jest ciągle rozszerzać swą grę ponad posiadane środki piénię̇żne; — zastawia kupione akcye, aby za piéniądze na zastaw ich otrzymane nowe akcye nabywać, a posiadając w wartości tych akcyi może 10% na własność — przy pierwszéj zniżce zmuszony do likwidacyi, daje początek panice i sam kopie rów, w który wpaść musi.

To położenie rzeczy u nas na giełdzie jest najczęstsze. Umowy terminowe, które dla wielu są jedynym objawem gry giełdowéj, u nas nie istnieją; mimo to mamy grę giełdową, w któréj z jednéj strony występuje publiczność grająca na zwyżkę, kupująca akcye i zastawiająca je natychmiast w bankach i u bankierów; z drugiéj — wskutek samego faktu zastawu występują ci, u których akcye są zastawione: banki i bankierzy.

Dopóki przemaga tendencya zwyżkowa, dopóty główną myślą grającego jest otrzymać na zastaw akcyi jak największą sumę gotówki, gdyby można wszystko co za nią zapłacił, aby jak najwięcéj operacye rozszerzyć, a wobec téj kwestyi wszystkie inne warunki zastawu, nawet najuciążliwsze, są błahemi; podpisze się i na 24-godzinne wymówienie zastawu i na 12% rocznie i na opuszczenie NN-ów w kwicie depozytowym, bo przekonanie o dalszéj zwyżce akcyi stanowi kardynalny punkt jego wiary.

Dopiéro gdy minie epoka optymizmu i zjawi się obawa zniżki gdy w końcu zniżka zapanuje na całéj linii, dopiéro wtedy otwiérają mu się oczy, a raczéj wtedy przestaje chciéć tego, co chciał przedtém. Wtedy odgrywa on rolę ofiary, złupionéj na publicznéj drodze przez bankiera czy bank i radby wmówić w ogół, że powinien brać na seryo anegdotę z operetki Offenbacha *Les Brigands*, w któréj cała „historya o rozbójnikach" zawiéra się w trzech wyrazach: „był kiedyś bankier". Wtedy dopiéro oryentuje się, że go „orznięto na procencie" od gotówki pożyczonéj na zastaw akcyi, — że 24-godzinne wymówienie było pułapką, że przez opuszczenie na kwicie depozytowym numerów zastawionych akcyi, upoważnił bankiera do sprzedania mu tych samych akcyi raz jeszcze. Z przyjaciela banków i bankierów staje się ich wrogiem. Z nadszarpniętą kieszenią, często zrujnowany, a czasami wprost niewypłacalny narzeka na giełdę, banki i bankierów, wytacza im procesy i piętnuje

w chciwéj skandalu prasie. Jak ta matka zrujnowanego przez aktorkę syna, która chciała zamknąć wszystkie teatry, — radby on zamknąć giełdę, wszystkich bankierów wsadzić do kozy, a zakładania towarzystw akcyjnych wprost zabronić. O tém, co zarobili jego poprzednicy i co sam pierwotnie zarobił, już zapomniał, ale nie może spać spokojnie z myślą o milionach, jakie zarobił na panice giełdowéj bankier, stając się przymusowo właścicielem zastawionych u niego akcyi; — nie wspomina, że na giełdę i do banku prowadziła go chęć zysku bez pracy. Radby wmówić w opinię publiczną, że los jego zasługuje na współczucie, a stosunki giełdy i towarzystw akcyjnych domagają się reformy; reforma ta, jego zdaniem, powinna być tego rodzaju, aby gra na giełdzie była zawsze i dla wszystkich połączona z niezawodnym zyskiem.

Pomiędzy jednak lamentami gracza ogranego na giełdzie przez bankiera, a narzekaniem zwykłego śmiertelnika, którego los wepchnął w szpony lichwiarza, — jest pewna, a nawet gruba różnica. Nie możemy do nich przykładać téj saméj miary i szukać na oba nieszczęścia jednakowych środków zapobiegawczych. Kto gra na giełdzie, a nie rozumie mechanizmu téj gry, nie ma prawa narzekać, tak samo jak ten, co gra na loteryi, lub w totalizatora. Że z téj gry wychodzi zawsze wygranym specyalista, rozporządzający większemi środkami, to tak pewne, jak to, że z gry w karty wychodzi wygranym, z biegiem czasu zawsze ten, co ma zapas gotówki, wystarczający na powstrzymanie złéj szansy, więcéj umiejętności i więcéj zimnéj krwi.

Ograny akcyonaryusz—akcyonaryusz, który po epoce optymistycznéj zwyżki pozostał się z przepłaconą w rękach akcyą, tém mniéj zasługuje na współczucie, że stanowi on żywioł najczęściéj dla zdrowego rozwoju przemysłu szkodliwy, że najczęściéj zamiast przeboléć stratę, zgodzić się z faktem dokonanym i pobiérać spokojnie mały dochód od zbyt wielkiego kapitału, stara się on pokryć swą stratę, oddziaływając na zarząd towarzystwa, zmuszając go do powiększenia dywidend choćby z narażeniem istnienia towarzystwa, aby tą drogą jeszcze raz wyśrubować kurs akcyi w górę i sprzedawszy ją, umyć ostatecznie ręce.

Napróżno ustawodawstwa akcyjne starają się tym przygodnym akcyonaryuszom utrudnić wpływ na ogólne zebrania. Z stawszy wbrew swéj woli wspólnikami zakładu przemysłowego, w spółce téj zachowują się nie jak właściciel we własnym domu, ale jak przejezdny w zajeździe. Akcya za drogo go kosztuje, aby normalne dochody z przedsiębiorstwa mogły mu dać dochód odpowiedni do włożonego kapitału. Jemu potrzeba koniecznie nowéj zwyżki akcyi i tylko ten kierunek interesu go zadowolni, do tego tylko zarządu może miéć zaufanie, który

w jaknajbliższéj przyszłości zbyt akcyi po wyższym kursie uczyni prawdopodobnym.

Zarząd technicznie i finansowo racyonalny jest dla niego wstrętny; temu zaufania swego zawsze odmówi, z jego drobnych błędów zrobi grzechy nie do darowania, z niedokładności rachunkowych, zamierzone oszustwo, z wypadkowych strat, brak dbałości; w końcu sądzi, że krzyki, obelgi i podejrzenia są właściwym środkiem, aby zarządowi jego stanowisko obrzydzić, do wyjścia zmusić. Na wpływowe w Towarzystwie stanowiska powoła on ludzi, dla których też celem wyłącznym będzie gra na giełdzie, manipulowanie rachunkowością fabryczną w sposób najhazardowniejszy, z różnicami w rocznym dochodzie z przedsiębiorstwa jaknajwiększemi, dającemi możność jaknajwiększych różnic w rocznych dywidendach i kursie akcyi, na którym on — świadomy ich zamiarów—najwięcej zawsze zarobi.

Gra na giełdzie akcyami zakładu przemysłowego prowadzi z konieczności do zróżniczkowania się jego akcyonaryuszów na „ręce mocne", t. j. akcyonaryuszów-wspólników, dla których akcya jest dowodem udziału w interesie i daje prawo do pobiérania pewnego stałego dochodu,—i na „ręce słabe", w których akcya znajduje się chwilowo, jako dowód loteryjny, dla których celem nie jest dochód stały, ale chwilowy zysk na giełdzie.

Te „słabe ręce" nie wszędzie są słabszemi; w zasadzie bardziéj krzykliwe, łatwiejsze w wyborze środków, namiętniejsze i energiczniejsze, nieraz będąc mniejszością, obrzydzają systematycznie życie „rękom mocnym" opanowywują w ogólnych zebraniach ster interesu i świadomie prowadzą przedsiębiorstwo do ruiny, byleby chwilowo kurs akcyi podnieść i z zyskiem je sprzedać. *Après nous le deluge.*

Dla uniknięcia tego zróżniczkowania się akcyonaryuszów, wiele spółek handlowych, przechodząc na towarzystwa akcyjne, ustanawia wysokość akcyi tak wielką (10,000—25,000 rubli), aby się one w słabe ręce nie dostawały. Inne wolą długie lata poddawać się formalnościom prawnym, hypotecznym i sądowym ogólnym, aby tylko nie dopuścić ryzyka uczestnictwa w spółce przejezdnych akcyonaryuszów.

Nieprawdą więc jest, aby spekulacya akcyami przemysłowemi na giełdzie była dla rozwoju przemysłu elementem pomyślnym, aby zapewniając przemysłowcowi nowe pole zysków, miała go zachęcać do rozwijania przemysłu przez zakładanie nowych towarzystw akcyjnych. A jednak z tą opinią spotkać się u nas można. Obrońcy jéj zapisują na rzecz gry giełdowéj korzyści, jakie forma towarzystw akcyjnych daje przedsiębiorcom przemysłowym. Ograniczenie formalności hypotecznych, usunięcie formalności przepisanych dla własności dóbr nieru-

chomych w czasie małoletności, łatwa zbywalność i podzielność udziałów spółkowych w formie akcyi, — to są niezawodne korzyści, które, w miarę jak przemysł centralizuje się ze względów technicznych, coraz częściéj zmuszają przemysłowca nietylko do zakładania nowych przedsiębiorstw w formie towarzystw akcyjnych, ale do przejścia od spółek handlowych i cywilnych już istniejących do spółek akcyjnych. Ale spekulacya akcyami przedsiębiorstwa na giełdzie wcale tych korzyści nie powiększa; istnieją one dla każdego przedsiębiorstwa założonego w formie spółki akcyjnéj, bez względu na to, czy spekulacya giełdowa akcyami temi raczyła się zająć, czy nie.

Przeciwnie, dla normalnego biegu i rozwoju przedsiębiorstwa akcyjnego fakt, że akcye jego są przedmiotem gry giełdowéj jest wprost klęską, któréj skutkom — gdy raz nastąpi — zapobiedz trudno. Pojawienie się na ogólném zebraniu typu „przejezdnego akcyonaryusza”, dążącego do wyśrubowania dywidendy i kursu akcyi, jest wtedy koniecznością, a konsekwencye téj konieczności zawsze są szkodliwe. W interesie naszego przemysłu krajowego leży niezawodnie, i rozszerzenie się formy towarzystw akcyjnych i ograniczenie gry akcyami—wybrnąć z téj pewnéj sprzeczności może społeczeństwo tylko o tyle, o ile zrozumié, że akcye przemysłowe nie są biletami loteryjnemi, a giełda nie jest totalizatorem i że na giełdzie musi zawsze wygrać ten, kto w gotówkę zasobniejszy i z warunkami finansowo-ekonomicznemi kraju lepiéj obeznany.

W końcu jeszcze jedna uwaga. Zyski naszego przemysłu warunkują się nietylko konjunkturami handlowemi i technicznemi warunkami produkcyi, ale jeszcze, i to w bardzo wysokim stopniu, polityką celną rządu. Zyski wielu przedsiębiorstw akcyjnych zależą przedewszystkiém i bezpośrednio od wysokości cła. Wobec tego każda zmiana ceł przywozowych od wyrobów przemysłu wpływa bezpośrednio na zyski przedsiębiorczego w danéj gałęzi przemysłu i na kurs akcyi towarzystw akcyjnych w téj gałęzi istniejących. Przybywa tu zatém jeszcze jeden pierwiastek nieobliczalny, jeszcze jedno *X*, które dla dyletantów giełdowych może łatwo zrealizować się w szeregu zawodów, strat i lamentów.

St. Piotrowski.



PERCY BYSSHE SHELLEY.

ARETHUZA.

I.

Arethuza hoża
Wstaje z śniegów łoża
W Akrocerauńskich górach, —
Przez szczelin tysiące
Wiedzie źródła lśniące
Na szczytach zrodzone w chmurach.

Skacze przez opoki,
Pomiędzy potoki
Tęczowe rozwiewa sploty...
Gdzie stąpi — zielenią
Wąwozy się mienią
Ku zachodu zorzy złotéj.

Tak w gwarów powodzi,
Śpiewając, uchodzi...
Szemranie płynie wkrąg senne...
Ziemia promienieje
I Niebo się śmieje,
Gdy w głębie śpieszy bezdenne.

II.

Wtém Alfeusz śmiały
Tnie trójzębem w skały,
Na lodowca stając zrębie —
I nikną opoki
W przepaści głębokiéj
I Erymanthu drżą głębie.

Południowy, chmurny
Wicher, po za urny
Milczących ukryty śniegów,
Dreszcz ziemi i gromy
Kruszą granit w łomy,
Wypierają źródła z brzegów

Przez potoku wodę
Widać włos i brodę
Alfeusza boga rzeki,
Gdy za Nimfy pędzi
Śladem ku krawędzi
Wód Doryckich niedalekiéj.

III.

„O ratuj mnie! Prowadź!
Każ mnie falom schować!
Już mnie za włosy bóg chwyta!"
I Ocean tknięty
Wzrusza wód odmęty —
Wznosi się toń nieprzebyta.

Biała córa Ziemi
Pod wody modremi
Mknie, jak promień słońca, rączo;
Fale jéj w ślad gonią,
Lecz z słonawą tonią
Wód Doryckich się nie łączą.

Alfeusz zuchwale
Za nią mknie przez fale...
Szmaragdowa ćmi się głębia —
Mknie, jak orzeł, który
Przez brzemienny w chmury
Wicher ugania gołębia.

IV.

Przez głąb, gdzie na tronie,
Co od pereł płonie,
Zasiada władca bezdeni...
Przez lasy korali,
Rwane nurtem fali...
Przez stosy drogich kamieni...

Przez mrok, kędy blada
Jasności kaskada
Sieć barwnego światła niesie...
Mrocznych pieczar głębią,
Gdzie się wody kłębią
Tak zielona, jak noc w lesie...

Padł pianą topieli
Prędzéj przepłynęli,
Niźli rekin, mieczyk zwinny...
Przez nurt morza siny...
Przez skał rozpadliny
Na Dorydy brzeg rodzinnéj.

V.

Teraz śród polanek,
Gdzie lśni w słońca ranek,
Z źródeł swoich mkną, z gór Euny,
Jak ku sobie lgnące
Duchy po rozłące...
W pracy toczą się codziennéj.

Z swéj kołyski stroméj
O świcie przez złomy
Skaczą zboczém w gór jaskinie...
A w południe drzewa
Nurt ich fali zlewa,
Przez łąk asfadele płynie...

A zaś do noclegu
Na Ortygii brzegu
W toń falistą mórz się kryją,
Jak duchy, co leże
Mają w niebios sferze,
Gdy kochają, lecz nie żyją.

Przełożył z angielskiego

Władysław Nawrocki.



Z DZIEJÓW
RÓŻNOWIERCÓW POLSKICH.

Aryanie. Ludzie i Losy.[1])

Marcin Czechowic.—Dawna szkoła.—Talmudyści.—Przesądy.

W starym zborze aryańskim zażywał największéj powagi Marcin Czechowic, jako niestrudzony szermierz słowem i piórem, w kazaniach, pismach, dysputach; on i nową naukę pierwszy systematycznie traktował i wywody wrogów: katolików, ewangelików, żydów, odstępców wreszcie z pośród grona własnego, żwawo odpiérał i Pismo św. tłómaczył: czynny i ruchliwy, wymowny, dowcipny, władający prozą i wierszem, polszczyzną i łaciną, choć się tą rzadziéj posługiwał; wystawiony téż na cel, napastowany, szkalowany więcéj, niż wszyscy inni spółwyznawcy. Gdy Krowicki był aryaninem tylko w ostatnie dziesięciolecie życia swego, w literaturze zaś tylko lutrem — kalwinem wystąpił, Czechowic od piérwszych pism swych bierze udział w całym rozwoju aryańskiego ruchu, wpływa nań chwilami stanowczo, dobija

---

[1]) Porównaj „Ateneum" 1896, tom III, str. 437—465.

się przodującego stanowiska i dopiéro u schyłku długiéj pracy i ośmdziesięcioletniego żywota schodzi „patryarcha aryański, herezyarcha" na drugi plan, ustępuje pierwszeństwa innym, niknie w końcu tak, że gdyby nie przypadkowa notatka, roku śmierci nie umielibyśmy zaznaczyć. O człowieku rozsiano tyle plotek, o pisarzu tyle myłek, że nie zawadzi zebrać i skupić, co o nim spółcześni i on sam o sobie zapisali, oznaczyć cechy autora, omówić ważniejsze pisma, wydzielić stanowisko, jakie mu należy, rzucić światło na czasy, w jakich rósł, i na ludzi, z jakimi się spiérał.

Przeciwnicy nazywają go stale „chudym dzwonnikiem w Zbąszyniu", „ubogim kleszką, z poddaństwa uciekszy", „klechą szalonym"; posyłają go i do warsztatu; ksiądz kanonik Powodowski twierdzi o nim: „przyszedł jakiś urwaniec, chce świat na ręby wywrócić... będąc żadnym doktorem... ale drzewianym figlarzem a wrzecienikiem śmié się tém chlubić, że prawdę nalazł i za tą chlubą we łbie swoim szalonym natoczył więcéj i dziwniejszych bogów, niżeli jako żyw statków warsztatu swego"; tenże obzywa go tokarzem, strugarzem, wrzeciennikiem; żartem robią z niego balwierza; przeczą dla nazwiska (Czech) i jego polskości.

Tymczasem dowiadujemy się z jego *Epistomium* (k. 64), że nietylko z ojca i matki „ale i z dziadów i babek jestem prawy i wielki Polanin"; z k. 85, że „okrzczony zaraz po urodzeniu we czwartek przed Marcinem 1532 r."; rodzice, mianowicie matka, od dzieciństwa przeznaczali go nie do rzemiosła, ale na księdza, „od czego mnie Bóg łaskawie uchował;" do szkoły chodził w Poznaniu; „a co się tknie klechy antychristowskiego, którym mię téż (jako zwykły dzieci, w piasku igrając, jedne drugim czynić) przezywa ks. Powodowski, do tego się znam po części, bom téż to, co teraz klechowie czynią i dzwonikowie, ja z drugimi przedtym czyniał, gdym one chleby w kleszczach rozpalonych tworzył, które pospolicie opłatkami zową, i nie przę tego, żem to umiał nie tylko w żeleziech utworzyć, ale też i chędogo ostrzyć".

Chodził więc Marcinek do szkół poznańskich; funduszów nie było, więc mieścił się z innymi pauprami w nieopalaném poddaszu nad szkołą; brał plagi co sobotę, a oprócz niéj, skoro tylko *asinus* (tabliczka) o polskie słowo na nim ostatnim zawisła; *pauperibus* wołając, biegał od domu do domu w lekkim płaszczyku (całunie), w zimno i słotę; zgłodniały, z garnuszkiem w ręku, śpiéwał pod oknami litościwych kumoszek kolędy, wiersze i pieśni: polskie, o różanym wianeczku, Dziesięcioro, O Anno pani szlachetna, Ach mój smętku ma żałości, Jezusa Judasz przedał za pieniądze nędzne i t. p.; łacińskiemi wzywał (z Łasickim) św. Marcina, strzegącego od ubóstwa i nędzy *(Martine sancte*

pontifex, Sis miserorum opifex, Fer opem tuis famulis); lecz nie wysłuchiwał patron imiennika; wołał usilnie: *date nobis, dabitur vobis*, często napróżno; żydów i przekupki napastował z innymi żakami. Mizeryę szkolną urozmaicała chyba służba kościelna na chórze i przy ołtarzu, przy procesyach i pogrzebach. Ciekawy, pytał już wtedy, dlaczego w Boże Ciało monstrancyę tak wielbią, jéj śpiéwają i grają „na dudach, kozłach, mulciankach, skrzypicach, trąbach, w rańtuch ubiérają", lecz mu na to nikt odpowiedziéć nie umiał. Religii, wykładu wiary i obrządków, w szkołach średniowiecznych nikt nie uczył; tam uczono tylko łaciny i łaciny; dopiéro protestantyzm naukę katechizmu wprowadził; więc jeszcze w szesnastym wieku „po wsiach i po miasteczkach niemały zaiste słowa Bożego głód" panuje, wedle słów jezuity Herbesta. Brak ten dotkliwy ówczesnego wychowania wytknął w wierszu arcyciekawym, choć haniebnie zbudowanym, luteranin Seklucyan, w przedmowie do *Catechismusa* z r. 1547, którą jako ważny pomnik obyczajowy w całości przytaczamy — w takiém wychowaniu rosły bowiem liczne pokolenia:

Do Czytelnika upominanie.

Jest mi to dziś na pamięci,
Jako w szkołach uczono dzieci:
Od *cum steteris* poczynali —
O Bodze mało wspominali,
Ani o jego przykazaniu
(Dla naszych grzechów poznaniu),
Ani wiary świętéj członków,
Pacierza i sakramentów:
Tych wykładu nieuczyli —
A snać sami nieumieli.
W piątek siekli o *recitare* [1])
A nazajutrz o *solmifare*.
W niedzielę abyś ministrował
A chędogo mszej pomagał:
Skoro *dicentes* usłyszysz,
Tedy we dzwonek zadzwonisz.
Kapłana byś nie rozgniewał,
Kiedy będzie w Kanonie spał,
Tyć były za nauki fabuły:
Alexander, *Donat* i *Reguły* [2]).

---

[1]) *Dic textum*, t. j. recytuj—ciągle w ówczesnéj szkole wołano, ćwicząc jedynie pamięć.

[2]) Znane gramatyki łacińskie, średniowieczne, wierszem i prozą, niewyrugowane jeszcze nowszemi, Brassikanem. Perottem i in.

Tak był trudny ten ich *Donat*,
Nie nauczył się go do siedmi lat.
A tak przez takowe plotki
Omieszkały młode dziatki.

Już dziś inaczéj nauczają,
Od pana Boga poczynają,
Który raczył z swojéj łaski
Otworzyć nam język Polski,
Którym książki wydawają,
Słowo Boże okazują,
Które było zatłoczono
I przez książą zatłumiono.
Zakazowali to srodze
Prostakom badać się o Bodze.
Wymieniali ty zaklęte,
Co czytali pismo święte,
Mówiąc: „nie twoja rzecz, panie,
„Wszak będzie w święto kazanie,
„Na którym wszystko usłyszysz:
„Przez święte do Boga musisz:
„Ci, którzy do króla chadzają,
„Przez marszałka przystęp mają.
„Ani też, rycerzu, jest rzecz twoja;
„Tobie lepiej przystoi zbroja,
„Ktemu turecka badawija (rumak),
„Niźli ta częsta biblija.
„Ani twoja rzecz, kupczyku,
„I każdy z was, rzemieśniku,
„O świętym się piśmie pytać,
„A głowie troskę zadawać.
„Byś ty robił na warstacie,
„Tak jako przystoi na cie —
„Wszak dziś mamy jubileusz,
„Jedno złoty do skrzynki włóż!
„I ty też, chłopie rataju,
„Pytasz się drogi do raju?
„Byś ty oto na tym przestał,
„Tak jako twój ociec trzymał.
„Ale i wy, panie duszki,
„Już też widzę u was książki —
„Obyś ty patrzala swoich wzorków,
„Koronki, onych świętych paciorków.
„Jeśli tego nie przestaniecie,
„Wszyscy w klątwę wpadniecie“.
Toć ich była wszystka nauka,
Za którą tuczyli swoje brzucha.
Obaczże ztąd, jako zwodzili,
Klątwą od pisma grozili,

Drogę do nieba zamykali,
Sami się tam niepytali —
Jako by Bóg chciał tego taić,
Co raczył wszystkim objawić,
Nie świata tego philozophom,
Ale prostakom, pasterzom, rybitwom.
A przeto bądźcie wdzięczni wszyscy tego,
Żeście dostali pisma polskiego.
Które abyście wszyscy czytali
I dziatki swe nauczali,
Dziękując Panu Bogu z tego,
Iż nam użyczył słowa swego.
Przez które wiary nauczenie
Będziecie mieć i wieczne zbawienie. Amen.

Dodajemy jeszcze drugą wzmiankę Seklucyana o ministrowaniu chłopców i o tem, jak księża stan swój pojmowali:—Pamiętam to głupstwo, że księża nie kazali nam chleba miewać przy sobie ani kłaść opłatków na ołtarzu, aby niebył sakramentem, gdyż my im ministrowali. Tak wiele o tym rozumieli, co jest sakrament, jako i my natenczas. A gdy już miał taką mszą i spośnikował, przysiągł by, że już dosyć swemu urzędowi uczynił, o którym nic nie wié.

W takiém to „nabożeństwie urodziłem się i w niémem z młodości podobno do lat siedmnaście (ile baczyć mogę) nie leda jako wychowany i wyćwiczony był" (Odpis k. 136). O nowinki religijne w Poznaniu, gdzie tyle lutrów i braci czeskich około r. 1549 się przewijało, trudno nie było; przesiąkłego niemi może już tutaj Marcina widzimy w r. 1554 na uniwersytecie lipskim, gdzie się greki i hebrajszczyzny douczał, a niebawem z tylu innymi Polakami ministrem słowa bożego u księcia wojewody, Mikołaja Czarnego w Wilnie. Z Wilna wysłał go książę do szwajcarskich teologów w sprawie Blandraty; po drodze zetknął się Marcin z anabaptystami i wrócił na Litwę gorliwym nowochrzceńcem, jakim do końca życia pozostał. To wprawiło go natychmiast z kolegami wileńskimi, mianowicie z Wędrogowskim (Wędrychowskim zowie go Kojałowicz) w dysputy i spory; oskarżano go o nowochrzczeńskie zakusy, żądano, aby władza karami, i na ciele i na majątku, jego poskromiła. Lecz za życia Radziwiła, skłaniającego się osobiście ku skrajnym nowinkom, niczego się nie obawiał; owszem, cały spór obszernie wyłożył i racyami i Pismem św. zbijał chrzest niemowląt w dziełku p. t. „Trzech dni rozmowa o dzieciokrzczeństwie (między Chrystyaninem, Ewanielikiem i Papieżnikiem) i wotum i t. d. argumenta tesame wyłożył równocześnie i po łacinie; krążąc w odpisie; znalazły one kilku przychylnych czytelników i dopełniaczy; po latach,

na ich nalegania wydano je [1]). Dodał tylko wtedy (r. 1575) Czechowic ustęp, zwrócony przeciw nowym sekciarzom we własném, ponurzeńskiém gronie, odrzucającym i ponurzanie dorosłych jako znak, symbol zewnętrzny, nie potrzebny już dla odrodzonych na duchu (wedle nauki Socyna).

Śmierć Mikołaja Czarnego (1565 r.), stanowcza przewaga kalwinów w Wilnie zmusiła Czechowica do porzucenia urzędu i miasta. Udał się na Kujawy, gdzie w sędzi inowłocławskim, Janie Roliczu Niemojewskim, Walentym Brzezińskim (starszym, ojcu) i in. gorliwych znalazł adeptów; z Kujaw przeniósł się z nimi i innymi do Rakowa, a stamtąd r. 1574 do Lublina, gdzie, jako następca Stanisława Paklepki (po dłuższéj przerwie), do końca życia pozostał; o roli, jaką wtedy odegrał, jak w ogólném rozluźnieniu twardo stanął przy symbolach (ponurzania i wieczerzy św.), przy urzędzie ministrów, przy karności zborowéj, wspominaliśmy dawniéj. Do lat tych przejściowych należą z prac jego wierszowanych religijne pieśni wileńskie, jakie aryanie sobie upodobali, lecz potém rzucili i psalmów Kochanowskiego się jęli (wedle Wilkowskiego), dziś nieznane; daléj Sumaryusz wszystkiego Nowego Testamentu, bezimiennie (i bez wiedzy autora) r. 1570 wydany, wykładający „prostym wierszem" treść każdego rozdziału Ewangielii i Listów „dla łacniejszego rzeczy pojęcia i pamiętania".

Główną czynność literacką rozwinął Czechowic między rokiem 1575 a 1583-im; prasy nowego drukarza rakowskiego, Aleksego Rodeckiego, wytłaczały wtedy coraz nowe dzieła jego. Zaczął wydaniem owego łacińskiego spisu (*De erroribus* i t. d.); tegoż roku nastąpił obszerny katechizm polski, pierwszy systematyczny wykład nauki „aryańskiéj", i krótki łaciński [2]). „Rozmowy christianskie które z grec-

[1]) Książka polska zaginęła już od paruset lat; łacińska (*de paedobaptistarum errorum origine* i t. d., wydana r. 1575, przypisana Janowi Kiszce, jako jedynemu magnatowi — nowokrzczeńcowi) zachowała się zagranicą: dwa egzemplarze posiada np. biblioteka miejska gdańska. Otóż z przedmowy łacińskiego dzieła wiemy, że i tekst polski wyszedł nakładem tegoż Kiszki przed 1575 r., choć późno po napisaniu (1565 r.), ale na wielu miejscach przez niedbałość niektórych osób popsuty, przekręcony i zmieniony; że książka polska odkrywała i kilka innych makuł antykrystowych; że niemal jeszcze młodzieńcem o rzeczach tych z natchnienia bożego rozmyślać, a niebawem i pisać począł — prawdziwość słów zaświadczą, co go od 25 i więcéj lat znają. Rzeczywiście widzę z cytaty w *Chason emunah* (str. 86 wydania z r. 1873, o téj książce Izaka Trockiego zobacz niżéj), że w „Trzech dni rozmowie" zbijał Czechowic i naukę o Trójcy św. na kilkudziesięciu kartach (28 — 69).

[2]) Łaciński katechizm Czechowica zaginął od wieków — wiem o nim tylko z Neothebela, cytującego go nieraz, np. „Krystus *non merus homo* jako ty bluźnisz

kiego nazwiska dalogami zowią a ty je nazwać możesz wielkim katechizmem" i t. d. obejmują na 268 kartach *in quarto*, w trzynastu rozmowach między nauczycielem i uczniem, rozdzielonych na kilka dni, naukę wiary, o Bogu, głównie zaś o Chrystusie (rozmowa druga i następne) i t. d. Jak we wszystkich spisach aryańskich, ustępuje etyka, traktowana dosyć pobieżnie w dwunastéj rozmowie, dogmatyce, mianowicie Chrystologii, eschatologia (o rzeczach ostatecznych) niemal pominięta, tworzyła też ona zawsze najsłabszą stronę nauki aryańskiéj: wykład cały oparty wyłącznie na Piśmie św., ojcowie kościoła pominięci umyślnie, aby nie „alegować ludźmi", tylko w osobnym dodatku pomieszczone świadectwa niektórych o pierwotném chrześciaństwie, nie znającém miecza i nie parającém się rzeczami świeckiemi, tudzież kilka cytat z nowszych, z Erazma Roterdamczyka i in, na dowód, że to nie świéże wymysły. Poprzedza dzieło „List do wszech obec" Czechowica „zboreczku małego w Lublinie i około ministra", gdzie cieszy się z tego, że tak wielkie i zacne rzeczy „Bóg nam Polakom imo insze przedniejsze narody" użyczyć raczył, jakich nigdy jeszcze, od apostołów począwszy, „tak hojnie i tak znacznie ludziom mądrym i uczonym nie użyczał ani oznajmiał, czasów tych ostatecznych, a już prawie (t. j. całkiem) na schyłku będących". Dyalogi te nie wymyślone, lecz „co na rozmaitych synodziech bywało, o tych i o owych artykułach wiary naszéj, co się i w Bełżycach, przy czymeś i sam bywał (pisał po kilku latach Czechowic do żyda Jakuba), dziewało a gdzie indziéj więcéj tego było, a było i z nowemi zmyślonemi żydy i z waszemi obrzezanemi i w Lublinie z mnogiemi i gdzie indzie z drugiemi, chociaż osobliwie i tajemnie, którychem ja przez kilka lat gadki, zadawania i pytania w książeczki małe dla pamięci spisował i tym oto, dostawszy nieco czasu, porządnie potym wydał." Główna polemika „Ka-

---

w swoim małym łacińskim, jako i wielkim katechizmie polskim": (tamże) Czechowic „swoim dumem" (wymysłem) pisze: *credo spiritum sanctum*, zamiast: *in spiritum;* jeszcze w Wilnie wydał (?) i nauczał Czechowic, wedle K. Wilkowskiego, inny katechizm „trójczacki". Polski zachował się w kilku egzemplarzach; najciekawszy berliński, na którym współczesna ręka po łacinie zanotowała (w tłómaczeniu): „Rok 1576-ty 28 marca książkę tę sam autor z Polski mi przysłał i darował, lecz jak Sofokles prawdziwie mówi „wrogów dary niedarne i niepożyteczne" (cytat po grecku), gdy bowiem wróg lściwie prawi i pod maską komiczną trajedję sprawuje, nie wiersz mu, bo siedm bezeceności kryje się w sercu jego (Salomon, przypow. 26). Walenty Brzeziński (młodszy, syn) z Lublina student oddał. „Zboru złych nie najrzę i z bezbożnymi nie będę siedział" (psalm 1). Będzie to A. Wolan lub inny kalwin z ministrów wileńskich. Inny egzemplarz posłał Czechowic Wojciechowi Niemojewskiemu, „jako samołówkę, abyś go osidlił" (Neothebel), lecz również nic nie wskórał.

techizmu" zwrócona też nie przeciw „Trójczakom" (katolikom i protestantom), lecz przeciw żydom, prawdziwym, obrzezanym, i nowym, zmyślonym poganożydowinom; rozmowy, od piątéj do dziewiątéj, wyłącznie im poświęcone. Rozmowy te czytali ówcześni żydzi polscy; jeden z nich, Nachman, zwany Jakub, z Bełżyc, na nie odpisał, — porównaj dzieło (o 311 str. *in 4-to*) Czechowica z r. 1581 p. t. „Odpis Jakuba Żyda z Bełżyc na Dyalogi Marcina Czechowica, na który zaś odpowieda Jakubowi Żydowi tenże Marcin Czechowic"; pierwsze to znane polskie pismo żyda polskiego należy dokładniéj omówić. Skąd zawiązała się polemika z żydami?

Po r. 1570 rozszczepili się aryanie na nowo. Jedni, znacznie liczniejsi, zwalczając Trójcę i Przedwieczność Chrystusa, czcząc Człowieka, który stał się Bogiem, wiązali się tylko do Nowego Przymierza, zarzucali przepisy, ceremonie, literę Starego, konieczne przed Mesyaszem, zbędne, bo zastąpione duchem i odrodzeniem, po zejściu Mesyasza [1]). Drudzy, mniéj liczni ale konsekwentniejsi, uznając w Chrystusie tylko proroka, cofali się do starego zakonu, nie zniesionego, wiecznego, choć brakowali nieraz między przepisami, rozróżniając niezbędne i zbędne, taka np. wielka hetmanowa koronna i wojewodzina podolska, pani Elżbieta Mielecka, córka Mikołaja Radziwiła Czarnego, kalwinka z domu, potém aryanka, wreszcie zżydowiała, umiejąca biblię całą jakby na pamięć i dworująca sobie z księży i ministrów (aż ją jezuita, ks. Benedykt Herbest, z buty zsadził i na pokorną katoliczkę nawrócił). Zetknięcie tych nowych żydów ze starymi było nieuniknione: ułatwił je zaś ruch umysłowy, jaki między polskimi i litewskimi żydami właśnie wtedy zawrzał.

Żydzi ci, coraz znaczniejsi liczbą, dostatkami, wpływami, cieszący się o wiele korzystniejszém położeniem, aniżeli ich współwyznawcy na Zachodzie, do niedawna pracy umysłowéj ani znali, ani cenili. Dopiéro w XVI-ym wieku zbudziły się te martwe dotąd masy, i tu wytworzyła się ze wzrosłéj siły materyalnéj i z poczucia jedności, wiążącéj luźne przedtém kolonie i familie, wreszcie i siła umysłowa, zajęcie wiarą jako nauką, badanie jéj, i powtórzył się, w nieco odmiennych rozmiarach, proces średniowiecznego scholastycyzmu, takie samo rozumowanie nad szczegółami obrzędów i nauki, prowadzące do najdziwaczniejszych i najpotworniejszych kombinacyi, drobnostkowych wywo-

---

[1]) Np. „Pan Bełdowski przeszłéj wiosny u JMP. Jana Chodowskiego w Modlibożycach (na Kujawach), gdym mu z pism prorockich i z starego zakonu z strony krztu św. małych dziatek począł dowodzić, jawnie wyznał, że nam pry nic do starego zakonu i nic do proroków, dosyć mamy na Nowym Testamencie, który téż tylko a nic więcéj przy sobie niemiał" (Neothebel, Raphaelahi z r. 1581).

dów, sztucznych sylogizmów, imponujące nadmiarem wytężonéj pracy i zdumiewającéj zdolności, poświęcanych zagadnieniom niewdzięcznym i marnym. W XVI-ym wieku powstaje tak polsko-litewska szkoła talmudystów, ciesząca się przez dwa zgórą wieki wielkiém, niezaprzeczoném znaczeniem u spółwyznawców w kraju i zagranicą; w XVII-ym i XVIII-ym wieku zwężają się jéj widnokręgi, kostnieje i martwieje jéj metoda, zasycha jéj wiedza w absolutnéj jednostronności, niewidzącéj po za talmudem niczego; lecz zanim do tego zaniku przyszła, musiała w początkach swych odezwać się na owe rozbudzone życie religijne Zachodu i Polski; szczególnie wobec judaizującego ruchu między różnowiercami, występowali i żydzi ze swego odosobnienia, czytali łacińskie i polskie dzieła, wychodzili na dysputy w Krakowie, Lublinie i indziéj.

Tak zetknął się Czechowic zaraz po przybyciu do Lublina z Jakubem z (pobliskich) Bełżyc, potém i z innymi — widzieliśmy już, jak w katechizmie z nimi się liczył. Niestety, nie znalazł on godnego siebie zapaśnika; polemika byłaby daleko ciekawszą i cenniejszą, gdyby ją toczył np. z takim Izakiem z Trok, autorem owéj „Twierdzy wiary" (pisanéj r. 1593, dokończonéj przez Józefa ben Mordokhaja Malinowskiego).

Karaim Izak z Trok to szermierz innego zakroju, aniżeli Jakub z Bełżyc; spokojny, wyrozumiały, bystry znawca pism chrześciańskich, gorliwy czytelnik dzieł Paruty, Budnego i Czechowica, zajął w polemice o wiele dogodniejszą dla siebie, a niebezpieczniejszą dla przeciwnika pozycyę. Prędki, popędliwy, jednostronny Jakub z Bełżyc, rabanita, o chrześciaństwie i Chrystusie ani słyszéć chce, broni tylko Mojżesza i talmudu przeciw wszelkim zaczepkom, nie odpowiada téż na cały katechizm Czechowica, zadawala się w gruncie odpisem na jeden jego rozdział, piąty, aby udowodnić talmud jako z ustnéj tradycyi, od samego Mojżesza, żydom podany, sabat jako przepis wieczny, obrzezkę jako konieczną pieczęć przymierza boskiego. Izak natomiast broni nietylko Mojżesza i zakonu, lecz rzuca się na crześciaństwo samo, wykazując sprzeczności w dogmatyce i etyce, obalanie i zachowywanie Starego Przymierza naprzemiany, myłki Nowego Testamentu w cytowaniu i pojmowaniu Starego, sprzeczności między samymi ewangielistami, między Nowym Testamentem a nauką chrześcian (o Trójcy i t. d.), między etyką tychże a życiem ich i in. Co ciekawe i ważne, że z dzieła żyda litewskiego, wydanego w tłómaczeniu łacińskiém pod znaczącym tytułem „Ogniostrzały szatańskie" (r. 1681 i częściéj), czerpali pełną

ręką argumenty przeciw chrześciaństwu encyklopedyści XVIII-go wieku [1]).

„Odpis" Jakuba z Bełżyc przytacza Czechowic punkt po punkcie, dosłownie, skracając go tylko miejscami, i odpiéra obszernie każdy wywód. Język Jakuba twardy, niewyrobiony, ale czysty, miejscami poważny i, szczególniéj w pięknéj modlitwie wstępnéj, jakby natchniony; nadzwyczaj obrazowy, pełen alegoryi i przykładów wedle zwyczaju wschodniego, za to argumentacya jego słaba; widzimy niemal zżymającego się niecierpliwie żyda, przekonanego o wyłącznéj prawdziwości swéj wiary, a niepráwości przeciwnéj, posądzającego przeciwnika o zamiary uboczne, o wzniecanie nienawiści chrześcian przeciw żydom; trudno mu utrzymać się w spokojnym tonie, choć się o to stara i z góry o wybaczenie jakich obraźliwych słów prosi, nie „z przepychu abo

---

[1]) Nie Izak Trocki zebrał pierwszy te sprzeczności; miał on poprzedników właśnie między judaizantami polskimi, głównie może w Danielu Bieleńskim, co to 139 „niezgód" w N. T. wyliczył; z nim Czechowic w Dyalogach ciągle polemizuje, choć go po imieniu nie nazywa („od jednego nieobrzezanego nowego poganożydowina, a wielkiego odmieńca zebrane", l. 147; „wedle słów, których Herst ich przedniejszy w katechizmie swym używa", l. 97); w Odpisie wymienia go nieraz, np. „z ziemkami swoimi (żydami), którzy ono Daniela, nowego żyda i z wielą inszych uczniów, bez obrzezki przyjmowali, nie nucąc ich i z nim do obrzezki, byle tylko szabatu przystrzegali", str. 285. Daniel Bieliński, niegdyś kalwiński minister, broniący z Czechowicem na synodzie skrzyńskim (1567 r.) przedwieczności Chrystusa, potém żyd, wrócił około 1575 r. napowrót do kalwinów. Budny w katechizmie (r. 1576) nieraz go wspomina, np. „Bieliński, który niedawno od Epikurstwa do Trójczaków znowu rzkomo przystał w Wyznaniu swém, które im kwoli napisał, inszą na sercu trzyma, inszą pisze"; lub „Daniel Apostata, niektóry nie obrzezany żyd, zawiódszy w żydowskie sprosne błędy mnóstwo wartogłowów i prostych ludzi, odbieżał ich i do Trójczaków się udał, ten téż w swych bluźnierstwach przygania Pawłowi i t. d."; lub „nie to by mieli Trójczacy z swoimi Bieleńskimi, farbowanymi Lucjany, przywodzić." Z pism Daniela korzystali przeciw aryanom i katolicy, np. ks. Powodowski w Wędzidle, któremu Bieleński, aryan „wyśpiegowawszy, światu lepiéj pokazał", wyliczając u nich w księgach swych „Odwołania" (*Retractiones*, łacińskie), nie dwie, jak Czechowic twierdzi, „ale mnóstwo sekt, godnych powrozów, klozej i czegoś gorszego." Ciekawy ten człowiek nawet z nazwiska bibliografom naszym zupełnie nieznany; dotąd samych dzieł jego nie odszukaliśmy. Pamięć o nim trwała dosyć długo, pisze np. Chrząstowski w Obronie dyalogu 1619 r.: „nie onże Daniel na ten czas był starszym tego synodu (w Krakowie), który iż był *mixti fori*, napoły żydem i chrześcianinem, pamiętam z młodu co o nim mówiono za króla Stefana, bo rezydował w Krakowie, potym w Wilnie, tego w wielu excesiech i w żydowstwie wytykano, ba i wyrzucono, aż się wpraszał i błąkał tam i sam; był tym ludziom (aryanom) wielkim nieprzyjacielem, bo mu prawdę mówili" (str. 72). — Sprzeczności te zbiérano zresztą już i przed Bieleńskim, lecz aby je godzić, nie aby z nich kuć strzały przeciw Ewangielii i chrześciaństwu.

z gniewu jakiego (mówię je), jedno przyczytaj mi to za niedoskonałość rozumu, abo nie wyćwiczeniu w języku polskim, ale zaprawdę, zaprawdę, iż otworzyście z tobą mówię." Lecz mowa ani otworzysta, ani narabia, jak się z początku obowiązywała, samém Pismem św.; dwie próbki stylu i polszczyzny Jakuba, o przyczynach, dlaczego żydzi nieporządnie dysputując w mowę się wrywają, i o potwarzy co do morderstw rytualnych, dadzą pojęcie o całości:

„Gdy krześcjanin mówi żydowi, że każdy żyd pójdzie na potępienie wieczne, tedy mu też jakoby wziął i odjął wszytko dufanie jego i w czym pokłada swoje wszytkie pociechy. Bo nie mamy na tym świecie żadnéj rozkoszy, jako w państwie tak w używaniu rzeczy rozkosznych, jedno zawżdy w strachu a w przelęknieniu i buzowaniu i jesteśmy i w łupiestwie abo karaniu okrutnym czasów swych bywałych były. Wtóra przyczyna, która się mnie samemu często przytrafiała, iż gdy mi krześcjanin zadał co z pisma, a ja mu też także odpowiadał z pisma i dowodziłem tego słusznie, tedy ten krześcjanin..... wnet wyrwał i insze miejsce, mówiąc: jako tam rozumiész, niedokończywszy szczyrze pirwszéj rzeczy, na czym by miało stanąć, własnym przykładem, jako kiedy charci zająca mało nie dościgają, tedy się umknie z téj drogi na ścieżkę i oni charci na téj ścieżce chcąc uchwycić, on się zaś w chróst im zemknie... tym się dzieje, iż się żyd w rzecz jego wrywa w połowicę, bojąc się, żeby mu się nie zemknął jako zając, domówiwszy swéj rzeczy, a przeto go chwyta w puł rzeczy jego."

„Pierwsza („podeszwa" prócz Pisma św. dowodząca prawdy żydowskiéj), iż krześcjanie mówią i wielką wiarę w tym swą pokładają, iż żydowie potrzebują krwie krześcjańskiéj i chleba waszego św. i przez tego żydowie nie mogą być [1]). A ja wiedząc to, iż nam na tym krzywdę czynią, nietylko w uczynności, ale i w pomyśleniu tego u nas niemasz. A gdy ja tę pewność mam i każdy żyd — ztąd słabiéć musi wiara krześcjańska."

Czechowic oczekiwał innéj szermierki; wychodząc z proroctw o Mesyaszu, dowodził w dyalogach, że się proroctwa te w Chrystusie spełniły i zakon stary, zewnętrzny „pozwierzchowny" ustał; niezadowolenie z obrotu, jaki Jakub dyspucie nadał, przebija jawnie. Argumen-

---

[1]) Czechowic nie wierzy, „żeby krwie wszytkim żydom potrzeba było dla jakiego oczyścienia, abo i tego tam papieskiego opłatka — błąd to i wymysł. Ale czarnoksiężnicy niektórzy człowieczéj krwie potrzebują, a ci się i miedzy żydy najdują i więcéj ich niż gdzie indziéj... wierząc temu, że tą nauką czarty zaklinać Salomon wynalazł. Tedy mniemam, iż z téj przyczyny musiało to mnimanie o powszechnym was żydów oczyścianiu uróść."

tów za i przeciw talmudowi, szabatowi i obrzezce nie myślimy streszczać, wydobywamy tylko kilka szczegółów dla folkloru żydowskiego. Nie będziemy powtarzać owych bajek o mesyaszu, przebywającym w raju lub między żebrakami w Rzymie, o czarnoksięskiéj mocy Chrystusa, jakiéj się z ksiąg Salomonowych wyuczył, i karze, jaka od Boga żydów potkała, że Jego i apostołów rychléj nie zabili, o królach próbujących prawdziwéj wiary, o zwiedzeniu króla rzymskiego przez dyabła, że żydom szabatu i t. d. dozwolił (motyw powtarza się dokładnie w naszych bajkach ludowych); zwracamy raczéj uwagę na przesądy zjawiające się i u ludu naszego, np. pyta Czechowic (str. 98) „ono wylewanie wody z domu tego, gdzie kto umarł i z inszych sąsiedzkich dla Maleachahamut, t. j. dla anioła śmierci, któryby miecz swój omyć miał w wodzie zabiwszy człowieka, skąd macie? także ono przez siedm nocy palenie świéce na onym miejscu, gdzie umarły był, dla dusze, która się wraca żałować rozstania się swego z ciałem?" Ale i u nas wyléwają wodę z naczyń za umarłym i wierzą w krążenie duszy około ciała i mieszkania. Wylicza Czechowic i inne „błędy": „gdy izby swe w koło kretą okryślacie, zagradzając tym okryślenim wszemu nieszczęściu, aby się do domów waszych nie wkradło .. w krecianym sznurze ufacie"; że żydzi nie grzeszą, gdyż co noc udają się dusze ich do Jehowy i wracają wyspowiadane rano do ciał; „one maszkary i komedye, które na święto Purim na wasze zapusty stroicie, ubiérając chłopstwo w białogłowskie szaty"; wyrzuca owe *tfilim* i *mezura*, kładzione na czoło, ramiona i w podwoje, owe *dzidzith* zawieszone u podołków, przedłużające żywotu i nie dopuszczające grzechu; wreszcie owe zwoje pergaminowe tory, sprawiane co roku, czczone ukłonami i całowane, gdy je z szaf wyjmują, obwieszane klejnotami, szczególniéj w uroczystsze święta; „ono wasze dokupowanie się tego, żebyście je w zgromadzeniu swym podnosili, czém téż goście częstujecie, gdy podkupiwszy drugiego gościowi, chcąc się mu zachować, wstąpić wzgórę i podnosić dajecie." Skarży się na ów „nieporządek w waszych schadzkach poranniejszych i odwieczornych, gdzie każdy swe prowadzi, a co rychléj z swoimi się modlitwami zwyczajnemi pośpiesza, jeden z drugim to i owo rozmawiając, a podczas się tamże zaraz niedokończywszy zaczętego nabożeństwa wadząc." Wytyka, jak się „dla jednego kwartnika długo targujecie, przysięgając się, *haj adonaj* mówiąc". Tak zakończyła się polemika chrystjańsko-żydowska; hebrajskie dzieło Izaka Trockiego „*chrystjan*" nie doszło; sekta judaizantów między nimi rychło upadła, nie przeszła do XVII wieku.

Po obszernym katechizmie należało dać zborowym ewangielię polską; Budnego tłómaczenia nie zadawalały i dla osoby tłómacza, podej-

rzanego o judaizm i dla stylu, a raczéj słów niezwykłych; wydał więc Czechowic r. 1577 (i powtórzył, w mniejszym formacie, dla łacniejszego nabywania, r. 1594) Nowy Testament, posługując się wykładem biblii brzeskiéj; lecz i to nie obeszło się bez skarg i wyrzutów niezadowolonych zborowych i autora samego; również o wydanie Zwierciadłka panienek chrystjańskich (r. 1582), z nauką o Bogu i naszych powinnościach, strofowano autora (wedle K. Wilkowskiego).

Dyalogi Czechowica, szerzone i po za kółkami „ponurzeńców", sprowadziły na głowę jego gromy, zarówno ze strony protestanckiéj jak i katolickiéj. Zaczepił go najpierw minister słowa bożego w Modlibożycach (przy panu Seb. Osieckim), Walenty Neothebel (z Lipska na Mazowszu rodem), dziełkiem p. t. „*Raphaelahi*, t. j. lekarstwo boże, żydom tak dawnego jako i dzisiejszego wieku ich podobnym, t. j. nowokrczeńcom, bardzo pożyteczne" (r. 1581). Zebrał on „w jeden snopek sto kwiateczków Pisma św.", cytat, dowodzących Trójcy i przedwieczności, lecz bukiecik ten miał zapowiadać większy upominek; z pióra kolegi, Piotra Łowicyusza „obiecuję, że go będziesz miał z kaszel, toć moja tylko drobionka, ale to tam gnaciste będą sztuki, bój się więc udawić, ja téż tymczasem więcéj do kuchni twojéj mogę rębić" — w podobnym tonie wojuje Neothebel z „panem" Czechowicem, „umykaj się tu Marciszku z swoim mistrzem Samoszatanusem i z onym harcerzem Errianem", przekręcając umyślnie te nazwy — „szkoda, że Czechowicowi Marcin dzieją, lepiéj by Tomasz, gdy zgoła wierzyć nie dopuści" i t. p. Poważniéj wystąpił ksiądz Paweł Gilowski, zwalczając w „Wykładzie katechizmu" (r. 1579) nowokrzczeńców; na wezwanie p. Stan. Taszyckiego z Lucławic odpowiedział Czechowic („Rozsądek na Wykład katechizmu" i t. d., r. 1581), zwracając się przeciw niektórym punktom nauki i metody Gilowskiego, głównie znowu w Chrystologii.

O wiele ostrzéj wystąpili katolicy. Ksiądz kanonik poznański, Hieronim Powodowski, bawiąc jako deputat duchowny na sądach w Lublinie, czytając Dyalogi, widząc jawną śmiałość Czechowica i jego adeptów, zawrzał wielkim gniewem i począł w kazaniach bronić nauki o prymacie rzymskim i in. i wyzywać na dysputę. Do dysputy z Czechowicem nie przyszło, tylko z Janem Niemojewskim ściérał się kanonik o prymat; dowiedziawszy się zaś, że Niemojewski zwycięstwem się chlubi, naglony o to i przez prymasa, Karnkowskiego, wydał kazania lubelskie w obszerniejszéj, gruntowniejszéj redakcyi p. t. „Wędzidło na sprośne błędy a bluźnierstwa nowych aryanów" (1582 r., ciąg dalszy téj materyi wyszedł 1588 r.); ton nadzwyczaj obraźliwy; Czechowica stale „bestyą" nazywa i t. p. Odpowiedzieli aryanie; Jan

Niemojewski w „Obronie przeciw niesprawiedliwemu obwinieniu" i t. d. (r. 1583), spokojnie i poważnie; Czechowic w *Epistomium* (t. j. kagańcu) na wędzidło i t. d., 1583 r.

Przedmowa, jaką Paweł Orzechowski, podczaszy chełmski z Drouska, zameczku ojczystego, *Epistomium* Janowi Zamoyskiemu ofiaruje, należy do najpiękniejszych pomników polszczyzny XVI wieku; napisał ją Czechowic, styl zdradza go wyraźnie. Zamoyski przysłał był „Wędzidło" Orzechowskiemu, żeby się do wiary przodków łacniéj nawrócił i już dawniéj odsyłał go do ojców kościoła. Orzechowski objaśnia, dlaczego w zawikłanych i wielomównych ich „patresach" nie smakuje; wspomina, że pomawiają Zamoyskiego o zakusy gwałtownego nawracania inowierców (chociaż to mu się potwarzą wydaje) i zapewnia, że i daléj na wzgardzonéj od świata, ciasnéj ścieżce słowa Bożego, „z krzyżem jako mogąc, by téż i na bałuku (na czworakach) wlec się będzie." Obszerne dzieło dowodzi najpierw, że prześladowanie „kacerzy" — Powodowski przeciw nim „powróz, miecz i ogień do ręku (Batoremu w przedmowie) z przynaglanim ostrym podawając, a jako mówią czapkę na kołek zawiesiwszy, to przedsię z siebie składa" — rzecz nie chrześciańska; uczy o Bogu i Chrystusie; wykłada rzecz o antykryście przeciw Rzymowi; są to te same materye, co i w „Obronie" Niemojewskiego. Ton Czechowica cechują już słowa zdrobniałe, mówi o żądostkach serduszka, o zboreczku i t. d.; zapewnia, że i oni (aryanie) przedtém w swym nierozumie niecierpliwość i gniéw okazywali, lecz nie teraz „po postanowieniu i zamknieniu rządu i karności między nami"; że jednak mimo tych zapewniań i oni „nie dają sobie grać na gębie i kołów ciosać na szyjach", dowodzi całe dzieło, pełne wycieczek przeciw Powodowskiemu, księży i praktykom rzymskim. Przytaczamy jedną obszerniejszą, by dać pojęcie o tonie całości i stylu Czechowica, wpadającego z prozy w ulubione wiersze:

„I radbym temu, żeby mi to JM. z apostoła, którego pokazał, co mówi, iż ta ich katolicka wiara zawżdy była od apostołów, a na imię, niech z apostołów pokaże sól i wodę, którąby też oni czarowali; kędy ogień w wielką sobotę czarując palili, jajca, słoninę, prosięta, jagnięta, koźlęta, kołacze żegnali? gdzie téż popioł, wirzbinę, rokicinę, zioła rozliczne, owies, wino, piwo, świéce kréślali, zaklinali i czarty z nich wyganiali? Omyli się na tym, żeby to z nich pokazać miał. Co iż wszystko katolika rzymska czyni i nadto co więcéj, a z jakąż się śmiałością z tymi grubymi chwastami do apostołów odzywać i onym się ich zborem zakładać?... Nuż jeszcze, tak li się apostołowie rządzili, jako się rządzą papiescy przegoleńcy, apostolskim się zakładając imieniem? Ganili-li małżeństwo i onego się odprzysięgali, fortę do wszeteczeństwa

otwarzając? Bawili-li się bałwochwalstwem i bałwochwalniami? Zasadzali-li odpuszczenie grzechów na budowaniu kościołów, kaplic, dzwonnic, krzesnic i ołtarzów? Lali-li też dzwony i ony, jakoby ludźmi miały być wiernymi, krzcili? Ubiérali-li się tak w rozmaite kosztowne choboty do nabożeństwa i tak-li do ludu lada co, trzy po trzy, obcym językiem mówili? Tak-li też relikwiami papieskimi i ekzorcyzmami abo zaklinanim czarnoksięskim czarty wyganiali?... Abo co wżdy nam takiego pokaże (ksiądz Powodowski) prawdziwie i skutecznie, w czym by przy apostołach trwali i w czym ich naśladowali? Jeśliby rzekł w bierzmowaniu i spowiedzi, tego nie pokaże, bo ksiądz mówi: *pax tecum*, gdy kogo bierzmuje, mówi mu: pokój z tobą, a wżdy policzkuje. Spowieda też złoczyńcę, z grzechów rozwięzuje a przedsię mu wnet potym kat ręce zwięzuje. Rozgrzesza i chorego, niebo obiecuje, Piotrowi go i inszym przyjąć roskazuje, tusząc mu, iż poń przyjdą wszyscy święci z nieba, a iż mu się mąk żadnych obawiać nie trzeba, ażci go zaś po śmierci tka w ogień czyscowy, chcąc by go wykupiły pozostałe głowy. Prosi też i za umarłym, stojąc z nim przy grobie, żeby w nim mógł trup jego odpoczywać sobie, a wżdy zaś w krótkiéj chwili wyrzuca go z niego, gdy kto potym zapłaci ono miejsce jego i t. d.

Wybiéramy jeszcze jeden ustęp przeciw praktykom rzymskim, świadczący wymownie o ludziach i czasach. We wielki piątek przed drewnem (krzyżem) „a przytym i przed jajcami zaraz, którymi go pospolicie niewiastki i chłopkowie okładają, padają na kolana i gdzie się komu dostanie, całują" (we Figlikach Reja żarty na ten temat, np. Chłopa w skrzyni rytego w kościół wszrotowali, Skło mu w piersi wprawiwszy zmartwywstaniem zwali, kobiéty okładały go gomółkami, jajcy, Machna całować nie chciała i t. d.; potym się w nocy wyga, pies, za formą zakradła, zjadła jajca i t. d.); papieżnicy pomnażają ciągle swe błędy, „jedni béczkami paciorki z Rzymu i z innymi relikwiami wożą, drudzy agnusy, serduszka, roszenia, *tria grana* pannam i paniam na szyjach i u ręku zawieszają, a drudzy wiersze zmarłemu Hozjuszowi (r. 1579) piszą, onego umarłego, jakoby Bogiem miał być, wzywają, Polskę w opiekę (chociaż niebył z rodu Polak) jako ojczyznę zlecają i wiele tych rzeczy od umarłego zebrzą, których i żyjący nie miał, że strach i mówić... Nie tylko Marcina (św.) tkają do młyna, aby w dzień swój młynarzom robić nie dał, ale im palce i cewy łamał, jeśliby się robić od godziny do godziny ważyli (bom umyślnie chodził sam do młyna z p. I. Olbieckim i o tom się pytał i tak młynarz zeznał, że to i od ojca swego, młynarza, słychał, iż się im koła łamały, kiedy się dnia tego robić ważyli), ale też i o oczy do Otyliej, o ogień do Wawrzyńca, o zęby do Apoloniej, o naukę do Katarzyny, o kaduk

do Walentego". W *Epistomium* powołuje Czechowic inne własne dzieła, np. *Respons* (przeciw dwójbożaninowi, dwójczakowi St. Farnowskiemu, rozrywającemu świéżo ukléconą zgodę lucławicką, r. 1581) i, niezachowany nam, Rozsądek tego, co o zwierzchności trzymamy i wierzymy (jak ją po Bogu i Chrystusie ważymy i do Boga za nią modlimy, chociaż się sami w to, co nam nie służy, nie wdawamy i braciéj się swojéj wdawać nie radzimy, obowiązani więcéj słuchać Boga, niż ludzi); inne rzeczy, np. „osobne książki na kapitułę 1 Janowę... Bóg to wié dla czyjéj przyczyny jeszcze w kącie leżą"; również nie znamy osobnych jego książek, „napisanych o usługowaniu zborowym" (Dyalogi k. 181).

Czechowic stanął wtedy u szczytu znaczenia i wpływu; co świątki (zielone) nawiedzali spółwiercy „rabina lubelskiego, herezyarchę, papieża nurzałowskiego", jak przeciwnicy szydzili; głosu jego słuchano chętnie; w polemice i dysputach jego na czele stawiano. I rzeczywiście górował on w małopolskim zborze nad innymi wiedzą i talentem; ówczesne „trzy języki" znał dobrze, choć łacinie jego brakło ozdoby stylu cycerońskiego, jakiéj zresztą prawdziwy protestant nie cenił ani szukał. Polszczyzna jego, wolna od dyalektycznego zabarwienia zupełnie, nosi przecież jakieś cechy miejskiéj mowy (przysłowia gminne, nie rycerskie; porównania trywialne, warsztatowe; nie sadzi się na wyższy styl, używa chętnie tych samych zwrotów; ale miejscami nabrzmiéwa poważną melodyą pieśni religijnéj, rozlewa się uroczyście i sprawia jeszcze dziś nie małe wrażenie; prostotą, przejrzystością okupuje autor brak głębokości i bystrości, sprzeczności i chwiejności, jakie jego wykład różnych miejsc Pisma św. albo tych samych miejsc w różnych czasach objawia [1]). Zalety Czechowica występują najwidoczniéj w ustępach retorycznych, np. w owych przedmowach do Dyalogów, Rozsądku i *Epistomium;* jeśli wedle nich sądzić wolno, to kazania jego musiały niechybnie wzruszać i przejmować słuchaczów.

---

[1]) Np. wedle ew. Mat. 2, 22, mieszkał Jezus w Nazarecie „aby się wypełniło to, co powiedziano było przez proroki, iże Nazarejczykiem nazwan będzie" (Mesyasz)—lecz w prorokach niéma takiéj przepowiedni. Otóż Czechowic (Dyalogi k. 144) usuwa tę trudność tak: Nadzarejczyk i Nadzaret miasto idzie od słówka Nedzer „kwiatek, młoda rószczka" a prorocy pospolicie kwiatkowi abo latorośli Mesyasza przypodobywali—tedy Jezus Nadzarejczykiem od kwiatka a nie od onych Nazarejczyków, co włosów niestrzygli, nazwany był.., jakoż gdym téż sam o tym niedawno z żydem jednym uczonym mówił, tedy nietylko na tém przestał, ale téż to wyrozumienie pochwalił i t. d. Izak Trocki „wyrozumienie" to pominął, i słusznie, milczeniem, choć „trudność" tę parę razy wytykał. Sprzeczności w wykładzie Czechowica wymienia np. K. Wilkowski.

Polepszyła się teraz i materyalna sytuacya i zdrowie Czechowica. Prócz urzędu i książek, doglądał on pilnie gospodarstwa i dworku podlubelskiego — już choćby dla tego, że aryanie rakowscy kiedyś (około 1570 r.) wszelką pracę umysłową odrzucali i wyłącznie z pracy rąk żyć i jéj oddawać się za Ewangelią uczyli, może pod wpływem takich myśli zajmowało go chwilowo i tokarstwo („tu w Lublinie mi się mistrz trafiał, który mi je pokazać usiłował i naczynia nadawał"—mówi o sobie w *Epistomium*), lecz się go przecież nie wyuczył. Pojawił się dostatek, wnosiły go żony, szlachcianki, jakich dwie pochował; miał, przeciw woli zborowych, i w trzeci związek małżeński wstąpić. Z wszystkiego tego szydził przeciwnik; czy takim był żywot Chrystusa, którego wy rzkomo naśladujecie? „wszakeś ty był przedtym chudym dzwonnikiem w Zbąszyniu, a teraz i szlachciankę masz za żonę... widziałem, kiedy cię w rydwanach i na karetach dobrze usłanych wożono... ty będąc ubogim kleszką, z poddaństwa uciekszy, panemeś został, pieniędzy na lichwę dajesz i w lichwie mieszkasz, wiele inszych, i Niemojewskiego, do ubóstwa przywodzisz, aż się u ciebie starzec ubogi żywić musi, partekę chleba u ciebie wyrabiając... jam widział, ciebie siedzącego za rozkosznym stołem między niewiastami, tyjącego jako wieprza, aleć i żona twoja nie bardzo od głodu schudła... widział, kiedyś świniom swoim parzył... jakoś ty Bachusowy żarłoku wyżarł majętność ubogiego Niemojewskiego... tak, że i on drugi dziad Brzeziński, któregoś ty na wieczerzach wyjadł, teraz głodu przymiéra... ...i w Zbąszyniu jeszcze twoje niecnoty, któreś sam pobroił, śmierdzą, a teraz na starość i przez skórę śmierdzisz, tym plugastwem i niemogli cię twoji nurkowie na starość od niewiasty odwieść, pojąłeś śmierdzący dziadu szlachciankę przeciw woléj wszystkich nurków ...jeszcze naraj męża onéj wdowie lubelskiéj, Krokierowéj, która często u ciebie na wieczerzy odwieczór bywa, niewiem w który obyczaj i t. d."

Lecz lata brały swoje; powoli ścieśniały się czynność i znaczenie; prace literackie ustawały. W dziewiędziesiątych latach wyszły tylko dwie broszury przeciw Wujkowi, broniącemu Trójcy św., i ganiącemu wykład Nowego Testamentu, p. t. Wujek t. j. krótki odpis i t. d. (1590) i Plastr na wydanie N. T. przez ks. I. Wujka (1594, ma być 1597); na Plastr odpowiedzieli jezuici, Recepta na plastr Czechowica przez Szczęsnego Zębrowskiego (1597); z broszury téj właśnie wyżéj korzystaliśmy. Ton jéj, nawet i na te czasy, okropnie ostry i obraźliwy—nie ceremoniowano się już z heretykami; zwroty jak „piekielny kruku", „morderzu ciał i dusz ludzkich", „że cię czarci za te bluźnierstwa do tego czasu nie wzięli, to oni czynią, że się boją, abyś ich tymi słowy tak jadowitymi nie wyswarzył z piekła, ale czekają, aż się tu

wyszczekasz wyswarzysz i wyszalejesz, tożci dopiéro dadzą miejsce między sobą" i podobne powtarzają się ciągle. Szczególniéj tryumfowali katolicy z dziwnego przypadku, jaki się trafił był Czechowicowi w lubelskiéj dysputacyi z jezuitą Jostem: dysputując o władzy Piotra św., tym się był Czechowic zaklął, aby go Bóg niemotą skarał, jeśliby fałsze forytował, i wszyscy rzekli amen—on zaś niebawem rzeczywiście oniemiał, nawet nurek, Erazm Otwinowski, opisując wierszami tę dysputę, przyznał:

Lecz on potym rzekszy to, Niewiem, co się dzieje,
Że tak mówić niemogę, język jakoś mdleje.

Szczególniéj tracił Czechowic wpływ na dorastające pokolenie aryańskie; musiał tu ustępować Socynowi, przewyższającemu go wiedzą i talentem, bystrością i obrotnością, ogładą i taktem; uporne trzymanie się znaków powierzchownych, symbolów, aby bez nich zbór w pogaństwo nie popadł, odbierało mu resztę powagi i miru. Nie następowano na niego jawnie, póki żył ceniony powszechnie Niemojewski, najgorliwszy jego zwolennik; lecz ze śmiercią tegoż (r. 1598) runął ostatni filar Czechowica; tego samego roku jeszcze usunięto go, pewnie pod pokrywką starości, z ministeryum lubelskiego, polecając je Lubienieckiemu i Szmalcowi. Ujmowali się inni za Czechowicem i dłuższy czas walczył szczególniéj Szmalc z uprzedzeniem ich i niechęcią, nim je pokonał. Tak przeżył Czechowic siebie samego; do końca wytrwał przy swém zdaniu, podobnie jak inny rówieśnik, Farnowski, dogorywający samotnie w Sączu—obaj jedyni pozostali z owego szeregu pierwszych antitrynitarzy polskich. Lecz osobistéj niechęci przeciw Socynowi i Lubienieckiemu nie przeniósł Czechowic na zbór; blizki śmierci — umarł w listopadzie 1613 r., licząc lat osiemdziesiąt jeden — jeszcze nawoływał i tych co przy nim wytrwali, by Zboru Małego (aryańskiego) nigdy nie rzucali [1]).

A. Brückner.

[1]) Nie usłuchali najbliżsi, własne potomstwo; pisze o tém A. Chrząstowski w Obronie dyalogu r. 1619, str. 44. „Co z strony potomków pana Czechowicowych, że się do zboru ewangelickiego udali, bogdaj się we wszystkiem jako trzeba nauce Zbawicielowéj nadali, aleć ja lepiéj o tém wiem, niż waszmość wszyscy: coś inego, nie ociec, im tam drogę ukazał, podobno trochę przestrzeńsze życie, a też nie wszyscy się tam do was udali".



ANGLIA SPOŁECZNA.

Social England. A record of the progress of the people, by various writers. Edsted by H. D. Traill. London, 1894 — 97. Casnell et C — 6 vol in 8-o.

Mnożą się w piśmiennictwie angielskiém wydawnictwa dzieł zbiorowych, przechodzących swym planem i zakresem siły jednego autora. Pomiędzy temi, któremi rok zeszły będzie miał prawo się szczycić, wymienić należy przedewszystkiém *Social England* p. H. D. Traill. Jest to historya społeczności angielskiéj od jéj brzasku aż do ostatniego dziesięciolecia. Rozpoczęte w r. 1894, wydawnictwo to doprowadzone zostało do szczęśliwego końca przez ogłoszenie niedawno szóstego tomu. Jak tytuł zapowiada, nie jest to historya królów, ani bitew, ani wypadków politycznych, pisana podług zwykłéj reguły, ale kronika rozwoju społecznego w dziedzinie religii, prawa, nauki, sztuk, przemysłu, handlu, literatury i obyczajów. Osnowa dzieła odpowiada całkowicie temu programowi i przynosi chlubę wydawcy, p. H. D. Traill i wszystkim uczonym, których wezwał do współpracownictwa, a którzy stanowią kwiat uniwersyteckiego świata i inteligencyi krajowéj. Wspólnemi siłami dokonali oni całkiem nowego, jedynego, jeżeli się nie mylimy, przedsięwzięcia w piśmiennictwie uropejskiém. Powinno ono wywołać naśladownictwo w innych krajach. Zdaje nam się właściwém pomówić o niém szczegółowo.

Nie brakowało Anglii w naszém stuleciu wielkich historyków. Za Gibbonem, który datą swéj śmierci należy do XVIII wieku, ale swym wpływem do naszego, spotykamy — ażeby wymienić jedynie najpopu-

larniejszych—takich historyków, jak H. T. Buckle, Jerzy Grote, Tomasz Carlyle, Lord Macaulay, E. A. Freman, J. A. Froude, J. R. Green, a pomiędzy żyjącymi W. E Lecky i Sam. R. Gardiner. Co za świetna konstelacya talentów, co za szerokie pole badań i dociekań, ile światła rzuconego na przeszłość, ile pracy, ile mozołu! A fizyognomia każdego z tych historyków odmienna i różnice pomiędzy sposobem w jaki pojmowali oni zadanie swoje—uderzające. Na pierwszy rzut oka zdawaćby się mogło, że jeżeli nie wszyscy to przynajmniéj niektórzy z tych rozgłośnych pisarzy, w ocenie których krytyka wyczerpała swe pochwały, znaleźli ostateczną metodę, jak historyę pisać należy, że stworzyli typ nieśmiertelny, na którym wzorować się następnym czasom wypadnie.

A otóż właśnie rzeczy stoją inaczéj. Owi słynni historycy dnia wczorajszego należą już do przeszłości. Są i będą czytani długo jeszcze, o tém nie wątpimy, ale dla literackich swych zalet. Natomiast dla społeczeństwa w jego życiowéj całości, dla masy narodu ich piękne księgi będą się coraz bardziéj stawać księgami sybillińskiemi. Nie mogąc napotkać w nich tego, o co téj wielkiéj publiczności przedewszystkiém idzie, mianowicie wszechstronnego obrazu rozwoju społeczeństwa, wyłuszczenia procesu organicznego, którego my sami jesteśmy ostatnim wytworem, przechodzą obok ich uczonych badań albo błyskotliwéj syntezy z coraz większą obojętnością. Skutkiem takiéj zmiany punktu widzenia, owe wspaniałe utwory historyków robią na nas wrażenie zapylonéj galeryi antenatów. My chcemy, ażeby historya stała się istotnie mistrzynią życia, a nie znajdując w podawanéj dotychczas strawie dostatecznéj karmi, zmuszeni jesteśmy przygotować sobie inną o mniéj wybujałych ambicyach, ale dokładnie naszym potrzebom odpowiadającą.

Nie ma przesady w tém, co mówimy o zblednięciu sławy potężnych historyków wczorajszych. Byłoby okrucieństwem rozwodzić się nad stanowiskiem, jakie dzisiaj przyznawane jest Buckle'owi. Ale zmiana zapatrywania jest więcéj jeszcze uderzająca, gdy się bierze pod uwagę takich koryfeuszów, jak Macaulay, jak Carlyle, jak Froude.

Macaulay, ów pisarz, ktorego poczytność i popularność na rodzimym gruncie odbiła się wnet echem w całym świecie cywilizowanym, wysławiany jako genialny historyk, czémże jest dzisiaj? Krytyka jednozgodnie — a stało się to świéżo w ocenie najpoważniejszego z jéj arystarchów, Fryderyka Harrisona—przyznaje mu wartość jako interesującemu essayiście, ale o jego wartości jako historyka wyraża się surowo. Wyrzucają mu jego płytki optymizm, jego ślizgającą się powierzchowność, sprowadzenie dziejów do prostego narzędzia, służącego

polityce jednego stronnictwa, whigów; utrzymują, że nie ma w nim ani źdźbła myśliciela i filozofa, że nie podejrzéwa on nawet znaczenia zagadnień socyalnych. Nie historyę miał pisać, ale romans, na przelotném spojrzeniu w dokumenta historyczne osnuty. Nie smakują już nawet teraz w jego literackiéj formie, którą sobie był utorował drogę do sympatyi powszechnéj i wytykają mu pompatyczną frazeologię, deklamacyę adwokacką na zimno, nadużywanie antytezy i t. d.

A z Carlylem, z mędrcem z Chelsea, z pisarzem, co miał wpłynąć więcéj, niż którykolwiek inny, na wytworzenie się nowego pokolenia umysłowego, co się z nim stało, jako z historykiem! W niespełna dwadzieścia lat po jego śmierci nic już z dwóch jego wielkich dzieł historycznych nie zostało. „Fryderyk Wielki" i „Historya Rewolucy Francuskiéj" uważane są jako pamflety podyktowane mizantropowii cierpiącemu na wątrobę przez stronnicze namiętności. A co do trzeciego jego dzieła historycznego, poświęconego Cromwellowi, to powiedziano o niém dowcipnie, że jest to poprostu szczęśliwy wypadek geniuszu!

Skoro dwie tak olbrzymie reputacye runęły, to dziwić się nie ma powodu, że Froude, który poświęcił 20 lat życia i 12 tomów historyi reformacyi w Anglii, w któréj starał się udowodnić, że królowa Elżbieta była pospolitą wcale kobiétą, a za to Henryk VIII wielkością pierwszego kalibru, nie ma powodu się dziwić, powiadamy, że taki Froude traktowany jest jako humorysta, jako przedstawiciel paradoksu podniesionego do wysokości systemu.

O Lecky'm i o Gardinerze, jako żyjących nie można jeszcze wydawać ostatecznego sądu. Ostatni przez swą benedyktyńską pracowitość i sumienność w każdym razie budzić musi podziw. On téż więcéj niż wyżéj wymienieni znajduje się w pokrewieństwie duchowém z prądami dnia dzisiejszego. Jedyny za to historyk, który wyszedł zwycięsko z tego szturmu, zabójczego dla reputacyi wczorajszych wielkości, jest J. R. Green. Jego 8-tomowa historya Anglii, któréj pierwsza edycya wyszła przed dwudziestu laty, a szczególniéj jéj popularne skrócenie pod tyt.: „Krótka historya narodu angielskiego", obie doprowadzone przez autora do 1815 roku, lepiéj niż jakiekolwiek inne dzieło odpowiedziały potrzebom czytającéj publiczności. Po raz pierwszy życie społeczeństwa w rozmaitych swych fazach i postaciach zbadane zostało gruntownie i przedstawione w swym pochodzie historycznym bez lekceważenia żadnego z czynników, które dawniejszym pisarzom nie zdawały się zasługiwać na zaszczyt nawet pobieżnéj wzmianki. Nadzwyczajne powodzenie, jakie ta praca znalazła, było wskazówką, że punkt widzenia społeczny uległ zmianie radykalnéj, że owe biografi-

czne szczegóły wydatnych działaczy, że obrazy bitew i wypraw mniéj mają wartości w oczach dzisiejszych pokoleń, aniżeli zrozumienie organizacyi społecznéj w kolejnych epokach i jéj postęp ku ostatecznéj emancypacyi. Nie dziwota, że od czasu jak J. R. Green wskazał drogę, wielu historyków puściło się nią. Ostatnim utworem przykrojonym podług tego wzoru jest historya angielska p. W. H. S. Aubrey, w trzech tomach pod tyt.: „Wzrost i rozwój narodu angielskiego." Jest to kompilacya tylko i praca z drugiéj ręki, ale rozpowszechnienie znalazła szerokie i stała się popularnym podręcznikiem, szczególniéj dzięki temu, że autor doprowadza czytelnika aż do dnia dzisiejszego.

Można tedy powiedziéć, że cała atmosfera intelektualna, całe środowisko chwili obecnéj poddawały p. Traill taki a nie inny plan, gdy zamierzył wydać historyę Anglii: musiała ona być społeczną Anglią przedewszystkiém a potém dopiéro polityczną, dyplomatyczną, wojskową i t. d. Plan ten wyłuszczony jest jasno i systematycznie we wstępie. Gdybyśmy nie wiedzieli, jak wysokie stanowisko Traill zajmuje w piśmiennictwie angielskiém, jak wielostronna jest jego działalność jako krytyka, biografa, historyka, essayisty, jakiéj reputacyi używa wśród kół inteligencyi, jak rzutkim i otwartym jest jego umysł, to już sam jeden plan téj „Anglii społecznéj" byłby w stanie dać o nim pochlebną opinię i on też pozwala zrozumiéć, że tak znakomite grono współpracowników stanęło odrazu około niego.

„Pierwsze i najprostsze pojęcie, jakie sobie tworzymy o historyi jakiegokolwiek narodu—powiada p. H. D. Traill na wstępie—musi być pojęcie o nim, jako o społeczności, t. j. o indywiduach stowarzyszonych zrazu dla wzajemnego podtrzymywania się w walce z wrażémi siłami natury i dla wspólnych korzyści w nabywaniu i rozdziale produktów. Ale to stowarzyszenie wytwarza samo przez się prawa i obowiązki; z praw i obowiązków powstają ustawy i rząd, a z nich polityka, z wzajemnego zaś oddziaływania jednéj na drugą przychodzimy do szerokiego pojęcia państwa pomiędzy innemi państwami". Nie polityką i nie organizacyą państwową chce się on zajmować, ale społeczeństwem samém, ową pierwotną podstawą całéj dalszéj budowy. Ale natychmiast zastrzega się przed wszelką wyłącznością i jednostronnością, gdyż jest oczywistém, że ustrój prawno-polityczny, tak samo jak międzynarodowe położenie państwa oddziaływać muszą na społeczeństwo samo. Kwestya sprowadza się więc do umieszczenia każdego z wchodzących w grę czynników na przynależném sobie miejscu. Z epicznych wyżyn historya zejść powinna do gospodarskiego obrachunku, nie zapominając, że na to gospodarstwo wywiérają wpływ i oddalone okoliczności.

Ale nie dość jest oderwać się od despotyzmu wypadków politycznych i wyodrębnić, odosobnić fakty ściśle natury społecznéj, to jest takie, które się odnoszą do moralnego, umysłowego i materyalnego rozwoju społeczeństwa, trzeba wiedziéć, w jaki sposób te ostatnie rozpatrywane być winny, czy całościowo, czy częściowo, szczegół po szczególe. Pierwsza metoda przemawia do imaginacyi przez syntetyczny obraz, który maluje, — druga pozwala ściśléj uchwycić przedmiot i dojść do wyników pozytywniejszych. Tę drugą obrał p. Traill i jego współpracownicy, chociaż pociąga za sobą niedogodność przerywania wątka opowieści i ewentualnego powtarzania się; ale są to usterki drugorzędne w porównaniu z korzyściami, jakie ona daje.

Społeczną historyę swoją rozpatrują autorowie w siedmiu oddzielnych działach, mianowicie organizacyi cywilnéj, religii, oświaty i wiedzy, literatury, sztuki, handlu i przemysłu, obyczajów. Nie da się zaprzeczyć, że takie rozgatunkowanie przedmiotu jest trafne i że go wyczerpuje. Znając gruntownie rozwój społeczeństwa angielskiego w każdym z tych działów, będzie się znało całą jego dziejową ewolucyę. Nie potrzebuje wydawca długo usprawiedliwiać swego wyboru, którego słuszność bije w oczy. Uprzedza atoli, że dział pierwszy, poświęcony organizacyi cywilnéj społeczeństwa, będzie obejmował, obok głównych wypadków politycznych, rozwój instytucyi administracyjnych, w których się wyraża życie jego. Co do drugiego, poświęconego religii, okazało się niezbędném nie tracić nigdy z oczu potrójnego zapatrywania się na nią, jako na wiarę, na obrządki kościelne i na dyscyplinę. Dopóki trwała jedność Kościoła, nie było potrzeby traktować każdego z tych poddziałów odrębnie, ale stało się to niezbędném od epoki reformacyi, a następnie rozpadnięcia się protestantyzmu na rozmaite sekty. W dziale trzecim, poświęconym oświacie i wiedzy, we wcześniejszych epokach rozwoju narodowego, są to pojęcia nieledwie identyczne; oczywista, że im bardziéj zbliżamy się ku naszym czasom, tém większa staje się konieczność traktowania każdego z tych czynników odpowiednio do wpływu, jaki wywierał na organizacyę społeczną. To samo da się powiedziéć o dziale czwartym, poświęconym piśmiennictwu. Są oddalone epoki, w których jest ono jednoznaczne z oświatą i wiedzą ścisłą, ale niebawem rozgraniczenie ich i samodzielne istnienie literatury nie ulega już wątpliwości. W piątym dziale, traktującym o sztuce, długo będzie mowa prawie wyłącznie o architekturze, i to architekturze religijnéj; malarstwo, rzeźba występują dopiéro na scenę znacznie późniéj. Gdy w szóstym — autorowie biorą pod uwagę handel i przemysł, to są uprawnieni z początku do traktowania pod jedną rubryką rolnictwa i przemysłu, ale następnie nietylko że roz-

dzielone być muszą, ale nawet sam handel roztrząsać wypada odrębnie wewnętrzny, odrębnie zagraniczny. Najoryginalniéj w tym programacie zapowiada się dział ostatni, poświęcony zwyczajom i obyczajom. Mamy tu do czynienia z pierwiastkami pozbawionemi ścisłości, lekceważonemi dotąd przez historyków i trudnemi istotnie do ujęcia. Znajdują się one w bezpośredniéj zależności od religii, od oświaty, od stanu przemysłu; ale są, rzec można, ostatnim rezultatem życia społecznego, wykładnikiem cywilizacyi w danéj chwili dziejowéj. Rozdziały tu się odnoszące wywołały najżywszy interes u publiczności i najwięcéj się przyczyniły do powodzenia „Historyi" społecznéj.

Już z tak nakréślonego planu można sobie zrobić przybliżone wyobrażenie, czém ma być to dzieło. P. Traill uważał jednak za właściwe objaśnić z góry, jaki duch przewodniczy każdemu z tych rozmaitych względów, pod jakiemi społeczność angielska jest tam rozpatrywana. A nie jest to przezorność zbyteczna, bo rozmaite wątpliwości rodzić się mogą w umyśle czytelnika. Co może znaczyć np. „Organizacya cywilna"—pojęcie zrozumiałe w społeczeństwie rozwiniętém, cywilizowaném, gdy je zastosować przyjdzie do pierwszéj epoki zbiorowego bytu, przed wylądowaniem rzymskich legionów Cezara na 55 lat przed narodzeniem Chrystusa. Niezawodnie w oczach historyków dawniejszych społeczny byt owych hord barbarzyńskich nie posiadał najmniejszego znaczenia i traktowali oni tę dzicz pogardliwie. Ale obecnie pogląd taki ustąpił miejsca innemu, wręcz przeciwnemu. Wiemy już, że czterowiekowa okupacya Anglii przez Rzymian była tylko epizodem efemerycznym w rozwoju mieszkańców tego kraju, że przed tą inwazyą zbrojną zdarzały się inne, które rzuciły pierwsze ziarna organizacyi społecznéj, i że owa organizacya brytańsko-celtycka, po ustąpieniu Rzymian, podniosła się natychmiast, jak się podnoszą kłosy po przejściu uraganu, niepołamane. Okupacya rzymska zostawiła po sobie więcéj śladów materyalnych, zewnętrznych, aniżeli tych, co się w ustroju społecznym objawiają. Brytanie nie przyswoili sobie administracyjnego systemu swych władzców, a inwazya normańska siódmego stulecia, znalazłszy na gruncie angielskim pokrewne swéj cywilizacyi pierwiastki, nie napotkała przeszkód do prowadzenia daléj pasma organizacyi narodowéj. I cały jéj przebieg historyczny jesteśmy dziś w stanie, dzięki wielu dokonanym poszukiwaniom, zrozumiéć w jego logicznéj ewolucyi.

Mniéj dowodów wymaga wykazanie ścisłego związku i potężnego wpływu religii na życie społeczne, uderzać on musi każdego. P. Traill przypomina atoli, wśród jak odrębnych okoliczności walczyło w Anglii pogaństwo z chrześciaństwem i jak się utworzył ów kościół anglikań-

ski, istniejący już dwanaście wieków i zlewający się z istotą narodu. Starcie w XII-ém stuleciu pomiędzy kościołem a koroną co do przewagi kościelnéj albo państwowéj powagi i jurysdykcyi może być uważane za przegrywkę do reformacyi. Całe dalsze losy społeczeństwa angielskiego zarysowały się od chwili przyjęcia protestantyzmu i owiania go duchem purytanizmu. Chociaż jego wpływ i znaczenie nie jest dziś tak potężne, jak przed dwoma wiekami, to byłoby błędem nie do darowania utrzymywać, że społeczeństwo angielskie wyswobodziło się odeń. Bynajmniéj. Charakter narodu i jego działalność w wielkich, tak samo jak w podrzędniejszych sprawach, jest ciągle jeszcze nawskroś przesiąkły doktrynami kościoła narodowego. Nacisk silny, jaki na to kładzie wydawca, znajduje swe usprawiedliwienie w toku dzieła.

Mówiąc o oświacie i naukach ścisłych ze stanowiska ich oddziaływania na społeczeństwo, p. Traill przypomina, że w dawnych stadyach rozwojowych płynęły one za pośrednictwem kościoła. Pierwszym zwiastunem ich emancypacyi było założenie uniwersytetów: chociaż znajdowały się w ręku duchowieństwa, zakłady te rozwijały się niezależnie od niego, co się wszelako dopiéro z biegiem czasu całkowicie wykazać miało. Dłużéj, niż na stałym lądzie, trwało w Anglii panowanie scholastycyzmu, bo późniéj przedarło się do niéj światło promieniejące od renesansu. Uosobieniem nowego ducha, co wtedy tchnął w społeczeństwo, jest Roger Bacon, który uważał siebie za odnowiciela nauk ścisłych, wytknął wprawdzie metodę opiérającą się na zasadzie doświadczalności, ale mniéj posunął wiedzę sam, aniżeli przyczynił się do otworzenia na roścież jéj podwojów dla swych następców. Harvey i Sydenham, Boyle i Gilbert, Locke i Hobbes, a przedewszystkiém Izaak Newton — oto ci następcy, a instytucya *Royal Society* nigdy już pochodni wiedzy zgasnąć nie pozwoliła. Mimo jałowego dla wiedzy wieku XVIII-go, jego schyłek pokazuje już żywą działalność na wszech jéj zagonach, a nasze stulecie przez szereg nieprawdopodobnych prawie odkryć i wynalazków, przez odkrycie nowych sił w przyrodzie, przez prace w dziedzinie fizyki, chemii, przez wyzyskanie elektryczności, a nakoniec postawieniem przez Karola Darwina teoryi ewolucyi pchnęło wiedzę na całkiem nowe gościńce i pozwoliło jednym skokiem wznieść się społeczeństwu na wyżyny oświaty, prawie niemarzone.

Kréśląc zarys, w jakim literatura traktowana będzie, autor zwraca uwagę, że w jéj początkach nie wystarcza zajmować się samym rozwojem myśli, jak to miało miejsce z religią, oświatą albo filozofią, lecz że tu jeszcze uwzględniony musi być inny pierwszéj wagi czynnik, mianowicie język. W żadnym kraju tworzenie się języka nie odbywało się

wśród tylu sprzecznych żywiołów i prądów. To stopniowe klarowanie i ustalanie się języka, którym niezadługo połowa ludzkości mówić będzie, trwało sześć wieków od VII do XIV. Nic ciekawszego, jak drugi rozdział tomu pierwszego, gdzie czytelnik znajdzie obraz tego przekształcenia się i ostatecznego urabiania języka. Takie analizy i te, które poświęcone są następnie epokom przejściowym, na zewnątrz martwym i jałowym, ale przygotowującym właśnie w swém łonie rozkwit przyszłości, mają dla historyka większe znaczenie, aniżeli obraz epok krystalizujących się w jednéj górującéj osobistości, jak Chaucer'a albo Shakespeare'a. Właśnie przez to poświęcenie szczególnéj uwagi peryodom przejściowym, zazwyczaj wzgardliwie pomijanym, p. Traill i jego współpracownicy udowodnili, jaki wysubtelniony zmysł historyczny posiadają.

Jakkolwiek odrębne są jedna od drugiéj dziedzina sztuki pięknéj i dziedzina przemysłu i handlu, jakkolwiek pierwsza należy do sfery duchowéj rozwoju narodowego, a druga do materyalnéj, to spostrzegamy pewną jednakowość myśli przewodniéj, która w ich ocenie narzuca się umysłowi autorów obecnéj „Historyi". Gdy się zajmują sztuką, muszą wytłómaczyć, jak się stało, że społeczność angielska przez cały szereg wieków znała tylko jedną jéj formę — architekturę — i że chociaż renesans zawitał na jéj ziemię późniéj, niż do innych krajów, zdążyła ona w ciągu ostatniego stulecia nietylko przez jeden olbrzymi wysiłek wynagrodzić czas stracony, ale stworzyć oryginalną szkołę narodową, zabłysnąć mnóstwem wielkich artystów i dzieł genialnych. Taki skok od zacofania, od nicości, od próżni do pełnego, samodzielnego rozkwitu jest unikatem. Ale właśnie coś podobnego miało miejsce także co do przemysłu i handlu. I tu angielska społeczność zależała pole, dała się wyprzedzić innym narodom, i tu nie zdawała się zdolną do zwalczenia wielu przyrodzonych przeszkód. Kraj ubogi, o nędznem rolnictwie, nie posiadający przemysłu, nie umiejący nawet budować okrętów gdy już inne narody posiadały pokaźne floty, bez kolonii aż do czasów Elżbiety, naraz naród ów, wyczerpany domowemi i ościennemi wojnami, krzepnie, odradza się, rzuca się do wszelkiego rodzaju wytwórczości, rozwija jedną gałąź przemysłu po drugiéj, zawiązuje stosunki handlowe z całym światem, zwiedza kulę ziemską, pokrywa swemi koloniami jéj powierzchnię, wytwarza marynarkę kupiecką i wojskową jakich świat nie znał przedtém i staje się nietylko emporyum dla handlu wszechświatowego, ale i najbogatszym z narodów. Taki prozaiczny przedmiot, jak handel i przemysł, gdy go bierze pod uwagę historyk angielski, wydaje się powieścią fantastyczną, czarodziejską. Podług staroświeckich przesądów, ta tylko dziatwa na zdro-

wych wyrastała ludzi, która w dziecińtwie rosła tępo, powolnie i przechodziła rozmaite choroby. Byt Anglii wskazuje tak samo pod względem artystycznym, jak i ekonomicznym, właśnie takie prawo rozwojowe.

Wyżéj już zwrócona była uwaga, że najoryginalniejszą i najponętniejszą częścią téj „Historyi" jest ta, która jest poświęcona przekształceniu się i rozwojowi obyczajów. W wyłuszczaniu planu p. Traill nie kładzie zbytecznego nacisku na zmianę ich stopniową wskutek podniesienia materyalnego poziomu życia: zmiany ich na lepsze udowadniać nie potrzeba. Ale zaspakajającym wynikiem jego spostrzeżeń musi być to, które stawia jako aksyomat stopniowe oczyszczanie się, uszlachetnianie, uduchowienie się życia społecznego. Nietylko nazewnątrz, ale i w swém wnętrzu staje się społeczność bardziéj wyrafinowaną. Dusza Anglika XIX-go stulecia jest odmienna od téj, którą posiadali jego przodkowie wieku XI-go. Tak jak sposób życia, sfera zapatrywania, *criterium* moralne tych dawniejszych pokoleń wprawia nas w ździwienie i wywołuje nieraz uśmiéch politowania, tak samo, nie ma wątpliwości, postąpią względem dzisiejszéj społeczności oddalone prawnuki; ale można być pewnym, że i oni dojrzéć potrafią różnicę cywilizacyi, jaka dzieli pewne epoki rozwojowe. Im głębiéj sięgają badania historyczne, tém dobitniéj występuje na jaw ta prawda, iż pomimo chwilowych i pozornych momentów zastoju, albo cofania się wstecz, ludzkość idzie bez ustanku naprzód i naprzód. Historya społeczna Anglii przynosi do uzmysłowienia téj prawdy mnóstwo niezbitych dowodów.

Moglibyśmy, po tak drobiazgowém streszczeniu wstępu, w którym plan przedsięwzięcia szeroko i podniośle zakréślony został, złożyć sprawozdawcze pióro i zadanie nasze o tyle dokonaném-by zostało, że czytelnik o ważności dzieła mógłby być przeświadczony. Oczywista, że nie można się porywać ani na krytykę, ani nawet na sąd ogółowy o dziele, które jest niejako encyklopedyą, dziele podjętém przez kilkudziesięciu pisarzy, z których każdy jest w swéj specyalności znakomitością. Nie można właśnie ze względu na osobistości autorów nazwać téj historyi społecznéj—kompilacyą. Współpracownicy przynieśli do niéj, że tak powiemy, kwintesencyę swych uprzednich, nieraz długoletnich i mozolnych badań własnych. Jest to najdoskonalsze *vade mecum* do dziejów cywilizacyi angielskiéj i prawdopodobnie służyć będzie więcéj jako książka, do któréj oderwanych tomów i rozdziałów odwoływać się będzie masa pracowników umysłowych, aniżeli jako opowiadanie historyczne, które się jednym tchem czyta od początku do końca. Będzie ono oddawało te same usługi zajmującym się stosunkami angielskiemi, ja-

kie dla powszechnych oddaje *l'Histoire Genérale* pp. Lavisse i Rambaud, i plan nawet jest pokrewny. Wyższość, jaką zdaje nam się posiadać dzieło wydane przez p. Traill'a, leży nietylko w tém, że historya, ograniczając się do jednego kraju, ściśléj obejmuje przedmiot, ale i w tém, że każda część narodowego życia traktowana jest przez ludzi, którzy badaniu jéj poświęcili swą działalność wyłączną. Biorąc tego rodzaju książkę do ręki, jest się z góry przygotowanym na to, że nić logicznego opowiadania co chwila się przerywa, że mogą się znaléść powtarzania, że w niektórych szczegółach i informacyach autorowie różnić się mogą co do drugorzędnych punktów, ale tego rodzaju usterki znikają wobec usług, jakie oddaje całość. Gdy przyjdzie jakiemu pisarzowi ochota dać syntetyczny obraz cywilizacyi angielskiéj, wystarczy mu rozebrać te opłotki, zburzyć te kopce graniczne, które współpracownicy „Historyi społecznéj Anglii" wznieśli, a ujrzy odrazu swą pracę już przygotowaną. Tak jak wodewilista francuski pisał naprzód sztukę, a następnie, podług naiwnego swego zeznania dodawał do niéj dowcipy, tak i ten przyszły historyk cywilizacyi angielskiéj nie będzie potrzebował dodać do tego dzieła nic więcéj, jak szumne frazesy i historyozoficzne ogólniki. Powinszować można epoce naszéj, że smakuje w potrawie bez takiéj przyprawy.

Autorami pierwszego rozdziału, noszącego tytuł „Anglia przed Anglikami", są historycy epoki celtyckiéj, jak Owen Edwards, i epoki rzymskiéj, jak F. T. Richards (obaj profesorowie oksfordzcy), są duchowni, jak Rew. Williams, który szkicuje przejście z poganizmu do chrześciaństwa, są wojskowi, którzy jak pułkownik Cooper-King zapoznają nas z organizacyą militarną téj wojowniczéj epoki, archeologowie i sztukoznawcy, jak R. Hughes i t. d. Tylko co zmarły P. H. Newman, brat kardynała, traktuje w tym pierwszym rozdziale życie społeczne, t. j. tę część, która stanowi indywidualne piętno tego dzieła. Mówi o panujących w téj epoce zwyczajach przy małżeństwie, pogrzebie, o stosunku jednych klas towarzyskich do drugich, o sposobie wychowywania dzieci etc. Na końcu każdego rozdziału wymienione są prace źródłowe i dzieła specyalne, odnoszące się do przedmiotów w nim traktowanych, ich literatura i bibliografia.

Niepodobna iść krok w krok za każdym z następnych rozdziałów téj historyi. Już w drugim znajdujemy osobny ustęp, poświęcony zdrowiu publicznemu w epoce władzy rzymskiéj, przedmiotowi, którego nie byliby się tknęli historycy dawniejszego autoramentu, ci sami, którzy nam nie szczędzili najdrobniejszych wypadków, odnoszących się do bitew i najazdów. P. Newman szerzéj się tu rozpisuje o życiu domowém, o zwierzętach folwarcznych, o poligamii, o zmianach, jakie

nawracanie się Anglii na chrześciaństwo wprowadza w ujednostajnieniu życia, opisuje sprzęty, ubiór, pożywienie, zabawy ówczesnego społeczeństwa. Tak scharakteryzowane przestaje być abstrakcyą nieuchwytną, i zaczynamy czuć interes do tego dalekiego świata, w którym spostrzegamy ludzi z ciała i kości.

Tom pierwszy zawiéra jeszcze dwa rozdziały, jeden obejmujący epokę od Wilhelma Zdobywcy do *Magna Charta*, a drugi obejmujący panowanie Henryka III-go, zaznaczone powstaniem parlamentu. Nawet te olbrzymie wypadki, co kładą fundamenta dla całego bytu narodowego i publicznego dawnéj Anglii, nie tłumią społecznego rozwoju, którego obraz kréśli nam w części pióro p. Creightona, a w części samego wydawcy. Widzimy Londyn wzrastający, kościół stający się silną organizacyą, mamy opisy turniejów, minstrelów, muzyki, poezyi, a przez opis szkół, przez pierwsze zaczątki literatury zdajemy sobie sprawę z umysłowego poziomu ówczesnéj masy.

Jak łatwo zrozumiéć, im daléj posuwa się ten obraz historyczny, tém zadanie autorów staje się trudniejszém, gdyż życie narodowe przestaje miéć pierwotną swą prostotę, a wprowadzając do siebie rozmaite nowe czynniki, robi się bardziéj skomplikowane. Trzeba było wycinać poręby w tym gęstym lesie, aby się w nim nie zabłąkać. I tak tom drugi obejmuje cały okres od wejścia na tron Edwarda I-go do śmierci Henryka VII-go, t. j. rdzeń wieków średnich, gdyż z pierwszemi latami XVI-go stulecia znajdujemy się już istotnie u progu nowożytnéj Anglii. Dla podołania zadaniu p. Traill przybrał sobie nowych współpracowników, między którymi pierwsze miejsce trzyma p. F. W. Maitland, słynny profesor prawa w uniwersytecie w Cambridge. Udział jego i kilku innych poważnych osobistości naukowych téj wszechnicy jest najlepszym dowodem uznania, jakie znalazło odrazu to wydawnictwo: nie chciano, aby zmonopolizował je Oksford. Dla postronnego czytelnika może fakt ten nie miéć znaczenia: tu na miejscu znamy odrębność ducha, cechującego każde z tych dwóch ognisk oświaty. Liberalny nastrój i śmiałość poszukiwań, odznaczających Cambridge, musiał tylko korzystnie oddziałać na „Historyę społeczną Anglii”, łącząc się z prawowiernością i tradycyonalizmem Oksfordu. Jest niezmiernie wiele ciekawych ustępów i monograficznych obrazów w tym drugim tomie. Zaliczyć do nich trzeba przedewszystkiém zarys wzrostu i rozwoju procedury sądowéj. Owo prawo zwyczajowe, stanowiące niezaprzeczenie jedną z oryginalności ustroju publicznego angielskiego, wytwarzało się stopniowo i gdy p. Maitland spostrzega w niém potężną rękojmię swobody indywidualnéj i korporacyjnéj przeciwko nadużyciom i despotyzmowi władzy centralnéj, a humor, z jakim opisuje wykręty, do których

się uciekali sędziowie, aby pogodzić swoją religię nakazującą miłosierdzie z surowością prawa, nie ubliża bynajmniéj powadze dzieła; nie brakuje też żadnego ogniwa w łańcuchu, którym obejmuje organizacyę takich instytucyi, jak adwokatura, fidei-komisy i t. d. Społeczne życie owych czasów odzwierciedla się przedziwnie w wielu rozstrzelonych rysach. Do takich zaliczyć można np. charakterystykę lekarzy i terapeutyki wieków średnich. Leki, otrzymane tradycyjnie od doktorów bizantyjskich, zadawane były choremu przy uroczystych ceremoniałach, odmawianiu pacierzy, śpiewaniu hymnów etc. Medycyna oddawała się pod skrzydło kościoła. Kościół i uniwersytety — oto dwie instytucye średniowiecznego społeczeństwa hierarchicznego, przez które soki demokratyczne sączyć się zaczynały, choć na pozór wydawało się, iż je tłumią. Wychowańcami uniwersytetów i członkami duchowieństwa zostawali ludzie, nie liczący się do klas uprzywilejowanych. Szczegółowy opis uniwersytetów pióra p. Blakistone nie zostawia nic do życzenia. Gościnność okazywana profesorom różnych narodowości, co było łatwe przy wyłącznem używaniu języka łacińskiego w wykładach, pozwala już wtedy przeczuć kosmopolityczną neutralność wiedzy. Wtargnięcie Dominikanów i Franciszkanów do Oksfordu w XIII wieku i stanowisko zajęte względem nich przez władze uniwersyteckie ma w sobie interes dramatyczny.

Trzeci tom zamyka się śmiercią kr. Elżbiety w r. 1603-im. Przy obfitości źródeł i monografii do téj najciekawszéj epoki w dziejach Anglii, trudno było spodziéwać się, żeby nam „Historya społeczna" wiele nowego przyniosła. A przecież tak jest istotnie. Nigdy jeszcze, czytając dzieje Anglii, nie czuliśmy tak dotykalnie jak tutaj, że w epoce Elżbiety rozpoczyna się nowa era cywilizacyjna, że z innym mamy do czynienia światem. Nie Anglia to już, ale Wielka Brytania. Ostatni rozdział tego tomu, noszący ten sam tytuł, co słynne dzieło prof. Secley'a *Expansion of England*, potrafił być samodzielnym, choć kroczy po udeptanym szlaku. Nie przesądza przyszłości, ale czyni zrozumiałém, że takie nadzwyczajne rozbudzenie wszechstronnéj działalności, taki nadmiar życia musiał skruszyć na wewnątrz spruchniałe karby średniowiecznego świata, a na zewnątrz popchnąć społeczność na dalekie gościńce.

Obraz piśmiennictwa epoki Elżbiety skréślił p. Jerzy Saintsbury, znany jego historyk. Jakiekolwiek mogą być jego zasługi, żałować należy, że to nie sam p. Traill wziął ten dział na siebie. Znajdujemy tu też pełno szczegółów o trybie życia ówczesnym, a rozdział, który p. Fletcher poświęca obrazowi życia po miastach w epoce Tudorów, a panna M. Bateson zwyczajom i obyczajom towarzyskim za Elżbiety,

posiadają nadzwyczajny interes i rzucają jaskrawe światło na wewnętrzny ustrój i zewnętrzny wygląd Anglii w epoce odrodzenia. Ale najwydatniejszemi w téj części dzieła są prace, w których profesor J. E. Syms zajmuje się przesileniem ekonomiczném, a p. Hewius pauperyzmem i okolicznościami towarzyszącemi powstaniu prawa o biédnych, prawa, co zaszczepiło w państwowym organizmie angielskim zaród socyalizmu z ramienia władzy centralnéj, który w reszcie Europy pojawił się znacznie późniéj i miał się rozwijać całkiém inaczéj. Mamy tu i cenę artykułów żywności, i wysokość zarobku klas robotniczych, i sposoby zaspakajania wszelkich potrzeb materyalnych masy społecznéj odpowiednio do zajmowanego przez nie miejsca w powszechnym organizmie: cały ustrój ekonomiczny społeczeństwa daje nam klucz i do reformatorskich jego usiłowań na wewnątrz i do potężnego prądu, co je parł ku zewnętrznym wyprawom. W tym dziale „Historya" ta odpowiada coraz wybitniéj swemu zadaniu w miarę, jak posuwa się daléj.

Tom czwarty kréśli epokę Stuartów, wojny domowéj, ustanowienia rzeczypospolitéj, a raczéj protektoratu kromwelowskiego i zamyka się śmiercią królowéj Anny w roku 1714-ym. Oddziaływanie tych szybkich przeistoczeń i gwałtownych przewrotów politycznych na życie społeczeństwa dostarczyło pisarzom materyału nietylko obfitego, ale, rzec można, zbyt obfitego. Pokazuje się to w pewnéj siekaninie działów i szkicowaniu raczéj, aniżeli opracowywaniu rozmaitych gałęzi bytu społecznego. Na specyalne wyróżnienie zasługują w tym tomie studya p. Hutton nad walką religijną z jéj reakcyą anglikańską, purytanizmem i sekciarstwem. Im głębiéj wnikają współczesne prace w naturę rewolucyi angielskiéj, tém jaśniéj uwidocznia się prawda, że była ona daleko bardziéj fermentem religijnym, aniżeli politycznym. Różne części obecnéj „Historyi" stają stanowczo na tym samym gruncie. P. Jerzy Saintsbury w ocenie literatury XVII-go stulecia wskazuje jéj przeciwieństwo do poprzedzającego je peryodu: o ile tamten był tryumfem poezyi, o tyle ten oddaje zwierzchnictwo prozie, która aż do końca XVIII go stulecia dzierżyć je będzie, a wiadomo z jakim blaskiem, z jaką wielostronnością i z jak potężnym wpływem na podnoszenie cywilizacyjnego poziomu społeczeństwa. Kréśląc obraz życia społecznego, nic dziwnego, że panna M. Bateson podniosła rolę kobiéty, zaczątki jéj samodzielnego działania naprzód w sferze filantropii, a niebawem i innych. Zagadnienie, które wydawało się źle poinformowanym dopiéro wczorajszém, pokazuje nam, w świetle historycznych poszukiwań, swe korzenie sięgające rewolucyjnéj téj epoki.

Piąty tom prowadzi „Historyę społeczności angielskiéj" od wstąpienia na tron dynastyi hanowerskiéj aż do bitwy pod Waterloo, obejmuje zatém ów wiek XVIII, który historya wielu pisarzy angielskich przedstawiała zwykle jako wiek upadku moralnego, rozkładu i zgnilizny. Jest rzeczą naturalną, że światłe umysły, które w tym dziale są nam przewodnikami, nie popadły w taki błąd i nie ma jednego ustępu w téj części, gdzieby nie złożone było świadectwo przyczynku, jaki wiek ten przyniósł do zdobyczy cywilizacyi i postępu narodowego. Bezwątpienia pierwsza połowa tego stulecia pokazuje pewne obniżenie ideałów społecznych, przeważają troski o dobrobyt materyalny, ale tłómaczy się to nietylko reakcyą po wielkich przewrotach poprzedniego okresu rewolucyjnego, ale i potrzebą dostrojenia właściwych środków do coraz szerzéj uczuwanych potrzeb ekonomicznych. P. Prothero i Tomasz Warner pokazują postępy uczynione w dziedzinie rolnictwa, przemysłu i handlu. Przy wzrastającym dobrobycie zwiększa się także duch niezależności społecznéj i pomiędzy innemi pokazuje się to także w trudnościach, jakie napotyka rząd w nałożeniu na ogół ciężarów podatkowych. Szerokie zasługi położone przez Walpole'a dla ekonomicznego postępu kraju wyświecone zostały przez Smitha ze sprawiedliwością, któréj nie okazali temu mężowi stanu jego dawniejsi biografowie. Ta przewaga interesów materyalnych u społeczeństwa idąc w parze z upodleniem i wycofaniem się kościoła ze społecznéj służby odbiła się, jak sobie wyobrazić łatwo, na obyczajach i moralności publicznéj. Przykład szedł z góry i ludzie, jak król Jerzy I i II, nie mogli się do ich oczyszczenia przyczynić. Dwór królowéj Karoliny przedstawiony jest przez pannę Bateson w barwach jaskrawych. Nietylko wyraz, ale nawet samo pojęcie „*shocking*" nie istniało jeszcze wówczas! P. Traill nieco daléj pokazuje, jak to zgnuśnienie i zastój moralności ustępuje miejsca w drugiéj połowie wieku pod wpływem wiedzy i piśmiennictwa nowéj i gorączkowéj działalności. Dreszcz humanizmu wstrząsa organizmem społecznym. Losy biédnych i wydziedziczonych warstw narodu, więźniów, niewolników zaczynają zaprzątać uwagę powszechną. Czuć już zbliżanie się rewolucyi francuzkiéj. Jéj nadejście i epoka Napoleona objęte są w rozdziale trafnie zatytułowanym walką o byt Anglii. Bitwa pod Waterloo była ostateczném jéj zwycięstwem i wraz niém rozpoczyna się historya jednolita dnia wczorajszego.

Od niéj téż zaczyna się szósty i ostatni tom obecnéj historyi, który się kończy na powszechnych wyborach 1885 roku: te można uważać za ostatni moment, którym wolno jeszcze zajmować się historykom; wszystkie późniejsze wkraczają już w dziedzinę współczesnéj kroniki i tymczasowych notatek. Pod wielu względami byłoby nawet

lepiéj zatrzymać się u progu naszego stulecia. Taki téż, jak nam wiadomo, był pierwotny zamiar wydawcy i tylko wielkie powodzenie przedsięwzięcia i natarczywe żądania czytelników skłoniły go do tego tomu dodatkowego.

Składa się on z czterech rozdziałów, obejmujących z kolei epoki pokoju i reform, postępu i reakcyi, władzy klasy średniéj i wyniesienia się do niéj demokracyi w ostatnich dwudziestu latach, między 1865 a 85 rokiem. Ażeby streścić tę końcową część, trzebaby przepisać chyba cały ten tom o 700 stronach, tak pełno jest tutaj osnowy interesującéj, tyle kwestyi żywotnych przewija się przed oczyma naszemi, kwestyi z których niepodobna uznawać za przebrzmiałe. Gdy p. Hutton opisuje ruch religijny w uniwersytecie Oxfordskim, okazuje się widocznie, że z niego wyszła dzisiejsza Anglia umysłowa, bez żadnéj ciasnoty, fanatyzmu i bigoteryi, i że przez śluzy wtedy otwarte potoczył się i toczy po dziś dzień prąd istotnego odrodzenia duchowego. P. Traill w charakterystyce poezyi romantycznéj Byrona, Shelley'a i t. d., dał wyjątkowéj wartości przyczynek do historyi literatury. Większe miejsce, niż uprzednio, dane tu zostało postępom wiedzy ścisłéj w różnych jéj gałęziach i licznych zastosowaniach. Ustępy poświęcone rozwojowi przemysłu, systemowi dróg żelaznych, żegludze handlowéj rozświécają ekonomiczne życie Anglii i jego mechanizm; duch zaś, co je ożywia, skreślony jest w tych, które się zajmują ekonomią społeczną. Szkolnictwo, a szczególniéj sztuka, tak potężny, i chce się nieledwie powiedzićć, zupełnie nowy czynnik w życiu narodowém, znalazła w p. Hughes przedstawiciela równie światłego, jak bezstronnego. Jest także całkowity przegląd sztuki ozdobniczéj naszego stulecia napisany przez pannę May Morris, córkę wielkiego Williama Morris, który jest doskonałym przewodnikiem do tego świata artystycznego angielskiego, mniéj znanego po za jego obrębem, niżby to przystało.

Ograniczamy tu przegląd téj „Historyi społecznéj", polecając ją najgorliwiéj nie tylko tym, co pracują nad tą lub ową dziedziną angielskiego rozwoju, ale wszystkim tym, co chcą zdać sobie sprawę z cywilizacyjnego pochodu ludzkości nie przez nadęte i puste ogólniki, ale przez badanie anatomiczne wypadków dziejowych. Jedyny zarzut, jaki tak pojętemu dziełu zrobić byśmy mogli to, iż przedmiot jest zbyt pokawałkowany. Praktyczna użyteczność, dla czytelnika zwyciężyła względy artystyczno-literackie i niewątpliwie, jeżeli ta historya społeczna ma służyć za słownik encyklopedyczny do dziejów cywilizacyi angielskiéj, metoda ta jest najwłaściwsza.

N. T.



JAN KOCHANOWSKI

w świetle ostatnich wyników krytyki historycznéj *).

„Jan Kochanowski, jego ród, żywot i dzieła.“ Przez Romana Plenkiewicza. Warszawa, 1897 roku. — Jana Kochanowskiego „Dzieła wszystkie“. Wydanie pomnikowe. Tom czwarty.

V.

Otoczony murami o zębatych blankach, fosami i basztami, a pozatém przedmieściami, polami i ogrodami, wśród których wznosiły się oprócz odosobnionych kościołów i zabudowań bogatego opactwa św. Germana, liczne wiatraki i... szubienice, Paryż ówczesny, podobnie jak Kraków i inne miasta europejskie, o ile nazewnątrz, oglądany z oddali, nosił jeszcze średniowieczny charakter, którego mu w niemałym stopniu dodawały gotyckie wieże katedry Notre Dame, o tyle wewnątrz, w obrębie owych zębatych murów, już był miastem nowożytném zupełnie, renesansowém, pełném ruchu i życia. Życie to, kipiące wsród ciasnych i krętych ulic, robiło na każdym, co tu przybywał z dalekich stron, oszałamiające wrażenie. Jak to wrażenie wypadło u Kochanow-

*) Patrz „Ateneum“ za styczeń r. b., str. 24.

skiego? Wnosząc z tonu elegii do Karola, który mu ciceronował po Paryżu, wogóle wypadło bardzo korzystnie.

Szczególniéj musiało mu się podobać wesołe życie studenckie w *Quartier Latin*, w którém znajdowała się słynna Sorbona i inne zakłady naukowe, a w téj liczbie i *Collége des trois langues* (dzisiejsze *Collége de France*). Odrębny charakter téj dzielnicy, absolutnie różniący się od charakteru innych dzielnic Paryża, ujmował każdego przybysza, jeśli ten przybysz był młody i nietylko spragniony wiedzy, lecz i rozrywek. Pod tym względem *Quartier Latin* górowało nad resztą stolicy, choć i tam, zarówno na wyspie, w t. zw. *cité*, jak i na prawym brzegu Sekwany, w okolicach wspaniałego Louvre'u, najwięcéj myślano o zabawie. Widocznie, że w Paryżu nigdy nie było inaczéj. W r. 1556, gdy tu przyjechał Kochanowski, „dwór Henryka II-go, utrzymując świetne tradycye dworu Franciszka I-go, oddany był jedynie ucztom, tańcom, maskaradom, karuzelom, kawalkadom, łowom, turniejom, których słońcem była sławna, niestarzejącéj się piękności Dyana de Poitiers..., która, pomimo 55 roku życia, umiała stale w swych sidłach utrzymać 36 letniego Henryka II i zepchnąć na podrzędne stanowisko prawowitą jego małżonkę."

Odmienna atmosfera panowała przy ulicy Fouar, w poważnych murach Sorbony, pretendującéj do zaszczytnego miana świątyni nauki, a dumnéj z tego, że między jéj uczniami było siedmiu papieży i wielu najpierwszych dostojników kościoła, że tutaj uczyli się tacy ludzie, jak Dante Alighieri, Roger Bacon, Brunetto Latini, Erazm z Rotterdamu i wielu innych. Ale ta miniona chwała nie wyszła na dobre Sorbonie, albowiem wbiła ją w pychę, za którą w chwili właśnie, gdy tu po światło przyjechał przyszły autor *Trenów*, pokutowała ciężko. Zasklepiona w ciasnym konserwatyzmie, odrzucająca wszelką myśl naukowéj reformy, zniewoliła Franciszka I-go, że namówiony przez słynnego humanistę francuskiego Budé'go, założył w r. 1530 świeckie *Collége royale*, inaczéj zwane *Collége des trois langues*, które, wyjęte z pod władzy uniwersytetu, było jego humanistyczno-liberalném uzupełnieniem, a posiadało nietylko katedry hebrajszczyzny, greczyzny i łaciny, ale i matematyki, filozofii i medycyny. Odtąd zaczęło się współzawodnictwo między starą Sorboną a młodém kolegium królewskiém, współzawodnictwo, które się tak dalece obróciło na niekorzyść pierwszéj, że kiedy młodemu cudzoziemcowi, jak Kochanowski, żądnemu prawdziwéj nauki, wyzwolonéj ze scholastyczno-klerykalnych powijaków, przyszło wybiérać pomiędzy temi dwoma zakładami, to przekonał się niebawem, że tylko w *Collége royale* nauka jest traktowana naukowo i postępowo, w Sorbonie zaś... Co myślał o Sorbonie, do jakiego stopnia lekcewa-

żył jéj autorytet, o tém poucza jego *Satyr*, w którym między innemi znajduje się taki dwuwiersz:

> Niech ma zapłatę godność między wami,
> Ręczę wam, że zrównacie z ich tam Sorbonami.

„To wyrażenie ostatnie, tak pełne lekceważenia, najwymowniéj wskazuje, jak się zapatrywał na tę uczelnię, żyjącą minioną już sławą. Zarówno zacofanie pod względem humanistycznym, jak i duch jéj, pełen nietolerancyi, krępujący wszelką swobodę umysłową, musiały w nim budzić od niéj odrazę. Kolegium królewskie więcéj odpowiadało jego nawyknieniom, wyniesionym z wszechnicy padewskiéj. Przyznać téż trzeba, że oprócz oryentalisty Postel'a, zmarłego jeszcze w r. 1544-ym i helenisty Dané'go, który na dwór królewski wstąpił, skład profesorów był prawie ten sam, jak w chwili założenia kolegium. Turnèbe wykładami języka greckiego ściągał młodzież ze wszystkich krajów Europy; Lambin objaśniał ody Horacego, komedye Plauta i pisma Cycerona. Poeta, jeżeli przyszłe swe studya teologiczne czy prawne brał na seryo, to je zapewne na czas późniejszy odkładał; obecnie zaś mogło go tylko pociągać kolegium królewskie, w którém wykłady porównywał z wykładami mistrzów padewskich."

Ale więcéj, niż prelekcye w *Collége Royale*, więcéj, niż uczone prace humanistów francuskich, jak dzieła Budé'go, Doleta i słynnego Skaligera, interesowała Kochanowskiego, — w którym już poeta brał górę nad humanistą — współczesna poezya francuska, święcąca swoje odrodzenie pod przewodem Ronsarda i jego plejady. Na czém zasadzało się to odrodzenie? Przedewszystkiém był to zwrot do klasycyzmu, do źródeł greckich i rzymskich. Na miejsce rond, ballad, piosnek i „wszystkich przestarzałych poezyi francuskich", zaczęto lutnię, za przykładem Du Bellaya, „dostrajać do dźwięków liry greckiéj i rzymskiéj", pisząc ody w stylu Horacego, hymny w rodzaju pindarycznym, elegie na wzór Owidiusza i Tybulla, oraz sonety na wzór Petrarki. Nadto wzięto się do tłómaczenia tragedyi Sofoklesa i Eurypidesa, poetą zaś, który w tym grecko-rzymskim kierunku poszedł najdaléj, a raczéj najbardziéj zbliżył się do starożytnych wzorów, i który siłą swego talentu dokonał istotnego przewrotu w literaturze francuskiéj, był Piotr Ronsard, przezwany zaszczytnie *Prince de l'ode*, autor *Francyady* i niezliczonéj ilości ód, hymnów, elegii, sonetów etc. Poeta ten, Węgier z pochodzenia, uprawiał wszelkie rodzaje poezyi, prócz dramatu, a szczególniéj był skorym do pisania erotyków, *Les Amours*, choć mówią, że jego miłości więcéj były literackie, niż prawdziwie namiętne, i że w nich większą rolę grała wyobraźnia, niż serce, a nawet zmy-

sły. „Napisanie sonetu, pieśni, madrygału, nic go nie kosztowało. Gdy mu zabrakło myśli, sztukował Owidyuszem, Wergilim, Bembusem, a przedewszystkiém Petrarką; gdy nie dopisywało uczucie, nadstawiał grą słów lub jakimś zgrabnym konceptem." Kochanek t. j. dam, do których pisywał wiersze, miał mnóstwo, ze swoją *Jeanne impitoyable* na czele. Niemniéj jednak, aniżeli na wdzięki niewieście, był wrażliwy na zaszczyty, i dlatego można powiedziéć o nim, iż był równie próżny, jak kochliwy. Jego panegiryki i eklogi na cześć królewskiéj rodziny Walezyuszów, których przedstawiał pod czułemi postaciami sentymentalnych pasterzy i pasterek, zarówno jak i jego wiersze na cześć Maryi Stuart i Elżbiety angielskiéj, świadczyły, że choć w młodości podobno się zraził do życia dworskiego, w którém, jak mówił, bezpieczniéj „więcéj słyszéć, niż widziéć" (a on tymczasem był głuchy jak pień), to jednak w wieku dojrzałym, kiedy zasłynął, jako książę poetów, bardzo sobie cenił stosunki z koronowanemi głowami. „Na cześć jego pisali wiersze łacińskie: Adryan Tournèbe, Belleau, d'Aurat i Joachim du Bellay. Nawet Torquato Tasso, nie mówiąc już o wielu sonetystach włoskich, składa mu hołdy w Paryżu. Niedość na tém: wszyscy członkowie domu Walezyuszów, poczynając od Henryka II-go, obsypują go monarszemi względami i nadają bogate opactwa, nie narzucając żadnych obowiązków, nie krępując niczém jego swobody. Poetyczna Małgorzata Sabaudzka i również układająca rymy Marya Stuart uznają w nim swego mistrza i brata w Apolinie; Karol IX-ty pisuje do niego wiersze, a Elżbieta angielska, wdzięczna za nucone na jéj cześć hymny, zaszczyca go swemi listami i przesyła bogate podarki."

Cóż dziwnego tedy, że i Kochanowski powiększył ten poczet chwalców Ronsardowéj Muzy, że i on uważał się za szczęśliwego, gdy mógł zobaczyć tego nowożytnego Pindara, a nawet zbliżyć się do niego, co mu, jak przypuszcza prof. Plenkiewicz, ułatwił młody Jan Baptysta Tęczyński, syn Stanisława, wojewody krakowskiego, przebywający na dworze francuskim. Jakkolwiek to się odbyło, jedno jest pewném, że w elegii VIII ks. III, poeta, wspominając o swym pobycie w Paryżu, z dumą rospisał się o tém, że *Ronsardum vidi*. „Tu (powiada) ujrzałem owego Ronsarda, na lutni ojczystéj wygrywającego pienia, i nie mniéj byłem zdumiony, jak gdybym słyszał Amfiona, na którego śpiéw kładły się mury tebańskie, lub Orfeusza i Linusa, z Feba zrodzonego: zdało mi się, iż rzeki zachwycone wstrzymały swój bieg, skały zaś, na głos niezwykły, puściły się w pląsy. On to chwałę bogów i miłego pokoju pożytki opiewał wówczas, kiedy Mars na powietrznych koniach uniósł się w obłoki." To zetknięcie się z Ronsar-

dem, który wtedy stał na szczycie chwały, a który wygrywał swe pienia „na ojczystéj lutni”, nie pozostało bez wpływu na poetę, a przedewszystkiém wpłynęło na zmianę jego kosmopolitycznego stanowiska, jakie dotychczas zajmował w swych utworach łacińskich i polskich. Studyując jego francuskie poezye, coraz bardziéj utwierdzał się w przekonaniu, że jednak, chcąc być prawdziwym poetą swego narodu, należy uderzać w struny „ojczystéj lutni”: można nie zrywać z łaciną, ale nie należy jéj dawać pierwszeństwa przed mową rodzinną, bo skoro Ronsard, posługując się językiem francuskim, dorównywał nieśmiertelnym wzorom poezyi starożytnéj, wypowiadając się niemniéj świetnie, z niemniejszą łatwością i wdziękiem, to czemużby on nie miał z równą maëstrią posługiwać się językiem ojczystym. Wszak to samo, przed Ronsardem, czynił z takiém powodzeniem Petrarka, którego łacińska *Afryka* utonęła w fali zapomnienia, a włoskie sonety i kancony były na ustach wszystkich! I Ronsard, gdyby był to samo, co pisał po francusku, pisał po łacinie, nie byłby tak powszechnie wielbiony! Pod tym względem godziło się iść w jego ślady. „Być wieszczem swego narodu, pozyskać uznanie zarówno uczonych, jak i możnych tego świata, zgromadzić koło siebie poetów tychże dążności, a obok tego w uznaniu zasług, położonych dla literatury ojczystéj, pozyskać niezależne, dające swobodę stanowisko: oto, co mogło być szczytem marzeń dla młodego człowieka, czującego swą wartość i wyższe poetyckie zdolności.”

W téj myśli, przejęty utworami Ronsarda, nie ustawał w pracy na niwie poezyi, a choć nie rozstał się ze swoją muzą łacińską, to jednak „młoda słowieńska muza” coraz bardziéj nabiérała znaczenia w jego oczach. Najlepszy dowód, że jeden ze swoich polskich wierszy, zatytułowany *O dobrodziejstwach Boga*, a napisany trochę pod wpływem Ronsardowéj *La prière à Dieu*, zdecydował się — na próbę — posłać do kraju, ażeby się przekonać, jak téż będzie przyjęty, czy się to religijne pienie spodoba uczeńszéj szlachcie. Prawdopodobnie te były pobudki, jakiemi się powodował Kochanowski, kiedy ten wiersz posyłał do kraju, a jeśli nie był zupełnie pewny wrażenia, jakie wywrze swym wierszem, to wrażenie to, może nad wszelkie spodziéwanie poety, wypadło na jego największą korzyść. Oto, co o niém pisze Jan Szczęsny Herburt z Dobromila, w przedmowie do *Herkulesa Słowieńskiego* Kacpra Miaskowskiego: „Gdy tedy o Polakach uczonych mówił (Zamoyski), wspominał, że był w młodości swei ná jednym zieździe w sandomierskiéj ziemi, gdźie przyjaćiele Janá Kochánowskiego, na ten czas w Paryżu ná náuce będącego, ukazali gościom tamecznym pieśń, ktorey

jest początek: Czego chcesz po nas [1]), Panie. Był téż tám Mikołai Rei, którego narod nász ma miéć w tey cénie, iako Grekowie Hezioda, Rzymianie Enniusza... Wziął tedy Rei tę pieśń Kochanowskiego i pilnie onei przypatrzywszy się, zawołał támtych wszystkich gości i powiedziawszy nieco o swych pracach w naukach, wielce dowcip i wymowę Kochanowskiego chwaląc, záwarł mowę swą temi wierszami:

Temu w náuce dánk przed sobą dawam,
I pieśń Bogini słowieńskiéi oddawam."

Tymczasem poeta, któremu w ojczyźnie Rey „dank przed sobą dawał", prowadził życie, nie zawsze licujące z pobożnym nastrojem swego wiersza. Wszedłszy w stosunki z młodzieżą akademicką z *Quartier Latin*, bywając na różnych zebraniach studenckich, w których, jak na podobnych padewskich, uczestniczyły rozpustne syreny nadsekwańskie, nie gardził wesołemi pohulankami w dobranéj kompanii, nawet takiemi, gdzie płoche córy Lutecyi, dowcipniejsze, sprytniejsze i zalotniejsze od „przyjaciółek" włoskich, dowodziły swém zachowaniem się, że są i bardziéj zepsute od tamtych. Kochanowski wszakże, nie gardząc biesiadami w swobodném towarzystwie różnych paryskich Fryn i Aspazyi, wcale nie był skory do wplątania się w jaką nową awanturę romansową. Ta jego obojętność i nieczułość na wdzięki uróżowanych syren czyniła go interesującym w ich oczach. Doszło do tego, że jęły czynić zamachy na niego, reagować przeciw jego dziwnéj odporności. Do takich, co mu się narzucały same, należała niemłoda i nieświéża już Licena. Niestety, odprawa, jaka ją spotkała ze strony poety, wyrażona w jego ciętéj odzie VII-éj, mogła nietylko ją, ale i inne zniechęcić od putyfarowych nagabywań. „Gdy Wenus i zbiegły Amor z twego obozu w inną się zwrócili stronę i starość złowrogiemi zmarszczkami twarz twoją szpeci, a niegodny Demochares swą ulubioną Licynę porzucił, dziś mnie sama przyzywasz, sama się o mnie do

---

[1]) Formę tę znajdujemy i w rękopisie Osmólskiego, co (według mnie) stanowczo przemawia za trafnością twierdzenia prof. Plenkiewicza, że wiersz ten należy odnieść do epoki paryskiéj. Do r. 1885 nikt nie kwestyonował tego podania (zaczerpniętego od Jana Zamoyskiego, kanclerza i hetmana). Pierwszym, który je podał w wątpliwość, był prof. Brückner w *Archiw für slavische Philologie*, odnoszący powstanie tego wiersza do czasów *Psałterza*. Za nim poszedł Chmielowski w ocenie książki St. Tarnowskiego o Kochanowskim. Prof. Plenkiewicz nie daje się zachwiać wywodom prof. Brücknera...

bijasz, po to zapewne, by gdy inny mięsem się przesycił, jam resztki kości ogryzał" [1]).

Ale niedługo wytrwał w tém stoickiém panowaniu nad sobą (jeżeli w niém trwał wogóle). Zamało unikał pokus, ażeby w końcu nie spotkać się z taką, któréj przezwyciężenie nie przechodziłoby jego siły charakteru. Jakoż, po niedługim przeciągu czasu, ledwo dał odprawę Licenie, natknął się na kobiétę, która go zdołała opętać. Trafił na swoją. Niestety, i ta przyjaciółka nie była lepsza, ani mniéj interesowna od Lydii: równie zepsuta, była o wiele sprytniejsza, a nawet cyniczniejsza. Nie dziw! Wszak była Francuzką z moralnym pokostem Paryżanki. Dlatego i sposób, w jaki na siebie zwróciła uwagę poety, był bardziéj wyrafinowany, niż wszystkie przebiegi Lydii, na których poznawał się w końcu. Przebiegła Francuzka, widocznie mistrzyni w sztuce udawania, poznała odrazu, że na to, aby sobie podbić tego wytwornego cudzoziemca, należy czém innem podziałać na jego imaginacyę, aniżeli zwykłą wesołością i wyuzdaniem. Przeczuła, że na ten lep nie da się złapać; jakoż zaczęła go kokietać... smutkiem. Sposób okazał się odpowiednim, bo poeta, zaintrygowany ponurym wyrazem twarzy téj niezwykłéj *beauté diabolique* (tak ją nazywa prof. Plenkiewicz), ani się spostrzegł, jak połknął haczyk zręcznie zarzuconéj węd-

---

[1]) Tak charakteryzuje tę pierwszą fazę uczuć Kochanowskiego w Paryżu prof. Plenkiewicz. Ale streszczając jego wywody, przyznaję, że w tém miejscu nietrudno byłoby posprzeczać się z czcigodnym autorem. Zdaniem jego „właśnie ta obojętność, z jaką się do wesołych cór Lutecyi odnosił, była dla nich podnietą do knucia zamachów na jego swobodę. Widocznie z początku poeta trzymał się ostro, skoro narzucającéj mu się Lycenie i t. d." Zdaniem autora, Kochanowski stykając się z heterami paryskiemi, „doznawszy rozczarowania w stosunkach z Lydią, nie myślał w téj sferze zawiązywać już nowych... Zanadto był pewnym siebie, zanadto wytrzeźwiał z szałów miłosnych, by nie odczuwał grożącego mu z téj strony niebezpieczeństwa". Czy tak było jednak w istocie, *that is the question.* W téjże saméj odzie VII *Do Liki*, z któréj zakończenia prof. Pl. dobył argument na poparcie swojéj tezy, znajduje się niezbity dowód, że Kochanowski i w Paryżu wcale nie wytrzeźwiał z szałów miłosnych, i że bynajmniéj nie trzymał się ostro w stosunku do wesołych cór Lutecyi. Do téjże saméj Liceny, którą gardził teraz, z początku, płonął bardzo gorącym afektem. Oto, co sam w téj kwestyi mówi na początku pomienionéj ody VII: „Liko, dopóki ci szczęście sprzyjało, póki miłość wdzięcznie ci się uśmiéchała, póki twarz twoja szła o lepszą z liliami i różami, dopóty i ów twój Demochares łatwy miał przystęp do ciebie i wszelkich zażywał rozkoszy; nie troszczyłaś się o mnie bynajmniéj, iżby spojrzéć na leżącego przed twemi drzwiami i ogrzać u swego ciepłego łona, gdy mię srogie dreszcze nielitościwie trapiły." Zdaje się, iż powyższy ustęp nie bardzo świadczy o owéj „obojętności", z jaką się poeta miał odnosić z początku do Liceny i jéj podobnych istot.

ki. Że tak było, świadczy jego oda IX, napisana wyraźnie pod wpływem ód pindarycznych, a będąca prośbą do bogini miłości. „Złota Afrodyto, córo wielkiego gromowładcy, ciebie, co umysły ludzkie koisz, błagam, byś serce me troskami ciężkiemi dręczyć przestała. Zlituj się raczéj nad memi skargami i przybywaj wysłuchać prośby stroskanego, które niegdyś łaskawém zwykła byłaś przyjmować uchem... Przezacna Cyprydo, przybywaj i teraz, i uwolnij mnie od tych utrapień, a cokolwiek serce posiąść pragnie, niechaj posiędzie przy twojéj pomocy.” I znowu zaczął prowadzić podobny tryb życia, jak w Padwie, znowu powtórzyły się bachiczne biesiady, z tą różnicą, że poeta, o ile dawniéj „bolejąc w sercu”, nieraz, zrozpaczony i zgnębiony zmiennością kochanki, „żądał więzów na zbiegłego Amora”, o tyle dziś, gdy mu „dolegała jaka cięższa przygoda” ze strony dziewczyny, pocieszał się, doświadczony, że „jeśli cię kochanka unika, sama wkrótce poszukiwać cię będzie; jeśli gardzi twemi podarunkami, niedługo sama swoje ci przysyłać zacznie; a jeżeli cię nienawidzi, to mimowoli pokocha cię i rozkazy twoje wypełni.” Poetyckiém odbiciem jednéj z takich wesołych uczt koleżeńskich, na któréj królowała jego *venusta Galla*, był namiętny epigram *Ad Gallam*, z którego widać jednak, że już poeta mniéj był skłonnym do miłosnych porywów, niż dawniéj. Wprzódy szalał bez opamiętania; teraz wymagał od kochanki, ażeby w nim podniecała zapał młodzieńczy, jeśli chce, żeby się dał porwać téj bachanalii. „Dopóki Bachus, Dyana i Amor skrzydlaty panują; dopóki ciebie, piękna Gallo, oczy moje oglądają: dopóty z całych sił szał mój podniecaj, i nie wzbraniaj, smutna, kwiatami się wieńczyć, lub w struny harfy uderzać. Wierz mi, jutro już nie ten sam dzień będzie, co dziś, a i ty będziesz całkiem inną, a nawet już wczoraj wydałaś mi się nie taką jak dziś.” Zdaje się atoli, że „smutna” Francuzka tak doskonale potrafiła dodniecać animusz w trochę wystudzonym poecie, że dużo wody upłynęło w Sekwanie, zanim „przekonany dowodami chciwéj kochanki”, spostrzegł się, że był najwierutniéj wyzyskiwany przez nią, dopóki miał piéniądze, a skoro na nią wydał wszystko prawie, co miał, naraził się na to, że mu z całym cynizmem powiedziała bez ogródki: „Moje życie, jeżeli mnie chcesz posiąść, musisz płacić, a jeżeli nie masz czém, opuść moje progi.” Mimo takie oświadczenie, opętany zmysłowym powabem pięknéj hetery, nie miał sił, żeby z nią zerwać. Przeklinał chciwość niewieścią, przeklinał świat, który tak „ulega mamonie”, przeklinał złoto, „przyczynę i początek wszystkiego złego”, ale, opanowany przez namiętność, którą w nim rozbudziła ta „smętna” Paryżanka, dogadzał jéj chciwości, a gdy mu nie wystarczało, zaciągał długi, byle tylko posiadać tę „piękną Gallę”, byle tylko niedopu-

ścić do tego, ażeby go porzuciła. I choć na każdym kroku zdradzała się ze swą interesownością, on, zamiast ją obrzydzić sobie, pisał elegię do niéj, a w téj elegii, złorzecząc wszystkim chciwym córom Ewy, życząc im, ażeby je spotkało wszystko najgorsze, choroby, starość, „jad partenopejski" etc., jéj jednéj życzy najlepiéj... „Takiemi przekleństwami słusznie obarczam wszystkie chciwe kobiéty; lecz ciebie, moje życie, niechaj ten los ominie! Tak, niechaj cię ominie, jeżeli w niczém mi nie zawinisz, a choćbyś i zawiniła, niechaj Amor łaskawym na cię będzie!"

W takiém położeniu, témbardziéj opłakaném, że już *dura paupertas* poczęła zaglądać do studenckiéj izdebki poety, zastał go Hieronim Ossoliński, świéżo przybyły z kraju. Był to bogaty pan, któremu mniejszy lub większy datek, udzielony poecie, nie robił żadnéj różnicy. Jakoż, widząc, że Kochanowski jest przedewszystkiém w gwałtownéj potrzebie pieniężnéj, wspomógł go; widząc jednak, co leży na dnie jego materyalnych kłopotów, starał się go wyrwać z syrenich objęć powabnéj Paryżanki. Niestety, pod tym względem nie osiągnął celu: poeta zabrnął tak głęboko, że go z téj kałuży „niepozbędnéj miłości" wyciągnąć perswazyami, przemawianiem do rozsądku, było niepodobna. Stanowczo, choć w zasadzie zawsze był przeciwny filozofii głośnego mędrca z Samos, mógł w téj chwili, jak Horacy, powiedziéć o sobie, że był „jednym z trzody Epikura". Nie znaczy to, ażeby nie był zdolny ocenić „życzliwości i dobrodziejstw" Ossolińskiego; za dowód zaś, że tak nie było, może posłużyć piękna elegia łacińska, w któréj poeta — po niejakim czasie — wyraził swą wdzięczność Ossolińskiemu. „Ile ci, Ossoliński, winienem, za to wywdzięczyć się tobie, choćbym nawet pragnął najusilniéj, nie jest w mojéj mocy... Bo kiedy na mnie nagle podwójne zmówiło się nieszczęście, i twarde ubóstwo, i miłość niepozbędna, tyś pierwszy przybył na pomoc stroskanemu przyjacielowi i nie dopuścił, bym ciężki cierpiał niedostatek; nadtoś wszelakich dróg próbował, by mnie z obłędu mego i szaleństwa wyleczyć. Lecz wówczas taki żar do szpiku kości moje przejmował, jakim gore Etna lub gorąca woda apońska; i jak gdybym lotusu skosztował, albo ziół przykuwających do miejsca, anim myślał o powrocie do kraju." Okazuje się, że go Ossoliński namawiał, aby się zdecydował na wyjazd z Paryża, aby z nim razem wracał do domowych pieleszy; ale poeta nie dał się nakłonić: nie mógł się wyrwać z uroczych więzów.

Wyrwał się przecież. W styczniu 1557 roku umarła sędzina. Na wieść o jéj zgonie, poeta, nie namyślając się długo, pośpieszył do domu: raz dlatego, żeby zapłakać na świeżéj mogile matki, a powtóre, że

go „dom nieszczęśliwy, obojga rodziców pozbawiony, głośno wzywał do ojczystéj ziemi, by, nieco zwlekając, jak drugi Ulisses, wraz ze starym psem, strat swych nie opłakiwał" [1]. Ten wzgląd rozstrzygnął o decyzyi poety: postanowił nie zwlekać, a choć „i Loara i Rodan odczuły jego b o l e ś ć, gdy przyszło galskie opuszczać kraje", to jednak przemógł się i pojechał [2].

Wracał miotany dwoma uczuciami głównie: boleścią po stracie matki, do któréj był bardzo przywiązany, i smutkiem po przymusowéj rozłące z kochanką, na któréj wspomnienie zapalał się w nim ów „żar", który mu „kości przejmował do szpiku". Nadto wracał z całym zbiorem manuskryptów łacińskich i polskich, któremi się miał wsławić niebawem, jako pierwszy poeta swego narodu. „Dodajmy do tego, powiada prof. Plenkiewicz, bogaty zasób wiedzy i doświadczenia, znajomość tylu krajów i ludów, zwyczajów i języków, a nadto wyższą ogładę, zdobytą wśród dwóch najwyżéj w cywilizacyi posuniętych narodów, a pojmiemy, iż nie bacząc na liczny zastęp ludzi, jaśniejących w Polsce nauką i zdolnością do pióra, był on na swój czas niepospolitém zjawiskiem."

ROZDZIAŁ TRZECI.

Dworzanin (1557 — 1571).

Początkowe przykrości. — I. Na dworach możnowładców.— *Wanda.* — Kłoczowski i pokusa nowéj podróży do Włoch. — Pierwszy drukowany utwór poety. — Konszachty z Nideckim. — W Piotrkowie. — Łukasz Górnicki. — W Sycynie. — Czarnolas. — Sprawa umieszczenia się w kancelaryi królewskiéj. — II. Wilno. — Na dworze Padniewskiego. — *Zgoda* i *Szachy.* — Myszkowski. — *Satyr.* — W Warszawie. — III. Kapituła poznańska. — Dworzanin królewski. — Stosunek i przyjaźń z Myszkowskim.—Tryb życia.— *Wróżki.* — Znowu Wilno. — Sejm w Piotrkowie. — Dudycz i Regina Straszówna. — Na Litwie. — Probostwo zwoleńskie. — Sejm lubelski. — Warszawa i Piotrków. — Jan Zamoyski. — Małżeństwo Dudycza. — *Carmen macaronicum.* — Wilno i Radoszkowice. — Orator. — Unia lubelska. — *Proporzec.* — Babin. — Rozstanie z Myszkowskim. — W Warszawie. — Wyjazd do Czarnolasu. — IV. Hanna-Pazyfila. — Sroga zima. — Troski „nieuśpione". — „Niepobożna niewola." — Nagły zwrot. — Brak złudzeń. — Zaręczyny. — W Czarnolesie.—Konkury.—Grom z jasnego nieba. — Czarne chwile.—*Psalterz.* — Myszkowski i *Muza.*

Smutny opuszczał Francyę, a szczególną „boleść" sprawiała mu niepewność, zali tu wróci jeszcze. Strapienie to, w miarę, jak się

[1] Zob. Elegia VIII ks. III.

[2] Wynika z tego, że Kochanowski bawił w Paryżu zaledwie kilka miesięcy, od października albo listopada 1556 r. do lutego 1557 r. Czy nie jest to przeciąg czasu zbyt krótki?

oddalał od Paryża, potęgowały okoliczności, towarzyszące jego podróży: północno-wschodnia Francya, z powodu rozpoczętéj wojny z Filipem II-im, roiła się żołdactwem skłonném do samowoli i gwałtu; w Niemczech srożyła się zima; a w Polsce, dotkniętéj pomorkiem, „czthery y dwádzieścia niedziel Pan srogiego zimna nie ulżył". Przybywszy do Sycyny, zastał rodzinę pogrążoną w kłopotach gospodarskich, naradzającą się w drażliwéj kwestyi podziału majątkowego. Nadto przybyło mnóstwo spraw sądowych, czemu towarzyszył obowiązek zasiadania w sądach grodzkich, obowiązek, któremu i Jan, jako celniejszy ziemianin w powiecie, musiał się poddać chcąc nie chcąc. Wszystko to, wraz z obowiązkiem objeżdżania krewnych, przyjaciół i znajomych, ciotek, stryjów, szwagrów, wpływowych sąsiadów i t. d., którym wypadało się przypomniéć po powrocie z zagranicy, drażniło go, a tém samém potęgowało ową „boleść", w jakiéj rozstawał się ze słoneczną ojczyzną „pięknéj Galli". Bo i wspomnienie téj „smutnéj" kochanki, niby kuszące widmo słodkiéj — i zdaje się niepowrotnéj — przeszłości, raz po raz mąciło mu spokój.

Na domiar złego, nie brakło i innego widma, które nań nie wpływało kojąco, a tém była myśl o niepewnéj przyszłości. Czy obrać stan świecki czy duchowny?! Pod tym względem był całkowicie niezdecydowany, a pełen najróżnorodniejszych wahań. Jedyna pewność, w któréj trwał dość stanowczo, to było przeświadczenie, że polem, na którém będzie mógł zużytkować swe zdolności i przyszłość sobie zapewnić, jest kancelarya królewska. Wiedział jednak, że chcąc sobie utorować drogę do niéj — co zawsze było połączone z trudnościami — należało miéć poparcie ludzi możnych, posiadających wpływy w sferach dworskich.

W tym celu umyślił objechać pobliskie domy możnowładcze, ażeby z niemi wejść w bliższe stosunki.

I.

Zaczął od Firlejów [1]), z którymi jego rodzina oddawna pozostawała w stosunkach, a których rezydencya w Dąbrowicy, wykwintnie przystrojona na sposób włoski, mogła go wielce wabić. Gdyby rzecz miała się przeciwnie, z pewnością nie napisałby swego epigramatu *Na wieś Dąbrowicę*: „Gościu! gdy marmurowy próg przestąpisz, pokłoń

[1]) Tak przynajmniéj przypuszcza prof. Plenkiewicz, którego wywody, najczęściéj trafiające do przekonania, streszczam tu jedynie.

się geniuszowi miejsca, ten dom bowiem szczyci się, że wychowuje Firlejów..." Jakoż wychowanie to, wybitnie nacechowane kalwinizmem, istotnie przynosiło zaszczyt Firlejom. Sam kasztelan kształcił się w Lipsku, gdzie się przejął zasadami reformy, a następnie studyował w padewskiéj wszechnicy, gdzie kolegował z Kochanowskim. Młodszy brat jego, Mikołaj, słynął, jako *alter Cycero*. Niemniéj „uczoną" była młoda pani kasztelanowa, Zofia, z domu Bonarówna, głośna z wielkiéj piękności, dziś 23-letnia matka kilkorga dzieci, które wszystkie wychowywano w zasadach wyznania helweckiego: Firlej bowiem, jako głowa i najgorliwszy krzewiciel kalwinizmu, „nietylko na swym dworze utrzymywał współwierców, ale nadto łupił w swych dobrach kościoły i zamieniał na zbory; matka zaś od dziecka w otoczeniu różnowierczém wzrastała." Na szczęście, była córką ojca, który przy wielkich bogactwach lubił się uczonymi otaczać; stąd przywykła cenić naukę. „Tém więcéj przeto względów mogła okazywać młodemu Kochanowskiemu, jako niepowszedniéj miary poecie." Jakoż nie narzekał, a rola „domownika", w jakiéj tu przebywał, wcale mu przykrą nie była. Po za chwilami, spędzanemi na humanistycznych gawędach z Andrzejem Trzecieskim, także domownikiem Firlejów, który nietylko był znakomitym humanistą, poetą, znawcą trzech języków, ale i „hulaką, co pił dobrze w imię Jezusa Chrystusa", i po za serdecznym stosunkiem ze Stan. Meglewskim, wesołym młodzieńcem, a również dworzaninem Firlejów, używał swobody, „towarzyszył Firlejowi na łowy, na których marznąc, układał chłodne wierszyki, dotrzymywał mu placu w wyszydzaniu świeckiego i zakonnego duchowieństwa w tych *Fraszkach*, pełnych dosadnego humoru, których wiele może nawet w Dąbrowicy powstało; bawił zresztą panią bełską opowiadaniem o włoskich i galskich krainach, dopadał do Lublina dla wypitki lub awantury miłosnéj, a w chwilach większego skupienia ducha opracowywał dawniejsze, lub obmyślał nowe utwory." Tak powstała fraszka *Do St. Meglewskiego*, z którym nieraz „brząkając w strony" i „przyśpiewując" sobie, śmieli się, wspomniawszy na swego „gospodarza dobrego" [1]); tak powstała fraszka *Do Andrzeja Trzecieskiego*, który w poecie „niepotrzebne troski" uspokajał trunkiem; tak powstał epigram łaciński *Do Jana Firleja*; i tak wreszcie, w Dąbrowicy zapewne, powstał fragment *Do Jego M. Pana Mikołaja Firleja*, w którym go poeta prosi, ażeby był życzliwy jego „nowotnym rymom".

Z Dąbrowicy, w końcu sierpnia lub na początku września 1557 roku, udał się Kochanowski do Kraśnika, na dwór wojewody krakow-

---

1) Firleja.

skiego, Stanisława Tęczyńskiego. Tu go odrazu owiała inna atmosfera. O ile w Dąbrowicy panował duch reformy i włoskiego renesansu, o tyle w średniowiecznym zamku nad Stróżą hołdowano tradycyi i surowemu katolicyzmowi. W mecenasów się nie bawiono, co nie znaczy, żeby gorąco nie miłowano nauk. Wszyscy Tęczyńscy, jak się wywodzili od jednego z 12 wojewodów, byli znani z zamiłowania do nauk i dalekich podróży. Pytanie: czy tu Kochanowski czuł się w swoim żywiole, czy go niekiedy nie nudziła zbytnia powaga tego zamku? Bardzo być może, że tak było, ale na szczęście dla poety, o którym wiedziano w Kraśniku, że w Paryżu spotykał się z młodym synem wojewodzicem, bawił tu Mielecki, dawny znajomy z Tarnowa, a towarzysz pierwszéj podróży do Wiednia. Z nim mieli sobie, po ośmioletniém niewidzeniu się, niemało do powiedzenia, za czém także przemawia piękna elegia Kochanowskiego, poświęcona Mieleckiemu, a niewątpliwie napisana w tym czasie. W jego towarzystwie spędzał poeta „słodkie chwile" na dworze Tęczyńskich, a że te chwile istotnie były słodkie, to wynika z początkowych słów elegii, po przez które jakby się oglądało widok z Kraśnickiego zamku: „Nie grozi nam tu szalona swawola złowrogiéj wojny, ani téż niwom naszym nie zagraża nagłe spustoszenie. Nie słychać tu strasznéj trąby wojennéj, coby nam sen słodki płoszyła i nieopatrznych trwogą przejmowała. Tu błogi panuje pokój, tu goszczą wczasy przy otwartych wrotach, tu miłość i z lutnią w ręku Apollo łaskawy. Tu pająk tarcze mężów białą powleka tkanką, tu rdza zjada miecze i srogie pociski. Za to w ludnych wioskach kwitną biesiady młodzieży, a powietrze mile rozlega się radosnymi okrzyki." Wnosząc ze słów powyższych, nie musiało Kochanowskiemu być źle w Kraśniku. Mimo to nie zabawił tu długo. Wszystko przemawia za tém, że wyjechał razem z Mieleckim, któremu towarzyszył aż do jego rodzinnego Mielca.

Stąd udał się do pobliskiéj Wiewiórki, gdzie w téj chwili przebywał hetman Tarnowski, pogrążony w żałobie po świéżo zmarłéj „pani krakowskiéj". Była to okoliczność nie sprzyjająca odwiedzinom poety, który pod zwykłym pretekstem ofiarowania swych „powolnych służb" hetmanowi, naprawdę chciał mu tylko polecić się łaskawéj protekcyi na przyszłość... Ale w jakiémkolwiek usposobieniu zastał hetmana, przyjęcie, jakiego doznał z jego strony, wypadło korzystnie dla niego: wszak stawał przed Tarnowskim nie już jako młodzieniaszek obiecujących zdolności, lecz jako skończony humanista, a przytém poeta, któremu nawet sławny Rey „dank przed sobą dawał". Sędziwy zwycięzca z pod Obertyna, jako mąż wykształcony w tych samych uniwersytetach, z których właśnie wracał Kochanowski, umiał ocenić jego umy-

słową kulturę i talent poetycki. Zresztą, ponieważ i Włochy, i Francya, doskonale były znane hetmanowi z czasów jego młodości, „tysiące więc nasuwało się przedmiotów, obudzających ciekawość wielkiego pana, który zarówno pragnął wywiedzieć się o zaszłych w nich odmianach od czasu swego w nich pobytu, jak i ożywić się wspomnieniami lat młodych. Nie jedną też zapewne chwilę, czy to w hetmańskiéj komorze, czy za stołem obiadowym, spędzał poeta na opowiadaniu o tém, co widział, czego doświadczał, jakich poznał ludzi, czy to biegłych w nauce, czy też w sprawie rycerskiéj, a to z tém większą swadą, że mu szło o przekonanie hetmana, iż nie napróżno lat tyle na obczyźnie przepędził." Mimo to hetman zauważył w nim pewien brak, który mu nasunęło na myśl bliższe rozpatrzenie się w owocach dotychczasowéj twórczości poety: oto zapoznawszy się z jego utworami łacińskiemi (a można sobie wyobrazić scenę, gdy mu je czyta Kochanowski), dostrzegł w nich nadmiar erotycznego żywiołu. Były to rzeczy ładne, jego zdaniem, ale błahe, i dlatego zwrócił uwagę poecie, że dopiéro wtedy zasłuży sobie na rzetelną sławę wieszcza, gdy pióro swe przedmiotom podnioślejszym poświęci, zwłaszcza gdy po tematy zwróci się do dziejów własnego narodu, w których z pewnością znajdzie niemało wydarzeń, godnych przekazania potomnym. Życzliwą tę radę wziął sobie Kochanowski do serca, z tém zastrzeżeniem jednak, że jest jeszcze za młody, ażeby się wyłącznie porywać na tak poważne przedmioty. W tém przeświadczeniu napisał swoją elegię do hetmana, zaczynającą się od słów: „Nie wstydź się, Tarnowski, jeżeli kiedy swe imię w książkach mych wyczytasz. Chociaż nie opiewam Teb, ni wysokiego Pergamu... jednak i mnie już Amor, zdjąwszy sajdak, splata wawrzynowy wieniec." Dlatego nie tracę nadziei, że kiedyś i starożytnych bohatérów wywiodę na boje. Wtedy i ciebie opiewać będę. „Teraz wszakże, póki jeszcze pierwszy ogień wre w piersi, pozwól mi iść w dotychczasowym kierunku; pozwól, zdala od obozu, zdala od dźwięku trąb wojennych, opiewać uczty nocne i zgiełk podchmielonych biesiadników." Tegoż zdania był i Mielecki, który także przybył — w ślad za poetą — do Wiewiórki [1]). Jego obecność tutaj, jako wnosząca ożywcze prądy młodości, była bardzo na rękę poecie, rozmiłowany bowiem w „ucztach nocnych", trochę się czuł skrępowany dygnitarską powagą hetmana, a na dworze jego, złożonym z samych starych sług, niejednokrotnie tęsknił za „zgiełkiem podchmielonych biesiadników". Jakoż,

---

[1]) Dowodu na to nie ma, ale dane, przytoczone przez prof. Plenkiewicza, upoważniają do tego przypuszczenia.

po pewnym czasie, dosyć miał tego katońskiego nastroju, jaki panował w hetmańskiéj Wiewiórce.

Zdaje się, że i Mielecki podzielał to zapatrywanie, gdyż niebawem obaj pożegnali pierwszego dostojnika korony, przenosząc się do Gorliczyna, gdzie w téj chwili rezydował młody Jan Krzysztof Tarnowski, świéżo ożeniony z Zofią Odrowążówną. Wprawdzie i tu obserwowano żałobę po „pani krakowskiéj", ale inaczéj w takich razach zachowuje się podeszły w lata wdowiec, a inaczéj młode małżeństwo, gdzie mąż liczy sobie 21 lat, a żona 17. W takim domu, pomimo p. Hieronima Myszopada i statecznéj „dwornéj pani", którzy tu czuwali nad młodą parą, musiało być weseléj, choćby dlatego tylko, że nie brakło młodego otoczenia obojéj płci. Kto wié, czy poeta nie rozgorzał namiętnym afektem do jakiéj nadobnéj „dworki" z fraucymeru młodéj pani Tarnowskiéj, skoro elegia I, księgi I, przypisana Janowi Krzysztofowi Tarnowskiemu, oprócz ustępu, gdzie poeta zwraca się wprost do niego, tak jest przesiąkła erotyzmem. Co pewna, to, że epiczna elegia o Wandzie, niewątpliwie napisana pod wpływem owych napomnień hetmana, odnosi się do tych czasów, kiedy poeta bawił w Gorliczynie. Pewno ją czytał młodym Tarnowskim i Mieleckiemu... Bądź co bądź, jest to poemacik epiczny, w którym Kochanowski po raz pierwszy osiągnął wysoki stopień przedmiotowości, a jeśli nie wiadomo, coby powiedział stary hetman, przeczytawszy elegię do swego syna, to można być pewnym, że za *Wandę* z pewnością pochwaliłby jéj autora, zachęcając go, ażeby w dalszym ciągu hołdował epickiemu rodzajowi poezyi i

> Służył ojczyźnie miłéj, a jéj sprawom sławnym
> Nie dopuszczał zamierzknąć w ciemnym wieku dawnym [1]).

....W ten sposób upłynął Kochanowskiemu rok 1557. Z początkiem 1558-go naglony różnemi sprawami domowemi i rodzinnemi, powrócił do Sycyny. Tu przedewszystkiém drużbował bratu swemu, Piotrowi, żeniącemu się z Anną Odrzywolską, która mu wnosiła świetny posag w sumie 1,000 florenów, a kiedy po skończoném weselu zaczęło się normalne życie ziemiańskie, żył na wzór braci, stawał po sądach, odwiedzał sąsiadów, przyjmował ich odwiedziny, a gdy przyszło do wypitki, za kołnierz nie wyléwał.

Coprawda, nie zawsze się potrafił dostroić do poziomu téj prostaczéj szlachty, któréj gruboskórność musiała razić jego wytworną naturę człowieka dworskiego... Jakoż dowodzi tego Pieśń XVIII ks. I-éj, zwrócona do jednego z tych sąsiadów-biesiadników, o których poeta

---

[1]) Zob. *Omen* Kochanowskiego,

trzymał, że „y tak we łbie rozumu potrzeźwiu nie wiele, a ostatek chcą zalać...”

Czołem za cześć, łaskawy móy panie sąsiedzie,
Boże nie day u ciebie bywać na biesiedzie,
Każesz mi pić przez dzięki twe przemierzłe piwo.
Że do dna nie wypijam, patrzysz na mnie krzywo.

Jeślić o sławę idzie, kto więcey pić może,
Daięć przodek w tém męstwie...
Jeśli téż tak rozumiész, żebyś mię częstował,
Męczysz mię, nie częstujesz: tociem podziękował.

Cóż dopiéro, gdy pijatyka kończyła się bijatyką, gdy kufle zaczynały „jako grad” latać w powietrzu, gdy jeden i drugi, wziąwszy konwią „aż mu na łbie zostały obręczy”, jęczał pod ławą, inni zaś, „ułożywszy się” po kątach, „ronili” wypite piwo, nie przeciwni psom, jeżeli im „gębę ulizali”. Takie biesiady, na których niekiedy przychodziło do walki na ostre, nie mogły się podobać wykwintnemu humaniście, który lubił wesołą gawędę przy kuflu, ale w pewnych granicach. „A więc to biesiada? Jeśliście tak weseli, jakaż u was zwada?”

To „u was” pozwala wnosić, że Kochanowskiemu, w czasie tych biesiad z sandomierską szlachtą, mimowoli nasuwało się porównanie z zagranicą, z wesołemi biesiadami padewskich i paryskich studentów, gdzie pito i dokazywano, ale w sposób cywilizowany: tam uczta równała się przyjemności, nastręczała okazyę do miłéj gawędy, a tu... Przypadek zdarzył, że w tych czasach więcéj miał sposobności do poruszania tego tematu, niż kiedyindziéj, a mianowicie w rozmowach z Piotrem Kłoczowskim, z tym samym, z którym przed dwoma laty razem jechał do Włoch. Kłoczowski jeszcze studyował w dalszym ciągu, a teraz przyjechał tylko na letnie ferye. W końcu lata znowu wybiérał się za Alpy. Kochanowski zazdrościł mu szczerze, a gdy go Piotr namawiał, ażeby jechał z nim razem, że ostatecznie traci czas, siedząc w Sycynie, że tu jest niepotrzebny wobec oddalonego terminu podziału majątku, że aż do tego terminu mógłby posiedziéć w Padwie i t. d., poeta miał do zwalczenia silniejszą pokusę, niż się to mogło zdawać Kłoczowskiemu. Ale przezwyciężył się w końcu, a poetycznym śladem téj pokusy jest poważna fraszka *Do Piotra Kłoczowskiego*.

Nie chcę cię, Pietrze, do Włoch drugi raz prowadzić,
Trafisz sam: a mnie téż czas o sobie poradzić.
Jeśli mi w rewerendzie, czy lepiéj w sajanie,
Jeśli mieszkać przy dworze, czy na swoim łanie.
Ty będziesz wczas do tego: a dokądeś młody
Użyj świata za czasu, i pięknéj swobody.

Jemu już tego czynić nie przystoi. Ale nie znaczyło to, ażeby Kłoczowskiego nie miał odprowadzić do Krakowa, témbardziéj, że tam miał literacki interes: chciał znaléść nakładcę na swoją pieśń *O potopie*. Nie wątpił, że go znajdzie, zważywszy, że choć nie drukował żadnego ze swoich dotychczasowych utworów, ani łacińskich, ani polskich, jednak poezye te, krążąc w odpisach, zjednały mu poważny rozgłos w całym kraju [1]); ale chcąc w téj sprawie porozumiéć się z księgarzem-drukarzem, należało udać się do stolicy. Poeta uczynił to, a że nie pojechał napróżno, tego dowodzi fakt, że jeszcze w tymże roku 1558-ym pieśń *O potopie* ukazała w drukowanéj szacie, wydana nakładem Siebeneichera, którego „oficyna" tak ważną rolę odegrała w ówczesnym ruchu literackim. Był to pierwszy drukowany utwór Kochanowskiego.

Ale doglądając jego druku, poeta myślał nietylko o nim, lecz i o moralnéj korzyści, jaką z téj pieśni osiągnąć może: nie wątpił bowiem, że w stosunkach, jakie przy téj sposobności pragnął zawiązać w Krakowie, drukowany utwór, podpisany jego nazwiskiem, tylko mu może ułatwić ich nawiązanie. A zależało mu na tych stosunkach, gdyż czas mu już było „o sobie poradzić". W tym celu przypomniał się swoim dawnym profesorom uniwersyteckim, odwiedził Jakóba Górskiego, który się właśnie wybijał na godnego zastępcę po nieodżałowanym Maryckim, a że zarówno on, jak i ci poważni profesorowie wszechnicy, nie gardzili „pełną prze zdrowie", którą zresztą nie gardził żaden prawdziwy humanista, więc przyszło i do wesołych rozmów przy kuflu, które poecie przypomniały jego dawne studenckie czasy, kiedy to zachwycał się nietylko wykładami Maryckiego, ale i wdziękami owéj „nadobnéj" Zofii... Przypadek zdarzył, że się z nią spotkał i teraz. Niestety, bardzo się zmieniła od owego czasu, jak ją widział po raz ostatni! Zestarzała się, zbrzydła, a nawet i dowcipną być przestała. Co gorsza, to, że jeszcze nie straciła wiary w siebie, że jeszcze próbowała przypodobać się swemu dawnemu wielbicielowi, który jeszcze „przed siedmią lat" nie był obojętnym na jéj wdzięki. Za to dziś zobojętniał tak da-

---

[1]) Już około roku 1550 zaczął Kochanowski zdobywać sobie uznanie, jako poeta, jako współzawodnik Reja, nad którym mu niebawem wszyscy—samego Reja nie wyłączając — zaczęli przyznawać wyższość. „Pomnię ja niedawno (czytamy w *Dworzaninie* Górnickiego), kiedy tu na Prądnik przyniesione było dwoje wierszy, jakoby miały być jedne p. Reya, a drugie p. Jana Kochanowskiego: wszyscyśmy je z podziwieniem wielkiém chwalili, jako trefne, jako śmieszne, jako uczone..." Górnicki odnosi to wspomnienie do roku 1549-go, z czego się w ten sposób tłómaczy w przedmowie do *Dworzanina*. „Lubo jego wiersze jeszcze się były nie wsławiły, ale to nic, bo jednak rychło potém p. Kochanowski wiersze pisać począł." Jeśli rychło po roku 1549, to w r. 1558 już się niemi wsławił...

lece, że kiedy ona poczęła się mizdrzyć, on na te zaloty odpowiedział wesołą fraszką *Do Zophiey:*

Nie tyś to, o Zophiia, nie ty na mą wiarę.
. . . .
Ciebie nie wiem jako zwać: co poczniesz, niegrzeczy
. . . .
Żartom nikt się nie śmieje, na gniew nic nie dbają
A jeśli słowo rzeczesz, jeszczeć y nałają.
Nakoniec, krom imienia, niémasz nic dawnego.
Bierzmuy się, proście przebóg, a zbądź już y tego...
O lata zazdrościwe, wszystko precz niesiecie,
Zofiia nie Zofiią, kiedy wy przypniecie!

Tymczasem zanosiło się na sejm walny, zwołany na 20 listopada do Piotrkowa, sejm budzący wiele obaw i nadziei. „Ztąd niezwykle było gwarno i rojno w Piotrkowie, którego szczupły, murami zewnętrznemi zacieśniony obręb, zaledwie mógł senatorów i małą liczbę posłów pomieścić; reszta musiała na przedmieściach, lub nawet po wsiach okolicznych, szukać kąta dla siebie". Wraz z tłumami szlachty, przybył tu i Jan Kochanowski, wiedziony potrzebą ustalenia swego losu na przyszłość. Przyjechał z najlepszą otuchą, bo liczył na poparcie swych dotychczasowych protektorów: Tarnowskich, Tęczyńskich, Firlejów, Mieleckich, którzy tu wraz ze swemi dworami przybyli również, a których osobiste stosunki, bądź z królem samym, bądź z podkanclerzym, mogły mu miejsce w kancelaryi królewskiéj, tak upragnione przezeń, wyjednać. Zrazu wszystko szło jaknajlepiéj, choć tło było chmurne, choć burzliwy sejm świadczył o smutnym stanie kraju, w którym jakiś „wróg niewidomy"—a była nim waśń religijna—„mieszał ludzkie rzeczy". Ale poeta znajdował się w tém szczęśliwém położeniu, że stał po za tém wszystkiém, ludzie zaś, z którymi tu stykać się miał sposobność, w wysokim stopniu—niektórzy przynajmniéj—odpowiadali jego usposobieniu. Niedość bowiem, iż się poznał z Rejem, który także zjechał do Piotrkowa, jako poseł ziemi krakowskiéj, i że miał możność częstego obcowania z Mieleckim, z młodym Tarnowskim i wielu innymi, ale się poznał z Łukaszem Górnickim, w téj chwili sekretarzem podkanclerzego Przerębskiego, a również wychowańcem padewskim. O trzy lata starszy od poety, był to humanista rzetelny, cyceronianin pierwszéj wody, serdeczny przyjaciel Nideckiego, a przytém osobistość wpływowa, dzięki przyjaznym stosunkom z Padniewskim. Wszystko to nadawało mu ogromnego waloru w oczach Kochanowskiego, który rozumiał, że jeżeli kto może go wprowadzić do kancelaryi królewskiéj, to Padniewski właśnie. Wiedząc o tém, trzymał

się Górnickiego, a tak się z nim zaprzyjaźnił w ciągu téj bytności w Piotrkowie, że go aż wspomógł pożyczką... W miarę jednak, jak sejm zbliżał się ku końcowi, t. j. ku zerwaniu, poczęły się rozwiéwać nadzieje i złudzenia Kochanowskiego. Przekonał się, że jego sprawa wcale nie była na dobréj drodze, że mu wypadnie wracać z niczém. Na nic się zdała znajomość z Górnickim, na nic się zdały starania o protekcyę Padniewskiego, ten bowiem, na skutek chwilowéj konstelacyi politycznéj, a głównie na skutek tego, że miał przeciwko sobie stronnictwo Przerębskiego, po którym otrzymał podkanclerstwo, znajdował się w tém fatalném położeniu, że nikogo, pomimo najszczerszych chęci, do kancelaryi królewskiéj, bez narażenia własnéj godności, wprowadzić nie mógł. „W takich zaś okolicznościaah trudno było forytować kogoś, zwłaszcza, że do kancelaryi królewskiéj ciśniono się nietylko w widokach promocyi, ale i dla materyalnych korzyści. Za wszystkie bowiem czynności, jak wypisy, listy, przywileje, za każde niemal poruszenie piórem, pobiérano grube opłaty. Każdy więc nowoprzybyły, niemile tu był witany, gdyż pomnażając liczbę pisarzy, umniejszał dawniéj pracującym dochodów. Takich zaś zasiedziałych kreatur Przerębskiego był cały legion w kancelaryi królewskiéj. Drażnić przeto to gniazdo, gdy ostrożność nakazywała myśléć o zabezpieczeniu własnego stanowiska, byłoby krokiem arcy niepolitycznym, a nawet samemu protegowanemu szkodliwym". Powyższe względy sprawiły, że poeta musiał zrezygnować z aspiracyi, jeżeli nie na zawsze, to chwilowo przynajmniéj. Zrezygnował, ale wyjeżdżając z Piotrkowa, wyjeżdżał rozgoryczony, bez wiary w siebie i w przyszłość.

W podobnym nastroju znalazł się z powrotem w Sycynie, gdzie mu dopiéro niepowodzenie, zaznane w czasie téj wyprawy po złote runo, na dobre zaczęło się dawać we znaki. Przedewszystkiém starsi zaczęli „mądrzyć" nad tym wypadkiem. Ani im przez myśl przeszło, iżby mógł powrócić z próżnemi rękoma. Więc na to tak długo siedział za granicą, studyował po Wenecyach, Padwach, Paryżach, ażeby teraz nie miéć żadnych owoców z téj edukacyi, która tak była kosztowna! O, stanowczo zmalał w ich oczach! Do owego sejmu imponował im trochę, jako człowiek, co tyle nauk miał za sobą, a pozostawał w przyjaznych stosunkach z pierwszemi rodzinami w kraju, na których dworach przebywał. Ale po powrocie z Piotrkowa? Jużci, gdyby był tak uczony, jak mówiono, z pewnością poznanoby się na nim, nie dano odjechać z niczém. I zaczęto powątpiewać o jego zdolnościach i mądrości, a gorszyć się życiem bezczynném, jakie—zdaniem najbliższych—prowadził. Gospodarstwem nie zajmował się, część Sycyny, przypadającą na siebie, puścił w arendę Piotrowi, a pozatém czytał książki,

pisał jakieś wiersze, z których, powątpiewano, ażeby mu co przyszło w życiu. Wszak już półtora roku ubiegło, jak wrócił do kraju, a czego dokazał! Tymczasem Piotr, choć także wyższych nauk świadom, ożenił się świetnie, a teraz uprawiał ojczysty zagon, wcale w tém nie widząc ujmy dla siebie. A cóż dopiéro Kacper, który już zajmował urząd podstarościego, a korzystnemi zastawami pomnażał fortunę, nietylko swoją, ale i braci. To przynajmniéj człowiek do rzeczy! A on nietylko majątku nie przysporzył, ale go uszczuplał swemi ciągłemi wyjazdami. Jedném słowem rozczarowano się nim.

W takiém usposobieniu zaczęto poruszać drażliwą kwestyę działów majątkowych, aż w końcu postanowiono podzielić się rodzicielską spuścizną, tak, by odtąd każdy, gospodarując na przypadłéj mu z prawa części, sam o dalszym swym losie stanowił. Była to nad wyraz przykra epoka w życiu poety; niedość bowiem, że w ogóle czuł się zrażony do rodziny, którą stryjowie buntowali przeciwko niemu, ale się musiał użérać z niemi, targować o każdy kawał gruntu, jeśli nie chciał dopuścić, aby go skrzywdzono. I tak zasada, któréj postanowiono przestrzegać w téj sprawie, z góry była ukartowana na jego niekorzyść. Bo jakaż to była zasada? Oto obrano za punkt wyjścia, że ponieważ młodsi bracia mniéj od starszych mieli sposobności korzystania z łask rodzicielskich, słuszna więc, by się im najlepsze części dostały. „Że zaś Jan (mówiono) otrzymał tak świetne, jak żaden z braci, wykształcenie, przeto tém samém utracił prawo do równego z nimi podziału: sumy bowiem, jakie pochłonęła zagranica, wartość nie jednéj części, przypadającéj do podziału, przeniosły. To więc, co zdobył w nauce, powinno mu część należną w ziemi zastąpić, zwłaszcza, że przeznaczony przez rodziców do duchownego zawodu, miał przed sobą drogę otwartą do godności i bogactw, która przed innymi braćmi nazawsze była zamknięta". Może było nieco słuszności w tém rozumowaniu, sposób jednak, w jaki mu to poznać dawano, był tego rodzaju, że poeta „teraz dzień i noc nękany troską i pracą", musiał stać na straży swojego mienia, jeśli nie chciał, żeby mu je wydarto. Zapraszany do Krakowa, gdzie chwilowo bawił Andrzéj Dudycz, świéżo przybyły z Nideckim i St. Fogelwederem, musiał sobie odmówić téj przyjemności zobaczenia się ze swymi padewskimi przyjaciółmi, „albowiem (jeśli godzi się małe porównywać z wielkiém), jako niegdyś na Ulissesa z dalekich krajów powracającego czychali zalotnicy, tak też są tacy (pisał w epigramacie do Jędrzeja Dudycza), co i moje, o ile tylko można, zrujnowaćby chcieli, gdybym tylko nie czuwał i gdybym, wieszcz Muzom poświęcony i więcéj do pokoju przywykły, jakkolwiek ojcowskim nie bronił się orężem". W takich warunkach chodził koło téj nieszczęsnéj sprawy

podziałowéj, z upragnieniem oczekując jéj końca. Tymczasem sprawa przeciągnęła się aż do lata, jak o tém świadczy akt podziałowy, spisany w grodzie radomskim dnia 13 lipca 1559 r. „po należytéj rozwadze i zasiągnieniu zdania przyjaciół", a z którego okazuje się, iż poeta, który koniecznie chciał dostać Sycynę (ostatecznie oddaną Mikołajowi i Jakóbowi) wywalczył sobie *arcu patrio* połowę Czarnolasu, wraz z młynem na rzece Grodzkiéj.

Zostawszy właścicielem wschodniéj części czarnoleskich obszarów, nie zwłócząc długo, przeniósł się do swojéj nowéj „uszczyplonéj" dziedziny, która odtąd miała się stać jego Tusculum, i tu, w tym wielkim folwarku, zewsząd otoczonym borami, zaczął się wdrażać do ziemiańskiego żywota, przeplatanego pracą na niwie poezyi. A Czarnolas bardzo się nadawał do podobnych zajęć. Był to folwark niewielki, ale miły. Zwykły dworek szlachecki, położony na wschodnim krańcu wsi, a „rozdzielony sienią na dwie połowy, tak, iż po jednéj stronie mieściły się izby mieszkalne, po drugiéj dymna czeladna", zapewniał spokój i ciepły kąt podczas zimy: słowem, choć pochylony laty, nie pozostawiał, jako dach nad głową, nic do życzenia. Szczupły był, ale własny. A przytém był położony w pięknym ogrodzie, w zieleni drzew odwiecznych, a z tych najpiękniejszą była stara lipa, rosnąca pode-dworem. Po przeciwległéj stronie, od północy, ciągnął się dziedziniec, obramowany gumnami i oborami, a te dochodziły aż do drogi, prowadzącéj od głównego traktu. Dokoła czerniał bór, odgraniczony obszarami pól uprawnych, łąk i nieużytków piaszczystych. Zdaje się, iż ostatnich było najwięcéj, skoro sam poeta z właściwym sobie humorem przyzna niebawem w jednéj ze swych wesołych F r a s z e k, że na jego dziedzictwie obficiéj rodzą się pieśni, „niż jęczmień i żyto." O pszenicy nie było mowy. „W tém to ustroniu poeta miał teraz urzeczywistnić swe sielskie obrazy, o których marzył w Padwie... Tylko dziś brakło do posługi Amorka i p a n i s e r c a, która miała towarzyszyć pracom jego oraczym". Bo, że mu się często dawało we znaki osamotnienie, z tém się nie taił. Oprócz stryja Filipa, który, jako mieszkający na zachodnim krańcu wsi, był jego najbliższym sąsiadem, a z którym, od chwili działów majątkowych wcale nie pozostawał w dobrych stosunkach, nie miał nikogo, z kimby się mógł podzielić myślami. Po za czeladzią, dla któréj pewno nie był złym panem, jedynym człowiekiem, z którym mógł pogawędzić przy kuflu, był stary włodarz miejscowy. Poeta, w braku innego towarzystwa, bardzo polubił tego sługę, a nietylko dopuszczał go do poufałości z sobą, ale polegając na jego doświadczeniu, wszystko, co było gospodarstwem, zdawał na jego rozum: ostatecznie wiedział, że gospodarując w ten sposób, lepiéj wyjdzie na tém, aniżeli

gdyby sam wziął na siebie obowiązek obmyślania i doglądania roboty. Jakoż skończyło się na tém, że włodarz gospodarował za niego, a on, bądź siedząc pod lipą przed domem, bądź nie wychodząc ze swéj komory, któréj największą ozdobą była jego *libraria*, służył Apollinowi i Muzom. Wieczorami zaś, po skończonéj orce w polu, zapraszał włodarza, częstował go, wyciągał na rozmowę, a jedną z takich rozmów z nim, jako charakterystyczną przymówkę chłopską, nawet uwiecznił wierszem:

— Piy-że, Włodarzu.
　　　　　　　— Panie, iużem podpił sobie.
— Piy ty przedsię. Dziękuję, jako panu, tobie.
— Mało już nie mam za swe, a człowiek się boi,
By słówkiem nie wyleciał, co więc chmiel rad broi.
— Piy-ty Włodarzu, i mów, coć się będzie zdało,
Prosto, iako za naszych oyców więc bywało.
— Tak ci bywało, panie, pijaliśmy z sobą,
Ani gardził pan kmiotka swojego osobą:
Dziś wszystko już inaczéj: wszystko spoważniało,
Jako mówię: postawy dosyć, wątku mało.

Ale, choć osiadł w Czarnolesie, nie zwątpił o możności dostania się do kancelaryi królewskiéj, o któréj przemyśliwał ciągle. Niestety, Zygmunt August ciągle przebywał w Wilnie, co za sobą pociągało konieczną odwłokę całej sprawy. Ale, co się odwlecze, to nie uciecze, myślał sobie Kochanowski, a skoro mu się nie poszczęściło dotychczas, to jeszcze nie dowód, iżby wątpić o wszelkiéj karyerze. Swoją drogą dręczył się myślą, że inni jakoś dawali sobie rady w życiu, a jemu szło wszystko oporem. Oto Górnicki, obok sekretarstwa podkanclerskiego, został bibliotekarzem królewskim, a Nidecki, który mu o tém donosił, wszedł w stosunki z Myszkowskim, sekretarzem większym, który mu robił nadzieję, że go umieści w kancelaryi. A on tymczasem, przy całéj pewności, iż był zdolniejszy od tamtych, rdzewiał w ustronnym Czarnolesie, w dali od wszelkiéj atmosfery humanistycznéj, w dali od wszystkiego, co było cywilizacyą, a czém on tak nasiąkł za granicą. Co robić więc? Jak zaradzić temu położeniu? A żeby spróbować raz jeszcze? Żeby pojechać do Wilna, zbliżyć się do dworu, skorzystać ze stosunków Nideckiego i Górnickiego? Wszak poprą go, gdy im wyjawi powód, dla którego przedsiębrał tę daleką podróż. W każdym razie, nie ruszając się z Czarnolasu, nic nie wskóra... W tém przeświadczeniu, z nadejściem jesieni, po ukończeniu zasiewów, gdy na wsi niéma wiele do roboty, pojechał do Wilna.

II.

Jechałeś potym ziemią, tam gdzie Wilna cicha
Górę z wieku sadzoną potaiemnie spycha,
Czyniąc sobie gośćiniec ćichy do śiestrzyce,
Któréj szumny bieg słyszy przez wąskié gránice.

Słowa te, wyjęte z *Pamiątki*, odnoszą się równie dobrze do Jana Tęczyńskiego, jak i do ich autora, który teraz przyjeżdżał do stolicy Gedymina. Gród ten, zaparty lesistemi górami, opasany świéżo wzniesionemi murami i okopami, które opierścieniały zbitą gęstwę domów drewnianych przeważnie, a wieńczony dwoma zamkami, składał się z różnorodnéj ludności: oprócz zamożnego mieszczaństwa, zamieszkującego domy na Rynku, widziano tu, zwłaszcza w t. zw. *Gościnnym dworze*, wielką mnogość Żydów i tureckich Tatarów, Turków, Wołochów i Niemców, których barwne stroje na tle straganów z porozkładanemi towarami, nadawały temu miastu jakiś wschodni koloryt, nie pozbawiony malowniczości. Kochanowskiemu jednak, przybywającemu do stolicy Litwy, najmniéj chodziło o jéj zewnętrzy wygląd, bo 1) nie umiał na świat patrzéć okiem malarza, a 2) jechał z jasno wytkniętym celem, z którego artystyczne wrażenia były prawie wykluczone. Nadto zanosiło się na wojnę, o któréj wszędzie musiał słyszéć po drodze, a całe Wilno roiło się od pocztów zbrojnych, zalewających wszystkie ulice i place, gdyż była to chwila, w któréj pospolite ruszenie, pod wodzą Hieronima Chodkiewicza, gotowało się na wyprawę do Inflant. Ta atmosfera wojenna, odbiła się w elegii do Nideckiego, u którego poeta stanął kwaterą, a który, podobnie jak i on, wcale rycerskim duchem się nie odznaczał. „Wojna grozi, Patrycy! czyż i my pójdziem na wojnę, czyż i nam wypadnie zapisać się do twardéj żołnierki?" Nie miał ochoty po temu — jak to wynika z dalszego ciągu elegii—a powtóre, nie po to zjechał do Wilna.

Po co przyjechał, z tém pewno nie taił się przed Nideckim, skoro, ledwo przyjechał, zaraz wszedł w stosunki z wojedwodą wileńskim Mikołajem Radziwiłem Czarnym, mającym, jako brat Barbary Radziwiłłówny, największy wpływ na króla. Jako zagorzały krzewiciel kalwinizmu, był to „najgorszy z heretyków"; mimo to, pałac jego, położony naprzeciw kościoła św. Jana, słynął ze swéj przysłowiowéj gościnności, na któréj się nie zawiódł i Kochanowski: był bardzo dobrze przyjęty. Co prawda, znajdował się w tém szczęśliwém położeniu, iż nietylko korzystał z przywilejów człowieka, który już zdążył się wsławić jako poeta, ale nadto zjawił się na dworze wojewody, jako

oddawna znany jego żonie Elżbiecie Szydłowieckiéj, z domu, a więc Odrowążównie. Ostatnia okoliczność była pewném ułatwieniem dla Kochanowskiego, bo jako współherbowny z wojewodziną, a nawet pochodzący z tych samych stron, co ona, był dla niéj, jako sandomierzanki, nadzwyczaj miłym i pożądanym gościem. „Przynosił z sobą, jakby woń ziemi rodzinnéj i budził niejedno z lat młodocianych wspomnienie, które, bodaj czy w jéj duszy nie świéciło jaśniéj, niż blaski mitry książęcéj i dostojeństw, które na nią przez małżonka spływały! Wychowana w tradycyach pobożności, wspólnych całemu rodowi Odrowążów, nagle ujrzała się pod wpływem anti-katolickim małżonka, który zadając gwałt jéj sumieniu, narzucał jéj swe dogmata..., aż w końcu znękał jéj umysł, złamał wolę i do odstępstwa przymusił." Jedném słowem była to kobiéta nieszczęśliwa... Co innego mówi dedykacya *Zuzanny*, przypisanéj przez Kochanowskiego „iéy M. Paniey Elżbiecie z Szydłowca, na Ołykach y Nieświeżu Księżnie, etc." a w któréj poeta zapewnia swą protektorkę, iż szczęście jéj dochodzi tego kresu, „że nie wiem, jeśli prosić o więcéj się godzi". Cóżkolwiekbądź, piérwsze słowa dedykacyi, poprzedzającéj ten wdzięczny poemat biblijny, są piękną charakterystyką zacnéj, a młodo zmarłéj matki dzieci wojewody:

Wszytkich skarbów na świecie, y wszytkiego złota,
Godnaby, zacna pani, twa dobroć i cnota.

Co pewna, to, iż jak *Zuzanna* należy do pierwszorzędnych i najdoskonalszych dzieł poety, tak, ofiarując ją „poprostu przybraną", t. j. w rękopisie, wojewodzinie, bardzo liczył na jéj dobroć i wpływ na męża, który go mógł polecić do kancelaryi królewskiéj. Niestety, chwila, w któréj się powierzał opiece i protekcyi wojewody, była nieodpowiednia, gdyż była to chwila właśnie, w któréj Padniewski „brał górę" nad Radziwiłłem, gdy chodziło o wpływ na chwiejny umysł króla. Ztąd poszło, iż Radziwiłł, choć mógł miéć najlepsze chęci, niewiele mógł zdziałać dla poety; paraliżował go Padniewski, świéżo mianowany biskupem krakowskim.

Nie znaczyło to przecież, ażeby sam Padniewski nie chciał czegoś zrobić dla Kochanowskiego, ażeby mu nie zależało na pozyskaniu go sobie. Najlepszy dowód, że wtedy, gdy autor *Zuzanny* zaczął powątpiewać o możności dostania się na dwór królewski, on, Padniewski, zaprosił go — przez Nideckiego zapewne — na swój dwór biskupi. Sam humanista i poeta, „dostąpiwszy jednéj z najwyższych w kościele polskim godności, pragnął teraz otoczyć się blaskiem, któryby zaćmił hulaszczą rozrzutność Gamrata, humanistyczą dworskość Maciejowskiego, wreszcie przepych wielkopański poprzednika, Zebrzydowskiego,

słowem, postawić swój dwór na takiéj stopie, iżby obok okazałości zewnętrznéj, zajaśniał doborem co najpierwszych w kraju humanistycznych zdolności. Jeżeli zaś kto, to Kochanowski trafiał w rym owych chęci". Ale poeta, wbrew wszelkim oczekiwaniom biskupa, wcale się nie zapalił do roli dworzanina biskupiego, ostatecznie bawiem, choć tu chodziło o coś więcéj, bo o rolę nadwornego poety biskupa, to jednak oficyalnie miał być tylko dworzaninem, a to mu nie wystarczało: poprostu nie wyobrażał sobie, ażeby na téj drodze mógł zrobić jakąkolwiek świetniejszą karyerę. Innego zdania byli Górnicki i Nidecki, którzy go, jak się zdaje, przekonali w końcu, że źle czyni, ociągając się z wstąpieniem na dwór Padniewskiego. „Jeżeli szło o kancelaryą królewską (tłómaczyli mu), to wstęp do niéj przy protekcyi biskupa zawsze był dla niego otwarty; gdyby zaś obrał zawód duchowny, zkądże, jeśli nie z jego dworu, najprostsza droga wiodła do beneficyów intratnych". A powtóre, służba w kancelaryi królewskiéj, wymagająca całodziennéj pisaniny, redagowania rozmaitych aktów, obrabiania najrozmaitszych spraw, i t. d., nie była dla niego, kiedy służba na dworze biskupa, który pragnął mu zapewnić byt nieskrępowany ściśle oznaczonym obowiązkiem, byle tylko mógł tworzyć spokojnie, była jakby stworzona dla niego. Zdaje się, że te i tym podobne argumenty przekonały Kochanowskiego, gdyż w końcu zdecydował się stać „w pacholczém kole" dworzan Padniewskiego. Jakoż wstąpił na jego dwór.

I nie żałował tego. Okazało się bowiem, że w swobodniejszych chwilach, gdy i podkanclerzy i jego ulubieńsi podwładni, jak Górnicki i Nidecki, a wraz z nimi i Kochanowski, mniéj mieli do roboty, przychodziło do uczonych rozmów przy stole biskupa, rozmów, podczas których poeta miał możność wejścia w poufalszy stosunek z Padniewskim, a w których poruszano nietylko takie przedmioty, jak wspomnienia padewskie lub cycerońskie Fragmenty, ale i kwestye związane z chwilą bieżącą, z polityką, z reformą etc. etc. Kochanowski zaczynał się czuć w swoim żywiole, raz, że go nie przeciążano nudną pracą biurową, a powtóre, że sam Padniewski był świetnym typem humanisty, „w którym wszystkie przymioty umysłu i właściwości charakteru zléwały się w całość harmonijną, tworząc z niego w pewnéj mierze doskonałego człowieka."

Niezależnie od tego, musiał Kochanowski, w celu uregulowania swych interesów gospodarskich, przerwać te humanistyczne sympozyony. Wypadało zajrzéć i do Czarnolasu. Wrócił więc, a nie przypuszczał nawet, rozstając się z biskupem, że upłyną dwa lata, zanim go ujrzy znowu... Mimo to, zjechawszy do domu, gdzie bądź co bądź czuł się panem i pierwszą osobą, nie tracił czasu, przerabiał dawne utwory,

pisał nowe, studyował Arata, a nawet nie gardził zwykłą dolą ziemianina, który, siedząc na roli, nie stroni od sąsiadów, od rodziny. Bo i z rodziną wolał żyć w zgodzie, aniżeli siebie i ich drażnić ciągłemi zatargami. Jednėm słowem, prowadził żywot harmonijny, który jeżeli mu co zakłócało, to chyba zbyt obfite żniwo śmierci. Bo śmierć kosiła jak zwykle, bez względu i na takich ludzi nawet, jak St. Tęczyński, zmarły w grudniu r. 1560, i hetman Tarnowski, który w d. 16 maja 1561 r. w Wiewiórce,

Pełen wieku i przystojnéj chwały,
Sam się prawie położył, jako kłos dojrzały.

Pod wrażeniem téj śmierci, a następnie wspaniałego, iście królewskiego pogrzebu, w którym wziął udział, napisał Kochanowski, zwracając się do Jana Krzysztofa Tarnowskiego, jako nadziei i podpory wielkiego domu, dwa wiersze: elegię łacińską, bardzo długą, w której opowiedział całe życie hetmana, i pieśń polską *O śmierci Jana Tarnowskiego*, która w tymże roku jeszcze, sumptem syna, wyszła w Krakowie.

Tymczasem w marcu 1562 roku, odbywał Padniewski „przy oklaskach i okrzykach ludu" swój uroczysty wjazd do Krakowa, a poeta nietylko się w téj chwili znajdował w świeckiém otoczeniu biskupa, ale mu, jako „swéj ozdobie i ulubieńcowi muz aonijskich" ofiarował kwiecisty „wieniec z Helikonu" w formie elegii łacińskiéj, wychwalającéj cnoty podkanclerzego [1]) i wyrażającéj radość z jego przyjazdu. „Ciebie matka Wisła, w żółte włosy wplótłszy gałązki wierzbowe, już dawno, wynurzywszy się z nurtów przezroczystych, radośnie przywołuje... Ciebie, w grodzie Krakusa, najpiękniejsza siedziba i poświęcane wieńce mające skroń twą ozdobić, oczekują; ciebie pragną oglądać dobrzy obywatele; tobie, w pełnych koszach, należne dary niosą wiślane Najady". Od tego uroczystego dnia począwszy, Kochanowski stale przebywał w gronie dworzan biskupa, a choć nie brakło najróżnorodniejszych zajęć, które niezawsze były interesujące, to jednak nie skarżył się na swoją dolę. Wyróżniany przez Padniewskiego, którego sobie musiał ująć swą elegią, przykładał się do niektórych robót w kancelaryi, był używany np. do korespondencyi, tak z królem, jak z koronnymi panami, lecz wogóle nie przepracowywał się. Natomiast korzystał z miłego i kształcącego towarzystwa kilku sekretarzy kancelaryi królewskiéj,

---

[1]) Kto wié jednak, czy elegia ta nie została napisana wcześniéj, niż przypuszcza prof. Plenkiewicz, bo właściwie jest ona, nie wyrazem radości z przyjazdu biskupa, lecz wyrazem niecierpliwego oczekiwania na jego przyjazd, od dwóch lat odkładany z dnia na dzień.

którzy, przebywając na dworze biskupim, byli, jako *lumina* humanistyczne, jego prawdziwą ozdobą. Wedle słów Jakóba Górskiego, który sam również do tych *luminów* należał, stanowili to wybrane kółko: Andrzéj Krajewski, wyćwiczony w akademii bonońskiéj, a obecnie kanclerz biskupi; Stempowski, młody człowiek, nadzwyczaj biegły w naukach humanistycznych i piórze; i wreszcie „doktór Patriciusz" Nidecki, którego cycerońskie Fragmenty świéżo wyszły w Wenecyi. O Kochanowskim wyraża się Górski, że „niegdyś wiele zakosztowawszy nauk, teraz słodszéj nad nie oddał się Muzie (*Musae mansuetiosi amantissimus*)". Widoczna zatem — konkluduje prof. Plenkiewicz—iż Padniewski nie obarczał go zbyt zajęciami, pozwalając mu za to częściéj dosiadywać Pegaza. Oprócz tych *luminów*, z którymi poeta „w biskupiéj komorze" niejedną pogodną chwilę przeżył, nie brakło i wesołych birbantów, jak doktór Montana, unieśmiertelniony w tylu *Fraszkach*, lub St. Złotnicki, którego pamięć przetrwa w *Foricoeniach*. W ich towarzystwie, sławiąc „wino, lutnię, podwikę", i sypiąc *Fraszkami*, jak z rękawa, spędzał czas poeta, niewiele myśląc o jutrze, jeno używając błogiego dzisiaj. Na mieście także miał mnóstwo znajomości zarówno w sferach duchownych, jak mieszczańskich. Ze Stan. Porębskim, poetą, którego *Skotopaski* stawiał na wyżynie sielanek Teokryta, miał możność gawędzenia o literaturze; z Feliksem Kosem, służebnikiem kanonika krakowskiego, niejednokrotnie „weselił się" w miejscowych gospodach; a z mieszczańskiemi rodzinami Kirschsteinów i Glaców, należącemi do rodów patrycyuszowskich, żył na serdecznéj stopie: tak dalece, że staremu Kirschsteinowi, zwanemu także Cezarynem, napisał piękny epigramat, nazywając go „czcicielem prawa i słuszności", a Josta Glaca aż trzy razy „włożył między fraszki".

W ten sposób, na przestawaniu z takimi ludźmi, upłynęło mu dwa miesiące. W czerwcu przeniósł się wraz z całym dworem Padniewskiego, rozpoczynającego objazd dóbr, do Kielc. Tutaj, w téj ulubionéj rezydencyi letniéj biskupów krakowskich, w obszernym dworze drewnianym, przez Piotra Tomickiego wystawionym, na tle uroczego pejzażu, na który składały się odnóża gór Świętokrzyskich, odwiecznemi lasami pokryte, oddychał Kochanowski, naprzekór swojéj opinii człowieka „wolnomyślnego", nietylko ożywczém powietrzem górskiém, ale i atmosferą duchowną i księżą, „środkującą między kościołem a zakrystyą". Dwór roił się tłumem prałatów, kanoników i niższego duchowieństwa, ale poety nie wytrącało to z równowagi: umiał przystosowywać się do każdego otoczenia, mieniąc się, jak Proteusz, „to w smoka, to w deszcz, to w ogień". To sprawiało, że ciągle trwał w nastroju pogodnym, ktoremu dawał wyraz w licznych fraszkach

i epigramatach, pisanych na różne osobistości z najbliższego otoczenia. Tymczasem, po krótkim pobycie w Kielcach, przeniesiono się do Bodzentyna, do zamku biskupiego, którego białe mury jaśniały na wysokiém wzgórzu, z którego okien rozlegał się widok na wspaniały ogród, słynny ze swoich drzew owocowych i na kopiaste, lasami pokryte góry. O piękniejszéj siedzibie marzyć było trudno. Jedyną okolicznością, zakłócającą ten błogi żywot, było przymusowe towarzyszenie Padniewskiemu, gdy zasiadał na sądach, ale i tak nie brakło czasu na humanistyczne *otia*. Cóż dopiéro, gdy się po paru tygodniach przeniesiono do Iłży, do któréj już sama podróż „przez skały nieprzebyte" była nadzwyczaj przyjemną rozrywką w czasie skwarnego lata. W średniowiecznym zamku iłżeckim, zbudowanym na stroméj górze, obronnym murami i basztami, a niedawno przekształconym w stylu renesansu, nie miało się wrażenia, że się przebywa w sępiém gnieździe, pomimo groźnego i posępnego wyglądu zamczyska. „U stóp bowiem kamiennego olbrzyma, od północo-zachodu, było miasto, którego domy, widziane ztąd, maleją do rozmiarów wyciętych z kart budynków, ludzie—do rozbiegłego za pożywieniem mrowiska. W okół zresztą rozłożyły się pola i łąki kwieciste, przerznięte łożyskiem Iłżanki; wszystko to zaś objęły kołem iglaste lasy. Podobne otoczenie, co prawda, nie wieleby jeszcze nęciło oko, pomimo urozmaicenia okolicy przez rozrzucone tu i owdzie wioski i młyny; ale właśnie ponad te lasy, opadłe w dół, wzrok mógł sięgać na południe w przestrzeń o rozległéj a głębokiéj perspektywie, w któréj na ostatnim planie, w przezroczu powietrznèm, błękitniało pasmo gór Święto-Krzyskich..." Kochanowski nie został obojętnym wobec tych gór, skoro w swojéj *Pamiątce* powraca myślą, „tam, gdzie ku niebu patrzą Kazimierskie skały". Jakoż wspomnienia jego, wyniesione z pobytu w Iłży, były nader przyjemne, jak o tém świadczy epigram do Jakóba Górsiego. „Tu nawet, gdzie Iłża spoziera na żyzne pola, tu przez bystre potoki i skały nieprzebyte, doszła, Górski, wieść głosząca twoje czyny". I nie dziw, że doszła, bo gdzie było tylu wykształconych mężów, skupionych koło osoby biskupa, tam interesowano się wszystkiém, co wchodziło w zakres humanizmu, a takie zdarzenia, jak Górskiego spór z Herbestem, w którym Padniewski był uproszony na rozjemcę, najwięcéj dostarczały tematu do rozmów w otoczeniu dworskiém. Że to otoczenie nie gardziło i winem, zwłaszcza, jeśli to było wino węgierskie z Muszyny, o tém świadczy fraszka *Do Starosty Muszyńskiego*, którego poeta obiecuje swemi „pijanemi rymy" aż do nieba wprowadzić, jeśli go i jego towarzyszów, chcąc się popisać swym „smakiem starodawnym" uczci dobrym węgrzynem...

Tak zeszło całe lato. Pod jesień wrócono do Krakowa, właśnie

w chwili, gdz uniwersał królewski zapowiadał dokonanie „egzekucyi” w całéj pełni, głosząc bez ogródki, że „dopóki się ten pień z drogi nie zwali, trudno się ma co o porządku jakimś mówić”. Uniwersał ten, zważywszy, iż różnowiercy domagali się nietylko świeckiéj egzekucyi, ale i duchownéj, stał się źródłem różnych obaw na dworze biskupim, przeczuwano bowiem, że się zanosi na zaciętą walkę z różnowiercami, podczas któréj Padniewskiemu, jako biskupowi, przyjdzie wystąpić w obronie kościoła, co w danéj chwili wcale nie było łatwe. Wiedziano również, że w téj walce musi przyjść do starcia między Padniewskim a Myszkowskim, a to starcie mogło piérwszego z nich zachwiać. Jedném słowem, zapanowała pewna konsternacya na dworze biskupim, co widząc Kochanowski, coraz częściéj zaczął przemyśliwać o dostaniu się na dwór Myszkowskiego.

Tymczasem d. 29 lutego 1562 r. rospoczął się sejm w Piotrkowie, sejm, na którym różnowiercy, ośmieleni uniwersałem Myszkowskiego, chcieli przeprowadzić kościół narodowy. Walka toczyła się zażarta, napaści zaś zwrócone przeciwko biskupowi, były tak silne, że już 5 grudnia Padniewski złożył pieczęć podkanclerską. Była to klęska, którą i Kochanowski musiał odczuć bardzo żywo. Upływały miesiące, nadszedł luty, a protestanci nie tracili animuszu; przeciwnie, rozzuchwalili się do tego stopnia, że nietylko napadali na Zygmunta Augusta, nietylko piorunowali przeciw przywilejom duchowieństwa, domagając się równouprawnienia, ale poprostu zaczynali grozić biskupom... Ci ostatni, widząc, że się nie uporają z potężném stronnictwem protestanckiém, wpadli na pomysł, ażeby wypuścić pismo przeciwko różnowiercom, któreby ich zdyskredytowało w oczach opinii publicznéj. W ten sposób powstała *Zgoda* Kochanowskiego, napisana z polecenia Padniewskiego, a będąca ciętą odprawą różnowiercom. Kij, wetknięty w mrowisko, mniéj czyni zamieszania w pośród mrówek, aniżeli ta broszurka poety, w licznych odpisach rozrzucona pomiędzy posłów. Zakipiało w obozie protestanckim, a na Kochanowskiego — którego w tym obozie uważano za swego — posypały się zarzuty, że został jurgieltnikiem biskupa, że się sprzeniewierzył idei protestanckiéj. Ale poeta nic sobie nie robił z tego „świętego oburzenia” różnowierców, bo pisząc *Zgodę*, choć szedł za wskazówkami Padniewskiego, pisał zgodnie ze swemi przekonaniami. Nie znaczy to, żeby był zadowalony z tego pamfletu, (gdyż nie da się zaprzeczyć, że *Zgoda* była pamfletem): raz dlatego, że upragnionéj zgody nie sprowadził, przeciwnie, jeszcze bardziéj rozjątrzył zwaśnione żywioły, a powtóre, że *Zgoda* tak zaabsorbowała uwagę wszystkich, iż

poemat jego *Szachy*, istne cacko artystyczne, do którego wiele przywiązywał wagi, przeszedł prawie niepostrzeżenie, choć wyszedł na krótko przed sejmem, a był przypisany Janowi Krzysztofowi Tarnowskiemu. A jednak poeta zdawał sobie sprawę doskonale, że *Szachy*, choć były przeróbką poematu włoskiego, były prawdziwym klejnotem pomiędzy jego dotychczasowemi utworami, a jako taki, posiadały wartość pierwszorzędną... Mimo to, nie poznano się na nich. To go dotknęło: tém boleśniéj, że wogóle był rozdrażniony przez cały czas trwania tego fatalnego sejmu; niedość bowiem, że go szarpano z powodu *Zgody*, ale nadto musiał się procesować ze swym stryjem, Filipem, który w czasie tego sejmu, do sądów asesorskich królewskich, zapozwał poetę, że mu we właściwym terminie nie uiścił się z jakiegoś długu... Echem téj sprawy, która oburzyła autora *Szachów*, jest złośliwa fraszka *Na Stryja*...

Z tegoż czasu datują się dwa *Epitaphia* na śmierć Mikołaja Trzebuchowskiego, zmarłego w ciągu sejmu, a będącego jednym z najzacieklejszych przeciwników Padniewskiego. I Kochanowski, będąc sługą biskupa, napisał aż dwa „nagrobki" na śmierć takiego człowieka? Mogło to wydawać się tém dziwniejszém, że i Jan Krzysztof Tarnowski, któremu poeta przypisał *Szachy*, należał do antagonistów biskupa. Jak mógł Kochanowski, nie chcąc się narażać swemu protektorowi, w ten sposób zaznaczać swoje sympatye dla jego przeciwników?

Tłómaczy się to tém, że poeta powoli ostygał w swoim zapale dla Padniewskiego, przy którego boku nie widział przyszłości dla siebie. Ostatecznie przekonał się, że biskup, o ile hojnie wynagradzał niektórych ze swoich dworzan, o tyle jego, jakby umyślnie, omijał. To poetę zrażało do niego. Zawiódł się w swych oczekiwaniach. A tymczasem Myszkowski, któremu po skończonym sejmie dostała się—po Padniewskim—pieczęć mniejsza, przeczytawszy *Zgodę*, odrazu poznał się na talencie jéj autora, a że z Padniewskim był na wojennéj stopie, więc témbardziéj zapalił się do myśli, ażeby mu odbić Kochanowskiego. Wszak i Nideckiego już zdołał pozyskać dla siebie. Czemużby mu się to nie miało udać z autorem *Szachów*?... Człowiekiem, którego Myszkowski postanowił użyć w celu pozyskania sobie Kochanowskiego, był Nidecki. Przez niego zaczął działać na poetę: najprzód w Piotrkowie jeszcze, przed rozjechaniem się posłów, gdzie Nidecki — jak ongi w Krakowie w r. 1557 [1])—starał się wytłomaczyć swemu

---

[1]) Zob. książki prof. Plenkiewicza str. 280 i 281, gdzie pod r. 1557 czytamy, co następuje: „Że poeta odwiedził Patrycego w Krakowie, przed jego wyjazdem do Wilna, to nie ulega wątpliwości...." „przedewszystkiem (już wtedy!) Nide-

przyjacielowi, jakie korzyści mógłby osiągnąć z udania się pod opiekuńcze skrzydła Myszkowskiego; a następnie, już po swym powrocie do Wilna, dokąd mu towarzyszył Nidecki, listami tegoż, wysyłanemi do Krakowa, dokąd poeta, po krótkich rekreacyach w Bodzentynie udał się wraz całym dworem biskupim — listami, coraz usilniéj nakłaniającemi Jana, żeby nie ociągał się ze zmianą protektora. W listach tych (z których, niestety ani jeden nie dochował się do naszych czasów) było—jak chce prof. Plenkiewicz – wiele mowy o kwestyach naukowych filologicznych, mianowicie w kwestyi przekładu *Fenomenów* na język polski, nad którym to przekładem Kochanowski pracował w tym czasie [2]); ale niemniéj w nich miejsca zajmowały formalne układy z poetą, dotyczące jego przejścia do obozu Myszkowskiego, „który pragnął mu otworzyć szeroko wrota do przyszłego zawodu, *wyrabiając sekretarstwo królewskie*". Dla poety „przedstawiało się to nader ponętnie, jako dobrodziejstwo, świadczone bez ubocznych widoków, zwłaszcza, iż w zamian nie wymagano nic więcéj nad poparcie piórem dążności, które podkanclerzy miał na przyszłym sejmie wypowiedziéć w propozycyach od tronu. Krótko mówiąc, szło o napisanie czegoś podobnego do *Zgody*". Gdy Kochanowski przyrzekł napisać coś w tym rodzaju, wtedy otrzymał z Wilna treść przyszłego orędzia podkanclerzego, oczywiście z postanowieniem swobody rozwinięcia jéj według własnych pomysłów, i w ten sposób powstał jego *Satyr*, który, jak się okazało wkrótce, był w wielu miejscach dosłowną parafrazą owego orędzia.

Tymczasem poeta, pewny protekcyi nowego patrona, opuścił dwór Padniewskiego, rozstając się w zgodzie z biskupem, i udał się do War-

---

cki musiał być niemało zdziwiony, iż Kochanowski, pragnąc się umieścić w kancelaryi królewskiéj, dotąd nie zbliżył się do Myszkowskiego, który przecież jako sekretarz większy, bezpośrednio kancelaryą zarządzał i królowi od siebie kandydatów zalecał... Poeta musiał uznać trafność tych uwag, zwłaszcza, że jako u wychowańca padewskiego przyjaciela i kolegi Klemensa Janickiego, mógł się spodziéwać najlepszego przyjęcia. Podążył więc z Patrycym na ulicę Kanonną"...

2) „Kochanowski (pisze prof. Plenkiewicz na str. 341 swego dzieła) porównywając tekst grecki *Fenomenów* i Prognostyków z ocalałym przekładem Cycerona. dopełnił go *proprio ingenio*, już to dorabiając brakujące w nim wiersze, już naprawiając tekst zepsuty własnemi konjekturami, z których kilka weszło nawet do drugiego wydania *Fragmentów*. Nim jednak podług oryginału zrekonstruował tekst cyceroński i wydrukowal w r. 1579 z poprawkami tekstu Nideckiego, wprzód zamierzył drukować przekład *Fenomenów* na język polski i właśnie nad jego wykończeniem pod koniec swego pobytu u Padniewskiego pracował". W przedmowie swojéj, pisanéj d. 13 września 1564, a poprzedzającéj wydanie fragmentów, Nidecki wspomina o Kochanowskim, że *Fenomena* „mowie polskiéj przyswoił i prawom naszego wiersza poddane, potomności przekazał".

szawy, gdzie na listopad był zwołany sejm. Tutaj „kwapiony” przez Myszkowskiego, przerobił i wykończył ostatecznie *Satyra*, i napisał dedykacyę, którą z porady Myszkowskiego, pragnącego mu ułatwić drogę do przyszłych zaszczytów, zwrócił do Zygmunta Augusta. Tym sposobem już około 22 listopada, w którym to dniu Myszkowski odczytał swoje orędzie, *Satyr*, przepisany w mnóstwie egzemplarzy, mógł być rozrzucony między posłów. Bo chodziło o to, ażeby tém pismem poprzéć i spopularyzować poglądy na sytuacyę polityczną, wyrażone w orędziu podkanclerskiém. Czy *Satyr* osiągnął ten rezultat? Zdaje się, że osiągnął, że był czytany skwapliwie, ponieważ Myszkowski nie tail się ze swém zadowoleniem, czego niebawem miał dać dowody...

Za to Padniewski, który także przybył na ten sejm warszawski, bardzo był niezadowolony z *Satyra* i jego autora. Czuł się nim dotknięty osobiście. Dlatego nie obeszło się bez wymówek, gdy się spotkał z poetą. Ale Kochanowski już nie dbał o biskupa, a na jego wymówki odpowiedział złośliwym epigramatem. „Nie służę tobie, niezrównany kapłanie, ni konno, ni pieszo, lecz z tego powodu wstyd oblicza mego nie pokryje, nietylko gdybym żądał od ciebie, jakiéj nagrody, lecz nawet gdybym się jéj, wbrew mojéj zasłudze, spodziéwał. A przecież skrzętna mrówka, pomna na nadchodzącą zimę, latem wciąż zewsząd znosi zapasy, czém ludziom dobry przykład daje, by i oni, dopóki wiek służy a nogi zdrowe, opatrzyli sobie dom i przysposobili sobie chleb na starość skołataną. Wybacz tedy, że i ja, gdy już prawie zbliża się zima mego życia, jestem nieco troskliwy o zapewnienie sobie własnego kąta”...

Tymczasem Myszkowski dotrzymał przyrzeczenia: poeta dostał się do kancelaryi królewskiéj, a wstępując do niéj, nie przypuszczał nawet, że był to tylko szczebel, z którego Myszkowski postanowił go wynieść do jeszcze wyższéj godności w hierarchii dworskiéj. Jakoż w rok niespełna, wyrobił mu sekretarstwo królewskie z tytułem *Secretarius regius*, a prawie jednocześnie, d. 7 lutego 1564 r., odstąpił mu intratne probostwo katedralne poznańskie.

III.

Zostawszy proboszczem poznańskim, musiał Kochanowski, w celu objęcia dóbr, przywiązanych do probostwa, udać się do Poznania, wrażenie zaś, jakie wyniósł ztamtąd, nie mogło wypaść inaczéj, tylko dodatnio i na korzyść Myszkowskiego; ofiara bowiem, którą podkanclerzy zrobił dla poety, zrzekając się tego probostwa, świadczyła

zarówno o jego wspaniałomyślności, jak i o wysokiém uznaniu dla talentu twórcy *Satyra*. Dochody, jakie przynosiło to probostwo, były bardzo ponętnym kęskiem, a napływając z trzech kompleksów dóbr, [1]) położonych w różnych okolicach Wielkopolski, dawały najkompletniejsze „zapewnienie sobie własnego kąta", na którem tak zależało autorowi epigramatu do Padniewskiego... To była ich największa zaleta. Ale była i druga, niemniejsza. Oto Kochanowski, otrzymawszy probostwo „tylko dla dochodów", nie potrzebował wcale (bo nie miał prawa, jako człowiek świecki), brać czynnego udziału w obradach i postanowieniach kapituły — warunek, który mu z pewnością bardzo był na rękę. Wystarczało, żeby się stawił osobiście przy akcie instalacyi na proboszcza kapitulnego, co nastąpiło w dniu 7 lutego 1564 roku, poczém mógł nie zaglądać do Poznania, poprzestając na regularném pobieraniu dochodów. Było za co dziękować Myszkowskiemu.

Podziękował mu w Warszawie, gdzie, po powrocie z Poznania, odrazu zaczął pełnić obowiązki dworzanina-sekretarza przy osobie króla. Na czém polegały one? Przedewszystkiém wymagały odpowiedniego stroju, który na każdy występ musiał być inny, a przynajmniéj nie raził jednostajnością, dworzanie bowiem, pełniący służbę na pokojach królewskich, zawsze musieli występować w strojach świetnych, nie podpadających najmniejszéj naganie. Tak nakazywała etykieta dworska. Kochanowskiemu, który zawsze był elegantem, „wonnemi olejkami skropionym" mogło się to podobać... Na głowie, krótko strzyżonéj, z brodą zaokrągloną, a wąsem miernym, nosili dworzanie królewscy, pełniący służbę przy Zygmuncie Auguście, krągłą czapeczkę w formie fezu, kolorową lub w złotą łuskę, z naprzód podaném piórkiem przypiętém z boku; kaftany, aksamitne lub jedwabne, z kolorową podszewką, z futrzanemi wyłogami, z kołnierzem i bufiastemi — aż do łokcia porozcinanemi w pasy—rękawami, bywały najrozmaitszych kolorów, a zdobne białą fryzą dokoła szyi, oraz wspaniałym łańcuchem złotym, spadającym na piersi, wyglądały z pod białych, błękitnych lub karmazynowych żupanów, których ozdobę stanowiły olbrzymie guzy lub pętlice ze złotych sznurów; obcisłe, w ciżmy wchodzące spodnie, gładkie lub w pasy, również mogły być najrozmaitszych kolorów, choć

---

[1]) „Naprzód pierwszą ich grupę tworzyły dobra *Kicin* z przyległościami w półn.-wschodniéj stronie, niedaleko Poznania. Kicin obejmował wówczas połanków kmiecych 11, zagrodników 5, komorników 5, i łanów pustych 3. Do niego należała karczma *Zjawieniec*, oraz wsie: *Janikowo... Czerwonak... Kliny z Olendrami*, *Hamer* z młynem i karczmą, i *Darmosz*". Drugi kompleks dóbr, położonych na półn.-wschód od m. Środy. stanowiły wsie: *Środka*, *Mączniki i Szewce*. Trzeci kompleks wreszcie, pomiędzy Swarzędziem i Kistrzyniem, stanowiła wieś *Paczkowo*.

najczęściéj spotykanym był karmazynowy; u boku, na pasie rzemiennym, chwiała się prosta szpada z ozdobną rękojeścią, którą niekiedy zakrywał rąbek kolistego płaszcza włoskiego lub hiszpańskiego; lewa ręka zawsze była w rękawiczce, na prawéj zaś, obnażonéj, musiał błyszczéć złoty pierścień. W takim-to malowniczym stroju, w jakim zwykliśmy wyobrażać sobie Romea i tylu innych szekspirowskich bohaterów „miał teraz Kochanowski pełnić dyżury na pokojach królewskich, być każdéj chwili, niezależnie od pory dnia lub nocy, gotowym do pisania listów, lub spełniania jakichś rozkazów, odczytywać królowi pisma urzędowe, towarzyszyć mu na posiedzenia senatu, gdzie dlań było miejsce po za tronem, spełniać od króla mniéj ważne do ościennych dworów poselstwa, jeździć z listami do nieobecnych na dworze dostojników koronnych, należéć do komisyi granicznych dotyczących dóbr stołowych lub starostw, rozpatrywać osobiście wszelkiego rodzaju czyny, wymagające sprawdzenia, a podpadające pod kompetencyę sądów królewskich, a przedewszystkiém stać u drzwi komnaty królewskiéj, oraz wprowadzać posłów zagranicznych, lub inne dostojne osoby, na posłuchanie do króla, co nie zawsze było łatwém zadaniem ze względu na ciżbę dworską, przez którą nieraz wypadało przebojem sobie drogę torować". Ale nic nie dawało się tak we znaki Kochanowskiemu, jak ustawiczne wystawanie u drzwi komnaty królewskiéj i „wyciéranie boków o twarde ich podwoje", przyczém, nie mogąc ruszać się z miejsca, dopóki król nie udał się do stołu, nieraz i głodem przymiérał. „Tu nie zważam na skinienie drugiego, tu progu nie pilnuję, ani téż sobie o twarde podwoje czułego nie obrażam boku. Tu, gdym głodny, nie mam potrzeby wyczekiwać, aż się panu jeść zachce, ani téż w ciżbie komuś na przebój torować drogi; tu sobie życie nie według obcéj urządzam woli, lecz wolno mi wszystkie godziny według własnego rozłożyć upodobania". W tak niekorzystném świetle opisze kiedyś Kochanowski, „uprawiając łany ojczyste", te lata swego dworzaństwa, na to jednak, ażeby mu obrzydło w końcu, złoży się wiele... Tymczasem nie skarżył się na swoją dolę. Bliski osoby króla, pełnił służbę zaszczytną, a choć Zygmunt August, zamknięty w sobie, smutny, a przytém dbały o swą monarszą powagę, nikogo nie dopuszczał do poufałości ze sobą, wszystkich utrzymując w pewném oddaleniu, to jednak człowieka téj miary, co jego sekretarz, mógł ujmować swém wykształceniem, wykwintnością w obejściu, wytwornym smakiem w rzeczach sztuki i nauki, oraz miłością dobra powszechnego, którego tak gorąco pragnął dla swych poddanych. Pozatém stanowili kontrasty, co nie wpływając na wychikę króla, na psychikę jego niepospolitego dworzanina, bardzo wrażliwego i drażliwego z natury, mogło niekiedy wpływać rozstraja-

jąco. „Kochanowski, choć doznał wielu zawodów, właściwie dopiéro wstępował na drogę, która go do sławy, a może i do wyższych miała doprowadzić dostojeństw. Tamten czarę życia oddawna do dna wychylił i po kilku kroplach słodyczy dopił się żółci; ten choć nieraz rozkosze czerpał z mętnego źródła, przecież tyle jeszcze miał w swéj duszy zasobów młodości, że mógł się wszystkiego po przyszłości spodziéwać. Więc téż patrzy na świat okiem jasném, pogodném i zapewne nie rozumié upodobań Zygmunta do przesiadywania w komnacie czarnym kirem obitéj, z takiémiż kobierczykami, pokrywającemi ławy i stoły, a które tém więcéj nadawały jéj pogrzebowy charakter, że je zdobiły listwy białe, aksamitne, misternie haftowane czarnym jedwabiem".

Na szczęście, to, co miał w sobie żałobnego i ponurego stosunek z Zygmuntem, łagodził przyjemny stosunek z Myszkowskim, do którego z niekłamaną skwapliwością biegł po ukończeniu swéj służby na pokojach królewskich. Ale bo téż Myszkowski, jako człowiek, posiadał przymioty nieocenione, nieskończenie pod tym względem przewyższając Padniewskiego. Tamten nigdy nie zapomniał wobec dworzan, czém jest w stosunku do nich; przeciwnie Myszkowski: ten ceniąc w Kochanowskim przedewszystkiém jego talent, uważał go za równego sobie i zachowując dygnitarską powagę dla innych, dla niego nietylko miał serce, ale i rękę otwartą (zwłaszcza tę, którą sięgał do trzosa). Przytém, był to człowiek wesoły, zamiłowany w ucztach i bachanaliach, podczas których — czego mu nie mogli darować niektórzy — najczęściéj zapominał o swym charakterze kapłańskim. Opinia „wielbiciela nierządnic" nie była oszczerstwem, tak samo, jak nie kłamali ci, co go nazywali *il piu astuto e fallace uomo di Polonia*, a podejrzéwali go o ateizm, zarzucali sprzedajność w rozdziale beneficyów, głosili o jego złém obchodzeniu się z księżmi, których bijał nierzadko, i wreszcie oburzali się na brak wszelkiéj miary w biesiadniczéj ochocie, którym nieraz gorszył nielicznych Tartuffe'ów swego hulaszczego i rozpustnego otoczenia. Do tych, którzy się nie gorszyli jego sybaryckiém, epikurejskiém życiem, ani jego przestawaniem z ludźmi, niezbyt ortodoksyjnych przekonań, ale owszem przyklaskiwali pogańskiemu prowadzeniu się podkanclerzego (nawet wtedy, gdy ten „dosięgał pięścią gęby" grającego z nim w karty opata), należał i Kochanowski, któremu ten wesoły tryb życia na dworze Myszkowskiego wcale przypadł do smaku, jak o tém świadczą liczne Fraszki i Epigramaty z téj epoki.

Chcemy sobie być radzi?
Roskaż, panie, czeladzi,
Niechaj na stół dobrego wina przynaszają,
A przytém w złote gęśli, albo w lutnię grają,

W takim nastroju, przy biesiadnym stole, „gdy woniały fijołki”, a „pieniły się puhary”, powstała większość epigramatów, a powstała „nie ze źródła aganipejskiego, lecz ze dzbana”; Myszkowski bowiem, któremu z czasem zostały przypisane, „Muzom *a tembardziéj poecie* zabraniał biesiadować w domu”. Nie gardził też „pijanemi rymami”, które rad „wśród kielichów krążących” odczytywał, poeta zaś, urągając w takich chwilach „bajaniom o źródle skrzydlatego rumaka”, nie wahał się dowodzić, że „tylko wino stwarza poetów i wdzięczne poddaje piosenki”. Woda nie daje natchnień poetyckich. „Ja sam, mój Piotrze (a przez tego Piotra należy rozumiéć Myszkowskiego), najlepiéj to poświadczyć mogę: gdym trzeźwy, na nic się nie zdam, a tylko namyślam się, i zębami ogryzam paznokcie, co nic nie zawiły. Lecz gdy sobie trochę podchmielę, a duch się winem rozgrzeje, wtedy czuję zaraz, jak w głębi piersi budzą się niezliczone szeregi wierszy, budzą się i rwą do lotu, wypuszczone zaś, hurmem walą, jak pszczoły nęcone ciepłem wiosennem”... Co prawda, to nietylko wino, ale i towarzystwo, w którém poeta dzielił te biesiady swego Mecenasa, w niemałéj mierze przyczyniało się do ożywienia weny poetyckiéj; do tych bowiem, którym smakował słodki nektar z piwnic Myszkowskiego, a którzy stanowili jego ulubione grono biesiadne, należeli tacy ludzie, jak Nidecki, Stanisław Fogelweder; a obok wielu innych, jak Piotr Kłoczowski, Mikołaj Firlej, Grzegorz Podlodowski i Jędrzéj Trzecieski, brał udział w tych libacyach i Walenty Bacfark, znakomity lutnista, tak często wspominany we *Fraszkach*.

Ale choć tymi wesołymi biesiadnikami byli przeważnie księża, to jednak i kurtyzany miewały przystęp do tych humanistycznych agap. Niedarmo nazywano Myszkowskiego „wielbicielem nierządnic”! Ale trudno: przykład szedł z góry, z żałobnych komnat królewskich, niewolnych od rozpustnych wybryków. Zygmunt August, niepocieszony po stracie Barbary, a czując fizyczną odrazę do swojéj trzeciéj żony, Katarzyny rakuskiéj, z którą nie mógł uzyskać rozwodu, bynajmniéj nie starał się o to, ażeby świécić przykładem dla dworzan. Przykład, z tak wysoka, nie dziw, że odpowiednio działał i na otoczenie, a że na dworze, officyalnie składającym się z samych mężczyzn (od czasu separacyi z Katarzyną), uwijało się mnóstwo podejrzanych niewiast, więc i wśród dworaków, choćby tylko dla zabicia czasu, tkwił niezwykły kult pokątnych miłostek. Chodziło o wypełnienie próżniaczego życia, do tego zaś, w braku jakiegośkolwiek wędzidła moralnego, nic nie nadawało się tak dobrze, jak sute ofiary bez „sykonfancyjéj” na ołtarzu Bacha i Wenery.

Kochanowski jak się okazuje z jego fraszki *O swych rymiech* (którym jakiś ksiądz zarzucał zbytnią rozwiązłość), nie był pomiędzy ostatnimi tam, gdzie szło o wino i podwiki.

Ja inaczéj nie piszę, ieno iako żiię
Piiane moie rymy, bo y sam rad piję.
Nie mierzi mię biesiada, nie mierżą mię żarty,
Podczas i czepiec, więc téż pełne tego karty.

Zwłaszcza nie mierził go czepiec, a jeśli się zdarzyła biesiada, na którą każdy uczestnik przychodził ze *swoją*, wtedy—jak w jednéj ze swych pieśni—starał się być przewodnikiem tego rozbawionego chóru.

Miło szaleć, kiedy czas po temu,
A tak bracia przypiy każdy swemu:
Bo o głodzie nie chce się tańcować,
A podpiwszy łacniéy już błaznować.
Ale to nowy zysk, że mię słuchacie
A żadnéy mi pełnéy nie podacie.
Znał kto kiedy poetę trzeźwego?
Nie uczyni taki nic dobrego.
. . . .
Przedsię do mnie, a ja nie zawiodę:
Wy téż drudzy co macie pogodę
Każdy swojéj włóż w ucho leda co,
Nie macie tu oglądać się na co.

I żeby nie pozostać w tyle za innymi, sam nie oglądał się na nie, a zawsze miał jakąś Bogumiłę, Jadwigę, Magdalenę, Kachnę, Pryszkę lub Annę, któréj by przy biesiadzie mógł „kłaść w ucho leda co”, choćba tem *leda co* miało być coś takiego „czego by się przed panną czytać nie godziło”... W żadnéj nie kochał się na seryo, ale lubił wszystkie, a za niektóremi, jak za Magdaleną np. na którą patrząc „wszystkę władzę stracił swoią”, szalał przez czas jakiś, uwiedziony ich zmysłowym powabem. Choć zdarzały się i takie, jak „harda Neta” np., u których nie miał powodzenia. I na Magdalenę mógł patrzéć tylko..

Tymczasem z nadejściem d. 22 listopada 1563 roku rozpoczął się sejm w Warszawie. Był to pierwszy sejm, na którym Kochanowskiemu wypadło stać za tronem królewskim. Dawało mu to możność uważnego przysłuchiwania się obradom, bardzo burzliwym z powodu egzekucyi i sporów religijnych.

Zamieszanie jednak, panujące w izbie sejmowéj, wzmogło się jeszcze, gdy Orzechowski rzucił pomiędzy posłów *Quincunxa*, świéżo wydanego wraz z powtórnie wydrukowanym *Dyalogiem o egzekucyi*, a wymierzonego przeciwko władzy królewskiéj, przeciwko Litwinom,

nie mówiąc już o różnowiercach. Zapanowało powszechne oburzenie a że królowi i Myszkowskiemu zależało na uspokojeniu umysłów, więc, żeby naprawić zło, jakiego nawarzył Orzechowski, polecono Kochanowskiemu, ażeby *stante pede* napisał coś, coby uciszyło wzburzone namiętności. W ten sposób powstały jego *Wróżki*, napisane podczas sejmu na początku r. 1564, a które, artystycznie niższe od pomienionych pism Orzechowskiego, są jakby na nice wywróconym *Quincunxem* [1]). Obiegając w licznych odpisach, rozwijały tragiczny wykrzyk Orzechowskiego *Zginiemy!* a źródłem zguby, grożącéj Rzeczypospolitéj, mieniły *egzekucyą* oraz „niedostatek cnotliwych ludzi", którym upadły i inne mocarstwa... Wogóle były wyrazem przekonań Myszkowskiego, brały w obronę króla, nad którego Orzechowski wynosił prymasa, potępiały waśń religijną, któréj, jako przyczyny wszystkich rozruchów w kraju, radziły zaniechać, a różnowiercom przypisywały, że „wnoszą rozterki między ludzi, zaczym pewny upadek idzie Rzeczypospolitéj".

Co na to mówił Mikołaj Radziwiłł, jako „najgorszy z heretyków"? Wszak on, nie kto inny, stał na czele tych, na których poeta zwalał przyczynę wszystkiego złego, dowodząc, że „kto wiarę zdawna od wszystkich przyjętą wzrusza, fundamentów Rzeczypospolitéj wzrusza, co mu tym więcéj za złe ma bydź poczytano, iż czego Bóg Rzeczypospolitéj ku iey naprawie użyczyć raczył, tego on swym niebacznym postępkiem ku iey skazie używa". Był to zarzut ciężki, który Radziwiłł łatwo mógł wziąć do serca. Kto wié, czy nie dla złagodzenia tego potężnego magnata, Kochanowski poświęcił mu Elegię IX ks. III, którą mu wręczył osobiście.

Oprócz tego napisał teraz *Pamiątkę* na śmierć Jana Baptysty Tęczyńskiego, o któréj smutną wieść otrzymano właśnie w czasie sejmu. Śmierć ta, zaszła w chwili, gdy młody wojewoda jechał do Szwecyi, ażeby tam poślubić córkę królewską, na wszystkich zrobiła wstrząsające wrażenie, a Kochanowski odczuł ją silniéj jeszcze, niż inni, gdyż był przyjacielem „wszytkimi cnotami hoynie obdarzonego" hrabiego na Tęczynie. Po zatém, pilnując służby przy królu, nie często chwytał za pióro. Ciągłe posłuchania, przyjmowania posłów zagranicznych, uroczystości na dworze etc., wymagające jego obecności, a nie pozwalające wyręczać się kim innym, nietylko mu pochłaniały wszystek czas, ale jeszcze narażały na różne nieprzyjemne starcia, np. z butą magnacką. „Nieznany, nowy dworzanin, zapewne zbyt skrupulat-

---

[1]) *Wróżki* wyszły dopiéro w r. 1585 w edycyi pośmiertnéj dzieł Kochanowskiego, dokonanéj przez Jana Januszowskiego.

nie pilnujący kolei, obrażał dumę niejednego panka, któremu się zdawało, że przed nim powinny się natychmiast otwiérać podwoje komnat królewskich." Na szczęście, poeta umiał się odcinać, tak, że niejednemu „hardemu" dostało się jak we *Fraszce* 6 éj ks. 1 éj, napisanéj pod wpływem takiego zajścia u drzwi komnaty króla.

Nie chcę w tey mierze głowy psować sobie,
Bych sie móy panie miał podobać tobie...

Nareszcie, d. 26 marca, skończył się sejm, posłowie się rozjechali. Przerzedziły się wąskie i ciasne uliczki Warszawy, a gospody i wysokie kamienice w pobliżu Zamku i Fary, w których niedawno, pomimo postu, było rojno i gwarno, już nie rozbrzmiéwały okrzykami podochoconych biesiadników. Znużony po trudach sejmowych, Zygmunt August postanowił odpocząć w Warszawie, co pociągało za sobą, że i Kochanowski był skazany na kilkutygodniowy pobyt w tém mieście. Czy był rad z téj decyzyi królewskiéj? Czy nie wolałby, oderwawszy się od zwykłych zajęć dwórzańskich, pojechać do Sycyny, skąd mu donoszono o projektowaném małżeństwie brata jego, Mikołaja, i nalegano, ażeby koniecznie przyjeżdżał na wesele? Cóż, kiedy nie zależał od siebie, a sytuacya była tego rodzaju — z powodu poselstwa od sułtana Solimana — że nie sprzyjała prośbie o urlop [1]).

Z nadejściem maja, gdy król zdecydował się na wyjazd z Warszawy, rozpoczęło się owo nużące, uciążliwe włóczenie się po całym

---

[1]) Tutaj prof. Plenkiewicz występuje z hypotezą, która mi się wydaje wielce ryzykowną, a mało prawdopodobną historycznie. Hypoteza stoi w związku z owém poselstwem od Solimana. Poselstwo to domagało się zadosyćuczynienia w sprawie Olbrachta Łaskiego, którego, ażeby uspokoić sułtana, należało skłonić do ustąpienia z Chocimia. W tym celu wyprawiono do niego naglące listy. Przez kogo? Prof. Plenkiewiczowi wydaje się prawdopodobném i możliwém, że doręczenie tych listów powierzono Kochanowskiemu. „Pomyślne załatwienie tak ważnego poselstwa (powiada) otwiérało mu najpewniejszą drogę do dalszych łask królewskich: cóżby więc było dziwnego (?!), gdyby Myszkowski, pragnąc zwrócić na Kochanowskiego uwagę Zygmunta, wskazał nań, jako na osobistość, nadającą się do téj sprawy?" Wszystko to być może, jednakże dowodów na to, a nawet cienia dowodów, nie ma absolutnie. Wiemy tylko, że Kochanowski sympatyzował z Łaskim, o czém świadczą jego niektóre wiersze *Do Łaskiego*. Wiemy, że Kochanowski pod koniec życia przesłał Łaskiemu egzemplarz *Psalterza* z dedykacyą, ale to jeszcze żaden dowód, ażeby tak ważne i trudne poselstwo, jak owo do Łaskiego, powierzono Kochanowskiemu... Wtedy, gdy Łaski odwiedzi Kochanowskiego w Czarnolesie, poeta będzie znanym i sławnym w całéj Polsce człowiekiem, z którym się liczył nietylko Zamoyski, ale i sam król. Teraz jednak, w roku 1564-ym, Kochanowski jeszcze nie był tém, czém z czasem stał się za Batorego, dzięki Zamoyskiemu.

kraju, włóczenie się rozmyślne, Zygmunt bowiem, nie chcąc żyć pod jednym dachem z Katarzyną, a nie chcąc również, żeby jéj przymusowy pobyt w Radomiu był poczytany za więzienie, umyślnie miejsca nigdzie długo nie zagrzéwał: to mu dawało możność tłómaczenia się przed Wiedniem, że jeśli nie mieszka razem z królową, to dlatego jedynie, że nie chce jéj narażać na męczące trudy podróży. To ustawiczne zmienianie miejsca pobytu, motywowane najrozmaitszemi pozorami, zwłaszcza dawało się we znaki dworzanom, z których „niejeden chciałby uciec z dworu, gdzie, jak w kieracie, ciągle się mozolił." I nie można się im było dziwić, sposób bowiem, w jaki się odbywały ówczesne podróże dworskie, o ile mógł być mniéj uciążliwym dla króla, jadącego w wygodnéj karocy, o tyle był w najwyższym stopniu nużącym dla jego otoczenia. „Naprzód szły wozy z zapasami żywności, z beczkami wina i piwa; inne były pełne kotłów, naczyń kuchennych i przyborów do zastawy stołu królewskiego służących; a jeszcze inne uginały się pod mnóstwem skrzyń z szatnią, sprzętami do ozdoby komnat królewskich i sepetami należącemi do dworzan. Dopiéro za tym taborem wyruszał król w otoczeniu konnych orszaków, poprzedzony oddziałem nadwornego wojska, które tworzyło straż przednią i torowało drogę, uprzątając zawady. Za królem znowu zdążali: podkanclerzy, podkomorzy, marszałek dworu, obożny, łowczy i inni; za nimi zaś ciągnęły wozy z kancelaryjnemi w skrzyniach aktami, wreszcie służba niższa, zapasowe konie i oddział nadwornego żołnierza, tworzący straż tylną orszaku. Jeżeli sam jednak pochód odbywał się w znośnym porządku, to popasy i noclegi przedstawiały zamęt nie do opisania. Król, z towarzyszącymi mu dostojnikami, we wsi, czy miasteczku, zajmował co największe i najporządniejsze budynki; ale dworzanin każdy musiał przed innymi zdobywać sobie miejsce przebojem. Jeszcze latem — pół biédy: rozbijano namioty, lub zajmowano stodoły; zimą jednak, szczęśliwy był, kto choć w kurnéj chacie znalazł kąt znośny dla siebie". Była to okoliczność, która człowiekowi takiemu, jak Kochanowski, mogła zbrzydzić służbę przy królu, bo wystarczało mu pomyśléć o Czarnolesiu, gdzie latem i zimą mógł miéć wszelkie wygody; rozumiał jednak, że tylko przy królu może zrobić jakąkolwiek karyerę w życiu, i ta myśl godziła go z trudami królewskiéj włóczęgi. Znosił to wszystko, bo mu przyświecała nadzieja, że z czasem otrzyma sowitą nagrodę.

Tymczasem pociągnięto ku Łomży, a stamtąd na kilka dni do Knyszyna, gdyż królowi przyszła ochota zapolować na niedźwiedzie. Tym razem jednak, zarówno Kochanowski, jak i Nidecki, nie mieli nic przeciwko temu nadłożeniu drogi, w Knyszynie bowiem, położonym

niedaleko od Tykocina, mieli sposobność zobaczyć się z Łukaszem Górnickim. Niestety, już po tygodniu musieli się rozstać z wytwornym naśladowcą Castiglione'a, albowiem wypadało zdążać na zjazd do Bielska. Tutaj zabawiono dwa miesiące przeszło, a cały czas zajęły burzliwe obrady sejmowe, zakończone strasznym pożarem zamku od pioruna. „Król, siedząc na koniu, przyglądał się od strony stajen niszczącemu żywiołowi, gdy z gmachów, objętych płomieniem, wynoszono wszystko, co tylko uratować się dało." Działo się to d. 20 lipca 1564 roku. Na krótko przedtém przysłano Kochanowskiemu z Krakowa świéżo wydane dwa jego utwory, *Satyra* i *Zgodę*, wydrukowane razem w jednéj książce [1]). Z Bielska, gdzie spalenie zamku nie pozwalało na dalsze obrady, oszak królewski, zwiększony zastępem posłów litewskich, podążył ku Parczowu, gdzie już zebrana szlachta niecierpliwie oczekiwała króla, a gdzie, po przybyciu tegoż, rozpoczął się głośny sejm parczowski. Tu zabawiono do końca sierpnia. Na wrzesień i październik przeniesiono się do Lublina, co Kochanowskiemu dało możność zaglądania do Czarnolasu i Sycyny, dla zobaczenia się z rodziną, oraz do Dąbrowicy, gdzie w tym czasie panowała żałoba z powodu zgonu pięknéj wojewodziny lubelskiéj. Poeta, patrząc na nieutulony żal młodego wdowca, skréślił dwa rzewne „nagrobki" z tego powodu, wysławiając w nich

> Zofiję Bonarównę, któréj żywot święty
> Godzien, aby wszem paniom za przykład był wzięty.

W połowie listopada przeniesiono się do Piotrkowa, dokąd Zygmunt August zwołał sejm na 18 stycznia. Tutaj, na początku marca, już w toku burzliwych obrad, przyjechało poselstwo Maksymiliana II, w którém, ku najwyższemu uradowaniu Kochanowskiego, znudzonego tym długim pobytem na Bugaju, znalazł się w roli świetnego „dyplomaty w fioletach" Andrzéj Dudycz, w téj chwili już biskup pięciokościelski. Była to nader miła niespodzianka dla poety. Miła i niemiła: Jan bowiem, jakkolwiek mógł być rad z tego przyjazdu swego dawnego kolegi padewskiego, nie mógł jednakże, mimo tę radość, oprzéć się pewnym refleksyom, opadającym go, niby naprzykrzone muchy. „Ten pusty, wesoły Jędrzéj, czasów weneckich i padewskich towarzysz, był trzema laty od niego młodszy, nie miał daru poezyi, którym

---

[1]) W liście, datowanym z Bielska dnia 6 lipca 1564 r., a pisanym do kardynała Hozyusza, A. Nidecki, przesyłając mu *Satyra*, jako dzieło świéżo wyszłe z pod prasy, nie szczędzi pochwał autorowi, któremu przyznaje pierwszeństwo nad wszystkimi poetami polskimi, piszącymi po łacinie, lub w narodowym języku.

on w kraju imię swoje rozsławił, a pomimo to, jakże różne od niego stanowisko zajmował! W 28 latach, gdy poeta nie mógł się dobić do kancelaryi królewskiéj, on już otrzymuje biskupstwo knińskie, następnie czanadzkie, wreszcie—jedno z najbogatszych — pięciokościelskie, a obecnie, jako poseł jednego z największych monarchów świata, otrzymuje należne swym godnościom na dworze polskim honory, gdzie najdumniejsi panowie starają się o jego względy, gdzie król w sprawach najważniejszych tajemne odbywa z nim narady, a on tymczasem, poeta, w tłumie dworzan, torując mu drogę z urzędu, całemi godzinami wystawał przy drzwiach komnat królewskich." Mimo tę różnicę stanowisk, Dudycz nie myślał wynosić się nad swego przyjaciela i kolegę z czasów studenckich, a kiedy mu wypadło jechać do Radomia, na dwór królowéj, wyraził życzenie, aby mu Kochanowskiego dodano do towarzystwa, jako przystawa z urzędu [1]. Z podróży téj wyniósł poeta bardzo miłe wspomnienie, raz dlatego, że w Dudyczu tkwił niepospolity humanista, który cztery razy całego Cycerona przepisał (za to z brewiarzem nie miał nic do czynienia!), a powtóre, że okoliczności, towarzyszące powstaniu jego wiersza *Do Reyny*, którą była Regina Straszówna, urocza dworka z fraucymeru królowéj, wcale nie trąciły banalnością. Sytuacya była taka. Wystarczyło dwóm młodym przyjaciołom, biskupowi i poecie, stawić się na dworze królowéj, na którym poznali się z cudną Reginą, ażeby obaj ulegli czarowi jéj niezwykłéj urody, ażeby się przekonali osobiście, że niedarmo wszyscy Straszównę dla jéj piękności uroczéj nazywali „królową". Zwłaszcza zakochał się w niéj Dudycz, który pod wpływem jéj niesłychanego powabu poprostu tracił panowanie nad sobą. Sprytna dziewczyna, zoryentowawszy się w sytuacyi, postanowiła wyzyskać ten namiętny afekt płochego biskupa, a że była świadoma różnych arkanów miłości, więc zdecydowawszy się na złapanie go, wpadła na przewrotny, a wyrafinowany pomysł, ażeby do tego użyć poetę. W jaki sposób? Oto zaczęła kokietować go, on zaś, nie domyślając się podstępu i jakichś ubocznych zamiarów, odrazu połknął zarzucony haczyk. Taką jest psychologiczna geneza wiersza *Do Reyny*, w którym z takim wdziękiem zostały opisane „różowe usta" i „śliczne ręce" zalotnéj Straszówny. Nadmienić wypada, że Straszówna pochodziła z rodu Odrowążów, co sprawiało, że Kochanowski był — przez matkę — jéj stryjcem herbowym. Ale zakochany w cudownéj „królowéj", przekonał się

---

[1]) Prof. Plenkiewicz nie twierdzi jednak, że tak było z wszelką pewnością, ale jest wielkie prawdopodobieństwo, że istotnie Kochanowski odbył tę podróż z Dudyczem.

niebawem, że go „tylko zabawiała próżnemi słowy”, że jéj chodziło nie o niego, lecz o Dudycza, który, podrażniony w swéj miłości własnéj, istotnie brnął coraz głębiéj. Skończyło się na tém, że poeta, ulżywszy sobie wierszem *Do zalotnéj*, „podziękował” Reginie, t. j. wycofał się ze szranków, Dudycz zaś, zapomniawszy o swéj powadze posła i kapłana, do reszty stracił głowę. Kiedy wyjeżdżali z Radomia, Kochanowski wracał już zrównoważony zupełnie, a Dudycz szalał z miłości. Niedarmo w nim płynęła krew matki Wenecyanki!... W takim nastroju znaleźli się z powrotem w Piotrkowie, gdzie tymczasem zbliżał się koniec sejmu.

Po rozpuszczeniu posłów, w czerwcu 1565 r., po półrocznym pobycie w Piotrkowie, wyruszył król, wraz z całym dworem, na Litwę, umyślnie omijając Radom... Zatrzymał się dopiéro w Knyszynie, gdzie po sejmowych trudach wypoczywał przez cały lipiec. W tymże czasie Łukasz Górnicki ostatecznie wykończył swojego *Dworzanina polskiego*, który, dedykowany królowi pod datą d. 18 lipca 1565 r., z wszelką pewnością — zanim został wysłany do druku w Krakowie—był odczytany przyjaciołom autora, Kochanowskiemu i Nideckiemu. Ta okoliczność wystarczała najzupełniéj, ażeby poeta nie nudził się tym razem w Knyszynie. Czy się nudził w Grodnie, gdzie wraz z dworem zabawił przez cały sierpień i część września, a gdzie w tym czasie gromadziły się zbrojne zastępy, gotujące się na wyprawę do Inflant? Bądź co bądź, przyjechawszy do Wilna, dzięki towarzystwu Royzyusza, stale tu przemieszkującego przy kościele św. Jana, przeżył czas jakiś bardzo wesoło i hulaszczo, pojąc się nietylko „sokratycznemi rozmowami i dowcipem obfitym” niepospolitego Hiszpana, ale i jego winem, które mu tak smakowało, „że wszystkie twe złote nauki (powiada do Royzyusza), wszystkie wdzięczne słowa wypadły mi z pamięci i nic więcéj do domu nie przyniosłem oprócz cielska Bachem napojonego i od senności chwiejnego”. Cóż dopiéro, gdy pod koniec października zjawił się niespodzianie w Wilnie prosto z Krakowa „rozstawnemi końmi” przybyły Dudycz, który, rozkochany w Straszównie, a starając się wejść w stosunki z jéj rodziną, jeszcze nie zdążył wyjechać z Polski. Z jego przyjazdem rozpoczęły się najweselsze chwile w życiu poety, a ucztom i „pełnym prze zdrowie” nie było końca. Wogóle, nawet i po odjeździe Dudycza, trwał w pogodném usposobieniu, zwłaszcza gdy w dowód uznania otrzymał prezentę od króla na świéżo opróżnione po śmierci Boryszewskiego probostwo zwoleńskie, co było znacznem powiększeniem jego dotychczasowych dochodów. Ażeby mu ułatwić otrzymanie tego beneficium, wyznaczono go do sprawowania poselstwa na sejmik

ziemi sandomierskiéj: mógł więc, choć na krótko, zajrzéć do swoich stron rodzinnych, oraz korzystając z pobytu biskupa krakowskiego w Iłży, tamże d. 22-go lutego 1566 roku instytucyę rzeczoną „z włożeniem rąk na głowę" od Padniewskiego otrzymać. Tymczasem król ściągnął do Lublina, ażeby wziąć udział w sejmie, zwołanym na kwiecień. Kochanowski podążył za dworem, a pod koniec sejmu, gdy posłujący nań Mikołaj Mielecki, udawał się na Litwę, ażeby tam poślubić córkę Mikołaja Radziwiłła Czarnego, poeta dał mu w miejsce kosztownego daru „parę wierszyków na drogę", ostatnie wiersze przyjazne, jakie Mieleckiemu poświęcił... Z Lublina udano się do Warszawy, gdzie poeta napisał dwa epitafia na śmierć Wojciecha Kryskiego, a stąd po krótkim pobycie znowu zawleczono się do Knyszyna. Tutaj przyszła koléj na łowy, co pociągało za sobą, że i Kochanowski musiał całemi godzinami, jako dworzanin, wystawać po kniejach, w śniegu, o chłodzie, a nieraz i o głodzie. Tak przeszła cała zima. Z powodu tych nieustannych łowów królewskich, poecie tak się uprzykrzyła służba na dworze, iż myślał o rzuceniu wszystkiego, o powrocie do Czarnolasu, do zacisznego życia ziemianina i poety. Jeśli nie uczynił tego, to jedynie z przyjaźni i wdzięczności dla Myszkowskiego... Swoją drogą nie taił się z tém, że o ile był zmęczony służbą przy królu, o tyle tęsknił za „wychowankami leśnego Helikonu", które zaniedbywał poprostu dla braku czasu i spokoju [1]). Kiedyż miał pisać, skoro nieustannie musiał się przenosić z miasta do miasta, z sejmu na sejm! Ot i teraz np., jeszcze nie upłynęła zima, a już królowi, trapionemu pedogrą od zbyt długiego wystawania na śniegu, przyszła ochota wyjazdu do Warszawy. Pojechano tam. Na długo? W marcu przyjechano, a ledwo się zaczął kwiecień, już król kazał się wybiérać do Piotrkowa. Tu zabawiono przez czas sejmu, a więc do czerwca roku 1567.

Sejm ten, na którym uchwalono znaczny podatek na wojnę moskiewską, o tyle stał się pamiętnym dla Kochanowskiego, że z jego okazyi poznał się z młodym Janem Zamoyskim, który teraz wstąpił do kancelaryi królewskiéj, a przyjeżdżając do Piotrkowa, przyjeżdżał poprzedzony wielkim rozgłosem, zdobytym za granicą. Był to ten sam Zamoyski, któremu w swoim czasie „na iednym zieździe w sędomierskiéj ziemi" tak się podobał wiersz Kochanowskiego *O dobrodziejstwach Boga*. Zażylszy stosunek z nim, poparty wieloma duchowemi łącznikami, mógł poecie wynagrodzić stratę Jana Krzy-

---

[1]) Znakomitą ilustracyą tego chwilowego usposobienia poety, jest jego Epigramat 57, w którym Kochanowski jakby się usprawiedliwia sam przed sobą.

sztofa Tarnowskiego, który d. 1 kwietnia 1567 r. zmarł w Gorliczynie, tak, iż pogrzéb jego przypadł na czas, kiedy Jędrzéj Dudycz, zrzuciwszy fiolety biskupie, w których tak czuł się skrępowanym, i przyjąwszy protestantyzm, ożenił się ze Straszówną, poczém osiedlił się w Krakowie, jako tajny agent cesarski. Był to skandal, który wywołał równe oburzenie w sferach katolickich, jak rozradował stronnictwo protestanckie. A jednak dziwna rzecz: Kochanowski nietylko nie był oburzony tym postępkiem Dudycza, ale, przeciwnie, jakby solidaryzując się z różnowiercami, napisał elegię z tego powodu, w któréj z zapałem opiewa to odstępstwo swego przyjaciela. „Z wieścią do was przychodzę, posłuchajcie dziewice... Oto ozdoba młodzieży, człowiek pełen wiedzy i doświadczenia, wymowny i dzielny piórem, Dudycz, poseł królów, przedmiot waszéj nadziei i zajęcia, już ugiął karku pod słodkie jarzmo małżeńskie... Ciebie zaś, zacna dziewojo, czeka niepożyta sława, żeś ty jedna uznana za godną Dudycza... Dla ciebie on wzgardził bogactwy i świetną infułą, aż nazbyt bogaty tém, że twą miłością napawać się może...“

A więc poeta pochwalał ten postępek Dudycza? Nietylko pochwalał, ale, rozmyślając nad nim, coraz bardziéj zacietrzewiał się w swéj nienawiści dla bezżeństwa księży: tak dalece, że sam więcéj, niż kiedykolwiek przedtém, zaczął się zastanawiać nad wyborem stanu dla siebie. Miał dwie drogi do wyboru: duchowną, związaną z celibatem, i świecką, która z chwilą, gdyby się ożenił, pozbawiłaby go dochodnych beneficiów. A więc przyjąć święcenia, co się zarazem równało spełnieniu marzeń matki? Któż mu zaręczy jednak, czy wtedy, pnąc się na wysokie szczeble hierarchii, nie runie z nich, jak Dudycz. „I rozum, i sumienie, i poczucie własnéj godności, ostrzegały go, by nie igrał z ogniem, który tylu innych już strawił, ale raczéj obrał drogę pewną, bezpieczną, na któréj zgodnie z usposobieniem i sumieniem znaléść mógł szczęście prawe przy boku wybranéj sercem niewiasty.” Pod wpływem tych rozmyślań „jakby życie swe urządzić i zdala od zawiści bezpieczny żywot prowadzić” powstał niby żartobliwy, a w gruncie rzeczy poważniejszy o wiele, niżby się zdawać mogło, *Carmen macaronicum*, w którym poeta zastanawia się, czy zostać księdzem, co jest rzeczą praktyczną ze względu na karyerę, czy też nie uganiać się za chlebem duchownym, a natomiast „cnotliwą *ducere żonam*”. „Nie złą jest rzeczą mnichem i kapłanem zostać, i dwory mają swoje dobre strony, ale ty pamiętaj obrać sposób życia, któryby zgodny był z twojém usposobieniem... Jeśli ci natura co innego wskazuje, jak święte kapłaństwo, nie żartuj z bogów i strzeż się srogie-

go pioruna." Pamiętaj, że przysięga, dobrowolnie złożona, obowiązuje na całe życie, a igrać z świętościami nie wolno, tak samo, jak „*solos* grzech *est* ożeniare kapłanos". Ale zdecydowawszy się na żywot świecki, należy się zdecydować jeszcze, czy być dworzaninem czy ziemianinem? Zdaniem poety, przekonanego, że „swojus *res optima* kątus", żywot ziemiański zapewnia więcéj szczęścia. „Nie patrz na to, co mówią, ale co czynią dworzanie. Bo choć nad inne przekładają swój żywot, przecież, gdy się chełpliwie nasławią łaski królewskiéj, do pługa w końcu wracają i zostają ziemianami..." Bo czyż może być coś lepszego nad żywot ziemiański. „Przed nikim nie zginam kolana, jestem wolny, nikomu nie służę, cieszę się swą wolnością i bezpiecznym pokojem. Nie wystawiam życia na wiatry, szukając dalekich zysków... Same dzieci podają mi do stołu i żona cnotliwa gotowa ze mną znosić wszystko, co szczęście przyniesie..." Kto takie wygłasza zasady, temu widocznie sprzykrzyło się już jałowe życie dworskie, ten widocznie „za miłym domem tęskni" i tylko myśli o tém, jakby się wyrwać na wieś, do cichego „własnego kąta".

Że Kochanowski, pisząc tę „pochwałę stanu ziemiańskiego", wygłaszał teoryę, którą sam jaknajprędzéj pragnął wprowadzić w życie własne, to nie ulega wątpliwości. Niestety, choć przesycony służbą na dworze, na razie był w takiém położeniu, że nie mógł myśléć o rychłém urzeczywistnieniu swych marzeń. Dlatego, nie przyznając się do swych planów na przyszłość, pełnił swe obowiązki przy królu, co pociągało za sobą, że znowu nigdzie nie popasał długo, że zamiast ziemiańskiego, który sobie tak idealizował w wyobraźni, prowadził żywot koczowniczy, cygański.

Z Piotrkowa, po skończonym sejmie, przeniesiono się do Grodna. Tu zabawiono przez sierpień, poczém zawleczono się do Wilna, skąd pod jesień, w 100,000 wojska, król pociągnął do Radoszkowicz, „skąd się do Moskwy miał ruszyć" przeciwko Iwanowi Groźnemu. W Radoszkowicach powstał epigramat Kochanowskiego, poświęcony Padniewskiemu, a pełen wrzawy wojennéj. „Teraz lutnia ma, przygłuszona bębny i hałaśliwemi trąbami, całkiem zamilkła, i zdaje się, że nie prędzéj dawne dźwięki wyda, aż zwycięski August, nowymi wsławiony tryumfy, znamienity pomnik sławy wzniesie na ziemi nieprzyjacielskiéj." Tymczasem „jako rycerz przypasany do miecza", kosztował odrębności życia obozowego, jako dworzanin jednak, najwięcéj temu życiu przyglądał się z góry, z okien królewskiego zameczku, który położony pośrodku wielkiéj równiny, otoczonéj zewsząd lasami, panował nad całą okolicą, a w téj chwili wystrzelał pośrodku stutysięcznego obozu, pośrodku namiotów i taborów wojennych. W no-

cy, gdy obóz zaiskrzył się tysiącami ognisk, widok, roztaczający się z okien rezydencyi królewskiéj, był tak malowniczy, że poeta, rozmarzony nim, napisał piękną *Pieśń* o téj wyprawie wojennéj:

O piękna nocy, nad zwyczaj tych czasów,
Patrz na nas jasno w pośród tych tu lasów,
Gdzie, jako pszczoły, wkoło swego pana
Straż dzierżym, niecąc ognie aż do rana...
Bodaj szczęśliwie tę drogę odprawił
I wszystko wedle myśli swojéj sprawił...

Jeszcze w listopadzie „siedziano jak na ledzie" w Radoszkowicach, aż skończyło się na tém, iż król, ku niesłychanemu zdumieniu wszystkich, rozpuściwszy większość rycerstwa, którego tylko część wysłano pod Ułę, zapowiedział koniec wyprawy, poczém sam wrócił na zimę do Wilna. Towarzyszący mu Kochanowski był smutniejszy téj zimy, niż kiedykolwiek; okolicznością zaś, która się do tego przyczyniła w niemałym stopniu, była wiadomość o śmierci biskupa Jędrzeja Noskowskiego, zmarłego w Płocku d. 23 listopada. Poeta wiedział, że po Noskowskim zostanie mianowany na jego miejsce Myszkowski, że pewnie skończy się jego podkanclerstwo. Dla niego, który tak był przywiązany do Myszkowskiego, że tylko jemu gwoli pozostawał na dworze, myśl, że mu się przyjdzie rozłączyć z dzisiejszym podkanclerzym, a natomiast być zależnym od innego, była przykrą nad wszelki wyraz. To téż, choć Myszkowski jeszcze bawił w Wilnie, choć tu bawili Royzyusz, Nidecki i inni, mimo to, niepewny swéj przyszłości, trapił się nieustannie, narzekał, ledwo mógł wytrzymać na Litwie... Z początkiem roku 1568 przeniesiono się do Knyszyna, dokąd znowu przyjechał z Tykocina Górnicki, a jak dawniéj czytał Kochanowskiemu i Nideckiemu rozdziały z swego *Dworzanina*, tak obecnie przeczytał im świéżo napisany przez siebie rapsod wierszowany *O porażce Grunwaldzkiéj*. Kochanowskiemu tak się podobał ten utwór, że nietylko w jednéj ze swych elegii, gdzie mówi o poetach polskich, poświęcił dłuższy ustęp Górnickiemu, „co pieśni godne Orfeusza liry składa, co do spraw marsowych liryczną nawiązując strunę, opiewa w srogiéj walce Niemce pokonane", ale sam, podniecony przykładem Górnickiego, poszedł w jego ślady, pisząc swój *Fragment bitwy z Amuratem u Warny*. Z końcem kwietnia wyruszył król do Warszawy, ale i tu nie mógł Kochanowski zabawić tak długo, jakby sobie tego życzył może, bo ledwo przyjechano, zaraz wyprawiono go, jako oratora, w sandomierskie, ażeby tam agitował wśród ziemian, których Zygmunt August pragnął pozyskać dla swych zamysłów co do unii z Litwą. Bo zanosiło się na pamiętny sejm lubelski. Jakoż, z końcem listopada

1568 r., król udał się do Lublina, gdzie 10-go stycznia rozpoczęły się obrady. Sejm ten, na którym „Litwa z nami unią uczyniła strojną”, odznaczał się takim duchem inicyatywy, taką powagą i wyrobieniem polityczném, że Kochanowski, będąc jego świadkiem naocznym, mógł być najlepszéj myśli co przyszłości rzeczypospolitéj. Cóż dopiéro, gdy d. 19 lipca, już po dokonanéj unii, ks. pruski Albert Fryderyk, wobec „zacnego senatu koronnego” i czoła rycerstwa, złożył trzeci hołd lenniczy. Kochanowski, pod wrażeniem téj doniosłéj chwili dziejowéj, w któréj ten

syn książecy upadł na kolana
I wyznał swe poddaństwo i zwierzchnego pana,

napisał swój *Proporzec*. Ale nie zawsze, przez czas swéj kilkumiesięcznéj bytności w Lublinie, był nastrojony na tak podniosłą nutę, jak ta, którą tchnie jego opis „hołdu pruskiego”. Ostatecznie, po za długiemi godzinami, spędzanemi w sali sejmowéj, korzystał z lata, a mając wesołe grono przyjaciół, do którego także przybył pod koniec i Royzyusz, nie stronił od kielicha, o ile ten kielich nie był próżny. Na podobnych zabawach, jak ta, którą poeta wzmiankuje we fraszce *O doktorze Hiszpanie*, opowiadając o dziwnéj przygodzie Royzyusza, jak to jednego wieczoru „poszedł spać trzeźwo, a wstał pijany”, upływały mu wszystkie chwile wolne od obowiązkowych zajęć, a że i Babin, stolica rozgłośnéj *Rzeczypospolitéj Babińskiéj*, był blisko, więc nie obeszło się bez tego, ażeby raz po raz nie pojechano w odwiedziny do Imci Pana Pszonki. Wszak autor *Proporca*, choć go nie zawsze bawiły grube koncepty babińczyków, nosił tytuł poety babińskiego [1]), a często bywając w Lublinie, łatwo mu było zaglądać do téj wesołéj rzeczypolitéj śmiechu i drwin? Tymczasem skończył się sejm, a dla poety miały się zacząć najsmutniejsze dni jego życia dworskiego. Jakim sposobem? Dość powiedziéć, że „wielce ulubiony Myszkowski” oddał pieczęć podkanclerską Franciszkowi Krasińskiemu, a sam udał się do swojéj dyecezyi. Dla Kochanowskiego był to niemniejszy cios, niż dla Nideckiego, który pisał temi czasy, że „odkąd mnie Myszkowski opuścił, zdaje mi się, że mnie wszyscy opuścili”. To samo mógł powiedziéć o sobie Kochanowski. Skończyły się owe poufne rozmowy sam na sam, skończyły się owe huczne biesiady z Myszkowskim, wszystko

---

[1]) W *Carmen de jure Babinensi antiquissimo* Bartłomieja z Wrześni, profesora i dziekana Uniwersytetu Krakowskiego, znajduje się wzmianka o Kochanowskim:

Hic Kochanovius doctus regiusque faceto
Est vates calamo...

to przeminęło jak piękny sen, a przeminęło bezpowrotnie. To gorzkie przeświadczenie ścinało, jak mróz, wszelką pogodę w duszy poety, bo choć mu pozostał jeszcze Nidecki, to jednak i on, stęskniony za Myszkowskim, nie mógł odzyskać dawnego humoru. A tu, jakby na złość, król nie ruszał się z Lublina, tylko czekał na posłów cesarskich, łudząc się, że mu przywiozą przyzwolenie na upragniony rozwód z Katarzyną. W końcu, nie doczekawszy się, wyruszył do Knyszyna, gdzie już 9-go września stanął z całym dworem. Tutaj miano spędzić całą jesień, a może i zimę. Kochanowski ledwo się nie urwał. I on, i Nidecki mieli wrażenie, że są skazani na wygnanie. Obaj uczuwali dotkliwy brak Myszkowskiego, obaj nie mogli się do Krasińskiego przyzwyczaić. Jedyną oazą, w któréj cieniu odpoczywali na téj pustyni nudy, było towarzystwo Górnickiego, który, o ile tylko mógł oderwać się od swych zajęć, raz po raz wpadał z Tykocina. Tak upłynęły blisko cztery miesiące. W grudniu nastąpił wyjazd do Warszawy, gdzie tym razem Zygmunt miał zabawić czas dłuższy, bo dwa lata przeszło. Na początku 1571 r., około Wielkiéjnocy, Kochanowski, nie zrywając z dworem, choć już był przesycony służbą przy królu, pojechał do Czarnolasu. W jakim celu? Przyczyną była kobiéta.

IV.

Czytając, że epigramat, napisany w Radoszkowicach w r. 1567, poeta poświęcił Padniewskiemu, jest się żdziwionym niepomału, zważywszy oziębiony stosunek obu, tudzież okoliczność, że w chwili, gdy Kochanowski przebywał na Litwie, Padniewski przez ten czas, jako biskup krakowski, najwięcéj przebywał w Krakowie. Wobec tego, mimowoli nasuwa się pytanie: co wywołało ten epigramat poety? Prof. Plenkiewicz tak rozwiązuje tę kwestyę.

Kiedy się zanosiło na wielką wyprawę przeciwko Iwanowi Groźnemu, a król przebywał na Litwie, okazała się potrzeba wysłania kilku listów do wybitniejszych dostojników koronnych, a w téj liczbie do Padniewskiego i królewnéj Anny. Skoro przyszło rozstrzygnąć, komu powierzyć wykonanie téj misyi, wybór padł na Kochanowskiego. Tym sposobem, najniespodziewaniéj zupełnie, odbył podróż do Krakowa. Tutaj doznał tak serdecznego przyjęcia na dworze biskupa, że wywdzięczając się za nie Padniewskiemu, uczcił go, po powrocie na Litwę, pięknym epigramatem łacińskim. Lecz jadąc do Krakowa, musiał się zatrzymać i w Warszawie, dla oddania listu Annie Jagiellonce. Oddał go, ale innym wyszedł z apartamentów królewny, aniżeli

w chwili, gdy wchodził w podwoje zamkowe. Wchodził spokojny, zrównoważony psychicznie, wychodził zakochany, z uczuciem w piersiach, któremu niebawem dał taki wyraz w elegii łacińskiéj: „Znowuż, matko Amorka, wszczynasz bój ze mną? Nigdyż długiego nie chcesz mi dać pokoju? Zaledwie serce me z pierwszéj wyleczyło się rany, oto znowu Amor strzałą mi je przeszywa." Co się stało? Oto na dworze królewnéj, w jéj „froncymerze", ujrzał i poznał istotę, która odrazu zawładnęła jego sercem. Jak się poznali? w jakich okolicznościach? to nie grało prawie żadnéj roli wobec niezwykłéj urody Hanny, wobec czaru, jakim ją obdarzyła natura. Oto, jak ją opisuje poeta:

...Póki panuje Wiosna w twarzy twojej,
Day się, Hanno, napatrzeć wdzięcznej twarzy swoiey,
Która nieda nic naprzód ani Phosphorowi,
Kiedy napiękniey z morza wynika ku dniowi.
A wy, malarze, y wy, co marmór cieszecie,
Jeśli przyszłemu wieku zachować sie chcecie:
Malujcie tę piękną twarz, y rzeżcie w kamieniu.
Nie był iako żyw Zewxis w takim podziwieniu,
Ani zacny Phidias, iako wy możecie,
Z tey tylko samey sztuki, sławni być na świecie.

Zachwycony niepospolitą „gładkością" téj „urodziwéj" dworki, przybranéj w piękne suknie według mody włoskiéj, uwierzył, że w tém pięknem ciele musi mieszkać i wybrana dusza,

Bo nie leda, Bóg, jako swych darów rozdawa,
Temu łaskawszy, komu co nad ludzi dawa,
Przeto tusz dobrze, Hanno urodziwa, sobie,
Z twoich darów znać, że Bóg jest łaskawym tobie.

Dowodziły tego — w oczach zakochanego poety — i inne dary Hanny, nietylko jéj „gładkość". Inteligentna, wykształcona, odznaczała się i przymiotami umysłowemi, słowem, zasługiwala na pochlebne miano „nauczonéj białogłowy". Widocznie, że pod tym względem zaszczytnie wyróżniała się z pośród swoich towarzyszek. Ale choćby i nie tak była „nauczoną", i tak by zdołała oczarować poetę. Za ładną była poprostu, ażeby swym powabem nie opętać tak wrażliwego na niewieście piękno, jak Kochanowski, mężczyznę. Powtóre, był skłonny do zakochania się, bo dawno już, jak się nie kochał w nikim. Cóż dziwnego więc, iż czuł potrzebę kochania, takiego zwłaszcza, któreby się mogło zakończyć małżeństwem. Miał lat 37, więc mógł miéć dosyć kawalerskiego życia. Byle tylko spotkał pannę odpowiednią, zarazby się ożenił. Hanna wydała mu się taką. Zaczął się tedy starać o pozyskanie jéj względów, co mu — zdaje się — ułatwiły pomyślnie składające się okoliczności, a mianowicie możność spotykania Han-

ny, nietylko na dworze, w orszaku królewny, ale i u wspólnych znajomych, zamieszkałych na dworze, do których panny z fraucymeru, o ile im czas na to pozwalał, chętnie wyrywały się w odwiedziny. Ale czy to było w domu ochmistrza, czy ochmistrzyni, czy burgrabiego zamku, fakt pozostanie faktem, że poeta, o ile w Warszawie bawił niedługo (bo długo bawić nie mógł), o tyle wyjechał pod urokiem pięknéj Hanny, rozpaczający na myśl o przymusowém rozstaniu z nią, a co najgorsza, niepewny jéj wzajemności. Wyjeżdżał dręczony pytaniem, czy Pazyfila (bo takiém klasyczném imieniem zdecydował się nazywać „urodziwą Hannę" w swoich łacińskich elegiach do niéj), czy Pazyfila pamiętać o nim będzie? czy choć drobny ślad został po nim w jéj sercu? „Czy jaka tęsknota po mnie została? Czy téż, jak z oczu, tak i z serca twego ustąpiłem i nie warto ci już nieobecnego wspominać?" Niepewność tę czyniło jeszcze dotkliwszą przeświadczenie, że wyjeżdżał nie związany ani słowem, ani wyznaniem, bo jakkolwiek Hanna okazywała mu wiele uprzejmości, to jednak nic go nie upoważniało do poczytania tego za skłonność z jéj strony. Były to zwykłe oznaki dobrego wychowania, Hanna zaś, wiedząc, kim był Jan Kochanowski, témbardziéj mogła się starać, ażeby na nim zrobić korzystne wrażenie. A nuż ją uwieczni jakim wierszykiem... To mogło się jéj uśmiéchać. Pytanie jednak, czy zgodziłaby się zostać jego żoną; nie łudził się bowiem, że „jeżeli go talent poetycki wynosi ponad ogół, to pod względem majątkowym z większością współzawodników mierzyć się nie może." On w każdym razie, jeżeli pokochał Hannę, to dla niéj saméj. „Mnie nie ujęły ni sydońskie złotem tkane szaty, ni perły z morza czerwonego, lecz twarz, co obcéj barwy nie pożycza, i obyczaje szlachetne, i rumieniec wstydliwy..." Jednocześnie wyrzucał sobie, że podobnemi podejrzeniami krzywdził swą ukochaną. „Jeżeli moje pismo w czémkolwiek obrazić cię może, przebacz! wszak miłość nigdy nie jest bez obawy, która zresztą, chętnie wierzę temu, jest płonną, a nawet sam nie umiem powiedziéć, dlaczego się obawiam, chyba tylko dlatego, że kocham." Swoją drogą był niespokojny i pełen najboleśniejszych przeczuć, gdy pomyślał, że oto wyjeżdża nie wiedząc na jak długo, a przez ten czas, któż zaręczy, azali inny nie zdobędzie jéj serca. Wiadomo przecie, że nieobecnym zawsze dzieje się krzywda.

W takiém uczuciu opuścił Warszawę, w takiém uczuciu pędził wśród słoty i wichrów jesiennych na Litwę, do króla, a myśląc o Hannie, układał elegię do niéj. „Im więcéj się oddalam, o moje życie, tém okrutniéj dręczy mnie sroga miłość... A gdy mnie sen słodkiemi skrzydły obejmie, zdaje mi się, że smutna stajesz przed memi oczyma... Lecz

jakże obawiam się tego, że mi tylko marne sny o tobie pozostały...” I lękał się, że Hanna może zapomniéć o nim, i pod wpływem tego niepokoju, który go ścigał aż na Litwę samą, temi słowy kończył swą pierwszą elegię do Pazyfili: „A teraz, gdy przeziębły litewskie przebiegam kraje, nie zapominaj o nieobecnym i bądź pewna, że ja każdéj chwili radbym powrócić do ciebie, choć i tak już znaczna część méj duszy pozostała przy tobie.”

Nareszcie, po męczącéj podróży, zawitał do Radoszkowic. I tu, wśród wrzawy stutysięcznego obozu, nie zapomniał o Hannie, a zapatrzony w gwiaździste niebo, układał nową elegię do Pazyfili: „Oto król mój wojnę opłakaną gotuje, sam kwiat północnéj młodzi towarzyszy mu na tę wyprawę. Ale mnie w obce nie trzeba mieszać się wojny: mam ja ci wewnątrz wroga, co serce me rani. Ty wszakże, Pazyfilo, za którą sama Dyone wojnę prowadzi, przybądź, jako przyjaciółka pokoju.” Marząc jednak, nie potrafił opędzić się jednéj refleksyi, mianowicie, że dobiega czterdziestki, że tém samém nie powinien być tak skorym do szalenia z miłości, bo nie jemu wznawiać igraszki młodzieńczego wieku. „To kiedyś przystać mogło, ale wiek dojrzalszy innych już żąda zwyczajów, innych trudów...” Ale od tego przeświadczenia, że „nie jemu już u zamkniętych drzwi odprawiać czaty”, był tylko jeden krok do myśli o zapaleniu pochodni Hymenu. Do tego, ażeby tak szaléć, jak wtedy, kiedy był żakiem, był za poważny dzisiaj; przeciwko ożenieniu jednak, t. j. przeciwko poważnemu traktowaniu miłości, nie miał żadnych niechęci: przeciwnie, chciałby się kochać w kobiécie, która byłaby jego żoną, a tą żoną pragnąłby miéć Hannę. Ożenić się z nią, ach, czegóżby nie dał za to! „Ty, jeśli tylko miłością mą nie wzgardzisz, aż do grobu będziesz przedmiotem mych zabiegów: ty bądź panią w mym domu, tobie jednéj niech służy ma chudoba, aczkolwiek tak malutka... Z tobą nie przykro będzie twardym pługiem przewracać glebę, ni bydełko pędzić na paszę. Z tobą, Pazyfilo, obym mógł żyć, a kiedyś i życie złożyć na twém łonie!”

Tymczasem przeniesiono się do Wilna, ale zmiana miejsca, wobec tego, że Hanna była w Warszawie, w niczém nie wpłynęła na zmianę uczuć poety. Tęsknił za swą ukochaną, myślał o niéj, pisał elegie o Pazyfili, w których opisywał różne fazy psychiczne, przez jakie przechodził od rozstania się z panią swego serca, i w ten sposób powstała elegia III, księgi 3-éj, najprawdopodobniéj napisana w Wilnie, a wyrażająca myśl, że dwie przeznaczone sobie istoty przeczuwają się wzajemnie i że każda z nich nosi w duszy swéj obraz istoty drugiéj, po którym się przy spotkaniu poznają... „Nigdyż ten dzień nie zawita, gdy ty, piękna dziewczyno, do swego przytulisz mnie łona? Czy téż próż-

ną żywię nadzieję, a ty innego staniesz się pieszczotą." Ta obawa, że Hanna może jest przeznaczona innemu, nie jemu, oraz pragnienie, ażeby czémprędzéj z nią się zobaczyć, to były dwie główne osi, około których krążyły jego myśli. Tęsknił, a był smutny i niespokojny, bo niepewny jutra: ale kochał wiernie, idealnie, a przytém po raz pierwszy na seryo myślał o małżeństwie. Tak przeszła zima. W lutym pojechano do Knyszyna, a przez całe dwa miesiące, które tu król spędził, Kochanowski myślał o tém tylko, kiedy nastąpi projektowany wyjazd do Warszawy. W końcu doczekał się upragnionéj chwili: pod koniec kwietnia, gdy „wiosna wróciła, a śnieżna zima uleciała", dwór przeniósł się do stolicy Mazowsza.

Tu zaczęły się dni szczęścia dla poety. Mógł widywać się z Hanną, ile chciał. Poeta był w siódmém niebie. W Hannie widział wierne „odbicie z daru bożego", miłość zaś, którą płonął ku niéj, wyszlachetniona tęsknotą, wolna od pożądań zmysłowych, raczéj Psychy, niż Afrodyty, szukała w ukochanéj dziewczynie.

Raj tam, gdzie ona siedzi, a którędy mija,
Za jéj stopami róża wstawa i lelija.

I zakochany, nie mogąc oczu oderwać od swéj lubéj, wierzył, że

Taka jeszcze nie była za dawnego wieku
Aniołowi podobna bardziéj, niż człowieku

i sławił jéj „gładkość" w łacińskich i polskich wierszach, które, zwrócone do Hanny, niemało mogły schlebiać jéj próżności.

Wiele oczom powinien, o pani, kto ciebie
Oglądał, a nacieszył twym poyźrzeniem siebie.
Dalszego czasu może niezamierzać sobie,
Iżby kiedy miał gładszą oglądać po tobie.

Niech się więcéj nie chlubią starodawne lata,
Z swoimi Helenami: jest za tego świata,
Która gładkością wszytki pierwsze tak minęła,
Aż y przyszłym nadzieję na wieki odjęła.

I „przybywało mu rymów", kiedy na jéj „wdzięczną twarz" patrzał, a patrzał tak często, że aż napisał wierszyk do Hanny, w którym ją błaga, ażeby go czasem wypychała lub nie przyjmowała u siebie, bo mu się w głowie miesza, gdy za długo napawa się jéj widokiem. Ale niechaj przypadkiem nie widział jéj parę dni, zaraz go zaczynała trapić tęskność, którą raz np. wyraził w takim czterowierszu:

A co wiedzieć gdzie chodzisz, moja dziewko śliczna,
A mnie tymczasem trapi tęskność ustawiczna.
Jakoby słońce zaszło, kiedy niemasz ciebie:
A z tobą y w pół nocy zda sie dzień na niebie.

Jednocześnie, kiedy byli razem, czuł się onieśmielonym w jéj obecności; zapytany o coś, „odpowiadał niegrzeczy"; jeśli się na nią natknął niespodziewanie, bladł ze wzruszenia; a o ile „często wzdychał", przyczém niezawsze miał jéj wiele do powiedzenia, o tyle „rzadko kiedy się rozśmiał".

To była jedna strona medalu, dodatnia. Niestety, była i druga, jeżeli nie ujemna, to przynajmniéj dająca do myślenia. Oto Hanna, choć tak często widywała się z poetą, robiła wrażenie, jakby się nie domyślała jego uczuć dla niéj, jakby nie rozumiała, „co znaczy twarz blada" poety, jakby nie przypuszczała nawet, że w nim mogła rozbudzić namiętną miłość ku sobie, jakby „nie wiedziała", że on nosi się z myślą proszenia o jéj rękę, że tylko upatruje odpowiednią chwilę, ażeby jéj uczynić wyznanie. Ta pozorna niedomyślnność Hanny, idąc w parze z brakiem pewności siebie, gdy chodziło o poetę, którego jeszcze trapiło złowrogie przeczucie, że może być obojętny swéj lubéj, sprawiały, że się nie mógł zdecydować na krok stanowczy, że zwlekał i dojutrkował z oświadczynami. Bał się zaryzykować, nie śmiał wszystkiego stawiać na jedną kartę.

W takich warunkach wypadło mu wyjechać z Warszawy, a choć niezawodnie dokładał wszelkich starań, ażeby tu powrócić jaknajprędzéj, to jednak, przyjechawszy z powrotem, przekonał się, że tylko się śpieszył do nowych trosk i udręczeń: Hanna bowiem, lubo dlań była uprzejma i grzeczna, nie robiła wrażenia, iżby tęskniła po nim: była chłodna, obojętna, nieprzystępna, tak, iż poeta, zamiast się posuwać w swych sprawach sercowych, przeciwnie, zaczął powątpiewać, zali mu się wogóle uda zmiękczyć kamienne serce tego „pięknego stworzenia". Czuł, że jego widoki zmniejszały się, że oporna dziewczyna nie miała skłonności ku niemu.

W tém smutném przeświadczeniu wyjechał z królem do Lublina, a tutaj, podczas gdy wszystkich umysły były zaprzątnięte kwestyą unii, on, choć tak obarczony zajęciem, że nie miał czasu na pisanie wierszy do Hanny, wciąż myślał o niéj, co robi? czy myśli o nim? i t. p. Jest wielkie prawdopodobieństwo, że, korzystając z dwóch przerw całotygodniowych w 10-miesięcznych obradach sejmu, wpadł do Warszawy dla zobaczenia się z Hanną, ale i te wyjazdy — jeżeli miały miejsce — nie położyły końca jego wątpliwościom. W tém uczuciu napisał parę

wierszy, które z czasem weszły do *Fraszek*, jakkolwiek były smutne raczéj, niż wesołe:

Długoż masz, o miłości, frasować me lata?
Czy podobno przed czasem chcesz mnie zgładzić z świata?
....Tak li ty chcesz, tak li to niesie szczęście moje
Nie chcę przeć, mam czym cieszyć smutne serce swoje.
A ty przebóg niezajźrzy, gniew li to twóy czuię,
Łaskę li, niech do śmierci tę iednę miłuję.

Na domiar złego, z Lublina nie wrócono prosto do Warszawy, lecz przez Knyszyn, gdzie królowi podobało się zabawić aż do grudnia. Stąd nowe źródło trosk „nieuśpionych" dla poety, który wciąż myślał o swéj wymarzonéj Pazyfili. W końcu jednak, po miesiącach tęsknoty i niepokoju, znalazł się przy niéj znowu, a że król zamieszkał na zamku pod jednym dachem z królewną, więc mogło się zdawać poecie, że teraz, mając tyle okazyi do widywania się z Hanną, potrafi przełamać jéj obojętność. Niestety, mógł się przekonać niebawem, że wszelkie wysiłki z jego strony, czynione w tym kierunku, nie trafiały do serca dziewczyny. Ceniła jego talent, lecz nie kochała go, jako człowieka. Nawet przestała być zalotną wobec niego. Widząc to, poeta cierpiał coraz sroższe katusze, bo miłość w nim, zamiast stygnąć w miarę napotykanych przeszkód, zapalała się coraz gwałtowniejszym płomieniem. Zrozpaczony, zaczął przemyśliwać o znalezieniu owéj cudownéj przepaski Wenery, co zdobywała serca i myśli uporne, a zwracając się do Afrodyty, która samym lwom i żubrom odejmuje srogość, błagał ją, ażeby ulitowała się jego cierpieniom, ażeby rozniecila iskrę uczucia w Hannie.

Ty mię ratuj, a swoją strzałą uzłoconą
Ugódź w serce, a obróć myśl nieunoszoną
Zapamiętałéj dziewki, któréj ani skokiem
Człowiek dogonić może, ledwie zayźrzéć okiem.

Nie zrażał się jednak, a podniecony swém uczuciem, nie szczędził zabiegów, ażeby to oporne serce przełamać.

Jeśli to rada widzisz, a życzysz mi tego,
Abych przez cię używał frasunku wiecznego,
Cóż ci rzec, dziewko sroga: poprawdzie jam tobie
Inaczey to zadziałał, a co dziś na sobie
Odnoszę, dzieie mi się nad moje zasługi,
Ledwie taki na świecie niefortunny drugi.
Czego daley chcesz po mnie? czy jeszcze wątpliwa
Moja chęć przeciw tobie? noc w myślach tęskliwa
Y te ogniste gwiazdy rozsiane po niebie
Świadkiem, że nic milszego nie mam okrom ciebie.

....A ty, ieśli nadzieję chcesz o łasce swoiey
Zgasić we mnie, iuż dawno pragniesz śmierci mojej.

Więc doszło do tego, że Hanna, niewzruszona zaklęciami poety chciała w nim „zgasić nadzieję o łasce swojéj", t. j. pragnęła, ażeby ją przestał prześladować swojém uczuciem?! Nie podobał się jéj, i dosyć! Skoro go nie zdołała pokochać aż dotąd, to już nie pokocha nigdy. Dlatego, niech ją uwolni od siebie, niech się stara zapomniéć o niéj, bo wszystko, coby jéj jeszcze powiedział o swojéj miłości, będzie grochem rzuconym na ścianę, nie znajdzie echa w jéj sercu.

Widząc, że nie zdoła przełamać jéj oporu, poeta wszedł w nową fazę: oto zaczął słuchać głosu obrażonéj dumy, doradzającéj mu, ażeby za obojętność zaczął odpłacać wzgardą, ażeby przestał być służką tak „niewdzięcznego pana". Czyż nie lepiéj wyrzec się tak upokarzającéj służby? I zaczął błagać bogini miłości:

Zfolguy mi mało: owa się wyłamię
Z tej niepobożney niewoley, która mię
Tak zfrasowała, że y zdrowia nie mam,
Y o rozumie toż nakoniec mniemam.

I zdawało mu się, że byłby gotów „postawić palmę złotą" w kościele Afrodyty, byle mógł tylko „zbyć jarzma tak ciężkiego", byle mógł pokochać inną, skoro Hanna „co jest uprzejmość, nie czuje". Niestety, serce nie sługa, a choć rozum i podrażniona miłość własna nakazywały odwrócić się od téj „zapamiętałéj dziewki", dusza wyrywała się do niéj. Jakoż, pomimo wszelkich refleksyi i perswazyi rozsądku, tak się zawziął w swym afekcie, że choć nie kochany i wzgardzony, nie mógł się rozstać z swojém uczuciem. I bliski zwątpienia, złamany i wyczerpany, napisał rozpaczliwy wiersz *O miłości*, który najlepiéj maluje jego ówczesne usposobienie:

Ma już pokóy Prometheus, lecz ja miasto niego
Jestem przybit na rogu Kaukazu śnieżnego.
Mnie orlica serce źrze, które na swe męki
Odrasta, y żywi zwierz łakomy przez dzięki.
Ma pokóy Andromeda, lecz ja przykowany
Do skały prze cudzy grzech podeymuię rany.
Do mnie płynie wieloryb rozwarłszy paszczękę:
Gdzie ja mam rády szukać? gdzie ja sie ucieke?
Ratuy mężny Herkules, ratuy Perseu sławny,
A odnów (jeno by wczas) na mnie przykład dawny.

Tymczasem życie toczyło się zwykłym trybem, a poeta, który dotąd widywał się z Hanną tylko na zamku, od niejakiego czasu — zdaje się w ciągu zapust — spotykał się z nią jeszcze i w niektórych domach

na mieście, skąd późniéj wracał do domu z latarką i „bronią w późnych przygodach nieraz doświadczoną”. Ale Hanna nie dała się wzruszyć. Nieszczęśliwy kochanek, choć mu to niepowodzenie opalało skrzydła, brał się na różne sposoby, ażeby trafić do serca swéj umiłowanéj, a między innemi, ufny w moc poezyi, pisał prześliczne „pieśni żałośliwe, na jakie się zdobyło serce nieszczęśliwe”, które przez znajome osoby dochodziły do rąk Hanny. Ale i to nie pomagało.

Jam przegrał, ja, miłości, tyś plac otrzymała,
Tyś mię prawie do zimnéj wody już dognała.

Miewał chwile rozpaczy, w których myślał o samobójczém rzuceniu się do Wisły.

Widzę swóy błąd na oko, y próżne nadzieje,
A przed wstydem, y żalem serce prawie mdleie.
Ku temuż mię kresowi swém pochlebstwem wiodła,
Abyś mię czasu swego tak haniebnie zbodła,
Zbodłaś mię, a ten zastrzał twój nielutościwy
Mnie być pamiętny musi pókim jedno żywy.
Acz y żywot w twych ręku; a jeśli litości
Twey nademną nie będzie, jam zginął, miłości!
Zginąłem, a łzy moie dokonać mię maią,
Które mi z oczu płynąć nigdy nie przestaią.

Doszło do tego, że podobnie, jak niegdyś w Padwie, pod wpływem zawodów miłości ku Lydii, zaczął pić lub oszałamiać się hazardowną grą w karty, a kiedy jeszcze zdarzyła się sposobność, że w czasie sejmu 1570 roku mógł pohulać z Jędrzejem Trzecieskim, zawsze do kielicha ochoczym, to tak dalece zapominał o przestrzeganiu miary w trunkach, że raz po raz dawał się spoić swemu przyjacielowi. Jeszcze mu późniéj dziękował za to!

Bógżeć zapłać, Jędrzeiu, żeś mię dziś upoił:
Boś we mnie niepotrzebne troski uspokoił,
Które mi serce gryzły: jako to być musi,
Gdy człowieka niewdzięczność opętana dusi.
Wiem dobrze, że nie długo ze mną tey rozkoszy:
Bo to wszystko po chwili trzeźwa myśl rozpłoszy,
Ale witaj mi ta noc wolna od frasunku...

W końcu stracił nadzieję i zwątpiwszy, by zdołał zmienić „niewdzięczność” Hanny, oddał się spokojnéj rezygnacyi. Pijaństwa zaprzestał, bo mu szkodziło. Widział, że głową muru nie przebije, więc szukał zapomnienia — w pisaniu.

A cóż czynić? Pijaństwo zbytnie zdrowiu szkodzi,
Gra téż częściéj z utratą, niż z zyskiem przychodzi.

A nadzieie zaś niemasz wzaiemney miłości
A owa na swą szkodę suszy barzo kości.
Wy tedy, co kto lubi, moi towarzysze,
Piycie, graycie, miłuycie: Jan fraszki niech pisze.

Ale te frasunki poety nie uszły baczności jego znajomych, którzy, widząc, że, pomimo tylu przeciwności ze strony nieprzejednanéj dziewczyny „opętanéj niewdzięcznością”, nie przestawał jéj kochać, zaczęli wpływać na Hannę, tłómacząc jéj, że źle czyni, odrzucając miłość poety. Czy pod wpływem tych perswazyi, czy z innych powodów, dość, że z wiosną, a najpóźniéj na początku lata 1570-go roku, nastąpił pomyślny zwrot w zachowaniu się panny, pomyślny o tyle, że choć w niéj serce nie zabiło goręcéj, to jednak dała się nakłonić ku swemu wielbicielowi. W duszę poety, jak gdyby złoty promień słońca do ciemnéj komory, wstąpiła nadzieja. Widząc, że Hanna zmieniła się w stosunku do niego, iż staje się powolniejszą, w jednéj chwili zapomniał wszelkich uraz, i niepomny wszystkiego, co wycierpiał z powodu téj „zapamiętałéj dziewki”, zanucił pieśń szczęśliwą:

Matko skrzydlatych miłości,
Szafarko trosk y radości:
Wsiądź na swój wóz uzłocony,
Białym Łabęciom zwierzony,
Puść się z nieba w snadnym biegu,
A staw się na Wiślnym brzegu,
Gdzie ku twey czci ołtarz nowy
Stawię swą ręką darnowy.

. . . .

Tym cię błagam, o królowa
Bogatego Cypru, owa
Abo różne serca zgodzisz,
Abo y mnie wyswobodzisz.
Ale raczey nas oboje
Wzów pod złote jarzmo swoie,
W którym niechay ci służywa,
Póki ia, y ona żywa.

W końcu odbyły się zaręczyny, na które nietylko rodzice Hanny, ale i królewna dała swoje pozwoleństwo. Z powodu tych zaręczyn napisał Kochanowski krótki wierszyk do Hanny, który najlepiéj maluje, jak dalece „szczęśliwy” oblubieniec zdawał sobie sprawę z uczuć swéj narzeczonéj:

Na palcu masz dyament, w sercu twardy krzemień:
Pierścień mi, Hanno, dajesz, już i serce przemień.

Ale choć się nie łudził co do jéj uczuć, to jednak nie wątpił, że gdy ją powiedzie do ołtarza, a potém zawiezie do Czarnolasu, wtedy zdoła w niéj wzbudzić przywiązanie, wtedy jéj serce potrafi rozgrzać własném uczuciem. W téj nadziei dokładał wszelkich starań, ażeby o ile możności przyśpieszyć tę błogą chwilę, układał plany na przyszłość, którą sądził bardzo niedaleką, a tymczasem, rozkochany na zabój, korzystał z przysługujących mu praw narzeczonego, pracując nad wyrównaniem téj przepaści, która ich „różne serca" dzieliła. Znosił podarki, a czy to podarkami temi, czy swą gotowością na wszelkie usługi, czy skwapliwością, z jaką spełniał nawet kaprysy Hanny, dość, że tyle postąpił w pozyskaniu jéj względów, że jeśli nie serce, to sobie przynajmniéj zdobył uprzejmość pięknéj dziewki. I w rozmowach stawał się śmielszy, może dlatego, że, czując pewny grunt pod nogami, więcéj miał konkretnego tematu do rozmowy. Z pewnością najwięcéj gawędzili o tém, jak sobie życie urządzą na wsi, jak będą zażywali swobody sielskiéj, tak różnéj od krępującéj etykiety dworskiéj, jak będą żyli, a można być pewnym, że poeta, rozmawiając ze swą lubą, nieraz zdobywał się na podobną czułość, jak ta, którą nacechował jedną ze swych elegii łacińskich do Pazyfili: „W nadziei twojéj miłości, o serce moje, gotówem wzgardzić wszystkiém: tyś mi skarbem, ty sławą, ty jedynym zaszczytem. Wiele wprawdzie trzeba się troszczyć w nieszczęsnéj miłości, lecz choćby i wcale się nie troszczyć, toć przecie samo czekanie jest przykrością. Kochankowie mierzą rok nie według biegu słońca lub przebytéj ścieżyny zmiennego zodyaku; dla nich godzina, to jakby rok cały; nic też dziwnego, że wyglądają blado i przedwcześnie włos noszą siwy. Ty, dziewczyno, co jedna me cierpienie możesz ukoić, nie gubże mnie długiém zwlekaniem! Niech mi zazdroszczą, niech pękną zawistni, gdy tylko ty mi sprzyjasz, już sprawa moja niczego się nie lęka. Ty jedna bądź mi przychylną. Napróżno walczyć z Amorem: ziści się wszystko, co tylko on zechce."

Na nieszczęście, nietylko Hanna trapiła poetę „ciągłém zwlekaniem", ale i okoliczności składały się w ten sposób, że chcąc nie chcąc należało odłożyć chwilę ślubu. Zaczęły występować trudności, których poeta nie przewidział na razie, a które nie pozwalały na przyśpieszenie wesela. „Stary dwór czarnoleski, choć niepozorny i w ziemię zapadły, mógł wystarczać niegdyś poecie. Obecnie przecież, po ośmioletniém niezamieszkaniu stał się ruderą, wiejącą pustką i stęchlizną. Jakże tu do niego z królewskich komnat miłościwą panią wprowadzić?" Przedewszystkiém wypadało pomyśléć o wzniesieniu nowego dworu, o usłaniu w nim wesołego gniazdka, a to wszystko wymagało

czasu i zachodu. Nie pozostawało nic innego, tylko przezimować w Warszawie, na wiosnę pojechać do Czarnolasu, wystawić dwór i dopiéro potém wstąpić na ślubny kobierzec. Taki był plan poety, aprobowany przez pannę. Tymczasem nadeszła zima, zapusty. Zaczęły się zabawy, tańce, biesiady, Hanna nietylko bywała na nich, ale bywając z narzeczonym, niejednokrotnie swém zachowaniem się jeszcze bardziéj rozmarzała poetę. Raz pozwoliła mu zabrać sobie woniejący zioły *facolet*, t. j. chusteczkę od nosa; innym razem dała mu swój fiołkowy wianek z głowy, a starając mu się przypodobać, malowała się i bieliła... Wszystko to sprawiało, że poeta był najlepszéj myśli, rozumiejąc, że Hanna powoli przekonywa się do niego.

(Dok. nast.) *Ferdynand Hoesick.*



KRONIKA GALICYJSKA.

Lwów 8 lutego.

W jednym z tak licznych dowcipnych odezwań się swoich powiedział hr. Edward Taaffe, jak się dziś pokazuje, najzdolniejszy, a w każdym razie najsprytniejszy minister-prezydent Austryi konstytucyjnéj, że sztuka rządzenia w tém wielojęzycznem państwie polega na sprowadzaniu i utrzymaniu takiego stanu, aby wszystkie narodowości i wszystkie stronnictwa wogóle były ile możności w równéj mierze — niezadowolone. Zdanie to brzmi paradoksalnie i było téż w swoim czasie jako paradoks powtarzane, ale ostatecznie pokazało się na faktach już dokonanych, że mieści się w niém maksyma polityczna, która w państwach jednolitych uchodzić może za herezyę polityczną, w niejednolitéj zaś Austryi, w tym prawdziwym unikacie pod względem struktury narodowo-państwowéj, posiada racyę bytu. Sam hr. Taaffe doświadczył tego na sobie, że najsilniejszym był jego gabinet w chwili, gdy Czesi wstąpiwszy do rady państwa po długiéj fazie polityki obstrukcyjnéj (w r. 1879) przedstawili cały spis swoich postulatów, w znacznéj części niepołączalnych z pretensyami politycznemi Niemców i przez nich téż uporczywie zwalczanych, gdy inne drobne narodowości słowiańskie nie sięgały jeszcze nawet myślą po takie nabytki polityczne, jakie obecnie należą już do faktów dokonanych, gdy wreszcie zewsząd odzywały się żądania reformy wyborczéj, a rząd nie myślał nawet o ich ziszczeniu. W chwili, gdy hr. Taaffe wbrew powyższéj maksymie paradoksalnéj przystąpił do załatwienia sprawy czeskiéj tak, aby Czesi byli — mniéj niezadowoleni,

niż Niemcy, zachwiał się widocznie a runął ostatecznie ze swoją reformą wyborczą, która szerokie, głosu dotąd pozbawione, masy uczynić miała także — mniéj niezadowolonemi, aniżeli dotąd były. Hr. Kazimierz Badeni, któremu w chwili objęcia steru państwowego rokowano co najmniéj tak długie rządy, jak hr. Taaffemu, więc chociażby lat 12, zniknął z widowni już po dwóch latach, jakgdyby dla tém dobitniejszego stwierdzenia prawdziwości powyższéj maksymy, według któréj gabinet lawirujący byłby w Austryi stałym objawem politycznym, a gabinet podejmujący dzieło równouprawnienia narodowego w śmiałéj i ściśle określonéj formie tylko efemerydą przemijającą.

Dzisiejszy minister-prezydent austryacki br. Gautsch dłużéj kolegował z hr. Taaffem, aniżeli z hr. Badenim, więcéj przeto przejąć się musiał zasadami taktycznemi pierwszego, aniżeli temperamentem politycznym drugiego męża stanu. To też odrazu odnalazł drogę, zaniechaną od czasów hr. Taaffego, ale jeszcze nie tak zaprzepaszczoną, żeby po niéj stąpać nie można. Piérwsze kroki były trudne, dalsze stają się coraz łatwiejszemi, a jakkolwiek dziś jeszcze—w chwili, gdy to piszemy—ostatecznego rezultatu przewidziéć nie podobna, to jednak po niedwuznacznych objawach gotowości Czechów do zrzeczenia się pewnéj części zdobyczy, zawartych w rozporządzeniach językowych hr. Badeniego i po również niedwuznacznych objawach gotowości Niemców umiarkowanych do przyjęcia nowych rozporządzeń językowych, jako wystarczający od biédy łup za odniesione w radzie państwa zwycięstwo obstrukcyjne, możnaby już oczekiwać, że w bliskiéj przyszłości Niemcy i Czesi będą—w równéj mierze niezadowoleni! Co daléj nastąpi, to inne pytanie. Chwilowo osiągnie się w ten sposób korzyść nieocenioną, t. j. możność wprowadzenia machiny parlamentarnéj na tory normalnego ruchu, możność przywrócenia normalnych stosunków pomiędzy obiema połowami monarchii austryacko-węgierskiéj, w ogóle możność kontynuacyi tego życia parlamentarnego, które na schyłku roku ubiegłego zdawało się już naprawdę zamierać.

Jeżeli jednak br. Gautsch'owi powiedzie się osiągnąć ten cel najbliższy, a zarazem najważniejszy, to nie będzie tego powodzenia zawdzięczał wyłącznie wznowieniu maksymy politycznéj hr. Taaffe'go. Z zawodem zupełnym byłby się spotkał zaraz w pierwszéj chwili, gdyby nie ta okoliczność, że jest dziś w Austryi jeden żywioł, jeden kraj koronny (Galicya), czwartą część państwa stanowiący, w którym wcale nie potrzeba już lawirować, jak w Czechach, który nie myśli wcale o wydobywaniu korzyści z powikłanego położenia, lecz szczerze i otwarcie, poniekąd nawet z abnegacyą polityczną, staje w roli rozjemcy, nawołującego strony powaśnione do opamiętania i umiarkowa-

nia, zaklinającego przytém te strony na najwyższe dla wszystkich interesa. Zaklął je bowiem sejm galicyjski w swoim adresie na interesa państwa, które ze swojego składu i przeznaczenia dziejowego powołane jest — mówiąc słowami dr. Juliana Dunajewskiego z ostatnich rozpraw adresowych—stać się wielkiém sklepieniem dla narodowości, węzłem jedności państwowéj połączonych, i na interesa dynastyi, któréj sędziwy, wielkoduszny, w całéj Europie szanowany dzisiejszy reprezentant, cesarz Franciszek Józef, właśnie w tym ciężkim roku obchodzi pięćdziesięcioletni jubileusz rządów, przeplatanych najsroższemi ciosami losu, jak wojny nieszczęśliwe, tragiczny zgon brata, cesarza meksykańskiego, i samobójstwo następcy tronu, jedynego syna, arcyksięcia Rudolfa, rządów zatém w gruncie rzeczy nieszczęśliwych, a jednak mimo to opromienionych od początku do końca godną podziwu troskliwością i konsekwencyą w dążeniu do zjednoczenia około tronu pod hasłem sprawiedliwości wszystkich ludów podległych berłu Habsburgów.

Co tu charakter polityczny adresu galicyjskiego jasno oświetla i co szczególnie popiéra tytuł Galicyi do stanowiska rozjemcy pomiędzy powaśnionemi narodowościami, to fakt, że, jakby komentarz autentyczny do tego adresu, zapadły w sejmie galicyjskim uchwały w tak drażliwych dziś wszędzie kwestyach językowych, uchwały zaprowadzające nowe gimnazyum ruskie w Tarnopolu i normujące sposób propagowania nauki obu języków krajowych, polskiego i ruskiego, w szkołach średnich tak, iż ani ze strony wnioskodawców, posłów ruskich, ani z większości polskiéj nie ozwał się głos zamącający znaczącą zgodność w pojednawczych intencyach. Jest to nietylko dowód szczerości myśli w adresie wypowiedzianych, lecz zarazem i przykład dany innym krajom koronnym, przykład téj dojrzałości i wyrozumiałości politycznéj, bez któréj spory narodowościowe w Austryi nigdy nie dałyby się zażegnać.

Nasi najserdeczniejsi w Wiedniu i po za Wiedniem gotowi oczywiście wszystko to uważać tylko za zręczność czy przebiegłość polityczną, bo istotnie wydaje się to nieprawdopodobném, aby Galicya po upadku gabinetu, w którym prezydentura i teka skarbu spoczywały w ręku dwóch jéj wybitnych obywateli, po zamknięciu sesyi parlamentarnéj, w któréj także jeden z jéj wybitnych obywateli zajmował krzesło prezydyalne, mogła nietylko nienależéć do malkontentów, lecz nawet poczuwać się do misyi rozjemczéj w dalszéj akcyi rządowéj około uśmierzenia sporów narodowościowych.

Jest to właśnie najwyraźniejszy dowód dojrzałości politycznéj Galicyi i jéj szczerego poczucia państwowego, że w chwili powołania

hr. Kazimierza Badeniego do steru, nie było w kraju polityka, któryby z tym faktem łączył jakieś śmiałe aspiracye polityczne, któryby owszem nie był przejęty troską, nawet obawą, że właśnie pod takim gabinetem wypadnie zrzec się niejednéj pretensyi najsłuszniejszéj lub przynajmniéj odroczyć upomnienie się o nią do czasu nieokreślonego. Po nad wszystkiém bowiem górowała chęć i dążność do takiego postępowania, ażeby gabinet hr. Kazimierza Badeniego nie doznał ze strony Galicyi najmniejszéj dywersyi w swojéj polityce państwowéj. Że hr. K. Badeni, jako austryacki minister-prezydent, a d-r Leon Biliński, jako austryacki minister skarbu, nie Galicyę z jéj odrębnemi potrzebami, lecz państwo i jego interesa ogólne głównie miéć będą na oku, to nie dawałoby jeszcze tytułu do wynoszenia własnéj dojrzałości politycznéj, bo to stanowiło pierwszy postulat rozumu politycznego, bo o tém w całym kraju od pierwszéj chwili jedno tylko było zdanie: *ça va sans dire*. Ale że minister dla Galicyi dr. Rittner w gabinecie tym nie wysuwał swojego partykularnego charakteru, do czego ze swojego stanowiska byłby nietylko uprawniony, lecz nawet do pewnego stopnia powołany, że nawet—jak w reformie wyborczéj—śmiało wystąpił przeciw niektórym dezyderatom koła polskiego, uznając ich podniesienie za szkodliwą dywersyę w pożądaném rychłém dokonaniu ważnego dla państwa dzieła ustawodawczego, że daléj—to koło zniosło wówczas bez szemrania tak nienaturalną, nawet niebezpieczną, jako precedens, kolizyę z ministrem galicyjskim i samo w tym kierunku działało, unikając w całém swem działaniu podniesienia wielu innych nawet ekonomicznych pożądań, z któremi przed każdym innym gabinetem stanęłoby było otwarcie i stanowczo bez ujmy dla swojéj pozycyi w większości rządowéj parlamentu—to już niezawodnie akt wstrzemięźliwości niezwykłéj. Wprost akt abnegacyi politycznéj, który ze względu na hałasujące w kraju żywioły radykalne wymagał i odwagi i ofiarności obywatelskiéj.

Jeżeliby państwowa polityka Polaków galicyjskich była taka, jak ją dawni centraliści nazwali, „lojalnością z wypowiedzeniem”, t. j. obliczoną na wyzyskiwanie każdoczesnego położenia dla swoich wyłącznie interesów bez oglądania się na państwo, to dziś po upadku hr. Badeniego koło polskie w Wiedniu i jedną z niém myślą partyjną przejęty sejm krajowy we Lwowie nie miałyby nic pilniejszego do czynienia, jak stawianie różnorodnych żądań wyłącznie galicyjskich jako *pacta conventa*, na których oprzéć się winna każda przyszła większość parlamentarna i każdy rząd przyszły, jeżeli chcą liczyć na poparcie głosów polskich. Szowiniści niemieccy zamącili przecież wodę tak do głębi, że łatwo łowić w niéj nawet grube ryby. A tymczasem w Galicyi nikomu na myśl nie przychodzi zapuszczać sieci w téj wodzie!

Adres sejmu galicyjskiego jest nietylko wyrazem polityki krajowéj, ale też i wytyczną kierunku politycznego dla koła polskiego, dla którego od r. 1873, t. j. od chwili zerwania dawnéj ścisłéj łączności między sejmami a wybieraną przez nie radą państwa, zgodne działanie z sejmem stanowi nie ujętą wprawdzie w postać paragrafów, ale sankcyą opinii obywatelskiéj raz na zawsze opatrzoną i zawsze ściśle przestrzeganą normę zasadniczą. Kierunek ten wytyczny streszcza się najpierw w wierności dynastycznéj, ujętéj w adresie w historyczne już słowa: Przy Tobie, Najjaśniejszy Panie, stoimy, — a powtóre w idei równouprawnienia narodowości pod znakiem autonomii, tak szeroko pojętéj, aby wszystkie ludy austryackie posiadały słuszne warunki bytu i rozwoju narodowego, aby więc wszystkie były nie równomiernie niezadowolone, lecz w słusznéj mierze zadowolone, co mieści w sobie oczywiście wykluczenie z gry szowinizmu wszelkiego autoramentu, więc zarówno szowinizmu niemieckiego, chcącego przeszczepić hakatyzm krzyżacki na grunt państwa Habsburskiego wobec Czechów i innych narodowości słowiańskich, jak i szowinizmu ultrasłowiańskiego, który nie oglądając się ani na dynastyę niemiecką, ani na tradycye historyczne Austryi, chciałby nadużyć idei równouprawnienia i autonomii dla wszczepienia w przyszłą politykę rasowego antagonizmu wobec Niemców.

Według zapewnienia, które pochodzi ze sfer wtajemniczonych, cesarz Franciszek Józef miał być bardzo zadowolony ze stanowiska zajętego obecnie przez Polaków galicyjskich i wyrazić to zadowolenie swoje temi słowy: „Nigdy dotąd nie zawiodłem się na wierności i takcie politycznym Polaków; cieszy mnie to bardzo, że i tym razem nie doznałem zawodu.

A tym razem właśnie chodziło niejako o próbę ogniową, po któréj przebyciu już bez przechwałki Polacy galicyjscy mogą powiedzieć o sobie, że zajęli stanowisko takiego elementu politycznego w Austryi, jakim dawniéj było niemieckie stronnictwo liberalne z pierwszéj fazy życia konstytucyjnego, stronnictwo poważne, zasłużone około wzniesienia całéj konstytucyjnéj budowli państwowéj, że w konsekwencyi koło polskie stało się dziś w radzie państwa jądrem krystalizacyjném dla stworzenia takiéj większości parlamentarnéj, którąby razem z rządem pracowała nietylko nad staranną konserwacyą téj budowli, lecz nadto wykluczając centralistyczne mrzonki dawnego stronnictwa liberalno-wiernokonstytucyjnego pracowała daléj pod hasłem autonomicznego równouprawnienia narodowości nad takiém rozprzestrzenieniem téj budowli, aby ona zgodnie z intencyami korony stała się wielkim przybytkiem zgodnego pożycia wszystkich ludów austryackich.

Chcąc krótko wyrazić wielką ewolucyę polityczną, jaka się za rządów cesarza Franciszka Józefa w życiu konstytucyjném Austryi dokonała, możnaby powiedziéć, że zaszła zupełna zmiana ról. Koło polskie objęło wszystkie dobre tradycye dawnego stronnictwa wiernokonstytucyjnego, stało się stronnictwem państwowém w całém tego słowa znaczeniu, a lewica niemiecka objęła w spuściźnie po swojéj zasłużonéj poprzedniczce tylko mrzonki centralistyczne, które z dzisiejszą silną domieszką szowinizmu teutońskiego i jego rodzonego braciszka, hakatyzmu pruskiego, reprezentowanego w frakcyi *Wolf & Comp.*, już zawiodły parlamentaryzm austryacki nad brzeg przepaści, a na podwaliny państwa wymierzają ciosy stanowcze.

Trzeba dobrze pamiętać o téj zmianie ról, gdy się zbierze rada państwa. Niezawodnie bowiem ozwie się wtedy ze strony szowinistów niemieckich na wszystkie tony stereotypowy, złą wolą dyktowany zarzut: *Die Polen sind für jede Majorität zu haben* (Polacy są do wzięcia dla każdéj większości) w tém znaczeniu, jakoby koło polskie, kierowane jedynie egoistyczném pojmowaniem interesów partykularnych, skłaniało się zawsze ku téj stronie, skąd chwilowo najwięcéj uśmiécha się widoków. Ze strony przeciwnéj znowu, ze sfery szowinistów słowiańskich, usłyszy się zapewne twierdzenie, że koło polskie sprzeniewierza się dawnemu programowi swojemu i zdradza sprawę słowiańską w Austryi, kiedy tymczasem ono faktycznie najlepsze usługi oddawać będzie téj sprawie, jeżeli jako jéj punkt oparcia, jako jądro krystalizacyjne nowéj większości parlamentarnéj, potrafi jak dotąd godzić interesy państwa ze słusznemi wymaganiami równouprawnienia narodowości i autonomii krajów koronnych.

Czy nie wypadnie jednak koło polskie z kontenansu politycznego, zajmując stanowisko tak trudne? Pytanie to byłoby uzasadnione, a obawa w niém ukryta byłaby słuszna, jeżeliby polityka taka była tylko nieszczerém lawirowaniem pomiędzy trudnościami, jeżeliby jéj punktem wyjścia był fortel, a celem separatyzm interesów. Tymczasem rzecz się ma przeciwnie, bo właśnie taka tylko polityka, nie zaś rzucanie się w krańcowe prądy, stanowi trafny wyraz opinii i dążeń kraju i jego reprezentacyi, bo takiéj a nie innéj polityki wyuczyła się, taką sobie przyswoiła Galicya w téj długiéj szkole politycznéj, któréj pierwszym mistrzem, arcymistrzem, już za młodzieńczych czasów cesarza Franciszka Józefa był niezapomniany Agenor hr. Gołuchowski (ojciec), a która stopniowo doprowadziła do tego, że w sędziwym wieku tego samego monarchy, więc za życia jednego pokolenia, w Austryi nietylko możliwym stał się gabinet z trzema Polakami, jak za hr. Kazimierza Badeniego (dla żyjących jeszcze niedobitków ery absolutyzmu rzecz

horribilis dictu!), lecz nadto najwyższą pozycyę w państwie, tekę ministra spraw zagranicznych i domu cesarskiego nominalnie, a tekę kanclerską *de facto*, objąć mógł także Polak i to pierworodny syn owego arcymistrza galicyjskiéj szkoły politycznéj, znowu — Agenor hr. Gołuchowski!

„Agenor hr. Gołuchowski (ojciec) — Agenor hr. Gołuchowski (syn)" — oto tytuł monografii historycznéj, która — gdyby kiedy napisana została wprawną ręką polityka i historyka — stanowiłaby dla naszego społeczeństwa kartę honorową w historyi w ogóle, a dla przyszłych pokoleń byłaby wypróbowanym podręcznikiem roztropności politycznéj. Jako dewizę, mógłby autor takiéj monografii wypisać słynne początkowe słowa przemówienia Zyblikiewicza do cesarza Franciszka Józefa w rondlu bramy Floryańskiéj w Krakowie, w chwili uroczystego wjazdu z r. 1881: „Podbiłeś nas, Najjaśniejszy Panie, podbiłeś nas Swoją szlachetnością i sprawiedliwością!"

Na który okres wypadłoby w téj monografii położyć główny nacisk? Na drugie namiestnikostwo hr. Agenora Gołuchowskiego (ojca), powitane w r. 1866 iluminacyami w całym kraju, czy może na rządy w Wiedniu, upamiętnione dyplomem październikowym, czy wreszcie na trzecie namiestnikostwo zakończone w r. 1875 zgonem przedwczesnym, który w całym kraju—literalnie w całym kraju — wywołał głęboką żałobę? Piszący to nie waha się wypowiedzićć zdania, że, ktoby pisał taką monografię dziś, w okresie zupełnéj metamorfozy państwa austryackiego, w okresie wyznaczającym żywiołowi polskiemu w Austryi rolę czynnika podpiérającego państwo i tron ze szczerego przejęcia się obopólnemi interesami, nawet z abnegacyą polityczną, ten musiałby główny nacisk położyć na najciemniejszą, albo raczéj na pozornie najmniéj świetną fazę działalności hr. Gołuchowskiego (ojca), na jego pierwsze namiestnikostwo za czasów absolutyzmu germanizatorskiego, kiedy Galicya, pogrążona jeszcze w prostracyi politycznéj, społecznéj, spowodowanéj następstwami lat 1846 i 1848, zwątpiła o wszystkiém i o wszystkich, a nielicznych Polaków w służbie rządowéj, hr. Gołuchowskiego przed wszystkimi i nadewszystko, piętnowała nazwą „*Schwarzgelberów*", co w tych czasach równało się wielkiéj klątwie politycznéj i banicyi w społeczném, albo raczéj w towarzyskiém tego słowa znaczeniu. Wtedy to hr. Gołuchowski, jako namiestnik Galicyi, niezmiernie zasłużył się około dobra i przyszłości kraju, odwracając lub przynajmniéj łagodząc w miarę możności ciosy, wymierzane przez absolutyzm germanizatorski nietylko na życie narodowe, lecz pośrednio i na ekonomiczne. Galicya bowiem należała do tych kopciuszków pomiędzy krajami, o które przedkonstytucyjne rządy wcale się nie tro-

szczyły, których zubożenie bodaj czy nawet nie wchodziło w program ówczesnych systemów. Na tém odwracaniu ciosów, w téj cichéj, wytrwałéj, nie na rozgłos obliczonéj, w danéj chwili na uznanie ziomków nawet liczyć nie mogącéj działalności polega główna, ale nie jedyna, zasługa hr. Gołuchowskiego z ówczesnego okresu jego rządów. Nie pominął on bowiem żadnéj sposobności, przy któréj mógł poprzéć jaki żywotny interes kraju na polu ekonomicznémi w zakresie oświaty. Każda drobna zdobycz w tych czasach ważyć musi na szali zasług więcéj, aniżeli w czasach dzisiejszych niejedna szeroka i rozgłośna akcya, do któréj droga stoi już otworem, a środki dane są w pełnéj mierze. Co jednak najważniejsza, co Gołuchowskiemu daje pełny tytuł do nazwy inicyatora i mistrza téj szkoły politycznéj, w któréj społeczeństwo polskie nauczyło się być dodatnim, a z czasem dzięki przyjaźnemu rozwojowi stosunków także i najwięcéj wpływowym czynnikiem państwowym w Austryi, to główna idea polityczna, wytrwale i mimo wszelkich przeciwieństw skutecznie propagowana. Idea ta polegała na zdrowéj refleksyi, że społeczeństwo polskie nie powinno pomijać żadnéj sposobności do dodatniéj pracy obywatelskiéj, nie uważać najtrudniejszéj sytuacyi za tak rozpaczliwą, żeby od téj pracy zupełnie usunąć się miało. Jako stały i pewny punkt oparcia w tém dążeniu, wskazywał Gołuchowski osobę młodziutkiego jeszcze wówczas cesarza Franciszka Józefa, zapewniając o jego najszlachetniejszych intencyach, o wielkiém poczuciu sprawiedliwości i gorącéj chęci podźwignięcia państwa ze stanu, w który ono dostało się w poprzedzającym jego rządy burzliwym okresie dzięki zgubnym, istoty państwa austryackiego nierozumiejącym systemom. Refleksya ta trafiała do przekonania dojrzalszych politycznie obywateli, grono „*Schwarzgelberów*" wzrastało powoli, ale nieustannie. Jak ono potém w miarę rozszerzania się działalności Gołuchowskiego w kraju i w państwie zdobywało coraz więcéj opinię poważną, jak ostatecznie z brzaskiem ery konstytucyjnéj wydobyło się na wierzch i zapanowało w kraju, to już temat dla takiéj monografii historycznéj, o jakiéj powyżéj mówiliśmy, temat niezmiernie ciekawy, wdzięczny i pouczający. W takiéj monografii dopiéro dostanie się należne uznanie owym „*Schwarzgelberom*", tym pierwszym pionierom zwycięskiéj dziś myśli politycznéj społeczeństwa polskiego w Galicyi. Celem tego szkicu dorywczego było tylko stwierdzenie faktu, że dzisiejsze stanowisko polityczne Polaków galicyjskich w Austryi, stanowisko wiernego i stałego reprezentanta idei państwowéj austryackiéj, nie jest chwilowym wynikiem przemijającego położenia politycznego lub wyjątkowéj konstelacyi stosunków, lecz trwałym dobrze ufundowanym re-

zultatem długiéj edukacyi w wybornéj szkole politycznéj, dziełem długiéj i statecznéj pracy społeczeństwa nad samém sobą, w której wszelkie hazardowne eksperymenta i kapryśne skoki były i będą zawsze wykluczone.

Szkic ten zajął zbyt wiele miejsca, żeby po nim przystąpić można do omówienia bieżących spraw krajowych. Niech on służy za wstęp ogólny do przyszłych kronik galicyjskich, które następować będą po sobie w dłuższych lub krótszych odstępach czasu w miarę, jak tego wymagać będzie gromadzący się materyał.

Ita.



WSPOMNIENIE WSPÓŁCZESNIKA

O MARYI SZYMANOWSKIÉJ.



Stanisław Morawski, lekarz, wychowaniec uniwersytetu wileńskiego, rówieśnik Mickiewicza, po latach wielu, osiadłszy na wsi, w Ustroniu, osładzał sobie samotność rozpamiętywaniem czasów młodzieńczych, a następnie zaś ujął za pióro i spisywał te wspomnienia. Jeden z najdłuższych rozdziałów poświęcił słynnéj w swoim czasie artystce, Maryi Szymanowskiéj, z któréj córką ożenił się twórca „Pana Tadeusza". Morawski pisał to w maju 1849 roku.

Mniemamy, że czytelnicy „Ateneum" z zajęciem przebiegną karty, skréślone przez człowieka bywałego, światowego i wykształconego.

....Zbieg rozmaitych i krzyżujących się z różnych kierunków na jednym punkcie okoliczności zbliżył mnie w Petersburgu z Maryą Szymanowską.

Wzajemne podobieństwo naszéj ówczesnéj pozycyi wkrótce tę znajomość w ściślejszą zamieniło przyjaźń, w przyjaźń tém szacowniejszą i większéj godną pochwały, żeśmy wtedy byli oboje młodzi, że ona była piękną, a ja nieułomek.

Jeszczem był w Wilnie, kiedy mnie jéj sławne *Exercices* kosztowały dużo i dni i nocy. Bo kiedyś i ja miałem do fortepianu i pre-

tensyę i skłonność. Rodzice moi, co zimę mieszkając w Warszawie, ściśle zbliżeni byli ze znakomitym i szanowanym powszechnie domem Ludwików hrabiów Platerów; sam uważanym był za jedną ze stałych gwiazd na horyzoncie warszawskim; sama, Hilzenówna z domu, łagodnością, dobrocią, pobożnością, miłosierdziem w sercu każdego warszawianina sprawiedliwy uszanowania hołd odbiérała. Ludwik Plater w podróży zagranicę napatrzywszy się na fenomeny magnetyzmu zwierzęcego i u profesora Wolfarta w Berlinie i u wiadomego szarlatana, żyda, a wiecznego wszystkich rządów północnych szpiega, Koreffa, który wtedy był domowym księcia Hardenberga lekarzem i z niejaką panną Hacuel cuda magnetyzmu wyrabiał, Ludwik Plater, powiadam, rzucił się do magnetyzmu z niestosownym do wieku swojego, bo z młodzieńczych porywów zapałem.

Szymanowska, z zacnego dostatniego i z cnót prywatnych znajomego domu w Warszawie idąca, miała dobrze starszą od siebie rodzoną siostrę pannę Julię Wołowską, od dzieciństwa przez ospę najzupełniéj pozbawioną wzroku. Jak zwykle w nieszczęściu, Bóg jéj nie odebrał nadziei. Roiło się téj poczciwéj i dobréj Julii, że nadzwyczajne i cudowne środki mogą stracony organ przywrócić! Myśl ta pochlebiała szczerze kochającemu ją rodzeństwu, a Szymanowskiéj szczególniéj, bo ją ta siostra, pomimo ślepoty swojéj, wynosiła na ręku i jak własne dziecię kochała. Szymanowska, perła rodziny, udała się z tym projektem do magnetycznego zagorzalca Platera.

Ta styczność z domem Platerów wprowadziła ją w styczność z domem moich rodziców, w którym także kwitnął magnetyzm. Ojciec mój, odwieczny wielbiciel kobiét i szalejący za muzyką, a i sam nawet kiedyś aż na dwóch instrumentach amator i śpiewak, nie mógł się nacieszyć boską grą Szymanowskiéj i rzadki talent naszéj pięknéj Polki najszczerszemi ustami wysławiał. Jeszcze dotąd zdaje się, że mi zostały w uszach ogromne dziury od wszystkiego tego, co mi zawsze i ciągle za powrotem swoim do Litwy o niéj rozpowiadając wydłubał. A kufry całe jéj kompozycyami ładował i woził je dla mnie z Warszawy. Znałem tedy i lubiłem już Szymanowską jak pełnego czucia kompozytora.

Mąż jéj, p. Szymanowski, człowiek majętny, uczciwy, cywilizowany i światły, ale prawdziwy mąż-mężczyzna *mari monstre*, nie mógł się w żaden sposób nastroić na ton młodziutkiéj żony swojéj i stąd ciągłe w domowéj orkiestrze robił dysonanse. Zagorzały amator gospodarki rolnéj i koni, chciał z żony koniecznie skrzętną i dobrą zrobić gospodynię, chciał ją z wdziękami nie wsi, ale gospodarstwa wiejskiego oswoić i bez żadnéj wstecznéj myśli nie raz jéj naprzykład w poło-

gu leżącéj kazał do łóżka pięknego przyprowadzić źrebca, żeby się nim przed kochaną żoną popisać! Nieraz też w takiéjże epoce i nad uchem bębnić jéj kazał, zwołując na śniadanie lub obiad domową czeladkę — i myślał, że to ją doprawdy rozerwie, rozśmieszy, serdecznie ubawi. Na nieszczęście to wszystko przeciwne wywoływało skutki! Tenże sam człowiek z drugą żoną swoją był i żył wzajemnie szczęśliwy, bo się do siebie dobrali. Pierwsza do tego stopnia stoicyzmu nigdy dojść nieboraczka nie mogła! Oboje, ludzie dobrego serca i czystéj woli uznali to nakoniec, że się dla siebie wzajemnie nie zdali. P. Szymanowski nie był, jak widzicie, poetą, przy rozstaniu się z żoną udzielając coś na ich wychowanie, narzucił na nią spłodzone z nią troje dzieci, ona je z otwartemi przyjęła rękami! I dotąd dostatnia, owszem majętna, młoda kobiéta raptem w innych zupełnie stanęła szatach.

Ale przeniosła nad wszelkie dostatki swobodę duchowego życia, przenosząc czarowne dźwięki swego fortepianu nad miłe dla jéj męża, ale mało dla niéj ponętne rżenie tureckich źrebiąt. „Mam dany talent od Boga— powiedziała sobie — wyżywię nim i siebie i dzieci" — powiedziała i zrobiła z tą szlachetną dumą, która godnego człowieka jeszcze godniejszym w takich razach czyni.

Szymanowska bo się już urodziła z duszą muzyczną. Każdy dźwięk boskiego natchnienia zaraz trafiał na odpowiednią i gotową strunę jéj czułego serca. Całe skarby, jakie sobie zebrała, winna była sobie saméj wyłącznie. Nikt ją wtajemniczyć w sekrety sztuki nie umiał, bo Warszawa podówczas żadnego w tym rodzaju mistrza nie miała i kiedy w roku 1812-ym za świetnym dworem Napoleona Paër, Rhode, Cherubini, jak porwane wirem téj wielkiéj komety światełka, nagle wśród Warszawy błysnęli, młodziutka i prześliczna podówczas kobiéta wywołała swoim talentem serdeczne zadziwienie, zachwycenie i życzliwość tych wielkich mistrzów, życzliwość nieudaną i trwałą, bo w wiele lat potém, kiedy się już ona jako artystka w podróżach swoich z nimi spotkała, ludzie ci, znakomici wszyscy co do jednego, dobrze ją pamiętali i otoczyli w cudzym kraju tém poważaniem, podziwieniem, szacunkiem, okryli ją temi skrzydłami ojcowskiéj przychylności i opieki, jakich godną ze wszech miar była.

Przypomnijmy sobie nawiasem, że podróż po Europie nie była jeszcze wtedy tą ślizgawką na łyżwach, jaką dziś odbywamy po żelaznych drogach, była to podróż prawdziwa, równą miarę dotkliwych trudów, co i duchowych dająca rozkoszy. Nie rzuciła się jednak na oślep na tak trudne dla płci jéj przedsięwzięcie. Czuła ona to dobrze, że ze sławnéj amatorki trzeba jéj zostać koniecznie wielką i pierwszorzędną artystką. Dni i noce kamienną pracą pracując, doskonaląc

i tak wysoki już talent, wyrabiając w sobie godną znawców całego świata zasługę i wartość, zamknęła się przed okiem ludzi; w takiém, o ile przyzwoitość dozwalała, osamotnieniu, oddawała się przez lat kilka statecznie celowi, który jéj szlachetne poświęcenie się miał nakoniec uwieńczyć, który jéj dzieciom miał zapewnić i wychowanie i kawałek codziennego chleba, który miał stworzyć obcym jéj ludziom tyle chwil zachwycających, tyle szczęśliwych momentów, a polskiemu krajowi przynieść tyle zaszczytu i sławy! Dopiéro, kiedy się już prawdziwie na siłach poczuła, kiedy sobie śmiało powiedzieć już mogła: „*anch' io son pittore*”, puściła się na czteroletnią pielgrzymkę artystyczną po Francyi, Niemczech, Anglii i Włoszech w towarzystwie również miłéj, dobréj i pięknéj siostry swojéj, Kazimiery, sławnéj już w Warszawie z niepospolitego, ucinkowego, ale bez najmniejszéj żółci dowcipu.

Zaraz na pierwszym wstępie w Wiedniu zachwycony tą duszą, jaka przez jéj grę do serc ludzkich mówiła, cesarz Aleksander, który już w ścisłéj sprawiedliwości, tańcując z nią na balu w Warszawie, naprawił tą wysoką grzecznością niesłuszną obrazę ojcu jéj przez Wielkiego Księcia Konstantego, w momencie porywczego zapomnienia się zrządzoną, i cesarz Aleksander tutaj, w Wiedniu, z własnego natchnienia mianował ją pierwszą fortepianistką dworu swojego.

Odtąd noszona na rękach całéj Europy, wiele tam znalazła współczucia, wiele nabyła rozgłosu i sławy. Nie pokażesz-by jednéj owoczesnéj wyższości, z którąby Szymanowska nie weszła w stosunki, z którąby wzajemnym szacunkiem i przyjaźnią na długo złączona nie była. Świadkami tego są jéj sławne albumy, o których niżéj na swojém miejscu powiemy. Monarchowie, książęta, dyplomaci, wodzowie, poeci, literaci, muzycy, wszystko, co żyło podówczas, otaczało ją wielce pochlebnym hołdem uwielbienia. Göthe, stary Göthe, pomimo wiadoméj dumy, zarozumiałości, oziębłości i suchości, z jakiemi w ostatnim okresie długiego życia swojego cudzoziemców przyjmował, pomimo całéj swojéj poezyi, a raczéj dla téj właśnie poezyi, oczarowany był Szymanowską i tak sobie głowę nią zawrócił, że wszędzie, czy u wód, czy w Weimarze, gdzie się tylko z sobą spotkali, już nieodstępnym był jéj towarzyszem. Ten rodzaj przyjaźni i uwielbienia trwał w nim stale, bo nawet w dobre kilka lat potém, kiedy Petersburg był Szymanowskiéj ciągłém mieszkaniem, Göthe w częstéj z nią był korespondencyi i rekomendowanych przez nią podróżników z największą zawsze przyjmował dystynkcyą.

Przypomnijmy, że Göthe już i podówczas, a późniéj więcéj jeszcze po zmarłym już Byronie, był pewnym rodzajem Napoleona Euro-

py i reprezentował słusznie, albo téż niesłusznie, najwyższą jéj moralną potęgę.

Oprócz tych zalet, odnoszących się wprost do jéj osoby, należy wiedzieć, że Szymanowska nie wyjechała zagranicę z próżnemi rękami, poprzedziła już ją i sława!

Dobrze jeszcze przed swoją podróżą znajomą była w muzykalnym świecie i ze swojego talentu i z kompozycyi swoich. Już wtedy albumy jéj muzyczne przelatywały z końca w koniec Europy, od Beethowena w Wiedniu do Mercadantego w Madrycie, którzy w nich, jako dla niepospolitéj artystki, umyślnie dla niéj ułożone zapisywali pamiątki.

Oprócz owych sławnych „*Exercices et Préludes*" wyżéj wspomnianych, które w liczbie dwudziestu poświęciła wielbionéj podówczas z wdzięków swoich Zofii hr. Chodkiewiczównéj, potém hr. Ossolińskiéj, oprócz „Kaprysów" poświęconych sławnemu Fieldowi, „*Divertissement*" z akompaniamentem skrzypiec i „*Roman sur le Départ*", sześciu „Menuetów", „Poloneza" na aryę ulubioną księcia Józefa Poniatowskiego i prześlicznych „Ośmnastu wielkich tańców", poświęconych księżnie Wiaziemskiéj, w których szczególniéj wieloczęściowy „*Cotillon*" wszystkich zachwycał, oprócz tych, mówię, kompozycyi „Muzyka wojskowa" w sześciu „Marszach" objęta, przypisana W-mu Księciu Konstantemu i „Serenada" z akompaniamentem wiolonczeli, ułożona dla sławnego amatora księcia Antoniego Radziwiłła, wielkorządcy poznańskiego, „Fantazya" dedykowana księżnie Zajączkowéj, namiestnikowéj Królestwa Polskiego, i mnóstwo innych zachwycających, ulubionych produkcyi sławę jéj w kraju i zagranicą szeroko już rozniosły. Dodać do tego jeszcze należy śpiewane podówczas wszędzie trzy jéj arye o Jadwidze, Janie Albrechcie i Glińskim dla „Śpiewów historycznych" Niemcewicza złożone, które we wszystkich znajdowały się rękach i epidemiczną w Polsce popularność miały. Wszystko to napisała ona między ośmnastym i dwudziestym rokiem wieku swojego.

Te pełne dobrego smaku, czucia i prawdziwéj muzyki utwory tém więcéj zadziwiały znawców, że były owocem szczęśliwych i instynktowych natchnień téj niepospolitéj kobiéty, były one wyłącznie wypadkiem jéj wrodzonego talentu, którym ludzie tylko już z Wyższéj Ręki obdarzonymi być mogą. Nikt wierzyć nie chciał, że Szymanowska, jakem już raz napomknął, nigdy w życiu dobrego nie miała metra, bo ich wtedy w Warszawie nie było. Nikt jéj tam nie był w stanie dać pierwszych nawet początków generał-basu i zasad kompozytury. Co tedy po ten czas stworzyła, była winna sobie saméj wyłącznie, własnemu gienialnemu przeczuciu, własnemu natchnieniu!

A i w ciągu podróży wszędzie jeszcze rzucała kwiaty fantazyi swojéj po drodze. Ile sobie przypomniéć mogę *„La danse nationale polonaise"* przypisany Baillotowi i nokturn *„Le murmure"*, w Paryżu, „Świtezianka" ballada Mickiewicza, w Moskwie, „Trzy śpiewy" Mickiewicza i sławny *„Le murmure à trois mains"*, w Petersburgu, były owocem ciągłego téj rzadkiéj kobiéty natchnienia.

Dom Szymanowskiéj wszędzie zagranicą, gdzie się zatrzymała tylko, stawał się natychmiast jakimś przybytkiem, w którym wszystkie miejscowe znamienitości, czy rodu, czy literatury, czy sztuki, zbiegały się i kojarzyły jak w środku promienistego koła. Pełna wychowania, wykształcenia umysłowego, pełna dobrego tonu, naturalności, prostoty, dowcipu, umiała salonowi swojemu nadać także pełen godności i szlachetności kierunek, nadać mu prawdziwe życie. Przykładała się do tego nie mało i wyręczała ją dostojnie i z ujmującym wdziękiem w obowiązkach gospodyni domu siostra jéj, Kazimiera, piękna, świéża jak róża, z cudownemi oczami i prześlicznemi, nie wiem już jak długiemi, czarnemi rzęsami brunetka, bardzo mile drobniutkim głosem śpiewająca francuskie romanse.

Wtedy jeszcze wojażujący artysta niemałą był rzadkością. Otaczano go szczerą życzliwością, względami, opieką, zapraszano i zachęcano go wszędzie, jak jaskółkę na wiosnę, jak dudarza do chatki naszego rolnika. Dziś, co wytkniesz palec — to na artystę, co czapką rzucisz — to trafisz w gieniusza! Świat niemi wprawdzie już śmiertelnie znudzony!

Wówczas kochano muzykę ze szczerego serca. Każdy szedł słuchać koncertu, jak na modlitwę! Rhode, Lafon, Paganini, Lipiński, Romberg, Catalani — oto ludzie, a bodaj czy nie cała lista wielkich mistrzów i wirtuozów ciągle wojażujących owego czasu. Reszta się tylko jak komety zjawiała. Nie było jeszcze wtedy owych ustawicznych cudownych dzieci, owych dziesięcio i czternastoletnich gienialnych podrostków, tych Orfeuszów jeszcze w skorupce od jaja, co przewłóczywszy się po połowie kuli ziemskiéj nikną potém nie wiedziéć gdzie, jak kamfora. Nie każdy podówczas odważał się na uszach biednéj Europy robić próbki swego talentu! I jeden Liszt tylko w tych ostatnich kilku latach zasłużył na tę powszechną furorę, jaka podówczas otaczała wszystkich wybranych kapłanów téj sztuki.

Kiedy już w taki sposób objechała sam ekstrakt cywilizowanego świata, zebrawszy ogromne dla talentu swojego skarby przez ciągłe stosunki z mistrzami sztuki swojéj, Szymanowska, odwiedziwszy na chwilę rodziców w Warszawie, otrzymawszy powtórne ich błogosławieństwo, zabawiwszy czas jakiś w Moskwie i Kijowie, postanowiła nakoniec

stale w Petersburgu zamieszkać. Jeszcze tam była niedawno osiadła, kiedy łaska rządu dozwoliła wywiezionym od lat kilku z Litwy przyjaciołom i kolegom moim, Malewskiemu i Mickiewiczowi, przenieść się także do téj stolicy. W tymże samym czasie i mnie okoliczności do Petersburga zaniosły.

Mickiewicz i Malewski, już dobrze od Moskwy w domu Szymanowskiéj znajomi, bardzo sobie tego życzyli, żebym i ja się z nią zapoznał. Aleksander Chodźko i kilku innych kolegów uniwersytetu, a od lat trzech już ciągłych mieszkańców Petersburga, bywali u niéj i słów dobrać nie mogli na dostateczną téj zacnéj kobiéty pochwałę. Wyznam szczerze, że, pomimo całą namiętność do muzyki, pomimo całéj żądzy poznania naszéj wielkiéj artystki, jednakże doświadczenie, chociaż w młodym wieku, ale dobrze już nabyte, odradzało mi tę znajomość. Opiérałem się długo naleganiom moich przyjaciół. Było tam akurat pięć kobiét razem na jednym punkcie ciągle skupionych! a wiedziałem oddawna, że, gdzie się dużo tych miłych istot pod jednym dachem znajduje, tam dla mężczyzny zawsze mało nadziei, żeby z téj znajomości był kontent! Kobiéty mają rzadki i zadziwiający talent utylizowania mężczyzn jak wołów roboczych, niby od niechcenia, mimojazdem, nawiasem, — lubo same zawsze najpierwsze zgrozą egoizmu bywają przejęte i o tém ciągle na różne tony przed nami śpiéwają. Plotki więc i różne a ciągłe polecenia i komisa są zawsze nieodłączną takich stosunków plagą, od któréj żaden takt, żaden na świecie rozsądek uwolnić mężczyzny nie zdoła. W obcym kraju między rodakami i rodaczkami niebezpieczeństwo było podwójne: bo się oni ściśléj z sobą w tym razie łączyć zwykli. W przyjętéj *ad hoc* przezemnie manierze, nie dozwalającéj łatwego pod tym względem zbliżenia, zbudowałem był wprawdzie sobie jakąś zasłonę i tarczę przeciw tym często od samego nieszczęścia trudniejszym do zniesienia pociskom. Wszelakoż i to nie było dostateczną ochroną od wystrzałów, wymierzonych nieraz ze wszystkich punktów kobiécéj bateryi w człowieka, który powolność, grzeczność i uszanowanie dla płci pięknéj wessał już w siebie z mlékiem, bo się urodzil w epoce, kiedy te uczucia i zalety wszystko na świecie znaczyły i świętą były powinnością. Zaraz jednak dodać tu muszę, że powody bojaźni mojéj, w tém co się Szymanowskiéj dotyczy, płonnemi były, żem o tym domu zupełnie innego natychmiast nabrał przekonania, które dobra dalsza znajomość bardziéj jeszcze utwierdziła we mnie.

Wprowadzony nakoniec, a raczéj wciągnięty do niéj zostałem. Przyjęła mnie z dziwnie uprzejmém ujęciem, z tą pełną poloru natu-

ralnością, z tą ukształconą prostotą, która tylko w osobach wyższego wychowania spotykać się daje.

To sprawiło, że od pierwszéj chwili byliśmy tak, jak żebyśmy się od stu lat znali; a w tém właśnie leży największy dar i takt gospodyni domu zmuszonéj żyć na wielkim świecie. Obok niéj był rzadkiéj piękności aniołek, młodsza jéj córka, Celina, prześliczna i, jak róża w połowie rozkwitła, wychylająca się dopiéro z pączka świéżutka, z cudownemi, czarnemi oczyma panienka. Oko uważne i wprawne odrazu poznać mogło, że Szymanowska była bardzo cywilizowana i światła. Wszystko, co mówiła, bez żadnego naciągania i popisywania się, płynęło najnaturalniéj samo z siebie, nie miało najmniejszéj do uczoności pretensyi, najmniejszéj chęci dumy, desynowania się i robienia efektu, i tém właśnie przekonywała, że dużo umiała, że dużo widziała, że się dużo sama uczyła i że z nasłuchania się w wyższych towarzystwa sferach wszystko, co pożyteczne i miłe, potrafiła z prawdziwą korzyścią wcielić w swoje pojęcia. To pewna, że gdyby nawet nie miała swego nieocenionego talentu i tak jeszcze byłaby ona zawsze nieskończenie miłą i odznaczającą się od tłuszczy cywilizowanych kobiét kobiétą. Obeznana była dobrze z całą piękną literaturą Europy, posiadała języki: angielski, włoski, niemiecki, a francuskim tak pisała i mówiła, jak gdyby rodowitą była Francuzką.

Chcielibyście może widziéć jéj portret? Była piękna. A dla mnie bodaj czy nie więcéj jak piękna, bo silna, hoża i nadzwyczajnie przyjemnéj od pierwszego wejrzenia przyciągającéj twarzy. Wzrost słuszny, kibić prawdziwéj Muzy, prosta, szykowna i kształtów przyzwoicie pełnych, łechcących zmysły, ruchy jéj były zgrabne, powabne i miękkie, faliste, łabędzie, rozkoszne. Ale ona sama nie domyślała się tego, nie wiedziała może o tém, jak każde jéj poruszenie, wdzięczne, zaokrąglone, spiralne, malownicze, dyszało przyrodzoną a drażniącą oko swobodą i gracyą. Gdyby nawet chciała, nie byłaby w stanie, nie umiałaby dać ani jednego niezgrabnego albo wymuszonego kroku, wszystko to widać było, jak wyléwało się samo z siebie, jak tchnęło jakąś gorącą świéżością, jakąś zieloną, daleką nadzieją, jakimś chłodkiem bukietu, jakiémś *patchuli* rozkoszy, jakąś energią silnie splecioną z jednoczesném a wdzięczném zaniedbaniem póz, któremi się ludzie tak bardzo zachwycają w kreolkach. Sztuka tu nic nie pomoże, trzeba się już na to taką urodzić!

Ręce od ramion do samych różowych paznokci jakby toczone! Plecy atłasowe, pulchne, dziwnéj śnieżnéj białości, z dwoma cudownemi dołkami i o tych dobrze wiedziała. Biust cały artystycznie złożony. Nóżka jéj warszawska, co dosyć powiedziéć, nie tyle drobna co wą-

ziutka i długa, a zawsze najstaranniéj ubrana. Szymanowska miała oczy błękitne, włos blond-ciemnawy, zęby białe jak kość słoniowa, uśmiéch polskiéj szczerości na ustach z róż i korali utkanych. Głos jéj dla mnie przynajmniéj mało był dźwięczny i śpiéwać nie mogła. Jak pani Staël, lubiła nosić turbany, berety, które w wielkiéj modzie były podówczas i te jéj były dziwnie do twarzy. Dodajcież do tego to, co się w środku téj pięknéj i szlachetnéj znajdowało główki, dodajcie to, co tak dowcipnie i mile przez te piękne i zawsze wesołe wybiegało usta, a wtedy domyślicie się łatwo, dlaczego tak wielu ludzi za nią szalało, — a ona za nikim! Uchodzące, owszem zgadzające się z dobrym tonem i przyjęte jeszcze podówczas, jako ostatki dawnego salonowego z kobiétami dowcipu, dwuznaczne i śliskawe aluzye, których język francuski tak obficie dostarcza w potocznéj rozmowie, rumieniły ją jak młodziutką panienkę. I ten zbyteczny a bardzo często objawiający się wstydek, który mnie zawsze gniéwał, jako gość niepotrzebny w kobiécie jéj położenia i wieku, chociaż szczery i nieudany, do wad należał, bo się z resztą jéj hożéj i wcale nie mniszéj maniery niezupełnie zgadzał.

Jeszcze jeden, kiedy chcecie, miała w sobie osobliwszy kaprys— od urodzenia wstręt nieprzezwyciężony miała do kotów i na sam widok albo nawet na samo przeczucie zbliżającego się kota mdłości ją brały! To w Petersburgu, gdzie dużo tych zwierząt i to wielkiego gatunku zwykle chowają, nieraz ją w przykréj stawiało pozycyi. Przyjaźnią serdeczną z poczciwym Oleszkiewiczem złączona, dyametralnie przeciwne w tym względzie miała z nim skłonności, dlatego nigdy prawie odwiedzić jego pracowni nie śmiała.

Szymanowska nie miała w sobie ani cienia téj, jak puch erdredonu, sprężystéj a miękkiéj egzaltacyi, która dzisiaj tak wiele kobiét niewypowiedzianym w towarzystwie otacza urokiem, która dla mężczyzn jest dziś tak czarującą i odurzającą ponętą. Myśli jéj, uczucia i zdania były myślami i uczuciami tkliwéj, prawdziwéj kobiéty, ale kobiéty sądzącéj zawsze o wszystkiém naszym męskim, zdrowym rozumem. Ta jéj praktyczna wyższość, usuwająca ze sceny w obcowaniu z ludźmi tak miłą słabość kobiécą, stąd zapewnie pochodzić musiała, że przy wszystkich do marzeń gotowych już w sobie żywiołach ledwie nie od pierwszéj młodości zmuszona była myśléć o sobie i czuwać nad losem dzieci. Nie miała zatém czasu wyrobić w duszy swojéj tych idealnych światów, do których osoby jéj płci i jéj wychowania przez zbytek ziemskiego szczęścia dochodzą z tak wielkim poklaskiem w salonie—z tak szkodliwemi następstwami w rodzinie. Ale co mnie uderzyło najwięcéj przy téj pierwszéj wizycie, to była owa nieudana i anielska łatwość,

z jaką na pierwszą prośbę, na pierwszy cień prośby choćby trzyletniego dziecka, nie drożyła się ze swoim talentem i siadała natychmiast do fortepianu. Znałem po rok 1838 włącznie ledwie że nie wszystkich sławnych w każdym rodzaju europejskich artystów, ale takiéj pod tym względem łatwości, takiéj względności, takiego zastosowania się do woli każdego, takiego niedrożenia się z darem od nieba sobie nadanym nie spotkałem w nikim! Jeden Orłowski miał w tém niejakie z nią pokrewieństwo. Ale na niego, jakem w inném miejscu powiedział, trzeba było użyć prostego i niewinnego zresztą fortelu, a tu się wszystko samo z siebie wysnuło, wylało! Już była przy fortepianie, kiedy weszła do sali z piórem za uchem, ze zwalanemi w atramencie paluszkami, śmiałym bardzo krokiem młodziutka, ale już sformowana, miłéj twarzyczki i nieco pochyło trzymająca się osóbka — była to starsza córka pani Szymanowskiéj, Helena, która tylko co lekcyę swojego ukochanego języka niemieckiego była skończyła. Śmiała i ledwie że nie zanadto już naturalna, a przytém pełna dystrakcyi, zaraz mnie o uczone rzeczy zagadła i o nich szeroce rozprawiać przedemną zaczęła. Bawił mnie w komicznym sposobie ten rodzaj pewności i zarozumienia w drobnéj, bo ledwie szesnasty rok zaczynającéj dziewczynce; wziąłem ją za *bas-bleu* w zarodku i dlatego nie podobała mi się, bo cierpiéć pedantek nie mogę! Taki sam skutek akurat i ja na niéj zrobiłem... ona mnie wzięła za jakiegoś ptimetra i trzpiota, bo z właściwą sobie przenikliwością dostrzegła, żem grzecznie, ale potężnie, żartował z jéj filozoficznych marzeń i z całego ogromu nauki, w téj jeszcze zielonéj główce zawartego; nie podobaliśmy się tedy sobie wzajemnie! Któżby mógł w owym momencie przewidziéć, że, jakeśmy się lepiéj ocenili i wzajemnie poznali, Bóg téj znajomości dwóch dusz poczciwych pobłogosławił na długie lata! że panna ta, którąm w lat kilka potém wychodzącą za przyjaciela mojego, Franciszka Malewskiego, do ślubu prowadził, że, jedném słowem, pani Helena Malewska, kobiéta pełna dobroci i światła, cnotliwa i przykładna żona, dobra matka licznego potomstwa, będzie, oto już rok z górą dwudziesty, najlepszą, zawsze stałą po dziś dzień moją przyjaciółką! Nie prędko już potém w Paryżu młodszą jéj siostrę, Celinę, wyswatałem za Mickiewicza, wygnańca i tym sposobem dwóch szkolnych i nierozłącznych przyjaciół więzami powinowactwa ściśléj jeszcze pomiędzy sobą złączyłem. Szymanowska muzykę swoją na ten raz zaczęła od kompozycyi własnéj, która wtedy w Petersburgu robiła furorę, od nokturnu *le murmure*, świéżo ułożonego. Słyszałem go już był po wielu domach. Brząkały go ledwie nie wszystkie kobiéty stolicy; toś tylko przy otwartych oknach, idąc po ulicy, i słyszał! Ale jakim on był, kiedy miał żywą duszę, poznać to tylko było można

pod ręką Szymanowskiéj! Za tém poszły inne kompozycye — wywijała to wszystko jak z płatka. A główną cechą wszystkiego była ekspresya, gust i życie.

Zaciągnięty do jéj domu, ledwie nie gwałtem wyciągnięty z niego być musiałem przez Malewskiego: takem się o niéj w oczarowaniu zapomniał! Zdurzony masą talentu i uczucia w muzyce, dowcipem, uprzejmością i gościnnością w obejściu się z ludźmi, jakie tam znalazłem, wyrwanym stamtąd być musiałem i strąconym jak Telemak jaki z téj oczarowanéj wyspy przez mojego Mentora, który się z temi skarbami już był u niéj oddawna oswoił. Pierwszym skutkiem téj pierwszéj wizyty było, że ja, co choć nie bardzo biegle, ale z wielkiém jak mówiono czuciem, grałem na fortepianie, wróciwszy do domu, natychmiast instrument mój nazawsze przed sobą zamknąłem i, jako niegodny partacz, nigdym się już odtąd do dziś dnia ani razu klawisza nie dotknął!

. . . .

Polak nie mógł się nie cieszyć i wsłuszną nie urość dumę, widząc, że Bóg nam dał tak niepospolitą rodaczkę. Nie można było nie miéć dla niéj od razu téj przychylności, przyjaźni, szacunku, uszanowania, na jakie i talentem, i rozumem, i nieszczęściem, i prowadzeniem się, i poświęceniem swojem dla dzieci, i nakoniec oddaniem się dla rodaków zasługiwała.

Dom jéj stał zawsze otworem dla tych wszystkich Polaków, którzy wyższém ukształceniem i konduitą warci byli tego zaszczytu. Nie anonsowano ich nawet nigdy, wchodzili do jéj wielkiego salonu, jak krewni, jak bracia. A tak od niéj zawsze traktowanymi byli bez względu na obecność najznakomitszych osób w stolicy, jak żeby sami do rzędu znakomitych ludzi należéć mieli. Ten szczególny takt w obejściu się z gośćmi swoimi, żeby wszyscy bez różnicy pod jeden strych poszli, i równą a jednostajnie grzeczną gościnność w jéj domu znaleźli, posiadała w wysokim stopniu. W mieście, arystokratyczną dumą przesiąkłém, Polacy ledwie że nie jedynie i wyłącznie u niéj znajdowali sposobność poznania się z ludźmi, na najwyższych stojącymi szczeblach, do czego ona oprócz powszechnie przyjętego na świecie, a najczęściéj jałowego, jednych z drugimi salonowego zbliżenia jeszcze treścią zręcznie i trafnie wprowadzonéj na stół rozmowy cudownie przykładać się umiała. Był już w niéj z przyrodzenia dar nieporównany wygrzebania i wyprowadzenia na jaw wyższéj i światléj strony każdego człowieka, co się u niéj znajdował, tym sposobem—zainteresowania

wzajemnie osób humorem, wiekiem, nauką i pozycyą na świecie bardzo od siebie dalekich.

Jéj ujmująca grzeczność, otwartość, naturalność, ciągle musujący dowcip, jéj nauka, jéj niepospolity talent muzyczny i piękna postać przy nieposzlakowanéj konduicie różniły całém niebem dom jéj od domów innych europejskich artystek. Ten właśnie powszechny dla niéj szacunek był przyczyną, że w jéj salonie dawały się widzieć ledwie nie co dzień najznakomitsze osoby płci obojéj: z zagranicznéj ich liczby wymienię te tylko przynajmniéj, które mi tu na pamięć po tylu latach przychodzą, nie mówiąc już o mnóstwie cudzoziemców i cudzoziemek podróżujących, którzy nigdy poznać jéj nie zaniedbali. Widywałem w jéj domu często księżnę Kurakin, jedną z najpoważniejszych dam dworu, księżnę Barbarę Golicyn i panią Diwow, córki hrabiego Rumiancowa, księżniczkę Alinę Wołkońską, córkę sławnego ministra dworu, całą zacną i utalentowaną rodzinę sekretarza stanu Lwowa, panią Dierżawin, panią Szyszkow, Narbutównę z domu — żonę ministra oświecenia, pana Middleton z familią—posła Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnéj, barona Palmstjerna — ambasadora szwedzkiego, hrabiego Simonetti—ambasadora Sardyńskiego, pana Potemkina—posła rosyjskiego przy dworze bawarskim, barona Bourgoing — ministra francuskiego, kawalera O'Sullivan — sprawiającego interesa Holandyi, księcia Ksawerego Lubeckiego— gienialnego ministra finansów Królestwa Polskiego, hrabiego Grabowskiego—ministra sekretarza stanu Kr. Polsk. z siostrzenicą i wnuczką, tajnego radcę Turkułła — dzisiaj ministra sekretarza stanu Królestwa Polskiego, hrabiego Zamoyskiego, jenerała Kosseckiego, Fryderyka hrabiego Skarbka, jenerała Łubieńskiego, księcia Giedrojcia i mnóstwo innych; oprócz Mickiewicza, Juljana Korsaka i Aleksandra Chodźki trzech jeszcze naszych ustnéj mowy albo gienialnego sztrychu poetów—Oleszkiewicz, Żelwiettr i Orłowski ścisłą przyjaźnią byli z nią złączeni. Cóż powiedzieć o artystach cudzoziemskich? Jacy tylko zjechali kiedy do Petersburga jak w dym się do niéj zaraz rzucali i zawsze uprzejmą gościnność, światłą radę, szczerą pomoc i protekcyę znaleźli, lubo się natychmiast, jak tylko we własne porośli pierze, niewdzięcznością wypłacać umieli.

. . . .

Szymanowska z duszą prawdziwie wzniosłą przyzwanéj od Boga na tę misyę artystki nie znała, nie rozumiała, nie znalazłaby nawet, gdyby sama chciała, miejsca w sercu swojém na te wszystkie nędzne uczucia. Wychowana w poczciwym i bogobojnym domu rodzicielskim, przejęta uczuciami téj szlachetności duszy, która w dobrze pojętych

wyższych społeczeństwa sferach, bez względu nawet na różnicę uprzywilejowanych kast towarzyskich, wrodzonym zdaje się być przymiotem, obca była intrygom, chciwości, zawiści i innym wadom poziomym, tak powszechnie poniżającym moralną wartość artystów; ona zapominała zawsze o sobie i dla każdego artysty, dla każdéj artystki cudzoziemskiéj, czy słowiańskiéj, drzwi jéj domu stały otworem, wszelka protekcya, pomoc, dodanie odwagi, a czasem i wsparcie pieniężne były im zapewnione. Pochwały i zachęcenia sypały się z jéj ust cnotliwie wymownych nawet dla takich osób, które, ulegając zarozumieniu, wrzodowi wieku naszego, w niewykończonym dzisiaj jeszcze talencie obiecywały coś więcéj na przyszłość. Ta szczera z duszy idąca abnegacya własnych korzyści i interesów nieraz sprawiła, że wdzięczny protegowany, zaraz sam na jéj miejscu stanąć zamyślił, że pod nią szyć i dołki kopać natychmiast zaczął, że jéj poczciwy chléb, który ona teraz dla tylu osób własną ręką zapracowywać musiała, odebrać i sam go na karty, trunki i wszelką rozpustę roztrwonić za największy artystyczny miał obowiązek! Kobiéta, pełna rozumu i przenikliwości, odgadła w lot natychmiast, przeczuła to pierwéj od wszystkich ją otaczających, ale robić dobrze nie przestała dla tego. I świéży znowu z zamorza przybyły talent znowu w niéj znalazł opiekunkę i matkę.

Trzeba było przypatrzyć się tym wielkim intrygom rosnącéj codzień w geometrycznym postępie ambicyi, chciwości, podłości, trzeba było to widziéć, co ja tyle razy widziałem, żeby umiéć ocenić całą wspaniałość postępków i uczuć téj niepospolitéj kobiéty. Trzeba było widziéć, tak jak ja widziałem, że nieraz dosyć jéj było słodkiém okiem niezaprzeczonéj piękności spojrzéć tylko na jakiego potężnego magnata, który właśnie całemi latami żebrał tego spojrzenia, żeby zabić, zgubić na wieki przyszłość niewdzięcznego człowieka, co jéj szkodzić się starał, a ona akurat tego wzroku na ten cel nie użyła nigdy!

Szymanowska, kiedy jéj Bóg odebrał majątek, nie chąc być nikomu ciężarem, własną pracą los swój i dzieci zapewnić z dumnie do góry wzniesioném czołem postanowiła, bo tak uczciwemu człowiekowi przystoi, ale chciwie szukać złota, oddać się zawiści, intrygom, potwarzy, taka, a tak powszechna już dzisiaj podłość ani jéj nigdy na myśl nie przyszła.

Gra Szymanowskiéj była pełna ekspresyi i czucia, w każdém trąceniu klawisza odzywała się jéj dusza, a własne chwilowe wrażenia umiała przelać w swojego słuchacza, że je także razem z nią sercem pojmował. Widziałem i słyszałem wielu najpierwszych w Europie artystów, ale rzadko w kim spotkałem się z równie jasném i delikatném pojęciem każdego wyższego odcienia melodyjnego.

Epoka, kiedy ją poznałem, była już śpiewem łabędzia prawdziwéj muzyki, to jest muzyki mówiącéj do duszy! już się zaczynała i dobrze była podrosła muzyka mówiąca tylko do oka i zadziwiająca rozum—bo muzyka biegłości i mechanizmu palców. Ta biegłość dzisiaj doszła już do tego stopnia, jakiego ani Szymanowska, ani żaden z ówczesnych artystów domyśléć się prawie nie mogli, ale za to za jéj czasu było daleko więcéj czucia i gustu!

Ówcześni artyści mówili: „Bracie mój, skłoń ucho twoje do mojego śpiewu, słuchaj, jak pod ręką moją czarujące rodzą się dźwięki, jak one wielbią i roznoszą w przestrzeń chwałę Stwórcy naszego, słuchaj tych męzkich tonów, co szerzą po kuli ziemskiéj rozgłos bohatérskiéj sławy, wszak czujesz oto w tém słodkiém pieniu dwóch serc sobie oddanych duchowe małżeństwo? w tych smętne niedoli naszéj odbicie, a tutaj znowu wszystkie razem zmieszane krewkości nasze i cnoty, i wady, i słabości i zbrodnie!"

O, Szymanowska śmiało tak powiedziéć mogła! Nie było w niéj jednego tonu, jednego uderzenia struny, żeby się w duszy słuchacza nie odbiły natychmiast, czy ryk rozpaczy, czy jęk boleści, czy jad nienawiści, czy radość szczęścia, czy żałoba smutku, czy uśmiéch nadziei, czy obłęd miłości, czy konwulsyjne drganie rozkoszy. A wszystko to było okryte jakąś ogólną sinawą barwą niebieskiego eteru, jakiémś odległém przeczuciem dalszych wiecznych losów, jakimś urokiem serdecznéj tęsknoty. Dosyć powiedziéć, że latające wolno po jéj pokojach kanarki, jak się tylko, bywało, do fortepianu zabrała, jak gdyby rozumiały, że jéj dusza podówczas z Bogiem rozmawia, siadały na jéj pulpicie i uważnie jéj dźwięków słuchały.

Teraz mnie kto bez wątpienia po dzisiejszemu zapyta: „Byłaż ona prawdziwie narodową?" Śmiało i z ręką na sercu odpowiadam: była, ale była nią tylko w części, bo jéj nie dali być nią zupełnie. I w tém nie jéj wina, ale wina naszego narodu, wiecznie oziębłego dla wielkich naszych talentów! Rozbieżcież każde jéj dzieło, oceńcie duch każdéj jéj stronicy, przypatrzcie się temu co w licznych rękopismach po niéj zostało, zastanówcie się nad niemi, wszędzie ona przeczuwa, czego nam potrzeba, wszędzie, gdzie tylko może, z uniesieniem, z radością chwyta ona i rzuca się na nasze krajowe motywy!

Nie mogła Szymanowska być w ścisłém znaczeniu tego wyrazu narodową muzą, tak jak do tego wszelkie miała usposobienie i żądzę; naprzód, że w czasie, kiedy ona żyła, duch artystyczny narodowości naszéj tlał jeszcze w dawnym popiele, jeszcze wiatrem właściwego czasu rozdmuchany nie był i jeszcze nie zaczął się ani wyrabiać ani rozwijać, owszem gieniusz naśladownictwa w całym podówczas u nas żył bla-

sku. Potém, że będąc w takich okolicznościach czysto narodową, najmniejszéj nie pozyskałaby sławy, któréj wartość, znając się na swojéj wyższości, bardzo cenićumiała i sprawiedliwą pałała jéj żądzą. A z czysto polskim utworem nie wyszłaby wtedy przy całym swoim talencie za pierwsze wrota polskiego kraju,—cóż dopiéro mówić o reszcie Europy? Nakoniec, że bardzo jeszcze młodo zakończyła życie, nie miała więc czasu wysnuć z siebie wszystkiego, co w jéj duszy leżało.

Ale powié mi tutaj kto z boku: „Cóż znowu, ciągle chwalisz, a chwalisz, przecież nie była świętą? Przy światłach muszą być cienie! wykaż nam jéj wady"! Chcę sobie jéj wady przypomniéć,—przypominam, przypominam,—przypomniéć nie mogę! Jużciż jakieś tam, jak każdy człowiek miéć musiała, ale te były zapewne tak drobne, tak domowe, że obcego człowieka nie uderzały w oczy. Widziałem ją w różnych okolicznościach,—i była zawsze taką, jak być należało. I w tém właśnie znajduję nowy dowód jéj wielkiéj wyższości, że i patrząc na na nią przez lat wiele zbliska i po latąch dwudziestu, kiedy już przed wzrokiem moim zasłania ją mogiła i kiedy jéj obraz w oddaleniu tylko przedemną staje, pamięć moja same w niéj tylko zawsze okrągłe widziała i widzi kontury, nigdzie szorstkości, nigdzie garbu lub kolca!

Obdarzona dowcipem za trzydzieści dowcipnych kobiét, wprawdzie schwyciła ona zawsze w lot każdą śmiészność w człowieku, ale ten łup zostawał wyłącznie przy niéj, nie pozwoliła mu nigdy chodzić z tryumfem po świecie. Szymanowska pomimo całéj dobroci i miękkości serca, pomimo całéj duszy, jaką w każdą muzykę wléwała, a więc nieczułą być nie mogła, zdaje mi się, że się zakochać wtedy przynajmniéj, kiedy ją poznałem, już nie była w stanie. To zatém, że w życiu swojém, tak młodo na świat puszczona, żadnego nigdy nie zrobiła esklandru, żadnéj nie dała sobie zarzucić miłosnéj intrygi, było zapewne skutkiem jéj rozsądnego prowadzenia się, ale więcéj było skutkiem szczęśliwéj natury. Zresztą i czasu jeszcze miała przed sobą, umarła bowiem w 41 roku życia swojego, jeśli, jak mi córka jéj pisze, rodziła się 14-go grudnia 1790 roku, a wyglądała młodszą. Kochających ją było dosyć, ona cała, dzieciom oddana, miała wprawdzie w sobie dużo téj miłéj salonowéj kokieteryi, bez któréj kobiéta staje się prostą tylko samicą, lubiła grzeczności i nadskakiwania mężczyzn, ale tylko jako zabawkę, jako przyjemny hołd jéj talentom, jéj dowcipowi, jéj wdziękom oddany. Lubiła to może jako tryumf, jak niewinną zemstę nad zazdrosnemi jéj damami, jak małą szczutkę dawaną od czasu fałszywym przyjaciółkom swoim, ale tego, co nazywają miłosną intrygą, nie prowadziła nigdy. Dlatego téż dom jéj, pełen otwartości i szczeroty, zachował zawsze te

wszystkie przyzwoitości i dobrego tonu odcienia, których napróżno w domach innych artystek w życiu mojém szukałem i których niedostatek zawsze mnie z ich towarzystwa usuwał, że nie powiem wypędzał— tak było dla mnie nieznośném.

Czynność Szymanowskiéj ciągła, ustawiczna, niezmordowana, była godna podziwu. Trudno było pojąć, jak przy takim rodzaju życia, do jakiego ją okoliczności znagliły, na wszystko wystarczało jéj czasu! Wizyty jéj oddawane, ciągłe ranki i wieczory muzykalne, na które się tłumy amatorów do niéj zbiegały, ciągłe prośby artystów przybywających do Petersburga o pozwolenie pokazania próbek ich talentu, dla których spraszać musiała wszystkie znamienitości stolicy, godziny lekcyi najpierwszym w kraju domom dawane, edukacya własnych córek, osobiste nad instrumentem doskonalenie się i praca, liczne kompozycye, z których wiele niewydanych po niéj zostało,—wszystko to, pochłaniając całe dwadzieścia cztery godziny dnia każdego, zdawało się przekonywać, że ta kobiéta jedynie tylko macierzyńską miłością i poświęceniem się ożywiana i pobudzana, była w stanie tak wielkim trudom wydołać. Dodajmyż do tego niezliczone korespondencye, do których obyczajem wszystkich dam wysoko ukształconych i zmuszona była i sama jeszcze z siebie wielką miała ochotę. Jest to do dzisiaj powszechna kobiét na wielkim świecie żyjących, czy zaleta, czy wada; stół jéj piśmienny założony był stosami najrozmaitszéj wielkości listowego papiéru, na którym ona po kilkadziesiąt biletów, żartując i bawiąc się rozmową z obecnemi, rozpisywała i zamęczała ich roznoszeniem destynowanego *ad hoc* lokaja swego, starego poczciwego Augusta. Styl jéj był przyjemny i łatwy nietylko w listach, ale nawet i wtedy, kiedy dla zabawki napisała jakąś literacką bluetkę; charakter ręki miała piękny, kiedy chciała, to jest, kiedy cokolwiek powolniéj pisała. Ale jéj rzadko na to stawało czasu; mam dotąd mnóstwo jéj bilecików lecącém piórem o jednym tylko albo o dwóch wierszach, a takich codzień do różnych osób wylatywało z pod jéj ręki po trzydzieści najmniéj. Mieszkanie jéj duże, skromnie dosyć, ale bardzo przyzwoicie ubrane, koniecznie musiało być przestronne, bo oprócz salonu i buduaru dla gości, trzeba było w niém jeszcze pomieścić siebie, dwie córki, dwie siostry, Kazimierę i Julię i brata Teodora, który u nas dla cienkiego głosu także za pannę się liczył, i nakoniec trzeba dać było miejsce kuchni i usłudze. Jedyny syn jéj Romuald uczył się wtedy i mieszkał w instytucie dróg i mostów i po jéj śmierci dopiéro, zostawszy oficerem, niedługo potém na Kaukazie życie zakończył. Jak ona biedaczka temu wszystkiemu w tak kosztowném i zbytkowném mieście pracą swoją wydołać mogła i nietylko długów nie zrobić, ale jeszcze jakiś fuundusz

po sobie zostawić potrafiła, był to już sekret jéj rzadkiéj rządności, rozsądku i taktu. Nietylko tam nigdy nie było widać ściskania się i skąpstwa, ale owszem każda okoliczność wykazywała obserwacyjnemu oku ten szczęśliwy i wolny od wszelkiego przymusu dostatek, tę w każdym względzie rozsądną wygodę i komfort, które rozum i serce nad rotszyldowskie skarby w życiu przenosi. Kutwiarstwo Paganini'ego chciwość Catalani, żarłoctwo Rossini'ego i rozhukane na cztery wiatry wybryki innych sławnych artystów i artystek nigdy ani na jeden moment nie postały w jéj przykładnym domu, nigdy ani na moment nie zmazały jéj szlachetnéj duszy. Była to zawsze młoda, piękna i dobrze wychowana pani, która w niedoli nie zapomniała ani na chwilę o wewnętrznéj własną cnotą wyrobionéj godności i któréj Bóg wprawdzie odebrał bogactwa ziemskie, ale bogactwo duszy najzupełniéj w jéj posiadaniu zostawił tak, że je nietknięte i nieskalane dzieciom oddała w spuściźnie. Nieraz téż wielki ochmistrz i gospodarz jéj dworu, siostra jej poczciwa Julia starała się na dawanych nam przedziwnych Szymanowskiéj obiadkach obok francuskich wymysłów zrobić rodakom miłą niespodziankę i postawić przed nami daleko ponętniejszy talerz litewskiego chłodniku, polskiego barszczu, albo półmisek naszych wybornych zawijanych zrazów i topniejącéj jak lód w ustach duszonéj kapusty. Te chwile na wesołéj biesiadzie wolnéj od wszelkiéj obmowy w poczciwym domu strawione śród kobiét dobrych, jaśniejących wszystkiemi wdziękami umysłu i ciała, liczę i liczyć zawsze będę do najszczęśliwszych chwil życia mojego.

W tak przyjaznéj oddawna byliśmy już ścisłości, kiedy okoliczność, którą natychmiast opowiem, wprowadziła na moment między nami dysonanse i fałszywe akordy, opowiem tutaj tę bagatelę umyślnie dla tego, żebym lepiéj dał jeszcze poznać całą szlachetność jéj duszy. Człowiek bardzo niedobry, a tém gorszy jeszcze, że ciągle przed ludźmi udawał baranka, że sam o sobie niepytany opowiadał każdemu, jak wielkim kiedyś był łotrem i jak go potém łaska Boska, światło religii i rady poczciwego Oleszkiewicza zmieniły, prawdziwy Rodin z „Wiecznego Żyda" dał powód do tego. Nie mogę jednak wstrzymać się, żebym tu wprzódy nie powiedział słów kilka o tym osobliwszym człowieku, nie z powodu charakteru jego, bo łotrów daleko większych od niego tak pełno chodzi ciągle po świecie, że już to nikogo nie dziwi, ale z powodu szczególnego daru, szczególnéj własności, jaką on w sobie niewątpliwie posiadał. Ta własność, ten dar tak w nim, jak w innych jemu podobnych ludziach różnego stanu, spotykanych niekiedy na drodze życia mojego był i zostanie już dla mnie do śmierci wieczną fizyologiczną i psychologiczną zagadką. Jest, jak wiecie, u ludu naszego

podanie, że w złowionym w pewnéj epoce i pod pewnemi warunkami nietoperzu znajdują się dwie kosteczki: kruczek i widełki, że kto je posiada, ten dotknąwszy kruczkiem każdéj, jaką zechce kobiéty, wprowadza ją w zapamiętałą ku sobie miłość,—jak że znów któréj widełkami się dotknie, odpycha ją od siebie w nieprzełamanym wstręcie. Widziałem, jak powiadam, ludzi wszelkiego stanu — panów, chłopów, żydów, cyganów, którzy chyba że już te bajeczne mieli przy sobie kosteczki, bo za nimi rzeczywiście kobiéty, do których się tylko choć żartem udali, bez żadnéj pamięci szalały, bo dla nich jedna po drugiéj bezwstydne nawet robiły głupstwa! sam teraz we włości mojéj mam takiego chłopaka, którego i dziewczęta, i stare baby, i mężatki rozdzierają na wszystkie strony i wyrywają go sobie jedna przed drugą. Starałem się z takimi ludźmi wejść w jakieś stosunki i jakkolwiek ich poznać. Każdy z nich był brzydki, najczęściéj głupi jak stołowe nogi, niepoczesny, pijak, albo podły łotrek. I ani moralnie sondowani przezemnie, ani materyalnie opatrzeni żadnego na sobie i w sobie nie okazali śladu, któryby w jakikolwiek sposób mógł usprawiedliwić tak ogólne kobiét za niemi szaleństwo; proszę wytłómaczyć czém się to dzieje. Pan R. był właśnie jednym z tych ludzi w wyższéj klasie. Brzydki jak małpa i nawet z miny do małpy podobny, drobny, chudy, wargi grube naprzód wystające, a pod niemi takież wystające zęby mający, chociaż bardzo niegłupi, dosyć oświecony, a nawet biurowy urzędnik zdolny, z miny już cuchnął łotrem i nie mógł jakby się zdawało naturalnym sposobem takiego na żadną światową pannę wywiérać wpływu, jaki w ślad za nim chodził. Do któréj dziewczyny choćby najlepiéj wychowanéj i dozorowanéj przysiadł się, waryowała za nim! On z niemi postępował jak człek niesumienny i już kilka razy do kilku haniebnych zapomnień się dał im powody, a potém razem z owocami błędu szydersko i podle od siebie odepchnął.

Ten niedobry człowiek nic świętego na świecie oprócz piéniędzy i ich marnotrawstwa nie widział; do tego wzdychał tylko i wszystko temu celowi poświęcał. Powziął on myśl wydawania pisma satyrycznego i dostał na to przywiléj. Nie wiem dlaczego, aż do śmierci swojéj wielką dla mnie okazywał zawsze życzliwość, tłómaczył ją tém, że mi jest wdzięczny za wyświadczoną mu kiedyś przysługę, żem go raz w czasie iluminacyi i fety w Peterhofie, w ścisku zemdlałego dostrzegłszy, i od zemdlenia flakonikiem wody kolońskiéj, i od rzezimieszków moją około niego pilnością ratował. W nadziei, że do tego pisemka będę mu artykułów dostarczał, p. R. przysyłał mi zawsze wychodzące numery swego pisemka. Widywaliśmy się z nim czasem w domu Szymanowskiéj, gdzie się pokazywał z żoną niekiedy. Już sobie pisemko to bodaj od trzech z gó-

rą miesięcy szczęśliwie wychodziło i najczęściéj nudziło, kiedy mię raz jeden znajomy Polak jadącego na ulicy zatrzymał i powiada: „Ach, Morawski, jakżeż ty jadowicie te baby odchlastał! Nie wiedziałem, że masz tak ostre pióro. — Ja? Jakie baby? Przeżegnaj się piętą! — A Szymanowską *e tutti quanti*, cóż albo nie? — Dalibóg, nie rozumiem, co ci się roi! — At. gadaj, i zapiéra się jeszcze! Wszyscy już o tém wiedzą!" Nie czując się do niczego, przegnałem tego pana, który nigdy u Szymanowskiéj nie bywał i pojechałem daléj. Wróciwszy potém do domu, znalazłem inkryminowany numer, przebiegłem go, nigdziem nawet najmniejszéj aluzyi do Szymanowskiéj znaléść i domyśléć się nie mógł. I dziś nawet nie wiem, jaki to był artykuł, co się do niéj stosował. Co mi o tém weszło przez jedno ucho, wyszło natychmiast przez drugie, byłem nazajutrz u Szymanowskiéj równie grzecznie i przychylnie, jak zawsze, przyjęty. W parę dni potém, po jakimsiś proszonym, nie pamiętam już u kogo, obiedzie, wziął mnie na stronę Malewski i z uczuciem wymawiał w imieniu Szymanowskiéj, żem tak niesłuszną i ostrą potwarz na zacny dom rzucił! O! tu już byłem do żywego dotknięty! zapewnilem go słowem honoru, że potwarz właśnie przez nich na mnie rzucono, że gotów jestem wszelkiemi możliwemi środkami dowiéść im wszystkim, jako artykuł wspomniany nie wyszedł z pod mojego pióra, jako do tego momentu nie wiem, ani się domyślam, który z urywków w tym numerze zawartych stosuje się do pani Szymanowskiéj i że mi nawet okoliczność, która wywołała podobną krytykę, zupełnie dotąd nie jest wiadoma, tém więcéj, żem w użyciu nigdy żadnéj złéj myśli o tych damach nie miał. Kiedy jednak człowiek delikatny i uczciwy, który za punkt honoru w życiu swojém położył nigdy źle nie mówić o domu, w którym bywa, kiedy człowiek, który obecnością swoją równy może zaszczyt domowi temu przynosi, jaki mu tam wzajemnie robią ci, co przyjmują, mógł na podobne zasłużyć podejrzenie, kiedy pani Szymanowska powtarzająca codzień przedemną *vous gagnez à être connu* mogła na jedną chwilę przypuścić, że ja jestem w stanie tak niegodnie postąpić, pomimo całéj mojéj niewinności i należnego dla tych dam szacunku, noga moja u nich nie postanie nigdy. — Taki był los całego życia mojego! ludzie nawet najbliżsi mojego serca przypisywali mi czasem cnoty, których nie miałem i zawsze garściami rzucali na mnie wady, których serce moje nie umiało się nawet domyślić! Zdaje się, i tak mnie zapewniano, że to był poszept i niecny manewr pana R., chcącego wszelkie od siebie usunąć podejrzenie. Może téż i same kobiéty na tak niesłuszną i krwawiącą najdrażliwsze serca mojego fibry trafiły drogę. Tegom już dla szczerego od téj rzeczy wstrętu nigdy dochodzić nie chciał,

a dotychczas, powtarzam, jaki to był artykuł, nie wiem. Odtąd już dwa czy więcéj miesięcy zdarzało mi się tu i owdzie spotykać panią Szymanowską na wieczorach i balach. Przekonana zupełnie o niewinności mojéj, dowiedziawszy się, że właśnie sam R. to napisał, mając już nawet brulion tego wszystkiego jego ręką ułożony, podwoiła dla mnie z dziećmi swojemi pełne wdzięku grzeczności, prosiła po dawnemu na obiady, wieczory. Nie przyjmowałem ich nigdy, również grzeczną zawsze na to znajdując wymówkę.

Tymczasem plaga okropna, a wówczas sto razy okropniejsza niż dzisiaj — cholera — pierwszy raz zbliżyła się do granic Rosyi. Przestrach i przerażenie dreszcz po całym wywołały kraju. Cesarz na wstrzymanie, jeśli można, postępu téj klęski wyznaczył komisyę, która się miała udać na miejsce, oprócz tego polecił wysłać ze stolicy pięciu lekarzy w sam krater tego zabójczego wulkanu. Rozkaz monarchy kazał mi we dwadzieścia cztery godzin udać się w drogę do Saratowa, gdzie już śmierć połowę miasta skosiła, i tam czekać na dalsze rozkazy. Rozkaz z pokorą przyjąłem i natychmiast wybrałem się w podróż, bez względu na materyalne z tego powodu kłopoty i straty. Ten rodzaj heroizmu, przy bijących w oczy przeciwnych postępkach moich kolegów, sprawił, że imię moje rozeszło się błyskawicą po całém mieście i było na ustach ledwie nie każdego mieszkańca stolicy. Mnóstwo znajomych i nieznajomych różnego stanu ludzi zbiegało się do mnie. Oleszkiewicz, Malewski, Małachowski płakali ciągle jak dzieci, łzy i łkania najobojętniejszych nawet dla mnie osób przez całe dwadzieścia cztery godziny, zostawione mi do wybrania w drogę, nie ustawały w mojém mieszkaniu! W téj mojéj niedoli i ruinie i tak już wątłéj podówczas jeszcze sytuacyi, bom w ciągu dwudziestu czterech godzin ledwie nie wszystkiego, co miałem, pozbyć się i ledwie że nie na wiatr wyrzucić musiał, Szymanowska zapomniała o sobie, o naszych kwasach, o powadze płci swojéj i tylko pamiętała o mnie, o tém, co nazywała mojém nieszczęściem, sama łzami zalana wpadła do mojego mieszkania, co mogła dla ulżenia téj przykréj pozycyi robiła. Mam dotąd jeszcze drobne, ale drogie dla mnie pamiątki, ofiarowane mi wtedy przez nią dla ulżenia niewygód podróży. Z własnego domysłu poruszyła mnóstwo znakomitych osób do starań za moim losem, dostawiła mi kilka pism rekomendacyjnych do władz południowéj Rosyi. Słowem, zrobiła wszystko, co może zrobić siostra, przyjaciółka, matka! Po ostatni dzień życia mojego zostanie to dowodem jéj anielskiéj duszy i prawem na stali wyrytém do wiecznéj mojéj wdzięczności. Odtąd tedy znowu dawne wróciły stosunki. Ale te złote chwile niedługo nam trwały! Tułając się blisko roku po wszystkich zakątkach Rosyi, wróci-

łem nakoniec witany łzami szczeréj radości od całego Szymanowskiéj domu. Niestety, ledwie że nie tuż za mną wdarła się do stolicy cholera. Mściwa, rozsrożona, zabójcza. Okropność, którą ona mnie otaczała dotąd w miejscach dla mnie zupełnie obcych, o wieleż razy zwiększyła się tutaj, robiąc mnie ciągłym świadkiem mąk i konania samych tylko przyjaciół i dobrych znajomych! Boże mój wielki, wyjmij te chwile z mojéj pamięci! I Szymanowska nasza w dniu 25 lipca 1831 roku, jeszcze przed chwilą w oczach moich zdrowa, wesoła i hoża, stała się ofiarą tego morderczego powietrza. Nie wyszło kilka godzin srogiéj męczarni, znoszonéj z dziwną odwagą i nie podobną do wiary spokojnością umyslu, jedna z wielkich ozdób płci swojéj, jeden z wielkich zaszczytów naszego kraju stanął w zastępstwie za nas przed Bogiem!

Śmierć jéj nawet w tym krwawym momencie powszechnym i głośnym żalem, a rzewnemi przyjaciół i znajomych łzami, uczczoną i z głębi duszy opłakaną została!

Szymanowska posiadała i zostawiła dzieciom swoim rzadkiéj wartości albumy, o których już wyżéj nieco mimojazdem wspomniałem. Albumy te należą do umysłowych skarbów kraju naszego, chociaż się w prywatném ręku dotąd znajdują. Wywołały one w swoim czasie powszechną zazdrość Europy i rzeczywiście do niepospolitych klejnotów liczyć się powinny.

W ciągu kilkoletniego pobytu muzy naszéj zagranicą i w Rosyi, w ciągu długiego pobytu swojego w rodzinnym kraju, słowem — gdzie tylko była ta zacna kobiéta, umiejąc sobie zaskarbić przyjaźń i szacunek wszystkich i zostając w bliskich z wszystkimi niepospolitymi ludźmi swojego czasu stosunkach, starała się i potrafiła zebrać i skupić w jedno własnoręczne pamiątki i podpisy najznakomitszych gwiazd duchowego horyzontu całéj Europy. Ludzie ci różnych narodów, a różniejszych jeszcze dążeń, z ochotą spełniali jéj życzenia, chętnie wtłaczali się w jéj pamiętniki, ciesząc się i chełpiąc z tego braterskiego zbliżenia, które wszystkich wielkich przedstawicieli ówczesnéj europejskiéj sławy pod jedną i tak gościnną strzechą zebrało. Takich albumów miała trzy.

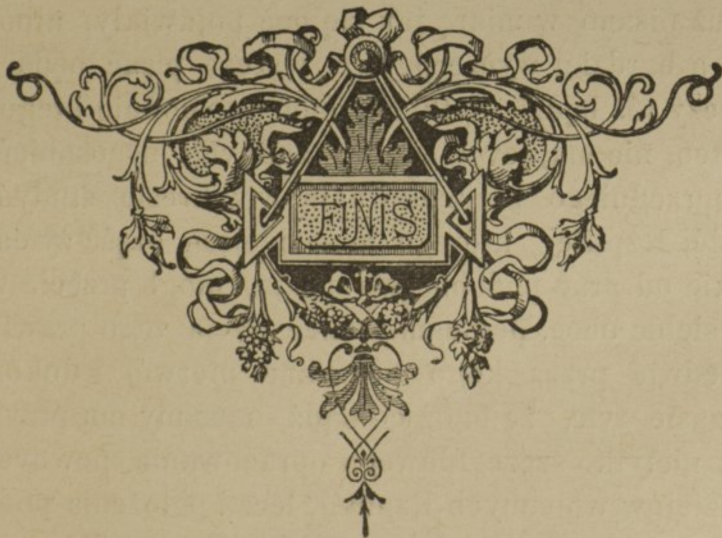
Jeden w bogatéj, drogiemi kamieniami ozdobnéj oprawie, dar księcia Cambridge, brata angielskiego króla Jerzego IV-go, zawiéra w sobie autografy i podpisy sławnych poetów, historyków, wojowników, malarzy i t. d., dostał się on córce Szymanowskiéj, Helenie Malewskiéj.

Drugi stanowi zbiór, z niemałym kosztem i trudem zebranych autografów najsławniejszych dawnych kompozytorów muzycznych i no-

woczesnych autorów, z umyślnie przez każdego z nich na pamiątkę dla Szymanowskiéj napisaną muzyką. Ten zbiór znajduje się w Paryżu w ręku córki jéj, Celiny, małżonki sławnego poety Adama Mickiewicza.

Trzeci, zapełniony także nazwiskami różnych znamienitości krajowych i zagranicznych wszelkiego rodzaju, przeszedł był w dziale do syna jéj Romualda, który wysłany na Kaukaz, jakby już wcześnie zgon swój nieszczęsny przeczuwał, cały ten zbiór z Kijowa odesłał darem siostrze swojéj, Malewskiéj, i tym sposobem od wiecznéj zatraty zachował.

Pisma publiczne całéj Europy w owym czasie wiele mówiły o tych rzadkich albumach, jak o rzeczy nadzwyczajnie z natury swojéj zajmującéj, ciekawéj i nieocenionéj. Biograf Szymanowskiéj, który przecież kiedyś znaléść się musi, dużo szczegółów i wspomnień w tych źródłach odszukać potrafi, czego ja oddalony od świata pustelnik i wieśniak zrobić nie mogę. Thomas Moore, Chateaubriand, Casimir Delavigne, Beniamin Constant, Karamzyn, Koźmian, Canning, Beranger, Niemcewicz, Jouy, Goethe, Osiński, Kryłow, Roztopczyn, Humboldt, Dawydow, Pasta, Paër, Miss Siddons, Catalani, Cherubini, Clementi, Beethoven, Weber, Mercadante, Rossini i tylu innych zgromadzonych tam gienialnych gości zapewniają temu jedynemu może w swoim rodzaju zbiorowi rosnącą z każdym dniem, w otchłań przeszłości zapadłym, wielostronną a niczém nie dającą obliczyć się cenę.



Pułkownik Konstanty Górski.

W ś. p. pułkowniku Konstantym Górskim, który skończył życie w sam dzień Nowego roku 1898, straciliśmy nietylko dzielnego na polu naukowem pracownika, lecz nadto prawego obywatela i zacnego, o wybitnie oryginalnéj naturze, człowieka. Nic tedy dziwnego, że wszystkie nasze dzienniki i tygodniki podały bezzwłocznie o nim wielce sympatyczne wspomnienia. Ale zasługuje on i na coś więcéj jeszcze—i jako człowiek i jako pracownik.

O wartości prac jego historycznych, dotyczących wojen i wojskowości, albo już pisano, w miarę jak się one pojawiały, albo inni niebawem, wogóle a bardziéj wyczerpująco jeszcze pisać będą. Ale sądzę, że nie od rzeczy téż będzie dotknąć, choć przygodnie i tego—jaką drogą człowiek ten, nie mający z natury żadnych usposobień piśmienniczych, ani poprzedniego przygotowania w zakresie studyów nad przeszłością zgasłéj Rzplitéj, którego znaczniejszą część życia pochłonęły zajęcia dalekie od prac podobnego rodzaju, mógł przecie wkroczyć na pole tak dla siebie obce, pod sam koniec życia tego prawie, co więcéj na pole—zaledwie przez kogo dotykane pierwéj i dokonać na niém w krótkim czasie tyle, że bądź co bądź, musimy mu przyznać niespożytą zasługę, nietylko szczegółowego opracowania pewnych epizodów w zakresie dziejów wojennych Rzplitéj, lecz i położenia podwalin, przez swe prace ostatnie, pod ten dział naszéj historyografii.

Zrozumiałem to łatwiéj uczynić może oczywiście tylko wskazanie wyraźniejszych faktów z jego życiorysu. Że zaś ja byłem jedynym

z jego przyjaciół i towarzyszy pracy z lat ostatnich, który go znał od dzieciństwa, był razem z nim w szkołach i uniwersytecie, a potém spotykał się z nim wciąż, na rozmaitych drogach i rozdrożach życia, aż do ostatniéj chwili, i na parę jeszcze godzin przed jego zgonem słuchał jego żywych a trzeźwych wypowiadań się o rzeczach szerszy ogół obchodzących;—czuję się więc w obowiązku dotknięcia, nieco szerszego, bardziéj charakterystycznych szczegółów jego biografii, poczynając od lat najmłodszych.

Otóż ś. p. K. Górski przyszedł na świat r. 1826 w gniazdowéj „okolicy" szlacheckiéj, noszącéj nazwę „Górskie", odwiecznéj dziedzinie Radwanów-Górskich, w parafii topczewskiéj na starém Podlasiu bielskiém – przedtsawiającém może już ostatni gromadny wzorzec zgasłego gdzieindziéj drobno-szlacheckiego, i bytu, i trybu, i zwyczaju, i obyczaju. Z domu tedy rodzinnego wyniósł on zaściankowo-mazowieckie zawzięte przywiązanie do wszystkiego, co swoje i swojskie, oraz zamiłowanie do sielskiéj krzątaniny gospodarczéj, jak i do konika, jeśli nie do szabelki.

Początkowe wychowanie (od r. 1835) otrzymał w po-pijarskiéj szkole powiatowéj w stołecznym niegdyś Podlasia Drohiczynie, gdzie skończył klasę V-tą. Tu wśród rówienników tego samego, drobnoszlacheckiego przeważnie pochodzenia, z powiatów drohickiego i bielskiego, tylko się bardziéj jeszcze mały Kostuś umocnił w skłonnościach swéj krwi mazowieckiéj.

Wstępując do szkoły, nałamywać się do wymowy polskiéj poprawnéj, jak większość jego mazurzących jeszcze w klasie wstępnéj kolegów, już nie potrzebował, bo przyswoił sobie tę dystynkcyę już w rodzicielskim domu. Nie tak prędko mu poszło z drugim językiem, mimo usilnych a dotykalnych wdrażań prof. Minerwina. Lepiéj już wiodło się z łaciną, choć i nie dla tego jedynie, że tu niemniéj trzeba się było ostro trzymać wobec ciągle grożącéj reprymandy prof. Piotra Pawęzkiego Skargi. Naprawdę zaś wyższą zdolność wcześnie zapowiadał do matematyki. Wogóle uważany był za dobrego zawsze, choć i nie za pierwszego w klasie ucznia. Jako kolega—żywy, wesoły, charakteru niezależnego, gotów w każdéj chwili do wszelkich posług, czy przerobić zadanie matematyczne, czy pomódz słabszym w łacinie, czy stanąć w obronie młodszych — był lubiony powszechnie. Rej też wodził zawsze pomiędzy nami młodszymi we wszelkich wycieczkach szkolnych: czy to na górę zamkową „królowéj Bony" przysłuchiwać się u wejścia do pieczary smętnym żalom uwięzionéj w jéj głębi „zaklętéj królewny", czy na „Błonia" nadbużne, czy do lasu koczerskiego albo runickiego. Oczywiście jego też „szałas" w dniu dorocznéj majówki był

najprędzéj przy pomocy młodszych skończony, by go przed innymi ofiarować panom profesorom. A już o „grach” i mówić nie trzeba: tu bitna jego natura znajdowała ujście bez wszelkich już więzów: rączy, zwinny, żartki, urwis Kostuś śmiało wyzywał „o lepsze” silniejszych i starszych i pobić się nie dał, czy to była „kasza” tylko, czy „ścianka”, czy wrzawna „ekstra”, w któréj zwykle przodował, czy „palant”, „przeganianka” lub inne gry jakie. Tak bitnie usposobiony, oddawał się on i rysunkom o tyle tylko i dla tego, żeby módz potém rysować zgrabnych ułaników i fantastycznych usarzy, których myśmy młodzi na wyścigi potém kopiowali. Piosenki podobnież, których moc umiał, wyśpiéwywał tylko takie, co odpowiadały jego nastrojowi, mniéj pilnując chóru „u Pijarów”, do którego też należał. Jako skończony piątoklasista, przeniósł się w r. 1841 z Drohiczyna do Białegostoku.

W Białymstoku rozminęliśmy się prawie: ja przybyłem tam wtedy, kiedy on 1843 r. gimnazyum już kończył; wiem przecie, jaką tam po sobie pozostawił pamięć — dobrego ucznia, celującego przedewszystkiém w matematyce oraz sympatycznego kolegi.

Po skończeniu gimnazyum, napróżno na razie marzył o dalszych studyach—jechać do uniwersytetu nie było o czém; ruszył tedy szukać szczęścia do Warszawy. Nie wiele wszakże stracił tu czasu na niepewne kołatanie się: w porę przyrzeczony zasiłek od możniejszych krewnych ośmielił go, jak i tylu, tylu jego z drobnoszlacheckich gniazd podlaskich współ-chudopachołków, do rzucenia się w świat dalszy ku zdobyciu sobie przebojem, mocą nie dającéj się niczém zwalczyć energii i zaciętéj wytrwałości, wykształcenia wyższego i szerszéj drogi w życiu. Nad wyborem kierunku zwrotu nie trzeba było łamać sobie głowy: dla szlacheckiego syna starego Podlasia, najwięcéj powabów przedstawiała zawsze Ukraina, ku Ukrainie od wieków odpływały całe fale młodych Podlasian, nie czekając na p. Krzysztofa Kosińskiego, Kijów też był i dla naszego „Radwanka” wielce pociągający—ruszył tedy do Kijowa.

Tu, odpowiednio swym zdolnościom i usposobieniu, wstąpił na wydział matematyczny fakultetu filozoficznego w nowozałożonym uniwersytecie św. Włodzimierza. Kiedym i ja przybył w połowie r. 1847 do sędziwéj stolicy, by wstąpić również do uniwersytetu, powitałem dawnego z lat dziecinnych towarzysza, już jako starego studenta, rozpoczynającego kurs III-ci matematyki, co więcéj—posiadającego już za swój żywy, swobodny a serdeczny współudział we wszystkiém tém, co mocniéj zajmowało ówczesną młodzież uniwersytecką, niepowszednie uznanie i miłość koleżeńską. A już u swych powietników cieszył się on nadto i powagą nieograniczoną.

Mnie przyjął z otwartemi rękami. Związani wspólnemi wspomnieniami dzieciństwa, ożywieni temiż samemi sentymentami zagrodowemi i temiż samemi aspiracyami mazowieckiemi, stanęliśmy z sobą odrazu jak najbliżéj—zamieszkaliśmy nawet razem. I odtąd, aż do opuszczenia Kijowa, trzymaliśmy się z sobą razem i tak ściśle, że w żywszych kółkach koleżeńskich, z któremi on mnie, surowego nowicyusza, odrazu był zapoznał, poczęto niebawem uważać nas naprawdę za nierozłącznych. Co więcéj, musieliśmy się istotnie wyróżniać wśród kolegów czémś wspólném a charakterystyczném, kiedy ta „Ruś" i „Litwa", jakeśmy my ich po swojemu przezywali, do nas dwóch wyłączniéj nazwę „Mazury" stosowała. Jemu też winienem głównie, że na razie już nie klepałem téj srogiéj biédy studenckiéj, jaką wytrzymywać, rzucając się odważnie na „daleką ukrainę", byłem przygotowany.

Ciesząc się powszechném wśród kolegów — tylko nie wśród „paniczów" oczywiście — uznaniem, był on wszakże wyłączniéj, wśród innych grup ówczesnéj uniwersyteckiéj w Kijowie młodzieży, przedstawicielem ściślejszéj grupy, „podlaską" w ogóle przezywanéj, a złożonéj głównie z byłych gimnazistów Białegostoku, Grodna i Swisłoczy. Téj też p. Konstanty był faktycznym seniorem i przewodnikiem.

Takie zaś przewodniczenie wogóle starszych studentów nowicjuszom wytwarzało się samo przez się, jako wynik nieodzowny warunków bytu i nastroju ówczesnéj młodzieży. Były wtedy (około r. 1848) lata powszechnego wrzenia na świecie, a zarazem—wybujałego „romantyzmu" w zakresie umysłowym. Wszystko zdawało się oddychać, bezwiednie nawet, rozgorączkowaném tchnieniem, cóż dopiéro mówić o nowicyuszach przybywających do uniwersytetu. Im mniéj przynosili z sobą z gimnazyów, tém mocniéj pożérało ich pragnienie poznania tego, co tam było niedostępne, a może nieprzeczuwane nawet. Kto też tam, opuszczając szkołę, tak wiele wiedział o tém, co się we własném piśmiennictwie dzieje: o wielkich poetach, o poglądach historycznych anachorety brukselskiego, lub — przed przyjazdem do Kijowa — o literackiéj szkole ukraińskiéj. Taki gimnazista, trzymany pilnie woddali od tego wszystkiego, wstępując do uniwersytetu, widział rozwierający się przed sobą zarazem i cały świat nowy w zakresie sobie najbliższym, najserdeczniejszym. Ale jak tu przecie rozewrzeć szczelnie przymknięte wierzeje, świat ten ukrywające? Wobec potrzeby zaspokojenia rozbudzonych żywszych pragnień, wykłady uniwersyteckie, nawet na fakultecie filozoficznym, nie wystarczały. Nie wystarczała i biblioteka uniwersytecka, pomimo całego swego, znanego zkądinąd, bogactwa. Wprawdzie obejmowała ona już wtedy, oprócz spadku po Wilnie i Krzemieńcu, piękne księgozbiory prywatne—

Moszyńskich, Olizarów, Jabłonowskich etc.; ale najprzód nie wszystko z tego było dostępne, a potém—nie przybywało tam już prawie rzeczy nowych, najponętniejszych. Nic jednak nie było w stanie ochłodzić młodzieńczego zapału: czego niepodobna było posiadać drogą wyraźną, zdobywano sobie ubocznie — i ostatecznie wszystko się miało o co chodziło. Dziś już nawet nie łatwo zrozumiéć całéj mocy osławionego owéj doby „romantyzmu". Romantyzm ten mniemany wytwarzał pomiędzy młodzieżą, w najtrudniejszych warunkach zewnętrznych, łączność, jakiéj przykłady nie wszędy już były następnie, w tym stopniu, spotykane. Było to wszakże możliwe jedynie przy baczném a spokojném przestrzeganiu stosunków wzajemnych przez przedstawicieli grup, — tam, gdzie nie istniało formalnie, tak jak w Dorpacie, uznanych przez władzę uniwersytecką korporacyi.

Na tém to stanowisku właśnie, w charakterze faktycznego przedstawiciela i przewodnika swojéj ściślejszéj, „podlaskiéj" grupy, położył p. Konstanty nieocenione zasługi. Wymagało to niemało zachodu i sporo czasu, ale na wszystko go było stać. Dzięki też jego energii i przezorności, my młodsi czuliśmy się, w każdéj chwili i we wszystkiém, w żywéj jedności z całym ogółem młodzieży uniwersyteckiéj oraz mieliśmy zapewnioną sobie możność stałego zasilania się najbardziéj pożądanym pokarmem wiedzy etc., podawanym sobie z rąk do rąk częstokroć w postaci mozolnych odpisów, na jakie dziś już by nikt się nie zdobył. On nawet chodził w delegacyi gazety czytać dla nas. Sam żołnierz z usposobień i szermierz zawołany, pociągnął nas, nowicyuszów i do sali fechtunkowéj, w gmachu uniwersyteckim, i bił nas z początku potężnie, nim z czasem, zaufany w swą zręczność, nie zaczął od uczni wet za wet odbiérać, ku uciesze *signora* Lambertiniego, który mu, jako mistrz z urzędu, nieco jego zwinności szermierskiéj zazdrościł.

Przy końcu wiosny 1848 r. ruszyliśmy we dwóch na wakacye ku Podlasiu — lekko w całém znaczeniu, a więc część drogi i pieszo; ale zmitrężeni, wróciliśmy nie wiele bawiąc do Kijowa, by porządniéj już przysiąść fałdów. Był to już jego rok ostatni w uniwersytecie, trzeba było myśléć o egzaminie, a potém w świat! W r. 1849 skończył tedy uniwersytet, z dyplomem „kandydata" matematyki. Wyborem przyszłego zawodu wcale się nie męczył: od dzieciństwa marzył o wojaczce—i tegoż zaraz roku wstąpił do szeregów armii rosyjskiéj.

To też po roku służby, choć chorąży dopiéro, wyglądał już na starego żołnierza. Miałem sposobność przekonania się o tém, gdym się przenosił w r. 1850 z Kijowa do Dorpatu; ułożyliśmy byli sobie spotkanie w okolicy Wilna, gdzie ja zatrzymałem się u dawnego,

wspólnego nam obu kolegi kijowskiego, on zaś szedł tamtędy ze swym batalionem ku Mitawie. Wprawdzie spędziliśmy noc całą w jakiéjś przydrożnéj austeryi na wspomnieniach studenckich głównie, ale, gdym wczesnym rankiem towarzyszył mu jaką milę jeszcze, pieszo, trzymając konia mego za uzdę, on, w obliczu ślicznéj przy wschodzącém słońcu pod-wileńskiéj okolicy, wyciągając rękę na falisty przestwór i laski i strumienie, umiał już tylko wskazywać mi, jakby tu, napadnięty, potrafił się bronić ze swym oddziałem, gdyby był już pułkownikiem, nie zaś chorążym. Toż samo powtórzyło się gdyśmy w r. 1853 spotkali się w innéj stronie — już na Pobereżu: obudwu nas, i mnie, i młodego podporucznika, zajęło równie żywo horodyszcze w pięknie u rozległego stawu rozpostartéj Wierzchowce, dawnym Nowogrodzie, ale zajęło zupełnie inaczéj: przenosząc się wyobraźnią w odległe czasy, on by je był szturmował tylko!

Zaprzątnięty przedewszystkiém myślą dalszego kształcenia się specyalnego w zawodzie wojskowym, udał się tegoż roku do Petersburga i po złożeniu egzaminu wstąpił do akademii wojskowéj, gdzie w r. 1855 otrzymał stopień porucznika. Po skończeniu tam nauk i przyłączeniu go do sztabu generalnego, został przeznaczony do korpusu baltyckiego, gdzie pełnił obowiązki starszego adjutanta i w tym charakterze doczekał się niebawem końca wojny krymskiéj. Po zwinięciu sztabu korpusu baltyckiego, przeniesiony został do I-go korpusu armii, jako starszy adjutant sztabu generalnego, w stopniu kapitana sztabu. Następnie, w r. 1861 mianowano go kwatermistrzem 8-éj dywizyi piechoty, konsystującéj w głębi cesarstwa, gdzie téż w r. 1862 otrzymał stopień kapitana. Poczém zaś, po zniesieniu w r. 1864-ym 5-go korpusu armii, otrzymał przeznaczenie najprzód do sztabu okręgu odeskiego, a następnie chwilowo do kijowskiego, aż go wreszcie na żądanie głównodowodzącego okręgiem odeskim powrócono do Odesy, dla nadzoru nad zdejmowaniem planów strategicznych.

Ale nietylko, po Minerwie, Bellona już jedynie miała być niepodzielną panią duszy kapitana. Bawiąc 1860 r. dłużéj w Odesie, poznał tu młodą i piękną p. Katarzynę Gajos, pochodzącą z rodziny greckiéj, przybyłéj z wyspy Naksos, lecz urodzoną z Polki i wychowaną po zachodniemu. I ani się spostrzegł, jak psotna Afrodyta usunęła w kąt swoje współzawodniczki, owładnęła nim nieprzezwyciężenie i — doprowadziła go do hymenu. Wcześnie o tém zostałem listownie uprzedzony, razem z oświadczeniem kolegi o zamiarze podania się do dymisyi i wyjazdu zagranicę. Służbę wojskową wszakże przyszło mu opuścić dopiéro w r. 1866.

Młoda kapitanowa otrzymała w posagu kawał stepu, z obszerniejszego dominium Naksyi, w powiecie tyraspolskim, nieopodal późniejszéj stacyi kolei żelaz. Rozdzielnéj. Był to dotąd pusty niemal step, oddawany wyłącznie prawie na sianożęcia i pod wypasy. Dla podniesienia wartości onego, nawet w widokach następnéj sprzedaży, wypadało tam pierwéj obudować się i zagospodarować odpowiednio. Odezwała się wtedy i drzémiąca dotąd ukryta żyłka drobno-szlacheckiego syna Podlasia do roli. Gdy wiosną 1865 r. odwiedziłem pp. Górskich w ich nowéj siedzibie, nazwanéj Katerynowką (a z czasem—Górskiém), byłem świadkiem, z jaką to mazowiecką zawziętością zabrał się już był p. Konstanty do gospodarki i ile tam w krótkim czasie zrobił. Z kolei podał się do dymisyi; dwie córeczki na świat przyszło — przemyśliwano o zagranicy; aż tu p. Górska niespodzianie umiéra!

Z jéj śmiercią wcale też inny obrót rzeczy nastąpić musiał. Wyzbywać się stepu, jako majątku nieletnich, nie było już podobieństwa; owszem, wypadało samemu zająć się wychowaniem dzieci. Przestał tedy kapitan myśléć o opuszczeniu stworzonéj przez siebie siedziby, i już teraz nie tyle z namiętnością, ile z rozwagą, oddał się całkowicie pracom gospodarczym, skutkiem których wartość majątku podniosła się wdwójnasób. W zapędzie zaś tym gospodarczym posunął się tak daleko że nie poprzestając na własnéj siedzibie, począł powoli przemyśliwać nad podniesieniem ekonomiczném całego jedysańskiego Pobereża. Prowadziło go ku temu bliższe obeznanie się z topograficzną naturą owéj krainy, jakiego nabył, szczególnie przyjmując na siebie, w charakterze uczonego geometry-inżyniera, roboty miernicze i niwelacyjne w dobrach znaczniejszych właścicieli miejscowych. Wystudyował tedy i nakréślił topograficznie plan irygacyi, siecią krzyżujących się kanałów między dolnym Dniestrem a Bohem, całego jedysańskiego czworoboku, od brzegu morza Czarnego aż do granicy Pobereża na linii Jaborlika i Kodymy—z uwzględnieniem należytém zubożałych wodą łożysk Kuczurhanu i Kujalników. Śmiały plan ten, naturalnie, mógł być uskuteczniony jedynie z mocy polecenia władzy, jako też przy czynnym udziale finansowym ziemstw trzech zainteresowanych powiatów. Przedstawił więc swój plan komu należy: projekt zrobił wrażenie, podobał się, ale — i tyle; o wzięcie się do wykonania onego nikt się z interesowanych na seryo nie odezwał! Zrażony tém projektodawca rzucił swój plan w kąt i nie myślał już dłużéj o środkach podniesienia ekonomicznego całéj otaczającéj go krainy, poprzestając tylko na doprowadzeniu do pożądanie możliwéj normy posiadłości swoich dzieci. Co uskuteczniwszy, znużony osamotnieniem w wiejskiém ustroniu, gdyż córki wychowywały się po za domem, począł tęsknić za szerszym

przestworem życia. Wybranie przecież nowéj nadal drogi wcale nie było łatwe. Tymczasem wojna turecka, niebawem rozpoczęta, powołała go powtórnie pod broń.

Wstąpił tedy w r. 1877 do wojska, już w randze majora, i został przeznaczony do miejscowego pułku odeskiego, w którym téż dowodził osobnym batalionem. W roku następnym został przeniesiony do sztabu IX-éj dywizyi rezerwowéj na posadę starszego adjutanta. W roku 1879 przeprowadzony do 54-go pułku mińskiego piechoty; następnie 1883-go r. mianowany prezesem pułkowego sądu wojennego.

Wstąpienie powtórne do szeregów odżywiło w p. Konstantym, jakby uśpione już, wszystkie instynkty militarne. Po skończeniu wojny bałkańskiéj, w ciągu któréj zajęty był bardzo ruchliwie — przedewszystkiém przygotowując, na swém stanowisku u saméj granicy rumuńskiéj, rezerwistów, by ich wysyłać następnie do pułków czynnych — znalazł, konsystując stale już w Kiszyniewie, sporo wolnego czasu. Wprawdzie wzywano go niejednokrotnie do Odesy, dla wykładania młodszym oficerom to strategii, to taktyki etc., co téż robił bardzo chętnie, ale to go wcale nie mitrężyło. W towarzystwie oficerskiém nie miał upodobania, w kółkach miejscowych besarabskiéj stolicy nie bywał, więc cały czas wolny od obowiązkowéj służby poświęcał teoretycznym studyom wojskowym. Umiał zresztą zdobywać sobie swobodę naocznego przyglądania się porządkom w obcych armiach, w czasie wielkich rewii cesarzy Franciszka Józefa i Wilhelma I-go. Rzecz naturalna, że pilnie téż studyował wszelkie prace specyalne z zakresu wojskowości, nie dlatego wszakże, aby miéć możność ciągłego ożywiania czémś nowém swoich wykładów, lecz przedewszystkiém, że to go osobiście mocno zajmowało. Nie szczędził zatém grosza na sprowadzanie wydawnictw specyalnych i dzieł w językach obcych, gromadzenie kart geograficznych i topograficznych etc., i wciąż wertował opisy wielkich wojen i bitew, działalność wielkich wojowników. Patrząc na jego takie pogrążenie się w studyach, ktośby pomyślał, że to zawodowy badacz jakiś, pracujący w celu podzielenia się z czasem wynikiem swoich dociekań z szerszym ogółem; a tymczasem p. Górskiemu ani się śniło o tém: on zaspakajał jedynie osobiste swe pragnienie wiedzy. Nigdy przynajmniéj, nawet najmniejszém napomknieniem, nie wypowiadał gotowości ujęcia za pióro; a widywaliśmy się dość często w Odesie, od czasu jak rodzina moja nabyła chutor na pobliskim stepie. Był wojskowym *per exc.* i nie wybiegał, myślą nawet, po za sferę wojskowości.

Pod koniec wszakże służby wojskowéj, gdy mu pozostało lat parę już tylko do emerytury, którą zdobyć z góry był sobie postanowił

kiedy wracać do gospodarki wcale nie miał chęci, a zresztą majątek ów posagowy w stepie przyszło oddać pozostałéj mu jedynéj [1]) córce, po wyjściu jéj za mąż, sama natura jego—krewka, energiczna, a na wskroś swojska, przygotowywała mu nieprzeczuwany dotąd zwrot w dalszém życiu. Z natury rzeczy stawało mu na oczy zapytanie: co téż pocznie z sobą po wystąpieniu z wojska, i zapytanie to, tak rzadkie u wyczekujących emerytury, zaczęło go, ze wzrastającą siłą, coraz bardziéj niepokoić. Gdym, z naszego Perekrestowa, odwiedził go w lipcu 1883 r. w Kiszyniewie, już tylko słyszałem utyskiwania jedynie na grożące mu, jak powiadał, próżniactwo. Nasuwam mu tedy myśl, że właśnie, mając w perspektywie najzupełniejszą swobodę co do rozporządzania swym czasem, mógłby przecie, będąc tyle w militaryach wogóle—i co do teoryi i co do praktyki — przygotowanym, oddać się daléj studyom historyczno-wojskowym, już polskim wyłącznie. Nie zapomnę jego zdumienia, jakie ta moja uwaga w nim wywołała: wyglądała ona w jego oczach na ironię chyba. Polskie studya wojskowo-historyczne! — woła; ależ tego nikt nie dotykał, bo i dotykać nie mógł poważnie — skąd tu materyał, skąd źródła! Odparłem tedy: istotnie, materyał i źródła pierwszorzędne daleko od téj tu Wołoszczyzny, gdzie oto my, mazowieckie syny, dziwnemi losy wiedzeni, teraz się spotykamy. Trzeba tego z czasem dopytywać w Warszawie, Krakowie etc. — o ile chodzić będzie o rzeczy archiwalne; lecz czyż *to* tylko stanowić ma materyał dla badacza dziejów wojskowości? Naprawdę, nim tam co, to i teraz nawet, w téj oto chwili, materyału by ci, choć dorywczo, na razie nie zabrakło — poprzestając, oczywiście, początkowo na niewielkim zakresie. Tu — zdumienie jeszcze większe. Otóż słuchaj: w twoim przecie okręgu wojennym odeskim leżą—i Chocim, i Cecora, i Żółte-wody, a tuż w sąsiednim kijowskim — Beresteczko, Cudnów i t. d. Zbadaj więc powoli na gruncie, ze stanowiska militarnego, owe pobojowiska, materyał zaś opisowy, historyczny samych walk, mniéj więcéj wystarczający, znajdziesz podobnież niepodal, bo w bibliotece nawet Bagieńskich w Odesie (która nb. nie została była jeszcze odesłana do szląskiego Cieszyna). Bierz się tedy, nie wiele odkładając, do rzeczy, a potém—pisz; będziemy ci to drukować w Warszawie, czy gdzie chcesz. Długo p. Konstanty rozważał w milczeniu te moje insynuacye, nareszcie mi powiada: zgoda, dla siebie ja to badać będę, ale pisać o tém! — jam nie żaden literat, ja pisać nie umiem! — Nie święci garnki lepią — odparłem: powoli i do pisania się wdrożysz; a wreszcie nie chodzi tu przecie o historyczno-powieściowe, udatne obrazki,

[1]) Starsza Antonina w młodziutkim wieku umarła.

jakowych nam nie brak; od ciebie czego innegoby zupełnie się wymagało — militarnéj oceny faktów. Próbuj! I na tém rozstaliśmy się.

Przeszło pół roku z górą nie miałem żadnéj wieści od starego druha; jakżem się ucieszył, gdy spotkawszy go wiosną 1884 r. w Odesie, gdzie miał mieć swoje wykłady wojskowe, zobaczyłem go namiętnie już zajętego poszukiwaniem piśmiennych źródeł, by się należycie przygotować do wycieczek na turecko-tatarskie najprzód pobojowiska. I tak już poszło daléj. Nie wiele odkładając, jeszcze jako wojskowy, schodził własnemi nogami pobliższe pobojowiska rozgłośne, nagromadził sporo notat i własnoręcznych mapek, wyrobił sobie z kolei nie jeden już swój odrębny pogląd na pewne, inaczéj dotąd rozumiane i przedstawiane fakty wojenne; ale podawać czegoś do druku jeszcze się nie decydował.

Tymczasem w r. 1884 został już awansowany na podpułkownika, w r. 1885-ym zaś mianowany członkiem sądu wojennego w okręgu odeskim. Lecz nie powstrzymało go to już oddokonania dawno powziętego postanowienia: zdobywszy prawo do pełnéj emerytury, podał się w r. 1886 do dymisyi i opuścił służbę w randze pułkownika.

Teraz dopiéro rozpoczęła się w życiu ś. p. Górskiego epoka właściwie najważniejsza: 10-lecie pracy naukowéj, gorączkowéj, przyśpieszonéj, ale i najbardziéj owocnéj. Zdecydowany ostatecznie na oddanie się wyłączne już daléj owéj pracy, jakby nowemu zawodowi życia, rzucił się on do niéj jakby z podwojonym zapałem. I posypały się jego specyalne artykuły, mniejsze i większe, jakby z rogu obfitości.

Tak tedy w r. 1886 zaraz umieścił on w „Bibliotece Warszawskiéj" dwie swoje rozprawki: „O wyprawie i klęsce cecorskiéj 1620 roku", oraz „O pobojowisku u Żółtych-wód", w których to rozprawkach wstępnych, jakby z góry, zaznaczył odmienne swe od dotychczasowego stanowisko, przedewszystkiém co do pryzmatu widzenia w zapatrywaniu się na sprawy i fakta wojenne wogóle.

Po tych klęskach, tyle dla Rzpltéj fatalnych, poszły opisy bitew dla jéj oręża zwycięskich, a które podawał daléj również w „Bibliotece Warszawskiéj". Bratobójczą „bitwę pod Beresteczkiem 1651 roku", opisaną w podanym tam, 1887 r., artykule p. t. „O działaniach wojska koronnego Rzpltéj polskiéj w wojnie z Kozakami", poprzedziła „Trzydniowa bitwa pod Warszawą 1656 r." ze Szwedami. Po tych zaś w r. 1888 w tymże miesięczniku umieścił pułkownik „Bitwę pod Byczyną 1588 r.", a następnie „Bitwę pod Grunwaldem 1410 r.", któréj opisem zamknął niejako cały cykl początkowy poszczególnych starć wojennych zastępów Rzpltéj z przeciwnikami. Ale nie poprzestając na

tém, próbował też wyjścia i na szersze pole. Tak już w r. 1887 opisał „Wojnę Rzpltéj ze Szwecyą za Zygmunta III-go od r. 1621—29" po któréj ukazała się r. 1890 (w „Bibl. Warsz.") „Wojna Rzpltéj z Turcyą 1672 i 73 r." Następnie poszły już „Wojny Litwy z w. ks. Moskiewskiém za Zygmuntów", drukowane w „Niwie" 1891 r. Do tego cyklu trzeba też odnieść i szerzéj już rozwinięte „Wojny Rzpltéj z w. ks. Moskiewskiém za Batorego" — „pierwszą", „drugą" i „trzecią" („Bibl. Warsz." za r. 1892). Tutaj należy i podana w tymże roku w „Ateneum" „Wojna z wojewodą wołoskim Michałem 1600 r." [1]).

Jak naturalna, z początku nie łatwo szła naszemu badaczowi praca na nowém polu: póki nie opuścił służby wojskowéj, brakowało mu nieraz pożądanych materyałów, choćby oddawna znanych; a i potém długo jeszcze, nieprzygotowany, niewprawny, a gorączkowo śpieszący zwykle z ukończeniem rozpoczętéj roboty, mniéj dbał o wyczerpywanie bibliograficzne dostępnych mu nawet źródeł, skoro już się upewnił we własném przekonaniu o zasadności swego sądu w traktowanym przedmiocie. Dostawał też u wstępu na owo pole badań historycznych od recenzentów sporo admonicyi—słusznych i niesłusznych, które odpiérał zwykle uwagą, że wyczerpywanie materyału bibliograficznego było dlań zbyteczne i że, jeśli o należyte przedstawienie przebiegu i charakteru jakiéj bitwy chodziło, uważał za pewniéj prowadzące do celu ścisłe uwzględnianie ogólnych prawideł sztuki wojennéj, skombinowane z dokładném zbadaniem naoczném topografii pobojowiska, niż wyczerpywanie wszelakich drobiazgów pamiętnikarskich. Mimo to pracował dużo i wytrwale, w żywém przeświadczeniu, że jeśli jego prace nie staną się „ozdobą" literatury, to za to napewno zmuszą przyszłych badaczy do *nie*-literackiego już, jak dotąd pospolicie, rzeczy wojennych traktowania!

Pomagało mu zaś wielce w nieznużonéj, ani na chwilę prawie, pracy bardzo szczęśliwe usposobienie — nie tyle wrodzone ile wcześnie nabyte. Ze wstąpieniem do wojska opuściła go jakby dawna studencka towarzyskość, tyle zabiérająca czasu. Więc, tak w armii jak w akademii wojskowéj, pełniąc ściśle obowiązki służbowe, oddając się pilnie studyom swego zawodu, trzymał się on wśród różnobarwnego grona kolegów odosobniony. Następnie długoletnie życie w stepie, oddane zabiegliwości gospodarczéj, jeszcze bardziéj wzmocniło przyzwyczajenie to do trzymania się osobno, tak, iż zdawać się mogło, jakoby od natury było dane. Z kolei tedy, gdy zdobył już więcéj czasu, a potém stał się zupełnie swobodnym, mógł on, nie tęskniąc zgoła za towa-

---

[1]) „Ateneum", 1892 r., tom IV, str. 251—270, z mapą.

rzystwem, z całém skupieniem oddawać się wytężonéj pracy i nie przerywanym niczém studyom. Przy wrodzonéj tedy krewkości i wytrzymałości, szybko niezmiernie posuwał się w rozpoczętéj pracy, odpisując najczęściéj i same materyały źródłowe własnoręcznie. Ale musimy tu nadto wskazać do uwzględnienia i ową swobodę ruchu, jaką mu po wystąpieniu z wojska zapewniała niezależność majątkowa oraz pewność przyszłości jedynéj już córki Katarzyny, która odziedziczyła piękny majątek po matce razem z prawami spadkowemi po jéj możnéj rodzinie. Niezależność owa dozwalała mu też najswobodniéj w każdéj potrzebie, odwiedzać, dla korzystania ze zbiorów bibliotecznych i archiwalnych, czy to Warszawę, czy Lwów, Kraków, Wrocław, Gdańsk, nim nareszcie nie zdecydował się on na stałe zamieszkanie w syrenim grodzie, gdzie się nareszcie 1889 r. i ożenił powtórnie.

W Warszawie, po otrzymaniu urzędowego pozwolenia wyższéj władzy na korzystanie z materyałów rękopiśmiennych, spoczywających w miejscowych archiwach, uderzony niepowszedniém onych w jego specyalnym zakresie bogactwem, powziął śmiałą myśl opracowania, ile się da, systematycznego zarysu całéj naszéj historyi wojskowéj, w postaci trzech oddzielnych monografii, przedstawiających historyę piechoty, jazdy i artyleryi polskiéj: myśl śmiałą, gdy żadna z literatur europejskich niczego podobnego, w poważném znaczeniu, dotąd właściwie nie posiada.

Nie odrazu przecież przystąpił do bezpośredniego wykonania zamiaru. Gromadząc sobie powoli materyał archiwalny, obrabiał pułkownik, przedwstępnie niejako, i podawał do druku, obok opisów wyżéj wymienionych bitew i wojen, pewne odrębne tematy skromniejsze, lecz ściśléj z zamierzoną przezeń większą pracą związane. Już tedy w r. 1890 podał w „Bibl. Warsz." artykuł „O rozwoju sztuki wojennéj w Polsce w XV w."; poczém wprędce zamieścił tamże rozprawkę pod tyt. „Sztuka wojenna w Polsce za Zygmuntów"; zaś w r. 1891 „Obronę Rzpltéj od Tatarów". Następnie zjawiły się artykuły podobnegoż zakresu, drukowane w „Niwie", mianowicie w r. 1891 „Dragoni polscy"; zaś w r. 1892 „Piechota wybraniecka i łanowa", oraz „Wojsko kwarciane". Do czego dodać jeszcze winniśmy, z pomiędzy jego artykułów umieszczanych w „Wielkiéj encyklopedyi powszechnéj ilustrowanéj", spory ustęp o „Artyleryi polskiéj"—w t. I-ym tego wydawnictwa—z roku 1891.

Pierwsza jego praca z zamierzonéj na większą skalę wojskowéj trylogii owéj, pod tyt. „Historya piechoty polskiéj" wydaną została dopiéro w r. 1893; druga z kolei „Historya jazdy polskiéj" zaraz w następnym 1894 r. Obiedwie drukowane w Krakowie — „z zasiłkiem

Akademii Umiejętności"—jak to zaznaczono w tytule. Trzeciéj — dotyczącéj historyi artyleryi, nie zdążył autor za życia już drukiem ogłosić.

W czasie jednak, kiedy drukowano owe dwa znaczniejsze dzieła w Krakowie, zajęty on był obok tego opracowywaniem nowych monografii, należących w przeważnéj części do rozpoczętego na wstępie prac jego cyklu bitew. W dwóchsetną więc rocznicę odsieczy wiedeńskiéj Sobieskiego umieścił w „Ateneum" właśnie studyum zatytułowane: „Bitwa pod Wiedniem" [1]). W następnym 1894 r., podał w „Bibl. Warsz." artykuł pod tytułem: „Tarnowski i bitwa pod Obertynem"; w Krakowie zaś w „Przeglądzie" wydał „Bitwę pod Racławicami". W r. 1895 opisał „Oblężenie Smoleńska i bitwę pod Kłuszynem" oraz „Wojnę 1792 r" („Przewodnik nauk. i literacki"). W r. 1896 dał; do „Bibl. Warsz." rozprawę: „Jan III pod Żórawnem 1676 r." Nakoniec w ostatnim roku swego życia wydał w tymże „Przewodniku" zarys: „Prądzyński i znaczenie jego w wojnie 1831 r."; zaś w „Przeglądzie powszechnym" rozprawę: „O wojskowości polskiéj za Piastów do 1410 r." Nie koniec tu jego pracy. Pisał bowiem mnóstwo drobniejszych artykułów, umieszczanych w „Encyklopedyi ilustrowanéj" lub w „Gazecie Polskiéj" etc., powiedziéć byśmy mogli, że wogóle w ciągu ostatniego 10-lecia życia Górskiego nie przeszło ani jednego roku, żeby on nie wydał czy to znaczniejszéj jakiéj roboty, czy całéj wiązanki większych i mniejszych artykułów.

Prócz tego, pozostawił nie mało rzeczy przygotowanych do druku w rękopisie: przesłaną już „Przewodnikowi nauk. i liter." „Wojna z wojewodą Stefanem w r. 1497", nadto „Odsiecz Smoleńska" oraz „Zwycięstwo Jana Zborowskiego pod Libiszowem." Najcenniejszą jednak po nim rękopiśmienną spuściznę stanowi „Zbiór wiadomości i materyałów dotyczących artyleryi polskiéj", których mozolnemu poszukiwaniu poświęcił był głównie lata swe ostatnie.

O ostatecznym wyniku trudów życia ś. p. Konstantego tyle nakoniec obowiązani jesteśmy powiedziéć, że jak żył, tak i umarł, pamiętając głównie o wznioślejszych obowiązkach człowieka. Przeczuwając blizki koniec, na parę zaledwie godzin przed zgonem, mówił ze mną o ostatniéj swéj znaczniejszéj pracy (o artyleryi), bez mała przygotowanéj już do druku, a mówił wogóle trzeźwo i spokojnie, wcześnie pomyślał o wszystkiém należycie, na wypadek swéj śmierci.

Zapisując testamentem drugiéj swéj żonie, p. Florentynie z Prylińskich, *I-o voto* Redel, dożywocie na swym zaoszczędzonym dorobku

---

[1]) „Ateneum" 1896 r., Tom II, str. 557.

nie wynoszącym wiele więcéj nad 20 tys. rs., przekazał córce swéj z pierwszego małżeństwa, p. Katarzynie żonie p. Piotra Coronelli, pochodzącego jak i jéj matka z rodziny greckiéj, sumę ową, po ekspiracyi dożywocia, oddać do dyspozycyi: w połowie—Akademii umiejętności w Krakowie, w drugiéj zaś — Kasie im. Mianowskiego w Warszawie. Co też pani Coronelli pospieszyła przedwstępnie uskutecznić, upoważniając adwokata przysięgłego Ossuchowskiego do przedsięwzięcia odpowiednich kroków prawnych.

O swych zbiorach: książek i pism specyalnych, treści wojskowéj, map oraz odpisów wszelakich ś. p. pułkownik przed śmiercią również nie zapomniał. Chodziło mu przedewszystkiém o zapewnienie łatwiejszéj dostępności do tych zbiorów dla przyszłych w téj dziedzinie pracowników; ale, że poczuwał się do pewnego obowiązku wdzięczności tak względem bibliotek ordynacyi Krasińskich i Zamoyskich, jak oczywiście i kustoszy onych, nie przekazał zbiorów owych którejkolwiek z nich, lub komukolwiek, w całości, lecz je podzielił, podobnie jak pieniądz, na poły. W ten sposób książki i mapy dostały się p. Zygmuntowi Wolskiemu, wszelkie zaś odpisy p. Tadeuszowi Korzonowi—do ich dyspozycyi.

Co zaś do prac przygotowanych już do druku—z tém się rzecz ma jak następuje. W r. 1895, za wskazówką ś. p. pułkownika, został wydrukowany w wydawnictwie „Biblioteka ordynacyi Krasińskich" w t. XIII „Dyaryusz wojny moskiewskiéj 1633 r." Jana Moskorzowskiego. Dyaryusz ten miał być poprzedzony rozprawą jego pióra, wykazującą doniosłość tego zabytku dla nauki militarnéj, lecz, jak to czytamy w zamknięciu przedmowy p. Aleksandra Rembowskiego, słabe zdrowie zasłużonego historyka wojskowego stanęło zamiarowi na przeszkodzie. Ale przecież następnie zamiar ten pierwotny doprowadził on do skutku — i studyum p. t. „Odsiecz Smoleńska", razem ze sporą wiązką nowego nieznanego materyału w języku niemieckim, jaki pułkownik odpisał własnoręcznie, ubiegłego lata, w archiwum gdańskiém, ja sam już oddałem p. Rembowskiemu, który też zamierza to wydać w jednym z następnych tomów wydawnictwa téjże „Biblioteki". Wydaniem zaś „Zbioru wiadomości i materyałów dotyczących artyleryi polskiéj" wyraził chętną gotowość zajęcia się p. Korzon, który też ma w swym dziale odpisów i „Zwycięstwo pod Libiszowem."

Na zamknięcie tego wspomnienia, to chyba jeszcze dodam, zwracając się już tylko do mego osobistego z nim stosunku:

Wyszliśmy obaj z pod jednakowéj strzechy, rozwijaliśmy się we wczesnéj młodości pod temiż samemi wpływami, potém—chociaż w różnych wielce warunkach—spotykaliśmy się wciąż przecie; ostatecznie,

rzuceni losem na „daleką Ukrainę”, staliśmy się, przez jakieś pokrewieństwo ducha, „ludźmi ukrainnymi” do tego stopnia, że ja poświęcając pułkownikowi ostatnią moją o Ukrainie pracę, mogłem śmiało nadpisać: „Niżowcowi z ziemi Bielskiéj Niżowiec ziemi Czerskiéj” — w któréj jam się urodził. Ale jako tacy „ludzie ukrainni”, wróciliśmy przecie na starsze lata ku swym gniazdom rodowym, ku głównemu ich ognisku, by tu już w ciszy złożyć kości swoje. On je już oto złożył, a—że był pełen zasługi, niechże mu ta ziemia mazowiecka będzie lekką.

Aleksander Jabłonowski.



Książki dla młodzieży.

Nowości literackie, przeznaczone dla młodocianego wieku, podzieliłbym na trzy grupy: 1) utwory osnute na tle dziejów naszych, 2) drugą—stanowią powieści fantastyczne, w znacznéj większości streszczane i tłómaczone z języków obcych, zwłaszcza z angielskiego, 3) trzecia grupa—o treści zaczerpniętéj z życia miast i wsi, często z życia małych bohatérów, którzy przez równych sobie czytelników z łatwością zrozumiani być mogą.

Zadaniem powieści historycznych jest obudzić zainteresowanie do do minionych chwil przeszłości, a zarazem pouczyć czytającego. Utwory fantastyczne, przygody rozbitków, poszukiwaczy złota lub podróżników porywają zazwyczaj czytelnika w nieznane i tylko w wyobraźni kréślone światy, wprawiając go w podziw lub zachwyt dla bohatérów, którzy w zapasach i z falami mórz, i z dzikimi ludźmi i zwierzętami zawsze wychodzą zwycięsko. Trzeci rodzaj pism ma podkład realny, fantazya tutaj pracować nie potrzebuje, natomiast rozszerzają one widnokrąg myśli, uczuć, a często i czynów małego czytelnika. Zadaniem tych utworów jest zapoznać młodzież z otaczającymi ją ludźmi i rzeczami, odkryć co pożyteczne, kazać pokochać, co kochania godne, zapalić wreszcie do czynów szlachetnych i budujących. Ten trzeci dział jest może najtrudniejszy, bo wymaga znajomości i talentu poglądowego traktowania rzeczy.

Wszystkie trzy rodzaje mogą pochwalić się utalentowanymi autorami.

I.

W wieku X-ym, w dawnych bardzo czasach — mowi autorka — (*Teresa Jadwiga.* Powieści historyczne „Przed świtem". Petersburg, nakładem Grendyszyńskiego, 1898, str. 169) odegrała się niejedna straszliwa tragedya nad Łabą, Hawelą i Wartą... Biédne plemiona słowiańskie ulegały niejednokrotnie przemocy cesarzów niemieckich... Smutny to okres, ciemny, jak te bory olbrzymie. — Na tém tle odtworzyła autorka powieść, przedświt ten nagradzając młodemu czytelnikowi snopami jasności, jaka za Mieszka I-go spłynęła na ziemie Słowian. A krzyż raz na ziemi Polan zatknięty miał uciszyć nawałnice najazdów i pogromów. Niestety!... za niskie instynkty i namiętności targały nienasyconą piersią władców niemieckich. Niejedno pole z ich przyczyny rzeką krwi spłynęło — a strumień ten dotrwał aż do Grunwaldu. Nie brakło i Słowianom panów mężnych i rozumnych, a takim jest Bolesław Chrobry. „Ludu mój, jam nie umarł; odszedłem tylko, by spocząć w tych górach, które kocham, lecz w spoczynku nie przestanę czuwać nad wami..." Ile uroku, miłości i poezyi kryją w sobie te słowa; jak ponętną i świetną wydała się autorce postać wielkiego króla! („Wielki król". Powieść dla młodzieży z czasów Bolesława Chrobrego, str. 226; jak wyżéj). Trafny wybór zrobiła autorka, dając młodzieży drugą z rzędu powieść historyczną, i—sądząc z napisu na książce — zamierza wydać całą ich seryę. A gdy raz z pomroki wydobyła swe opowiadania, spodziéwać się winna, że światła dalszych dobrze przez młodych czytelników zostaną przyjęte. Ma Teresa Jadwiga styl i język miejscami niepowszedni; tak np. w tomie I-ym obraz świtu rannego, boru i budzącego się w nim życia przypomniał mi księgę IV-tą „Pana Tadeusza", choć nikt mnie pomówić nie może o porównywanie pierwszego z „kniejami", do których „ostatni przyjeżdżał na łowy, ostatni król, co nosił kołpak Witoldowy!" lecz dla autorki taki cień przypomnienia jest wielką nagrodą. Również poetycznie skreślony został „dzień" na wstępie tomu II.

Całość nie pozbawiona zalet i starań o nie.

Przechodząc kolejno do następnych powieści na tle dziejowém, w pierwszym zaraz szeregu zamieścić wypadnie powieść z XV wieku p. t. „Jerzy Jaszczur Bażeński" przez *Z. Morawską* (Wydanie drugie. Warszawa, nakładem Gebethnera i Wolffa, 1898, str. 301). Treść utworu bogata. Za panowania Kazimierza Jagiellończyka w jednym roku zima była nadzwyczaj śnieżna. Jeno po dymach spostrzegłeś, że

pod tą masą śniegu stoją chaty... Z tego powodu nigdzie nie było wesoło, nawet na zamku JMC Pana Starosty Bielskiego... To też korzystając z chwilowéj pogody rozkazał pan starosta pocztowi swemu gotować się na łowy, ku wielkiemu zmartwieniu pani starościny i ośmioletniéj Lubochny, która napiérała się jechać z ojcem! Zaledwie myśliwi bramę zamkową opuścili, nawałnica się powtórzyła; lecz pan starosta nie myślał zawracać. Błądząc więcéj, niźli polując, natrafili na przysypanego śniegiem jeźdźca z koniem. Tym jeźdźcem był właśnie młodziutki, bo czternaście lat liczący, Jerzy Jaszczur Bażeński. Myśliwi przyszli mu z ratunkiem i po długiéj, uciążliwéj podróży zdołali dotrzéć do zamku. A tymczasem ojciec Jerzego zwrócił się z poszukiwaniami w stronę przeciwną, nie wiedząc o ciężko chorym synu, ktorym się pan starosta zaopiekował; miał jednak młody Jaszczur lepszą opiekunkę w osobie Lubochny, która na krok od łoża jego nie odstępowała... Wyzdrowiawszy, Jerzy po długich przygodach dostaje się w szeregi rycerskie, walczy mężnie i po kilku latach w nagrodę zostaje przybocznym króla, pojąwszy za żonę uroczą Lubochnę. Jeżeli do téj fabuły dodamy stronę historyczną powieści (którą z konieczności w streszczeniu opuściłem) złoży się całość zajmująca.

Z porządku chronologicznego zwrócić się muszę do „Opowiadań historycznych" *Maryi Świderskiéj* (Wydanie drugie,—jak wyżéj, str. 429). Akcya, pominąwszy opowiadanie p. t. „Ostatni Piast na Szląsku", toczy się w XVI, XVII i XVIII w. Wszystkie opowiadania trzymane w tonie poważnym, tęskne, wielką dla bohatérów i ich ziemi przejęte miłością, pouczająco przeprowadzają młodego czytelnika ze Szląska aż pod Chocim, pod smutną Cecorę.

„Ile wsi popalonych widzieliśmy, ile gruzów, a miejscami ziemia niby rdza czerwoną była, tyle się na niéj krwi wylało" („Poseł polski w Carogrodzie").

„Przygody Jana Chryzostoma Paska" (według jego pamiętników opowiedział *Jerzy Laskarys*,—jak wyżéj, str. 218). Ze względu na znaną treść pamiętników, zastanawiać się nad „Przygodami" nie widzę potrzeby. Pozostaje tu tylko strona opracowania, a tę w przeróbce swéj autor wykonał poprawnie i umiejętnie, opatrzywszy książkę życiorysem pamiętnikarza-rycerza, dzielnego towarzysza z pod chorągwi JMPana Czarnieckiego.

A jeśli chciałbyś, czytelniku, usłyszéć cośkolwiek o małych bohatérach, oto „Bitwa pod Raszynem" (Powieść historyczna dla mło-

dzieży przez *W. Przyborowskiego*. Wydanie drugie. Petersburg, nakładem K. Grendyszyńskiego, 1898, str. 235). Dzielny bohatér opowiadania, co przestrzegł przed Austryakami ks. Poniatowskiego, niezawodnie z tego rodu, co i Michałko, który dał znać polskim rycerzom o pobycie Karola Gustawa na plebanii, a potém w strzępach odzienia, boso—mężnie stawiał czoło Szwedom...

We wzmiankowanych powieściach historycznych zauważyć można: 1) wybór bohatérów trafny, 2) staranie o prawdę i ścisłość historyczną, połączone z szerszym rzutem oka na całość dziejów.

Zamieszczone we wszystkich książkach ilustracye uplastyczniają ważniejsze sceny.

II.

Pouczającą i zajmującą pracą wzbogacił *Władysław Umiński* dział powieści fantastycznych. Jego „Na falach Atlantyku" (Przygody rozbitków pośród oceanu. Warszawa, nakładem księgarni Dubowskiego i Gajewskiego, 1897, str. 206) porywa fantazyę czytelnika na niezmierzone przestrzenie wód, każe dzielić losy rozbitków i współczuć im w niespodziewanéj przygodzie, a którzy dzięki pasom korkowym przez dłuższy czas utrzymać się zdołali na falach, patrząc z rozpaczą na zatapiający się yacht; potém schronili się na cielsko nieżywego już wieloryba, przyczyny ich nieszczęścia... Po długich przygodach, jeszcze raz rozłączeni, znajdują ratunek na maleńkiéj wysepce, skąd na przepływającym obok parowcu powracają do ojczyzny.

Autor „Pzygód" znany jest z poprzednich prac oryginalnych i tłómaczonych.

Za wykonanie ilustracyi należy się uznanie wydawcy.

III.

Ostatnia serya książek dla młodzieży, to opowiadania z życia młodych bohatérów.

„W zaklętém królestwie" (Opowiadanie dla młodocianego wieku przez *Maryę Weryho* i *Stefana Gębarskiego*, —jak wyżéj, str. 166) Janek poznał „zaklęte królestwo", którém była dla niego przyroda, a korzyści, jakie stąd odniósł, były — oprócz wiadomości pożytecznych — zdrowie i siły wzmocnione przez życie, różne od dotychczasowego w mieście. Jankowi jednak chodzi głównie o podzielenie się

wiadomościami z „zaklętego królestwa” ze swym towarzyszem, do którego pisuje; o to samo chodzi i autorom książki, przestrzegającym czytelnika w sposób następujący: „...Nie czytaj więcéj dziennie nad jeden list Janka. A gdy, zamknąwszy książkę, zechcesz naśladować jéj bohatéra, który odkrył dla siebie „Zaklęte królestwo”, będzie to dla nas nagrodą za niniejszą pracę.”

Z życia szkolnego jest „Dzienniczek Brońci” (Powiastka dla dzieci przez *Władysława Kruka*. Warszawa, nakładem Paprockiego i S-ki, 1897, str. 137). Świat przez młodziutką uczennicę skréślony jest zajmującą lekturą dla jéj rówieśniczek.

Do poważniejszych należy „Plon” (Powieść dla młodzieży przez *Jadwigę Chrząszczewską*. Warszawa, nakładem M. Orgelbranda, 1898, str. 253). Korzystnie wyróżnia się on, jako utwór poważniejszy, któremu przystoi miano powieści. Napisany poetycznie, barwnie, językiem bogatym, tętni podniosłością uczuć i czynów, dając czytelnikowi wzór biédnego Stacha, który oparł się kuszącéj go nędzy, nie poszedł za złym podszeptem, gdyż byłby zginął niezawodnie, lecz szukał pracy, chociaż ciężkiéj, ale pracy, któréj ziarno wydało plon obfity i pożyteczny. Biédny chłopiec, wydostawszy się z karczmy, gdzie tułał się, jako siérota bezdomny, napotyka na drodze wieś, a w niéj ludzi dobrych i rozumnych, którzy go przyjmują. W pierwszym ich szeregu stają w powieści: panna Helena, nauczycielka, ze swą wychowanką i proboszcz miejscowy, którego — jak się potém okazało — Stach był bratankiem. Teraz pod księdza opieką rozpocznie on inne życie, zbiérając plon swych trudów, walk, swéj poniewierki i nędzy.

Taki jest szkic powieści znanéj autorki pism dla młodzieży; powieści téj należy się poklask. Choć autorka niezaprzeczenie najbardziéj będzie zadowolona, jeżeli młodzi czytelnicy zrozumieją myśl w jéj utworze zawartą, którą jest pragnienie dla wszystkich miłości, zgody i pokoju.

Ta trzecia i ostatnia zarazem serya opowiadań ze szkoły i z dworu ma autorów utalentowanych i powołanych w całém tych słów znaczeniu. Staraniem autorów jest przedewszystkiém odtworzenie prawdy życiowéj, wykazanie różnicy między złem a dobrem i zwycięstwa ostatniego. A jeżeli bohatérowie tych utworów są idealizowani — to nie za błąd, lecz za zasługę uważane być musi.

W zakończeniu, reasumując wrażenia z odbytego przeglądu wyż wymienionych prac, pozwolę sobie przytoczyć wiersz, który (zamieszczony i w „Plonie") zawiéra w sobie myśl tego, co sprawozdawca o książkach, a autorowie przez usta swych bohatérów powiedzićć chcieli:

„Szanuj, drogie dziecię moje,
W małém ziarnku przyszłe plony,
W małéj kropli przyszłe zdroje,
W szelągu miliony,
W każdéj myśli zaród czynu,
Życie w chwilce, co ucieka.
A sam w sobie szanuj synu
Przyszłego człowieka."

L. Rutkowski.



ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

Alkar. „Pierwsze czterolecie panowania Stanisława Augusta.“ Kraków, nakładem autora, 1897, tomów dwa, str. 420 i 360.

Zabiérając się do opisu pierwszego sejmu za panowania Stanisława Augusta, autor powiada: „Dzieje sejmu roku 1766-go, otwartego w dniu 6 października, znane są o tyle, że zbyteczne jest powtarzać w szczegółach c a ł k o w i t y ich przebieg (I, 151). Słowa te wskazują, jaki zakres i cel obrał Alkar dla najświeższéj swéj pracy; nie chodziło mu o odtworzenie wykończonego obrazu epoki, którą w rysach zasadniczych, znamiennych i uogólnionych przedstawili inni przed nim historycy; pragnął on jedynie uzupełnić istniejącą już naukową zasobność danego przedmiotu przez „zużytkowanie n o w y c h lub też dotychczas jeszcze n i e u w z g l ę d n i o n y c h materyałów". Jakież są te nowe i te nieuwzględnione materyały?

Do nowych, w pierwszym rzędzie, należy rękopis współczesny, pochodzący z biblioteki pani Z. S. Oskierczynéj; składa się on z 187-iu stronic *in folio*, „czytelném pismem wypełnionych", p. t. „Dyaryusz traktatowy, czyli komisyi pełnomocnéj od dnia 4 Novem. 1767 r. do 26 Febr. 1768 r. w Warszawie expedyowanéj". Do materyałów zaś nieuwzględnionych, lubo już drukowanych, zaliczone zostały tomy XX-ty, XXXVII-my, LI-szy, LVII-my i LXVII-my petersburskiego wydawnictwa „*Sbornik Impier. Russk. Istoricz. Obszczestwa*", tudzież przedostatnie trzy tomy „Historyi Rosyi" S. Sołowjewa i część pamiętników

Malmesbury'ego, „*Dyaries and Correspondance*" (wyd. 1846 r.), z czasów jego pobytu w Berlinie i przejazdu przez Warszawę do Petersburga.

W świetle tych świadectw i dokumentów autor prostuje niemało faktycznych twierdzeń, przyjętych lub utartych w wykładzie dziejów Polski z końca wieku XVIII-go, i sam we wstępie podnosi główniejsze z tych sprostowań. Tak np. Szujski w uwagach nad dziełem Sołowjewa „*Padienje Polszi*" utrzymuje, że ks. Repnin, przy zawiązaniu konfederacyi Radomskiéj, usunął na plan drugi sprawę dysydentów, natomiast, jako warunek główny poparcia, żądał „unieważnienia wyboru króla", gdy tymczasem akta autentyczne dowodzą, że o unieważnieniu takiém ani wtedy, ani w ciągu trwania konfederacyi mowy nie było — „i być nie mogło". W téjże pracy Szujskiego powiedziano, że zażalenia Radomian, przedstawione cesarzowéj, układane były w lutym 1767 roku, naprawdę zaś układano je dopiéro po przeniesieniu konfederacyi do Warszawy, na sesyi sierpniowéj 1767 r. Henryk Szmitt utrzymuje znowu w swych „Dziejach panowania Stanisława Augusta", że już w akcie zawiązania konfederacyi, 23 czerwca 1767 r., wojska postronnego mocarstwa uznane zostały za przyjacielskie i posiłkowe, kiedy tymczaczasem uznanie takie nastąpiło znacznie późniéj, w d. 3 października, drogą osobnéj uchwały, czyli t. zw. *sancitum*. W ogólności nawet tacy historycy, którzy dziejom konfederacyi radomskiéj najwięcéj miejsca poświęcili w swych dziełach, nie znali dokładnie aż dotąd ani aktu zawiązania się konfederacyi, ani jego daty i osnowy, ani nazwisk jego uczestników, ani też dróg, któremi Radomianie, przebierając się manowcami, doszli na skraj przepaści. W toku opowiadania zarzut ten uwydatnia się nader plastycznie, chociaż bez żadnéj już polemiki; sprostowania zaś schodzą niekiedy do szczegółów najdrobniejszych, napozór zupełnie podrzędnych. Sołowjew np. utrzymuje, że Stanisław August przesłał w darze cesarzowéj skrzynkę trufli już po swojéj elekcyi, tymczasem podziękowanie datowane 5 stycznia st. st. 1764 r. przekonywa, że przesyłka wyprzedza na ośm do dziewięciu miesięcy wybór króla (I, 30).

Zdarzenia opowiada autor zwięźle, lakonicznie, za lakonicznie nieraz, niemal aforyzmami, powstrzymując się od uwag i wyroków osobistych; wypadki wszakże są tak krzyczące, że odgłos ich sam się obija o mury teraźniejszości. Alboż może być co wymowniejszego od kilku przytoczeń z „Pamiętników" Malmesbury'ego, pisarza przychylnie usposobionego dla Polaków, który jadąc z Berlina do Warszawy wyznaje, że powietrze Rzeczypospolitéj orzeźwiająco oddziałało nań po długim i uciążliwym pobycie w dusznéj atmosferze dworu Fryderyka W-go,

pomimo że nigdzie nie spotkał błogich śladów wolności i samorządu,— wszędzie nędzę, upadek, spustoszenie i brudne gromady chłopów, gnieżdżące się z bydłem w nędznych lepiankach!... Z rozmów, wynurzeń, utyskiwań i skarg w Warszawie najbardziéj charakterystyczną zdaje się być pogawędka ze Stanisławem Augustem. „Ze wszystkich tych urządzeń, jakie zaprowadzić chciałem — biadał król dnia pewnego — nic dobrego dla kraju nie wyniknie. Przeciwnie, im bardziéj będziemy się starali wzmocnić i poprawić się, tém większa czeka nas niedola... Jedyną pociechą, jaka nam pozostaje, jest zamknąć oczy na nasze nieszczęście. Co mnie dotycze... — byłbym to wszystko do stu tysięcy dyabłów rzucił, gdybym się nie wstydził ucieczki z posterunku... Porwała mnie za sobą ambicya, pragnąłem dobić się do korony, pozyskałem ją — i oto jestem najnieszczęśliwszym z ludzi. Jestem ukarany tém, że czynię to, co czynić m u s z ę..." (II, 202). Prześliczna filipika! — ale co po niéj, skoro fakta mówią wręcz odmiennie. Wydawać taką masę pieniędzy, jaką Stanisław-August istotnie wydawał na najmarniejsze błahostki, żadnego musu nie było; wydawało się je przecież—i naturalnie, nie z pustéj ciągle szkatuły prywatnéj i nie z ogołoconego skarbca publicznego. Straszliwe wrażenie wywiéra z tego powodu proste zestawienie dwu dat: „Umiano należycie ocenić gorliwość Stanisława-Augusta, gdy w liście z dnia 10 sierpnia st. st. 1768 r. polecono wypłacić królowi sto tysięcy rubli, z uprzejmém pozdrowieniem... Tym sposobem, stosunki poufne, zawiązane we wrześniu 1764 roku, przez wypłatę, tytułem zachęty do przyszłych usług, sumy stu tysięcy rubli, zespoliła, we cztery lata późniéj, takaż kwota, ofiarowana jako wynagrodzenie za już s p e ł n i o n e, w cudzym interesie... słabostki" (II, 320).

Ze scen i obrazów, przepełniających dwutomową pracę Alkara, największe zajęcie budzą oczywiście sprawozdania z obrad i uchwał t. zw. Delegacyi traktatowéj, wysadzonéj do zawarcia ugody z Imperatową i „przywrócenia" Rzeczypospolitéj „praw dawnych". Korzystał tu autor obficie z rękopiśmiennego Dyaryusza pani Oskierczynéj i rzecz całą wyczerpująco opracował. „Po raz to pierwszy od powstania państwa polskiego i rzeczypospolitéj z tronem obieralnym grupa ludzi bez mandatu prawidłowego miała decydować w obradach tajnych nad najżywotniejszemi sprawami narodu... Listę członków, ułożoną uprzednio, odczytano na sesyi sejmu dnia 18 października (1767) i bez protestu zatwierdzono. Zatwierdzono nieograniczone dla nich pełnomocnictwo z klauzulą, że na sejmie wyznaczonym na d. 1 lutego 1768 r. wszystkie uchwały komitetu w czambuł przyjętemi zostaną. Regulaminu obrad, dla nadania uchwałom cechy legalnéj, nie ustanowiono.

Nie zawarowano ani zasady jednomyślności, ani większości głosów...“ (II, 122).

Że do Delegacyi, ukonstytuowanéj w ten sposób, weszli znani i otwarci jurgieltnicy, rzecz to naturalna; ale weszły téż i jednostki uczciwe, nieposzlakowanego charakteru: Michał ks. Czartoryski, sędziwy kanclerz litewski; Antoni Jabłonowski, wojewoda poznański; Roch Jabłonowski, kasztelan wiślicki; Stefan Giedroyć, biskup inflancki, kapłan wzorowéj cnoty; Tadeusz Burzyński, znany w literaturze prawniczéj wydawca zbioru uchwał sejmowych; Jacek Małachowski, referendarz koronny; Celestyn Czaplic, zacnéj pamięci marszałek z czasów sejmu 1766 r.; Michał Pac, starosta ziołowski, obywatel przekonań niezłomnych; Stefan Romer, chorąży trocki; Antoni Tyzenhauz, zasłużony podskarbi nadw. litew.; Piotr Bohomolec, pisarz witebski; Mikołaj Łopaciński, pisarz wielki litewski, i t. d., — „wszyscy obywatele cnotliwi, którzy do konfederacyi radomskiéj nie przystąpili byli, a którzy odwagą swoich przekonań, głośno na naradach Delegacyi pełnomocnéj wypowiedzianych, chlubnie swe nazwiska w dziejach zaznaczyli.“ Jakiemiż widokami kierowała się uczciwa ta mniejszość delegacyi, przyjmując mandat skazany zgóry na przeniewierstwo i hańbę? — „Podjąwszy się pod grozą zaszłych wypadków (uwięzienie, konfiskaty etc.) ciężkiego zadania, które napozór zadawało kłam ich przeszłości, ludzie ci uczynili to w nadziei, że uczestnictwem swojém cośkolwiek przynajmniéj dobrego zdziałają dla sprawy, któréj przez życie całe bronili, że będą przeciwwagą żywiołom szkodliwym, hamulcem dla rozkiełznanych namiętności i rozszalałego w swej bucie i aspiracyach do władzy warcholstwa...“ „Dla nas — dodaje autor — dla żyjącego pokolenia, które widziało niejednokrotnie najlepszych obywateli wchodzących w czasach najgroźniejszych na drogę polityki ugodowéj, — dla pokolenia, za którego czasów zrodziło się nieznane jeszcze ludziom XVIII wieku pojęcie i wyraz oportunizmu, przedstawia się polityka dwuznacznego owego napozór grona, jeśli nie usprawiedliwioną, to w każdym razie wytłómaczyć się dającą okolicznościami.“ A przytém, wśród morza goryczy i klęsk, jakie się z Delegacyi wylały w czasach dalszych, znalazło się na razie i parę także kropel istotnego pożytku. „Bezstronność wyznać każe, że nie jedna z uchwał Delegacyi dobroczynne krajowi przyniosła skutki, choćby tylko wspomniéć, że sprawa włościan polskich, w jednym przynajmniéj punkcie — odjęcia szlachcie prawa życia i śmierci nad poddanymi i przez bardzo praktyczne i rozumne uregulowanie niektórych stosunków dominialnych — doczekała się podówczas pomyślnego rozwiązania” (II, 123—125).

Na opłakany przewód sprawy dysydenckiéj, wymotywowany w dziele i opisany nader starannie, Alkar rzuca w przedmowie parę myśli zasługujących również na zaznaczenie. „Stając bezwarunkowo po stronie protestu lepszych jednostek społeczeństwa ówczesnego przeciwko narzuconym warunkom tolerancyi wyznaniowéj i obywatelskiéj, nie zadaje autor kłamu swoim przekonaniom, które w równości wszystkich obywateli na gruncie praw i obowiązków upatrują podstawę normalnego rozwoju ludzkości... Polska na schyłku XVIII wieku nie mogła była wcześniéj od państw innych wprowadzić do swego organizmu elementów równości obywatelskiéj wszystkich stanów i wyznań, gdyż zasady te znacznie późniéj zakiełkowały w Europie, pod wpływem kataklizmu dziejowego, sprowadzonego przez wielką rewolucyę francuską... Co zaś do interwencyi mocarstw postronnych, które do stosunków wewnętrznych rzeczypospolitéj, opartych na nierówności stanów i na przywilejach klasy rządzącéj, wprowadzić usiłowały zasady u siebie niepraktykowane, interwencya owa nie powodowała się bynajmniéj względami humanitarnemi..."

Najsłabszą stroną ze wszech miar na pochwałę zasługującéj pracy Alkara jest nieco za blade, za wiele rozcieńczone tło stosunków dyplomatycznych. Zajęty nadmiarem treści wewnętrznych dziejów upadającego kraju, autor jakby umyślnie zaniedbał nieco treść ich zewnętrzną, zagraniczną. Oparty wyłącznie — z natury samego założenia dzieła — na poszukiwaniach archiwalnych postronnych, historyk nie wszędzie się ustrzegł—o ile o tém recenzentowi sądzić wolno – od zbyt ostrego wycieniowania kontrastów, zachodzących jakoby w siódmém dziesięcioleciu XVIII wieku w widokach Rosyi i Prus na Polskę. Bezwątpienia, różniono się dość często w środkach, ale cel bardzo mocną i stanowczą wspólnością nacechowany został od samego początku. Gdzież szukać tego początku, gdzie go umieścić? — „W d. 6 (17) października 1763 r., niezwłocznie po przybyciu z Warszawy do Petersburga kuryera z wiadomością o zgonie Augusta III, odbyła się narada ministrów, na któréj postanowiono, jako zasadniczą w zamierzonéj akcyi podstawę, domagać się wyboru króla nie cudzoziemca, lecz z Piastów, człowieka takiego, któryby, przypisując swe wyniesienie na tron wyłącznie Rosyi, był jéj za to wdzięcznym, od niéj zależnym i w zupełności jéj interesom oddanym" (I, 2). Owóż, zasadnicza ta „podstawa" ma znacznie dawniejszy i nie wyłącznie petersburski autorament. W naradzie ministrów z d. 6 (17) października 1763 r. brali udział także i ministrowie pruscy, a wszyscy razem wcale nie potrzebowali zastanawiać się nad kwestyą, która wówczas od pólroku już była rozstrzygniętą bez apelacyi możliwéj. Rzecz tę w następujący sposób omawia

prof. Teod. Martens w „*Sobranii traktatow*", — źródle tak samo rzadko odwiedzaném przez dziejopisów naszych, jak i Sołowjew lub „*Sbornik*" petersb. Towarzystwa historycznego:

„Podejrzliwość i nieufność wzajemna, panująca w Berlinie i Petersburgu od wstąpienia na tron cesarzowéj Katarzyny, rozwiewać się zaczęła dopiéro pod koniec roku 1762. Pierwszą sprawą, która położyła podwalinę trwałéj zgody i zażyłości Rosyi z Prusami, była sprawa polska. W początkach roku 1763 cesarzowa rozkazała swemu ambasadorowi w Berlinie, księciu Dołgorukiemu, zażądać u króla audyencyi specyalnéj i spytać go, co myśli o ewentualném zastąpieniu króla polskiego Augusta III, którego zgon niedaleki jest prawdopodobnym. Król odpowiedział: „że na wypadek śmierci Augusta III gotów jest zawrzéć sojusz z cesarzową, jeżeli otrzyma przyrzeczenie, że tron polski nie dostanie się żadnemu z książąt domu austryackiego; jego królewska mość mniema, że najodpowiedniéj i najkorzystniéj byłoby posadzić na tronie rodowitego Polaka, Piasta." W liście z d. 15 lutego 1763 r. Fryderyk II-gi wyraził całkowitą swą zgodność z poglądami imperatorowéj, zakomunikowanemi przez Dołgorukiego. Cesarzowa przyjęła warunek postawiony przez króla pruskiego i oświadczyła, że Rosya nie będzie popiérała księcia austryackiego, o ileby Prusy, ze swojéj strony, przyrzekły nie popiérać żadnego z książąt francuskich; jednocześnie zobowiązała się cesarzowa wspiérać jedynie kandydaturę Piasta, rodowitego Polaka. Tym sposobem, gdy w październiku 1763 r. nadbiegła wieść o śmiérci Augusta III, Rosya i Prusy zgodnie się już zapatrywały na następstwo tronu opróżnionego w Polsce" (VI, 9).

Że takaż sama zgodność widoków, wyprzedzająca listownie lub ustnie o kilka miesięcy (czasem i o lat kilka) najrozmaitsze dyskusye formalne i postanowienia na papiérze, powtarzała się ciągle, stale, do końca,—rozwodzić się nad tém nie byłoby na miejscu. W każdym razie, to pewna, że ktokolwiek dziś zabiéra się do rozwikływania węzła odpowiedzialności dziejowéj w mniéj lub więcéj twardych zagadnieniach politycznych z końca wieku XVIII, niechybnie narazi się na zawód, ilekroć za wielką wiarę lub wagę przypisze aktom, o tyle o ile sekretnie wystawionym, za dni naszych wydanym na światło dzienne. Dziwiłożby to kogo, że szkopułów podobnych tu i owdzie ominąć nie zdołał taki nawet erudyta i znawca wieku XVIII, jak Alkar?

J. T. Hodi.

Ludwik Krzywicki. „Kurs systematyczny antropologii“. I Rasy fizyczne. Warszawa, 1897 r.

Turysta każdy, zwiedzając kraje europejskie i z pewną uwagą przypatrujący się spotykanym typom, dostrzega ze zdumieniem, że wśród narodowości o wybitnie swoistych rysach zdarzają się nader często osobniki zupełnie odmienne, przy jednocześnie dość znacznéj ilości typów pośrednich, niezdecydowanych. Szczególnie uderzającém staje się to zjawisko, gdy obserwujemy ludzi klas wyższych danego społeczeństwa, tak zwaną inteligencyę, ludność miejską, ogładzoną przez ogólno-europejską cywilizacyę. Siedzimy przy *table d'hôt*'cie w jednym z wielkich hotelów Nicei lub Monaco, wiemy, że mamy przed sobą, obok siebie, przedstawicieli najrozmaitszych narodowości; upewniają nas o tém ich nazwiska przeczytane z rana na liście przyjezdnych; ale teraz, gdy wszyscy mówią jednym językiem, francuskim, posługując się nim jak rodowitym, ani sposób odróżnić Niemca od Francuza, Serba od Szweda, Polaka od Włocha...

„Coś” jest wspólnego w fizyognomiach, w ruchach, w wyglądzie tych ludzi, jest jakiś czynnik, który wygładził, zobojętnił wybitne ich cechy narodowe, stworzył z nich jakichś ludzi przeciętnych, bezrasowych niemal, typy kosmopolityczne, ludzi cywilizowanych, mieszkańców Europy dzisiejszéj. Przyjrzyjmy się teraz wieśniakom zebranym w niedzielę przed kościołkiem wiejskim. Wszyscy oni z jednéj wsi pochodzą; ten sam szmat ziemi ich żywi, te same zwyczaje mają, jednakim ulegają zabobonom i przesądom, spokrewnieni są ze sobą w bliższych lub dalszych stopniach, a jednak widzimy wśród nich całą mozajkę najprzeróżniejszych typów: ten oto wysoki blondyn z jasnemi oczami jest ciotecznym bratem tego małego, krępego ciemnowłosego gospodarza, którego siwe oczy rzucają stalowe błyski. Jedni mają głowy podłużne, twarze wązkie, drudzy przeciwnie—głowy okrągłe, twarze szerokie. Przyjrzawszy się im uważnie, widzimy, że tu na tym małym kawałku ziemi zeszły się i zmieszały ze sobą rozliczne może typy rasowe, sprawiwszy to, że pod pozorną jednością wielka się kryje rozmaitość.

To, co przeciętny obserwator widzi i według swego, często mylnego sądu, subiektywnie ocenia, antropolog wykazać może ściśle i pewnie, uzbroiwszy się w zasób środków i metod badania, jakie mu jego nauka dostarcza. Rezultatem zaś tych badań jest to przekonanie, że współczesne nam narody są wynikiem setnych kombinacyi rasowych, setnych pokrzyżowań, powstałych z łączenia się ze sobą typów da-

wniejszych, już nie jednolitych. Antropolog, stając przed człowiekiem jako gatunkiem *homo* rzędu *Primates* (Naczelnych), ma to samo zadanie, jakie prowadzi zoologa botanika w jego poszukiwaniach: z jednéj strony idzie mu o wykazanie dokładnych cech morfologicznych każdéj grupy etnicznéj, zarówno jak o ich głębsze różnice anatomiczne, z drugiéj strony dąży on do wyszukania i określenia tych zasadniczych prototypów, z których przez krzyżowanie powstały narody dziejowe.

Zdobycze, jakiemi dotychczas poszczycić się może antropologia, nie są zbyt liczne; wypływa to przeważnie z tego faktu, że badania przeprowadzane w téj formie, jaką dzisiaj wiedza za konieczną uznała, poczęły się od niedawna, młodą bowiem nauką w ostatecznéj swéj postaci, jest antropologia. System badań antropometrycznych nie sięga daléj jak r. 1859, czasów Pawła Broca, twórcy współczesnéj antropopometryi. Niedawno rozpoczęte, niedosyć może liczne, aby upoważniały do ostatecznych wniosków, pozwoliły jednak nagromadzone dotąd materyały wypowiedziéć jeden niezbity pewnik: ras czystych, w pełném tego słowa znaczeniu, dzisiaj niema. Każdy naród najbardziéj z pozoru jednolity przy ściślejszéj analizie wykazuje pewne pierwiastki składowe. Prawo to stosuje się nie do dzisiejszych tylko narodów. Badania pozostałości przedhistorycznych przedstawiają takie same stosunki etniczne. Jest to zresztą zjawisko niezmiernie łatwe do zrozumienia. Każda walka, każda wędrówka plemienia stawiała je w obecności osobników innych szczepów. Kto zwyciężył, brał jako pogromca kobiéty z zawojowanego plemienia, jeżeli był pokonany, szedł jako niewolnik, kobiéty z jego plemienia ulegały przemocy silniejszych. Tak czy owak, krzyżowanie nastąpić musiało. A w owych czasach pierwotnych najazdy szły jedne za drugiemi, coraz to inne nadchodziły hordy; krzyżowania następowały w najprzeróżniejszych stosunkach rasowych. Prócz tego wśród wielu plemion istniał obyczaj obowiązkowego poszukiwania kobiét obcego plemienia.

Zwyczaj ten wytwarzał odrazu w łonie jednéj grupy ludzi niezliczone kombinacye połączeń etnicznych, których rezultatem ostatecznym musiał być wytwór jakichś „nowych ludzi", zupełnie odmiennych rasowo od swych prarodziców, ludzi którzy sami przez się już nową odmianę stanowili. Nakoniec, jeśli weźmiemy pod uwagę wpływ środowiska, warunki mesologiczne, znaczenie zjawiska aklimatyzacyi, różnice wywoływane w organizmie przez zmianę miejsc podczas wędrówek i emigracyi, — to dostrzeżemy, że aż zanadto wiele znajduje się przyczyn przy najpowierzchowniejszéj analizie, przyczyn uzasadniających zupełnie twierdzenie, że ras czystych nie ma, że narody dzisiejsze są produktem setnych skrzyżowań, wytworem niejako sztucznym, na któ-

ry się złożyły: krzyżowanie i wpływ zmieniający środowiska i aklimatyzacyi.

Ścisłą analizą warunków powstania typów narodowych dzisiejszych zajął się p. L. Krzywicki w niedawno wydanéj swéj antropologii.

Wśród nielicznéj, wogóle w prace źródłowe, naszéj literaturze naukowéj praca traktująca o antropologii jest prawdziwym białym krukiem. Najwięcéj to może zaniedbana u nas gałęź biologii, pole odłogiem leżące, na którém zaledwie czasami ukaże się jakiś pracownik.

Kiedy zbierając dane do literatury antropologicznéj polskiéj zgromadziłem wszystkie dzieła autorów Polaków, w dziale antropometryi, najważniejszym bodaj z całego obszaru antropologii, kilkanaście zaledwie prac znalazłem; [1]) od tego czasu niewiele też przybyło nowych rozpraw.

Z prac ogólniejszych, do nauki służących, mieliśmy jedynie „Antropologię" Taylora, będącą raczéj wstępem do etnografii, oraz parę niby popularnych dziełek bez wartości. Dlatego téż z radością powitałem ukazanie się pracy p. Krzywickiego, który z całą sumiennością i starannością zgromadził poprzednio liczne dokumenty w swoich „Ludach".

Obecna praca p. Krzywickiego nosi wyraźnie charakter dzieła o ogólnie etnograficznym podkładzie. Nie idzie tu autorowi o obznajmienie czytelnika z metodami i wstępnemi czynnościami antropologii. Przedstawia on tu tylko rezultaty badań, uogólnia wyniki, zestawia to, co przeróżni badacze dokonali. We wstępie powiada, że opuści zupełnie antropologię zoologiczną. Staje więc odrazu na gruncie czysto etnologicznym, dając przeczuć swe pragnienia i upodobania, mówiąc, że „antropologia etniczna czyni poszukiwania nad składem rasowym oraz rodowodem poszczególnych grup plemiennych, na jakie rozpada się ród ludzki, i nad wpływami, jakie ów skład wywiéra na zwyczaje i instytucye pojedyńczego narodu".

Uwydatniam te ostatnie słowa, gdyż w nich widzę niejako cel napisania pierwszéj części pracy p. Krzywickiego. Szło mu, jako etnografowi i socyologowi, o przygotowanie sobie materyału i dokumentów do następnych wniosków i badań, mających na celu rozbiór dziejów powstania i utrwalenia się przeróżnych instytucyi obrzędowych i zwyczajowych.

---

[1]) Patrz „Materyały do bibliografii antropologicznéj polskiéj". Wisła, Tom X, zeszyt II. 1896.

Jeśli będziemy się ściśle trzymać najgłębszéj istoty zadania antropologii, to przyznać musimy wśród wszystkich jéj działów pierwszeństwo antropologii zoologicznéj i antropometryi. Jedna pokazuje człowieka w stosunku do pozostałych istot organicznych, określając odległości i różnice budowy anatomicznéj pomiędzy nim a resztą stworzeń żyjących, druga bada człowieka rasy każdéj i określa wzajemny stosunek ras. Najwłaściwszém też zadaniem antropologii jest przedewszystkiém ustalanie cech każdéj odmiany rodu ludzkiego; dla tego też tak ważną jest antropometrya. P. Krzywicki opuszcza tę część jako wykład systemów badań, a bierze jedynie to, co zostało już zrobione, opuszcza też badania porównawcze, odrzucając element ściśle biologiczny, stojąc, jak już powiewiedziałem, na gruncie etniczno-socyologicznym. Cała więc jego praca jest szkicową analizą stosunków rasowych wśród ludów dzisiejszych, z rzutem oka na ukształtowanie ras przedhistorycznych; poglądów nowych, osobistych odszukać nie mogłem w pracy p. Krzywickiego. Jest to jednak niezmiernie pracowite zestawienie poszukiwań źródłowych wielu badaczy, wypowiedziane jasno, przystępnie, metodycznie i objaśnione bardzo udatnemi diagramami.

Natomiast u autora, jako poszukiwacza, przejawia się wielka dążność do cech opisowych, niepewnych, na niekorzyść danych ścisłych, pomiarowych. Niejasną więc jest tablica składu rasowego żydów, pełna nieścisłych, ogólnikowych, fantazyjnych określeń, czerpanych z obserwacyi pobieżnéj, „na oko" robionéj, niepopartéj badaniami antropometrycznemi.

Nie wiem, dla czego też najważniejsze znaczenie przypisuje nasz autor kraniometryi i pelwimetryi. Badania nad miednicą bynajmniéj do decydujących nie należą, nie są też nigdy nadzwyczaj charakterystycznemi. Należało przecież zauważyć, że wśród osteometryi badania nad proporcyonalnością części kości są najważniejsze, zarówno jak porównawcze studya nad wszystkiemi wymiarami i kątami pochyleń kości i jam.

Pokazawszy metody graficzne rozkładania nagromadzonego materyału pomiarowego i powiedziawszy słówko o wskaźnikach, przechodzi p. Krzywicki do rozpatrzenia składów rasowych typów czarnych, żółtych i białych.

Specyalnie interesującą nas analizę szczepu polskiego opiéra p. Krzywicki na nielicznych i niedostatecznych pracach Majera, Kopernickiego, Dudrewicza, Olechnowicza, swoich własnych poszukiwaniach i moich badaniach.

Bardzo słusznie utrzymuje autor, że tak zwane „rasy lokalne", powstałe z przeróżnych krzyżowań i pozostające w pewnych stałych granicach terytoryalnych, powinny być jaknajrychléj zbadane, czas bowiem, rozwój komunikacyi, a ztąd łatwość emigracyi i imigracyi działa rozkładająco, coraz więcéj zmieniając cechy antropologiczne tych ras miejscowych.

Zgodzić się też należy z tém zdaniem jego, że badania prowadzić należy koniecznie gminami lub parafiami, nie zaś powiatami. Każdy, kto się bezpośrednio stykał z tego rodzaju poszukiwaniami, wié doskonale, jakie duże różnice i odskoki znaleźć może na przestrzeni kilku wiorst, od jednéj wsi do drugiéj. Dla tych też powodów dane dotychczas zebrane, tak odnoszące się do Galicyi, jak do Poznańskiego, Królestwa Polskiego i Litwy, są bardzo powierzchowne i zaledwie grubemi, niepewnemi rysami zaznaczają nasze stosunki etniczne.

Dlatego też niezmiernie niepewne są tablice moje, które p. Krzywicki w pracy swojéj zamieścił, a które według uwagi jego dowodzić mają i stwierdzać ten fakt, że w Królestwie, zarówno jak w całéj Europie środkowéj, wzrost wysoki idzie zawsze w parze z jasnym kolorem oczu.

Praca moja [1]) najlepiéj udawadnia, czém są pomiary zbiérane na przestrzeni większéj, w obrębie powiatu.

Jedne w dość wielkiéj ilości obejmują kilka miejscowości danego powiatu, drugie zaś, w mniejszéj ilości zebrane dotyczą jedynie jednéj wsi, lub miasteczka. Rezultat zaś jest ten, że dają nieciągłe i zupełnie niepewne rezultaty, jak słusznie ocenił to p. Olechnowicz. Pomimo więc całéj sumienności w zbieraniu tych danych, rezultaty z nich wyciągane nie mogą być prawdziwe, zważywszy szczupłość miejsca ich pochodzenia w stosunku do obszaru, dla którego były uogólniane.

Te względy, które są jednolite dla prac innych autorów, za wyjątkiem może badań p. Zakrzewskiego nad wzrostem rekrutów, zkądinąd wadliwych, doprowadzają nas do wniosku, że absolutnie nic pewnego dotychczas powiedziéć o stosunkach etnicznych naszych nie możemy, a wszelkie wnioski w rodzaju tych, jakie wyciągał z prac swych p. Olechnowicz, są przedwczesne, tém więcéj, że badania kraniologiczne są u nas zaledwie zapoczątkowane.

Porzucając skład rasowy ludów dzisiaj żyjących, przechodzi p. Krzywicki do nieco pobieżnéj analizy ras w przeszłości. I tu widzimy

---

[1]) K. Daniłowicz-Strzelbicki. „Przyczynek do badań antropologicznych nad ludnością Królestwa Polskiego". Warszawa. 1896.

znowu całe szeregi warstw, setne skojarzenia się, typy w najprzeróżniejszych stopniach skrzyżowane, tak że uwydatnienie pierwotnych składowych pierwiastków wielkie napotyka trudności. Raz jeszcze więc tswierdzamy ten fakt, że pojęcie „rasy czystéj" jest terminem najzupełniéj abstrakcyjnym, wyobrażeniem jeno największéj przeciętności najogólniejszych cech w jednym typie.

O udowodnienie tego chodziło, zdaje się, p. Krzywickiemu, zarówno jak o przygotowanie sobie materyału do dalszych badań, etnologicznéj i socyologicznéj zapewne natury.

Obecna praca p. Krzywickiego daje czytelnikowi zupełnie wystarczające pojęcie o tém, jakie składniki rasowe wchodzą w utworzenie każdego poszczególnego narodu, tak w epokach przedhistorycznych, jak i dzisiejszych, pokazuje z jakich warstw skupiały się powoli te umówne, względne całości, które nazywamy narodami, a które częstokroć więcéj łączy wspólny byt polityczny, aniżeli istotne rodowe pokrewieństwo.

P. Krzywicki, pokazawszy z czego się każdy naród składa, opiérając się na pierwszéj części swéj pracy, będzie mógł swobodniéj studyować ewolucyę i kształtowanie się zwyczajów i instytucyi obrzędowych, zarówno jak postawić zarysy elementarne psychologii etnicznéj, co jest podobno jego zamiarem w przyszłości. Prędzéj więc etnologią jak antropologią w ścisłém słowa znaczeniu, jest ta jego praca.

Pominął on bowiem to, co bodaj istotą jest téj nauki, jéj część zoologiczną, dając jedynie rezultaty i uogólnienia, czy pewne? Autorowie sami, z których czerpał nie wieleby odpowiedziéć na to pytanie mogli.

W każdym jednak razie dobrze się zasłużył naszéj literaturze naukowéj p. Krzywicki swoją sumienną pracą, którą w rękach najszerszéj chciałbym widziéć publiczności.

Może téż pobudzi on nieco tę ospałość, jaka panuje u nas na polu antropologii, i zaciekawi ludzi do zajęcia się nauką, która przecież o nich mówi. *Kazimierz Daniłowicz-Strzelbicki.*

„Sprawozdanie Komisyi fizyograficznéj, obejmujące pogląd na czynności dokonane w ciągu roku 1895“, oraz „Materyały dla fizyografii krajowéj“. Tom trzydziesty pierwszy (z 2-ma tablicami). W Krakowie, nakładem Akademii Umiejętności, 1896 roku.

Trzydziesty pierwszy tom, streszczający działalność znanéj z gorliwości komisyi fizyograficznéj, zaczyna się, jak zwykle, od przeglądu jéj czynności w ciągu roku 1895/6.

Dowiadujemy się z tego sprawozdania, że stan materyału naukowego w Muzeum komisyi jest bardzo obfity i w miarę możności doprowadzany do porządku, kolekcyonowany i opisywany. Wszelako obawiać się prawie należy większego napływu zbiorów, a to z tego powodu, że szczupłe pomieszczenie Muzeum jest tak dzisiaj przepełnione, iż niezadługo nie będzie gdzie rozmieszczać okazów, które już dzisiaj zalegają w skrzyniach strych i sienie. Pracownia jest przytém nieopalana i nieoświetlona gazem, tak że w zimowe miesiące wszelkie w niéj prace muszą być przerwane, a przynajmniéj niezwykle są utrudnione.

Stan funduszów oraz spis członków komisyi dopełniają tego sprawozdania.

W części naukowéj znajdujemy niezmiernie ważny i interesujący szersze sfery publiczności program sekcyi rolnéj komisyi fizyograficznéj. Obszerny i bardzo umiejętnie opracowany plan badań, mających na celu przyjście w pomoc rolnictwu przez naukową ocenę przeróżnych właściwości gleby, zboża najodpowiedniejszego dla danéj okolicy, zaczyna się od ogólnego przedstawienia dzisiejszego stanu rolnictwa u nas i w Galicyi. Wychodząc z założenia, że w kraju naszym, który kiedyś był śpichlerzem Europy, jedném z najważniejszych źródeł bogactwa jest ziemia, autorowie „Programu" dochodzą do wniosku, że i dziś rolnictwo jest dla nas tém, czém było: „podstawą kultury kraju, głównym warunkiem, jeżeli nie dobrobytu, to przynajmniéj bytu miejscowéj ludności."

„Można więc twierdzić, mówią daléj, że praca nad postępem rolnictwa polskiego—to praca podjęta dla teraźniejszości i przyszłości kultury polskiéj." Postęp jednak rolnictwa naszego jest w bezpośrednim związku z lepszym wyzyskaniem warunków przyrodzonych kraju. To właśnie jest zadaniem sekcyi rolnéj komisyi fizyograficznéj.

Prace fizyograficzne, mające na celu dokładne zbadanie kraju, są zaledwie zapoczątkowane, te zaś prace, które dokonywano dotychczas, przedstawiają nierównomierność metod badań, są ze sobą nieporównywalne i wniosków z nich dla praktyki rolniczéj wyciągać nie można.

Powoławszy więc do swego grona przyrodników, rolników-fachowców i inne osobistości kompetentne, wypracowano plan badań, które się będą zbiérać przy pomocy fachowców chętnych, stacyi doświadczalnych, przez pośrednictwo odpowiednich kwestyonaryuszy.

Zasadę, którą się powodować należy, wyrazić można jak następuje: hodować, rozwijać i udoskonalać rodzime bogactwa kraju; starać się wynaléść te gatunki, rasy i rodzaje, które są dla danéj okolicy kraju najodpowiedniejsze, i te do hodowli polecić.

Wiemy dobrze, że, jeśli w jakiéj okolicy rośnie dziko pewna roślina, to hodowla szlachetnéj odmiany téjże rośliny uda się napewno. Daléj baczyć należy, aby wybór bydła był stosowany do właściwości gruntu i paszy miejscowéj. Ta nauka powinna się postarać o wykorzenienie tego tak powszechnego u nas błędu, że, jeśli zobaczymy u kogoś w innym powiecie, na innéj glebie, w innych warunkach hodowane bydło jakiéjś rasy, to kupujemy je natychmiast i staramy się przystosować do warunków zgoła dla niego nieodpowiednich. Temu wszystkiemu zaradzą prace nad fizyografią krajową. One podyktują hodowcy, co ma siać, co hodować, aby jaknajwiększy dla siebie wyciągnąć pożytek.

Badania więc takie bardzo rozliczne i obszerne objąć muszą wiadomości; podzielono je na następujące działy:

Dział I. Badanie gleby, poznanie składu ziemi drogą analizy chemicznéj i mechanicznéj, oraz badanie natury geologicznéj. Umożliwiłyby badania te wydanie krajowéj mapy geologiczno-rolniczéj, któréj brak dotkliwie uczuwać się daje.

Dział II. Badanie własności roślin uprawnych i ich chemicznego składu. Wiadomości stąd czerpane dadzą porównawcze dane co do wartości użytkowéj naszych roślin uprawnych, oraz rzucą pewne światło na skład i rodzaj gleby, w któréj rosną.

Dział III. Badanie siana łąkowego da nam analizy botaniczne siana łąkowego i potrawu.

Dział IV. Spostrzeżenia fenologiczne na roślinach zbożowych, leśnych i ogrodowych.

Dział V. Badanie rozsiedlenia panujących rodzajów dzikich drzew i krzewów owocowych, drzew leśnych i chwastów.

Oba te działy wyświetlą wiele kwestyi klimatologicznych oraz przyczynią się do ustalenia wyboru pod hodowlę odpowiednich gatunków dla danych miejsc.

Dział VI. Spostrzeżenia nad pasożytami i chorobami roślinnemi, które pozwolą określić, jakie klęski, jak często, w jakich miejscowościach i rozmiarze najczęściéj nawiedzają rolników.

Dział VII. Spostrzeżenia nad zwierzętami użytecznemi i szkodnikami zwierzęcemi będą miały z jednéj strony na celu dokładniejsze poznanie fauny krajowéj, z drugiéj strony pozwolą obmyśléć środki ochrony lub opieki nad odpowiedniemi gatunkami, a tępienia gatunków szkodliwych.

Dział VIII. Badanie krajowych ras zwierząt domowych, w szczególności bydła rogatego i owiec, ma na celu ustalenie hodowli bydła, szczególnie ras krajowych; badania te, pomiarowe po większéj czę-

ści, mają jeszcze i szersze znaczenie dla biologii, historyi, a nawet etnologii.

Badanie nad pierwotnemi rasami zwierząt daje przez przyrównanie wiele ciekawych wskazówek co do wędrówek, jakie różne narody odbywały. Przypomnimy tu że Werner na zasadzie badań nad rasami zwierząt domowych oparł swe twierdzenia o „wkroczeniu Burgundionów z południowéj Szwecyi do dzisiejszéj zachodniéj Szwajcaryi w czasie wędrówki narodów".

Adametz wyjaśnił, że „polskie bydło brunatne jest rasą hodowaną w Polsce od czasów przedhistorycznych, należącą do typu *Bos taurus brachyceros* i pokrewną rasie illiryjskiéj bydła, którą spotykamy w Bośni, Hercegowinie i Dalmacyi".

Takim jest w zarysie program badań sekcyi rolnéj, która wygotowała liczne, a wyczerpujące kwestyonaryusze. Sądzę, że prace jéj są dość ważne i zakres ich oraz tendencya zbyt poważnéj natury, aby nie obudzić powszechnego zadowolenia i usiłowań ze strony wszystkich w celu dopomożenia poznaniu kraju naszego.

Nie wiele miejsca mi zostało na omówienie bogatego dzieła „Materyałów do fizyografii krajowéj".

Dział meteorologiczny zawiéra wyniki spostrzeżeń, dokonanych w Galicyi w roku 1895-ym, zestawione pod nadzorem prof. d-ra Karlińskiego.

Widzimy tam daléj ciekawe wyniki spostrzeżeń magnetycznych, dokonanych w Krakowie w r. 1895 przez d-ra Wierzbickiego, tegoż „Grady w Galicyi", „Materyały do geomagnetyzmu w Tatrach" przez d-ra L. Birkenmajera, tegoż „Zapiski termo i hypsometryczne kilku źródeł tatrzańskich" oraz oznaczenie ciepłoty śniegu w zimie 1893/4 w Tarnopolu przez Władysława Satkego.

Dział biologiczny zawiéra d-ra Mieczysława Kowalewskiego „Materyały do fauny helmintologicznéj pasożytniczéj polskiéj".

Daléj widzimy obszerną pracę p. Józefa Nusbauma „Materyały do historyi naturalnéj skąposzczętów (*Oligochaeta*) galicyjskich".

Rozpocząwszy przeglądem prac z literatury zoologicznéj, dotyczących rodziny dżdżownic, podaje następnie dr. Nusbaum krótki opis organizacyi dżdżownic, poczém następuje ciekawy opis zbadanych przez autora gatunków.

Prof. Bronisław Gustawicz daje nam „Pomiary barometryczne", wykonane i obliczone w paśmie babiogórskim i przyległych północnych działach górskich.

Dr. Eustachy Wołoszczak daje pracę z zakresu flory zachodnio- i wschodnio-karpackiéj.

Przegląd fauny skorupiaków galicyjskich d-ra A. Wierzejskiego, w obszernym wstępie dotyczącym badań planktonicznych, rozbiéra dzisiejsze w téj mierze metody badań, poczém przechodzi do obszernego opisu wodnych skorupiaków galicyjskich, ozdabiając swą pracę wybornie wykonaną tablicą.

Wymienić jeszcze muszę prace: Józefa Paczoskiego „O nowszych i rzadszych roślinach flory litewskiéj" oraz d-ra W. Teisseyre „Sprawozdanie z badań geologicznych", przedsiębranych z ramienia wydziału krajowego w okolicy Rohatyna, Przemyślan i Bóbrki-Mikołajewa.

K. Daniłowicz-Strzelbicki.

NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

— *Władysław St. Reymont.* **Spotkanie.** (Szkice i obrazki. Warszawa. Nakładem Gebethnera i Wolffa 1897, str. 367). — Beletrystyka nasza ostatnich czasów posiada taką obfitość nowel, że zaledwie część ich bądź dla myśli w drobiazgach tych zawartych, bądź dla piękności stylu i języka, jakiemi się odznaczają, zdolną jest utrwalić się w pamięci czytającego. Wymagania wzrosły, a biada autorowi, który żadnéj z wymienionych zalet nie umiał dać swoim utworom. Czy je mają obrazki p. Reymonta? W dwóch pierwszych („Spotkanie" i „Cień") spotykamy męty ludzkich uczuć, pragnień, ideałów i myśli. Nie odmawiam prawdy obu utworom: bo kobiéta przerywająca swe życie dlatego, że nie kochając męża, miała kochanka i sprzykrzyła sobie kłamstwo, rozterkę i upadek, jak i druga udająca się na schadzkę z „nim", pozostawiwszy męża w smutku i niepokoju,—obie zapewne wzięte z życia, choć i fantazya równie dobrze sytuacye i bohaterki stworzyć mogła. Historyjka znana, omawiana często i na różne przerabiana sposoby, a dlatego właśnie szara, w treści smutna—i jak w powyżéj wymienionych nowelach — nie zajmująca. Obrazki te najsłabsze z całego zbioru, do których zaliczyłbym i trzeci, p. t. „Franek", opowiadanie o figurze nędznéj, acz nie pozbawionéj wyższych marzeń. Jako głównéj postaci utworu wyznaczył autor miejsca za skąpo. Smutny i krwawy poprostu jest obrazek, p. t. „Śmierć", gdzie córka przeklina konającego ojca, wyrzucając go do chlewa za to, że nic jéj z dobytku swego nie oddał, a zapisał „Tomkowi wszystko: piętnaście morgów, świnioki, statki, smaty". Nad już wymienionemi znaczną wyższość mają: „Oko w oko", „Suka" i „Tomek Baran". Znać w nich zamyślenie się autora

nad życiem, nad „przygiętą do ziemi karkami trzodą (?) ludzką, w bólu, w pocie, w znękaniu, h a ń b i ą c ą się w krwi wysiłków, h a ń b i e, podłości“. Spostrzeżenie smutne, acz prawdziwe, bo niewielu wybranych, którym dane jest żyć życiem piękna i zachować godność człowieka. Warunki bywają często straszne, że nie zmogą ich żadne wysiłki, a człowiek zwyciężony ani zastanowi się nad swą nędzą, nad tém, że goni za błędnym ognikiem szczęścia. W walce ciągłéj zapomina o wspaniałym ogromie wszechświata, potędze i piękności natury, do któréj kiedy się zbliży przypadkiem, kiedy stanie z nią „oko w oko”, gdy odetchnie zapachem lasów,—wypłaczena jéj łonie wszystkie bóle, zawody wszystkie, i nudę, i zniechęcenie, i gorycz wszystką” i odejdzie „mocnym na życie i mocnym na bóle, jak ta ziemia, która mu po raz drugi da życie” (str. 85). „Tomek Baran“, dziecię natury, nie był wolny od rozgoryczenia i rozpaczy. Lecz siła fizyczna pozwoliła mu w ciężkiéj pracy szukać zapomnienia o chwilowych kłopotach, w których poratowali go i sąsiedzi. Godne uwagi są rozmowy Tomka ze starą Jagustynką (str. 294). „Suka“—to satyra na złe pojęcia o wychowaniu i kształceniu dzieci.

Te trzy ostatnie szkice w powodzi innnych zawsze zdołają się utrzymać w pamięci czytelnika. A będzie to chyba wielką nagrodą dla autora i jego zasługą. Wynagradzają one tę biedną szarzyznę i banalność pierwszych (boć zdrady małżeńskie w beletrystyce doprowadzają nas do rozpaczy!), a utwierdzają w przekonaniu, że autor należy do utalentowanych. Strona opisowa góruje nad psychologiczną utworów.

L. R.

= *Stanisław Pilecki.* **Dzieje małżeńskie** (Powieść. Warszawa. Nakładem księgarni G. Centnerszwera 1898, str. 262).—Tadeusz Sieński pokochał młode dziewczę, a przekonawszy się o wzajemności uczuć, poślubił wybraną. Świat błyskotliwy, zabawy, stroje i rozrywki, połączone z bywaniem w świecie, hołdy i zabiegi mężczyzn odurzały trochę młodą i piękną kobiétę. Polubiła to życie rozrywek, których pragnęła mieć jaknajwięcéj. Nie przypuszczała, ażeby mogły się one komuś nie podobać, zasmucić kogoś, a zwłaszcza jéj ukochanego „Tadzia“. Lecz on właśnie stał się smutny, podejrzliwy i stanowczo posądzał żonę o utrzymywanie blizkich stosunków z jednym z przyjaciół. Wiedziony zazdrością pojedynkował się z mniemanym rywalem... Wreszcie, obojętniał... Kiedy zaś żonie przykrzyć się zaczęło życie dotychczasowe, kiedy zapragnęła zbliżyć się do męża i dzieci, — mąż odepchnął ją, sądząc się bardzo pokrzywdzonym a imię swe zbrukaném. Przekonał się wkrótce, że ona „czysta i nieskalana“... Było jednak za-

późno... Młoda kobiéta umiéra. Teraz dopiero zrozumiał Tadeusz, że nie był jéj „bratem (jak powinien), ale kochankiem, nie był człowiekiem, lecz samcem, nie zstępował do niéj, ale chciał ją złamać“. — I wspomniał słowa Tołstoja, wypowiedziane w „Sonacie Kreutzera“: „kobieta potrzebuje koniecznie, żeby mąż uwzględnił jéj dostojeństwo człowiecze“, a tego on w swym egoizmie uznać nie chciał. W rzeczywistości „Dzieje małżeńskie“ zdaje się powstały pod wrażeniem myśli wyż wspomnianéj, a przynajmniéj pokrewne są „Sonacie“. Przebija w nich łzawy smutek, przynoszący ze sobą zadumę. Powieść napisana poetycznie i językiem pełnym zalet. Zarzuciłbym tylko formę utworu: nieprawdopodobném jest, ażeby człowiek w tym stanie cierpienia, co Tadeusz, pobudzający swe stargane nerwy morfiną, przez trzy dni z rzędu opowiadał historyę smutną swego życia, jątrzył ranę, która go jeszcze bolała i która w końcu o śmierć go przyprawi. Dramatyczna scena wyznania żony: „jam czysta i nieskalana“, zepsuta niepotrzebnie napuszoną deklamacyą męża („nasunął mi się na myśl śliczny wiersz Aleksego Tołstoja, który tak nagle, acz nieudolnie, przetłómaczyłem jéj na język polski i wypowiedziałem wolnym głosem“, str. 233). Zwrot podobny razi czytelnika i psuje wrażenie. *L. R.*

= *Aleksander Mańkowski.* **Moja Helenka.** (Powieść współczesna. Petersburg. Nakład K. Grendyszyńskiego, 1897, str. 327). Gdy mamy do czynienia z pisarzem utalentowanym, który zdołał wyróżnić się wśród rzeszy literackiéj, mimowoli przychodzi chęć porównywania jego utworów, ilekroć wzbogaci on literaturę pracą nową. W tym wypadku jednak porównania być nie może, gdyż treść ostatniéj powieści autora „Pana Augusta”, p. t. „Moja Helenka”, na porównanie nie pozwala, nie mając z poprzedniemi nic wspólnego. Występują tu dwa światy: miedzianéj arystokracyi i sfery, któréj nie uznawali Tombakowscy, Najzilbrowicze, Maśliccy i inni, t. j. szlachty nie imponującéj urodzeniem. Jest jeszcze w powieści naszkicowany i trzeci świat arystokracyi rodowéj, ale pokazany został tylko dla tego, aby zaćmić, pognębić i ośmieszyć ostatecznie tych wszystkich „Tombakowskich”. Ogromnie bo chodziło autorowi o zrzucenie „tych państwa” z mniemanych wyżyn. Nawet młodziutki Lolo, ich przedstawiciel, dostaje od Marcinka Szarackiego policzek, który ma mu być przestrogą na przyszłość, że Szaracki ubliżać sobie nie pozwoli. Marcin Szaracki nie mozoląc się długo nad łaciną, po czterech latach pobytu w szkole, powraca na wieś, gdzie rozsądném gospodarstwem i zabiegliwością wzbogaca swą drobną posiadłość. Na balu u życzliwych mu hr. Roskalskich poznaje się (a raczéj odnawia znajomość) z piękną Heleną Maślicką, a czar, jaki rzuciła

na Szarackiego, każe mu starać się o jéj rękę, którą wreszcie z pomocą swych milionów otrzymuje, zwłaszcza, że Maśliccy schodzą na nędzarzy... Czuje się szczęśliwym. Inaczéj Helenka: „Z takim człowiekiem, z takim Szarackim musiała przebyć miodowy miesiąc, musiała udawać, że także jest szczęśliwą, kłamać i tłumić w sobie uczucie niesmaku". Rzeczywiście godna pożałowania jest ta kobiéta, sprzedająca się dobrowolnie za dach i chléb powszedni, ulitowawszy się nad rodzicami, których inaczéj ocalić nie mogła, dla siebie uląkłszy się nieznanéj walki o byt. W pustém i biedném jéj życiu rozrywką jest pobyt we Włoszech, który niestety na długo będzie jéj wyrzutem sponiewierania i złamania wiary, zwłaszcza że Rodryg-Emanuel, którego u siebie przyjmowała, był jéj obojętny. Dlatego w powieści upadek jéj przychodzi niespodziewanie, nagle, bez wymotywowanéj konieczności faktu, i wrażenia nie robi. Bez wrażenia mija i cały utwór, gdyż jest szkicowany tylko, bez pogłębienia i subtelnych opisów osób i charakterów; zwłaszcza że i „Tombakowskich" coraz mniéj, a ich miejsce zajmuje inna arystokracya, często śmieszna i nie smaczna przez chęć imponowania i poniewierania wszystkiém, co nie złoto. Pieczętuje się ona workiem, któremu to herbowi nic zarzucać nie można, jeżeli zdobyty został pracą uczciwą. W zakończeniu śmierć Helenki okupuje wszystkie jéj winy (właściwie ma Szaracka tylko jedną—romans z Rodrygiem), a ostatnie jéj słowa, pragnienia, troski i przestrogi—ażeby dzieci jéj nie zmarnowały życia—są pełne szlachetnych myśli: „...Mówcie im dużo, ciągle o Bogu"... Nie dziw, że Marcin nigdy już, nigdy żony nie zapomniał. *L. R.*

= Dr *Micheline Stefanowska.* **Les appendices terminaux des** dendrites cérébraux et leurs différents états physiologiques. Travail fait à l' Institut Solvay, 1897. Bruxelles 1897. — Praca panny Michaliny Stefanowskiéj, powyższy tytuł nosząca, jest niezmiernie ciekawym przyczynkiem do anatomii i fizyologii elementów nerwowych. Interesujące te poszukiwania poprzedza wstęp pióra prof. Pawła Hegera, nawiązujący nić łączności pomiędzy dawniejszemi poszukiwaniami a pracą panny Stefanowskiéj. Streszczać tu téj broszurki niepodobna ze względu na jéj ściśle specyalny charakter, pozwolę sobie tylko zauważyć, że dotyczy anatomii zakończeń gałązek nerwowych, w których, jak pierwszy zakomunikował to słynny hiszpański histolog Ramon y Cajal, istnieje znaczna bardzo ilość rozrostków kolczastych, które panna Stefanowska zupełnie zdaje się słusznie uważa za ostateczne zakończenie neuronów. Jak wiadomo, dzięki metodom barwienia preparatów mikroskopowych metodą Golgi i Ramona y Cajal, nauka dzisiejsza zmieniła zupełnie swe poglądy na

anatomiczną budowę i fizyologiczne funkcye narządów systemu nerwowego. Kiedy dawniéj przypuszczano ciągłość pomiędzy elementami nerwowemi, dzisiaj spostrzeżono tylko wzajemne zbliżenie gałązek końcowych przeróżnych elementów nerwowych. Praca panny Stefanowskiéj rzuca wiązkę nowego światła na tajemnice téj budowy, dając poważny materyał do niezmiernie ciekawych dedukcyi nietylko dla anatoma i fizyologa, ale dla psychologa i myśliciela. Wiele ciekawych zjawisk, jak sen, zmęczenie, anestezya narkotyczna, nowemi wzbogacą się szczegółami, z których nowe i pewniejsze od dotychczasowych powstać mogą teorye. Praca ta wykonaną została w Instytucie Solvay'a; napisana jest jasno i metodycznie, a dobre własnoręczne rysunki autorki pokaźnie gruntowną i zajmującą tę pracę ozdabiają. *K. D. St.*

= Dr *Jerzy Mycielski.* **Gaetano Chiaveri w Polsce i jego książka szkiców w Królewskim gabinecie rycin.**—Kraków, 1896, str. 23. Rozprawa ta, drukowana przed dwoma laty, złożoną została redakcyi „Ateneum" dopiero pod koniec roku zeszłego (1897) i dlatego tak stosunkowo późno o niéj wzmiankujemy. Treść zresztą zasługiwałaby na obszerniejszą ocenę w jakiémkolwiek czasopiśmie, specyalnie poświęconém budownictwu lub technice. Gaetano Chiaveri, głośny w końcu w. XVII architekt włoski, twórca drezdeńskiéj fary katolickiéj, objeżdżał w pierwszéj połowie wieku XVIII Polskę i rysował niemal to wszystko, co w swéj podróży uznał za godne zaznaczenia pod względem sztuki budowniczéj. Pamiętnik jego, złożony wyłącznie ze szkiców, bez żadnego tekstu, przechowuje się w Dreznie i nosi tytuł, dopisany na grzbiecie w późniejszym czasie: *Schkizzenbuch des G. Chiaveri.* Rysunki, robione piórem lub ołówkiem i w kilku miejscach lekko koloryzowane, są najzupełniéj pobieżne; kreślono je jak na kolanie, mimochodem lub mimojazdem. Artystę najwyraźniéj obchodzą przeważnie wybitne szczegóły przedmiotów oglądanych; podaje plany budowli, fasady kościołów, niekiedy ich wnętrza, poziome przecięcia pałaców, wiązania dachów, arkady balkonów, sylwetki grobowców, tablice nagrobkowe, ołtarze, stale, ozdoby mieszkań, obramowania drzwi, okien lub kominów, sufity belkowane, schody i t. d. Dr. Mycielski zamieszcza w swéj pracy dokładny spis tych szkiców, tudzież sześć reprodukcyi drzeworytniczych: dwór jakiegoś chorążego Opalińskiego, dwór wiejski murowany z wystającą facyatą i kopułą, pałac dwupiętrowy z fasadą na arkadach, plan presbyteryum w katedrze na Wawelu, przekrój tegoż presbyteryum i plan dwóch królewskich kaplic w podziemiach wawelskich. W końcu broszury autor zastanawia się nad wnioskami i przypuszczeniami, wypływającemi z oglądania drezdeńskiéj pamiątki po Chiaverim, usiłując

przedewszystkiém dowieść, wbrew twierdzeniom C. Gurlitta, autora dziełka, p. t. *Andreas Schlüter* (Berlin, 1891), że budowniczy włoski objeżdżał Polskę nie około r. 1700, lecz co najmniéj we 30 lat późniéj, oraz, że styl rysunków nie jest „przeważnie barokowy", lecz że to są głównie okazy „polskiéj architektury świeckiéj w saskiéj epoce".

St. Fiat.

= *Cezary Jellenta.* **Galerya ostatnich dni.** Wizerunki, rozbiory, pomysły. Kraków, 1897, in 8-o Str. 327. — W piśmiennictwie naszém pojawia się tak mało książek poświęcanych krytyce, że z prawdziwém zaciekawieniem bierze się do ręki każde nowe w téj materyi wydawnictwo, zwłaszcza gdy nazwisko autora wiele zapowiada. Cezary Jellenta, odznaczający się oryginalnością sądu i bystrością spostrzeżeń, znany przytém z wielkiego oczytania, zdaje się posiadać wiele kwalifikacyi na krytyka — brak mu wszakże jednéj, czego zresztą bynajmniéj nie tai. Oto nie umié zdobyć się na stanowisko bezwzględnie przedmiotowe, ma swe sympatye i antypatye, nie mogąc zaś ująć w cugle zjadliwości i polemicznego temperamentu, dotkliwie nieraz daje się we znaki tym, co nie znaleźli łaski w oczach jego. Nic byśmy nie mieli przeciwko temu, gdyby jedem zaprawiał pociski w miernotę wymierzone, lecz nieraz dostają się bolesne cięgi i tym, których sama powaga zasłużonego imienia już osłaniać powinna przed tego rodzaju traktamentem. Książka p. Jellenty składa się przeważnie z przedruków prac, pomieszczanych w czasopismach warszawskich, z ostatnich lat dziesięciu. Są to rzeczy niejednakowéj wartości; niektóre z nich, będące zresztą zupełnie na miejscu w odcinkach gazet, na przedruk stanowczo nie zasługiwały. Charakterystyka tyrolskiego malarza Deffreggera zbyt jest pobieżna, tego zaś rodzaju prace, jak „Festyn malarzy", „Na redutkach" itp., mające jedynie wartość efemerydy, nie przynoszą autorowi ani jednego listka do wawrzynu zasługi. „Prywatne stosunki" p. Jellenty z Muzą, ze względu na bezimienność, tracą znów większą część swéj wartości dla niewtajemniczonego czytelnika. Szereg trafnych charakterystyk rozmaitych typów naszych malarzy, zbiérających się w monachijskiéj Café Union, profan uważać musi jedynie za wytwór fantazyi autora. Resztę prac p. Jellenty, znajdujących się w „Galeryi ostatnich dni" stanowią rzeczy wartościowe, doskonale pisane. Przedewszystkiém wymienić tu należy studya o „Andriollim i Matejce", kreślone zwięźle, jędrnie i dosadnie, niewyszukanym lecz barwnym stylem, pozbawionym owych naciągniętych porównań, w które autor przesadnie zaopatruje inne prace swoje. Rzecz, pisana z wielkim talentem, nie jest wszakże wolna od niesmacznych gburowatych dodatków, przykry dy-

sonans stanowiących. Drobna, nie wyczerpująca przedmiotu, lecz trafna charakterystyka Taine'a również należy do plusów omawianéj książki. W szkicu „Kurzawa, Chełmoński i Gierymski" doskonale charakteryzuje Jellenta tych trzech artystów. Mówiąc o pierwszym, zatrzymuje się dłużéj nad znaną jego grupą „Mickiewicz budzący geniusza". Najjaśniéj skreślony jest szkic o Gierymskim, któremu autor zarzuca dobrowolne pozbywanie się intensywnego ducha i zbyteczne pasowanie się z sentymentem, gwoli przedmiotowości. Dla Brandta „szczerego artysty-poety z intuicyi i temperamentu, mało wypaczonych i sparaliżowanych ciasnemi kleszczowemi formułkami", ma on gorące uznanie, którego bynajmniéj nie kwestyonujemy. Trudno się wszakże zgodzić z p. Jellentą wtedy, gdy tego artystę nazywa „Szewczenką naszego malarstwa". A gdzież sz. krytyk dostrzega u Brandta rozgoryczenie i żądzę zemsty ukraińskiego wieszcza? Razi nas również dziwna sprzeczność w sądach o tym artyście, podobnież jak i o Wieruszu-Kowalskim, którego maluje bardzo pochlebnie, na innych zaś kartach swéj książki gromi za schlebianie gustom kunsthaendlerów. W rozprawie, p. t. „Świeże powiewy w sztuce", p. Jellenta daje próbę syntezy w zakresie malarstwa polskiego. Mówiąc o wybitniejszych dziełach malarstwa naszego z ostatnich czasów, dzieli artystów na: kolorystów, zwyrodniałych, swojskich i społecznych. Główną zaletę téj rozprawy stanowi szerszy pogląd na rzecz, spotykamy przytém bardzo wiele trafnych uwag. Rozprawa zasługuje na szersze omówienie, które w zwykłém sprawozdaniu nie da się pomieścić. Zamykający książkę artykuł „Galerya ostatnich dni" apoteozuje sztukę, która „zmusza do tworzenia dzieł z niewidzialnych dla zwyczajnego ogółu ziaren przyszłości i wymaga od dzieł tchnienia jutra zamiast biernego odtwarzania". Dążeniem téj sztuki, nazywanéj przez autora intensywną, jest opanowanie wszystkich wzruszeń, stanowiących istotę ludzką. Praca p. Jellenty jest pożądanym nabytkiem naszéj literatury krytycznéj, która w gałęzi sztuki dziwnie jest uboga. Gdyby nie doskonała dzieło Witkiewicza „Sztuka i krytyka u nas", musielibyśmy przyznać się ze wstydem, że nic w tym zakresie nie posiadamy, o reszcie bowiem krytycznych fabrykatów nawet wspominać nie warto. P. Jellenta, utalentowany w tym kierunku pracownik, ma tu piękne do popisu pole, lecz niech hamuje swój temperament, wystrzega się wybryków stylowych i nie tworzy takich dziwolągów językowych, jak: „Samoratunek", „postaciujący", „górołaz" i t. p.

— *Aleksander Maryan Jasieński.* **Współcześni powieściopisarze angielscy.** Szkice literackie. Warszawa. Teodor Paprocki i S-ka.

1897. In 12-o str. 212. — Wydawnictwa nasze, obficie zasilane przekładami francuskich powieści, w ostatnich dopiéro czasach zwróciły uwagę na angielską beletrystykę, wskutek czego powieściopisarze, których sylwetki znajdujemy w pracy p. Jasieńskiego, mniéj są u nas znani, niż autor pierwszéj lepszéj efemerydy francuskiéj. Bezwarunkowo najpopularniejszym jest u nas Rudyard Kipling, na co zresztą najzupełniéj zasługuje; w ślad za nim w jednym rzędzie kroczą Grant Allen i Tomasz Hardy, przed którymi wszakże autor ostrzega czytelnika polskiego, stawiając ich utwory i pod względem moralnym, i estetycznym, o wiele niżéj od powieści Zoli i Bourgeta. Hall Caine, prawie że nie znany u nas, zajmuje naczelne miejsce w książce p. Jasieńskiego. Zestawiany przez krytyków z Wiktorem Hugo, jest „malarzem obyczajowym, uwydatniającym wszystko, co tylko może być godne uwagi w hrabstwie Cumberland i na wyspie Man. Z dzieł jego wieje fanatyczna miłość do swego zakątka rodzinnego, a przytém nie mniéj potężnie drga miłość Boga i cnót w życiu domowém i publiczném. O żadnym czynniku życia indywidualnego i społecznego nie zapomniał w swych pracach. Szkoda tylko, że Caine pisze zanadto seryo i stara się pominąć komiczną stronę przytaczanych epizodów. Ta powściągliwość posunięta jest aż do purytanizmu”. Pan Jasieński wylicza i charakteryzuje wybitniejsze powieści Hall'a Caine'a: „*The Shadow of a Caine*”, „*A son of Hagar*”, „*The deemster*”, „*The Boadman*” i „*The Mauxman*”. Ostatnia z tych powieści powinna nas interesować, choćby z tego względu, że powstała na tle naszych stosunków. Uproszony w r. 1892 przez londyńskie towarzystwo żydowskie, ażeby zwiedził Polskę i Rosyę i zbadał tamtejsze ich współwyznawcze stosunki, Hall Caine spędził parę miesięcy w Krakowie i osnuł utwór swój na tle miejscowém; w ostatniéj wszakże chwili powieść przerobił i przeniósł akcyę z Polski na lepiéj mu znaną wyspę Man. Ze szkicu poświęconego Rudyardowi Kiplingowi dowiadujemy się przedewszystkiém, w jaki sposób z ośmnastoletniego pomocnika redaktora podrzędnéj indyjskiéj gazetki „*Civil and Military Gazette*” wyrósł najznakomitszy może współczesny nowelista. W chwilach wolnych od gorączkowéj dziennikarskiéj pracy, pisał poezye i tworzył te prześliczne obrazki, które zebrane w tom, p. t. „*Plain Tales from the Hills*”, w przeciągu paru miesięcy zdobyły mu sławę. Jakiém uznaniem cieszy się Kipling w swéj ojczyznie, dowodzi choćby to zdanie, wypowiedziane o nim przez A. Langa, wytrawnego krytyka angielskiego: „Gdy stracimy Indye, gdy tam, gdzie my rządziliśmy, kto inny rządzić będzie, gdy panowanie nasze pójdzie śladem panowania Mongołów, przyszłe pokolenia nauczą się z dzieł Kiplinga,

jakiemi były Indye za czasów panowania tam Anglii". Pan Jasieński w pracy swéj zaznacza to, że Kipling, jako poeta, stanowić będzie nową epokę w literaturze anglo-amerykańskiéj, od niego bowiem datować się będzie zwrot dążący do federacyi państw, w których język angielski jest panujący, bo myśl tę geniusz jego wprowadził do poezyi po raz pierwszy. Mówiąc o Grant Allenie, będącym w jednéj osobie literatem i dziennikarzem, p. Jasieński piętnuje iście kamelenową zmienność jego przekonań. Autor ten stosuje się najzupełniéj do wymagań wydawców: w postępowych wydawnictwach jest postępowcem, w konserwatywnych—zachowawcą, w popularno-religijnych—religijnym i moralnym. To ostatnie wszakże nie przeszkadza mu bynajmniéj propagowania filozofii hedonizmu, polegającéj na wyczerpaniu z życia wszystkich przyjemności, jakie dać może. Przytém Grant Allen jest wyznawcą wolnéj miłości. Pokrewnym jego duchem jest Tomasz Hardy, zaliczany przez krytyków angielskich do przeciwników małżeństwa i propagujący tę tendencyę w swych powieściach. Pochodząc z ludu, z wielkim wdziękiem i prostotą opisuje życie wieśniacze. Niezrównane są jego wiejskie krajobrazy i plastycznie kréślone postaci dziewcząt wiejskich i parobczaków. Autor nie należy widać do wielbicieli talentu Hardy'ego, to téż oddając mu sprawiedliwość, nie mówi jednak o nim z takim entuzyazmem, jak np. o Kiplingu. Książka p. Jasieńskiego wypełnia dotkliwą dla wielbicieli angielskiego piśmiennictwa lukę. Jest napisana sumiennie i ze znajomością przedmiotu, radzibyśmy tylko spotkać się w następnych jego pracach z jędrniejszym, niż wobecnéj, językiem.

= *Marya Konopnicka.* **Dym. Nasza szkapa. Głupi Franek.** Z ilustracyami S. Sawiczewskiego. Nakład Gebethnera i Wolffa. Warszawa i Kraków, in 16-o, str. 229. — Życie maluczkich i wydziedziczonych, ich bóle, troski i niedole — to zwykła kanwa z serdeczném ciepłem kreślonych i opromienianych wielką miłością obrazków Maryi Konopnickiéj. W świéżo wydanym w „Biblioteczce Ilustrowanéj" cyklu nowel poetka nasza zniża lot swój ku ziemi i prowadzi nas przez ten padół, na którym takie nieraz rozgrywają się tragedye. Pierwszy obrazek „Dym" jest właśnie jedną z takich „zwyczajnych" tragedyi. Matka z gorączkową niespokojnością przez dzień cały oczekuje jedynego syna, zajętego w fabryce, a oczekując, patrzy na dym, kłębiący się z fabrycznego komina. I raz, kiedy chłopiec jéj wyszedł, tak jak zwykle, „rzuciło się w niéj serce jakimś nagłym przestrachem" — a w parę godzin potém huk straszliwy wraz z okrzykiem: „kotłowy, kotłowy zabity!" którego może i nie dosłyszała, obwieścił skamieniałéj z bólu kobiécie,

że ukochany chłopiec jéj i dziś i nigdy już z fabryki nie powróci. Drugi z obrazków, zatytułowany „Nasza Szkapa", jest bezwątpienia najpiękniejszym z trzech zawartych w tomiku. Choroba żony wpędza w biédę rozwoziciela piasku i zmusza do powolnego wyprzedania skromnéj chudoby. Pozostaje główne źródło zarobkowania, jedna ulubiona szkapa, lecz i téj w końcu pozbyć się trzeba. Ojciec—piaskarz coraz bardziéj upada na duchu, matka z dniem każdym słabnie coraz więcéj, na humorze nie zbywa jedynie dzieciakom, nie zdającym sobie sprawy z całéj grozy położenia i rozbawionym tém właśnie, że w izbie coraz to nowa ukazuje się pustka. W obrazku „Głupi Franek", staje przed naszemi oczami los odmieńca-sieroty, co to nie wiadomo skąd nad rzeką wyrósł i od dziecka, przez wieś całą wyśmiéwany, chodzi jak prorok po drogach i gada z ziemią i z niebem, z ogniem i z wodą. Ludzie nie zdają sobie sprawy ze słów jego, słuchają go wszakże pilnie, gra im bowiem na strunach dusz. A im bardziéj go oni lekceważą, tém silniéj zapala się „Głupi Franek" i, odlatając myślą od ziemi, z wiatrami gada, wzrusza ramionami i idzie ku rzece do czółna, w którém kładzie się każdego wieczora, a podnosi się każdego ranka. O zaletach pióra Konopnickiéj mówić nie potrzebujemy. Dawno nie mieliśmy w ręku książki, któraby mieściła tyle poezyi w prozie.

Ar. Les.

= **Książka zbiorowa** ku uczczeniu **Adama Mickiewicza** w stuletnią rocznicę urodzin poety. Petersb., 1898, *in 8-vo*, str. 218. Nakładem K. Grendyszyńskiego. — Jest to ścisły przedruk działu literackiego N. 46 „Kraju" z d. 26 listopada 1885 r., wypełnionego pracami poświęconemi wyłącznie pamięci Adama Mickiewicza, dla uczczenia trzydziestéj rocznicy jego zgonu, naówczas właśnie przypadającéj. Szczęśliwym nazwać należy ten pomysł wydawcy zebrania w jedną całość wszystkich tych prac témbardziéj, że pomiędzy niemi znajduje się niejeden cenny przyczynek do charakterystyki poety, który na długo uwiązłby w bibule dziennikarskiéj. Czyż dziś, kiedy na wszystkich ustach znajduje się imię Mickiewicza, nie należało wydobyć na światło tego, co o nim z osobistych skréślili wspomnień: Bogdan Zaleski, Teofil Lenartowicz, Karol Brzozowski i T. T. Jeż? Czyż praca Spasowicza, byronizmowi Mickiewicza poświęcona, nie powinna była być przypomniana czytającemu ogółowi? A ileż innych ciekawych artykułów znajdujemy w téj „Książce zbiorowéj"! Léger, Morfill, Połoński i Zipper opowiadają, w jaki sposób i dzięki czyim zasługom rozpowszechniły się pisma poety w francuskiém, angielskiém, rosyjskiém i niemieckiém piśmiennictwie. J. I. Kraszewski pisze o pomniku dla poety,

W. Bełza — o Maryi, H. Biegeleisen — o pobycie Mickiewicza w Paryżu, Jerzy Brandes — o „Panu Tadeuszu”, Mahrburg — o poglądach wieszcza na wszechświat, Mickiewicz Wł. — o przepowiedniach swego wielkiego ojca, Bolesław Prus — o „Farysie”, Tretiak — o poezyi polskiéj po Mickiewiczu, Tokarzewicz — o jego wykładach w Collège de France. Niezwykle ciekawe są również prace Budrysa, Jelskiego i Franki, omawiające przekłady z Mickiewicza na pobratymcze nam języki: litewski, białoruski i rusiński. Czytając rozprawkę p. Franki, przed dwunastu laty skréśloną, a owianą wielkiém i szczerém dla naszego poety uznaniem, niktby się nie spodziéwał późniejszego wystąpienia tegoż p. Franki, który z wielbiciela stał się oszczercą Mickiewicza. — „Książka zbiorowa” mieści również przedruki i autografy takich pamiątek, jak: akt zejścia, metryka urodzin i chrztu, ostatni list poety, ostatni dokument paryski przezeń podpisany i zaproszenie na pogrzéb. *Kimont.*

= **Lira polska.** Tomik IX. Ułożył *Or-Ot.* Warszawa, nakładem księgarni G. Centnerszwera, 1898, in 16-o, str. 172 i III. — Jest to zbiorek utworów współczesnych poetów, bez żadnego planu ułożony. W jednym szeregu stają młodsi obok starszych, niosąc nie to, co najbardziéj twórczość ich charakteryzuje, lecz te płody natchnień swoich, na które wydawcy przypadkowo udało się natrafić. Cała książeczka robi wrażenie dorywczości i chaosu. Spotykamy w niéj poezye: Tetmajera, Nitowskiego, Nowińskiego, Glińskiego, Jasieńczyka, Orłowskiego, Nawrockiego, Rydla, Kośmińskiego, Łętowskiego, Or-Ota, Waśniewskiego, Bożydara, Kuczyńskiego, Bartosówny, Kutyłowskiego, Podwysockiego, Miriama, Szujskiego, Lenartowicza, Zmorskiego, Gomulickiego, Langego, Selima, Gawalewicza, Merzbacha, Ilnickiéj, Czerwińskiego, Terpiłowskiéj, Rutkowskiego, Czesława, Lama, Pługa, Liedera i Kraszewskiego. — Wiersz Lenartowicza „Pamiętaj!” nie powinien był się znaléść w téj antologii, jest bowiem przekładem z Alfreda de Musset; należało przynajmniéj to zaznaczyć, ażeby czytelnika w błąd nie wprowadzać. *Ar. Les.*



KRONIKA MIESIĘCZNA.

Ustał gwar zapustny. Wzrastał on stopniowo przez kilka tygodni, aż doszedł nareszcie do punktu kulminacyjnego, na którym długo utrzymaćby się nie mógł. Bawiono się nieustannie, bawili się miejscowi i przyjezdni, bawiono się po domach prywatnych i na balach publicznych, bawiono się na wieczorach, na których rozpowszechnionym w Warszawie zwyczajem zaczynano tańczyć przed północą, i na podwieczorkach, rozpoczynających się o siódméj. Bawiono się tak, jak się bawią w mieście, które ściąga gości z ogromnych obszarów, w mieście, w którém życie towarzyskie stanowi ostatecznie największą okrasę pobytu i w którém nawet obcy łatwiéj dobierze sobie odpowiednie towarzystwo, niż gdziekolwiek indziéj. Warszawa ma warunki życia towarzyskiego niezależne od chwilowego usposobienia mieszkańców, lub od chwilowéj konjunktury dla miejscowego handlu i przemysłu. Karnawały warszawskie nie znikną tak prędko z horyzontu, bo rękojmią ich świetności jest ów prąd dośrodkowy, który co roku gromadzi nad Wisłą tyle żywiołów pragnących zbliżenia, tyle młodzieży, szukającéj zabaw i tyle zapasów pieniężnych, przeznaczonych na rozrywki.

Warszawa zawsze lubiła hulać, a dziś nie zanosi na to, żeby z tą tradycyą zerwała. Trudniéj byłoby odpowiedziéć na pytanie, czy bawi się dziś rozsądniéj, niż dawnemi laty i czy ów zmysł praktyczny, którym wiek nasz chełpić się lubi, udoskonalił i uprościł mechanizm zabaw naszych? Nie sądzimy, żeby sumienna odpowiedź brzmiała bardzo pomyślnie. Jest rzeczą niewątpliwą, iż wiele zmieniło się na lepsze.

Niejeden mur chiński, dzielący społeczeństwo na sfery, niewiedzące o sobie, zachwiał się i popękał, ale obok błogosławionych następstw téj niwelacyi ogólnéj występują na jaw następstwa inne, którym opędzić się trudno. Wyrównywa się stopień wykształcenia powszechnego, wyrównywa się stopień ogłady, ale równocześnie wyrównywa się także stopień pożądań i zachcianek. Współzawodnictwo jest jedném z najwyraźniejszych znamion naszéj cywilizacyi dzisiejszéj. Jest ono bodźcem, podniecającym jednostki do niesłychanych wysiłków, zaostrza głód i pragnienie i zmusza do pracy dla zaspokojenia nieokiełzanych potrzeb, ale będąc siłą dobroczynną i płodną, staje się równocześnie straszną plagą dla tych, którym nie starczy sił na zdobycie miejsca przy wspólnéj biesiadzie. Minęły czasy, w których ambicya zwykłego śmiertelnika nie sięgała po za kopce rodzinnéj wioski, lub po za ściany ojcowskiego warsztatu. Świadomość równych praw przenika wszystkie warstwy i budzi równe aspiracye. Coraz trudniéj odmówić sobie czegoś, czego nie potrzebują odmawiać sobie inni. Coraz łatwiéj dać się uwiéść złudzeniu, że możemy pozwolić sobie na te same, upodobania i nawyczki, na które pozwalają sobie sąsiedzi, znajomi lub krewni.

Technika życia nowożytnego ułatwia nam tysiącznemi sposobami wejście na tę niebezpieczną drogę, po któréj nieznacznie dochodzi się do ruiny. To, co przed stu laty było niedostępne dla mniéj zamożnych, jest dziś napozór tak bliskie, tak uchwytne, tak tanie! Zbyt często zapominamy, że to pozorne ujednostajnienie form bytu jest w wielu wypadkach ułatwieniem nie dla uboższych, lecz dla bogatych. Magnat, który sto lat temu puszczał się dworno i strojno w drogę do Warszawy, wydawał na tę podróż pięćset razy tyle, co chudopachołek, jadąw ślad za nim skromną dryndulką. Na obiedzie u dygnitarza podawano frykasy zamorskie, nieznane nawet z nazwy niejednemu z gości. Dziś wszyscy jedziemy tym samym pociągiem kolei, a jak łatwo ulegamy pokusie, jechania tą samą klasą! Dziś znamy wszyscy smak rzadkich win i potraw, a jak często zapominamy, że nie dobrze jest oswajać się z ich smakiem. Im bardziéj ustala się przeciętny poziom życia, tém łatwiejsze staje się ono dla tych, których środki wyrastają ponad miarę przeciętną, tém częściéj odmawiać sobie muszą niejednego ci, których zasoby nie dorastają téj miary.

Oddawna wiadomo, że żyjemy nad stan. Panowanie nad sobą, odmawianie sobie, kierowanie się nie zachciankami, lecz rachunkiem i wolą nie są to nasze cnoty. Wszyscy marzymy o wspólnéj skali wydatków, a skala ta podnosi się dziś zwolna, niepostrzeżenie, lecz stale. Rosłaby jeszcze szybcéj, gdyby szał karnawałowy trwał dłużéj, gdyby

wraz nim chęć popisywania się wystawnością i dostatkiem obejmowała coraz dalsze kręgi. Na szczęście, po tłustym wtorku idzie wstępna środa.

Wśród największego rozochocenia wyczytała Warszawa w dziennikach wiadomość, że kwestya zaprowadzenia samorządu miejskiego w Królestwie Polskiém została w zasadzie rozstrzygnięta. Miasta nasze będą obdarzone instytucyami autonomicznemi, które funkcyonują w Cesarstwie. Rzecz oczywista, iż nie przesądza to jeszcze ani o terminie zaprowadzenia téj reformy, ani o modyfikacyach ustawy, która, przeniesiona z Cesarstwa do nas, trafiłaby tu na grunt odmienny. Dziś powiedziéć tylko można, iż nadeszła pora zaznajomienia się przynajmniéj w teoryi z organizacyą obejmującą miasta, położone tuż za Niemnem i Bugiem.

Samorząd gminny to przywiléj i ciężar zarazem, to narzędzie, które w ręku ludzi rozumnych i doświadczonych może oddać społeczeństwu usługi ogromne, ale zarazem nieustanna próba dojrzałości zbiorowéj i wiecznie odsłonięte zwierciadło sumienia obywatelskiego.

Władze autonomiczne miejskie posiadają według obowiązującéj dziś ustawy rozległe pole działania i obfite stosunkowo środki, któremi posługiwać się mogą. Mają one w ręku zarząd majątku gminnego, a zarazem służy im prawo pobiérania podatków na potrzeby gminne, przewidziane i określone przez prawodawcę. Do zakresu ich czynności należy utrzymywanie w należytym stanie ulic i placów, zakładanie ogrodów, zaopatrywanie miast w wodę i oświetlanie tychże; spada na nie piecza o ubogich, walka z żebractwem, troska o szpitale i zakłady dobroczynne, a w parze z tém idzie obowiązek, czuwania nad zdrowotnością miasta, oraz dostarczania pomocy lekarskiéj i weterynarskiéj. Czuwają one nad racyonalném zabudowywaniem się miasta i nad ubezpieczeniem ruchomości miejskich od pożaru. Obowiązkiem ich jest wreszcie starać się o szerzenie oświaty, co im w wysokim stopniu ułatwił prawodawca przez zapewnienie udziału w zarządzie szkół miejskich; akcyę na tém polu ma wspomagać zakładanie bibliotek, muzeów i teatrów. Ważny nadto dział czynności zarządów autonomicznych stanowi opieka nad rozwojem handlu i przemysłu, nad giełdą i instytucyami kredytowemi.

Zakres, jak widzimy, rozległy. Obejmuje on administracyę właściwą, a obok niéj oświatę, dobroczynność, zdrowotność, życie artystyczne, a nawet obroty pieniężne i towarowe. W takich warunkach kilka lat rozumnéj gospodarki może zdobyć członkom zarządu długotrwałą wdzięczność współobywateli, a miastu niecocenione dać korzyści.

W przeciwieństwie do organizacyi gmin wiejskich w Królestwie, skupiającéj w zebraniach gminnych źródło wszelkiéj władzy, prawo wydawania uchwał i kontrolę nad organami wykonawczemi,—przeprowadza ustawa gminna dla miast ścisły rozdział między pierwiastkami, składającemi skomplikowaną machinę samorządu. Mamy więc przedewszystkiém przedział między wyborcami, a władzami obieralnemi, następnie zaś przedział między radą miejską, czyli władzą uchwalającą, a zarządem miejskim, czyli władzą wykonawczą.

Charakterystyczném znamieniem rosyjskiéj ustawy o samorządzie miejskim są postanowienia jéj o składzie ciała wyborczego. Prawo do udziału w wyborach nadaje tylko własność nieruchoma lub przedsiębiorstwo handlowo-przemysłowe. Wszyscy inni mieszkańcy, bez względu na stanowisko społeczne i stopień wykształcenia, nię mają prawa głosowania i nie są obieralni.

Co cztery lata odbywają się wybory rajców miejskich. W miastach gubernialnych z ludnością przeszło stutysięczną zasiada ich w radzie miejskiéj ośmdziesięciu. Według artykułu 44-go ustawy niechrześcianie mogą stanowić najwyżéj jedną piątą ogółu rajców. W wypadkach wyjątkowych może minister spraw wewnętrznych zmodyfikować to postanowienie ustawy.

Osobne rozporządzenie usuwa żydów od udziału w głosowaniu. W miastach tych gubernii atoli, w których żydom przebywać wolno, władze rządowe mianują pewną ilość rajców wyznania mojżeszowego w procencie, oznaczonym przez ministra spraw wewnętrznych, nie stanowiącym jednak nigdy więcéj nad część dziesiątą całéj rady miejskiéj.

Rada obiéra funkcyonaryuszów, dzierżących władzę wykonawczą, uchwala budżet, opracowuje instrukcye, czuwa nad majątkiem miejskim, kontroluje administracyę.

Ta ostatnia spoczywa w ręku zarządu, złożonego z prezydenta (burmistrza, głowy) i dwóch członków. Liczba ta może być powiększona stosownie do wielkości miasta. W zarządzie tkwi siła wykonawcza, a zarazem inicyatywa, mająca obszerne pole przy wygotowywaniu wniosków i projektów, przedstawianych radzie. Nad całym tym zresztą aparatem unosi się kontrola rządu. Różne rodzaje uchwał rady miejskiéj potrzebują aprobaty gubernatora. W miastach większych są i takie, które zatwierdza minister spraw wewnętrznych.

Szablonowy szkic organizacyi nabrałby dopiéro życia, gdybyśmy go złączyli z obrazem potrzeb, wołających o zaspokojenie i środków, które w miastach, obdarzonych już samorządem, czynią potrzebom tym zadość. Niebawem uczynimy to może. Dzisiaj poprzestaniemy na za-

znaczeniu, jak ważną częścią naszego życia zbiorowego jest już obecnie gospodarstwo gminne miast naszych. Warszawa ze swym ośmiomilionowym budżetem stanowi oczywiście w zbiorowym budżecie wszystkich miast część olbrzymią. Jeżeli w Warszawie wypada w przybliżeniu 13 rs. wydatków gminnych na głowę, to w przeważnéj liczbie miast mniejszych wydatki, obliczone w stosunku do ludności, nie wykazują nawet dwóch rubli na głowę; w miastach gubernialnych lub fabrycznych przechodzą niekiedy ponad tę cyfrę. Mimo to można się przekonać z kilkunastu wykazów, dotyczących roku zeszłego, że i na prowincyi budżety miejskie przestały być już nieważkiemi drobnostkami. Budżet Lublina wykazywał 100,014 rs., Piotrkowa (1898) 70,435 rs., Radomia 68,925 rs., Kalisza 64,714 rs., Zgierza (1896) 50,532 rs., Włocławka 30,936 rs., Chełma 24,871 rs., Zamościa 19,782 rs.

A w porównaniu z miastami, w których władze autonomiczne nie szczędzą grosza na gospodarkę publiczną? W porównaniu z niemi wydać się muszą nasze cyfry niezmiernie skromnemi. Imponuje nam Warszawa ze swemi ośmioma milionami i imponuje nam słusznie, jeżeli uprzytomnimy sobie naprzykład, że Petersburg jeszcze niedawno (1895) wydawał w ciągu roku 10 milionów. Wszystko to jednak maleje, gdy rzucimy okiem na administracyę miast zagranicznych. Oto np. znajdujemy właśnie w dziennikach projekt budżetu m. Poznania, dziewięć razy mniejszego niż Warszawa. Wydatki obliczono tam na 3,813,000 marek, czyli mniéj więcéj na 1,750,000 rs.; na głowę wypada 25 rs.! Zasada: garścią siać, garścią zbiérać — opanowała dziś zagranicą wszystkie ciała autonomiczne.

Na chlubę Warszawy powiedziéć trzeba, że do niepoślednich rozmiarów dochodzą u nas wydatki, płynące nie z kasy miejskiéj, lecz ze skarbonek prywatnych, a zasilające fundusze zakładów, służących całemu ogółowi. Jedno z takich przedsięwzięć, na które znowu popłynął grosz z dobrze znanéj sakiewki, oglądała właśnie Warszawa w chwili, gdy rzeczywistość uwieńczyła śmiałe zamiary inicyatorów. Mówimy tu o kąpielach ludowych na placu Broni. Około 9,000 rs. kosztował sam budynek, a jednak mieści się w nim zaledwie 11 budek natryskowych i pokój z wanną. Na miasto takie, jak Warszawa, nie jest to wiele, ale znaczenia nowego zakładu nie można mierzyć tą miarą. Ważném jest niezawodnie dostarczenie pewnemu zbiorowisku biédaków możności regularnego używania kąpieli, ale równie ważnym jest wpływ pośredni przez zaszczepienie chęci do kąpania się, przez stworzenie przykładu, przez pobudzenie naśladownictwa i emulacyi. Kąpiele na placu Broni mogą spełnić to zadanie, a nie wątpimy, że je spełnią i że obmywanie się za pomocą natrysku zrobią rzeczą modną. Lud nasz był

brudny, bo nie miał się gdzie kąpać i kąpać się nie chciał. Gdy raz téj ochoty nabiérze, gdy o kąpiel zacznie się upominać, liczba takich zakładów pomnoży się niewątpliwie.

Ileż to razy pisano ostatniemi laty o tém, czém jest czystość dla zdrowia: ileż to razy najczarniejsze myśli na temat naszego poziomu cywilizacyjnego trapiły każdego z nas wśród wędrówek po cuchnących zaułkach. Wiemy, jak wyglądają mieszkania proletaryatu warszawskiego, wiemy z prac d-ra Polaka, że im mniejsza jest ilość izb, z których się mieszkanie składa, tém większa jest liczba mieszkańców, przypadających na jedną izbę. Jeżeli w mieszkaniach, mających więcéj niż 10 izb, przypada 0.7 mieszkańca na izbę, to w mieszkaniach jednoizbowych mamy przeciętnie po 4.2 osoby. Im mniéj izb zawiéra lokal, tém więcéj ludzi w nim mieszka! W r. 1891 liczba mieszkańców, gnieżdżących się bądź w suterenach, bądź w mieszkaniach jednoizbowych, położonych wyżéj, wynosiła 182,000. I ta ogromna masa ludności, natłoczona w stęchłém powietrzu, nie mogąca utrzymać ochędóstwa, zmieniająca bieliznę rzadko, nie kąpała się dotychczas! Może teraz zrozumiemy dlaczego właśnie w owym czasie w ciągu roku na 100,000 mieszkańców zmarło w Warszawie 363 z chorób zakaźnych. Jest to liczba dwa razy większa, niż w miastach, w których ludność ma jakie takie wyobrażenie o życiu hygieniczném i jaką taką możność stosowania przepisów hygieny w praktyce.

Ale dobroczynny wpływ kąpieli sięga poza sferę zdrowotności. Przyzwyczajenie ludności do wody i mydła to podstawa wszelkiej pedagogii społecznej, to pierwsza lekcya tej przyzwoitości, bez któréj każdy tłum musi popaść w otchłań zdziczenia. Jak mówić o obowiązkach obywatelskich ludziom, którzy nie słyszeli dotychczas, że pierwszym obowiązkiem cywilizowaego człowieka, jest umyć się przed wyjściem z domu, żeby nie wchodzić między bliźnich w stanie, budzącym odrazę. Jeżeli chcemy nauczyć naszego robotnika, że ogół ma prawo stawiania pewnych postulatów, z pod których wyłamymać się nie wolno, nauczmyż go przedewszystkiém, że ogół ma prawo żądać od nas, byśmy się myli i kąpali. Trudno żądać od kogoś sztuki panowania nad sobą, jeżeli nie nawykł nawet do tak drobnego przymusu, jakim jest codzienne zetknięcie z zimną wodą. Niech najpierw wpoi w siebie przekonanie, że nie wolno być niechlujnym, a potém, oswoi się może z myślą, że tak samo nie wolno być nieokrzesanym, nie wolno pastwić się nad dzieckiem, nie wolno kobiét potrącać w tłumie.

Pierwszym niezbędnym warunkiem postępu na tej drodze jest wytworzenie choćby małego grona ludzi, którzy bez wody obyć się nie mogą. Za pomocą metody poglądowej trzeba ludziom stawić przed oczy

robotnika, który się kąpie, obok takiego, który nie używa kąpieli. Niechaj widzą różnicę, niech na jej widok budzi się w nich ambicya. To właśnie sprawić mogą kąpiele na placu Broni. Nie obsłużą one całej dzielnicy, ale stworzą typ człowieka schludnego, który innym posłuży za przykład.

Zaledwie dokonano tego przedsięwzięcia, odezwały się głosy, nawołujące do innego dzieła. Zaprowadzenie monopolu wskrzesiło kwestyę, zjawiającą się od lat niemal czterdziestu co czas pewien na łamach dzienników. „Słowo" przypomniało niedawno, że już w r. 1861 ks. Stecki opracował ustawę resursy rzemieślniczéj, która młodzieży pracującéj miała dać możność godziwego i umoralniającego spędzania chwil wolnych i odciągać ją od rozpusty i zepsucia. Po dwudziestu latach poruszył tę sprawę p. Juszczyk. Dziś, jak się dowiadujemy ze „Słowa", grono ludzi dobréj woli pracuje znowu nad wprowadzeniem téj myśli w czyn. Sądzą oni, że sprawa nie napotka wielkich trudności wobec przykładu, jakiego dostarcza „Newskie Towarzystwo zebrań ludowych w Peterburgu". Założone w r. 1886 z kapitałem rs. 75000, dążyło ono do tego, by z czasem oddać wszystkie stworzone przez siebie miejsca rozrywek w ręce samych rzemieślników. Przyjmowano ich więc na członków z wkładką roczną w wysokości 10 rs. i oto przewidywana jest chwila, w któréj dzięki tym wkładkom, kapitał zakładowy się umorzy, a rzemieślnicy staną się właścicielami wszystkich sal i ruchomości. Jeżeli w Warszawie rzecz dojdzie do skutku, a mamy silną wiarę, że tak będzie, ludność oceni w całéj pełni dobrodziéjstwo, jakiém było dla niéj zamknięcie ogromnéj liczby szynków. Według wykazów, ogłszonych przez pisma codzienne, liczyła Warszawa przed zaprowadzeniem monopolu 1,571 zakładów, kupczących napojami, dziś mamy natomiast 88 sklepów rządowych z wódką i 927 wszelakich innych zakładów. Kiedyż więc myśleć o resursie rzemieślniczéj, jeśli nie teraz, po utworzeniu się tak znacznéj luki, którą czémś zapełnić trzeba.

Czegoż społeczeństwo ma żądać od resursy, w czém ma ona być lepsza szynku? Sądzimy, że różnicę zdefiniować łatwo. Rzemieślnik i robotnik, który w sobotę odebrał płacę i kierował swe kroki ku szynkowni, wracał z niéj nocą do domu gorszy moralnie, a słabszy fizycznie, niż w chwili, gdy opuszczał kantor fabryczny. Wracał z szumem w głowie, ze złością na siebie za zmarnowanie grosza, na żonę za przyjęcie, które mu gotowała, na szynkarza za złą wódkę, na pryncypała za przewidywaną w ciągu tygodnia pustkę w kieszeni. Niechaj teraz stosunek się odmieni. Niechaj resursa oddaje rodzinie męża i ojca z pogodniejszą myślą, spokojniejszém sumieniem i żywszą energią.

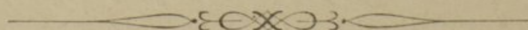
Szynk truł, upadlał i wszczepiał zgryzotę, niech resursa uzdrawia, uszlachetnia i uspakaja. Jeżeli każdy wieczór, w resursie spędzony, przysporzy odrobinę zdrowia społecznego, dorzuci iskierkę myśli, podnieci pracowitość i popchnie naprzód to, co wpływ szynkowni hamował, niepodobieństwem jest, żeby zmiana taka nie odbiła się prędzéj czy późniéj na losach całości.

Tadeusz Smarzewski.



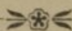
Wydawca: *W. Spasowicz.*
Za Redakt.: *W. Spasowicz* i *Stanisław Wydżga.*

Дозволено Цензурою. Варшава, 17 Февраля 1898 г. — Druk Jana Cotty.



MAŁE GOSPODARSTWA ROLNE

i CENY ZBOŻA.



I.

Wskrzeszenie za inicyatywą ks. Bismarcka w r. 1878 ceł zbożowych odbiło się w bieżącéj literaturze ekonomicznéj. Pytania, od pół wieku do akt złożone, powróciły na stół na nowo. Pierwszém z nich było pytanie: o skuteczności ceł zbożowych—wyjaśnienie, na ile cła te podnoszą ceny ziarna w kraju. Następnie starano się zbadać: kto cło płaci? czy zagraniczny wytwórca, czy też miejscowy spożywca? W końcu zajęto się pytaniem: kto z ceł zbożowych korzysta?

Szczegółowe rozpatrywanie téj materyi musiało wywołać zróżniczkowanie pierwotnie ogólnego pytania; — postawienie kwestyi téj w związek z różnemi wielkościami własności ziemskiéj, skierowanie badania specyalnie w kierunku małéj własności ziemskiéj. W ten sposób zjawiło się pytanie: czy mała własność ziemska jest zainteresowaną w istnieniu wysokich cen zboża wogóle? i w utrzymaniu ceł zbożowych tam, gdzie one istnieją?

To pytanie w literaturze, ceł zbożowych dotyczącéj, jest zupełnie nowe: w pierwszéj połowie naszego stulecia, w czasie gorących walk w literaturze i w parlamentach o cła zbożowe we Francyi, a przedewszystkiém w Anglii, nie stawiano go zupełnie. Przyczyna leżała

w ówczesnych stosunkach handlu międzynarodowego zbożem i w stosunkach rolnych angielskich.

W pierwszéj połowie XIX w. tylko Anglia stale potrzebowała obcego ziarna; ustanowiono więc cła zbożowe ruchome, mające na celu zapewnić miejscowemu rolnikowi cenę około 80 sh. za kwarter pszenicy. Mała własność ziemska w Anglii już ostatecznie znikała. Włościanin nikogo nie interesował; jako klasa społeczna nie istniał. Agitacya „Ligi anti-zbożowéj" nie zwracała na niego uwagi; dowodzono, że ciężar ceł zbożowych ponosi cała ludność nie-rolna, że fermer-dzierżawca na niéj nic nie zyskuje, — i że cała korzyść z nich płynie do kieszeni posiadaczy ziemskich, którzy, w Anglii, są prawie bez wyjątku wielkimi posiadaczami. Termin angielski *landlord* (właściciel ziemi) oznacza wyłącznie wielkiego właściciela. Ze względu na stosunki własności ziemskiéj, pytanie o wpływie ceł zbożowych na małą własność ziemską mogło było zjawić się we Francyi, gdyż tutaj nie brakło małéj własności;—nie zjawiło się jednak dlatego, że w rzeczywistosci wpływ ceł zbożowych na ceny zboża był we Francyi żaden. Cła od przywozu zboża zaprowadzono w r. 1816 — 1819; a w r. 1832 wprowadzono za przykładem Anglii skalę ruchomą, mającą zapewnić rolnikowi cenę 20 do 24 fr. za hektolitr pszenicy. Stosunek jednak zbiorów do ludności był taki, że w latach dobrego urodzaju zboże własne starczyło na wyżywienie ludności; a w latach złych — gdy zboże sprowadzać należało z zagranicy, gdy ceny szły w górę — rząd pod naciskiem opinii publicznéj cła czasowo zawieszał. W r. 1853 zawieszono je po raz ostatni, w r. 1860 zniesiono [1]. Pomiędzy r. 1821 a 1870-ym naliczono 26 lat, w których urodzaj pszenicy wystarczał na pokrycie potrzeb miejscowych. Stanowczy niedobór plonów rozpoczął się dopiéro w dziesięcioleciu 1867/1877 [2]. Wobec takich faktów, szkoła wolnego handlu we Francyi nie potrzebowała się uciekać do dowodzenia, że nie wszyscy ale tylko część właścicieli ziemskich z ceł zbożowych korzysta. Dowodzono tylko, że cła zbożowe żadnego pożytku rolnictwu nie przynoszą, żadnego wpływu na ceny zboża nie mają [3]. W trzeciéj ćwierci bieżącego stulecia, od r. 1850 do 1875, położenie rynków zbożowych radykalnéj uległo zmianie. Wzrost ludności w Europie zachodniéj był tak silny, że bez względu na powiększenie się plonów produkcye krajowe (nie wyłączając Niemiec) przestały wystarczać na wyżywienie

---

[1] Schönberg. *Handbuch der politischen Oekonomie*, t. II, str. 225.

[2] Juraschek. *Uebersichten der Weltwirtschaft*, str. 122.

[3] Fréd. Bastiat. *Inanité de la protection de l'agriculture.* Oeuvres, t. II, str. 39 i nast.

ludności. Po r. 1878 wszystkie większe państwa zachodnie, z wyjątkiem Anglii, zaprowadzają cła zbożowe, a walka przeciwko tym cłom prowadzi się teraz nie w imię zasad teoryi wolnego handlu, ale w imię pokrzywdzonych temi cłami różnych warstw ludności. Po pytaniu komu te cła stratę przynoszą, — z kolei przyszło pytanie: kto z nich właściwie korzysta, czy wszyscy właściciele roli są zainteresowani w zaprowadzeniu ceł zbożowych, czy wszyscy z wysokich cen zboża korzyści odnoszą?

Zaznaczyć tu znów musimy, że we Francyi kwestya ta nie jest podnoszona: rolnictwo francuskie związane jest w jedną organiczną całość syndykatami rolnemi z charakterem bardzo demokratycznym, których kierownikami są przedstawiciele arystokracyi ziemskiéj. Cła zbożowe uważane tam są za wprowadzone w interesie całego rolnictwa a utrzymania ich domagają się przedstawiciele zarówno małéj, jak i wielkiéj własności ziemskiéj.

Inaczéj stoją rzeczy w Niemczech, w których wytworzyły się trzy różne typy posiadaczy ziemskich, ściśle od siebie oddzielone: typ junkra,—wielkiego posiadacza, właściciela więcéj niż 100 morgów ziemi, przeważający w północno-wschodniéj części państwa, — typ wielkiego chłopa (*gross Bauer*), posiadającego od 30 do 100 morgów ziemi — przeważający na północo-zachodzie i południo-wschodzie, — i typ małego posiadacza, posiadającego często mniéj niż 3 morgi, przeważający w Niemczech środkowych, a głównie nad Renem. Wobec takiego podziału ziemi kwestya, komu cła zbożowe korzyść przynoszą, kto korzysta z wysokich cen zboża? posiada w Niemczech pierwszorzędne znaczenie, a tém samém wywołuje w dziennikarstwie i w parlamencie zaciętą dyskusyę.

Inaugurując w r. 1878 cła rolne, książę Bismarck utrzymywał, że cła te dają korzyść każdemu, kto posiada najmniejszy kawałek ziemi. Obecny kanclerz ks. Hohenlohe, odpiérając w parlamencie niemieckim (29 marca 1895 r.) wniosek Kanitza [1], twierdził, że wysokie ceny zboża, a więc i cła zbożowe, są korzystne tylko dla rolników posiadających więcéj niż 6 hektarów (12 morgów) dobréj ziemi. Widocznie ks. Hohenlohe sądzi, że tylko na takiéj przestrzeni ziemi rolnik niemiecki produkuje więcéj ziarna, niż go spożywa z rodziną, że tylko właściciel więcéj niż 6 hektarów występuje na rynku w charakterze sprzedawcy, że tylko dla takiego właściciela ziemi korzystnemi są

---

[1]) Wnioskiem Kanitza nazywa się w Niemczech projekt zmonopolizowania handlu zbożem zagraniczném, celem podniesienia cen ziarna do wysokości cen z lat 1870 — 1875.

i wysokie ceny ziarna, i cła zbożowe; przy własności niżéj 6 hektarów rolnik musi ziarna dokupić, a wtedy w interesie jego leży: i obniżenie cen ziarna i zniesienie ceł zbożowych.

Interes, jaki przedstawia kwestya wpływu cen i ceł zbożowych na małą własność rolną polega, jak widzimy, przedewszystkiém na tém że rozwiązanie jéj warunkuje się rozwiązaniem innéj daleko ważniej-, széj i powszechniejszéj kwestyi, — kwestyi, jaki jest minimalny obszar własności ziemskiéj, mogącéj wydawać środki pożywienia wystarczające dla rolnika i jego rodziny? Kwestya to niezaprzeczenie pierwszorzędna co do wagi, ale też i pierwszorzędna co do nastręczających się przy jéj rozwiązaniu trudności. Nad ważnością jéj zastanawiać się nie będziemy; co do trudności zaś, sądzimy, że najlepszym środkiem ich wyjaśnienia będzie nie teoretyczny ich rozbiór, ale sprawozdanie z dwóch prac wykonanych w ostatnich latach celem jéj rozwiązania: w Niemczech i w Rosyi. W sprawozdaniu tém chodzić nam będzie głównie o zasadniczą różnicę w tych pracach co do metody; ponieważ jednak obie zawiérają dużo cennego i ciekawego materyału objaśniającego stan rolnictwa w odnośnych krajach, — pozwolimy sobie nieraz zanotować niektóre szczegóły, choćby one z głównym celem naszéj pracy w luźnym nawet pozostawały związku.

II.

Pierwszą z tych prac jest książka d-ra Emila Stumpfe p. t. „Mała własność ziemska i ceny zboża” [1]). Książka ta wydana pod kierunkiem prof. wrocławskiego uniwersytetu, Miaskowskiego, znanego badacza stosunków ekonomicznych w rolnictwie, obejmuje 87 stronic tekstu i 43 stronice tablic.

Stumpfe pracę swą zaczyna od pytania: czy w wysokiéj cenie ziarna zainteresowani są tylko rolnicy sprzedający ziarno? t j. produkujący ziarna więcéj niż go spożywają sami i zużywają we własném gospodarstwie na karm inwentarza? czy też w wysokiéj cenie ziarna zainteresowany jest każdy rolnik, którego dochód ze sprzedaży płodów rolnych, na własnym gruncie wyprodukowanych (choćby nie ziarna, ale buraków, ogrodowizn, chmielu, mléka, drobiu etc.) przewyższa wydatki na nabycie takich środków pożywienia i karmu dla inwentarza, których w naszym klimacie zwykle ziemia właścicielowi dostarcza?

---

[1]) *Staats und sozialwissenschaftliche Beiträge* herausgegeben von A. von Miaskowski. Bd III, Heft 2 — Dr. Emil Stumpfe. *Der kleine Grundbesitz und die Getreidepreise*. Lpzg. Duncker et Humboldt, 1897.

Inaczéj mówiąc: czy np. gospodarz rolny produkujący na sprzedaż mléko i dokupujący dla powiększenia téj produkcyi otrąb, słomy i ziarna; albo też gospodarz zajmujący się produkcyą buraków, ogrodowizn, tytoniu, chmielu i t. p., a dokupujący co roku mąki, słomy, siana — są odnośnie do cen zboża — w tém samém położeniu, co i małorolny gospodarz, który — po ogólném obliczeniu jego sprzedaży i zakupów na rynku—więcéj wydał na kupno produktów rolnictwa, aniżeli otrzymał z ich sprzedaży? Pytanie to nie nowe.

Już A. Smith zauważył, że dochód, renta z ziemi reguluje się dochodem z uprawy ziarna, albo też wogóle ceną roślinnego produktu pospolicie w kraju na pokarm używanego [1]). Jeśli dochód z uprawy zboża proporcyonalnie do dochodów z innych kultur wzrasta, kultury te zamienią się wkrótce na kultury zboża; jeśli się zmniejsza, kultura zboża zamieniona będzie na kultury inne, dopóty, dopóki konkurencya nie obniży dochodu z tych innych kultur do wysokości dochodu z kultury ziarna. Ruch ten tylko w specyalnych właściwościach klimatu i gruntu znaléść może tamę.

Téj prawdy, staréj, ale trochę zapomnianéj, dowodzi Stumpfe cyframi; — szeregami cen produktów rolnych za ostatnie lata. Jeszcze w roku 1890 ulegaliśmy złudzeniu, że przejście do produkcyi mléka i mięsa może stale podniéść dochód z ziemi. Prawdą jest to tylko, że gdy przejście takie wymaga i kapitału i czasu, — to spadek cen mléka, masła i mięsa odbywa się wolno; następuje jednak koniecznie i trwa dopóty, dopóki renta, że tak powiemy mléczna lub mięsna, nie zrówna się z rentą zbożową. W r. 1888 Soetber obliczał, że ceny produktów zwierzęcych rolnictwa w porównaniu do cen z lat 1847—1850, podniosły się do 129.73%. Już jednak wtedy ceny te spadać zaczynały; wynosiły one, biorąc ceny r. 1847/50 za 100:

1847—50	1871—5	1881—5	1887	1888
100	154.57%	150.65%	130.86%	129.73% [2]).

Stumpfe podaje nam dalszy przebieg tego ruchu cen: przytacza ceny londyńskie mięsa w szylingach i pensach za kamień angielski:

	Wołowina		Baranina		Wieprzowina	
	I	II	I	II	I	II
1881/5	4	5/8	4/11	6/8	3/11	4/9
1886/89	2/8	4/9	3/6	5/10	2/5	4/4
1896	1/3 do 1/4	2/6 do 2/10	2/10 do 3	3/8 do 4	1 do 2	2/8 do 3

---

[1]) *Wealth of nations*, ks. I, r. XI, cz. I, str. 133, Ed. Ward, Lock et C.

[2]) J. G. Bloch. „Ziemia i jéj odłużenie". str. 3.

Konkurencya Argentyny, Nowéj Hollandyi i Nowéj Zelandyi, poparta ulepszeniami w sferze metod transportowania mięsa, obniżyła ceny do tego stopnia, że w Anglii hodowla inwentarza na mięso nie daje większéj renty, aniżeli uprawa zboża (?). W Niemczech ruch zniżkowy trwa jeszcze: weterynaryjne formalności na granicy opóźniają jego tempo — nie są one jednak w stanie zapobiedz wyrównaniu się rent, t. j. spadkowi cen mléka, masła i mięsa do właściwego niedającego „nad-renty" poziomu. Te same 2 gatunki masła, które sprzedawano w Berlinie w r. 1889 po 118.5 i 96.8 marek za 50 klo., — sprzedawano w r. 1896 po 100.5 i 80.7 marek. W r. 1895 ceny masła były jeszcze niższe, wynosiły bowiem 97.1 i 81.8 marek za 50 klo. Taka sama zniżka dotknęła ceny chmielu, jarzyn (cébuli i ogórków), buraków i nasienia buraczanego. Przejście do kultury mało rozpowszechnionéj daje krótkotrwały zysk, prędko znajduje naśladowców,—a zbytnie rozszerzenie uprawy specyalnéj, niesłychanie prędko przechodzi w nadprodukcyę i wywołuje przesilenie. Bardzo dobrze objaśnia Stumpfe łatwość, z jaką wynikają te małe przesilenia rolne w sferze kultur specyalnych, zestawiając cyfry przestrzeni zajętych pod daną uprawę. W Niemczech w 100 hektarach uprawnéj ziemi jest średnio: 54.37 hek. pod zbożem, 6.57 pod roślinami strączkowemi i kukurydzą, 16.15 pod roślinami okopowemi (w tém 1.51 pod burakami), 0.99 pod roślinami przemysłowemi (rzepak, chmiel, tytoń, konopie), 9.60 hek. pod roślinami pastewnemi. Zamiana $^1/_{100}$ części ziemi zajętéj pod uprawę ziarna na uprawę roślin przemysłowych powiększyłaby produkcyę tych roślin w stosunku 99 — 143, t. j. prawie o 50%. Przesilenie cukrownicze wywołane zostało rozszerzeniem uprawy buraków z przestrzeni 0.68% w r. 1879 do 1.28% w roku 1883 i 1.51% w r. 1893, t. j. rozszerzeniem jéj o niecały 1% z ogólnéj przestrzeni ornéj. W pamięci naszéj świéżym jest jeszcze krach w nasieniu buraczaném, który obniżył w jednym roku jego ceny na połowę. Wobec tych cyfr i faktów tylko bardzo krótkowidzący rolnik może przypuszczać, że w dłuższym szeregu lat będzie mógł tanio kupować owies, otręby i siano, a drogo sprzedawać mięso, mléko i masło. Zyski na takiém gospodarstwie z natury rzeczy są krótkotrwałe i dlatego, zdaniem Stumpfego, zarówno ci rolnicy, którzy produkują dla rynku same ziarno, jak i ci, którzy produkują inne prócz ziarna płody roślinne, jak nakoniec ci, którzy produkują na sprzedaż produkta mięsne — wszyscy stanowczo rolnicy, o ile tylko sprzedają płodów rolnych więcéj, niż ich dokupują, są zainteresowani w wysokiéj cenie ziarna, — bo do téj ceny regulują się wszystkie ceny produktów rolnictwa.

Po takiém rozwiązaniu zasadniczego pytania, Stumpfe stara się wyjaśnić, jacy z drobnych rolników niemieckich dokupują corocznie:

1) ziarna i innych produktów zbożowych, 2) produktów rolnictwa wogóle.

Za materyał, z którego buduje Stumpfe swe dowodzenie, służy mu 181 budżetów włościańskich, z różnych okolic państwa Niemieckiego zebranych. Źródłem ich były przedewszystkiém rezultaty wywiadów (ankiet) o stanie rolnictwa, przeprowadzonych przez rządy niemieckie w latach 1884—6: ankieta badeńska dostarczyła mu 60 budżetów z 34 wsi, — heska 44 budżety z 25 wsi,—wirtemberska 12 budżetów z 8 wsi;—sam autor zebrał 62 budżety, z których szlązkich 24 z 6 wsi, saskich 28 z 10 wsi, hanowerskich 7 z 4 wsi. Dochody i wydatki z produktów rolnictwa i na produkty rolnicze w budżetach wyliczone grupuje autor w 3 działy: produktów zbożowych, produktów roślinnych nie zbożowych, i produktów zwierzęcych; i tak ugrupowane podaje w skróceniu przy końcu swéj książki z wymienieniem przestrzeni, jaką gospodarstwo obejmuje, z podziałem jéj na rolę, pastwiska, łąki, lasy, winnice i ogrody, i z wskazaniem ilości oddzielnie dorosłych, a osobno dzieci— żyjących z danego gospodarstwa; wydatki nie dotyczące rolnictwa i dochody nie z rolnictwa opuszcza. Następnie grupuje on wszystkie gospodarstwa kategoryami przestrzeni: I) do 2 hektarów, II) od 2-ch do 3-ch hekt., III) od 3 do 4 hekt., IV) od 4 do 6 hekt., V) od 6—8 h., VI) od 8 do 10 hekt., i w każdéj kategoryi oblicza ile gospodarstw ostatecznie sprzedaje albo dokupuje, raz samych produktów zbożowych, powtóre produktów rolnych wogóle. Ostateczny rezultat tego zestawienia podajemy w załączonéj tablicy.

	Przestrzeń ogólna gospodarstwa w hektarach: niżéj 2-ch h.	2—3 h.	3—4 h.	4—6 h.	6—8 h.	8—10 h.
I. W. ks. Badeńskie:						
Ilość ogólna obserowanych gospodarstw	12	11	6	12	10	9
z nich dokupuje ziarna . . .	11	4	1	3	2	2
z nich dokupuje płodów rolnych	7	1	1	—	1	—
II. W. ks. Heskie:						
Ilość obserwowanych gospodarstw	6	7	2	11	10	8
z nich dokupuje ziarna	6	4	1	—	1	1
z nich dokupuje płodów rolnych	6	1	—	—	—	—
III. Król. Wirtemberskie:						
Ilość obserwowanych gospodarstw	2	2	2	2	2	2
z nich dokupuje ziarna	2	1	1	—	—	1
z nich dokupuje płodów rolnych	1	—	—	—	—	—

IV. Hanower, Bawarya, prow. Saska i Nadreńska:						
Ilość obserwowanych gospodarstw	1	2	1	8	1	—
z nich dokupuje { ziarna	—	1	—	1	—	—
z nich dokupuje { płodów rolnych	—	—	—	—	—	—
V. Szląsk:						
Ilość obserwowanych gospodarstw	3	3	6	4	2	6
z nich dokupuje { ziarna	—	—	—	—	—	—
z nich dokupuje { płodów rolnych	—	—	—	—	—	—
VI. Królestwo Saskie:						
Ilość obserwowanych gospodarstw	2	5	5	14	—	1
z nich dokupuje { ziarna	1	—	—	2	—	—
z nich dokupuje { płodów rolnych	—	—	—		—	—
Razem obserwowanych gospodarstw	26	30	22	51	25	26
z nich dokupuje { ziarna	20	10	3	6	3	4
z nich dokupuje { płodów rolnych	14	2	1	—	1	—

W zestawieniu budżetów, przez autora przytoczonych, spotykamy gospodarstwa, których głównym dochodem jest np. nabiał. Gospodarstwo N. 141 (Dickholzen w Hanowerze) przy 2 hektarach gruntu sprzedaje mléka za 474 marki rocznie, — gospodarstwa N. 170 i 171 (Erdmannsheim pod Lipskiem, — 5 do 6 hekt.) sprzedają mléka za 1,019 i 2,095 marek co roku. Dla tego typu gospodarstw, dokupujących ziarna, słomy, siana dla produkcyi mlécznéj, decydującą o powodzeniu gospodarczém jest cena mléka, a najkorzystniejszą konjunkturą handlową są wysokie ceny mléka przy niskich cenach produktów roślinnych ziarna, słomy, siana i t. d. Czy możliwą jest jednak taka konjunktura na dłuższy przeciąg czasu? czy możliwemi są wogóle niskie ceny zboża i wysokie ceny produktów zwierzęcych, albo wogóle niskie ceny zboża i wysokie ceny innych produktów ziemi?

Stumpfe sądzi, że w Niemczech już przy 2-ch hektarach (4 morgach) dobrego gruntu dobrze gospodarujący włościanin może po zaspokojeniu potrzeb niezbyt licznéj rodziny remanenta swéj produkcyi na rynku sprzedać. Nie jest to pewnik, ale możliwość, — granicy stałéj nie ma, — a możliwość zaczyna się już przy 2 hekt. gruntu. Z pogorszeniem się gatunku gruntu i klimatu, z powiększeniem się liczby członków rodziny i zmniejszeniem umiejętności i gospodarności rolnika, możliwość czystego dochodu z roli wymaga coraz większéj przestrzeni ziemi.

Tak, w górach Czarnego Lasu, w gospodarstwach leżących na 800 do 1,000 metrów nad poziomem morza położenie już jest inne. Stumpfe przytacza gospodarstwa (N. 40 i 111), mające 5 do 6 hekt. ziemi i dokupujące ziarna. Z dokupywaniem ziarna spotykamy się i w gospodarstwach, mających więcéj niż 10 hekt. gruntów, których kilkanaście budżetów Stumpfe dla przykładu w ostatniéj tablicy w streszczeniu przytacza.

Bardzo ważną téż okolicznością jest zajęcie rodziny. Czasem niektórzy z jéj członków są stale robotnikami fabrycznemi, jeśli wtedy produkcya rolna na wyżywienie rodziny nie wystarcza — to do budżetu powinna być wprowadzona poprawka, powinny być obliczone koszta wyżywienia robotnika (Stumpfe oblicza je na 175 marek rocznie) i takowe z wydatków na zakup pożywienia potrącone.

Ostatecznie Stumpfe sądzi, że już rolnik posiadający 2 hekt. dobrego gruntu jest zainteresowany w wysokich cenach ziarna, że zatém w jego interesie leży utrzymanie ceł zbożowych [1]).

III.

Kwestya wpływu cen zboża na małą własność ziemską podniesioną została także w ostatnich latach w państwie Rosyjskiém i stała się powodem bardzo ożywionéj dyskusyi. Wywołały ją nie względy polityki celnéj, ale względy ogólnéj polityki wewnętrznéj w państwie, a przedewszystkiém zamiar wyjaśnienia wpływu wywozu ziarna na środki wyżywienia ludności.

W roku zeszłym wyszło w Petersburgu olbrzymie dzieło 10 autorów, opracowane pod kierownictwem pp. Czuprowa i Posnikowa, noszące tytuł „Wpływ urodzajów i cen zboża na niektóre strony rosyjskiego gospodarstwa narodowego". Trzynaście monografii w kwestyach szczegółowych i ogólne zestawienie rezultatów tych prac zajęło dwa tomy *in 4-to*, około 1,000 stron druku, a już sam ogromny zapas ma-

---

[1]) Zdanie to podziela prof. dr. Julius Kühn, dyrektor instytutu agronomicznego przy uniwersytecie w Halli, w broszurze p. t. *Die Getreidezölle in ihrer Bedeutung für den kleinen und mittleren Grundbesitz*. Halla, II-gie wyd., 1885 roku. Idzie on daléj nawet niż Stumpfe; sądzi bowiem (str. 17), że cła rolne i wysokie ceny zboża więcéj przynoszą korzyści włościanom, niż większym właścicielom ziemskim,—raz dlatego, że przy stałéj i znacznéj zniżce cen—ceny ziarna sprzedawanego małemi partyami większéj ulegają zniżce, niż ceny ziarna w dużych partyach (str. 15), a powtóre dlatego, że spadek długotrwały środków pożywienia obniża zarobki (str. 16).

teryałów, na którym autorowie swą pracę oparli, czyni to wydawnictwo zasługującém na uwagę.

W rozbiorze tym jednak z 13 monografii pominiemy wszystkie te, które mają charakter przygotowawczy lub też nie są organicznie z kwestyą małéj własności związane. Ograniczymy się, zatém tylko do prac: p. Maress'a: „Produkcya i spożycie zboża w gospodarstwie włościańskiém" (t. I. str. 1—72), Szczerbiny: „Budżety włościańskie" (t. II str. 1—80) i Kabłukowa: „Znaczenie cen zboża dla prywatnéj własności ziemskiéj w Rosyi Europejskiéj" (t. I, str. 97—144).

Najważniejszą dla naszéj kwestyi i najciekawszą co do metody, jest bez wątpienia praca p. Szczerbiny p. t. „Budżety włościańskie i zależność ich od urodzajów i cen zboża". Autor poucza przedewszystkiém, że gospodarstwo włościańskie w Rosyi, jest przeważnie gospodarstwem naturalném, ale chociaż głównie produkuje na własną potrzebę,—to tém niemniéj potrzebuje pieniędzy na podatki, najem ziemi, odzież, obrzędy religijne, sól, żelazo, wódkę, cukier, i t. d., a także i na zakup takich produktów rolnictwa, których albo samo nie produkuje, albo produkuje za mało. Z biegiem czasu, wskutek, powiększania się ludności i pod wpływem cywilizacyi zachodnio-europejskiéj (czytaj kapitalizmu) część naturalna budżetu włościańskiego, coraz się zmniejsza, część pieniężna coraz bardziéj rośnie. Przebiegłszy w krótkości historyę prac statystycznych nad budżetami włościańskimi w Rosyi, autor powiadamia nas, że przy pracy swéj miał zebrane 230 budżetów włościańskich z gub. Woroneskiéj i 63 budżety z pozostałych gubernii. Jestto więc materyał na którego podstawie można badać wpływ cen na gospodarstwa włościańskie gub. Woroneskiéj, ale tylko téj jednéj gubernii. Chcąc jednak koniecznie iść daléj, autor musiał uciec się do materyałów zupełnie innéj natury „do cyfr badań masowych i danych urzędowych, o najważniejszych elementach gospodarstwa wiejskiego i wytwórczości rolnéj, do wiadomości: o zaludnieniu, liczbie robotników, wielkości posiadanéj ziemi, ilości ziemi dzierżawionéj, wydatkach na najem ziemi, przestrzeni ziemi ornéj, przestrzeniach zasianych, wysokości urodzajów, zbóż, ilości bydła, ilości ludzi pracujących nu roli, podatkach i t. d." Wszystko to posłuży p. Szczerbinie do obliczenia budżetu włościanina rosyjskiego.

P. Szczerbina twierdzi, że charakterystyczną cechą budżetów włościan rosyjskich jest to, że średnie przeciętne budżetów z różnych okręgów, są w całéj Rosyi do siebie podobne. Na dowód przytacza on szereg cyfr, z których wypada, że średni budżet włościanina w Rosyi wynosi na głowę ludności rs. 54 kop. 92, a waha się w różnych okrę-

gach od rs. 58 kop. 51 (gub. Chersońska i Jarosławska) do rs. 52 kop. 47 (gub. Tulska).

Zauważyć musimy, że autor z 230 budżetów z gub. Woroneskiéj, zamieszcza tylko rezultaty dotyczące 126 budżetów, a ponieważ nigdzie nie podaje nam nawet wyciągów z tych budżetów, przeto nie jesteśmy w stanie osądzić, czy opuszczone przezeń 104 budżety są też typowe, „jednorodne" czy też nie typowe, t. j. odbiegające znacznie od średniéj normy rocznego obrotu rubli 54 kop. 60 na głowę ludności.

Sam autor przyznaje i stwierdza to cyframi (str. 8), że „w rzeczywistości w konkretnych budżetach, zestawionych dla różnych typów gospodarstw różnice wyrażają się w bardzo silnéj formie i w silnych wahaniach". W 11-tu budżetach cyfry rocznego wydatku na głowę, zaczynają się od 14 rs. 89 k., w gospodarstwie ubogiém; w typie średniozamożnym stanowią 46 rs. 75, w typie gospodarstwa zamożnego 161 rs. 83,— „Blizkiemi co do wielkości okazują się ostateczne rezultaty cyfr tylko w tych wypadkach, kiedy pojedyncze budżety odpowiadają charakterystycznym średnim, typowym dla danéj miejscowości gospodarstwom, albo kiedy ilość pojedynczych budżetów wystarcza dla wyprowadzenia z nich średnich wielkości".

W rezultacie tych zestawień autor widzi tylko objaw powszechnéj formy władania ziemią w Rosyi—t. j. gminnéj własności rolnéj—a nie widzi, że na téj drodze powoli sam zaciéra te cechy charakterystyczne budżetów włościańskich, na których praca jego miała być oparta, — niszczy dane, z których miał wniosek wyciągnąć: ile ziarna dostarczają na rynek zbożowy włościanie, władający różnéj wielkości przestrzenią ziemi.

Drugą cechą charakterystyczną gospodarstw włościańskich w Rosyi jest, według p. Szczerbiny, stosunek zachodzący między częścią naturalną a pieniężną budżetów. Zależy on przedewszystkiém od wielkości posiadanéj ziemi. W 126 budżetach gub. Woroneskiéj stosunek ten wyraża się w następujący sposób:

Włościanie dawniéj	Dziesięcin ziemi na głowę	Wydatki w naturze Ruble	%	Wydatki w pieniądzach Ruble	%	Ogólny wydatek na głowę
1) skarbowi	1.57	35.4	63%	20.55	37.%	55.59
2) prywatni:						
a. którzy ziemię przy uwłaszczeniu kupowali	1.02	30.38	59.5	20.67	40.5	51.5
b. obdarowani	0.30	13.34	26.6	36.93	73.4	50.27
średnio	1.44	33.58	61.5	21.2	38.5	54.60

Cyfry te według autora dowodzą, że gospodarstwo włościańskie tém silniéj ulega wpływom gospodarstwa pieniężnego, im mniéj posiada ziemi.

Podług niego—wzrost części pieniężnéj proporcyonalnie do zmniejszania się przestrzeni gospodarstwa jeszcze wyraźniéj występuje przy podziale wydatków na różne kategorye potrzeb.

Biorąc ogół wydatków na pożywienie włościanina za 100, wydają:

włościanie dawniéj:	na pokarm z produktów roślin: w naturze	pieniędz.	na potrawy mięsne w naturze	pieniędz.	na pokarm kupny (napoje, ryby, herbatę i t. d.) pieniędzmi
skarbowi	50.8	6.9	29.8	1.7	10.8
prywatni:					
a. nabywcy	43.5	10.6	29.6	4.4	11.9
b. obdarowani	28.7	17.1	22.5	10.2	21.5

Ten sam stosunek istnieje w dochodach: im mniéj ziemi, tém większy jest udział dochodów pieniężnych. Z porównania 126 budżetów guberni Woroneskiéj, otrzymuje autor następujące rezultaty:

Dochód na głowę obojéj płci włościanie dawniéj:		w naturze rubli	%	pieniędzmi rubli	%
skarbowi		32.65	57.3%	24.3	42.7
prywatni:	nabywcy	26.25	51.3	24.84	48.7
	obdarowani	13.10	23.2	43.38	76.8
średnio		30.94	55.4	24.90	44.6

Dane te dowodzą, według p. Szczerbiny, że nadmiar lub brak ziarna, jego wysokie i niskie ceny oddziaływają najprzód na stronę spożywczą budżetów: włościanin środki swe pieniężne czerpie przeważnie nie ze sprzedaży ziarna, ile raczéj z zajęć przemysłowych i drugorzędnych pozycyi gospodarstwa rolnego.

Takie tylko teoretyczne czysto wnioski wyprowadza p. Szczerbina z posiadanych przezeń budżetów. Nim pójdziemy daléj, pozwolimy sobie zrobić parę uwag nad dotychczasowym przebiegiem jego badania.

Kwestyi, która u Stumpfe'go gra rolę zasadniczą—kwestyi związku cen ziarna z cenami innych płodów rolnictwa, Szczerbina nie porusza wcale. Chodzi mu o ziarno — tylko o ziarno. Zapewne w Rosyi ziarno stosunkowo gra w gospodarstwie wiejskiém rolę ważniejszą, niż w Niemczech—ale nie jest, ani jednym środkiem pożywienia, ani jednym spieniężanym produktem rolnictwa; sam autor mówi o dochodach pieniężnych z „drugorzędnych pozycyi" gospodarstwa rolnego.

Zwęziwszy z jednéj strony w porównaniu z pracą p. Stumpfe'go cel badania, z drugiéj p. Szczerbina rozszerza przedmiot badany. W pracy

swéj chce objąć całość budżetu włościańskiego ze wszystkiemi jego dochodowemi i rozchodowemi pozycyami naturalnemi i pieniężnemi. W ten sposób kwestya wpływu cen zboża wyrosła w jego rękach na studyum nad ekonomicznym stanem włościanina rosyjskiego, studyum zaiste bardzo ważne i ciekawe, ale odwracające uwagę od głównego zadania.

To, co uważa za główną cechę budżetu włościańskiego, jego jednorodność, właściwie dla kwestyi nie ma żadnego znaczenia. Kwestya czy geograficznie, gospodarstwa rolne „typowe"—(średnio przeciętne, abstrakcyjne)—są w całéj Rosyi do siebie podobne czy nie,—mogłaby mieć wartość, gdyby p. Szczerbina na zasadzie budżetów gub. Woroneskiéj rozwiązał kwestyę naprzód specyalnie dla téj gubernii, a następnie usiłował dowieść, że te wnioski można na całość państwa rozszerzyć. W tym jednak biegu badania, jaki on sobie nakreślił, kwestya teoretycznéj „jednorodności" budżetów „typowych", opiérająca się jakoby na teoretycznéj równości władania ziemią w gminie, zasłania tylko istotne „wysoce gwałtowne różnice" „budżetów konkretnych," idące od od 14.89 r do 161.33 r lub od 15.52 r do 227.78 r. na głowę. Rozbiérając przyczyny tych różnic, badając warunki przestrzenne gogospodarstw, wykazujących te różnice, mógłby autor trafić na drogę prowadzącą do rozwiązania kwestyi gruntownego, ale dla ograniczonéj przestrzeni państwa. Dążąc koniecznie do wniosków odnoszących się do całego państwa, chcąc objąć jednym sądem ogół gospodarstw włościańskich, rozrzuconych na przestrzeni 5 milionów wiorst kwadratowych, od Archangielska do Sewastopola, i od Brześcia do Ufy musiał autor pożegnać się z rzeczywistością a przenieść na grunt masowéj statystyki i „typów teoretycznych".

W końcu i tak zwana „jednorodność budżetów" typowego włościanina, jest tylko pozorną w obec faktu niewątpliwego i dobrze znanego autorowi, że północ Rosyi zawsze ziarna dokupuje, — południe zwykle ziarno sprzedaje. Różnica południa od północy, strefy czarnoziemnéj od nieczarnoziemnéj, jest ważniejsza, głębsza i w skutki donioślejsza, niż p. Szczerbina i jego towarzysze sądzą. Wiara w jednorodność typu każe im przejść obok tego, pierwszorzędnéj wagi, faktu ekonomicznego bez zwrócenia nań należytéj uwagi.

IV.

Dalszy ciąg pracy p. Szczerbiny poświęcony jest usiłowaniom nakreślenia „typowego budżetu" dla pojedynczych okręgów państwa na zasadzie danych statystycznych. Nie przychodzi mu nigdy na myśl, że

budżet teoretyczny nie posiada żadnéj wartości naukowéj—jest ćwiczeniem umysłowém i niczém więcéj. Podaje więc nam najprzód cyfry ludności na wiorstę kwadratową, daléj stosunek ludności włościańskiéj do niewłościańskiéj w różnych okręgach, stosunek ziemi będącéj w posiadaniu włościan, osób prywatnych i rządu; przestrzenie ziemi dzierżawionéj przez chłopów w różnych okręgach państwa—na zasadzie pracy Karyszewa — ilości bydła rogatego na 100 głów ludności i % ludności włościańskiéj, zajmującéj się w okręgu pracą przemysłową; podział ziemi na różne gatunki użytkowania (rola, łąki, ogrody, lasy, pastwiska i t. d.) w końcu ilość zboża zbieranego średnio na głowę ludności w różnych okręgach. Wszystko to zilustrowane jest ślicznie wykonanemi diagramami. Podług tych danych, teoretyczny włościanin rosyjski zbiera średnio na głowę ludności 17.84 pudów zboża sześciu głównych gatunków. Spożywa zaś – (nie licząc inwentarza) — 18 pudów. Dla czego 18? To objaśnia praca p. Maressa, którą musimy się zająć na chwilę nim daléj za p. Szczerbiną pójdziemy.

Rozprawa p. Maressa „Produkcya i spożycie zboża w gospodarstwie włościańskiém" ma na celu przedewszystkiém ustalić cyfrę spożycia ziarna na głowę ludności w państwie. Zwykle obliczenia takie polegają na określeniu ogólnéj ilości spożycia w całym kraju, już to na zasadzie danych o produkcyi, (np. cukru) — już to na zasadzie danych o przywozie towaru z zagranicy, (np. co do kawy, herbaty etc.) — już też na podstawie obu tych źródeł—(żelazo, bawełna etc.). Z ilości ogólnéj potrącają się ilości z kraju wywiezione, a reszta podzielona przez liczbę głów w państwie daje ilość spożycia na głowę ludności. Podstawą więc takiego obliczenia—co do ziarna—może być tylko obliczenie ogólnéj produkcyi ziarna w państwie.

Autor rozbiéra krytycznie źródła statystyki zbiorów w Rosyi, i sądzi, że nieufność, jaką żywi nauka do urzędowych cyfr o urodzajach, jest silnie przesadzona, że statystyka ta co do urodzajów ziarna z gruntów włościańskich, jest dokładniejsza, niż takaż statystyka co do gruntów właścicieli prywatnych; że wogóle dane, zbierane przez Komitet centralny statystyczny i Departament, (a późniéj ministeryum) rolnictwa, są dość bliskie siebie. Co się tyczy statystyki ziemstw, to ta, w porównaniu z danemi Komitetu centralnego, wykazuje różnice urodzajów, dochodzące na gruntach włościańskich do 32.4 %, a na gruntach prywatnych nawet do 39.8 %. Średnio wszystkie urodzaje w statystyce ziemstw są wyższe, niż w dwóch pierwszych źródłach: na gruntach włościańskich o 13.1 %, na gruntach dworskich o 22.7 %. Zdaniem autora, dane Komitetu centralnego są za niskie i powinny być zwięk-

szone dla urodzajów włościańskich o 10, dla urodzajów dworskich o 20 %.

Dla oznaczenia spożycia ziarna na głowę ludności p. Maress nie ucieka się jednak do zwykłego sposobu, wspomnianego wyżéj; stara się on obliczyć nie to, co ludność włościańska w Rosyi spożywa istotnie, ale to, co ta ludność spożywać powinna teoretycznie, aby się utrzymać w należytym stanie sił i zdrowia. Na zasadzie opinii hygienistów i fizyologów, oblicza on, że włościanin rosyjski powinien spożywać rocznie 18 pudów ziarna.

Według danych zebranych przez ministeryum Rolnictwa, w gospodarstwach folwarcznych w Rosyi liczy się na rok na robotnika, czy to na ordynaryi (w produktach dawanych do domu), czy to na stole dworskim od 18 (gub. Mohilewska) do 36 (Orenburska) pudów mąki żytniéj lub pszennéj i $4^1/_2$ do 12 pudów kaszy i prosa, nie licząc mięsa, ryb, słoniny, kartofli i t. d.

W armii na żołnierza liczy się 2 czetwierti, 6 czetwerików i $6^1/_2$ garnca mąki żytniéj i $24^1/_2$ garnca kaszy gryczanéj, co razem stanowi do 29 pudów ziarna. Biorąc na uwagę średni skład ludności co do płci i wieku—autor sądzi, że istotnie włościanin rosyjski spożywa rocznie 20,7 pudów ziarna i że istotne *minimum*, konieczne dla utrzymania się przy życiu, wynosi 18 pudów rocznie na głowę, sądzi tylko, że normę tę ze względu na koszta mielenia należy podnieść o 1 pud, t. j. do 19 pudów rocznie.

Spożycie ziarna w gospodarstwie włościańskiém nie ogranicza się jednak do wyżywienia ludzi, — podług obliczeń autora, na utrzymanie i chów inwentarza wychodzi średnio w każdém gospodarstwie włościańskiém 45 pudów, t. j. około $7^1/_2$ puda na głowę ludności. Razem zaś ogół potrzeb gospodarstwa wymaga $19 + 7^1/_2$—26.5 puda ziarna na głowę ludności.

Wracamy teraz do pracy p. Szczerbiny nad teoretycznym budżetem włościańskim, a raczéj nad budżetem „teoretycznego rosyjskiego włościanina”.

Przytoczone wyżéj obliczenie p. Maress'a—a raczéj hypotezę p. Maress'a—co do rocznego na głowę spożycia ziarna w Rossyi— p. Szczerbina bierze za pewnik,—z czego wynika, że teoretyczny włościanin rosyjski nie zbiera tyle zboża z własnéj ziemi, ile mu potrzeba na wyżywienie rodziny; inwentarz karmi słomą, sianem, sieczką i kupném ziarnem; jeśli zaś porównamy zbiory ziarna i spożycie w pojedynczych okręgach, to wypadnie—że tylko w czterech okręgach: południowym, środkowym czarnoziemnym, południowo-wschodnim i wschodnim— włościanin zbiera więcéj ziarna, niż potrzebuje na wyżywienie rodziny

licząc już tylko 18 pudów na głowę. W pozostałych okręgach to, co zbiéra, nie wystarcza mu na wyżywienie rodziny. Wprawdzie autor przypuszcza, że dane statystyczne, na których oparł ten rachunek, są niższe od ilości rzeczywistych (wspomnieliśmy wyżéj opinię w téj mierze p. Maressa); sądzi jednak, że twierdzenie jego o niedostateczności produkcyi własnéj u ludności włościańskiéj na zaspokojenie potrzeb téj ludności, jest w zasadzie i wogóle prawdziwe, gdyż w 18 pudach ziarna nie mieści się ziarno potrzebne na wyżywienie inwentarza żywego, na magazyny gminne i pożywienie drobiu. „Brak ziarna z własnéj ziemi dla potrzeb własnych i gospodarskich, chyba nie może ulegać wątpliwości, przynajmniéj co do niektórych okręgów.”

Zapewniwszy następnie, „że ustanowienie budżetu na zasadzie tylko konkretnych danych, przez zestawienie pojedyńczych budżetów jest stanowczo niemożliwe”, przystępuje autor do obliczenia takiego budżetu na zasadzie danych statystycznych i zaczyna od podziału budżetu na różne kategorye wydatków i przychodów. Pracę taką na zasadzie realnych danych uważałby tylko za możliwą dla gub. Woroneskiéj, dla któréj posiada 126 budżetów (104 stanowczo zgubił po drodze), ale wątpi, czy wogóle można za podstawę brać typy realne, które nie obejmują ogółu gospodarstw, témbardziéj, że prawdopodobnie budżety były zbiérane od najrozumniejszych i najenergiczniejszych włościan, dobrych gospodarzy, — a więc nie są typowe. Dlatego też autor sądzi, że gdyby nawet miał odpowiednie drukowane materyały — realne budżety — to mimo to wnioski na nich oparte nie byłyby prawdziwe dla ogółu gospodarstw i zawierałyby zarówno za wysokie dochody, jak i za wysokie wydatki. Uważa zatém autor za właściwsze (str. 30) ustanowić ten podział na podstawie masowych obserwacyi i dopełnić je średniemi przeciętnemi z posiadanych budżetów.

Biorąc następne średnie ilości urodzajów 6 głównych gatunków zboża wyżéj wskazane, mnoży je przez średnie ceny tych zbóż w latach 1883/7, i tak dochodzi do cyfry średniego dochodu w zbożu na głowę ludności. Dochód ten wynosi średnio 10 rs. 80 kop. i waha się w różnych okręgach od 8 rs. 75 k. (w gub. połud.-zachodnich) do 14 rs. 64 k. na głowę (w okręgu południowym). Następnie oblicza p. Szczerbina zasiewy i zbiory roślin nieobjętych 6 wyżéj wym. gatunkami w różnych okręgach, mnoży je przez odpowiednie średnie ceny i dodaje do budżetów. Daléj dodaje jeszcze 12.9% dochodu, jako dochód od ziemi przez włościan dzierżawionéj. Na zasadzie teoretycznego twierdzenia, że $1^1/_2$ puda słomy odpowiada w zbiorach 1 pudowi ziarna i na podstawie ogólnych danych o zbiorach ziarna, oblicza dochód ze słomy po cenach średnich dla różnych okręgów. Dochód z ogrodów oblicza w % do

ziemi pod ogrody zajętéj. Daléj ponieważ w gub. Woroneskiéj według budżetów i opisów gospodarstw, — włościanin ma 11 rs. 47 kop. dochodu z głowy inwentarza, a w gub. Wiackiéj dochód ten stanowi 17 rs. 82 kop., w Nowogrodzkiéj 16.30, a w Tambowskiéj 12.20, — to autor bierze za średnią cyfrę 15 rs. i na zasadzie danych o ilości bydła w różnych okręgach oblicza dochód z inwentarza dla każdego okręgu i dla całego państwa. Średnio na całą Rosyę wypada na głowę ludności 9 r. 99 k. (nie 10!!). Co do dochodów z zarobków i drobnego przemysłu, to oblicza je autor biorąc dane statystyczne o ilości stosunkowéj mężczyzn, zajmujących się zarobkiem przemysłowym w okręgach i mnożąc je stosownie do średnich w okręgu zarobków przez: 55, 60, 65, 70 lub 80 rubli. Ścisłość jego jednak na tém się nie kończy.

„Pozostaje jeszcze, mówi on, w gospodarstwie włościańskiém cały szereg dochodów przypadkowych, do których określenia nawet w najbardziéj przybliżony sposób nie mamy stanowczo żadnych danych, ani w źródłach masowéj statystyki, ani nawet w budżetach. Tu należą premie za spalone budynki, lub zabite bydło, emerytury żołnierskie i wsparcia od rządu, pensye za służbę gminną i piéniądze, z któremi żołnierze wracają do domu; podarki i gratyfikacye, dopłaty przy zamianie bydła i innych przedmiotów, dochody ze sprzedaży budynków, używanych ruchomości, odzieży i t. p., dochód z wynajmowanych mieszkań i domów, procent od wypożyczanych piéniędzy i t. p. Chociaż dochody te mają po większéj części charakter przypadkowy, jednak w ogólnéj masie dochodów, szczególniéj piéniężnych, grają one nie ostatnią rolę" i dlatego autor dodaje do dochodu 15%.

W ten sposób ustanawia autor dochód „średniéj głowy włościańskiéj na całą Rosyę w sumie 55 rs. 63 kop. W okręgach suma ta waha się od *minimum* (w okręgu średnim-czarnoziemu) 50 rs. 90 kop. do *maximum* (w południowym) 65 rs. 65 kop. Porównywując część Rosyi południową z północną w dochodzie tym stanowią w %:

	Południe	Północ
Ziarno z ziemi własnéj	28.8	29.7
„ „ dzierżawionéj . .	4.8	1.7
Słoma, siano, odpadki roślinne .	13.3	16.3
Ogrody i sady	6.2	3.1
Bydło	19.8	15.8
Zarobki i przemysł	14.1	20.4
Pozostałe dochody }.	13.0	13.0
	100%	100%

Przechodząc do obliczenia wydatków średniéj głowy włościańskiéj, p. Szczerbina uprzedza nas, że to jest jeszcze trudniejsze, niż określenie dochodów. Danemi statystycznemi można określić tylko wydatki na wysiew, podatki i po części dzierżawę ziemi, t. j. około 14.5% wydatków. Co do reszty wydatków, autor kierował się średniemi danemi, wyprowadzonemi z posiadanych przezeń budżetów.

Główny wydatek w gospodarstwie włościańskiém stanowi spożycie ziarna: na własną potrzebę, na pokarm dla bydła i zasiew. Za podstawę autor bierze, iż na utrzymanie głowy potrzeba jest 18 pudów zboża rocznie. Norma ta jest bardzo bliska danych, otrzymanych z budżetów woroneskich. Na ich zasadzie téż określa p. S. koszt utrzymania głowy bydła na 17 rubli (dochód był 15 rs.). Rozchód na owoce i inne pokarmy roślinne ocenia autor na 12%, wydatki na pokarmy zwierzęce na 36% wydatków na ziarno. Wydatki na podatki skarbowe i gminne oblicza według danych urzędowych, dodaje 20% na podatki ziemskie, ubezpieczenia, powinności, osep do magazynów żywnościowych i t. d. Danych do obliczenia opłat za dzierżawę ziemi w 9 okręgach dostarczyła mu praca specyalna p. Karyszewa; dla pozostałych okręgów określa je w przybliżeniu przez analogię z okręgami najbliższemi (dla baltyckiego według danych z gubernii zachodnich, dla północno-zachodniego—według danych z dwóch okręgów wschodniego i przemysłowego). Co się zaś tyczy pozostałyoh wszystkich wydatków: sól, herbata, oświetlenie, odzież, kościół, utrzymanie budynków, żelazo, tytoń i t. d., to ponieważ takowe stanowią w budżetach woroneskich 14 rs. 87 kop. na duszę, to autor wziął tę cyfrę za podstawę, ale podniósł ją dla niektórych okręgów o 10%, dla innych o 40%, według swego wyobrażenia o stosunkowéj ogólnéj zamożności włościan w tym okręgu. W końcu na t. zw. nadzwyczajne wydatki dla wszystkich okręgów dodał 8%.

Na takiéj kłopotliwéj drodze dobija w końcu autor do brzegu, zdobywa szereg cyfr, do których brak mu, jak sam mówi, danych i które uważa za „budżety normalne" teoretycznego, „typowego" włościanina w pojedyńczych okręgach i w całém państwie. Pomijamy cyfry okręgowe. Dla całego państwa budżet ten wygląda w następujący sposób:

Przychód		Rozchód	
Zboże z ziemi własnéj	rs. 16.20	Ziarno	rs. 18.10
„ „ dzierżawionéj	„ 1.92	Słoma, siano dla bydła	„ 8.47
Słoma, siano etc.	„ 8.16	Owoce	„ 1.30
Ogród i sad	„ 2.63	Pokarm zwierzęcy	„ 3.90

Bydło	rs. 9.99	Podatki	rs. 2.65
Przemysł i zarobki	„ 9.47	Dzierżawa ziemi	„ 1.02
Różne	„ 7.26	Pozostałe wydatki	„ 20.10
Razem	55.63	Razem	55.54
		Oszczędności roczne kop.	9

Saldo rachunku — różnica między dochodami i przychodami waha się od +1.95 kop. w gub. południowych do —95 kop. w gub. północnych. Wogóle zaś tylko 4 okręgi: południowy (+ 1.98), środkowy (+ 93), południowo-wschodni (+ 94) i wschodni (+ 1.17) dają w budżecie remanent, wszystkie pozostałe kończą się deficytami od 34 kop. do 2 rs. 35 kop. (okrąg nadbaltycki). Autor oblicza, że przy cyfrze ludności wiejskiéj 67,664,301 głów i remanencie średnim 9 kop., oszczędności włościańskie w całém państwie stanowią 6,089,787 rubli, z czego właściwie na strefę południową wypada oszczędności 27,701,574 rs., a na strefę północną deficyt 21,231,115 rubli.

P. Szczerbina sądzi jednak, że rzeczywistość jest smutniejsza. Według danych centralnego komitetu statystycznego, niedobór w podatkach stałych (skarbowych i gminnych) wynosił za r. 1891 rs. 1 kop. 20 na głowę, — zatém był o 79% wyższy, niż obliczony deficyt w północnéj części Rosyi.

Ażeby ocenić, jak na ten budżet działają zmiany w urodzajach i cenach, potrzeba teraz budżet ten teoretyczny podzielić na naturalny i pieniężny. Dla przeprowadzenia tego podziału p. Szczerbina oblicza najpierw, ile w dochodzie i w wydatkach stanowi ziarno: okazuje się przytém, że typowe dla całéj Rosyi gospodarstwo włościańskie dokupuje ziarna za 2 kopiejki; w okręgu południowym włościanin ma z ziarna dochód czysty 3 rs. 2 kop., w północnym okręgu dokupuje go za 4 rs. 72 kop., w nadbaltyckim za rs. 2 k. 36, a w gub. południowo-zachodnich za 3 rs. 7 kop. Pozostałych cyfr nie przytaczamy; podkreślimy tylko, że według obliczeń autora przeciętny włościanin w gub. Wołyńskiéj, Kijowskiéj, Podolskiéj i Czernichowskiéj dokupuje ziarna rocznie za 3 rs. 7 kop. na głowę ludności.

W ten sposób p. Szczerbina dochodzi w końcu do podziału budżetów włościańskich na część naturalną i część pieniężną w cyfrach, których ostateczny rezultat — dla teoretycznego włościanina wszechrosyjskiego—wyraża się w następujący sposób:

Przychód:	w naturze . . .	35 rs. 63 kop.	
	w gotówce . . .	20 „ 14 „	55 rs. 63 kop.
Rozchód:	w naturze . . .	35 rs. 49 kop.	
	w gotówce . . .	20 „ 05 „	55 „ 54 „
	Remanent w gotówce		— rs. 09 kop.

Cyfry budżetów naturalnych równoważą się ze sobą zupełnie; różnice istnieją tylko w budżetach pieniężnych, z czego się okazuje, że obliczenia tych ostatnich wystarczają do obliczenia remanentu lub braku. Tłómaczy to nam zupełnie metodę Stumpfe'go, który wnioski swe oparł wyłącznie na budżecie pieniężnym.

P. Szczerbina wziął jednak do obrachunku obie części, naturalną i pieniężną, bo potrzebował na obu przeprowadzić szereg kombinacyi arytmetycznych, mających wyjaśnić jakoby wpływ cen i urodzajów na budżety włościańskie.

Manipulacya jego polega na wprowadzeniu do tych budżetów zmian cyfrowych przy 8-iu przypuszczeniach, 8-iu kombinacyach wynikających z wahania się cen i urodzajów na 10% — w obu kierunkach. Rezultaty tych wyliczeń dla budżetu włościanina typowego: w całém państwie, w strefie południowéj i w strefie północnéj wyrażają się w następujących cyfrach. Okazuje się remanent (+), lub deficyt (—) w budżecie:

	Ogólnym	Strefy południowe	Strefy północne
	w rublach		
przy cenach i urodzajach normalnych	+ 0.09	+ 0.77	— 0.67
1. „ zwiększeniu urodzajów o 10% .	+ 1.90	+ 2.64	+ 1.07
2. „ zmniejszeniu urodzajów o 10% .	— 1.72	— 1.10	— 2.41
3. „ zwiększeniu się cen o 10% . .	+ 0.09	+ 0.90	— 0.82
4. „ zmniejszeniu się cen o 10% . .	+ 0.09	+ 0.64	— 0.52
5. „ zwiększeniu się i cen i urodzajów o 10%	+ 2.08	+ 2.96	+ 1.10
6. „ zmniejszeniu się i cen i urodzajów o 10%	— 1.54	— 1.04	— 2.09
7. „ zwiększeniu się urodzajów o 10% i zmniejszeniu cen o 10% . .	+ 1.72	+ 2.32	+ 1.04
8. „ zmniejszeniu się urodzajów o 10% i podwyższeniu cen o 10% .	— 1.90	— 1.16	— 2.74

Cyfry te podług p. Szczerbiny dowodzą:

1) Że dobre urodzaje są dla włościanina bezwarunkowo korzystne, a nieurodzaje bezwarunkowo niekorzytne.

2) Że zmiany w cenach, przy stałości plonów, mają na ostateczny rezultat budżetu wpływ znacznie słabszy, niż zmiany w urodzajach; podniesienie się cen wpływa dodatnio na budżety z remanentem zboża; ujemnie na budżety z deficytem zboża i odwrotnie zniżka cen działa na budżety z remanentem ujemnie, na budżety z deficytem dodatnio.

Dobre zatém urodzaje, mówi p. Szczerbina, są bezwarunkowo błogosławieństwem dla wszystkich okolic. Wysokie ceny dają niejaką korzyść, ale tym tylko gospodarstwom, które mają stale co rok re-

manent ziarna, a dają ją o tyle, o ile łączą się z dużym urodzajem. Liche urodzaje są bezwarunkowo niekorzystne. Niskie ceny są zawsze korzystne, ale w niejednakowym stopniu. Najkorzystniejszą zaś dla włościanina kombinacyą są wysokie urodzaje i niskie ceny na ziarno. Takie lata słusznie noszą w Rosyi nazwę „lat chłopskich" (str. 74).

Dla należytego ocenienia tych wniosków musimy dodać, że ani p. Szczerbina, ani żaden z jego kolegów nie postarali się o wyjaśnienie, ani tego, co uważają za dobre, średnie lub złe urodzaje, ani tego co uważają za wysokie, średnie i niskie ceny ziarna.

V.

Powracamy teraz do pracy p. Maressa „O produkcyi i spożyciu ziarna w Rosyi", w której stara się on inną metodą obliczyć, dla jakiéj ilości włościan rosyjskich wysokie ceny zboża mogą być pożądane.

Ustaliwszy normę spożycia ziarna na 18 do 19 pudów na głowę ludności i $7^1/_2$ pud. na wyżywienie inwentarza, p. Maress oblicza, że na wyżywienie ludności w 50 gubern. państwa potrzeba corocznie $1{,}285^1/_2$ milionów pudów, a na wyżywienie inwentarza $476^1/_2$ milionów pudów ziarna. Gdyby włościanie mieli tylko zbiory z ziemi nadanéj im przy oswobodzeniu w r. 1864, to tylko w 3 guberniach (Okrąg Wojska Dońskiego, gub. Orenburska i Taurycka) zbiory wystarczyłyby na pokrycie potrzeb ludności i inwentarza. W gub. Besarabskiéj i Ekaterynosławskiéj, Wołyńskiéj, Tambowskiéj i Kurlandzkiéj wystarczyłoby ziarna na wyżywienie ludności i pozostałaby pewna ilość na karm dla inwentarza; w Woroneskiéj i Wiackiéj byłoby tylko tyle, ile potrzebuje ludność, a we wszystkich pozostałych 40 zbiory byłyby niewystarczające na samo wyżywienie ludności; a mianowicie brakowałoby: w 7 guberniach po mniéj niż 3 miliony pudów (w téj liczbie Kowieńska i Chersońska), w 12 guberniach po 3 do 5 milionów pudów (w ich liczbie Symbirska, Saratowska, Penzeńska, Ufimska), w 19 guberniach po 5 do 10 mil. pudów (między niemi Samarska, Kijowska, Podolska), a w 2 guberniach Połtawskiéj i Czernichowskiéj brakowałoby więcéj niż po 10 milionów pudów rocznie.

Braki te jednak zmniejszają się o ilość ziarna zebranego z ziemi przez włościan nabytéj po r. 1864 i ziemi dzierżawionéj od właścicieli prywatnych.

Ziemia nabyta przez włościan po r. 1864 nie wiele zmienia stan rzeczy. Plon z niéj podług p. Maressa wynosi w strefie czarnoziemnéj 5.6%, w nieczarnoziemnéj 9.1% plonów z ziemi nadanéj. Nabywcami

są zamożniejsi włościanie; plony więc te właściwie zwiększają raczéj ilość ziarna, jaką włościanie sprzedają niż zmniejszają te ilości, jakiéj włościanom brak do normy spożycia. Co do ziemi dzierżawionéj od większych właścicieli, to wiadomości o niéj zebrane przez centralny komitet statystyczny (1881 r.) uważa p. Marres za niekompletne i przestarzałe. W każdym razie zbiór z téj ziemi stanowi w stosunku do zbioru z ziemi nadanéj:

mniéj niż 5%	w 10	guberniach	(w tém Podolska),
od 5 do 10%	w 14	„	(Wołyńska),
od 10 do 15%	w 9	„	(Woroneska, Dońska, Kijowska, Taurycka, Ufimska i Charkowska),
od 15 do 20%	w 5	„	(Besarabska, Tambowska, Orłowska, Riazańska i Tulska),
od 20 do 25%	w 6	„	(Ekaterynosławska, Penzeńska, Połtawska, Samarska, Symbirska, Czernichowska),
więcéj niż 25%	w 3	1	(Kurska, Saratowska i Chersońska).

Tylko w guberniach czarnoziemnych dzierżawa włościańska ma istotne znaczenie, a znaczenie to jest jeszcze większe według danych najnowszych, zebranych przez Karyszewa. Według jego danych ziemia dzierżawiona wynosi:

w gub. Samarskiéj	103%	ziemi	nadanéj
Ekaterynosławskiéj	100%	„	„
Połtawskiéj	66%	„	„
Tambowskiéj	65%	„	„
Saratowskiéj	61%	„	„
Chersońskiéj	39%	„	„
Kurskiéj	13%	„	„

Uwzględniając te dane, autor twierdzi, że gospodarstwa włościańskie w gub. Tambowskiéj, Besarabskiéj, Ekaterynosławskiéj, Tauryckiéj, Orenburskiéj i Ziemi Wojska Dońskiego nietylko dają ziarno wystarczające na wyżywienie włościan i inwentarza, ale i nadmiar około 46 mil. pud. Pokrywają własném ziarnem potrzeby domu i inwentarza włościanie w gub.: Chersońskiéj, Saratowskiéj, Samarskiéj, Symbirskiéj i Wołyńskiéj. W 4-ch gub.: Kurskiéj, Penzeńskiéj, Woroneskiéj i Jarosławskiéj własne ziarno wystarcza na wyżywienie rodziny, ale na inwentarz brakuje. W 9 guberniach: Orłowskiéj, Riazańskiéj, Połtawskiéj, Charkowskiéj, Kazańskiéj, Niżegrodzkiéj, Kowieńskiéj, Pskowskiéj i Petersburskiéj na wyżywienie inwentarza pozostaje około 38 milionów pudów, t. j. 18% ogólnéj potrzebnéj ilości. W pozostałych zaś 17 guberniach nie ma nawet ilości dostatecznéj na wyżywienie włościanina z jego rodziną. Brak ten wynosi 67,896,000 pudów, a mianowicie:

w gub. Ołoneckiéj, Nowogrodzkiéj, Permskiéj, Witebskiéj, Mohylewskiéj, Grodzieńskiéj i Włodzimierskiéj—po 3 mil. pud.; w gub. Podolskiéj, Mińskiéj, Archangielskiéj, Astrachańskiéj, Kałuskiéj, Twerskiéj i Wileńskiéj — od 3 do 5 mil. pud.; w Moskiewskiéj i Wołogodzkiéj około 6 mil. pud.; w Czernichowskiéj około $11\frac{1}{2}$ miliona pudów. Co do téj ostatniéj, autor zastrzega się, że w gubernii téj około $\frac{3}{4}$ ziemi prywatnéj dzierżawią włościanie systemem połowniczym, czego w rachunku nie uwzględnił.

Że wyżywienie włościanina rosyjskiego nie jest należycie zapewnione, dowodzi, podług zdania autora, i ta jeszcze okoliczność, że podług danych oficyalnych w d. 1 września 1891 r. t. zw. kapitał żywnościowy powinien był wynosić 83,319,739 rs. gotówką, a w magazynach zbożowych powinno się było znajdować 30,153,001 czetw. zboża. Tymczasem w rzeczywistości w dniu tym było 36,720,708 rubli kapitału i 9,244,319 czetwerti zboża; reszta zalegała u włościan (Centr. komitet statystyczny).

Powiększenie zbiorów włościańskich przez rozszerzenie uprawy uważa autor za niemożliwe. W większéj części gubernii przestrzeń rolna już rozszerzoną została do możliwego *maximum*. Co do zwiększenia plonów z roli, to autor widzi raczéj zmniejszanie się ich stopniowe, niż wzrost. Studyami nad wydajnością ziemi zajmowali się pp. Fortunatow i Grass. Pierwszy z nich stwierdził, że urodzaje żyta na ziemiach włościańskich obniżyły się we wschodniéj, a głównie południowo-wschodniéj Rosyi; że zmniejszyły się téż w peryodzie 1880—1890 roku i na ziemiach folwarcznych w porównaniu z latami 1870—1880. Grass, porównywując cyfry urodzajów za lata 1870/9 i 1880/9, wykazał, że urodzaje: gryki w obu strefach północnéj i południowéj; żyta w strefie nieczarnoziemnéj i jaréj pszenicy w strefie czarnoziemu obniżyły się. Statystycy ziemscy wszędzie notują skargi włościan na obniżenie się urodzajów.

Na zasadzie danych statystycznych — o ilości ziemi nadanéj gminie, ilości głów w gminie i stosunku ziemi ornéj do ogólnéj przestrzeni, a także na podstawie: średnich danych o urodzajach i spożyciu w danym okręgu, — stara się p. Maress obliczyć ile gmin, a tém samém jaka ludność włościańska w Rosyi ma ziarna: I) mniéj niż 19 pudów, II) od 19 do $27\frac{1}{2}$ puda, III) więcéj niż $27\frac{1}{2}$ puda na głowę ludności.

W ostatecznym rezultacie tego bardzo pracowitego i kłopotliwego rachunku wypada:

główń ludności	w strefie czarnoziemnéj		w strefie nieczarnoziemnéj		w 50 guberniach Rosyi europ.	
I kategoryi—do 19 pudów ziarna na głowę . .	26,002,495	64 3%	19,355,583	81.7%	45,358,078	70.7%
II kategoryi — od 18 do 26½ puda	9,927,280	24.5%	3,156,121	13.3%	13,083,401	20.4%
III kategoryi—wyżéj 26½ p.	4,519,156	11.2%	1,196,357	5%	5,715,513	8.9%

Sam autor uważa ten rachunek za przybliżony tylko; dane, na których się oparł za niekompletne i nieścisłe. Wadą też jego jest to, że gminę każdą uważa za całość jednorodną, a nie uwzględnia różnic w gminie między pojedyńczemi gospodarstwami. Wada ta wprawdzie, jak sądzi autor, wielką nie jest, bo gospodarstw wyróżniających się za możnością jest mało,—ogół od średniego typu oddala się nie wiele, ale różnice w gminach co do zamożności są znaczne. Nakoniec—a to naszém zdaniem jest najważniejsze — w obrachunku tym nie uwzględnił plonów ani z ziemi nabytéj po r. 1864-ym, ani z ziemi dzierżawionéj przez włościan, — chociaż, jak to podał poprzednio sam na podstawie pracy Karyszewa, ziemia dzierżawiona wynosi w niektórych guberniach więcéj, niż ziemia nadana (gub. Ekaterynosławska), a ziemia uprawiana sposobem połowniczym w gub. np. Czernichowskiéj obejmuje ¾ przestrzeni całéj własności prywatnéj w gubernii. Wobec tego nie wiem, czy rachunek taki nawet przybliżonym nazwać można.

P. Maress sądzi, że dane zebrane przez statystyków ziemskich potwierdzają zrobiony przez niego obrachunek ogólny. W 67 powiatach 12-tu gubernii statystyka ziemska znalazła 24.5% gospodarstw bez koni, 60.1% z 1 lub 2 końmi, 15.4% z większą liczbą koni niż 2 ch; tak że ledwie $^{1}/_{10}$ lub $^{1}/_{7}$ gospodarstw za zamożne uważać można. W każdéj téż gminie są gospodarstwa bezrolne, których ilość 7.1% gospodarstw i 5.1% ludności włościańskiéj wynosi (dane z 123 powiatów w 22 guberniach). Liczbę rodzin włościańskich, które mają sobie wydzieloną ziemię w gminie, ale jéj nie uprawiają i albo zupełne zostawiają odłogiem, albo wydzierżawiają oszacować można na 10% gospodarstw (dane z 140 powiatów). W końcu 13.1% włościan (w 12 gub.) nie posiada własnego inwentarza i obrabia ziemię najmem.

W gub. Taurydkiéj włościanin jest zamożny, gdy ma 16 — 18 dz. ziemi; zbiory z 6 — 8 dz. idą na pokrycie wydatków pieniężnych. Gospodarstwa mające 1 — 5 dz., a takich jest 32.5%, w żadnym razie nie opędzają potrzeb własném ziarnem, — gospodarstwa mające od 5—10 dz. (18.6%) ledwie je pokrywają, ale w latach nieurodzajnych są na głód wystawione; tylko włościanie obsiewający więcéj niż 10 dz., a jest ich 48.9%, mają pewien dostatek. Tak rzeczy się mają w najurodzajniejszéj gubernii.

W gub. Chersońskiéj statystyka ziemska wykazuje następujący rozdział włościan co do obszaru posiadanéj ziemi:

Bezrolni	20	— 23%
posiadający do 1 dz. zasiewu	1.5	— 3%
od 1 „ 5 „ „	10	— 17%
„ 3 „ 5 „ „	16	— 18%
„ 5 „ 10 „ „	20	— 29%
„ 10 „ 15 „ „	8.5	— 10%
posiadający wyżéj 15 dziesięcin zasiewu	6.7	— 8.6%

Średni urodzaj wynosi na dziesięcinie 28 pud. żyta, 28 pud. pszenicy oziméj, 22 pud. jaréj, 31 pud. owsa (?). Urodzaje włościańskie skutkiem wyjałowienia ziemi są niższe od folwarcznych o 40%; średnio — wszystkich gatunków ziarna — dwór zbiéra 45 pudów, a włościanin 27 pudów z dziesięciny. Miejscowi włościanie są zdania, że ten z nich własnym ziarnem opędzi potrzeby rodziny, inwentarza i podatki, kto zasiewa 10 dzies.

Przytoczywszy rezultaty badań statystycznych ziemstw w wielu guberniach, które tu opuszczamy, autor sądzi, że nietylko zbiory z ziemi nadanéj przy oswobodzeniu, ale i cała uprawa włościańska, nie wystarcza ani na południu, ani na północy na potrzeby włościan. Zaledwie $^1/_6$ włościan ma ziarna więcéj, niż sama potrzebuje.

To, że wielu i bardzo wielu na jesieni sprzedaje ziarno, to nie dowodzi jeszcze, aby mieli z obrotu rocznego remanenta; ta sprzedaż to tylko operacya kredytowa z zastawem ziarna na $^1/_2$ roku; na wiosnę odkupują go po znacznie wyższéj cenie. Lichwa, jaką przy téj operacyi kredytowéj rolnik opłaca, jest olbrzymia. Różnica ceny jesiennéj, po której rolnik zboże sprzedaje — od ceny wiosennéj, po któréj go odkupuje, ma wynosić: w lata urodzajne dla żyta 4 do 9%, dla owsa 16%, w lata nieurodzajne: dla żyta 41%, dla owsa 31%.

VI.

W poprzednich ustępach przytoczyliśmy wszystko, co praca pp. Czuprowa, Posnikowa i Sp. zawiéra ważnego w kwestyi wpływu cen ziarna na gospodarstwa włościańskie w Rosyi. Nie zrozumielibyśmy jednak ani krytyki tego dzieła, ani goryczy, z jaką opinia w Rosyi pracę tę przyjęła, gdybyśmy pominęli zupełném milczeniem to, co zawiéra rozbiérana przez nas praca w kwestyi większéj własności ziemskiéj, a specyalnie monografia profesora Kabłukowa: „O wpływie cen ziarna na prywatną własność ziemską". W pracy téj, jak autor sam zazna-

cza, nie mając bezpośrednich danych faktycznych, starał się wyjaśnić, jak „mogą" wysokie lub niskie ceny oddziaływać na prywatną własność ziemską.

Własność ziemska prywatna w Rosyi obejmuje 91,320,915 dziesięcin ziemi, będącéj we władaniu 487,692 osób; stanowi to 23% przestrzeni i 0.7% ludności wiejskiéj. Dzieląc tę ziemię na kategorye: do 50 dziesięcin, od 50 do 200, od 200 do 500, od 500 do 1,000 i powyżéj 1,000 dz., — autor podaje nam następujące obliczenie stosunkowéj przestrzeni majątków każdéj kategoryi, z podaniem stosunkowéj ilości właścicieli, do jakiéj ona należy i stosunkowéj przestrzeni, jaką rola w każdéj kategoryi własności ziemskiéj zajmuje:

	do 50 dziesięcin	od 50 do 200 dzies.	od 200 do 500 dz.	od 500 do 1,000	wyżéj 1,000 dzies.	średnio w całéj grupie
Strefa czarnoziemna:						
% właścicieli	75.1	11.9	5.9	3.2	3.9	100
% ziemi	3.6	6.2	9.6	11.4	69.2	100
% roli do ogólnéj przestrzeni majątków	69.4	62.5	58.2	52.6	33.4	41.2
Strefa nieczarnoziemna:						
% właścicieli	79.8	11.1	4.4	2.2	2.5	100
% ziemi	5.2	6.3	8.0	8.7	71.8	100
% roli do ogólnéj przestrzeni majątków	27.4	21.2	16.6	14.1	6.9	10.6
W całém państwie:						
% właścicieli	77.6	11.5	5	2.7	3.2	100
% ziemi	4.5	6.2	8.7	10.1	70.4	100
% roli do ogólnéj przestrzeni majątków	44.4	41.6	39.3	35.8	19.8	25.6

Pierwszą kategoryę własności ziemskiéj do 50 dzies. dzieli autor na trzy grupy: do 1 dziesięciny, od 1 do 10 dziesięcin i od 10 do 50 dziesięcin. Pierwsza zawiéra 61,214 osób, t. j. 12.5% ogólnéj liczby właścicieli,—druga 183,883 osób, t. j. 37.7%, — trzecia 133,305 osób, t. j. 27.4% ogólnéj ilości właścicieli. Razem 77.6%, do których należy 4.5% ogólnéj przestrzeni własności prywatnéj. Wszyscy ci właściciele, podług p. Kabłukowa, nie mają zboża na sprzedaż, ceny ziarna więcéj ich obchodzą przy kupnie, niż przy sprzedaży. Pierwsza grupa, właścicieli do 1 dziesięciny, zawiéra nie rolników, ale tylko spożywców ziarna. Druga grupa od 1 do 10 dz., zdaniem autora, ma ledwie dość ziarna na wyżywienie rodziny; średnia wielkość tych gospodarstw wynosi $2\frac{1}{2}$ do 5 dziesięcin; — są to przeważnie gospodarstwa włościańskie. Trzecia grupa—jeśli ma ziarno na sprzedaż, to „chyba w rzadkich wy-

padkach i nie wiele". Majątki od 10—50 dziesięcin są przeważne wydzierżawione włościanom, często nie mają ani inwentarza, ani budynków, czasami zaś są zupełnie porzucone i stanowią tak zwane „majątki nie pamiętające właściciela". Ziemia téj kategoryi przyczynia się zatém do zmniejszenia deficytu ziarna w ogólnéj sumie gospodarstw włościańskich, ale na rynku zbożowym nie wiele waży. Wniosek ostateczny autora: dla całéj grupy właścicieli ziemskich poniżéj 50 dziesięcin, stanowiących 77.6% właścicieli — niskie ceny zboża są korzystemi (str. 143).

Z następną kategoryą własności prywatnéj załatwia się p. Kabłuków w sposób jeszcze dziwniejszy. Dla właścicieli ziemskich, posiadających 50 do 200 dziesięcin ziemi i mających w tém w strefie czarnoziemnéj 62.5% roli, dochód w gotówce stanowi kwestyę drugorzędną. Majątek tego obszaru daje właścicielowi największy dochód w naturze: w mieszkaniu, opale, pożywieniu: mące, kaszy, drobiu, mléku i t. d., — słowem, w produktach spożywanych w naturze, na miejscu. Dzięki tym dochodom właściciel majątku żyje na wsi wygodniéj, niżby żył w mieście z odpowiedniego kapitału. Jest to więc typ gospodarstwa całkiem niehandlowy, przeważnie naturalny, dla którego więcéj waży obfitość w dochodach naturalnych (choćby przy niskich cenach), aniżeli wysokie ceny (przy nieurodzaju). „Na pomyślność lub upadek tych gospodarstw więcéj wpływa obfitość ziarna, niż jego cena. To tak jasne, że dalszego dowodzenia nie wymaga" (t. I, str. 119). A że rozumuje daléj autor, w majątkach strefy nieczarnoziemnéj rola zajmuje przestrzeń stosunkowo trzy razy mniejszą, niż w strefie czarnoziemnéj (21.2% i 62%), — zatém, to co w strefie nieczarnoziemnéj odnosi się do majątków od 50 do 200 dziesięcin, to daje się zastosować i do majątków strefy nieczarnoziemnéj od 200 do 500 dziesięcin (str. 124). W ten sposób zainteresowanemi w wysokiéj cenie ziarna mogą być tylko właściciele ziemscy w Rosyi, posiadający: na południu więcéj niż 200, na północy więcéj niż 500 dziesięcin ziemi. Wynosi to średnio na południu 13%, na północy 19.1% właścicieli. Ale i z téj liczby nie dla wszystkich wysokie ceny ziarna są pożądane.

Dla właścicieli strefy północnéj obojętnemi są ceny pszenicy i kukurydzy; owszem, w interesie ich leżą ceny niskie, tych gatunków ziarna, bo mąkę pszenną i kukurydzę tylko kupują. Dla wielu właścicieli prowadzących gorzelnię i dokupujących żyta, niska cena żyta jest korzystną tak samo, jak dla tych właścicieli, którzy produkują rośliny przemysłowe, nabiał lub wełnę. Zwraca uwagę autor też na to, że przy długoletnich dzierżawach, nizka cena ziarna, staje się dla właściciela tylko „pośrednio" niekorzystną, a w dzierżawach krótkich, rocznych, włościańskich po-

szukiwanie dzierżaw jest silniejsze po każdym dobrym urodzaju, wskutek wzrostu zamożności włościan. Przy połowniczéj obróbce ziemi (*ispolno*,—franc. „*metayage*") nizkie ceny ziarna są téż dla właściciela mniéj dotkliwe. Obliczyć tych wszystkich wpływów nie można—tylko co do jednéj dzierżawy włościańskiéj Karyszew zebrał niejakie dane. — Co wynoszą przestrzenie dzierżawione w stosunku do ziemi włościańskiéj, nadanéj w r. 1864, o tém mówiliśmy poprzednio; ważnym jest jeszcze stosunek w jakim pozostaje przestrzeń dzierżawiona przez włościan do ogólnéj przestrzeni własności prywatnéj.

W 1881 r. było w dzierżawie włościańskiéj: w strefie nieczarnoziemnéj 999,668 dzies. t. j. 23.1% roli własności prywatnéj wyżéj 50 dz.; w czarnoziemnéj 5.033.154 dz. roli t. j. 29.2% roli tejże kategoryi. Uwzględniając konieczność ugoru, autor wnosi, że $1/3$ własności prywatnéj jest w dzierżawie włościańskiéj, i że sami właściciele zatrzymują dla siebie w nieczarnoziemnéj strefie tylko 2.428.072 dz., w czarnoziemnéj 9.210.159 dz. z czego na właścicieli majątków wyżéj 50 dz. wypada 2.021.584 i 8.344.404 dz., a po potrąceniu $1/3$ na ugor, otrzymuje pod zasiewami: w strefie północnéj 1.347.323 dz. i w strefie południowéj 5.562.936 dzies., a razem w 50 gub. Rosyi Europejskiéj 6.910.259 dziesięcin.

Według p. Karyszewa, opiérającego się na statystyce ziemstw, dzierżawa włościańska zajmuje z ziemi ornéj prywatnéj: w strefie nieczarnoziemnéj na północo-wschodzie 45.6%, na północo-zachodzie 30.5—33.6%; w środkowéj 38.3%; w strefie czarnoziemnéj: na południowschodzie 43.7%, na południu 56.9%, na południo zachodzie 50.6% ziemi ornéj. Daje to średnio dla strefy nieczarnoziemnéj 30%, dla czarnoziemnéj 50%.

W strefie nieczarnoziemnéj, więcéj, niż 40% majątków (wyżéj 50 dz.) nie ma żadnego gospodarstwa. Pozostałe 60%, obejmuje 70% ziemi;—z nich 10% są w dzierżawie. Co do strefy czarnoziemnéj, to np. w gub. Niżegorodzkiéj (pwt. Gorbatowski) właściciele obrabiają sami 12.8% ogólnéj przestrzeni roli—sposobem połowniczym 8.8%, w dzierżawie 64.1%, bez żadnego gospodarstwa 14.3%. Gospodarstwo własne zajmuje w pcie Makarjewskim 23.1, w Kniagininskim 17.7% roli. W g. Kazańskiéj (pwt Kazański) — 70% właścicieli oddaje ziemię w dzierżawę; w gub. Tambowskiéj (p. Borysoglebski)—własne gospodarstwa stanowią 51.2% majątków; — 27.9% są w długoletniéj dzierżawie, — 20.9% w rocznéj. W pow. Kirsanowskim 44.6% roli są w dzierżawie włościańskiéj; w pow. Tambowskim 41% roli w dzierżawie. W gub. Charkowskiéj 42.5% roli w dzierżawie (pwt Bogoduchowski). Na podstawie tych danych oka-

zuje się, że właściciele ziemscy rozporządzają corocznie sprzedażą ziarna zebranego z $1^1/_2$ miliona dziesięcin ziemi w strefie nieczarnoziemnéj i $5^1/_2$ miliona dzies. ziemi w strefie czarnoziemnéj.

Według najświéższych danych, dotyczących gub. centralnych, własne gospodarstwa folwarczne stanowią tam mniéj, niż 40% majątków i mniéj niż 50% roli. Co do dzierżawców, to nimi są przeważnie włościanie, ci zaś, którzy wydzierżawiają większe przestrzenie, dzierżawią je przeważnie dla odzierżawienia włościanom.

Dane te potwierdza statystyka Banku szlacheckiego obejmująca 12.000 majątków. Z 9.446 majątków strefy czarnoziemnéj tylko 4.040 t. j. 42.5% ma folwarki; na rachunek właściciela gospodarstwo prowadzi się w 39.9% majątków; — 28.9% obrabia się sposobem połowniczym a 29.7% jest w dzierżawie. W trzech g. nadwołżańskich: Symbirskiéj, Saratowskiéj i Samarskiéj: ogół majątków prywatnych wynosi 989; w nich gospodarstw folwarcznych 433, t. j. 43.7%. Majątki nie mające całkiem żywego inwentarza, stanowią w strefie czarnoziemnéj 48.1%; procent waha się od 14.3% w gub. Orenburgskiéj do 64.2% w Woroneskiéj. W strefie nieczarnoziemnéj majątków bez inwentarza 23.8%. Budynków niéma żadnych w strefie czarnoziemnéj w 36.7% majątków, w nieczarnoziemnéj na 18.8%. Ostatecznie, tylko mniéj, niż 10%, — około 7.5% właścicieli ziemskich są zaintesesowani w wysokich cenach ziarna. Wymienione 7.5% z 487.692 osób stanowią około 35.000 osób.

VII.

Wstępu do dzieła, napisanego przez prof. Czuprowa, rozbiérać nie będziemy. Powtarza on w streszczeniu wywody i wnioski ostateczne swoich kolegów — pomijając zastrzeżenia o niedokładności danych i wątpliwości co do wniosków zrobionych przez samych autorów. To też wstęp ten stał się głównym celem pocisków krytyki — która przyznać trzeba, nie była ani wyrozumiała, ani bezstronna. Przypomniano najprzód autorowi, że na zjeździe rolników w Moskwie orzekł, iż większa własność ziemska jest wymiérającą formą posiadania ziemi; zarzucono mu daléj, że zupełnie nie zwrócił uwagi na interesy Rosyi, jako całości, która przy niskich cenach zboża traci na wywozie ziarna setki milionów rubli; że ostateczny wywód z téj pracy jest wprost niemożliwy, gdyż niepodobieństwem jest, aby na 6.910.000 dzies. ziemi, które jakoby większa własność ziemska co roku obsiewa i z których plon na rynek dostarcza, mogło co roku urodzić się około 1.000.000.000 pudów ziarna, z których około

700.000.000 wywozi się co roku za granicę, i niemniéj chyba, niż 300 mil. p. idzie na wyżywienie miast i potrzeby przemysłu [1]).

Dyskusya nad pracą pp. Czuprowa, Posnikowa i S-ki zajęła dwa posiedzenia Ces. wolno ekonomicznego Towarzystwa (1 i 2 Marca 1897 r.). Zarzucono autorom, że nie rozróżnili skutków urodzajów i nieurodzajów od skutków nizkich i wysokich cen (Tuhan-Baranowski); że niedość zwrócili uwagi na na to, że nizkie ceny ziarna prowadzą do rozszerzania się dzierżaw „połowniczych" i „na odróbki", które są cofaniem się kultury i powrotem do stosunków pańszczyznianych (Struve); zarzucono im wogóle fałszywą metodę, nieprawidłowości logiczne, i nie naukowe traktowanie kwestyi.

Najgorzéj jednak z autorami obszedł się prof. Uniwersytetu kijowskiego Pichno, w broszurze p. t. „Znaczenie cen ziarna dla Rosyi". „Praca pp. Czuprowa i Posnikowa — mówi on w streszczeniu téj książki—jest zupełną negacyą nauki — smutnym pomnikiem lekkomyślności i naukowego nadużycia. Pracę tę można tylko przytaczać jako rażący przykład, czego nie może i nie powinien robić uczony bez względu na warunki i cele pracy; jako na wyjątkowy wypadek, w którym zapomniano i o elementarnych wymaganiach metody naukowéj i nadużyto manipulacyi cyframi" (str. 144). Zdaniem prof. Pichno — „typowy budżet" p. Szczerbiny kwalifikuje się do wodewilu (str. 84)—w całéj pracy brak zupełny jakichkolwiek dowodów (str. 17)—śmiecie (str. 90), fantastyczne cyfry (str. 81), a całość dowodzi nierozumnéj odwagi autorów (str. 102) [2]).

Prof. Pichno zwraca uwagę na jedną zasadniczą kwestyę, o któréj dotąd nie mieliśmy sposobności pomówić. Główny błąd teoretyczny pp. Czuprowa, Posnikowa i S-ki, leży podług niego w tym „nierozsądnym pomyśle" jakoby wysokość cen ziarna miała znaczenie tylko dla téj jego ilości, która dostaje się na rynek, a byłazupełnie bez wpływu na ilości spożywane przez samego producenta. Wartość pracy wszystkich 70 do 80 milionów włościan rosyjskich zależy—zdaniem p. Pichno — od wartości produktu téj pracy, od ceny zboża. Jeśli w produkcyi własnéj włościaninowi dzienny zarobek oblicza się na 15—25kop., to zarobek jego u właściciela folwarku nie będzie też wart więcéj, i właściciel nie będzie mógł nawet dać mu więcéj. Nędznym cenom zboża, zdaniem p. Pichno, zawsze towarzyszą nędzne zarobki rolne;—a nędzne zarobki rolne, w kraju przeważnie rolniczym, decydują o zarobkach w całym kraju

---

1) T. Romer w N. N· 143 i 144 „*St. Pet. Wiedomosti*" r. 1897.

2) Na uwagę zasługuje téż i krytyka prof. L. W. Chodskiego p. t. „Z powodu książki: wpływ urodzajów i cen ziarna, etc."

i dla całéj ludności. Te „nędzne zarobki" decydują o cenie ziarnia eksportowanego za granicę decydują o cenie wszystkich płodów rolnictwa, o zarobkach we wszystkich gałęziach przemysłu. Gdyby—mówi p. Pichno—pp. Czuprow, Posnikow i Sp. twierdzili np., że dla Anglii nizkie ceny węgla kamiennego, żelaza i tanie frachty morskie, są korzystne, każdy spostrzegł by, że twierdzenie to jest absurdem, że jest ono równoznaczne z twierdzeniem, iż korzystnem jest dla Anglii obniżenie wartości angielskiéj pracy i kapitałów angielskich. To zaś znaczenie, jakie dla Anglii mają kopalnie, fabryki i flota handlowa—dla Rosyi ma jéj rolnictwo, i dla tego obniżenie się ceny zboża dla Rosyi jest przedewszystkiém klęską ogólną. Szkodliwość nizkich cen ziarna dla ekonomicznego stanu państwa jest pewnikiem matematycznym, na który przewaga t. z. naturalnego gospodarstwa pozostaje bez wpływu.

Tę samą myśl rozwija na gruncie bardziéj konkretnym p. T. Woropopow w kwietniowym zeszycie „Wiestnika Jewropy" 1897 r. w art. p. t. „Kryzys i chłop" (*Krizis* i *mużyk*) (str. 813). Nie sądzi on, aby nawet dla włościanina każda niska cena ziarna była korzystną. Aby zapłacić 10 rs. podatku, rolnik musiał sprzedać w 1879 r. 12.80 pudów żyta (gub. Chersońska), a w 1888 r. 26.30 puda; odać zatém plon: w 1879 r. z 0.21 a w 1888 z 0.44 dzies. Przy wzrastającéj stale ludności i słabym stosunkowo rozwoju przemysłu cena ziarna stanowi baryerę, która powstrzymuje spadek zarobków. Czasowe obniżenie ceny ziarna inne ma skutki, niż obniżenie téj ceny stałe, długie lata trwające. Kryzys ostatni niezawodnie obniżył ceny zarobków w Rossyi. Spadki cen ziarna następowały skokami: w 188²/₃, w 1887 i w 189²/₃. Pierwsze dwie zniżki cen ziarna już obniżyły zarobki; skutki spadku 189³/₄ jeszcze się rozwijają. Autor sądzi, że jakkolwiek „taniość" ziarna może mieć „wpływ dobroczynny dla większości włościan małorolnych w nieczarnoziemnych guberniach, to jednak wpływ ten jest krótkotrwały,—a tymczasem są jeszcze inne warunki—(raczéj skutki)—ekonomiczne, które paraliżują wpływ niskich cen ziarna. Jeśli taniość zboża prowadzi do zmniejszenia ceny pracy, jeśli małorolność włościan i brak ziemi na wsi rosną — to w końcowym rezultacie dobroczynny wpływ nizkiéj ceny ziarna będzie krótkotrwały — i ten wpływ ich spotka się z wpływami innemi, niekorzystnemi, tak silnemi, że nietylko go sparaliżują, ale nawet przewyższą" [1]).

---

[1]) Zmniejszenie się przestrzeni zasiewu w Rosyi, jest urzędowo stwierdzonym faktem. Patrz. „Ateneum" za grudzień 1897 r. Art. p. t. „Stanowisko Kr. Polsk. w Państwie Ros. co do produkcyi ziarna".

Pp. Czuprow, Posnikow i Sp. nie zwrócili téż uwagi na jedną okoliczność, która, naszém zdaniem, przy ich systemie dowodzenia nie powinna być pominięta. Jeśli jest minimalna przestrzeń, poniżéj któréj rolnik nie jest w stanie wyżywić pracą rąk swoich rodziny, — to jest także i granica maksymalna przestrzeni dla jego pracy—po nad którą nie jest on w stanie roli należycie obrobić. Zwyczaj granicę tę ustalił w Europie od wieków. Fakt, że pierwotne średniowieczne gospodarstwa włościańskie mają zwykle po 30 morgów i 15 dziesięcin—a to zarówno w Polsce i w Niemczczech; okoliczność, że polskie: łan i włóka i niemieckie „*hufe*" są sobie równe, — ma to źródło i podstawę, że 30 morgów ziemi, jest granicą pracy rolnika, *maximum* przestrzeni, jaką rolnik przy średniowieczném gospodarstwie trójpolowém obrobić jest w stanie. W epoce, w któréj nowoczesne społeczeństwa osiadały na roli, w któréj ziemi było więcéj, niż ludzi, i w któréj starano się i miano możność zająć pod kulturę jak największą ilość gruntu, w téj epoce—dawano rolnikowi nie więcéj nad 30 morgów, 15 dziesięcin, z których on nietylko siebie z rodziną żywił, ale także powinności i wszelkie inne ciężary ponosił. Jeśli zatém rola 30 morgowa dziś starannemu rolnikowi nie wystarcza—dowodzi to, że grunt ten wogóle do rolnictwa nawet przy trójpolówce - odpowiednim nie jest

Dziś wobec koniecznego, nawet dla włościanina, przejścia od gospodarstwa trójpolowego do płodozmianu,—sądzimy, że rolnik z rodziną nie jest w stanie dobrze uprawić więcéj, niż 20 morgów—10 dziesięcin i 10 hektarów gruntu — i dla tego uważamy, że wszelkie dochodzenia: jak cena ziarna wpływa na własność ziemską powyżéj 20 morgów, są pozbawione logicznego motywu. Jeśli 20 morgów ziemi uprawianéj nie wystarczają na wyżywienie rolnika, to przyczyna musi leżyć albo w jego krańcowém lenistwie, albo w średniowiecznych warunkach kultury, —albo nakoniec w nieodpowiedniości gruntu do kultury rolnéj.

Wszelkie badanie wpływu cen na małą własność rolną musi zatém ograniczyć się między 2 h-a — 2 dziesięcinami lub 4 morgami—a 10 dziesięcinami, 10 hektarami i 20 morgami gruntu, a celem jego musi być wskazanie téj przeciętnéj ilości średnio dobrego gruntu, z którego, przy zwykłéj w kraju kulturze, rolnik może otrzymać zasób plonów, wystarczający dla wyżywienia jego rodziny.

Badania pp. Czuprowa, Posnikowa i Sp., nie wskazały nam té średniéj ilości, raz dla tego, że szły zupełnie fałszywą drogą, powtóre, dla tego, że nawet z materyału, który był pod ręką skorzystać nie umiano, czy téż nie chciano (dla gub. Woroneskiéj). Co do gubernij czarnoziemnych istnieje silne podejrzenie, że ilość minimalna ziemi wynosi średnio od $3^1/_2$ do $4^1/_2$ dzies. na gospodarstwo. Przy oswobodzeniu

włościan w 1864 roku uznane było za konieczne, dać im po 3.5 dziesięciny „na rewizką duszę”, t. j. na głowę dojrzałego robotnika męskiego. Działo się to jednak w czasie, w którym już ziemia wartość mieć zaczynała, w którym więc ze strony właścicieli ziemskich mogła zrodzić się tendencya jaknajwiększego ograniczenia gruntów oddawanych włościanom; — za czasów jednak poprzedzających tę epokę, za czasów kiedy w Rosyi europejskiéj gruntów nie brakowało, istniał w „Zbiorze Praw” artykuł usunięty dopiéro w r. 1857 — i noszący w tomie IX numer 1107. Opiewał on, że jeśli „pomieszczyk” nie jest w stanie dać na każdego włościanina dorosłego po $4^1/_2$ dziesięciny roli, — to nadmiar jego włościan ma być na skarb zabrany. Tę więc ilość gruntu uważano w pierwszéj połowie bieżącego stulecia — w epoce, w któréj gruntu włościaninowi nie skąpiono — za dostateczną i ta ilość prawdopodobnie i dziś w strefie czarnoziemnéj jest zdolna wyżywić rolnika z jego rodziną.

W końcu jeszcze jedna uwaga. Obliczenia p. Maressa oparte są na ilościach urodzajów i ilości ludności w danym okręgu. Ilość urodzajów podana w źródłach statystycznych jest zaledwie przybliżoną, — ilość ludności także ścisłą nie jest. Świéżo w miesięczniku „*Russkoje Bogactwo*” (listopad, 1897 r.) p. Pieszechonow starał się obliczyć, ile potrzeba ziarna na wyżywienie włościan powiatu kozieleckiego gub. Kałuskiéj. Statystyka urzędowa powiatu wykazuje 10,670 dusz włościańskich, — w rzeczywistości jest w powiecie tylko 8,792 ludzi „jedzących ziarno”, t. j. około 80% ludności do ksiąg zapisanéj. Ten fakt dowodzi ostatecznie, że wszelkie obliczenia, dotyczące ilości normalnego spożycia ziarna w okręgu oparte na „masowych danych statystycznych” nawet za przybliżone uważanemi być nie mogą i nie powinny służyć za podstawę dla jakich bądź wniosków.

VIII.

Rozbiór pracy pp. Czuprowa, Posnikowa i Sp. przekonywa ostatecznie, że jedyną metodą, prowadzącą do oznaczenia minimalnéj ilości gruntu potrzebnéj do wyżywienia rodziny włościańskiéj, może być tylko metoda użyta w Niemczech przez Kühna i Stumpfe'go — badanie pojedyńczych, konkretnych gospodarstw włościańskich i sprawdzenie: o ile średnie plony z nich zebrane mogą istotnie zaspokoić potrzebę ziarna, w rodzinie samego wytwórcy. Wartość rezultatu zależy od ilości obserwacyi, ścisłości i wiarogodności danych.

Żadną jednak metodą nie można tu dojść do jakiéjś stale oznaczonéj dla całego kraju cyfry morgów; można tylko okréślić pewną ich ilość, która przy średnim gruncie, przy zwykłych warunkach uprawy i w latach średniego urodzaju daje zbiór wystarczający zwykle do wyżywienia rodziny rolnika, wedle norm ustalonych zwyczajem. Nie należy téż rozbiérać, o ile ta zwyczajem ustalona norma odpowiada warunkom racyonalnéj hygieny, albo im nie odpowiada; — z góry nawet jesteśmy przekonani, że np. u nas w kraju skala życia włościańskiego, „*standard of life*", jeśli nie co do ilości, to co do jakości pożywienia jest za niska.

Pracę naszą uważalibyśmy jednak za niezupełną, gdybyśmy nie próbowali w jéj zakończeniu zastanowić się nad pytaniem: jaka ilość ziemi potrzebna jest u nas w Królestwie Polskiém do wyżywienia rodziny włościańskiéj? Rozwiązać jéj jednak, nie jesteśmy w stanie; brak nam do tego oppowiednich danych; materyał, jakiśmy w tym celu nagromadzić mogli, ogranicza się do kilku cyfr, mogących służyć za wskazówkę co do kierunku dalszéj pracy i do szeregu faktów konkretnych, zbyt nielicznych, aby na nich odpowiedź na pytanie nasze oprzéć było można. Co się tyczy wskazówek, to przedewszystkiém z tego, cośmy poprzednio przytoczyli, wolno nam wnioskować: 1) że *minimum* ziemi potrzebne do wyżywienia rodziny włościańskiéj musi być wyższe od 2 hektarów, 2 dziesięcin — i czterech morgów średniéj dobroci ziemi; 2) że *minimum* to w żadnym razie nie dochodzi do 30 morgów. Wobec rezultatów prac pp. Czuprowa i Sp. i ten punkt 2 gi nie wydaje się nam bez znaczenia.

Za drugą z kolei wskazówkę służyć nam może rozporządzenie Komitetu urządzającego w Królestwie Polskiém, ustanawiające niepodzielność osady włościańskiéj poniżéj 6 morgów gruntu. Jakkolwiek nieznanemi nam są szczegóły i dane, na których oparto motywy tego rozporządzenia, cel jego jest jasny: chodziło o niedopuszczenie do tworzenia się osad niewystarczających na wyżywienie rodzin włościańskich. Sądzono więc w sferach miarodajnych, że 6 morgów ziemi jest tym minimalnym obszarem, poniżéj którego ziemia rolnika z rodziną wyżywić nie może. Czy i jak rozporządzenia te wykonywane są w rzeczywistości, to kwestyi bynajmniéj nie zmienia; — sądzimy jednak, że ilość 6 morgów gruntu była oznaczona na podstawie pewnych danych, czy to teoretycznych, czy téż praktycznych, w kraju zebranych.

Trzecią wskazówką może być dla nas ilość gruntu i ordynaryi, dawanych u nas w kraju we dworach stałemu, rocznemu, żonatemu i dzietnemu parobkowi. Zwykle dwór—prócz mieszkania, opału i pen-

syi w gotówce — daje: 1) $1/_2$ korca pszenicy, 6 korcy żyta, 4 jęczmienia i 1 korzec grochu; 2) $1/_2$ morgi gruntu pod kartofle i 30 prętów pod len i kapustę; 3) utrzymanie krowy w oborze dworskiéj. Ilości te, o ile wiemy, są dostateczne dla wyżywienia rodziny parobka i dokupywanie przezeń ziarna wogóle nie ma miejsca,—resztkami i odpadkami wykarmia się trzodę, która na rynek idzie. Przywiedzione ilości ziarna odpowiadają przestrzeniom ziemi, potrzebnym do ich wyprodukowania przy średnich plonach i na średnich gruntach:

$1/_2$ korca pszenicy	— m. 25 prętom ziemi	
6 korcy żyta	1 „ 150 „ „	
4 korce jęczmienia	— „ 200 „ „	
1 korzec grochu	— „ 100 „ „	
Razem ordynarya w twardém zbożu odpowiada		2 m. 175 pr.
grunt pod kartofle, len i kapustę		— „ 180 „
Razem ziemi ornéj pod coroczną uprawę		3 m. 65 pr.
Ugór		1 „ 185 „
Łąka na utrzymanie krowy		1 „ — „
Razem		5 m. 150 prętów.

Tą drogą zatém dochodzimy do wniosku, że około 6 morgów ziemi powinnoby wystarczać na utrzymanie rodziny włościańskiéj.

Wszystko to jednak ma tylko znaczenie wskazówek, mogących wytknąć kierunek, w którym poszukiwania powinny być robione. Dowodzą one, że *minimum* znajduje się nie w okolicy 4, ale 6 morgów gruntu.

Daleko większą wagę mają następne, zebrane przez nas z wiarogodnych źródeł, dane konkretne, odnoszące się do dwóch wsi: w gub. Warszawskiéj (powiat płoński) i w gub. Łomżyńskiéj (pow. ostrołęcki). Są to skrócone budżety włościańskie—co do obrotu ziarna.

Wieś A. leży w okolicy cukrowni, stąd gospodarstwa nawet włościańskie cechują się pewnym postępem, i ze sprzedaży buraków czerpią gotówkę.

Gospodarstwo N. 1. Przestrzeń ogólna 37 m., w tém roli 35 łąk 2 m. W rodzinie 6 głów, przytém 2 służby. Inwentarz 5 krów, 1 jałowizny, 2 koni. Zbiór pszenicy korcy 50, żyta 50, jęczmienia 10, owsa 18, grochu $1/_2$ k., tatarki $1/_2$ k., kartofli 100 korcy. Pod burakami 4 morgi. Spożycie domowe 15 korcy twardego zboża, prócz kartofli. Spożycie inwentarza — nie oznaczone. Corocznie sprzedaje się: około 45 korcy zboża, 150 korcy buraków. Dochód z inwentarza około rubli 100.

Jestto więc gospodarstwo pół włościańskie i pół folwarczne, a wobec tego danych, dotyczących dwóch innych gospodarstw téj saméj prawie wielkości (34 i 32 morgi) i wykazujących prawie te same ilości zbiorów i dochodów ze sprzedaży, nie podajemy.

Gospodarstwo N. 2. Przestrzeń 18 m., roli 14, łąki 4. Zbiór pszenicy 15 k., żyta 25, jęczmienia 5, owsa 1, grochu 1, tatarki 1, kartofli 40 k.; pod burakami $^1/_2$ morgi. W domu 8 głów rodziny i 1 służby. Inwentarz: 2 krowy, 1 jałowizny, 1 koń. Spożycie 14 korcy i wszystkie kartofle. Sprzedaż roczna około 23 k. ziarna i 15 korcy buraków. Z inwentarza około 75 rs. dochodu.

Gospodarstwo N. 3. Przestrzeń (cała pod rolą) 18 mórg. Zbiór pszenicy 28 k., żyta 15, jęczmienia 8, owsa 15, grochu 1, tatarki $1^1/_2$, kartofli 50 k.; pod burakami $1^1/_2$ m. Głów w domu 6. Inwentarz: 2 krowy, 3 jałowizny, 2 konie. Spożycie 13 korcy ziarna i kartofle. Sprzedaż: ziarna 30 korcy i 60 korcy buraków. Z inwentarza do 100 rubli.

Gospodarstwo N. 4. Przestrzeń 18 m., cała pod rolą. Zbiór: pszenicy 24 k., żyta 25, jęczmienia 14, owsa 15, grochu 1, tatarki $1^1/_2$, kartofli 50 k.; pod burakami $1^1/_2$ m. Głów w domu 4. Inwentarza sztuk 7. Spożycie ziarna 10 korcy + kartofle. Sprzedaż 10 korcy ziarna, 50 k. buraków. Dochód z inwentarza do 100 rs.

Wszystkie 3 gospodarstwa widocznie zamożne — dalekie od typu minimalnego.

Gospodarstwa N. 5 i 6. Przestrzeń 9 m.—pod rolą 7, łąki 2 m. Zbiór: pszenicy 10 k., żyta 15, jęczmienia 5, kartofli 30, pod burakami $^1/_2$ m. Głów w domu N. 5—6, w N. 6—7. Inwentarza sztuk 4. Spożycie: 8 korcy i kartofle. Na sprzedaż 15 korcy ziarna, buraków 20 i 22 korce. Z inwentarza 25 r. I tu jeszcze zboża więcéj, niż go potrzeba, na wyżywienie rodziny.

Dopiéro co do 2-ch następnych gospodarstw zachodzi wątpliwość, czy zbiory ich wystarczają na wyżywienie rodziny:

N. 7. Przestrzeń 6 m., cała pod rolą. Zbiór: pszenicy 4 k., żyta 10 k., jęczmienia 1 k., kartofli 20 k. W wysiewie 16 garncy wyki. Głów w domu 4, inwentarz 2 krowy.

N. 8. Przestrzeń 6 m., pod rolą; zbiór: pszenicy 4 k., żyta 4 k., jęczmienia 2 k., kartofli 40 korcy, wyki zasiano 16 garncy. Głów w domu 5. Inwentarz 1 krowa.

Obaj gospodarze zboża nie sprzedają.

Na zapytanie, czy go dokupują? oświadczają, że nie, bo nie mają za co. Wysiew wyki dowodzi pewnego postępu w gospodarstwie.

Wieś B znajduje w bardziéj typowych warunkach, z uprawą buraków już się tu nie spotykamy.

Gospodarstwo N. 9. Przestrzeń 30 m., roli 26$^1/_2$, łąk 2 morgi. Zbiór: pszenicy 4 k., żyta 30, jęczmienia 8, owsa 18, tatarki 5, kartofli 80 korcy. Głów w rodzinie 5, prócz tego 2 służby. Inwentarz: bydła rogatego 8, koni 2, świń 3, owiec 10. Siew, inwentarz i ludzie spożywają całą produkcyę. Z inwentarza 75 rs. dochodu. Na sprzedaż ziarna nic nie pozostaje. W to trudno nam uwierzyć, choćby ze względu na następne gospodarstwa z téjże wsi.

N. 10. Przestrzeń 22$^1/_2$ m., ornéj 20$^1/_2$, łąk 1$^1/_2$. Zbiór: pszenicy 3 k., żyta 50, jęczmienia 6, owsa 18, tatarki 3, kartofli 90 korcy. Głów 8. Inwentarz: bydła rogatego 8, koni 3, świń 3, owiec 8. Spożycie na dom nie podane, — inwentarzem spasają żyta 16 korcy, owsa 8 k. i kartofli 40 k. Sprzedaż: żyta 5 korcy, owsa 2, tatarki 1. Z inwentarza 30 rs. dochodu.

N. 11. Przestrzeń 15 m., w tém ornéj 8, łąk 1—reszta? Głów 4; inwentarz: bydła 3, koń 1, świń 2, owiec 3. Sprzedaje co roku $^1/_2$ korca pszenicy i $^1/_2$ k. żyta. Z inwentarza 31 rs. dochodu.

Fakt wystarczania własnemi plonami na wyżywienie rodziny do téj pory niewątpliwy,—w gospodarstwach mających 8 morgów roli staje się wątpliwym.

N. 12. Przestrzeń 9 m., roli 8 m., łąki $^1/_2$ m. Zbiór: pszenicy 0, żyta 4 k., jęczmienia $^1/_4$, owsa 4, tatarki 1$^3/_4$, kartofli 20. (Ogólna ta ilość zbiorów jest podejrzanéj wiarogodności; jako wysiew podano: 6 garncy pszenicy, 2$^1/_2$ k. żyta, $^1/_4$ jęczmienia, 1$^3/_4$ k. owsa, $^1/_4$ k. tatarki, 10 k. kartofli). Głów 4; inwentarz: koń 1, krowa 1, świń 2, owiec 3. Dokupuje 2 korce żyta i 5 korcy kartofli.

N. 13. Przestrzeń 8 m.; roli 7, łąki $^1/_2$ m. Zbiór: pszenicy 2 k., żyta 10 k., jęczmienia 1 k., owsa 2, tatarki 4 k., kartofli 40 k. Głów w domu 4, inwentarz: bydła 4, koń 1, świnia 1, owiec 3. Sprzedaje $^1/_2$ k. żyta. Z inwentarza 52 rs. dochodu.

N. 14. Przestrzeń 7$^1/_2$ m.; ornéj 6$^1/_2$, łąk 1$^1/_2$. Zbiór: żyta 10 k., jęczmienia 1, owsa 4$^1/_2$, tatarki $^3/_4$, kartofli 60 k. Głów w domu 6. Inwentarz: 2 krowy, 1 koń, 1 świnia. Sprzedaje: 3 k. żyta, $^1/_4$ k. jęczmienia, 2 k. owsa i 5 korcy kartofli. Z inwentarza 23 ruble dochodu.

N. 15. Przestrzeń 6 morgów, w tém roli 3$^1/_2$, łąk $^1/_2$. Zbiór: $^3/_4$ k. pszenicy, 6 k. żyta, 1 k. jęczmienia, 1$^1/_4$ k. tatarki, 50 k. kartofli. Głów w domu 6. Inwentarz: bydła 6, świnia 1, owiec 2.

Na zakończenie jeszcze jeden szereg danych, odnoszących się do gospodarstwa włościańskiego w gub. Kieleckiéj — z okolic Włoszczowy.

N. 16. Przestrzeń 18 m., w tém roli 11, łąk 2, pastwiska 5 m. Zbiór roczny pszenicy k. 10, żyta 6, jęczmienia 10, owsa 14, grochu 6, kartofli 80. Głów w domu 8, w tém 4 dzieci i 1 parobek. Inwentarz: koni 2, bydła 7 sztuk, 4 świnie, 6 owiec, gęsi 20—30 sztuk. Sprzedaje 4 k. pszenicy, 4 k. jęczmienia, 20 k. kartofli, 2 k. tatarki. Dokupuje 6 korcy owsa i słomy za 10 rs. Dochody, prócz ziarna: z furmanek 60 rs., z jaj 7 rs., z gęsi 12 rs., z inwentarza 60 rs.

Jak widzimy i w téj okolicy kraju 18 m. gruntu daje widoczną zamożność, daleką od *minimum* wyżywienia.

Z wszystkich tych danych wysnuć możemy tę wskazówkę, że w naszym kraju *minimum* ziemi potrzebnéj na wyżywienie rolnika z rodziną znajduje się między 6 a 10 morgami, t. j. 3 a 5 dziesięcinami średniego gruntu,—i że dla włościanina, mającego tę ilość ziemi, wysokie ceny zboża przynoszą niezawodną, bezpośrednią korzyść.

IX

Przytoczone powyżéj dane nie są dostateczne do rozstrzygnięcia pytania, sądzimy jednak, że podniesiona przez nas kwestya jest dość ważna, aby zachęcić do usiłowań w celu jéj rozwiązania. Poruszając ją na tém miejscu, zamiarem naszym jest przedewszystkiém wnieść ją na porządek dzienny, a jednocześnie wskazać tym, którzyby się nią zająć chcieli, drogę właściwą do jéj rozwiązania, a tém samém zachęcić do zbiérania danych i albo opracowania ich dla pewnéj specyalnie okolicy, albo przesłania ich do naszéj redakcyi. Mamy nadzieję, że śród inteligentnych sfer naszego rolnictwa, nie zabraknie ludzi gotowych przyłożyć rękę w téj sprawie, która, w naszym kraju, ma znaczenie kwestyi społecznéj pierwszorzędnéj ważności. Spodziewamy się téż, że zarówno organy prasy poświęcone interesom większéj własności ziemskiéj, jak i pisma przeznaczone dla sfer włościańskich, choć w skróceniu, powtórzą treść naszéj pracy i zachęcą swych czytelników do czynnego udziału w zbiéraniu materyałów, do wyjaśnienia postawionéj przez nas kwestyi koniecznych. Materyały te obejmować powinny następujące dane:

1. Oznaczenie gubernii, powiatu, gminy i wsi.

2. Ogólną przestrzeń gospodarstwa, przestrzeń pod rolą, łąkami, lasem, ogrodem i t. d. z przybliżonym choćby określeniem stopnia dobroci gruntu.

3. Służebności—czy przysługują osadzie i jakie?

4. Ilość głów w domu: starców, robotników, dzieci i służby z osobna.

5. Inwentarz.

6. Ogólny średni zbiór — z podaniem, jeśli można, ilości spotrzebowanych: na 1) siew, 2) pożywienie dla ludzi, 3) karm dla inwentarza, 4) sprzedaż.

7. Odpowiedź na pytanie: czy gospodarstwo zwykle dokupuje, czy sprzedaje ziarno i ile?

8. Jakie są inne dochody z gospodarstwa w gotówce?

Im bardziéj te dane będą szczegółowe, i im więcéj ich będzie zebranych, tém bardziéj zbliżyć się będzie można do rezultatu, mającego wszystkie cechy przybliżonego prawdopodobieństwa. Nie ulega tylko wątpliwości, że otrzymany rezultat będzie zawsze przybliżony, różny dla różnych okolic, różnych gatunków gruntu i różnych zwyczajów uprawy.

Kończąc rzecz naszą, uważamy za właściwe przytoczyć, że wedle znanego specyalisty w sprawach rolnych Seringa [1]) przeciętny plon pszenicy z hektara ziemi wynosi:

w Rosyi	6.7	hektolitrów
w Stanach Zjednocz. A. Płn.	10.7	„
w Węgrzech	11	„
w Rumunii	12	„
we Francyi	14.9	„
w Niemczech	17	„
w Hollandyi	21.6	„
w Belgii	24.3	„
w W. Brytanii	26.9	„

Cyfry te dowodzą: że wzrostowi cywilizacyi w kraju towarzyszy zawsze wzrost wydajności ziemi; że tém samém wzrost cywilizacyi prowadzi za sobą zmniejszenie przestrzeni ziemi konieczněj do wyżywienia rodziny rolnika, że zatém przestrzeń, którą dziś za minimalną uważamy przy lepszéj uprawie i lepszém gospodarowaniu z biegiem czasu powin-

[1]) Patrz Buchenberger. *Agrarwesen und Agrarpolitik*, t. II, str. 577.

na dać więcéj, niż tego konieczna potrzeba wymaga i że w naturze przemysłu rolnego leży zdolność do coraz większego zaspakajania potrzeb ludzkich z danéj przestrzeni ziemi.

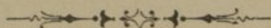
Na zakończenie odwołujemy się raz jeszcze do wszystkich dobréj woli rolników z prośbą o nadsyłanie do redakcyi naszego pisma faktów i danych, mogących poruszoną przez nas kwestyę wyjaśnić, i do wszystkich organów prasy dla rolnictwa przeznaczonych z prośbą o powtórzenie naszego wezwania.

St. Piotrowski.



Z HORACEGO.

Rozmowa z Lidyą.



3. IX. Donec gratus eram tibi...

— Dopóki byłem ci miły
I obce ramiona młode
W objęciach cię nie tuliły,
W sercu-m miał rajską pogodę.

— Pókiś nie gorzał ku innéj,
Po Chloi drugą nie byłam,
W pieśni się twojéj dziękczynnéj
Bardziéj od Troi sławiłam.

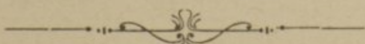
— Teraz ma władzę nademną
Chloe, Trakijka namiętna,
Za którą w otchłań by ciemną
Ma dusza skoczyła chętna.

— Mnie nęci niemém obliczem
Kalais, syn Turyńczyka,
Za niego śmierć jest mi niczém,
By on żył — chęć mnie przenika.

— Cóż, gdyby miłość wróciła,
Łącząc nas jarzmem ze złota?
Chloe mi będzie niemiła...
Przed Lidyą otwarte wrota.

— Choć słowa jego łaskawsze,
A oczy, jak gwiazdy w niebie,
Lecz ciebie wolę: chcę zawsze
Żyć z tobą i słuchać ciebie.

Przełożył *Edward Maliszewski.*



Życie i filozofia Hobbes'a.

(Hobbes Leben und Lehre von Ferdinand Tönnies. Stuttgart, 1896).

I.

Tomasz Hobbes urodził się 5 kwietnia 1588 r. z ojca, wikaryusza wiejskiego, człowieka niezwykle popędliwego, a wykształconego o tyle, o ile potrzeba było do odczytywania modlitw i homilii, oraz matki włościanki, o któréj nic nie wiemy nad to, że pod wpływem zatrważających wieści o zbliżeniu się potężnéj floty hiszpańskiéj „Armady" do brzegów Anglii przedwcześnie syna powiła. Wcześnie przez ojca osierocony, Tomasz chował się u stryja, burmistrza w sąsiedniém Malmesbury, zamożnego rękawicznika, który, będąc bezdzietnym, dbał bardzo o wychowanie synowca. Jakoż czteroletni chłopiec umiał już czytać, pisać, rachować; w 6-ym roku zaczął naukę łaciny i greckiego, zrazu w szkółce parafialnéj, następnie w prywatnéj, mając zaś lat 14 złożył nauczycielowi wierszowany przekład łaciński „*Medei*" Eurypidesa czém dowiódł dostatecznych kwalifikacyi do słuchania wykładów uniwersyteckich. Przez pięć lat studyował gorliwie w Oksfordzie logikę i fizykę w dawnym duchu, o czém na starość żartobliwie wspominał, mawiając, jak ciężki wstęp do jego głowy miała nauka, którą późniéj z takim mozołem musiał z niéj wygnać. W 1607 r. chwalebnie złożył egzaminy i uzyskał stopień „*Baccalaureus artium*", dający prawo wykładu „każdéj księgi logiki". Już był zaczął wykłady na uniwersytecie,

gdy baron Cavendish z Hardwicke, niebawem hrabia Devonshire, powołał go na nauczyciela swego syna. Równi wiekiem młodzieńcy wkrótce się zaprzyjaźnili, a i ojciec snać uważał za zbawienny wpływ nauczyciela, skoro postanowił wyprawić ich w dłuższą bo trzyletnią podróż do Francyi i Włoch. W téj podróży Hobbes poznaje nową a wyższą kulturę oraz dwa języki, a co ważniejsza — dochodzi do przeświadczenia, że filozofia, którą niegdyś tak gorliwie studyował, cieszy się zagranicą jeszcze mniejszém uznaniem, aniżeli w jego ojczyznie, stając się już przedmiotem szyderstwa prawdziwych uczonych. Postanawia tedy pozbyć się całkiem téj rzekoméj mądrości, a natomiast zagłębiać się w dziełach autorów starożytnych, przedewszystkiém starożytnych historyków, na co, pełniąc po powrocie do domu nową funkcyę sekretarza hrabiego, ma dosyć czasu i sposobności. Następują lata cichego rozwoju i dojrzewania, w ciągu których nasz filozof przebywa często w towarzystwie wybitnych osobistości. Obcuje z nim chętnie Baco i zaprasza do siebie, korzystając z jego pomocy przy tłómaczeniu swych szkiców na język łaciński. Kanclerz zwykł był podczas przechadzek w parku mieć kogoś przy swym boku, ktoby jego myśli zapisywał, a mawiał podobno, że nikt nie ujmował tak szybko i trafnie ich istoty, jak właśnie Hobbes, gdy tymczasem tego, co inni zapisywali, często potém rozumieć nie mógł, ponieważ sami tego nie rozumieli. Hobbes chętnie późniéj wspominał o swéj znajomości z Baconem, cenił téż niektóre jego rozprawy, zwłaszcza szkic „o mądrości starożytnych”, za filozofa atoli, sam filozofem zostawszy, nie uważał go wcale, lecz tylko za naturalistę; a chociaż historyę naturalną uznawał za niezbędny warunek nauki przyrodniczéj, nie przykładał wielkiéj wagi do sztucznych eksperymentów, oddając pierwszeństwo „pospolitym doświadczeniom codziennym”; mawiał téż, szydząc z baconistów, że gdyby eksperymenty istotnie tworzyły naukę o przyrodzie, aptekarze powinniby uchodzić za najlepszych fizyków. Niesłusznie więc historya, na badaniu ścisłém nie oparta, rozprawia o wpływie Bacona na filozofię Hobbes'a; wpływ ten należy rozumieć tak, że pierwszy utorował w Anglii drogę pewnéj swobodzie ogólnego sposobu myślenia. Pewniejszy jest wpływ innego przyjaciela Hobbes'a, rycerskiego Edwarda Herberta, późniejszego barona Cherbury, który w dziele „*De veritate*” (1624) rozwinął śmiało myśli o religii naturalnéj. Na czas pobytu w domu hrabiego przypada staranny, pod wieloma względami genialny przekład Tucydydesa, do którego Hobbes załączył rozprawę o życiu i dziełach historyka greckiego, wykazujące już dojrzałe poglądy przyszłego filozofa moralnego i społecznego. Celem publikacyi (1629) było unaocznienie

współobywatelom niedorzeczności demokratów ateńskich czyli ostrzeganie przed mówcami.

W życiu filozofa zaszły tymczasem zmiany. Młody Devonshire, który w 1625 r. odziedziczył po ojcu tytuł hrabiowski, zmarł nagle w 3 lata późniéj, a pozostała wdowa, pragnąc naprawić nadwyrężony stan finansów, uwolniła Hobbes'a ze służby. Ten lubo pobiérał wyznaczoną mu przez hrabiego roczną emeryturę w ilości 80 f. szt., przyjął miejsce mentora u niejakiego Cliftona, z którego synem ponownie udał się w podróż do Francyi. W czasie téj właśnie podróży, mając już lat 40, po raz pierwszy i niemal przypadkowo zaznajomił się z „Zasadami" Euklidesa, które natychmiast wzbudziły w nim wielkie zamiłowanie do geometryi i potężny wpływ wywarły na jego matematyczny sposób myślenia. Wszakże w roku 1631 na prośbę hrabiny, aby zajął się wychowaniem jéj najstarszego syna, wrócił do jéj domu. Tu całkowicie poświęcił się rozmyślaniom nad prawem i sprawiedliwością, które pragnął ugruntować na niezachwianych, bo matematyczno-przyrodniczych zasadach, w czém bliscy krewni domu Devonshire, dwaj bracia—hrabia Newcastle i baron Cavendish, żywy brali udział. Po trzech latach pobytu w domu, udał się z swym wychowańcem znowu do Francyi i Włoch. W Paryżu zawiązał bliski stosunek z uczonym minimitą Mersennem, znanym ze swego komentarza do Genezy, ale jeszcze więcéj ze studyów matematycznych i fizycznych, u którego zbiérali się Gassendi i Descartes oraz liczni uczeni zagraniczni, nader pilnie studyował „Dyalogi" Galileusza, ale, jak widać z jego korespondencyi, nie tyle go obchodziły zasady przyrodoznawstwa same w sobie, ile ich zastosowanie do „władz i wzruszeń duchowych", sądził bowiem, że będzie pierwszy traktował je umiejętnie; odtąd też we dnie czy w nocy, w podróży czy w domu, nieustannie zajmowała go myśl, że istnieje w świecie jedna jedyna rzeczywistość: ruch w wewnętrznych częściach rzeczy. We Florencyi odwiedzał często Galileusza i łatwo zdobył przyjaźń jego, zwierzył mu się z swego pomysłu nadania nauce moralnéj pewności matematycznéj przez zastosowanie w niéj metody geometrycznéj i uzyskał pochwałę starego mistrza. Z powrotem wstąpił znowu do Paryża, wznowił stosunki ścisłe z Mersennem i wtajemniczył go w swe plany i myśli, ten zakomunikował je innym przyjaciołom, i odtąd — chwali się Hobbes — „został zaliczony w poczet filozofów". Ośm miesięcy trwał ostatni pobyt w Paryżu, poświęcony niezmordowanym studyom, między innemi, nad zagadnieniami optycznemi. Wróciwszy do kraju, opuścił stanowisko wychowawcy, pozostając wszakże i nadal wiernym przyjacielem i opiekunem swego ucznia, któremu w następstwie nie jedną wyświadczył przysługę. Odtąd przebywał

prawie stale w domu hrabiego Newcastle, swego wielbiciela i wiernego patrona. Już był nakréślił plan i począł opracowywać system filozofii złożony z trzech części: *De corpore* (o ciele), *De homine* (o człowieku), *De cive* (o obywatelu), gdy hrabia z pobudek politycznych nakłonił go do metodycznego opracowania i oddzielnego wydania swych poglądów moralno-politycznych. Nastały bowiem w Anglii czasy coraz niepewniejsze, wszyscy z natężeniem i niepokojem oczekiwali rozwiązania sporu między państwem a kościołem, królem a stanami. Stanowczych obrońców przywilejów królewskich, w rodzaju hrabiego Newcastle, który, jako guwerner księcia Walii, należał do otoczenia króla, było mało. Większość składała się z tak zw. połowicznych, t. j. zwolenników monarchii mieszanéj czyli konstytucyjnéj, którzy acz przychylniéj usposobieni względem monarchii, aniżeli względem rządu ludowego, jednak słyszéć nie chcieli o absolutnéj władzy króla i wciąż ją zmniejszali. W nich więc chciał hrabia ugodzić skutecznie przez ogłoszenie dzieła Hobbes'a „O podstawach prawa naturalnego i państwowego" (*The Elements of Law natural and political*). Hobbes pierwszy odważył się pisać w obronie króla i był jednym z bardzo niewielu, którzy bez widoków osobistych, jedynie z poczucia obowiązku i na mocy zasad prawa naturalnego zachowali lojalność. Dzieło wywołało burzę; autor by uniknąć losu swych wyznawców, ściganych i surowo przez parlament karanych, a nie mogąc liczyć więcéj na opiekę jedynéj oddanéj mu osoby, mianowicie hrabiego Newcastle, który świeżo złożył swój urząd dworski, opuścił kraj rodzinny i przeniósł się do Francyi, gdzie za mądrych rządów Richelieu'go kwitły nauka i sztuka.

Jedenaście lat (1640—1651) Hobbes spędził w ulubionym Paryżu, w kółku naukowém, którego duszą pozostał do śmierci (1648) Mersenne, „wierny przyjaciel, mąż uczony, mądry i niezmiernie dobry, którego cela lepsza była nad wszelkie izby szkolne" (słowa Hobbes'a). Już na początku dał się Mersenne'owi uwikłać w spór z Descartesem z powodu jego „Dyoptryki", należał do tych, którzy czytali jego „Rozmyślania" w rękopisie i zarzuty swe wypowiadali, za co go nawet dumny samotnik nie darzył szacunkiem; sam zaś, by czémkolwiek zadowolnić swych przyjaciół, niecierpliwie wyczekujących zapowiedzianego systemu, opracował i wydał po łacinie większą jego część p. t. *De cive* (Paryż, 1642). Dzieło to znalazło późniéj największe rozpowszechnienie i najbardziéj się przyczyniło do utrwalenia imienia Hobbes'a w literaturze wszechświatowéj. Już wkrótce po ukazaniu się, zaszła potrzeba drugiego wydania, a podjął go się pewien lekarz filozofujący, nazwiskiem Sorbière, ten sam który późniéj napisał do dzieł Gassende-

go wstęp biograficzny. Miarę podziwu powszechnego, do którego nawet Descartes, tak mało mający dla innych uznania, musiał się przyłączyć, dają poniższe odezwy Gassendego i Mersenne'a do Sorbière'a, obliczone wprawdzie dla wydawcy holenderskiego i wbrew ich woli wydrukowane, nie mniéj jednak szczere. „Nie znam — powiada pierwszy—pisarza głębiéj, niż on, sięgającego w swych badaniach, a w filozofowaniu wolniejszego od przesądów. Gdybyś téż mógł i inne rzeczy mu wydrzéć, które napisał". A mnich nie bez humoru pod koniec: „Słyszę, wielce uczony Sorbière, żeś zawiózł do Gravenhaage z sobą wyborne dzieło nieporównanego Hobbes'a „O obywatelu", t. j. nieoceniony skarb wzbogacony nowemi myślami, które usuwając pojedyńcze trudności, mają równą utorować drogę. Bacz więc, aby ta księga złota wyszła w świat z pod ręki doskonałego drukarza, wyposażona godnie, jak gdyby drogiemi kamieniami przyozdobiona, a nie doświadczajże zbyt długo naszéj za nią tęsknoty. Mógłbyś téż co sił nacierać na autora, iżby całego systemu filozoficznego, który głową tworzy a piórem wykończa, na nowo nie zamknął w tyle dla nas fatalnéj szafie, albowiem wypadnie nam odwołać się do władzy królewskiéj o zezwolenie na rozbicie téj szafy nieżyczliwéj". Czytelnik może ze zdumieniem się dowié, że, mimo pochwał dwu mężów uznanéj prawomyślności, dzieło Hobbes'a w r. 1654 znalazło się na indeksie *librorum prohibitorum*, a późniéj i wszystkie dzieła łacińskie, z których wszakże już 1644 Mersenne zdołał podać w swych pismach fizycznych urywki, dotyczące teoryi postrzegania i optyki: fakt wymownie świadczący o powierzchownéj a raczéj wymuszenie obłudnéj prawomyślności tych mężów, jak zresztą wielu innych, np. Descartes'a. Wydawnictwo *De cive* posuwało się nader wolno, Sorbière bowiem zbiérał dla nakładcy opinie rozmaitych uczonych. Obawiając się trudności w tym względzie, tak pisze Hobbes do Sorbière'a: „Przeszkodzić wydaniu tego rodzaju książki mogą przedewszystkiém ci, którzy panują na uniwersytetach, chwalą się bowiem, że w nauce którą wykładają z profesyi, nikt nic nie widział, czegoby wprzódy sami nie widzieli. Musisz więc postępować ostrożnie i zbiérać opinie tylko tam, gdzie masz pewność... Powtóre, strzeż się tych, którzy wiele rzeczy chwalą, by módz resztę ganić, gdyż postępują jak nauczyciele parafialni i sądzą, że powinienem zadowolnić się pochwałami prywatnie udzielanemi, zaś pochwał publicznych zazdroszczą. Po za tém, jeżeli o przygotowaniach do wydania mego dzieła (tego lub innego) wié lub nawet domyśla się pan Descartes, przekonany jestem, że temu przeszkodzi, proszę mi wierzyć, bo wiem to z pewnością".

Między pierwszém a drugiém wydaniem „*De Cive*" (1642—1647) zaszły w Anglii wypadki, które nie mało wpłynęły na dalszy bieg życia filozofa. Sprawa króla wzięła obrót jaknajniepomyślniejszy. W bitwach pod Marstonmoor (1644) i Naseby (1645) wojska królewskie uległy zupełnemu zniszczeniu. Cromwell zwyciężył, a przywódcy rojalistów zbiegli za granicę. Hrabia Newcastle, pobity wraz z księciem Ruprechtem, przybył po sześciomiesięcznym pobycie w Hamburgu do Paryża, dokąd roku następnego (1646) podążył i książę Walii, późniejszy król Karol II. Hobbes, głośny już wówczas filozof, właśnie zamierzał w ciszy wiejskiéj prowadzić daléj swoje prace, gdy, widocznie z polecenia Newcastle'a, chcącego zatrzymać uczonego przyjaciela w Paryżu, otrzymał zaproszenie do udzielania księciu Walii lekcyi matematyki. Lubo ze szkodą dla swéj pracy naukowéj, nie uchylił się od przyjęcia zaszczytnych obowiązków, które już to z powodu jego ciężkiéj choroby, już to z powodu wyjazdu księcia do Holandyi, nie trwały długo. Ale — rzecz dziwna — on, który kiedyś z takim zapałem i narażeniem życia własnego wystąpił w obronie króla i jego praw, począł jednocześnie oswajać się z myślą o rządzie republikańskim w ojczyźnie i całkiem poważnie zastanawiać się nad możnością powrotu do Ańglii. Że stosunki z dworem, gdzie ton nadawało duchowieństwo, a na autora „*De Cive*" patrzono z niedowierzaniem, a może i bliższa znajomość z lekkomyślnym i mało obiecującym księciem po części wpłynęły na powstanie tak radykalnego zwrotu w jego zapatrywaniach, zaprzeczyć się nie da. Ale właściwych przyczyn należy — zdaniem Tönniesa — szukać głębiéj. W sposobie myślenia Hobbes'a — powiada on — oddawna już tkwił pierwiastek demokratyczny pomimo ostrych wycieczek przeciw mówcom i nowatorom, pod względem niejasnego i fałszywego pojmowania państwa i prawa zresztą nie gorszym od zwolenników króla i episkopatu. Już w przedmowie do „*De Cive*", napisanéj w roku 1646, czytamy ostrzeżenie przed mniemaniem, jakoby według jego teoryi należało okazywać państwu arystokratycznemu lub demokratycznemu mniejsze posłuszeństwo, aniżeli monarchicznemu; wprawdzie w rozdziale X starał się kilkoma argumentami poprzéć monarchię, jako formę rządu wygodniejszą, ale zarazem przyznaje, że ten jeden punkt w książce nie został dowiedziony, lecz raczéj jako prawdopodobny podany, oraz kilkakrotnie i wyraźnie zaznacza, że każdemu państwu powinna być nadana władza najwyższa i jednakowa. Nadto, Niderlandy z ich handlem bogatym, rozkwitem sztuk i nauk, swobodą religijną ściągały na się wzrok wszystkich ludzi myślących, rzeczpospolita zdawała się usuwać wszelkie przeszkody w rozwoju, a porównanie z kra-

jami monarchicznemi, szarpanemi przez wojny religijne, musiało wypaść w najwyższym stopniu dla nich niekorzystnie.

Owóż Anglia została rzeczpospolitą. Fakt ten mógł i powinien był Hobbes'a natchnąć myślą, że i jego ojczyzna zechce, na wzór Niderlandów, być przytułkiem dla myśli naukowéj. Uważał się za powołanego do współdziałania w tym kierunku. Jego nauka polityczna miała znaléść grunt naturalny w własnéj jego ojczyźnie. Nowe państwo miało usunąć wady organiczne dawnego, ukształtować się całkiem racyonalnie, być czysto świeckiém, obywatelskiém, wznieść się jako panowanie światła i nauki i zburzyć panowanie ciemnoty i przesądu. Myśli te i nadzieje tak dalece opanowały filozofa, że, zaniechawszy wykończenia swego systemu, zabrał się z niegasnącym zapałem do badań teologicznych i kościelno-historycznych, których wymagał plan nowego dzieła. Napisał „*Leviathana*"; napisał go dla swych ziomków, we własnym języku.

„*Leviathan*" przedstawia w pierwszéj części nową i rozszerzoną reprodukcyę „Zasad prawa" (*Elements of Law* i t. d.), w drugiéj — bezwzględną krytykę kościoła, kościelnéj nauki o państwie i prawie, kościelnéj polityki, jako opartych na fałszywym wykładzie Pisma, na demonologii i innych pozostałościach religii pogańskiéj, na bezzasadnéj filozofii i tradycyach bajecznych, na ciemięstwie rozumu oraz zmierzających do utrwalenia świeckiéj przewagi papiestwa i kleru. Krytyka dotyczy nie koniecznie kościoła rzymskiego, lecz i wszelkiego innego, o ile uczy, że królestwo Boże jest z tego świata, a więc rości pretensye do władzy doczesnéj, odrębnéj od władzy państwa. Postęp ludzki czyli możność poznania prawdziwego pożytku, niezaćmionego przez namiętności, zależy od karności i wychowania, które znowu są zadaniem państwa. Przedewszystkiém powinno państwo zrozumiéć własną swą korzyść—to znaczy zrozumiéć swą istotę, która polega na niepodzielném, nieograniczoném,ześrodkowaném zwierzchnictwie. Państwo i kościół tworzą w zasadzie jedność, a wyrazem jedności powinna być jedna niepodzielna wola. Aby się utrzymać na stanowisku kościoła, musi państwo owładnąć zakładami szkolnemi, „które dotychczas były źródłami mniemań przeciwnych pokojowi ludzkości" — uniwersytetami. Sekularyzacya uniwersytetów — oto program Hobbes'a, temat, do którego w „*Leviathanie*" i innych dziełach wielokrotnie powraca. „Skoro — powiada — z uniwersytetów, jako źródeł nauki politycznéj i moralnéj, kaznodzieje i klasa oświecona czerpią wodę taką, jaką znajdują, aby nią późniéj—z ambony czy w innych mowach—pokrapiać naród, należy wszelkich dokładać starań do utrzymywania jéj w czystości, chroniąc zarówno od jadu polityków pogańskich, jak i od czarów duchów zawodniczych." Z innych ustępów praktycznych zaznaczmy: potępie-

nie wichrzeń rojalistowskich, skierowanych przeciw istniejącemu rządowi republikańskiemu, oraz rozstrzygnięcie kwestyi, często w ówczesnych dziełach angielskich poruszanéj, a mianowicie: „kiedy poddany winien jest posłuszeństwo zdobywcy?"

Hobbes odpowiada: począwszy od chwili, gdy mając swobodę wyboru, wyraźnie czy za pomocą wystarczającego znaku oświadcza gotowość poddania się. Kto bowiem korzysta z opieki zdobywcy, tém samém wyraża mu swą uległość; znajdujący się zaś zagranicą — przez swój powrót. Jednocześnie atoli ostrzega zdobywców, aby nie stawiali żądań nieuzasadnionych, aby, zadawalniając się teraźniejszą i przyszłą uległością podbitych, nie żądali od nich pochwały dla czynów już popełnionych, „gdyż nie ma rzeczypospolitéj, któraby była w stanie swój początek usprawiedliwić wobec sumienia". Hobbes doskonale sobie zdaje sprawę z osobliwego położenia, w jakiém się postawił, jako teoretyk konsekwentny, i wié, że wszystko, co z jego nauki można było wysnuć na korzyść absolutnéj monarchii w Anglii, obecnie służyć musi na poparcie wszechwładzy zgromadzenia narodowego. Ale dla niego jedność władzy naczelnéj była zawsze donioślejsza od jéj formy, i dlatego patrzył z upodobaniem, jak rewolucya kładła kres dotychczasowéj niejasności władzy, podzielonéj między króla i stany.

W obozie królewskim rozległ się, po wyjściu „*Leviathana*", okrzyk oburzenia. Duchowieństwo i szlachta wyższa zawsze patrzały złém okiem na Hobbes'a, obecnie nazywały go ateistą, zdrajcą, wrogiem religii i króla; wzbroniono mu wstępu do dworu, a patron jego, markiz Ormond, zmuszony był oznajmić mu, że zostaje pod ciężkiém oskarżeniem o nielojalność i bluźnierstwo. Miarę powszechnego oburzenia dają nam poniższe ustępy z listów, pisanych przez jednego z najczynniejszych rojalistów, sir Edwarda Nicholas'a, do kolegi szkolnego Hobbes'a, sir Edwarda Hyde'a, późniejszego lorda Clarendona i autora słynnéj „Historyi rewolucyi": „Wszyscy ludzie uczciwi a zarazem czciciele monarchii cieszą się niezmiernie, że król wygnał nareszcie z swego dworu owego ojca ateistów, Hobbes'a, który, jak utrzymują, cały dwór królowéj i wielu członków z rodziny księcia York uczynił ateistami, a gdyby go dłużéj znoszono, czyniłby co można, aby i dwór króla zatruć swoją nauką." — „Słyszę, że lord Percy bardzo się przyczynił do wzbronienia Hobbes'owi wstępu do dworu. Ale dowiaduję się, że Wat Montagu i inni papiści — na hańbę wszystkich prawdziwych protestantów — byli najgłówniejszymi sprawcami wydalenia tego wielkiego ateisty." Trudno wiedzieć, czy — jak pisze Clarendon — władze francuskie rzeczywiście wydały rozkaz uwięzienia Hobbes'a; wszelako popadłszy w niełaskę i tém samém pozbawiony opieki, któréj jako stron-

nik „króla na wygnaniu" używał, a nie będąc jeszcze poddanym rzeczypospolitéj, czuł się z dwóch stron osobiście zagrożonym. Nie pozostało nic innego, jak wracać do Anglii, co téż uczynił. Tu mieszkał naprzemian bądź w Londynie, bądź na wsi u byłego wychowańca, hrabiego Devonshire, zażywając spokoju, a nawet ciesząc się poważaniem partyi rządzącéj, a prawdopodobnie i względami samego Cromwell'a. Trzymając się zdala od polityki czynnéj, nie mniéj od wichrzeń rojalistowskich, pomimo stosunków osobistych przeważnie z rojalistami, miał prawo, gdy w następstwie inny wiatr zawiał, w Apologii swéj reputacyi chwalić się, że nigdy nie szukał dobrodziejstw ani u Olivera, ani u żadnego z jego stronników, że nigdy nie żył poufale z jego powiernikami ani przed, ani po powrocie do kraju, i o niczyje nie ubiegał się względy. Jak niegdyś w domach wielkich panów, tak obecnie w City miał możność obcowania ze znakomitymi uczonymi. Rychło zawarł przyjaźń z Williamem Harvey'em, będącym u szczytu sławy, oraz z Johnem Selden'em, niemniéj sławnym prawnikiem i polihistorem, wraz z którymi należał do jednego koła, złożonego przeważnie z lekarzy, członków londyńskiego „College of Physicians". Harvey był lekarzem przybocznym dwóch królów oraz lorda Bacona, którego cenił za dowcip i styl, ale za wielkiego filozofa nie miał; mawiał o nim żartobliwie, że filozofuje, jak kanclerz państwa. Przeciwnie, filozofię Hobbes'a cenił wysoko, co zwyczajem ówczesnym zaświadczył, darząc przyjaciela w testamencie legatem (10 f. szt.).

W roku 1655 wyszła wreszcie na świat pierwsza część systematu filozoficznego p. t. „*De Corpore*", zawierająca logikę, pierwszą filozofię (*philosophia prima* = metafizyka) oraz filozofię przyrody, gdzie autor znowu uderzył na teologię. Ale wyzwanie było już całkiem zbyteczne, gdyż pisma jego, im bardziéj lżone przez profesorów i duchowieństwo, tém więcéj zyskiwały czytelników. Osobiście atoli nieustanne paszkwile i napaści wielce go drażniły i martwiły. Hobbes uwikłał się wówczas prawie jednocześnie w kilka sporów, z których pierwszy toczył się o reformę uniwersytetów. Cromwell zamierzał utworzyć w północnéj Anglii nowy uniwersytet. Hobbes uważał za pilniejsze przekształcenie i oswobodzenie starych. Pierwszy wystąpił niejaki William Dell, posługując się argumentami i charakterystycznemi wyrażeniami z „*Leviathana*" („wszystko dzieje się, jak za czasów papiestwa; wykłada się tę samą czczą filozofię, tę samą subtelno-scholastyczną teologię, pełną czczych słów i wiecznych sporów"); a gdy jeszcze Webster napisał „*Academiarum Examen*", astronom Seth Ward odpowiedział obroną p. t. „*Vindiciae Academiarum*", gdzie nie omieszkał uderzyć na Dell'a i Hobbes'a, którego oczywiście uważał za potężniejszego

poplecznika. Jeszcze trwał spór o uniwersytety, gdy wszczął się inny z profesorem oksfordzkim, Johnem Wallis'em, znanym matematykiem, o zasadnicze kwestye matematyki, spór nader nieprzyjemny, któremu dopiéro śmierć Hobbes'a kres położyła. Wallis, należący do partyi presbyteryańskiéj, i Ward zawarli sojusz: pierwszy uderzył w najsłabszą stronę filozofa, w geometryę („*Geometriae Hobbianae Elenchees*"), drugi — w podstawy jego filozofii („*In T. H. philosophiam Exercitatio epistolica*"); obie książki wyszły w początkach 1656 r.

Tegoż roku Hobbes wydał przekład angielski „*De Corpore*", gdzie przerobił kilka rozdziałów matematycznych, a w dodatku p. t. „Sześć lekcyi profesorom matematyki i t. d.", broniąc się ostro, jednocześnie napadł na stosowanie algebry do geometryi, w czém właśnie celował Wallis. W liście do Sorbière'a wyznaje, że przyjął wyzwanie Wallis'a jedynie ponieważ ten wystąpił przeciw niemu w imieniu całego duchowieństwa; a i Ward'a traktuje więcéj jako *vindex*'a uniwersytetów, mniéj jako krytyka. Hobbes usprawiedliwia się daléj z zarzutu, że (w „*Leviathanie*") zaleca swą naukę uniwersytetom oraz że istniejące uniwersytety nazywa „budami i warsztatami kleru", nie miał bowiem na myśli korporacyi uniwersyteckich, lecz tylko poszczególnych ludzi pragnących utrzymać powagę kościoła, jako władzy odmiennéj i niezależnéj od państwa. Wreszcie powołuje się na fakt, że geometrya z pewnością nie więcéj zawdzięcza uniwersytetom, aniżeli Gresham College (w Londynie, z którego późniéj powstała Royal Society), lub ludziom prywatnym w Londynie, Paryżu oraz innych miejscowościach, którzy nigdy nie wykładali ani nie nabyli téj nauki w uniwersytecie. Trzeci spór — z biskupem Bramhall'em o swobodę woli — powstał jeszcze za pobytu w Paryżu (1646) w czasie uczty u markiza Newcastle. Gdy markiz prosił obu przeciwników o piśmienne skréślenie swych dowodów, Hobbes zastrzegł sobie, że przeznacza swą rozprawkę wyłącznie dla niego. Tymczasem pojawiały się kopie, a pewien młody człowiek, nazwiskiem John Davies, był o tyle śmiały, że ogłosił drukiem rozprawkę z własną wysoce antiklerykalną przedmową (1654). Biskup odpowiedział obszerną repliką, która wywołała odparcie ze strony Hobbes'a, wreszcie ten zebrał wszystkie akta dotyczące sporu i wydał w roku 1657. W r. 1658-ym wyszła druga część systemu p. t. „*De Homine*", która nie dała powodu do polemiki. Na ten czas przypada również skréślenie ciekawéj „*Historia ecclesiastica*", która zawiera wszystkie zarzuty wymierzone przez niego przeciw klerowi, a wydana została po śmierci autora przez historyka Rymer'a.

Filozofowi sądzoném było przeżyć rzeczpospolitą i protektorat, które ze śmiercią potężnéj postaci Cromwella ostać się nie mogły;

25-go maja 1660 r. nastąpił wjazd Karola II-go do Londynu. Król odszukał w tłumie byłego nauczyciela geometryi, uprzejmie go przywitał, podał rękę do ucałowania i zapytał o zdrowie; w kilka dni późniéj zaprosił go do siebie i polecił znanemu malarzowi Samuelowi Cooperowi zdjąć jego portret, który na przekór zwolennikom kościoła zawiesił w gabinecie jako drogocenny klejnot; wreszcie obdarzył go emeryturą (100 f. szt.). Z czasem jednak powodzenie u dworu więcéj zaszkodziło jego dobremu imieniu, niż wszystkie dzieła. Zepsucie i wolnomyślicielstwo zawarły między sobą sojusz, w gruncie luźny i przypadkowy, ale zazwyczaj bardziéj dostrzegalny, aniżeli związek występku i bigoteryi, z czego partya kościelna nie omieszkała skorzystać i przypisywać całéj winy Hobbes'owi i jego teoryom. Jakoż zaczął doznawać przykrości jednéj za drugą. Pominięto go w liczbie członków nowozałożonego Towarzystwa królewskiego nauk, gdzie réj wodzili Wallis z przyjaciołmi; polemika przybrała charakter tak ostry i nawskroś osobisty (oskarżano go wprost o napisanie „*Leviathana*" w świadomym celu poparcia Cromwell'a), że zmusiła go do ostatecznego i energicznego obrachunku — w dziele p. t. „Rozmyślania nad sławą, lojalnością, moralnością i religią Tomasza Hobbes'a" — z przeciwnikiem, który przecież w swoim czasie odcyfrowywał depesze Karola I dla stronników parlamentu, a nawet chełpił się swym czynem. Prześladowanie dosięgło szczytu, gdy stronnictwo kościelne, dzierżące prym w izbie gmin, przeprowadziło wniosek zbadania „nadużyć prasowych", skutkiem czego „*Leviathan*" uległ surowéj cenzurze. Na szczęście, śledztwo to dzięki wpływowi lorda Arlingtona nie miało następstw poważniejszych, ale Hobbes nawet osobiście nie mógł wyjednać u króla pozwolenia druku. Popyt na „*Leviathana*" wzrósł tak dalece, że cena antykwarska z 8-iu szylingów podskoczyła do 30-tu. Musiano go wydać w Amsterdamie w przekładzie łacińskim wraz z wszystkiemi dziełami łacińskiemi (1668). Tu również w dwa lata późniéj ujrzał światło dzienne „Traktat teologiczno-polityczny" wyklętego żyda, „zawierający kilka rozpraw mających dowiéść, że swoboda filozofowania nie tylko może być dozwolona bez szkody dla pobożności i pokoju publicznego, lecz oraz jedynie z niemi zniesiona." Czy Hobbes widział jeszcze lub słyszał o dziele Spinozy, nie wiadomo; byłby je uznał z pewnością, jeśli nie za dosłowną swoją naukę, to bądź co bądź za niewątpliwie własne przekonanie. — Najobszerniejszém dziełem, napisaném przez 80-letniego starca, którego wydrukować wszakże król znowu autorowi nie pozwolił, jest dyalogiczna, przepełniona refleksyami, historya dwudziestu lat rewolucyjnych p. t. „Behemoth, czyli długi parlament". Tytuł wskazuje wyraźnie na *pendant* do „*Leviathana*": państwo jest jednym potworem,

rewolucya — drugim. Mamy tu bodaj czy nie pierwszą próbę racyonalistycznego rozważania nowszych dziejów, spopularyzowanego w następstwie przez Votaire'a. Na stare lata wzbudziło się w Hobbes'ie na nowo zamiłowanie do poezyi. Mając lat 87, wydał jeszcze przekład całkowity Homera z wstępem o zaletach poezyi epicznéj.

Tak dosięgnął filozof 91 roku życia, nie pozbawionego na starość radości. Dom patrona otaczał go poważaniem i miłością; w Londynie, gdzie r. 1675 był po raz ostatni, odwiedzano go często, zwłaszcza składali mu hołdy cudzoziemcy, co go razu pewnego skłoniło do wyrzeczenia o sobie: „moja sława przeleciała przez granicę i żadną miarą nie daje się napowrót sprowadzić.” Goście patrona często przychodzili do starego wychowawcy na pogawędkę, między innymi arcyksiążę toskański Kosmas III, który zabrał z sobą jego dzieła zbiorowe wraz z portretem, „aby je umieścić pośród najcenniejszych klejnotów biblioteki medycejskiéj.” Zimą 1679 r. Hobbes, pomimo choroby, pojechał z rodziną hrabiego do zamku Hardwicke; lubo odbył podróż bez trudności, musiał jednak gotować się do śmierci. Na orzeczenie lekarza, że nie ma dlań ratunku, miał podobno odpowiedziéć: „tedy cieszy mnie, że znajdę wreszcie otwór, przez który wydostanę się ze świata”. Rychło potém utracił władzę w prawéj stronie ciała oraz mowę. 4-go grudnia 1679 r. życie zakończył i pochowany został w pobliskiéj kaplicy obok babki patrona, który mu postawił marmurowy nagrobek z napisem, objaśniającym stosunek filozofa do rodziny Devonshire, oraz dodatkiem: „*Vir probus et fama eruditionis domi forisque bene cognitus.*”

Hobbes był wzrostu wysokiego, o smukłéj postaci i postawie prostéj; czoło miał wyniosłe, oczy okrągłe, ocienione gęstą brwią i niezmiernie żywe. Budowy był delikatnéj bardzo, a do 40 roku życia słabowity, późniéj nabył świéżych, rumianych policzków. Żył w celibacie, jak większość znakomitych filozofów; szczegół zaś, jakoby miał córkę naturalną, podany przez jednego z jego potwarców, jest zmyślony, albo wzięty z życia Descartes'a. Środki utrzymania miał skromne. Mająteczek swój, przynoszący 16—18 f. rocznego dochodu, podarował bratu. Sam, 1640 r. uciekając do Paryża, miał 500 f. szt. w gotowiźnie, wkrótce zwiększonéj o 200 funt. zapisanych mu testamentem przez przyjaciela i wielbiciela, Sidney Godolphin'a; oprócz tego 80 f. rocznéj emerytury z legatu najpierwszego patrona, lorda Devonshire, a po restauracyi—100 f. emerytury ze strony króla. Póki służył rodzinie Devonshire'ów, pobiérał rocznie 50 f. pensyi, późniéj zaś często małe datki, zwłaszcza — zwyczajem ówczesnym — za dedykacye; np. za dedykacyę „*De Corpore*” 40 f. szt. W testamencie cały swój majątek zapisał krewnym i przyjaciołom; hojnie téż obdarzył kamerdynera. Za

życia odznaczał się hojnością i współczuciem. Sam nigdy nie dbał o piéniądz, natomiast więcéj o wiedzę, uważając je za wręcz sobie przeciwne. „Nie może być łotrem — powiada — kto nie jest chciwym, a jeszcze nigdy chciwiec nie spełnił czynu szlachetnego." Wielce znaczącém jest dla jego osobistości i sposobu myślenia, że prowadził życie względnie niezależne. Bez właściwego zatrudnienia, bez rodziny, niskiego stanu, ale dla swego rozumu i wykształcenia w najprzedniejszych kołach poważany, w ciągłych podróżach, szczególnie zagranicą, obcując z ludźmi wszelkich stanowisk społecznych, zwłaszcza zaś — oprócz szlachty — z lekarzami, prawnikami, mężami stanu, poetami, przedstawia on typ nowoczesnego literata w wyższém znaczeniu słowa, który piórem swém doszedł do potęgi, będącéj do XVI wieku udziałem tylko autorów teologicznych.

II.

„Filozofia — uczy Hobbes w „*De Corpore*" — jest poznawaniem za pomocą prawidłowego myślenia skutków czyli objawów z domyślnych przyczyn, i nawzajem — poznawaniem możliwych przyczyn z poznanych skutków." Istnieją cztery kategorye rzeczy, dających się nazywać: ciała (t. j. materya), przymioty czyli własności (akcydencye), wyobrażenia i nazwy, ale z nich tylko pierwszéj przyznaje byt rzeczywisty, samoistny, niezależny od naszego czucia, i ją jedynie uznaje za przedmiot nauki i filozofii. A akcydencye czyli własności przedmiotów? A wyobrażenia? Jaki zachodzi stosunek między niemi a ciałami? Hobbes odpowiada: „Ciała są to rzeczy, które nie powstały, akcydencye powstały, ale nie są rzeczami", ani czémś należącém do istoty rzeczy, lecz poprostu i jedynie sposobami pojmowania ciał. Po za obrębem czucia, nie masz w całym akcie postrzegania nic oprócz ruchu między organem zmysłowym a rzeczą, t. zw. jakości zmysłowe istnieją nie w rzeczy, tylko w nas, w podmiocie czującym, to zaś, co w samym przedmiocie zachodzi i od niego pochodzi, jest tylko ruchem, nie mającym z czuciami najmniejszego podobieństwa. W „Zasadach prawa" Hobbes zastanawia się szczegółowo nad podmiotowością naszych postrzeżeń; z dowodów przytoczonych najważniejsze są następujące: 1) odbiéramy wrażenia tam, gdzie z pewnością nie ma przedmiotu, a więc zarówno bez niego, jak w jego obecności; 2) nie wierzymy w obiektywną rzeczywistość odbijających się w zwierciadle obrazów, barw i t. d.; 3) uderzenie, pobudzające nerw wzrokowy, również daje wrażenie światła; 4) zarówno ciała świécące, jak ogień ziemski, mogą swój ruch przenosić na oko i nerw wzrokowy: nie ulega wątpliwości, że

w ten właśnie sposób działa słońce, mianowicie ściągając się i rozciągając wprowadza w ruch przyległą część środka *(medium)*, który to ruch udziela się oku, a stąd przechodzi do mózgu, oddziaływanie zaś mózgu (późniéj Hobbes przyjmował, że ruch z mózgu przechodzi do serca, które dopiéro odpowiada reakcyą) odczuwamy nie jako tarcie, „lecz wyobrażamy je sobie zewnątrz nas i nazywamy—światłem.” Tak samo ma się z dźwiękiem oraz innemi jakościami. „Jedynemi rzeczami, rzeczywiście zewnątrz nas w świecie istniejącemi, są owe właśnie ruchy, które powodują powyższe zjawiska.”

Co się tyczy wyobrażeń, są one wprawdzie najpierwszemi podstawami wiedzy i o istnieniu ich wiemy bezpośrednio, wszelako pytania: dlaczego istnieją i skąd biorą początek? wymagają uprzedniego myślenia, a myślenie polega na analizie i syntezie. Przestrzeń jest wyobrażeniem, mianowicie: poprostu wyobrażeniem czegoś zewnątrz niego bytującego; czas jest wyobrażeniem, mianowicie wyobrażeniem ruchu, o ile rozróżniamy w nim pierwiastki „przed” i „po”. Ale żeby przypuszczać istnienie czegoś po za obrębem naszych wyobrażeń, prócz ciała i ruchu, na to nie ma najmniejszego powodu i najmniejszéj podstawy.

Celem, do którego dąży Hobbes, zarówno jak Galileusz i Descartes, jak zresztą całe przyrodoznawstwo nowoczesne, do którego rozwoju tak potężnie się przyczynili, jest: zjednoczenie wszystkich zjawisk nie mających charakteru psychicznego, porównywanie ich oraz sprowadzenie do jednego niejako mianownika, do podścieliska powszechnego doświadczenia, t. j. do materyi ruchoméj; co, naturalnie, wyklucza przyjmowanie oddzielnych przymiotów materyi, jako sprzecznych z tém dążeniem.

Atoli jądro „filozofii pierwszéj” Hobbes'a — w przeciwieństwie do dualizmu Descartes'a — tkwi w zdaniu: nie ma duchów. Oto dowody. Po pierwsze: Duchy nie dają się pomyśléć wcale, a „wyraz „duch” służy jedynie do oznaczenia urojonych mieszkańców mózgu”. Stoją one w jednym rzędzie z światłem, barwą, dźwiękiem; „ponieważ ukazują nam się tak we śnie jak na jawie, nie mogą być rzeczami zewnątrz nas, lecz jedynie wyobrażeniami duszy, przez nią wytworzonemi.” Przypuśćmy zresztą, że mają byt zewnętrzny, muszą zatém gdziekolwiek istniéć czyli zajmować miejsce w przestrzeni; a co zajmuje miejsce w przestrzeni nazywamy ciałem. Duchy więc albo całkiem nie istnieją, albo są ciałami. Powtóre: Nigdzie w naszém doświadczeniu nie napotykamy duchów. Aniołowie, tak wybitną odgrywający rolę w staréj ontologii, należą do wiary, nie do filozofii. A co się tyczy duchów najbardziéj znanych, mianowicie widm, lud przecież przedstawia je sobie cieleśnie, jako delikatne istoty powietrzne. Zjawiska same przez się

wątpliwości nie ulegają, lecz tłómaczenie ich jest fałszywe, ponieważ ludzie nie rozumują prawidłowo i nie wiedzą, że mają do czynienia z wytworami fantazyi. Jedno, co może uchodzić za pewne, to istnienie duszy ludzkiéj, a może być i zwierzęcéj, wszakże z doniosłém zastrzeżeniem, że dusza oznacza tylko podmiot logiczny wrażeń i wyobrażeń, nie substancyę samoistną, tém mniéj substancyę niematieryalną.

Hobbes tedy jest materyalistą, ale — dodaje Tönnies — tak jak cały świat nim jest lub coraz bardziéj się staje. Dąży on do wykorzenienia przesądu właściwego wszystkim ludom i, niestety, głęboko tkwiącego w tłómaczeniu natury, że dusza rozłącza się z ciałem, jeśli nie we śnie, omdleniu lub ekstazie, to przynajmniéj w śmierci, oraz posiada zdolność objawiania się w postaci powietrznéj śniącym i duchowidzom. Jest niewyczerpany w wykazywaniu subiektywności wszystkich tego rodzaju zjawisk, które — mniejsza o to, czy je wraz z ludem uważamy za materyalne, czy wraz z filozofami za niematerya lne — nazywa „w gruncie pomieszaniem albo chorobliwym stanem mózgu".

Nie mielibyśmy dokładnego pojęcia o „filozofii pierwszéj" czyli metafizyce Hobbes'a, gdybyśmy pominęli jego poglądy na przyczynowość. Wychodzi on z przeciwieństwa czynności i bierności, czynnego i biernego ciała. Przyczyna każdego procesu mieści się w obu, jest sumą wszystkich ich własności, tak iż niepodobna wyobrazić sobie nienastąpienia procesu, jako skutku, w ich obecności, jak również nastąpienia skutku w braku jednéj z rzeczonych własności. Obie części zupełnéj i wystarczającéj przyczyny nazywają się: przyczyną działającą w ciele czynném i materyalną — w ciele biernén. Z chwilą, gdy dana jest przyczyna zupełna, musi nieuchronnie nastąpić skutek, w przeciwnym razie brak jakiéjś okoliczności bądź w przyczynie działającéj, bądź w materyalnéj. Ponieważ więc przyczyna zupełna jest zarazem konieczną, wypływa stąd, że każdy proces miniony miał przyczynę konieczną i że wszystkie procesy, które w przyszłości nastąpią, będą miały przyczynę konieczną; wypływa daléj, że wywoływanie skutków polega na ciągłéj progresyi, co znaczy: w miarę ciągłych zmian zachodzących w ciele czynném pod wpływem innych ciał, zmienia się również ciało bierne pod wpływem czynnego; np. w miarę zwiększenia się gorącości ognia, wzrasta jednocześnie jego działanie, t. j. ciepło ciał najbliżéj znajdujących się, potém dalszych i t. d. Daléj, przyczyna i możliwość, skutek i rzeczywistość są jedną i tą samą rzeczą, z rozmaitych stron rozważaną. Co w stosunku do przeszłości przyczyną, nazywa się w stosunku do przyszłości możliwością, stąd możliwość czynna i bierna; co względem przyczyny nazywa się skutkiem, względem możliwości

nazywa się rzeczywistością. W chwili zupełnéj możliwości istnieje również rzeczywistość. Niemożliwém jest to, co nigdy nie będzie miało za sobą zupełnéj możliwości. Wszystko, co nie jest niemożliwém, jest możliwe. Każde zatém zdarzenie możliwe kiedyś się urzeczywistni, niepodobna bowiem, ażeby się nie urzeczywistniło. Co zaś nie może być, ani stać się niemożliwém, nazywamy konieczném. A zatém, co jest możliwe, będzie kiedyś konieczne. Wszystko się dzieje z przyczyn koniecznych. Przypadkowém nazywamy to, czego koniecznéj przyczyny nie znamy. Wszelkie zdanie, dotyczące przyszłości, np. „jutro będzie dészcz”, jest z konieczności prawdziwe, albo z konieczności fałszywe. Możliwość nie jest przymiotem rzeczywistości, od niéj różnym, ale samą rzeczywistością, w szczególności ruchem, a nazywa się możliwością dlatego tylko, że inna rzeczywistość ma się do niéj, jak skutek do przyczyny.

Poznaliśmy wyżéj teoryę poznania Hobbes'a i widzieliśmy, jak ściśle wiąże się z jego metafizyką. W czwartym rozdziale „*De Corpore*” znowu do niéj powraca i stawia — na czele fizyki, mając przytém na uwadze nie postrzeganie specyalnie ludzkie, lecz wogóle zwierzęce, w czém znowu uwydatnia się różnica między nim a Descartes'em, który — jak wiadomo — uważał zwierzęta za automaty. Rozpoczynanie fizyki od postrzegania może się nam wydać dziwném i niezrozumiałém, ale Hobbes sądzi, że przyczyna wszelkich jakości zmysłowych, a zarazem zjawisko ze wszystkich innych najbardziéj zadziwiające i najpierwotniejsze, powinno zająć naczelne w nauce o przyrodzie stanowisko. Postrzeganie jest zmianą ciała postrzegającego, a wszelka zmiana — ruchem w wewnętrznych jego częściach, zwanych organami czucia. Pobudzenie ich musi pochodzić z zewnątrz, ciśnienie bezpośrednie od ciśnienia bardziéj odległego i t. d., aż dotrzemy do tego, co nazywamy rzeczą. Pobudzenie wywołuje w narządzie ruch wsteczny, który, idąc z wewnątrz na zewnątrz, trwa przez pewien czas i daje obraz zewnętrzny. Sądzenie i pamięć są istotnemi składnikami aktu postrzegania, gdyż bez nich porównywanie i odróżnianie byłoby niemożliwe, tych zaś zasadniczym warunkiem jest różnorodność pobudzeń. „Gdyby — powiada — człowiek obdarzony doskonałemi narządami wzroku, ale pozbawiony innych narządów zmysłowych, patrzał ciągle na ten sam przedmiot, nie zmieniający ani barwy swéj, ani postaci, powiedziałbym, że również mało widzi, jak ja przy pomocy moich organów dotyku odczuwam kości własnych ramion; odczuwać ciągle jedno i to samo tyleż znaczy, co nic nie odczuwać.” W jedności ciała organizowanego upatruje on podmiot wszystkich czuć, dla których przyjmuje jeden organ wspólny i umiejscawia go, zgodnie z dawną fizyologią,

w połączeniach korzeni nerwowych z sercem. Uwagę tłómaczy rozmaitém natężeniem czynności zmysłowéj oraz brakiem dyspozycyi pobudzonych narządów do innych wrażeń. Tylko pobudzenie najsilniejsze zostaje postrzeżone i usuwa na drugi plan wszystkie inne, „podobnie jak światło słoneczne zaćmiewa nadmiernym blaskiem gwiazdy, nie znosząc bynajmniéj ich działania.”

Przedmiot właściwéj fizyki stanowią: wszechświat i gwiazdy; światło, ciepło i barwy; zimno, wiatr, twardość, lód, błyskawica i grzmot i t. d.; wreszcie dźwięk i przedmioty innych zmysłów, w końcu zaś ciężkość. O wszechświecie, jako o całości, „mało co się da pytać, jeszcze mniéj odpowiedzićć”. Ani człowiek, ani żadna inna istota, chyba sama byłaby nieskończoną, nie jest w stanie wytworzyć pojęcia o nieskończoności; choćbyśmy przez najprawidłowsze myślenie przechodzili od pewnego skutku do przyczyny najbliższéj, od niéj do dalszéj i t. d., przecież do wieczności dotrzéć nie zdołamy i musimy wreszcie zaprzestać badania. I jakkolwiek niemożliwość ruchu bez przyczyny zewnętrznéj każe dość słusznie domyślać się jakiéjś pierwszéj przyczyny poruszającéj, byłoby jednak błędem wnosić stąd o istnieniu czegoś odwiecznie spoczywającego, lecz owszem raczéj o istnieniu czegoś odwiecznie poruszającego się, albowiem w ruch wprowadzić może tylko to, co samo ruch posiada. — Wbrew Epikurowi, który uważał próżnię za niezbędny warunek ruchu, Hobbes utrzymuje, że pojęcie ruchu wymaga wprawdzie przedziałów, ale nie próżnych, wystarcza, aby je wypełniała materya płynna. Prócz ciał stałych i widzialnych, istnieją jeszcze niezmiernie małe atomy, rozproszone w przedziałach ziemi i gwiazd, oraz wszechpłynny eter tak szczelnie wypełniający resztę przestrzeni, że nie pozostawia żadnego miejsca próżnego.—Co się tyczy teoryi specyalnie astronomicznych, Hobbes niemniéj gorliwie od samego Newtona pracował nad wyjaśnieniem układu heliocentrycznego z prostych i zrozumiałych zasad fizykalnych; zastanawiał się nad przyczyną mimośrodu ekliptyki, którą widział w różnicy części ziemi; odrzucał magnetyczną naturę przyciągania, które uważał za przyczynę dróg planetarnych, leżącą w słońcu, również tłómaczenie przyciągania i odpychania za pomocą niemateryalnych *species*. Światło wyprowadzał z ciśnienia, wywieranego przez obrót słońca na otaczającą substancyę eteryczną i dochodzącego w jednéj chwili do oka i serca; ciepło též uważał za ruch eteru, przyczém ściśle rozróżniał ciepło, jako przyczynę i fakt obiektywny, od uczucia ciepłoty. Barwę uważał za światło nieczyste. Miał dokładne pojęcie o rozchodzeniu się dźwięku w rozmaitych środowiskach, i rozmaite wysokości dźwięków objaśniał prędszém lub powolniejszém

drganiem cząstek dźwięczącego ciała. Przyczynę ciężkości widział w przyciąganiu ziemi w kierunku dośrodkowym.

Do badań psychologicznych Hobbes'a, względnie najmniéj zabarwionych teoryą poznania i metafizyką, należy przedewszystkiém teorya marzeń sennych. Jak postrzeganie powstaje przez pobudzenie z zewnątrz, tak sen przez pobudzenie z wewnątrz. Pobudzenia organów zmysłowych przechodzą ostatecznie do serca, gdzie przyśpieszając lub hamując obieg krwi, wywołują uczucie przyjemne lub przykre; w sercu pobudzenia trwają i podczas snu, i jak na jawie obrazy mózgowe wywołują przyjemność i przykrość, tak znowu przyjemność i przykrość lub odpowiadające im uczucia ciepła i zimna wywołują w śpiącym mózgu obrazy: ruch w mózgu i ruch w sercu wzajemnie na siebie oddziaływają. „W stanie czuwania ruch zaczyna się na jednym końcu, we śnie — na drugim." Sny odznaczają się następującemi własnościami: 1) brakiem ładu i związku, co pochodzi z braku zastanowienia we śnie; 2) treść snów składa się z wyobrażeń minionych czuć zmysłowych, albowiem wraz z ustaniem czucia ustaje wszelki nowy ruch ze strony przedmiotów, a więc wszelkie nowe obrazy, chyba gdybyśmy chcieli nazywać nowym jakiś obraz złożony, np. chimerę, złotą górę; 3) obrazy senne odznaczają się większą jasnością niż wyobrażenia na jawie, z wyjątkiem postrzeżeń, którym jednak swą jasnością dorównywają, raz że, w braku wszelkich wrażeń zewnętrznych, ruch wewnętrzny otrzymuje przewagę, powtóre ponieważ części rozmaitych obrazów fantazyjnych wzmacniają się nawzajem; 4) nie dziwi nas we śnie ani wygląd rzeczy, ani miejsce, gdzie nam się ukazują, gdyż ździwienie oparte jest na nowości i niezwykłości rzeczy i wymaga przypominania zjawisk wcześniejszych, we śnie zaś wszystko objawia się jako teraźniejszość. Zdarza się często, że ludzie nie uznają charakteru właściwego snów, przyjmują je za rzeczywistość i nazywają „wizyami", co zresztą również zachodzi i na jawie u ludzi bojaźliwych i przesądnych. Tu Hobbes — pierwszy z wszystkich myślicieli — upatruje źródło wiary w duchy i widma, do któréj jeżeli dodamy nieznajomość przyczyn działających, uległość względem wszystkiego, co w strach nas wprawia, oraz skłonność do przyjmowania rzeczy przypadkowych za oznaki przyszłości, będziemy mieli — według niego — przyrodzone zarodki wszelkiéj religii. Pogląd ten zajmuje w sposobie myślenia naszego filozofa górujące stanowisko, tłómaczy nam jego walkę eksterminacyjną z iluzyami ludzkiemi i tworzy ogniwo, łączące teoryę poznania z ostatecznemi zasadami jego filozofii dziejów i życia społecznego.

Godném jest uwagi, że już Hobbes sformułował w najogólniejszych wyrazach prawo kojarzenia wyobrażeń. „Ruchy — powiada —

kolejno po sobie następujące w wrażeniu, zachowują swój związek również po ustaniu wrażenia, jako pozostałości; stąd gdy ruch wcześniejszy znowu się powtarza i dochodzi do pewnego natężenia, pociąga za sobą, dzięki związkowi materyi ruchoméj, i ruch następny, podobnie jak woda ciągnie się po równym stole niezależnie od kierunku, jaki nadajemy palcem któréjkolwiek jéj części." Bieg myśli może być albo dziki i bezładny, albo regulowany przez życzenie i cel. Na myśleniu uregulowaném polega wszelkie poszukiwanie, w szczególności: przypomnienie, cofające się w przestrzeni i czasie poczynając od pewnego punktu, przewidywanie przyszłości na podstawie doświadczenia, również domysł na podstawie znaków. W związku z znakami stoi teorya wyrazów czyli języka. Język jest wynalazkiem wyższym i pożyteczniejszym od pisma, które znowu pod względem znaczenia przewyższa druk. Podobieństwo mowy u zwierząt jest naturalnym wyrazem ich uczuć, mowa ludzka składa się z dowolnie ustalonych znaków głosowych. „Nie znaczy to, że ludzie pewnego poranku zeszli się na naradę dla uchwalenia znaczenia wyrazów, należy jednak przypuścić, że z początku istniały tylko nieliczne nazwy najbardziéj znanych rzeczy, te od rodziców przeszły do potomstwa, które je znowu przekazało swojemu potomstwu, a zarazem tworzyło nowe wyrazy." Dziecinném zaś jest mniemanie niektórych, jakoby rzeczy otrzymywały nazwy stosownie do swojéj natury; bo skądby się wzięły rozmaite języki i co dźwięk może mieć wspólnego z rzeczą? Hobbes jest, jak widzimy, krańcowym nominalistą. Że rzeczy są z natury pojedyńcze, a *universalia*, t. j. pojęcia, mają byt tylko w naszym umyśle, to się samo przez się rozumié; ale nazwy, czy się stosują do rzeczy pojedyńczych, czy do pojęć, są tylko umówionemi znakami, ich wartość tkwi nie w nich samych, lecz w umowie czyli w świadomém porozumieniu. Nazwy łączymy w zdania; zdanie jest prawdziwe, jeżeli obie nazwy rzeczywiście stosują się do téj saméj rzeczy, ale czy się stosują, to zależy od woli człowieka, przedewszystkiém od woli mówiącego; gdy zaś wiele osób używa tych samych nazw, czyli tego samego języka, muszą się porozumiéć co do użycia wyrazów. Aby wiedziéć coś, niedość jest znać zdanie prawdziwe, lecz jeszcze treść jego miéć w myśli, to znaczy: przypominać sobie znaczenie wyrazów, odnosić je do przedmiotu i do wrażenia, które się od niego otrzymało, inaczéj znak będzie bezmyślny. Wiedza więc naukowa, która się rzeczonemi cechami odznacza, polega ostatecznie na doświadczeniu i przypominaniu na równi z wiedzą faktów, właściwą również zwierzętom. Człowiek tak samo jak zwierzę staje się mądrym przez doświadczenie, ale z pomocą przychodzi mu system wyrazów czyli język, który utrwala wspomnienia.

Jak filozofii pierwszéj Hobbes'a jądrem było zdanie o niebytności duchów, tak w nauce o człowieku, czyli psychologii, środkowy punkt stanowi zaprzeczenie wolności woli. On pierwszy w całéj epoce bronił energicznie téj tezy i bez domieszek teologicznych. Późniejsi determiniści, z Spinozą i Leibnizem na czele, nie wiele dodali do jego argumentów. O Leibnizu wiemy z pewnością, że znał pisma Hobbes'a, dotyczące woli, i ulegał ich wpływowi; Spinoza prawdopodobnie znał tylko pobieżny rozbiór zagadnienia w „*De Cive*" i „*Leviathanie*". Spór o wolną wolę powstał z napaści biskupa Bramhalla, która wywołała obronę Hobbes'a, poczém nastąpiły replika i duplika, co wszystko razem Hobbes wydał p. t. „Kwestye dotyczące swobody, konieczności i przypadku". Zgodnie z swoją ogólną teoryą przyczynowości, wypowiada on, jako wielki paradoks, twierdzenie, że bodaj czy się da pomyśléć jakikolwiek proces, a zatém i jakikolwiek proces ludzki, w którego wytworzeniu nie współdziałałoby wszystko co istnieje w naturze rzeczy. Biskup nie zrozumiał twierdzenia i — jak utrzymuje Hobbes— „wyraża się o paradoksach często z takiém szyderstwem i odrazą, że zwyczajny czytelnik musi je uważać albo za zbrodnię stanu, albo za jakie inne straszne przestępstwo, jeśli nie za błazeństwo; gdy tymczasem czytelnik światły wié, co owo słowo oznacza, mianowicie: mniemanie jeszcze powszechnie nie przyjęte. I religia chrześciańska była kiedyś paradoksem, i wiele przekonań samego biskupa należało kiedyś do paradoksów; jeśli więc ktokolwiek nazywa pewien pogląd paradoksalnym, nie powiada tém, że jest on nieprawdziwy, lecz składa dowód własnéj niewiadomości, gdyby bowiem zrozumiał pogląd, wnetby go nazwał prawdziwym albo fałszywym. Biskup nie spostrzega, że jeżeliśmy wyszli z stanu niewiadomości barbarzyńskiéj, który cechuje ludy nieposiadające praw ani państwa, a zatém nauk i cywilizacyi, — zawdzięczamy to jedynie paradoksom." Przytoczenie całéj polemiki obszernéj uważamy za zbyteczne, zwłaszcza że argumentacya biskupa jest w gruncie błaha i czytelnikom pewnie skądinąd znana, bo stanowi dotychczas główną broń przeciwników determinizmu. Zaczyna np. od osławionego *argumentum a baculo* zarazem anegdoty, jako filozof Zeno pewnego razu bił swego niewolnika za kradzież, a gdy ten na swe usprawiedliwienie odwołał się do konieczności, która uczyniła zeń złodzieja, bił go jeszcze mocniéj, mówiąc, iż ta sama konieczność zmusza go do bicia. Bramhall dodaje: tak powinien być ćwiczony każdy kto zaprzecza wolności, aż przyzna, że i dręczyciel jego może zaprzestać, gdy zechce. Albo posługuje się dobrze znanym argumentem, jako determinizm niweczy wszelki porządek społeczny i polityczny. Najlepiéj będzie streścić poglądy Hobbes'a własnemi jego słowy: „Nikt w danéj

chwili nie jest panem swéj przyszłéj woli. Może ona uledz zmianie pod wpływem innéj jakiéj woli, lub pod wpływem zmian w rzeczach zewnętrznych. Zastanowienie cechuje zarówno ludzi, jak zwierzęta, gdyż polega na kolejno zmieniającém się chceniu, zaś nie na myśleniu; a ostatni akt procesu, czyli ostatnie chcenie, bezpośrednio za sobą pociągające czyn, jest jedyną wolą dostępną dla innych i w ogólném mniemaniu nadającą właśnie wolność czynowi. „Być wolnym” znaczy nie więcéj, jak czynić i zaniechać, kiedy się chce; idzie przeto o wolność człowieka, nie o wolność woli. Wola nie jest wolna, lecz podlega zmianom pod wpływem przyczyn zewnętrznych. Zaś wszystkie przyczyny zewnętrzne z konieczności zależą od pierwszéj przyczyny zewnętrznéj, od Wszechmocnego, który za pośrednictwem łańcucha przyczynowego kieruje naszém chceniem i postępowaniem. A ponieważ ani człowiek, ani żadna inna rzecz nie może sama na się oddziaływać, więc niepodobna, aby człowiek mógł współdziałać z Bogiem w ukształtowaniu swéj woli. Nie ma przyczyn przypadkowych; wszystko co się dzieje, dzieje się na mocy określonéj przyczyny lub współdziałających przyczyn, wystarczających do urzeczywistnienia faktu; wszelka taka przyczyna i jéj współdziałanie wypływają z Opatrzności, z chcenia i działania Boga. Wprawdzie wraz z innymi nazywam wiele zdarzeń przypadkowemi, powiadam jednak, że każde zdarzenie miało swoje przyczyny dostateczne, te zaś znowu inne: wszystko się dzieje z konieczności. I jakkolwiek nie znamy istoty zdarzeń przypadkowych, to przecież i zdarzenia najbardziéj przypadkowe mają swe przyczyny niezbędne narówni ze zdarzeniami, których przyczyny są nam wiadome, inaczéj bowiem niepodobna byłoby przewidywać ich, jak je Wszechmocny przewiduje.”

Naukę o afektach Hobbes opiéra na dwóch pojęciach, zarazem psychologicznych i socyologicznych: na potędze i czci. Najogólniejsze wzruszenia są: przyjemność, miłość, pożądanie — jako dodatnie, i przykrość, odraza, strach — jako ujemne; poszczególne wzruszenia wypływają z poszczególnych wyobrażeń i myśli. Kto spodziéwa się radości, musi w sobie czuć siłę do jéj osiągnięcia; siła zaś jest to poprostu wyższość siły jednego człowieka w porównaniu z siłą drugiego, a uznanie dla siły przemagającéj znaczy tyle co cześć. „Istota poszczególnych namiętności polega na odczuwaniu przyjemności lub przykrości związanéj z oznakami czci lub bezczci.” Człowiek w posiadaniu wolności naturalnéj wydaje mu się najdzikszém z dzikich zwierząt; kieruje nim nietylko głód obecny, lecz oraz i głód przyszły. Dąży on do nieograniczonéj władzy; przyjemność sprawia mu to, w czém innych przewyższa, przykrość — w czém inni jego przewyższają. Hobbes jest nie-

dościgniony w zwrotach, gdy kréśli ten egoizm bezbrzeżny i demaskuje obłudę, pod którą się ukrywa. Nazywa się dobrém to, co się komu podoba i korzyść przynosi, i uważa się je za dobro w sobie, a więc również w stosunku do innych, chociaż pożyteczne dla jednego jest szkodliwe dla drugiego; nadaje się ohydną nazwę rzeczy, znajdywanéj u przeciwnika, i piękną, gdy się ją samemu posiada. Większość nawet, zaślepiona w swym interesie, rzeczywiście wierzy w sprawiedliwość tego, z czém jéj dobrze, i wiarę swą wspiéra bądź na tradycyi, bądź na rozumie, w miarę tego skąd spodziéwa się lepszego skutku. „Tém się tłómaczy, powiada Hobbes, dlaczego nauka o sprawiedliwości i niesprawiedliwości ciągle była zwalczana piórem i mieczem, w przeciwieństwie do nauki o liniach i figurach; tu bowiem ludzie nie troszczą się o prawdę, ponieważ nie krzyżuje ona niczyjéj dumy, korzyści lub przyjemności. Gdyby jednak twierdzenie, że suma kątów trójkąta równa się dwóm prostym, sprzeciwiało się czyjemuś prawu własności, a raczéj interesowi posiadaczy własności, nie wątpię, że zainteresowani usiłowaliby, jeśli nie zwalczyć, to przynajmniéj stłumić je przez spalenie wszystkich dzieł geometrycznych.” Współzawodnictwo jest najgłówniejszą przyczyną walki między ludźmi; drugą przyczyną — nieufność całkiem naturalna i rozumna, ponieważ każdy musi strzedz się chciwości, zawiści i pychy innych; trzecią — próżność. Pierwsza przyczyna pobudza do owładnięcia cudzą osobą, cudzą żoną, dziećmi, mieniem; druga pobudza do obrony zagarniętych łupów; trzecia — do niezgody i kłótni o drobnostki: o słowo, uśmiéch, odmienne przekonanie lub inne objawy niedoceny.

Nie podzielając przesadnych nadziei wielu współczesnych (np. Bacona i Descartes'a) co do możliwego w przyszłości pożytku z rozszerzonéj i ulepszonéj znajomości przyrody, owszem uważając współczesną kulturę materyalną w najważniejszych jéj dziedzinach za skończoną, Hobbes przyjmuje wszędzie jednak — w doświadczeniu i wynikach doświadczenia, w nauce czystéj i stosowanéj—możliwość i rzeczywistość ciągłego rozwoju. Rzecz charakterystyczna, że strona teoretyczna wszędzie u niego poprzedza przyczynowo stronę praktyczną. W sztuce widzi owoc nauki, przedewszystkiém geometryi i fizyki. „Wszystko co wypływa na pożytek ludzkości z obserwacyi gwiazd, opisu ziemi, obliczenia czasu, dalekich podróży morskich, wszelkie piękno gmachów, potęgę twierdz, podziwu godne maszyny, słowem—wszystko, co wyróżnia czasy obecne od dawnego barbarzyństwa lub od stanu dzikich w Ameryce — zawdzięczamy niemal wyłącznie geometryi.” Jeżeli nie traci nadziei dalszego rozwoju kultury pod wpływem wiedzy, to przecież możliwość jéj urzeczywistnienia widzi jedynie w téj części nauki, za któréj twórcę sam siebie uważa, mianowicie: w nauce o prawie na-

turalném, podstawie etyki i polityki. Jéj zadaniem jest położenie kresu sporom i walkom, zwłaszcza wojnom domowym, „które powstają z nieznajomości przyczyn wojny i pokoju", a są źródłem wszelkiéj nędzy i ubóstwa. Istnienie samo takiego stanu dostatecznie dowodzi braku owéj nauki. Potrzebna jest skala, kryteryum sprawiedliwości i niesprawiedliwości. Dotychczas go brakowało. Ludzie nie wiedzieli, czy słuszne lub niesłuszne jest to, co czynić zamierzali, albo błądzili, posługując się fałszywemi kryteryami.

Doszliśmy do punktu kulminacyjnego oraz głównego celu wszystkich spekulacyi Hobbes'a: do teoryi prawa naturalnego i polityki. Za punkt wyjścia służy mu utarte znaczenie terminu, identyczne z stałą wolą przyznawania każdemu, co mu się należy. Ale skąd się wzięło pojęcie należności czyli własności? Boć naturalne ono nie jest, lecz wypływa raczéj z umowy ludzkiéj (albowiem ludzie musieli dzielić się darami przyrody). Stąd nowe pytanie: dlaczego ludzie, zamiast pozostać przy jednéj wspólnéj własności, woleli raczéj rozdrobić ją na pojedyńcze własności prywatne? Odpowiedź brzmi: ponieważ wspólne posiadanie dóbr musiałoby nieuchronnie prowadzić do walki, a więc do wszelkiego rodzaju nieszczęść. Tą drogą doszedł on do dwóch postulatów natury ludzkiéj: pierwszym jest wrodzona żądza korzystania z wspólnych dóbr, drugim — rozum naturalny, który każe unikać gwałtownéj śmierci, jako najwyższego złа. Z tych postulatów wyprowadza on konieczność umów i słowności, a stąd i zasady cnoty i obowiązków obywatelskich. — Co to jest prawo? Idea prawa subiektywnego wyraża się w woli, idea obiektywnego — w pokoju; pokój jest wspólném dobrem ludzi, ich wspólne dobro — wspólną wolą, wspólna wola — powszechnym i wrodzonym rozsądkiem, uchwalającym przepisy i „prawa", których przestrzeganie prowadzi do pokoju. Nikt w gruncie nie chce znosić przemocy — nie powinien więc i sam jéj używać; każdy pragnie pokoju — powinien zatém sam dążyć do pokoju, t. j. być pochopnym do ugody i jedności. Podwaliną wszelkiego rzeczywistego porządku prawnego jest zrzeczenie się prawa subiektywnego, czyli tego co każdy za swoją własność uważa. Do zrzeczenia się skłania nas własna korzyść czyli chęć osiągnięcia czegoś, zrzeczenie się bowiem na cudzą korzyść ma na celu zachęcenie innych do zrzeczenia się na naszą korzyść. Na wzajemném zrzeczeniu się polega umowa. Oprócz zawiérania umów, idea prawa wymaga jeszcze ich przestrzegania. Sprawiedliwy, kto dotrzymuje słowa. Sprawiedliwość jest tém w dziedzinie moralnéj, czém konsekwencya w dziedzinie rozumowéj; niesprawiedliwość równa się sprzeczności. Do zbudowania państwa potrzebne są jeszcze dwa warunki: zgromadzenie, które polega na ugodzie, że dla

każdego aktu wola większości wystarcza za wolę wszystkich, oraz przedstawicielstwo, które polega na tém, że zgromadzenie udziela nieograniczonego mandatu jednéj lub większéj liczbie osób, znowu tworzących zgromadzenie. Celem wszystkich umów powyższych jest bezpieczeństwo, a osiągnięcie jego wymaga nadania przedstawicielowi czyli zwierzchnikowi nieograniczonego prawa, tak iżby był wcieleniem władzy wszystkich, a zatém panem wszystkich jednostek, ich osób i własności: tą jedynie drogą pokój daje się zapewnić i ubezpieczyć. Dopóki takiéj władzy brak, jak np. między pojedyńczemi narodami, każdy zachowuje prawo łamania umów lub użycia przemocy, stan wojenny nie ustaje. Stan wojenny jest i pomiędzy jednostkami stanem naturalnym, nie wykluczającym wprawdzie dłuższych lub krótszych przerw pokojowych, ale bądź co bądź dalekim od sztucznego, iście obywatelskiego stanu. Samo utworzenie przedstawicielstwa nie wystarcza i nie prowadzi do celu, musimy jeszcze wyposażyć przedstawiciela w władzę absolutną, w nieograniczone prawo przymusu, któremu każda jednostka powinna bezwarunkowo ulegać. W stanie natury każda jednostka jest dla siebie powagą absolutną, w stanie prawdziwie politycznym istnieje tylko jedna jedyna władza absolutna i niepodzielna. W państwie tylko zwierzchnik ma prawo czynić, co uważa za właściwe; on jeden posiada prawo użycia przymusu i przemocy, a więc i wykonywania wyroków; on jeden posiada prawo określania, co dobre i co złe; jakkolwiek bowiem wszystko jest moralnie dobre, co zmierza do pokoju, przecież pytanie: czy cokolwiek zmierza do pokoju, może być niedowołalnie rozstrzygnięte jedynie przez tę samą najwyższą instancyę, która wogóle ma za zadanie rozstrzyganie sporów i zapobieganie walkom. Tak np. wszyscy uważamy kłamstwo za złe, ale gdy kłamca należy do jednego z nami stronnictwa, gotowiśmy je nazwać kłamstwem konieczném, lub nawet mądrością dyplomatyczną. Otóż prawo jest powszechną miarą, usuwającą niezliczone miary pojedyńcze. Służy ono zarówno do ochrony, jak i do ograniczenia obywatela. Prawo karne, do którego sprowadza się wszelkie inne, ma na celu nie zemstę lub odwet, lecz jedynie obronę i ochronę; kara nie jest czynem nieprzyjacielskim, bo nie wypływa z nienawiści do przestępcy, lecz z życzliwości względem wszystkich. — Zwracamy uwagę na to niezłomne sprowadzanie moralności do prawa karnego. Hobbes burzy tu wiarę w dobro, jako coś rzeczywiście istniejącego w naturze i duszy człowieka, i wytyka podmiotowość jakości moralnych, jak w teoryi poznania i psychologii wytykał podmiotowość jakości zmysłowych, czém potęguje cios zadany tradycyjnemu i religijnemu sposobowi myślenia. Zaprzecza on człowiekowi zdolności odczuwania dobroci czegokolwiek ponad to, co

mu się podoba lub wchodzi w zakres jego samozachowania i samowywyższenia; dobre jest przedewszystkiém to, co sprawia przyjemność, następnie, co przynosi korzyść. Coś obiektywnie dobrego istnieje tylko dla pewnéj grupy ludzi, którzy doszli do tego drogą porozumienia. Nominalizm moralny Hobbes'a jest dalszém rozwinięciem jego nominalizmu psychologicznego, a staje się zrozumiałym, gdy przypomnimy, że go już dawno poprzedził nominalizm teologiczny Duns'a Scot'a i Occam'a.

Pojęciu państwa staje się zadosyć, gdy reguluje ono wszystkie czynności obywateli i wolę osób pojedyńczych nagina do jednéj woli najwyższéj; w przeciwnym razie mamy jeszcze w państwie społeczeństwo, a wśród niego—wojnę i bezrząd. Społeczeństwo, swoboda i własność mogą, zgodnie z pojęciem nieograniczonego zwierzchnictwa, trwać dopóty, dopóki zezwala wola zwierzchnia; ma ona prawo cofania swego zezwolenia, za co przed nikim nie odpowiada, moralnie obowiązana jest tylko czuwać nad dobrem ogólném i wyznaczać prawa. *Salus publica suprema lex.* Ona jedna określa i podług własnego zdania zmienia pojęcia o „mojém" i „twojém", ona też ma prawo otwartego szerzenia i zakazywania różnych doktryn i mniemań, ona wreszcie ustanawia religię. Hobbes—jak wiadomo—stawia w jednym rzędzie przesądy i religię (z wyjątkiem „religii prawdziwéj", *vera religio*), widząc ich różnicę jedynie w stosunku do państwa. „Obawa potęg niewidzialnych—zmyślonych czy tradycyą przekazanych—jest religią, jeżeli uznana została przez państwo, przesądem—jeżeli nie została uznana przez państwo". Również prawo skazywania służy wyłącznie zwierzchnikowi oraz sędziom, z jego ramienia wyznaczonym, ale nikomu innemu, chociażby przybierał wszelkie możliwe tytuły, chociażby się powoływał na posiadanie jakiegoś prawa boskiego, na objawienie lub filozofię moralną. Ztąd kościół nie ma nic do rozkazywania człowiekowi, jest on tylko instytucyą szkolną, w dodatku taką, która opiéra się na błędnéj wierze w duchy niemateryalne i ich nadprzyrodzoną działalność, a przez wpajanie obawy przed wiecznemi karami uwłacza karom doczesnym, wymierzanym przez państwo. „Jeżeli ktoś utrzymuje wbrew mojemu przekonaniu, że Bóg mówił z nim w sposób bezpośredni i nadprzyrodzony, to nie pojmuję, na jakiéj zasadzie może on zmusić mię do uwierzenia. Co prawda, jeżeli utrzymujący jest moim zwierzchnikiem, może mię zobowiązać do posłuszeństwa, t. j. do nieujawniania mojéj niewiary słowem lub czynem, ale bynajmniéj nie do wiary w to, czemu rozum mój się sprzeciwia. Natomiast każdy inny, nie posiadający władzy zwierzchniéj, nie może rościć prawa ani do mojéj wiary, ani do mojego posłuszeństwa". Nie należy uważać Hobbes'a za rzecznika praktycznego wkraczania państwa we wszystkie dziedziny życia prywatnego.

Poddany np. bynajmniéj nie ma obowiązku godzenia na swego ojca lub brata, na rozkaz króla; owszem tu znowu odzyskuje swą moc swoboda naturalna, któréj każdy zrzekł się jedynie w celu samoobrony a więc i dla bezpieczeństwa swych najbliższych. Zasada uległości względem wszechwładzy państwa oznacza najgłówniéj wyzwolenie z pod jarzma kościoła, na rzecz swobody myślenia, uczenia i pisania. Światły zwierzchnik, kierujący się wyłącznie rozumem, prawem naturalném, oraz doniosłą nauką moralności i polityki, sam będzie dbał o krzewienie zdrowéj nauki za pośrednictwem uniwersytetów i zniesienie wpływu kościoła na nauczanie szkolne. O to zaś, aby uwolniwszy się z pod wpływu kościoła, zwierzchnik zechciał sam zwrócić się przeciw swobodzie myśli, nie ma obawy, albowiem „nic tak nie potęguje nienawiści, jak ciemięstwo ludzkiego rozumu". — Tak się przedstawia w najogólniejszych zarysach hobbesowska teorya państwa. Hobbes zwrócił niemałą uwagę na zjawiska życia gospodarczego; od niego datują początki ekonomii politycznéj w Anglii. Ląd i morze nazywa on piersiami matki-ziemi; prócz przyrody, bogactwo zależy tylko od pracy i pilności; praca przedstawia towar zamienny; podział gruntu należy do zwierzchnika państwa, a słuszność czyli prawo naturalne wymaga, aby każdy obywatel miał udział w ziemi. Państwo powinno kierować handlem zewnętrznym, dla skutecznego zapobieżenia jego szkodliwym następstwom. Podatki pośrednie są najsprawiedliwsze i dla gospodarki finansowéj najodpowiedniejsze. Złoto i srebro przedstawiają najdogodniejszą międzynarodową miarę wartości; w kraju zaś pieniądz może być zrobiony z jakiegokolwiek materyału, a wartość otrzymuje przez stempel. Pieniądz podobny jest do krwi, a wymiana towaru na pieniądz, jako na wartość trwałą i łatwo przenośną, do trawienia. Ciekawszym od powyższego twierdzenia jest ustęp w „Behemoth", dowodzący, iż Hobbes miał oko na początki i istotę produkcyi kapitalistycznéj. „W razie wybuchu rewolucyi z powodu ciężarów podatkowych— mówi jeden z współbiesiadników — wielkie miasta niechybnie staną po jéj stronie, gdyż mieszczanie, t. j. kupcy wyznający tylko własną korzyść prywatną, należą do naturalnych przeciwników podatków, a całą swą dumę pokładają w bezgraniczném bogaceniu się przez mądre kupno i sprzedaż".

„Podobno ze wszystkich profesyi — wtrąca drugi — swoją własną uważają za najpożyteczniejszą dla państwa, ponieważ biedniejszéj klasie dają zarobek".—„Tak—odpowiada pierwszy — ponieważ zmuszają ubogich ludzi do sprzedawania swéj pracy za cenę, jaką sami naznaczają, tak, iż lepiéj mogliby się utrzymywać z pracy w Bridwell (świeżo wówczas wzniesione więzienie), aniżeli z przędzenia, tkania i t. p. ro-

bót". W innych miejscach mówi Hobbes o nędzy, bezrobociu, nadmiernie dużych miastach, niebezpieczeństwie połączoném z przeludnieniem.

Wiadomo, że rozwój Anglii szedł w kierunku wręcz przeciwnym, aniżeli jéj nakréślił Hobbes w swojéj filozofii społecznéj, a opinia publiczna rzuciła klątwę na wroga teologii i plutokracyi; dopiéro czasy bilu o reformie, za sprawą nielicznéj garstki mężów wyborowych, grupującéj się koło Benthama i James'a Milla, wskrzesiły jego pamięć i uznały słuszność jego teoryi. Z tego względu wielce ciekawe jest zdanie jednego z członków owego grona, znakomitego historyka Jerzego Grote'a, który skarżąc się na pierwszeństwo, oddawane z pewnego rodzaju „zabobonną czcią" Baconowi, jako „mistrzowi mądrości", powiada: „Zaiste, ta właśnie wzgarda dla idei klas uprzywilejowanych— fałszywie uważających się za hamulce władzy naczelnéj, bo w gruncie bratają się z nią i nadużywają w celu trzymania narodu w karbach— ta właśnie wzgarda przyczyniła się do zohydzenia teoryi politycznych Hobbes'a w Anglii... musiał on odpokutować za swe dążności niemniéj antyoligarchiczne jak antypopularne... Osoby, które najbardziéj się interesowały jego dziełami, byli to—w zakresie moich spostrzeżeń —mężowie zasad radykalnych, ożywieni najidealniejszemi pojęciami o zadaniach rządu i możliwém wychowaniu ludzi; mężowie, ożywieni, również jak Hobbes, antypatyą względem interesów klasowych, które są czynnemi siłami współczesnéj monarchii pseudoprzedstawicielskiéj, ale różniący się od niego tém, że w dobrze uorganizowanym systemie przedstawicielskim upatrywali najlepszą rękojmię dla połączenia rozumnego posłuszeństwa z rozumnym rządem". Obecnie—dodaje Tönnies—demokracya, tak w Anglii, jak we Francyi, dąży do wytworzenia własnego jednolitego zwierzchnictwa, obala prawa historyczne, burzy fikcye konstytucyjne, całkiem w duchu wskazanym przez geniusz Hobbes'a.

III.

Hobbes stoi u wierzchołka i niejako pośrodku łuku, który możemy sobie wyobrazić, jako zakréślony przez trzy stulecia, stanowiące pod wieloma względami jedność. Na jego czasy przypadają boje i zwycięstwa nowszéj wiedzy, które się powoli i mozolnie przygotowywały w XVI wieku. Wiek XVIII spoczywa już na tych zwycięstwach, uogólnia, rozpowszechnia i spłaszcza zdobyte. W fizyce spostrzegamy zwroty wsteczne; tłómaczenie za pomocą sił znowu zyskuje uznanie i przyjmowane są materye tam, gdzie poprzednio już rozpoznano ruchy:

emanacyjna teorya światła, materyalna teorya ciepła. W moralności i polityce miarodajnym staje się optymistyczny eudemonizm, a liberalna opinia oświadcza się za mieszaną formą rządu, chociaż absolutyzm światłych panujących i mężów stanu nie utracił jeszcze zupełnie swoich zwolenników. Na uniwersytetach bierze górę nowa filozofia i metafizyka, która, czyniąc wiarę rozumną a rozum wierzącym, zastępuje tymczasowo dogmaty chrześciańskie dowodami na rzecz bytności najwyższéj istoty pozaświatowéj, nieśmiertelności duszy niemateryalnéj i wolności woli ludzkiéj i tworzy podwaliny dla nowéj dogmatyki teologicznéj. Obok tych właściwych przedstawicieli wieku istnieje jeszcze kilku myślicieli radykalniejszych, śmielszych, którzy w filozofii i nauce zakładają fundamenty dla XIX stulecia.

„Od Hobbes'a—powiada August Comte—wywodzą się historycznie najdonioślejsze ideje krytyczne, przez nieuzasadnioną tradycyę przypisywane filozofom francuskim XVIII wieku, w istocie rzeczy zawdzięczamy im jedynie rozpowszechnienie — zresztą nieuchronne — owych idei... Hobbes jest prawdziwym ojcem filozofii rewolucyjnéj". Rzeczywiście, nieugiętość i cierpkość téj filozofii rewolucyjnéj sprawiły głównie, że wstrząsnęła ona tak potężnie jego stuleciem a z imienia jego uczyniła przerażające straszydło. Pomimo, a może właśnie z powodu tego gwałtownego oporu wywarł on wpływ potężny—pośredni i bezpośredni, dodatni i ujemny. Najmniéj w fizyce: tu Descartes uchodził za powszechnie uznanego przedstawiciela nowéj filozofii. Ale teorya poznania i psychologia została przez Locke'go złagodzona i spopularyzowana; jego metafizyka uległa lekkiemu przekształceniu w rękach Berkeley'a, który w poszukiwaniu pierwiastków nominalistycznych i sensualistycznych doszedł z wielką zręcznością do metafizyki czysto spirytualistycznéj, zamiast nieuchronnéj, jakby się zdawało, materyalistycznéj. Rewolucya w moralności doprowadziła do polemiki i kompromisu; ponieważ nie dało się ocalić wrodzoności pojęcia dobra, tém energiczniéj podnoszono społeczny popęd człowieka, życzliwość wrodzoną, sumienie: do najgwałtowniejszych przeciwników należą w Anglii Cumberland, Cudworth, Clarke, w duchu bardziéj pojednawczym pracują Butler, Shaftesbury i deiści. To samo dzieje się w polityce, i znowu za sprawą Locke'go, ale z uwzględnieniem pewnych pierwiastków kościelnych i stanowych, które Hobbes, zdawało się, bezpowrotnie wyrugował. O ekonomii politycznéj była już mowa. Równy mu geniuszem następca, wszakże w duchu innego czasu, zjawił się dopiéro w osobie Hume'a. —We Francyi długo walczyły z sobą o pierwszeństwo kartezyanizm i gassendyzm, jako intelektualistyczno-spirytualistyczny i sensualistyczno-materyalistyczny systemy fizyki i psychologii, oba stojąc na

gruncie zasad mechanicznych. Zdaje się, że wraz z pamięcią Gassendego zachowała się i pamięć Hobbes'a. Voltaire zna go dobrze. Ale najsilniejsze są tu wpływy pośrednie przez ogólne oddziaływanie myśli angielskiéj. Powoli jednak wynurza się na wierzch naturalistyczny pogląd na duszę. Materyaliści i encyklopedyści na nowo rozwijają chorągwie radykalne. Holbach tłómaczy ustępy z Hobbes'a; Rousseau przekształca jego myśl o państwie; Diderot, który układa artykuł „Hobbizm" dla encyklopedyi, podziwia go. W planie uniwersytetu dla rządu rosyjskiego poleca on po „Logice Port Royal", jako klasyczną dla fakultetu literackiego, „przedewszystkiém małą książkę o rozumie czyli o naturze ludzkiéj Tomasza Hobbes'a, dzieło krótkie i głębokie, przewyższające wszystkich autorów cytowanych... arcydzieło logiki i rozumu". Innnym razem, mówiąc o moralności: „co się tyczy znajomości człowieka, nie znam nic ponad mały traktat Hobbes'a", książkę, „którą całe życie czytać można i komentować"; „jakże rozwlekłym i słabym wydaje mi się Locke, jak ubogim i małym La Bruyère i La Rochefoucauld w porównaniu z Tomaszem Hobbes'em"; Naigeon zaś, który podaje w encyklopedyi ustęp z tego dziełka, sądzi, że prawdziwie i głęboko odczuć można całą jego zasługę, jeżeli się je czyta w oryginale i jednym tchem. W kilka lat późniéj (1804) Destutt de Tracy wzbogaca swe *Eléments d'Idéologie* przekładem pierwszego rozdziału „*De Corpore*".—Że monizm Spinozy, zwłaszcza jego teorya prawa i państwa, ma wiele punktów stycznych z Hobbes'em i silną znalazła w nim pobudkę, temu nigdy nie zaprzeczano. Więcéj zapominano o tém, co mu zawdzięcza Leirbniz, który często wspomina jego imię, a zawsze z wielkiém podziwieniem, nazywając go najgłębszym badaczem zasad we wszystkich rzeczach, i który w młodszych latach listownie zwracał się do niego o wyjaśnienie tych zasad. Późniéj wielkie wrażenie wywołał profesor z Halli, Mikołaj Hieronim Gundling, śmiałością i stanowczością, z jaką wszędzie bronił Hobbes'a. Puffendorf, którego prawo naturalne i narodów kroczy niewolniczo śladami wielkiego filozofa angielskiego, obwinął i osłonił ostre kanty jego nauki po części gęstą erudycyą, po części myślami pełnemi ludzkości.

Hobbes zwiastuje ewolucyę królestwa rozumu, światła, oświaty. Ale jednocześnie ukazuje mu się w bliskiéj przyszłości widmo społeczeństwa handlowego, dzikiéj konkurencyi i wyzysku kapitalistycznego. Jego wyrażenia: „człowiek człowiekowi wilkiem" i „walka wszystkich z wszystkimi" często bywają używane na określenie tego stanu w państwach nowoczesnych. Odpowiadałoby również jego myślom, gdybyśmy powiedzieli: chciwy człowiek pod wpływem rozwiniętego rozumu staje się nie lepszym, lecz gorszym, i że samo myślenie w pe-

wnych warunkach—gdy gonitwy się już rozpoczęły — sprzyja rozwojowi chciwości. W końcu XIX stulecia nauczyliśmy się to widzieć. Pomimo to wszystko, nie powinniśmy czuć żalu do nauki, lecz raczéj ostrzéj toczyć broń prawdy. Nie ma wprawdzie obawy, aby teologia stawiać mogła skuteczny opór nowym zdobyczom wiedzy, lubo daje się jeszcze dosyć we znaki. Niebezpiecznych wrogów i oskarżycieli napotyka najbardziéj dla naszego wieku znamienna nauka o społeczeństwie; są to zuchwali magnaci pieniężni, którzy czują się przez tę naukę zagrożeni utratą panowania, jak niegdyś jezuici — przez nową wiedzę przyrodniczą. *Multi pertransibunt, et augebitur scientia.* Ale za wielką zdobycz filozofii naszego wieku słusznie się uważa, że z większą jasnością pojmujemy, czego może i powinna dokonać nauka. Na téj zasadzie możemy żywić nadzieję, że w zastosowaniu metafizyki i psychologii, a jeszcze bardziéj w socyologii, metoda krytyczna, rewolucyjna i mechaniczna wyłoni z siebie metodę pozytywną, syntetyczną i organiczną. Już u Hobbes'a znajdujemy jéj ślady. Spinoza pierwszy wytworzył na gruncie nowoczesnéj wiedzy idealny pogląd na świat, wszystkie pokrewne próby, w naszym wieku czynione, wewnętrznie się z nim łączą. Spinozyzm, który wchłonął w siebie współczesną biologię i socyologię—taką będzie filozofia przyszłości.

Dr. A. Grosglik.



SĘKOWSKI.

(Ustęp z pamiętników Stanisława Morawskiego).

Może ja i grzeszę! Ale, jeśli przypuścić, że Bóg w niezbadanych wyrokach swoich w pewnéj epoce stwarza czasem człowieka na to, żeby źle robił prosto dla miłości złego, żeby jego ruchy, jego czyny, jego mowa, jego myśli, jego pisma zawsze w żółciowym brodziły oceanie, żeby był zły *con amore*, z roskoszą, żeby się każda jego własna złośliwość na jego twarzy malowała zawsze radośnie i z jakimś rodzajem tryumfu, żeby ta złość była jeszcze tém gorszą, że jéj szafarz obdarzony został różnostronnym najtrafniejszym, najzabawniejszym, najdotkliwszym, najjadowitszym, genialnym dowcipem i jedną z najrozleglejszych nauką, gdyby to było można przypuścić—powiadam,—rodak nasz Józef Sękowski tym właśnie byłby człowiekiem i palmę na to, jeśli już nie w całéj Europie, to przynajmniéj w całéj Słowiańszczyznie pewnoby otrzymał.

Ja widzę i teraz [1]) jego szatański uśmiech, kiedy już jest zapewne dotąd przypruszony śniegiem podeszłego wieku, kiedy już, jak słyszałem, strawiony, znękany jest ciągłą, mozolną i ciężką pracą umysłu i ciągłą fatygą żółci. Widzę, jak on sobie drwi z za węgła, rzuciwszy przed rokiem na złość całéj Europie, a bardziéj jeszcze na złość

---

[1]) Pisał to autor w r. 1849.

całemu słowiańskiemu światu kilka genialnych i prawdziwie porywających pomysłów o naturze, treści i duchu tych osobliwszych po skałach perskich „ćwiekowych" i „strzałkowych" napisów, które były wiecznym szkopułem historyków i antykwaryuszów i które tylko po tylu wiekach pozornéj śmierci, pod jasném Sękowskiego spojrzeniem, nabierać na nowo prawdziwego życia zaczęły. Rzucił on nam to, jak kość jaką w oczy. Kilka kart nakréślił, naelektryzował, zapalił, zadziwił wszystkich i — zamilkł. Nie myślcie, że on czy nie mógł, czy nie chciał natychmiast tego genialnego dzieła dokończyć. Nie. On jak Mefistofeles zaciął się tak umyślnie, jego dusza raduje się teraz, że tylu uczonych, tylu ciekawych ludzi, tylu poczciwych Polaków, Czechów, Anglików i Niemców, łamie sobie głowy i niecierpliwie czeka na inne ogryzki, które im rzucić obiecał, a czego na złość nie dotrzymać gotów.

Sękowski czy Senkowski (bo się i tak i tak sam podpisuje, dla tego zapewne, że w Petersburgu naszéj litery ę nie znają) przez lat ośm, nie to, żeby tylko był moim znajomym, ale żył ze mną w ścisłych stosunkach. Niejedną wzajemną sobie zrobiliśmy przysługę. Poznałem go u dawnego guwernera mojego, wówczas, kiedy mnie uczył, biédnego człowieka, a dziś magnata, Michała Konarskiego, bawiącego w Petersburgu w téj właśnie porze, kiedym tam na mieszkanie z rodzicielskiego domu się wyniósł. Nawiasem mówiąc, Konarski, jako guwerner, jest *Rafflesią*, *Victoria Reginą*, należy do monumentalnéj guwernerskiéj antologii. Należy do najrzadszych przykładów, żeby domowy pedagog przez pedagogię urósł w milionowego bogacza. Oddaliwszy się z Litwy od jedynych tutaj uczniów swoich, to jest odemnie i od dwóch Obuchowiczów, w 1812 roku uciekł przed Francuzami i przed sztyftującemi się w Wilnie pułkami i wpadł do Tulczyna, tak okolonego przez rosyjskie wojska, że przy całym zapale tamtejszym ani źdźbła nie widziano, co po Litwie i Rusi robił Napoleon. Konarski przyjechał tam opuchły i chory na fluksyę. Ale go zwietrzył natychmiast ów sławny generał Chackiewicz i obwiązanego, tak jak był, otrębami, na pokoje Potockich gwałtem wprowadził. Konarski, to człowiek pełen dowcipu, taktu i nie wrzód w gębie! A jeszcze w téj chwili był dobrodziejem Tulczyna, bo plotki przywiózł. Podobał się i zaraz się dostał do Świejkowskiego, ale potém Greczynka, Szczęsna Potocka, odbiła go stamtąd dla syna swojego Bolesława. Że się uczeń nie udał, to nie wina mistrza. Oba jednak domy pomogły mu datkiem, gratyfikacyą, pensyą, zapisami do zrobienia znacznego funduszu, który on wyklutém, natychmiast w sobie prototypowém skąpstwem utroić potrafił. Guwerner takich magnatów nabył zabawnéj, a może jedynéj na świecie, gu-

wernerskiéj arystokracyi. Kiedym po wielu latach w stolicy z duszą pełną przywiązania i wdzięczności, jak do swojego dawnego nauczyciela, do niego niespodziewanie przyszedł, czy mu to mało było, żem nie Potocki, czy co innego, dosyć, że sobie, i był guwernerem moim, niełatwo przypomniał! Otrząsłem, wychodząc, na jego progu pył z mojego obuwia! Ale nazajutrz dowiedziawszy się, że ja o nic nikogo nie proszę, a wiedząc i sam oddawna, żem sroce z ogona nie spadł, przybiegł do mnie wzajemnie, tysiące uprzedzających zrobił grzeczności i dobra poszła zażyłość.

Konarski, którego w moim dzieciństwie (miałem wtedy lat siedm czy ośm) do szaleństwa kochałem, ledwie że nie pierwszy dał mi uczuć, co to jest suchość i egoizm serca. Co to jest nie czuć przynajmniéj wdzięczności za to najrzadsze dobro na świecie być kochanym *n'importe* przez kogo! Kiedym bowiem innemu powierzony nauczycielowi, rozstając się z nim, dosłownie we łzach się topił, on uścisnąwszy mnie zimno, objęty widać pedagogicznym na rzeczy poglądem, odwrócił się do obecnych i powiedział: „Patrzcie-no państwo, to rzecz szczególna, jak się dzieci do mnie przywiązują". Choć wtedy jeszcze koszulkę w zębach nosiłem, łzy mi oschły natychmiast, a przez wiele mil podówczas do Zacisza do generała Morawskiego wieziony, o tém już tylko myślałem, żebym się nauczył zapomnieć tak nieczułego człowieka na anielską a bezinteresowną siedmioletniego dziecięcia miłość! Już minęło odtąd około lat czterdziestu, a dotąd to wszystko jakby wczoraj pamiętam!

Konarski, mieszczanin słonimski, zręczny i dowcipny, tylko tłustawy artykułów dziennikarskich układacz, tłómacz kilku dawnych romansów, autor kilku komedyjek i kantat, raz tylko za młodu z wileńską aktorką Bogusławską sekretnie ożeniony i potém w czasie, kiedy mnie uczył, również sekretnie rozwiedziony, wszystkie swoje kilkakrotne podróże po całéj Europie odbył na koszt ucznia swego Bolesława Potockiego. Wszystkie książki najwytworniejszych edycyi kupił i czytał, wszystkie litografie i sztychy kupił, przepatrzył i poznał, wmówiwszy temuż Bolesławowi, który był Bogu duszę winien, że honor takiego pana wymaga, żeby to miał w swojéj bibliotece. Wszystkie pojazdy, jakie chciał mieć Potocki, za pieniądze Bolesława pierwéj sobie robić kazał, dlatego żeby Bolesław wprzódy widział, czy zgrabnie wyglądać będą? Kościołek nawet—jak mi niedawno w Warszawie mówiono — kosztem Bolesława u siebie wystawił, także dla tego, żeby Bolesław mógł mieć ideę, jak ta budowa na wielką skalę bić będzie w oko! Jadł z kuchni Bolesława najwymyślniéj; u siebie na wsi przez rok obrączkowy jaglaną kaszę. Bez żony, bez dzieci, bez ko-

chanki,—dla kogóż zbiéra? czemu samemu nawet sobie żałuje, a cudzém się żywi?

Na jego ręku skonał Trembecki, po którym papiéry jemu się dostały. Wiele ma tutaj najciekawszych materyałów do historyi życia Szczęsnego Potockiego i drugiéj jego żony. Wróćmy do Sękowskiego.

Będąc jeszcze w Wilnie, słyszałem dobrze o Sękowskim, czytałem jego *Collectanea*. Wiedziałem, że silnie zalecany przez Kazimierza Kontryma, oprócz lichego wsparcia od rządu uniwersytetu wziętego, jeszcze przez składkę masonów znacznego dostał zasobu na podróż swoją po Wschodzie. Wiedziałem, że jest człowiekiem niepospolitych zdolności, że natychmiast po odebraniu pomocy i wsparcia zażartym polskiego imienia stał się nieprzyjacielem i gniazdo swoje, gdzie mógł, mową i pismem szpecił, że w Wilnie powiedzieć tylko komu „Sękowski" było to dać gorącemu koniowi pod bok ostrogą. Każdy się zaraz na to imię zasłupił. Słyszałem, że w Litwie jeszcze ożeniony z panną, która mu 30,000 złp. przyniosła, ucząc się wschodnich języków, zjadł z nią razem wszystko po turecku, na bakalje, sorbety, lody, konfitury, tytuniek i inne błazeństwa. Wiedziałem i to, że podczas jego kilkoletniéj podróży, gdyby się pod turbanem, który podówczas nosił, za głowę z przypadku był macnął, trafiłby tam na niewątpliwe znaki, że go jak Akteona w potężnego przemieniono jelenia. Wiedziałem, że za powrotem swoim do Wilna, nie znalazłszy tu nic dla siebie, rzucił się do Petersburga i tam katedrę wschodnich języków, a wkrótce i dziekaństwo objął. Wiedziałem nakoniec, że z urzędu swojego nie miał co robić, bo podówczas jeszcze było tam rzydziestu sześciu profesorów uniwersytetu, a pięciu w uniwersytecie uczniów! Dla wschodnich zaś języków był oddzielny instytut pod kierunkiem Adelunga, gdzie się właśnie Chodźko, Szpitznagiel, Żabowie, Szemiott i wielu innych Polaków wykształciło. W Petersburgu żaden rodak lub kolega poznawać się z Sękowskim mnie świeżo przybyłemu nie życzył.

Raz w czasie bytności mojéj u Konarskiego wszedł tam średniego wieku, włosow blond, suchy, cienki, przyzwoitego wzrostu, dobrze ospowaty, z zapadłemi policzkami mężczyzna. Uderzył mnie szczególniéj kolor ust dosłownie koralowy tego człowieka. Nie ma najzdrowszéj piętnastoletniéj panienki, któraby tak jaskrawie pąsowemi wargami pochwalić się mogła. Twarz miał babią, nieporastającą włosem, suknie wytworne, ale bez wymysłu i ubiegania się za modą, wisiały na nim jak na kołku. Znać było przez te suknie, jak to ciało pod spodem na mumię wysuszone było. Gość usiadł. Zdawał się być jakoś nieśmiałym w układzie. Przebąknął słów kilka z dosyć miłym uśmiéchem.

Powiedział, że jadąc gdzieś z wizytą, na moment tylko wstąpił. Co mówił, mówił jąkając się niejako i z wielką trudnością. Po kilku chwilach wyszedł. Konarski powiedział mi aż wówczas, że to Sękowski. Byłem temu rad zupełnie, bo i widziałem minę człowieka, i Konarski tyle miał instynktu, że mię z nim nie zapoznał, chociaż do siebie przemówiliśmy kilku słowami. Latem, zaproszony na obiad za miastem do cesarskiego lekarza Arendta, znowu się z tym człowiekiem spotkałem. Tą razą sam przysiadł się do mnie i długo ze mną mówił. Trudna jego wymowa, odznaczająca się niełatwym doborem i wyszukaniem słowa, nie przeszkodziła mu być wielce interesującym, a chociaż niepiękny, kolor ust jego i uśmiéch przyjemny więcéj przyciągały, niż odpychały go od ciebie. Jeszcze raz potém przyjaciel mój, najgodniejszy w świecie człowiek i praktyczny filozof, Anglik Dobell, niedawno jeszcze generalny konsul rosyjski w Kantonie i autor znajomego całéj Europie dzieła o Chinach, mając mnie u siebie, na herbacie, znowu mnie z dawnym przyjacielem swoim Sękowskim zetknął. Znowu tedy gawęda. W kilka potém miesięcy już w mieście, śród zimy, na poniedziałkowym pańskim u Arendtów wieczorze ubawiłem się Sękowskim przedziwnie z zupełnym dla niego aplauzem. Anegdota warta być opisaną. Znalazł się u Arendtów ks. Aleksander Lubomirski, urodzony z Potemkinównéj, *simplex Dei amicus.* Nim się wszyscy zebrali i nim do kart i tańców młodzieży przyszło, siedzieliśmy w kółko, otaczając kanapę gospodyni domu, arcymiłéj Francuzki i wielkiéj przyjaciółki Polaków.

Bajdurzyliśmy o różnych rzeczach. Właśnie wtedy wyszło było z druku coś Sękowskiego. Lubomirski, chcąc swoje wsunąć trzy grosze, nasłuchawszy się gdzieś cudzego zdania, wszczął o tém rozmowę, ganił dzieło i samego autora najsilniéj, a mowę swoją do potakującego mu we wszystkiém i siedzącego obok sąsiada, obracał. Pani Arendt była na szpilkach! Kiedy się Lubomirski wygadał nakoniec, sąsiad ów przyjął podaną od gospodyni kartę i poszedł do wielkiego salonu grać w wista.

— Kto jest ten miły człowiek?—zapytał Lubomirski.

— To właśnie autor tego dziełka... To sam Sękowski.

Te częste a niekiedy wodwilowe spotkania zbliżyły nas bardzo do siebie.

Mickiewicz, Malewski, Chodźko śmieli się i kiwali głową.

Tegoż podobno roku Sękowski, już z pierwszą żoną rozwiedziony, ożenił się powtórnie z zakochaną w głowie jego baronówną Rall, córką sławnego kiedyś a upadłego już wtedy bankiera dworu. Chociaż się nazywał upadłym, jego ubóstwo nieledwie na innych bogactwo można

było zamienić. To, co zostawało, właśnie dawało ideę, co to być musiało, kiedy się nazywał bogatym!

Wówczas, jak już wszystkich opłacił i dom swój zamknął i biédnym był, miał jeszcze „500 dusz luźnych", płacących mu podatek za pozwolenie wolnego służenia po mieście, miał fabrykę sławnego papiéru, miał ogromny dom murowany na „kapitalném" w Petersburgu angielskiém nadbrzeżu i ze dwanaście „dacz", to jest will do najęcia za miastem. A w piwnicach, suterenach i na poddaszach mnóstwo malowideł, kosztowności, win i t. d., które się już tam walały, jak błoto, zarzucone bez żadnego porządku. Ale warto powiedziéć wprzódy słów kilka o pierwszéj żonie Sękowskiego.

Pierwsza pani Sękowska należała widać do tego rodzaju kobiét, które z jakiegoś wrodzonego instynktu przekładają stale jeden stan mężczyzn nad drugi. Kto dobrze obserwował chodząc po świecie, a szczególniéj kto z pozycyi swojéj wchodził w sekrety rodzin, nie mógł czasem téj monomanii nie widziéć, nie mógł nie dostrzedz, że są kobiéty wyższéj nad gminną sfery, co nie wiedziéć dlaczego, prosto z natury i usposobienia swojego, przenoszą nad wszystko naprzykład patrzéć na księży; inne — na prostych żołnierzy; innne — na furmanów; inne — na lokajów. Otóż właśnie pani Sękowska na tych ostatnich najszczególniejszém patrzała okiem. A miała na nich prawdziwy urok *mauvais oeil!* Jak popatrzyła na którego z nich kilka tygodni, chłop jak dąb nie wart był potém głodnego szczura, wysuszył się jak trzaska! Już po rozwodzie z Sękowskim ks. Ignacy Lubecki, wróciwszy z Wilna do Petersburga z dawnym swoim lokajem, Ludwikiem, przed rokiem jeszcze, jak lew, jak żubr, silnym i barczystym, a jak niedźwiedź po twarzy zarosłym mężczyzną, żalił mi się, że się lęka, żeby biédny Ludwik z konsumpcyi nie zamarł i pod sekretem powiedział, że pani Sękowska, mieszkająca w Wilnie właśnie w domu Ignacego Lubeckiego, tak szkodliwém okiem na tego biédnego człowieka wpłynęła!... A i przyczyna jéj rozwodu taka: U Sękowskiego był lokaj Józef, tęga sztuka. Raptem coś zaczął schnąć, kaszlać, cherlać i kaprysić. Ale go Sękowski lubił, wszystko na chorobę składał i oddalić nie chciał. Raz wróciwszy z jakiegoś egzaminu, na który był zaproszony, spotkanym został u drzwi przez żonę łzami zalaną. „Patrz, mężu, do czego u ciebie już doszłam! Wszak to twój Józef w twarz mnie uderzył!" Mąż, struchlały, woła zuchwalca.

— Łotrze, co to ma znaczyć!

— A co, panie? dałem jéj w pysk i dobrze zrobiłem! Zemściłem się i za pana i za siebie! A wszak ta szelma pokoju mi swoim wzrokiem nie dała! Każe ustawicznie patrzéć i patrzéć na siebie! Zobacz

pan, oto zrzucam surdut, widzisz pan tę chudzinę? a czy taki ja byłem? a kto temu winien, kiedy nie ona! i t. d. i t. d.

Mąż nie odpowiedział ani słowa, ale natychmiast rozstał się z żoną i rozwód prowadzić zaczął, na tę ją tylko kondycyę wyzwawszy, żeby mu pani Sękowska nie *im,* ale *praepotentiam* w konsystorzu zarzucała. I na téj właśnie kanonicznéj przyczynie, jak powszechnie mówiono, cały jego rozwód oparty. I tu nie bez szatańskiego pazura!

Sękowski przez powtórne ożenienie został tedy zięciem barona Ralla ośmdziesięcioletniego, pełnego światła, powagi, maniery, ślicznego, białego jak gołąbek starca. Rall stracił swój ogromny fundusz przez swawolę jednego z synów swoich, którego niezaprzeczonym zdolnościom, a co gorzéj młodości i cnocie, niebacznie zaufał, sam już wszystkim interesom domu wydolać nie mogąc. Dał mu księgi i w zastępstwie za siebie podpisywać weksle pozwolił. Jakże się raptem kawaler za gorsetem i kartami żwawo rozpędził, powydawał i takie weksle, których do księgi lękał się wciągnąć. Wróciły one swoją drogą do starego barona—oczywista, zaprzeczył im. Rozeszło się, że po Europie chodzą fałszywe papiéry barona Ralla. Brać jego wekslów lękano się. Kredyt upadł.

Ale w Rallu było coś innego, co mnie o nim tutaj wspominać zniewala. Była w nim osobliwość osobliwości; była to bezprzykładna, najgodniejsza podziwu, niesłychana, niewidziana popędliwość i pasya, któréj ani wielce staranne, jak po wszystkiém widać było, wychowanie, ani wiek już tak podeszły, ani cierpienia ciała uhamować w żaden sposób do saméj śmierci nie mogły. Proch nie tak się prędko zajmuje i wybucha, race kongrewskie mniéj dokazują. Tysiące najosobliwszych o tém chodziło anegdot; a i to, co i ja sam nieraz widziałem, było także dobre, było wcale nie lada! Jak szedł po pokoju, najlepszy, najmilszy, najsłodszy, byleby tylko choć krzesła gdzie nie na miejscu dostrzegł, żeby tam było tysiąc obcych osób, rozwrzeszczał się, rozmachał konwulsyjnie, nożem, szczypcami, krzesłem, czy co miał pod ręką, na ludzi ciskał! Raz naprzykład w epoce całéj swojéj świetności, kiedy wszystko co tylko było także najświetniejszego u dworu, czcząc złotego cielca, cisnęło się do jego salonów. Rall dawał wielki obiad dla ambasadorów i ministrów. Chciał, żeby była zupa żółwiowa. Goście, mężczyźni i damy zasiedli. Rall spojrzał na swój talérz, spostrzegł, że inna zupa; rozdąsał się w mgnieniu oka i jak targnął za obrus w impecie, wszystko zrzucił ze stołu; oblał, oparzył zupą gości swoich; butelki, kandelabry, frukta, wazony i co tam tylko było na nich wywrócił i sam z jadalnéj sali się wyniósł! Na pięć minut przed śmiercią, a umiérał z marazmu starości, jeszcze podnoszącemu go lokajowi dwa razy wy-

ciął w policzek! Były to prawdziwe paroksyzmy wściekłości, szaleństwa. Można sobie wyobrazić, co wycierpiała dobra, szanowna, poczciwa staruszka, żona jego, przez czterdziestoletnie z nim pożycie! Zacna ta dama przeżyła go pomimo ciągłego cherlania i chorób wieku i pomimo tego, że co godzina była i żyła w śmiertelnéj trwodze, żeby mąż kogo nie zabił na miejscu! Wyjechała potém na odpoczynek wdową już zagranicę. A tak zawsze na mnie była łaskawą, że, mieszkając w Mannheimie, umyślnie przyjechała do Heidelberga, żeby się ze mną zobaczyć.

Sękowski, oprócz gruntownéj nauki w wielu gałęziach wiedzy, był niepospolity, nadzwyczajny językarz. Posiadał dobrze wszystkie główne wschodnie i europejskie języki, nieco po chińsku, dobrze po grecku i nowogrecku; znał skandynawski idiomat, łacinę i wiele słowiańskich narzeczy. Tym jednak językiem, który i najlepiéj posiadał, m ó w i ć zawsze mu trudno było. Jakże wziął pióro do ręki, w każdym języku szło mu wszystko jak po maśle. Po Wolterze nie wiem czy znalazł się człowiek, coby miał tyle, jak Sękowski, sarkastycznego dowcipu. Wszystko, co kiedy napisał, pełném jest tego. Sypał ironią, jak z rękawa. Dosyć tylko przeczytać od r. 1834 do 1842 kronikę bibliograficzną *(Literaturnaja letopiś)* w jego dzienniku, póki on sam ją pisał, żeby zobaczyć, kto to widzieć umié, jakie to tam morze najpocieszniejszych a różnokształtnych ucinków, aluzyi, żartów i drwinek... Nie wszyscy go byli w stanie zrozumiéć, ale go się wszyscy literaci rosyjscy lękali jak ognia. I choć go czasem spólnie znienacka skubnęli, cichaczem drasnęli, to zaraz tak się sami panicznie strwożyli, że biegli nadskakiwać mu i jakkolwiek odwrócić grot zemsty, którą on najczęściéj w jednym tylko wierszu, owszem — w jedném słowie zamykał, ale tak morderczą, że pamięć jéj zostawała u wszystkich na długo. Grecz, jadowity, dowcipny i języczny kalamburzysta, którego wszyscy w Petersburgu się bali, sam drżał przed Sękowskim jak listek. Bułharyn — toż samo; i najczęściéj szyli tylko pod nim pokątnie.

Wiem dobrze, że dowcip stosownie do epoki jest bardzo względny; że sól jego zależy od ducha czasu, wyobrażeń, zwyczajów i obyczajów społeczeństwa, tak, że to, co w jednym czasie ludzi śmieszyło, bawiło, w drugim — więcéj niż nudzi. Wiem, że najdawniejsi i najdowcipniejsi autorowie, od których konceptów Grecy i Rzymianie boki sobie zrywali, dzisiaj najmniejszego nie wywołają uśmiechu, że sławny dowcipnik i mędrzec Erazm Rotterdamski, który cały świat kiedyś i uczył i bawił, dziś jest trudnym do strawienia nudziarzem. Zdaje mi się jednak, że dowcip Sękowskiego długo jeszcze będzie dowcipem.

Zarozumienie i literacka duma tego człowieka przewyższały bardzo jego wielkie zdolności. Dosyć było sprzeciwić się mu w czémkolwiek, żeby go natychmiast na siebie oburzyć. A choć czuł, że winien, nie miał siły siebie zwyciężyć. Raz naprzykład przychodzę do niego i znajduję go nad świéżo wyszłą jakąś tam książką o Ormianach, czy o Armenii, któréj krytykę zaczął już pisać. Czytał mnie kilka ustępów, ale najdowcipniejszy, jak mówił, zachował mi na koniec. Położył tedy książkę i pismo swoje na stole, chcąc mnie uprzedzić o treści tego ustępu, i powiada: „Nie wiész, co to są u nas za mędrcy, czego ci nasi autorowie nie wykoncypują! pewno, nie domyślisz się nigdy, że u nich Pan Jezus i pisał i odbiérał listy, gotowi nawet nazwać ówczesne pocztowe kantory!" Ja, żem coś o téj tradycyi przed kilkunastu laty przypadkiem czytał i to sobie zanotował w pamięci, rzekłem: „I owszem, wiem o tém, jest podanie, że Abgar, król Edessy, pisał do Chrystusa i odpowiedź Jego otrzymał". Jakbym Sękowskiemu w ten moment kijem dał po boku! Zmarszczył się, do seksternu nie wrócił, wyszedł ze mną z gabinetu, w najgorszym był humorze, tak że nie znalazłszy środka rozweselić go, pożegnałem dziwaka. A to wszystko dlatego tylko było, żem nie chcąc, miłość własną jego obraził; że może być ktoś co wié to, czego on nie wiedział! A przytém łączył się i żal, że krytyka i dowcip jego, na tym właśnie artykule najsilniéj oparte, w łeb przezemnie wzięły i że cały koncept w seksternie zamrzéć z mojéj łaski musiał.

Lubo cierpiéć nie mógł Polaków i zawsze gdzie mógł i źle o nich mówił i łatkę im przypiął, a nawet będąc wizytatorem szkół białoruskich, pierwszy on w opinii swojéj tak nazwany katolicyzm polski i orzekł, i tak na stół rządowy położył, że go potém wszędzie ze zgubą i ludzi i rzeczy szukano, lubo gorzéj jeszcze nienawidził Polki, mając może niejakąś i racyę z uwagi na pierwszą żonę, chciał jednak zrazu pisać po polsku wszystko to, co potém w innych językach napisał; wziął nawet na siebie redakcyę „Bałamuta", pisma satyrycznego, zaprowadzonego w Petersburgu przez A. R.; umieścił tam kilka przedziwnych artykułów, a szczególniéj „Żywot i peregrynacye Pana Trystejki", ale żadnego stąd nie miał zysku. Z naszych księgarzy żaden niczego i darmo drukować nie chciał. Wytłómaczył tedy to samo na ruskie i za kilka arkuszy téj pierwszéj próbki księgarz petersburski, Smirdin, zaliczył mu natychmiast 10,000 rs. asygnacyami! Odtąd wpadł już na myśl wziąć z polskim językiem zupełny rozbrat, a nawet starał się go zapomniéć, żeby polonizmów do pobratymczego nie wniéść języka. Co odtąd pisał, było albo po rusku, albo po francusku. A na ostatek w r. 1834 on pierwszy zaprowadził najlepszy rosyjski dziennik

„*Bibliotieka dla cztienja*", którego wydaniu cały się poświęcił i do reszty sobie kości wysuszył, siedząc nad nim dzień i noc w „kasawejce" [1]) żony i smaląc bez miłosierdzia cygara. Jak tylko *żurnał* jego pomyślnie iść zaczął, Puszkin, Grecz, Bułharyn i mnóstwo innych spiknęli się na niego, ale on im wszystkim zaraz dał radę.

Sękowski, jakem już wyżéj powiedział, w Wilnie marnotrawny, w Petersburgu zupełnie zachorował na „pana"; trzymał piękny ekwipaż; wchodziłeś do niego jak na bal; sień i schody doskonale opalane, zimą i latem całe były ostawione najpiękniejszemi, wonnemi kwiatami; meble wykwintne i bogate, bilard, rezerwoary wody na strych sprowadzone dla wygody domu, obok sypialnego pokoju wymyślne wanny; wszędzie pyszne kobierce, ogień na wszystkich paradnych kominkach; stół wykwintny, smaczny; wina stare i wyborne. W tém ostatniém pomódz mu zapewne musiały od lat kilkudziesięciu zarzucone i zapomniane w suterenach starego Ralla butelki, które Sękowski za życia jeszcze teścia *incognito* do swojéj przeniósł piwnicy. Tym sposobem widziałem i kosztowne bardzo dzieła, których sama oprawa po kilka dukatów za tom ceniona była, pierwéj w szafach starego barona, potém na podłodze w gabinecie zięcia.

W obejściu się Sękowski nie miał nic ani uprzedzającego, ani szorstkiego, ani odznaczającego się czémkolwiek. Na dawanych przez niego wieczorach i sam i żona jego mało mówiący więcéj jakoś gości nudzili, niż rozrywali. Ale ci, co chcieli zjeść i wypić smaczno, narzekać na wieczerzę gospodarza nie mieli nigdy powodu! Rzadko jednak było, żeby i w konwersacyi kogo z obecnych nie ukąsił, albo przynajmniéj nie ukłuł, czy skiełzem, czy prosto w oczy. Pochodziło to stąd, że przyjaźń, miłość, nadzieję, o jakiéj marzył, słowem wszystko na ten moment gotów był poświęcić, byleby tylko złośliwy koncept, jaki mu na kogo na myśl wtenczas przyszedł, mógł natychmiast z siebie na świat wyślinić, wypienić. A że częściéj pisał, niż mówił, a to co napisane mniéj więcéj zostaje, stąd pisma jego pełne są takich do najlepszych jego przyjaciół zastosowanych jadowitych przymówek i żartów. W tém zdaje mi się, że ani żonie, ani rodzonemu ojcu by nie darował. Wątpię nawet, żeby w duszy swojéj rzeczywiście był do tego stopnia złym, jak się wszystkim wydawał i wydaje! Bodaj czy nie próżność była prawdziwą matką tego wszystkiego!

---

[1]) „Kasawejka" — rodzaj szerokiego z aksamitu lub atłasu lekkiém futrem podbitego kaftanika, z rękawami uciętemi po łokieć; kładzie się zwykle na suknię w pokoju i dziwnie każdą kobiétę idealizuje i zdobi w jéj materyalnych zaletach. Moda unarodowiona w Rosyi, a kiedyś przeniesiona z Holandyi.

Okoliczność, która wszystkie moje z nim stosunki najniespodziewaniéj nazawsze zerwała, da najlepszą ideę, jak ten człowiek nie miał nad sobą mocy, żeby najniewinniéj i pomimo ludzkiéj wiedzy zadartą zarozumiałość swoją uhamować jakkolwiek, a co gorsza, da miarę, jak się zaraz za to szkodliwemi umiał mścić drogami.

Była pierwsza od założenia Petersburga wystawa sztuk pięknych w stolicy. Cały świat o tém tylko mówił. Był to też razem kulminujący moment téj wielkiéj ogólnéj niechęci, którą Rosyanie mieszkającym w Petersburgu Polakom, dlatego tylko że Polacy, w każdém zdarzeniu okazywali..., delacyi było mnóstwo; najszczęśliwszym ich skutkiem było, kiedy komu we 24 godziny miasto opuścić kazano. Widząc się gdzieś w owym czasie z panią Sękowską, któréj rodzona siostra była za profesorem akademii sztuk pięknych, Brulloffem, prosiłem ją, żeby biorąc dla siebie bilety wejścia na wystawę, nie zapomniała i o mnie. Tymczasem tegoż dnia z innéj zupełnie strony przysłano mi aż trzy bilety. Użyłem ich natychmiast; zwiedziłem obszerne akademii sale i, jak zwyczajnie w początkach podobnych próbek, nie znalazłem tam nic prócz dwóch czy trzech malowideł jakiéjkolwiek godnych uwagi. Sękowska, nie wiedząc żem już tam był, napisała w parę dni do mnie, wzywając mnie na dzień następny z sobą i całą familią na tę wystawę. Podziękowałem i doniosłem, że już tam trzy razy byłem i że na ten raz mam już tego dosyć. Nazajutrz był duży, proszony wieczór w domu pewnego Rosyanina, bardzo wysokiego urzędnika państwa, gdzie Sękowscy czasem bywali, jako znajomi, a gdzie ja ledwie nie co dzień bywałem, bo zacni staruszkowie gospodarze lubili mnie oddawna, jak krewnego, jak własne dziecko. Przyjeżdżam, znajduję już Sękowskich. Sam Sękowski bierze mnie natychmiast pod rękę, sadza w oknie i daléj mnie rozpytywać się o wystawie. — Odpowiadam, że mi się tam nic nie podobało.

— Ale to?

— Nic warte.

— A to?

— I to nie lepsze.

— A ten pejzaż?

— Wart tamtych dwóch.

— A toż, czyż nie arcydzieło?

— Żartuj zdrów!...

Tymczasem zaczęło się robić powoli około nas kółko słuchaczów i coraz więcéj rosło. Raptem Sękowski najniespodziewaniéj rozdąsany, z największém zadziwieniem mojém zrywa się z krzesła i obracając się do słuchaczów, powiada głośno: „Niech się panowie nie dziwią, bo

pan Morawski należy właśnie do téj koteryi Polaków, którzy wszystkiém co ruskie pogardzają i wszystko co ruskie ganią!" Myślałem, że zwaryował. Gospodarze struchleli. Bo jaki tego mógł być skutek, gdyby którykolwiek z tych słuchaczów wystąpił z delacyą! Na szczęście innego tam łotra oprócz Sękowskiego nie było! Odpowiedziałem mu, ile mogłem najzimniéj: „że zapewne nie zastanowił się nad tém, co powiedział, ale że jeżeli mowa o koteryach już być ma, to może być pewny, że od tego momentu ja będę względem niego należał do téj wielkiéj koteryi Polaków, która jego sercu oddawna zupełną, jak teraz widzę, sprawiedliwość oddaje." Ukłoniłem się i odszedłem. To były ostatnie słowa, które do niego wymówiłem w życiu.

Generał podszedł do Sękowskiego z wymówką, że w jego domu charakter delatora na siebie przybiéra. Wyniósł się stamtąd natychmiast, podkurczywszy ogona, jak kundel co kąsa cichaczem. Generałowa podobnyż duser powiedziała żonie. Biédna, poczciwa Sękowska, moja zawsze najlepsza i szczera przyjaciółka, widząc jak ich dom co dzień puścieje, jak żółć i złośliwość męża co dzień z ich znajomości kogokolwiek oddala, długo różnych używała sposobów, ażeby nas znowu zbliżyć do siebie, — ale napróżno. Po takiéj lekcyi nie dałem się! Wyraz szarady jego gniewu, którego odgadnąć nie mogłem, jak mi potém żona jego mówiła, był taki: Sękowski właśnie, wyjeżdżając już na ten wieczór, dokończył długi artykuł do dziennika swojego, w którym wszystkie malowidła, wszystkie p a s t i s z e i k r u t y wystawy niepomiarkowanie chwalił; o tém wszystkiém, rozumié się, ja z żadnego względu wiedziéć nie mogłem; zdanie więc moje, wbrew zdaniu jego artykułu, przeciwne oburzyło go do tego stopnia, że nie miał czasu nawet zastanowić się nad tém, że ja, nic zgoła o piśmie jego nie wiedząc, mówię z nim jak o rzeczy obojętnéj, a zgoła bez celu obrażenia go w jakimkolwiek sposobie, — któż go na przyszłość w podobnych rzeczach mógł zgadnąć! Już mi on był dawniéj jeszcze, na rok czy na parę lat przedtém, łepskiego także wypłatał figla. Zastał on mnie raz u ministra Turkułła i śród rozmowy powiada mu: „Namów pan dobrodziéj Morawskiego, żeby téż cokolwiek pisał do mojego dziennika! Cóż on na tém straci? A ja jeszcze jako redaktor ręczę, że za każdy arkusz druku po 200 rs. asygnacyami miéć będzie." Tłómaczyłem się, że nie piszę tak jak wypada po rusku. „O to tylko idzie? pisz sobie po polsku, ja sam wytłómaczę wszystko! Zgoda?

— Zgoda.

Nim wrociłem do siebie, już mi przysłał kilka ksiąg z biletem wymagającym, ażebym sobie jedną z nich wybrał dla napisania recenzyi. W tym zbiorze była książeczka o wodach mineralnych sztucznych

w Petersburgu, wydana przez intryganta i szachraja z Warszawy, niejakiego Mejera, wysłanego z hr. Skarbkiem dla obejrzenia szpitalów petersburskich i zaprowadzenia takichże w Warszawie. Wlazł on jakoś do ministra finansów Kankryna, rozpalił mu głowę projektem towarzystwa na akcyach dla wód mineralnych. Przy takich plecach i protekcyi towarzystwo zaraz stanęło, — on książkę o tém wszystkiém wydał. Wziąłem się więc za krytykę téj całe miasto podówczas interesującéj rzeczy, a wierząc jak doświadczenie zaraz potém pokazało, że kuracye wodami sztucznemi w Petersburgu z każdego powodu są wierutnym nonsensem, cały ten projekt w recenzyi mojéj, lekko dla wszelkiego stanu czytelników napisanéj, należycie zbłaźniłem. Była to, jak mówią, podówczas palpitująca dla stolicy kwestya. Sękowski wytłómaczył wszystko natychmiast, a nawet list mój z tego powodu do niego pisany do samego artykułu w rodzaju przedmowy wcisnął, pieniędzy jednak obiecanych ani grosza nigdy nie dał. Ale mi dał słowo honoru, że w żadnym razie nikomu imienia autora nie wyda; spodziéwałem się bowiem, że ten artykuł jakąkolwiek wywoła burzę. Przez dni kilka miałem tę przyjemność, że cały Petersburg nad tém błazeństwem unosił się i chwalił, — nie wiedząc, kto to napisał, w oczy mi o tém ciągle gadano. Mejer mój, zbity z tropu, chodził z długim nosem po same kolana. Ale odezwała się w nim naturka; dawajże żalić się przed Kankrynem, że cała spekulacya w łeb wzięła, że piekielny wyszedł o wodach sztucznych artykuł, że trzebaby koniecznie zdrajców ukarać. Kaukryn tak napompowany, udał się do cesarza i rzecz źle przedstawił. Kazano śledzić autora. Sękowski, jeszcze urzędownie nawet nie zapytany, wydał mnie przed różnemi osobami natychmiast, a, co lepsza, niepomny na dane słowo honoru, sam mnie o tém uwiadomił i, że razem ze mną i cenzorem czeka mającego na nas spaść aresztu, doniósł. Szczęściem, dowiedział się o tém przypadkiem minister oświecenia, hr. Uwarow, sam z siebie pojechał do cesarza, rzecz w przyzwoitém świetle wyłożył i mające już wyjść rozkazy tym sposobem wstrzymawszy, dał wiedziéć Sękowskiemu, żebyśmy wszyscy troje byli o to zupełnie spokojni.

Wiadomo, jak wiele język rosyjski winien Sękowskiemu, więc powtarzać tego tutaj nie będę. Jakkolwiek tego człowieka nie można, niepodobna było długo lubić, jako człowieka, boś zawsze z nim na jakiś sęk, albo na kolce natrafił, będę jednak zawsze z ochotą czytał jego pisma, bo on jest przedziwny, bo się od każdego przedmiotu, który traktuje, oderwać nie można, tak najsuchszemu z nich przyjemną nadać umié barwę! Największą jego zaletą w pisaniu przy gruntownéj nauce i logicznym porządku myśli jest usunięcie wszelkiéj pedanteryi i umiejętność zacho-

wania tego, tylko dobrym smakiem dającego się uchwycić środka, który w saméj uczoności, w samém zaciekaniu się głębokiém nad rzeczą trafia zawsze wszystko ożywić, wszystko łatwym do pojęcia a pełnym dowcipu i gustu wyłożyć sposobem. Ręczę, że, gdyby pisał o dębowéj trzasce, i tu jeszcze sosem *à la dinde truffée* potrafił by ją zaprawić i miękką a smaczną zrobić.

Że tedy Sękowski był i jest niepospolitym człowiekiem, tego mu nikt sprawiedliwy ze współczesnych nie ujmie. Szkoda tylko, że głowa i serce jego rozstajnemi chodziły drogami! Poczciwy, święty, anioł w ludzkiém ciele, Oleszkiewicz, który nic nigdy złego o bliźnim nie wymówił, nazywał Sękowskiego zawsze Izmaelitą, o którym w Piśmie powiedziano jest: „że namioty i obozy przeciw wszystkiéj braci swéj stawić i wytykać będzie". Do tak dziwnie trafnego i mądrego orzeczenia, które nasz pobożny mistyk w natchnieniu wymówił, jeszcze każdemu z nas i ta się nastręczała uwaga, że właśnie Sękowski, Polak nauce wschodnich języków oddany i gruntownie je znający, po arabsku, to jest po izmaelitańsku, jak rzepę gryzł i śmiało za Araba mógłby uchodzić!

Jest u naszego ludu podanie, że wąż, król wężów i gadzin litewskich, ma osadzoną i ubraną głowę najdroższemi klejnotami, iskrzącemi się jak słońce. Ten myt urzeczywistnił i uosobił w sobie Litwin Sękowski.

Dodajemy tu dwa listy, które Sękowski pisał do Morawskiego, szkoda, że nie datowane.

I.

Najlepszy, najpoczciwszy, najszlachetniejszy, najdroższy panie Stanisławie, medycyny i chirurgii doktorze i przyjacielu! Co to znaczy, co słyszę, co mi powiadają! Mam-że płakać? mam-że się radować? Mów, powiadaj, wytłómacz, okrutniku! Dowiaduję się, że wyjeżdżasz z Petersburga: kiedy? dokąd? na jak długo? dla jakich przyczyn? Bądź łaskaw, objaśnij mi to wszystko. Jeśli rzeczywiście opuszczasz Petersburg, zmiłuj się—obacz się z nami przed odjazdem: myśmy już w mieście. Jeśli rzeczywiście opuszczasz Petersburg, ustąp mi choć swoje mieszkanie: ja wezmę je natychmiast. Opowiédz mi szanowny przyjacielu, co to wszystko znaczy, i oddaj mi swoje mieszkanie, jeśli koniecznie musisz wyjechać: jedna dama, ładna i miła, jak cherubin, któréj wcale nie znasz, była rozkochana w tobie i chce mieszkać

w twoich pokojach, żeby ciebie opłakiwać wygodniéj i czuléj. Ja wczora w nocy przyjechałem do miasta i byłbym dzisiaj już u ciebie, żeby mię głowa nie bolała. Pojutrze nieodbicie stawię się u ciebie, jeśli nie obaczymy się do tego czasu. Tymczasem daj mi odpowiedź o mieszkaniu, bo ta dama umrze... z rozpaczy, jeśli nie będzie mogła żyć w tychże ścianach, gdzie mieszkał *ce beau monsieur, si blanc et si blond.*

Poniedziałek. *Sękowski.*

II.

No, to ja jestem kiep, dureń, szlachcic, — padam na kolana przed tobą i proszę twego przebaczenia. Jestem w rozpaczy, żem ciebie obraził, żem twoją delikatność obraził. Nigdy tego nie miałem w zamiarze. Twój list, tak niepodobny z tonu do naszych przeszłych związków, listownych i osobistych, zdziwił mię do tego stopnia, żem rozumiał, iż chcesz jasno dać mi uczuć swoje nieukontentowanie i oziembłość ku mnie. Daję ci słowo honoru, żem tak rzecz zrozumiał, a ponieważ mnie już znudziły te nienawiści i te uprzedzenia, które dotąd zawsze pokrywałem milczeniem, będąc imi zewsząd otoczony, sądziłem przeto, iż to nie będzie obrazą delikatności, jeśli tak odpowiem temu, który zadzierając moją delikatność, oczywiście nie chce, abym mu odpowiadał inaczéj. Jeszcze raz proszę ciebie, daruj mi wspaniałomyślnie, a jeśli chcesz zrobić sobie satysfakcyę, kup kij, przyjedź do mnie i wybatoż mnie, bo widzę, żem dureń. Pierwszy raz w życiu wyraziłem drugiemu człowiekowi, że czuję jego oziembłość i omyliłem się na nieszczęście. Dotąd miałem za prawidło ku tym, co chcą mię obrażać — milczenie najgłębsze: niech się cieszą myślą, że obrażają; ja nie dostrzegam ich, ni ich obraz. Powiem ci prawdę, żem wiele razy dostrzegał w tobie ślady kwasu, który zaraża naszych rodaków we względzie do mnie, i nie dawałem temu żadnego znaczenia, będąc przekonany, iż człowiek może być bardzo zacny i szacowny, chociaż mnie w sercu nie lubi, i że ja mogę kochać go jak szacownego człowieka, nie zaglądając w jego tajemne myśli. Sądząc z suchego tonu dzisiejszego listu, rozumiałem, żeście coś nowego do mnie upatrzyli i że to przemieniło zupełnie ciebie, że nie chcesz być więcéj znajomym ze mną. Po przeczytaniu listu, powiedziałem sobie: *Et tu, Brute, contra me?* Byłem bardzo zmartwiony, szczególnie stąd, iż jak mi się zdawało, chciałeś mi pokazać swoją nieprzyjaźń, i pomyśliłem: Ot ma co mi mnie pokazywać! Jeśli chce być moim nie przyjacielem, to mógłby być

nim, nic mi o tém nie mówiąc; ja mogę zostać jego przyjacielem, także nic mu o tém nie mówiąc.

Lecz dosyć tych eksplikacyi. Ja objawiam siebie winowajcą kryminalnym za obrazę dobrego przyjaciela: masz pole pokazać swoją wspaniałomyślność ku mnie, lub swoją surowość. Wybierz to, co ci serce będzie dyktowało.

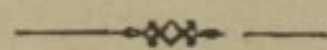
O *Revue Encyclopedique* nic nie wiem; ja nie trzymam tego dziennika, bo jest waryacki. Może i ustał: wszystkie dzienniki paryskie zbankrutują. Bellizard powiadał mi wczoraj, że *Revue des deux mondes* nie zyskuje ani grosza, a *Revue de Paris* co rok traci i utrzymuje się ze składek.

Rękopism twój odsyłam: pozwól mi jeszcze raz wynurzyć moją wdzięczność za artykuł: on był wyborny i ja po przeczytaniu jego byłem tak zachwycony, żem powiedział żonie: *Ma foi, Morawski est un homme et d'esprit et de talent et je suis tout étonné de voir une pièce aussi bien écrite et avec tant de verve.* Zapytaj się u mojéj żony: ona powié ci najlepiéj prawdę, gdyż ona nie umie skłamać nawet kiepskiego komplementu, i ja nie mogę jéj nauczyć do téj pory powiedziéć coś grzecznego, kiedy to, co ona ma powiedziéć, nie zgadza się z prawdą. Gdybyś ją znał bliżéj, przekonałbyś się, że są jeszcze serca niezepsute i zupełnie w tym stanie, w jakim je stworzyło przyrodzenie. Mówię ci rzetelną prawdę: kiedy ją obaczysz, zapytaj się u niéj, com mówił z nią o twoim artykule; ręczam, że ona nie skłamie, nawet przez przyjaźń dla mnie.

Sękowski.



REALIZM A NARODOWOŚĆ
W SZTUCE.



Dr. Jerzy Mycielski. „Sto lat dziejów malarstwa w Polsce.“ Kraków, 1897, str. 737.

I.

W roku 1857-ym ukazała się w „Wiadomościach Polskich" praca Juliana Klaczki o malarstwie polskiém, w któréj sędziwy już dziś publicysta i estetyk zapowiadał, że sztuka plastyczna nigdy się u nas nie rozwinie, że do niéj nie mamy uzdolnień wrodzonych, ani przyjaznego otoczenia fizycznego. Były to przewidywania i racye stylowo świetnie wysłowione, ale niemal wyłącznie oparte na hypotezie niezwykłego jakiegoś naszego posłannictwa w rodzinie ludów europejskich, osnutego na rozkwicie poezyi polskiéj w okresie Mickiewicza. Idea mesyanizmu olśniła krytyka i, wystawiając na szwank jego przenikliwość, podsunęła mu pewną ilość rozumowań i dowodów, które nie powstrzymały wprawdzie narodzin naszego malarstwa, lecz niemało się przyczyniły do ugruntowania i wzmocnienia w opinii publicznéj wielu mylnych lub mętnych wyobrażeń estetycznych.

Tymczasem, jak gdyby umyślnie dla zadania kłamu „prorokowi", w chwili nieledwie, kiedy znakomity pisarz, puszczał w świat swój artykuł,—dwaj młodzieńcy uczyli się właśnie, wśród najskromniejszych o swych zdolnościach wyobrażeń, rysować i malować. Twórcy malarstwa polskiego, A. Grottger i J. Matejko mieli wtedy—jeden lat 20,drugi 19; Grottger pracował w wiedeńskiéj Akademii, Matejko pierwsze swe, dziecinne niemal obrazy malował, wieczorami zaś marząc na rynku krakowskim, myślał o swéj podróży na dalszą naukę do Monachium. W lat pięć potém niespełna, obaj puścili w świat swoje pierwsze, potęgę przyszłéj twórczości napewno już zapowiadające dzieła; to zaś, co potém stwarzać mieli, wraz z utworami całéj plejady współcześnie z nimi pracujących artystów, utrwaliło już dziś istnienie téj gałęzi sztuki polskiéj i postawiło ją na poczesném miejscu w Europie. Malarstwo polskie, zupełne już i prawie wszechstronne, powstało tedy niezawodnie wkrótce po r. 1860, i dziś ze śmiercią obu jego twórców, Grottgera i Matejki, pierwsza wielka epoka historyi malarstwa polskiego jest zamknięta; rozpoczęła się odmienna w wielu względach druga...

A jeżeli tak jest rzeczywiście, jeżeli historya samodzielnego malarstwa polskiego zaczyna się dopiéro około roku 1860, zachodzi pytanie, jakie znaczenie ma okres poprzedni, dopełniać mający okrągłą liczbę lat stu, zaznaczoną w tytule pracy d-ra Jerzego Mycielskiego? Odpowiada na to autor, że wobec świetnych rezultatów, osiągniętych przez malarstwo polskie w ciągu ostatnich lat trzydziestu pięciu, nieodzowném stało się dokładne wyświetlenie kwestyi, jaki był stan sztuki malarskiéj w Polsce bezpośrednio przed tą świetną jéj epoką? skąd ona się wzięła? na jakim gruncie poprzedzających epok artystycznych wyrosła? co ją i jak przygotowało? Słowem, gdy się zamknął matejkowsko-grottgerowski okres naszéj sztuki i gdy już zwolna o jego zbadaniu i ocenieniu artystyczném może być mowa, stanął po raz pierwszy problemat stworzenia historyi malarstwa w Polsce, która dotąd nieledwie całkiem była białą kartą i która do zrozumienia produkcyi narodowéj ostatnich lat trzydziestu jest konieczną, „bo przecież nic na tym świecie samo się nie rodzi i największy rozkwit wszelkiéj ludzkiéj twórczości ma zawsze bodaj jakiś najskromniejszy swój podkład, na który całe liczne dziesiątki lat pracy poprzedniéj często bezwiednie się składają."

Tego to zadania podjął się autor z zupełną świadomością wielkich onego trudności i szkopułów. „Dzieje sztuk plastycznych w Polsce—powiada—to dotąd prawie zupełna *terra incognita*; materyały nowe

do nich ze względu na epoki najdawniejsze od niedawna w publikacyach Akademii Umiejętności się gromadzą, ale czasy nowsze, z najskąpszemi wyjątkami, nie rozporządzają substratem prawie żadnym, niejest się poprostu dotąd w możnośc podania ich obrazu w głównych bodaj zasryach; o wyczerpującéj zaś jego całości już nawet na razie nie marząc". Są wprawdzie, obok trzechtomowego Słownika malarzy polskich Edwarda Rastawieckiego, rozprawy wyborne, pełne ciekawych wiadomości i głębszych spostrzeżeń, ale oprócz tych kilku elementarnych danych i oprócz niedotkniętego prawie materyału artykułów luźnych, rozsianych po czasopismach a nawet dziennikach całego kończącego się stulecia, badacz tego przedmiotu, o woli bodaj najlepszéj, stał do niedawna przed niczém prawie, témbardziéj, że nie mając żadnych prawie wskazówek, dotyczących biografii i statystyki artystów, nie widział i często nie miał nawet pojęcia o najważniejszych bodaj ich dziełach. „Bez zobaczenia zaś chociaż kilku z nich na własne oczy, ani charakterystyki poważnéj o utworach malarskich, ani oceny ich słusznéj przedsiębrać niepodobna". Uzasadnione to troski. Szczęściem w r. 1894 nadbiegła im z odsieczą wystawa polskiego malarstwa we Lwowie. Dr Mycielski z nader miłém, bo szczerém i żywém uniesieniem kréśli przebieg projektów téj wystawy i jéj początków, których zasługę przypisuje trzem ludziom: Słanisławowi Witkiewiczowi „pierwszorzędnemu malarzowi krajobrazów i głębokiemu krytykowi najnowszego u nas malarstwa", Maryanowi Sokołowskiemu uczonemu i zasłużonemu badaczowi, którego działalność badawcza Europę całą i szerokie widnokręgi sztuki obejmuje", d-wi Janowi Bołoz Antoniewiczowi „profesorowi i miłośnikowi sztuk pięknych i przed wszystkimi innymi zasłużonemu inicyatorowi wystawy 1894 r." Prototypem pomysłów trzech tych ludzi stała się, jak i w wielu innych naszych przedsięwzięciach szerszego zakresu—Francya. „Ideałem—powiada autor — musiała tu być naturalnie wiekopomna wystawa retrospektywna malarstwa francuskiego ostatnich lat stu, która była jedną z wielkich chwał i zasług paryskiéj wystawy powszechnéj r. 1889, a która stała się tam owym potężnym, przez zdumione oczy zagranicy w zachwycie podziwianym obrazem całości produkcyi malarskiéj we Francyi od wielkiéj rewolucyi aż do rozwoju malarstwa w ciągu ostatnich lat dziesięciu". To samo w skromniejszéj formie i węższych ramach postanowiono zrobić we Lwowie; chodziło o zilustrowanie działalności artystycznéj każdego malarza (z okresu lat przeszło stu) najważniejszemi dziełami, a w braku możności ich uzyskania takiemi cho-

ciaż, które charakter twórczości artystów najlepiéj znamionują i niezbite ślady ich talentów noszą na sobie.

Podwaliną pracy d-ra Mycielskiego, jak to sam autor skromnie wyznaje, stał się „Katalog, owéj lwowskiéj wystawy sztuki polskiéj od r. 1764 do 1884, opracowany i wydany przez d-ra Antoniewicza, gruby tom o 384 stronicach tekstu i 24 str. wstępu z 3-ma indeksami i 75 ilustracyami przypominającemi niekiedy z „pełnią prawdy najcelniejsze na wystawie utwory". Nie wszędzie oczywiście p. Mycielski szedł niewolniczo w ślady d-ra Antoniewicza, jak to się zaraz na wstępie pokazuje, nawet i z podziału dziejów malarstwa polskiego na okresy. „Trzy epoki malarstwa polskiego — są jego słowa— na jakie je prof. Antoniewicz rozłamał, może raz na zawsze utrzymać się nie dadzą, druga zaś z nich niezawodnie na dwa jeszcze odrębne okresy rozdzielona być winna, ale szkielet wybornie zbudowany tej pierwszej historyi malarstwa w Polsce już zostanie, stanowiąc jedną z wielkich zdobyczy naukowych jego twórcy. Pierwsza epoka polskiego malarstwa nowożytnego—to czasy panowania Stanisława Augusta, okres prawie całkiem w sobie zamknięty, od r. 1765, kiedy Poniatowski po wstąpieniu na tron sprowadza z Wiednia Bacciarellego do Warszawy i tu na Zamku pierwszą szkołę malarską na wielką skalę otwiera, aż po r. 1795, kiedy po trzecim rozbiorze wytwórczość artystyczna epoki, o charakterze wybitnie cudzoziemskim, kosmopolitycznym, cechy swe zmieniać poczyna, a w nowych utworach młodych malarzy końca stulecia zjawiają się pierwsze przebłyski charakteru narodowego. Z rokiem 1795 otwiera się tedy epoka druga malarstwa u nas, okres zanadto długi, bo wedle prof. Antoniewicza lat 60 się ciągnący; okres ten, w nazbyt szerokie ramy przez autora „Katalogu" ujęty, stanowczo na dwie, prawie całkiem odrębne epoki rozłamać należy: od r. 1795 do 1831, i od 1831 r. do 1860.

Tym sposobem stuletnie dzieje malarstwa w Polsce rozpadają się u d-ra Mycielskiego na następujące cztery okresy: I-szy—epoka Stanisława Augusta, II-gi—epoka Księztwa warszawskiego i Królestwa kongresowego, III-ci—epoka „prekursorów" wielkiego malarstwa polskiego, złożona z dwu części, przygotowawczéj (1831—1845), bezpośrednio przed Matejką i Grottgerem idącej (1845 — 1860); wreszcie okres IV-ty, składający się w książce z jednego tylko rozdziału (na ogólną liczbę czternastu), p. t. „Rzut oka na wielki okres malarstwa polskiego po roku 1860."

Różnorodną i wielce niekiedy rozbitą, prawie roztrzęsioną treść tej szachownicy podziałowéj nie łatwo ująć w ramy jednolitego sprawozdania. Usiłujmy jednak.

II.

W stosunku do Europy zachodniéj, słaby i niejako senny rozwój sztuk plastycznych w Polsce bardzo długi czas był wyłącznie naśladowniczym, znacznie opóźniał się w drodze za swojemi pierwowzorami zagranicznemi, lub też, podążając na oślep za prądami cywilizacyi zachodniej, hołdował im zazwyczaj niewolniczo. W opieszałym zaś i ociężałym tym pochodzie malarstwo wlokło się powolniej jeszcze niż architektura lub rzeźba.

Ogólna charakterystyka naszéj sztuki malarskiéj w jéj zawiązkach, w jéj początkowaniu, ulega, naturalnie, ciągłym i niemal stałym zmianom na lepsze — lubo nie bez przerw i luk znacznych; postęp dokonywa się w miarę, jak wpływ zagraniczny rozszczepiony na dwa bieguny, fachowy i pomysłowy, zwiększa się i potężnieje w pierwszym z dwu tych zakresów (fachowym), zmniejsza się zaś i słabnie w drugim (pomysłowym), nie znikając całkowicie nawet w okresie czwartym, matejkowsko-grottgerowskim.

W wieku XV skromna szkoła cechowa malarzy krakowskich wydaje cały szereg religijnych obrazów o typie najpierw niemieckiéj szkoły kolońskiéj; naśladuje następnie wielkich staroflamandzkich mistrzów, zachowując w ciągu tego politycznie tak wielkiego w Polsce stulecia zaledwie drobne jakieś odcienia twórczości narodowéj, przy długo w niéj jeszcze trwających resztkach średniowiecznego bizantynizmu. Epoka spóźnionego gotyku, za ostatnich Jagiellonów, trwa u nas znacznie dłużéj niż w Europie tamtoczesnéj, a z nią i z pierwszemi zwycięstwami renesansu w Niemczech sadowi się w Polsce wszechwładnie na całe prawie stulecie malarstwo niemieckie, w obrazach religijnych o wybitnym typie szkoły norymberskiéj. Pierwsze lata wieku XVII zaznaczają się u nas zjawieniem się obrazów o charakterze przekwitłego Odrodzenia, które gdzieindziéj przeszło już dawno w rzymski akademizm i w boloński eklektyzm. Podczas jednak, kiedy Tomasz Dolabella, epigon wielkich kolorystów weneckich XVI stulecia (1600), wprowadza do Polski malarstwo włoskie na dwór Zygmunta III-go i pierwszych na-

śladowców w kraju znajduje, — już jednocześnie pod wpływem flamandzkich sympatyi królewicza Władysława, z pracowni Rubensa, w drugiéj ćwierci stulecia, przedzierać się do nas zaczynają złote promienie mistrza antwerpskiego. Przez cały wiek XVII, do ostatniej jego ćwierci ważą się u nas te dwa prądy obce, włoski i flamandzki; lubo zaś obok cudzoziemskich artystów drugorzędnych, produkujących swe utwory w Polsce bez współzawodnictwa, znajdujemy kilku malarzy krajowych, jak Lexycki, Siemiginowski, Tricius i najzdolniejszy z nich Daniel Freher, to wszakże w utworach ich wszechwładnie i niepodzielnie góruje — wzór zagraniczny. Pod koniec stulecia zagląda do nas również francuskie dworskie malarstwo dekoracyjne epoki Ludwika XIV; wkracza zaś najpierw — bez wdzięku i elegancyi wersalskiéj, zniemczone i niezgrabne — przez Wiedeń; następnie — odświeżone i pięknie upudrowane — przez Drezno, gdzie za złotego wieku dwoch Augustów, francuskie portrety i obrazy świeckie nad innemi prym trzymały.

Słowem, artystyczna i naukowa wyższość Zachodu przytłacza nas trybem podwójnym. Mistrze zagraniczni, osiadający w Polsce, wnoszą do niéj swe znawstwo i proceder szkolny bez najmniejszéj chęci lub potrzeby liczenia się z niewyrobionym, nieistniejącym prawie jeszcze smakiem mecenasów polskich, zarażonych panującym wówczas wszędzie kosmopolityzmem; nawzajem, artyści polscy, pracujący lub kształcący się zagranicą, zatracają w sobie powoli, pod naciskiem obcego otoczenia, zasadnicze cechy twórczości narodowéj, o ileby one tkwiły w nich *in potentia.* Drugie to łożysko napływającéj do nas obczyzny dr. Mycielski dobitnie wytyka na kilku głośniejszych malarzach polskich, — na sławnym nawet Czechowiczu. Szymon Czechowicz -- pisze — (ur. w Krakowie r. 1689) uchodzi za pierwszego religijnego polskiego malarza o wyższym zakroju; cała wszakże jego nadzwyczaj obfita artystyczna produkcya ani śladu narodowego charakteru na sobie nie nosi. Kształcony staraniem Ossolińskiego w Rzymie, w szkole czule słodkiego Carla Maratty, tam maluje przez długie lata włoskie obrazy kościelne, a gdy około r. 1740 do Polski na dobre wraca, pozostaje do końca życia (1775) tym samym Włochem późnego barokku, bez iskierki oryginalności. Szlachetność religijnego natchnienia, na słodki sposób wieku XVIII pojęta, pobożność szczera i nieco czułostkowa czynią, że obrazy jego bardzo dobrze nastrojem swym zdają się odpowiadać jednéj najlepszéj stronie społeczeństwa polskiego z epoki saskiéj. Wykonane prawie zawsze poprawnie, nieraz bardzo szlachetnie, o miękkim, zwykle bladawym kolorycie, tonem jed-

nym złotawéj gloryi przeciągnięte, o puszystych draperyach, niespokojnych, ale w niebieskiej barwie bardzo pięknych, ołtarzowe płótna zitalizowanego tego Polaka, malowane naprzód w Rzymie, następnie w rodzinnym Krakowie, Warszawie, Wilnie, Podhorcach i Połocku, posiadają niezaprzeczenie wielkie zalety, ale noszą na sobie najwybitniéj wszystkie cechy dogorywającego już barokowego włoskiego akademinizmu i eklektyzmu...

Paru innych, bynajmniéj nie podrzędnych malarzy z wieku XVIII autor wyrzuca nawet ze swej siatki okresowéj, dla tego wyłącznie, że albo zanadto przejęli się obczyzną, albo też wyłącznie dla zagranicy pracowali i tam żyli. Do nich w pierwszym rzędzie należy mało dotąd znany Tadeusz Konicz (niemiec z pochodzenia, Kuntze), „biedny kuchcik późniejszego biskupa Andrzeja Załuskiego". Obrazy jego oglądać można w katedrze na Wawelu i w kościele księży Misyonarzy na Stradomiu. Na wystawie lwowskiéj znajdowało się jego pędzla popiersie św. Pawła, naturalnéj wielkości „o czerwonéj karnacyi, silnéj muskulaturze i niezwykłéj energii twarzy." Na téjże wystawie dowiedziano się, że Konicz obok malarstwa religijnego, uprawiał i rodzajowe, przedstawiając w stylu akwarelowym bądź sceny mitologiczne na tle tak zw. historycznych krajobrazów *à la Poussin*, bądź rozmaite przygody z życia mieszczańskiego i ludowego na ulicach i placach Rzymu; dowodzą one, że artysta umiał „wesoło i dowcipnie patrzéć na prawdziwe zdarzenia potoczne, a zarazem oddawać je ze szczerym humorem i z poczciwéj satyry szczyptą". Jest to w każdym razie malarz o indywidualności wybitnéj i talencie poważnym, — szkoda tylko, że „w niczém nie ma polskiego charakteru i jedynie tylko miejscem urodzenia swego (Kleparz w Krakowie) i temi kilku w krakowskich kościołach znajdującemi się obrazami do polskich malarzy się liczy".

Nie zbyt pobłażliwiéj wyraża się autor i o wielkim artyście północnym XVIII w., Danielu Chodowieckim, urodzonym w Gdańsku w r. 1726. I on również „wszystkiém, oprócz nazwiska, stoi po za Polską." Talent to jednak ogromny, pierwszorzędny obserwator drobnych scen z życia powszedniego, pełen miłéj, wesołéj, nigdy gryzącą satyrą nie zaprawianéj prawdy; „zajmuje on w sztuce niemieckiéj to samo stanowisko, co Hogarth w angielskiéj, Chardin we francuskiéj i jest pierwszym artystą prawdę życiową w niższych sferach mieszczańskiego życia oddającym"... Cóż z tego! — W pięknym niemieckim liście do malarza i sztycharza Józefa Łęskiego Chodowiecki przyznaje się wprawdzie z dumą do narodowości polskiéj, jest przecież, jako wielki rysownik, a zwłaszcza rytownik, „w całym

swym charakterze i artystycznéj twórczości raczéj berlińczykiem niż polakiem"...

Zresztą, trzeba i to także zaznaczyć, że wśród niesłychanego rozproszenia, jakiemu okazy sztuki polskiéj ulegały zawsze, od czasów najdawniejszych podziśdzień, nadzwyczaj nieraz trudno orzec, czy pewien mniéj więcéj rozgłośny artysta zdradzał w swych utworach jakąś „żyłkę polską", czy téż całkowicie tonął w pochłaniającym go zewsząd żywiole obcym. Do takich nieokreślonych postaci w niewielkim poczcie malarzy-polaków, postawionych przez autora zewnątrz tak zwanéj epoki Stanisława-Augusta (a zawsze z powodu, iż „po za Polską pracowali") należał, obok Czechowicza, Konicza, Chodowieckiego, także i Aleksander Kucharski (1736—1820), sławny swojego czasu portrecista Maryi Antoniny i osób jéj dworu. Działalność jego artystyczna podczas wielkiéj rewolucyi francuskiéj pozostaje dotąd, równie jak i jego życie, zagadką bez możliwego rozwiązania; dzieł jego nie znamy i nikt nie jest mocen zawyrokować, czy się w nich nie ukrywał jakiś promień „swojski", jakaś nuta czysto polska, — w przypuszczeniu naturalnie, żeśmy się nareszcie dowiedzieli, na czém mianowicie takie promienie i takie nuty zależą.

Zależą one, według znanego określenia, od szczerości interpretacyi przyrody ojczystéj i spraw domowych, oglądanych przez pryzmat temperamentu artysty... Jest to, jak widzimy, formuła czystego realizmu w sztuce, o realizmie zaś nie zaraz dowiadujemy się z książki d-ra Mycielskiego, bo i nie tak znowu wcześnie realizm ten przychodzi na świat, dopiero pod koniec książki profesora krakowskiego; a tymczasem autor, dopominając się o realizacyę realistycznéj téj formuły u najdawniejszych naszych artystów, staje się niekiedy całkiem niezrozumiałym, zwłaszcza wobec nadmiaru superlatywów stylowych pod adresem talentu, wprawy, fachowéj zdolności owych Polaków, przebranych w szaty obcéj działalności artystycznéj. „Malarz znakomity, nieporównany, gwiazda wielkości pierwszorzędnéj", — ale, niestety, nie polska, chociaż często „na polskiém niebie świecąca"... Oceny téj treści antynomicznéj nużą swą jednostajnością i nieraz wychodzą na oczywiste anachronizmy, szczególnie wobec zgóry zaznaczonéj pewności, że malarstwo rzetelnie narodowe zaczyna się u nas dopiéro z Matejką i Grottgerem, więc raz jeszcze nie wcześniéj aż w r. 1860.

Możnaby atoli i temu ostatniemu twierdzeniu zaprzeczyć na podstawie innego szeregu superlatywów autora, łożonych w dalszym ciągu dzieła już na dobro rodzimych zdobyczy artyzmu w Polsce— zdobyczy obfitych i mnożących się nader szybko w postępowym przebiegu okresów od Stanisława-Augusta do Matejki i Grottgera..

Tym sposobem otrzymałoby się dowód, że malarstwo istotnie narodowe powstało u nas znacznie wcześniéj niż około r. 1860...

III.

I zaprawdę, jest rzeczą godną zastanowienia, że ów pierwiastek narodowy dość wyraźnie się zaznacza nawet w pierwszym, stanisławowskim okresie malarstwa w Polsce. Dr Mycielski zapewnia wprawdzie, że w ciągu całego panowania Stanisława-Augusta, po pierwszych, znanych już nam próbach Czechowicza i Konicza, malarstwo nasze zaledwie jeszcze dopiéro kiełkujące uczy się swéj sztuki od współczesnéj Europy zachodniéj i jest aż do końca wieku XVIII „prawie“ wyłącznie „beznarodowém”, uprawianém „przeważnie” przez cudzoziemców; zaznacza atoli jednocześnie, że dwa obce imiona, Marcello Bacciarelli (1731—1818) i Jan Piotr Norblin (1745 — 1830), wiążą ten przedsionek naszego malarstwa—nie z jednym, lecz z dwoma głównemi kierunkami sztuki na Zachodzie, — Bacciarelli z domierającemi tradycyami dworactwa wersalskiego,—ale za to Norblin z rodzącém się zamiłowaniem przyrody, któréj poczucie, sielankowo skażone za dni chylącéj się ku upadkowi monarchii we Francyi, oczyszczać się zwolna zaczyna pod potężném tchnieniem nowatorstwa rewolucyjnego.

Bacciarelli, sprowadzony w r. 1765 z Wiednia do Warszawy, osiada na Zamku królewskim, zakłada prywatną szkołę malarstwa, otrzymuje na sejmie r. 1768 szlachectwo polskie, król zaś daje mu urząd głównego dyrektora budowli królewskich. Włoch, spolszczony niebawem, rozwija działalność żywą i daleko sięgającą. Z jego pracowni wyjdzie wkrótce całe pokolenie malarzy, które Polskę zaleje manierą swego mistrza. Sam mistrz zresztą pracami swemi postara się o to, ażeby nie prędko zapomniano o nim nad Wisłą. Po upadku Stanisława-Augusta i wyjeździe jego do Petersburga jest równie ruchliwym i płodnym na stanowisku profesora malarstwa w nowo utworzonym uniwersytecie warszawskim, jak i w czasie, kiedy był tylko dworzaninem koronowanego swego protektora. Główną część olbrzymiego jego dzieła podziśdzień podziwiać możemy. Są to przedewszystkiém wielkie kompozycje dekoracyjne w dawnym Zamku królewskim: portrety królów i sufit w sali marmurowéj, sceny historyczne w sali rycerskiéj, portrety hetmanów i swawole olimpijskie w innych salach. Wszystko razem wielce uroczyste, teatralne, a dość drewniane, ale za to prawdziwy miód z mlekiem i olejkiem różanym płynie w Łazienkach z ust, z oczu

i z pod gorsów baletniczek i kochanek ostatniego króla polskiego, poprzebieranych za niewiasty biblijne. „Malowane to było — powiada d-r Mycielski — w owym modnym współczesnym smaku elegancyi dworskiéj i wystawności rezydencyjnéj, bez cienia prawdy życiowéj, mdło, słodko, w kolorze blado-żółtawym, przy miękkiém i pulchném zaokrągleniu twarzyczek, gestów, draperyi"... Lepsze, szlachetniejsze pod względem stylu i tonu mają być tylko portrety Bacciarellego: w Łazienkach ks. marszałkowéj Lubomirskiéj w błękitnéj sukni, lub w Dzikowie u hr. Tarnowskich — hetmana w. lit. Michała Massalskiego.

Natomiast, inną zupełnie jest spuścizna Norblina. Sprowadzony około r. 1771 do Polski przez księcia generała Czartoryskiego, młody, 26-letni nauczyciel jego dzieci, uczeń—jak się dr Mycielski domyśla, francuskiego mistrza Antoniego Watteau i akademii drezdeńskiéj, nie pozyskał wprawdzie na razie tego znaczenia i rozgłosu w nowéj ojczyźnie, co Bacciarelli, lecz następnie, za naszych już czasów, całkowicie zaćmił swego współzawodnika. Sławne „sceny wiejskie", zdobiące niegdyś gabinet księżnéj Izabelli Czartoryskiéj w pałacyku na Powązkach, oraz słynna freskowa powała świątyni Minerwy w ogrodach Arkadyi pod Łowiczem, malowana dla księżny Heleny Radziwiłłowéj, założycielki wspaniałych tych cacek sztuki pseudo-klasycznéj, noszą...—nosiły na sobie jeszcze piętno modnych w wieku XVIII „sielanek dworskich"; wkrótce atoli żywa, rzetelna przyroda strząsa z siebie kolory i szychy stroju wielkopańskiego i Norblin w szeregu drobnych, lecz na zawsze pamiętnych obrazków i szkiców z okresu lat 1785 — 96 staje się prawdziwym pionierem realizmu w sztuce naszéj,—Rembrandtem polskim, ojcem malarstwa narodowego. Prace jego, nadzwyczaj dziś rzadkie, nieznane prawie w oryginałach, przechowały się głównie w kopiach lub rycinach; z tego względu „album Norblina" w muzeum książąt Czartoryskich w Krakowie zaliczyć trzeba do najcenniejszych zabytków sztuki polskiéj z końca wieku XVIII. Opiérając się przeważnie na tém obfitém źródle, dr Mycielski podnosi zasługi Norblina do wysokości prawdziwie reformatorskiéj. Był to—powiada — malarz prawdy w życiu, umiejący pochwycić ją na gorącym uczynku; bystrym dowcipem, niekiedy nawet satyryczném, ale zawsze przychylném okiem patrzy on na prostych ludzi miast i miasteczek naszych, na chłopów po wsiach, na rubasznych żołnierzy w obozie, na żydów i kozaków i po raz pierwszy stwarza wierne, z otoczenia wzięte polskie typy ludowe,—stwarza drobne nasze malarstwo narodowe, wysnute z obserwacyi wszystkich klas ludności, począw-

szy od spacerujących po ogrodzie Łazienkowskim eleganckich pań i smukłych kontuszowców, skończywszy na wieśniakach i żydach po karczmach i chatach, pełnych malowniczego nieporządku... Całe, zwłaszcza niższe społeczeństwo końca przeszłego wieku staje jak żywe w tych zbiorowych, kipiących ruchem i podnieceniem obrazkach miejskich i wiejskich, jak np. „Targ na Pradze“ (1784), „Targ za Żelazną bramą“ (1788), „Odpust“ (1790), „Wnętrze karczmy” (1794), „Nowa brama świętokrzyska“ (1799) lub „Jarmark w Łęcznie” (1803). Obok tych scen zbiorowych, więcéj jeszcze, być może, prawdy, charakteru i życia, mają osobno rysowane, lub szkicowane typy szlacheckie, mieszczańskie, wiejskie, jak np. dwa wizerunki mnichów, kozak trąbiący, straganiarka, pan podkomorzy, chudy szlachcic lub student — „bosy, o bajecznie kretynicznym wyrazie twarzy, idyota, jak u Velasqueza“. W albumie Czartoryskich szczególną doskonałością odznaczać się mają dwaj młodzi parobcy z pod Krakowa, w karazyi jeden, w sukmanie drugi, tamten w profilu, ten tyłem odwrócony; tyle jest tu ruchu, wdzięku, prawdy i werwy, że od tak dawna do dziś dnia żaden malarz polski, oprócz Orłowskiego i Grottgera, lepiéj i głębiéj polskiego chłopa nie pojął i nie odtworzył. Ci chłopi Norblina—dodaje niewyczerpany tym razem w pochwałach autor—lubo jeszcze trochę idyllą w. XVIII owiani, są najwierniéjszymi, bo poetycznymi a prawdziwymi protoplastami chłopów Piotra Michałowskiego, rozkosznych krakowiaków Juliusza Kossaka, górali Kotsisa, a w końcu to nawet smętnych parobków Malczewskiego lub zawadyaków Tetmajera. „A wobec tego, nie trzeba już więcéj podkréślać znaczenia i doniosłości produkcyi wielkiego Francuza w Polsce; ojcowstwo to samo za siebie mówi“...

Mówi ono jednakże—dodajmy—nie tak znowu dobitnie, jak to na razie wypada ze słów profesora krakowskiego. Bezpośredniego potomstwa Norblina w malarstwie polskiém nie widać w początkach wcale. Znika ono w tłumie zwolenników utartéj, receptowéj akademickiéj maniery Bacciarellego, w ciżbie towarzyszów, uczniów, naśladowców i współziomków tryumfującego Włocha. Za Bacciarellim ściągają do nas legiony artystów zagranicznych tegoż samego co i on znaku cechowego: Bernardo Belloto, zwany Canaletto, Jan Lampi ojciec, jego synowie Jan i Franciszek, Józef Grassi, Marteau, Pitchmann itd., i w ich to świetle, ich trybem poczynają wkrótce rysować, koloryzować i zagarniać dokoła siebie coraz szersze koła wyobrażeń i artystycznego znawstwa pierwsi malarze rodowicie polscy, jak Smuglewicz lub Wojniakowski. Norblin — on długi czas nikogo za sobą nie ma; rzuca wprawdzie w glebę polską silne i zdro-

we zarodki sztuki ojczystéj, przygotowuje widoki i nadzieje o „narodowych błyskach i tematach"; tematy te wszakże nie prędko podniesione zostaną do godności dogmatów estetycznych, nie zaraz spotkają się z uznaniem szerszém i stwierdzeniem faktyczném. Walka o prawdę albo téż o konwenans w sztuce, o wzory z żywego otoczenia lub z martwych muzealnych wskazań mistrzów — trwa po dziś dzień i prawdopodobnie nie zaraz się skończy.

Na naszym gruncie dwojakie są po temu powody: jedne ogólne, ze specyalną naturą zadania związane, drugie lokalne i przygodne. W całéj historyi sztuki nowożytnéj, przedewszystkiém malarskiéj, od samych początków Odrodzenia ciągle się ważą i ustawicznie na siebie wpływają dwa wielkie, zasadnicze, rozstrzygające prądy: dążność odzwierciadlania przyrody, prawdy, rzeczywistości, żyjącego człowieka i tendencya naśladowania tak zwanego bezwzględnego piękna w plastyce, idealnych, szkolnych, gremialnie za piękne uznanych form przyrody i postaci ludzkiéj, jak je świat starożytny pojął i przedstawił w nielicznych zabytkach. Z prądów tych raz jeden, to znowu drugi bierze górę w wytwórstwie artystyczném cywilizowanego świata chrześciańskiego, a przewaga jednego lnb drugiego wyrokuje zazwyczaj o młodości i żywotności utworów plastycznych pewnéj epoki, lub o ich przekwitaniu i zamieraniu... Wyłamać się z pod téj alternatywy malarstwo nasze jednak nie mogło; dla czego, tak długo i aż do najświeższych czasów hołdowało niemal wyłącznie „przekwitającemu i zamierającemu" wykładnikowi idealno akademickiemu, bacciarellowskiemu, niźli „młodemu i ożywiającemu" realizmowi norblinowskiemu — rozstrzygnąćby to zdołało jedynie dokładne zbadanie dawnego naszego ustroju społecznego, w którym warstwy wykształcone i kierujące, wyłącznie w przeszłości oddane rzemiosłu rycerskiemu, zanadto się odosobniły i w sobie zamknęły od zmartwiałego pod niemi, na nizinach, morza spraw powszednich. Bo kiedy, z biegiem wypadków, główna ta funkcya rycerska osłabła i skaduczała, stan uprzywilejowany z konieczności wpaść musiał w pustkę kontemplacyi odświętnéj, z potrzebami i interesami miejscowemi rozbratanéj, przeto nieodzownie kosmopolitycznéj. Stwierdzona to zresztą właściwość każdego organizmu podkopanego i zagrożonego, że naga prawda go nęka, że mu niepodobna obejść się bez złudzeń słodkich i omamień uroczych. Sztuka umié w takich wypadkach stać się nader pochlebną i zalotną: wybiera ona wówczas idealizm, sentymentalizm, sielankę, archeologię zaprawną bohaterstwem za coś w rodzaju przepaski różowéj na oczy, które nieubłagana rzeczywistość razi i niepokoi. Potężne tylko bu-

rze uwolnić są w stanie od podobnych snów i fantasmagoryi złotych.

A i to nie zawsze, nie wszędzie. Przynajmniéj z naszego malarstwa nie widać, aby straszliwe wstrząśnienia lat 1794—1812 sięgnęły nieco głębiéj do wnętrza, do istoty naszego bytu społecznego. Orkan, zdawałoby się, przeleciał tylko nad powierzchnią życia, potrąciwszy tu i owdzie o wiekową pleśń jego przesądów, lecz nie obaliwszy ani jednego z posągów wzniesionych „cudzym bogom". Ślady skupienia się w sobie i próby naprawy są nadzwyczaj rzadkie i nikłe. Ze stosunkowo licznego pocztu artystów tylko Stachowicz (1768—1835), swojemi freskami w pałacu Woronicza, swojemi akwarelowemi epizodami z wypadków wojennych i politycznych pamiętnéj owéj doby, stanowi dosadniejszy nieco wyjątek od ogólnéj reguły pięknego kaligraficznego kopiowania wzorów zagranicznych. Lubo w niektórych jego pracach większych „wykonanie jest słabe, rysunek zawsze bardzo błędny, koloryt blado-szarawy, życia mało", — to jednak twarze i ruchy—szczególnie postaci ludowych, niezmiernie ciekawe. „Przekupki krakowskie, dziewki i baby wiejskie, parobcy pełni zacięcia, zabawne małe dzieci, a wśród tego i figury rzadsze z eleganckiego świata, damy w długich obcisłych sukniach, zasobne mieszczki w staroświeckich jubkach bramowanych futrem — wszystko to z życia obserwowane, a nawet może i nieraz z żywych modeli portretowane", — jak np. w znanéj „Przysiędze Naczelnika z d. 24 marca". Błyskawiczny to wszakże tylko objaw twórczości prawdziwie swojskiéj; wkrótce widnokrąg znowu się okrywa blado-różanemi, z grecka wycinanemi obłoczkami pomysłowości obcéj, — o ile można najforemniéj zarysowanéj i najzgodniéj z panującém zagranicą upodobaniem zabarwionéj. I słusznie: zanim duch narodu do lotu znów się kiedyś doraźnie zerwie, trzeba dla niego wpierw należycie wymieszać farby i wypłukać pędzle. W Warszawie, w Wilnie, w Krakowie powstają wnet przy uniwersytetach pierwsze urzędowe szkoły sztuk pięknych — z urzędowemi, ma się rozumieć, definicyami i formułami „natchnionego piękna" i „pięknego natchnienia". Na czele najgłośniejszéj z nich, wileńskiéj, staje dawny uczeń Bacciarellego, Smuglewicz, późniéj Rustem, — warszawską kieruje Brodowski (Antoni) wraz z Blankiem, — krakowska cieszy się Peszką i Brodowskim (Józefem); wszystkie razem uprawiają one na zabój neo-klasycyzm z epoki wielkiéj rewolucyi, parodjują uroczysty styl pierwszego cesarstwa we Francyi, lub posągowo kostnieją w rzymskim akademizmie Davida. Zjawiają się dążności i tryby mieszane, wieloźródłowe,

eklektyczne, w których raz po raz uwydatnia się nieśmiało także i realizm norblinowski, z istoty swojéj garnący się do tematów lokalnych, narodowych. Prąd ten żywotny, prąd natury i prawdy, nie zanikł wśród mdłego i pasorzytnego kwiecia faktury naśladowniczéj; podparty owszem ocknieniem się nuty ojczystéj na schyłku „czarnego" wieku XVIII i o świcie XIX, pozyskuje w kilku skromnych uczniach Norblina — w Płońskim, Sokołowskim, Zabielle — dzielnych i wytrwałych przedstawicieli, „którzy malarstwo w Polsce zwolna polskiem robili.“ Lubo niewielki ten poczet malarzy, przeważnie zaś rysowników z czasów Księstwa Warszawskiego i Królestwa kongresowego, śmiało nieraz mógłby współzawodniczyć, zarówno doborem treści jak i wykonaniem techniczném, z malarzami i rysownikami zachodnimi, to przecież w kraju, wśród swoich, pozostawał w cieniu i na uboczu, głównie może dla tego, że się nie kusił o dzieła większych rozmiarów, większéj doniosłości i poprzestawał na drobnych tylko utworach, niemal wyłącznie akwarelowych lub ołówkowych. O tych cichych wielbicielach rzeczywistości szaréj, powszedniéj, ale własnéj, potomność możeby dziś całkiem nawet zapomniała, gdyby ich na jaśnię świadomości zbiorowéj nie wyniósł był nowy wielki samotnik realizmu, drugi z kolei, po Norblinie, filar malarstwa polskiego — Aleksander Orłowski (1772—1832).

Dr Mycielski poświęcił oryginalnéj téj postaci jeden z najlepszych, najstaranniéj opracowanych ustępów dzieła. W obszernéj monografii, rozpadającéj się, odpowiednio do przełomowego przebiegu życia mistrza, na dwa cykle; — warszawski od r. 1792 do 1802 i petersburski od ostatniéj daty do 1830, mamy różnoistny łańcuch zdarzeń mało znanych i bardzo ciekawych. Młodociane lata Orłowskiego i wpływ otoczenia na rozwój jego charakteru,—studya w pracowni Norblina, opieka Czartoryskich, hulaszcze początki prace zawodu artystycznego i stosunki z księciem Józefem,—pierwsze akwarelowe, krajobrazy, karykatury, obozy kozackie, typy szlacheckie, mieszczańskie i ludowe, sceny z roku 1794 i portrety wodzów, — z tego się złożył krótki i zwięzły, a bardzo ważny warszawski wątek działalności znakomitego malarza. Trzydziestoletniéj jego biografii nadnewskiéj nie można całkowicie uważać za dalszy ciąg i uwieńczenie krajowych zawiązków życia i artyzmu, jak o tém świadczą pamiętniki d-ra Stanisława Morawskiego, podane przez dra Mycielskiego w obfitszych przytoczeniach. Opieka W. Ks. Konstantego i obrazki z kampanii napoleońskiéj, satyryczne akwarele angielskie i portrety konne oficerów czerkieskich, druga żona i nieszczęścia domowe, studya nad Rembrandtem

i wpływy Hogartha, poważne portrety własnéj osoby i przedrzeźniane wizerunki szlachciców polskich, humor i prawda, patryotyzm szablonowy i zabiegi o chleb niepowszedni, — nie klei się to łatwo w całość jednolitą i nie zawsze szczelnie do siebie przystaje; ale talent ogromny zawsze i we wszystkiém, o ile o tém naturalnie sądzić dziś wolno ze skąpych okrawków produkcyi, która w całości niemał — a za grube pieniądze — odpłynęła za morze, do Anglii głównie. Historyk nasz, powołując się na znany wiersz Mickiewicza, że Orłowski „wysławiał wszystko w Polsce: ziemię, niebo, lasy", zapewnia, iż czynił to artysta „do końca życia"... a imię jego na zawsze pozostanie w sztuce polskiéj. Zapewne, — z tym jednakże komentarzem, którym autor ostateczną swą ocenę opatrzył: „dziecko wieku XVIII, bez kropli wiary, a niebawem i bez zasad żadnych, o gorącém zrazu przywiązaniu do kraju ojczystego, stępioném z czasem, o talencie bardzo niezwykłym, bardzo samorodnym, rdzennie narodowym, jako artysta stał się Orłowski ofiarą swego życia i swych namiętności, nigdy nie hamowanych; drobnych arcydzieł stworzył setki, — wielkiego dzieła sztuki ani jednego, a choć szlachtę polską, polskiego żołnierza i polski krajobraz odtwarzał, jak nikt przed nim, a bardzo mało kto po nim, to przecież do potomności przeszedł z reputacyą... zaszarganą. Siła twórcza — niezaprzeczenie wielka, ale zwichnięta i wykolejona z torów właściwych, przeto i rezultaty jéj działania — zwikłane i rozbite. Z tego ostatniego względu Orłowski, porównany ze swoim nauczycielem Norblinem, dużo traci. Nie można o nim powiedzieć słowami d-ra Mycielskiego o znakomitym Francuzie: „Polakiem był Norblin duszą całą, do głębi się przejął w swych pracach charakterem naszym narodowym i charakter ten w całym szeregu postaci nawskroś polskich na papier lub płótno przelał."

IV.

Bądź co bądź, straty, jakie społeczność pewna ponosi wskutek swéj niemocy stałéj, organicznéj, wydają się niczém w obec tych, jakie na nią spadają niekiedy z przesileń doraźnych, gwałtownych; tam marnieją tylko jednostki, chociaż zazwyczaj górujące nad innemi rozumem, cnotą, genialnością; tu giną pokolenia całe wraz z dorobkiem i owocami usiłowań wieloletnich, wiekowych. Takim właśnie był kataklizm 1831 r.

W sztuce naszéj wygląda on równie złowrogo, jak i we wszystkich innych zakresach życia publicznego: jest to rozsypka zupełna

i powszechna, po któréj następuje istna *tabula rasa*. Malarstwo nasze, skurczone i zbite z tropu, szuka zrazu ratunku pod skrzydłami szkoły sztuk pięknych w Krakowie, późniéj takiéjże szkoły w Warszawie, za staraniem Kokulara i podtrzymanéj następnie pracami Hadziewicza, Kaniewskiego, Piwarskiego, Breslauera. Ludzie ci dokładają wszelkich starań, w celu odświeżenia zacofanych lub wyczerpanych procederów wytwórczych, zastąpienia ich trybami bardziéj odpowiadającemi zdobytemu gdzieindziéj doświadczeniu; ale skutek pożądany nie zaraz dopisze włożonemu dla jego dopięcia nakładowi. Chylący się coraz więcéj ku upadkowi pseudo-klasyczny akademizm polski, nie otrzymując już tego samego co dawniéj poparcia z zewnątrz, próbuje rozmaitych podpórek stylowych, wysila się na przepych, na dystynkcyę, zapożycza się we wszystkie kosmetyki zachodnie... Tym razem nie wychodzi to malarstwu u nas (boć chyba nie n a s z e m u) na złe bezwględne. Przed młodymi artystami otwiérają się przez to coraz szerzéj okna na nowe prądy sztuki w Europie, na nowe tam wzory, mniéj lub więcéj udatne czy chybione, wreszcie na szkoły coraz doskonalsze, powstające w Niemczech i we Francyi. Po za obrębem kraju przebywa wtedy ogromna masa ludzi wykształconych, biegłych w rozmaitych kunsztach: jest do kogo się udać po radę, wskazówkę, a niekiedy to i pomoc. Ale zbiera się w ten sposób zaledwie dopiéro zasiew na dalszą przyszłość. W domu tymczasem niezmiernie słabo i potulnie walczy o byt i kształci się malarstwo, — w utworach Wańkowicza i Smokowskiego, w portretach (budzących d z i ś podziw) Aloizego Reichana i w rycinach Kielisińskiego. Ze współczesnych nie bardzo kto wie i słyszy o tych imionach. A przecież, jak dowiodła wystawa lwowska 1894 r., sztuka polska nawet w owym ciemnym okresie lat piętnastu, szesnastu, zdobyła się na talent potężny wyjątkowy, „z lwim pazurem“, a rdzennie polski. Mowa tu o uczniu realistów i romantyków francuskich, Piotrze Michałowskim (1800—1855), o którego istnieniu nie jeden z nas po raz pierwszy, być może, dowie się z zasobnéj książki d-ra Mycielskiego. A wszakże według zapewnienia p. Pawła Popiela, (w jedném z jego sprawozdań dziennikarskich) był to nietylko gienialny malarz, lecz „uczony, urzędnik, mąż stanu, filantrop, agronom, ojciec rodziny i rozumny polityk w najsmutniejszych dla zachodniéj Galicyi czasach“. Członek zamożnéj, szeroko-skoligaconéj rodziny, Michałowski miał środki i sposobność odbycia wcale gruntownych studyów w głównych ogniskach sztuki i cywilizacyi na Zachodzie, szczególnie we Francyi i Anglii, które po raz pierwszy zwiedzil jeszcze w r. 1827, wysłany tam przez ministra

Lubeckiego w celach badania przemyslu górniczego. Z wzorów zagranicznych przypadły mu najbardziéj do smaku epizody z wielkiéj epopei napoleońskiéj Grosa, z ojczystych — wojskowe i konne szkice Orłowskiego. Pracował dużo i wytrwale, najpierw z zamiłowania, następnie po r. 1831 zagranicą — dla chleba. „W Paryżu — pisze dr. Mycielski — niewątpliwie robił obrazy na obstalunek, za pieniądze, a zamówienia bogatych Francuzów i Anglików były tak liczne, że nawet wcale pokaźne dochody do jego pielgrzymiéj kieszeni wpędzały i po prostu bardzo szanownym były zarobkiem". Z czasów tych — oczywiście — nie posiadamy żadnych utworów Michałowskiego; przechowały się tylko niektóre do nich zarysy przygotowawcze w bogatéj tece mistrza, znajdującéj się obecnie w posiadaniu jego córki, hr. Józefy Michałowskiéj w Krakowie, wraz ze wspaniałą galeryą obrazów stworzonych przez płodnego artystę, przeważnie już po powrocie do kraju. Policzyć tylko i wymienić wszystkie te „arcydzieła" byłoby zadaniem uciążliwém, cóż dopiéro opisać je nieco szczegółowiéj! W książce d-ra Mycielskiego cała litania zajmuje co najmniéj tyle miejsca, ile np. Napoleon na płótnach Grosa, stanowiąc niemal punkt środkowy i kuluminacyjny dziejów malarstwa polskiego. Czego téż Michałowski, nie rysował i nie malował! Krédkowe grupy jazdy francuskiéj i spiżowy posąg Napoleona, akwarele rogatego bydła i olejne popiersia żydów, portrety rodziny (szczyt piękności cielesnéj) i głowy starych rusinek (szczyt prawdy brzydkiéj jak śmierć), cesarz Franciszek-Józef i pan Paweł Popiel (obaj konno), bitwa pod Somosierrą i dwie wymijające się karety eleganckiego świata, postaci hetmanów polskich i łby siwych koni (naturalnéj wielkości!), — „które są w swoim rodzaju *non plus ultra* prawdy, wierności, siły, a zarazem życia i poezyi w zrozumieniu i odtworzeniu malarskiém konia w ogóle"... „Nic téż nigdy równie wspaniałego żaden nasz malarz nie stworzył, a w sztuce zagranicznéj, oprócz niektórych, i to całkiem innych, bo małych rozmiarami, koni Meissonier'a, Neuville'a, dziś zaś może Detaille'a, oprócz słynnego konia przy pojeniu Dagnan-Bouveret'a w muzeum Luksemburskiém, nie znamy nic, coby do tych arcydzieł zbliżać się mogło, — arcydzieł zupełnych, gdyż są i całkiém wykończone i traktowane z równą zawsze brawurą i siłą modelunku, a zarazem ze znajomością najdokładniejszą każdéj kości, każdego ścięgna, każdego nerwu konia, z poezyą wreszcie zwierzęcia szlachetnego, jakiéj my przynajmniéj nigdzie w nowożytném malarstwie odnaleźć nie umiemy; a nadto, obok wszystkich powyższych zalet

koni tych niezrównanych, mają one jeszcze na sobie i ów wybitny, pysznie oddany charakter konia polskiego“...

Nieszczęściem, Michałowski — jak o tém autor przekonywająco mówi w inném miejscu — „tak bardzo po za epoką swoją stoi i tak ją wyprzedza, że umierając pod koniec tego okresu, nieledwie żadnego wrażenia swemi utworami ani na dojrzałych, ani na uczących się artystów współczesnych mu nie robi“... A i „zrobić“ tego — dodajmy — nie mógł, skoro był ciągle zamknięty i odgrodzony kratką arystokratyczną od swych współtowarzyszy i pracowników na niwie artystycznéj plebejuszowskiego autoramentu. Ci ostatni z otwartą przyłbicą, a w pocie czoła dobijający się o chléb i uznanie w szrankach mniéj więcéj publicznego zawodu, sami téż jedni na swych barkach dźwigać musieli kamienie i cegłę pod podwalinę przyszłości malarstwa polskiego. Trud zaś nie był wcale łatwy, naprawa postępowała bardzo nie chyżo. D-r Mycielski początki dźwigania się naszego malarstwa z ruin kładzie na r. 1845, utrzymując, że mniéj więcéj na parę lat przed r. 1850 „poczyna się druga połowa owego okresu od 1830 do 1860 r., która stulecie malarstwa w Polsce zamyka, a największą liczbą zjawiających się w niéj młodych artystów bezpośrednio się wiąże i zlewa z epoką następną, którą nie tylko przygotowuje, ale téż w części stwarza“. Coraz pełniejsze i rojniejsze szkoły sztuk pięknych, warszawska i krakowska, wydają młodzież żądną sławy, pracowitą, wysokie o sztuce wyobrażenie w sobie pielęgnującą, która się niebawem rozsypuje po nowych akademiach zagranicznych w Monachium, Wiedniu, Rzymie, Petersburgu i we wszystkich rodzajach współczesnego malarstwa Europy pracuje, tworzyć zaczyna. W trzech głównych kierunkach rozwija się w owéj dobie sztuka europejska: religijnym, romantycznym i historycznym czyli właściwie historyozoficznym. Pierwszy najdobitniéj się uwydatnia w Rzymie (Comuccini, Overbeck), w Wiedniu i Düsseldorfie (Führich, Schadow); drugi — głównie w Paryżu, pod potężném tchnieniem Eugeniusza Delacroix; trzeci wreszcie — w Monachium, częściowo zaś w Wiedniu i Düsseldorfie (Cornelius, Caulbach, Schwind i t. d.), oraz w Paryżu, gdzie czas jakiś panuje i olśniewa historyczno-powieściowa maniera Pawła Delaroche'a, czyli t. zw. jego *juste-milieu*. Ze wszystkich tych trzech potoków obficie czerpią młodzi nasi artyści, kształcący się zagranicą. „Nazarenizm“ uprawiają u nas w pierwszym rzędzie: Leopold Nowotny (1822—1870), Roman Postępski (1808—1878), Mikołaj Strzegocki (1826—1891), Feliks Szynalewski (1825—1892) i inni,— bez większego wszakże powodzenia, gdyż na bladych i zimnych wzorach wycackane ich

obrazy nie są zdolne ani serc pobożnych podbić, ani téż zaspokoić wyrabiającego się stopniowo smaku warstw wykształceńszych. Bez porównania za to głębiéj i wdzięczniéj przyjmuje się u nas zagraniczna płonka malarstwa historycznego i wkrótce, do współki z przeszczepionym w tymże niemal czasie romantyzmem zachodnim, wydaje owoce przednie, bujne, zdrowe, w gatunku najwyraźniéj znamionującym naturę gruntu i wpływ klimatu, które, mniéj przyjazne dla bieżących, żywotnych zagadnień wieku, tém pieczołowiciéj przygarnęły ku sobie i wychowały plon zamarłéj, zdawało się już, przeszłości. Niezmiernéj to wagi zjawisko, najbardziéj ze względu na pewną ścisłą zażyłość i pokrewieństwo naszęgo malarstwa historycznego z realizmem, który gdzieindziéj stale a cierpko, przez usta celniejszych swych przywódzców, odmawiał obywatelstwa kreacyom artystycznym, osnutym na czémś, w czém serce bić przestało i krew w żyłach zaskrzepła. U nas inaczéj o tém mniemano, czego dowodem tacy artyści, jak Aleksander Lesser (1814—1884), Józef Simmler (1823—1868), Wojciech Gerson (twórca szeregu kompozycyiz dziejów Polski średniowiecznéj, ur. w r. 1831), Henryk Pillati (1832—1894), Cypryan Dylczyński (ur. w r. 1836), Ignacy Gierdziejewski (1826—1860), Władysław Łuszczkiewicz (ur. w r. 1828), Leopold Loeffler (1830—1898), Konstanty Szlegel (1819—1870), Floryan Lunda (1824—1888), Maksymilian Piotrowski (1813—1875) i inni, bez liku.

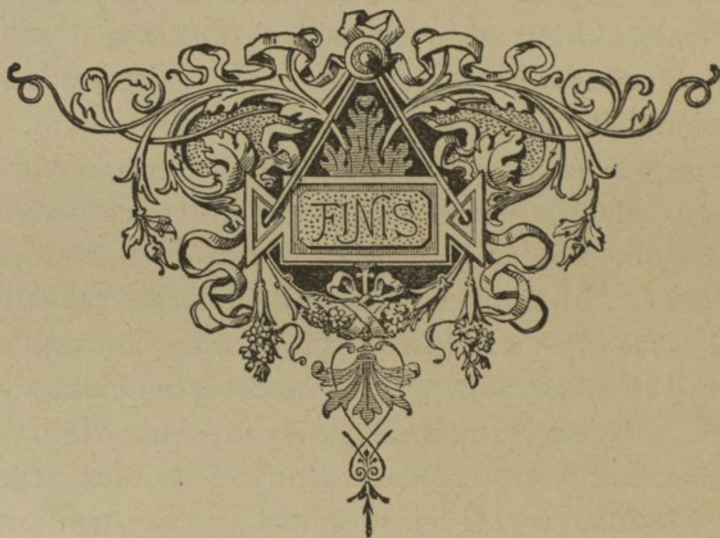
Obok historycznego i religijnego, w urodzajnéj téj epoce powstają, rozwijają się, doskonalą inne działy malarstwa: portret, krajobraz, *genre*. W portrecie wysuwają się i niemal odrazu, od pierwszego rzutu pendzla zajmują pierwszorzędne w malarstwie polskiém stanowisko: Leon Kapliński (1826 — 1873) i Henryk Rodakowski (1823—1894) — zajmujący poczesne stanowisko i w malarstwie historyczném. Z mniéj głośnych wymienić należy: Tadeusza Góreckiego (1825—1868), Aleksandra Stankiewicza (1824—1892), Wilhelma Leopolskiego (1830—1892), Andrzeja Grabowskiego (1833—1886), Marcelego Maszkowskiego (1837—1862), — wreszcie nieocenionego akwarelistę, autora wdzięcznych rodzajowych utworów o typach ludowych, Franciszka Tepę (1828—1889). W bezpośredniém sąsiedztwie z Tepą nie żal téż postawić koryfeusza naszego malarstwa rodzajowego i wojskowego, pierwszego na wielką skalę popularyzatora sztuki polskiéj, dzielnego rysownika, potrącającego współrzędnie o tematy historyczne i krajobrazowe, Juliusza Kossaka (urodzony w roku 1824). Tuż przy nim (rzadko przed nim) grupują się nieśmiało w początkach, coraz bardziéj późniéj rodzajowi malarze o tematach przeważnie ludowych: Józef Brodowski (ur. w r. 1828), Franciszek

Kostrzewski (ur. 1826), Elwiro Andriolli (1837—1893), Cypryan Norwid (1823—1883), Wincenty Ślendziński (ur. 1837), Jan Piotr Łuczyński (1816—1855), Karol Młodnicki (ur. 1836), Maksymilian Cercha (ur. 1818) — i najznakomitszy wśród tylu znakomitości, najbardziéj ludowy i sympatyczny Aleksander Kotsis (1836—1877). Na ostatku — chociaż bynajmniéj nie na szarym końcu duchowéj téj uczty — ukazują się pejzażyści nasi o szczerze swojskim charakterze wsi polskiéj i starego polskiego miasta: Alfred Schuppé (ur. 1812), Józef Szermentowski (1833—1876), Aleksander Gryglewski (1830—1879), Saturnin Świerzyński (1820—1885), Albert Żamett (1820—1875), Józef Marszewski (1820—1883), — że już pominiemy tych, co krajobrazowość połączyli z rodzajowością lub historyą, jak np. Wojciech Gerson.

„Wszyscy ci malarze — młodzi jeszcze przed laty czterdziestu, dziś starzy lub w mogile—po krótszych lub dłuższych studyach zagranicą, wracają około r. 1860 na dobre do kraju i we wszystkich swych rodzajach pracują tu daléj, zdobywają się niekiedy na utwory wielkiéj piękności i stanowią w tym okresie nowym, do dziś dnia trwającym, tło prawdziwego malarstwa polskiego, a zarazem i towarzystwo bardzo szlachetne, pełne wszelkiego rodzaju zasług, dla dwu gwiazd potężnych, którym na imię: Grottger i Matejko", — temi słowy zamyka dr. Mycielski właściwą historyę lat stu malarstwa w Polsce (od r. 1764), — dzieło rozległe, bardzo starannie rozwinięte w szczegółach i drobiazgach, często nad wyraz ciekawych, zawsze pouczających, niekiedy zupełnie nowych, przedtém nieznanych. Styl książki, nie zawsze zrównoważony i potoczysty, cokolwiek oszpecony składnią w części niemiecką (czasownik niemal stale na końcu zdania), w części łacińską (łamany szyk wyrażeń), skupia się w sobie i czyści tam wszędzie, gdzie autor, podniecony doniosłością przedmiotu, nie wstydzi się swego wzruszenia i daje się unosić boskiemu uczuciu wdzięcznego uznania lub chluby. W ogólności, wysłowienie d-ra Mycielskiego jest dokładne, plastyczne, prosto i jasno motywowane, szkolne, prawie elementarne. Rzadka i w naszych czasach, w naszém położeniu drogocenna zaleta! Każe ona żałować, że najświeższy okres naszego malarstwa — od Matejki i Grottgera (Siemiradzki, Brandt, Gierymscy, Chełmoński, Wierusz-Kowalski, Czachórski, Fałat, Benedyktowicz, Malczéwski, Rosen, Szymanowski, Wyczółkowski... i t d., bez końca) sumarycznie tylko i w nader pobieżnym rzucie oka, stanowiącym epilog, uwzględnionym być mógł i został. Jest on bowiem niezbędném dopełnieniem całości, jéj koroną, jéj światłem. Bez niego nie wiemy nawet

dobrze, na czém właściwie polega i z jakich pierwiastków się składa zasadnicze określenie malarstwa polskiego, pojętego jako odrębna, wyborowa, celowa cząstka „malarstwa w Polsce". Wąs zawiesisty, lub podgolona czupryna szlachcica, barwny gorsecik dziewczyny wiejskiéj, krakowska uprząż na tłustym mierzynku żmujdzkim — to dopiéro jedna połowa, — to dopiéro zaledwie ciało sztuki narodowéj. A gdzie duch? — gdzie ów wiotki, powiewny, radosny posłaniec niebios, co u Matejki tak wymownemi oczyma spogląda na teraźniejszość naszą z pod płyt cmentarnych.

St. Fiat.



JAN KOCHANOWSKI

w świetle ostatnich wyników krytyki historycznéj *).

„Jan Kochanowski, jego ród, żywot i dzieła.“ Przez Romana Plenkiewicza. Warszawa, 1897 roku. — Jana Kochanowskiego „Dzieła wszystkie“. Wydanie pomnikowe. Tom czwarty.

W tém błogiém przeświadczeniu, gdy nadeszła Wielkanoc 1571 r., udał się do Czarnolasu. Tutaj, nie zwlekając, zaraz przystąpił do budowy domu, a miał to być piękny, gontem kryty dwór z dębów czarnoleskich, wzniesiony na podmurowaniu, z piwnicą, z obszerną sienią i kilką komnat. Budowa szła raźno, a poecie serce rosło, gdy patrząc na swą nową siedzibę, roił, że tu niebawem sprowadzi Hannę. Z myślą o niéj, zaczął przyozdabiać wykończone izby, a jeśli nie stać go było na obijanie ścian makatami, to nie znaczy to wcale, ażeby ich nie starał się przybrać w mniéj kosztowne opony, ażeby stołów nie zamierzał ponakrywać dywanami, a ław i stołków — pokrowcami. „Jeżeli zaś kto, to poeta mógł ich nagromadzić niemało. Stosunki jego z możnowładcami opłacały mu się niejednym sutym podarkiem. Ko-

*) Patrz „Ateneum“ za luty r. b., str. 257.

sztowna broń i rzędy na konie, pierścienie, łańcuchy, roztruchany, kubki szczerozłote, nalewki i kobierce były nieraz jego wierszy nagrodą. Miał więc czém przystroić dom na przybycie Hanny..." Gdy nareszcie dwór stanął gotowy, poeta, lubując się jego widokiem, napisał ów znany wiersz *Na dom w Czarnolesie:*

Panie, to moja praca, a zdarzenie twoie:
Raczysz błogosławieństwo dać do końca swoie.
Inszy niechay pałace marmurowe maią,
I szczerym złotogłowem ściany obijają,
Ja, panie, niechay mieszkam w tym gniaździe oyczystém,
A ty mię zdrowiem opatrz, y sumieniem czystém.

W tymże czasie powstała i fraszka *Do poetów*, najprawdopodobniéj Górnickiego i Trzecieskiego, którzy przyjechali zobaczyć nową chudobę Jana, fraszka, świadcząca o swobodnym nastroju umysłu autora, który, rad swoim gościom, wyobrażał sobie, jak to będzie rozkosznie, gdy oprócz serdecznych przyjaciół i Hanna zasiędzie do wieczerzy. „Będzie sér, będzie szołdra, będą wonne śliwy...", a jeśli i muzyki nie zbraknie, wtedy i Hannie chyba nie uprzykrzy się z nimi... Tymczasem, oddalony od niéj, co tydzień wyprawiał do Warszawy *tabellariusa* z listami do narzeczonéj, pośrednikiem zaś, który mu ułatwiał to korespondowanie z panną, był ksiądz St. Fogelweder: na jego ręce szły listy z Czarnolasu, na jego ręce szły listy do Czarnolasu. A nietylko listy przywoził z Warszawy ów *tabellarius* Kochanowskiemu: zdarzało się, że mu przywoził i różne upominki od panny. Raz np. przywiózł mu od niéj lutnię, a poeta, otrzymawszy ten podarunek, ucieszył się nim podwójnie: przedewszystkiém dlatego, że był to dar ofiarowany mu przez Hannę z własnego popędu, a powtóre, że w samym wyborze podarku nietrudno było dopatrzéć się głębszéj myśli. „Jeżeli bowiem dotąd poeta starą swą lirę jedynie na smutne tony nastrajał, to z odmianą na lepsze, z nowém życiem, z nową nadzieją, czyż nie było właściwém, aby, jak ton pieśni, i narzędzie muzyckie odmienił?" [1]).

A tymczasem na dworze promieniała wiosna rozkoszna, pola pokryły się zielonemi kobiercami zbóż, wszystko budziło się do życia, uśmiéchało się, dążyło do rozkwitu. I w sercu poety panowała pogoda wiosenna, świéciło słońce, bieliły się wonne kwiaty nadziei. Rozumiał, że maluczko, a będzie szczęśliwy, że tylko patrzéć, jak Hanna

---

[1]) Cały ten epizod z lutnią opiéra prof. Plenkiewicz na fraszce 33 ks. III w któréj poeta między innemi pamiątkami, pozostałemi mu po Hannie, wymienia i lutnię. Mogła przecież Hanna lutnię tę ofiarować poecie równie dobrze w Warszawie, jak przysłać mu ją do Czarnolasu.

zjedzie do Czarnolasu. I żył szczęściem, którego sądził się bliskim, i ciesząc się tą sielską teraźniejszością, którą uważał za krótki prolog do jeszcze piękniejszéj przyszłości, napisał cudny wiersz do Hanny, który, bardzo być może, że jéj wraz z listem, albo zamiast listu, wysłał przez owego *tabellariusa* do Warszawy.

. . . .

Hanno, tobie kwoli śpiewam,
Skąd jeśli twą łaskę miewam,
Przeszedłem już Amphiona
I lutnistę Ariona.

. . . .

Ty mię pochwal, moia pani,
Nie dbam, choć kto inszy gani.

A jeśli me niskie progi
Będą godne twoiey nogi:
Nogi piękney: nie potrzeba,
Dosięgę już głową nieba.

Samy cię ściany wołają,
Y z dobrą myślą czekają:
Lipa stoiąc w pośrzód dworu,
Wygląda cię coraz z boru.

Każ bystre konie zakładać,
A sama sie gotuy wsiadać:
Teraz naweselsze czasy,
Zielenią się piękne lasy.

Łąki kwitną rozmaicie:
Zająca już nie znać w życie,
Przy nadziei oracz ścisły,
Że będzie miał z czém do Wisły.

. . . .

Kwap się póki iasne zorze
Nie zapadną w bystre morze:
Po chwili ćmy czarne wstaną,
Co noc noszą nienaspaną.

Ta wzmianka o „ćmach czarnych" była wyrazem różnych niepokojów, które niekiedy w noce „nienaspane" obsiadały duszę poety, strasząc go różnemi przywidzeniami i przeczuciami. Obawiał się zawiści ludzkiéj, która mu mogła pozazdrościć jego szczęścia, a niemniéj lękał się intryg, które, praktykowane po wszystkich dworach, nie były obce i dworowi warszawskiemu. Wiedział, że nie jest bezpiecznie być nieobecnym przy narzeczonéj, któréj uroda była oskomą dla tylu innych, a wiedział także, że bardzo szerokie koła interesowały się jego matrymo-

nialnemi zamiarami (o których wieść doszła aż do Wiednia), gdyż byli tacy, którym mniéj zależało na jego szczęściu, aniżeli na beneficyach. Ale te „ćmy czarne", jakkolwiek go prześladowały chwilami, nie zawsze mogły się ostać wobec listów Hanny, z których stęskniony poeta czerpał otuchę. Że tak było, dowodzi elegia II księgi III, przypisana Myszkowskiemu, z którym Kochanowski również, jak z Hanną i Fogelwederem, pozostawał w korespondencyi, elegia, napisana w jednéj z tych błogich chwil, kiedy poetę nie dręczyły najmniejsze wątpliwości o jego przyszłém szczęściu, kiedy był pewny, że każdy dzień zbliża go do Hanny. „Tu, Myszkowski, jeżeli kiedy zechcesz uniknąć wrzawy miejskiéj, zawróć wartkie koła swéj kolasy i nie gardź, bogaczu, progiem lichego domku, bo i ubogie chaty mają swe bóstwa opiekuńcze... Tu cię spokój miły, tu długie czekają wczasy, tu lekkie potrawy i wdzięczna rola, słodkie kwilenie ptasząt i powietrze zdrowe, przezroczyste jeziora i cieniste gaje... Pazyfila zaś, cokolwiek na cały rok zgromadziła, zastawi przed tobą, kiedy skromną strzechę nawiedzisz, i bacznie przy obiedzie zważać będzie na twe skinienia i z winem napoczęte kielichy podawać; skromnie téż poprosi, byś zechciał ubóstwu przebaczyć." Tak sobie wyobrażał to swoje przyszłe szczęście, a im więcéj myślał o niém, tém bardziéj zniechęcał się do życia dworskiego, a zapalał do cichego żywota ziemianina. „Miła mi mierność moja (pisał w téjże elegii); jéj rad jestem tak, jakbym twemi, bogaty Krezusie, władał królestwy. Czyja wola, niech oblega progi dojutrków królujących: ja, biédny, ubogi zagon lemieszem odwracać będę i ufną ręką pewne ziarno posieję." Nadto (myślał sobie) nie będzie zaniedbywał pisania, do którego wieś usposabiała lepiéj, niż wystawanie u progu komnaty królewskiéj, lub rozpustne pohulanki z dworzanami... Tak nastrojony, czując przypływ weny poetyckiéj, tworzył więcéj niż kiedykolwiek, pisał szereg pieśni, zaczął tłómaczyć psalmy Dawida. W ten sposób upłynęło mu lato r. 1571.

Tymczasem Hanna opuściła dwór królewny, ażeby czas jakiś „przy pani matce" pomieszkać, z czém w parze szło również i szykowanie wyprawy. Zdaje się, że poeta często odwiedzał Hannę, gdy przebywała u rodziców, bo inaczéj nie pisałby, że wrota jéj domu były „świadome jego częstych dróg". Cóżkolwiekbądź, był zadowolony ze swych konkurów, a po każdém widzeniu się z Hanną, ku któréj rozpłomieniał się coraz namiętniejszym afektem, z wrastającą lubością marzył o swém weselu. Wesele to, ze względu, że Hanna była dworką królewny, spodziéwał się obchodzić nie gdzieindziéj, jeno na zamku warszawskim, a więc i z pewnym przepychem... Szło tylko o wyzna-

czenie terminu, o to, by rodzice narzeczonéj, po uprzedniém porozumieniu się z królewną, oznaczyli dzień zaślubin.

Nagle wybuchła zaraza w Warszawie, zaczém poszło, że musiano odłożyć gody weselne. Była to fatalność, ale poeta, już pewien swego, rad nie rad pogodził się z tą chwilową przeszkodą: skoro zwyciężył wszystkie przeciwności ziemskie — myślał sobie — to nie potrzebuje się lękać téj zawady ze strony nieba. Co się odwlecze, to nie uciecze! Tak rozumując, był dobréj myśli, ba, nawet mu nie zbywało na humorze: humoru dowodził jego list do Fogelwedra, pełen różnych łacińsko-polskich konceptów, elegia zaś, poświęcona temuż Fogelwedrowi, świadczyła o niezamąconéj pogodzie umysłu jéj autora: z listu wynika, że poeta, prócz tęsknoty za ukochaną, nie znał innych smutków, a w elegii „żartował sobie" na temat „poważnéj u dworu pracy" swego przyjaciela i powiernika, którego przepraszał jednocześnie, że go „nudził" i „trapił" swemi sprawami osobistemi. „Jak młodzian miłością płonący, któremu dziewczyna z nadejściem zmroku kazała oczekiwać swego przybycia, pragnie, by jaknajprędzéj złote słońce zaszło, sądzi bowiem, że ono jedno przeszkadza jego życzeniom", podobnie i on téj jesieni czuł się w przededniu szczęścia... „Tak my tam na wsi (pisał do Fogelwedra), kiedy już zasiejemy, komin w koło obsiądziemy, a lada co i mówimy i piszemy."

Nagle zapadło się wszystko: Hanna odesłała mu pierścionek. Właściwego powodu, który ją skłaniał do zerwania z niekochanym i po za czterdziestkę wybiegłym „proboszczem poznańskim", nie podała żadnego... Dopiéro teraz zrozumiał Kochanowski, co leżało na dnie owego dziwnego zachowania się Hanny, gdy u niéj był po raz ostatni. Rozżalony, chwycił za pióro, a pieśń, którą skréślił pod wrażeniem fatalnéj wieści, najlepiéj maluje jego chwilowy nastrój:

Nie za staraniem, ani prze mą sprawę,
Miła, po tobie znam taką postawę:
Szukay, iako chcesz, nie naydziesz przyczyny,
Chyba żeć milszy podobno kto iny.

A ja co mam rzec? nie chcę się przeciwić:
Temu się iedno nie mogę wydziwić,
Zkąd tę niestałość białegłowy maią,
Że się, iako wiatr letni odmieniaią.

Niedawne czasy, gdy mię poczytano
W liczbę fortunnych, y za tego miano,
Który mógł wszystko otrzymać u ciebie,
A mnie się zdało, żem był wszystek w niebie.

Dziś inne wiatry przeciwko mnie wieią,
Straciłem wszystko zaraz y z nadzieią:

Nie wiem, co mię za wiedźma osypała
Y lichem zdradnych słów oczarowała.
Niech ci się, miła, wszystko dobre wodzi,
Z kimkolwiek przestać twoie serce godzi.
Ale rozeznać umiey przyjaciela,
A trudno naleźć masz jednego z wiela.
Nie dufay temu, kto gładkość miłuje,
Bo ten na słabym gruncie się buduje:
Słońce iednako y padnie y wschodzi,
Nam zawżdży z laty cokolwiek odchodzi.
A gdy czas przyydzie ostatniey potrzebie,
Ledwie się naydzie, kto ciało pogrzebie.
Takim ia chcę być przyjacielem tobie.
Lecz wolę, że ty płaczesz na mym grobie.

Przypuszczenie poety, że znalazł się ktoś inny, co pod jego nieobecność zdołał zawładnąć sercem Hanny, a przynajmniéj był lepszą partyą od niego, okazało się słusznėm. Mimo to, wzgardzony poeta nie odrazu dał za wygranę, lecz pojechał do Hanny, ażeby z jéj własnych ust dowiedziéć się o przyczynie takiego obrotu sprawy. Pojechał, scena zaś, jaka się rozegrała pomiędzy nim a Hanną, nie obeszła się bez skarg i łez z jéj strony; Kochanowski jednak, nie przekonany ani temi „łzami krokodylowemi" Hanny, ani „zmyślonemi skargami" jéj rodziców, odjechał w tém przeświadczeniu, że mu za jego szczere uczucia odpłacono „niecnotą y fałeszną zdradą", a kiedy mijał wrota, prowadzące do folwarku swych krzywdzicieli, patrząc na nie, pewny, że je widzi po raz ostatni, takie im rzucił pożegnanie:

Bóg was żegnay, niewdzięczne, y nieludzkie wrota,
Świadome mych częstych dróg, y mego kłopota:
Boday tu pajęczyna, y pleśń na was padła,
A te niewierne zamki rdza plugawa ziadła.

. . . .

Cierpiałem ia tak wiele, że mię wstyd powiadać,
A mógłby mi bezpiecznie każdy głupstwo zadać:
Żem sye dał za nos wodzić czas tak bardzo długi,
Bacząc, że w małey wadze były me posługi.

Chciałem złość jakokolwiek wytrwać uprzeymością,
A zwyciężyć niewdzięczność swoią statecznością:
Ale moia uprzeymość, y statek był próżny,
A iey niebaczny umysł zawżdy memu różny...

Do domu powrócił rozżalony i rozgoryczony, pełen zwątpienia o sobie. Ale dotkliwie zadraśnięty w swéj miłości własnéj, pocieszał się myślą, że „ludziom złym będzie swa zapłacona wina", a tymczasem choć „cierpiał, jako mógł" i „frasował się ustawnie", starał się przebo-

léć doznaną krzywdę, zapomnieć o płochéj dziewczynie. „Mężem być trzeba...”

Ale jeszcze się nie zdążył uspokoić po odniesionéj klęsce, kiedy go w kilka tygodni niespełna, bo jeszcze przed końcem r. 1571, doszła wiadomość z Warszawy, że Hanna wyszła za mąż, a wesele odbyło się na zamku, w obecności królewny i króla [1]). Choć to było do przewidzenia, jednakże na wieść o tém, poeta nie umiał ukryć swéj boleści: dopiéro teraz przekonał się, jak namiętnie kochał, jak się czuł nieszczęśliwy z powodu utraty téj dziewczyny:

Muszę wyznać, bo sie już nie masz na co chować:
Nigdybych był nie wierzył, bych tak miał żałować,
Tego zwłaszcza, co nigdy mym własnym nie było:
Poprawdzie mi nie prawie źle serce tuszyło.

Aleciem barzo nagle wypadł z tey nadzieie,
A moiey sie przygodzie nieprzyiaciel śmieie:
Kto drugi ma bez prace, o co snadź dbał mało,
A mnie za me staranie złe szczęście podkało.

Samem swą własną ręką tę winnicę grodził,
Aby iey był ani zwierz, ani zły ptak szkodził.
Polewałem, żeby iey słońce nie suszyło,
Nakrywałem, żeby iey zimno nie mroziło.

A kiedy mię nalepsze miały podkać gody,
Nie wiem co za zły człowiek oberwał iagody.
Y używa z rozkoszą, czego dostał snadnie,
A mnie patrząc ieno się serce nie rozpadnie.

Bodayże nie przechował, a boday poleżał:
Nie wiem iako mię do gron tak pięknych ubieżał.
Ja sobie tak dobrych lat doczekać nie tuszę:
Podobno, iako niedźwiedź, łapę lizać muszę.

Widząc przecież, że nie pomogą żadne gorzkie żale, a czując jednocześnie, jak ta boleść podkopywała jego zdrowie, usiłował nie frasować się dłużéj, „być niepożytym we wszelkiém nieszczęściu”, zwłaszcza, że w jego ostatniéj klęsce „jużci nie cnota traciła swe myto”.

---

[1]) „Cyrus, który wciąż na dworze polskim w charakterze posła cesarskiego przebywał i o najdrobniejszych szczegółach dotyczących dworu, do Wiednia na gorąco donosił, pisze pod d. 26 grudnia 1571 r., iż na weselu, które królewna Anna wyprawiła dla jednéj z panien, należącéj do jéj fraucymeru, obecnym był i król Zygmunt..“ Na téj informacyi, podanéj przez Cyrusa, opiéra się hypoteza prof. Plenkiewicza, że to właśnie Hanna była ową panną, któréj królewna w tych czasach wyprawiła wesele na zamku. Pewności jednak, że to było wesele byłéj narzeczonéj Kochanowskiego, nie ma żadnéj. Ale prawdopodobieństwo, że to mowa o niéj właśnie, jest wielkie.

Przeto choć drogo,
Szczęście się z tobą
Obchodzi, sobą
Nic nie trwóż,

sowicie bowiem „Bóg zwykł nagradzać temu, kto zdradzać nie zwykł nikogo”. Jednocześnie pocieszał się myślą, że Hanna nie była żoną dla niego: zakochana w sobie, próżna i płytka, była to pospolita dusza w pięknem ciele, a choć to ciało było powabnem rzeczywiście, to jednak nie w tym stopniu, jak to się wydawało Hannie. Bo nie wszystko było prawdą, co on, w uniesieniu miłosnem, wypisywał o jéj piękności, kiedy się sadził na wierszowane pochlebstwa, których jéj próżność tak była żądną.

Próżna twa chluba, nie kochay sie w sobie:
Nie wszytkoć prawda,com pisał o tobie.
Miłość mię zwiodła, y przez mię mówiła,
Że nad cię nigdy wdzięcznieysza nie była.
....Teraz w mych oczach wszystko się zmieniło
Obłudne serce wszytko pokaziło...

Złudzenie pierzchło, ale bolesny cierń został w sercu. Poeta nie mógł spokojnie myśléć o Hannie, a kiedy sobie przypomniał o niéj, czuł niesmak i gorycz.

Czego mi tedy stateczne namowy
Nie mogły wybić żadną miarą z głowy:
Czegom zbydź nie mógł, przez zioła, przez czary,
To sam dziś wyznam na sie z prawey wiary:
Żem był zabłądził w swey niemądrey sprawie,
A byłcim, jeśli komu, jak żyw prawie [1]).
Ale żeś tego wdzięczna być nie chciała,
Daley nie będziesz ze mnie sługi miała.
To com ci służył, niech iuż w niwecz idzie,
Bo jednak ten czas kiedykolwiek przyidzie,
Że ty wspomniawszy na me powolności,
Musisz zapłakać nie raz od żałości,
A ia, bych ieno o tobie nie wiedział,
Y w pustych lesiech sam rad będę siedział.

„Rad będę siedział.” Rad, bo jeśli chodzi o klucz do psychologii poety w tym czasie, to należy go szukać w ostatnich słowach powyższego fragmentu: one zawierały cały program, jaki sobie Kochanowski, po swéj matrymonialnéj porażce, ułożył na resztę życia. Rozczarowany, zniechęcony i zrażony do ludzi, a do niewiast zwłaszcza,

---

[1]) Byłem ci całą duszą oddany.

coraz bardziéj utwierdzał się w przekonaniu, które już raz wypowiedział w *Carmen macaronicum*, że nie ma jak żywot ziemiański. „Przed nikim nie zginam kolana, jestem wolny, nikomu nie służę, cieszę się swą wolnością i bezpiecznym pokojem.” Tylko, że wtedy, marząc o podobném życiu, wyobrażał je sobie na tle życia rodzinnego. „Same dzieci podają mi do stołu i żona cnotliwa, gotowa ze mną znosić wszystko, co szczęście przyniesie.” Teraz, pokosztowawszy zatrutych kołaczy białogłowskiéj niestateczności, zrezygnował z rozkoszy ojca i głowy rodziny, a pisząc, że „w pustych lesiech sam rad będzie siedział”, nie wątpił, że i samotny, siedząc na roli, będzie się czuł szczęśliwszy, aniżeli gdyby po tém wszystkiém, co zaszło, wrócił na dwór. Tylko by się naraził na złośliwe drwiny swych towarzyszów dworskich, którzy i tak, gdy się rozeszła wieść, że jego Hanna wychodzi za innego, a jemu dała odkosza, śmieli się z niego, jak dawniéj naigrawali się z jego niefortunnych konkurów... Wiedział, że i tak „nieprzyjaciel śmiał się jego przygodzie...” Toż musiano sobie stroić żarty, kiedy się odbywało wesele Hanny! I w takich warunkach miałby wracać na ten „zwodniczy” i „zawodny” dwór, po którym się tyle spodziewał niegdyś, a na którym wogóle zawiódł się tak boleśnie. A zresztą dosyć już miał tego czczego i próżniaczego życia, urozmaicanego plotkami i intrygami, pijaństwem i rozpustą! Gdyby nie Hanna, już by je dawno porzucił!

W takim nastroju ułożył Elegię XV księgi 3 éj, streszczającą się w znamiennym wykrzyku: „Żegnaj dworze zwodniczy! Nie dbam o twoje wielkie obietnice. Wolność droższa mi nad perły...” Równocześnie wrócił do pracy nad Psałterzem, tylko o ile z początku, gdy przystępował do tłómaczenia tych Dawidowych natchnień, nosił się z myślą dedykowania swego przekładu królowi (jak tego dowodzi list do Fogelwedra), o tyle teraz, ostatecznie zrażony do dworu, pozwalał dojrzewać innemu zamiarowi, który pomijał króla, a miał na celu zaszczytne wyróżnienie Myszkowskiego. Prawie wszystko bowiem, co miał, co zyskał w ciągu swéj służby dworskiéj, zawdzięczał Myszkowskiemu, nie królowi... Bądź co bądź, nastrój psychiczny, w jakim obecnie zabrał się do kontynuowania swéj pracy, tak odpowiadał smutkowi, wiejącemu z psalmów króla-proroka, że poeta, przekładając je, znajdował niemałe ukojenie w przygnębiającym ucisku ducha. I on bowiem, jak psalmista, mógł powiedziéć o sobie:

...od wszystkiego świata opuszczony,
Pełne mam serce nieznośnéj żałości.

I on, doznawszy krzywdy od ludzi, mógł skarżyć się, jak Dawid w psalmie XXXV-ym: „Lecz oni, gdym ja chorował, weselili się

i zbiérali przeciwko mnie, jakoby byli dla mnie utrapieni, czegom ja nie spostrzegł". I on, wspominając różne przykrości, których doświadczył od zawistnych dworaków, mógł wołać w oburzeniu: „Z obłudnikami, z naśmiewcami, z pochlebcami zgrzytali na mnie zębami swemi." Jak dalece poeta nie mógł wyjść z siebie, nie mógł zapomnieć o doznanych krzywdach, kiedy mu wypadło tłómaczyć powyższe ustępy, o tém świadczy dowolność, z jaką je przełożył, a która mu dała możność napiętnowania swych krzywdzicieli:

A oni się w méj pladze weselili
I schadzki o mnie tajemne czynili,
Chasza nikczemna!
Głodni pochlebce czci mi uwłaczali,
Mną sobie gęby dworni wymywali
Darmojadowie.

. . . .

Panie, kto Tobie rówien? Ty ubogich
Trapić możniejszym nie dasz; Ty z rąk srogich
Nędzne wyrywasz.
Widzisz, o Panie, jawną krzywdę moją...
Wstań a rozciągnij swój sąd sprawiedliwy,
A uznaj, kto z nas praw jest, a kto krzywy.

. . . .

Osądź mię według swéj sprawiedliwości,
A nie daj, Panie, przeklętéj zazdrości
Pociechy ze mnie.

Te osobiste skargi nietylko przekształcały ton i formę oryginału, lecz wprowadzały „nieznane psalmiście obrazy i wyrażenia" [1]). Podobnie stało się z psalmem XXXVIII, w którym poeta-tłómacz jakby wyrzucał swym bliskim, że niedość współczuli jego nieszczęściu.

---

[1]) Zob. „Ateneum" za październik r. 1897: *Artyzm Jana Kochanowskiego* przez Br. Chlebowskiego, za którego pracą *Jan Kochanowski w świetle własnych utworów* idzie także i prof. Plenkiewicz. „Każda zwrotka w tym wspaniałym wybuchu uczuć przedstawia nam rosnące gwałtownie *crescendo* oburzenia czy protestu, przerwane, jakby potężnym akordem w innéj tonacyi, półwierszem nierymującym się wcale. Psalm ten czeka na muzyka, któryby zrozumiał poetę i odtworzył tonami całą gamę uczuć, od prośby pokornéj do wybuchu gniéwu i nienawiści." Tak o tym psalmie pisze pięknie Br. Chlebowski, a prof. Plenkiewicz, zestawiając jego tekst z oryginałem, dodaje: „Jak widzimy, podobnych epitetów, jak chasza nikczemna, głodni pochlebce etc., nie ma w obu wersetach, ani w żadnym ze znanych przekładów Biblii, nie wyłączając Psałterza Floryańskiego. Nie trudno téż odgadnąć, kogo ową tłuszczą podłą nazywa poeta. Również tekst nic nie mówi o głodnych darmo-jadach dworskich: to już dodatek poety."

Bliscy moi zdaleka na mój ból patrzali,
Powinowaci zgoła wszyscy mnie nie znali,
A zły człowiek tymczasem czynił o mnie radę,
I mówił, co chciał, i zmyślał zdradę!...

Ale jak nie ma reguły bez wyjątków, tak i w tym razie, jeżeli chodzi o „bliskich" i „powinowatych" poety, znaleźli się tacy, którzy na jego „ból" na patrzyli obojętnie „zdaleka", lecz głęboko brali go do serca. Do takich, oprócz niezamężnéj siostry, Anny, która mu prowadziła gospodarstwo domowe, i oprócz Mikołajowstwa Kochanowskich, z którymi, jako swymi najbliższymi sąsiadami, żył w przykładnéj zgodzie i przyjaźni, należał przedewszystkiém Myszkowski, który ze swéj rezydencyi w Płocku raz po raz przypominał się poecie. Kochanowski, wdzięczny z natury, umiał ocenić te dowody życzliwości ze strony swego dostojnego przyjaciela i mecenasa. Ujęty niemi, a pomny wszystkich dobrodziejstw, jakie zawdzięczał Myszkowskiemu, napisał *Muzę*, poemacik, w którym się poleca opiece mieszkanek Helikonu, prosząc je, aby mu pozwoliły opiewać szlachetne czyny biskupa. Bo kogóż miał unieśmiertelniać on, który „za cześć poczytał sobie, że się dróg innych, niż pospólstwo, chwytał", on, który „sobie śpiewał a muzom", a który, wzgardziwszy złotem, o to dbał tylko, aby po swéj śmierci

był u ludzi w powieści właściwey,
A nie podlegał wszytek śmierci zazdrościwey.

Bo choć za życia mało znał takich, „coby serce ucieszyć chcieli jego pieśniami", ale za to wielu takich, co „łapając grosza zewsząd, a podobno k rzeczy", nie wahali się twierdzić, że z rymów nie ma żadnéj korzyści „krom próżnego dźwięku", to jednak miał nadzieję,

że przedsię za laty
Nie będą moje czułe nocy bez zapłaty:
A co mi za żywota uymie czas dzisiejszy
To po śmierci nagrodzi z lichwą wiek późniejszy.

Lecz będąc pewnym, jako poeta, swéj nieśmiertelności, pragnął „uczcić pieśniami swemi nad złoto droższemi" tych przedewszystkiém, którzy jego prace zaczęte „szczęścili swą przyjaźnią", a do takich należał przed innymi Myszkowski,

Który swą hoyną ręką podeprzéć mię raczył.
Nie przeto, żebym przed nim stał w pacholczym kole,
Albo y przy nastółce ciągnął się przez pole,
Ale żebym wygnawszy niedostatek z domu,
Tym głośniey śpiewał, a nie podlegał nikomu.
Tę łaskę jego, proszę, siostry wiekopomne,
Pomnicie opowiadać na czasy potomne,

bo już Horacy powiedział, że tylko ten przejdzie do nieśmiertelności, kto znalazł swego poetę, opiewającego jego czyny.

Nie sama od przyiaciół, ni od matki łona
W opce kraie Helena morzem uniesiona.
Nie ieden Menelaus o żonę się wadził;
Nie pierwszy Agamemnon tysiąc naw prowadził.
Nie raz Troia burzona: przed Hektorem siła
Mężnych było, którym śmierć przy oyczyźnie miła.
Ale wszyscy w milczeniu wiecznêm pogrążeni,
Że poety zacnego rymy przebaczeni.

Z tych pobudek zrodziła się *Muza*, jedno z arcydzieł Kochanowskiego, utwór, w którym się wzniósł na wyżyny, i filozoficzne, i artystyczne, na jakich jeszcze nie przebywał dotąd. „Czy jednak sama wdzięczność dla Myszkowskiego, zapytuje prof. Plenkiewicz, na te wyżyny talent jego podniosła i w takiéj go objawiła potędze? Wdzięczność bezwątpienia, o ile jest rzadkiém, o tyle silném uczuciem, ale silniejszą od niéj jest zawiedziona miłość, która, jeżeli nie złamie skrzydeł, do tym silniejszego lotu pobudza... *Solus amor docuit blandos me fingere versus* [1]), powiada sam o sobie poeta; ale gdy zmysłowa miłość dla Lydii trawiła go tylko ziemskim płomieniem; miłość dla Hanny, z saméj swojéj natury, nie mogła sprawić w jego duchu podobnych, jak tamta, spustoszeń. Pożar pierwszéj spopielał w samym zarodzie każde podnioślejsze natchnienie; płomień drugiéj przetopił tylko złoto jego serca i wydzielił z niego wszystkie żuzle, które tam z lat dawniejszych osiadły. Więc też poeta z próby ostatniéj wyszedł czysty, bez skazy, nie uroniwszy nic z swojéj godności człowieka. Dwie te miłości są epokowemi wypadkami w jego życiu; tylko pierwsza trzymała go przy ziemi, druga zaś podniosła na wyżyny, których już nie miał nigdy opuścić.”

Nie znaczy to jednak, ażeby Kochanowski, oczyszczony w ogniu téj zawiedzionéj miłości, łatwo i prędko przestał cierpiéć z jéj powodu. Tak nie było bynajmniéj. Zakopał się w swych „głuchych lesiech”, a więcéj oddany książkom, rozmyślaniu i poezyi, ludziom udzielał się jaknajmniéj. Za towarzyszkę miał swą siostrę Annę, pod któréj dobroczynnym wpływem powoli zabliźniała się jego rana serdeczna, ale towarzystwo jéj, choć umilało mu pustkę domową, łagodząc boleść, nie usuwało ciernia, który sercu dolegał. Reszty miał dokonać czas, ów „doktór każdemu”, lecz nie brakło także wypadków, które iskrę téj „opętanéj miłości” rozdmuchiwały na nowo. Do takich wypadków,

---

1) „Sama miłość nauczyła mię słodkie składać wiersze.“ Elegia I, ks. I.

niewinnych napozór, należało wesele brata poety, Andrzeja, z Zofią Sobieską, wesele, które miało się odbyć zaraz po Trzech Królach r. 1572. Kochanowskiemu, jako jedynemu nieżonatemu bratu pana młodego, wypadło być starszym drużbą! Odmówić nie mógł, drużbować musiał, ale mu to drużbowanie mocno musiało iść nie w smak, zważywszy, iż w całéj okolicy wiedziano o jego przygodzie... Mimo to nie mógł nie brać udziału w weselu brata, musiał wystąpić publicznie, a tém samém narażać się na złośliwe uśmiechy bliższych i dalszych sąsiadów, wytrzymywać ich znaczące spojrzenia...

ROZDZIAŁ CZWARTY.

W Czarnolesie (1572 — 1584).

Żywot ziemiański poety. — I. Żniwo śmierci. — Sytuacya polityczna. — Kochanowski w Krakowie. — Wybór Henryka. — Nadzieje poety. — Powrót do Czarnolasu. — Rozmowy z siostrą. — Dorota Podlodowska. — Geneza *Sobótki* i *Dziewosłęba*. — Wjazd króla Henryka. — Znajomości. — Rozczarowanie. — Powrót do domu. — Postanowienie ożenienia się. — Ucieczka Henryka. — Ślub poety. — II. Miodowe miesiące. — Zjazd w Stężycy. — Myszkowski w Czarnolesie. — Odwiedziny Olbrachta Łaskiego. — Odpowiedź Kochanowskiego na wiersz Desportes'a *Adieu à la Pologne*. — Napad Tatarów. — Na sejmie konwokacyjnym. — Przekład *Psałterza*. — 18 kwietnia 1576 r. — Jan Zamojski w Czarnolesie. — *Odprawa posłów greckich*. — Ponowna praca nad Psałterzem. — Śmierć Kacpra Kochanowskiego i mowa pogrzebowa Jana. — Życie rodzinne. — Zajęcie Inflant. — Wojna. — Dwa listy od Zamoyskiego. — *Orfeus Sarmaticus*.—Zaślubiny Jana Zamoyskiego.— Nowe żądanie Zamoyskiego. — *Dryas* i *Pan*. — Podróż do Wilna. — Myszkowski mianowany biskupem krakowskim. — Kochanowski w Krakowie. — W Promniku.— Powrót na wieś. — Znowu u Myszkowskiego. — Jasne dni w Bodzentynie. — W domu. — W Krakowie. — *Orthographia polska Jana Kochanowskiego*. — Druk Psałterza. — Oblężenie i wzięcie Połocka. — *Liryca* łacińskie. — Przywiléj królewski. — Woyski ziemi sandomierskiéj. — Poeta oficyalny. — Dostatek. — Śmierć Urszuli. — *Treny*. — Trzy nowe utwory dla Zamoyskiego. — Druk *Trenów*. — Śmierć drugiéj córki. — Wojna na północnym wschodzie.—Batory pod Pskowem.— Smutny nastrój poety. — Złe wiadomości polityczne. — *Epinicyon*. — Epitalamium na ślub Zamoyskiego z Batorówną. — *Jezda do Moskwy*. — Duchowy upadek. — III. Przeczucie śmierci. — Rok 1583. — Zbiorowe wydanie dzieł. — Układy z Janem Januszowskim. — *Fraszki*. — Śmierć Jakóba Podlodowskiego. — Ostatnia podróż do Lublina. — Śmierć. — Kilka słów o książce prof. Plenkiewicza. — Ogólna charakterystyka Jana Kochanowskiego, jako człowieka i poety. — Jego stanowisko w poezyi polskiéj. — Zakończenie.

„Łany ojczyste uprawiam.” Temi słowy zaczyna się Elegia XV księgi 3-éj, napisana w chwili, gdy już poeta zdecydował się osiąść na wsi, gdy się utwierdził w przekonaniu, że więcéj ma w sobie danych na

ziemianina, aniżeli na królewskiego sługę. Jakoż nie zawiódł się pod tym względem: życie wiejskie, spokojne, niezależne, nadzwyczaj odpowiadało jego charakterowi, jego dążeniu do psychicznéj równowagi i harmonii, a jeśli chodziło o poezyę, o pracę umysłową, to na wsi, gdzie mu było wolno „wszystkie godziny według własnego rozłożyć upodobania”, mógł pracować o wiele lepiéj, niż na dworze, w rozstrajającéj atmosferze zawiści i intryg. To téż, odkąd powrócił do Czarnolasu, pisał więcéj, niż kiedykolwiek. Przekonał się również, że gospodarzowi, doglądającemu pracy w polu i gumnie, nic nie przeszkadza być wykształconym humanistą i poetą, rozmiłowanym w pisarzach greckich i rzymskich. „Więc albo się Sokratesa naukom przysłuchuję (pisał we wspomnianéj elegii), by duch nawykał z nich własnych pozbywać się błędów; albo składam pieśni, zgodne z tworami łacińskiéj Muzy, które mój Sarmata miękim głosem śpiéwać będzie; nie wstyd mi téż płodnych hodować owieczek; większy wstyd, sądzę, czyimś mienić się sługą.” Wieś, jego zdaniem, była początkiem wszystkiego, z niéj wyszła cywilizacya, ona jest rozsadnikiem cnót, podobnie, jak pańskie i królewskie dwory szerzą zgorszenie i złe obyczaje. „Wprzód były wsie, niż grody obwiedzione murami; bez nich cierpianoby głód po miastach wieżonośnych.” Dlatego wolał żyć na wsi... W tém uczuciu, podobnie, jak przed paru laty napisał w *Carmen macaronicum* „kilka słów na pochwałę żywota ziemiańskiego”, tak obecnie, tylko patrzéć, jak napisze w *Sobótce:*

Wsi spokoyna, wsi wesoła.
Który głos twey chwale zdoła?
Kto twe wczasy, kto pożytki,
Może wspomnićć zaraz wszytki?

Człowiek w twey pieczy uczciwie,
Bez wszelakiéy lichwy żywie:
Pobonże iego staranie
Y bezpieczne nabywanie.

Inszy sye ciągną przy dworze,
Albo żeglują przez morze,
Gdzie człowieka wicher pędzi,
A śmierć bliżey niż na piędzi.

Oracz pługiem zarżnie w ziemię:
Ztąd y siebie, y swe plemię,
Ztąd roczną czeladź i wszytek
Opatruie swóy dobytek.

I.

Ale i na wsi życie nie bywa całkiem wolne od utrapień: wystarczy mieć przyjaciół, rozrzuconych po różnych stronach kraju, i otrzymywać smutne wiadomości o ich zejściu ze świata. A zdarzyło się właśnie, iż poeta, odkąd osiadł na stałe w Czarnolesie, takich żałobnych wieści otrzymał cały szereg: umarł Royzyusz, umarł Jan Leopolita, umarł Stanisław Grzepski, umarł Padniewski. Pod wrażeniem tych smutnych nowin, zwłaszcza pod wrażeniem dwóch ostatnich, Kochanowski napisał trzy epigramaty: jeden na śmierć „wymownego" Grzepskiego, na którego złotoustą mowę „zarówno Grajowie, jak i Auzonowie, nadstawiali uszu", i dwa na zgon biskupa krakowskiego, w którym bądź co bądź widział swego pierwszego protektora.

Niebawem jednak, bo już w połowie lipca 1572 r., przyszła koléj na zgon doniośléjszego znaczenia: w Knyszynie zmarł Zygmunt August. Cały kraj przywdział żałobę po ostatnim z Jagiellonów, spodziéwając się może, iż ta bolesna strata wywoła jakie podniosłe *requiem*, skréślone natchnioném piórem czarnoleskiego wieszcza, ale niedawny sekretarz nieboszczyka, rzecz szczególna, jakoś nie uderzał w swój poetyczny bardon. I nie uderzył... Tymczasem zaczęło się pamiętne bezkrólewie, podczas którego, gdy się zastanawiano nad pytaniem: w jaki sposób dokonać obioru króla?... niepopularny dotychczas Zamoyski, ogłosiwszy zasadę wolnéj elekcyi *viritim*, odrazu stał się najpopularniejszym mężem w całéj Polsce. Kochanowski, jak się okazuje z jego *Marszałka*, był przeciwny temu pomysłowi; mimo to, zjechawszy na sejmik wiślicki, dał się unieść przeważnemu prądowi, tak, że gdy zwołano sejm konwokacyjny do Warszawy na dzień 15 stycznia 1573 r., ruszył do stolicy Mazowsza. Tu zetknął się z Myszkowskim, a że ten pospołu z Jędrzejem Dudyczem i Janem Firlejem, usilnie pracował nad przeprowadzeniem kandydatury rakuskiéj, więc i poeta, jako serdeczny przyjaciel wszystkich trzech, odrazu przejął się sympatyami dla arcyksięcia Ernesta, wotując przeciwko jego współzawodnikom. Obrano jednak Henryka Walezego, królewicza francuskiego. Gdy poselstwo wyruszyło do Paryża po króla, Kochanowski wrócił do domu, a niebardzo ubolewając nad upadkiem swego kandydata, niemało spodziéwał się po owym „panu Gawęckim" (jak Henryka nazywała gardłująca za nim, a przekupiona przez Montluca, szlachta mazowiecka): zdawało mu się, że nietylko Rzeczpospolita, ale i on, jako poeta, mógł nie wyjść źle na wyborze Walezego. „Ten młody książę wyrósł w tradycyach, które od czasów Franciszka I-go starannie pielęgnowano na dworze

francuskim. Od kolébki żył w atmosferze poezyi... Czemużby, powołany na tron nad Wisłą, nie miał tu podnieść nauk, zaopiekować się młodą muzą słowiańską?" Ożywiony podobnemi nadziejami, proboszcz poznański, ledwo się znalazł pod dachem swego czarnoleskiego dworku, odrazu został nagabnięty przez cały chór ciotek, siostr i bratowych, aby się żenił. Być może, iż wszystkie szturmy, które te zacne białogłowy przypuszczały do niego, rozbiłyby się o jego niemożność zdecydowania się na ten krok ryzykowny, gdyby nie siostra Anna, która, mieszkając przy poecie, miała niemałą przewagę nad nim: jéj namowy, żeby porzucił stan kawalerski, nie pozostały bez wpływu. „Poeta żywił dla niéj nietylko głębokie przywiązanie, lecz miał i ufność w jéj rozum, oparty na doświadczeniu i instynkcie niewieścim. Jeśli też w radach innych widział zwykłą niewiastom chęć swatania, to w jéj namowach odgadywał siostrzaną troskę o zapewnienie mu szczęścia." Cóż, kiedy różnili się zasadniczo w poglądach na kwestyę małżeństwa: poeta, choć sam nie młody, chciał żony młodéj i pięknéj, któraby go pociągała swoim powabem, a przytém i materyalne względy brał w rachubę: mianowicie nie chciał brać panny ubogiéj, wiedział bowiem, że ożeniwszy sią, utraci swe beneficya duchowne, że będzie musiał zrzec się lwiéj części swoich dotychczasowych dochodów, a żyć z tego tylko, co mu przyniesie gospodarka, lękał się. Wbrew przeciwnego zdania była Anna, która dowodziła w ten sposób:

— A ja zaś tak rozumiem, że do ożenienia,
Nie stanu wysokiego, nie dobrego mienia,
Nawet ani gładkości tak wam szukać trzeba:
Jako wstydu, a cnoty...
Bo acz to wszytko dobre, y ma swe przysmaki,
Ale z cnotą złożywszy, póydzie między braki.
Cnota tedy ma przodek, iako w każdey rzeczy,
Tak y w małżeństwie, y tę naprzód miey na pieczy.
Bo gdzie ta iest, by dobrze nic więcey nie było,
Człowiekowi z nią samą żyć na świecie miło.
Gdzie tey nie masz, tam wszytko swoją cenę traci:
Zacność precz, a uroda przez niey iuż niepłaci [1]).

---

[1]) Zob. *Dziewosłąb* Kochanowskiego, napisany na krótko przed ożenieniem poety, a który powstał pod wpływem rozmów z Anną. Dowodzi tego zakończenie poemaciku, gdzie poeta mówi wyraźnie:

Tom ia pisał na siostry swey miłey żądanie,
Które u mnie tak ważne, iako rozkazanie.
Y sama się do tego dobrze przyłożyła:
Naleść rym, to nawiętsza moia praca była.

Jakkolwiek niełatwo, to jednak, rozważywszy argumenty siostry, poeta dał się przekonać w końcu, ale w połowie tylko. Zgadzał się, że dla cnotliwéj i zacnéj żony można się wyrzec posagu; zgadzał się nawet i na to, co mówiła siostra, że „jeżeli chcesz mieć dostatek przy żonie, to wyórz go z roli, a ostatek Bogu poruczaj"; ale poczyniwszy tyle ustępstw, jednéj rzeczy wymagał bezwarunkowo: musi mieć *piękną* żonę. Innéj nie pojmie.

— Proszę cię, miało li-by kiedy przyyść do tego,
Niechaj nic nie miłuję, co jest szkaradnego,
Ostatek na twą łaskę puszczam. Niemieć złota
Jeszcze nie szkoda, ale szkoda co sromota.

Usłyszawszy podobną gotowość z ust brata, Anna podsunęła mu myśl ożenienia się z Dorotą Podlodowską. Była to panna jakby stworzona dla niego. Nie pierwszéj ale i nie przekwitłéj młodości, bo 26-letnia, pochodziła z zacnego i znanego gniazda, o którém Rey wspomina w swoim *Zwierzyńcu*, nazywając ród Podlodowskich „mnożnym, jak zające, choć się z ich obyczajami nigdy nie rodzili", a ojciec jéj Stanisław przydomku *Lupa*, dokładnie znany z *Dworzanina* Górnickiego, cieszył się, jako podstoli sandomierski, wielką popularnością wśród okolicznéj szlachty. Niezmiernie prawy i uczciwy, był to namiętny konserwatysta, przeciwnik obyczajów włoskich, a rubaszny i jowialny w sposobie wysławiania się; wszystko, co miał na sercu, miał i na języku. Serce miał poczciwe, szczeropolskie! Żona jego, Elżbieta Bijejkowa z Falęcic, Mazurka z ziemi Czerskiéj, była kobietą religijną, a jako Mazurka, wcale nie skłonną do przyjmowania nowinek. Ztąd poszło, że Dorota otrzymała wychowanie w duchu ultra-katolickim. Nadto, od dziecka wychowywała się w zasadach uległości, prostoty obyczajów, surowego przestrzegania uczciwości i cnoty. Czy zasługiwała, jak Hanna, na miano „uczonéj białogłowy"? W ogóle pani Podlodowska bardzo dbała o wykształcenie swych dzieci. Młodszy z jéj synów, Grzegórz, kształcił się w uniwersytecie, współcześnie z Kochanowskim. W téj chwili gospodarował na paru wsiach ojcowskich, dzierżąc urząd starosty radomskiego. Z Kochanowskim, z którym także kolegował w kancelaryi królewskiéj, sympatyzowali zawsze, a ponieważ jeden z jego stryjów, Wawrzyniec, był ożeniony z Katarzyną Białaczowską, więc ich łączyło nawet pewne dalekie powinowactwo. Jak stały sprawy majątkowe Podlodowskich? Podstoli sandomierski, umierając, zostawił dość znaczny majątek, bo oprócz rodzinnego Przytyka, był posiadaczem kilku mniejszych i większych wsi i folwarków, z których jednak kilka, jako królewszczyzny, zakwestyonowano po jego śmierci. Mimo to nie

była Dorota panną bez grosza: tyle tylko, że wiano, które mogła wnieść swemu przyszłemu mężowi, nie było wielkie. Zdaniem jednak Anny, przemawiało to raczéj za Dorotą: bo nie trzeba brać żony znacznie bogatszéj od siebie, lub świetniejszéj pochodzeniem: najlepiéj niech się żeni równy z równą.

Podlejszą [1]) żonę poymiy, tak ja radzę tobie,
Bowiem inaczéj równi nie będziecie sobie.

Ale poeta, godząc sie w zasadzie na rozumowania siostry, miał różne argumenty, któremi motywował swoją niemożność zdecydowania się na krok stanowczy. Przedewszystkiém nie znał Doroty, nie mógł wiedzieć, czy mu się spodoba dostatecznie. Powtóre nie miał pewności, czy przez pannę dobrze przyjęty będzie. To go odstręczało od występowania w roli jawnego konkurenta. Następnie, zapominać nie należało, nie był już młodzieniaszkiem, miał lat 42, a wszyscy wiedzieli o jego narzeczeństwie z Hanną. To także nie była okoliczność zachęcająca do ponownego próbowania szczęścia. „Gdyby zresztą ową Dosię gdzie spotkał przypadkiem, zawiązał znajomość bez nasuwania ludziom domysłów, że o nią się starać zamierza, ha! to rzecz inna. Ale zalecać się bez pewności, czy go nowy zawód nie spotka", nie bardzo by mu się uśmiechało.

Anna tedy, przyzwawszy na pomoc Mikołaja i Barbarę Kochanowskich, uciekła się do fortelu. Z końcem czerwca przypadał dzień św. Jana Chrzciciela. W dniu tym, według prastarego zwyczaju, palono Sobótki po wsiach. W Czarnolesie także. A nużby tak, z powodu téj uroczystości, sprosić bliższych i dalszych sąsiadów, a w téj liczbie i Podlodowskich z Dorotą. „O to, by się panna przybyć wzdragała, nie było chyba obawy. Nie poeta podejmować miał gości, lecz państwo Mikołajowie; nie jedna Dorota miała być zaproszona, lecz wiele panien z sąsiedztwa: wszystko więc tak się składało, że spotkanie młodych ludzi w tych warunkach mogło łatwo nastąpić". Jakoż gdy nadszedł dzień św. Jana, odbyło się ukartowane przyjęcie u Mikołajów, na które ku niemałemu zdziwieniu poety, pomiędzy zjeżdżającymi się gośćmi, przybyli i Podlodowscy „z panną uderzającéj urody". Kochanowski z ciekawością przyglądał się Dorocie, wrażenie zaś, jakiego doznał, kiedy się zbliżył do niéj, odrazu wypadło na jéj korzyść. Gdy ją porównywał z innemi pannami, tylko zyskiwała na tém porównaniu.

---

[1]) Niższego stanu.

Nieprzepłacona Doroto,
Co między pieniędzmi złoto,
Co miesiąc między gwiazdami
Toś ty jest między dziéwkami.

Była to panna słusznego wzrostu, ślicznie zbudowana, o rysach regularnych, rasowych, a oczy jéj czarne, jak węgle, ocienione ciemnemi rzęsami i brwiami, tém większą były ozdobą jéj pięknéj twarzy, że była to świéża twarz złotowłoséj blondynki...

Twoia kosa rozczosana,
Jako brzoza przyodziana:
Twarz iako kwiatki mieszane,
Leliowe, y różane.
Nos jako sznur upleciony,
Czoło iak marmor gładzony:
Brwi wyniosłe y czarnawe:
A oczy dwa węgla prawe.
Usta twoie koralowe:
A zęby szczere perłowe:
Szyia pełna, okazała:
Piersi iawne, ręka biała.

Wobec tak niepowszedniéj urody, cóż dziwnego, że poeta, zbliżając się do panny, przystępował z jaknajlepszém usposobieniem, skłonniejszy do odkrywania zalet, aniżeli wad jéj charakteru, a nawet do uwierzenia, że tych wad nie posiadała zgoła. I nie rozczarował się pod tym względem: Dorota, nietylko nie straciła przy bliższém poznaniu, ale, przeciwnie, zyskiwała ogromnie, im dłużéj się z nią przestawało. W rozmowie była przyjemna, swobodna, pełna wdzięku, a to, co mówiła, świadczyło o umyśle wykształconym, a duszy prawéj i szlachetnéj. To téż poeta, zachwycony rozmową z nią, omal nie powiedział jéj, jak w *Sobótce*:

Serce mi zakwitnie prawie
Przy twej przyjemnéy rozprawie...

Nadto przekonał się, że urocza podstolanka, choć obdarzona tak niezwykłą urodą, nic nie miała téj zbytniéj pewności siebie, która tak często cechuje kobiéty piękne.

A co cię skutniejszą czyni:
Nie masz w tobie nic hardości,
Co więc rzadko przy gładkości.

Tą skromnością, z którą jéj tak było do twarzy, był ujęty najbardziéj:

Tymeś ludziom wszystkim miła
I mnieś wiecznie zniewoliła:
Przeto cię me głośne strony,
Będą sławić na wsze strony.

Okoliczności, na których tle oglądał dnia tego Dorotę, niezmiernie sprzyjały rozbudzeniu się w nim uczuć miłosnych. Bo jeśli piękna podstolanka już i w biały dzień czarowała go swą urodą, to przy świetle rozpalonych Sobótek, gdy goście i domowi „sypali się ku ogniowi", mogła mu się wydać jeszcze piękniejszą... Jakoż doznał błogiego uczucia, że „w tę noc świętojańską znalazł kwiat cudowny paproci, który mu wielkie skarby otworzy, nie w klejnotach i złocie, ale w sercu zacnéj, nad wyraz pięknéj duszą i ciałem niewiasty".

Pod wrażeniem téj nocy, mającéj stanowić epokę w jego życiu, napisał swoją *Sobótkę*, poemat, o którym powiada prof. Plenkiewicz, że przezeń Kochanowski daleko więcéj zbliża się do Goethego, niż przez *Odprawę posłów greckich.* W tymże czasie powstał *Dziewosłąb*, który, jako echo rozmów poety z siostrą, może służyć za dowód, że jego autor dużo przemyśliwał teraz o małżeńswie w ogóle, a o Dorocie w szczególności.

Nie mało téż myślał o Henryku Walezym, którego przyjazdu oczekiwał z niecierpliwością, tusząc, że nowy król, jako rozdawca przywilejów, wynagrodzi mu stratę beneficiów duchownych na wypadek jego ożenienia się: bo nosząc się z matrymonialnemi zamiarami, poeta nie rezygnował z dostatku, w jakim żył, będąc proboszczem poznańskim. Niedostatku się lękał... Temi pobudkami powodowany, pragnąc w chwili przyjazdu nowego monarchy polecić się jego łaskawości i szczodrobliwości, napisał odę łacińską *Do Henryka Walezego bawiącego we Francyi*, wzywając tego „największego z królów, na najpiękniejsze powołanego królestwo", ażeby nie zwlekał, lecz wyrwawszy się z tkliwego uścisku stroskanéj matki, uciekł przed łzami zasmuconych sióstr i jaknajprędzéj „na dzielnym rumaku pokazał się na sarmackich równinach, pośród orszaku matek z pacholętami i śród pospóltwa, zbiegającego się w zbitych tłumach, by zobaczyć nowego króla". W téj nadziei, z początkiem r. 1574, wyruszył do Warszawy. Tutaj przyłączyl się do żałobnego orszaku 60-ciu dworzan, jadących—konno—za trumną Zygmunta Augusta, i po dwutygodniowym pochodzie, w dniu 14 lutego, stanął wraz z całym konduktem pogrzebowym w Krakowie, gdzie śmiertelne szczątki ostatniego z Jagiellonów złożono w grobach na Wawelu. Kochanowski, biorąc udział w tym pogrzebie, miał podwójne wyrachowanie: przedewszystkiém, za dawną służbę,

zwłaszcza za ostatnie lata, przypadała mu należność. „Liczył téż i na to, że król nieboszczyk, pomnąc na jego 7-letnie zasługi, obdarzył go w testamencie jakim zapisem. Wypadało przeto wraz z innymi się stawić, by nie powiedziano, że do brania jest, a obowiązku nie pełni.” Nadto zależało mu i na tém jeszcze, ażeby, żegnając swego dawnego pana, jednocześnie być przy powitaniu nowego, być obecnym przy jego wjeździe do stolicy. Wjazd ten, nadzwyczaj uroczysty, odbył się przy słonecznéj pogodzie d. 16 lutego 1574 r. Kochanowski, kiedy pospołu z innymi dworzanami „uzarskim strojem przybranymi” jechał konno za pocztami senatorów, jechał z tém błogiém przeświadczeniem, że nowy król okaże się hojniejszym od starego, że inaczéj oceni poetę. Nie wątpiąc o tém, napisał epigramat *Do króla Henryka Walezego przybywającego do Krakowa*, w którym opisał tę chwilę „gdy całe miasto wysypało się na powitanie wielkiego króla, gdy lud i senat i rycerstwo z okrzykami go przyjmowało”; a pewność ta wzrastała w nim, gdy niebawem znalazł się wraz z innymi dworzanami w orszaku koronacyjnym. Cóż dopiéro, gdy mu się udało za pośrednictwem biskupa poznańskiego, Konarskiego, być przedstawionym młodemu monarsze, gdy mu wręczył swoje utwory, sławiące jego dostojną osobę. Jak wielką wagę przywiązywał do téj prezentacyi, świadczy wiersz dziękczynny *Do Jadama Konarskiego*, napisany pod świéżem wrażeniem przyjazdu Henryka.

Ciebie rzesza, y uszy cesarskie słuchały,
Świeżo y król francuzki sławny, z którey strony
Przywiódłeś nam Monarchę pod zimne Triony.

Jednocześnie wszedł w stosunki z Francuzami, przybyłymi z Henrykiem, a w téj liczbie i z poetą francuskim, Filipem Desportes, cieszącym się pewną sławą, jako sonetysta i naśladowca Aryosta.

Lecz płynęły dni i tygodnie, upłynął marzec, a spodziewane łaski jakoś nie spadały na poetę. Na nic się nie przydały znajomości z Francuzami, z którymi tyle wina wypił podczas uroczystości koronacyjnych. „Przy kiélichu *les bons camerades* obiecywali przypomniéć go swojemu panu; lecz po wytrzeźwieniu każdy myślał tylko o tém, by swe przy nim stanowisko na własną korzyść wyzyskać”. I królem także się rozczarował, widząc, że jako sekretarz królewski nie miał co robić przy boku nowego pana: Henryk bowiem, po za urzędowemi stosunkami, w których zaledwo senatorów przypuszczał do siebie, jaknajściśléj zamykał się w otoczeniu własnych dworaków francuskich. Niemniejsze rozczarowanie czekało poetę, gdy się dowiedział, jak zadecydowano wykonać testament Zygmunta Augusta. Testament za-

wierał ustęp o dworzanach „którzy ustawicznie służb naszych pilni byli", ale gdy przyszło do spełnienia legatu, skończyło się na tém, że ani Kochanowskiemu, ani innym dworzanom, nie dostało się nic zgoła...

Zawiedziony, boleśnie dotknięty w swéj dumie, że „on, wieszcz poświęcony, nie znalazł należytego uznania", wrócił do Czarnolasu, a już w czerwcu zrzekł się prelatury poznańskiéj, co się pozwala domyślać, że się w tym czasie zaręczył z Dorotą... Zadowolony ze swéj doli, do czego najwięcéj przyczyniało się błogie przeświadczenie o wzajemności ze strony panny, napisał swego *Marszałka*, który „w takim samym stopniu daje klucz do wyrozumienia w jego życiu nowego zwrotu, polegającego na umiłowaniu złotéj mierności, jak *Carmen macaronicum* do wyjaśnienia pobudek, które go do obrania stanu świeckiego skłoniły".

To tylko krótko powiem: dochody szczupleysze,
Ale myśl bezpieczniejsza, y serce wolniejsze.

W tych słowach zamykała się jego teraźniejsza filozofia życia. Nie dbał „o pompę, ani o Infuły", jak Nidecki (który niedawno, gwoli intratnych beneficyów, przyjął święcenia kapłańskie), a wzgardziwszy bogactwem, miłował „żywot spokojny i miarę", nie wzbraniając się „pługu jąć czasem albo y woły poganiać". Być może, iż rozumował by inaczéj gdyby nie był zakochany w pięknéj podstolance. Ale faktem było, że tylko marzył o tém, ażeby Dorotę jaknajprędzéj wprowadzić pod dach czarnoleskiego dworu. W końcu nadeszła owa upragniona chwila: oblubieńcy stanęli na ślubnym kobiercu. Stało się to w połowie r. 1574. „Poeta przebył ostatnią przemianę, sięgającą najgłębszych podwalin jego istoty, stworzył ognisko domowe, którego czci strzedz miała odtąd szlachetna, podniosłych uczuć niewiasta. Jako głowa przyszłéj rodziny, wnosił w nią stoicki pogląd na życie i ducha, wypróbowanego w zapasach ze zmienną losów koleją. Zarówno błędy młodości, jak i zasoby i rozczarowania wieku męskiego, tak często ze strun jego lutni odzywające się jękiem bolesnym, podnosiły go coraz wyżéj duchowo, aż stał się godnym istoty, mającéj odtąd być najczystszém źródłem jego natchnień i głowy jego koroną. Wreszcie w zgodném z nią pożyciu, opromienioném miłością, miał odnaleść wewnętrzną równowagę duchową, któréj dotąd szukał napróżno, ową harmonię, która jego utworom, w tym okresie życia poczętym i dokonanym, tak wysokie piętno artystyczne nadaje, słowem, osiągnąć najwyższą doskonałość, do jakiéj u nas wzniósł się wiek XVI w poezyi".

II.

Tymczasem, kiedy kosztując słodyczy miodowych miesięcy, każdego dnia odkrywał nowe skarby w duszy Doroty, kiedy rozkochany w swéj pięknéj małżonce, uśmiéchał się na myśl, że nietylko sam kocha, ale i jest kochany na wzajem, skołatana Rzeczpospolita, odbieżaana przez Henryka, przechodziła przez ciężkie terminy, na które poeta, żywo interesujący się sprawami publicznemi, nie mógł patrzéć obojętnie. Rospoczęła się nowa licytacya na opuszczony tron polski, który w końcu, po długich sporach, ogłoszono za wakujący... Odbył się zjazd w Stężycy, a w zjeździe tym, naznaczonym na 12 maja 1575 r., uczestniczył i Kochanowski. Stąd oda łacińska *Na zjazd stężycki*, w któréj, obok opisu, jak „naród z twardych Sarmatów złożony, lekkomyślnego Walezego odjazdem czy też ucieczką zawiedziony, na obszernéj rozłożył się równinie i rozbił namioty", taka jeszcze pod adresem owych „opuszczanych Sarmatów, poszukującym sobie sternika do zbłąkanéj łodzi" znajdowała się nauka polityczna: „Lecz wy zacni współobywatele, odrzućcie hojne obietnice książąt ubiegających się o tron: dzielnością bowiem, a nie podstępném bogactwem, sięga się po wysokie zaszczyty. Potém zaś, w czém was bardzo a bardzo upominam: jeżelić nam król potrzebny, toć nauczmy się słuchać i wyzujmy się z butnéj chęci przewodzenia. Na cóż bowiem zdadzą się dobre ustawy, jeżeli nikt do nich stosować się nie myśli, jeżeli wszystkim wolno rządzić Rzecząpospolitą i błahe prawa wedle upodobania stanowić?" Pod Stężycą spotkał się poeta z Myszkowskim, a jest wielkie prawdopodobieństwo, że teraz właśnie, ze Stężycy lub z pobliskiego Sieciechowa, biskup „zwrócił koła swéj kolasy" w stronę czarnoleskiego dworu, gdzie gościnnie podejmowany przez państwa Kochanowskich, zabawił dni parę...

Ledwo odjechał Myszkowski, kiedy nowy zaszczyt spadł na „lichy domek" poety: odwiedził go Olbracht Łaski, wojewoda Sieradzki, ażeby mu podziękować za zaszczytną wzmiankę, jaką o nim poeta umieścił w jednéj ze swoich elegii [1]). Kochanowski, wzruszony temi odwiedzinami swego „starego druha", nietylko przyjął go serdecznie, ale mu za ten wielki splendor, spadły na jego domostwo, podziękował czułym epigramatem łacińskim, w którym mu za najwyższą cnotę poczytał, iż choć „wielki człowiek, nawet wyższy nad swe stanowisko,

---

[1]) „Łaski, druh mój, niechaj ją (Sarmacyą) w łupy bogate przystroi, niech toczy bój ze Scytami, z którymi niemasz przymierza..."

biegły w radzie, a dzielny w boju", to jednak nie wzgardził „skromną chatą i lichą jarzynką ubogiego ogrodnika" [1]).

Wkrótce po odjeździe tych dwóch dostojnych gości przysłano poecie wiersz Desportes'a p. t. *Adieu à la Pologne*, wiersz obelżywy, który, tchnąc jadem, cały naród polski przedstawiał w najgorszém świetle, jako naród opojów i barbarzyńskich obyczajów... Kochanowski, któremu jeśli przysłano ten wiersz, to dlatego, żeby nań odpowiedział imieniem Polaków, niepozostał dłużnym odpowiedzi, wierszem zaś, zatytułowanym *Gallo crocitanti Amoibh*—Francuzowi *krakającemu* odpowiedź — dowiódł, że posiadał sztukę płatania na odlew. Niechęć jednak, którą w téj chwili pałał ku Francuzom i Henrykowi, była tak wielka, że nie poprzestał na tym jednym wierszu, ale niebawem napisał drugi, jeszcze złośliwszy: *De electione, coronatione et fuga Galli*, w którym w jaskrawych barwach schłostał ukoronowanego zbiega.

Tymczasem, d. 8 września, Tatarzy wpadli na Podole, i spaliwszy mnóstwo wsi i miast, uprowadzili 55,000 jeńców, nie licząc zabitych. „Była trwoga na ten czas po Polsce tak wielka, że ludzie wszędzie uciekali, Tatarów nie widząc, i do Krakowa był zbieg wielki". Pod wrażeniem téj klęski, oburzony niezaradnością tych, co powinni czuwać nad nietykalnością Rzeczypospolitéj, napisał Kochanowski swą słynną, pełną goryczy, a Juwenala godną Pieśń V ks. 2-éj, malującą i piętnującą nierząd ówczesnego społeczeństwa.

Wieczna sromota y nienagrodzona
Szkoda, Polaku: ziemia spustoszona
Podolska leży, a pohaniec sprośny
Nad Dniestrem siedząc, dzieli łup żałosny.

. . . .

Zbóyce, niestety, zbóyce nas woiują,
Którzy ani miast, ani wsi buduią:
Pod kotarzami tylko w polach siedzą,
A nas nierządne, ach, nierządne! iedzą.

Wkrótce po napisaniu tego wiersza, z którym prawie jednocześnie powstały dwa inne, mianowicie Pieśń XIX ks. 2-éj, wzywająca do służenia „poczciwéj sławie" i łacińska oda *Do zgody*, będącéj „zbawieniem państw", wybrał się poeta w połowie jesieni, do Warszawy, na sejm konwokacyjny. Tutaj, wpadł w wir walki przedelekcyjnéj, idąc ręka w rękę z Myszkowskim i Dudyczem, którzy znowu, jak przed

---

[1]) Dowodu, że odwiedziny Łaskiego w Czarnolesie istotnie przypadają na pierwszą połowę r. 1575, nie posiadamy, o ile mi wiadomo, żadnego. Prof. Plenkiewicz przypuszcza, że Łaski zawadził o Czarnolas, wracając ze zjazdu Stężyckiego.

elekcyą Henryka, agitowali za kandydatem austryackim. Ale, jak i poprzednim razem, tak i teraz, nie byli pewni zwycięstwa, pomimo, że ostatecznie stronnictwo ich wraz z potężném stronnictwem Piasta zdystansowało inne. Cóż, kiedy szlachta, głosująca za Piastem, za Janem Kostką, wojewodą sandomierskim, lub Jędrzejem Tęczyńskim, wojewodą bełzkim, stawiwszy się zbrojno, niczém pospolite ruszenie, zaległa całe pole elekcyjne, w wojenném pogotowiu, grożąc wszystkim, którzyby nie chcieli głosować na rzecz Piasta. Wobec tego, a zwłaszcza wobec popularności, jaką się cieszyła ta kandydatura, niezmiernie kłopotliwém było położenie tych, co popierali innych kandydatów. Jeszcze trudniejsze było zadanie Myszkowskiego, który d. 18 listopada, przemawiając w senacie, usunął wszystkie kandydatury, a zalecając jedynie cesarza, jako monarchę, mogącego zadosyćuczynić potrzebom Polski, rozprawił się także i ze stronnictwem Piasta, wykazując, że król-polak nie na wiele się przyda Rzeczypospolitéj. W tym duchu należało działać na koło rycerskie, uparcie obstające za Piastem, na to zaś, ażeby działać skutecznie, wypadło działać przez kogoś, którego głos mógłby znaleść posłuch u szlachty. Nikt, zdaniem Myszkowskiego, tak dobrze nie nadawał się do téj roli, jak Kochanowski. Namówił go więc, ażeby agitował na rzecz rakuszanina, a zwalczał Piasta. Poeta zgodził się, lecz przyrzekł popierać nie starego cesarza, stojącego nad grobem, ale dwóch kandydatów młodych: arcyksięcia Ernesta, syna Maksymiliana, i carewicza Fiedora. Widocznie Myszkowski przystał i na ten warunek, skoro niebawem Kochanowski wystąpił z wielką oracyą do szlachty, oracyą, któréj, jak powiada Orzelski, „przez uszanowanie dla jego soby, wysłuchano powolném uchem", która jednak „zdawała się nieodpowiednią jego wziętości". Różne były przyczyny, że to publiczne wystąpienie poety, powszechnie uważanego za „człeka niegłupiego", przybrało tak niefortunny obrót. Przedewszystkiém stanął wobec zgromadzenia, które widząc w nim wysłańca Myszkowskiego, z góry było dlań uprzedzone niechętnie. Powtóre, stawał przed szlachtą, przeważnie z inowierców złożoną, która go uważała za odstępcę od różnowierczego obozu. Dlatego, kiedy poeta, chcąc sobie ująć swych słuchaczów protestantów, zaraz na samym wstępie powołał się na Pismo Św., wyrażając się, że „całe chrześciaństwo, zrodzone z siemienia Abrahamowego zostało"—przerwał mu Mikołaj Siennicki, podkomorzy chełmski, że „różne jest to duchowe królestwo, o którém mówi Paweł św., od ziemskiego królestwa monarchów świeckich." Ta opozycya Siennickiego, który, jako wieloletni marszałek izby poselskiéj, posiwiały w walkach sejmowych, był znakomitym mówcą, a nadto znał wszystkie arkana dyalektyki, głównie

się przyczyniła do niepowodzenia tego oratorskiego występu poety; Siennicki bowiem, stary gracz w walce na słowa, chwycił się znanéj taktyki, polegającéj na ciągłém przerywaniu mówcy, nękał poetę, nieobytego z życiem parlamentarném, nieustannemi wycieczkami, raz po raz zbijając jego słowa. Kiedy Kochanowski, godząc w elekcyę Piasta, dowodził, że „wstyd będzie Polakom, że po haniebnéj od nich ucieczce jednego króla, musieliby aż ze swego narodu obierać nowego, bo żaden obcy nie chce u nich panować", Siennicki przerywając mu, zrobił złośliwą uwagę, że „głos niechętnych umilknąć musi, bo oto cudzoziemce takich starań i intryg używają, ubiegając się o koronę" To słowo takich—wyraźnie godziło w poetę. Ten jednak niezbity z tropu, dorzucił śmiało, że „każdy szlachcic polski będzie się puszył nadzieją zostania królem", na co mu odpowiedział Siennicki: „Jeżeli go wszyscy uznają godnym korony i jeżeli będzie wola boska, być może, że tronu dostąpi". Znużony tą podjazdową walką, z któréj nie wychodził zwycięzcą, lecz zwyciężanym, zastrzegł sobie Kochanowski, pozostawiając Piasta na stronie, że nie myśli popiérać cesarza, któremu zgromadzeni są tak przeciwni, lecz proponuje arcyksięcia Ernesta lub carewicza Fiedora. „Obaj młodzi—mówił—przywykną słuchać senatu, jako młode źrebce, które biegły jeździec ujeżdża". Ale i te kandydatury nie znalazły uznania, raz dlatego, że „Piast we łbach wszystkich czwałował", a powtóre, że poeta nie znalazł odpowiedzi na argument Siennickiego, który podchwytując jego porównanie, rzekł: „Panowie nasi, są to jeźdźce bardzo różnéj fantazyi i humoru, a wyłączne przewodzenie jednego z nich, o ile trudne, o tyle niebezpieczne". Poeta umilkł, a gdy ani jeden głos nie podniósł się za nim, nie pozostawało mu nic innego, tylko opuścić zgromadzenie.

Kogóż wybrano ostatecznie? Wybrano dwóch: senatorowie „obwarowawszy się i dobrze opatrzywszy strzelbą" w d. 12 grudnia obrali królem Maksymiliana, a stronnicy Piasta, kiedy ich obaj kandydaci, wobec tumultu i obawy wojny domowéj, dobrowolnie cofnęli się z elekcyjnych szranków, poszli za myślą Zamoyskiego, który zaproponował wybór Anny Jagiellonki, przeznaczając jéj na małżonka Stefana Batorego, kandydata stronnictwa Zborowskich. Dnia 14 grudnia, gdy Siennicki wybór ten ogłosił, całe pole elekcyjne rozbrzmiało imionami Anny i Stefana; Kochanowski, kiedy mu wypadło przyłączyć się do jednego z dwóch stronnictw, z których oba były mu wstrętne, wolał głosować za kandydatem Myszkowskiego, niż popiérać kandydata Siennickiego, i dlatego d. 18 grudnia 1575 r. wbrew przekonaniom wygłoszonym w kole rycerskiem, położył swój podpis—obok podpisów Mikołaja Firleja i Piotra Kłoczowskiego — na akcie elekcyi Maksymiliana.

Swoją drogą, w głębi przekonania, był przeciwny zarówno Maksymilianowi, jak Batoremu, zarówno stronnictwu cezarianów, jak stronnictwu batoryanów. „Pierwsze, kierowane rachubą, miało na celu jedynie frymark korony; drugie, złożone z najróżnorodniejszych żywiołów, mogło być narzędziem polityki Zamoyskiego, który, jak na pierwszym sejmie konwokacyjnym, tak i obecnie, zdawał się mieć jakieś osobiste cele na oku. Dla poety, który po ucieczce Henryka wciąż o tém marzył, by porzuconą przezeń koronę osadzić na głowie potężnego dynasty, któryby przyćmiony blask jéj podniósł i w oczach świata poszanowanie dla niéj nakazał, co mógł znaczyć król wybrany nawet nie z książąt dziedzicznych, ale wojewoda, osadzony na księstwie, położoném gdzieś na szarym końcu Europy, i nie hołdownik, jak dawniéj cesarza, ale sułtana, od którego swoją godność otrzymał. Wprawdzie mówiono, że był dzielnym, bogatym, że choć lennik Porty, dał jéj uczuć potęgę swego ramienia; ale czyż to starczyło, by wobec butnego możnowładztwa zachował przynależną królewskiemu majestatowi powagę?... Samo małżeństwo z Anną, zaszłą już pod pięćdziesiątkę, zatém niezdolną do wydania potomstwa, wydawało się jedynie środkiem do wprowadzenia na tron człowieka, który ani królewskością rodu, ani powagą stanowiska, z którego sięgał po koronę, nie mógł potężnym imponować sąsiadom. Zamiast takiego króla, stokroć już lepiéj było popierać cesarza, którego wybór mógł przynajmniéj budzić poszanowanie dla państwa"... Te względy sprawiły, że z dwojga złego — jak mniemał — głosował za mniejszém, byle ojczyźnie oszczędzić dalszych rozterków wewnętrznych. Boć nie o siebie chodziło mu, ani o postawienie na swojém, gdy się angażował do polityki, która zresztą była zupełnie obca jego harmonijnéj i poetyckiéj naturze, ale o szczęście i pomyślność Rzeczypospolitéj, któréj był wiernym i przywiązanym synem. W tém uczuciu obywatelskiém, na krótko przed ukończonym sejmem, napisał swą Odę VI, w któréj ogłosił takie osobiste zapatrywanie na chwilową sytuacyę polityczną: „Ja, kapłan Muz i klaryjskiego Apollina, mało się o to troszczę, czy potężny cesarz władać będzie Sarmacyą, czy też berło dzielnemu Batoremu się dostanie. Kogokolwiek ojciec bogów i ludów na tron Augusta wyniesie, o to go tylko błagam, by wybór ten przyniósł szczęście méj ojczyźnie".

Po napisaniu téj ody, zatytułowanéj *Na zjeździe warszawskim*, a przeznaczonéj dla licznych uczestników tego burzliwego zjazdu, dla których zawierała szereg nauk moralnych i wskazań politycznych, poeta wrócił do Czarnolasu, do stęsknionéj za nim Doroty, i tu zająwszy się gospodarstwem, jednocześnie wziął się do pracy nad *Psałterzem.* Polityce dał za wygrane, a na zjazd w Jędrzejowie, naznaczony

na 14 stycznia 1576 r., choć na ten zjazd stawiły się tysiące szlachty, nie pojechał. Wolał zostać w domu, przy żonie i córce Ewie—bo już mu Bóg dał córkę—i stąd, pilnując wiosennych zasiewów, śledzić bieg wypadków, témbardziéj, że to, co się działo, nie odpowiadało jego aspiracyom politycznym. Oto Maksymilian, za którym on wotował w Warszawie, coraz bardziéj tracił szanse utrzymania się przy tronie, a szanse te, gdy przyszło do zjazdu jędrzejowskiego, zmalały do tyla, że poseł cesarski Rozenberg, widząc słabość stronników swego pana, zniechęcony powrócił do Wiednia, a tymczasem szlachta wyprawiła poselstwo po Batorego, który, odbywszy uroczysty wjazd do Krakowa, w d. 3 maja koronował się wraz z świéżo poślubioną Anną Jagiellonką. Tymczasem Maksymilian, także jadący na koronacyę do Polski, wybiérał się tak wolno, że nie dojechał w końcu... Zniecierpliwiony jego kunktatorstwem, które ostatecznie popsuło całą sprawę, Kochanowski, nie mogąc strawić koronacyi Batorego, napisał epigram łaciński, tak w nim upominając cesarza. „Potężny Batory już nosi królewską koronę, a ty, wielki cesarzu, wybacz: jeszcze zwlekasz. Jeden tylko człowiek zwlekaniem sprawę ocalił, dla innych prawie wszystkich zwłoka zgubną była".

Ale łatwo sobie wyobrazić zdziwienie i zakłopotanie poety, gdy wkrótce po koronacyi Stefana, który Zamoyskiego mianował swoim podkanclerzym, tenże Zamoyski któregoś dnia zajechał z nielicznym pocztem przed dwór Czarnoleski, a przyjeżdzał, jak się okazało, umyślnie, ażeby się rozmówić z poetą, i tak dla siebie, jak i dla króla pozyskać, przyczém ofiarował mu—na początek — kasztelanię połaniecką. Ale tu doznał zawodu, poeta bowiem, widząc, że kasztelaństwo o ile jest zaszczytném, o tyle pociąga znaczne koszta, a dochody przynosi niewielkie, podziękował za ten zaszczyt, gdyż—jak się miał wyrazić do swego dostojnego gościa — „nie chciał wpuszczać do swego domu pysznego kasztelana, któryby zjadł to, co Kochanowski zarobił" [1]). Nie znaczyło to jednak, ażeby wymawiając się od przyjęcia kasztelanii, nie był gotów ofiarować swego pióra królowi i Rzeczypospolitéj, jeśli ten król—jak mówił Zamoyski — istotnie jest mężem rzymskiego

---

1) Wkrótce po odjeździe Zamoyskiego, a w każdym razie - jak przypuszcza prof. Plenkiewicz—pod wpływem wyrzutów ze strony niektórych osób, zarzucających mu, że nie przyjął kasztelaństwa, napisał poeta najprzód pieśń V, księgi I, a następnie fraszkę IV, ks. III. We fraszce téj, będącéj wolną przeróbką z Anakreonta, powiada Kochanowski:

Ani dbam o kasztelana,
Trzymając się mocno dzbana.

hartu, rwącym się do czynu, snującym wielkie projekty w celu podniesienia upadającéj powagi i potęgi Rzplitéj. Wtajemniczony w daleko sięgające zamysły królewskie, Kochanowski, choć do téj chwili niechętny Batoremu, wyraził gotowość uczynienia wszystkiego, co będzie w jego mocy, a coby królowi mogło ułatwić prowadzenie nawy państwowéj; nie wiedział tylko, czy on, poeta, nieświadomy spraw politycznych, zdoła przydać się na wiele. Jeżeli miał jakie wątpliwości pod tym względem, to je Zamoyski rozproszył natychmiast, żądając od niego, aby czémprędzéj napisał utwór, „w którymby naród mógł się jak we zwierciedle zobaczyć, poznać kardynalne swe wady i przerażony ich skutkami wszedł w samego siebie i o poprawie pomyślał". Ponieważ chodziło o to, ażeby te wady nietylko wytknąć, ale je unaocznić w działaniu, tak, by dochodząc do świadomości narodu przez zmysły, wstrząsnęły jego uczuciami i oddziałały na wolę, utworem więc, jakiego obecnie Zamoyski żądał od Kochanowskiego, była tragedya, możliwa do odegrania, np. podczas jednego z najbliższych sejmów. „Zadanie to jednak musiało wprawić w niemały kłopot poetę. Naprzód pisanie tragedyi stawało na poprzek wykończeniu *Psałterza*; powtóre, on sam, uprawiając dotąd przeważnie lirykę, dydaktykę, i próbując eposu, czuł, że nie był mistrzem po temu; wreszcie samo wynalezienie przedmiotu wymagało dłuższego rozmysłu. Tymczasem Zamoyski nie należał do ludzi, którzy coś robią w połowie. Na saméj obietnicy napisania tragedyi poprzestać nie chciał, ale pragnął upewnić się i co do wyboru osnowy i—jak się okazuje z listu poety — dopóty nie ustąpił, aż mu ją ten podał w głównych zarysach".

Zamoyski odjechał, a poeta, odłożywszy przekład *Psałterza*, nie zwłócząc, zabrał się do pisania *Odprawy posłów greckich*, bo taki miał być tytuł przyrzeczonéj tragedyi. W jakim nastroju przystępował Kochanowski do téj pracy? Przedewszystkiém był rad z siebie, że się nie połakomił na owo kasztelaństwo; bo

Siła posiadł włości,
Kto ujął chciwości,

a „serca nie zleczą żadne złotogłowy". Zdziwił się jednak, gdy ukończywszy pisanie swéj sztuki, próżno czekał na jakieś wezwanie podkanclerzego, aby mu przysłał rękopis. Tymczasem Zamoyski—jak się o nim pięknie wyraża prof. Plenkiewicz—nadto wiele miał na swéj głowie rzeczywistych tragedyi, ażeby się mógł jeszcze grecką zajmować: sprawy się wikłały, sejm nie radził o niczém, ale odmówił podatku na wojnę przeciw Gdańszczanom, którzy, obstając za Maksymilianem, nie chcieli uznać Batorego: słowem, sytuacya była trudna. Te były po-

wody, dla których *Odprawa posłów greckich* tak długo musiała leżéć pomiędzy papiérami poety. Ostatni, widząc, że Zamoyski jakoś nie zgłasza się po nią, i myśląc już, że dzieło pójdzie ostatecznie „molom na pokarm albo na trąbki do apteki", wrócił do przerwanéj pracy nad *Psałterzem*, a równocześnie przywdział żałobę po najstarszym z braci, Kasprze, zmarłym na samym początku r. 1577. Na pogrzebie, wobec licznie zebranych ziemian i członków rodziny, wystąpił z mową, w któréj podnosząc cnoty nieboszczyka, między innemi wyraził się o nim, że nietylko był bratem dla całego rodzeństwa, ale mu jakby zastępował ojca. „Bo po zeszciu rodziców naszych — mówił — mając on nietylko laty, ale i rozumem przed inszą bracią (pierwszeństwo), wszystkie trudności nasze wspólne, które więc po zmarłym ojcu na dzieci pospolicie przypadają, wziął był na swoją pieczę i tak się z nimi sprawiał, żeśmy za pilnością jego żadnego uszczerbku w sprawiedliwości swéj nie wzięli... A nietylkoć w młodszych leciech i w niebytności drugich nam był radzien i pomocen, ale przez wszystek wiek swój trudności naszych wszelakich przestrzegał i bronił". Ale życie lubi kontrasty: wkrótce po tym pogrzebie wypadło urządzić chrzciny: urodziła mu się trzecia córka, Urszula. Wprawdzie życzeniem rodziców, a zwłaszcza ojca, było, aby im Bóg dał syna, ale skoro dał córkę, cieszyli się i z córki, témbardziéj, że „był to sobie taki sam robaczek, jak inne noworodki, tylko jakiś cichy, nie skrzeczący, bez zwykłych im lamentów". Jakby w przeczuciu, że „przyszło to, jak gwiazdka spadająca w noc letnią, jak aniołeczek, na czas tylko, na nietrwałe pociechy rodzicom pożyczony od Boga", poeta miał dziwną słabość do téj dzieciny: żadnéj z poprzednich córek, ani Ewy, ani Polikseny, nie kochał tak, jak Urszulkę. Swoją drogą pragnął miéć syna, a jeśli prawdą jest, co mówi stary Gerwazy w *Panu Tadeuszu*, że w czasie wojny zawżdy synowie się rodzą, to mógł się spodziewać męskiego potomka, ile, że był to czas wojny. Dzielny Batory, wyzwany oporem Gdańszczan, wyruszył przeciwko nim wojenną wyprawą, a gdy pod Elblągiem i Gdańskiem toczyły się krwawe walki, jednocześnie—w sierpniu 1577—nadeszła złowroga wieść, że car Iwan Groźny zajął Inflanty. Wobec tak trudnego położenia Batorego, zrozumiał Kochanowski, że „za temi czasów odwłokami (t. j. wojną gdańską) i jego tragedyi odwlec się miało", gdy nagle, d. 21 grudnia, zjawia się posłaniec z dwoma listami od podkanclerzego, w których tenże prosił o natychmiastowe wysłanie przyobiecanéj tragedyi, gdyż chciał nią uświetnić swoje zaślubiny z Krystyną Radziwiłłówną. Tymczasem *Odprawa* wymagała jeszcze przepisania na czysto. Poeta, przysiedziawszy fałdów, uskutecznił to w ciągu jednego dnia, tak, że już nazajutrz, wyprawiając posłańca z powrotem, mógł

pisać do Zamoyskiego: „Wczoraj dopiéro oddano mi dwa listy zaraz, któreś W. M. do mnie około tey Traiediey pisał", a już dzisiaj „dwudziestego wtórego dnia grudnia", odsyłał mu *Odprawę*, niespokojny, zali odpowié oczekiwaniom. „Jakom listy W. M. przeczytał, nie było czasu poprawować: bom wszytek miał *insumere* na przepisanie. *Quidquid id est*, a baczę że błazeństwo, y W. M. sam podobno rzeczesz: posyłam W. M. tym śmieley, chocia nie masz co, żem to ieszcze z przodku W. M. opowiedał, że to nie miało być *ad amussim*: bo mistrz nie po temu. Bardzobych to był rad uczynił, żebych był sam *praesens* W. M. teraz służby swe ofiarował, ale mi złe zdrowie nie da." Złe zdrowie! Coraz częściéj zacznie się skarżyć na nie, aż w końcu, stęskniony za owemi błogiemi czasami, kiedy to nic mu nie szkodziło, napisze swój melancholijny wiersz *Do zdrowia:*

Szlachetne zdrowie!
Nikt się nie dowie,
Jako smakujesz,
Aż się zepsujesz.

I jemu zaczynało się ono psuć coraz bardziéj!... Tymczasem, ledwo wyprawił swą tragedyę, kiedy w parę dni późniéj otrzymał nowy list od podkanclerzego, naglący o napisanie utworu, któryby wobec już postanowionéj wojny przeciwko Iwanowi „uderzał silnie w struny bojowe i wstrząsnął odwykłym od orężnéj walki narodem." Chodziło o obudzenie wojennego zapału w szlachcie. *Odprawa posłów greckich*, jako mająca na celu powstrzymanie od wojny, nie odpowiadała potrzebom chwili. Co innego było przed rokiem, przed zajęciem Inflant, gdy szło jedynie o uplastycznienie wad i narowów społeczeństwa, a co innego dziś, gdy dach płonął nad głową. Zrozumiał to Kochanowski i, czyniąc zadość wezwaniu, napisał wiersz p. t. *Orpheus Sarmaticus*. Napisał go po łacinie, ponieważ chodziło o to, ażeby i król, obecny na uroczystości weselnéj, zrozumiał treść utworu, w którym poeta wskazywał dwa główne cele narodowi: wojnę z Turkiem, zagrażającym całéj Europie, i obronę najechanych Inflant. Dnia 12 stycznia 1578 r., w Jazdowie, odbyło się wesele Zamoyskiego. Gdy przyszła koléj na teatr i śpiewy, najprzód odegrano *Odprawę*, która *a nobilissimis quibusque adolescentibus acta fuit*, poczém Krzysztof Klabon odśpiewał *Orfeusza*. Wrażenie, zwłaszcza na młodzież, było ogromne. A nietylko na młodzież, lecz i na posłów, którzy, uniesieni zapałem patryotycznym, zgodzili się zarówno na wypowiedzenie wojny, jak i na dwuletni podatek. Wkrótce potém, bo jeszcze przed 6 marca, oba utwory, i *Odprawa posłów greckich*, i *Orfeusz*, wyszły w Warszawie, wydruko-

wane sumptem podkanclerskim. Ale Zamoyski, widząc, jakim atutem były pisma Kochanowskiego, gdy chodziło o wpływ na umysły, wnet pośpieszył z nowém żądaniem. Oto zależało mu na dwu utworach łacińskich, któremiby mógł króla, wybierającego się do Lwowa, uczcić w Zamchu podczas łowów. W ten sposób powstały *Drias Zamchana* i *Pan Zamchanus*, utwory, które lubo zatrącały o politykę, jednak i poetycznych ustępów zawiérały sporo. Jakoż, dnia 8 maja odśpiéwane wobec króla, zyskały ogólny aplauz, poeta zaś, przywiązując szczególną wagę do zapatrywań politycznych, wypowiedzianych w *Dryadzie*, sam ją przetłómaczył na polski, ażeby z nią i szersze koła zapoznać.

Ale zanim się wziął do tego tłómaczenia, najprzód, w końcu kwietnia mniéj więcéj, pojechał na Litwę, nie mogąc odmówić zaprosinom Mikołaja Radziwiłła Rudego, którego syn, Krzysztof, miał zawrzéć nowe związki małżeńskie z Katarzyną Ostrogską. I ojcu i synowi bardzo zależało na tém, ażeby Kochanowski, którego obaj uważali za swego serdecznego przyjaciela, był obecny na uroczystości zaślubin. Poeta jednak, mimo najszczersze chęci, nie mógł zostać tak długo, zważywszy, że wesele miało się odbyć d. 27 lipca, on zaś, jeśli o tyle wcześniéj z domu wyjechał, to dlatego, że chciał—a do pewnego stopnia musiał — być obecnym w Krakowie, na uroczystości ingresu Myszkowskiego, który po śmierci Franciszka Krasińskiego, został mianowany biskupem krakowskim. Widocznie, że Radziwiłłowie uwzględnili położenie poety, bo kiedy się miała odbyć pomieniona uroczystość, znalazł się przy boku Myszkowskiego, w Krakowie, gdzie swą obecność zaznaczył w Elegii X ks. III. „Myszkowski! pośród tylu orszaków konnych i pieszych, co tłumnie naprzeciw biskupa swego wystąpiły, pragnąc oblicze oglądać i słodkie twoje słowa usłyszéć, i mnie także przez rozkoszny Bug, przez twoje wody, o Wisło wspaniała, miłość przywiodła.” Tutaj, na dworze biskupim, w otoczeniu dawnych znajomych, a przedewszystkiém w miłém towarzystwie Myszkowskiego samego, który go, jako wierny, wypróbowany przyjaciel, wyróżniał na każdym kroku, jako pierwszorzędnego poetę, kosztował słodkich wczasów. „Ten biskup, książę siewierski, gdy innych, znużony ceremoniałem przyjęcia, rad był co najrychléj pożegnać, jego, jako powiernika swéj myśli, zatrzymywał w swym domu, tak, że obydwom zdawać się mogło, że znowu wróciły te chwile, które niegdyś spędzali razem na dworze Zygmunta.” Ale K r ó l - d o j u t r e k już odpoczywał w swéj trumnie, a tymczasem o Batorym, właśnie przebywającym we Lwowie, dochodziły tak zadziwiające wieści, o jego dzielności, przedsiębiorczości i energii, że nawet taki rozgorzały rakuszanin, jak Myszkowski, przedzierżgnął się w za-

palonego wielbiciela Stefana. I nietylko sam zmienił się, ale i na Kochanowskiego, z którym wiele rozmawiał o królu, wywarł stanowczy wpływ w tym kierunku. O czém także mówili często, to o *Psalterzu*, który już był doprowadzony tak daleko, że można było teraz, korzystając z pobytu w Krakowie, wejść w układy z drukarzem, Łazarzem Andrysowiczem. Na druk łożył Myszkowski... Tymczasem, z nadejściem lata, rozpoczynając objazd swych dóbr biskupich, udał się do letniéj rezydencyi w Promniku, a poeta pojechał z nim razem. W Promniku, w rozkosznéj renesansowéj willi, niegdyś wzniesionéj przez Samuela Maciejowskiego, a unieśmiertelnionéj przez Górnickiego w *Dworzaninie*, powstała Oda X *Na wieś Promnik*, dowodząca niezbicie, że się tu nie przykrzyło poecie: „Witaj mi, wiosko, co kosztem szczodrego Maciejowskiego wzniesiona, dziś w Myszkowskim, podporze dostojnego senatu, otrzymałaś nowego pana, nieustępującego poprzedniemu właścicielowi! Witaj mi, ustronie pracy, rodzicielko ciszy, pokoju duszy, odpoczynku po troskach, matko wczasów, gościno muz! Witajcie mi i wy, łąki, na których nigdy nie wysychają strumyki!...” Dobrze mu było w Promniku. Nie zapomniał przecież, że w domu tęsknie wyczekiwała żona... Wróciwszy do niéj, ledwo cokolwiek zagrzał miejsce, którego mu i tak długo zagrzéwać nie pozwalały częste wycieczki do przyjaciół i możnych sąsiadów, kiedy po krótkim czasie znowu otrzymał list od Myszkowskiego, gwałtem zapraszający go do Bodzentyna. Cóż miał robić? Pojechał... Ale zbliżał się czas żniw, a Dorota, wogóle nierada jego wyjazdom, nagliła, żeby wracał. Wzruszony jéj czułemi listami, poeta pożegnał się z biskupem, a na wyjezdném, dziękując za gościnę, wywzajemnił się następującym wierszem:

Jaką rozumiesz zazdrość ziednałeś sobie,
Zacny Biskupie, w moiey małey osobie:
Żeś mię z domu wyciągnął w te dalsze strony,
Od małych dziatek, y od teskliwey żony?
Nie myślić ona o tym, że ia przy tobie
Głowy nie ufrasuię bynaimniey sobie:
Że w twym pałacu mieszkam, że przy twym boku
Siadam: koń móy, sługa móy, na twym obroku...

---

[1]) Na jednéj z takich wycieczek, które zawsze odbywał konno, w towarzystwie pachołka, o mało co nie postradał życia. Mianowicie koń jego, którego był sobie kupił niedawno, potknął się, a tak fatalnie, że poeta,wysadzony z siodła, zleciał i potłukł się boleśnie. Rozgniewany na swego wierzchowca, sprzedał go jakiemuś dostawcy koni do żup solnych w Bochnii czy Wieliczce, gdzie biédne konisko musiało „do śmierci kręcić maszynę ustawioną ponad ciemnym szybem i ciężko się z bryłami soli mozolić.“

Rychley, niesposobnego będąc świadoma
Zdrowia mego, frasuie swe serce doma:
Żebych iakiey choroby nagłey nie użył,
Nie maiąc ktoby mi iey sercem służył.
Ciężar także domowy społeczny nama
Teraz w mey niebytności musi nieść sama:
Strzegąc w domu porządku, waruiąc szkody,
Dziatek lichych pilnując, zakładów zgody.
. . . .
To, y czego jest więcey, zawżdy w miłości
Serca trapi, chocia też zstawa ufności.
A ty nie bądź przyczyną, biskupie drogi,
Niczijey, lubo słuszney, lub płoney trwogi.
Ale złącz, iakoś rozwiódł, bo acz oboie
Twóy urząd niesie, wszakże wyroki twoie
Na ludzkiey chęci wiszą: y ia, y ona,
Nie pragniewa do śmierci być rozdzielona.

Na wsi wrócił do normalnego trybu życia, a to życie układało się pomyślnie, bezkłopotliwie. „Stodoły z każdym dniem coraz bardziéj pod ślemiona wypełniały się zbożem; w sadach pięknie dojrzewały owoce, a wszystko to budziło uczucie zadowolenia i dosytu w duszy ziemianina-poety, który z pod swéj cienistéj lipy mógł ogarniać wzrokiem swoje dziedzictwo, i cieszyć się widokiem córek, biegających w ogrodzie, lub wiodących ku niemu spragnioną pieszczot Urszulkę.” Pod jesień przybyła mu czwarta córka, a kiedy się uporał z drobniejszemi pracami, jak np. *Epitalamium* na ślub Krzysztofa Radziwiłła, zabrał się do ostatecznego wykończenia *Psałterza*, aż wreszcie, dokonawszy całkowitego przekładu tych natchnień króla-proroka, skréślił dedykacyę, w któréj swe dzieło przypisał Myszkowskiemu.

Żniwa swego pierwszy snop tobie ofiaruję,
Cny Myszkowski, którego dobrodzieystwem czuię
Uwiązane swe serce...
Tym, żeś mi serca dodał, żem sye rymy swemi
Ważył zetrzéć z Poëty coznakomitszemi,
I wdarłem sye na skałę piękney Kalliopy,
Gdzie dotychczas nie było znaku polskiey stopy,
Y teraz ci z Libanu niosę Dawidowe
Złote gęśli, a przy nich Polskie pieśni nowe...

W grudniu, mając cały skrypt gotowy do druku, pojechał do Krakowa. Przybywszy tu, nietylko stykał się z Myszkowskim, któremu przedstawił rękopis ukończonego dzieła, ale i z Zamoyskim, który mu wyjednał posłuchanie u króla, a następnie skłonił do podjęcia pracy z zakresu ortografii, ażeby zapobiedz prostemu w i d z i m i s i ę drukarzów.

Poeta zgodził się i sporządził referat w téj kwestyi p. t. *Orthographia polska Jana Kochanowskiego,* referat, który jednak nie musiał zadowolnić Zamoyskiego, skoro go zaraz nie wydrukował... [1]). Tymczasem rozpoczął się druk *Psalterza,* a poeta wrócił do Czarnolasu, ażeby tam zażywać spokoju u domowego ogniska. Ale nie wszędzie było tak spokojnie, jak w zacisznym Czarnolesie. Już upłynęło parę miesięcy, jak król wyruszył pod oblegany w téj chwili Połock. Niestety, oblężenie szło nie tak, jak przewidywano z początku. Miasto broniło się zaciekle, tak, iż wobec niepomyślnych wieści, nadchodzących z królewskiego obozu, zaczęto przebąkiwać, iż król zamyśla zwołać pospolite ruszenie. Wiadomość ta mocno zaniepokoiła poetę, wiedział bowiem, że jako osiadły ziemianin, był obowiązany, po rozesłaniu trzecich wici, stanąć w rynsztunku bojowym. Nie uśmiechało mu się to, wogóle bowiem, jako wykwintny humanista, nigdy nie czuł pociągu do hazardów wojennych. a dziś, jako ojciec rodziny, coraz bardziéj podupadający na zdrowiu, tém mniéj miał ochoty do wojaczki. To też, gdy nie ustawały się szerzyć pogłoski o pospolitém ruszeniu, a w województwie zawakował urząd wojskiego ziemi sandomierskiéj, Kochanowski wystąpił ze swą kandydaturą, wojscy bowiem, nawet wówczas, gdy wszystkich powoływano do obrony krajowéj, jeszcze nie potrzebowali służyć wojskowo. Tymczasem nadeszła radosna wieść o zdobyciu Połocka. Upojony tém zwycięstwem Batorowego oręża, poeta uderzył w struny lutni, pisząc polską Pieśń XIII ks. 2-éj, i łacińską Odę XII.

Znowu tedy, skąd był wyszedł,
W ręce polskie Połock przyszedł,
Za powodem szczęśliwego
Stefana, króla polskiego.
Nie pomogły kule częste,
Zręby mocne, baszty gęste,
Puściły żelazne brony.
A ty królu niezmożony,
Nietylko zamki budowne,
Y twierdze bierzesz warowne;
Ale, co chwalniejsza tobie,
Jesteś silen y sam w sobie.

Wiersze te nie były jedynemi, które poeta pisał w onym czasie, ile że był to okres w jego życiu, gdzie tworzył więcéj, niż kiedykolwiek. Gdy umarł kardynał Hozyusz, Kochanowski, podkréślając swe uwielbienie dla tego filaru katolicyzmu w Polsce, napisał epigramat, w którym

---

[1]) Pracę tę, już po śmierci Kochanowskiego, wydał w r. 1594 Jan Januszowski, zeznając, że jéj rękopism z rąk Jana Zamoyskiego otrzymał.

z entuzyazmem podnosząc Hozyuszową „żarliwość w obronie wiary”, stawiał go za „wzór obyczaju i cnoty”. Równocześnie przygotowywał do druku rozpoczętą już w r. 1562 pracę filologiczną *M. T. Ciceronis Aratus*, która wyszła jeszcze w tym roku, oraz krzątał się około wydania swoich utworów łacińskich, mających w r. 1580 p. t. *Lyrica* wyjść z oficyny Łazarzowéj. *Aratus* był poświęcony Zamoyskiemu, od którego poeta miał przyrzeczony przywiléj u króla na wydanie *Psalterza*. Przywiléj ten, zabraniający przedruku danéj książki „pod groźbą kary tysiąca grzywien i utraty nakładu”, podpisał Batory w Wilnie d. 8-go października 1579 r., nazajutrz zaś, najwidoczniéj za wstawieniem się kanclerza, usankcyonował nominacyę Kochanowskiego na wojskiego ziemi sandomierskiéj. Lecz nie tu miała się zakończyć łaska królewska! Wiedząc o „szlachetnych przymiotach” poety, o jego „zasługach względem kraju, przezacnych a wybornych zdolnościach, tudzież niezwykłéj nauce” i pragnąc, aby „jak pomnikowemi dziełami swego dowcipu przynosi ojczyźnie chlubę i pożytek, tak nawzajem od niéj zaszczyty i godności odbiérał”, mianował go swoim poetą nadwornym, przyczém mu wyznaczył 1,200 florenów rocznéj pensyi.

Te i tym podobne okoliczności znakomicie poprawiły stan majątkowy poety. Dość powiedziéć, że już w r. 1580 będzie mógł pożyczyć Mikołajowi Firlejowi z Dąbrowicy 7,700 florenów! Świadczyło to, że poeta-humanista miał zmysł i do rzeczywistości (najwidoczniéj odziedziczony po ojcu), że nietylko przestawał z muzami, ale umiał i gospodarować należycie. Coprawda, było o kim myśléć. Wszak był ojcem czterech córek, dla których musiał składać posagi...

Cóżkolwiekbądź, żadnéj z nich nie miłował tak wielce, jak Urszulki. Ale

> Bo téż ledwie się kiedy dziecię urodziło,
> Coby łaski rodziców swych tak godne było.

„Ta dziecina ze złotemi kręcącemi się włoskami, rozwijała się szybko, jak roślinka, wystawiona na słońce pod szklaném nakryciem. To nic, że umiała różne figielki, których nikt jéj nie uczył, ale że przez te duże, błękitne jéj oczęta, patrzące powłóczyście, szeroko, zdawała się przezierać nad wiek rozumna duszyczka, jakby uwięziona w ciałku dziecięcém, w którém jéj było za ciasno.” A kiedy zaczęła chodzić i mówić, wszystkich zastanawiała swą nadzwyczajnością. Nie dość, że była posłuszna i usłużna, wolna od wszelkich grymasów i wad dziecięcych, ale się odznaczała jakimś przedziwnym darem naśladowczym, który jéj pozwalał odtwarzać ukłon każdego, ruchy i postawę, lub powtórzyć usłyszaną piosenkę. Cóż dziwnego tedy, że ojciec, słuchając jéj szczebiotu, widział w niéj „Safonę słowiańską” w przyszłości, że

gwoli téj duszy poetyckiéj, którą, jakby odbicie swéj własnéj, widział w Urszulce, więcéj lgnął do niéj, aniżeli do jéj starszych siostrzyczek. I tamte były miłemi dziewczynkami, ale Urszula miała jakiś szczególny wdzięk, była „najmilszą" ze wszystkich. A gdy jęła zawodzić swe piosenki, „ustek nigdy nie zamykając", to była podobna do „słowiczka w krzaku zielonym, co przez noc całą pieści słuch gardłkiem ucieszném". Ale

Tak wiele cnót jéj młodość i takiéj dzielności
Nie mogła znieść: upadła od swéj bujności.

Nad wiek rozwinięta, choć z początku była zdrowa, powoli zaczęła jakby niknąć w oczach, słabnąć, szczupléć, aż w końcu stało się widoczném, że była skazana i na śmierć przedwczesną. W przeczuciu jéj, na krótko przed zamknięciem powiek, żegnając matkę, mówiła, że już jéj chyba przyjdzie z domu rodziców precz jechać i nazawsze z nimi się rozstać. Wreszcie umarła...

Jeszcze się zrozpaczony ojciec nie zdołał uspokoić po jéj stracie, gdy nagle zjawił się posłaniec od Zamoyskiego, z natarczywém żądaniem, ażeby poeta czemprędzéj nadesłał parę utworów, któreby, odpowiadając obecnym okolicznościom, we wskazany sposób mogły oddziałać na umysły zebranych posłów: chodziło o to, ażeby w nich rozbudzić zapał dla króla, który wróciwszy zwycięzcą, gdy zwołał sejm do Warszawy, raptem spotkał się z sarkaniem na uciążliwość wojny, które to sarkanie było tylko wyrazem niechęci ku energicznemu władcy, zaczynającemu budzić obawy wśród szlachty, czy nie zechce ukrócić jéj samowoli. Poruszywszy wszystkie sprężyny, ażeby zażegnać grożącą burzę, Zamoyski napisał do Kochanowskiego, jako oficyalnego poety, ażeby przysłał utwór, w którymby wojenne czyny Batorego ukazały się oczom narodu w całym blasku. Poeta jednak, złamany boleścią po stracie Urszuli, nie miał „aspektu" do pisania, więc tylko rozszerzył trochę napisaną już *Pieśń o wzięciu Połocka* i pieśń tę, wraz z dwoma innemi wierszami, z wierszem *O statecznym słudze Rzeczypospolitéj*, na który się zdobył z wielkim wysiłkiem, i wierszem *O uczciwéj małżonce*, którym uczcił Dorotę, posłał Zamoyskiemu, dołączywszy do nich listowne wytłómaczenie się, czemu nie posyła nic więcéj. „Nie pomnisz W. M., co on więzień wielkiego Aleksandra uczynił, że bojąc się, aby był pierścienia nie chybił, a sławy dobrego strzelca nie utracił, umyślił był raczéj gardło dać, niż łuku przed królem pociągnąć. I jam tegoż mało nie uczynił, wprawdzie nie tak doskonały strzelec, jeno że łaska W. M. droższa u mnie, niż wszystka *poetica*. Jeśli co nie grzeczy, a bodaj nie wszystko, któż winien? Ja naprzód, a W. M. też

po części, *qui scribere cogis*, chociaż zły aspekt. Chcesz li mię W. M. na świecie mieć dłużéj, nie każ mi W. M. teraz nic pisać..."

Nie znaczyło to jednak, ażeby, nie będąc usposobionym do pisania na urząd, nie czuł dusznéj potrzeby dania wyrazu swéj osobistéj boleści po stracie ukochanego dziecięcia, boleści, która mu się raz po-raz wyrywała z piersi okrzykiem: „Nie masz cię, Urszulo moja!" To dało początek *Trenom*.

W poemacie tym, pisanym krwią serca ojcowskiego, odbiło się jak w żadnym innym — zdaniem prof. Plenkiewicza — piętno indywidualności autora. Jest to, obok przekładu *Psałterza*, nietylko arcydzieło wieszcza z Czarnolasu, ale i arcydzieło liryki, doskonałe pod względem formy, jakkolwiek pełne reminiscencyi z całego szeregu pisarzy starożytnych. Jako takie, są te nieśmiertelne lamentacye i medytacye, natchnione niepowetowaną stratą dziecka, jakby słupem granicznym, oznaczającym pewien zwrot w twórczości Kochanowskiego. „Po raz pierwszy — powiada Br. Chlebowski — otworzy on głębie uczucia przed ludźmi i dobędzie z serca tony rozrzewniające swą szczerością i prostotą. Po raz pierwszy przemawiać będzie do czytelnika nie dworny mówca i mentor, nie natchniony kaznodzieja i polityk, lub osamotniony na swym piedestale śpiewak, lecz cierpiący człowiek, nieszczęśliwy ojciec, chcący się podzielić z braćmi-ludźmi swą boleścią, szukający ulgi w ich współczuciu, jako „jeden z wiela" nieszczęśliwych. Jak Werther wołający: „Serce takie ja mam tylko sam!" tak i Kochanowski upewnia nas z całą siłą przeświadczenia:

Żaden ojciec podobno bardziéj nie miłował
Dziecięcia, żaden bardziéj nad mię nie żałował.

Nietylko do *Werthera* jednak, lecz i do niektórych filozoficznych utworów autora *Fausta* można porównać *Treny* Kochanowskiego, wszystko bowiem, co poeta przemyślał, co stanowiło jego pogląd na życie, na wiedzę ludzką, znalazło swój poetycki wyraz w tém lirycznêm *requiem*. Oto, co w téj mierze pisze prof. Plenkiewicz: „Nietylko stoicyzm, na tak wątłéj jak siła woli zbudowany podstawie, ale i wiedza rzeczywista, choćby najgłębiéj pojęta, nie może przynieść w podobnych razach (w cierpieniu) człowiekowi pociechy... To też poeta biada tylko, że téj mądrości żywot swój cały poświęcił, bo dziś, gdy mu całego hartu ducha potrzeba, znalazł się wobec nieszczęścia równie słabym, jak najostatniejszy z prostaczków." Jako dzieło sztuki, są *Treny* jednym z najdoskonalszych utworów Jana, pomimo że może żadne z jego dzieł nie było pisane z tak gorączkowym pośpiechem, jak

one właśnie. Dość powiedziéć, że Urszulka umarła w r. 1579, a w roku 1580 *Treny* były już wydrukowane.

Śmierć atoli, zabrawszy Urszulę, nie poprzestała na niéj jednéj. Wkrótce po niéj, właśnie, gdy poeta „nad dziećmi pióro swe zabawiał", umarła mu czwarta córka, Hanna. Ledwo zdążył napisać krótkie *Epitaphium* pod wpływem tego nowego ciosu, musiał się zdobyć na napisanie innego, na zgon wojewodziny sandomierskiéj, dla któréj, gdy jeszcze była za Janem Krzysztofem Tarnowskim, tyle żywił uczuć sympatyi. W tymże czasie doszła go z pod Wielkich Łuk, gdzie właśnie Batory gromił wojska moskiewskie, wieść o bohaterskiéj śmierci Piotra Kłoczowskiego, tego samego, którego on niegdyś „do Włoch prowadził". Wkrótce potém, bo na początku r. 1581, umarł brat poety, Mikołaj, a prawie jednocześnie Dorota utraciła swego starszego brata, Grzegorza.

Przybity tyloma ciosami, nie dziw, że pomimo pomyślnego zakończenia wojny z Moskwą, zakończonéj odzyskaniem Inflant, poeta czuł się wyczerpany i nie skory do pióra. A jednak musiał chwycić za nie znowu! Ledwo się skończył fatalny sejm z r. 1582, jeden z tych licznych sejmów, które zerwano, gdy nadbiegł posłaniec od Zamoyskiego, który, pragnąc w jakikolwiek sposób dać zadosyćuczynienie królowi, „a przedewszystkiém odwołaniem się od sejmu do narodu przywieść do upamiętania obałamucone umysły i zarzutom opozycyi przeciwstawić czyny dokonane w ciągu sześcioletnich rządów Stefana", znowu się zwrócił do poety, z żądaniem, by napisał coś, coby w całym blasku wojennéj chwały uprzytomniło narodowi panowanie dzielnego króla. Choć i teraz, jak wkrótce po śmierci Urszulki, znajdował się w „złym aspekcie" do pisania, to jednak przezwyciężył się i ułożył długą pieśń zwycięską p. t. *Epinicion*, w któréj znalazło się wszystko, co można zdziałać rutyną i biegłością pisarską, ale téż i nic nadto. Znać na tym wierszu, że autor, gdy pisał te strofy łacińskie, niemało utracił ze swéj duchownéj mocy. Tymczasem, jakby na przekór temu chwilowemu odpływowi poetyckiéj weny, był zniewolony do ciągłego płodzenia nowych utworów, co oczywiście nie wychodziło na ich korzyść. Zaledwo się uporał z *Epinicionem*, musiał zadosyćuczynić nowemu żądaniu Zamoyskiego, który, żeniąc się z Gryzeldą Batorówną, chciał swe wesele uświetnić nietylko odpowiedniém epitalamium łacińskiém (łacińskiém, bo zarówno król, jak i jego synowica, nie rozumieli po polsku), ale gorąco zapraszał poetę, ażeby osobiście przybył na tę uroczystość. Kochanowski spełnił tylko pierwsze życzenie kanclerza, pisząc swój *Epitalamion*, do Krakowa jednak, z powodu „niesposobnego zdrowia", nie pojechał. Tym sposobem, nie będąc świadkiem wiel-

kich fet na zamku królewskim, nie słyszał, jak Krzysztof Klabon odśpiewał podczas uczty jego pieśń weselną, ani jak tenże nadworny śpiewak, w dniu następnym, gdy młodéj kanclerzynie składano podarunki ślubne, wykonał z towarzyszeniem liry jego *Epinicion* na cześć obecnego króla. Zamoyski jednak, choć w roli pana młodego, nie zapominał o polityce, czego dał dowód wymowny, zwracając się z nowym żądaniem do poety, a mianowicie: żeby nie zwłócząc wziął się do napisania polskiego wiersza, opiewające waleczne czyny Krzysztofa Radziwiłła, który się tak w wojnie ostatniéj odznaczył. Wraz z listem w téj sprawie nadesłał mu dyaryusz ze szczegółowym opisem wszystkich wypadków, w których Radziwiłł brał czynny udział. Widocznie, iż kanclerzowi bardzo zależało na pozyskaniu litewskiego potentata, skoro go sobie kaptował aż poezyami Jana Kochanowskiego... W ten sposób powstała *Jezda do Moskwy*, utwór, który pospołu z dwoma poprzedniemi, miał się złożyć na całkowity obraz wielkiéj wojny północnéj, który przecież, słaby pod względem formy, świadczy nietylko o znużeniu ducha poety, ale i o jego słabnącém poczuciu artystyczném.

III.

Już w Trenie III, gdy pisał, że mu się trzeba gotować w drogę za Urszulą, i w *Epitaphium* na śmierć jéj młodszéj siostrzyczki, gdy mówił, że musi „zaraz odżałować wszystkiego, a na t r w a l s z e r o z k o s z e się chować”, poeta dawał poznać wcale niedwuznacznie, że często myśli o śmierci, że przeczuwa jéj zbliżanie się ku niemu. Jakoż „niesposobne zdrowie”, które mu się psuło coraz bardziéj, upoważniało do tak złowrogich przeczuć.

Poeta jednak, pogodny z natury, i o śmierci myślał z filozoficznym spokojem: tyle tylko, że zaczął więcéj dbać o siebie, że mniéj się wychylał z domu, że unikał męczących podróży. Choć był i drugi powód, dla którego wolał nie ruszać się z Czarnolasu: tym był wzgląd na Dorotę, która, troskliwa o męża, nie lubiła rozstawać się z nim, choćby na krótko.

> Ale mię (czego taić zgoła nie mogę),
> Niewiasta smutna trzyma: któréj gdy drogę
> Wspomionę, wnet twarz blednie, oczy łzy leją,
> A mnie patrząc, y serce, y członki mdleją.

A zresztą, po co miał wyjeżdżać, kiedy mu nigdzie — nawet w gościnie u Myszkowskiego — nie było tak dobrze, jak w domu, przy Dorocie, przy dzieciach. Tych miał czworo, bo po śmierci Urszuli i Hanny, je-

szcze mu przybyło dwoje: dwie córki, Halszka i Krystyna. Mimo to nie tracił nadziei, że go w końcu Pan Bóg obdarzy synem. Bo syna chciał mieć koniecznie.

Tymczasem, dopóki mu się rodziły córki, a sił nie przybywało, lecz przeciwnie, ubywało, troszczył się o zabezpieczenie bytu rodzinie, ale myśląc o tych ziemskich sprawach, nie zapominał i o podnioślejszych, bardziéj nieuchwytnych, do których mianowicie należała ojcowska troska o jego dzieci duchowe. „Ponieważ musi zniszczéć ciało, więc trzeba w dziełach trwały ślad zostawić po sobie...” A że te dzieła mogły mu zapewnić nieśmiertelność, o tém nie potrzebował wątpić; powodzenie, jakiém się już teraz cieszyły wśród społeczeństwa, upoważniało do podobnych nadziei. Na początku r. 1583 wyszły z oficyny Łazarzowéj — sumptem Zamoyskiego — *Epitalamion*, *Epinicion* i *Jezda do Moskwy*, a jednocześnie ukazało się drugie wydanie *Trenów* i *Psałterza*. Świadczyło to, że oba utwory cieszyły się poczytnością, że znalazły odźwięk w duszy narodu. Gdyby rzecz miała się przeciwnie, można być pewnym, że tak znakomity muzyk, jakim był Mikołaj Gomółka, nie dorobiłby swoich *Melodyi* do *Psałterza*, czém go jeszcze bardziéj spopularyzował. Wszystko to świadczyło o uznaniu, jakiém się cieszyły jego poezye.

A nie brakło i innych dowodów, stwierdzających to wybitne stanowisko, jakie poeta zdobył sobie na Parnasie polskim. Oto Jan Januszowski, księgarz-wydawca, okazał się bardzo skorym do zbiorowego wydania pism Kochanowskiego, a układy, w które z nim wszedł już w r. 1579 po wydrukowaniu *Psałterza* i *Siedmiu psalmów pokutnych*, przybrały tak pomyślny obrót, że wypadło czemprędzéj dostarczyć materyału na tom pierwszy. Poeta zaczął od *Fraszek*. Ale tu zdarzył się szkopuł, który wywołał dość długie pertraktacye pomiędzy autorem a wydawcą. Ten ostatni, otrzymawszy rękopis *Fraszek*, kiedy je przeczytał, zgorszony nieprzyzwoitością niektórych, zaproponował poecie, ażeby je usunąć. Poeta się temu sprzeciwił, a choć uznawał, że ich „pannom czytać się nie godzi”, że je ludzie za wszeteczne uznać będą mieli wszelkie prawo, to jednak oparł się wszelkim opuszczeniom, twierdząc, że mu się to nie zda, „bo to jest jakoby dusza ich”. Skończyło się na tém, że *Fraszki* zostały wydrukowane w całości. Zaraz po nich przystąpiono do druku utworów łacińskich p. t. *Carmina latina*, obejmujących cztery księgi elegii, tudzież *Foricoenia sive Epigrammata*.

I *Fraszki* i *Carmina latina*, w których nie brakło i niemniéj nieprzyzwoitych epigramatów, niż we *Fraszkach*, wyszły na początku r. 1584. Jednocześnie zabrał się poeta do kompletnego wydania swo-

ich utworów polskich... Właśnie przystępował do téj pracy, gdy nagle spadła nań, jak piorun z jasnego nieba, żałobna wieść o śmierci Jakóba Podlodowskiego. Był to najmłodszy z braci Doroty, Beniaminek całéj rodziny. Wkrótce po wstąpieniu na tron Batorego, poeta, korzystając ze swych stosunków z głównymi dygnitarzami Rzeczypospolitéj, umieścił go na dworze królewskim. Późniéj, gdy wybuchła wojna z Moskwą, Jakób podążył do Inflant, przyłączył się do rycerstwa, a w drugiéj wyprawie wsławił się dzielnością pod Toporcem. Po skończonéj wojnie, wrócił na dwór królewski, a niedawno został przez Batorego wyprawiony do Turcyi, w celu zakupu koni do stajni królewskiéj. W czasie przeprawy przez Bałkany, napadnięty przez opryszków, został przez nich dla ograbienia z piénięQdzy zamordowany sromotnie. Wiadomość o tém, tém straszniejsza, że niespodziéwana, gdy dotarła do Czarnolasu, mogła się stać przyczyną nowego nieszczęścia, bo właśnie Dorota była w stanie odmiennym... Ale dzielna niewiasta potrafiła zapanować nad wzruszeniem, tak, że zniosła cios spokojnie i z prawdziwie macierzyńskiém bohaterstwem. Poeta jednak, który widział, ile ten pozorny spokój kosztował nieszczęśliwą kobiétę, postanowił upomniéć się o zadosyćuczynienie dla niéj, uważał bowiem, że to zabicie królewskiego wysłańca, dla którego najlepszym glejtem powinien być sam urok potęgi Rzeczypospolitéj, nie mogło ujść bezkarnie, że należało się domagać przykładnego skarcenia Turków, nie przestrzegających najprostszych zasad prawa międzynarodowego. Zabili posła polskiego, a wszak to był wystarczający powód do wypowiedzenia wojny. Ta myśl, że gwoli pomszczenia téj śmierci, tak obrażającéj powagę i majestat Rzeczypospolitéj, król powinien wypowiedziéć wojnę Turcyi, czepiła się poety, jak pijawka, poprostu opętała go. Wmówił w siebie, że Batory powinien wypowiedziéć wojnę, że inaczéj skrzywdzi jego, Kochanowskiego, który mu jako poeta, opiewający jego czyny, służył tak wiernie, że mu się należy to zadosyćuczynienie etc. Tymczasem Batory bawił na Litwie, więc należało czekać, dopóki nie zjedzie bliżéj, na to bowiem, ażeby odbywać daleką podróż do Wilna, poeta czuł się zbyt podkopany na zdrowiu. Na szczęście nie potrzebował czekać długo, ponieważ Batory rozesłał listy do senatorów koronnych, z żądaniem, by na sierpień stawili się do Lublina, gdzie się z nimi w sprawach pierwszorzędnéj wagi porozumiéć pragnął. Było to bardzo Kochanowskiemu na rękę.

Jakoż, z nadejściem sierpnia, wyruszył z domu, pełen otuchy, że król wysłucha jego uzasadnionych pretensyi, a wysłuchawszy, sprawi, aby słuszności stało się zadość. „Król (rozumował sobie poeta) zabezpieczony od północy na przeciąg kilkoletni, miał ręce rozwiązane zu-

pełnie, mógł wszystkie siły przeciwko Islamowi obrócić, zgnieść wroga chrześciaństwa i stąd sobie na sławę nieśmiertelną zarobić. Kto wié, czy go nawet te same myśli nie ożywiają w téj chwili, czy z deliberacyi nad otrzymaniem rozejmu (w któréj to sprawie przybyło do Lublina specyalne poselstwo z Moskwy), nie wyniknie wojna z pohańcem, zwłaszcza, że do niéj nadarza się tak ważna, jak zabicie posła królewskiego, przyczyna." W tém przekonaniu wyjednał sobie audyencyę u króla. Nie przeczuwając zgoła, że wogóle trafia na moment, gdzie Batory z konieczności był daleki od myśli o wojnie z Turcyą, stawił się przed jego obliczem, pewny, że dopnie swego. Stefan jednak, wysłuchawszy wywodów poety, nie podzielał jego zapatrywań. „Sprawa Podlodowskiego nie dawała jeszcze przyczyny do wojny. Nie był on posłem, lecz dworzaninem królewskim, wysłanym prywatnie w celu zakupu koni; zabójstwa na nim nie dopuściła się Porta, lecz nieznani jacyś złoczyńcy; najwyżéj można było żądać wynagrodzenia i ukarania winnych, ale nadto nic więcéj." Powyższe argumenty wszakże, tak przekonywające dla każdego nieuprzedzonego, nie przekonały poety. Opuściwszy komnatę królewską, wzburzony i dotknięty do żywego, że wychodził z niczém, padł nagle, rażony apopleksyą. Stało się to d. 22 sierpnia 1584 roku.

Nagła śmierć poety, tem sensacyjniejsza, iż nastąpiła w komnatach królewskich, obiła się głośném i rzewném echem w sercach całego społeczeństwa. „Na téjże konwokacyi w Lublinie (pisze Joachim Bielski, zapisując pod r. 1584 wiadomość o zjeździe króla z senatorami) umarł Jan Kochanowski, herbu Korwin, poeta taki polski, jaki w Polsce jeszcze nie był, ani się takiego drugiego spodziewać możem." Że tego zdania był nietylko Jan Bielski, ale i naród cały, tego dowodzi chociażby ten fakt, że zaraz po śmierci poety, prawie jednocześnie, a w każdym razie w r. 1585, ukazały się dwa utwory, natchnione wieścią o zgonie Czarnoleskiego wieszcza, utwory, tem godniéjsze uwagi, iż każdy z nich „reprezentuje jeden ze stanów, które lubo pod względem politycznym nie jednakowe miały w Rzeczypospolitéj znaczenie, zawsze przecież pod względem umysłowym przedstawiały godnie u nas wiek XVI, idąc o lepsze na tém polu w zawody". Pierwszy reprezentował Sebastian Fabian Klonowicz, napisawszy *Żale nagrobne na śmierć Jana Kochanowskiego;* drugi wyobrażał Kasper Miaskowski jako autor *Lutni Jana Kochanowskiego.* A jeżeli cały naród tak głęboko odczuł stratę autora *Psałterza Dawidowego,* to o ileż głębiéj musiała ją odczuć jego „nieprzepłacona Dorota"! W każdym razie, lubo cios był bardzo ciężki, zniosła go mężnie, tak, iż uratowała życie dziecka, które już nosiła

w swém łonie, a którém miał być syn... Niestety, kiedy się urodził, ojciec się już nim nacieszyć nie mógł... Przez pamięć na swego ukochanego małżonka, Dorota, gdy przyszło do chrzcin jego ostatniego dziecięcia, dała mu na imię Jan, jednocześnie zaś, wybrawszy sobie na opiekunów Jana Podlodowskiego i Piotra Kochanowskiego, oddała się całą duszą wychowaniu dzieci i pielęgnowaniu sławy mężowskiéj, zbierając skrzętnie pozostałe po nim prace i przesyłając je Januszowskiemu do druku. „Jakoż już w grudniu 1585 r. wydaje on dzieła polskie Jana, zarówno ogłaszane drukiem, jak i pozostające dotąd w rękopiśmie, z wyjątkiem *Psałterza* i *Fraszek*, które stanowić miały osobne, po wielekroć powtarzające się wydania. Wreszcie ogłaszając w r. 1590 resztę nie wydanych utworów, objętych tytułem *Fragmenta*, dał narodowi całość dzieł poety, stanowiących artystyczny wieku XVI dorobek”. [1])

Tak się przedstawia całokształt żywota Jana Kochanowskiego, odtworzony z niemałym talentem i olbrzymim nakładem pracy przez prof. Plenkiewicza, który tą monografią wystawił sobie *monumentum aerae perennius*. Jest to nietylko jeden z najlepszych życiorysów, jakiémi się pochlubić może nasza literatura historyczna, ale i jeden z najsumienniéj opracowanych, nie mówiąc o tém, że jest jednym z najsympatyczniejszych dla polskiego czytelnika. Bo nie da się zaprzeczyć, że Kochanowski należy do najpiękniejszych postaci naszéj narodowéj przeszłości. „Wychowaniec wszechnicy krakowskiéj, dość wcześnie odczuwa naukowe jéj braki i szuka podstaw gruntowniéjszéj wiedzy

---

[1]) Dorota, po śmierci męża, odnosiła się z niezwykłą, niemal religijną czcią do wszystkiego, co było pozostałością po nim: tak dalece, iż nawet kopce graniczne, które pokopano za życia poety, chciała widzieć nienaruszone, a gdy je inni zburzyć chcieli ona wyraziła stanowcze życzenie, „iż to wszystko, cokolwiek nieboszczyk pan Jan Kochanowski wykopał, ma w pokoju zostać“ O jéj dalszém życiu wiemy nie wiele. Oddana wychowaniu córek, dwie z nich, Ewę i Poliksenę, jeszcze sama wydała za mąż: pierwszą za Filipa Owadowskiego, drugą za Łukasza Lędzkiego. Przedtém, we dwa lata po śmierci męża, pochowała jego pogrobowego syna, Jana, zmarłego w końcu r. 1586. „Dziecię to poczęte w smutku, oczekiwane wśród najstraszniéjszych katastrof, jakichby nie przeniosło wiele niewiast bez szwanku, i urodzone w sieroctwie, musiało pójść za ojcem niedługo“. W końcu roku 1599 lub na początku 1600 poszła za nim i matka, osierocając swą śmiercią dwie najmłodsze córki. Te w kilka lat po jéj zgonie wyszły za mąż, obie bardzo dobrze: Halszka za Stanisława Witowskiego, dziedzica Jedlińska, z czasem kasztelana Brzezińskiego; Krystyna za Wojciecha Michowskiego, łowczego lubelskiego.

w Wenecyi, w klasycznéj Padwie i starożytnéj Lutecyi. Wreszcie po latach kilku wraca do kraju, jako humanista wykształcony gruntownie, z zadatkami pierwszorzędnego talentu. Wśród swarów politycznych i religijnych rozterków, wśród namiętności targających sercami, stoi on zawsze spokojny, poważny, niekiedy uśmiechnięty z wdziękiem atyckim, niby posąg na niewzruszonéj, granitowéj podstawie, duchem „ponad próżne troski ludzkie" wzniesiony, szybujący myślą w obłokach. I przez pierś jego, zasobną w skarby uczucia, przepływają te same prądy, które w piersiach innych nurtują; ale choć żywo odczuwa i własne bóle i klęski lub tryumfy narodu, nigdy przecież nie daje się porwać wirem wypadków, ani zaprządz w usługi sekty lub politycznego stronnictwa. On nie wniesie, jak tylu innych współczesnych mu pisarzów, do społeczeństwa rozkładowych żywiołów, ale owszem, owe sprzeczności epoki, jak mistrz dysonanse w muzyce, we własném życiu i w pieśni do harmonii sprowadzi. Nie propaganda religijna jego gwiazdą przewodnią, ale idea piękna, zaczerpana ze źródeł greckich i rzymskich, które on po mistrzowsku wcieli w kształty mowy ojczystéj. Słowem, czego wszechnica jagiellońska z posiewu Kazimierza W. nie umiała urzeczywistnić w nauce, tego on świadomie na polu poezyi dokonał". Jako taki, „jest on jednym z najwyższych przedstawicieli cywilizacyi zachodniéj pomiędzy pisarzami XVI stulecia u nas i najdzielniejszym krzewicielem ducha humanitarnego, który był jéj wykwitem". Tak pojmuje Kochanowskiego prof. Plenkiewicz, a zgodzi się chyba każdy, że jest to jedyne stanowisko, jakie zająć się godziło biografowi autora *Trenów*. Prof. Plenkiewicz zajął je, i dlatego wizerunek poety, jaki nam nakreślił w swéj książce, da się porównać do portretu, na którym model występuje jak żywy, ze wszystkiemi swemi cechami charakterystycznemi, uderzająco podobny do siebie, nie pochlebiony i piękniéjszy, niż jest w rzeczywistości, ale prawdziwy. Prof. Plenkiewicz pisał swoją książkę — jak to widać z każdéj jéj karty—z wielkim pietyzmem dla poety, ale ten kult dla Kochanowskiego, nie zaślepiał go, nie zamykał mu oczu na wszystkie rysy charakteru człowieka z krwi i kości, i tém się książka prof. Plenkiewicza zaszczytnie wyróżnia wśród tylu innych monografii o naszych wielkich poetach... Po przeczytaniu tego olbrzymiego tomu o 661 stronach in 4-o, zdaje nam się, że Kochanowskiego jako człowieka i poetę poznaliśmy nawskróś. Prof. Plenkiewicz wtajemnicza nas bardzo subtelnie, a niekiedy i z wielką przenikliwością, w cały mechanizm psychiki czarnoleskiego wieszcza, tak, iż w końcu poufalimy się z jego piękną i niepospolitą duszą, znamy ją, zdajemy sobie sprawę z jéj wszystkich bólów, trosk i radości, wiemy co ją mogło szar-

pać boleśnie, a co przyprawiać o radość. Książka posiada ten rzadki przymiot, iż w niéj Kochanowski żyje, że czuje, cierpi, gniewa się, oburza, bywa dotknięty w swojéj miłości własnéj, lub dręczony obrażoną dumą, ma świadomość swojéj wyższości, zraża się do ludzi, przestaje kochać swoich przyjaciół, myśli o zrobieniu karyery na dworze królewskim, stara się o protekcye możnych, zmienia protektorów, lawiruje pomiędzy obozami, raz trzyma z protestantami, to znowu naraża się na zarzut odstępstwa z ich strony, trzyma się klamki wielkopańskiéj, służy biskupom, działa w ich interesie, choć często powstaje na duchownych, a znany jest ze swéj „wolnomyślności", prowadzi życie rozpustne, upija się, dba o stosunki z możnymi, nie zawsze ma słuszność, nieraz się myli, lub unosi gniewem, ma swoje uprzedzenia: słowem, żyje życiem prawdziwém, rzeczywistém, jak człowiek, który nie jest ani ideałem, ani wcieleniem wszystkich cnót i doskonałości, chociaż jest wielkim poetą. Jednemu z wybitniéjszych biografów Mickiewicza, czyni prof. Tarnowski następujący zarzut: „Jeżeli zaś wolno na ten ciąg dalszy zrobić mu jaką uwagę, to powiedzielibyśmy jedno tylko słowo: strzedz się téj admiracyi bezwzględnéj, która przedmiot swój stawia i widzi tak wysoko, jakby on ludzką istotą już nie był, a przez to w wizerunku jaki z niego robi, znamion indywidualnéj ludzkiej istoty nie zachowuje i nie nadaje". Prof. Plenkiewicz nie zasłużył na ten zarzut, bo choć pełen uwielbienia dla Kochanowskiego, jako człowieka i poety, dbał o prawdziwość wizerunku, nie idealizował go, nie upiększał, nie ubarwiał; przedstawił Kochanowskiego, jakim był[1]); sprawił, że mu czytelnik wierzy, wierząc jednocześnie, że ma dokładne wyobrażenie o Kochanowskim, że poznał jego rzetelny wizerunek. A jak się przedstawia ta podobizna? Kochanowski choć nie pochlebiony, wychodzi na niéj niezmiernie sympatycznie i ujmująco. Po przeczytaniu téj najnowszéj monografii o nim, kocha się go więcéj jeszcze, niż się kochało przedtém; i nic dziwnego, bo zasługą pozostanie na zawsze jego czcigodnego biografa, iż kult, który każdy Polak żywi w duszy dla czarnoleskiego wieszcza, pogłębił, umotywował, że nam pozwolił Kochanowskiego poznać lepiéj i bliżéj, niżeliśmy go znali dotychczas. I poeta nie stracił na tém bliższem poznaniu.

Jako człowiek, niepospolity i szlachetny z gruntu, był wdzięcznym synem, dobrym bratem, czułym i kochającym mężem i ojcem.

---

[1]) „Nie jest on w życiu tak wielkim, jak w swoich utworach (powiada o nim prof. Plenkiewicz) to prawda; ale w każdym razie żywot to czysty, bez skazy, a on sam wielce sympatyczny i godny naszéj czci i miłości."

Rodziców kochał i poważał, zarówno ojca, o którym wspomina w *Muzie*, jak i matkę, którą unieśmiertelnił w *Trenach*; o tém zaś, jak czcił pamięć obojga, świadczy ich nagrobek w Zwoleniu, na którym aż po dziś dzień czytać można między innemi, że „gdy po zgonie dobroczyńców, dla okazania im wdzięczności nader szczupłe pozostały środki, Jan Kochanowki, rodzicom najczulszym ten kamień, długo wylewanemi łzami skropiony, położył.” Jako brat, był zgodny, a choć duchem wyższy od swego rodzeństwa, nie wynoszący się ponad nie. Dość wspomniéć o jego mowie na pogrzebie najstarszego z braci Kacpra, lub o *Dziewosłębie*, rzucającym nie małe światło na jego stosunek do sióstr. Z żoną żył w idealnéj harmonii, a jak ją nietylko kochał, ale czcił i poważał, o tém świadczy jego wiersz *O dobréj żonie.* Ale bo téż i zasługiwała na to! Ona i matka jego, to — według pięknego wyrażenia prof. Plenkiewicza — jakoby dwa białe opiekuńcze anioły, które zlewają ubłogosławienie na jego laurem uwieńczoną głowę. Jedna z zaraniu żywota czuwa nad jego kołyską i pierwsze jego kroki prowadzi, rozbudza w jego duszy drzemiącą iskrę poezyi, a potém wysyła go po wiedzę do zaczarowanych krain południa, by wyrósł jéj na pociechę, a ojczyźnie na chlubę. Wreszcie do lat najpóźniéjszych wpływ nań dobroczynny nawet z za grobu wywiera. Druga, sercem przezeń wybrana, opromienia miłością zachód jego żywota, i duszą jasną, jakby słonecznéj natury, staje się źródłem jego natchnień i głowy poświęconéj koroną. A jak tamta nad kolébką opiekuńcze skrzydła roztacza, tak ona we wdowiéj szacie chyli głowę nad jego mogiłą i po kres żywota przechowuje wiernie pamięć po zmarłym.” Dzieci kochał nadzwyczaj: nie przeszkadzały mu nigdy, nawet wtedy, gdy pisał w cieniu swéj ulubionéj lipy: owszem, widząc je bawiące się nieopodal, odkładał pióro, ażeby się pobawić z niemi, popieścić je, lub używać do drobnych posług. Dla przyjaciół był wylany i szczery, a w przyjaźni stały; jeśli nim być przestał, to wtedy tylko, jeśli swego przyjaciela, jak Nideckiego np. musiał przestać szanować, jeśli go widział sprzeniewierzającego się swoim zasadom lub ideałom, jeśli w nim dostrzegł instynktów, któremi gardził w człowieku wyższym. Uważał, że jeśli się wyznaje pewne *credo* moralne, to winno się postępować tak, ażeby z niém nigdy nie być w rozterce. To była jego zasada, któréj przez całe życie przestrzegał święcie. Jéj zawdzięczając, żył tak skromnie, że, jak sam się wyraził w *Trenach*, ledwie kto wiedział o nim, co—jak słusznie uważa jego biograf — wobec rozwijającego się pieniactwa było niemal wyjątkowém zjawiskiem. A jak był szczerym w przyjaźni, z którą jeszcze łączył tak rzadkie uczucie wdzięczności za wyświadczone przysługi lub do-

brodziejstwa, tak był dobrym sąsiadem: od objęcia Czarnolasu aż po ostatni kres życia nie ma z nikim żadnego zatargu. „W gorączkowym pościgu za fortuną i on z początku szedł za innymi i przyszłość swą budował to na względach możnych, to na łaskach królewskich; w końcu jednak wzgardził tém wszystkiém, skoro przekonał się, że ani fortuny, ani wyższych dostojeństw nie zdobędzie bez poniżenia własnéj godności. Gdy mu wreszcie życie postawiło dylemat: albo dostatki w stanie duchownym bez powołania, albo szczęście rodzinne w ożenieniu się z panną bez posagu: bez wahania wybrał to ostatnie, poprzestając na tych skarbach jedynie, które znalazł w sercu ukochanéj przez się niawiasty.” Wszystko to, razem wzięte, upoważnia do wniosku, do którego w końcu charakterystyki Kochanowskiego dochodzi prof. Plenkiewicz, że jako człowiek stoi on wysoko ponad poziomem moralnym ówczesnego ogółu i wszystkiemi znakomitościami złotego wieku.

A jako poeta? I pod tym względem zdobył sobie pierwsze miejsce pomiędzy współczesnymi, a jedno z najpierwszych w całéj poezyi swego narodu. Przedewszystkiém jest to poeta-artysta w najrozleglejszém znaczeniu tego słowa, poeta, o duszy poetycznéj, wykształcony na wiecznie pięknych wzorach poezyi starożytnéj, a obdarzony poczuczuciem artystyczném, jak nimi było tylko nie wielu po nim. To pierwszy tytuł do jego chwały. Drugim jest niewątpliwie ogromny wpływ, jaki wywarł na dalszy rozwój poezyi swego narodu, poezyi, któréj słusznie może być nazwany ojcem. Bo nie należy zapominać, a godzi się podkréślić, że nietylko poeci XVI i XVII stulecia, tacy, jak Górnicki, Miaskowski, Szymonowicz, Zimorowicz i wielu innych, ale i wszyscy poeci XIX wieku, poczynając od Brodzińskiego, a kończąc na Mickiewiczu i Słowackim, kształcili się na utworach autora *Trenów*, czerpiąc z dzieł jego, niby z przebogatéj skarbnicy, mnóstwo pereł swego poetycznego języka. Wszystkie rodzaje i gatunki poezyi greckiéj i rzymskiéj, a nadto włoski sonet i canzonę on mowie polskiéj przyswoił, na jéj jałowy grunt z obcych niw przeszczepił, a jeśli się zważy ówczesny stan poezyi czystopolskiéj, która do jego wystąpienia chlubiła się jedynie Rejem i Trzecieskim, to bardzo łatwo jest się gotowym podpisać pod pytaniem prof. Plenkiewicza, zali Kochanowski nie dokonał większego przewrotu w poezyi ojczystéj, niż romantyzm XIX wieku. „Ten przynajmniéj miał bogate zadatki z przeszłości: język wyrobiony przez pisarzów XVI i XVIII stulecia, no, i jakby zaczątki nowego zwrotu w poezyach Karpińskiego i Kniaźnina. Do czasów zaś Kochanowskiego nie było nawet języka, któryby godnie mową bogów przemawiał. On to wszystko, co istotę poezyi stanowi, albo

wysnuł z własnego ducha, albo z pod nieb obcych sprowadził." Ale choć można powiedziéć o Kochanowskim, że stworzył język poetycki polski, język, który aż po dziś dzień, po trzech wiekach, nie traci swéj piękności i woni, to jednak nie tu kończą się niespożyte zasługi jego, jako poety. Bo zaprzeczyć się nie da, że wcale niemniejszą rolę, niż ta, jaką gra w dziejach naszéj poezyi, gra on i w dziejach naszéj narodowéj cywilizacyi. „Jak Kopernik dowiódł, że nie słońce około ziemi się obraca, ale ona jego prawom podlega, tak Kochanowski, stając na gruncie wszechświatowym, wytknął dla poezyi polskiéj nieomylne drogi dalszego jéj rozwoju. Zamiast zasklepiać się wyłącznie w narodowym partykularyzmie, ma ona ciążyć ku słońcu cywilizacyi powszechnéj i od niego, dla rozwinięcia w pełni swych czysto swojskich pierwiastków, przejmować ciepło i życie." To piętno europejskości, które Kochanowski wycisnął na wszystkich swoich utworach, to jedna z jego największych zasług: on pierwszy wprowadził „młodą muzę słowiańską" na europejski Parnas, a uczyniwszy to, nie należy wyłącznie do polskiéj poezyi jedynie. Jakie jest jego stanowisko w poezyi wszechświatowéj? Zdaniem prof. Plenkiewicza, „nie zajmuje on w literaturze powszechnéj stanowiska, jakie się gieniuszom należy; owszem, jest ono skromne, co najwyżéj środkujące pomiędzy Horacym a Ronsardem, boć i oni urośli przyswajaniem obcych pierwiastków, każdy dla poezyi swego narodu; ale pomimo to, jest on wielki w tych ograniczonych dążeniach, bo co zamierzył, na wielką stopę dokonał: stąd wart *czegoś więcéj* nad skromny pomnik w kaplicy kościoła parafialnego w Zwoleniu."

Tém „czémś więcéj" jest — jak na teraz — *Wydanie pomnikowe* jego dzieł, oraz pomnikowa monografia o nim, skréślona przez Romana Plenkiewicza.

Ferdynand Hoesick.



ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

Ks. Karol Niedziałkowski. „Wrażenia z pielgrzymki do Ziemi świętéj“. Z licznemi ilustracyami w tekście. Petersburg. Nakładem księgarni K. Grendyszyńskiego 1898 r.

„Księżyc wzniósł się już wysoko i zlewał światło tak silne, że ledwo większe gwiazdy widać było na niebie. Na ziemi zaś popielate, bezdrzewne góry szerokim pierścieniem legły dokoła i szarzały smutnie w błyszczącéj jasności. Wśród nich, otoczona murami, strzeżona licznemi basztami, leżała Jerozolima senna, cicha, spokojna. Leżała jakby jakaś szara granitowa masa, z któréj tu i owdzie podnosiły się większe budynki, strzelały w górę wieże, baszty, minarety: tu oto kościół patryarchatu łacińskiego o łukach i szczytach gotyckich; wprost na południe cytadela ze swojemi staremi wieżami, a za nią Syon; w dole kopuła kościoła Grobu Pańskiego; wyżéj znowu, na tle góry Oliwnéj, inna kopuła meczetu Omara... Ileż to setek tysięcy pielgrzymów stało tak samo o zmroku, albo w ciszy nocnéj — opartych o obwarowanie tarasu, zapatrzonych w dal szarą! Przed oczyma ich duszy przechodziły zapewne postacie wielkie, potężne, grzeszne i straszliwe,—widzieli w tajemniczym mroku przesuwających się proroków, królów, apostołów, biskupów, patrzyli na oblężenia, szturmy, na pałace, twierdze, wspaniałe gmachy, na ich pożary, burzenie, ruiny, widzieli zapewne krzyż tam w dole i miotające się koło niego tłumy, i walkę straszną, i wszystkie okropności oblężenia, i ucisk, jakiego nie było i nie będzie... Wszystko to teraz przeszło. Przeminęły dnie chwały, przebrzmiały jęki rospaczy

oddawna pod murami Jerozolimy nie słychać chrzęstu broni nieprzyjacielskiéj, a nad miastem spokojnie panuje półksiężyc turecki, niedołężny i ospały. Cicho dziś w Jerozolimie, tylko u stóp murów dawnéj świątyni płaczą czasami resztki odrzuconego narodu, tylko w jasną noc księżycową w grotach podziemnych płoną tajemniczo lampy złociste, a dusze pobożne ślą ciche westchnienia ze wzruszonéj piersi"...

Rzewny, smętny, uroczy ten obrazek z „Pielgrzymki do ziemi świętéj" ks. Karola Niedziałkowskiego doraźnie a mimo naszéj woli chwyta i pociąga myśl i wyobraźnię naszą na szlaki, któremi przed kilkudziesięciu laty przebiegała tęskna, poetycka, rozmarzona, rozmodlona dusza księdza Ignacego Hołowińskiego. Poznajemy tu, w odwzorze wiotkim i skróconym, wykwintny styl tłómacza Szekspira i Petrarki, gorące tchnienie twórcy epopei „Dzieciątka Jezus", roziskrzony ponurém na tle sposób obrazowania autora najgłośniejszéj w swoim czasie a i podziśdzień wycieczki — ku miejscom, gdzie się spełnił radośny cud odkupienia rodzaju ludzkiego, gdzie się odbyła największa, najgłębsza i najpłodniejsza rewolucya spraw i przeznaczeń człowieka. Istotnie przemierzając oczyma tę luźną, ze środka książki ks. Niedziałkowskiego wyrwaną kartkę, doznajemy złudzenia, żeśmy na ustęp z dzieła ks. Hołowińskiego trafili, że własne jego słowa słyszymy: „Jest to prawdziwe Jeruzalem, czyli widzenie pokoju grobowego, pokoju śmierci... Zdaje się, że śmierć Zbawiciela rzuciła wieczną żałobę na to miasto"...

Podobieństw zresztą — oczywiście nader zaszczytnych zarówno dla wzoru jak i dla odwzoru — wyszukaćby można poczet niemały nawet w architektonice „wrażeń" ks. Niedziałkowskiego. Uderzają one głównie w nieustającém przeciwstawieniu opisów teraźniejszości, tego co się widzi i co pozostało w Palestynie z tém, co się zaledwie utrzymało w tradycyi, legendzie lub przypomnieniu biblijném. U Hołowińskiego płynęły te antytezy pełnemi rzekami, u ks. Niedziałkowskiego — zaledwie strumykami chudemi, ale spotykamy je wszędzie. Nie dopłynął jeszcze podróżnik do brzegu, nie dotknął się stopą stałego lądu, z oddalenia dopiéro spostrzega Jaffę,— a już erudycya święta zasłania przed nim widnokrąg rzeczywistości i zachęca do odgadywania faktów istniejących ze zdarzeń minionych, a nawet z odgłosów przebrzmiałych. Mam przed sobą — pisze z pokładu statku — „miasto najstarsze na świecie, bo podanie utrzymuje, że Noe tutaj budował arkę i że Jafet wzniósł na nowo zburzone przez potop miasto. Trwając tak długo, ma ono oczywiście nader bogatą historyę". Bardzo być może, że bogactwo to nie jest urojone, przypuśćmy jednak na chwilę, że Jaffa nie ma wcale przeszłości

dziejowéj: czyliż bylibyśmy w takim razie zupełnie pewni, że nikomu nie przyszłoby do głowy stwarzać ją *ad hoc*, dla ocalenia lub poparcia podania o arce Noego i Jafecie? Przecież sam hr. Stanisław Tarnowski otwarcie wyznał w swoich „Wakacyach“, że podobne miraże, bibliotecznego przeważnie autoramentu, napastowały go wszędzie, pod Gdańskiem, w Warmii, na ulicach Kijowa, przed bramami Wilna, wśród bezleśnéj już prawie, gościńcami pociętéj kowieńskiéj doliny Mickiewicza. A cóż dopiéro, gdy do współki z mirażami występują jeszcze takie przygody osobiste, jak ta, która właśnie w porcie Jaffy nawiedziła autora. Nietylko, niestety, nie zdołał on przypomnieć sobie bogatéj historyi miasta, lecz nawet nie zdążył popatrzéć na nie. „Nabrawszy bowiem otuchy — opowiada on, — że oto w końcu jesteśmy u celu, wstałem z mego łoża, niekoniecznie wygodnego (była to ogrodowa ławka z grubych prętów) i po herbacie wyszedłem na pokład: tu znowu spotkałem się z morską chorobą. Siedziałem więc zbiedzony na ławce, wyglądając co czas pewien ku morzu; i tak mnie nic nie obchodziło, że gdybym był wówczas zobaczył, jak Perseusz leci wyzwalać Andromedę (co tu miało się stać), tobym obojętnie machnął ręką — a niech sobie leci, kiedy mu pilno”...

Trzeba wszelakoż wyznać, że się tym razem sprawdziło przysłowie: nie ma złego, coby na dobre nie wyszło. Uwydatnienie licznych przykrości spotkanych — i w ogólności tak często spotykanych w podróży, znacznie, jak przypuszczamy, przyczynić się musiało do uszczuplenia w „Pielgrzymce“ ks. Niedziałkowskiego najrozmaitszego rodzaju uwag i zastanowień scientyficznych, — obyczajowych, dogmatycznych, geograficznych, starożytniczych i t. d., przeciążających „Pielgrzymkę“ ks. Hołowińskiego. Archeologia np., zagarniająca w pięciotomowéj pracy Hołowińskiego część przynajmniéj siódmą lub ósmą, sprowadzoną została u ks. Niedziałkowskiego do kilkunastu co najwyżéj kartek, na ogólną liczbę stronic 514-tu; nowoczesny nasz podróżnik poprzestaje zazwyczaj na krótkich w tym zakresie zaznaczeniach encyklopedycznych, téj oto osnowy: „Lydda (Dispolis, dawniéj Lod) odgrywająca pewną rolę w historyi kościelnéj, że tu św. Piotr uzdrowił paralityka Eneasza i że tu w r. 404 miały być pochowane zwłoki patrona Wschodu św. Jerzego, umęczonego za Dyoklecyana w Nikomedyi“. „Ramleh, dawna Arymatea, skąd pochodził Józef i Nikodem“. „Aakir, dawne Akkaron, niegdyś stolica jednéj z pięciu satrapii filistyńskich; tu niegdyś była wyrocznia, do któréj Ochozyasz, król izraelski posyłał z zapytaniem, czy wyjdzie z choroby”. Wszystkie te miejscowości położone są przy drodze żelaznéj z Jaffy do Jerozolimy i ogląda się je albo z okna wagonu albo oczyma duszy. W saméj Jerozoli-

mie, następnie zaś w Betlejemie i Nazarecie, autor znacznie więcéj miejsca poświęca zabytkom przeszłości, chociaż i tu doskonałe nieraz usługi wyświadcza formuła stereotypowa: „można wiele ciekawych opowiadań czytać w kronikach, pomijam je jednak, bo nie piszę historyi tego kraju" (str. 158).

Za to w ustępach polemicznych ks. Niedziałkowski bynajmniéj już i w niczém nie ustępuje znakomitemu swojemu poprzednikowi. Nie broni wprawdzie przy lada sposobności, jak ks. Hołowiński, nauk kościoła o odpustach, nie usiłuje wykazywać dobroczynnego wpływu dogmatów na moralność, nie przekonywa o niezbędności postów i fizycznych umartwień ciała z powodu wypadków tak nieskończenie błogich i zbawiennych dla ludzkości, jak Narodzenie lub Zmartwychwstanie Chrystusa. Wzrastający sceptycyzm wieku, coraz bardziéj usuwa na plan dalszy zagadnienia téj kategoryi obrzędowéj, upodrzędniając je i lekceważąc. Co innego w punktach bezpośrednio się wiążących z kanonicznemi podstawami wiary. Kto w Hołowińskim zapamiętał ostrą krytykę katolickich poglądów Poujoulat'a, nie zdziwisię téż i w Niedziałkowskim surowości tonu, z jakim np. potraktowane zostało protestanckie dzieło Ebersa i Guthego „*Palästina in Bild und Wort*". „Czytając powyższe dzieło — powiada autor — miałem próbkę postępowania protestanckich ortodoksów, za jakich obaj ci uczeni chcą uchodzić. Oto najpierw dość było, żeby napotkali jakiekolwiek podanie, przywiązane do pewnego miejsca czy budynku, żeby wszelkich używać starań do obalenia go, chociaż najczęściéj nic pewnego natomiast podać nie umieli. Taki to już protestancki duch przeczenia i przekory. Jeszcze gorszy sposób ich postępowania względem Jezusa Chrystusa. Okazują mu w słowach najwyższą cześć i stale nazywają Zbawicielem (*unser Heiland*), tymczasem również stale starają się wszystkie Jego cuda tłumaczyć sposobami naturalnemi, stawiając go w alternatywie, że albo nie wiedział co robił, albo udawał dla dobra ludzkości. To pewna, że taką samą cześć oddawali Zbawicielowi żołnierze, którzy przed nim klękali i bili trzciną po głowie, wołając: witaj królu żydowski."

Ze swojéj strony, ks. Niedziałkowski, dla uzasadnienia cudu, cudowności, posługuje się metodami, których miano przynajmniéj, jeśli nie rzecz, przed sześćdziesięciu laty nie mogło być znane ks. Hołowińskiemu. Są to metody pozytywne, pozytywistyczne, wychodzące zawsze, jak wiadomo, z przysłowiowego niemal założenia: niech starczy fakt za racyę. Faktem jest — zapewnia np. ks. Niedziałkowski, że w d. 10 maja 1291 r. mieszkańcy dalmatyńskiego miasta Tersatu, leżącego w pobliżu Fiumy, tuż za miastem, na stoku małego wzgórza „spostrzegli stojący domek, którego tu pierwéj nie było... Była to

czworograniasta budowla bez fundamentów, jedném tylko zaopatrzona oknem i jednemi drzwiami. Ściany, wzniesione z czerwonego kamienia, mieściły wewnątrz malowidła, przedstawiające sceny z życia Najśw. Panny, mianowicie tajemnicę Zwiastowania, podczas gdy sufit na tle niebieskiém ozdobiony był gwiazdami. W jednym rogu znajdował się ołtarz kamienny, a nad nim malowany obraz Ukrzyżowanego; po prawéj stronie ołtarza stała we framudze statua z drzewa cedrowego, przedstawiająca Najśw. Pannę z Dzieciątkiem na ręku, a tuż obok szafka z naczyniami" (str. 404). Faktem jest również, że we trzy lata i siedm miesięcy późniéj, a mianowicie 10 grudnia 1294 r. „domek ów podniósł się w górę i zniknął z oczu z a s m u c o n y c h mieszkańców Tersatu, a przeniesiony po nad morzem rękami aniołów, osiadł we Włoszech, najpierw w lasku wawrzynowym przy Rekanati, a wkrótce potém na najbliższém wzgórzu, wreszcie w Lorecie, gdzie się téż do dziś dnia znajduje". A ponieważ: 1-o, w Nazarecie, na miejscu, gdzie się dziś wznosi kościół Zwiastowania, znajdowało się w dniach Odkupienia mieszkanie Najśw. Panny, złożone „z dwóch grot i dwóch przyległych murowanych pokoików" (9 metrów 55 centymetrów długości i 4 metry 9 centym. szerokości) — i tu właśnie „odbyła się tajemnica Zwiastowania" (str. 403); ponieważ 2-o, w dniu ukazania się domku w dalmatyńskim Tersacie miejscowy proboszcz, Aleksander Giorgio, oświadczył, iż miał widzenie, jakoby to był ten sam przybytek, „w którym Słowo stało się ciałem", oraz, „że ten ołtarz postawił św. Piotr i Ofiarę św. na nim sprawował, że wreszcie krucyfiks i statua są dziełem św. Łukasza"; ponieważ 3-o, wysłani na razie, z rozkazu cesarza Rudolfa I, delegaci stwierdzili w Nazarecie, „że domek Najśw. Panny został oddzielony od fundamentów i że fundamenta, które jeszcze istniały, zupełnie się zgadzają z domkiem znalezionym w Tersacie", — przeto, niech tam sobie ludzie, uważający się za należących do „postępowéj inteligencyi", uśmiechają się z politowaniem i twierdzą, że cud jest niemożliwym... „Odpowiem im na to,—pisze podróżnik—że w i d o c z n i e jest możliwym, skoro był, bo f a k t s p e ł n i o n y jest najlepszym dowodem, że mógł się spełnić; takim faktem jest znajdowanie się domku nazareteńskiego w Lorecie" (406).

Po za tém,—to jest po za wytknięciem logicznych trybów dowodzenia myśliciela-kapłana należałoby jeszcze podnieść główne cechy odtwórczego talentu artysty, zwłaszcza jako malarza krajobrazów, które w literaturze podróżniczéj stawiane są zazwyczaj na naczelném miejscu. Pod tym względem, oprócz przytoczonego księżycowego pejzażyku Jerozolimy, paralela z ks. Hołowińskim wykazałaby same już tylko niemal różnice. Pomimo reminiscencyi i metafor poetyckich

z cmentarnego, umarłego świata, pomimo mistycyzmu i fantasmagoryi legendowych, odgrywających rolę obłoków na nużąco jednostajném tle przezroczystego nieba palestyńskiego, jest Hołowiński wszędzie, bez przerwy prawie, wzruszonym, rozmarzonym, zachwyconym, podnieconym na widok skał i piasków, których się dotykały stopy Jezusa. Wyobraźnia ks. Niedziałkowskiego zrywa się do lotu wtedy tylko, kiedy refleksya poda jéj skrzydła. Rzetelne, formalnie w Piśmie Ś-em zaznaczone ślady promiennych lub łzawych i krwawych początków Chrystyanizmu gorąco przemawiają do jego pobożnéj, uroczyście nastrojonéj duszy.. Co by się jednak tyczyło materyalnego otoczenia wspaniałéj i wiekopomnéj téj akcyi...—ba! przemówiłoby i ono, gdyby się zjawił św. Jan Chrzciciel, lub choćby tylko św. Tomasz niewierny i zaświadczył gestem, skinieniem głowy, że z tego powietrza, którém Chrystus oddychał, z téj wody, którą grzechy świata obmywał, istotnie zachowała się po dziś dzień bodaj jedna autentyczna kropla. Ale, że cuda takie, jakkolwiek zawsze możliwe, coraz rzadziéj za dni naszych się zdarzają, przeto i wędrówka bez nich, wśród najpiękniejszych nawet okolic, ciągnie się oschle, leniwo, ospale, zahaczając nieustannie zapał i natchnienie pątnika o jakieś prozaiczne „albowiem", „ponieważ", „dla tego"... „Wyjechaliśmy w góry; są one bardzo różne od wszystkich, jakie widziałem; zwykle bowiem góry są spiczaste, tutaj zaś przeważa forma bardzo długich, ogromnych wałów kamiennych; ostre szczyty są rzadkie. Wydały mi się one lepiéj, niż sądziłem. Prawda, że są to skały, ale nie tak zupełnie nagie, jak się spodziewałem; tu i owdzie czepiają się ich krzaczki dębiny karłowatéj; dość często można spotkać drzewa oliwne, rosnące, nie wiem jakim sposobem, na skalistym gruncie, czasem nawet widać całe ogrody oliwne. Niestety i ta skromna roślinność coraz bardziéj znika, bo mieszkańcy wyrywają drobne drzewka z korzeniem i wiozą do Jerozolimy na opał"...

Na téj szaréj i pod względem obrazowości pustynnéj równinie konsyderacyi opisowych zamigoce niekiedy jaskrawsza plamka *genre*'u—anegdotka, żart, scena drażliwsza; ale i ona natychmiast idzi. do torebki, przeznaczonéj wyłącznie na obrok duchowny dla czytelnika „Nim zasnąłem, wysłuchałem koncertu i to jednego z najosobliwszych; niedaleko od mojéj celi musiał być jakiś klub niemiecki, czy sala dla śpiewów, bo właśnie z niéj dochodził mnie bardzo wyraźnie śpiew ze dwudziestu dobranych męzkich głosów, śpiewających *unisono* zdaje się po niemiecku. Melodya i sposób śpiewania były tak szczególne, że nic podobnego nigdy nie słyszałem, nie potrafię też powiedzieć, co by to być mogło, bo rodzaj zupełnie mi nieznany, ale że ładny, więc mi przykrości nie sprawił, owszem — słuchałem z zajęciem i przyjemno-

ścią... A może to masoni, których tu (w Egipcie) jest kilka lóż, śpiéwali hymny na cześć swego boga — Lucyfera lub szatana?" (str. 477).

Dodajmy w końcu, jako ważną okoliczność łagodzącą, że najsłynniejszych, najbardziéj malowniczych zakątków Palestyny ks. Niedziałkowski nie zwiedził. Koléj żelazna sprawiła, że w drodze z Jerozolimy do Nazaretu pominąć wypadło czarujące pobrzeża jeziora Genezaretu, nad którém urosła chwała Jezusa, jako mędrca, proroka, opiekuna dziatwy, pocieszyciela ubogich, uzdrowiciela dotkniętych niemocą śmiertelną, gdzie Święta Rodzina często szukała przytułku w swych wycieczkach paschalnych. Nie wstępował też nasz podróżnik na wspaniałą górę Przemienienia — na Tabor i słusznie dziś czyni, gdy próbuje zażegnać nasz żal z tego powodu, — powiadając: „Jeśli pielgrzym nie mógł się pomodlić na świętém miejscu, to turysta pocieszał się, że przykrość ze względu na piękność natury nie była znowu tak wielką. Tabor stracił w większéj już części zieloną szatę, jaką miał dawniéj. Pozostało jeszcze trochę dębów tkwiących co kilkadziesiąt kroków w spalonym i szarym gruncie, na szczycie rosną tylko dzikie krzaki i karłowate drzewka. Nie ma już rozłożystych i cienistych drzew, które ks. Hołowiński wspomina" (414). *I. T. Hodi.*

Ignacy Matuszewski. — „Swoi i obcy" (pokrewieństwa i różnice). Zarysy literacko-estetyczne. — Warszawa. Gebethner i Wolf. 1878. In 8-o Str. 512.

Krytyczne prace Ignacego Matuszewskiego, pomieszczane w warszawskich pismach peryodycznych, a wyróżniające się zawsze wielką barwnością słowa i bezstronnością, budziły żal w uważniejszych czytelnikach, jako skazane na pogrzebanie w dziennikarskiéj bibule. Autor uchronił je od zagłady, zebrawszy w książkę wybór i dopełniwszy go w miarę potrzeby. Matuszewski jest jednym z niewielu naszych krytyków interesujących się dziejami literatury, powszechnéj i niepowszednio w tym przedmiocie oczytanych; poszukiwania, w tym kierunku przedsiębrane, wyrobiły w nim niepospolite znawstwo obcych piśmiennictw, gruntowność i dojrzałość sądu, chroniąc zarazem od jednostronności, tak często spotykanéj u naszych domorosłych krytyków. Jedną z najbardziéj charakterystycznych cech Matuszewskiego jest również w wysokim stopniu rozwinięta umiejętność przejmowania się współczesnemi mu prądami myśli ludzkiéj; najlepszy dowód tego stanowi jego praca: „Czarnoksięstwo i mediumizm" (1896), poważny wyraz zapatrywań naszego uczonego na sprawę, która w swoim czasie zajmowała wszystkie wybitniejsze umysły europejskie.

Zebrane w harmonijną całość „zarysy literacko-artystyczne" są właściwie w przeważnéj części wyczerpującemi przedmiot studyami, zaznaczającemi „pokrewieństwa i różnice" pomiędzy arcydziełami obcéj i swojskiéj literatury. Obok Byrona, Shelley'a i Alfreda de Vigny, stają Mickiewicz i Słowacki... Poglądy Taine'a, Guyau, Verona i Hennequina na subiektywizm w sztuce bywają zestawiane z cytatami z Mickiewicza i Krasińskiego... w charakterystyce Prusa znajdujemy porównania naszego powieściopisarza z Balzakiem i Dickensem.

Rozpoczyna książkę studyum p. t. „Subiektywizm w krytyce". Jest to „wyznanie wiary" Matuszewskiego — wykład jego poglądów na sztukę i krytykę. Położywszy nacisk na to, że subiektywizm i obiektywizm są to pojęcia względne, autor określa, czém jest w procesie twórczym podmiotowość, któréj rola, upośledzana w czasach stosowania teoryi Horacego, Arystoteles'a i Boileau, odzyskała po ich zbankrutowaniu należne sobie względy. Naturalnie, że i zadanie krytyki stało się wtedy inne — jako rezultat subiektywnéj pracy, wzniosła się ona na wyżyny sztuki. Tylko nieporozumienie powodować może spór o subiektywizm, albo obiektywizm, ponieważ niezależnie od subiektywnéj, estetycznemi, względami powodującéj się krytyki, zabiera głos krytyka obiektywna, naukowa lub moralna, zastanawiająca się nad stosunkiem dzieła do materyału i ważąca etyczne oraz społeczne jego znaczenie. Że zaś oba te rodzaje krytyki przeplatają się ustawicznie ze sobą, więc — jak słusznie twierdzi autor — nawet najwrażliwszemu i najzdolniejszemu krytykowi, nie wolno być nieukiem.

Bolesławem Prusem i Henrykiem Sienkiewiczem zajmuje się Matuszewski w trzech dużych studyach, z których naczelne rozpada się na dwie części: Prus „jako artysta i filozof" (z powodu powieści „Emancypantki") i „zwrot w jego twórczości" (z powodu powieści „Faraon"). Pierwsza z nich daje nam wyczerpującą charakterystykę twórczości znakomitego powieściopisarza, drugą zaś — szczegółowy rozbiór Faraona, z naukowego i estetycznego punktu widzenia. W ślad za tém idzie analiza krytyczna dwu ostatnich utworów Henryka Sienkiewicza: „Rodziny Połanieckich" i „Quo Vadis", traktowana porównawczo i dająca doskonałą charakterystykę autora. Cykl krytyczny, poświęcony Dioskurom naszego powieściopisarstwa, zamyka paralela — „Prus i Sienkiewicz", napisana nie dla wykazania wyższości którego z nich, lecz dla uwydatnienia ich odrębności. Zastrzegając się we wstępie, że „dla pewnych grup i jednostek zawsze wyższym będzie jeden, dla innych — drugi", Matuszewski dochodzi do następującéj konkluzyi: „Sienkiewicz i Prus — to talenty wielkie, lecz różnorodne w typie, dążeniach i formie. Obaj są poetami pierwszéj wody, ale kiedy Sienkiewicz idea-

lizuje świat zmysłowy, wykazując ile w nim jest ładu, składu i piękna, Prus, mniéj nieco czuły na harmonię zewnętrzną, stara się natomiast uchylić rąbek zasłony, skrywającéj wewnętrzny porządek istnienia".

Idące z kolei trzy studya są poświęcone Słowackiemu. W pierwszém z nich „Słowacki i Shelley" zestawia Matuszewski obu poetów, opiérając się na ich utworach, osnutych na jednéj i téj saméj kanwie, a tak odmiennie przeprowadzanych. Sz. krytyk, wbrew przypuszczeniom p. Tadeusza Pini'ego (patrz „Ateneum", maj 1897), twierdzi, że Słowacki, tworząc „Beatryks Cenci", nie znał „Rodziny Cencich" Shelleya. W następném studyum „Mistyczne pisma Słowackiego w zestawieniu z doktrynami współczesnego okultyzmu" krytyk, opiérając się na głównych zasadach jednych i drugich, roztrząsa ich podobieństwo i wykazuje potrzebę badania dotychczas zaniedbywanych dzieł Słowackiego z mesyanistycznego okresu, z pomocą klucza, znajdującego się w filozoficznych pismach poety. W ostatnim z tego cyklu studyum, p. t. „Geneza i znaczenie Eloi Słowackiego", dowiódł Matuszewski, że powiewna ta postać z poematu „Anhelli" przejętą została przez naszego poetę z poematu Alfreda de Vigny „Eloa".

Mówiąc o Słowackim, trudno było przemilczéć o Byronie, któremu téż z kolei poświęca Matuszewski obszerne studyum, p. t. „Lord Byron i wpływ jego na literaturę polską". W pierwszych dwu częściach daje nam autor szczegółowy życiorys, doskonałą charakterystykę tego „największego po Szekspirze wieszcza Brytanii" i wyczerpującą analizę jego utworów, nietylko wybitniejszych, lecz i tych, które dotychczas mniéj zaszczycane były uwagą krytyki; w trzeciéj części pracy swéj, dla nas najciekawszéj, wykazuje wpływ Byrona na Malczewskiego, Mickiewicza (prawie że wyłącznie „Wallenrod"), Krasińskiego, Słowackiego (wpływ najsilniejszy: w szeregu młodzieńczych utworów, w „Arabie" — „przebajronizowanie Byrona, w „Wacławie", „Kordyanie", w dźwięcznych sekstynach, „Podróży na Wschód" i w cudnych oktawach „Beniowskiego"), a także i na mniéj wybitnych poetów, jak: Korsak, Witwicki, Garczyński, Olizarowski, Zmorski, Żeligowski, Żmichowska, Norwid, Wolski, Korzeniowski, Miron, Berwiński. W studyum poświęconém Byronowi, znajdujemy nieliczne wprawdzie, lecz odznaczające się wiernością przekłady z tego poety, dokonane przez Matuszewskiego, a dowodzące, że jest on nietylko wybitnym krytykiem, lecz zarazem sumiennym i uzdolnionym tłómaczem.

Przedmiotem dla naszego piśmiennictwa zupełnie nowym, a niepospolicie ciekawym, zajmuje się Matuszewski w studyum „Ideał bohatértwa w dramacie staroindyjskim". Znajdujemy tu zestawienie idealnego typu bohatéra staroindyjskiego, króla Hariczandry, z boha-

térem chrześciańskim kalderonowskim „Księciem Niezłomnym", które to dzieło Słowacki tak świetnie na nasz język przełożył; podobieństwo losu i charakterów kalderonowskiego infanta, Don Fernanda, i króla Hariczandry istotnie jest uderzające bez względu na czas powstania i miejsce akcyi.

Również dla nas nowy, a nie mniéj ciekawy przedmiot porusza Matuszewski w pracy swéj „Bohatérowie Jasełek", poświęconéj stałym typom teatru ludowego w Europie. Rzecz ta, drukowana niedawno w „Tygodniku Ilustrowanym", jest lepiéj znana niż inne prace sz. krytyka, zaznaczamy ją więc tylko z obowiązku sprawozdawczego, aczkolwiek zasługuje na szersze omówienie, jako studyum, wyczerpujące przedmiot i zawierające, zdaje się, że pierwszą w naszém piśmiennictwie obszerniejszą wiadomość o dziejach naszéj szopki i rozmaitych jéj typach.

Zamyka książkę dział zatytułowany „Drobiazgi i szkice krytyczne", rozpoczynający się doskonałym szkicem o Torkwacie Tassie, w którym czytelnik znajduje gorącą zachętę do czytania „Jerozolimy Wyzwolonéj" w przekładzie Piotra Kochanowskiego. W „Liczmanach myśli i mowy" roztrząsa autor banalne, wszędzie powtarzane ogólniki i dowodzi, że te oklepane frazesy naszych upodobań powstały dzięki bezmyślnemu rozciągnięciu znaczenia pewnych twierdzeń, skądinąd posiadających nawet wartość w zakresie swoim. Rozprawa „Estetyka i publiczność" daje autorowi sposobność do wypowiedzenia gorzkich *Verba veritatis* naszym salonom i naszym pięknym paniom, napozór namiętnie, w istocie zaś chorobliwie zajętym pięknem, lecz tylko tém, które jest w modzie. Słusznie nazywa Matuszewski: aktualność, felietonowość, bezmyślność i modę czterema banalnemi obliczami estetyki popularnéj końca XIX wieku. Wogóle charakteryzuje on te sfery tak dobitnie i trafnie, że trudno się powstrzymać od przytoczenia zdań paru: „tonąc po uszy w lekkich szumowinach fałszywie pojętego modernizmu, ignoruje się rzeczy prawdziwie nowe i dobre, oraz całą potężną, spiżową twórczość przeszłości, chyba, że jakiś szczególny wypadek (rocznica i t. p.) zwraca na chwilę w tym kierunku uwagę. Poezya i sztuka są najczęściéj dla ich licznych czcicielek środkiem, nie celem,—efektem kokieteryjnym, nie przedmiotem kultu. Pozuje się na zwolenników piękna dlatego, żeby się wyróżnić z szaréj masy, ale w gruncie rzeczy owo piękno mniéj ma znaczenia, niż eleganckie portyery, meble i tapety. Prawdziwego głębokiego poczucia, bezinteresownego zamiłowania i istotnéj znajomości sztuki i literatury nie ma po za kołami specyalistów prawie wcale, — i na tym punkcie koniec XIX-go wieku

stoi znacznie niżéj od innych okresów dziejowych, kiedy to nie liczba, lecz jakość głosów decydowała o losach twórczości artystycznéj."

Książka Matuszewskiego, choćby ze względu na samą śmiałość i niezależność sądu, pomijając już inne jéj zalety z samém nazwiskiem autora związane, jest jedném z najpożyteczniejszych i najbardziéj sympatycznych wydawnictw, jakie się w ostatnim czasie pojawiły.

NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

= *A. K. Puzyrewski.* **Wojna polsko-ruska 1831 r.**, wydanie przerobione, poprawione i uzupełnione. Warszawa, 1897—98. — Książka, któréj przekładu podjęła się wielce dawniéj ruchliwa firma M. Orgelbranda, powstała na tle ściśle pedagogiczném, jako zcalenie prelekcyi wykładanych przed laty w petersburskiéj akademii wojskowéj,—i charakter ten zachowała w edycyi drugiéj, pomimo uzupełnień, zwiększających jéj objętość wdwójnasób. Widać tę specyalność szczególnie w aneksach, obejmujących najprzód mapy i plany bitew, następnie obszerny memoryał generała Prądzyńskiego, skréślony nazajutrz po wypadkach z polecenia cesarza Mikołaja I-go. Tekst, jakkolwiek zupełnie popularny, dostępny każdemu średnio-wykształconemu umysłowi, nosi na sobie cechy szkolnéj genezy dzieła: ścisłość, zwięzłość, dokładność, — przedewszystkiém zaś bezstronność, nie ukrywającą nigdzie ani zalet przeciwnika, ani usterek lub błędów własnych. Dla dania niejakiego wyobrażenia o stylu autora i sposobie przedstawiania wypadków, przytoczymy choć parę wierszy z ostatniego, dotąd wydanego zeszytu. „Pod koniec bitwy pod Grochowem, Chłopicki spodziéwał się, że mu się uda jeszcze zmienić obrót sprawy na swoją korzyść; w tym celu kazał Krukowieckiemu zwrócić się ku laskowi, a Łubieńskiemu z jazdą poprzéć zamierzony atak; ale ten ostatni nie uważał się za obowiązanego do posłuszeństwa i nie spełnił rozkazu, znajdując, że miejscowość nie nadaje się do działania jazdy, przyczém oświadczył, że spełni jedynie formalny rozkaz naczelnego wodza (którym nominalnie był książę Radziwiłł). Wtedy Chłopicki udał się do Radziwiłła z prośbą o zmuszenie Łubieńskiego do posłuszeństwa. Wracając stamtąd, był raniony odłamem granatu i uniesiony z pola bitwy, zachowując przez cały czas zupełny spokój ducha, zagrzewając po drodze żołnierzy i dając ostatnie rozkazy Prądzyńskiemu... Od chwili téj schodzi Chłopicki z widowni dziejowéj. Oddalenie jego z pola bitwy miało dla Polaków bardzo smutne następstwa; wszystko się rozprzęgło; znikło jednolite dowódz-

two; Radziwiłł stracił głowę całkowicie, szeptał po cichu paciérze, a na pytania odpowiadał wersetami z Pisma św.; bojaźliwy Szembek płakał; Umiński sprzeczał się z Krukowieckim, a ze starszych dowódzców frontowych jeden Skrzynecki zachował zupełną przytomność ducha i wydał rozkazy, które przyczyniły się do podtrzymania pewnego porządku w zachwianém wojsku." Poglądów natury politycznéj lub prawno-społecznéj nie ma w dziele zupełnie, — z wyjątkiem kilku niezbędnych uwag w rozdziałach wstępnych, uwydatniających ówczesną sytuacyę Królestwa kongresowego i powody zatargu; szerzéj natomiast uwzględnione zostały nieodłączne od przedmiotu dane ze statystyki administracyjnéj, ekonomicznéj, topograficznéj, wojskowéj i t. d. Zasługuje na zaznaczenie literatura wypadków. Jest ona pokaźna, bogata. Autor nie pominął nawet broszur polemicznych, o ile one rzucić mogły najdrobniejsze bodaj światełko na przebieg i rozwój straszliwego dramatu. Z prac poważniejszych nie zdołalibyśmy wykazać ani jednego zamilczenia lub pominięcia. Oprócz wyczerpującego spisu źródeł i zwięzłéj krytycznéj ich oceny na początku książki, każde przytoczenie w toku opowiadania, każde odwołanie się do zdania świadków, lub uczestników wielkiego procesu dziejowego, ma swój osobny odsyłacz, swoje wymotywowanie bibliograficzne. Najczęściéj — naturalnie — cytuje autor Prądzyńskiego; mniéj zdaje się ufać Mochnackiemu i jego kontynuatorowi Mierosławskiemu; Dębiński i Dwernicki traktowani bez uprzedzenia, Chrzanowski bez szczególnéj predylekcyi. Barzykowski, jako zajęty przeważnie wewnętrzną, to jest organizacyjną i rządową stroną akcyi, nie mógł liczyć na większą wziętość. W ogólności, generał Puzyrewski wszędzie oddaje pierwszeństwo świadectwu pamiętnikarza przed wyrokiem historyka, ferowanym *post factum*, wszelkie zaś relacye urzędowe (raporta, rozkazy dzienne etc.) poddaje bardzo nieraz surowéj kontroli—logicznéj i faktycznéj. *H.*

= **Dla sierot**. Książka zbiorowa, wydana staraniem Lubelskiego Towarzystwa Dobroczynności. Warszawa, 1897, str. 161 in 8-o. Czysty dochód z téj ładnéj, ładnie wydanéj książki przeznaczony został na budowę domu dla „Sali sierot" w Lublinie. Roztoczony nad nią tym sposobem patronat miłosierdzia i dobroczynności nie wymaga osobnego poparcia recenzenta, ale téż po bliższém wejrzeniu w szereg prac, składających się na całość ofiarną,—nie tak znowu bardzo jego krytyki się lęka. Wybór zrobiono dobry, bez zbytniego uganiania się za podpisami powag i imion głośniejszych. Nie brak atoli i pisarzy, znanych szerszemu ogółowi. Julian Ochorowicz wystąpił z treściwém studyum, p. t. „Co to jest suggestya?" Zofia Kowerska zamieściła nowelkę

„W Busku“, Arnsztajnowa dała kilka drobnych poezyi „Z kart notatnika”,—na temat odpowiadający przeznaczeniu: — „Wy mi nie mówcie, że pieśń zapadnie w bezduszną głąb... Choć kamień dawno spoczął na dnie, drga fali zrąb. Wy mi nie mówcie, że pieśń—sierota... O nie, o nie! Jest w każdém sercu struna złota, — trąć ją, a drgnie”. Większość artykułów wysnuta z lokalnych wątków, więc się czyta z zajęciem i wybitnie występuje nad poziom ogólnikowych tematów; wymieniamy niektóre: „Rzut oka na stan rolnictwa w gub. Lubelskiéj w ostatnich latach 25 ciu“ Maksymiljana Dobrskiego z Chmielnika, „Towarzystwo kredytowe miasta Lublina” W. Karwowskiego, „Towarzystwo lekarskie lubelskie” J. Klarnera, „Przyczynek do dziejów wodociągu w mieście Lublinie” prof. Hieronima Łopacińskiego, „Trybunał Lubelski” Władysława Modrzewskiego, „Z dziejów Lubelskiego Towarzystwa Dobroczynności” W. Polkowskiego, „Własność ziemska w Lubelskiem dawniéj i dzisiaj” Henryka Wiercieńskiego etc. Jędrny plastycznie skreślony traktat Wład. Kudelskiego, p. t. „Współzawodnictwo jako jedna z przyczyn braku przedsiębiorczości u nas”, pociąga ku sobie oryginalnością pomysłu i wytrawném wysłowieniem, lecz nie przekonywa. Autor wyznaje, że bez współzawodnictwa „nie byłoby postępu, że ono jedno nie dopuszcza do wytwarzania się monopolów”; a jednak, w konkluzyi kilku zjawisk społecznych, całkiem przygodnych, empirycznych, utrzymuje, że „nadmierne współzawodnictwo nie tylko tamuje przedsiębiorczość, nie tylko przemysłowi szkodzi, ale i dla publiczności jest szkodliwe,—bo oczywiście, utrzymanie czterech zakładów drożéj kosztuje, aniżeli dwóch, gdy więc zamiast dwóch cztery zaspakajać będą też same potrzeby, publiczność za otrzymane usługi drożéj płacić będzie musiała...” Rachuba byłaby zapewne bez zarzutu, gdyby się dało okazać, że to, co się nazywa „potrzebą” publiczności, nie rozwija się, nie wzrasta w miarę ułatwionéj i rozszerzającéj się przez współzawodnictwo podaży... Skądinąd zgodzić się trzeba, że szereg przesłanek p. W. Kudelskiego zaczerpnięty został z życia, z obserwacyi bezpośredniéj: „Sklepów spożywczych namnożyło się tak wiele, że same spożywać się muszą; niech kto szuwaks lub musztardę wyrabiać zacznie, zaraz znajdą się pomocnicy w produkcyi towaru w takichże opakowaniach; nie można ucznia w handlu lub rzemiośle wypromować na subiekta lub czeladnika, bo zaraz otworzy on obok sklep lub warsztat podobny”... Do wdzięcznych, balastem erudycyjnym nie przeciążonych rozprawek naukowych należy d-ra Wł. Olechnowicza „Część światła w dziejach przedhistorycznych Lubelskiego”, — ale ręczyć można, że spory zastęp czytelniczek, na które książka zbiorowa o celu dobroczynnym liczyć ma prawo więcéj niżli na czytelników,—za-

stęp ten zajrzy do traktatu p. Olechnowicza dopiéro za drugiém lub trzeciém przerzuceniem kartek; pierwsze, najbardziéj zainteresowane i interesujące spojrzenia pięknéj połowy naszego rodzaju posypią się najniechybniéj w kierunku p. Józefa Wołowskiego i jego „kilku spostrzeżeń o kobiécie". I słusznie. Kto zdoła lub zechce zaprzeczyć trafności takim np. zdaniom uroczym: „Im hojniéj od natury obdarzona kobiéta, tém bardziéj potrzebuje odpowiedniego otoczenia." „Dla kobiéty prawdziwém nieszczęściem jest jedynie zawód serca." „Miłość posiada swój oddzielny kodeks, — w stosunku między zakochanymi każde uchybienie przeciw dobréj wierze, każda przebiegłość, każdy fałsz przybiéra rozmiary zbrodni." „Serca oschłe większy wstręt obudzają, niźli mózgi puste." Nie wspomnieliśmy jeszcze o doktorze Gustawie Dolińskim, który pod hasłem „uczmy pożytecznie pracować dzieci, dajmy chléb w ręce siérotom" wziął na siebie trud zjednania tylu autorów, ogłoszenia ich prac drukiem i skréślił rozumne uwagi „Zamiast przedmowy". *An. P.*

= *Felix Laudowicz.* „**Wesen und Ursprung** der Lehre von der Präexistenz der Seele und von der Seelenwanderung in der griechischen Philosophie." Berlin, Selbstverlage des Verfassers (bez daty). — W rozprawie téj, prawdopodobnie doktoryzacyjnéj, nadesłanéj redakcyi „Ateneum" w początkach roku bieżącego, — przedstawiono w rozwinięciu historyczném stan wyobrażeń starożytnych Greków o istnieniu duszy p r z e d jéj objawem cielesnym i o możliwych jéj przemianach w wędrówce po przez czasy i przestrzenie. Jest to dział tak zwanéj „Psychologii metafizycznéj", — zaniedbany lub zaniechany dziś zupełnie w poszukiwaniach filozoficznych. Dogmatycznie kwestya praistnienia duszy nie może miéć umiejętnego, n a u k o w e g o rozwiązania; jako zaś jedno ze szczegółowych zagadnień idealizmu spirytualistycznego, posiada w dziejach filozofii dawnéj, abstrakcyami przepełnionéj, sporo zapisanych kartek. P. Feliks Laudowicz umiał przecież przedmiot ten, czczy i jałowy teoretycznie, odświeżyć i ożywić wyśmienitém zużytkowaniem materyału erudycyjnego, na który, oprócz dzieł Platona, Arystotelesa, Philona, Oryginesa i t. d., złożyły się pisma celniejszych komentatorów nowoczesnych, Zellera, Rittera, Ueberwega, Wuttkego etc., że już pominiemy przytoczenia uzupełniające z Kartezyusza, Leibniza, Kanta, Wundta i t. d. Dochodzenie zyskało jeszcze przez to, że autor rozszerzył nieco ramy tematu w dwu kierunkach: zasadniczym i historycznym. Zasadniczo rozszerzyła się idea „przedistnienia" duszy, wskutek przestawienia jéj na grunt powszechniejszego i dostępniejszego postulatu o n i e ś m i e r t e l n o ś c i duszy („*Der Praeexistenz-*

begriff ist ein zwar nicht absolut nötiges, aber doch sehr naheliegendes Korrelat des Begriffs der Unsterblichkeit"); historycznie, przewód cały przybrał charakter wypełnionego okresu ewolucyjnego, przez zestawienie rozwiniętéj już umysłowości greckiéj (w danym zakresie) z pokrewną umysłowością Hindusów i Irańczyków, — wcześniejszą znacznie i mniéj rozwiniętą — o ile o téj drugiéj pozostały odpowiednie świadectwa w aryjskich hymnach Rigwedy i Zendawesty. Wszystko to razem pozwoliło nader dokładnie i wypukle uwydatnić charakter, doniosłość i właściwości dwu doktryn, o które w danym razie chodziło: doktrynę o praistnieniu duszy i doktrynę o wędrówce dusz. Obie one wyrosly z napół politeistycznego i napół panteistycznego pnia wierzeń Aryów pierwotnych, praojców całego plemienia indo-europejskiego; obie téż traciły na genezyjnéj swéj rozciągłości, w prostym stosunku do wzrastającego zasobu doświadczeń życiowych plemienia, rozbitego kolejami przejść przedhistorycznych na pojedyńcze szczepy czyli rody (Hindusów, Greków, Celtów, Słowian etc.) i wypartego z siedlisk swych kolébczanych na miejsca obecnego (mniéj więcéj) zamieszkania. U Greków, którymi rozprawa p. Laudowicza specyalnie się zajmuje, obiedwie nauki (preegzystencya i transmigracya) doznały większego może uszczuplenia, niż u innych rodów, wskutek głównie całkowitego niemal tryumfu politeizmu (wielobóstwa) nad panteizmem (jednobóstwem w rozcieńczeniu); wszędzie bowiem i po wszystkie czasy pojęcie człowieka o własnéj jaźni (duszy) kształciło się i postępowało równolegle do jego pojęć o swych bogach i bóstwach. W każdym razie to niezawodne, że panteistyczne zabarwienie wyobrażeń greckich o przedistnieniu dusz blakło i zanikało u Greków najściśléj w miarę, jak wyobrażenie o „człowieku" stawało się dokładniejszém, konkretniejszém, bardziéj „osobowém", — czyli w miarę, jak człowiek wyrastał w ich oczach na coś ważniejszego i poważniejszego, niźli u Hindusów, — na indywidualność rzeczywistą, faktyczną, tworzącą w sobie i w sobie skupiającą swój świat moralny. Również i nauka o wędrówce dusz nie dała się ani zlać, ani pogodzić z silnie i szybko wyrabiającém się u Greków poczuciem osobowości bogów i ludzi. Chwiejny, powiewny i rozpłyniety „zaświat" prastarych Aryów nie mógł się na żaden sposób pomieścić w skrojonéj po fidyaszowsku piersi greckiéj, — za ciasno stało się mu w ostro i twardo zemkniętych ścianach Partenonu.

St. Fiat.

— **Nasza literatura dramatyczna** (Szkice nakreślone przez *Piotra Chmielowskiego.* Tomów dwa. Petersburg, nakładem księgarni Grendyszyńskiego, str. 521 i 536). — Autor, który przez szereg lat

wzbogaca historyę literatury naszéj cennemi dziełami, który rozrzuca promienie wiedzy, owoce pracy swéj i w drobnych szkicach, — gromadzi materyał obfity, a pisma w różnych czasach i okolicznościach powstałe złożyć się mogą na całość książkową. W ten sposób powstały szkice, p. t. „Nasza literatura dramatyczna”. I chociaż p. Chmielowski w przedmowie pierwszego tomu tłómaczy, że praca jego nie jest historyą naszego dramatu, to jednak biorąc początek w dyalogach, przeprowadza czytelnika aż do autorów współczesnych, dając tém samém ogólny obraz literatury dramatycznéj. Nie zatrzymując się zbytnio nad okresem wspomnianych dyalogów, przechodzi autor do „Żywota Józefa” przez Mikołaja Reja. Po tym rozbiorze następuje wiek XVI-ty, w którym historya zapisała chlubnie „Odprawę posłów”. Po Kochanowskim — Szymonowicz. Daléj następują studya obszerniejsze, mianowicie o „komedyi w drugiéj połowie XVIII-go wieku”: Zabłocki, Bogusławski, Niemcewicz. Tragedya pseudo-klasyczna (A. Feliński), przejście do wieku XIX-go, a z nim: Aleksander hr. Fredro, Korzeniowski, Słowacki, Szujski i Bełcikowski. Ta potężna grupa zamyka tom I-szy. — I zmuszony jestem nadmienić, że daję tylko sprawozdanie z dzieła, nie rozbiór jego, który ze względu na obfity materyał urósłby do znaczniejszych rozmiarów, a takiego traktowania przedmiotu może podejmie się który z historyków literatury. Ja w drobnych ramach pragnę tylko podać szerszemu gronu wiadomość o cennéj pracy zasłużonego autora, pracy, któréj ułamki mieliśmy już możność poznania w „Ateneum”. Do nich należy znaczna część tomu II, mianowicie: „O początkach naszéj komedyi społecznéj” („Ateneum”, marzec, 1897), która, po Józefie Narzymskim, mając mniéj lub więcéj utalentowanych przedstawicieli (Lubowski, Zalewski, Sarnecki, Koziebrodzki, Bliziński, Bałucki) i z różném powodzeniem żyje śród nas. Ten rozdział zamknął autor pracą, p. t. „Udział kobiét w literaturze dramatycznéj”, krótkie wzmianki poświęciwszy Julii Tuszowskiéj (Julian Moers z Poradowa) i Zofii Mellerowéj, dłużéj zatrzymując się nad „Zmarnowaném życiem” Laudynowéj („Ateneum”, czerwiec, 1896). — Na tych zaznaczeniach poprzestając, powtarzam, że szkice, w których żaden okres nie został pominięty, a skréślony stosownie do swéj doniosłości, gdzie ważniejsze i mniéj ważne utwory ocenę swą znalazły, szkice takie musiały się stać pracą wartościową, ważnym przyczynkiem do studyów nad naszą literaturą dramatyczną. Nie różnica poglądów, lecz sposób opracowania pojedyńczych studyów jest odmienny, a na tém zbiór nie ucierpiał.

L. R.

= *Stanisław Bełza.* **W kraju tysiąca jezior.** Z podróży i przechadzek po Finlandyi. Wydanie drugie. Warszawa i Kraków, Gebethner i Wolff, 1897, str. 227. — Literatura nasza, tak zasobna w powieści, prawie że nie posiada działu podróżniczego, i wydawcy do niedawna zmuszeni byli dawać przekłady z obcych języków pragnącym téj karmi czytelnikom, którzy nie wiele jeszcze na tém tracili, otrzymując np. przekłady z Taine'a lub de Amicisa. Ile wszakże pomiędzy przekładami z zagranicznych autorów znajdowało się tandety! Dzięki p. Bełzie, taki stan rzeczy poczyna zmieniać się na lepsze. Umié on zawsze wynaléść w Europie kraj mniéj u nas znany i mniéj opisywany i, wydając tom za tomem, opowiada barwnie, przystępnie i zajmująco swoje wrażenia podróżnicze. O poczytności jego książek świadczy choćby to, że prawie wszystkie ukazują się w powtórnych wydaniach. Opis podróży po Finlandyi, który mamy właśnie przed sobą, również w drugiém wyszedł wydaniu—i przyznać należy, że zupełnie na to zasługuje. P. Bełza nietylko kreśli przed naszemi oczami obrazy uroczéj natury „kraju tysiąca jezior", lecz zapoznaje nas z przeszłością Finlandyi, z jéj obyczajami, handlem, przemysłem, a nawet i literaturą. Dziełko przez nas omawiane wydaje nam się najlepszém z dotychczasowych prac p. Bełzy, posiada bowiem wszystkie zalety jego pióra, brak mu zaś rozwlekłości, która stanowiła ujemną stronę dawniejszéj piśmienniczéj działalności tego autora. *Kimont.*

= *Wacław Pomian.* **Sonata wiosenna.** Warszawa, 1897, in 12-o, str. 13. — Już od lat dwudziestu paru spotykaliśmy się w pismach warszawskich z poezyami zmarłego przed niedawnym czasem Pomiana, odznaczającemi się zawsze pięknym językiem i świetną formą, wszakże poetycki dorobek jego nie jest, zdaje się, zbyt obfity, — może dlatego, że drukował on tylko rzeczy doskonałe. Szczupły zaledwie tomik dałby się złożyć z jego liryków, tu i owdzie po pismach rozrzuconych, z fragmentów poematu „Herkules i Omfala" w „Bibliotece Warszawskiéj" drukowanych, wreszcie z paru przekładów z Goethego i innych poetów niemieckich. Jeżeli wszakże nie ilościowo, to jakościowo dorobek ten pokaźnie się przedstawia; żałować wszakże należy, że poeta i tym razem jeszcze nie zapoznaje z nim czytającego ogółu, dając mu tylko przedsmak w świeżo wydanéj „Sonacie wiosennéj", cyklu złożonym z dziewięciu sonetów. Sam już tytuł tego zbioru jest zapowiedzią jego treści. Z wschodzącą wiosną budzi się w sercu pieśniarza miłość, któréj dzieje opowiada nam w szeregu sonetów. Spragniony „jedynego z ust jéj słowa", już je miał usłyszéć, gdy wtém jastrząb ścigający czyżyka spłoszył je, „może na zawsze". „Z duszą troskami

omgloną" błąka się poeta o świcie, marząc o ukochanéj. Chroni się z nią przed burzą w szałasie... o zmroku, gdy „księżyc wytrąca zwolna słońcu berło złote", wzywa ją na „słodką miłości biesiadę", w oczekiwaniu, „chcąc zgasić rozpacze, wypija z sokiem tajemnicę drzewa", — aż wreszcie w noc, „co pragnień ziściła zabiegi," słyszy z jéj ust „najsłodsze wyznanie". W chwilę po szczęściu zostaje mu wszakże jedna tylko radość, „że przez chwilę nie był nicością" — Sonetem władał Pomian po mistrzowsku — silny, metaliczny wiersz płynie w nim jak kaskada; trudno przytém oprzéć się urokowi iście wiosennéj świéżości poetyckich obrazów, rozsianych w téj „Sonacie", jak cenne klejnoty w szczerozłotéj oprawie. Wszystkie sonety są piękne, najwyżéj jednak co do polotu fantazyi, barwności i wdzięku obrazów stoją dwa: „Przed burzą" i „O zmroku" — Książeczkę tę, któréj samo wydanie znamionuje już wytworny smak poety, zamykamy ze szczerym żalem, że jest to jedyny zbiór utworów zmarłego. Stanowisko zajmowane przez Pomiana na współczesnym parnasie polskim obowiązuje wydawców do zgromadzenia wszystkich jego utworów, —uważamy téż „Sonatę" za zapowiedź zupełnego ich zbioru. *Ar. Les.*

= **Stanze o pieśni**. Kraków, 1897, str. 35. — Jest to bezimiennie wydany poemacik, napisany, o ile z formy domyślić się można, przez jednego z najmłodszych, współczesnych poetów, zabiérającego głos nie po raz pierwszy. Wzywa on w podniosłych strofach braci-pieśniarzy do przejęcia się ideą, która we wszystkich nurtuje sercach, i nastrojenia lutni na odmienny, bardziéj ogólny ton, wskazując im drogi, któremi w czasach romantyzmu kroczyli wielcy poeci nasi. Na dzisiejsze pokolenie pieśniarzy, tworzące „piosnki maleńkie, jak kwiaty", miota on gromy potępienia i zarzuca mu opiewanie własnych zwątpień i boleści, w ślad za czém nastąpić może uznanie za marne mamidła wszystkich porywów wielkich dusz. Jeżeli tą drogą daléj pójdziecie — mówi poeta — „jutro was zapomni". Poemat, kréślony piękną oktawą, porywa czytelnika szczerością, orlim polotem i młodzieńczą siłą. Czegóż więcéj od poezyi wymagać można? Nie chcąc być bezwzględnym jego chwalcą, dodaję, że jest może zbyt rozwlekły i że w niektórych oktawach wiersz się łamie, szkodząc ich potoczystości. Kto tak panuje nad formą, jak twórca „Stanzy o Pieśni", ten nie powinien znieść żadnéj skazy na wiersza swojego krysztale.

= **Wszyscy za jednego**. Fraszka. Napisał *Włodzimierz Wysocki*. Wydanie czwarte. Kijów, nakładem księgarni Leona Idzikowskiego, 1898, in 12-o, str. 61. — Utwory poetyczne przedwcześnie zgasłego

Włodzimierza Wysockiego cieszą się niezwykłą, jak na nasze stosunki, poczytnością. „Las”, „Zaklęte łzy” i „Nowe dziady” wyszły w dwu wydaniach, „Laszka” doczekała się trzech wydań, największe wszakże powodzenie przypadło w udziale fraszce „Wszyscy za jednego”, ukazującéj się właśnie w czwartéj edycyi. Z prawdziwą przyjemnością bierzemy do ręki dobrze znaną nam książeczkę... Podziwiamy spryt Elka Zusmana, współczujemy tarapatom dziedzica Obij-boków i słuchamy tyrad panów braci. Powodzenie jéj łatwo można wytłómaczyć: oto słońce prawdziwéj poezyi i szczery, iście staropolski humor opromienia tę, nieraz bardzo gorzką satyrę. *Ar. Les.*

= **Jan Iwański**.—*Poezye*. Warszawa 1897. Str. 142. — „Ja mam już dość tych ckliwych tonów lutni, co mi fałszywie w uszach brzmią”— śpiewa młody poeta na 103 str. swych „poezyi” i my za nim tylko to niestety powtórzyć możemy, zamykając zbiorek jego utworów. Składają się nań cztery części, a mianowicie: „Z wiejskiego ustronia”, „Erotyki”, „Ze szczytów” i „Wiersze różne”, niczém wszakże nie różniące się od siebie. Wprawdzie w poezyach p. Iwańskiego rzadko spotykać się daje fałszywy ton, przeciwnie, wiersze jego są rozpaczliwie gładkie, ta „gładkość jednak, nieurozmaicona żadnym zgrzytem, graniczy z ckliwością i nie pozwala korzystnie rokować na przyszłość. Młody poeta nie ma najmniejszego poczucia formy i nigdy prawie nie może wyszukać odpowiedniéj sukienki dla myśli swych, które same przez się nic nowego nie przynoszą. Z tego powodu czytanie jego poezyi wprost nuży, a po zamknięciu książki nic nam w pamięci nie pozostaje, żaden wiersz w uchu nie dzwoni. Pierwszy zaraz utwór „Cisza”, czytany głośno, jest wprost nieznośny dla ucha, ze względu na fatalną kombinacyę rymów drugiéj strofy. Cykl „Z wiejskiego ustronia” nie zawiera ani jednéj szczeréj, odczutéj strofy — składa się nań szereg bladych, wytartych frazesów; chwilami nam się zdaje, że p. Iwański nigdy na wsi nie był, a wrażenia swe bierze z drugiéj ręki. Większą szczerością odznacza się cykl „Erotyki”, tu znowu jednak brużdżą p. Iwańskiemu reminiscencye z rozmaitych poetów: „Zeszła ku mnie” (Asnyk), „Wyśniłem Cię” (Tetmajer), „Jam Cię ukochał” (Lange). W tym ostatnim np. wierszu, wzorowanym na prześlicznym erotyku Langego: „Ja Cię kocham całą mą istotą”, nie ma nic z owéj siły i szczerości, tętniącéj w każdém słowie wzoru. U p. Iwańskiego wiersz ten jest wprost ślamazarną rymowaną prozą, i to rymowaną bardzo słabo. Już to wogóle nie rymuje on zbyt wytwornie: polały—zapłakały, tony—korony, ocknęła—płynęła, konarami—łzami; mimo to, porywa się nietylko na sonety i tryolety, lecz nawet i na ronda, niepomny tego, że

„wprzód niż latać, trzeba nauczyć się chodzić”. Lange jest widać umiłowanym poetą p. Iwańskiego, cytuje go bowiem częściéj, niż innych— ba! wziął nawet za *motto* jednego ze swych erotyków jego dwuwiersz „Jeżeli kochać, to kochać namiętnie, Nie rozważając, jak ogień wytryska”, solidaryzując się zapewne z tym poglądem na miłość—tymczasem erotyki p. I. nic wspólnego z namiętnością nie mają; są to piosenki na gitarę, i nie dziwilibyśmy się wcale, jeżeliby jego ukochanéj nie wzruszyły, bo i nas nie wzruszają bynajmniéj. W cyklu „Ze zgrzytów” ani jednego nie znajdujemy zgrzytu, za to do znudzenia karmi nas p. Iwański wziętym z „Preludyi” Tetmajera pesymizmem, który wszakże w jego rozpaczliwie monotonnych strofach jest tylko jedną pozą więcéj. W cyklu „Wiersze różne” nie znajdujemy również żadnego listka, od którego możnaby począć wić wieniec uznania dla młodego aspiranta do laurów poetyckich. Jak w całym zresztą zbiorku, niema tam ani jednego nowego obrazu, ani jednego oryginalnego zwrotu. Przytém p. Iwański rozporządza bardzo ubogiém słownictwem, niektóre zaś epitety tak ukochał, że je do znudzenia powtarza, — żaden np. wiersz z cyklu „Z wiejskiego ustronia” nie obywa się bez wyrazów „cisza” i „cichy”. Na każdéj stronie, a jest ich w cyklu tym 34, spotykamy ową „cichość” niejednokrotnie po dwa razy. Już ta sama „cichość” zapowiada, że p. Iwański nigdy „głośnym” nie będzie. Jéj też przedewszystkiém powinien pozbyć się młody poeta, jeżeli kiedyś „głośnym zostać zamierza. *Ar. Les.*

= **Biblioteca Gallega**.—*Fugaces par Sofia Casanova.* La Coruña. Andrés Martinez editor, 1898, in 12-o, str. 160.—Rzadki gość zawitał do naszéj redakcyi. Przysłano nam z Coruñy tom poezyi p. Zofii Casanova, małżonki, zaszczytnie w naszéj literaturze znanego z prac filozoficznych, p. Wincentego Lutosławskiego, którego nazwisko nie jest obce przedewszystkiém czytelnikom „Ateneum”. Książka, złożona z utworów przeważnie lirycznych, rozpada się na dwie części i obejmuje przeciąg lat piętnastu. Cykl pierwszy, zatytułowany „*Juveniles*” zawiera, jak sam tytuł wskazuje, młodzieńcze wrażenia poetki. Już tu wszakże nie brak utworów bardzo pięknych, jak np. „*Nieblas del Norte*”, owiany rzewną zadumą, „*Ni en la muerta*”, wyróżniający się śpiewnością i piękną formą wiersza, „*Drama vulgar*” — wyrazistością obrazowania, zwłaszcza w pentynach drugiéj części (*Lucnor*) „*Arte y Amor*—kunsztowną budową i melodyjnością strofy, wreszcie „*Sacrilegio*”—siłą wiersza i ekspresyą. Cykl drugi, zatytułowany: *Ansencia*, składa się z utworów bardziéj jednolitych i skrystalizowanych i ze względu na treść swoją bliżéj nas obchodzących. Zasługują w nim na

wyróżnienie: naczelny sonet „*Drozdowo*" i „*Vixian*". Poetka odczuwa i umié oddać czar przyrody drugiéj swéj ojczyzny. Poezye, składające się na tomik, powstawały w rozmaitych, nieraz bardzo od siebie odległych miejscowościach, co nawet poniekąd daje się uczuć w ich kolorycie: Madryd i Kazań, San Sebastian i Moskwa, Drozdów i Londyn, Petersburg i Playa de Mere — powtarzają się na przemiany. Pani Zofia Casanova zajmuje niewątpliwie jedno z poczeṡniejszych miejsc we współczesnéj poezyi hiszpańskiéj; utwory jéj cechują: szczerość, głębokość myśli, szlachetność i barwność słowa, iście poetycki polot, wreszcie wysoko rozwinięte poczucie piękna przyrody, które to przymioty w połączeniu z prostotą a zarazem i kunsztownością melodyjnego jéj wiersza sprawiają, że nie znajdujemy w tomiku ani jednéj słabéj, banalnéj rzeczy. Niektóre z utworów p. Casanova, zwłaszcza z drugiéj części, zasługują na polski przekład.

= **Petöfi Aleksander.** Król poetów węgierskich w życiu i poezyi. Przez *Plato v. Reussnera*. Warszawa, nakład własny, in 8-to, str. 100, z dwoma portretami, 1898. — Genialny poeta węgierski, zbyt mało znany w naszéj literaturze, bezwarunkowo zasługiwał na monografię, traktującą popularnie życie jego i dzieła. Zadanie to spełnił bez zarzutu dr. Albert Zipper w dziełku, p. t. „Lutnia i Miecz", wydaném nakładem złoczowskiéj biblioteczki Zukerkandla. Praca p. Reussnera zasługiwałaby więc na uznanie, gdyby stała wyżéj od poprzedniego studyum lub gdyby przynajmniéj dawała trochę nowych szczegółów. Tak jednak nie jest. Książka p. Reussnera zasługuje jedynie na miano nieudolnéj kompilacyi, opartéj na jakiéjś niemieckiéj książczynie o Petöfim, równéj, co i kopia, wartości, — przytém spotykamy w niéj takie kwiatki, świadczące o zupełnéj nieznajomości literatury przedmiotu: „Pieśni Petöfiego, rozrzucone, rozstrzelone po różnych czasopismach węgierskich, nie tak łatwo zebrać w całość." Jest to fałsz, ponieważ Węgrzy oddawna posiadają zupełne, doskonałe wydania dzieł Petöfiego, poczynając od najtańszych, a kończąc na wykwintnych, ozdobionych ilustracyami. Jeżeli już o tém mowa, dodać należy, że i p. Reussner zaopatrzył swą książkę w ilustracye, wzięte z „Historyi Węgier" Boldenyi'a, lecz wykonanie takowych nie odpowiada pojęciu ozdoby. Pisząc w języku polskim, p. Reussner nie interesował się bynajmniéj tém, kto i kiedy przekładał, w naszéj literaturze Petöfiego. Mówi o pięćdziesięciu niemieckich tłómaczach poety, wylicza większą ich liczbę, daje nawet dwanaście nieudolnych tłómaczeń niepowołanych przerabiaczy niemieckich przekładów Petöfiego, natomiast ani słowa nie mówi o doskonałych polskich tłómaczeniach: Władysława

Sabowskiego, Seweryny Duchińskiéj, Stanisława Rossowskiego i Antoniego Langego. Język i styl pracy p. Reussnera do złudzenia przypomina rozmówki z jego samouczków. Jako *curiosum* tego stylu i pojęć (?) p. Reussnera cytujemy parę wierszy: „Mickiewicz, polski wieszcz, nierównież wiele polskich pieśni śpiewał narodowi, jak Petöfi narodowi węgierskiemu, a jednakże Polacy nie mogą się zdecydować i zdobyć na to, aby nareszcie uczcić pamięć swego wieszcza wzniesieniem mu pomnika. Węgrzy nie debatowali, nie namyślali się długo, nie sprzeczali się o pierwszeństwo, kto ma dawać mniejsze lub większe składki na pomnik. Nie rozpisywano się ani setné części tyle po gazetach węgierskich, co w gazetach polskich o pomniku Mickiewicza, ale jednozgodnie, jednomyślnie każdy Węgier dawał to, co mógł, i w przeciągu krótkiego czasu zebrano potrzebną sumę na postawienie pomnika Petöfiemu. Czy i kiedy doczeka się Mickiewicz pomnika, to jeszcze wielkie pytanie, bo tu się wiele, zbyt wiele mówi, kombinuje, ale mało, albo się wcale nic nie robi" (str. 69—70).

I Petöfi i Mickiewicz i przypadkowi takich wywodów czytelnicy bardzo by zapewne byli wdzięczni p. Reussnerowi, jeżeli by nadal wyłącznie pozostał przy samych „Najłatwiejszych Metodach" i „Samouczkach". *Ar. Les.*

= **Piąty przyczynek do nauki o zboczeniach mowy**, przez d-ra *Władysława Ołtuszewskiego*, stanowi sprawozdanie rozumowane z działalności zakładu autora dla osób dotkniętych zboczeniami mowy za rok 1896/97. Przytaczamy z niego następujące dane. — Ogólna liczba osób dotkniętych zboczeniami mowy, które się zgłosiły od lipca 1892 do lipca 1897 roku, wynosiła 880 przypadków. Na 173 przypadki niemoty leczyło się 9 osób i wszystkie odzyskały mowę (3 dorosłych, 6 dzieci). Na 191 przypadków bełkotania łącznie z wadliwém wymawianiem leczyło się 44 osób z zupełnie dobrym wynikiem. Z 48 spostrzeganych przypadków mowy nosowéj poddało się leczeniu 8 osób i wszystkie osiągnęły zamierzony rezultat. Nakoniec z 460 osób, podlegających jąkaniu, przebyło cały kurs leczniczy 95 osób, z których 87 zupełnie się wyleczyło, a 8 doznało znacznéj poprawy.—Z zestawienia ubiegłych 5 lat wynika, że, lubo zwolna, liczba zarówno zgłaszających, jako téż i leczących się osób corocznie się zwiększa, stwierdzając, że zakład dla zboczeń mowy u nas ma wszelką racyę bytu. O ile jednak możność leczenia w Warszawie jąkania lub wadliwego wymawiania dostatecznie jest już rozpowszechniona, o tyle wiadomość, że w zakładzie znajdują odpowiednią opiekę i leczenie dzieci osłabionej pod względem umysłowym, u których właśnie najczęściéj przytrafiają

się zboczenia mowy, jak przedewszystkiém wszelkiego rodzaju niemoty, bardzo powoli przenika do naszego ogółu. Sądzimy, że wiadomość ta, wobec braku jakiegokolwiek zakładu dla téj kategoryi dzieci, winna zainteresować rodziców i wychowawców.

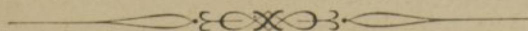
= **Rosyjski przegląd ekonomiczny**, pod red. *M. M. Fiodorowa*. Petersburg. 1897 r., Maj—Grudzień, zesz. 8.—Zasobna w siły naukowe i środki materyalne redakcya urzędowych organów ministeryum finansów. „Gońca Finansów" i „Gazety Handlowo-Przemysłowéj", od maja przeszłego roku wydaje miesięcznik poświęcony przedewszystkiém rozbiorowi bieżących spraw krajowych ekonomicznych i finansowych ze stanowiska więcéj naukowego, aniżeli to w codziennném lub tygodniowém wydawnictwie byłoby możliwe. Do pracy powołano nie tylko siły miejscowe, ale i zagraniczne. Spotykamy więc w wydanych w 1897 r. 8 zeszytach artykuły: Levasseur'a „o instytucie statystyki międzynarodowéj" (którego kongres odbył się w Petersburgu w pierwszych dniach września ubiegłego roku), Ottomara Haupta o cyrkulacyi pieniężnéj i statystyce monetarnéj, Kramarza—o reformie monetarnéj w Austryi, i drobne artykuły Art. Raffalowicza i Alfr. Neumarka. Sprawy bieżące finansowe znalazły uwzględnienie w szeregu artykułów omawiających projekta do praw, mających wkrótce być wydanemi. Do takich należą: obszerny bardzo artykuł L. Pietrażyckiego „o spodziewanéj reformie prawodawstwa akcyjnego w Rosyi", zawierający w sobie dużo nowych poglądów na sprawy towarzystw akcyjnych,— N. Brzeskiego niedokończony jeszcze artykuł „gmina włościańska wedle najnowszych danych",—Fedorowicza „sposoby zapewnienia wymienności biletów kredytowych",—Biełocwietowa „reforma konieczna w ubezpieczeniach od ognia". Dla nas specyalny interes posiadają artykuły Zagorskiego: „Wpływ frachtów na ceny zboża" i Fortunatowa (prof. Inst. Rol. w Nowéj Aleksandryi): „Przyczynki do statystyki rolnéj 10 gubernii Królestwa Polskiego". Bardzo ciekawe są „Listy z Belgii" (G. G.) wyjaśniające drogi, któremi kapitały belgijskie szukają pomieszczenia w przemyśle rosyjskim. Prócz takich artykułów ściśle naukowych, każdy numer zawiera „przegląd wewnętrzny" i „przegląd zagraniczny", poświęcone sprawom bieżącym, i bardzo obfity dział krytyczny, rozbiérający nie tylko najnowsze wydawnictwa krajowe i zagraniczne, ale i pojedyńcze artykuły ekonomiczne, które drukowane zostały w miesięcznikach rosyjskich. Dla interesujących się sprawami ekonomicznemi i finansowemi całego państwa miesięcznik ten zawiera dużo cennego i ściśle naukowo obrobionego materyału— bez żadnéj domieszki narodowościowych antypatyi i niechęci. *St. P.*

= **Komitet zarządzający Kasą Pomocy** dla osób pracujących na polu naukowém imienia d-ra J. Mianowskiego—ma zaszczyt do powszechnéj podać wiadomości, iż zmarły d. 9 Listopada 1891 r. Władysław Pepłowski uczynił Kasę Pomocy spadkobierczynią swego majątku, od którego dochody przeznaczył na popiéranie wydawnictwa broszur i podręczników naukowych, zawierających najlepsze i najnowsze wskazówki rozwoju rolnictwa, rzemiosł i rękodzieł w kraju naszym, wyłożone jasno, popularnie, poprawnym językiem polskim, przystępnie dla ogółu rolników, rzemieślników i rękodzielników, zastosowane do potrzeb miejscowych, na czasie, tudzież na pomoc dla autorów rzeczonych broszur lub podręczników i osób na tém polu pracujących. W wykonaniu zapisu tego, na którego przyjęcie Kasa Pomocy właściwe zezwolenie władzy rządowéj uzyskała, Komitet zarządzający Kasą, oświadcza gotowość wejścia w bliższy stosunek z pp. wydawcami lub autorami dzieł, odpowiadających wyżéj wyłuszczonym określeniom i warunkom, celem zapewnienia dziełom tym lub wydawnictwom poparcia, jakieby się okazało potrzebném i możliwém. Osoby, pragnące uzyskać dla swych dzieł czy nakładów pomoc pieniężną, proszone są o zgłaszanie się osobiste do biura Komitetu Kasy Pomocy w Warszawie, przy ulicy Niecałéj N. 7, lub o nadsyłanie pod tymże adresem żądań, wyłuszczonych na piśmie.—Prezes Komitetu: *H. Struve.* Członek Komitetu sekretarz: *Feliks Kucharzewski.*





Wydawca: *W. Spasowicz.*
Za Redakt.: *W. Spasowicz* i *Stanisław Wydżga.*



OGŁOSZENIE.

Wydział medycyny Cesarskiego Warszawskiego Uniwersytetu, stosownie do § 8 warunków ogłoszenia konkursu i przyznania nagrody imienia Adama Chojnackiego, niniejszém zawiadamia osoby zainteresowane, iż termin przedstawienia dzieła konkursowego z zakresu medycyny popularnéj, dla pozyskania wspomnianéj nagrody, kończy się d. 1 (13) kwietnia 1898 roku.

